

Wiktor Krawczenko

Wybrałem wolność

Życie prywatne i polityczne radzieckiego funkcjonariusza



WYDAWNICTWO
MAGNUM

Wiktor Krawczenko

Wybrałem wolność

Życie prywatne i polityczne
radzieckiego funkcjonariusza

PRZEKŁAD

Maciej Antosiewicz

WYDAWNICTWO
MAGNUM

Tytuł oryginału
I CHOSE FREEDOM

The personal and political life of a Soviet official

Przekład
Maciej Antosiewicz

Projekt okładki
Ewa Witosińska

Zdjęcia na okładce
Wiktor Krawczenko podpisuje swoją książkę, ok. 1946. © Popperfoto/Getty Images
Nowy Jork, ok. 1950 © Underwood & Underwood/Corbis/Fotochannels

Copyright © 1946 by Victor Kravchenko
Renewal copyright owned by Andrew Kravchenko

All rights reserved
No part of this book may be reproduced in any form without the permissions of Andrew Kravchenko

Copyright © 2009, 2014 for the Polish edition by Wydawnictwo Magnum Ltd.
Copyright © 2009 for the Polish translation by Wydawnictwo Magnum Ltd.

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, zapisywana czy przekazywana w sposób mechaniczny, elektroniczny, fotograficzny lub w jakiegokolwiek innej formie bez zgody właściciela praw.

Wydawnictwo MAGNUM Sp. z o.o.
02-536 Warszawa, ul. Narbutta 25A
tel./fax 22 848 55 05, tel. 22 646 00 85
magnum@it.com.pl

Zapraszamy do naszej księgarni internetowej
www.wydawnictwo-magnum.com.pl

Wydanie elektroniczne 2014

(EPUB) ISBN 978-83-63986-72-8
(MOBI) ISBN 978-83-63986-73-5

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

- Rozdział I. Nocna ucieczka
- Rozdział II. Rosyjskie dzieciństwo
- Rozdział III. Chwała i głód
- Rozdział IV. Czerwona młodość
- Rozdział V. Zerwanie z przeszłością
- Rozdział VI. Studia w Charkowie
- Rozdział VII. Triumf maszyny
- Rozdział VIII. Koszmar na wsi
- Rozdział IX. Żniwa w piekle
- Rozdział X. Moja pierwsza czystka
- Rozdział XI. Tajemnica Jeleny
- Rozdział XII. Inżynier w Nikopolu
- Rozdział XIII. Szybciej, szybciej!
- Rozdział XIV. Wielka czystka
- Rozdział XV. Zaczyna się moja próba
- Rozdział XVI. W poszukiwaniu sprawiedliwości
- Rozdział XVII. Tortury po północy
- Rozdział XVIII. Praca: wolność i niewolnictwo
- Rozdział XIX. Fałszowanie historii
- Rozdział XX. Syberyjska mistyfikacja
- Rozdział XXI. Europa walczy
- Rozdział XXII. Nieoczekiwana wojna
- Rozdział XXIII. Panika w Moskwie
- Rozdział XXIV. Kreml podczas wojny
- Rozdział XXV. Dwie prawdy
- Rozdział XXVI. Preludium do Ameryki
- Rozdział XXVII. Poddany Stalina za granicą
- Rozdział XXVIII. Uciekinier od niesprawiedliwości
- Posłowie

Aneks. List otwarty Johna Earla Haynesa
Przypisy

ROZDZIAŁ I

Nocna ucieczka

Każda minuta spędzona w taksówce jadącej na dworzec Union Station tamtej sobotniej nocy zdawała się naładowana niebezpieczeństwem i przeznaczeniem. Nawet ulice i ciemne budynki wyglądały wrogo. W ciągu siedmiu miesięcy pobytu w stolicy jeździłem tą trasą dziesiątki razy, nie zwracając większej uwagi na otoczenie. Ale tym razem było inaczej – tym razem uciekałem.

Amerykańska rodzina, u której mieszkałem w Waszyngtonie, odnosiła się uprzejmie i przyjaźnie do gościa z zagranicy. Kiedy zachorowałem, opiekowali się mną z naturalną i niewymuszoną troską. Nasza znajomość, z początku czysto formalna, przerodziła się w serdeczną więź, której bariera językowa nadawała emocjonujący posmak. Czułem, że okazując życzliwość trawionemu tęsknotą za domem Rosjaninowi, ci dobrzy Amerykanie wyrażają swoją wdzięczność dla wszystkich Rosjan – dzielnych sojuszników, którzy stawiali wówczas czoło niemieckiej nawale na tysiąckilometrowym froncie. Przypisywali mi osobistą zasługę za każde radzieckie zwycięstwo.

Czynsz miałem opłacony za tydzień z góry. Mimo to wyszedłem tamtej nocy z domu bez słowa pożegnania. Po prostu powiedziałem, że wyjeżdżam z miasta i że gdybym nie wrócił do wtorku, mogą wynająć mój pokój. Nie chciałem, aby moi gospodarze wiedzieli o miejscu mojego pobytu i o moim zamiarze ucieczki, gdyby ktoś z radzieckiej Komisji Zakupów wypytywał ich o mnie.

Przez kilka dni w biurach Komisji symulowałem bóle głowy i ogólną niedyspozycję. Tego ranka napomknąłem zdawkowo kilku kolegom, że powinienem „zostać w domu i odpocząć”, więc mogę nie przyjść w poniedziałek. Bardzo się starałem zyskać dodatkowy dzień, zanim moja nieobecność zostanie zauważona.

Po odebraniu marcowej pensji zażądałem rozliczenia wydatków z mojej podróży do Lancaster w stanie Pensylwania i wcześniejszej podróży do Chicago. Wyglądało na to, że wciąż są mi winni trzydzieści dolarów. Nie chciałem dawać najmniejszego pretekstu do oskarżeń, iż powodem mojej ucieczki były jakieś nieprawidłowości finansowe. Zadbąłem również o to, żeby zostawić wszystkie swoje papiery w idealnym porządku, tak aby inni mogli podjąć pracę tam, gdzie ją

przerwałem.

Kiedy wiadomość o mojej ucieczce pojawiła się na pierwszych stronach waszyngtońskich i nowojorskich gazet, niektórzy z moich kolegów z Komisji z pewnością przypomnieli sobie szczególnie ciepły ton, jakim rozmawiałem z nimi tamtej soboty, szczególnie mocny uścisk dłoni, kiedy mówiłem: „No to cześć”. Musieli zdać sobie sprawę, że wtedy właśnie żegnałem się z nimi na zawsze. Nigdy więcej, nawet tutaj, w wolnej Ameryce, żaden z nich nie ośmielił się ze mną spotkać. Podczas wielu miesięcy wspólnej pracy niektórzy z tych ludzi stali się mi bliscy: rozumieliśmy się w pół słowa. Gdybym mógł rozstać się z nimi otwarcie, emocjonalnie, po rosyjsku, ciężar, który przygniatał mi duszę, z pewnością trochę by zelżał.

Była chłodna, bezgwiezdna noc. Dworzec kolejowy wydawał się najeżony niebezpieczeństwami. A jeśli natknę się na któregoś z kolegów, a on podniesie alarm? Z pewnością dwie walizki i samowolna podróż natychmiast wzbudzą jego podejrzenia. Może towarzysz Sierow albo generał Rudienko zorientowali się już w moich planach? Jakby w odpowiedzi na te obawy zauważyłem nagle mundur Armii Czerwonej. Zdrętwiałem z przerażenia. Nasuwając kapelusz głębiej na oczy, chowając głowę w podniesiony kołnierz płaszcza, przemknąłem pod ścianę i odwróciłem się plecami do rodaka.

Ponieważ radzieccy urzędnicy zawsze podróżowali w wagonach sypialnych, zająłem miejsce w zwykłym przedziale osobowym. To zmniejszało ryzyko, że spotkam kogoś znajomego. W pograżonym w półmroku, zatłoczonym, sennym wagonie byłem sam ze swoimi myślami.

Od dłuższego czasu wiedziałem, że ta decydująca chwila jest nieuchronna. Od miesięcy planowałem ucieczkę. Wyglądałem jej jak wyzwolenia z labiryntu hipokryzji i zamętu, w którym błąkałem się przez tyle lat. Miało to być moje zadośćuczynienie za potworności, za które, jako przedstawiciel klasy rządzącej w swoim kraju, czułem się odpowiedzialny.

Ale kiedy ta chwila nastąpiła, nie czułem żadnego upojenia, żadnego powiewu wolności – jedynie bolesną pustkę, w której lęki i wyrzuty odbijały się tak głośnym echem, że nawet śpiący żołnierze i marynarze w zadymionym wagonie musieli je słyszeć.

Odcinam swoje życie od jego korzeni, powiedziałem sobie. Nieodwracalnie. Może na zawsze. Tej nocy przeistaczam się w człowieka bez ojczyzny, bez rodziny, bez przyjaciół. Nigdy więcej nie zobaczę twarzy, nie uściskę dłoni, nie usłyszę głosów bliskich i przyjaciół, którzy są kością z mojej kości i ciałem z mojego ciała. Zupełnie jakby już nie żyli i jakby coś cennego we mnie też umarło. Już na zawsze pozostanie w moim życiu ta straszliwa pustka i bolesna

martwota.

W swoim kraju rodzinnym stanę się wyrzutkiem i pariasem. Reżim polityczny, któremu poświęciłem lata swojego życia wypełnione znojem i wiarą, wyda na mnie wyrok śmierci. Jego tajni agenci bez przerwy będą mnie tropić. Będą śledzić każdy mój krok i czuwać pod moimi oknami, a jeśli otrzymają taki rozkaz, zabiją mnie. A czy Amerykanie, wśród których miałem nadzieję rozpocząć nowe życie, kiedykolwiek zdołają zrozumieć, czym jest dla rosyjskiego komunisty zerwanie z radziecką dyktaturą? Są tak rozkosznie naiwni. Ludzie, którzy ze mną pracowali i przyjaźnili się ze mną, nie mówiąc już o tych, którzy mnie kochali, na zawsze pozostaną napiętnowani i podejrzani. Aby przeżyć, będą musieli się mnie wyrzec i zaprzeczyć, tak jak ja w swoim czasie zaparłem się i wyrzekłem tych, którzy ściągnęli na siebie zemstę państwa radzieckiego.

Czy miałem moralne prawo narażać tych niewinnych zakładników w Rosji, aby uspokoić swoje sumienie i spłacić dług wobec prawdy? To był najokrutniejszy dylemat ze wszystkich. Co mój pobożny dziadek, Fiodor Pantielejewicz, wierny sługa Boga i cara, pomyślałby o moim postępowaniu, gdyby jeszcze żył? Co powiedziałby mój ojciec, ten fanatyczny rosyjski rewolucjonista, gdyby przeżył dwa lata pod niemiecką okupacją?

W tych myślach była przynajmniej jakaś pociecha. Dziadek nigdy nie rozumiał, dlaczego jego syn Andriej, mój ojciec, przeciwstawił się carowi i wielowiekowej tradycji. Ale ponieważ Andriej głęboko wierzył i był gotów iść do więzienia za swoją dziwną nową wiarą, dziadek zawsze kończył wymówki błogosławieństwem. Co się tyczy mojego ojca, chociaż kochał żonę i dzieci, bez wahania naraził nas na głód i łzy, aby służyć swojej sprawie. On by mnie zrozumiał i zaaprobował moją decyzję, co do tego nie miałem wątpliwości.

Była również gorzka pociecha w myśli, że mój brat Konstantin, który zawsze był mi bliski, nie żył – zginął, broniąc naszej ojczyzny przed hitlerowskimi najeźdźcami jako oficer na froncie kaukaskim. Czy zemsta państwa spadnie na samotną i bezradną staruszkę, dopiero co uwolnioną z niemieckiego obozu koncentracyjnego, tylko dlatego że jest moją matką? Czy na kobietę, która przez trzy lata była moją żoną, chociaż nie wiedziała nic o moich politycznych wątpliwościach i o mojej ucieczce?

Te myśli wciąż kołatały mi w głowie, niczym bolesny tam-tam, który rozbrzmiewał coraz słabiej, ale nigdy nie milkł, kiedy o trzeciej rano pociąg przyjechał do Nowego Jorku. Na peronie znowu zobaczyłem rosyjskiego oficera. Niósł walizkę i był najwyraźniej nieświadomy mojej obecności. Mimo to ociągałem się, chciałem zwiększyć dystans pomiędzy nami.

Zameldowałem się pod włoskim nazwiskiem w obskurnym hotelu z dala od centrum miasta – był to jeden z tych hoteli, gdzie za pokój płaci się z góry. Dostałem pokój jakby specjalnie przeznaczony dla samobójców, ciasny, zatechły, przygnębiający. Zamknąłem drzwi. W półświecie jedynej elektrycznej żarówki zacząłem pisać oświadczenie, którego fragmenty ukazały się dwa dni później w amerykańskich gazetach.

Gdyby ktoś obserwował wówczas moje dziwne zachowanie, moje bezsenne noce, moją potajemną ucieczkę z Waszyngtonu, moje odosobnienie w Nowym Jorku, mógłby pomyśleć, że popełniłem jakąś straszną zbrodnię i ukrywam się przed policją. Ale ja nikogo nie obrabowałem ani nie zabiłem. Po prostu postanowiłem rzucić pracę ekonomicznego emisariusza swojego rządu!

Żaden Amerykanin nie zdołałby zapewne zrozumieć, że dla funkcjonariusza totalitarnego reżimu nie ma bardziej przerażającej „zbrodni”. Był to najwyższy akt apostazji wobec ziemskiego boga. Winowajca nie tylko stawał się wyrzutkiem, żyjącym na kredyt, ale nie mógł nawet wymieniać listów ze swoimi najbliższymi. Nosił na czole kainowe piętno. Każdy obywatel radziecki, który by się z nim spotkał lub okazał mu życzliwość, popełniłby polityczne, może nawet fizyczne samobójstwo.

Żaden Rosjanin, zwłaszcza komunista o długim stażu i wysokiej pozycji w biurokratycznej hierarchii, nie podjąłby takiej decyzji lekkomyślnie, pod wpływem nagłego impulsu. Miała ona swoje początki w najgłębszej warstwie świadomości, dojrzewiała powoli, lecz nieodwołalnie. Jej powody nigdy nie znajdują się na powierzchni. Należy ich szukać głęboko w środku, u jądra całej egzystencji człowieka.

W poniedziałek 3 kwietnia 1944 roku porozmawiałem z kilkoma dziennikarzami. Tego samego dnia wieczorem na pierwszej stronie „New York Timesa” ukazała się wiadomość. Ten pośpiech miał ogromne znaczenie, mógł tak naprawdę ocalić mi życie. Gdyby moi zwierzchnicy dowiedzieli się o mojej ucieczce, zanim ogłoszono o niej publicznie, ambasada radziecka w Waszyngtonie niewątpliwie zdyskredytowałaby mnie przed Departamentem Stanu, prawdopodobnie jako niemieckiego agenta, i zażądała mojego aresztowania w celu deportacji do ZSRR. Ale z chwilą, gdy Amerykanie poznali fakty i śledzili rozgrywający się dramat, ambasada została zaszachowana, przynajmniej chwilowo.

„Radziecki urzędnik składa rezygnację” – obwieszczał nagłówek „Timesa”. Artykuł zaczynał się tak:

Oskarżając rząd radziecki o „dwulicową” politykę zagraniczną w odniesieniu do rzekomego pragnienia współpracy ze Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią

i potępiając reżim stalinowski, który nie chce przyznać narodowi rosyjskiemu praw politycznych i swobód obywatelskich, Wiktor A. Krawczenko, urzędnik Radzieckiej Komisji Zakupów w Waszyngtonie, ogłosił wczoraj o swojej rezygnacji i oddał się „pod opiekę amerykańskiej opinii publicznej”.

Pan Krawczenko, który posługuje się paszportem „Przedstawiciela Rządu Radzieckiego”... jest kapitanem Armii Czerwonej, a przed przyjazdem do Stanów Zjednoczonych w sierpniu ubiegłego roku był dyrektorem kilku wielkich zakładów przemysłowych w Moskwie. Wcześniej pracował jako szef wydziału zaopatrzenia przy Radzie Komisarzy Ludowych Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, największej z radzieckich republik związkowych. Jest członkiem rosyjskiej partii komunistycznej od 1929 roku i zajmował wiele ważnych stanowisk ekonomicznych za reżimu radzieckiego.

Pan Krawczenko ze względów patriotycznych nie chciał rozmawiać o sprawach dotyczących prowadzenia wojny przez Rosję Radziecką ani ujawnić szczegółów dotyczących kwestii ekonomicznych, zwłaszcza jeśli mają one związek z funkcjonowaniem lend-lease’u, zarówno w kontekście działalności Radzieckiej Komisji Zakupów jak i w Rosji.

Potem następowały fragmenty długiego oświadczenia, nad którym trzymałem się przez całą niedzielę. Zostało napisane moją serdeczną krwią, ale jej kolor nie przebijał spod farby drukarskiej. Obywatele wolnego kraju nie mają w swoich osobistych doświadczeniach niczego, dzięki czemu mogliby zrozumieć moje postępowanie. To, co w najwyższym stopniu tragiczne, musi im się wydawać po prostu dziwaczne.

W oświadczeniu próbowałem wyjaśnić narodowi amerykańskiemu, swoim towarzyszom w kraju i przyjacielom w komisji waszyngtońskiej, dlaczego zdecydowałem się na ten straszny krok. Ale im dłużej pisałem, przekreślałem i poprawiałem, tym bardziej beznadziejne wydawało się to zadanie. W żadnym języku nie ma słów mogących podsumować całe życie.

Moja decyzja zerwania z reżimem radzieckim - równoznaczna z osobistym wypowiedzeniem wojny wszystkim państwom policyjnym - nie była przypadkowa. Wynikała ze wszystkiego, czym byłem, co myślałem i czego doświadczyłem. W tym sensie była to nie tyle decyzja, nie tyle akt woli, ile logiczne i nieuchronne zwieńczenie długiego procesu.

Aby to wyjaśnić, muszę sięgnąć wstecz, do pragnienia sprawiedliwości, którym przepełnione było moje dzieciństwo nad brzegami Dniepru; do tęsknoty za wolnością, która wzbierała w chłopięcym sercu, kiedy rewolucja przetaczała się przez miasta i stepy Ukrainy; do entuzjazmu komsomolca, a później dorosłego członka partii komunistycznej; do wątpliwości, rozczarowań i podejmowanych rok po roku rozpaczliwych prób, by umocnić słabnącą wiarę upartymi iluzjami.

Aby to wyjaśnić, muszę opowiedzieć o całym swoim życiu, a także o życiu Rosji, ponieważ wiąże się ono z moim.

ROZDZIAŁ II

Rosyjskie dzieciństwo

Dla trzech synów Andrieja Fiodorowicza Krawczenki – z których ja byłem drugim, młodszym od Konstantina i starszym od Jewgienija – rewolucja 1905 roku miała znacznie głębszy wymiar niż zwykłe doświadczenie osobiste. Jarzyła się kolorem romantyzmu i nawet w klęsce była wzniosła i promienna. Zawierała w sobie, niczym w muzealnej gablocie, idealne przykłady heroizmu, koszmaru, idealizmu i poświęcenia, które stały się miernikiem tych wartości w późniejszym życiu.

Co prawda, była to dosyć ograniczona rewolucja, zawężona nie tylko do miasta Jekaterynosławia, ale do wieców i walk, w których uczestniczył mój ojciec. Wielkie nazwiska, które miały zapisać się w historii, po raz pierwszy przemknęły po niebie Rosji w 1905 roku. Ale sama historia nie mogła współzawodniczyć z naszym wewnętrznym przekonaniem, że prawdziwym przywódcą i bohaterem powstania był nasz energiczny i przystojny ojciec, szczupły i silny, z ciemnymi kędzierzawymi włosami i połyskującymi niebieskimi oczami.

W naszych naiwnych rojeniach z pewnością było kilka ziaren prawdy. Rewolucję zapoczątkował strajk generalny, a strajk kolejarzy był początkiem i pozostał jądrem strajku. Mój ojciec, który pracował w warsztatach kolejowych w Jekaterynosławiu, działał w Komitecie strajkowym, znajdował się w największym ogniu beznadziejnej walki i po klęsce drogo zapłacił za swoje zaangażowanie.

Za swoich młodych lat słuchaliśmy opowieści o tych wydarzeniach tak często, że zdawało nam się, jakbyśmy sami brali w nich udział. Opowiadano nam nie tylko o tym, co się działo, ale również dlaczego się działo. Nie musiałem się uczyć nienawiści do samowładztwa ani umiłowania wolności, sprawiedliwości, równości. Przyjąłem je tak naturalnie, jak moi koledzy przyjmowali szacunek dla mundurów i władzy.

Rewolucyjne wydarzenia 1905 roku, wspomniane przez mojego ojca i jego przyjaciół, tak mocno wyryły się w moim umyśle, że jeszcze dzisiaj słyszę łoskot podków kozackich koni tratujących robotników i kobiety w naszym mieście. Żaden dźwięk z dzieciństwa nie rozbrzmiewa tak wyraźnie w mojej pamięci jak straszny świst szabel i nahajek. Chowam

się za barykadami z przewróconych wozów, mebli, wyrwanych z bruku kamieni, podkładów kolejowych; wokół mnie padają i jęczą towarzysze; potem zalewają nas fale atakujących z furją kozaków. Biegnę płataniną ulic i zaułków dzielnicy robotniczej, ścigany przez kozaków i żandarmów w wietrzną noc. Potem zapada martwa cisza. Ciały leżą rozciągnięte groteskowo, a czerwone kałuże rozlewają się powoli na śniegu jak atramentowe kleksy na bibule...

Gdyby w tamtą październikową noc złapano mojego ojca, zostałyby powieszony jako buntownik wraz z innymi członkami komitetu strajkowego. Zanim uciekł, nie mógł się oprzeć pokusie, żeby po raz ostatni zobaczyć żonę, Konstantina i babuszkę, matkę mojej matki, która zawsze z nami mieszkała. W środku nocy przekradał się bocznymi uliczkami, kryjąc się w głębokich cieniach, od domu do domu, aż dotarł na Kanatną 8 przy Prospekcie Puszkina, gdzie mieszkaliśmy.

Serce w nim zamarło. Wszystkie światła w domu były zapalone i słyszał dochodzące ze środka odgłosy krzątania. Nie miał wątpliwości: policja przeszukiwała mieszkanie. Mimo to nie mógł się wycofać, nie spojrzawszy po raz ostatni na dom i rodzinę, której mógł już więcej nie zobaczyć. Podpełzł do okna, uniósł się ostrożnie i zajrzał do środka.

Wtedy uświadomił sobie, że się mylił. Słyszając jego delikatne pukanie, babcia otworzyła drzwi i gestem nakazała mu ciszę. Ruszył w stronę sypialni, ale go powstrzymała. „Tania śpi – powiedziała. Potem z uśmiechem dodała: – Tak, następny chłopiec”. Weszła do sypialni i niebawem wróciła z małym zawiniątkiem, które mój ojciec wziął w ramiona.

Była to noc moich narodzin – noc śmierci na barykadach, karabinowych wystrzałów, zakrwawionych szabel i krzyków bólu w płataninie nędznych uliczek.

Nagle zacząłem wrzeszczeć tak donośnie, że aż obudziła się moja matka. „Posłuchajcie go, buntownik!” – powiedział cicho mój ojciec. Od tamtej pory zawsze w chwilach czułości nazywał mnie Buntownikiem; kiedy byłem już dorosłym mężczyzną zaangażowanym w sprawę zwycięskiej rewolucji, czasami wymawiał to przezwisko z ironiczną intonacją, która bolała mnie bardziej, niż podejrzewał.

Leżałem otulony pomiędzy nimi w tych pierwszych godzinach swojego życia, podczas gdy ojciec żegnał się tkliwie z żoną. Nikt nie zdołał mnie przekonać samą logiką, że nie słyszałem jego słów otuchy, że nie widziałem, jak zasypywał jej dłonie pocałunkami, że nie widziałem oczami ojca bladego piękna twarzy młodej matki na stercie śnieżnobiałych poduszek.

W pierwszych latach mojego życia ojciec był dla mnie cudownym obcym przybyszem. Nigdy nie przebywał na wolności dostatecznie długo, byśmy zdążyli do niego przywyknąć tak jak inne dzieci z naszej ulicy do swoich ojców. Najbardziej ekscytujące były jego wizyty podczas ucieczek. Czekałem na nie, jakby stanowiły część cyklu egzystencji, tak jak kolorowe jajka wielkanocne i świąteczne choinki.

Stworzyłem sobie jego portret z przypadkowych wypowiedzi i fragmentów. Z czułych słów matki i babuszki, z nagłych obaw o jego bezpieczeństwo, ze strzępów szeptanych rozmów jego rewolucyjnych towarzyszy. Ludzie poszukiwani przez policję często ukrywali się w naszym domu; studenci w mundurach i z ascetycznymi twarzami; wynędzniali, brodaci mężczyźni z tajemniczego i straszego świata nazywanego Syberią. Ci przelotni goście i ich opowieści o ucieczkach z więzienia, przekupnych urzędnikach i przebraniach również stanowiły część romantycznego obrazu mojego ojca.

Konstantin, który był o półtora roku starszy ode mnie, przynosił mi każdy okruch informacji.

- Musimy pamiętać, Witiu - mawiał z powagą - że tata nie jest rabusiem ani mordercą. Jest „politycznym”.

- Tak, Kotia - odpowiadałem ze zrozumieniem.

Jedna świąteczna noc - moje trzecie Boże Narodzenie - utkwiała mi w pamięci z najdrobniejszymi szczegółami. Niczym kartka w albumie, którą często otwieram z uczuciem smutku.

Babuszka budzi nas z głębokiego świątecznego snu. Widzę nowe zabawki rozrzucone na podłodze sypialni.

- Chodźcie, gołąbeczki, i pożegnajcie się ze swoim biednym ojcem - mówi przez łzy.

W swoich długich nocnych koszulach, zaspani i oszołomieni, trzymamy za rękę babcię, kiedy prowadzi nas do salonu. Mrużę oczy z powodu świateł i zgromadzonego tłumu. Jest tam jeden przyjaciel rodziny, pozostali to nieznajomi w mundurach.

Świeczki wciąż się palą na świątecznej choince, ale teraz mama płacze bezgłośnie, pakując walizkę. Babuszka prowadzi nas do świętej lampki pod ikoną. Klękamy tam z nią, a ona mamrocze modlitwę i dotyka czołem podłogi. Mężczyzna, o którym wiem, że jest moim ojcem, podnosi mnie, ściska mocno i wielokrotnie całuje. Ale tej nocy wygląda obco bez brody i wąsów. Bierze w ramiona Kotię i jego też całuje. Potem babcia wyprowadza nas z pokoju.

Przy drzwiach - i to zapamiętałem wyraźniej niż jakikolwiek inny szczegół - płacze bez skrępowania ogromny brodaty żandarm; wielkie łzy spływają w jego sumiaste wąsy.

Później dowiedziałem się, że ojciec, który się ukrywał, postanowił odwiedzić rodzinę w wigilię Bożego Narodzenia. Policja, wiedząc

z doświadczenia, że zbiegowie ryzykują czasem aresztowanie, żeby być ze swoimi najbliższymi w wielkie święta, zrobiła obławę na nasz dom. Kiedy przeszukiwali mieszkanie, dali buntownikowi godzinę na spakowanie rzeczy, zanim go zabrali.

Album mojego dzieciństwa otwieram też często na innej stronie:

Pewnego wieczoru, kiedy siedzimy przy kolacji, przychodzi wysoki, przystojny student. Matka nalewa mu herbatę z błyszczącego samowara, a ja orientuję się z drżenia jej rąk i dźwięczenia szkła, że młody człowiek ma do powiedzenia coś ważnego.

Wszystko jest przygotowane do ucieczki z więzienia tej nocy, mówi. Jeśli nie nastąpią żadne komplikacje, Andriej Fiodorowicz powinien być w domu przed północą. Ale będzie mógł zostać tylko kilka minut. Matka musi mu przygotować trochę rzeczy na drogę. W Jekaterynosławiu czeka na niego kryjówka, a także doskonałe dokumenty.

Niestety, zanim zdążyliśmy poznać zakończenie tej emocjonującej historii, kazano nam iść spać.

Następnego dnia matka i babuszka nieustannie pocieszały się nawzajem i tylko trochę więcej płakały. Wysoki student, z twarzą ściągniętą bólem, przychodził kilka razy z nowinami.

Plan masowej ucieczki z jekaterynosławskiego więzienia nie powiódł się. Najwyraźniej gdzieś musiał być prowokator. Kilku strażników i wielu więźniów zginęło podczas walki. Chociaż w trakcie wielotygodniowych przygotowań udało się przemycić trochę noży i rewolwerów, bunt został bez trudu stłumiony. Masakra więźniów politycznych tamtej nocy była później ważną rocznicą w historii rewolucji rosyjskiej.

Ojciec został pobity prawie na śmierć. Do końca swoich dni z dumą nosił blizny. Przebywał w więziennym szpitalu, a po wyzdrowieniu miał prawdopodobnie stanąć przed sądem wraz z innymi prowodyrami. To mogło oznaczać katorgę – ciężkie roboty na Syberii – albo nawet szubienicę...

Kilka miesięcy później student zjawia się ponownie. Tym razem towarzyszy mu smukła i bardzo piękna dziewczyna. Zdenerwowana matka ubiera nas ciepło. „Jeśli będziecie grzeczni, zobaczycie tatę” – mówi.

Przed naszymi drzwiami stoją dwa powozy. Student z dziewczyną wsiadają do jednego, my do drugiego. Ich powóz rusza pierwszy, a my podążamy za nimi w dyskretnej odległości szerokim Prospektem Puszkina. Niebawem naszym oczom ukazuje się ponure stare więzienie w sercu miasta. Przed jedną z baszt pierwszy powóz zatrzymuje się na chwilę – to sygnał – po czym odjeżdża. Kiedy nasz powóz dociera w to samo miejsce, woźnica zsiada z kozła i szarpie się z uprzężą.

Oczy matki płoną z podniecenia. „Tam, tam, to wasz ojciec” – szepcze,

wskazując na okno w baszcie. Bardzo się staram coś zobaczyć, ale widzę tylko niewyraźną postać w jednym z zakratowanych okien, powiewającą chusteczką. Mężczyzna kiwa nam głową, która jest ogolona i błyszczący. Po policzkach matki płyną strumieniem łzy, a Kotia krzyczy: „Tato! Tato!”. Potem woźnica wsiada i strzela z bata, a koń rusza kłusem. Matka ogląda się i macha, dopóki baszta nie znika z pola widzenia.

Student i dziewczyna czekają na nas w umówionym miejscu w parku. Student całuje matkę w rękę, bierze nas w swoje silne ramiona i napełnia nam kieszenie cukierkami. Piękna dziewczyna też jest dla nas bardzo czuła. Wszystko razem wzięwszy, jest to pamiętny dzień, smutny, ważny i emocjonujący. Często, kiedy jestem sam i boję się, myślę o tamtym dniu i to mnie podnosi na duchu.

To był cud, że ojciec nie został powieszony ani zesłany na Syberię, powtarzała często babuszka, spoglądając na ikonę i żegnając się. Więźniów oczekujących na wyrok śmierci przetrzymywano w tej właśnie baszcie i nie pozwalano im przyjmować wizyt. Ale z jakiegoś powodu ojcu zamieniono karę na zwykłe więzienie.

Byłem za mały, żeby się zastanawiać, jak rodzina Krawczenków zdołała przeżyć, skoro jej żywiciel przebywał za kratami. W tym czasie urodził się Jewgienij. Trochę pomagali nam towarzysze ojca. Kilku ludzi z warsztatów kolejowych przynosiło prezenty. Czasami kury, kaczki, owoce i jarzyny przychodziły z Aleksandrowska, gdzie mieszkali moi dziadkowie ze strony ojca. Nie widziałem nic dziwnego w tym, że matka wiecznie szyje ubrania dla obcych ludzi, nawet gdy nasze rzeczy wymagają naprawy.

Pewnej nocy – miałem wówczas sześć lat – nie mogłem zasnąć. Podkradłem się do drzwi, otworzyłem je ostrożnie i zajrzałem do środka. Zobaczyłem matkę z głową pochyloną nad szyciem w kręgu światła lampy naftowej. Kiedy myślę o niej dzisiaj, po latach, czasem widzę ją taką jak tamtej nocy, w świetle lampy, ze smutną twarzą i błyszczącymi włosami.

- Dlaczego nie idziesz do łóżka, mamusiu? – spytałem.

- Nie jestem zmęczona – uśmiechnęła się. – Ale dlaczego ty nie śpisz? Nieważne; chodź tutaj, synku. Chcę z tobą porozmawiać.

Przegryzła nitkę, odłożyła szycie i wzięła mnie na kolana.

- Jesteś dobrym i mądrym chłopcem – powiedziała. – Na pewno zrozumiesz... jeśli nie teraz, to później, kiedy dorośniesz. Nie jest łatwo wykarmić tyle osób, nawet gdy pracuję do późnej nocy. I trzeba posyłać paczki twojemu ojcu.

- Będzie nam trochę łatwiej, Witia, jeśli zamieszkas z dziadkiem Fiodorem Pantielejewiczem w Aleksandrowsku. On i twoja druga babuszka, i ciocia Szura bardzo cię kochają. Będziesz chodził do szkoły,

a my będziemy cię często odwiedzać. Ciocia Szura przyjedzie jutro po ciebie. A teraz idź spać.

Obcesowo zdjęła mnie z kolan, ale ja wiedziałem, że płacze.

3

Aleksandrowsk - przemianowany po rewolucji na Zaporozże - był czystym, cichym prowincjonalnym miastem. Życie płynęło tam leniwie i, jak się wydawało, wiecznie pomiędzy szerokim i spokojnym Dnieprem a gęsto zalesionymi przedmieściami. Chociaż w mieście działało kilka cegielni, zakładów metalowych i innych manufaktur, nadal było ono ściśle związane z ukraińską ziemią. Większość rodzin miała ogródki warzywne i sady owocowe. Niemal po wszystkich podwórkach, takich jak to, które stało się ośrodkiem mojego nowego życia, biegały kury, kaczki, gęsi i świnie.

Dla żywego sześciolatniego chłopca, po miejskim Jekaterynosławiu, było to miejsce niebywale ekscytujące. Sklepy nasienne tchnęły korzennymi zapachami, które przez resztę mojego życia miały wywoływać nostalgię. Patrzyłem na snopy iskier w kuźniach, obserwowałem pracę mężczyzn i kobiet, którzy uwijali się przy dymiących ceglanych piecach.

W dni targowe główna ulica wypełniała się chłopskimi wozami, mężczyznami w waciakach lub baranich kożuchach i kobietami w obszernych spódnicach jak nasza lalka do przykrywania imbryczka w domu. Bosonogie chłopskie dzieci spoglądały lękliwie na miejskich chłopców. Na skraju Aleksandrowska rozciągały się wielkie gospodarstwa warzywne Bułgarów, a dalej, w lasach, Cyganie rozstawiali swoje barwne tabory, rozbijali namioty i palili ogniska do późnej nocy.

Chociaż mieszkało tam kilka rodzin ubogich i kilka zamożnych, takich jak Szczekatchinowie w swojej rezydencji z czerwonym dachem, mieszkańcy Aleksandrowska nie byli ani bardzo biedni, ani bardzo bogaci. Miasto szczyliło się dwoma kinoteatrami; starzy wieśniacy, widząc po raz pierwszy postacie poruszające się na ekranie, zegnali się na wszelki wypadek przed takim diabelstwem. W ciągu pięciu lat, kiedy tam mieszkałem, trupa teatralna z Kijowa lub Odessy przyjechała kilka razy na tygodniowe występy. Ale żonglerzy i akrobaci, kuglarze i ubrani z cudzoziemska ludzie z tresowanymi niedźwiedziami często gromadzili tłumy w miejskim parku.

Krawczenkowie - dziadek Fiodor Pantielejewicz, babcia Natalia Maksimowna i ich córka Szura - żyli prosto, lecz dostatnio za skromną emeryturę oraz czynsz z dwóch spośród ich trzech małych domów. Zarabiali również kilka rubli miesięcznie na swojej studni. Za przywilej

czerpania z niej wody sąsiedzi wrzucali drobne monety przez otwór w żelaznej skrzynce.

Dziadek trzymał klucz od skrzynki, ale ciocia Szura, dzięki długoletniej praktyce, była mistrzynią w wyciąganiu stamtąd kopiejek na dodatkowe wydatki, wykraczające poza spartańskie wyobrażenia swojego ojca. Jej mały bratanek z Jekaterynosławia został niebawem wtajemniczony w sekret i miał z tego powodu poczucie winy, ale nie potrafił odmówić udziału w łupach. Za trzy kopiejki pomagałem cioci w cotygodniowym szorowaniu podłogi – wystarczyło to na kino i lizaka – i trzymałem się na uboczu, kiedy przychodził jej adorator.

Nasz ogród i niewielki sad dostarczały warzyw, owoców i melonów na cały rok, nie wspominając już o fascynującej baterii słoików z konfiturami, z której babuszka czerpała uzasadnioną dumę. Czas robienia konfitur zapisał się niezatarte w mojej pamięci – miedziane miski wypełnione soczystymi owocami, zapach gotującego się syropu cukrowego, cudowne wieczory, podczas których dryłowaliśmy wiśnie, dopóki ręce nie zabarwiły się głęboką czerwienią.

Fiodor Pantielejewicz, w czasie, kiedy u niego zamieszkałem, dobiegał osiemdziesiątki. Był mężczyzną średniego wzrostu, silnym, szerokim w ramionach i przekonanym o swojej ważności, z nieskazitelnie białą brodą i wydatnym brzuchem. Walczył na wojnie rosyjsko-tureckiej w 1878 roku pod rozkazami generała Skobielewa i po wieloletniej służbie przeszedł w stan spoczynku jako podoficer. Natalia Maksimowna, mniej więcej dwanaście lat młodsza od męża, była schludną, łagodną starszą panią, z błyszczącymi jasnymi oczami i poczuciem humoru, które zbijało z tropu dziadka. Traktowała nas wszystkich, łącznie ze swoim mężem, jak dzieci, które trzeba rozśmieszać i zabawiać.

W długie zimowe wieczory, kiedy polana trzeszczała w wielkim bielonym piecu, a płomienie w otwartych drzwiczkach tworzyły dziwne wzory na podłodze, Fiodor Pantielejewicz lubił snuć opowieści o Turkach i Kurdach, o bitwach i niespodziewanych atakach. Zwłaszcza w obecności starych kolegów opowiadał o swoich walecznych czynach, które raczył zauważyć sam Ojczulek w dalekim Sankt Petersburgu. Podczas każdej kolejnej opowieści czyny te były bardziej bohaterskie.

- Jak to cudownie – mówiła lekceważąco babuszka – jeździć konno, podkręcać węża i strzelać do Turków. Jakby to wymagało jakiegokolwiek inteligencji!

W niedziele i święta Fiodor Pantielejewicz przywdziewał swój wspaniały mundur, błękitny z połyskującymi mosiężnymi guzikami i białymi lampasami na obszernych kawaleryjskich bryczesach wpuszczonych w wysokie buty. Pucował te buty, dopóki nie lśniły jak lustra, przypinał do piersi medale i krzyże i rozpościarał nad nimi swoją

brodę niczym sztandar. Tak wyszykowany, ujmował moją małą rączkę w swoją wielką stwardniałą dłoń i szliśmy do cerkwi. W całym Aleksandrowsku nie było dumniejszego chłopca i wydawało mi się najzupełniej właściwe, że skromniejsi mieszczanie uchylają z szacunkiem kapeluszy i pytają o zdrowie babuszki.

Dziadek był nie mniej dumny niż jego wnuk, chociaż jego spartański kodeks nie dopuszczał żadnych sentymentów. „Chłopiec Andrieja” – mówił z wystudiowaną obojętnością. Nie było dla nikogo tajemnicą, że pierworodny dziadka, Andriej, jest aresztantem, przestępcą, ale sąsiedzi nie wspominali o tym w jego obecności. Było to jedno z tych nieszczęść, jakimi Bóg mógł doświadczyć każdego ze swoich pokornych sług. Fiodor Pantielejewicz kochał Andrieja, a nawet go podziwiał, ale zwyczajnie nie potrafił pogodzić tęgiej głowy i „dobrej krwi” mojego ojca z jego bluźnierstwami przeciwko carowi. Przypisywał to, w jakiś mglisty sposób, czytaniu książek i upadkowi bojowego ducha w Rosji.

- Przez całe życie byłem dobrym żołnierzem – lubił perorować – i tak dożyję swoich dni. Pracuję, oddaję cześć Bogu i nie skarżę się. Ale czego chce Andriej? Niech mnie diabli, jeśli wiem!

Babcia i Szura, wiedząc, że takie słowa mnie ranią, próbowały go uciszyć.

- Andriej jest wykształconym człowiekiem, rozumie świat, nie tylko Turków i Kurdów – mówiły.

- Być może, być może – zgadzał się ponuro Fiodor Pantielejewicz, dodając na mój użytek: - Andriej siedzi w więzieniu, to prawda, ale nie za kradzież czy zabójstwo, tylko za politykę. To różnica.

W listach od mamy, które ciocia Szura czytała mi na głos, zanim nauczyłem się czytać, zawsze były jakieś wieści o ojcu. W takich razach Fiodor Pantielejewicz czasami się zapominał i wypowiadał gorzkie słowa pod adresem swojego upartego syna. Przy jednej z takich okazji tak się rozzłościłem, że krzyknąłem i w ślepej furii ugryzłem dziadka w rękę. Zamiast mnie zbić, czego się spodziewałem, próbował mnie uspokoić, wziął mnie łagodnie w ramiona i wyraził zadowolenie, że bronię ojca.

- W twoich żyłach płynie moja krew – powiedział. - My, Krawczenkowie, jesteśmy lojalni.

Od czasu do czasu spędzałem niedziele z przyjacielem ojca, metalowcem, którego nazywałem wujkiem Mitia. Czułem się tak, jakbym był w domu z tatą, a do tego dochodziła ekscytująca obecność trzech ładnych i psotnych dziewczynek. Wszystkie trzy wyrosły na atrakcyjne kobiety, które w późniejszym życiu były mi tak bliskie jak rodzina.

Wujek Mitia mówił o wolności i sprawiedliwości i o rodzącym się lepszym świecie, zupełnie jak ojciec. Często czytał nam powoli książki Hercena, Gorkiego i Tołstoja. Głos miał uroczysty, tak jak dziadek

czytający Pismo Święte. Ale najbardziej lubiłem poranki, kiedy wujek Mitia budził mnie przed świtem, żeby pójść na polowanie. Po męczącym dniu w lesie wracałem z jego strzelbą na ramieniu i torbą zajęcy albo dzikich kaczek, tak dumny jakbym sam je ustrzelił.

Dziadek wolał łowić ryby. Dniepr był jego drugim domem. Kiedy nasza łódź sunęła po gładkiej powierzchni rzeki, a my czekaliśmy, aż ryba chwyci przynętę, znowu opowiadał mi moje ulubione historie, w których Turcy ginęli tysiącami, a Rosjanie, zwłaszcza Ukraińcy i Kozacy, zawsze dokonywali odważnych czynów i zdobywali łupy. Bez cierpkich docinków żony, które powściągały jego wyobraźnię, opowieści stawały się jeszcze bardziej porywające.

Kiedy słońce wspięło się wyżej, przywiązywaliśmy łódź w kępie drzew na brzegu, zdejmowaliśmy ubrania i pływaliśmy, rozpryskując i kopiając wodę w czystej radości, na chwilę zapominając, że dzieli nas trzy czwarte stulecia. Zmęczeni, ale tryskający energią i tak głodni, że aż nas skręcało, wracaliśmy do domu, przynosząc dzienny połów, a babcia Natalia Maksimowna smażyła ryby na podwórzu. Zwykle starczało nie tylko dla nas, lecz także dla ulubionych przyjaciół oraz następnego dnia na jedno z tych dań rybnych, które jedynie babcia potrafiła przyrządzać.

W domu Krawczenków w Aleksandrowsku panował półwojskowy reżim, łagodzony przez cywilną delikatność babuszki. Dla jej męża praca nie była po prostu koniecznością, lecz obowiązkiem, jak chodzenie do cerkwi, palenie lampki pod ikonami i dawanie chleba żebrakom. Kładliśmy się spać wcześniej i wstawaliśmy razem ze słońcem do pracy w ogrodzie, w sadzie i przy inwentarzu. Nawet w dni szkolne musiałem odrobić swoją normę przed śniadaniem; była to kwestia dyscypliny, lekcji, choć bym nie wiem jak ciężko trudził się nad nimi, dziadek nie uważał za prawdziwą pracę. Nauczył mnie myć się pod gołym niebem w każdą pogodę, w lodowatej wodzie, „jak mężczyzna i żołnierz”. Uczył mnie znosić ból bez słowa skargi i zahartował na upał i zimno.

Dziadek ukarał mnie tylko raz, kiedy w wieku siedmiu lub ośmiu lat poszedłem na własną rękę do fryzjera, żeby ściął mi loki. Tę przedwczesną manifestację męskości umożliwiły kopiejki Szury. Gdy wróciłem do domu w chmurze silnie pachnącej pomady do włosów, dziadek wpadł w pasję. Kara odpowiadała zbrodni. Wziął wielką parę nożyc do strzyżenia owiec i, na oczach sąsiadów i kolegów, zniweczył wysiłki fryzjera, po czym przy użyciu mydła i wody zmył fircykowate wonie z wystrzępionego krajobrazu mojej głowy.

W szkole powszechnej zawarłem przyjaźnie, z których wiele, o dziwo, przetrwało do wieku dojrzałego. Godziny w szkole bardzo się dłużyły i zawsze zadawano nam lekcje do odrobienia w domu. Kary cielesne za niedbalstwo i nieuwagę były rzeczą naturalną i uchodziły

za niezbędny składnik chłopięcej edukacji.

Na szczęście robiłem szybkie postępy w nauce. Tylko lekcje religii, prowadzone przez starego ojca Maksima, który mamrotał w swoją brodę, sprawiały mi trudność. Kazał nam recytować z pamięci długie i niezrozumiałe modlitwy w języku staro-cerkiewno-słowiańskim, a jeśli się pomyliliśmy, co zdarzało się niemal wszystkim, wymierzał karę zgodnie z ustalonym rytuałem. Ulubiony uczeń ojca Maksima, ospowaty Kuzia, przygotowywał trzcinkę; winowajcy klękali w szeregu, a Kuzia metodycznie opuszczał trzcinkę na ich pośladki, podczas gdy pop liczył razy. Z pewnością miało to zbawienny wpływ na nasze dusze, choć nie poprawiało naszego staro-cerkiewno-słowiańskiego. Oczywiście po szkole regularnie zaczajaliśmy się na Kuzię i odpłacaliśmy mu z nawiązką – to też należało do rytuału.

Innym obiektem naszych chłopięcych okrucieństw był młody Szczekatichin, syn i spadkobierca najbogatszego człowieka w mieście. W odróżnieniu od reszty z nas, którzy drogę do szkoły pokonywaliśmy pieszo, Nikoła przyjeżdżał pięknym powozem pod eskortą, nosił aksamitne marynarki, nakrochmalone kołnierzyki i kamasze z błyszczącymi guzikami. Co więcej, lubił pobrzękiwać monetami w kieszeni. Oczywiście takie występki nie mogły pozostać bez kary. Czasami udawało mu się nas przekupić miedziakami i cukierkami, ale często, muszę przyznać, przyjmowaliśmy łapówkę, a później i tak spuszczaaliśmy mu lanie.

Pomimo panującego w szkole surowego rygoru, chodziliśmy na wagary i folgowaliśmy sobie w dziecięcych psotach. Pewnego razu – pamiętam to wyraźniej niż prawdziwe tragedie w latach późniejszych – postanowiliśmy z kolegą złupić gospodarstwo warzywne na przedmieściach. Napchaliśmy sobie kieszenie młodymi ogórkami i zajadaliśmy się pysznymi świeżymi melonami, gdy nagle dopadł nas ogromny Bułgar. Nie zbił nas – wygłosił tylko wykład o zgubnych skutkach złodziejstwa i kazał nam zdjąć spodnie. Potem dał każdemu z nas po kilka ogórków i odesłał nas bez spodni z powrotem.

Czekaliśmy kilka godzin na zapadnięcie zmroku. W ciemnościach, bocznymi ścieżkami, aby się na nikogo nie natknąć, ruszyliśmy w drogę do domu. Wstyd ciągnął się za nami jeszcze długo, a śmiech, jaki wzbudził w mieście ten incydent, palił boleśniej niż trzcinka czy skórzany rzemień.

Wzdragam się dzisiaj na myśl o tym, jak uprzykrzaliśmy życie bardziej napuszonym nauczycielom. Ale wychudzonego, krótkowzrocznego Awiericzowa, który uczył nas rosyjskiego, wyłączyliśmy spod naszych drobnych prześladowań. Był on niemal archetypem rosyjskiego inteligenta – poważnym, natchnionym, elokwentnym i trochę bezradnym. Oczywiście miał głębokie, fanatyczne i potrafił sprawić, że lekcje literatury

rosyjskiej stawały się pasjonujące nawet dla małych chłopców. Po latach, podczas służbowej wizyty w Zaporozżu, dowiedziałem się, że Awiericzow zginął podczas rewolucji.

Małym chłopcom z dobrych rodzin nie wolno było zadawać się z Cyganami, ale mimo to często do nich chodziłem. Zaprzyjaźniwszy się z cygańskim chłopcem imieniem Sajdeman, stałem się niemal członkiem klanu. Raz, kiedy ślizgaliśmy się po zamarzniętym Dnieprze, lód nagle załamał się pode mną. Sajdeman rzucił się do lodowatej wody i wyciągnął mnie. To scementowało naszą przyjaźń.

Wielokrotnie udawało mi się pod takim czy innym pretekstem wyjść z domu i pobiec do cygańskiego obozu. Siadywałem przy ich ogniskach, słuchałem ich pieśni i obserwowałem z ciekawością dziwne zwyczaje tych przyjacielskich i zawsze radosnych ludzi. Za kilka kopiejek Cyganki przepowiadały mi przyszłość. Nieodmiennie zapewniały mnie, że kiedy dorosnę, będę bogaty, przystojny i sławny; moje życie będzie skrawkiem nieba wysadzonym drogimi kamieniami, w którym będą płynąć rzeki miodu, i będę je dzielił z piękną damą, czasem blondynką, czasem brunetką.

W cygańskim obozie miał się odbyć ważny ślub i od tygodni czyniono wielkie przygotowania. Sajdeman nalegał, żebym przyszedł, a ja bardzo tego chciałem. Ale jak wieczorem wymknąć się z domu? W rozpaczę zwierzyłem się dziadkowi. Z początku się rozzłościł, ale kiedy mu opowiedziałem, jak Sajdeman uratował mi życie, rycerskość wzięła górę nad wyższością rasową. Nie tylko pozwolił mi pójść, ale zapowiedział, że mnie odprowadzi.

Dziadek przywdział na tę okazję swój mundur, uczesał włosy staranniej niż zwykle i przyniósł kilka drobnych podarunków, z takim skutkiem, że stał się honorowym gościem na ceremonii. Moje akcje u Cyganów skoczyły pod niebo. Młodzi i starzy włożyli na ślub swoje najbarwniejsze stroje i najbardziej połyskujące klejnoty; skrzypce i gitary grały wesołe i tęskne melodie do późnej nocy. Słowem, doświadczenie to wyryło się na zawsze w moim sercu i sprawiło, że od tamtej pory zawsze współczułem ludziom, którzy nie zetknęli się z cygańskim życiem.

4

Kiedy miałem dziewięć lat, wybuchła pierwsza wojna światowa. Życie wypełniło się nagle podnieceniem i emocjami. Żołnierze, przemówienia, łzy, chwała. Miałem wrażenie, jakby codzienna egzystencja zamieniła się w nieustające święto. Nasi nauczyciele zapominali o lekcjach i wygłaszali patriotyczne tyrady; to znaczy wszyscy z wyjątkiem Awiericzowa. Ojciec Maksim kazał nam odmawiać żarliwe modlitwy

za zwycięstwo. Kobiety płakały i załamywały ręce, kiedy ulicami maszerowali ich synowie i mężowie.

Babuszka też płakała ze współczucia. Ale dziadek wydawał się nowym człowiekiem: bardziej wyprostowany, bardziej żołnierski w komenderowaniu rodziną. Wkładał teraz swój błękitno-biały mundur niemal codziennie, a tydzień bez demonstracji wojennej był dla niego tygodniem straconym. „Ach, gdyby tylko generał Skobielew jeszcze żył, dałby tym Niemcom nauczkę. W końcu nawet Turcy nie mogli się z nim mierzyć!”.

Pewnego dnia w sierpniu 1914 roku, kiedy wróciłem z dziadkiem z wyprawy na ryby, rozległo się pukanie do drzwi. Babuszka poszła otworzyć i usłyszeliśmy jej radosny krzyk, wzruszenie w jej głosie.

- Andriusza! Spójrzcie, kto przyjechał, dzieci, to Andriusza!

Był to rzeczywiście mój ojciec. Schludnie ubrany, w czarnym kapeluszu, a kiedy go zdjął, zobaczyłem, że włosy ma zaczesane do tyłu zgodnie z nową modą. Miał też starannie wypielegnowaną brodę, jak lekarz, nie jak robotnik, o kilka odcieni jaśniejszą niż włosy. Wydał mi się niższy, mniej promienny, niż go zapamiętałem, ale także bardziej przystępny, bardziej jak ojciec. Kiedy ucałował rodziców i siostrę, podszedł do mnie. Z początku długo trzymał mnie w ramionach i przyglądał mi się surowo. Widocznie zdałem egzamin, ponieważ podniósł mnie i uściskał, każąc wszystkim podziwiać, jak dobrze i zdrowo rośnie jego syn. Inni patrzyli na to z wyraźną przyjemnością, jakbym był ich dziełem.

Car ogłosił amnestię dla niektórych kategorii więźniów politycznych. Szczęśliwie objęła mojego ojca, który przyjechał zobaczyć się z rodzicami i z synem. Fiodor Pantielejewicz był uradowany i podekscytowany wizytą. Naprawdę się cieszył. Ale kiedy zasiedliśmy do kolacji, znowu odżyły jego stare urazy wobec syna.

Dziadek wypił szklanekę zimnej wody, przeżegnał się i zaczął jeść. Był to dla nas wszystkich sygnał, by zanurzyć łyżki w talerzach z zupą rybną. Przez jakiś czas dziadek słuchał w milczeniu wymiany rodzinnych nowin. Ale w końcu się odezwał:

- No dobrze, powiedz mi, Andrieju, co to za nonsens? Dlaczego siedzisz w więzieniu jak przestępca? Czego ty chcesz? Nie masz żadnego poczucia obowiązku wobec żony i dzieci?

Ojciec słuchał cierpliwie. Twarz miał chmurną, ale oczy mu płonęły. Jego słowa głęboko zapadły mi w pamięć, a jeszcze bardziej żarliwość kryjąca się za słowami.

- Powiem ci, czego chcę, tato - odparł. - Mam nadzieję, że zrozumiesz, ponieważ cenię sobie twoją opinię. Chcę, żeby ludzie byli wolni i szczęśliwi. Chcę, aby wszyscy ludzie żyli jak istoty ludzkie. Chcę położyć kres politycznemu despotyzmowi i ekonomicznemu

niewolnictwu. Wierz mi, jest mi ciężko, że moi najbliżsi muszą cierpieć. Ale dzięki poświęceniom jednego pokolenia wiele przyszłych pokoleń będzie szczęśliwszych i bardziej cywilizowanych.

- Powinieneś mnie zrozumieć, tato, ponieważ jesteś człowiekiem wierzącym i palisz świeczki swoim ulubionym świętym i męczennikom. Czy oni pozwolili, aby żony i dzieci miały wpływ na wybór, którego dokonali, stawiając dobro ponad złem, cnotę ponad występkiem? Nasza ukochana Rosja jest ciemnym krajem, gdzie ludzie są wyzyskiwani, a wielu jest analfabetami. Ale może się stać i stanie się jasnym krajem, w którym nie będzie panów ani niewolników.

Chociaż mówił do swojego ojca, miałem poczucie, że jego słowa są skierowane do mnie. Dzwoniły mi w uszach jak głos popa podczas nabożeństwa.

- A co się tyczy moich dzieci - zakończył ojciec, teraz patrząc mi w oczy - za krew, którą przelaliśmy, chcę, aby nie tylko one, ale wszystkie dzieci były szczęśliwe.

Dziadek zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

- Nie ma nic złego w tym, co mówisz - powiedział - ale wiele rzeczy mnie zdumiewa. Zawsze służyłem carowi, tak jak mój ojciec, a wcześniej jego ojciec. Ale ty jesteś inny, Andrieju. Widzisz rzeczy pod innym kątem, z odwrotnej strony, że się tak wyrażę. Niech Bóg ci wybaczy, synu, jeśli się mylisz. Ale ponieważ szczerze wierzysz w swoją sprawę, musisz postępować zgodnie ze swoimi przekonaniem, a ja zrobię, co w mojej mocy, żeby pomóc twoim dzieciom, dopóki żyję.

Przez długi czas, zanim usnąłem tamtej nocy, słowa ojca układały mi się w głowie.

Następnego ranka poszliśmy na demonstrację patriotyczną. Ludzie maszerowali, grały wojskowe orkiestry, popi w powiewających szatach błogosławili tłumy, a uliczni kramarze sprzedawali lody, osłodzoną wodę i paszteciki mięsne. Potem ojciec zaprowadził mnie do parku. Usiedliśmy na ławce, jedliśmy lody i rozmawialiśmy.

- A więc, mój synu, znowu się spotykamy - powiedział. - Pamiętasz, jak przyszedłeś z mamą i Konstantinem pod więzienie, a ja machałem do was z wieży śmierci?

Opowiedział mi o więziennym życiu, które, tak jak je opisywał, wydawało się czymś wspaniałym, cierpieniem, które dzięki koleżeństwu i oddaniu sprawie nabierało nowego wymiaru.

- Chcę, żebyś pamiętał o tym przez całe życie. Nigdy nie zapominaj, kim jesteś. Zawsze pozostań wierny walce o wolność. Nie ma życia bez wolności. Niezależnie od tego, co stanie się ze mną, musisz studiować, pracować i walczyć wszelkimi środkami o nasze ideały. Jesteśmy albo świniami, albo ludźmi, a jeśli jesteśmy ludźmi, nie możemy godzić się na to, żeby być niewolnikami. Jeśli moi towarzysze i ja padniemy, nasze

dzieci podejmą nasze dzieło.

Tego wieczoru pojechał do Jekaterynosławia, ale wcześniej kupił mi prezenty i obiecał, że będę mógł przyjechać do domu na Boże Narodzenie.

W następnych miesiącach czas dłużył mi się niemiłosiernie, bo bardzo pragnąłem zobaczyć się znowu z rodzicami i braćmi. Matka pisała radosne listy. Teraz, kiedy tata znowu pracował, nie zajmowała się już szyciem, a wszystko układało się tak dobrze, że, jak napisała, nie poznam naszego domu.

W miarę jak zbliżały się święta, rosło podniecenie wywołane zbliżającą się wizytą. Babcia trudziła się przy swoich konfiturach i ciastach. Zarznięto wielką maciorę, tuczoną specjalnie na tę okazję, i wszyscy byli zajęci gotowaniem wieprzowiny, wędzeniem szynek, mieleniem mięsa i jarzyn i napychaniem nimi grubych kiszek. Wreszcie nadszedł wielki dzień i sanie pełne opatulonych Krawczenków, drewnianych kufców i najróżniejszych tobołków ruszyły na dworzec kolejowy; sąsiedzi machali z peronu ze łzami w oczach, jakbyśmy wyjeżdżali do Ameryki.

W Jekaterynosławiu czekała na mnie cała rodzina. Pocałunki, łzy, okrzyki. Zanim dotarliśmy do domu, lody obcości pomiędzy moimi braćmi a mną zostały przełamane, mówiliśmy więc wszyscy naraz i o wszystkim. Matka nie odrywała ode mnie oczu.

- Jak dobrze wyglądasz, Witiu! Prawdziwy mały mężczyzna! Taki zdrowy i kwitnący! - powtarzała.

Świąteczna kolacja tego wieczoru też znalazła się w moim albumie ze scenami z dzieciństwa. Choinka sięgała sufitu i lśniła jak zielono-złota kopuła cerkwi. Stół uginał się od potraw i napojów. Dzieci przyłączyły się do toastów, pijąc słodkie wino z maleńkich kolorowych kieliszków.

Moja babcia ze strony matki jako najstarsza wygłosiła pierwszy toast.

- Dzięki Bogu, wszyscy jesteśmy żywi, zdrowi i razem - powiedziała. - Życzę wam wszystkim, moje drogie dzieci, tego, czego wy życzyście sobie najbardziej!

Potem wstał ojciec, przystojny i poważny jak zawsze, podniósł kieliszek i powiedział:

- Proponuję, abyśmy wypili za wszystkich tych, którzy dzisiejszego wieczoru siedzą za więziennymi murami. Aby ziściła się ich wiara i moja w lepsze życie!

- Andrieju, nie przy dzieciach! - szepnęła babuszka, ale wypła wraz z innymi.

Przez kilka godzin, siedząc wokół świątecznej choinki, śpiewaliśmy rosyjskie i ukraińskie piosenki ludowe, jak również pieśni rewolucyjne, takie jak *Międzynarodówka* i *Marsylianka*. Gramofon z ogromną tubą był jedną z oznak zamożności rodziny, a dzieci tańczyły w takt

pisikliwych melodii. Pod wpływem wina i nadmiaru wrażeń Jewgienij zasnął, kiedy tata recytował wiersz o poświęceniu i chwale, a chociaż z wyzyna swoich dziewięciu lat śmiałem się z jego siedmioletniej słabości, ja też zasnąłem.

Wróciłem do Aleksandrowska i mieszkałem tam przez kolejne półtora roku, aż do ukończenia szkoły powszechnej w 1916 roku.

Ceremonia rozdania świadectw mocno wryła mi się w pamięć, chociaż przemówienia były nadęte i nudne. Wielki dzień rozpoczął się od mojego pierwszego usankcjonowanego strzyżenia. Gęsta czupryna moich ciemnych włosów obudziła artystę we fryzjerze. Wyszedłem z fryzurą – jej elegancję podkreślał zawadiacki kosmyk nad lewym okiem – która obwieszczała moją męskość. Potem dziadek podarował mi uroczyście szkolny mundur z długimi spodniami. Spełniło się moje wielkie marzenie! Dobrze było mieć jedenaście lat i znaleźć się w centrum uwagi.

Fiodor Pantielejewicz, w swoim mundurze z połyskującymi medalami, wzbudził na ceremonii większe zainteresowanie niż ojciec Szczekaticzina. Babcia wystąpiła w swojej jedynej czarnej jedwabnej sukni, a otaczał ją zapach lawendy i kamfory. Ciocia Szura i wujek Mitia oczywiście też tam byli.

Tego wieczoru czekały na mnie kolejne emocje. Młodszy brat ojca, stryj Piotr, przyjechał nieoczekiwanie z frontu na urlop. Był całkowitym przeciwieństwem mojego ojca – beztroski, pełen radości życia, wesoły i dowcipny. Pomiedzy Piotrem a jego ojcem nie było tego napięcia, które mąciło relacje pomiedzy Fiodorem Pantielejewiczem a jego synem Andriejem. Czuję niejasno, z lekką nutką zazdrości, że Piotr jest tutaj ulubieńcem.

Dowiedziawszy się o moich dobrych stopniach na świadectwie, stryj Piotr błagał mnie, ze śmiechem, lecz na wpół poważnie, abym brał przykład z niego, a nie z wojującego ojca.

- Do diabła, niech inni zbawiają świat, Witia – grzmiał. - Wystarczająco trudno jest zbawić siebie. Żyje się tylko raz i trzeba się tym cieszyć.

Wieczorem przed wyjazdem do domu pozwolono mi pójść do cygańskiego obozu i pożegnać się z przyjaciółmi. Zniosłem kilka prezentów: paczkę tytoniu dla ojca Sajdemana, fajkę dla samego Sajdemana i kolorowe wstążki dla jego sióstr. To też było jak rozstanie z rodziną.

Następnego ranka wróciłem do domu i kilka miesięcy później wstąpiłem do gimnazjum. Nasza rodzina po raz pierwszy była razem. Jewgienij chodził do szkoły powszechnej, a Konstantin był w drugiej klasie gimnazjum. Ponieważ ojciec zarabiał od osiemdziesięciu do stu dwudziestu rubli miesięcznie, całkiem nieźle jak na robotnika, a jego

synowie byli na dobrej drodze do zdobycia wykształcenia, życie wydawało się normalne i uporządkowane.

Matka była szczęśliwa i piękniejsza niż kiedykolwiek. Ale ojciec, z natury nieco posępny, czymś się niepokoił, choć starał się tego nie okazywać. Lepiej niż reszta z nas zdawał sobie sprawę z burzowych chmur zbierających się na rosyjskim niebie.

ROZDZIAŁ III

Chwała i głód

Zimą 1916 roku poczucie nadciągającej katastrofy przenikało nasze codzienne życie niczym wilgotna mgła.

Wojna przybierała zły obrót i niezadowolenie stawało się coraz bardziej widoczne. Nie było tajemnicą, że żołnierze dezertują masowo z frontu, że dyscyplina rozprzęga się. Nawet w Jekaterynosławiu krążyły ponure pogłoski o występnym mnichu nazwiskiem Rasputin, o korupcji na najwyższych stanowiskach, o proniemieckich doradcach carycy. Nasi nauczyciele nie robili prawie nic, żeby ukrócić wywrotowe rozmowy starszych chłopców, a przyjaciele ojca mówili niskimi, napiętymi głosami o wrzeniu „mas”.

Po długim dniu w fabryce ojciec rzadko miał czas, żeby się umyć, zjeść, odpocząć. Były zebrania, wiece, raporty emisariuszy z Piotrogradu lub Kijowa. Nasz dom, częściej niż kiedykolwiek przedtem, służył jako przystanek dla zbiegów z Syberii i rejonów przymusowego osiedlenia na Dalekiej Północy. Dzieci bez przerwy wypraszano z salonu, gdzie robotnicy fabryczni o zaciętych twarzach i miejscowi inteligenci dyskutowali całymi godzinami przy zamkniętych drzwiach.

Pewnego popołudnia moi rodzice po spotkaniu ze swoim przyjacielem Paramonowem, który właśnie uciekł z więzienia, wrócili bardzo wzburzeni. Matka płakała, a ojciec zaciskał zęby. Jako jeden z marynarzy na pancerniku „Potiomkin”, których bunt zapoczątkował wydarzenia 1905 roku, Paramonow uchodził w naszych oczach za bohatera. Był ojcem chrzestnym mojego młodszego brata. W następnych dniach poskładałem sobie w całość tę historię. Utkwiła mi ona w pamięci jako symbol poświęcenia.

Grupka towarzyszy spotkała się z Paramonowem koło ławki przy małym uczęszczanej ścieżce w miejskim parku. Rozmawiali zaledwie przez kilka minut, gdy podeszło do nich, na pozór przypadkowo, kilku nieznajomych. Podejrzewając, że to funkcjonariusze policji po cywilnemu, Paramonow pożegnał się pospiesznie i zniknął w krzakach, żeby przeskoczyć przez parkan i uciec. Niebawem jego przyjaciele usłyszeli strzały. Zbieg został zabity.

Mimo braku czasu ojcu udawało się spędzać wiele wieczorów,

a z rzadka również niedzielę, ze swoimi trzema synami. Razem czytaliśmy książki Hercena, Tołstoja i innych autorów; ojciec wybierał niektóre fragmenty, żeby przedstawiać swoje poglądy na temat rosyjskiej emancypacji i ludzkiej wolności. Jego żarliwy i nieżyciowy zapewne idealizm głęboko mnie poruszył. Było w nim coś z religijnego uniesienia.

W tym czasie nawiązałem serdeczną przyjaźń z kolegą szkolnym nazwiskiem Spiridonow, synem nauczyciela gimnazjalnego, i spędzałem u niego wiele godzin. Po raz pierwszy poznałem inteligentki dom, gdzie literatura, muzyka i teatr wydawały się znacznie ważniejsze niż chleb i praca. Starszy Spiridonow ukierunkowywał nasze zamięłowanie do książek, dając nam do czytania nie tylko rosyjskich klasyków, lecz również dzieła Shakespeare'a, Goethego, France'a, Hamsuna, Hugo, Flauberta, Zoli, Dickensa.

Patrząc wstecz, jestem zdumiony zakresem i różnorodnością swoich lektur podczas tej wiosny duchowego przebudzenia. W jakiś sposób piękno i patos książek, wraz ze wzniosłymi nadziejami mojego ojca, stały się częścią rewolucji, która przetaczała się przez kraj. Wydawało się, jakby w ciągu kilku tygodni rozdział pomiędzy literaturą a rzeczywistością, pomiędzy słowem a czynem, przestał istnieć.

Burzowe chmury oberwały się w ostatnim tygodniu lutego (na początku marca według nowego stylu) 1917 roku. Nawet ci, którzy mieli pewność, że to nastąpi, byli zaskoczeni i oszołomieni. Rewolucja, która była wstydliwym i na wpół nielegalnym słowem, nagle stała się cudowną i przerażającą rzeczywistością. To, co wydawało się prostym rozwiązaniem wszystkich problemów, eksplodowało milionem nowych problemów, czasem śmiesznie przyziemnych, jak zdobycie jedzenia i ubrania.

Szwy dotychczasowego życia rozeszły się. Szkoły, fabryki, instytucje publiczne straciły swoje dawne znaczenie. Wyglądało to tak, jakby domy, urzędy i warsztaty zostały wyrócone na lewą stronę, wyrzucając swoją ludzką zawartość na place i bulwary. Demonstracje, sztandary, okrzyki, wybuchy gniewu, sporadyczne strzały – a ponad tym, niemal tłumiąc to wszystko, były rozmowy, rozmowy, rozmowy. Słowa uwiecznione przez stulecia wyrwały się na zewnątrz w namiętnej retoryce; szaleńczej i natchnionej, hałaśliwej i mściwej.

Hasła wypełniały powietrze i zdawały się żyć własnym życiem. „Precz z wojną!”, „Wojna do zwycięskiego końca!”, „Ziemi i wolności!”, „Fabryki dla robotników!”, „Powołać Zgromadzenie Konstytucyjne!”, „Cała władza w ręce Rad!”. Nowe słowa i nowe nazwiska wybuchały i rozpryskiwały się nad naszymi głowami jak fajerwerki. Bolszewicy, mienszewicy, kadeci, eserowcy, anarchiści... Kierenski, Milukow, Lenin, Trocki... Czerwona Gwardia, biali, partyzanci...

Na głównych placach wyrastały trybuny. Mówcy występowali jeden po drugim w długim korowodzie. Mężczyźni i kobiety, którzy do tej pory odzywali się tylko wylęknionym szeptem, nagle poczuli pragnienie, by krzyczeć, pouczać, drwić i gardłować. Wykształceni ludzie z wypielegnowanymi brodami torowali sobie drogę wśród żołnierzy i robotników. „Racja! Racja!” – grzmiały tłumy; albo: „Dołoj! Won! Precz z nim! Precz!”.

Pewnego dnia podczas demonstracji, nad którą wyrastał las domowej roboty transparentów, mój ojciec wszedł na trybunę. Wszyscy zdawali się znać jego nazwisko.

- Przyjaciele i bracia! Robotnicy, chłopci, inteligenci i żołnierze! - zaczął.

Pierwszy raz słyszałem go przemawiającego publicznie i ledwo zdołałem zapanować nad podnieceniem. Głos miał dźwięczny i jakby zmieniony, toteż musiałem się upewnić, że to naprawdę on, mój ojciec. Słowa i idee, który były naszą intymną, niemal rodzinną tajemnicą, rozbrzmiewały publicznie, tak więc wszyscy stali się częścią rodziny. Mówił o więzieniu i zesłaniu, o bohaterskim życiu towarzysza Paramonowa, o pięknej przyszłości. Błagał o zachowanie porządku i samokontroli i ostrzegał przed tymi, którzy chcieliby utopić rewolucję we krwi. Przemawiał z niezwykłą prostotą i szczerością, jakby słuchaczami byli jego trzej synowie, rozmnożeni do setek.

Kiedy zszedł z trybuny i orkiestra zagrała *Marsylianę*, podbiegłem do niego, odpychając łokciami jego pełnych podziwu przyjaciół, i zawołałem:

- Hurra, tato!

Ojciec roześmiał się w głos.

- Widzisz, Witienka - powiedział - teraz ludzie będą wolni. Warto było o to walczyć!

Wiedziałem wtedy, a może zrozumiałem to dopiero później, że się usprawiedliwiał, tłumaczył lata nędzy i niepokoju, które nękały jego rodzinę.

Miodowy miesiąc rewolucji szybko się skończył. Rozpoczęły się swary, oskarżenia, cierpienia, entuzjazm ustąpił miejsca wściekłości i rozgoryczeniu. Kamienie, pięści, strzały rewolwerowe coraz częściej mieszały się ze słowami i argumentami. W tym samym czasie zaczęło brakować żywności, drewno, węgiel i nafta zupełnie zniknęły; niektóre fabryki pracowały jedynie sporadycznie, inne w ogóle zamknięto.

- Oto wasza rewolucja! Macie, czego chcieliście! - gderali ludzie, zwłaszcza dobrze ubrani.

Z każdym dniem mój ojciec stawał się coraz bardziej przygnębiony, coraz bardziej milczący. Nawet w latach niebezpieczeństw i poświęceń nie irytował się tak łatwo jak teraz. Kiedy go naciskałem, żeby mi

opowiedział o różnych partiach i wytłumaczył ich programy, wydawał się zakłopotany.

- To zbyt skomplikowane - mówił. - Jesteś za mały, żeby to zrozumieć. To walka o władzę. Bez względu na to, za czym opowiada się dana partia, będzie źle, jeśli jedna partia zwycięży. To będzie oznaczało zastąpienie starych panów nowymi - rządy siły zamiast władzy opartej na wolnej woli ludu. Nie za to rewolucjoniści oddawali życie.

Innym razem, kiedy słuchaliśmy mienszewików, bolszewików, kadetów i innych mówców w Instytucie Górniczym, siedzibie Rady Jekaterynosławskiej, potrząsnął ze smutkiem głową i powiedział:

- Walczyłem o obalenie caratu. O wolność, o dobrobyt, nie o przemoc i zemstę. Powinniśmy mieć wolne wybory i wiele partii. Jeśli jedna partia zdominuje pozostałe, to będzie koniec.

- Ale kim ty jesteś, tato? Mienszewikiem, bolszewikiem, eserowcem?

- Żadnym z nich, Witiu. Zawsze pamiętaj o jednym: żadne hasło, nawet najpiękniejsze, nie ma wiele wspólnego z polityką partii politycznej, gdy dojdzie ona do władzy.

Ojciec pojechał na front rumuński z grupą robotniczych agitatorów. Był tam jeszcze w listopadzie, kiedy piotrogrodzcy bolszewicy pod wodzą Lenina i Trockiego przejęli kontrolę nad rządem i rewolucją. Wrócił z wiadomościami, że wojna się skończyła, że żołnierze po prostu rzucają karabiny i jadą do domu. Ale my już to wiedzieliśmy. Ja i Kotia, i nasi przyjaciele z gimnazjum spędzaliśmy całe godziny na dworcu kolejowym. Wszystkie pociągi z południa i z zachodu były zapchane żołnierzami. Siedzieli na dachach, zwisali z okien, czepiali się prętów pod wagonami i wspinali się na lokomotywy. Śpiewali pieśni, przeklinali, kłócili się i wykrzykiwali hasła. My, młodzi, nie potrafiliśmy się doszukać sensu w tym chaosie, a nasi starsi koledzy byli tak samo zdezorientowani jak my.

Jedynymi pewnikami, które osaczały nas jak zbliżające się do siebie ściany w powieści grozy, były *gołód* i *chołód*, głód i zimno. Pieniądze traciły wartość, a puste półki w sklepach pokrywał kurz. Tysiące prostych rzeczy, które kiedyś przyjmowano jako oczywiste - zamiatacze ulic, telefony, woda, transport - nagle stały się trudno dostępne, cenne, czasami nieosiągalne. Szerzył się tyfus, a konduktory pogrzebowe przeciągały codziennie niemal niekończącą się procesją.

Odkąd pamiętam, babuszka zbierała skórki i resztki chleba. Piekła je później i oddawała monasterom i sierocińcom. Teraz byliśmy jej wdzięczni za ten nawyk oszczędności. Wszystkie skórki zostawialiśmy dla siebie. Wesole, ciepłe światło lampy wydawało się bezpowrotną przeszłością; „kopciuch” - knot umaczany w talerzyku z oliwą - był jedynym źródłem światła w długie zimowe wieczory.

Przy migotliwym świetle „kopciucha” czytałem na głos babuszce.

Uwielbiała Niekrasowa, Tołstoja i Turgieniewa. Od czasu do czasu powtarzała za mną jakiś ckliwy urywek.

Pewnej nocy, gdy czytałem opowiadanie Turgieniewa, poczułem jej rękę na swojej dłoni. Czytałem dalej. Kiedy uścisk zelżał, uznałem, że zasnęła i chciałem wyjść na palcach z pokoju, żeby jej nie obudzić. Ale tym razem, gdy poniosłem głowę, zobaczyłem, że oczy ma otwarte i jest dziwnie nieruchoma. Uśmiech zamarł jej na wargach.

- Babuszka! Babuszka! - krzyknąłem i wszyscy się zbiegli.

Śmierć babci ze strony matki pozostaje częścią mojego doświadczenia rewolucji. Była energiczną kobietą, dopóki nie dostała się w żarna *gołoda* i *chołoda*. Razem ze Spiridonowem przez kilka godzin chodziliśmy po mieście, żeby znaleźć kwiaty. Złożenie jej na wieczny spoczynek bez kwiatów wydawało się nam czymś nieprzyzwoitym.

Na północy, w Rosji właściwej, reżim radziecki umocnił się w ciągu kilku miesięcy. Ale na pozostałym obszarze kraju, a zwłaszcza na naszej Ukrainie, przez kilka lat toczyła się okrutna, krwawa i bezsensowna w swoim chaosie wojna domowa. W Jekaterynosławiu władza przechodziła z rąk do rąk niemal co miesiąc, czasem kilka razy w tygodniu. Już nawet nie staraliśmy się zapamiętać, kto aktualnie rządzi. Czerwoni, biali, zieloni, petlurowcy, wojska hetmana Skoropadskiego, bat'ki Machny, Grigoriewa. Przez kilka miesięcy trwała okupacja niemiecka. Później Niemcy wycofali się i fale różnych armii, zwykle w łachmanach i bez żadnego poszanowania dla życia własnego i życia innych, przelewały się po wycieńczonym ciele naszego miasta.

Z tych czasów pozostały mi w pamięci obrazy - jak kartki wydarte z książki.

Dwaj żołnierze w carskich mundurach, na koniach, pędzą Prospektem Puszkina obok naszego domu, ścigani przez dwóch chińskich jeźdźców, z których jeden wymachuje szablą, a drugi karabinem. Jeździec z karabinem ściąga raptownie cugle, mierzy z karabinu i strzela. Jeden z białych spada z siodła, a jego koń się zatrzymuje. Drugi przystaje na chwilę, żeby popatrzeć, i ta chwila wystarcza, żeby drugi Chińczyk go dopadł. Tnie dziko z nieziemskim krzykiem i bezkształtna masa skrwawionego mięsa wali się na bruk. Dwa ciała wydają się groteskowo spokojne w nagłej ciszy.

Pewnego razu, podczas spaceru, kiedy spieramy się zawzięcie o książkę, którą czytaliśmy, Kotia i ja dochodzimy do dworca Goriainowskiego na drugim końcu miasta. Poprzedniej nocy rozbrzmiewał odgłosami wystrzałów, chociaż nikt nie wiedział, kto do kogo strzela. Teraz dworzec jest usłany ciałami. Na torach stoi pociąg pełen niemieckich żołnierzy. Niemcy, ciepło ubrani, ze śmiechem torują sobie drogę wśród ciał. W pobliżu sterty trupów kilku żołnierzy je

kanapki i pije kawę, opierając dla wygodności stopy na zwłokach.

Innym razem, późno w nocy, słyszę przed naszym domem jakieś hałasy. Wybiegam z ciekawością. Śnieg połyskuje w blasku księżyca, gdzieś szczeka pies. Nagle rosły mężczyzna przebiega obok mnie, wyrzaskując przekleństwa, jakby był pijany, a kilka sekund później pędzi w ślad za nim gromada ludzi, wymachujących nożami, kijami, karabinami. Stoję przez chwilę, nasłuchując strzałów w oddali i krzyków, które rozdzierają nocną ciszę. Następnego ranka wszyscy mówią o pogoni za bandytą nazywanym *Biełoszapką* – Białą Czapką – ściganym po całym mieście, zapędzonym w boczną uliczkę i zastrzelonym przez czerwonogwardzistów.

Nie było dnia bez przerażających opowieści o pogromach w dzielnicach żydowskich, o bandyckich napadach na banki i pociągi. Każdy rząd nazywał swoich poprzedników „bandytami” i niebawem sam z kolei był uznawany za „bandycki”. Przez tydzień, może dłużej, wszyscy ekscytowali się anarchistycznym rządem Machny, który zainstalował się w Jekaterynosławiu; potem wrócili czerwoni i było tak, jakby Machno nigdy nie istniał.

Nie jest łatwo odtworzyć ten okres utrwalony w pamięci małego chłopca. Na wspomnienia nałożyła się późniejsza wiedza i zrozumienie. Ale z perspektywy czasu niezwykle wydaje się to, że mimo zamętu wojny domowej, chaosu i niebezpieczeństw zwyczajne życie w jakiś sposób nadal się toczyło. Pracowaliśmy, uczyliśmy się, jedliśmy, spaliśmy, czytaliśmy i żartowaliśmy. Zawieraliśmy nowe przyjaźnie i nawet snuliśmy plany na przyszłość. Zamęt stał się rzeczą znaną i naturalną, niemal sposobem życia.

Życie, wola przetrwania i nawyk przetrwania były silniejsze niż przemoc.

2

Pod telegramem z Aleksandrowska podpisała się ciocia Szura. Czy stryj Piotr jest przypadkiem u nas? Ojciec natychmiast oddepeszował, że nie. Kilka dni później otrzymaliśmy list: znaleziono Piotra, martwego, zamordowanego. Ciocia Szura pisała, że gdybyśmy przyjechali na pogrzeb, pomogłoby to staruszkom pogodzić się z tragedią.

Ojciec wyruszył niezwłocznie, chociaż nie miał wielkiej nadziei, że dotrze do Aleksandrowska przed pogrzebem. Naradziwszy się z moją matką, postanowił zabrać ze sobą Kotię i mnie – widok małych wnuków mógł być pociechą dla pogrążonych w bólu dziadków.

Piotr nie brał udziału w rewolucyjnym zamieszaniu. Cała ta sprawa go nudziła. Wydawała mu się irytującym zakłóceniem życia, które, chociaż zbyt krótkie, mogłoby być całkiem przyjemne, gdyby ludzie przestali się

z nim szamotać, zmieniać je. Po powrocie z frontu zrzucił mundur i dostał posadę dyrektora małego aleksandrowskiego banku. Wsiadając do pociągu, zastanawialiśmy się, jak zginął.

Pociąg był zatłoczony do niemożliwości. W tym czasie miliony ludzi, lub tak się wydawało, podróżowały po Rosji, szukając schronienia wśród narodowej pożogi, uchodząc przed zemstą lub mknąc na oślep na jej spotkanie. Pasażerowie i tobołki zajmowały każdy skrawek przestrzeni. Ludzie siedzieli na górnych półkach, ich zabłocone buty i owinięte szmatami stopy dyndały przed nosem siedzących niżej.

Na dworcu w Sławgorodzie poszedłem do toalety, żeby przynieść trochę wody. Kiedy wróciłem, w drzwiach do naszego wagonu stał mężczyzna z mauzerem.

- Tato! - zawołałem przerażony.

- Do diabła z twoim tatą! Wsiadaj i zamknij się albo odstrzelę ci łeb! - warknął mężczyzna.

Zanim precisnąłem się do ojca, pociąg ruszył. Wszyscy pasażerowie trzymali ręce w górze. Wystraszona dzieci płakały. W obu końcach wagonu stanęli uzbrojeni ludzie, a kilku innych zabierało pasażerom pieniądze i kosztowności, systematycznie, przedział po przedziale. Właśnie dotarli do naszego.

- Co masz? Dawaj! - warknął jeden z bandytów do ojca.

- Co mam? - odparł ojciec spokojnie, z uśmiechem. - Zegarek, kilka rubli i swoich dwóch chłopców.

Kiedy rabunek został dokonany, pociąg znowu zwolnił i bandyci wyskoczyli. Nagle z kilku wagonów padły strzały. Zobaczyłem, jak jeden z rabusiów zatrzymuje się na torach, a potem powoli przewraca. Drugiego zastrzelił pasażer, zanim zdążył wysiąść. Jego ciało wciąż leżało w wagonie, kiedy dotarliśmy do celu. Najwyraźniej napad zorganizowali ludzie, którzy nie mieli wielkiego doświadczenia w tym procederze.

Ledwo rozpoznałem Aleksandrowsk. Jego czar ulotnił się przez te dwa lata, znikła gdzieś jego odwieczna schludność. Dworzec był opuszczony, lampy rozbite. Nawet śnieg wyglądał ponuro. Kiedy ojciec zapytał kogoś „kto rządzi”, nieznajomy wzruszył ramionami i mruknął: „Diabli wiedzą!”.

Dom, w którym spędziłem najszcześniejsze lata swojego dzieciństwa, wydawał się skurczony i żałośnie stary. Nie zdążyliśmy na pogrzeb; list Szury nie dotarł na czas. Szyła coś w kącie, oczy miała zaczerwienione, na policzkach lśniły łzy. Babcia Natalia Maksimowna uściskała nas i próbowała uśmiechnąć się po dawnemu, ale blask w jej oczach zniknął na zawsze. Powstrzymywała się tylko przez kilka chwil, potem uderzyła w śpiewny lament, spoglądając na ikonę i żegnając się raz po raz.

- Nie ma już twojego dobrego wujka Pieti, Witia! Mój mały Pietia nie

żyje! Zabili go, mój Boże, i nie ma już naszego Pieti!

Fiodor Pantielejewicz siedział przy stole i nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. Nie mogłem uwierzyć, że to mój silny, dumny dziadek. Wydawał się zniedołężniały i niewiarygodnie stary. Po chwili spojrzął na nas, skinął na powitanie głową i wstał powoli.

- No cóż, Andrieju - powiedział z goryczą - nadeszło to, na co czekałeś. Oto twoja upragniona rewolucja! Ludzie zabijają się nawzajem, strzelają, rabują, nasz naród cierpi głód i zimno! To zbrodnia, a nie rewolucja.

Jego głos był pełen bólu i gniewu.

- Sukinsyny, dlaczego zabili Piotra? Dlaczego? - krzyknął, chwytając mojego ojca za ramiona i potrząsając nim. - Niemcy nie zabijali nas tak, jak robią to nasi rosyjscy bracia. Dziękuję ci, Andrieju, za twoją wspaniałą rewolucję.

Ojciec stał ze zwieszoną głową i milczał. Wiedział, że wszelkie słowa i wyjaśnienia są daremne. Po raz pierwszy rodzina zobaczyła Fiodora Pantielejewicza płaczącego. Łzy sklejały jego białą brodę. Podszedł powoli do ikony - żołnierska postawa zniknęła - i osunął się na kolana.

- Zlituj się, Panie, nad swoimi zbłąkanymi owieczkami. Niech brat nie zabija brata, a syn ojca. Spraw, Najświętsza Panienko, aby twój lud się opamiętał, i nie pozwól mu zginąć.

Wstał, spokojniejszy, i otarł łzy z policzków.

- No cóż, Andrieju, niech Bóg ci wybaczy, tak jak ojciec ci wybacza. - I zwracając się do żony, powiedział: - Nataszo, nakarm dzieci i połóż je spać.

Potem Szura, zapłakana, opowiedziała nam o śmierci brata. Pewnego wieczoru nie wrócił z banku. Przypuszczając, że z jakiegoś powodu pojechał odwiedzić nas w Jekaterynosławiu, Szura wysłała depeszę. Cztery dni po zniknięciu Piotra jakiś wieśniak znalazł jego ciało w pobliżu torów za miastem. Usta miał zakneblowane chustką do nosa, ręce związane za plecami; strzelono mu kilka razy w głowę. Klucze do banku, które zwykle nosił przy sobie, zniknęły.

- Jego serce już nie biło, ale zegarek wciąż tykał... Pietia był taki dumny z tego zegarka - Szura znowu wybuchnęła płaczem.

Najwidoczniej napastnicy, zabrawszy klucze, postanowili zabić Piotra, żeby pozbyć się świadka; może byli to ludzie, których znał. A potem zapewne stracili odwagę i zrezygnowali z napadu na bank.

Wróciliśmy do domu z ciężkim sercem. Dziadek nigdy nie otrząsnął się po śmierci młodszego syna. Kilka miesięcy później umarł, a żona niebawem podążyła w ślad za nim.

Majątek Iljinów niedaleko Korbina nad Dnieprem był jednym z najładniejszych w okolicy. Obejmował tysiące hektarów żyznej ziemi uprawnej i pastwisk, sady owocowe, obszerne stajnie i mleczarnie. Szerokie żwirowe ścieżki wiodły pomiędzy drzewami do wielkiego dworu, gdzie właściciele żyli niegdyś w przepychu. Rzeka w tym miejscu otrząsa się nieco ze swej statecznej ospałości i płynie wartko wśród urwistych skał: natura przeszła samą siebie, aby nadać temu zakątkowi odmienność i niemal teatralne piękno.

Po rewolucji większość ziemi została rozparcelowana pomiędzy chłopów, którzy na niej pracowali. Ale rdzeń majątku – około dwustu hektarów ziemi ornej, sady, wielki staw rybny, dwór Iljinów i inne zabudowania – przekształcono na początku 1919 roku w gospodarstwo kolektywne, „komunę” rolniczą dla robotników z miast. Osadnicy, około setki rodzin z Jekaterynosławia, nazwali ją Nabatem, Trwogą.

Wśród tych rodzin znaleźli się Krawczenkowie i przez prawie cztery lata, do chwili, gdy zbliżałem się już do pełnoletności, komuna była naszym domem. Mój ojciec, jeśli chodzi o ścisłość, był jednym z jej inicjatorów i ściągnął wielu mechaników ze swojej fabryki. Miejskowa Rada zaaprobowała pomysł, przydzieliła ziemię i dostarczyła trochę potrzebnych rzeczy i inwentarza, aby uzupełnić to, co pozostało w majątku.

W mieście produkcja niemal całkowicie stanęła z braku surowców, a z powodu niedoborów żywności mieszkańcom zagroził głód. Ucieczka na wieś zwiększała szansę na przetrwanie ciężkich czasów. W przedsięwzięcie włączyli się również idealisci pragnący wcielić w życie przynajmniej część marzeń, które przyświecały im w latach rewolucyjnego entuzjazmu. Mieli nadzieję, że Trwoga przypomni o ideałach braterstwa, które popadły w zapomnienie w zamęcie bratobójczej walki, kiedy komuniści, za pomocą swojej Czeki, dokonywali masowych aresztowań i rozstrzeliwali ludzi pod byle pretekstem.

Mojego ojca zachęcano, aby wstąpił do partii komunistycznej. Odmówił. Nie ma przekonania do dyktatury i terroru, oświadczył wprost, nawet pod czerwonym sztandarem. Widział, jak robotnicy i inteligenci, którzy za cara stronili od walki, wstępują teraz do partii sięgającej po permanentną władzę: niektórzy wymyślali sobie nawet romantyczne rewolucyjne życiorysy. To tylko umacniało jego zdecydowanie, aby pozostać „wolnym strzelcem” w walce o lepszy świat.

Robotnicy wzięli się do pracy na roli z entuzjazmem, w którym była nuta desperacji. Oczywiście chcieli osiągnąć wyniki, żeby ich rodziny miały co jeść, ale pragnęli również uzasadnić wcześniejsze ofiary poniesione za sprawę. Okoliczni chłopci szydzili z mieszczuchów, którzy

przedzierzgnęli się w rolników. „Teraz zobaczymy, jak «komuniści» uprawiają naszą ziemię” – mówili z przekąsem.

Ich przytyki były dobrodusze, kryła się za nimi zwyczajna życzliwość. Wielu z nich nie szczędziło starań, żeby nam doradzać i pomagać na każdym kroku. Miejscowi chłopcy nie tylko nie oburzali się na eksperyment, lecz objęli go uprzejmym, nieoficjalnym patronatem. Często przychodzili, kiedy było najwięcej pracy, i dzięki nim udało nam się przetrwać pierwszy rok. Chociaż słynna Szkoła Rolnicza Erastowka nie leżała w pobliżu komuny, tamtejsi agronomowie też przyjeżdżali, żeby nam pomagać.

Dla młodych ludzi życie w komunie było niezwykle emocjonujące. Napawałem się pracą, wiejskim życiem, poczuciem, że robię coś razem z towarzyszami. Nasi rodzice niepokoiли się brakami w naszym wykształceniu i starali się je doraźnie uzupełniać, ale żaden z nas nie podzielał ich obaw, że wyrośniemy na nieuków. Pływanie, łowienie ryb, zabawy i wędrowki po okolicy wypełniały nam czas wolny od ciężkiej pracy. Miłość do koni, z którą chyba się urodziłem, znalazła teraz swój wyraz. Graczow, stajenny, miał we mnie gorliwego pomocnika. Życie chłopów również mnie pociągało. Znalazłem wśród nich przyjaciół i spędzałem wiele wieczorów ze swymi rówieśnikami.

Wojna domowa oczywiście wciąż dawała o sobie znać. Bez przerwy wdzieriała się w nasze życie i kilka razy omal nie zniszczyła komuny. Konstantin i ja byliśmy dumni z tego, że jesteśmy dostatecznie duzi, aby wstąpić do zbrojnych oddziałów samoobrony, sformowanych przez mojego ojca i innych przywódców, i nawet mój młodszy brat Jewgienij nauczył się strzelać. To czerwoni, to biali, to znowu jakieś niezidentyfikowane bandy najeżdżały nasze ziemie, domagając się żywności, koczów, a nawet koni. Demonstracja siły w połączeniu z gotowością do podzielenia się zapasami, bez których mogliśmy się obejść, ocaliła komunę przed poważniejszymi napaściami.

Jeden incydent wyrył się trwale w mojej pamięci. Tego ranka pasłem konie na wzniesieniu, z którego miałem tak doskonały widok, jakby wszystko rozgrywało się na ekranie kinowym. Nagle około trzystu jeźdźców, głównie Kozaków i innych białych, skręciło z głównej drogi i przegalopowało przez nasze pola pszenicy w kierunku rzeki. Za nimi, w zaciętym pościgu, nadciągała wielka liczba czerwonych. Osaczeni biali skakali z nadbrzeżnej skarpy prosto do rzeki, którą próbowali przepłynąć. Ale ścigający, z karabinami maszynowymi ustawionymi na skarpie, skosili ich niemal do ostatniego człowieka.

Niecały miesiąc później wszystko się powtórzyło, niemal w każdym szczególe, z tą jedynie różnicą, że teraz czerwoni zostali zapędzeni na skarpe i wybici, kiedy usiłowali dotrzeć na drugą stronę rzeki. Tak przywykliśmy do widoku ciał wyrzucanych na brzeg w pobliżu naszej

komuny, że nie wspominaliśmy już o takich przypadkach.

Przed zmierzchem pewnego jesiennego dnia, po naszych pierwszych żniwach, Graczow i ja pracowaliśmy w stajni, gdy naszym oczom ukazał się długi chłopski wóz zaprzężony w dwa konie. Jechało nim czterech mężczyzn i kobieta. Ludzie i konie byli pokryci kurzem i potem. Z tyłu wozu był zamontowany karabin maszynowy. Kobieta, mniej więcej trzydziestoletnia i ładna, miała na sobie strój pielęgniarki; jeden z mężczyzn był w cywilnym ubraniu, dwaj inni w mundurach Czeki, nowo utworzonej i już budzącej strach radzieckiej tajnej policji, a czwarty, ogromny, o prostackim wyglądzie, miał na sobie mundur marynarski.

Cywil przedstawił się jako Lichomanow – ten sam Lichomanow, który miał zostać później przewodniczącym Jekaterynosławskiego Komitetu Gubernialnego. Powiedział, że ściga ich oddział białych i że muszą dostać świeże konie, aby im uciec. Nie, nie ma czasu, żeby to z kimkolwiek uzgodnić, ale jeśli chcemy dostać z powrotem swoje konie, możemy pojechać z nimi do wioski Kamienskoje.

Zgodziliśmy się na te warunki i niebawem siedzieliśmy wraz z nimi na wozie, poganiając konie. Jechaliśmy tak szybko, iż ledwo zdołałem rozpoznać kształty leżące na drodze jako martwe ciała. Lichomanow wyjaśnił nam, że to głównie czerwonogwardziści, że kilka dni temu rozegrała się tu wielka bitwa.

– Jeszcze odpłacimy tym draniom! – wrzeszczał co chwila marynarz. – Wyprujemy im flaki, sukinsynom!

Bez żadnych przeszkód dotarliśmy do miasteczka Auły i nawet ja zacząłem się zastanawiać, czy niebezpieczeństwo, przed którym uciekamy, nie jest wyolbrzymione. Za Aułami skręciliśmy w drogę biegnącą wzdłuż rzeki. Jechaliśmy z dziesięć albo piętnaście minut, kiedy usłyszeliśmy za sobą galopujących jeźdźców i uświadomiliśmy sobie, że ściga nas kilkunastu ludzi. Słyszeliśmy ich krzyki i wiedzieliśmy, nawet nie rozróżniając słów, że każą nam się zatrzymać. Nasz marynarz zaklął siarczyście, doskoczył do karabinu maszynowego i zaczął strzelać. Kilku jeźdźców spadło z koni, a reszta postanowiła przerwać pościg.

Tej nocy dotarliśmy do Kamienskoje i zatrzymaliśmy się w małym domu, gdzie Lichomanowa najwyraźniej znano.

– Będiesz spał w jednym pokoju z pielęgniarką – powiedział mi. – Jesteś jeszcze dzieckiem.

Graczow i marynarz, którzy na zmianę pilnowali wozu i koni, zajęli sąsiedni pokój. Wyszedłem, żeby pielęgniarka mogła położyć się do łóżka, potem rozebrałem się po ciemku i zaraz twardo zasnąłem.

Kilka godzin później obudził mnie hałas i podniecone głosy. Kiedy otrząsnąłem się ze snu, usłyszałem, jak pielęgniarka krzyczy zdławionym, histerycznym tonem:

- Zostaw mnie, ty bydlaku, bo obudzę cały dom! Wynoś się, mówię ci!

Do pokoju wpadało dostatecznie dużo księżycowego światła, żebym zobaczył, jak nasz marynarz, na wpół ubrany, z wykrzywioną twarzą, próbuje zgwałcić kobietę. Opierała się ze wszystkich sił, włosy miała potargane, bluzkę rozerwaną na piersiach.

Kiedy marynarz zobaczył, że siedzę na łóżku, puścił ją i wybiegł, klnąc i trzaskając drzwiami. Usłyszałem, jak mamrocze:

- Przekłęci burżuje!

Pielęgniarka płakała.

- Co za ludzie, co za straszni ludzie! - łkała. - I z takim materiałem musimy robić rewolucję.

Niemal tak samo wzburzony jak ona, zaofiarowałem się, że zawołam Lichomanowa i pozostałych.

- Nie, lepiej nie budzić Lichomanowa - powiedziała. - Ma dosyć zmartwień i bez tego. To prawdziwy idealista.

Żadne z nas już nie zasnęło. Rozmawialiśmy - a właściwie ona mówiła, ja słuchałem - aż do świtu. Wyznała, że jest córką carskiego urzędnika, i dodała:

- Kiedy wybuchła rewolucja, przyjąłem ją całym sercem. Przez całe życie kochałem prostych ludzi i chciałem im pomagać. To dla nich zerwałem z rodziną i zapisałem się do szkoły pielęgniarskiej w Charkowie. Teraz jestem w Czeka. Nie podoba mi się wiele rzeczy, które oni robią, ale ja się zajmuję leczeniem, nie strzelaniem.

- Nie wolno nam tracić wiary ani podważać wysiłków tysięcy uczciwych ludzi, ludzi takich jak Lichomanow, z powodu ciemnych i nieokrzesanych typów takich jak ten, który napadł na mnie dziś w nocy. Na jeden taki podły postępek przypadają setki bohaterskich czynów.

Ten, który próbował ją zgwałcić, nie był nawet prawdziwym marynarzem, powiedziała mi w zaufaniu. Znalazł gdzieś mundur i nosił go, ponieważ dodawał mu rewolucyjnego prestiżu.

Kiedy Graczow i ja wyruszyliśmy rankiem w drogę powrotną, opowiedziałem mu, co się zdarzyło w nocy. Był prostym robotnikiem i niewiele rozumiał z tego, co działo się w naszym kraju. Ale dobrze zapamiętałem to, co powiedział tamtego ranka.

- Tak, Witia, ta pielęgniarka miała rację. Jest dobro i jest zło, w rewolucji i we wszystkim. Pytanie tylko, kto będzie górą, kiedy rewolucja się umocni, uczciwi ludzie, czy bydlaki, Lichomanowowie czy fałszywi marynarze.

Teraz, kiedy nie musieliśmy się spieszyć, mogliśmy przyjrzeć się trupom, które minęliśmy poprzedniego wieczoru. Tu i ówdzie widzieliśmy kopce świeżo wykopanej ziemi - miejscowi chłopcy pogrzebali już część ciał. Wiele zwłok było nagich, a większość bez butów, bo żeby ubrać żywych, obdzierano martwych.

Po drugich żniwach w komunie, jesienią 1920 roku, Konstantin i ja wstąpiliśmy do Szkoły Rolniczej Erastowka w Komissarowce.

Szkołę założył i hojnie wspierał pokolenie wcześniej Erastus Brodski, wielki właściciel ziemski mieszkający w powiecie. Przeznaczył na nią część własnego majątku, wznosząc wspaniałe budynki na wzgórzu z widokiem na przepiękne jezioro. Wystrój niektórych sal został przejęty z tradycyjnych ukraińskich dworów; były tam malowidła ściennie znanych malarzy, piękne mozaiki o tematyce ludowej i oczywiście najnowocześniejsze importowane maszyny rolnicze.

Szkoła ogromnie ucierpiała z rąk wandalii. Niektóre sale i sypialnie nie nadawały się do użytku, meble, a nawet boazerie i belki stropowe wyniesiono na opał; maszyny były w żalonym stanie. Większość słynnego erastowskiego bydła - dyplomy zdobyte na pokazach w Wiedniu i Pradze wciąż wisiały na ścianach - wyrżnięto.

Ale wielu dawnych nauczycieli pozostało, a do szkoły przyszło kilku nowych, toteż około sześciuset studentów ze wszystkich części Rosji znowu mogło się uczyć nowoczesnego rolnictwa, mimo niedoborów żywności i braku materiałów. Produkty wytwarzane na terenie szkoły pomagały utrzymać ich przy życiu, a wspólna praca zbliżała do siebie nauczycieli i uczniów. Szkoła znajdowała się pod kontrolą władzy radzieckiej, ale w programie było niewiele polityki. Przyjmowano za rzecz oczywistą, że ucząc się nowoczesnych metod uprawy ziemi, aby dawała więcej i lepszej żywności dla narodu rosyjskiego, robimy wszystko, czego wymaga od nas „rewolucja”.

Mój brat, ja i jeszcze jeden student imieniem Fiodor, pochodzący z Tuapse, mieszkaliśmy razem w chacie miejscowego chłopca. Zima minęła szybko, a wraz z nadejściem wiosny zajęcia w klasach zastąpiła praktyka - praca na szkolnej ziemi. Później się przekonałem, że nauczyłem się znacznie więcej, niż przypuszczałem; znajomość nowoczesnego rolnictwa ogromnie mi się przydała w okresie kolektywizacji.

Z dnia na dzień zdobycie żywności stawało się coraz trudniejsze. Pieniądze straciły wszelką wartość, a cały handel, jaki się jeszcze odbywał, był prowadzony na prymitywnym poziomie wymiany. Nie mogliśmy liczyć na zbyt wielką pomoc z komuny, gdzie idylliczna wizja kolektywnego przedsięwzięcia dogorywała w swarach i rozgoryczeniu. Coraz więcej osadników odchodziło. Rezerwy chleba wyczerpywały się tak szybko, że trzeba było wprowadzić ściśle racjonowanie. Nędza, jak się okazało, była bardzo nieodpowiednią matką chrzestną dla nowego świata, nawet na maleńką skalę Trwogi.

Ale nastoletnich chłopców nie zrażały żadne trudności. Przywykliśmy

zadowalać się byle czym i jakoś sobie radzić do następnego posiłku. Też wiosny pociągi pełne żołnierzy Armii Czerwonej przejeżdżały przez Komissarowkę na front, gdzie toczyła się wojna z Polakami. Nasz problem polegał na tym, jak pozbawić żołnierzy części ich zapasów żywności. Trzej współlokatorzy z Erastowki rozwiązali go w wielkim stylu.

W dni wolne, a czasem w dni nauki, kiedy mogliśmy wymknąć się na kilka godzin, prowadziliśmy na dworcu kolejowym interes pod nazwą „Studencki lotny zakład fryzjerski”. Taki napis wymalował na szyldzie swoją artystyczną ręką Kotia. Pod spodem był cennik: „Golenie i strzyżenie... Fachowa i sumienna obsługa... Płatne w naturze”. Na końcu widniał podpis, z nutą niezbyt subtelnego humoru: „Artel Bezużytecznej Pracy”. Fiodor, który w swoich wędrówkach nauczył się gdzieś tej sztuki, zajmował się goleniem. Bracia Krawczenkowie strzygli. „Nie przejmujcie się – poinstruował nas Fiodor. – To jest jak koszenie siana – długie, zamaszyste cięcia, potem równanie ścierniska”.

Żołnierze tłoczyli się wokół młodocianych fryzjerów, stroili sobie z nich żarty – i płacili za nieudolną usługę z hojnością prostych ludzi. Często przynosili tyle chleba, słoniny, warzyw i innych produktów, że mogliśmy częstować przyjaciół. W niedzielę „Studencki lotny zakład fryzjerski” oferował swoje usługi na miejskim targu i świetnie prosperował. Chłopi płacili jajkami, ziemniakami, a czasem kurczętami.

Bardzo szybko jednak ta żyła złota wyschła. Nikt nie miał już żywności na wymianę za strzyżenie. Zbliżała się wielka susza 1921 roku i chłopi, dostrzegając jej oznaki, stawali się oszczędni i posępni. Ponieważ w szkole nie było nic do jedzenia, wróciliśmy do komuny, ale dawny entuzjazm spalił się na żużel cichej rozpacz. Pozostało jedynie kilku spośród pierwszych osadników, a ci w większości podjęli pracę w pobliskich zakładach przemysłowych.

Miałem szesnaście lat. W Korbinie, kilka kilometrów od Trwogi, była mała odlewnia żelaza. Tam znalazłem zatrudnienie jako czeladnik ślusarski. Po raz pierwszy wykonywałem ciężką pracę fizyczną za pieniądze. Miałem więc prawo czuć się „dorosły”, kiedy wracałem do domu w poplamionym smarem ubraniu, brudny i obolały ze zmęczenia.

Wojna domowa prawie się skończyła i czerwoni sprawowali niepodzielną władzę. Partyjni agitatorzy przychodzili czasem do fabryki i nagabywali nas podczas przerwy śniadaniowej albo po pracy. Starsi robotnicy w większości ich ignorowali, ale młodzi słuchali uważnie. Dawało nam to nadzieję w czasach ogólnego przygnębienia i pesymizmu. Działał też klub fabryczny, udekorowany litografiami Lenina, Trockiego, Marksa i Engelsa oraz hasłami wypisanymi koślawo na paskach czerwonego płótna.

Słuchałem chciwie mówców z wielkich miast i nawet zdobywałem się na odwagę, by zadawać pytania. Obiecująca przyszłość miała większą siłę oddziaływania na tle obecnych trudności. Byłem rozdarty pomiędzy sceptycyzmem panującym w domu a własnym pragnieniem wiary. Rozumiałem obiekcje ojca wobec surowych metod komunistycznych, ale w miarę upływu czasu coraz częściej wydawało mi się, że jest on zbyt rygorystyczny w swojej cnocie; że jego idealizm jest trochę „staromodny”.

- Dlaczego nie przyjdiesz do klubu i nie posłuchasz wykładów? - pytałem go. Chciałem go wciągnąć w nowe życie.

- A co oni mi mogą powiedzieć? - odpowiadał ze smutkiem. - Zapomniałem więcej, niż oni wiedzą. Nie, dziękuję, jajko nie będzie uczyć kury.

Latem 1921 roku głód zaczął się na dobre, a razem z nim brat głodu - tyfus. Miały pochłonąć miliony ofiar. Po latach wojny domowej stanęliśmy w obliczu głodu w jego najbardziej elementarnych i okrutnych formach. Susza koncentrowała się w rejonach nadwożańskich, ale jej trupie palce sięgały aż za Dniepr. Rejon najstraszniejszego głodu pokrywał się mniej więcej z obszarem najbardziej zaciętych walk podczas wojny domowej; było to tak, jakby przesiąknięta krwią ziemia buntowała się przeciwko swojej daninie.

Nie ma słów, żeby opisać cierpienia i okropności. Ludzie patrzyli z chciwą rozpaczą na wszystkie żywe stworzenia - konie, psy, koty, zwierzęta domowe. Bydło, którego nie wyrżnięto, zdechło z wycieńczenia i było zjadane pomimo oficjalnych ostrzeżeń o zarazie. Drzewa odzierano z kory, z której gotowano „herbatę” albo „zupę”. Żuto niewyprawioną skórę. Pola zostały ogołoczone do ostatniego kłosa i ostatniego źdźbła trawy. Coraz częściej słyszało się opowieści o chłopach, którzy zjadali zmarłych członków rodziny, i nierzadko okazywały się one prawdziwe - wiedziałem o takich przypadkach w Romankowie, Aułach, Pankowce i innych sąsiednich wioskach.

Śmierć - opuchnięta, wychudła, brzydka śmierć - stała się częścią naszego życia. Wszyscy byliśmy zbyt zaprzątnięci własnym przetrwaniem, żeby myśleć lub troszczyć się o innych. Dobrzy ludzie, którzy wcześniej nie mogli patrzeć na cierpienia innych, teraz zakopywali żywność, aby przedłużyć sobie życie o kilka tygodni lub miesięcy, nie dbając o sąsiadów, którzy puchli i umierali z głodu wokół nich.

Byłem silny i zdrowy i nie potrzebowałem wiele, żeby przeżyć. Wraz z innym chłopcem z komuny, Sienią, pojechałem pociągiem na północ, do guberni połtawskiej, w poszukiwaniu żywności. Zabraliśmy wszystko, co można było wymienić na jedzenie: stare ubrania, srebrne łyżeczki, resztki biżuterii, szczotki i inne przedmioty z gospodarstwa domowego.

Pieniądze nic nie znaczyły, ale rzeczy można było przehandlować, jeśli miało się szczęście.

Po kilku dniach dotarliśmy do Priłuków i postanowiliśmy spróbować szczęścia. Setki ludzi przyjechały w tym samym celu i konkurencja była zażarta. Staliśmy przez cały dzień na placu targowym ze swoim nędznym towarem rozłożonym na ziemi i błagaliśmy chłopów, żeby obejrzel nasze skarby. Wieczorami chodziliśmy do wiosek, od domu do domu. Na naszą korzyść przemawiało to, że obaj byliśmy młodzi i potrafiliśmy rozmawiać z chłopami po ukraińsku, w ich języku.

Codziennie pozbywaliśmy się kilku przedmiotów, a nasze worki wypełniały się kaszą, mąką, grochem, fasolą. Nocami bez trudu znajdowaliśmy schronienie w chłopskich chatach, zwłaszcza jeśli drzwi otwierały dziewczęta w naszym wieku. W zamian za pierścionki lub tanie broszki dziewczyny dawały nam sól, cukier, olej słonecznikowy, soloną wieprzowinę i inne artykuły luksusowe.

Sienia i ja byliśmy szczęśliwsi niż finansiści, którzy zakończyli milionową transakcję. Przywoziliśmy swoim rodzinom miesiące życia.

Pociąg był zatłoczony mężczyznami, kobietami i dziećmi, wszyscy wracali do rejonów dotkniętych głodem z workami i tobołkami pełnymi drogocennych rzeczy. Nie śmieliśmy zmrużyć oka ze strachu, że zostaniemy obrabowani. Późną nocą, na stacji Znamienka, żołnierze i konduktorzy kazali wszystkim wysiąść. Zapędzili nas do poczekalni, w której kłębił się już tłum nieszczęsnych ludzi. Nikt nie wiedział, dlaczego opróżniono pociąg. Wszyscy czekali z potulną cierpliwością, zrodzoną z cierpienia i przytępionych zmysłów, na następny pociąg; kiedy przyjechał, tylko najsilniejsi i najzręczniejsi zdołali do niego wsiąść. Sienia i ja zostaliśmy na stacji.

Brudną poczekalnię oświetlały jedynie oliwne lampki. Tłum był tak zbity, że ludzie nadeptywali na siebie, żeby dostać się do toalety. Dzieci płakały, niemowlęta ssały wyschnięte piersi. W jednym kącie leżała para spleciona w namiętnym uścisku, nie zważając na rubaszne żarty dookoła.

Ale uwagę tych, którzy wciąż mieli w sobie odrobinę ciekawości, przykuła młoda kobieta, jęcząca jak chore zwierzę. Inne kobiety zrobiły dla niej miejsce, mężczyźni nosili wiadra z wodą, z emocji ludzie zapomnieli o głodzie, gdyż obok nich rodziło się nowe życie. Słabe kwilenie niemowlęcia obwieściło, że cud się dokonał, i ludzie znowu zajęli się własnymi sprawami.

Rankiem zobaczyłem matkę na brudnej dworcowej podłodze. Twarz miała białą, bez kropli krwi, pod głową brudny worek. Przy piersi trzymała nowo narodzone dziecko owinięte w szmaty. Gardło mi się ścisnęło z żalu. Zostawiwszy Sienię, aby pilnował naszego dobytku, pobiegłem do wioski. W kieszeni miałem trzy srebrne carskie ruble

i po półgodzinnych staraniach udało mi się kupić za nie butelkę ciepłego mleka i małą drewnianą miskę owsianki. Kiedy zaniósłem młodej kobiecie te dary oraz własny czysty ręcznik, popatrzyła na mnie z pełną niedowierzania wdzięcznością.

- Dziękuję, młody człowieku - powiedziała po ukraińsku. Jej udręczoną twarz zdobiły piękne oczy. - Jak się nazywasz?

- Wiktor Andriejewicz.

- Niech Bóg cię strzeże i ześle ci radość - powiedziała słabym głosem, uśmiechając się po raz pierwszy. - Nazwę swoją córkę Wiktoryną, żeby na całe życie zapamiętała twój dobry uczynek.

Kiedy wracałem do Sieni tkwiącego w drugim końcu poczekalni, jakiś młody obwieś, który przypatrywał się tej scenie, zawołał obscenicznie:

- Spójrzcie, towarzysze, oto i ojciec dziecka!

Był wyższy ode mnie, dobrze zbudowany i wyglądał groźnie. Ale wściekłość nie zna arytmetyki. Rzuciłem się na niego i, ku swemu zdumieniu, powaliłem go na ziemię. Widząc, że tłum jest po mojej stronie, wstał w milczeniu, wytarł krew spod nosa i wrócił do swoich tobołków.

Żaden zwycięski bohater nie był witany bardziej gorąco niż młody Wiktor uginający się pod workiem jedzenia. W następnych miesiącach odbyłem kilka następnych wypraw, pociągiem i konno. Złoty krzyżyk babuszki był ostatnim rodzinnym skarbem, nie pozbywaliśmy się go, dopóki istniała nadzieja, że uda nam się przeżyć. Później przyszła pomoc z Ameryki, od kwaków, od kierowanej przez Hoovera Amerykańskiej Organizacji Pomocy i innych organizacji, ale głównie dla Powołża. A na Ukrainie zbliżały się nowe żniwa i życie powoli wracało na normalne tory.

Wróciłem do swojego warsztatu ślusarskiego w korbińskiej fabryce.

ROZDZIAŁ IV

Czerwona młodość

Nowe plony wzeszły wysoko i bujnie latem 1922 roku, a wraz z nimi rosła nadzieja i wola życia. Miliony ofiar pogrzebano i za cichym porozumieniem nikt nie wspominał o katastrofie. Koszmar puszczono w niepamięć.

Nasz sad w Trwodze obrodził nadzwyczajnie, owoce były duże i soczyste, staw zaroił się rybami, wiatr znad Dniepru mierzwił złote włosy naszych pszenicznych pól. Ukraińskie dziewczęta znowu śpiewały chórem tęskne pieśni, zbierając kłosa. Dobrze było mieć siedemnaście lat, zapuścić wąsy i peszyć się w obecności dziewcząt, które jeszcze wczoraj się ignorowało.

Moja decyzja, aby zostać górnikiem, wiązała się w jakiś sposób z tą porą pączkującego nowego życia. Pragnąłem ryć we wnętrzościach matki ziemi, budować, rozwijać się. Słowa wykładowcy w korbińskim klubie były z pewnością dosyć pospolite: ustalone formuły z instrukcji partii komunistycznej dla pracowników agitpropu. Ale dla mnie brzmiały jak sygnał trąbki wzywającej do czynu.

- Towarzysze - powiedział mówca tamtego wieczoru wczesną jesienią - nasz kraj potrzebuje węgla, żelaza, ropy. To są ścięgna naszej przyszłości. Wszyscy, którym droga jest rewolucja, muszą pójść do fabryk i do kopalń. Nasza Republika Radziecka potrzebuje silnych rąk do pracy. Potrzebne są na przykład tysiące ludzi w kopalniach Zagłębia Donieckiego.

Sienia i ja spojrzeliśmy po sobie i wiedzieliśmy bez słów, że podjęliśmy to samo postanowienie.

Kiedy oznajmiłem w domu, że wyjeżdżam do donieckich kopalń węgla, ojcu zrobiło się smutno. Matka płakała cicho i przypomniała mi, że jestem jeszcze chłopcem i że będę miał mnóstwo czasu, żeby pracować. Ale nie próbowali mnie powstrzymać. Przez kilka dni matka przygotowywała dla mnie rzeczy i starannie je pakowała.

Wysłano nas do kopalni w rejonie ałczewskim w pobliżu Ałgowierowki. Był to jeden z najstarszych regionów górniczych w Zagłębiu Donieckim i właśnie ogromnie się rozrastał. Pierwszą noc spędziliśmy w długich, ponurych barakach, gdzie kilkuset ludzi spało na gołych deskach piętrowych pryczy. Zaduch stłoczonych ciał, nieświeżego jedzenia

i podlego tytoniu był prawie nie do zniesienia. Kilku ponurych górników grało w karty przetłuszczoną talią i klęło siarczyście w słabym świetle „kopciuchów”.

Ale dwaj chłopcy znad Dniepru, zmęczeni długą podróżą w przepełnionym pociągu, spali słodko. Rankiem stwierdziłem, że ukradziono nam walizki. Nie mieliśmy nic poza brudnymi ubraniami, w których przyjechaliśmy i spaliśmy. Spacer po osiedlu górniczym nie poprawił nam humoru. Przy długiej, nędznej alei stały stare rudery i nowe baraki z surowego drewna. Wszystko pokrywał całun węglowego pyłu. Romantyzm „budowania socjalizmu” własnymi rękami natychmiast wyparował i minęło wiele tygodni, nim odzyskaliśmy nieco zapału, z którym zaczynaliśmy.

Sienia został przydzielony do jednego z szybów, głęboko w dębowym lesie. Ale mnie czekał zupełnie inny los. Brakowało ludzi wykształconych i działacze związków zawodowych postanowili, że będę pracował w administracji. Wizja siebie wymachującego kilofem, z górniczą lampką na czole, ustąpiła przed rzeczywistością, w której wymachiwałem piórem i liczydłem.

Przez pierwsze miesiące mieszkaliśmy w jednym z ogromnych, brudnych baraków, gdzie stłoczono nowo przybyłych. Później dostaliśmy pokój w jednym z małych mieszkań, zajmowanych przez starych górników. Kiedy przyzwyczałem się do węglowego pyłu i prymitywnych warunków, nowe życie nabrało barw, a nawet emocji. Znalazłem się w tyglu ras i grup społecznych zamieszkujących imperium radzieckie.

Rosjanie i Ukraińcy stanowili rzecz jasna większość, lecz byli tam również Tatarzy, Ormianie, Chińczycy, górale z Kaukazu, Kazachowie z azjatyckich stepów. Nieliczni, jak Sienia i ja, przyjechali budować radziecki przemysł ożywieni patriotycznym zapałem. Jednakże masa ochotników ściągnęła tu ze względu na wysokie płace. Tysiące wyjeżdżały, gdy tylko udało im się zaoszczędzić na krowę, konia lub budowę nowego domu; niezwykle wysoka fluktuacja siły roboczej była największym zmartwieniem administracji.

Pomiędzy różnymi rasami nie było wielkiej miłości. Ich przedstawiciele nie tylko żyli osobno, ale i pracowali osobno; Azjaci w najgłębszych i najtrudniejszych sztolniach, Rosjanie i Ukraińcy na lżejszych stanowiskach. Ale przepaść dzieląca klasę od klasy, była jeszcze głębsza niż ta, która oddzielała rasę od rasy. Resztki „byłych” – synowie kupców, właściciele ziemskich i popów, dawni oficerowie i urzędnicy starego reżimu, dawni studenci – czuły się wyrzutkami, ledwo tolerowanymi i otwarcie pogardzanymi.

Życie w barakach było surowe i często nieprzyjemne. Ludzie pili wódkę z butelki, a później wdawali się w kłótnie i bójki na pięści. Niektórzy uprawiali hazard i spierali się podniesionymi głosami

na absurdalne tematy. Widziałem górników, którzy przegrywali w karty nie tylko swoje pensje, ale także ostatnią parę butów i jedyny koc. Kluby robotnicze, lekcje czytania i pisanie oraz biblioteka przyciągały znikomą część robotników.

Z zainteresowaniem obserwowałem szybką przemianę chłopskich synów, niezręcznych i zagubionych, którzy zetknęli się po raz pierwszy z wielkim światem poza własną wioską. W łapciach z łyka, workowatych, szytych w domu spodniach i długich chłopskich koszulach, gapili się z otwartymi ustami na „proletariat” i egzotyczne ludy z odległych części Rosji.

Ale jakże szybko stawali się innymi, choć nie zawsze lepszymi ludźmi. Wielu z nich wracało z miasta ogolonych i uperfumowanych, w gotowych ubraniach, w eleganckich, skrzypiących butach; fotografowali się w swoim nowym stroju, aby zadziwić krewnych w rodzinnej wiosce; przechadzali się buńczucznie po osadzie w hałaśliwych grupach, przy dźwiękach akordeonu, w doskonałych humorach. Ale byli też inni, których ciągnęło, w tak samo naturalny sposób, do klubu i na lekcje; ci niebawem zaczęli pogardzać „zacofaniem” i brakiem „kultury” u swoich przyjaciół i dyskutowali o polityce, jakby robili to od urodzenia.

Moje życie koncentrowało się oczywiście wokół klubu. Moja pasja do czytania, przerwana przez wojnę domową i głód, odżyła teraz w pełni. Poza książkami dostępnymi w bibliotece czytaliśmy te, które pożyczaliśmy od siebie nawzajem. Niemal we wszystkie wieczory i dni wolne chodziłem na lekcje chemii, matematyki, fizyki albo słuchałem dyskusji technicznych na temat górnictwa węglowego. Sienia i ja przyjaźniliśmy się z chłopcami i dziewczętami tak samo żądnymi wiedzy jak my, a moje osiągnięcia w nauce zapewniły mi pewien prestiż wśród bardziej poważnych młodych robotników i dzieci robotniczych.

Gazety rozbrzmiewały wezwaniem do lepszego życia. Biedna i zacofana Rosja weszła już na drogę postępu - wszyscy musieli tylko wydobywać więcej węgla, zbierać lepsze plony, nabierać kultury. Czytałem te wezwania, jakby były adresowane osobiście do mnie. Od czasu do czasu któryś z wielkich przywódców - Pietrowski, Rakowski albo nawet Łunaczarski - przejeżdżał przez nasz rejon. Słuchając ich, czułem się częścią czegoś nowego, wielkiego, ekscytującego. Na moskiewskim Kremlu rządili ludzie, których nazywaliśmy po prostu towarzyszami - Lenin, Trocki, Dzierżyński - ale ja wiedziałem, że to postacie formatu bogów.

Patrząc wstecz na moje osobiste dzieje jako komunisty, jestem skłonny wiązać swoje nawrócenie z przybyciem towarzysza Łazariewa, który wygłosił cykl wykładów o problemach socjalizmu. Był mężczyzną około trzydziestki, pracownikiem uniwersytetu w Swierdłowsku, wysokim, szczupłym, schludnie ubranym. Mówił prosto własnymi słowami, nie

cytatami z Marksa czy Lenina. Największe wrażenie zrobiło na mnie to, że nosił krawat, dostarczając argumentu tym spośród nas, którzy dowodzili, iż można być dobrym obywatelem radzieckim, a mimo to folgować takim burżuazyjnym nawykom.

Pewnego dnia, gdy siedziałem w bibliotece pochłonięty książką, ktoś za mną spytał:

- Co czytacie? Jestem ciekaw.

Odwróciłem się. To był towarzysz Łazariew.

- *Poglądy księdza Hieronima Coignarda* Anatole'a France'a - odparłem, uśmiechając się z zakłopotaniem.

- Ach tak? Anatole France? - powiedział. - Dlaczego nie rosyjscy klasycy albo jakiś współczesny pisarz radziecki?

- U Anatole'a France'a znajduję mnóstwo rzeczy, których nie znajduję u pisarzy radzieckich - odparłem. - Jest subtelny i bardzo szczery. Czytam rosyjskich klasyków, ale nowi autorzy... piszą tylko na tematy polityczne i zdają się unikać prawdziwego życia wokół nas.

- Bardzo interesujące, porozmawiajmy o tym któregoś wieczoru. Przyjdźcie do mojego pokoju, to się poznamy.

Spotkałem go znowu kilka dni później na *subbotniku*: czynie społecznym, kiedy setki ochotników wykonywały jakąś pilną pracę bez wynagrodzenia. Tym razem trzeba było przerzucić ogromną stertę węgla, żeby oczyścić drogę. Towarzysz Łazariew był w roboczym ubraniu pokrytym sadzą i pracowicie machał łopatą. Przywitał mnie jak starego przyjaciela, co mi pochwlebiało.

Tego wieczoru znowu zobaczył mnie w bibliotece. I też zapytał, co czytam. *Co robić?* Czernyszewskiego, odpowiedziałem.

- Ważne dzieło - skinął aprobowująco głową.

- Tak, a jego pytanie, co robić, właśnie mnie teraz zaprzęta - powiedziałem.

- Na to pytanie odpowiedział już za miliony Lenin, a przed nim Marks. Czytaliście Lenina i Marksa?

- Trochę Lenina - odparłem - ale Marksa nie. Oczywiście czytałem literaturę partyjną, ale nie jestem pewien, czy odpowiada na pytanie, co robić.

- Przyjdźcie do mojego pokoju, napijemy się herbaty, zjemy coś i porozmawiamy, nie przeszkadzając nikomu - uśmiechnął się towarzysz Łazariew.

Był to nieskazitelnie czysty, jasny pokój. Kanapa przykryta pstrokatą narzutą, książki starannie poustawiane na biurku między podpórkami, kwiaty w kolorowym wazonie. Na ścianie wisiało kilka fotografii rodzinnych, jedna z nich przedstawiała Łazariewa jako chłopca, w gimnazjalnym mundurku, z psem u stóp, inna jego ładną siostrę, też w stroju szkolnym. Na drugiej ścianie dostrzegłem oprawione fotografie

Lenina i Marksa, a pomiędzy nimi - był to szczegół, który ucieszył mnie i ujął, chociaż nie potrafiłbym powiedzieć, dlaczego - znaną fotografię Lwa Tołstoja w podeszłym wieku, w długiej chłopskiej koszuli, z kciukami zatkniętymi za płócienny pas.

To nie jest jakiś prostacki marynarz, napastujący pielęgniarkę w nocy, pomyślałem. Za takim komunistą mógłbym pójść.

- Ponieważ mam tu mieszkać przez kilka miesięcy - wyjaśnił Łazariew - starałem się urządzić jak w domu.

Tego wieczoru rozmawialiśmy przez kilka godzin o książkach, o partii, o przyszłości Rosji. Moje miejsce jest wśród komunistycznej mniejszości, która musi wskazywać drogę, powiedział Łazariew, powinienem więc wstąpić do Komsomołu, a później do partii. Oczywiście, zgodził się, partia nie jest doskonała i zapewne jej program nie jest doskonały, ale ludzie są ważniejsi niż programy.

- Jeśli bystrzy, młodzi idealiści tacy jak ty będą stać z boku, to jakie mamy szanse? - spytał. - Dlaczego nie zbliżysz się do nas, żeby pracować dla wspólnej sprawy? Możesz pomóc innym, służąc przykładem oddania krajowi. Rozejrzyj się tylko po barakach - hazard, brud, pijaństwo, chciwość tam, gdzie powinna być czystość, książki, światło duchowe. Musisz zrozumieć, że czeka nas gigantyczne zadanie, trzeba posprzątać stajnie Augiasza. Musimy wykorzeniwać zatechłą, brudną, aspołeczną przeszłość, która wciąż nas otacza, i potrzebujemy do tego dobrych ludzi. Chodzi, Witiu, nie tylko o formalny socjalizm, ale o przyzwoitość, wykształcenie i lepsze życie dla mas.

Komuniści „naciskali” na mnie już wcześniej. Ale teraz, po raz pierwszy, usłyszałem echa tego ducha, który przenikał moje dzieciństwo. Spierałem się z towarzyszem Łazariewem, powiedziałem, że się zastanowię, ale w rzeczywistości zgadzałem się z nim i już podjąłem decyzję.

Kiedy kilka tygodni później towarzysz Łazariew wyjechał do Moskwy, byłem w licznej grupie - zwykłych górników, pracowników biurowych i najwyższych urzędników administracyjnych - która zebrała się na dworcu, żeby go pożegnać.

- Jesteś, Witiu - zauważył mnie. - Przypadkowo usłyszałem, że wstąpiłeś do Komsomołu. Bardzo dobrze! Gratuluję! Ale dlaczego mi nie powiedziałeś? Mógłbym cię zarekomendować.

- Wiem i jestem wdzięczny, ale chciałem zrobić to sam... bez protekcji.

- Może masz rację - uśmiechnął się. - A tutaj jest mały prezent, który wybrałem specjalnie dla ciebie.

Była to książka. Marks albo Lenin, jak przypuszczałem. W drodze do domu spojrzałem na tytuł: *Trzy sztuki Shakespeare'a*. Łazariew, żarliwy komunistą i zdolny przywódca, łączył humanizm Tołstoja

i umiłowanie piękna ucieleśniane przez Shakespeare'a ze swoją marksistowsko-leninowską wiarą. Czy takie połączenie mogło przetrwać? Czy Łazariewowie mogli zatriumfować?

2

Nowe życie miało teraz dla mnie znaczenie, cel, nowy i emocjonujący wymiar oddania sprawie. Należałem do elity, wybranej przez Historię, aby wyprowadziła mój kraj i cały świat z ciemności w socjalistyczne światło. To brzmi pretensjonalnie, wiem, ale tak właśnie wtedy rozmawialiśmy i czuliśmy. Wśród dorosłych komunistów mógł występować cynizm i samolubstwo, ale nie w naszym kręgu gorliwych nowicjuszy.

Moimi przywilejami jako jednego z wybranych była jeszcze cięższa praca, pogarda dla pieniędzy i wyrzeczenie się ambicji osobistych. Ani na chwilę nie mogłem zapomnieć, że najpierw jestem komsomolcem, a dopiero potem człowiekiem. Fakt, że wstąpiłem do Komsomołu w regionie górniczym, na obszarze „rozwoju przemysłowego”, dodawał w moich oczach temu wydarzeniu znaczenia mistycznego. Przypuszczam, że młody szlachcic dopuszczony w czasach carskich do dworu doświadczał takiego samego poczucia „przynależności”.

Nie pozostawało mi już wiele czasu na drobne przyjemności. Życie było wypełnione obowiązkami - wykładami, przedstawieniami teatralnymi dla górników, partyjnymi „tezami”, które należało studiować i omawiać. Zdawaliśmy sobie sprawę, że spośród nas wyjdą jutrzejsi Leninowie i Bucharinowie. Doskonaliśmy się do przywództwa; byliśmy akolitami swego rodzaju materialistycznej religii.

Przekonawszy się, że potrafię pisać i przemawiać z naturalną elokwencją, niebawem stałem się „aktywistą”. Działiałem we wszelkiego rodzaju komitetach, prowadziłem pracę misyjną wśród bezpartyjnych niewiernych, występowałem na różnych uroczystościach. Były niezliczone okazje do świętowania, niezależnie od zwykłych rocznic rewolucyjnych. Zainstalowanie nowych maszyn, otwarcie nowych szybów, wykonanie planów produkcyjnych uświetniano demonstracjami, muzyką, przemówieniami. Wszędzie na świecie węgiel był po prostu węglem - u nas był „paliwem do parowozu rewolucji”.

Dzięki wstawiennictwu towarzysza Łazariewa zostałem przeniesiony do pracy w szybach. Nie musiałem już zazdrościć Sieni zajęcia. My obaj oraz kilku innych młodych górników tworzyliśmy artel, grupę roboczą, która pracowała i otrzymywała wynagrodzenie jako zespół. W tym czasie propagowano system artelowy jako sposób na zwiększenie produkcji. Członkowie wydajnych arteli zarabiali zwykle więcej niż pojedynczy górnik. Było to jednak najmniejsze z naszych zmartwień.

Zgłaszaliśmy się do najtrudniejszych i najbardziej niebezpiecznych zadań, aby dowieść swojej gorliwości czynem. Mieliśmy nawet hasło, które uroczyście obwieściliśmy zwierzchnikom: „Jeśli coś jest konieczne, można to zrobić”.

Członkowie naszego artelu mieszkali razem w czystym i wygodnym domu pełnym dobrych książek. Zmienialiśmy się przy szorowaniu podłóg i innych pracach domowych. Byłem pewien, że radzieccy przywódcy i rosyjscy klasycy, których fotografie zdobiły ściany, patrzą z aprobatą na tę wysepkę „kultury” w morzu zacofania. Był wśród nich Sergo Ordżonikidze, jeden z bliskich współpracowników Lenina, a później ludowy komisarz przemysłu ciężkiego. Lubilem jego grubo ciosaną gruzińską twarz z ogromnym orlim nosem i zmierzwionymi, sumiastymi wąsami. Może miałem mgliste przecucie, że ten człowiek stanie się później moim patronem, a w pewnym sensie także inspiracją dla mnie jako komunisty.

Od czasu do czasu pozwalaliśmy sobie oczywiście na trochę swobody i urządzaliśmy beztroskie wieczorki towarzyskie. Przyjaciele i koledzy lubili zbierać się w naszym domu – był taki „cywilizowany”, a rozmowy takie „podniosłe”. Jeden z naszego grona doskonale grał na gitarze; śpiewaliśmy, tańczyliśmy i dyskutowaliśmy do późnej nocy. Przychodziło też sporo atrakcyjnych dziewcząt z naszej społeczności. Jeśli bawiliśmy się za dobrze, wszyscy mieliśmy trochę poczucia winy i w następnych dniach odbywaliśmy komsomolską pokutę bardziej intensywną pracą, nauką i dyskusjami politycznymi.

Późną jesienią chełpliwe hasło naszego artelu zostało wystawione na krytyczną próbę. Jedna z kopalń została zalana. Podparto ją drewnianymi stemplami, żeby się nie zawaliła, ale praca trwała nieprzerwanie. Zgłosiliśmy się właśnie do tej kopalni, żeby dać przykład zatrudnionym tam na stałe górnikom, głównie Tatarom i Chińczykom.

Pracowałem w szybie, machając intensywnie kilofem, chociaż stałem niemal po kolana w lodowatej wodzie. Nagle cały świat jakby zadrżał, zatrzeszczał i jęknął. Usłyszałem czyjś przerażony krzyk – prawdopodobnie był to mój głos. Część naszego szybu się zawaliła. Kiedy znowu otworzyłem oczy, leżałem w wielkiej bielonej sali, na jednym z ustawionych rzędem szpitalnych łóżek. Lekarz w białym fartuchu sprawdzał mi puls, a sympatyczna pielęgniarka w średnim wieku stała obok z notatnikiem i ołówkiem w ręku. Widząc, że odzyskałem przytomność, uśmiechnęła się na powitanie.

– Wszystko będzie dobrze, towarzyszu Krawczenko, nie martwcie się – powiedziała, a lekarz skinął twierdząco głową.

Powiedzieli mi, że przez dwie albo trzy godziny leżałem w wodzie w zawalonej kopalni. Chiński robotnik pracujący obok mnie zginął. Nie było dla mnie wielkiej nadziei – wszyscy uznali, że jeśli nie przygniotły

mnie walące się ściany, to musiałem utonąć w lodowatej wodzie. Ale nic mi się poważniejszego nie stało, miałem tylko posiniaczone nogi i wysoką gorączkę, z której później rozwinęło się zapalenie płuc.

Co ciekawe, dwa miesiące spędzone w szpitalu w Ałgowierowce zapamiętałem jako jeden z najprzyjemniejszych epizodów mojej młodości. Historia mojego artelu i jej punkt kulminacyjny, zawał w kopalni, rozrosła się w opowieściach do sagi o socjalistycznym heroizmie, w której odgrywałem rolę jednego z bohaterów. Ważni działacze związkowi i partyjni przychodzili do mnie do szpitala, chłopcy i dziewczęta z Komsomołu odwiedzali mnie regularnie i zawsze przynosili jakieś drobne podarunki. W dniu swoich osiemnastych urodzin wciąż byłem w szpitalu. Członkowie artelu i przyjaciele zjawili się tłumnie, dając podnoszący na duchu pokaz koleżeństwa.

Sympatyczna pielęgniarka traktowała mnie jak syna. W istocie, w miłym nieróbstwie rekonwalescencji miałem poczucie, że cała Rosja – jej robotnicy, komsomolcy i dygnitarze – uznała mnie za ukochanego syna wielkiej i wspaniałej rodziny.

Lekarze zabronili mi wracać do kopalni przynajmniej przez rok i żadne moje prośby nie mogły zmienić ich zalecenia, przekazanego administracji. Nie miałem ochoty pracować znowu w biurze i dlatego przygotowywałem się do powrotu do Trwogi i Jekaterynosławia.

W trakcie tych przygotowań nadeszła wiadomość, że 24 stycznia 1924 roku umarł Lenin. W tym zakątku Zagłębia Donieckiego wstrząs i smutek były szczere i głębokie. Ta reakcja miała niewiele wspólnego z polityką. Dla prostych ludzi w kopalniach węgla – nawet dla hazardzistów i awanturników w barakach, pyszałków w skrzypiących butach, nie mówiąc już o komsomolcach – Lenin stał się symbolem nadziei. Chcieliśmy wierzyć, że cierpienia minionych krwawych lat były inwestycją na jasną przyszłość. Każdy z nas miał poczucie osobistej straty.

Przemaszerowałem pięć kilometrów, wraz z tysiącami innych, na wiec żałobny przed biurem kopalni „Komuna Paryska”. Było przejmująco zimne, śnieżne popołudnie; porywy wiatru cięły jak ostre noże. Trybuna pod gołym niebem została udrapowana czerwonym i czarnym płótnem, chociaż całun śniegu pokrył niebawem wszystko. Kolejni mówcy przekrzykiwali wyjący wiatr, deklamując formuły oficjalnego żalu.

- Towarzysze górnicy! – grzmiał nadęty delegat z Charkowa. – Lenin nie żyje, ale dzieło Lenina idzie naprzód. Przywódca rewolucji proletariackiej... przywódca światowej klasy robotniczej... najlepszy uczeń Marksa i Engelsa...

Oficjalne słowa wprawiły mnie w przygnębienie. Dlaczego nie mówią prosto, z serca, zamiast cytować z artykułów wstępnych „Prawdy” i „Izwestij”? Brnąc do domu wśród śnieżnej zamieci, odkryłem

z zadowoleniem, że Sienia i inni są tak samo przybici. Mówcy nie zdołali wyrazić naszych uczuć, ponieważ to, co czuliśmy, miało mniej wspólnego ze zmarłym przywódcą, a więcej z naszymi żywymi nadziejami.

Kilka dni później przeczytaliśmy w lokalnej gazecie przysięgę Iosifa Stalina złożoną przy trumnie Lenina na placu Czerwonym w Moskwie. Była to krótka, niemal liturgiczna obietnica podążania drogą wskazaną przez zmarłego przywódcę i w przeciwieństwie do retoryki na naszym wiecu żałobnym naprawdę mnie poruszyła. Stalin był członkiem wszechpotężnego Politbiura, sekretarzem generalnym partii i ważną figurą w nowym rządzie od samego początku. Ale dopiero wtedy zdałem sobie po raz pierwszy sprawę z jego istnienia. To dziwne, pomyślałem, że na ścianie nie mamy nawet jego portretu.

Od tamtego dnia imię Stalina stało się tak wielkie, tak wszechobecne, że trudno było przypomnieć sobie czas, kiedy nie kładło się cieniem na nasze życie.

3

Spędziłem w okręgu górniczym tylko rok, ale trudno mi było oderwać się od niego. Gdyby ktoś mi powiedział tamtego smutnego poranka nazajutrz po przyjeździe, iż zacznę kochać to posępne miejsce, jego surowe człowieczeństwo, jego ciężką pracę, pomyślałbym, że oszalał. Wbrew sobie zacząłem czuć tak jak górnicy – patrzyłem na ich wady i rozterki od wewnątrz, ze współczuciem, a nie z zewnątrz, krytycznie.

Zbliżyło mnie do nich poczucie odosobnienia, monotonia i niebezpieczeństwo wiążące się z pracą w kopalniach. Nie jest prawdą, że kochamy tylko to, co radosne i piękne. Rzeczy tragiczne i brzydkie też mogą zawładnąć wyobraźnią i zmysłami. Kochamy to, co porusza nasze serca. Wiążemy się z ludźmi i miejscami dzięki emocjom, jakie w nas budzą, nawet nieprzyjemnym emocjom. Nigdy nie zapomniałem swojego pobytu w zagłębiu węglowym. Zawsze będę czuł więź z górnikami, mieszkańcami czarnego podziemnego świata.

W moim przedziale pociągu jadącego z Zagłębia Donieckiego siedziało sześciu pasażerów. Zwyczajem wszystkich Rosjan niebawem wdaliśmy się w kłótnię. Chociaż byłem najmłodszy w grupie, czułem się odpowiedzialny za przebieg rozmowy. Jako komsomolec nigdy nie traciłem okazji, aby rozwodzić się na temat przyszłego szczęśliwego życia i tłumaczyć bieżące trudności.

- Bez przerwy mówicie o lepszym życiu, towarzyszu - poskarżył się inteligent - a tymczasem wciąż nie ma chleba, nie ma nafty, nie ma butów. Moja żona i ja trzęsiemy się z zimna, często nie mamy co jeść. To nie życie, to męka...

Był wymizerowanym mężczyzną w średnim wieku, o pociągłej twarzy,

i nosił okulary w złotej oprawce. Miał wiosenny płaszcz, nieodpowiedni na tę porę roku, a na szyi damski wełniany szalik; przez dziury w butach prześwitywały białe skarpetki.

- Przepraszam, czym się zajmujecie? - spytał go inny pasażer.

- Jestem kompozytorem - odparł inteligent zaczepnie. - Piszę nuty, muzykę.

- Och, piszecie nuty - zadrwił ktoś inny. - Komu są potrzebne wasze nuty? Komu są potrzebne jakieś cklive walce w takich czasach? Idźcie do fabryki, do jakiejś prawdziwej pracy, a nie będziecie mieli powodu, żeby się skarżyć.

- A więc wszyscy muszą pracować w fabrykach? - wykrzyknął kompozytor zapalczywie. - Czy nowi budowniczowie socjalizmu nie potrzebują muzyki? Czy wszyscy mamy się przekształcić w bezduszne maszyny?

- Macie rację, nie potrzebujemy żadnych cholernych nut ani melodyjek. Musimy produkować więcej dóbr.

- Dusze zostały zlikwidowane! - wtrącił cierpko trzeci pasażer.

- W takim razie nie ma po co z wami rozmawiać! - zawołał znowu kompozytor. - Jesteście wulgarni i nie będę tracił na was słów.

W tym momencie wtrąciło się moje komsomolskie sumienie, aby uratować sytuację.

- Pozwólcie, że zwrócę się do was wszystkich - oświadczyłem uroczyście. - Spieracie się ze zbyt wielkim uniesieniem i bez dostatecznego zrozumienia, jeśli wolno mi tak powiedzieć. To prawda, że wciąż brakuje nam wielu rzeczy, ale nie szczędzimy trudu, żeby uzupełnić te braki. Z czasem będziemy mieli wszystko - i to dotyczy również muzyki.

- Może ten obywatel nie jest Czajkowskim, ale jeśli pisze dobrą muzykę, on też pomaga budować socjalizm. Właśnie wracam z zagłębia węglowego i wiem, jak bardzo potrzebujemy węgla. Ale wierzcie mi, muzyki potrzebujemy nie mniej niż węgla. Musimy ogrzewać naszego ducha tak samo jak nasze ciała.

Moje słowa najwyraźniej wywarły na nich wrażenie. Nie musiałem im mówić, że jestem jednym z wybranych; w moim głosie był autorytet. Zanim pociąg dotarł do Dniepropietrowska - jak nazywał się teraz Jekaterynosław - poruszono dziesiątki tematów, a ja byłem ostatecznym arbitrem we wszystkich. Może ci, którzy się ze mną nie zgadzali, woleli zachować ostrożność - po co spierać się z komsomolcem?

Do komuny dotarłem przed wieczorem. Mój pies, Reker, spotkał mnie po drodze i oszalał z podniecenia. Zajrzałem przez okno do naszego domku i zobaczyłem matkę czytającą w świetle lampy naftowej. Trochę się zestarzała, trochę schudła, trochę posiwiała. Otworzyłem drzwi i zmienionym głosem spytałem:

- Czy tu mieszka obywatelka Krawczenko?

- Witia, kochany, najdroższy! - zawołała i rozpląkała się z radości.

Tego wieczoru wysłuchałem lokalnych nowin. Komuna dogorywała. Tylko trzy albo cztery rodziny uprawiały jeszcze ziemię. Kilku innych osadników nadal tu mieszkało, ale pracowali w zakładach przemysłowych w pobliskich miastach. Mój ojciec i bracia wrócili do Dniepropietrowska i dobrze zarabiali. Do wiosny mieli nadzieję znaleźć dwu- albo trzypokojowe mieszkanie, aby rodzina mogła się połączyć.

Teren komuny był zaniedbany i ponury. Wszędzie przeciekały dachy, a drzwi wyskakiwały z zawiasów. Ze ścian i stropów wydarto drewniane belki i zużyto na opał. Okoliczni chłopci mówili: „Widzicie, komuniści nie potrafią pracować na ziemi. Potrafią tylko aresztować i ściągać podatki”. Kilku z nich, dowiedziawszy się, że wróciłem, przyszło z wizytą. Traktowali mnie z szacunkiem należnym dorosłemu, który był w wielkim świecie, i zasypywali pytaniami o zamierzenia „nowej władzy” wobec chłopów i ich ziemi.

W korbińskiej fabryce robotnicy otoczyli mnie i też pytali. Wymyślałem odpowiedzi, jakich, w moim przekonaniu, powinien udzielić żarliwy komsomolec. Kilka dni później opowiedziałem w fabrycznym klubie o życiu donieckich górników. Nie ukrywając trudności i braków, starałem się przedstawić tamtejsze życie od najlepszej strony. Czterej młodzi robotnicy z Korbina wyrazili chęć wyjazdu do pracy w kopalniach, a ja podałem im nazwiska i adresy znanych mi działaczy związków zawodowych.

Po narąbaniu ogromnej sterty drewna na opał i naprawieniu drzwi obory - wciąż mieliśmy jedną krowę - wyjechałem z komuny do miasta. Mój ojciec i młodszy brat Jewgienij pracowali w zakładach metalurgicznych im. Pietrowskiego i Lenina i ja niebawem też się tam zatrudniłem, w warsztatach mechanicznych. Konstantin znalazł pracę w innej fabryce w Dniepropietrowsku (radziecka nazwa Jekaterynosławia wciąż brzmiała dziwnie). Pozostałem tam przez trzy lata, dopóki w dwudziestym pierwszym roku życia nie zostałem powołany do Armii Czerwonej, zgodnie z przepisami o służbie wojskowej.

Nasz zakład metalurgiczny składał się z kilku budynków rozrzuconych na obszarze kilku hektarów na obrzeżach Dniepropietrowska. Zatrudniał około dwudziestu czterech tysięcy mężczyzn i kobiet i był jednym z największych przedsiębiorstw przemysłowych w południowej Rosji. Przed rewolucją jego pracownicy brali udział w strajkach i buntach, otaczała go więc legenda. Towarzysz Pietrowski, przewodniczący Centralnego Komitetu Wykonawczego Ukraińskiej Republiki Radzieckiej, pracował tu jako młody człowiek; inni ważni

komunistyczni przywódcy też mieli tutaj swoje proletariackie korzenie.

Organizacja partyjna, obejmująca nasze sekcje Komsomołu, liczyła około dwóch tysięcy członków i prowadziła ożywioną działalność propagandową. Pietrowski, Rakowski, Kaganowicz i inni przywódcy często przyjeżdżali, aby przemawiać na wiecach fabrycznych. Angażowałem się coraz bardziej w komsomolską pracę, chodziłem na kursy techniczne, co zajmowało mi większość wieczorów, i odgrywałem istotną rolę w politycznych i literackich dyskusjach, organizowanych w różnych klubach fabrycznych.

Minione lata nie przekonały mojego ojca do komunistów. Był gotów przyznać, że wielu z nich to uczciwi i porządni ludzie, ale rzeczywistość rewolucji wciąż zbyt odbiegała od jego młodzieńczych marzeń. Nigdy się nie wtrącał do mojej działalności komsomolskiej i cieszył się w głębi duszy, że znajduję sobie miejsce w nowym środowisku. Ale czasami nie mógł się powstrzymać od gorzkich komentarzy na temat kontrastu pomiędzy dostatnim życiem urzędników i inżynierów a nędzą zwykłych robotników.

- Mówimy o jedności, synu - powtarzał - i równości. Ale spójrz, jak żyje towarzysz N. ze swoim wielkim mieszkaniem, samochodami i drogimi ubraniami; a potem spójrz na baraki, gdzie nowi robotnicy ze wsi są upchani jak sardynki. Czysta sala i przyzwoite jedzenie w stołówce dla administracji i byle co w stołówce robotniczej...

- Daj nam czas, tato - zaklinałem. - Jest zbyt wiele problemów, żeby je rozwiązać natychmiast.

- Wiem o problemach. Ale wiem również, że dystans pomiędzy klasami wyższymi i niższymi rośnie, nie maleje. Władza to niebezpieczna rzecz, Witiu.

Z warsztatów mechanicznych zostałem wkrótce przeniesiony do walcowni, a po niespełna roku awansowałem na brygadzystę, z pensją, która poważnie zasilila nasz rodzinny budżet. Ponieważ wszyscy czterej pracowaliśmy, żyło nam się dobrze pomimo wysokich cen. Dzięki NEP, Nowej Polityce Ekonomicznej, zgodnie z którą prywatny handel znowu stał się legalny, powstały setki nowych sklepów, restauracji, kawiarni. Za pieniądze można było teraz kupić niemal wszystko.

W fabryce stykałem się głównie z kierownikami, pracownikami administracji, działaczami partyjnymi i związkowymi. Wbrew sobie i wbrew zaleceniom ojca, abym nie tracił kontaktu z masami, w coraz większym stopniu zacząłem patrzeć na radzieckie życie z punktu widzenia „kierownictwa”. Ani Gienia, ani Kotia nie przejawiali nadmiernego entuzjazmu politycznego. Pracowali dobrze i ciężko, uczestniczyli tylko w tych demonstracjach i wiecach, w których musieli, i jak większość szeregowych pracowników, przyjmowali oficjalną

propagandę z dużą dozą sceptycyzmu.

- Masz zadatki na prawdziwego komunistycznego biurokrate, braciszku - szydził ze mnie Gienia. - Nie pozwól tylko, żeby romantyczny humanitaryzm ojca sprowadził cię na manowce.

Wiosna 1927 roku nie różniła się zapewne od innych wiosen, które ją poprzedzały i które po niej nastąpiły. Ale dla mnie na zawsze będzie naznaczona płomieniem, jej barwy pozostaną żywsze, jej cienie subtelniejsze. Nazywała się Anna, miała siedemnaście lat, niebieskie oczy i złote włosy. Poznaliśmy się na przyjęciu w domu kierownika sklepu i od momentu, gdy podaliśmy sobie ręce, inni goście przestali dla nas istnieć.

Ojciec Anny był głównym inżynierem na ważnej linii kolejowej. Chociaż pochodził z rodziny robotniczej, a w czasach studenckich należał do tajnych kółek socjalistycznych, pozostał dosyć daleko od nowego społeczeństwa radzieckiego. Jej matka zachowała swoje przedrewolucyjne nawyki i lekceważenie dla „prostego ludu”. Nawet w gorączce pierwszej prawdziwej miłości pod powierzchnią moich uczuć zawsze obecna była świadomość, że Anna nie jest „z tej samej gliny”. Udawała zainteresowanie moją działalnością w Komsomole, ale ja doskonale wiedziałem, iż ją to nudzi. A co się tyczy jej matki, nawet nie próbowała ukrywać pogardy dla komunistów, dla radzieckich haseł i dla mojej skromnej pozycji fabrycznego brygadzysty.

- Gdyby twój komsomolec był przynajmniej inżynierem - powiedziała pewnego wieczoru z irytacją do Anny.

Sama Anna była rozdarta pomiędzy tym, co wpajano jej w radzieckiej szkole, a wpływem „burżuazyjnego” środowiska domowego. Udało nam się spędzić razem miesiąc w należącym do mojej fabryki domu wypoczynkowym nad brzegami Dniepru. Anna kwitowała moje próby nawracania jej na komunizm pocałunkami i uściskami, a ja nie znajdowałem odpowiedzi na takie argumenty.

Ale oboje zdawaliśmy sobie sprawę, iż małżeństwo nie wchodzi w rachubę - nie pasowaliśmy do siebie „ideologicznie”. Tylko ktoś, kto żył w czasie i miejscu wszechwładnej dominacji polityki, może to zrozumieć. Po powrocie do Dniepropietrowska coraz bardziej oddalaliśmy się od siebie. Kiedy w drugiej połowie 1927 roku powołano mnie do służby wojskowej, w głębi serca oboje wiedzieliśmy, że to koniec. Miałem spotkać ją znowu czternaście lat później - w schronie przeciwlotniczym w Moskwie.

Dwa i pół tysiąca kilometrów granicy, gdzie ogromne, spieczone słońcem obszary radzieckiej Azji Środkowej stykają się z Persją, Afganistanem i Kaszmiem w Indiach, od dawna było scenerią walki z basmaczami. Ustawicznie byli oni „pacyfikowani” w operacjach wojskowych, tylko po to, aby znowu dać o sobie znać, złowieszczą jak zawsze, nowymi najazdami i nowymi okrucieństwami.

Przez lata w gazetach ukazywały się mrożące krew w żyłach relacje o straszliwych i zdradzieckich basmaczach. Przedstawiano ich jako dzikich bandytów, walczących o łupy za podszeptem muzułmańskich duchownych, jako najmitów obalonych emirów i narzędzia brytyjskiego imperializmu. Okrucieństwo tych wrogów zdawało się bezgraniczne. Torturowali radzieckich jeńców. Ulubionym sposobem było zakopywanie ich po szyję i pozostawianie, aby umarli powoli z gorąca i pragnienia albo zostali żywcem pożarci przez robactwo i sępy.

W tych dziennikarskich opisach było trochę sprzeczności. Bandytyzm i chęć zdobycia łupów nie mogły wyjaśnić uporczywości i zaciętości, z jaką niewielkie grupki basmaczy zmagają się z lepiej zorganizowanymi i dobrze uzbrojonymi oddziałami Armii Czerwonej. Rabunek nie do końca dawał się pogodzić z religijnymi wpływami mułłów i politycznymi interesami Brytyjczyków i emirów.

Później, kiedy miałem bardziej dojrzałe spojrzenie na problem, uświadomiłem sobie, że radziecka wersja stanowiła w znacznym stopniu wytwór propagandy. W rzeczywistości basmacze byli miejscowymi patriotami, występującymi przeciwko dławieniu ich narodowej niezależności przez obcych najeźdźców. Narazali życie, aby przeciwstawić się temu, co wydawało im się splugawieniem ich odwiecznych zwyczajów i wiary. W zasadzie niezbyt się różnili od hinduskich patriotów walczących z Brytyjczykami po drugiej stronie granicy.

Carscy namiestnicy ściągali trybut z Azji Środkowej, ale pozostawili u władzy miejscowych książąt i mułłów. Nowi władcy, w imię dziwnych bogów nazywanych Leninem i Marksem, wypędzili emirów i wyśmiewali się z muzułmańskiej religii; sprowadzali „bezbożne” maszyny i idee, aby przebudzić koczowniczą ludność z tysiącletniej drzemki; deprawowali młodzież zachodnimi ideami, a nawet zachęcali kobiety, aby paliły czarczafy i porzucały haremy.

To właśnie przeciwko tym zagrożeniom basmacze, usadowieni w górach perskiego pogranicza, w miastach afgańskich równin i w Turkiestanie, walczyli z dziką zjadłością. Nie ma też wątpliwości, że w tych wczesnych latach cieszyli się sympatią większej części ludności Azji Środkowej. Nie bez powodu w tej niekończącej się wojnie władze używały wojsk pochodzących z Rosji właściwej, a nie lokalnych kontyngentów.

Ale wersja radziecka zawierała również elementy prawdy. Na przykład relacje o zjadłości i okrucieństwie basmaczy nie były przejawskrawione. Miałem usłyszeć wiele przerażających szczegółów z ust naocznych świadków i nielicznych ocalałych. Pozostawało też faktem, że grabież i zyskowna kontrabanda nie stały w sprzeczności z politycznymi i religijnymi celami bojowników, że w niektórych przypadkach trudno było ocenić, gdzie kończy się patriotyzm, a zaczyna interes.

Tak czy inaczej, cała ta sprawa mało obchodziła młodych robotników i chłopów z południowej Ukrainy. Jeżeli już, to znaleźliśmy ją jako egzotyczny krwawy dramat rozgrywający się w odległym i tylko na wpół wiarygodnym świecie. I nagle, w ciągu jednej nocy, staliśmy się częścią tego dramatu, podnieceni zbliżającą się przygodą i trochę zaniepokojeni, pod maską zuchowatości, na myśl o związanych z nią niebezpieczeństwach.

W towarowym wagonie było nas dwudziestu czterech, świeżych rekrutów z okręgu dnepropietrowskiego, jadących do kraju basmaczy. Śpiewaliśmy, snuliśmy opowieści i naprawdę czuliśmy się dumni, że wybrano nas do elitarnych dywizji kawalerii, stacjonujących w Turkmeńskiej Republice Radzieckiej. Ale nocą, w ciemnym wagonie, przypominaliśmy sobie przerażające historie o okrucieństwie basmaczy, które słyszeliśmy lub czytaliśmy.

W nastroju tęsknoty za domem rozmawialiśmy też o dziewczętach, które zostawiliśmy. Jak się okazało, w tej grupie poborowych znalazł się też Kostia, który był kuzynem mojej Anny. To, a także perspektywa rozłąki, roznieciło żar mojej miłości.

Pełen emocji kilkudniowy pobyt w Baku, mieście „czarnego złota”, kazał nam zapomnieć o wszystkim innym. Wielki ośrodek naftowy był ciekawym połączeniem nowoczesnego industrializmu i wschodnich obyczajów. Miał mieszaną ludność złożoną z Rosjan i Mongołów; większość z nich nosiła zachodnie ubrania, lecz wielu chodziło w kolorowych, powłóczystych szatach z Bliskiego Wschodu lub zwężonych w talii kaftanach do kolan i spiczastych futrzanych czapach z kazachskich stepów. W wąskich, przesyconych nieznanyymi zapachami muzułmańskich uliczkach zobaczyłem po raz pierwszy kobiety w parandżach: zawojach od stóp do głów z czarczafem z końskiego włosa na twarzy, co upodabniało je do bezkształtnych worków w niemożliwym do określenia wieku.

Baku też na zawsze pozostało w mojej pamięci, gdyż tam po raz pierwszy ujrzałem wielkie morze; widok wody ciągnącej się aż po horyzont wywiera zwykle niezatarte wrażenie na przybyszach z głębi lądu. Zapach ropy przenikał całe miasto i zdawał się wsiąkać w twarze i ręce wszystkich mieszkańców.

W Baku dołączyliśmy do setek poborowych z innych części kraju. Mały frachtowiec *Kołontaj* przewiózł nas przez Morze Kaspijskie do portu w Krasnowodzku. Zanim wsiedliśmy do pociągu towarowego do Aszchabadu, włóczyliśmy się po nabrzeżu. Melony piętrzyły się na przystani w żółtych hałdach jak kule armatnie. Rośli, śniadzi Turkmeni, w większości zarośnięci, rozebrani do pasa, w kolorowych turbanach na głowach, rytmicznie rzucali melony towarzyszom na statku, śpiewając gromko pieśń.

Aszchabad - nazwany później Stalinabadem - był dostatecznie wschodni, by zaspokoić młodzieńcze marzenia o egzotyce. Niebrukowane wąskie uliczki wiły się pomiędzy ślepyimi ścianami bez okien, wpadały na hałaśliwe, zatłoczone place, czasem pokryte dachem. Bazary rozbrzmiewały dźwiękiem młotków szewców, kotlarzy i innych rzemieślników, pracujących ze skrzyżowanymi nogami pod gołym niebem. Wszędzie widać było postacie muzułmańskich kobiet przypominające bezkształtne ruchome kolumny. Od czasu do czasu któraś z nich kokieteryjnym gestem uchylała czarczaf z końskiego włosia przed oszołomionymi Rosjanami.

Nasz pociąg przywitała muzyka i demonstracja. Robotnicy z miejscowych przędzalni bawełny stali obojętnie, podczas gdy urzędnicy wygłaszali pompatyczne przemówienia, wychwalając dzielnych towarzyszy, którzy przyjechali strzec granic przed podstępnyimi basmaczami. W tamtym czasie nie miałem powodu, by wątpić w ich słowa, ale później zacząłem się zastanawiać, dlaczego straż graniczna nie mogła się rekrutować spośród miejscowej ludności; jeszcze później zrozumiałem, że Armia Czerwona, mimo wszystkich aspiracji do braterstwa, była armią okupacyjną na obcym terytorium.

Z Aszchabadu pojechaliśmy ciężarówkami do wielkiego obozu nad perską granicą, który miał być moim domem przez następne siedem czy osiem miesięcy. Ulokowano nas w tych samych długich, posępnych koszarach, gdzie przed nami stacjonowali żołnierze carscy. Kraj, przez który przejeżdżaliśmy, był w większej części pustynny - żółte spieczone pustkowia na przemian z karłowatymi krzewami - ale rejon nad samą granicą miał bardziej urozmaicony krajobraz, z plamami bujnej zieleni. Stacjonowaliśmy u podnóża łańcucha górskiego, ciągnącego się wzdłuż północnej granicy Persji.

Nasze szkolenie wojskowe rozpoczęło się od łaźni parowej, dezynfekcji całej naszej odzieży, strzyżenia do gołej skóry i wykładu politycznego. Pomiędzy basmaczami a czerwonoarmistami, jak nam powiedziano, toczyła się walka na śmierć i życie. Mieliśmy patrolować niebezpieczne obszary, w pojedynkę lub w parach, w dzień i w nocy, co wymagało od nas czujności, umiejętności jazdy konnej i strzelania. W następnych tygodniach nawet najmniej ambitni spośród nas ćwiczyli

z wielkim zapalem.

Niemal od razu dołączyłem do zespołu redakcyjnego obozowej gazety, „Czerwonego Pogranicznika”. My, komsomolcy, stanowiliśmy mniejszość wśród żołnierzy i traktowaliśmy swoje obowiązki bardzo poważnie. W wojsku istniał znaczny zakres demokracji, połączonej z surową dyscypliną. W naszej gazecie nie wahaliśmy się krytykować warunków życia i oficerów, często po nazwisku.

Dowodził nami *komandir* Gałuszka, który ze względu na gburowatość nie cieszył się sympatią wśród żołnierzy. Ponieważ chciałem go swobodnie krytykować jako redaktor, wykonywałem jego rozkazy bez szemrania.

Przez jakiś czas udawał, że ignoruje artykułiki, w których krytykowałem go za to, że krzyczy na żołnierzy, używa obscenicznego języka i zachowuje się jak tyran. Ale niebawem skapitulował.

- Towarzyszu Krawczenko, chciałbym z wami porozmawiać - powiedział pewnego dnia.

Kiedy wyszliśmy z koszar do stajni, zapytał, dlaczego, do diabła, wziąłem się na niego. Czy to słuszne, żeby komsomolec podważał autorytet czerwonego dowódcy?

- Towarzyszu Gałuszka - wyjaśniłem z zarozumiałością swoich dwudziestu dwóch lat - moim celem jest umocnienie waszego autorytetu, a nie jego pomniejszanie. Jeśli nadal będziecie traktować swoich żołnierzy jak śmieci, będą wami pogardzać i słuchać was z niechęcią. Jeśli zaczniecie ich traktować jak ludzi i towarzyszy radzieckich, będą was słuchać z radością i animuszem. Podczas akcji może to oznaczać różnicę pomiędzy zwycięstwem a porażką.

Doszliśmy do porozumienia. Obiecał zmienić swoje metody, a ja obiecałem nie dokuczać mu w „Czerwonym Pograniczniku”. Najdziwniejsze w owej historii jest to, że *komandir* Gałuszka nie tylko dotrzymał słowa, ale ku swemu zaskoczeniu stał się niebawem najbardziej lubianym oficerem w jednostce. Kiedy Gałuszka dowodził, jego ludzie ochoczo szli za nim. Podczas niebezpiecznych ekspedycji imponowała nam jego osobista odwaga pod ogniem.

Po zakończeniu szkolenia wysłano nas na nocne łowy na przemytników i basmaczy. Nigdy nie brakowało „gorących doniesień” od informatorów po obu stronach granicy. W perskich i afgańskich kawiarniach ludzie zbierali informacje o otrzymanych lub dostarczonych towarach, o planowanych napadach na rosyjskie wioski. Przez pośredników informacje te docierały do dowództwa Armii Czerwonej.

Nasze ekspedycje, mimo długotrwałych poszukiwań, często nie natrafiały na ślad zwierzyny. Czasami dochodziło do wymiany strzałów. Ale przynajmniej raz na moich oczach rozegrała się dziwaczna bitwa, w której obie strony poniosły straty - dziwaczna, ponieważ walczyliśmy

w czarną, deszczową noc z niewidzialnym przeciwnikiem.

Tamtej nocy brodaty Turkmen w czarnej futrzanej czapie poprowadził nasz oddział w rejon, gdzie według jego informacji mogliśmy przechwycić karawanę przemytników. Przez niemal godzinę jechaliśmy powoli w chłodnym deszczu, zatrzymując się co chwila i nasłuchując. W końcu znaleźliśmy ślad. Wystrzelono czerwone rakiety, które na krótko oświetliły teren i Tarasow, szef wydziału GPU dowodzący naszą ekspedycją, rozkazał nam przeprowadzić atak.

Przez jakiś czas strzelałem na oślep w kierunku, z którego dochodziły hałasy, gdy nagle, tak blisko mnie, że widziałem w ciemnościach jego oczy, wyrósł Turkmen. Mierzył do mnie z karabinu, ale zdołałem wystrzelić pierwszy. Upadł, lecz najwidoczniej był tylko ranny, bo znowu złożył się do strzału. Zeskoczyłem z konia i wyrwałem mu z rąk karabin.

- Wstawaj! - rozkazałem.

Przede mną stał stary człowiek, z długą brodą, z rękami uniesionymi ponad głową. Krew spływała mu po policzku. Mówił coś w swoim ojczystym języku i płakał; niewątpliwie błagał o życie. Wyjąłem mu z pasa sztylet i przekazałem go oficerowi.

Przed wschodem słońca potyczka się skończyła. Z pewnością wielu przemytników uciekło. Ale znaczną ich liczbę, wraz z ciężko obciążonymi wielbłędami, odprowadzono do obozu. I zanim słońce znowu zaszło, wszyscy schwytani Turkmeni zostali rozstrzelani przez plutony egzekucyjne na rozkaz dowódców.

Niedługo potem wysłano mnie na posterunek kilkanaście kilometrów dalej, wraz z Kostią i innymi. Stacjonujący tam żołnierze ucieszyli się z naszego przybycia, gdyż oznaczało ono, że zostaną zluzowani. Był wśród nich mój rodak spod Kijowa. Żałował tylko, że musi zostawić swojego konia, piękne, nieustraszone zwierzę, które z niejasnych dla mnie powodów nazwał Lordem Curzonem. Wymógł na mnie solenną obietnicę, że będę dobry dla Lorda Curzona, i oddał mi go.

- Traktuj go dobrze, a Curzon będzie ci bratem - zapewnił mnie. - Ma więcej rozumu niż większość ludzi.

Nasz posterunek znajdował się blisko wylotu górskiej przełęczy. W następnych tygodniach miałem powody, żeby być wdzięcznym swojemu rodakowi za to, że podarował mi Lorda Curzona. Koń reagował nie tylko na mój najlżejszy dotyk, ale, jak się wydawało, na moje myśli. Dobrze było czuć go pod sobą, kiedy pełniłem służbę wartowniczą, sam, w nocy, z dala od towarzyszy. Wystarczył najmniejszy hałas, spadający kamyk, szelest wśród drzew, wycie głodnego szakala, by postawić konia i jeźdźca w stan czujności.

Każdy żołnierz, który schwycił przemytnika, miał prawo do jednej trzeciej wartości szmuglowanych towarów. Nigdy nie spotkało mnie takie szczęście, ale wielu uczestników pogranicznych patroli wróciło

po ukończeniu służby do rodzinnych wiosek jako bogaci ludzie, ponieważ takie rzeczy były cenione w kraju radzieckim.

Nie zapomnę szczupłego, czarnowłosego żydowskiego chłopca imieniem Zjama. Ani on, ani nikt inny nie wiedział, przez jakie biurokratyczne niedopatrzenie Zjama został przydzielony do kawalerii i wysłany nad perską granicę. W pełnieniu służby przeszkadzało mu tylko jedno - śmiertelnie bał się koni. Niektórzy kpili sobie z nieszczęsnego chłopaka, ale większość z nas mu współczuła. Próbowaliśmy nauczyć go dosiadać konia, trzymać cugle; czasami myśleliśmy, że zemdleje lub umrze z samego przerażenia. Ale jakimś cudem, przezwyciężywszy strach, Zjama stał się znakomitym jeźdźcem z zamiłowaniem do śmiałych wyczynów. Noc po nocy tropił kontrabandę i raz, z niezawodnym wyczuciem, zdołał pojmać obładowanego przemytnika, zdobywając w ten sposób niezłą fortunę.

Lord Curzon, którego ręce nogi nieraz ocaliły mi życie, przyczynił się też do zakończenia mojej kariery wojskowej. Tamtej nocy byłem na patrolu wraz z jeszcze jednym żołnierzem, w zalesionym terenie z dala od posterunku. W oddali usłyszeliśmy hałasy. Krzyknąłem do niewidocznych ludzi, aby się zatrzymali, i we dwóch pomknęliśmy naprzód. Nagle Curzon potknął się, a ja przeleciałem nad jego głową.

Reszty dowiedziałem się znacznie później. Mój towarzysz zawołał mnie z oddali, ale nie uzyskał odpowiedzi. Znalazł mojego konia, lecz ani śladu mnie. Po bezowocnych poszukiwaniach wrócił do obozu. Kilka godzin później grupa poszukiwawcza odnalazła mnie w kałuży, straszliwie posiniaczonego i nieprzytomnego.

Przez wiele tygodni leżałem w szpitalu wojskowym w pobliżu Aszhabadu, cierpiąc katusze. Chociaż czułem się tak, jakbym miał połamane wszystkie kości, okazało się, że doznałem tylko zewnętrznych obrażeń. Opiekowały się mną dwie starsze wiekiem pielęgniarki. Nie było tajemnicą, że są to arystokratki wygnane z Piotrogradu; jedna z nich, Lidia Pawłowna, przyznała mi się, iż urodziła się jako księżniczka.

Kiedy wydobrzałem na tyle, by znieść podróż, odesłano mnie do Kijowa. Spędziłem w tamtejszym szpitalu około miesiąca, a następne dwa miesiące w kijowskim sanatorium. Zostałem zdemobilizowany i wróciłem do pracy jako brygadzysta w mojej fabryce w Dniepropietrowsku. Było to latem 1928 roku; zaczynałem dwudziesty trzeci rok życia.

ROZDZIAŁ V

Zerwanie z przeszłością

Pomniejsi aktorzy w wielkim historycznym dramacie rzadko zdają sobie sprawę z jego skali. Są zbyt głęboko zaangażowani w akcję, by dostrzegać szersze kontury. Na początku 1929 roku znajdowałem się wśród tych aktorów – młodych idealistów, porwanych wzniosłymi ideami i planami tamtego okresu. Był to czas, kiedy w moim kraju rozpoczynała się nowa i pod wieloma względami bardziej doniosła rewolucja niż ta z roku 1917; czas, kiedy Stalin i jego najbliżsi towarzysze toczyli zacieklą walkę o władzę z przeciwnikami w Politbiurze, a do pewnego stopnia w całej partii. Zamierzali wykorzenić resztki kapitalistycznej gospodarki i kapitalistycznej mentalności, aby przeprowadzić w Rosji industrializację i kolektywizację rolnictwa.

Rozpoczął się zatem okres, kiedy wszystkie elementy chwiejne, niezdecydowane, konformistyczne, które wciąż czepiały się rewolucji, miały zostać wyeliminowane. Linia partyjna – czyli nastawienie na realizację konkretnych celów – stała się ważniejsza niż jakiegokolwiek interesy jednostkowe. Nowoczesna maszyna, symbol i treść industrializacji, wdarła się w nasze życie, intensyfikując każdy jego dzień. Stała się zazdrosnym bogiem, którego trzeba obłaskawić. Nabierała niemal mistycznej potęgi w codziennym życiu kraju. Rozterki „humanitarystów” wydawały się jedynie pozostałością po dziwnej przeszłości.

Miliony ludzi – jedni dobrowolnie, inni pod przymusem – zostały wciągnięte w ten proces, wyrwane z dotychczasowej egzystencji i skierowane na nowe drogi. Byli w większości niedożywieni, nieodpowiednio ubrani, pozbawieni złudzeń. Znałem oczywiście poszczególne wydarzenia składające się na ten proces, zarówno dobre, jak i złe. Ale patrzyłem na nie oczami dwudziestotrzyletniego młodzieńca, wychowanego politycznie przez Komsomoł i Armię Czerwoną, który wierzył, że lepsza przyszłość już się w Rosji zaczęła. Należałem do bardziej czujnych i społecznie uświadomionych robotników w naszej fabryce, upojonych twórczą podniętą codziennych zadań.

Było wiele niedociągnięć, ogromnych cierpień. Ale był także ładunek ogromnego entuzjazmu, rozpalonych nadziei. Była głęboka wiara

w przyszłość kraju, nie przypadkiem więc wtedy właśnie wstąpiłem do partii. Należałem do mniejszości, którą inspirowały idee kryjące się pod ogromnym wysiłkiem. Ogarnęła nas gorączka pracy w czasach powszechnego upojenia. Inni mogli cierpieć nową rewolucję z ponurym niezadowoleniem, tak jak cierpieli wielki głód. Mogli ją przyjmować jako swego rodzaju klęskę żywiołową. Ale ludziom takim jak ja, owładniętym ideą i wiarą, dzisiejsze cierpienia wydawały się jedynie konieczną zapłatą za świetlaną przyszłość czekającą kraj i jego naród. Industrializacja za wszelką cenę, aby podnieść naród z zacofania, wydawała się najszlachetniejszym celem, jaki można sobie wyobrazić.

Dlatego właśnie muszę oprzeć się pokusie, aby oceniać wydarzenia tamtych lat z perspektywy moich dzisiejszych przekonań. Moje życie było wypełnione pracą, napięciem i wyrzeczeniami; narzekania „staromodnych liberałów”, którzy krytykowali, nie włączając się we wspólny wysiłek, wydawały mi się zwyczajnie irytujące.

Byłem głęboko zaangażowany w swoją pracę brygadzysty w walcowni, w nowe przyjaźnie z kierownikami i wpływowymi komunistami, w obowiązki jednego z redaktorów fabrycznej gazety. Miałem ogromny zapał do pracy. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że po ciężkim dniu w gorącej, hałaśliwej walcowni lub warsztacie, mogę być zbyt zmęczony na zebrania, kursy techniczne, prace społeczne, pisanie artykułów. Zmęczenie wydawało mi się burżuazyjnym przesądem.

Prasa i radio zachłystywały się hasłami nowego okresu. „Dogonimy i przegonimy kraje kapitalistyczne!”, „Naprzód do industrializacji naszego kraju!”, „Likwidacja kułaków jako klasy!”. Przypominało to życie w fabrycznym kotle parowym, jadło się, spało i pracowało wśród fantastycznego grzmotu bitwy. Robotnicze wiece, nauka, szydercze wystąpienia przeciwko zewnętrznym i wewnętrznym wrogom wypełniały nasze życie.

Kwestionowanie decyzji ogłaszanych z wyżyn Kremla wydawało się tak samo celowe jak dyskutowanie z trzęsieniem ziemi. Przyjmowaliśmy je często za dobrą monetę. Oczywiście wyjaśniano je nam i uzasadniano w trakcie nieustannego szkolenia politycznego. To, co nam mówiono, niekoniecznie zgadzało się z zamierzeniami kremlofskich przywódców – ale to wiem dopiero teraz.

Cień GPU, państwowej policji politycznej, nigdy mnie nie dotknął; poza tym uznawałem za całkiem naturalne, że w takim krytycznym, niebezpiecznym momencie w życiu kraju wszyscy muszą być starannie sprawdzani i kontrolowani. Tylko starzy ludzie z dobrą pamięcią, jak mój ojciec, byli oburzeni, ale ich wrażliwość wydawała się tak samo nie na miejscu jak pacyfizm na polu bitwy.

Na początku 1929 roku jeden z najwybitniejszych starych bolszewików, Chrystian Rakowski, przyjechał do naszej fabryki

i wystąpił na masowym wiecu. Był to chyba ostatni raz, kiedy przeciwnikowi Stalina pozwolono przemawiać do ludzi. Kilka dni później mój ojciec nawiązał w rozmowie do tego wiecu. Był przygnębiony – dzisiaj rozumiem dlaczego.

- Rakowski skrytykował kierownictwo partyjne – powiedział. – Nie jestem pewien, czy się z nim zgadzam lub czy wielu robotników się z nim zgadza. Ale rozumiemy, że toczy się walka o władzę i że Stalin wygrywa. Część słuchaczy zdawała się sympatyzować z Rakowskim, zadawali pytania i klaskali. Później Rakowski wyjechał. Następnego ranka, synu, robotnicy, którzy okazywali mu życzliwość, zostali wezwani do GPU...

Kilka tygodni później natknąłem się na Kozłowa, sekretarza Rajkomu (Komitetu Rejonowego partii). Przywitał mnie gorąco. Zamierzałem złożyć formalne podanie o przyjęcie do partii, o czym wiedział, i traktował mnie jak cenny nabytek. Angażowałem się coraz bardziej w sprawy fabryki i miasta. Moje nazwisko i zdjęcie pojawiały się często w publikacjach fabrycznych, związkowych i miejskich.

- Ech, towarzyszu Krawczenko, macie bardzo ekscentrycznego ojca – roześmiał się.

- Co się stało?

- Nic wielkiego. Kilku z nas, z Rajkomu, poszło do warsztatów mechanicznych. Pozostały tam jeszcze niezdrowe echa wizyty Rakowskiego i chcieliśmy porozmawiać z robotnikami, aby zorientować się w nastrojach. No cóż, zagadywaliśmy jednego tu, drugiego tam i w końcu trafiliśmy na waszego ojca.

- „Co słyhać?” – spytałem go bardzo uprzejmie. Wiecie, co odpowiedział? Spojrzał na mnie z góry i powiedział: „Nie przeszkadzajcie mi w pracy. Tu jest fabryka, nie klub. Jeśli chcecie wiedzieć, co myślą robotnicy, spytajcie GPU. Oni powinni wiedzieć”.

- Ale macie ojca, Wiktorze Andriejewiczu! Był ze mną Sienia Wołgin, wiecie, z Komsomołu. On też próbował pozyskać waszego ojca. „Jesteście starym i szanowanym proletariuszem, obywatelu Krawczenko”, mówi. „Walczyliście z caratem. Wiemy o tym. Właśnie dlatego chcemy poznać waszą opinię”. Wtedy wasz ojciec stracił cierpliwość. „Posłuchaj, młodzieńcze”, mówi, „politycznie jesteś nieopierzonym kurczątkiem. Nie można z tobą rozmawiać na poważne tematy”.

Potem Kozłow wspaniałomyślnie zbagatelizował cały epizod – zwykłe dziwactwa zgorzkniałego, starzejącego się człowieka, który nie rozumie nowego wspaniałego świata – i spytał:

- No cóż, kiedy składacie podanie o przyjęcie?

- Chyba wkrótce – odparłem.

- To dobrze! Będę na zebraniu, żeby was poprzeć. Potrzebujemy was, Krawczenko! Czeka nas mnóstwo ciężkiej pracy. Nie możemy liczyć

na stare pokolenie, nawet na najlepszych.

Od czasu do czasu znani komuniści zachęcali mnie, abym wstąpił do partii. I tak z nimi pracuję, podkreślali, wspieram ich wspaniałą walkę o nowe życie; dlaczego nie miałbym przyłączyć się do nich organizacyjnie? Zgadzałem się z nimi. Sercem, nadziejami, byłem już po ich stronie. Wstąpiłbym do partii szczerze, bez obaw, bez wątpliwości. Stałbym się żołnierzem pozbawionej sentymentów armii budowniczych nowego uprzemysłowionego świata, a ostatecznie nowego socjalistycznego świata!

2

W ramach linii partyjnej cieszyliśmy się znaczną wolnością słowa w gazecie fabrycznej. Tylko dwaj członkowie zespołu redakcyjnego, niejaki Bleskow i ja, nie należeli do partii. Gazeta ukazywała się najpierw raz w tygodniu, później codziennie. Jej nakład sięgał około 35 000 egzemplarzy. Czytali ją oczywiście praktycznie wszyscy zatrudnieni w zakładach im. Pietrowskiego i Lenina. Co ważniejsze, czytali ją ekonomiści i działacze partyjni w całym okręgu, a nawet w Moskwie.

Treść gazety, to prawda, podlegała cenzurze. Nic, co mogłoby rzucić cień wątpliwości na industrializację, na politykę partii, nie mogło ukazać się drukiem. Nikt nawet by nie pomyślał o pisaniu czegoś takiego, chyba że straciłby rozum. Ataki na fabryczną administrację, na działaczy związków zawodowych i urzędników partyjnych, ujawnianie konkretnych błędów w produkcji lub zarządzaniu były dopuszczalne i dlatego tworzyły iluzję, że gazeta wyraża opinię publiczną.

Samokrytyka stała się jednym z najważniejszych haseł tamtych czasów. Wszystkich zachęcano, aby „mówili wszystko” o defektach, błędach, metodach usprawnienia różnych rzeczy – w prasie ogólnokrajowej, w gazetach fabrycznych i spółdzielczych, w zakładowych biuletynach nazywanych gazetkami ściennymi. Samokrytyka była sposobem na podniesienie wydajności pracy, ale również biczem chłoszczącym wielkich biurokratów ponad głowami mniejszych biurokratów.

Fabrykami w tym czasie nadal rządziła „trójka” składająca się z przedstawicieli dyrekcji, partii i związków zawodowych. Wśród tego mnóstwa urzędników, którzy patrzyli sobie nawzajem na ręce, samokrytyka stawała się czasem wygodną metodą walki o pozycję i władzę.

Włączyłem się w dzieło samokrytyki z gorliwością krzyżowca, która zaniepokoiła część kierownictwa naszej fabryki. Wytykałem szczerze i zawzięcie wszystkie braki, niezależnie od tego, w kogo to uderzało.

Później zacząłem rozumieć, dlaczego niektórzy ważni ludzie w fabryce nagle zapragnęli się ze mną zaprzyjaźnić. Niewątpliwie uważali, że zjednanie sobie młodego człowieka, który ma ostre pióro, będzie dobrym zabezpieczeniem.

Moje artykuły ukazywały się nie tylko w gazecie fabrycznej, lecz również w prasie charkowskiej i dniepropietrowskiej, do której pisywałem jako korespondent w wielkim zakładzie. Miejskie organy partii komentowały moją pracę i stawiały mnie za przykład „młodego aktywisty”.

O czym pisałem? O nadmiernym marnotrawstwie surowców. O mechanikach, którzy nie okazywali należytego szacunku swoim narzędziom i maszynom. O wysokich kosztach produkcji w naszym zakładzie, w porównaniu z podobnymi zakładami w Szwecji i Ameryce. O karygodnej postawie towarzysza takiego a takiego wobec robotników. O złej jakości bieżącej produkcji. O tym, jak trzeba „zracjonalizować” pewne procesy, aby zaoszczędzić tysiące roboczogodzin.

Większym zakłóceniem równomiernego rytmu fabrycznego życia były jednak moje ataki na nieznośne warunki życia robotników mieszkających w barakach. Płace pozornie rosły, podkreślałem, ale nie dotrzymują kroku nowym cenom produktów w fabrycznych stołówkach i sklepach. I kiedy zostaną zbudowane nowe mieszkania, o których tyle się mówi? Dlaczego niektórzy dygnitarze żyją w znakomitych warunkach, podczas gdy podstawowe potrzeby robotników są zanedbywane?

Tymi dziennikarskimi napaściami narobiłem sobie sporo potężnych wrogów. Ich nienawiść w niektórych przypadkach ścigała mnie przez lata. Ale zyskałem również dobrych przyjaciół. Ze szczególnie silnym poparciem spotykały się moje ustawiczne skargi na zbyt wielką liczbę urzędników w fabryce w stosunku do jej produkcji. W kilku czasopismach technicznych wygrzebałem statystyki, aby pokazać, że szwedzkie zakłady metalurgiczne zatrudniają tylko jednego pracownika administracyjnego tam, gdzie my mamy dwóch albo trzech. Przeszkadzają sobie nawzajem, pisałem, spowalniając pracę i zwiększając koszty produkcji.

Okres samokrytyki był ostatnim przejawem oddolnej inicjatywy w Związku Radzieckim, swego rodzaju wyrazem opinii publicznej. Pozwalał trzymać w ryzach lokalną biurokrację, chociaż nie miał żadnego wpływu na ogólną politykę i decyzje podejmowane w ośrodku władzy w Moskwie.

Z powodów, których nie potrafiłem sobie wytłumaczyć – miały one swoje korzenie w mojej podświadomości, gdzie wspomnienia dziecięcych

ideałów żyły własnym życiem – czułem się zakłopotany, kiedy oznajmiłem ojcu, iż zamierzam wstąpić do partii.

- Wiedziałem, że zrobisz to prędzej czy później – powiedział. – Widziałem, że angażujesz się coraz bardziej w działalność polityczną. Piszesz, studiujesz politykę. Ale nie mogę powiedzieć, że mnie to cieszy. Sam wiesz, jak wiele jest niesprawiedliwości wokół nas, jak zwiększa się dystans pomiędzy rządzącymi a masami... Chciałbym wiedzieć, jak patrzysz na te sprawy, co się dzieje w twojej głowie.

- Cieszę się, że o to pytasz, tato. Chcę mówić szczerze. Jestem ci wdzięczny i mnóstwo ci zawdzięczam. Szanuję twoją uczciwość i oddaję cześć twojej rewolucyjnej przeszłości. Ale proszę, spróbuj mnie zrozumieć. Mam prawie dwadzieścia cztery lata. Dorastałem i pracowałem z nowoczesnymi ludźmi w środowisku oddanym nowym ideom i szerokim planom na przyszłość naszego kraju. Nie znalazłem się w partii jednym skokiem. Moja wiara w nią budowała się powoli, cegiełka po cegiełce. Z czasem zacząłem czuć się jak członek partii.

- Wiem, że w życiu codziennym jest mnóstwo niedociągnięć, karierowiczostwa, świństwa i trudności. Nie podoba mi się to tak samo jak tobie. Ale ja patrzę na to jak na etap, który przeminie. Zadanie przekształcenia prymitywnego kraju w nowoczesne przemysłowe państwo socjalistyczne jest gigantyczne. Nie da się tego dokonać bez błędów, a nawet niesprawiedliwości. Ale ja nie chcę stać z boku i krytykować. Chcę pracować uczciwie wewnątrz partii, walczyć ze złem i wspierać to, co dobre.

- Długo się zastanawiałem, zanim podjąłem ten krok. Tylko doświadczenie i czas mogą pokazać, czy partia idzie właściwą drogą. Ale ja wierzę w jej cele i chcę oddać wszystko, co mam, żeby je urzeczywistnić. Przecież nie jesteś przeciwko industrializacji. Nie jesteś przeciwko zastąpieniu koni przez traktory. Nie jesteś przeciwko temu, żeby chłopcy mogli dobrowolnie wstępować do gospodarstw uspołecznionych.

Popatrzył na mnie surowo, ale bez gniewu.

- Oczywiście że nie jestem przeciwko temu, Witiu. I wiem, co czujesz. Tak naprawdę, rozpoznaję w tobie siebie. Tak samo się kiedyś zachowywałem. Szedłem za głosem sumienia, nie oszczędzając ani siebie, ani żony, ani dzieci. Lepsza jest jakaś wiara niż żadna. Pamiętasz *Na dnie* Gorkiego: „Jeśli wierzysz, to Bóg jest, jeśli nie, to go nie ma”. Ty znalazłeś swoją wiarę. Życzę ci szczęścia i powodzenia, z całego serca.

- Ale pozostań blisko ludzi, Witiu. Oceniaj swoją przydatność nie po stanowiskach, jakie będziesz zajmował, ale po tym, jak żyją ludzie, czy lepiej im się powodzi, czy są szczęśliwsi i bardziej wolni. Jeśli naprawdę się do nich zbliżysz, zrozumiesz ich, pomożesz im, zawsze

będę ci za to wdzięczny. Nie żyj hasłami – oceniaj polityków po czynach, nie po pięknych słowach. Na Kremlu są wielcy mistrzowie teorii. Przekonamy się, jak to wyjdzie w praktyce. Obyś nigdy nie stracił swojej wiary!

Urwał na chwilę, potem podjął.

- Kto wie, może wy, nasze dzieci, zdołacie dać masom prawdziwą wolność i lepsze życie.

- Jestem tego pewien, tato.

Ta rozmowa pozostała żywo w mojej pamięci w następnych latach, kiedy pracowałem w partii i dla partii. Zupełnie jakby mój ojciec obserwował i oceniał – patrząc na fakty i czyny kryjące się za hasłami.

W połowie 1929 roku zostałem przyjęty do partii. Wydawało mi się to największym wydarzeniem w moim życiu. Stałem się częścią elity nowej Rosji. Nie byłem już jednostką, która może dowolnie wybierać sobie przyjaciół, zainteresowania, poglądy. Byłem na zawsze oddany idei i sprawie. Byłem żołnierzem zdyscyplinowanej armii, w której posłuszeństwo jest najważniejszą i niemal jedyną cnotą. Od tej pory nie mogłem już spotykać się z niewłaściwymi ludźmi, słuchać nieodpowiednich słów.

Pewnego dnia, po moim wstąpieniu do partii, kierownika warsztatu i mnie wezwano do gabinetu dyrektora fabryki. Powiedział nam, że psuje się jakość naszych materiałów dostarczanych do zakładów druzzkowskich w Donbasie. Musimy tam natychmiast pojechać, ustalić, co jest nie tak z naszymi materiałami, i złożyć mu sprawozdanie.

Po tygodniowej podróży wróciliśmy z raportem. Omówiłem nasze trudności i przedstawiłem szereg propozycji, jak je wyeliminować. Dyrektor był zadowolony. Oświadczył, że wystąpi o przyznanie mi znacznej nagrody za dobrą pracę. Czy to mi wystarczy?

- Nie potrzebuję pieniędzy – odparłem. – Ale potrzebuję mieszkania. Jak wiecie, jeden z moich braci i mój ojciec pracują w tej fabryce. Od kilku lat nie mamy prawdziwego życia rodzinnego z powodu trudności mieszkaniowych. W tej chwili nawet nie mieszkamy razem, a moja matka musiała pozostać na wsi.

- Zobaczę, co się da zrobić – obiecał dyrektor. Kilka dni później Krawczenkowie zamieszkali razem w wygodnym i dosyć nowoczesnym mieszkaniu należącym do fabryki. Moja matka mogła wreszcie wyprowadzić się z naszego domu w dawnej komunie.

sprawa szachtyńska. Grupa inżynierów przemysłu węglowego stanęła przed sądem w Moskwie. Proces obserwowali zagraniczni i radzieccy korespondenci, a dzięki kamerom kroniki filmowej i mikrofonom radiowym można było go śledzić w całym kraju.

- Oto dlaczego - mówił społeczeństwu Kreml - mamy tyle poważnych trudności. Agenci kapitalizmu, niedobitki starego reżimu celowo powodują wypadki, sabotując produkcję.

Był to pierwszy z melodramatycznych procesów pokazowych, które później miały stać się normą, a w których oskarżeni spokojnie przyznawali się do zbrodni przeciwko państwu. Na procesie szachtyńskim część oskarżonych jeszcze odpierała zarzuty i walczyła o życie. W następnych procesach takie dziwactwa zostały wyeliminowane.

Dwa lata później odbył się kolejny, znacznie większy i bardziej spektakularny proces inżynierów. Był to proces rzekomych przywódców rzekomej Partii Przemysłowej, dążących do obalenia ustroju radzieckiego, przywrócenia kapitalizmu i przejęcia władzy. Chociaż w akcie oskarżenia roilo się od absurdów, wierzyłem w niego, podobnie jak większa część kraju. W tym czasie młodzi członkowie partii bezkrytycznie przyjmowali założenie, iż wielu inżynierów i techników wykształconych przed rewolucją jest siłą rzeczy zwolennikami starego porządku - potencjalnymi, jeśli nie rzeczywistymi przeciwnikami industrializacji.

Aby zastąpić inżynierów odziedziczonych po przeszłości, należało wyszkolić nowe kadry, które nie pamiętały dawnych czasów, całkowicie oddane radzieckim ideom i planom partii. Miały się one wywodzić głównie spośród młodych robotników i odpowiedzialnych pracowników partyjnych, a przynajmniej ludzi o poglądach zgodnych z doktryną partii. Dlatego na najwyższych szczeblach zapadła decyzja o wyłonieniu partyjnych i związkowych „tysięcy”, które miały się kształcić w starych i nowych uniwersytetach i szkołach zawodowych. Ten plan narodził się we wszechwładnym Politbiurze.

W 1930 roku przedstawiciele Centralnej Komisji Kontroli przyjechali zbadać działalność i personel naszej fabryki. Wezwano mnie do gabinetu dyrektora. Za ogromnym mahoniowym biurkiem i lasem telefonów siedział w fotelu dyrektora nieznajomy mężczyzna, którego rozpoznałem z fotografii jako Arkadija Rozenholca, jednego z najważniejszych moskiewskich przywódców i wpływowego członka Komitetu Centralnego.

- Jak się macie, towarzyszu Krawczenko - uśmiechnął się na powitanie i podał mi rękę. - Wezwałem was, ponieważ słyszałem o waszej pracy. Jesteście zainteresowani racjonalizacją produkcji. To świetnie. Wypowiadacie się odważnie w naszej prasie. To też dobrze. Czy czegoś

potrzebujecie?

- Nie, dziękuję, towarzyszu Rozenholc.

- No to powiedzcie mi o sobie.

Nakreśliłem mu pokrótce swój życiorys. Dzieciństwo w rodzinie rewolucyjnej. Praca w komunie. Okres spędzony w kopalniach węgla i wstąpienie do Komsomołu. Służba w Armii Czerwonej. Praca w tej fabryce i przyjęcie do partii. Ileż jeszcze razy musiałem opowiadać tę historię! Takie przedstawianie prywatnej biografii jest niemal rytuałem w radzieckim społeczeństwie, robi się to ustnie i w kwestionariuszach przy każdej okazji.

Rozenholc słuchał, przyglądając mi się uważnie. Potem najwyraźniej podjął decyzję.

- Jesteście młodzi, nie macie jeszcze dwudziestu pięciu lat. Partia potrzebuje inżynierów w przemyśle. Chcielibyście studiować? Wyślemy was na kilkuletnie studia na politechnice. Odwdzięczycie się partii swoją wyteżoną pracą. Partia potrzebuje własnej inteligencji technicznej, która będzie realizować zadanie industrializacji zgodnie z jej polityką.

- Dziękuję, z radością zrobię wszystko, co w mojej mocy, dla naszego kraju.

Następnego dnia przyszedł do zakładów sam Sergo Ordżonikidze. Nieoczekiwanie wkroczył na nasz wydział w asyście prominentów z fabryki i Rajkomu. Tylko w obecności samego Stalina mógłbym być bardziej podekscytowany. Ordżonikidze, zaufany współpracownik Stalina, komisarz Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej, przewodniczący Centralnej Komisji Kontroli. Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to: „Zupełnie jak na fotografii na ścianie naszego artelu w Zagłębiu Donieckim!”.

Miał na sobie tę samą, co na zdjęciu szarą karakułową czapkę, tę samą błękitną bluzę z szarym kołnierzem i workowate spodnie wpuszczone w wysokie, filcowe buty. Jego orli nos sterczał jeszcze okazalej niż na fotografii, wąsy spływały spod niego jeszcze bardziej imponująco. Poczuliśmy się tak, jakbym znał go przez całe życie. Coś w jego prostocie i uśmiechu niwelowało dystans, jaki dzielił boga zstępującego z kremlowskiego Olimpu od zwykłych śmiertelników.

Dyrektor przedstawił mnie.

- Tak, słyszałem o was - zagrzemiał Ordżonikidze, wyciągając rękę. - Jak idzie praca?

- Dobrze - powiedziałem, a potem dodałem: - Chociaż mogłoby być lepiej.

- Ciekawe! A co możemy zrobić, żeby było lepiej?

- Trudno to ująć w kilku słowach - odparłem.

- Nie krępujcie się, mówcie - roześmiał się Ordżonikidze.

- No cóż, to jest tak, towarzyszu komisarzu - powiedziałem. - Jest

zbyt wielki aparat, zbyt wielu ludzi sprawdza się nawzajem. Zajrzałem w sprawozdania z lat przedrewolucyjnych w tych samych zakładach i odkryłem, że personel administracyjny zwiększył się o prawie trzydzieści pięć procent. Moim zdaniem to źle. Ludzie wchodzą sobie w drogę. Wszyscy są odpowiedzialni za wyniki, a to znaczy, że nikt nie jest odpowiedzialny. Źle pracujemy i za dużo wydajemy. Dlaczego tak jest, że kapitaliści osiągaliby zyski w tych zakładach, a my wykazujemy tylko straty? Bądź co bądź, robotnicy pracują tak samo dobrze jak dawniej, zatem problem musi tkwić w nas.

Nawet w zapale swojej przemowy zauważyłem, że fabryczni promineneci robią się coraz bardziej niespokojni. Dyrektor zakaszał. Przedstawiciele partii i związków zawodowych wyraźnie się denerwowali. Praca na wydziale ustała i ktoś zawołał:

- Racja, Wiktorze Andriejewiczu, racja!

- Tak - ciągnąłem, porwany własnymi słowami - często jest więcej hałasu niż rezultatów. Dyscyplina jest słaba, ponieważ zbyt wielu ludzi jej pilnuje. Potrzebujemy, towarzyszu Ordżonikidze, jednej dyrekcji i jednej odpowiedzialności, bez ingerencji z tyłu różnych miejsc.

- Ciekawe! - powtórzył. - I generalnie macie słuszność. Wódz myśli w takich samych kategoriach. Powinniście iść na studia, towarzyszu Krawczenko.

Uścisnął mi rękę i odszedł, a za nim jego wystraszona świta. Ale po kilku krokach odwrócił się do mnie i powiedział:

- Jeśli kiedyś znajdziecie się w kłopotach albo będziecie czegoś pilnie potrzebować, napiszcie do mnie! Pomogę!

W trudnych latach, które przyszyły później, skorzystałem z tego zaproszenia. Już czułem się tak, jakby Ordżonikidze mnie „zaadoptował”. Aż do jego śmierci na początku 1937 roku miałem poczucie bezpieczeństwa. W najgorszych chwilach świadomość, że mogę zwrócić się o pomoc do gruzińskiego towarzysza Stalina o jastrzębiej twarzy, dodawała mi śmiałości, na jaką inni nie potrafili się zdobyć.

O moim „wykładzie” dla jowialnego przyjaciela Stalina mówiono w fabryce przez wiele tygodni. Robotnicy klepali mnie po plecach, zadowoleni z mojej szczerości.

Ale następnego dnia wezwano mnie do komitetu partii. Był tam sekretarz, Konstantin Okorokow, a także dyrektor, towarzyszu Iwanczenko.

- Co w was wstąpiło, Krawczenko? - krzyknął sekretarz, kiedy wszedłem. - Oszalesiście? Czy wiecie, że Sergo zrobił straszną scenę i prawie rzucał w nas kałamarzami? Był taki uprzejmy i zadowolony, dopóki go nie sprowokowaliście. Potem nawyzywał nas od leniwych i nieudolnych sukinsynów.

Powiedziałem jedynie prawdę, broniłem się. Czy sam Lenin nie ogłosił, że produkcja przemysłowa wymaga jednoosobowego i odpowiedzialnego kierownictwa? Ponieważ miałem po swojej stronie Lenina i Ordżonikidzego, nawet sekretarz partii był bezsilny w swojej złości. Iwanczenko, który w głębi duszy zgadzał się ze mną i był zirytowany ciągłymi ingerencjami działaczy partyjnych i związkowych, nie zdołał ukryć uśmiechu satysfakcji.

Poza tym musiałem jedynie dokończyć pewną robotę na swoim wydziale, a potem miałem zostać studentem. Podejrzywałem, że moje odejście ucieszy wiele osób z personelu administracyjnego.

Rodzice i bracia byli uszczęśliwieni takim rozwojem wydarzeń. Zwłaszcza matka, która nigdy nie pogodziła się z myślą, że pozostaną brygadzystą jak jej mąż. Obawiała się, iż rewolucja przerwała moją edukację. Ale teraz, choć z opóźnieniem, miałem się kształcić na inżyniera, więc bardzo się ucieszyła. Nawet ojciec sprawiał wrażenie zadowolonego. Wysłuchał z aprobatą mojej relacji o spotkaniu z towarzyszem Ordżonikidzem.

Słyszałem, jak pewnego wieczoru obwieścił kolegom przy rodzinnym samowarze: „Mój syn będzie inżynierem”. W jego głosie brzmiała duma.

Przez kilka miesięcy kułem do egzaminów wstępnych. Dla młodych szczęśliwców wybranych do nowej radzieckiej inteligencji zorganizowano specjalne kursy przygotowawcze. Na początku 1931 roku wstąpiłem na politechnikę w Charkowie.

ROZDZIAŁ VI

Studia w Charkowie

W wieku dwudziestu pięciu lat wróciłem do nauki pod kuratelą państwa. Miesięczne stypendium, wypłacane z budżetu zakładów im. Pietrowskiego i Lenina, wystarczało mi na utrzymanie z niewielkim marginesem na ubrania i rozrywkę. Ale *gołód* i *chołód*, bliźnięta, z którymi tak się zżyłem w okresie wojny domowej, znów stały się moimi towarzyszami. Nie były już tak bezwzględne i uporczywe jak w przeszłości; od czasu do czasu dawały mi wytchnienie, ale zawsze nękały i dokuczały, jak chroniczny ból zęba.

Politechnika w Charkowie mieściła się w masywnych starych budynkach na skraju pięknego parku przy ulicy Kapłunowskiego. W normalnych czasach było to z pewnością typowe miasteczko uniwersyteckie. Z łatwością mogłem sobie wyobrazić młodych ludzi w dobrze skrojonych mundurach, wywodzących się w większości z dobrze sytuowanych rodzin, łączących pracę z błazeństwami życia studenckiego; w atmosferze studiów zawsze musiał pulsować duch młodości. Ale teraz było ono hałaśliwe, zatłoczone, tętniące energią jak odlewnia w pełnym rozruchu. Pośpiech, krzątania, hasła planu pięcioletniego były tu tak samo widoczne jak na placu budowy.

Zapewne nigdy wcześniej ani później nie stłoczono w jednej placówce edukacyjnej tak dziwaczного zbiorowiska mężczyzn i kobiet, chłopców i dziewcząt. Większość studentów miała po dwadzieścia kilka lat, a wielu ponad trzydzieści. Ludzie z wykształceniem uczęszczali na wykłady z młodymi robotnikami, dla których studia były czymś w rodzaju cudu, lecz również udręką. Z fabryk, hut, kopalń i biur, z państwowych gospodarstw rolnych i obozów wojskowych zostaliśmy zmobilizowani do masowej produkcji nowej inteligencji technicznej. Obok miejscowych studentów, mieszkających z rodzinami, znaleźli się tu Azjaci o uroczystych twarzach, którzy nigdy dotąd nie widzieli zachodniego miasta. Byli tu weterani wojenni, dawni partyzanci z Syberii, a także komunistyczni funkcjonariusze zorientowani w meandrach nowej polityki.

Zapewne nigdy też bardziej poważne grono studentów nie zmagало się z programem nauczania. Byliśmy jak ludzie wyrąbujący ścieżkę przez niebezpieczną dżunglę, jak żołnierze walczący z wrogą armią. Proces

ten nie miał nic wspólnego ze zwyczajami panującymi w zwykłych uczelniach w zwyczajnych czasach.

Wraz z tysiącami innych studentów z różnych charkowskich instytutów mieszkałem w ogromnym akademiku przy Prospekcie Puszkina, nazywanym Gigantem. Upchnięto nas po czterech, pięciu lub więcej w pokoju, przeraźliwie wyziębionym w zimie i dusznym w letni upał.

Zimą 1930-1931 roku w Gigancie często panował taki ziąb, że woda zamarzała w umywalce. Zbieraliśmy porzucone kawałki drewna, sztachety z płotów, połamane meble, stare gazety, aby dokładać je do małego żelaznego piecyka w kącie pokoju, z szalonym kominem o wielu kolankach, sterczącym przez okno. Tak żyliśmy, studiowaliśmy, dyskutowaliśmy i marzyliśmy o industrialnej przyszłości naszego kraju, zmagając się z zimnem i głodem.

Kobiety mieszkały w oddzielnym skrzydle, chociaż spotykaliśmy się w świetlicach i stołówkach, bez skrupowania odwiedzaliśmy się nawzajem i uczyliśmy się w tych samych pokojach. Oczywiście wśród studentów tworzyło się wiele związków. W Gigancie nie było śladu purytanizmu. Na ogół jednak standardy moralne były niezwykle wysokie. Studenci traktowali swoje obowiązki zbyt poważnie, musieli znosić zbyt wiele codziennych trudów, darzyli się nawzajem zbyt dużym szacunkiem, by pozwalać sobie na płocze romanse.

Dzieliłem pokój z czterema kolegami - Aleksiejem Karnauchowem, Georgijem Wigurą, Wanią Awdaszczenką i Pawłem Pacholkinem - wszyscy należeliśmy do zmobilizowanych „tysiocy”, wszyscy wstąpiliśmy do partii.

Aleksiej, jako członek Komitetu Centralnego Komsomołu, był dosyć ważną figurą. Dobrze zbudowany, z włosami koloru słomy i żarliwymi brązowymi oczami, odznaczał się ujmującym charakterem i powierzchownością. Był uczciwy, otwarty i miał krytyczny umysł, co stanowiło rzadkość wśród komunistycznych funkcjonariuszy. Nie zadzierał nosa z powodu swojej pozycji i nie unikał szczerych dyskusji o sprawach uczelnianych i publicznych.

Aleksiej i ja natychmiast zostaliśmy bliskimi przyjaciółmi. Kochaliśmy naszą partię, wierzyliśmy w nią. I właśnie z tego powodu nie wahaliśmy się rozmawiać o niej otwarcie. Dlaczego pomiędzy hasłami a dokonaniem, pomiędzy oficjalnymi twierdzeniami a oczywistymi faktami występował tak straszliwy rozdźwięk? Rozważaliśmy ten problem ze szczerą troską o partię, nie z gniewem. Razem łatwiej nam było racjonalizować narastający terror, odkrywać szlachetne pobudki niegodziwych na pozór zachowań i umacniać swoją wspólną wiarę w tym niewesołym okresie.

Georgij Wigura był komunistą zupełnie innego pokroju. Sama myśl

o dyskusowaniu nad partyjnymi zaleceniami i decyzjami wydawała mu się bluźnierstwem. O czym tu dyskutować? Czy wszystko nie jest idealnie jasne? Georgij nie miał własnych poglądów – tylko cytaty ze Stalina, „Izwestij”, „Prawdy” i innych autorytetów. Tematy, na które nikt się oficjalnie nie wypowiedział, po prostu dla niego nie istniały. Był przekonany, że Aleksiej i ja, z naszymi obrazoburczymi dociekaniem, obawami i swobodnymi rozmowami, źle skończymy.

Pachołkin, tak samo bezgranicznie wierny linii partyjnej jak Georgij, był osobnikiem bezbarwnym, pracowitym i potulnym. Różnił się od wszystkich swoich kolegów, a ja miałem niejasne poczucie, iż jest wdzięczny za to, że pozwolono mu żyć. Prawomyślność Wigury i moje śmiałe pytania budziły w nim taką samą grozę. Obawiam się, że wykorzystywaliśmy biednego Pachołkina, zwalając na jego wątłe ramiona więcej obowiązków domowych, niż mu się należało.

Ale prawdziwym problemem w naszym pokoju był Wania Awdaszczenko. Najstarszy z nas, zapewne po trzydziestce, rostry, silny, dobroduszny i nieprawdopodobnie leniwy. W latach wojny domowej walczył jako partyzant i żył w przebrzmiałej chwale tamtych wyczynów. Uważał chyba, że na zawsze zwalniają go one z jakiegokolwiek poważniejszego wysiłku.

Nie był głupi, ten nasz Wania, i nie miałby większych kłopotów z opanowaniem materiału, gdyby zadał sobie trochę trudu. Robiliśmy mu wykłady na ten temat i wymuszaliśmy na nim solenne obietnice, że weźmie się do pracy. Ale nasze starania na nic się nie zdały. Wyciągnięty na łóżku, udawał, że uczy się na pamięć wzorów chemicznych, a w rzeczywistości czytał tanią powieść.

Niedostatki Wani jako studenta rekompensował jednak z nawiązką jego talent do kontaktów politycznych. Znał wszystkich i wszyscy znali jego. Naturalną kolejną rzeczą wybierano go do różnych komitetów, gdzie oczywiście zupełnie nic nie robił i dlatego nie popełniał istotnych błędów. Miał znajomości w kuchniach Giganta, w najlepszych sklepach spożywczych i w innych miejscach, gdzie można było uzyskać dodatkowe racje żywnościowe. Dzieliliśmy dywidendy jego geniuszu politycznego, chociaż besztaliśmy go za lenistwo.

Przed końcem semestru Wania został relegowany z instytutu. Nie zdziwiło mnie jednak w najmniejszym stopniu, kiedy się dowiedziałem, natknąwszy się na niego w Moskwie wiele lat później, że został dyrektorem ważnego przedsiębiorstwa. We wspinaczkę po biurokratycznej drabinie nie przeszkadzał naszemu Wani nadmiar wiedzy, zrozumienia i wrażliwości.

W programie studiów edukacja polityczna liczyła się bardziej niż przedmioty techniczne. Rząd chciał mieć nie zwyczajnych inżynierów, lecz inżynierów o radzieckiej mentalności. Nasz Wydział Leninizmu,

z czerwonym profesorem Fillipowem na czele, ciężko nad tym pracował. Ci, którzy nie zgłębili *Kapitału* Marksa, dialektyki Engelsa, prac Lenina i przede wszystkim dysertacji Stalina, byli wyrzucani z instytutu szybciej niż ci, którzy po prostu mieli kłopoty z arytmetyką czy wykresami.

Nasza piątka studiowała w Instytucie Inżynierii Lotniczej, chociaż tylko Wigura miał praktyczne doświadczenie w budowie samolotów. Byliśmy pod urokiem lotnictwa, najnowocześniejszego elementu w planie modernizacji Rosji.

Rano gimnastykowaliśmy się w swoim ciasnym pokoju, żeby się rozgrzać. Potem jedliśmy w stołówce Giganta. Typowe śniadanie składało się z talerza zupy mlecznej, kromki czarnego chleba i herbaty bez cukru i cytryny. Idąc do instytutu, przemarznięci do kości i wciąż głodni, nie byliśmy wcale przygnębieni. Rozmawialiśmy i snuliśmy plany związane z instytutem, Gigantem, partią i naszą przyszłością.

Mimo różnic w poglądach i charakterach rozwinęło się wśród nas poczucie grupowej lojalności. Kiedy ktoś z naszej piątki miał randkę z dziewczyną, inni pożyczali mu na tę okazję krawat, czystą koszulę, porządne spodnie, a nawet kilka rubli.

Instytut, jak wszystkie instytucje radzieckie, miał własną gazetę. Niebawem zostałem zastępcą redaktora naczelnego. Niezadowolenie z administracji Giganta było powszechne i odbijało się szerokim echem na naszych łamach. Skąpe wyżywienie, zła kuchnia, brak warunków do prania, brud i bałagan spotykały się z ostrą krytyką.

Wszystko to osiągnęło punkt kulminacyjny na masówce zorganizowanej przez nasze komórki partyjne i komsomolskie. Było wiele przemówień i sugestii. Po uprzednim uzgodnieniu z komitetem zaproponowałem, aby sami studenci przejęli częściową odpowiedzialność za administrację. Aleksiej postawił wniosek, żeby wyznaczono do tego mnie. W tym momencie atrakcyjna dziewczyna, której wcześniej nie zauważyłem, poprosiła o głos.

- Popieram kandydaturę towarzysza Krawczenki - powiedziała. - Znam go od ośmiu lat i mogę zaświadczyć, że jest oddanym towarzyszem.

Była zdecydowanie ładna, trochę pulchna, schludnie ubrana i wypowiadała się śmiało, z nutą pewności siebie. Przez resztę zebrania zastanawiałem się, kim ona jest i skąd mnie zna. Wybrano mnie na przewodniczącego „komuny Giganta”. Po zebraniu dogoniłem dziewczynę w korytarzu.

- Jak się macie, Wiktorze Andriejewiczu - roześmiała się, trochę figlarnie. - Z pewnością mnie nie pamiętacie, ale wystarczy, że ja was pamiętam.

- A więc zdradźcie mi sekret - odparłem.

- Jestem Pasza. Czy to wam coś mówi?

- Pasza? Nie, obawiam się, że nie.

- Oto następna wskazówka: pchałam wagonik z węglem w kopalni w Ałgowierowce...

I nagle sobie przypomniałem.

- Mój Boże! Czy to ta sama Pasza! - wykrzyknąłem. Roześmieliśmy się oboje, a ja uściskałem ją z prawdziwą radością.

- Alosza! - zawołałem Aleksieja, żeby do nas dołączył. - Poznaj Paszę. Kiedy widziałem ją po raz ostatni, była czarna jak węgiel, w chłopskich łachmanach...

- I niepiśmienna - weszła mi w słowo.

- Tak, a spójrz na nią teraz! Studentka, a do tego kulturalna i jeszcze ta uroda, ukryta wcześniej pod pyłem węglowym - ciągnąłem. - Oto triumf rewolucji!

I rzeczywiście, metamorfoza była nadzwyczajna. Nikt nie rozpoznałby w dziewczynie tamtej zacofanej, ponurej młodej wieśniaczki, w szmatach, z długimi warkoczami, którą znałem w kopalni. Przypomniałem sobie, że wyglądała jak osaczone dzikie stworzenie, odrzucające nasze starania, aby ją ucywilizować.

Gdzieś w podświadomości wpisałem przemianę Paszy na konto rewolucji, aby zrównoważyć bilans.

Znajomość Aleksieja i Paszy rozkwitała. Czuję się patronem i strażnikiem ich przyjaźni.

Z pomocą Charkowskiej Rady Miejskiej i lokalnych organów partii udało nam się poprawić warunki życia w akademiku. Racje żywnościowe się zwiększyły, podobnie jak przydział opału. W piwnicy urządzono kilka wspólnych pralni. Zespoły ochotników częściej zamiatały korytarze i - co było największym osiągnięciem - w budynku powstało połączenie zakładu fryzjerskiego z salonem piękności. Moje notowania wśród studentów jako organizatora tych zmian znacznie wzrosły.

Ale mimo wszystkich ulepszeń nadal wiedliśmy spartańskie życie. Niezależnie od naszych trudności, większość z nas była świadoma pogarszających się warunków bytu w mieście, a tym bardziej na wsi. Choć nikt o tym głośno nie mówił, choć otwarta dyskusja wiązała się z niebezpieczeństwem, znaleźliśmy niektóre, jeśli nie wszystkie fakty.

Pogłoski o niewiarygodnych okrucieństwach na wsi w związku z likwidacją kułaków jako klasy przekazywano sobie z ust do ust. Widzieliśmy przejeżdżające przez Charków długie pociągi złożone z bydłych wagonów, wypełnionych chłopami wywożonymi na Północ w ramach „likwidacji”. W wioskach mordowano komunistycznych urzędników, a opornych chłopów masowo rozstrzeliwano. Krążyły też pogłoski o wyrzynaniu bydła przez chłopów sprzeciwiających się przymusowej kolektywizacji. Wydany w Moskwie dekret, przewidujący karę śmierci za samowolne wyrznięcie bydła, potwierdzał najgorsze

z tych pogłosek.

Dworce kolejowe w mieście były zatłoczone obdartymi, głodnymi chłopami uciekającymi ze wsi. *Bezprizorni*, bezdomne dzieci, których tyle widywało się podczas wojny domowej i w latach głodu, znów byli wszędzie. Żebracy, głównie ludzie ze wsi, ale także mieszkańcy miast, znowu pojawili się na ulicach.

Gazety zamieszczały triumfalne doniesienia o osiągnięciach. Kolej turkiestańsko-syberyjska ukończona. Nowe kombinaty przemysłowe otwarte na Uralu, na Syberii, wszędzie. Stuprocentowa kolektywizacja w kolejnych okręgach. Listy otwarte z „podziękowaniami dla Stalina” za nowe fabryki, nowe domy. Delegacje z innych krajów – nawet z Ameryki i Australii – przyjeżdżały podziwiać cuda pięciolatki, a w wywiadach sławiły radzieckie dokonania z niemal histerycznym entuzjazmem. Pozostawało zagadką, której my, Rosjanie, nigdy nie rozwikłaliśmy, jak ci goście mogli nie widzieć drugiej strony obrazu.

Co było rzeczywistością, a co iluzją? Głód i terror na wsi, bezdomne dzieci – czy statystyki osiągnąć? A może jedno i drugie składało się na tę samą złożoną prawdę? Takich pytań nigdy publicznie nie zadawano i nigdy nie udzielano na nie odpowiedzi. Ale prywatnie rozmawialiśmy o nich, Aleksiej, ja i miliony innych.

2

Dodatkowy zamęt w nasze życie w instytucie wniosło zarządzenie wydane niedługo po moim przyjeździe, ustalające, że wszystkie wykłady i egzaminy mają być prowadzone w języku ukraińskim, nie po rosyjsku. Zarządzenie dotyczyło wszystkich szkół i instytucji. Było to największe ustępstwo Moskwy wobec nacjonalistycznych ciągot najliczniejszej nierosyjskiej republiki radzieckiej.

W teorii my, Ukraińcy w szeregach studentów, powinniśmy się z tego cieszyć. W praktyce byliśmy tak samo skonsternowani tą innowacją jak nieukraińska mniejszość. Nawet ci, którzy, tak jak ja, mówili po ukraińsku od dziecka, nie przywykli do posługiwania się tym językiem podczas nauki. Kilku spośród naszych najlepszych profesorów było całkowicie zdezorientowanych ową lingwistyczną woltą. Co najgorsze, nasz język ojczysty nie nadążał za nowoczesną wiedzą; jego słownik nie był przystosowany do celów elektrotechniki, chemii, aerodynamiki, fizyki i innych nauk ścisłych.

Biedny Wania, zagubiony w lesie edukacji w każdym języku, załamał się zupełnie pod naporem ukrainizacji. Setki innych studentów znalazły się w niewiele lepszym położeniu. Georgij Wigura przetłumaczył oczywiście swoje święte teksty partyjnych autorytetów na ukraiński i doskonale się przystosował. Reszta z nas ugięła się pod nowym

brzemieniem, czytała po kryjomu rosyjskie podręczniki i żartowała sobie prywatnie z tej opery komicznej nacjonalizmu.

To, co powinno być kwestią wolnego wyboru, stało się uciążliwym obowiązkiem. Posługiwanie się językiem ojczystym nie było po prostu dozwolone, stało się przymusowe. Setki ludzi, którzy nim nie władali, zwolniono z państwowych posad. Mówienie publicznie inaczej niż po ukraińsku stało się niemal aktem kontrrewolucyjnym. Dzieci ze zrusyfikowanych rodzin zaczęły mieć kłopoty z nauką, ponieważ musiały studiować w języku, który był dla nich obcy.

W końcu, oczywiście, wszystkie te ekscesy spotkały się z potępieniem. Patriotyzm ukraiński był odtąd karany zesłaniem lub śmiercią. Ze starego bolszewika Skrypnika, ludowego komisarza oświaty na Ukrainie, zrobiono kozła ofiarnego i doprowadzono - za tę i inne ideologiczne „zbrodnie” - do samobójstwa.

Ale dopóki trwała ta tragikomedie, nie dopuszczano żadnej krytyki. Pewnego wieczoru pięciu współlokatorów z Giganta wróciło do domu po przemówieniu towarzysza Skrypnika na temat dobrodziejstw ukrainizacji. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem jego szczerości i inteligencji, nawet jeśli wątpiliśmy w mądrość polityki językowej.

- Może ma rację - powiedział Wania. - Ale, niech to diabli, ja po prostu nie mogę się niczego nauczyć po ukraińsku. Wystarczająco trudno jest po rosyjsku.

- Nie masz prawa tak mówić. - Wigura potrząsnął smutno głową. - Partia uważa to za konieczne, a my musimy wykonywać jej polecenia.

- Takie formalistyczne podejście nie ma dla mnie sensu - oświadczył Aleksiej. - Nie przynosisz partii żadnego pożytku, Georgij, rezygnując z samodzielnego myślenia. Ten skrajny program ukrainizacji szkodzi naszej sprawie, a nie pomaga. Bądź co bądź, widzimy rezultaty wyraźniej niż Politbiuro na Kremlu.

- Aleksiej ma rację! - powiedziałem. - Cała ta sprawa jest głupia. Ludzie powinni posługiwać się takim językiem, jakim chcą.

- Teraz atakujesz Kreml! - krzyknął Wigura. - Kwestia została rozstrzygnięta i odmawiam dalszej dyskusji na ten temat.

Kiedy nadal analizowaliśmy sytuację i wyraziliśmy nadzieję, że się zmieni, rozgniewany Wigura wyszedł z pokoju. Następnego dnia Aleksieja i mnie wezwał sekretarz komitetu partii. Zaczął rozmowę od zupełnie innych spraw, ale niebawem nawiązał do programu ukrainizacji. Wie, że jesteśmy nastawieni krytycznie, powiedział, i rozsiewamy wątpliwości.

Najwyraźniej Wigura na nas doniósł. Tego wieczoru, kiedy wrócił z kolacji, nasza czwórka czekała na niego. Pierwszy odezwał się Wania.

- Georgij - powiedział - pomóż nam rozstrzygnąć spór. Znasz Biblię, prawda?

- Znam.
- No to powiedz nam, ilu synów miał Noe i jak się nazywali.
- Trzech synów - odparł Wigura. - Sema, Chama i Jafeta.
- Nie, mylisz się! - powiedział Wania z gryzącą ironią. - Było ich trzech, zgadza się, ale nazywali się Sem, Cham i Judasz! Mam nadzieję, że rozumiesz.

Wigura poczerwieniał. Po raz pierwszy stracił pewność siebie.

- Zawsze spełniam swoją powinność - wyjąkał i wyszedł z pokoju. Oczyszczenie atmosfery po tym incydencie zajęło kilka tygodni. Po samobójstwie Skrypnika, kiedy sama partia przyjęła pogląd bliższy stanowisku Aleksieja i mojemu, Wigura nie widział żadnej niekonsekwencji w swoim zachowaniu. Każdy okres ma „własną prawdę”, powiedział.

Prawo do posługiwania się własnym językiem jest, w ostatecznym rozrachunku, jedyną „autonomią”, jaką cieszą się nierosyjskie republiki radzieckie lub obwody. Pisanie lub myślenie w tym języku czegokolwiek, co nie pozostaje w absolutnej zgodności z linią partyjną, to zdrada. Lingwistyczna wolność, która powinna być początkiem narodowej niezależności, jest w praktyce jej końcem. „Narodowe w formie, socjalistyczne w treści” - tak brzmi hasło, pod którym kryje się całkowicie scentralizowana polityka.

- Oto cała nasza autonomia narodowa! - szepnął mi cynicznie do ucha jeden z przyjaciół, pokazując toaletę publiczną, gdzie słowa „Mężczyźni” i „Kobiety” były wypisane w dwóch językach - po ukraińsku i po rosyjsku.

Mit, że różne republiki radzieckie cieszą się niezależnością, a nawet prawem do oderwania się, z niewiadomych powodów zapuścił korzenie za granicą. Oczywiście nikt w Związku Radzieckim w to nie wierzy. Każdy trend kulturowy wśród mniejszości narodowej, pozostający w najmniejszej sprzeczności z komunistycznymi dogmatami, jest bezlitośnie tłumiony. Setki Ukraińców rozstrzelano, dziesiątki tysięcy uwięziono i zesłano za „nacjonalistyczne odchylenie” i rzekome skłonności separatystyczne.

3

Mój pobyt w Charkowie został skrócony bez ostrzeżenia decyzją, której nawet ze mną nie skonsultowano. Nagle przeniesiono mnie z lotnictwa do metalurgii i rozkazano, bym wstąpił do Instytutu Metalurgicznego, najpierw w Leningradzie, później w moim rodzinnym mieście. Ale okres charkowski, choć krótki, zajmuje w mojej pamięci wiele miejsca, tak był wypełniony pracą, działalnością redakcyjną i zadaniami związanymi z administrowaniem Gigantem.

A w tych wspomnieniach wysuwają się na pierwszy plan dwie kobiety. Obie były piękne i obie, jak się okazało, nieszczęśliwe w małżeństwie.

Doktor Samarin, nasz wykładowca chemii, był garbusem. Miał długie ręce, groteskowo nieproporcjonalne w stosunku do karłowatej postury, i głowę w kształcie melona. Ale jego oczy były tak łagodne i mądre, jego umysł tak bystry, jego sympatia dla ludzi tak szczerą, że studenci szybko zapominali o jego ułomnościach. Z przyjemnością chodziłem na wykłady Samarina.

Pewnego dnia zaprosiłem go, aby zjadł z nami obiad w Gigancie. Oprowadziłem go po pokojach i świetlicach, a on był zachwycony porządkiem i czystością. Po obiedzie powiedział:

- Witiu, musisz szybko odwzajemnić tę wizytę. Przyjdź do mnie. Moja żona pięknie gra na fortepianie, a wiem, że lubisz muzykę.

Samarinowie mieli ze smakiem umeblowane mieszkanie, w którym większą część salonu zajmował fortepian. Na ścianie wisiały portrety rosyjskich pisarzy. Na postumencie w rogu stało brązowe popiersie Beethovena.

Tamtego pierwszego wieczoru patrzyłem na Kławdię oczami jej męża. Jego miłość do tej smukłej brunetki niemal wypełniała pokój. Było to tak, jakby jej uroda niwelowała jego ułomności i czyniła go doskonałym. Ponieważ bardzo silnie działał na mnie jej urok i nieokreślony smutek, który ją otaczał, coś na kształt poczucia winy mąciło moją radość z muzyki i rozmowy. Wymyśliłem sobie pretekst, żeby wyjść wcześniej.

Kilka dni później, idąc w zadymce śnieżnej, znalazłem się twarzą w twarz z Kławdią.

- Uciekłeś tamtego wieczoru - powiedziała od razu, bez powitania. - Za karę musisz mnie dzisiaj odwiedzić. To postanowione. Będę na ciebie czekała.

Byłem zupełnie pewien, że nie pójdę. Mimo to kilka godzin później zadzwoniłem do jej drzwi. Stół w jadalni był nakryty na dwie osoby.

- A gdzie doktor Samarin? - spytałem, nagle zakłopotany, czując, że wpadam w sidła - nie Kławdii, lecz własnych emocji.

- Och, pojechał odwiedzić brata, który mieszka na wsi niedaleko stąd. Wróci za kilka dni.

Nasza rozmowa przy kolacji była napięta, mimo butelki kaukaskiego wina. Po kolacji zaproponowałem spacer po zaśnieżonym parku - w świetle księżycy.

- Nie, mój drogi więźniu - roześmiała się. - Jeśli potrzebujesz księżycowych doznań, oto *Sonata księżycowa* - i zagrała ją na fortepianie.

Potem zaczęła grać i śpiewać cygańskie pieśni, z których wiele pamiętałem z dzieciństwa w Aleksandrowsku. Opowiedziałem jej o cygańskim obozie i o swojej przyjaźni z Sajdemanem. Przez cały czas

siedziałem spięty w wielkim fotelu, gdzie jej mąż siedział tamtego wieczoru. Wydawał mi się bastionem obronnym. Nagle, niemal w środku zdania, oświadczyłem, że muszę już iść.

Popatrzyła na mnie ze smutnym uśmiechem.

- Znowu uciekasz - powiedziała. - Ale tym razem cię nie wypuszczę.

- Przepraszam... lekcje... obiecałem Aloszy, że mu pomogę...

- Kłamiesz, drogi Witiu, wiem o tym. Chodź, porozmawiajmy szczerze. Dlaczego nie miałabym spędzić wieczoru z kimś... no, z kimś podobnym do mnie?

Jej głos był teraz pełen powstrzymywanych łez. Znowu usiadłem. Opowiedziała mi historię swojego życia, a kiedy mówiła, napięcie pomiędzy nami zniknęło. Wydawała mi się po prostu nieszczęśliwą dziewczyną, otwierającą przede mną serce.

Kławdia miała dziewięć lat, kiedy przyszła rewolucja. Urodziła się w bogatej rodzinie, wychowywali ją prywatni nauczyciele i guwernantki. W pierwszych miesiącach zamętu jej rodzice zostali aresztowani i jakiś czas później zginęli w ogólnej rzezi „burżuazyjnych” zakładników. Kławdia zamieszkała ze starą ciotką w pokoju na poddaszu dawnej rezydencji rodzinnej. Wiodły gorzkie, na wpół nielegalne życie „byłych”, zdeklasowanych i wyjętych spod prawa. Młoda Kławdia nie mogła chodzić do szkoły ani pracować. Utrzymywały się, sprzedając resztki dawnego dobytku.

- Wiem, że młodzi komuniści tacy jak ty nigdy nie patrzyli na obraz z tej strony - powiedziała. - Nie masz pojęcia, co to znaczy być pogardzanym, wyjętym spod prawa, czuć się niepotrzebnym. Zwłaszcza gdy jest się młodym. Nędza jest straszna dla wszystkich. Ale znacznie gorsza dla tych, którzy przywykli do wygod i dostatku.

Kiedy Kławdia miała siedemnaście lat, zakochała się w poecie dwa razy starszym od niej i zamieszkała z nim. Te kilka miesięcy spędzonych razem było najszczęśliwszym okresem w jej życiu. Ale potem on nagle zniknął, a ona do dzisiaj nie miała pojęcia, co się z nim stało. Przeciwwstawiał się nowemu reżimowi i podejrzewała, że przebywał w obozie, jeżeli jeszcze żył.

- Byłam ładna i wielu młodych ludzi zalecało się do mnie. Ale to wszystko byli chłopcy z mojej sfery, dzieci przeszłości. Byłam taka zmęczona i tak bardzo cierpiałam, że pragnęłam bezpieczeństwa. Mój książę z bajki, gdyby się pojawił, musiał mieć legitymację partyjną... I pewnego dnia poznałam doktora Samarina. Odstrecał mnie fizycznie, ale pochlebiało mi, że komunista, młody człowiek mający nazwisko, należący do partii, interesuje się mną. Kochał mnie nieśmiało, czule i na odległość. Byłam jednocześnie wystraszona i zafascynowana tym zwierzęcym oddaniem.

- Przede wszystkim byłam mu wdzięczna za dobroć. Moja ciotka i ja

zgadzałyśmy się, że ma piękną duszę, nawet jeśli jest garbusem i komunistą. Obawiam się, że moja ciotka uważała te dwie rzeczy za ułomności tego samego rodzaju. Przez ponad rok odwiedzał nas, przynosił jedzenie i ubrania i dawał mi lekcje, nie wspominając ani słowem o swoich uczuciach. Udało mu się nawet zdobyć dla mnie fortepian.

- Pewnego dnia, kiedy grałam na fortepianie jego ulubione utwory Czajkowskiego, powiedziałam mu: „Wiem, że mnie kochasz. Ja cię nie Kocham. Ale podziwiam cię i potrzebuję twojej opieki i towarzysztwa. Dlaczego nie mielibyśmy się pobrać?”. Siedział jak człowiek rażony piorunem - szczęśliwy, oszołomiony, a także zawstydzony. Przypuszczam, że znał prawdę, nawet jeśli wyrzucał ją ze świadomości - prawdę, że wyrzutek, dziecko przeszłości, akceptuje fizyczne monstrum z rozpacz.

- Widzisz zatem, Witiu, jak mało wy, przebiegli komuniści, naprawdę wiecie o życiu - zakończyła. - Nawet nie wiesz, ile tysięcy rosyjskich kobiet, zepchniętych na margines i unikanych z powodu swojego pochodzenia, szukało bezpieczeństwa, poślubiając nowych arystokratów, komunistów i proletariuszy. Niektóre z nich znalazły też szczęście. Ja do nich niestety nie należę. Nie potrafię zapomnieć ani wybaczyć tym, którzy zniszczyli najdroższe mi osoby i rzeczy.

- Ludzie tacy jak ja są samotni. To chyba jest najgorsze. Samotność. Udajemy, że się przystosowaliśmy. Prowadzimy potajemne życie w myślach. Ja próbowałam się włączyć. Chciałam uczyć muzyki w szkole. Władze wydawały się zainteresowane - dopóki nie wypełniłam ankiety i nie ujawniłam, że jestem „byłą”.

Minęła północ, kiedy wychodziłem.

- Zostańmy przyjaciółmi, Witiu - powiedziała w drzwiach. - Nie myśl o mnie źle. Jestem nieszczęśliwa i nie widzę przed sobą nic poza nieskończoną samotnością. Proszę, odwiedzaj nas - kiedy doktor Samarin będzie w domu. To dobry nauczyciel i wiem, jak bardzo go podziwiasz.

Zbyt szanowałem Samarina, jako nauczyciela i jako człowieka, by znowu wdzierać się w jego życie rodzinne.

4

Od czasu do czasu bywałem w domu towarzysza F., ukraińskiego działacza, który zajmował ważne stanowisko w Komisariacie Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej. Był starym członkiem partii, pięćdziesięciokilkuletnim, dobrze wykształconym i znał osobiście większość najwybitniejszych postaci rewolucji. Zwracał się do Lenina, Trockiego, Łunaczarskiego, Zinowjewa i innych po imieniu. Jego żona,

siwowłosa kobieta o dobrotliwym wyglądzie, przypominała mi Krupską, wdowę po Leninie.

Kiedy byliśmy tylko we troje, towarzysz F. nie mógł się powstrzymać od rozmów na tematy polityczne. Zaczynaliśmy od teatru, nowych książek, moich studiów, ale niebawem on przechodził do problemów agrarnych, terroru wymierzonego w jego starych towarzyszy, tempa industrializacji. Idee, które wszędzie indziej byłyby dla mnie szokujące, wydawały mi się naturalne i wiarygodne, kiedy wychodziły od niego. O sprawach, które ja zbywałem jako „kontrrewolucyjne pogłoski”, on wspominał spokojnie jak o oczywistych faktach. Ze względu na swoją pracę w komisariacie wiedział i mówił o okrucieństwach na wsi, o chłopskim oporze, o masowych aresztowaniach, jakby to były rzeczy ogólnie znane.

Tak czy inaczej, towarzysz F. przyczynił się niechcący do mojego spotkania z Julią. Dał mi dwuosobowe zaproszenie do łoży w operze na przedstawienie *Madame Butterfly*. Zabrałem ze sobą Aleksieja Karnauchowa. W sąsiedniej łoży siedziały dwie dobrze ubrane i bardzo piękne kobiety. W jednej z nich rozpoznałem natychmiast pacjentkę z sanatorium w Kijowie, gdzie wracałem do zdrowia po swoim wypadku na perskiej granicy.

- To Julia Michajłowna, żona R. - szepnąłem do kolegi.

- R.! - wykrzyknął.

Miał powód, żeby tak zareagować. R. był jednym z najważniejszych dygnitarzy w ukraińskim rządzie, człowiekiem o wielkiej władzy i podobno cieszył się zaufaniem samego Stalina. Pamiętałem, że regularnie przysyłał swojej żonie kwiaty samolotem z Charkowa, kiedy była w Kijowie.

Julia poznała mnie i gestem zaprosiła, abym dołączył do niej w przerwie. Jaka piękna! - pomyślałem. Dlaczego nie zauważyłem jej trzy lata temu w Kijowie? Jakimż byłem durniem! Do końca aktu wymienialiśmy spojrzenia, a ona uśmiechała się do mnie, wyraźnie ucieszona ze spotkania. Rumieniłem się i nie próbowałem ukryć swojego podziwu.

Opera była śmiertelnie nudna. Przerobiono ją, aby miała odpowiednią ideologiczną wymowę, i naszpikowano bombastycznymi rewolucyjnymi banałami. Ale przez resztę mojego życia każda z jej arii będzie ożywiać wspomnienie mojej miłości do Julii. Była kobietą średniego wzrostu, trochę starszą ode mnie, a w swojej soczystej urodzie przypominała owoc. Jej złote włosy były zaplecione w grube warkocze, które okalały jej głowę jak wieniec, nadając połyskującą oprawę jej cudnym rysom.

Kiedy kurtyna opadła, poszliśmy do jej łoży. Przedstawiłem Aleksieja, a ona przedstawiła swoją przyjaciółkę, Marię. Mówiliśmy banały, jak to zwykle przy nowej i jeszcze niezręcznej znajomości, ale spotkanie było

przesiąknięte podnieceniem; było w nim szczególne napięcie, które nie miało nic wspólnego z naszą rozmową.

Pozostaliśmy w ich łoży na drugi akt. Ale zanim się skończył, Julia szepnęła:

- Po co czekać do samego końca? Chodźmy do domu i zjedzmy kolację. Zgodziliśmy się ochoczo.

Przed teatrem Julia odprawiła samochód, który na nią czekał. Będzie zabawniej, powiedziała, pojechać do domu saniami. Wybraliśmy dwoje najczystszych sań z długiej kolejki; Aleksiej i Maria wsiedli do jednych, Julia i ja do drugich.

Ta jazda wyryła się w mojej pamięci ze zdumiewającą dokładnością i wyrazistością. Zimna, czysta, połyskliwa noc, otulona błyszczącym śniegiem. Chmury śnieżnego pyłu, wzbijanego przez galopujące konie, kiedy mknęliśmy bezgłośnie przed siebie. Parujące oddechy. Dłoń Julii w mojej pod baranicą na naszych kolanach.

Opowiedziałem jej o instytucie, o swojej pracy w fabryce i w partii, o Aleksieju i pozostałych kolegach z pokoju. A w środku bezcelowej rozmowy przerwałem sobie okrzykiem:

- Jakież cudowne jest wszystko dzisiaj wieczorem!

Nasze usta zetknęły się w długim pocałunku.

Niebawem skręciliśmy w boczną uliczkę i zatrzymaliśmy się przed małym, piętrowym domkiem osłoniętym wysokim parkanem - prywatną rezydencją, która w dawnych czasach mogłaby należeć do bogatego kupca. Przed bramą stał milicjant. Maria i Aleksiej, czując, że chcemy być sami, uparli się pójść do restauracji. Julia otworzyła drzwi i zaprosiła mnie do środka.

Kiedy zapaliła światła, znalazłem się w najelegantszym domu, jaki w życiu widziałem. Orientalne dywany na podłogach, gobeliny i obrazy na ścianach, kryształowe żyrandole, miękkie otomany i połyskujące mahoniowe stoły. Wszystko bogate i kolorowe, ale w wystroju była gustowna powściągliwość.

Stałem wśród tego przepychu, oszołomiony i szczerze zdumiony.

Julia roześmiała się.

- To jest prawdziwe, kochanie, to nie dekoracja filmowa - powiedziała i zrzuciła swoje focze futro.

- Ale ja nawet sobie nie wyobrażałem, że coś takiego jeszcze istnieje poza muzeami - odparłem.

- Nie przejmuj się, Witiu, w naszym kraju jest mnóstwo rzeczy, których sobie nie wyobrażałeś. Chodź do kuchni i pomóż mi przygotować kolację. Umieram z głodu. Służby dzisiaj nie ma, a on jest w Moskwie na jakiejś konferencji.

Kuchnia jedynie pogłębiła moje poczucie nierzeczywistości całej tej sceny. Otaczała nas atmosfera przepychu. W szafkach stała piękna

chińska porcelana i rzędy kryształowych kieliszków, niektóre ozdobione carskim herbem; na bocznym stoliku błyszczał srebrny brzuchaty samowar. Kiedy Julia otworzyła wielką lodówkę, zobaczyłem obfitość, która przywiodła mi na myśl piwnicę mojej babci w Aleksandrowsku. Wszystko to wydawało się innym światem, odległym od ubóstwa i wyrzeczeń, które stały się zwyczajnym elementem naszej radzieckiej egzystencji.

Kiedy rano wróciłem do swojego pokoju w Gigancie, ledwo zdążyłem się umyć i ogolić, zanim pobiegłem do instytutu. A przez cały dzień wykładowcy mieli we mnie zaspanego, nieuważnego i niezbyt przytomnego studenta. Myślami byłem z Julią. A więc jednak istnieje coś takiego jak „miłość od pierwszego wejrzenia”, mówiłem sobie ze zdumieniem. Ale dlaczego musiała to być kobieta zamężna – a co więcej, żona jednego z przywódców mojej partii i mojego kraju!

Postanowiłem uroczyście nigdy więcej nie spotykać się z Julią, a jednocześnie zastanawiałem się, jak zdołam wytrzymać te kilka dni do następnego spotkania, na które się umówiliśmy.

Towarzyszu Krawczenko, powiedziałem sobie surowo na zajęciach z aerodynamiki, zachowujesz się jak bohater taniej francuskiej powieści. Otrząśnij się z tego! Po co ten melodramat?

Tego wieczoru zwierzyłem się Aleksiejowi. Zorientował się, że nie jestem w nastroju do żartów, i rozmawialiśmy poważnie. Od Marii dowiedział się, że Julia od dawna jest nieszczęśliwa. Nie kochała swojego sławnego męża. Co gorsza, miała mu za złe jego bezwzględność, jego wystawny tryb życia, obojętność na cierpienia mas.

„Wiem, że to brzmi jak coś z *Domu lalki* Ibsena – powiedziała mi Maria – ale Julia czuje się osaczona i uwięziona. Mówi, że być żoną R. to zupełnie jak być żoną wielkiego księcia, i uważa, że jest to naigrzanie się z cierpień narodu rosyjskiego”.

W następnych tygodniach często spotykałem się z Julią. Pewnej nocy zapytałem ją o męża.

– Nie dzisiaj, kochany – poprosiła, wybuchając płaczem. – Będziemy mieli mnóstwo czasu na rozmowy. Nie chcę psuć naszych pierwszych wspólnych wieczorów.

Spacerowaliśmy pod rękę po rozległym, otoczonym murem ogrodzie na tyłach jej domu. Ścieżki były oczyszczone ze śniegu i posypane świeżym piaskiem.

– Nie, im szybciej porozmawiamy, tym lepiej – upierałem się. – R. to nie tylko twój mąż. To jeden z przywódców mojej partii.

– Nie należę do partii – odparła – ale od początku czułam się z nią związana, a przynajmniej związana z rewolucją. Mój ojciec był naukowcem i wielkim liberałem. Zapomnieliśmy, co znaczy słowo liberał, Witiu. Wymawiamy je ze śmiechem. Ale ja z każdym rokiem szanuję je

coraz bardziej - przynajmniej w tym sensie, w jakim używał go mój ojciec. Dla niego oznaczało ono miłość do zwykłych ludzi, sprawiedliwość dla wszystkich, a przede wszystkim szacunek dla każdego człowieka. Uważał, że życie ma wielką wartość. My o tym zapomnieliśmy, ale wydaje mi się, że o to właśnie chodziło w rewolucji.

- Dziwne - powiedziałem. - Twój ojciec był naukowcem, a mój jest zwykłym robotnikiem w fabryce. Jeden nazywał siebie liberałem, a drugi rewolucjonistą. Ale kiedy opowiadasz mi o swoim ojcu, to jakbym słyszał własnego...

- To wcale nie jest dziwne. Mój mąż głosi dzisiaj socjalizm dla ludzi pracy i obiecuje im go w przyszłości. Tymczasem on żyje teraz, nie w przyszłości. Obawiam się, że jeśli chodzi o niego, dzisiejszy socjalizm jest wystarczająco dobry. Dlaczego żyjemy w takim zbytku - wykonała szeroki gest, wskazując na ogród, luksusowy dom i swoje futro - gdy miliony cierpią głód i zapełniają obozy? Możesz mi nie wierzyć, ale nie podoba mi się zachłanność naszych przywódców. Czy wiesz, co się dzieje na wsi?

- Obawiam się, że wiem, Julio, więcej, niż chciałbym przed sobą przyznać.

- Nie dziw się, że mówię w ten sposób. Moje uczucia nie są dla R. tajemnicą. Często mu powtarzałam, jak to wygląda z mojego punktu widzenia, ale on się śmieje i nazywa mnie sentymentalnym głuptasem. Nic w tym złego, mówi; przywódcy ciężko pracują i zasługują na wygodne życie. Ale myli się. Jestem tego pewna. Przywódcy, którym niczego nie brakuje, szybko zapominają, co to znaczy cierpieć. Ich rozmowy o cierpieniu stają się zwykłą hipokryzją.

- Kochany, czuję się tak, jakbyśmy żyli w maskach pośród wielkiego oszustwa. Czasem myślę, że wyzysk i barbarzyństwo przeszłości były bardziej szczerze. Przynajmniej nie udawały, że są ideałem. Nikt nie nazywał tego socjalizmem. Uczciwi młodzi komuniści, tacy jak ty, naprawdę mają szczęście. Wciąż wierzysz i nic nie wiesz o brudnych intrygach i śmiertelnych zapasach o władzę wśród najwyższego kierownictwa.

- Czy wiesz, jakie wstrętne walki toczą się o posiadanie jakiejś dachy w Srebrnych Lasach pod Moskwą? Albo zimowego domku, należącego niegdyś do bogatego kupca z Kaukazu? Jest tyle kłamstw i pozorów. Tu, gdzie się znalazłam, jestem tak blisko nich, że czasami mnie dławią. To tak, jakbyś wpadł w bagno, im bardziej starasz się wydostać, tym głębiej się zapadasz.

Choć wszystko to brzmiało dla mnie dziwacznie, nie mogłem wątpić w jej szczerść.

- Gdybyś bardziej kochała męża, nie byłabyś na to taka wyczulona - zaryzykowałem. - Mam nadzieję, że mnie źle nie zrozumiesz, ale twoje

niezadowolenie polityczne może być odbiciem twojego niezadowolenia osobistego.

Julia zastanawiała się nad tym przez dłuższą chwilę.

- Nie, myślę, że tak nie jest - powiedziała wreszcie. - Nawet w pierwszych latach swojego małżeństwa nie podobał mi się sposób, w jaki R. i jego ważni przyjaciele żyją, rozmawiają, ich pogarda dla tych samych ludzi, których pracę wyzyskują. Od początku czułam, że jestem niewolnicą w majątku potężnego człowieka.

- Dobrze, zatem dlaczego nie odejdziesz od męża, nie podejmiesz pracy i nie zaczniesz żyć zgodnie z własnymi ideałami? Kocham cię i myślę, że ty mnie kochasz. Co nas powstrzymuje?

- Nie, Witiu, to nie jest takie proste. Wiem mnóstwo rzeczy, o których ty nie wiesz. Kobiecie w mojej sytuacji nie jest łatwo. Nie mogę po prostu odejść od męża i roztopić się w anonimowym tłumie. Byłam zbyt blisko ludzi u władzy i oni na to nie pozwolą. Błagam cię, nie każ mi więcej wyjaśniać. Jeśli mnie kochasz, nie odmówisz mi. To jedyna prośba, jaką mam do ciebie.

Cały świat nieograniczonej władzy i intryg, o którym mówiła, był dla mnie zagadkowy i niezrozumiały. Prosty Rosjanin, który zakochał się w kimś z rodziny carskiej, musiał się czuć tak jak ja.

Po powrocie jej męża z Moskwy często spotykałem się z Julią w domu jej przyjaciółki Marii. Było dla mnie oczywiste, iż jej mąż zdaje sobie sprawę, że Julia żyje własnym życiem, ale przymyka na to oczy. Rozmawialiśmy o tym, że pewnego dnia będziemy żyć razem jako mąż i żona, ale żadne z nas naprawdę w to nie wierzyło. Nazwisko R. często pojawiała się w gazetach. A to wygłaszał przemówienie, a to podpisywał jakiś dekret. Nieustannie też padało w rozmowach. „R. powiedział to, R. zrobił tamto...”. Jego sława, jego władza, jego wszechobecność wydawały się murami oddzielającymi mnie od Julii, nawet gdy trzymałem ją w ramionach.

Potem wydarzenia przybrały nieoczekiwany obrót. Zostałem wezwany do Komitetu Centralnego partii. Przyjął mnie zastępca szefa działu personalnego, towarzysz Szulkin.

- Towarzyszu Krawczenko - poinformował mnie - oto rezolucja partyjna zobowiązująca nas do szkolenia inżynierów w większej zgodności z ich poprzednimi doświadczeniami. Pracowaliście w fabryce metalurgicznej, zanim wstąpiliście do instytutu, prawda?

- Tak, w zakładach im. Pietrowskiego i Lenina.

- No właśnie. Jaki sens ma uczenie was budowy samolotów, skoro mieliście taki dobry początek w metalach?

- Ale wolałbym lotnictwo - powiedziałem nieśmiało.

- Może, ale przyznacie, że to tylko osobista preferencja. - Potem, zwracając się do sekretarki, dodał: - Dopilnujcie, żeby towarzysz

Krawczenko został przeniesiony do Instytutu Metalurgicznego w Dniepropietrowsku.

Przez kilka godzin włóczyłem się po parku Sumskim, nie zważając na chlapę wczesnej wiosny. Skąd partia mogła wiedzieć, że nie chodzi o wybór pomiędzy samolotami a metalurgią, tylko pomiędzy Julią a życiem bez niej? Dopiero później przyszło mi do głowy, że partia, a przynajmniej niektórzy ludzie w partii zapewne wiedzieli o wszystkim. Jednocześnie decyzja partii wydawała mi się zasadniczo słuszna.

Zatelefonowałem do Julii i przekazałem jej wiadomość. Przed moim wyjazdem spotkaliśmy się jeszcze kilka razy. Były to burzliwe, pełne łez spotkania. Nakłaniałem ją, żeby pojechała ze mną bez względu na konsekwencje. Chwilami wydawało mi się, że się waha i że naprawdę ze mną pojedzie. Ale więzy, które ją pętały, okazały się zbyt silne.

- Nie prosź mnie, nie bądź okrutny, Witiu. Nie mogę tego zrobić, chociaż życie bez ciebie będzie śmiercią za życia. Nie prosź mnie. I bez tego jest mi ciężko.

Wieczorem w przeddzień wyjazdu przez kilka godzin spacerowałem po ulicach Charkowa ze swoim przyjacielem Aleksiejem. Obiecał mi, że będzie mi przekazywał wiadomości o Julii. Byłem przekonany, że Julia do mnie dołączy, jeśli nie wkrótce, to kiedy skończę studia i będę mógł się ożenić.

Następnego ranka Julia, Maria, moi koledzy z pokoju i inni przyjaciele odprowadzili mnie na dworzec. Po policzkach Julii płynęły łzy, a wszyscy udawali, że tego nie widzą. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że już nigdy jej nie zobaczę.

Pisałem do niej ustawicznie z Dniepropietrowska, ale nie otrzymywałem odpowiedzi. Aleksiej, pod wpływem moich nalegań, poszedł do rezydencji R. Zadzwoił i drzwi otworzyła pokojówka. Kiedy zapytał o panią R., pokojówka rozplakała się. „Julia odeszła, już tu nie mieszka” - szlochała, ale nie mogła powiedzieć nic więcej. Według Marii Julia odeszła od męża wkrótce po moim powrocie do Dniepropietrowska i wyjechała z miasta. Albo nic więcej nie wiedziała, albo kazano jej niczego nie ujawniać.

Bolesna rana rozstania goiła się powoli. Ale tępy ból i niepewność pozostały ze mną na zawsze. W późniejszych latach obilo mi się o uszy, że Julia Michajłowna, pod nowym nazwiskiem, uczy w szkole na odległej prowincji, ale nie zdołałem ustalić, czy to prawda. Co więcej, w tym momencie odgrzebywanie przeszłości spod rumowiska czasu mogłoby być zbyt okrutne.

ROZDZIAŁ VII

Triumf maszyny

Moi rodzice i bracia ucieszyli się, widząc mnie z powrotem w Dniepropietrowsku. Nie chcąc mącić ich szczęścia, starałem się zachowywać normalnie. Wymagało to znacznego wysiłku, ponieważ moje życie przenikał ból rozłąki z Julią. Jedynym lekarstwem wydawała się praca. Rzuciłem się zawzięcie w wir studiów, zadań partyjnych, projektów fabrycznych, nie pozostawiając ani chwili na czarne myśli i użalanie się nad sobą. Aby dorobić do studenckiego stypendium, uczyłem ekonomii politycznej w technikum.

- Zaharujesz się na śmierć, Witieńka - biadała ciągle mama. Z pewnością podejrzewała, że mój zapał nie jest zupełnie normalny.

Mieszkając w domu, uniknąłem konieczności życia w akademikach, znacznie bardziej zapuszczonych i niewygodnych niż Gigant w Charkowie. Moje relacje z fabryką stały się bardzo bliskie. Odnowiłem stare przyjaźnie z inżynierami i pracownikami administracji, zawarłem nowe z brygadzystami i robotnikami. Kombinat im. Pietrowskiego i Lenina zatrudniał w tym czasie około 35 000 ludzi. Odgrywał istotną rolę w dramacie planu pięcioletniego.

Nowy dyrektor zakładów, N. Gołubienko, okazał się człowiekiem uczciwym i inteligentnym. Świadom moich długich związków z fabryką i mojego szczególnego zainteresowania racjonalizacją i modernizacją procesów produkcyjnych, zapraszał mnie często na posiedzenia i powierzał mi od czasu do czasu sporządzenie specjalnych raportów o problemach fabryki.

Mieszkając pod jednym dachem z ojcem i stykając się z innymi zwykłymi robotnikami, nie mogłem już uciec od rozmów o tragedii rejonów rolniczych. My, komuniści, omijaliśmy w rozmowach ten temat albo zbywaliśmy go napuszonymi eufemizmami z partyjnego żargonu. Mówiliśmy o „froncie chłopskim” i „kułackim zagrożeniu”, o „wiejskim socjalizmie” i „oporze klasowym”. Aby żyć w zgodzie z własnym sumieniem, musieliśmy wymazywać rzeczywistość ze świadomości tym werbalnym kamuflażem.

Ale zwykli robotnicy nie przejawiali takich zahamowań. Było wśród nich wielu chłopów, prawie wszyscy nadal mieli krewnych na wsi. Nie potrafili przyjąć chłodnego „naukowego” poglądu na kolektywizację. Bez

skrępowania mówili o przemocy, okrucieństwie, głodzie i śmierci - nie ogólnikowo, lecz przytaczając przykłady dotyczące Iwana czy Stiepana w konkretnej wiosce. Bez przerwy słyszałem opowieści o kanibalizmie, które odrzucałem jako przesadzone, lecz które mimo to napawały mnie zgrozą.

Również w instytucie nie dało się przemilczeć rozgrywającego się tuż za progiem koszmaru. Wydawano ostrzeżenia przed szerzycielami „antypartyjnych pogłosek”, rozpowszechnianych przez „prawicowych odchyleńców, trockistów i kułackich agentów”. Ale pogłoski szerzyły się nadal. W istocie kwitły w atmosferze groźby i zakazu. Nadawały nieme podteksty życiu dwóch tysięcy studentów. Aktywistów często wysyłało na wieś ze specjalnymi zadaniami. Chociaż po powrocie zabraniano im opowiadać o swoich doświadczeniach, ich milczenie i uniki były dostatecznie wymowne. Poza tym wielu z nich opowiadało, zobowiązując nas do zachowania tajemnicy, rzeczy, które przerażały mnie do głębi.

- Wyglądasz, jakbyś widział duchy - zagadnąłem kolegę, którego poznałem na zebraniach aktywu partyjnego. Właśnie wrócił z okręgu połtawskiego.

- Widziałem - odparł i spuścił wzrok.

Czułem, że kolega bardzo chce się przed kimś zwierzyć, ale uciekłem, bojąc się tego, co mogę usłyszeć.

Od czasu do czasu zdarzały się aresztowania „szerzycieli pogłosek” wśród studentów. Troska o polityczną moralność studentów pochłaniała więcej energii niż same studia.

W instytucie, podobnie jak w każdym radzieckim przedsiębiorstwie i urzędzie, działał wydział specjalny powiązany z GPU. Na jego czele stał towarzysz Liebied. Nikt nie mógł wejść do jego gabinetu, chyba że wezwano go na przesłuchanie. Niewielu z nas wiedziało, co dzieje się za małym zakratowanym okienkiem w stalowych drzwiach. A jednocześnie niewielu z nas było tak naiwnych, by nie zdawać sobie sprawy, że każdy student ma w wydziale specjalnym własne akta, gdzie zapisane są wszystkie jego słowa i czyny, każdy szczegół jego zachowania.

Teczki personalne zawierały informacje o życiu prywatnym studenta lub nauczyciela, o jego krewnych, jego przeszłości politycznej. Zawierały też raporty i donosy tajnych agentów umieszczonych na wszystkich wydziałach i we wszystkich akademikach oraz dobrowolnych informatorów, zabiegających o łaski lub motywowanych osobistymi urazami i złością.

Aby chronić informatorów i umocnić sieć codziennego nadzoru, teczek nie udostępniano nawet dyrektorowi instytutu ani sekretarzowi jego organizacji partyjnej. Wydział specjalny miał swoich agentów we wszystkich komórkach instytutu, a nawet wśród aktywu partyjnego.

Ale organizacja partyjna dysponowała własnymi informatorami, których tożsamości wydział specjalny nie znał. Szpiegów nakładali się zatem na szpiegów w zawilej strukturze, która rozpościerała niemal namacalny całun strachu.

Ale na tym się nie kończyło. Poza wydziałem specjalnym GPU miało w instytucie agentów, którzy składali raporty bezpośrednio regionalnej centrali, kontrolując w ten sposób Liebiedia i jego personel. Miejski komitet partii umieszczał agentów w organizacji partyjnej, a Komitet Obwodowy otrzymywał tajne raporty od swoich ludzi w Komitecie Miejskim. Ta przenikająca się wzajemnie piramida nadzoru sięgała aż na sam szczyt, do Komitetu Centralnego w Moskwie, a wreszcie do Politbiura ze Stalinem na czele.

Zazębiające się siatki szpiegowskie partii i GPU, czasem dzielące się informacjami, czasem rywalizujące ze sobą, przenikały całe życie radzieckie od góry do dołu. Żyliśmy w świecie pełnym niewidzialnych oczu i uszu. Przeciętny człowiek, co trzeba wyraźnie powiedzieć, nie zdawał sobie sprawy z zasięgu i złożoności tego systemu; w tym krótkim szkicu mówię o tym, czego dowiedziałem się później, w ciągu wielu lat. Zdawał sobie jedynie sprawę, że „ściany mają uszy” i że szczerłość to najkrótsza droga do zguby.

Nielegalna wiedza szerzyła się i tak. Jest to znaczący wskaźnik napięć emocjonalnych tamtego okresu. To również przejaw szczególnego rosyjskiego łaknienia rozmów, współczucia, obnażania własnej duszy. Solennie obiecując zachowanie tajemnicy, ryzykowaliśmy rozmowy o nękających nas wątpliwościach, dręczeni strachem, iż każde słowo i tak trafi w jakiś sposób do naszej teczki personalnej. Jakże często w latach czystki konfrontowano mnie z przypadkowymi uwagami wygłoszonymi w sekrecie do zaufanych przyjaciół. Jakże często pytano mnie, dlaczego nie zameldowałem o uwagach wygłoszonych w mojej obecności przez innych. Należało donosić o wszystkich „antypartyjnych” i „antyradzieckich” wypowiedziach; zaniechanie tego obowiązku uznawano za przyzwolenie i współudział.

Wydział specjalny nie przebierał w środkach w tropieniu „wrogów”. Niektórzy z nas wiedzieli na przykład, jaką zastosował taktykę, by sprawdzić akademika o wielkiej wiedzy, profesora Dinnika, który uczył nas mechaniki. Ważniejsza od wykładów była jego praca nad planami konstrukcyjnymi wymagającymi wielkich nakładów. Ten bezpartyjny, przedrewolucyjny intelektualista, który nie interesował się polityką, stał się oczywiście przedmiotem wzmożonych podejrzeń. Ale jak można było sprawdzić jego działalność, dotyczącą tak skomplikowanych zagadnień technicznych, że sabotaż mógł być trudny do wykrycia?

Odpowiedź znaleziono dzięki żonie profesora, która pracowała jako

jego asystentka. Była wysoką, kościstą blondynką, niebrzydka, trzydziestokilkuletnią, a zatem o dwadzieścia lat młodszą od męża. Ponieważ szanowała jego pracę i erudycję, nie uznano jej za odpowiedni materiał na agenta GPU. Podsunęto jej natomiast kochanka. Inżynier i oddany członek partii Pawlenko, męski, barczysty, o twarzy buldoga, zawrócił kobiecie w głowie. Profesor Dinnik był jednym z niewielu ludzi w instytucie, którzy nie wiedzieli, że jego żona ma kochanka, a żona jedną z niewielu osób, które nie podejrzewały, iż jej kochanek wykonuje po prostu zlecenie wydziału specjalnego. Jego poświęcenie okazało się bezużyteczne - w laboratorium profesora nie wykryto ani śladu sabotażu.

System nadzoru, choć rzadko o nim mówiono, jeśli nie liczyć złowieszczych aluzji i dowcipów politycznych, był tak samo prawdziwy i wszechprzenikający jak powietrze, którym oddychaliśmy. Obejmował nie tylko instytut, lecz również fabrykę, lokalne gazety, z którymi współpracowałem, organizacje partyjne, w których działałem, będąc w tym czasie członkiem biura partyjnego kierującego organizacją partyjną w instytucie.

Strumienie danych personalnych i donosów, czasem obłudnych, czasem mściwych i cynicznych. Tony akt. Miliony szpiegów. Wszystko posortowane i przestudiowane, skatalogowane i zindeksowane. Kopie dla prokuratury, dla kolegiów partyjnych, dla tajnych trybunałów GPU, jeśli wymagane było natychmiastowe działanie. Śmiercionośna amunicja przeciwko odstępcom lub wątpiącym do wykorzystania w odpowiednim czasie. Dziesiątki tysięcy segregatorów, z których każdy zawierał arsenał poufnych informacji, niedyskrecji, kłamstw, pochlebstw, pomyłek.

W szeregach naszej partii rządzącej cała ta ściśle tajna procedura nadzoru i demaskowania, w której staromodna prywatność została zlikwidowana raz na zawsze, miała swoją nazwę. Nazywano ją „demokracją partyjną”.

2

W czerwcu 1931 roku towarzysz Stalin wygłosił na konferencji ekonomistów przemówienie, które wstrząsnęło radzieckim przemysłem i odmieniło życie wszystkich robotników i urzędników. Przemówienie zawierało słynne „sześć punktów” mających na celu zwiększenie wydajności, z których najważniejszymi były: dokładne obliczanie kosztów, bardziej scentralizowane zarządzanie przedsiębiorstwami, zwiększenie odpowiedzialności za błędy i marnotrawstwo oraz daleko idące zróżnicowanie płac.

- Racjonalizacja przemysłu - poskarżył się Stalin - już dawno wyszła z mody. Nasze przedsiębiorstwa przestały liczyć, kalkulować,

dokonywać bilansu dochodów i wydatków... Nikt nie odpowiada za nic... Kierownicy nabrali wody w usta. Dlaczego? Jak można przypuszczać, dlatego że boją się prawdy.

Ucieszyły mnie niektóre elementy tej zmiany oficjalnego stanowiska. Wydawały mi się niemal osobistym zwycięstwem, ponieważ od dawna pisałem i argumentowałem za takim właśnie rodzajem racjonalizacji. Ale inne elementy wzbudziły moje zaniepokojenie. Ludzie tacy jak mój ojciec uznali je za potwierdzenie swoich najbardziej pesymistycznych przepowiedni.

Równość płac, która stanowiła radziecki ideał, przekształciła się nagle w zbrodnię. *Urawniówka* została odrzucona jako niegodna socjalistycznego społeczeństwa. „Partyjne maksimum”, zgodnie z którym członkowie partii otrzymywali pensje niewiele wyższe od przeciętnej, zostało zniesione, wyzwalając demony chciwości w aparacie urzędniczym. W całej radzieckiej gospodarce wprowadzono pracę na akord, nawet tam, gdzie taki system był niedorzeczny albo wręcz niemożliwy. Z osobliwym radzieckim upodobaniem do skrajności zło w postaci zbyt wielu szefów zastąpiono teraz złem w postaci jednego i arbitralnego szefa, a ostatnie pozory oddolnej „kontroli robotniczej” znikły.

Oczywiście czym innym było zarządzić reformy, a czym innym wcielić je w życie. Stalin miał rację, stawiając zarzut, że kierownicy boją się prawdy. Bali się jej, ponieważ prawda stanowiła niemal kontrrewolucyjny i zawsze niebezpieczny luksus. Błąd w ocenie albo niemądry eksperyment techniczny mogły być karane zesłaniem i więzieniem jako sabotaż. Karanie podwładnych za błędy mogło się okazać nieludzkie, ponieważ myślące w kategoriach policyjnych władze były skłonne oskarżać ich o umyślną zdradę. Ucieczka od odpowiedzialności wiązała gigantyczny wysiłek ekonomiczny w szalone węzły. Jak powiedział mi w tym czasie Gołubienko:

- Chcą, żebyśmy racjonalizowali, modernizowali i obcinali koszty. Wszystko to pięknie, towarzyszu Krawczenko. Ale jeśli zrobimy coś śmiałego lub nietypowego, ryzykujemy życie, prawda? Najbezpieczniej jest nic nie robić.

Późną jesienią tego roku wezwano mnie do Komitetu Obwodowego partii wraz z dyrektorem naszego instytutu, towarzyszem Cypljakowem, i jeszcze jednym studentem, Bierieckim. Sekretarz zamknął drzwi gabinetu i oznajmił, że chce przeprowadzić dochodzenie w Nikopolu, mieście leżącym sto kilometrów od Dniepropietrowska.

- Mimo „sześciu punktów” towarzysza Stalina - powiedział - praca idzie źle. Mnóstwo hałasu i wieców, ale spóźniają się z planem. Dyscyplina uległa rozluźnieniu i wzbiera niezadowolenie. Nikopol to przypadek szczególny. Jak wiecie, budujemy tam wielki kombinat

metalurgiczny. Będzie nas kosztował kilkaset milionów rubli. Ale z jakiegoś powodu budowa nie posuwa się naprzód, a fluktuacja siły roboczej jest nieprawdopodobna.

- Chcemy, żeby wasza trójka tam pojechała. Zostańcie tak długo, jak będzie trzeba - tydzień, dwa tygodnie. Potem zameldujecie, co jest źle i co można zrobić. Wasz raport zostanie przestudiowany, a jeśli będzie tego wart, przedłożony towarzyszowi Ordżonikidzemu.

Po przyjeździe do Nikopola stwierdziliśmy, że budowa rozpoczęła się mniej więcej trzy lata wcześniej, na pustym stepie dziesięć kilometrów od miasta i kilkanaście kilometrów od linii kolejowej. To zwiększało niewygodę robotników. Nikt nie wiedział, dlaczego wybrano tak niedogodne miejsce. Gdyby budowa znajdowała się bliżej miasta, problem mieszkaniowy byłby łatwiejszy do rozwiązania.

Dyrektor zakładów, Piotr Braczko, objął to stanowisko niedawno. Bez skrupowania ujawnił więc mnóstwo błędów i absurdów, które opóźniały pracę.

- Jest taki bałagan i brud - westchnął - że samo wydostanie się stąd jest poważnym przedsięwzięciem. Poza tym budowa postępuje nierównomiernie. Dobrze wiecie, towarzysze, że każdy zakład metalurgiczny jest uzależniony od innych zakładów. Budowa jednego w oderwaniu od innych to głupota. W ogólnej statystyce może to wyglądać pięknie, ale nie wygląda tak pięknie, kiedy zaczyna się prawdziwa produkcja.

Chodząc po ogromnym terenie, zajmowanym przez planowany kompleks fabryk, odlewni, budynków administracyjnych i osiedli mieszkaniowych, odkryliśmy z przerażeniem, że kosztowne importowane maszyny, głównie niemieckie, rdzewieją pod gołym niebem. Wszędzie widzieliśmy porzucone konstrukcje, niektóre na w pół ukończone, inne dopiero na etapie fundamentów.

- Ależ to straszne, towarzyszu Braczko - powiedziałem, gdy torowaliśmy sobie drogę przez błotniste pustkowia, zawałone ceglami i metalem.

- Wiem, ale co mogę zrobić? Gdy tylko zaczniemy na dobre jeden obiekt, przychodzi polecenie z centrali, że mamy wszystko przerwać i przerzucić cały wysiłek w inne miejsce. Plany uległy zmianie! Tymczasem robotnicy nie wykonują ustalonych teoretycznie norm. Chorobowe i absencja są przerażające. Robotnicy są znudzeni, mieszkają w okropnych warunkach i, mówiąc między nami, nie dostają odpowiedniego wyżywienia jak na ten rodzaj pracy.

Potem dodał z nutą satysfakcji:

- Oczywiście jestem tutaj nowy. Odziedziczyłem to wszystko po poprzedniej administracji.

Biedny Braczko! Skąd mógł wiedzieć, że za kilka lat zapłaci wolnością

za bałagan w Nikopolu? A skoro już o tym mowa, skąd ja miałem wiedzieć, że pewnego dnia obejmę główną rolę w kierowaniu tym metalurgicznym „gigantem”? W błogiej nieświadomości naszego przeznaczenia przechadzaliśmy się wśród niewiarygodnego chaosu.

Komisja rozmawiała z inżynierami, brygadzystami i poszczególnymi robotnikami. Stało się dla nas jasne, że praca postępuje zrywami, że trwoni się wysiłek i pieniądze. Powody takiego stanu rzeczy, jak mi się zdawało, dzieliły się na dwie grupy.

Pierwszą były ingerencje z zewnątrz. Przedsięwzięcie, chociaż ogromne, wpisywało się w ogólny plan, tak wielki, że prawie niemożliwy do ogarnięcia ludzkim umysłem. Drobną zmianą w planie centralnym, nawet uzasadnioną, często oznaczała zamęt w odległych segmentach. Urzędnicy, nadzorujący całość z daleka, nie zawsze potrafili przewidzieć wstrząsające skutki swoich zarządzeń dla tego czy innego przedsięwzięcia. Miejscowi urzędnicy mogli tylko słuchać i liczyć na cud. Ingerencje miały też charakter policyjny, z ciągłymi aresztowaniami, przesłuchaniami i groźbami, które tworzyły atmosferę strachu i niepewności.

Drugą grupę przyczyn można podsumować jako lekceważenie czynnika ludzkiego w procesie produkcyjnym. Chociaż dziesiątki milionów rubli wyrzucano beztrąsko na nieużywane maszyny i porzucone budowle, płace kształtowały się na żałośnie niskim poziomie, biorąc pod uwagę ówczesną siłę nabywczą rubla. Domy robotnicze istniały tylko na papierze, a robotnicy z krwi i kości tłoczyli się w pospiesznie skleconych drewnianych barakach, z przeciekającymi dachami, wilgotnymi ścianami i podłogami, bez choćby najbardziej prymitywnych urządzeń sanitarnych. Liczył się wynik, przy całkowitej pogardzie dla ludzi, którzy wykonywali pracę.

Drugiego wieczoru w Nikopolu postanowiłem odwiedzić baraki wraz z kierownikiem budowy, miejscowym sekretarzem partii i pracownikiem administracji. Brnąc w błocie po kostki, dotarliśmy do rzędu posępnych zabudowań. Chociaż w budynkach biurowych był prąd, nie doprowadzono go do kwater robotniczych. Lampy naftowe i knoty zanurzone w spodkach z oliwą rzucały pogrzebowe półświatło na ponurą scenę.

Jeden z baraków wydawał się z zewnątrz niemal zupełnie ciemny. Zapukałem i drzwi otworzył starszy brodaty mężczyzna.

- Dobry wieczór, towarzyszu, możemy wejść?

- Kim jesteście?

- Ja jestem sekretarzem partii, a to - wskazał na mnie - komisja z centrali.

- Świetnie! - powiedział robotnik z nieskrywaną ironią. - Witajcie w naszym pałacu, towarzysze! Co wolicie, szczury czy pluskwy? Nie

zwracajcie uwagi na smród.

Barak był prawie ciemny. Na kilku pryczach młodszy mężczyźni czytali w świetle „kopciuchów”. Inni grali w karty na górnej pryczy. Większość spośród pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu ludzi zignorowała nas. Inni stłoczyli się dookoła, żeby się poskarżyć i dać upust złości. Szczur umknął spod naszych stóp.

- Nazywacie to łóżkiem? - powiedział jeden z robotników. - A to poduszką? To są brudne szmaty!

- Jak często zmieniają pościel? - spytałem.

- Raz w miesiącu, jak dobrze pójdzie, albo co dwa miesiące, co trzy miesiące, nigdy.

- Ani chwili wytchnienia od robactwa i szczurów - zawołał inny. - Chodźcie, coś wam pokażę.

Podniósł jeden koniec żelaznej pryczy i uderzył nią kilka razy o podłogę. Pluskwy, poruszone w swoich gniazdach, zaroily się czarną plamą. Mimo woli cofnąłem się z obrzydzeniem.

- Dlaczego nie miałyby być robactwa? - wtrącił się kolejny robotnik. - Pracujemy na zmiany. Jedna zmiana wychodzi, a druga wchodzi, kiedy łóżka są jeszcze ciepłe. A podłóg nie myje się częściej niż raz w miesiącu. To nie jest życie, to męka. Kiedy pada, mamy tu arkę Noego, a kiedy jest zimno, biegun północny.

- Dlaczego siedzicie cicho? Dlaczego się nie skarżycie? - spytałem.

- Skarżyć się! - parsknął. - Dużo nam z tego przyjdzie. Przychodzi komisja, taka jak wasza, i więcej o niej nie słyszymy. Chcemy pracować, rozumiemy, że to ważne. Ale nie jesteśmy z kamienia. Poza tym w innym baraku ludzie postanowili coś zrobić w sprawie tych strasznych warunków. Postanowili nie iść do pracy, dopóki coś się nie zmieni. No cóż, powinniście wiedzieć, co się stało.

- Co się stało?

Zapadło ogólne milczenie.

- Nie bójcie się, powiedzcie mi. Jestem z Dniepropietrowska i naprawdę nie wiem.

- No, prowodyrów wezwano - wyrwał się jeden.

- Wezwano dokąd?

- Nie do cerkwi i nie do piwiarni, możecie być pewni - do GPU, oczywiście. I już nie wrócili.

- Może potrzebowali wakacji na Syberii - wtrącił brodaty robotnik z gorzkim śmiechem.

Opowiedziałem o wszystkim swoim kolegom z komisji. Oni też oglądali domy i ukończone budynki fabryczne. Żaden z nas nie miał do zakomunikowania niczego optymistycznego. Przewracałem się na łóżku przez całą noc. Brud, cierpienie i rozgoryczenie robotników przytłaczały mnie. Apatia tych, którzy byli zbyt zmęczeni i zbyt

zobojętniali, żeby się skarżyć, przygnębiały mnie jeszcze bardziej niż ironia i gniew ludzi, którzy z nami rozmawiali. A epizod z prowodyrami, których „wezvano”, czynił cały obraz jeszcze bardziej ponurym, bardziej beznadziejnym.

Następnego dnia w Komitecie Miejskim partii zwołano zebranie odpowiedzialnych kierowników zakładów w Nikopolu. Nie szczędziłem słów, żeby opisać to, co widziałem. Dyrektor Braczko oświadczył, że jeśli w ciągu pięciu dni w barakach nie zapanuje porządek, administracja fabryki będzie się musiała tłumaczyć przed „najwyższą instancją”. Towarzysz Cypljakow oznajmił, że komisja nie wraca do Dniepropietrowska. Pozostanie tutaj, żeby jeszcze raz sprawdzić wszystko po pięciu dniach.

To były niesamowite dni. Setki ludzi szorowały, myły i naprawiały. Dzięki telefonom do Charkowa, a w jednym przypadku nawet do Moskwy, przyszły skrzynie z nową pościelą i poduszkami. Do baraków przeciągnięto przewody elektryczne. Ci sami urzędnicy, którzy wcześniej pozwalali, aby koszmar narastał, teraz wydawali się chętni do pomocy, a nawet zadowoleni z poprawy warunków.

- To nie jest tak, że zgadzamy się na zło - powiedział mi jeden z nich - ale nie mamy możliwości, żeby mu zaradzić. Łatwiej jest pozostawiać rzeczy samym sobie niż działać. Nikt nie chce brać na siebie odpowiedzialności. Weźcie to sprzętanie - jest możliwe tylko dlatego, że wy reprezentujecie Komitet Obwodowy. W budżecie nie ma pieniędzy na pranie pościeli i podstawowe naprawy, a kto się odważy majstrować przy budżecie? To błędne koło.

Wieczorem przed naszym wyjazdem jadłem kolację z jednym z głównych inżynierów. Był starszym człowiekiem, bezpartyjnym.

- Nie jestem jednym z was - powiedział - lecz po prostu starym rosyjskim inteligentem. Nie mieszam się w wasze sprawy wewnętrzne. Ale jestem inżynierem i nie chcę, żeby moja praca szła na marne. Kocham swój kraj i chcę, żeby rozkwitał. Wierście mi.

- Wszystko, co proponujemy centrali, jest krytykowane. Oceniane nie z technicznego, ale z „politycznego” punktu widzenia. I niezależnie od tego, jakie zapadną decyzje, musimy się im podporządkować, nawet jeśli nie mają sensu. Kiedy centrala popełnia błędy, my cierpimy, ale milczymy. Musimy dziękować gwiazdom, jeśli nie obwiniają nas o swoje błędy.

- A co z miejscowymi członkami partii? Nie pomagają wam?

- Ech, drogi towarzyszu Krawczenko, jest wielu ludzi do pilnowania nas, ale niewielu do pomocy. Komitet zakładowy partii sprawdza, Komitet Miejski sprawdza, GPU sprawdza, teraz wy sprawdzacie. Sprawdzają nas i siebie nawzajem. Można by przypuszczać, że kiedy inteligentnym ludziom powierza się miliony rubli, pozostawi im się dosyć

swobody, żeby je we właściwy sposób wydali. A tymczasem bardziej przejmujemy się tym, co ten lub tamten pomyśli, niż prawdziwym projektowaniem i budową. Jestem starym człowiekiem, dlatego mam odwagę mówić wprost.

Wyjeżdżałem z Nikopola z ciężkim sercem. Patrząc z perspektywy na tę wizytę, najbardziej zdumiewające jest to, że mimo wszystko, jakimś cudem, znaczna część wielkiego kombinatu metalurgicznego została wybudowana. Wolniej, większym kosztem, niż planowano, za niemożliwą do oszacowania cenę ofiar i cierpień, ale została wybudowana.

Sporządziliśmy szczegółowy raport dla Komitetu Obwodowego, który z kolei opracował wnioski dla Moskwy. W swojej relacji nie pominąłem żadnych nieprzyjemnych szczegółów, nawet pluskiew i aresztowania niezadowolonych robotników przez GPU. Nie wiem, czy ten ostatni punkt kiedykolwiek dotarł do Moskwy.

Pobyt w Nikopolu przyspieszył realizację planu, który dojrzywał w mojej głowie od miesięcy. Zamierzałem pojechać do Moskwy i spróbować zobaczyć się z towarzyszem Ordżonikidzem. Chciałem z nim porozmawiać, jak mężczyzna z mężczyzną, o niedociągnięciach i nieprawidłowościach, które widziałem wokół siebie. Ponieważ mój zamiar odpowiadał potrzebom zakładów im. Pietrowskiego i Lenina, uzyskałem pozwolenie dyrektora Gołubienki, który zgodził się pokryć koszty podróży.

3

Prosto z dworca udałem się do Ludowego Komisariatu Przemysłu Ciężkiego.

Była to moja trzecia wizyta w Moskwie. Podczas poprzednich wizyt nie uderzył mnie jednak tak bardzo kontrast pomiędzy stolicą a resztą kraju. Kontrast ów wynikał po części z licznych zmian na lepsze w wyglądzie stolicy, ale w jeszcze większym stopniu z raptownego upadku miast prowincjonalnych.

Po Dniepropietrowsku, czy nawet Charkowie, Moskwa wydawała się krainą obfitości. Kolejki przed sklepami nie były tak długie, półki nie tak puste. Słyszało się niemal rytm aktywności, nutę optymizmu. Ulice były zamiecione do czysta, główne aleje świeżo wyasfaltowane. Nowe modernistyczne budynki robiły ogromne wrażenie na przyjeźdźnym. Dorożka powiozła mnie przez plac Teatralny, z teatrami, hotelami, wielkim gmachem opery, wieloma pięknymi sklepami. Ludzie tłoczący się na chodnikach byli lepiej ubrani i, co ucieszyło mnie najbardziej, nie włączyli się bez celu, każdy ich krok zdradzał prężność niemal obcą Rosji jako całości.

Wylegitymowawszy się i uzyskawszy *propusk*, przepustkę, przedstawiłem się sekretarzowi komisarza Ordżonikidzego, towarzyszowi Siemuszkinowi. Na szczęście poznałem go już wcześniej, więc spotkałem się z życzliwym przyjęciem. Pokazałem mu listy od Gołubienki i innych, a on obiecał powiadomić komisarza o moim przyjeździe.

W poczekalni naliczyłem szesnastu ludzi. Wszyscy byli dobrze odżywieni, dobrze ubrani; kilku z nich, co rzucało się w oczy, nosiło zagraniczne garnitury. Prawie wszyscy mieli teczki. Ich wygląd świadczył o dobrobycie i poczuciu własnej ważności. Najwyraźniej byli to szefowie dużych przedsiębiorstw, kierownicy wielkich projektów przemysłowych należący do najwyższego szczebla kierownictwa ekonomicznego. Jako najmłodszy w pokoju, w podniszczonym ubraniu, czułem się trochę jak ubogi krewny. Wszyscy patrzyli na mnie odrobinę nieufnie, jakby pytali: „Co ten osobnik robi w naszym dostojnym towarzystwie?”.

Zza ogromnych drzwi prowadzących do gabinetu komisarza usłyszeliśmy nagle hałas i krzyki. Rozpoznałem gruziński akcent Ordżonikidzego. Wszyscy spoglądaliśmy na drzwi z zainteresowaniem i lekkim niepokojem. Jeśli komisarz był w złym humorze, źle to wróżyło naszym sprawom. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie. Wszedł z nich pospiesznie tłusty, spocony i wyraźnie przerażony mężczyzna, ciągnąc za sobą otwartą walizkę. Z walizki wysypała się na podłogę zastawa stołowa: łyżki, noże, widelce. Biedny człowiek, poruszający się niezdarnie z powodu swojej tuszy, zatrzymał się, aby pozbierać sztucce, wrzucił je nerwowo do walizki, zamknął ją drżącymi rękami i wybiegł, nie patrząc na nas.

Kilka minut później wyłonił się Ordżonikidze, uśmiechnięty i przyjacielski, bez śladu gniewu z powodu gwałtownej sceny. Wstaliśmy na znak szacunku.

- Dałem łajdakowi nauczkę - powiedział ze śmiechem - i dobrze mu tak. Przyniósł mi próbki zastawy do masowej produkcji! Te sztucce nie nadawałyby się nawet dla dzikusów - toporne i brzydkie jak łopaty. Musimy skończyć z przeświadczeniem, towarzysze, że ludzie radzieccy zadowolą się byle czym. Wymagamy jakości, nie tylko ilości. No dobrze, zobaczymy, co was do mnie sprowadza.

Z Siemuszkinem u swego boku, komisarz chodził od jednego petenta do drugiego. Wysłuchawszy, kierował go do swojego sekretarza albo prosił, żeby wrócił w wyznaczonym terminie. Od naszego spotkania przed laty Ordżonikidze trochę przytył. W jego bujnych włosach i sumiastych wąsach było więcej siwizny. Ale jego wesoła, szczerą twarzą wciąż budziła zaufanie.

Kiedy dotarł do mnie, wręczyłem mu listy. Przeczytał pobieżnie jeden

z nich, potem spojrział na mnie z błyskiem w oczach.

- Jak się masz, stary przyjacielu! - powiedział. - Tak, pamiętam was bardzo dobrze, towarzyszu Krawczenko. Mam nadzieję, że robicie postępy w swoich studiach, i chętnie z wami porozmawiam. Powiedzmy, dziś wieczorem o dziesiątej. Towarzyszu Siemuszkin, zaopiekujcie się tym towarzyszem. Zadbajcie o jego wygody.

Kiedy komisarz wrócił do swojego gabinetu, Siemuszkin podszedł do mnie i ścisnął moje ramię, jakby mi gratulował. Ordżonikidze był do mnie przyjaźnie usposobiony, a jego sekretarz doskonale to wyczuwał. Pozostali patrzyli teraz na mnie z zawiścią - taki młody, a fortuna już się do niego uśmiecha...

Wielkim lincolnem zawieziono mnie do hotelu Metropol. Pokazałem kartkę z komisariatu i zostałem umieszczony w ogromnym pokoju na najwyższym piętrze. Czułem wewnętrzne podniecenie, że znalazłem się tak blisko władzy, że padał na mnie jej blask.

Wieczorem zszedłem do hotelowej restauracji, ogromnej sali z wysokim sufitem, ozdobionej tropikalnymi roślinami w wielkich donicach. Była zatłoczona, a orkiestra jazzowa grała synkopowaną muzykę. Pośrodku sali znajdowało się coś w rodzaju stawu rybnego, a na jego połyskujących brzegach, w takim ścisku, że wydawały się jedną falującą masą, poruszały się tańczące pary.

Potrzebowałem kilku minut, żeby oswoić się z tą sceną. Czy to wszystko naprawdę dzieje się w Związku Radzieckim? A może znalazłem się przez przypadek wśród filmowych dekoracji? Stojąc pod jedną z palm, przyglądałem się gościom przy stolikach i na parkiecie. Tu i ówdzie dostrzegałem rosyjską koszulę, ale głównie europejskie ubrania i krawaty. Niektóre kobiety miały na sobie suknie z głębokim dekoltem, jakie dotąd widywałem jedynie na okładkach książek. Było wielu cudzoziemców: przy jednym stoliku zauważyłem grupę w smokingach i sztywnych białych koszulach. Przez łuk w końcu sali dostrzegłem bar, kilka atrakcyjnych dziewcząt podawało drinki mężczyznom o cudzoziemskim wyglądem, siedzącym na wysokich stołkach.

Przypomniały mi się baraki w Nikopolu. „Witajcie w naszym pałacu, towarzysze. Co wolicie, szczury czy pluskwy?”. Ale odsunąłem to wspomnienie na bok. To była Moskwa. Niebawem będę rozmawiał z jednym z najpotężniejszych ludzi w naszym kraju.

Na długo przed wyznaczoną godziną znalazłem się w poczekalni w komisariacie. Tuż przed dziesiątą podszedł do mnie Siemuszkin.

- Będziecie musieli chwilę poczekać. Towarzysz Bucharin jest u komisarza.

Towarzysz Bucharin! Serce podskoczyło mi w piersiach. To prawie tak, jakbym spotkał Lenina. Wśród największych postaci rewolucji Bucharin plasował się zaraz za Leninem i Trockim. Czytałem jego

Abecadło komunizmu. Co prawda, w ostatnich kilku latach Nikołaj Bucharin został potępiony za „prawicowe odchylenie” i usunięty ze wszystkich oficjalnych stanowisk. Jego książki były zakazane. Ale jego nazwisko wciąż miało w sobie jakąś magię, a świadomość, że tu jest, po drugiej stronie drzwi, mimo woli przeszła mnie dreszczem.

Po chwili Siemuszkin dał mi znak, że mogę wejść.

- Bucharin jeszcze tam jest - szepnął. - Komisarz poprosił go, żeby został i poznał was.

Niebawem wymieniałem uścisk dłoni z Ordżonikidzem i Bucharinem. Komisarz siedział za wielkim biurkiem zawalonym papierami i książkami, wśród telefonów i przycisków. Bucharin i ja usiedliśmy naprzeciwko niego po drugiej stronie. Gabinet był ogromny, na ścianach wisiały portrety Marksa, Lenina i Stalina. Inna fotografia Stalina stała na biurku, z odręczną dedykacją u dołu.

- No, towarzyszu Krawczenko - powiedział komisarz, który widocznie chciał, żebym poczuł się swobodnie - opowiedzcie nam krótko i przejrzyście, co wiecie o budowie w Nikopolu.

- Najpierw, towarzyszu komisarzu, chciałbym porozmawiać o zakładach dniepropietrowskich. Mam własne poglądy na ich pracę, które chciałbym wam przedstawić.

- Śmiało.

Ponieważ z góry sformułowałem sobie problem w głowie, potrafiłem go jasno wyłożyć. Niektóre wydziały naszych zakładów wymagają modernizacji i powiększenia. W gorączce budowy nowych fabryk, dowodziłem, zaniedbuje się niektóre stare. Posługując się liczbami, próbowałem wykazać, że inwestując kilka milionów rubli w unowocześnienie istniejących zakładów, osiągniemy większe korzyści, niż inwestując dziesięć razy tyle w nowe zakłady.

Bucharin uśmiechnął się szeroko i skinął głową na znak zgody. Jak powszechnie wiadano, sprzeciwiał się „szalonemu tempu” nowych budów. Zanim zmuszono go do milczenia, skrytykował niektóre aspekty planu pięcioletniego jako „czyste awanturnictwo”.

- Generalnie zgadzam się z wami, towarzyszu Krawczenko - powiedział Ordżonikidze - chociaż konkretne problemy kombinatu im. Pietrowskiego i Lenina będziemy musieli zbadać. - Zapisał coś w notesie. - Powiedzcie dyrektorowi Gołubience, że starannie przeanalizujemy jego żądania. A teraz kontynuujcie...

Zacząłem opisywać swoje wrażenia z Nikopola. Najpierw trzymałem się formalnych, technicznych sformułowań, które z góry sobie ułożyłem. Ale potem przypomniały mi się baraki, brud i niezadowolenie, i emocje wzięły górę nad rozważą. Nuta oburzenia zabrzmiała w moim głosie, kiedy opisywałem szczegółowo marnotrawstwo, bałagan, a zwłaszcza nieznośne warunki życia zwykłych robotników.

- Towarzyszu komisarzu, jestem pewien, że jeśli przeznaczymy kilka milionów rubli na poprawę warunków życia robotników, zaoszczędzimy ogromne sumy na przedsięwzięciu. Zaniedbywanie czynnika ludzkiego sprowadza cały plan w miejscach takich jak Nikopol do tragicznego marnotrawstwa.

- Brawo! - wtrącił się Bucharin, a Ordżonikidze bezskutecznie próbował ukryć uśmiech.

- Centralnym problemem - ciągnąłem, porwany własną elokwencją - jest system płac dla wszystkich, od głównych inżynierów do szeregowych robotników. A drugi w kolejności jest problem dóbr konsumpcyjnych, tak aby za zarobione pieniądze robotnicy mogli kupić rzeczy, których potrzebują - jedzenie, ubranie, sprzęty domowe. Kiedy rozmawiałem z wami po raz pierwszy, towarzyszu komisarzu, skarżyłem się na ingerencje administracji w produkcję. Jednoosobowa dyrekcja i odpowiedzialność to dobre rozwiązanie. Ale zabrnęliśmy w drugą skrajność i robotnicy nie mają nic do powiedzenia. Wzywa się ich nawet do GPU, jeśli odważą się zaprotestować przeciwko strasznym warunkom. Ale chyba za dużo mówię. Przepraszam, ale głęboko się tym przejmuję.

- Nie, nie, proszę dalej, towarzyszu - wykrzyknął Ordżonikidze. - Dobrze jest usłyszeć, jak ktoś mówi pełnym głosem, a nie półgębkiem. Wszystko, co mówicie, to prawda. Nie myślcie, że o tym nie wiemy. Zapewniam was, że towarzysz Stalin bardzo się interesuje na przykład systemem płac. Ale łatwiej jest rozpoznać chorobę niż ją wyleczyć.

Rozmowa trwała prawie godzinę. W pewnym momencie komisarz spytał mnie, czy byłem kiedykolwiek za granicą.

- Nie, nie byłem - odparłem - ale czytam czasopisma techniczne ze Szwecji, Niemiec i Ameryki. Musimy się dużo nauczyć.

- Kiedy skończycie swój instytut, może wyślemy was do Ameryki i do Niemiec. A teraz zapomnijmy na chwilę o obowiązkach. Byliście w naszych teatrach? Albo w muzeach?

- Jeszcze nie, ale mam nadzieję zobaczyć tyle, ile się da.

- Świetnie, daję wam pięć dni urlopu w Moskwie. Zaczekajcie w przedpokoju na Siemuszkiną. A teraz do widzenia i do następnego spotkania.

Wyszedłem stamtąd trochę oszołomiony. Znalazłem się tak blisko Władzy, jak jeszcze nigdy dotąd, i to było odurzające uczucie. Ludzie siedzący w poczekalni patrzyli na mnie z nieukrywaną ciekawością. Ktoś, komu komisarz poświęcił całą godzinę swojego czasu, musiał być „ważny”. Niebawem dołączył do mnie Siemuszkin.

- No cóż, towarzyszu, gratuluję. Wasze akcje z pewnością wzrosły! - powiedział. - Oto bilety do Teatru Wielkiego i do Moskiewskiego Teatru Artystycznego. Koszty waszego pobytu w hotelu zostaną pokryte. A tutaj

jest tysiąc rubli na drobne wydatki. Prezent od towarzysza Ordżonikidzego. Bawcie się dobrze, a gdybyście czegoś potrzebowali, po prostu do mnie zadzwońcie.

Znowu odwieziono mnie do hotelu wielkim samochodem. Kiedy wszedłem do hotelowej restauracji na kolację, cygański chór śpiewał znajome pieśni. Ale niezwykłość otoczenia już na mnie nie działała. Fakt, że właśnie konferowałem z Ordżonikidzem i Bucharinem, sprawił, iż poczułem się tu jak w domu, niemal jak jeden z wybranych. Jak łatwo jest ulec urokom władzy i luksusu! Jak długo cierpienia anonimowych robotników w miejscach takich jak Nikopol ciążyłyby mi na duszy, gdybym ja też mieszkał w Moskwie, z mnóstwem pieniędzy w kieszeni, z samochodem do dyspozycji i orkiestrą jazzową, by tłumiły wyrzuty sumienia?

W ciągu następnych pięciu dni zaliczyłem balet, kilka oper, przedstawienie w Moskiewskim Teatrze Artystycznym, wieczór w Teatrze im. Wachtangowa. Spędziłem wiele godzin w Galerii Tretiakowskiej, w Muzeum Rewolucji, w Bibliotece Lenina i innych „obowiązkowych” miejscach. Jakież bogactwo piękna i wiedzy było na świecie!

Przypomniawszy sobie, że towarzysz Łazariew, który wiele lat temu w Zagłębiu Donieckim przybliżył mi partię i jej ideały, przebywa w Moskwie, postanowiłem go odwiedzić. Pamiętał mnie i przywitał bardzo serdecznie. Mieszkał w małym mieszkaniu w jednym z nowych bloków po drugiej stronie rzeki Moskwy. Z powodów, które trudno by mi było ująć w słowa, ucieszyłem się, że wciąż ma na ścianie portret Tołstoja...

Przedstawił mnie swojej żonie, atrakcyjnej młodej kobiecie i, podobnie jak on, aktywistce partyjnej. Nad parującymi szklankami herbaty opowiedziałem im pokrótce o swoim życiu po naszym spotkaniu w regionie górniczym. Punktem kulminacyjnym była oczywiście szczegółowa i entuzjastyczna relacja z rozmowy z Ordżonikidzem i Bucharinem. Łazariew słuchał mnie w milczeniu. Czuję, że moja euforia go irytuje.

- Tysiąc rubli, bilety do teatru, lincoln, Metropol - powiedział z pewnym smutkiem. - Tak, w ten sposób wielcy książęta starego reżimu traktowali swoich faworytów. Tylko nazwiska się zmieniły.

- Jesteście niesprawiedliwi, towarzyszu Łazariew - odparłem z uniesieniem. - Największe wrażenie wywarło na mnie to, że komisarz zechciał mnie wysłuchać. Jestem pewien, że rozumie ciężką sytuację zwykłych ludzi i współczuje im. A skoro tak, to zakładam, że Stalin też im współczuje. Dlatego czuję się podniesiony na duchu.

Łazariew zajmował teraz ważne stanowisko na Uniwersytecie Moskiewskim. Działał w różnych komisjach partyjnych. A mimo to, kiedy

rozmawialiśmy tego popołudnia, nasze role wydawały się osobliwie odwrócone. Jego promienna nadzieja i zapał wyparowały. Teraz ja broniłem partii.

- Byłeś ostatnio na wsi? - spytał mnie nagle.

- Nie, ale dosyć dobrze wiem, co się tam dzieje.

- Wiedzieć to jedno, zobaczyć to drugie. Widzisz, właśnie wróciłem z Ukrainy, spod Odessy. Miałem nadzorować kolektywizację w jednym okręgu. Obawiam się, mój przyjacielu, że nie mogę mówić o tym tak spokojnie jak ty o wspaniałomyślności komisarza...

Łazariew pojechał do Odessy jako członek komisji, do której wybrano zaufanych ludzi z Moskwy, ponieważ miejscowi przywódcy nie zdołali sobie poradzić z tym zadaniem i zostali zdymisjonowani. Chłopi stawiali szczególnie zacięty, często samobójczy opór, a odescy działacze nie potrafili sięgnąć po „surowe środki”, żeby się z nimi rozprawić. Sytuację uznano za tak poważną, iż sam Mołotow w imieniu Politbiura przyjechał wezwać władze do bardziej stanowczych kroków.

- Towarzysz Mołotow zwołał aktywistów - powiedział Łazariew - i mówił prosto, dosadnie. Zadanie trzeba wykonać, bez względu na ofiary w ludziach. Dopóki w kraju są miliony drobnych właścicieli, oświadczył, rewolucja jest zagrożona. Zawsze będzie istnieć ryzyko, że w przypadku wojny mogą przejść na stronę wroga, aby bronić swojej własności. Nie ma miejsca na pobłażliwość i litość. Zrozumieliśmy go doskonale. Po takim ostrzeżeniu, Wiktorze Andriejewiczu, koszar przekraczał wszelkie granice.

Łazariew ukrył twarz w obu dłoniach, tak jakby chciał zatrzeć straszne wspomnienia.

Przed wyjazdem ze stolicy odwiedziłem kilku innych znajomych. Było wśród nich paru takich, którzy deklamowali partyjne hasła i artykuły z gazet. Byli zadowoleni, żyli w propagandowym raju, w izolowanym moskiewskim świecie, słabo związanym z krajem jako całością. Ale zdarzali się też inni, tacy jak Łazariew, którzy na zewnątrz przystosowywali się do sztucznego optymizmu stolicy, ale w środku krwawili i cierpieli. Zepsuli oni podniosły nastrój, jaki wzbudziła we mnie wizyta u komisarza, i nadali nowy kierunek moim myślom.

W mojej relacji z podróży i w raporcie dla Gołubienki nie było euforii. Z jakiegoś mglistego poczucia winy, zbyt nieuchwytnego, żeby je zidentyfikować, nie powiedziałem o tysiącu rubli, o samochodach i biletach do teatru.

Nikopol, Moskwę i inne przerwy w nauce trzeba było zrekompensować dodatkowymi godzinami wkuwania. Na szczęście przedmioty techniczne łatwo wchodziły mi do głowy i szybko nadrobiłem zaległości.

Kilka miesięcy po moim powrocie z Moskwy w życiu naszej rodziny pojawiła się Katia. Pewnego wieczoru przyszedłem do domu po wykładach i chciałem wejść do łazienki, żeby się umyć przed kolacją. Powstrzymała mnie matka. Kąpie się tam mała dziewczynka, szepnęła.

- Jaka dziewczynka?

- Ciii... Później ci powiem. Straszne rzeczy dzieją się na wsi.

Udałem się do pokoju, a matka poszła za mną. W kilku słowach opowiedziała mi całą historię. Moja kuzynka Natasza, kierująca fabryczną organizacją partyjną, jechała pociągiem, wracając z podróży służbowej. Do wagonu weszła brudna i obdarta dziewczynka, dziesięcio- lub jedenastoletnia, jedna z nowej rzeszy „dzikich dzieci”. Zebrała o chleb drżącym, ledwo słyszalnym głosem. Widok był dosyć zwyczajny, ale coś w żalonych oczach i ściągniętych rysach dziecka poruszyło Nataszę do żywego. Przeprowadziła znajdę do naszego domu.

- To chyba z powodu temperatury - tłumaczyła się Natasza matce. - Nie mogłam znieść myśli, że to bosa, na wpół nagie maleństwo zostanie na mrozie w taką noc.

Matka od razu zdecydowała, że dziecko zostanie u nas.

- Jakoś sobie poradzimy, tyle nas jest - uśmiechnęła się. Wziąłem ją w ramiona i uściskałem.

- Jesteś prawdziwą matką - powiedziałem. - Cieszę się, że tak zdecydowałaś.

Weszliśmy do jadalni. Mała Katia siedziała na podłodze obok kaloryfera. Była blada i wystraszona, zwinięta w kłębek, jakby chciała stać się niewidzialna. Ginęła w fałdach jednej z sukienek matki. Jej mokre czarne włosy, z przedziałkiem pośrodku, były zaplecione w warkocze. Twarz miała owalną, szarą z wyczerpania i przedwcześnie postarzałą, ale rysy regularne i nawet ładne. Siedziała zupełnie nieruchomo, tylko wielkie niebieskie oczy strzelały we wszystkich kierunkach.

- Dlaczego siedzisz na podłodze, Katiu? Chodź, usiądź na krześle. To jest mój syn, Wiktor Andriejewicz. Podaj mu rękę.

Dziewczynka zrobiła, co jej kazano.

- Cześć, Katiu - powiedziałem, kucając, żeby się jej przyjrzeć. - Dlaczego nic nie mówisz? Nie bój się. Wszyscy cię kochamy. Czy ktoś się skrzywdził?

- Nie - odparła słabym szeptem.

Przy stole Katia była onieśmielona i milczała. Trzymała niezdarnie swoją łyżkę. Ale potem głód wziął górę nad zakłopotaniem i zaczęła pochłaniać jedzenie. Próbowaliśmy rozmawiać obojętnie o różnych rzeczach, ale los tego dziecka wprowadził nas wszystkich w przygnębienie.

Mój ojciec prawie się nie odzywał.

Po kolacji, kiedy matka poszła zmywać naczynia, Katia spytała:

- Ciociu, mogę ci pomóc?

Zbierając talerze ze stołu i niosąc je do kuchni, wydawała się po raz pierwszy normalną dziewczynką, trochę komiczną w za dużej, dorosłej sukience. Przyszła nasza sąsiadka, Olga Iwanowna, pracująca w komitecie dzielnicowym partii. Nie tylko pochwaliła naszą decyzję, żeby przygarnąć dziewczynkę, ale zaofiarowała się, że dołoży się na ubrania dla niej. Nagle usłyszeliśmy, jak dziewczynka płacze w kuchni.

- Niech się wypłacze - powiedziała matka.

Ale płacz stawał się coraz głośniejszy, aż przeszedł w histeryczne zawodzenie. Z przeciągłym chłopskim zaśpiewem Katia powtarzała po ukraińsku:

- Gdzie jest moja mama? Gdzie jest mój tata? Gdzie jest mój brat Wala?

Weszliśmy do kuchni. Dziewczynka siedziała skulona na krześle, załamując kościste małe rączki, łzy płynęły strumieniem po jej zapadniętych policzkach.

- Uspokój się, Katiu, kochanie - prosiła matka. - Nikt ci nie zrobi krzywdy. Będiesz u nas mieszkała, kupimy ci buciki i sukienki, nauczymy cię czytać i pisać. Wierz mi, będę dla ciebie dobrą matką.

Dziewczynka nie dała się pocieszyć. Zaczęła opowiadać o sobie.

- Nie, gołąbeczko, nie. Opowiesz nam innym razem - przekonywała ją matka.

- Nie mogę - szlochała Katia. - Muszę opowiedzieć teraz. Cały rok byłam bez rodziców. Cały rok! Mieszkaliśmy w Pokrownej. Mój tata nie chciał wstąpić do kołchozu. Różni ludzie kłócili się z nim, zabierali go i bili, ale on nadal nie chciał. Krzyczeli, że jest kułackim agentem.

- Czy twój tata był kułakiem? - spytałem. - Wiesz, co to znaczy „kułacki agent”?

- Nie, wujku, nie wiem. Nasza nauczycielka nam nie powiedziała. Mieliśmy konia, krowę, cielaka, pięć owiec, trochę świń i stodołę. To wszystko. Codziennie wieczorem przychodził posterunkowy i zabierał tatę do Rady Wiejskiej. Pytali go o zboże i nie wierzyli, że więcej nie mamy. Ale to była prawda, przysięgam. - Przeżegnała się uroczyście. - Przez cały tydzień nie dawali tacie spać, bili go kijami i rewolwerami, aż był cały siny i spuchnięty.

Kiedy wycisnęli z niego ostatni pud zboża, opowiadała Katia, jej ojciec zarznął świnię. Zostawił trochę mięsa dla rodziny, a resztę sprzedał w mieście, żeby kupić chleb. Potem zarznął cielaka. A „oni” znowu zabierali go co noc. Powiedzieli mu, że wyrzwanie inwentarza bez pozwolenia jest przestępstwem.

- Potem, któregoś dnia rano, rok temu - ciągnęła Katia - przyszli do domu obcy. Jeden był z GPU, a przewodniczący naszej rady też z nim był. Inny człowiek zapisywał w książce wszystko, co było w domu, nawet meble i ubrania, garnki i patelnie. Potem przyjechały wozy i zabrały wszystkie nasze rzeczy, a zwierzęta pognano do kołchozu.

- *Mamoczka*, moja kochana mamusia, płakała, modliła się i padła na kolana, nawet mój tata i starszy brat Wala płakali, i siostra Szura. Ale na nic się to nie zdało. Kazali nam się ubrać i zabrać trochę chleba, solonej wieprzowiny, cebuli i ziemniaków, bo mieliśmy jechać w długą podróż.

To wspomnienie było zbyt straszne dla Kati. Znowu się rozpląkała. Ale opowiadała dalej:

- Zamknęli nas w starej cerkwi. Było tam dużo innych rodziców i dzieci z naszej wioski, z tobołkami, i wszyscy płakali. Siedzieliśmy tam przez całą noc, po ciemku, modliliśmy się i płakaliśmy. Rano milicjanci poprowadzili ze trzydzieści rodzin na stację. Ludzie na drodze żegnali się na nasz widok i też płakali.

- Na stacji było dużo ludzi takich jak my, z innych wiosek. Chyba tysiące. Wepchnęli nas do stodoły, ale nie wpuścili mojego psa, Wilczka, chociaż szedł za nami przez całą drogę. Słyszałam jak wyje w ciemnościach.

- Potem nas wypuścili i zaprowadzili do wagonów, ale nigdzie nie widziałam Wilczka, a wartownik kopnął mnie, kiedy zapytałam. Jak tylko wagon zrobił się pełny i nie było więcej miejsca, nawet na stojąco, zamknęli go. Krzyczeliśmy i modliliśmy się do Najświętszej Panienki. Potem pociąg ruszył. Nikt nie wiedział, dokąd jedziemy. Jedni mówili, że na Syberię, a inni, że na daleką północ albo na pustynię.

- Pod Charkowem moja siostra Szura i ja wysiadłyśmy, żeby przynieść wody. Mama dała nam trochę pieniędzy i butelkę i powiedziała, żebyśmy kupiły mleko dla naszego braciszka, który był bardzo chory. Niedaleko były jakieś chłopskie chaty, więc pobiegłyśmy tam, ile sił w nogach.

- Kiedy powiedziałyśmy tym ludziom, kim jesteśmy, oni też się rozpląkali. Od razu dali nam coś do jedzenia, napełnili butelkę mlekiem i nie wzięli pieniędzy. Potem pobiegłyśmy z powrotem na stację. Ale spóźniłyśmy się i pociąg odjechał bez nas.

Katia znowu przerwała i zaczęła płakać za matką, ojcem, braćmi i siostrą. Większość z nas też płakała razem z nią. Im bardziej matka próbowała uspokoić Katię, tym głośniejsza sama płakała. Ojciec spoglądał ponuro i nic nie mówił. Widziałem, jak mięśnie jego twarzy poruszają się konwulsyjnie.

Katia i jej siostra, nowi rekruci ogromnej armii bezdomnych dzieci, wędrowały od wioski do wioski. Nauczyły się żebrać, zdobywać jedzenie, „jeździć po szynach” pociągami. Opanowały specyficzny

żargon zdziczałych sierot. Rozdzieliły się na placu targowym, kiedy gonił je milicjant, i Katia została sama na świecie – dopóki Natasza nie przyprowadziła jej do nas.

Nauczyliśmy się kochać Katię, a ona zaczęła czuć się u nas jak w domu. Ale od czasu do czasu, nocą, słyszeliśmy jej tłumione łkanie i śpiewną skargę: „Gdzie jesteś, mamusiu? Gdzie jesteś, tatusiu?”.

ROZDZIAŁ VIII

Koszmar na wsi

Aby oszczędzić sobie duchowej udręki, odgradzamy się od nieprzyjemnych prawd, zamykając oczy - i umysł. Gorączkowo szukamy wymówek i zbywamy wiedzę słowami takimi jak przesada i histeria. A potem zdarza się coś, co każe nam otworzyć umysł i oczy. Po raz pierwszy stawiamy czoło rzeczywistości.

Tak właśnie było ze mną kilka tygodni po tym, jak Katia przyszła do naszego domu. Podświadomie strzegłem swojej wiary przed niewygodnymi faktami. Robiłem, co mogłem, żeby uniknąć wyjazdu w rejony objęte kolektywizacją. A potem tragedia jednego niewinnego dziecka uzmysłowiła mi tragedię całej chłopskiej Rosji. Postanowiłem skorzystać z pierwszej sposobności, by znaleźć się na terenach, na których trwała kolektywizacja.

Sposobność nadarzyła się szybciej, niż się spodziewałem. Za pośrednictwem organizacji partyjnej w instytucie kazano mi się zgłosić do Komitetu Obwodowego. Cel: mobilizacja brygad partyjnych do pracy na wsi.

Było nas w sali konferencyjnej około osiemdziesięciu, głównie młodych mężczyzn. Kilku z nich poznałem w ostatnich latach przy okazji różnych inicjatyw partyjnych. Wszyscy byliśmy spięci, niektórzy nie potrafili ukryć niepokoju. Wysyłano nas do regionów rolniczych, abyśmy pomogli zbierać zboże i przyspieszyć ostatnią fazę żniw. Ale czuliśmy się i zachowywaliśmy tak, jakbyśmy się mieli znaleźć w samym środku krwawej wojny.

Towarzysz Chatajewicz, członek Komitetu Centralnego partii, wygłosił przemówienie. Spotęgowało ono jedynie nasz niepokój. Spodziewaliśmy się usłyszeć wykład o uprawie ziemi i gospodarce rolnej. Tymczasem wysłuchaliśmy płomiennych wezwań do boju w duchu „zwyciężyć lub zginąć”.

- Towarzysze - powiedział - wyjeżdżacie na wieś na miesiąc lub sześć tygodni. Obwód dnepropietrowski pozostał w tyle. Partia i towarzysz Stalin rozkazali nam zakończyć kolektywizację do wiosny, a tu mamy koniec lata i zadanie nie zostało wykonane. Lokalne władze potrzebują zastrzyku bolszewickiej determinacji. Dlatego właśnie posyłamy was.

- Musicie wykonywać swoje obowiązki z poczuciem partyjnej

odpowiedzialności, bez mazgajstwa, bez zgniłego liberalizmu. Wyrzućcie za okno swój burżuazyjny humanitaryzm i postępujcie jak bolszewicy godni towarzysza Stalina. Bijcie kułackiego agenta wszędzie, gdzie podnosi głowę. To jest wojna – my albo oni! Ostatnie rozkładające się resztki kapitalistycznego rolnictwa muszą zostać wykorzenione za wszelką cenę!

- Po drugie, towarzysze, jest absolutnie konieczne, abyśmy wykonali rządowy plan dostaw zboża. Kułacy, a nawet średniacy i biedniacy, nie oddają zboża. Sabotują politykę partyjną. A lokalne władze czasami się chwieją i okazują słabość. Waszym zadaniem jest zdobyć zboże za wszelką cenę. Wyciskajcie je z nich, gdziekolwiek byłoby ukryte, w piecach, pod łózkami, w piwnicach albo zakopane na podwórzach.

- Dzięki wam, brygadam partyjnym, wieś musi poznać znaczenie bolszewickiej stanowczości. Musicie znaleźć zboże i znajdziecie je. To wyzwanie dla waszej inicjatywy i dla waszego czekistowskiego ducha. Nie bójcie się podejmować skrajnych środków. Partia stoi za wami murem. Towarzysz Stalin oczekuje tego od was. To walka na śmierć i życie; lepiej zrobić za dużo niż za mało.

- Waszym trzecim ważnym zadaniem jest zakończenie młócki zboża, naprawa narzędzi, pługów, traktorów, żniwiarek i innego sprzętu.

- Walka klasowa na wsi przybrała najostrzejsze formy. To nie jest czas na delikatność i zgniły sentymentalizm. Kułaccy agenci maskują się i wstępują do gospodarstw uspołecznionych, gdzie sabotują pracę i wybijają żywy inwentarz. Oczekuje się od was bolszewickiej czujności, nieprzejednania i odwagi. Jestem pewien, że wypełnicie zalecenia partii i dyrektywy naszego ukochanego Przywódcy.

Ostatnie słowa, w których zabrzmiała groźba, utonęły w posłusznych oklaskach.

- Są jakieś pytania? Czy wszystko jasne?

Nie było pytań.

- Zaczekajcie tutaj. Będziecie wzywani pojedynczo do towarzysza Brodskiego.

Nie mogłem wyjść ze zdumienia: czy to wszystkie „instrukcje”, jakie otrzymamy? Czy to możliwe, że od studentów i urzędników oczekuje się, iż rozwiążą kolosalne problemy kolektywizacji wsi, stosując wyłącznie „bolszewicką stanowczość”? Jak można wyznaczać grupę młodych ludzi, w większości nieobeznanych z problemami rolnictwa, by decydowała o losie setek tysięcy chłopów?

Młody człowiek siedzący obok mnie powiedział cicho, jakby słyszał moje myśli:

- Towarzyszu Krawczenko, przypuszczam, że otrzymamy dalsze instrukcje. To znaczy wskazówki praktyczne.

- Nie wiem – odparłem. Rozpoznałem w nim studenta z instytutu, ale

to było wszystko, co o nim wiedziałem. Nie zamierzałem rozpocząć praktykowania „bolszewickiej stanowczości” od wdawania się w „niebezpieczne” dyskusje z nieznanym.

- Widzicie, towarzyszu - ciągnął - nigdy nie mieszkałem na wsi. Nie wiem nic o życiu na wsi i nie mam zielonego pojęcia, jak się zabrać za te wielkie zadania, o których mówił sekretarz. Ale chyba jest jasne, że zapłacimy legitymacją partyjną, a może nawet głową, jeśli zawieziemy?

Wpadłem w złość. Albo facet jest niewiarygodnie naiwny, albo próbuje mnie sprowokować do nieostrożnych wypowiedzi.

- Przykro mi - powiedziałem, nie próbując ukryć irytacji - ale mogliście zadawać pytania.

- To prawda. Tylko że wszyscy klaskali, a ja nie miałem odwagi przyznać, że coś jest dla mnie niejasne. Ale znam was z instytutu, towarzyszu Krawczenko, i ufam wam. Gdybym został przydzielony do tej samej brygady, co wy, poczułbym się lepiej.

Spojrzałem mu prosto w oczy i nagle zawstydziłem się swoich podejrzeń. Jego niepokój wydawał się szczery. Chociaż był zaledwie o kilka lat młodszy ode mnie, miał w sobie coś z bezbronno, małego chłopca.

- Nie mam nic przeciwko temu, jeśli uda wam się to załatwić - powiedziałem - chociaż przypuszczam, że zadania zostały już przydzielone.

- Spróbuję - uśmiechnął się, z nową odwagą w głosie. - Nazywam się Cwietkow, Siergiej Aleksiejewicz Cwietkow.

Odszedł. Kilka minut później wezwano mnie do gabinetu towarzysza Brodskiego. Za wielkim biurkiem siedział potężnie zbudowany mężczyzna z bujną czupryną czarnych włosów.

- Towarzyszu Krawczenko - powiedział bez żadnych wstępów - czy wiecie coś na temat wsi?

- Podczas wojny domowej przez kilka lat mieszkałem w komunie wiejskiej. Poza tym w latach 1920-1921 chodziłem do szkoły rolniczej.

- Świetnie! Większość naszych brygadzystów nie odróżnia pszenicy od perzu.

Nacisnął guzik i do gabinetu weszli jeszcze dwaj ludzie. Jednym z nich, uśmiechniętym nieśmiało na znak sukcesu, był student Cwietkow. Drugiego, mniej więcej czterdziestoletniego, nie znałem.

- Podajcie sobie ręce - powiedział towarzysz Brodski. - Będziecie pracować razem. Pojedziecie do wioski Podgorodnoje. Wy, towarzyszu Krawczenko, dopilnujecie zakończenia młócki. Będziecie też odpowiedzialni za utrzymanie narzędzi i maszyn w należytym stanie. Wy, towarzyszu Cwietkow, wraz z towarzyszem Arszynewem, doprowadzicie do końca kolektywizację i zbiórkę zboża. Obaj będziecie podlegać

towarzyszowi Arszynewowi. On kieruje waszą trzyosobową brygadą. Jest nie tylko starym pracownikiem partyjnym, ale ma praktykę w prokuraturze. To wszystko. Na końcu korytarza odbierzecie swoje delegacje i pieniądze.

Arszynew był krępy męczyzną niskiej postury, z głową i twarzą gładko wygoloną i upstrzoną cętkami jak stary marmur. Twarz miał płaską i trochę nieostrą, jakby patrzyło się na nią przez zniekształcające szkło, a oczy przypominały wąskie szparki. Ogólne wrażenie było zdecydowanie nieprzyjemne.

W korytarzu Arszynew poinstruował nas, żebyśmy zabrali ze sobą robocze ubrania, tyle jedzenia, ile uda nam się kupić, „i oczywiście”, dodał, „rewolwer”. Ustaliliśmy, że spotkamy się następnego dnia w dworcowej poczekalni, po czym Arszynew poszedł w jedną stronę, a Cwietkow i ja w drugą.

Cwietkow nie potrafił zatrzymać swoich odczuć dla siebie.

- Wiktorze Andriejewiczu - powiedział - prawdę mówiąc, nie bardzo mi się podoba nasz przełożony. Chciałbym się mylić, ale mam wrażenie, że będziemy z nim mieli ciężko.

- Nie wygadujcie głupstw, towarzyszu Cwietkow. Dlaczego z góry uprzedzacie się do towarzysza, którego w ogóle nie znamy? Może się okazać przyzwoitym facetem. Partia mu ufa, więc i my powinniśmy mu zaufać. Najważniejsze to nie ulegać defetystycznym nastrojom.

Ale mówiąc to, uświadomiłem sobie, że pocieszam raczej siebie niż swojego towarzysza.

- A do czego będą nam potrzebne rewolwery? - upierał się. - Chyba nie będziemy odbierać zboża siłą? Przecież Lenin powiedział, że gospodarstwo kolektywne to dobrowolne zrzeszenie, a Stalin powtarzał to samo wiele razy. Nie dalej jak wczoraj czytałem...

- Posłuchajcie, Cwietkow. Nie poczujcie się urażeni, jeśli będę z wami szczery. Wygadujecie dziwne rzeczy. Mam wszelkie prawo pomyśleć, że jesteście bardzo naiwnym człowiekiem... albo że mi was podstawiono.

- Mój Boże! Co za straszna myśl! - wykrzyknął przerażonym głosem, który sprawił, że pożałowałem swojej szczerości. - Z pewnością się przekonacie, że mylicie się co do mnie. Nawet jeśli chodzi o naiwność. Rozumiem doniosłość zadań, które nas czekają. Dlatego właśnie się dziwię, że nie udzielono nam wyraźnych wskazówek. Jestem Rosjaninem i synem Rosjanina. Nigdy nie byłem prowokatorem i nie mógłbym nim być, nawet gdyby w grę wchodziło moje życie. Jakie to straszne, że ludzie muszą podejrzewać się nawzajem o szpiegostwo i donosicielstwo...

Nagle, jakby natchnęła go jakaś myśl, dodał:

- Przyjdźcie do mnie i poznajcie moją rodzinę. Mieszkam tylko kilka

przecznic stąd.

Była to rozsądna myśl. Spotkanie z rodzicami Cwietkowa, atmosfera jego skromnego domu rozwiały moje ostatnie podejrzenia co do jego uczciwości, chociaż umocniły wrażenie, że jest człowiekiem słabym i pozbawionym doświadczenia. Jego ojciec był starszym mężczyzną w okularach, z małą spiczastą bródką, matka - drobną kruchą kobietą, siwowłosą i uprzejmą.

Oboje przypominali postacie z przedrewolucyjnej książki, osobliwie nieskażone przemocą tych burzliwych czasów. Zdawali się żyć w prywatnym świecie, do którego zewnętrzne zło nie miało łatwego dostępu. Nie mogłem uwierzyć, że starszy Cwietkow jest członkiem partii sprzed 1917 roku. Było również krzepiące, że Rosjanin, na wskroś „dobry” w staromodnym i niemal zapomnianym sensie tego słowa, przetrwał w partyjnych szeregach.

- Ależ Sierioża - poskarżyła się Cwietkowa - dlaczego mi nie powiedziałeś, że jedziesz na wieś? Słyszałam straszne rzeczy...

- Nie, nie, moja droga - zaprotestował jej mąż - całe to gadanie o potwornościach kolektywizacji jest przesadzone. Nie może być aż tak źle, jak mówią. Sam jestem starym członkiem partii i zgadzam się, że kolektywizacja to nasza jedyna nadzieja na rozwiązanie problemu agrarnego. Dużo zależy od ludzi, którzy wykonują polecenia. Spodziewam się, że ani ty, Siergiej, ani towarzysz Krawczenko nie posuniecie się do żadnych aktów przemocy. Jestem pewien, że partia tego nie chce.

Po powrocie do domu powiedziałem rodzinie o swoim wyjeździe na wieś. Wszyscy domownicy, wciąż poruszeni historią Kati, byli podekscytowani i zaniepokojeni tym, co mnie czeka. Leżałem już w łóżku, kiedy usłyszałem pukanie do drzwi. Do pokoju weszła matka.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, Witiu - powiedziała, siadając na krawędzi łóżka - ale rano, w gorączce twojego wyjazdu, mogę nie mieć okazji. Wiem, że niedola chłopów ciąży ci na duszy, i nie tylko tobie. Proszę, bądź spokojny i przygotuj się na to, co możesz zobaczyć. I pamiętaj, że jeden rejon o niczym nie świadczy. Nie chcę, aby jedno smutne doświadczenie zaważyło na całym twoim życiu jako komunisty. I wiem, że zrobisz, co w twojej mocy, żeby złagodzić los nieszczęsnych chłopów.

- Dziękuję, mamo, i nie martw się o mnie. Wszystko będzie dobrze. Wiem, że rewolucja to nie zabawa.

Arszynowa, zwisający na pasie u jego ramienia, napawał nas niepokojem. Arszynow ze swej strony nawet nie próbował skrywać pogardy dla jasnowłosego, przystojnego Cwietkowa.

- Wiktorze Andriejewiczu, rodzice przesyłają wam pozdrowienia - powiedział Cwietkow.

- Dziękuję ci, Sierioża. A tak przy okazji, gdzie pracuje twój ojciec?

- Na kolei. Jest inżynierem. Pracował tam od dawna i wstąpił do partii jeszcze przed 1917 rokiem.

Arszynow wydawał się nieprzyjemnie zaskoczony, kiedy to usłyszał. Najwidoczniej uznał Cwietkowa za syna jakiegoś burżuazyjnego inteligenta bez żadnych wpływów. Jako syn starego bolszewika chłopak mógł się okazać mniej skłonny do uległości.

- Wasz ojciec jest członkiem partii! - wykrzyknął Arszynow z wyraźną irytacją.

- Tak, oczywiście, dlaczego pytaacie?

- Och, nic, po prostu spytałem.

Dotarliśmy na miejsce o zmierzchu. Mżyło, a droga do wioski była błotnista. Chłopi, których spotkaliśmy, patrzyli na nas bez specjalnego zainteresowania. Tylko pistolet Arszynowa, objijający się przy każdym kroku o jego grube udo, zwracał uwagę.

- Posłuchajcie, towarzyszu Arszynow - szepnąłem. - Czy moglibyście schować swój mauzer pod płaszcz? Nie ma sensu straszyć ludzi.

- To moja sprawa!

- Nie, towarzyszu, nie wasza. Przyjechaliśmy tu razem. To dotyczy nas, a co więcej, dotyczy również partii. Nalegam, żebyście zrobili to, o co proszę, albo nie pójdziemy z wami do wioski.

- Towarzysz Krawczenko ma rację - powiedział Cwietkow. - Po co płoszyć konie bez potrzeby? Ja też mam rewolwer, ale trzymam go pod płaszczem.

Arszynow niechętnie posłuchał, ale nie odzywał się do nas przez resztę drogi do Rady Wiejskiej, która mieściła się w wielkim drewnianym domu, brzydkim i zniszczonym. Wewnątrz lampa naftowa paliła się słabo pod papierowym kloszem. Pokój był zadymiony, a podłoga usłana niedopałkami papierosów. Na podłodze siedziało w kucki około dwudziestu chłopów, milczących i najwyraźniej w złym nastroju.

- Gdzie jest przewodniczący rady? - spytał Arszynow donośnym głosem, żeby podkreślić swój autorytet.

- Tam, w biurze - wskazali chłopi.

- A wy co tu robicie? Nie macie nic lepszego do roboty niż siedzieć na tyłku?

- Jest masa roboty - odparł jeden z chłopów. - Wezwano nas tutaj. Żądają od nas chleba, ale my sami zebrzemy o chleb.

Arszynow uśmiechnął się drwiąco.

- Widzę, że będę musiał sam zanurzyć ręce w tej kloace.

Weszliśmy za nim do biura. Za stołem siedział zmęczony młody mężczyzna o wychudzonej twarzy i rozmawiał ze starym wieśniakiem.

- Jesteśmy brygadą partyjną i przyjechaliśmy tu urzędowo - oświadczył Arszynow.

- Miło was widzieć, jak się macie? - przewodniczący wstał i podał nam rękę. Jego twarz zadawała kłam jego słowom; z pewnością nie był zachwycony naszym przybyciem. - Zaraz przedstawię plan i zabierzemy się do pracy.

- A na co czekają ci wszyscy ludzie? - spytał Arszynow.

- To ja kazałem im przyjść. Nie jest łatwo z tymi chłopami. Upierają się, że nie ma zboża, i już. Żniwa w tych stronach były złe i wszyscy boją się nadchodzącej zimy. I nie chcą wstępować do kolektywu. Choćby ich zabić, nie wstąpią.

- Zajmiemy się tym - odparł Arszynow, krzywiąc się. - No cóż, skoro ich wezwaliście, lepiej skończcie z nimi, a my weźmiemy się do pracy jutro rano.

Przewodniczący zawołał jednego ze swoich pomocników i udzielił mu szeptem jakichś instrukcji. Pomocnik zaprowadził nas do wioski. Na głównej ulicy panowała przygnębiająca cisza, którą od czasu do czasu przerywało jedynie szczekanie psa. Tu i ówdzie widzieliśmy błysk światła w oknie, dym unoszący się z komina. Kiedy dotarliśmy do wielkiego domu, wyraźnie lepiej utrzymanego od sąsiednich, nasz przewodnik zatrzymał się.

- Tutaj zostaliście zakwaterowani, towarzyszu Arszynow - powiedział. - Mam nadzieję, że się wam spodoba.

Potem poprowadził nas dalej ulicą, do obszernego domu z przybudówkami, małym ogrodem i studnią z żurawiem.

- Spodoba wam się tutaj - powiedział. - Stupienkowie właśnie wstąpili do gospodarstwa kolektywnego. Ich dom jest czysty i nie ma małych dzieci. Starsi ludzie i - mrugnął do Cwietkowa - ładna córka.

W drzwiach powitał nas wysoki mężczyzna, mniej więcej sześćdziesięcioletni, gładko wygolony, z długimi wąsami w starym ukraińskim stylu. Pozdrowił nas z rezerwą i naturalną godnością, która mi się spodobała, po czym zaprowadził do małego, lecz schludnego i wygodnego pokoju.

- Kiedy się umyjecie - powiedział - przyjdźcie do nas. Poczęstujemy was, czym chata bogata, ale nie jest tego wiele.

Przy stole zastaliśmy całą rodzinę. Córka gospodarzy, mniej więcej osiemnastoletnia, była naprawdę ładna. Uprzejma starsza kobieta, w kolorowej chustce zawiązanej mocno pod brodą, miała sękatę, spracowaną dłoń chłopskiej żony. Był też ośmioletni chłopiec. Przedstawiliśmy się i usiedliśmy z nimi. Nalano nam do misek

parującego ukraińskiego barszczu, bez mięsa. Drugie danie składało się z gotowanych ziemniaków i kiszonych ogórków. Chleb został pokrojony w cienkie kromki, które wszyscy jedli z namaszczeniem, jakby to były święte opłatki.

Ponieważ znałem chłopskie zwyczaje i wiedziałem, że chleb krojony w grube pajdy jest podstawowym składnikiem ich pożywienia, stało się dla mnie jasne, iż nie powodzi im się za dobrze. Sierioża i ja przeprosiliśmy, poszliśmy do naszego pokoju i wróciliśmy z zapasami, które przywieźliśmy ze sobą. Stupienkowie patrzyli na nas, kiedy rozpakowywaliśmy kielbasę, kilka rodzajów ryby, a nawet kurczaka na zimno. Zachęciliśmy ich, żeby do nas dołączyli, i lodowata atmosfera natychmiast odtajała.

- Dziękujemy, dziękujemy - powtarzała bez przerwy gospodyni - wnieśliście radość do naszej skromnej chaty.

- Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni widziałem kielbasę i słodycze - dodał jej mąż. - Powodzi nam się lepiej niż większości tutejszych ludzi, ale i tak jest ciężko. Tego, co mamy, nie wystarczy do nowych żniw. Och, towarzysze, towarzysze, jakich czasów dożyliśmy na naszej Ukrainie! Jeśli ktoś ma kawałek chleba, zjada go tak, żeby sąsiedzi nie widzieli.

- Jak się nazywa wasz syn? - spytałem. Obserwowałem chłopca, który był nienaturalnie cichy i smutny. Nawet cukierki, które jadł bez entuzjazmu, nie zdołały wzbudzić jego zainteresowania.

- Wasia - odpowiedział chłopiec na moje pytanie i nagle wyszedł z pokoju.

- To nie nasz syn - wyjaśnił gospodarz. - Jest - jakby to rzec? - sierotą kolektywizacji.

- Co chcecie przez to powiedzieć?

- Jest sierotą i tyle. Ale nie pytajcie chłopca o nic. Wciąż nie może dojść do siebie. Co wieczór chodzi do swojej chaty i godzinami wałęsa się po podwórzu. Powtarzamy mu: „Po co się dręczysz?”. Ale on ciągle tam chodzi.

- Co się stało? Opowiedzcie nam.

- Nie wiem, czy powinienem. Jesteście nowi, a poza tym jesteście z rządu.

- Dajcie spokój, ojczulku, nie bójcie się. Nie przyjechaliśmy tu po to, żeby kogokolwiek skrzywdzić. Kochamy chłopów i chcemy im pomóc.

- Cóż, zaryzykuję. Obaj wyglądacie na przyzwoitych. Zresztą jestem za stary, żeby się bać. Szkoda byłoby tylko, gdyby coś się przytrafiło mojej córce.

I opowiedział nam całą historię:

- Jakieś dziesięć domów dalej żyli Worwanowie - mąż, żona i dziecko, ten sam Wasia, którego widzieliście. Byli szczęśliwą rodziną. Ciężko pracowali. To byli dobrzy ludzie. Nie kułacy - mieli tylko dom, krowę,

świnie, kilka kur, jak wszyscy tutaj. Ale Worwan choćby nie wiem jak go namawiali, nie chciał wstąpić do kolektywu.

- Zabrali mu całe zboże. Znowu namawiali i grozili. Ale on się nie ugiął. „To moja ziemia – powtarzał – moje zwierzęta, mój dom i nie oddam ich państwu”. Wtedy przyjechali ludzie z miasta – kazano im wypędzać uczciwych gospodarzy z domów. Spisali cały jego dobytek i zabrali wszystko, do ostatniego garnka i ręcznika, a narzędzia i inwentarz przekazali kolektywowi.

- Ogłosili Worwana kułakiem i kułackim agentem, a wieczorem przyszli go aresztować. Żona i chłopiec zaczęli płakać i krzyczeć, a on nie chciał wyjść. Więc go pobili, aż cały zalał się krwią, wywlekli go z domu i po błocie zaciągnęli do Rady Wiejskiej. Jego kobieta biegła za nimi, krzyczała, płakała, wzywała na pomoc Boga i ludzi. Wszyscy się zbiegli, ale nic nie mogliśmy zrobić, bo tamci mieli broń, chociaż wiedzieliśmy, że Worwan nie jest kułakiem i wszyscy go lubiliśmy.

- Nieszczęśliwa kobieta bez przerwy krzyczała: „Kto się teraz nami zajmie, Piotrze? Dokąd cię zabierają, bestie, bezbożnicy!”. Jeden z gepistów pchnął ją tak mocno, że upadła w błoto, a inni zawlekli Worwana do bydłowego wagonu. Jeden Bóg wie, gdzie teraz jest. Odprawiliśmy kobietę z powrotem do domu i próbowaliśmy ją pocieszać. W końcu zasnęła i odeszliśmy.

Obie kobiety przy stole rozplakały się, słuchając tej opowieści. Nasz gospodarz zaciągnął się głęboko skrętem o podejrzanym zapachu i mówił dalej:

- Rankiem przyszła do Worwanowej sąsiadka, ale nie mogła jej znaleźć. Wołała i wołała, na próżno. Poszła więc do pustej stodoły i zaczęła krzyczeć jak szalona, aż zbiegło się mnóstwo ludzi, ja też. Kobieta wisiała na sznurze przywiązanym do belki i już nie żyła. Nigdy nie zapomnę tego widoku, choćbym żył sto lat. To się stało nie dalej jak miesiąc temu.

- Moja stara i ja postanowiliśmy zabrać Wasię do nas, bo nie mieliśmy własnych małych dzieci. Nic nie mówi i płacze już od miesiąca, a co wieczór chodzi do pustego domu; potem wraca i bez słowa kładzie się spać na piecu.

- Po tym, co spotkało Worwanów, moja stara i ja naradziliśmy się i postanowiliśmy wstąpić do kołchozu... dobrowolnie.

Siedzieliśmy w milczeniu przez dłuższy czas. Los Worwanów, podobnie jak dramat małej Kati, poruszył mnie w sposób, w jaki nie są w stanie tego uczynić statystyki deportacji i egzekucji.

- Dziękujemy wam, ojczulku, za zaufanie – powiedział wreszcie Cwietkow. – Możecie być pewni, że was nie zdradzimy. Uwierzcie mi, proszę, że nie wszyscy komuniści są tacy sami. Niektórzy z nas sprzeciwiają się takim rzeczom, podobnie jak wy, i sama partia też się

sprzeciwia.

Zdawał się przeproszać za siebie, za mnie, za partię.

- Tak, dziękujemy wam za gościnność i zaufanie - poparłem swojego towarzysza. - Będziemy u was mieszkać przez miesiąc. Nie chcemy być większym ciężarem niż to konieczne. Oto wszystkie nasze pieniądze. Chcemy zapłacić. Kupcie, czego wam potrzeba, i nie przejmujcie się nami.

- Przykazano mi, żeby nie przyjmować pieniędzy.

- Zapomnijcie o tym. Po to właśnie Komitet Obwodowy dał nam pieniądze. Mam nadzieję, że nam pomożecie. Chcemy robić to, co słuszne, a wy znacie swoją wioskę; my nie.

Przez dłuższy czas nie mogłem zasnąć, ale bałem się poruszyć, żeby nie obudzić Cwietkowa. Cieszyło mnie, że okazał się przyzwoitym człowiekiem, a nie bezdusznym i świętoszkowatym komunistą.

- Śpisz, Wiktorze? - usłyszałem jego pytanie.

- Nie, Sierioża, nie mogę zasnąć. Myśli kotłują mi się w głowie.

- Wiesz, wstydzę się spojrzeć tym dobrym ludziom w oczy. W jakiś sposób czuję się osobiście odpowiedzialny za to, co zrobili ci szubrawcy. I pomyśleć, że zrobili to w imieniu naszej ukochanej partii!

Postanowiłem nie mówić zbyt dużo Cwietkowowi. Nie był silnym człowiekiem. Zawsze istniało niebezpieczeństwo, że pod presją załamie się i wbrew sobie powtórzy moje słowa. Im mniej wie, tym lepiej dla niego i dla mnie.

- Lepiej śpij - powiedziałem. - Musimy wcześniej wstać.

Kiedy następnego ranka przyszliśmy do siedziby Rady Wiejskiej, zastaliśmy tam Arszynowa, który kipiał gniewem. Był wściekły, ponieważ umieszczono go w domu, gdzie brakowało jedzenia, a jego gospodarze, choć uprzejmi, nie zachowywali się zbyt przyjaźnie. Przez cały ranek ślęczeliśmy nad księgami, a przewodniczący zreferował nam sytuację. Podzieliliśmy wioskę na sektory i ustaliliśmy, którzy spośród skolektywizowanych chłopów będą odpowiadać za plan dostaw w każdym sektorze.

Potem przewodniczący rady, Arszynow i Sierioża udali się do wioski, a kierownik kołchozu i ja poszliśmy obejrzeć gospodarstwo.

Na wielkim dziedzińcu dawnego majątku ziemskiego stały stogi świeżo zebranego zboża. Ucieszyłem się, że zboże przynajmniej zwieziono z pól. Gdyby wszyscy przyłożyli się do pracy, młóckę można by zakończyć w dziesięć albo dwanaście dni. Ale był to jedyny powód do zadowolenia. Wszystko inne było w przerażającym stanie zaniedbania i chaosu.

Ogromne ilości narzędzi i maszyn, o które prywatni właściciele dbali niegdyś jak o cenne skarby, leżały rozrzucone pod gołym niebem, brudne, zardzewiałe i popsute. Wychudzone krowy i konie, powalane

zaschniętym łąnem, włoczyły się po podwórzu. Kury, gęsi i kaczki grzebały w stogach zebranego zboża. Poszliśmy do stajni; konie stały po kolana w błocie, „czytając gazety” – jak mówią chłopci, kiedy bydło stoi bez paszy w przegrodach. Krowy w oborze były w nie lepszej kondycji.

Wstrząsnął mną ten obraz. Był to stan rzeczy całkowicie obcy naszym ukraińskim chłopom.

- Natychmiast zbierzcie członków zarządu kołchozu – poleciłem kierownikowi z oburzeniem.

W ciągu pół godziny stanęli na dziedzińcu mężczyźni i kobiety teoretycznie odpowiedzialni za kołchoz. Wyraz ich twarzy nie napawał optymizmem. Zdawał się mówić: „Jeszcze jeden mąciwoda... wysłuchamy go, co możemy zrobić?”.

- Jak sobie radzicie, kołchoźnicy? – zacząłem, starając się wprowadzić przyjacielską atmosferę.

- Jako tako... Jeszcze żyjemy, jak widzicie – odparł jeden z nich zgryźliwie.

- Nie ma bogatych, nie ma biednych, są sami żebracy – dodał inny. Udałem, że ironia mi umknęła.

- Przyjechałem z Komitetu Obwodowego partii, żeby pomóc wam w młóccie zboża, naprawie maszyn i doprowadzeniu wszystkiego do porządku. Powiedzcie mi, kto wybierał kierownika kołchozu?

- My wszyscy – odpowiedzieli członkowie zarządu.

- Dobrze, dlaczego zatem stawiacie go w trudnej sytuacji? Nie rozumiecie, że to on będzie odpowiadał za cały ten bałagan? Tylko się rozejrzyjcie. Nie wstyd wam? Brudne bydło. Niezabezpieczone stogi zboża. Wszędzie walają się cenne narzędzia. Bez problemów można by za to posłać waszego kierownika do więzienia, a także wszystkich członków zarządu.

- Ale nie po to tu jestem. Więzienia nie dadzą chleba. Komu szkodzicie tym strasznym niedbalstwem – mnie czy sobie? Mieszkałem na wsi. Niektórzy z moich krewnych byli chłopami. Ale nigdy nie widziałem czegoś tak skandalicznego jak te stajnie, te obory, to podwórze. Wiem, co czują niektórzy z was. Ale dlaczego karać krowy i konie? Wstyd mi za was. Wiem, że jesteście dobrymi gospodarzami, i apeluję do waszej dumy jako gospodarzy.

- Racja! Ten towarzysz mówi z sensem – zawołał ktoś.

- Zatem bierzmy się do roboty. Towarzyszu kierownikowi, otwórzcie zebranie. Wybierzcie ludzi, tak aby każdy dokładnie wiedział, czego się od niego oczekuje. Zapiszcie nazwiska, daty i co każdy musi zrobić.

Rozmawialiśmy i planowaliśmy przez kilka godzin. Wielu chłopów uchylało się od odpowiedzialności, ale w końcu każdy z członków zarządu zgodził się wziąć na siebie jakiś obowiązek – zorganizować

młóckę, posprzątać obory i stajnie, zinwentaryzować narzędzia. Zebranie zakończyło się w przyjaznym duchu.

W porze kolacji mój gospodarz powiedział mi, że po zebraniu widział się z kilkoma członkami zarządu.

- Mówią, że dobrze zaczęliście. Są z was zadowoleni, bo nie przeklinacie, nie pieklicie się i nie grozicie.

- Powiedzcie mi, ojczulku, czy dobrze robię, domagając się, aby natychmiast zaprowadzili porządek w kołchozie?

- Bezwzględnie. Chłopi sami wiedzą, że sprawy nie stoją tak jak powinny. Tylko mają gorycz w sercu, bo stracili swoją ziemię, bydło i maszyny. Ale i tak trzeba zaprowadzić porządek. Życie musi toczyć się dalej.

Po posiłku podszedłem do Sierioży. Wyglądał na nieszczęśliwego.

- No i co tam u ciebie?

- Nie za dobrze, Wiktorze Andriejewiczu. Robię wszystko zgodnie z wytycznymi Arszynowa. Ale niewiele z tego wychodzi. Wezwałem zalegających ze zbiórką zboża, jednego po drugim. Zawsze ta sama historia. Chłop zdejmuje czapkę i siada w pozie pełnej szacunku.

„Nie dostarczyliście zboża” - zaczynam.

„Może tak, może nie”.

„Wciąż jesteście winni państwu dwanaście pudów” - mówię.

„Skąd mam wziąć tyle zboża? - wzrusza ramionami. - Nie mam”.

„Ile możecie dostarczyć dzisiaj?”

„Może dwa pudy, może trzy”.

- I tak w kółko. Rząd potrzebuje zboża, upieram się, a on mówi: „Rząd potrzebuje, a co z moją żoną i dziećmi? Oni to nie potrzebują? Wiecie, że żniwa były złe. Kto nas wszystkich wykarmi, jak ograbicie nas ze zboża?”.

- Zebrałem dzisiaj pięćdziesiąt dwa pudy, ale to tylko część tego, czego żąda ode mnie Arszynow. Nie mogę zrobić nic więcej. Ci ludzie są zmęczeni, przygnębieni i śmiertelnie przerażeni. Może niektórzy z nich mają więcej zboża, niż twierdzą, ale nie oddadzą, nie ośmielą się oddać, bo nadciąga długa zima, a jest tyle gąb do wykarmienia.

- Nie przejmuj się za bardzo, Sierioża - próbowałem go uspokoić. - Rób swoje. Zamartwianie się nic nie pomoże.

Następnego ranka poszedłem do kołchozu ze swoim gospodarzem. Bardzo się ucieszyłem, widząc, że praca wre. Narzędzia zostały oczyszczone i naoliwione. Rozpoczęły się przygotowania do młócki. Nawóz wywieziono z obór i stajni. Praca trwała przez kilka dni, aż gospodarstwo zaczęło wyglądać niemal normalnie. Co więcej, sami skolektywizowani chłopi byli w lepszym nastroju. Kobiety i dziewczęta śpiewały nawet ukraińskie pieśni ludowe z dawnych czasów. Pogoda dopisywała, a oni lepiej ode mnie rozumieli wartość każdego

bezdeszczowego dnia.

Minął ponad tydzień. Prace naprawcze posuwały się wolniej z powodu braku gwoździ, drutu, żelaza, drewna i innych niezbędnych materiałów. Ale chłopska pomysłowość nadrabiała te braki. Nie dało się jednak uporządkować księgowości, ponieważ nie mieliśmy papieru. Postanowiono zatem wysłać Sieriożę do Dniepropietrowska na jeden dzień w celu dokonania zakupów.

Kiedy tego wieczoru wróciłem do domu, zastałem Sieriożę ze sznurkiem w ręku, mierzącego małego Wasię i robiącego węzły na sznurku. Udałem, że tego nie widzę.

Następnego dnia, kiedy Sierioża wyjechał, poszedłem do Arszynowa. Zdawał sobie sprawę, że moja praca postępuje dobrze, i chyba zazdrościł mi rezultatów. Wyładował swoją irytację w tyradzie pod adresem Cwietkowa, którego nazwał słabeuszem, tchórzem i, co najgorsze ze wszystkiego, zgniłym liberałem.

- Wczoraj przeszukałem kilka domów - powiedział. - Ludzi, którym nasz słabeusz odpuścił. Wszędzie znalazłem ukryte zboże. Skonfiskowałem je bez żadnych ceregieli. Okłamują władzę radziecką, brudne kułackie dranie! Dam im nauczkę, której nigdy nie zapomną! Byłem dzisiaj w Komitecie Obwodowym, a oni mnie poparli. We wtorek będzie się tu działo.

- Co będzie się działo?

- To moja sprawa.

Młócka trwała przez całą niedzielę. Nie musiałem przekonywać chłopów. Nawet najbardziej religijni rozumieli, że nie ma czasu. Przed zachodem słońca wrócił Sierioża, niosąc wielką walizkę i kilka paczek. To były prezenty dla całej rodziny - książki dla córki, nici do szycia dla matki, tytoń dla starego Stupienki. Punkt kulminacyjny nastąpił w momencie, kiedy Sierioża wyciągnął z walizki parę długich spodni, płaszcz, buty i bieliznę dla Wasi.

Natychmiast ubrano Wasię w nowe rzeczy i nie szczędzono słów zachwyty. Kilku sąsiadów przyszło podziwiać Wasię w nowym eleganckim ubraniu. Chłopiec uśmiechał się po raz pierwszy, odkąd go poznaliśmy.

- Dziękuję, wujku Sierioża - powiedział. Łzy napłynęły mu do oczu, kiedy Sierioża Wspaniały podarował mu również blok do rysowania, kredki i pudełko kolorowych cukierków.

Było już po północy, nim rodzina wreszcie udała się na spoczynek. Kiedy zostaliśmy sami w swoim pokoju, zapytałem Sieriożę, jak mu się układa współpraca z Arszynowem.

- To sukinsyn i sadysta, Wiktorze Andriejewiczu. Wahałem się, czy ci to powiedzieć, ale nie mogę dłużej milczeć. Ten bydlak wyciąga chłopów z domu w środku nocy, ubliża im, grozi mauzerem. Mówiono mi nawet,

że brutalnie ich bije.

- Dlaczego, do diabła, nie powiedziałeś mi wcześniej? Ubieraj się, idziemy!

Przez drewniane okiennice zobaczyłem światła w budynku rady. Zastaliśmy tam chłopów siedzących w kucki na podłodze. Przed drzwiami stał uzbrojony strażnik, a w środku siedział posterunkowy z rewolwerem, paląc papierosa. Kiedy wszedłem, usłyszałem krzyki jakiegoś chłopca i przekleństwa Arszynowa za zamkniętymi drzwiami biura.

- Co ci ludzie tu robią o tej porze? - spytałem posterunkowego głosem drżącym z gniewu.

Poderwał się na nogi.

- Jak zwykle - odparł. - Towarzysz Arszynow wyciska z nich zboże i ucina sobie małą pogawędkę z tymi, którzy nie chcą wstąpić do kołchozu.

Nagle głos Arszynowa wzniósł się do histerycznego pisku, jakiś ciężki przedmiot spadł na podłogę i usłyszeliśmy, jak chłop jęczy:

- Dlaczego mnie bijecie? Nie macie prawa mnie bić...

Potem Arszynow wrzasnął:

- Posterunkowy, wrzućcie tego śmiecia do karceru. Ja cię nauczę, ty kułacki szcurze!

Posterunkowy pobiegł do sąsiedniego pokoju. Złapałem go za ramię.

- Zostańcie tutaj - powiedziałem. - Sam pójdę.

Otworzyłem drzwi. Arszynow był zupełnie zaskoczony. Przygryzał wargi, wiercił się na krześle i wykonał ruch, żeby zabrać ze stołu swój pistolet. Chłop leżący na podłodze był starym człowiekiem, w wystrzępionym ubraniu, z twarzą zalaną krwią. Pokazałem mu gestem, żeby wyszedł.

Podszedłem do Arszynowa. Ledwo mogłem się powstrzymać, żeby nie rzucić się na niego z pięściami.

- Puśćcie tych chłopów! - krzyknąłem. - I to natychmiast, słyszycie?

- Ja tu wydaję rozkazy, towarzyszu Krawczenko. Będę wam wdzięczny, jeśli przestaniecie wtykać nos w moje sprawy.

- Nie, to jest sprawa partii. Jako komunista nie pozwolę wam, żebyście okrywali hańbą władzę radziecką, postępując jak sadysta i barbarzyńca. Towarzyszu Cwietkow - zawołałem do drugiego pokoju - zapiszcie nazwisko tego człowieka, który właśnie został pobity, a także nazwisko posterunkowego.

Arszynow zrobił groźną minę, ale najwyraźniej był zdezorientowany moim wybuchem.

- Co was, u licha, napadło? - spytał. - Co to jest - prowokacja? Próbujecie zdyskredytować wysłannika Komitetu Obwodowego w oczach mas?

- Dość tej hipokryzji! To ludzie tacy jak wy dyskredytują partię i kraj. Posterunkowy! Wypuście wszystkich! Towarzysze chłopci, jeśli ktoś znów zostanie pobity, proszę mi o tym powiedzieć. To wbrew prawu.

Do biura wszedł Cwietkow. Był blady jak płótno. Ręce mu drżały. Kazałem mu iść do domu i poczekać na mnie. Potem zwróciłem się do Arszynowa:

- Posłuchajcie, Arszynow, zdajecie sobie sprawę z tego, co robicie? To kolektywizacja czy bandytyzm przy użyciu mauzera? Macie prawo domagać się zboża, a nawet przeszukiwać zagrody w razie konieczności. Ale nie macie prawa używać przemocy i prowadzić nocnych przesłuchań. Jeśli nie chcecie mieć kłopotów w Komitecie Obwodowym, lepiej zaprzestańcie tego rodzaju praktyk. W przeciwnym razie poskarżę się na was, bez względu na konsekwencje. Rozumiecie?

Odwróciłem się i wyszedłem. Sierioży jeszcze nie było w domu. Niepokoiłem się o niego. Ale wrócił po mniej więcej półgodzinie.

- Byłem w chacie tego pobitego chłopca - powiedział. - Ma chorą żonę, pięcioro dzieci i ani kawałka chleba w domu. Cały jego dom to obraz nędzy i rozpacz. I takiego jak on nazywamy kułakiem! Dzieci chodzą w łachmanach. Wyglądają jak duchy. Na piecu widziałem garnek - kilka ziemniaków w wodzie. To ich cała dzisiejsza kolacja.

- Proszę, Wiktorze - pokazał mi brudny świstek papieru - ten starzec zadeklarował chęć wstąpienia do kolchozu. Błagałem go, żeby przestał się upierać, żeby się zlitował nad swoją rodziną. W końcu się zgodził.

- Idź spać, Sierioża. Nie martw się. Coś wymyślimy. - I, uprzedzając jego pytanie, dodałem: - Jutro ci opowiem o swojej rozmowie z Arszynowem. Pracuj z nim dalej, jakby nic się nie stało. I chcę ci podziękować za ubranie dla Wasi.

Ucałowałem go w oba policzki.

- Dziękuję, Wiktorze. Po powrocie do domu opowiedziałem o wszystkim rodzicom. Ojciec zdobył jakoś u przyjaciół parę butów. Matka przeszukała poddasze i znalazła moje stare ubranie z czasów szkolnych. Pracowała przez cały dzień, żeby pasowało na Wasię.

- Tak, w partii są ludzie tacy jak twój ojciec i tacy jak Arszynow - powiedziałem.

3

W kolchozie sprawy szły lepiej, nawet lepiej niż się spodziewałem. Młócka była w pełnym toku, oporzędzono bydło i konie, narzędzia doprowadzono do porządku.

Na mój wniosek zarząd postanowił wydać obiad z okazji zakończenia młócki. Wielkim dniem miała być środa, a we wtorek wszyscy zgodzili się pracować przez całą noc aż do świtu, żeby mieć co świętować.

Zarżnięto kilka świń. Na kołchozowym podwórzu ustawiono długie stoły. Zapach jedzenia i podniecenie z powodu przyjęcia nadały wiosce niemal świąteczną atmosferę.

We wtorek po południu poszedłem na pole, gdzie kobiety łuskały ziarno i ładowały je na wozy. Przyłączyłem się do pracy – i do śpiewu – na kilka godzin. Chociaż przybrałem śmiałą postawę, wcale nie byłem pewien, czy zdołam utrzymać w ryzach Arszynowa. Nieustannie mnie to dręczyło. W polu zdołałem zapomnieć. Kobiety udawały rozbawienie moim brakiem wprawy, ale najwyraźniej pochlebiali im, że „rząd” zniża się do ich poziomu.

Zapadał już wieczór, kiedy wróciłem do wioski z kilkoma towarzyszami. Natychmiast uświadomiłem sobie, że coś się wydarzyło. Wszędzie stały grupki wzburzonych ludzi. Kobiety płakały. Pospieszyłem do budynku rady.

– Co się dzieje? – spytałem posterunkowego.

– Kolejna obława na kułaków – odparł. – To się chyba nigdy nie skończy. Rano przyjechali ludzie z GPU i Komitetu Obwodowego.

Przed budynkiem zebrał się wielki tłum. Milicjanci próbowali go rozproszyć, ale ludzie wracali. Niektórzy klęli. Wiele kobiet i dzieci płakało histerycznie i wołało swoich mężów i ojców. Przypominało to scenę z sennego koszmaru.

W budynku rady Arszynow rozmawiał z funkcjonariuszem GPU. Obaj się uśmiechali, zapewne opowiadając sobie jakieś dowcipy. Na tylnym podwórzu, pod strażą żołnierzy GPU z rewolwerami, stało około dwudziestu chłopów, starych i młodych, z tobołkami na plecach. Niektórzy płakali. Inni stali przygnębieni, zrezygnowani, zrozpaczeni.

A więc tak wyglądała „likwidacja kułaków jako klasy”! Gromadę prostych chłopów odrywano od rodzinnej ziemi, odzierano z doczesnego dobytku i wywożono do jakichś odległych obozów, gdzie mieli karczować tajgę albo kopać kanały. Z jakiegoś powodu tym razem większość ich rodzin zostawiono w spokoju. Krzyki wypełniały powietrze. Kiedy znowu wyszedłem z budynku rady, zobaczyłem dwóch milicjantów prowadzących chłopca w średnim wieku. Nie ulegało wątpliwości, że był maltretowany – twarz miał siną i ledwo szedł, podarte ubranie wskazywało na szamotaninę.

Kiedy tak stałem, nieszczęśliwy, zawstydzony, bezradny, usłyszałem nieziemski krzyk kobiety. Wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku, a kilku gepistów zaczęło biec. Kobieta, z rozwianymi włosami, trzymała w rękach płonący snopek zboża. Zanim ktokolwiek zdołał ją powstrzymać, rzuciła go na słomiany dach chaty, która natychmiast stanęła w płomieniach.

– Bezbożnicy! Mordercy! – krzyczała odchodząca od zmysłów kobieta.

– Przez całe życie pracowaliśmy na swój dom. Nie dostaniecie go. Niech

się spali! – Jej krzyki przeszły nagle w szalony śmiech.

Chłopi wbiegli do płonącego domu i zaczęli wynosić sprzęty. W całej tej scenie było coś makabrycznego, nierzeczywistego – ogień, krzyki, oszalała kobieta, chłopi wleczeni po błocie i czekający na deportację. Najbardziej wstrząsnął mną widok Arszynowa i oficera GPU, przyglądających się temu spokojnie, jakby to była najzwyklejsza rzecz, jakby płonąca chata była ogniskiem rozpalonym dla ich rozrywki.

Stałem pośrodku tego wszystkiego, drżący, oszołomiony, ledwo panując nad sobą. Ogarnął mnie nagły impuls, żeby strzelić – do kogoś, kogokolwiek, żeby rozładować nieznośne napięcie. Nigdy przedtem ani potem nie byłem tak bliski utraty zmysłów. Sięgnąłem pod płaszcz po rewolwer. W tym momencie czyjaś silna ręka chwyciła mnie za ramię. Był to mój gospodarz, Stupienko. Zapewne odgadł moje myśli.

– Nie zadręczaj się, Wiktorze Andriejewiczu – powiedział. – Jeśli zrobisz jakieś głupstwo, zaszkożysz tylko sobie, a nam nie pomożesz. Wierz mi, jestem starym człowiekiem i wiem. Weź się w garść. Zrobisz więcej dobrego, jeśli nie wpakujesz się w kłopoty, bo na to i tak nic nie poradzisz. Chodź do domu. Jesteś biały jak prześcieradło. A co do mnie, przyzwyczałem się. To nic. W zeszłym roku było znacznie gorzej.

W domu chodziłem tam i z powrotem po swoim ciasnym pokoju z rosnącym wzburzeniem i rozpaczą. Zamierzałem złożyć skargę na Arszynowa w Komitecie Rejonowym partii. Ale przedstawiciele komitetu też tam byli, razem z GPU, uczestnicząc w aktach przemocy. Czy mogłem mieć nadzieję, że wskóram więcej w Komitecie Obwodowym?

Podjęcie, że te okropności nie są przypadkowe, lecz zaplanowane i usankcjonowane przez najwyższe władze, narastało we mnie już od jakiegoś czasu. Tej nocy przerodziło się w pewność, która na chwilę pozbawiła mnie wszelkiej nadziei. Wstyd był łatwiejszy do zniesienia, dopóki mogłem obarczać winą Arszynowa i jemu podobnych.

Wyczerpany położyłem się i zasnąłem w ubraniu. Kiedy kilka godzin później otworzyłem oczy, zaniepokoiło mnie, że Sierioży nie ma w jego łóżku. Wybiegłem na podwórze, potem do ogrodu.

– Kto tam? – usłyszałem głos Sierioży i dostrzegłem błysk rewolweru. Siedział na ławce pod czereśnią.

Jednym skokiem byłem przy nim i wyrwałem mu z ręki rewolwer. Sierioża ukrył twarz w dłoniach. Trząśł się od płaczu.

– Jesteś głupcem – powiedziałem – i słabeuszem. Wcale nie jestem z ciebie dumny. Komu tym pomożesz, jeśli się zastrzelisz? To głupota. To nie jest wyjście. Musimy pozostać przy życiu i zrobić, co w naszej mocy, żeby ulżyć niedoli rosyjskiego ludu. Jeśli się pozabijamy, zostaną tylko tacy jak Arszynow.

Uspokoił się trochę i spojrzał mi w oczy.

- Wiktorze Andriejewiczu, wszystko widziałem i wszystko rozumiem. Politycznie jestem o głowę wyższy od ciebie. Nie ma sensu się okłamywać. Sama partia jest winna bezduszności, przemocy, zbrodni. Piękne słowa w przemówieniach to tylko kamuflaż dla strasznej rzeczywistości. Czy o to właśnie mój dobroduszny ojciec walczył przez całe życie? Czy w to właśnie wierzyłem, odkąd wstąpiłem do partii?

Przekonałem go, żeby położył się do łóżka. Ale żaden z nas nie mógł zasnąć. Rozmawialiśmy o tym, co widzieliśmy. Wszystko pasowało tak doskonale do tego, co wcześniej słyszeliśmy, że nie mogliśmy już dłużej wątpić w prawdziwość „antypartyjnych pogłosek”. Ucieszyliśmy się, kiedy gospodarz zapukał do naszych drzwi i powiedział:

- Czas wstawać, towarzysze.

Uroczysty obiad odbył się tego dnia zgodnie z planem, ale wszelka radość wyparowała. Wspomnienie obławy na „kułaków” ciążyło nam wszystkim.

Moje stosunki z Arszynowem pozostały ściśle oficjalne. Sporządziłem długi, szczegółowy raport o jego zachowaniu i przesłałem go do Komitetu Obwodowego. Po masowych aresztowaniach reszta opornych „dobrowolnie” wstąpiła do kolektywu. A każdy pud zboża w wiosce oddano - też „dobrowolnie”. Ludzie widocznie uznali, że głód w domu jest lepszy od zesłania w nieznane. W wielu przypadkach chłopcy prosili o zgodę na sprzedaż żywego inwentarza, a nawet mebli, żeby kupić zboże w mieście i wypełnić rządowy plan dostaw.

Miejscową cerkiew przekształcono w spichlerz, a kiedy się wypełniła, Arszynow triumfował. Chełpił się swoimi „osiągnięciami” i nie przepuścił okazji, żeby dokuczyć Cwietkowowi.

- Patrz, jak to się robi, i ucz się - powiedział. - Problem polega na tym, że nie rozumiesz znaczenia bolszewickiej stanowczości.

Zbliżał się dzień naszego wyjazdu. Arszynow poinformował nas, że zostanie pięć dni dłużej, aby jeszcze raz wszystko sprawdzić. Nie miałem wątpliwości, że zostaje po to, aby zebrać „dowody” przeciwko Cwietkowowi i mnie. Ostatni dzień spędziłem w kołchozie, przygotowując dane do końcowego raportu.

- Teraz, kiedy cały plon został zebrany, chyba potraficie obliczyć, co otrzymacie za swoją pracę? - spytałem członków zarządu.

- Tak, obliczyliśmy - odparł kierownik, potrząsając smutno głową. - Wychodzi około 1200 gramów zboża za każdy dzień pracy dla każdego kołchoźnika. Przepracowaliśmy tylko część roku, a ta zapłata musi wystarczyć kołchoźnikowi i jego rodzinie na cały rok. Jak podzielić 1200 gramów, żeby wykarmić rodzinę do następnych żniw, to tylko Bóg - i może wasza partia - potrafi obliczyć.

- Pewnie wszyscy umrzemy z głodu - dodał inny z goryczą.

Zapewne nie traktował tego dosłownie. Skąd mógł wiedzieć,

że w przyszłym roku niemal całą ludność wioski Podgorodnoje wyniszczy głód? Skąd miał wiedzieć, że władze zabiorą nawet zboże, które przysługiwało im za wykonaną pracę?

Rozstaliśmy się z wieśniakami jak przyjaciele. Okazywali prawdziwą serdeczność Cwietkowowi i mnie. Nasi gospodarze też byli szczerze zmartwieni naszym wyjazdem. Podczas pożegnalnej kolacji stary Stupienko przyniósł wielką butelkę wiśniówki, wykopaną z podwórza i wciąż pokrytą ziemią.

- Oszczędzałem to, Bóg mi świadkiem, na jakieś ważne święto - oznajmił. - Myślałem sobie, kiedy wydam za mąż córkę albo kiedy umrę, ludzie wypiją szklaneczkę i powiedzą o mnie dobre słowo. Ale zdecydowałem, że wasz wyjazd trzeba uczcić najlepszym, co mam. Proszę, wypijmy za wasze zdrowie i za zbawienie naszego biednego, umęczonego kraju.

Po kolacji śpiewaliśmy stare ukraińskie pieśni, a żona Stupienki, rozochociona mocną wiśniówką, snuła tęskne opowieści o legendarnych bohaterach, tymi samymi słowami, które słyszała od swojej babki.

Komitet Obwodowy w Dniepropietrowsku wydawał się usatysfakcjonowany moją pracą. Nie zdołałem jednak wzbudzić niczyjogo zainteresowania swoim raportem na temat Arszynowa. „No cóż, popełnił kilka błędów - powiedziano mi - a kto ich nie popełnia? Ale można o nim powiedzieć jedno - miał wyniki”. Napisałem list do moskiewskiej „Prawdy” o przypadkach brutalności, które dyskredytują partię na wsi. List nie został wydrukowany i nie doczekał się odpowiedzi.

Z powodu wyjazdu na wieś miałem poważne zaległości w nauce. Aby je nadrobić, pracowałem ciężiej niż zwykle. Im bardziej zagłębiałem się w książkach technicznych, tym mniej miałem czasu na dręczące myśli i wątpliwości. Praca stała się środkiem uśmierającym, który zażywałem w dużych dawkach.

4

Podczas wojny istnieje namacalna różnica pomiędzy żołnierzami na linii frontu a ludźmi, którzy zostają w domu. Jest to różnica, której nie można zniwelować pełniejszymi informacjami i żywym współczuciem. Ta różnica tkwi w systemie nerwowym, nie w umyśle.

Ci spośród komunistów, którzy uczestniczyli bezpośrednio w okropnościach kolektywizacji, byli później ludźmi naznaczonymi. Nosiliśmy blizny. Widzieliśmy upiory. Można nas było niemal rozpoznać po małomówności, po sposobie, w jaki uchylaliśmy się od rozmów na temat „frontu chłopskiego”. Mogliśmy dyskutować na ten temat między sobą, tak jak ja i Sierioża po naszym powrocie, ale opowiadanie

o tym niewtajemniczonym wydawało się bezcelowe. Nie mieliśmy z nimi żadnego wspólnego języka doświadczeń.

Nie mówię oczywiście o Arszynowach. W każdym systemie politycznym są żandarmi i oprawcy. Mówię o komunistach, których uczuć nie stępił całkowicie cynizm. Choć bardzo się staraliśmy, arytmetyka okrucieństw – tysiąc ofiar dzisiaj to gwarancja szczęścia nienarodzonych tysięcy jutro – nie miała sensu. Trudno nam było usprawiedliwić terror wobec chłopów.

W styczniu 1933 roku na posiedzeniu Komitetu Centralnego partii Stalin obwieścił krajowi, że kolektywizacja rolnictwa została doprowadzona do zwycięskiego końca. „System skolektywizowanego rolnictwa zlikwidował ubóstwo i nędzę na wsi – powiedział. – Dziesiątki milionów biednych chłopów zyskały poczucie bezpieczeństwa [...]. W starym systemie chłopci pracowali na korzyść obszarników, kułaków i spekulantów [...] pracowali, cierpieli głód, a inni bogacili się ich kosztem. W nowym systemie skolektywizowanego rolnictwa chłopci pracują dla siebie i dla swoich kolektywnych gospodarstw”.

Wystąpienie, według relacji prasowych, przerwały burzliwe oklaski. Delegaci krzyczeli: „Hurra dla wielkiego i mądrego Ojca i Nauczyciela, towarzysza Stalina!”.

Czytając te relacje, myślałem o Podgorodnoj i jej sterroryzowanej ludności... o Arszynowie bijącym chłopów... o zrozuwanej kobiecie, która podpaliła swój dom... o obdartych nieszczęśnikach pędzonych na zesłanie. Jak wszyscy na Ukrainie, zdawałem sobie sprawę, że głód, tak samo katastrofalny jak ten, który przeżyłem ponad dziesięć lat wcześniej, już ogarnia kraj całkowitej kolektywizacji i „szczęśliwego życia”.

Nie, nie mogły nas uspokoić słowa Stalina. Aby zachować swoją wiarę, a przynajmniej nie pogrążyć się w rozpacz, musieliśmy odwracać wzrok od wsi i kontemplować inne części obrazu. Na przykład osiągnięcia przemysłowe i „narastającą falę rewolucji w krajach kapitalistycznych”.

- Wiesz, Wiktorze Andriejewiczu – powiedział Sierioża – wiele razy czytałem przemówienie Stalina na styczniowym plenum Komitetu Centralnego. To, co powiedział o wsiach, przejmuje mnie dreszczem. Teraz chłopci są „wolni”... „ubóstwo zniknęło ze wsi”... Po tym, co widzieliśmy!

- Ale industrializacja, Sierioża, to zupełnie inna historia. Ile nowych fabryk, kopalń, hut, zapór, elektrowni! To cudowne uczucie, że kroczymy naprzód w siedmiomilowych butach. Nie będziemy już zacofanym, kolonialnym krajem. Nawet w Ameryce wykwalifikowani inżynierowie sprzedają sznurowadła i jabłka na ulicach, a my studiuje, ponieważ nasz kraj potrzebuje więcej inżynierów. Tam – bezrobocie; tutaj – za mało rąk do pracy.

- Wszystko jedno, Wiktorze Andriejewiczu, nie mogę zapomnieć o koszmarach Podgorodnoj...

- Ani ja, Sierioża.

Przemówienie Stalina było powtarzane do znudzenia przez partyjnych wykładowców na posiedzeniach i zebraniach. Cena była wysoka, mówili, ale spójrzcie na nowe przedsięwzięcia wyrastające jak grzyby po deszczu. Magnitostroj. Dnieprostroj. Stalingradzka fabryka traktorów. Kombinat metalurgiczny w Nikopolu. Dziesiątki innych. Podczas gdy świat kapitalistyczny grzązał w kolejnych kryzysach, radziecki świat socjalistyczny maszerował naprzód. Nasze kryzysy były kryzysami wzrostu, nie rozkładu.

Krach świata kapitalistycznego, koniec jego „tymczasowej stabilizacji” był wielką pociechą w rosyjskich cierpieniach. Nasze kurczące się zapasy żywności podlegały ścisłemu racjonowaniu. Na wsi szalał głód. Więzienia, izolatory i obozy pracy zapełniały się „wrogami ludu”. Tysiące naszych inteligentów – inżynierów, urzędników, nawet dobrze znanych komunistów – miało zostać rozstrzelanych jako sabotażyści i „agenci obcych rządów”. Ale międzynarodowy proletariat był o krok od rewolucji! Jak ujął to Stalin: „Sukcesy planu pięcioletniego mobilizują rewolucyjną siłę klasy robotniczej we wszystkich krajach”.

A potem, dwadzieścia trzy dni po przemówieniu Stalina, Hitler doszedł do władzy w Niemczech! Balon naszego wielkiego pocieszenia pękł na naszych oczach.

Cała radziecka propaganda od lat wskazywała na Niemcy jako pierwszy wielki kraj kapitalistyczny, który pójdzie za radzieckim przykładem. W dzień i w nocy ta wizja umacniała morale naszych mas partyjnych. Niemieccy socjaldemokraci, ci „lokaje burżuazji”, byli bankrutami, podczas gdy partia komunistyczna zdobywała miliony głosów.

Nic dziwnego zatem, że byliśmy wstrząśnięci. Przez kilka dni nikt nie wiedział, co myśleć. Oficjalne wyjaśnienie, kiedy już sformułowano je na najwyższych szczeblach w Moskwie, było wtłaczane do głów masom partyjnym. Najwyżsi urzędnicy występowali na zebraniach obwodowych, pomniejsi urzędnicy przekazywali przesłanie na zebraniach w rejonach, wędrowni agitatorzy nieśli je do najmniejszych komórek partyjnych.

Mówiono nam, że triumf faszyzmu w Niemczech jest tak naprawdę zamaskowanym zwycięstwem światowej rewolucji. Reprezentuje on ostatnie stadium kapitalizmu, jego agonię. Skończyły się sztuczki parlamentarnych arlekinów fałszywej demokracji. Nawet z pomocą socjalistycznych i liberalnych lokajów kapitaliści nie mogli dłużej trzymać w posłuchu niezadowolonych mas i musieli się uciec do jawnej przemocy w postaci faszyzmu.

- Niemiecki faszyzm jest czołówką światowego kapitalizmu - wyjaśniał mówca w instytucie. - Kapitalizm wreszcie zrzucił maskę. Światowy proletariatus stanął obecnie przed jasnym wyborem pomiędzy faszyzmem a komunizmem. Czy możemy wątpić, co wybierze? Związek Radziecki stoi samotnie jako zaporę przeciwko faszyzmowi, a klasa robotnicza wszystkich krajów jest z nami. Mussolini we Włoszech, Hitler w Niemczech, to prekursorzy naszej rewolucji. Ujawniając prawdziwe oblicze współczesnego kapitalizmu, popychają masy do zrozumienia prawdy. Oto siła naszego hasła: *Im gorzej, tym lepiej!*

Tak oto klęska w Niemczech została przekształcona w swoiste zwycięstwo planu pięcioletniego. W zaufanym gronie, w swoich pokojach, nie byliśmy tego jednak tacy pewni. Bądź co bądź, socjaldemokraci i liberałowie, a nawet reakcyjni związkowcy, zostali w Niemczech zdelegalizowani razem z komunistami. Czy w partyjnych tezach nie było gdzieś skazy? Czy naprawdę trzeba było tracić wszystkie siły na zwalczanie socjalistów i demokratów, skoro razem mogliśmy powstrzymać nazistów? Czy to naprawdę nieuniknione, że inne kraje kapitalistyczne, zwłaszcza Anglia, sprzymierzą się w nadchodzącej wojnie z hitlerowskimi Niemcami przeciwko Rosji?

Aby odpowiedzieć na te pytania, mogliśmy sięgać jedynie do ograniczonych i sprzecznych informacji, wydzielanych skąpo przez rząd. Zagraniczne gazety i czasopisma były zakazane. Co prawda, członkowie partii, dzięki specjalnym biuletynom, wiedzieli więcej niż społeczeństwo, ale nasza duchowa strawa była selekcyjowana i „przetwarzana”. Tylko idiota mógł wątpić, że nawet poufne informacje są ściśle racjonowane i w większej części spreparowane.

Oficjalna wersja wstępu Hitlera niezbyt trafiała do przekonania większości komunistów. Ponieważ nastąpił on w krytycznym momencie w życiu radzieckim, pogłębiał przygnębienie, szerzące się w szeregach wiernych. Wewnętrzna prasa partyjna mówiła złowieszczo o „nastrojach defetystycznych”, które należy wykorzenić. Przygotowywano grunt pod wielką „czystkę” w partii, aby wyeliminować wątpliwych, zbyt wrażliwych, tych, którzy mieli dosyć krwi i cierpienia.

ROZDZIAŁ IX

Żniwa w piekle

Dla aktywnych komunistów wydarzenia światowe i wydarzenia w kraju nie były sprawami bezosobowymi, oddzielonymi od życia. Granica pomiędzy sferą prywatną a publiczną właściwie dla nas nie istniała. Nasze życie codzienne łączyło się z wydarzeniami politycznymi. Triumf Hitlera, statystyki kolektywizacji, artykuły redakcyjne „Prawdy” były elementami mojej osobistej biografii.

Dla kogoś z zewnątrz może to brzmieć niewiarygodnie, ale faktem jest, że w moich wspomnieniach z tamtego okresu sprawy polityczne rysują się mocniej i wyraźniej niż moje krótkie małżeństwo z Ziną.

Poznałem Zinę kilka miesięcy przed wyjazdem na wieś. Jej delikatne, kwiatowe piękno nie szło w parze z silnym, żywiołowym charakterem, który tak pociągał mnie u Julii. Była krucha: drobna, cicha, sentymentalna; ale pod tą kruchą powłoką krył się twardy rdzeń egoizmu. Nasze radzieckie dziewczęta w większości żyły na zewnątrz siebie. Były otwarte, pewne siebie i, jak ujmowaliśmy to w naszym partyjnym żargonie, uświadomione społecznie. Ale zainteresowania Ziny skupiały się wyłącznie na niej samej.

Dla Ziny wszystko istniało jedynie w relacji z jej prywatnymi emocjami i upodobaniami. Przyjaciele ostrzegali mnie, że jest „typem burżuazyjnym”; i rzeczywiście, od początku moje uczucie było nacechowane niejasnym poczuciem winy. Zanim jeszcze zarejestrowaliśmy nasze małżeństwo, irytował ją mój napięty partyjny harmonogram. „A co ze mną? Nigdy nie masz czasu dla mnie” – skarżyła się. Nie mniej irytowały ją moje skromne zarobki oraz fakt, że musieliśmy mieszkać z moją rodziną. Jej rodzice nie kryli rozczarowania, że nie wyszła „dobrze” za mąż.

Polecenie wyjazdu na wieś oboje zatem przyjęliśmy z ulgą. Przyniosło mile widzianą przerwę, ale kilkutygodniowa rozłąka wystarczyła, aby zrujnować nasze małżeństwo. Kiedy wróciłem ze wsi, chory na duszy i nękany wątpliwościami, uraził mnie jej brak zainteresowania moim stanem psychicznym. Z początku nie zauważyłem, że ma nowe stroje – jedwabne sukienki, a nawet biżuterię.

Rozwód w tym czasie był prostym, jednostronnym aktem. Rejestrowało się unieważnienie małżeństwa i powiadamiało o tym

współmałżonka pocztówką. Kiedy zerwałem nasze małżeństwo, dowiedziałem się, że pod moją nieobecność Zina zawarła „nowe interesujące znajomości”. Wrodzony egoizm poprowadził ją we właściwym kierunku. Wśród owych znajomych znalazł się człowiek na wysokim stanowisku, z koneksjami na szczytach władzy, który mógł folgować jej „burżuazyjnym gustom”. Poślubiła go wkrótce po naszym rozwodzie.

Kwiatowe piękno Ziny okazało się nadmiernym luksusem dla ubogiego studenta – a jeszcze większym dla żarliwego komunisty. Przez lata natykałem się na nią w teatrze, na koncertach. Zawsze była dobrze ubrana, trzymała się z dala od tłumu, należała do tych, którym się powiodło w nowym społeczeństwie. Ledwo mogłem uwierzyć, że kiedyś była moją żoną.

2

Pierwszą dywidendą kolektywizacji była śmierć. Choć w gazetach nie pojawiła się najmniejsza wzmianka o tragedii, wszyscy wiedzieli o głodzie, który szalał w południowej Rosji i Azji Środkowej. Potępialiśmy jako „antyradzieckie pogłoski” to, co było bezspornym faktem.

Mimo ostrych policyjnych środków, by zatrzymać ofiary w domu, Dniepropietrowsk zalewali głodujący chłopci. Wielu leżało obojętnie, zbyt słabych, aby zebrać, wokół dworców kolejowych. Ich dzieci przypominały szkielety ze wzdętymi brzuchami. W przeszłości przyjaciele i krewni na wsi przysyłali do miast paczki z żywnością. Teraz proces się odwrócił. Ale nasze racje były tak skąpe i niepewne, iż niewielu miało odwagę dzielić się nimi.

Ponieważ głód zbiegł się w czasie z triumfalnym zakończeniem pięcioletki w cztery lata, prasa zachłystywała się przechwałkami o „naszych osiągnięciach”. Ale ogłuszająca propaganda nie mogła całkiem stłumić jęków konających. Niektórym z nas pokrzykiwania o nowym „szczęśliwym życiu” wydawały się upiorne, bardziej przerażające niż sam głód.

Wszystko zależało od nowych zbiorów. Czy głodujący chłopci będą mieli siłę i wolę żąć i młócić wśród wszechobecnej śmierci? Aby się upewnić, że plony zostaną zebrane, aby uniemożliwić zrozpaczonemu chłopcom zjadanie niedojrzałych kłosów, aby ocalić kołchozy przed ruiną z powodu złego zarządzania i stawić czoło wrogom kolektywizacji, utworzono w wioskach specjalne wydziały polityczne złożone z zaufanych komunistów – wojskowych, urzędników, fachowców, funkcjonariuszy NKWD, studentów. Armia ponad stu tysięcy partyjnych bojowników, wybranych przez Komitet Centralny, została rozmieszczona w rejonach

kolektywizacji i obarczona zadaniem dopilnowania nowych zbiorów. Znalazłem się wśród zmobilizowanych.

Było nas trzystu z różnych miejskich organizacji i zebraliśmy się w siedzibie Komitetu Obwodowego. Sekretarz komitetu i jeden z najbardziej znanych ukraińskich komunistów, towarzysz Chatajewicz, wygłosił pryncypialne przemówienie. Nie ukrywał trudności, jakie napotkamy w wioskach. Bez przerwy nawiązywał do „czystki” w partyjnych szeregach zaplanowanej na ten rok. Aluzja była aż nadto przejrzysta. Nasze przetrwanie polityczne zależało od sukcesu bądź porażki w rejonach dotkniętych głodem.

- Wasza lojalność wobec partii i towarzysza Stalina zostanie wystawiona na próbę i oceniona według waszej pracy na wsi - oświadczył sekretarz złowieszczo. - Tu nie ma miejsca na słabość. To nie jest praca dla mazgajów. Będą wam potrzebne mocne nerwy i silna wola. W razie porażki partia nie przyjmie żadnych wymówek.

Uzbrojony w mandat z Komitetu Obwodowego wyruszyłem do rejonu piatichatskiego w towarzystwie Jurija, kolegi szkolnego, który był zarazem moim przyjacielem. Przedstawiciele miejscowych władz, jak się przekonaliśmy, byli wytrąceni z równowagi tym, przez co przeszli. Pytaliśmy ich o nowe zbiory, ale oni potrafili mówić tylko o głodzie, epidemii tyfusu, przypadkach kanibalizmu.

Zgadźli się, że trzeba się przygotować do żniw i młócki zboża, ale, dotknięci paraliżem woli, nie mieli pojęcia, jak się do tego zabrać. Posterunki milicji i więzienia były wypełnione chłopami z okolicznych wiosek, aresztowanymi za samowolne żęćcie zboża - „sabotaż” i „kradzież własności państwowej” brzmiały oficjalne zarzuty.

Przed wieczorem dotarliśmy do dużej wsi Pietrowo. Panowała tam niesamowita cisza.

- Zjedli wszystkie psy, dlatego jest tak cicho - wyjaśnił chłop, który prowadził nas do wydziału politycznego. - Ludzie mało chodzą, nie mają siły - dodał.

Po spotkaniu z naczelnikiem wydziału politycznego udaliśmy się do chłopskiej chaty na nocleg.

Izbę oświetlał tylko słaby „kopciuch”. Naszą gospodynią była młoda wieśniaczka. Wszystkie uczucia, nawet smutek i strach, odpłynęły z jej wymizerowanej twarzy, która przypominała trupią maskę. W kącie, na wąskim łóżku, dwoje dzieci leżało tak cicho, jakby były martwe. Tylko oczy im błyszczały. Mrugnąłem, kiedy napotkałem ich spojrzenie.

- Przepraszamy za najście - powiedział Jurij. - Nie sprawimy wam kłopotu, a rano sobie pójdziemy. - Mówił nienaturalnie przytłumionym głosem, jak w izbie chorych albo na cmentarzu.

- Witajcie - odparła młoda kobieta. - Przepraszam, że nie mogę was niczym poczęstować. Od tygodni w domu nie ma kawałka chleba.

Zostało jeszcze kilka ziemniaków, ale nie możemy ich zjeść za szybko. – Rozpłakała się cicho. – Czy to się wreszcie skończy, czy moje dzieci i ja umrzemy tak jak inni?

– Gdzie jest twój mąż? – spytałem.

– Nie wiem. Aresztowany i pewnie zesłany. Mojego ojca i brata też zesłali. Nas zostawili, żebyśmy umarli z głodu.

Jurij powiedział, że musi zapalić, i pospiesznie wyszedł. Wiedziałem, że boi się załamać i rozpłakać przy obcych.

– Nie poddawaj się rozpacz, moja droga – zwróciłem się do kobiety. – Wiem, że jest ciężko, ale jeśli kochasz swoje dzieci, nie wolno ci się poddawać. Zawołaj je do stołu. Mój przyjaciel i ja przywieźliśmy trochę jedzenia z miasta, zjecie z nami.

Wrócił Jurij. Wyłożyliśmy nasze zapasy na stół i sami jedliśmy oszczędnie, żeby więcej zostało dla innych. Dzieci wpatrywały się w poleć słoniny, suszoną rybę, herbatę i cukier szeroko otwartymi oczami. Jadły szybko, chciwie, jakby się bały, że to wszystko zniknie w taki sam cudowny sposób, jak się pojawiło. Kiedy gospodyni położyła dzieci spać, zaczęła opowiadać.

– Nie będę wam mówić o umarłych – powiedziała. – Na pewno wiecie. Na wpół umarli, umierający, są jeszcze gorsi. W Pietrowie są setki ludzi opuchniętych z głodu. Nie wiem, ilu umiera każdego dnia. Są tak słabi, że już nie wychodzą z domów. Co jakiś czas przyjeżdża wóz i zabiera trupy. Zjedliśmy wszystko, co nam wpadło w ręce – koty, psy, myszy, ptaki. Kiedy się rozwidni, zobaczycie drzewa odarte z kory, też ją zjedliśmy. I końskie łajno.

Musiałem mieć zdumioną i niedowierzającą minę.

– Tak, końskie łajno. Biliśmy się o nie. Czasem są w nim całe ziarna.

Była to pierwsza wizyta Jurija na wsi. W obawie, że to pierwsze zetknięcie z koszmarem może go zupełnie rozstroić, przerwałem kobiecie i zaproponowałem, żebyśmy udali się na spoczynek. Ale ani Jurij, ani ja nie spaliśmy wiele. Ucieszyliśmy się, kiedy nastał ranek.

Kiedy niedługo po wschodzie słońca przyszedliśmy do wydziału politycznego, zastaliśmy tam tylko agronoma z gospodarstwa państwowego. Okazało się, że to mój stary znajomy ze szkoły rolniczej Erastowka. Przywitaliśmy się ciepło. Zapytałem go o kolegę, Jaszę Gromowa, który kilka lat temu pracował ze mną w fabryce.

– Wkrótce tu będzie. Zostaniecie w Pietrowce czy ruszacie dalej?

– Jedziemy trochę dalej – odparłem. – Po prostu zatrzymaliśmy się tu, żeby przenocować i rozeznać się w sytuacji. Ale chcę was prosić o przysługę, towarzyszu Baszmałow. Czy macie jakieś zapasy?

– To znaczy dla was?

– Tak, powiedzmy, że dla mnie. Zapłacę, oczywiście.

– Zapłacicie! Jakby pieniądze stanowiły problem. Chodźmy do mnie –

to niedaleko – zobaczę, co mogę wam dać.

Kiedy szliśmy do jego domu, powiedział:

- Wiem, oczywiście, że potrzebujecie jedzenia dla jakichś nieszczęśników, i nie winię was za to. Ale, towarzyszu Krawczenko, nie wyjdzie wam to na dobre, jeśli będziecie się powodować litością. Musicie się nauczyć dbać o siebie, nawet jeśli inni umierają z głodu. W przeciwnym razie nikt nie dopilnuje żniw. Ilekroć wasze uczucia wezmą górę nad zdrowym rozsądkiem, powiedzcie sobie: „Jedyny sposób, żeby skończyć z głodem, to zadbać o nowe żniwa”. Nie myślcie, że łatwo mi było się przystosować. Nie jestem potworem.

Mimo to dał mi trochę słoniny, butelkę oleju, trochę mąki i torebkę kaszy. Podziękowałem mu i zaniósłem paczkę do chaty, gdzie spędziliśmy noc. Młoda kobieta była zbyt wzruszona, żeby nam dziękować. Uciekłem przed jej wdzięcznością jak przed gorzkim wyrzutem.

Potem przeszliśmy z Jurijem przez wieś. Znowu przytłoczyła nas nienaturalna cisza. Wkrótce wyszliśmy na otwartą przestrzeń, gdzie z pewnością był niegdyś plac targowy. Nagle Jurij chwycił mnie za ramię i ścisnął je aż do bólu: na ziemi leżały martwe ciała mężczyzn, kobiet i dzieci, przykryte starą słomą. Naliczyłem siedemnaście. Kiedy je mijaliśmy, nadjechał wóz i dwaj ludzie zaczęli ładować ciała jak kłody drewna.

Jurij poszedł do sowchozu załatwić transport, a ja wróciłem do wydziału politycznego, żeby porozmawiać z Gromowem. Niezwykle się ucieszył na mój widok – każdy gość z dziwnego świata poza strefą głodu wydawał się mile widzianym przypomnieniem, że gdzieś tam wciąż toczy się normalne życie. Zabrał mnie do sowchozu. Było to gospodarstwo państwowe, prowadzone bezpośrednio przez władze, a zatrudnieni w nim pracownicy dostawali pensje, w odróżnieniu od kołchozu, czyli gospodarstwa spółdzielczego, prowadzonego przez samych chłopów.

- Jasza – powiedziałem, kiedy szliśmy przez pola dojrzewającej pszenicy i jęczmienia – byłem dziś rano na placu targowym i...

- Tak, wiem, Witiu. Ile ich było tego ranka? Tylko siedemnaście? Czasem jest więcej. Zabieramy ciała i grzebiemy je, co innego nam pozostaje? Widzisz, zeszłej jesieni rząd wycisnął z nich całe zboże. To, co dostali za swoją pracę lub zdołali ukryć, już dawno zużyli. To wszystko jest smutne i straszne. Chodź do mnie, porozmawiamy. Za długo byłem sam ze swoimi myślami.

Śmierć z głodu to monotony temat. Monotonny i powtarzający się. Jest coś makabrycznego w posługiwaniu się zwykłymi słowami na opisanie piekielnych faktów. Bądź co bądź, Jasza powiedział mi to samo, co usłyszałem od młodej wieśniaczki zeszłej nocy: co zobaczyłem na własne oczy na placu. Zacząłem się już przyzwyczajać do tego

koszmaru; narastał we mnie wewnętrzny opór wobec rzeczywistości, która zaledwie wczoraj mnie przygniotła.

Rozmawialiśmy długo. Gromow opisał mi ludzi, z którymi miałem pracować, i obiecał pomóc w każdy możliwy sposób. Pomachał nam na pożegnanie, kiedy razem z Jurijem odjeżdżaliśmy taczanką, dwukółką oddaną do naszej dyspozycji przez sowchoz.

Słońce zachodziło i niebo zdawało się nabiegle krwią. Stary człowiek, który powoził dwukółką, przemawiał do swoich koni.

- Ech, moje małe sokoły! Wio, moje kochaneczki!

Poczęstowałem go papierosem. Dobry tytoń najwyraźniej poprawił mu nastrój; sięgnął pod siedzenie, wyciągnął trzciniową fujarkę i zaczął grać smutne ukraińskie melodie.

- Chyba prowadzisz wesołe życie, ojczulku - powiedział Jurij.

- O, tak, żyjemy tu jak panowie, jedna para spodni na dwóch i wszyscy żyją, dopóki nie umrą. Nie ma biednych, nie ma bogatych, są tylko żebracy. A teraz pod górę, moje małe sokoły! Pokażcie tym mieszczuchom, moje maleńkie!

- A kim ty jesteś, dziadku? - spytałem.

- Wszyscy mnie tu znają. Kiedy miałem własne gospodarstwo i mnóstwo jedzenia, ludzie nazywali mnie Kuźmą Iwanowiczem. Teraz jestem woźnicą i nazywają mnie Kuźką. Została mi tylko ta fujarka, więc gram.

- Moja stara umarła z głodu zeszłej zimy. Córka wyszła za mąż i pracuje w kopalniach. Moich dwóch synów i ich rodziny zesłali na Syberię towarzysze... kułaccy agenci. Ale zobaczyli, że jestem starym człowiekiem, nieszkodliwym, więc dali mi posadę woźnicy w sowchozie. Długo nie chcieli mnie przyjąć, myśleli, że będę szkodził w gospodarstwie. A czemu miałbym szkodzić? I tak jestem już jedną nogą w grobie.

- Robię wszystko, co mi każą, a moja jedyna radość to te koniki. Dobrze o nie dbam. Wprawdzie są państwowe, ale ja udaję, że są moje. Tylko one mi zostały. Karmię je i czyszczę, rozmawiam z nimi. A one mnie rozumieją - każde słowo. Dla moich koni wciąż jestem Kuźmą Iwanowiczem, nie jakimś tam Kuźką. Chcę tylko, żeby mnie pochowali obok mojej starej, kiedy przyjdzie na mnie pora. Prosiłem dobrych ludzi, żeby o tym pamiętali, a oni obiecali. Zatem widzicie, nie mam się czym martwić.

Znowu zaczął grać na fujarce.

Zapadła już noc, gdy zatrzymaliśmy się przed wydziałem politycznym w wiosce, którą nam przydzielono. Wydział mieścił się w pięknym budynku na końcu żwirowej drogi wysadzonej topolami. W środku czekało kilku ludzi. Powitali nas przyjaźnie. Przedstawiliśmy się i poszliśmy z nimi do chaty zajętej przez zastępcę naczelnika. Chata

była czysta, a kolacja, choć prosta, smaczna i obfita.

W wesołym świetle lampy naftowej, przy zastawionym stole, trudno było sobie wyobrazić, że w sąsiednich domach panuje głód i śmierć. Przyglądałem się ludziom, z którymi miałem pracować, a oni z kolei oceniali mnie.

Naczelnik wydziału politycznego, Somanow, był podpułkownikiem artylerii, niskim, krępy, mniej więcej czterdziestoletnim, o spokojnej i sympatycznej twarzy. Polubiłem go natychmiast. Jego zastępca, nasz gospodarz, był dyrektorem fabryki w Zagłębiu Donieckim. Dobrze ubrany, elokwentny, sypał wesołymi anegdotami. Funkcję drugiego zastępcy pełnił młody funkcjonariusz GPU, ciemnowłosa, przystojny chłopak, który niewiele mówił, ale uważnie słuchał. Czwartym członkiem wydziału politycznego był redaktor naczelny gazety z miasta w obwodzie dniepropietrowskim.

Każdy z nas sondował pozostałych. Udało mi się wspomnieć mimochodem o moich ważnych przyjaciółach i napomknąłem nawet o swojej osobistej znajomości z komisarzem Ordżonikidzem. Kiedy sypałem nazwiskami znajomych z GPU w moim rodzinnym mieście, młody funkcjonariusz wyprężył się odruchowo na baczność. Bez względu na to, co mnie czekało, chciałem być postrzegany przez pryzmat prestiżu politycznego i musiałem go zdobyć jak najwięcej.

Po kolacji odbyliśmy formalną naradę. Jurija i mnie wprowadzono w plany i przedstawiono nam sylwetki różnych lokalnych urzędników w kołchozach, za które mieliśmy odpowiadać. Na szczęście zbiory w tym rejonie zapowiadały się dobrze. Naszym zadaniem było je zabezpieczyć, dopilnować żniw i zadbać, aby rządowe dostawy zostały zrealizowane. Ostateczny termin zakończenia żniw wyznaczono na 1 września. Chociaż każdy z nas miał w swojej gestii konkretny odcinek, łączyła nas wspólna odpowiedzialność.

Następnego ranka towarzysz Somanow wezwał mnie do swojego gabinetu.

- Macie większe doświadczenie w rolnictwie niż większość pełnomocnych przedstawicieli, to bardzo dobrze - powiedział mi. - Chcę was ostrzec. Zobaczycie mnóstwo cierpienia i będziecie zdani wyłącznie na siebie. Nie będę wam mówił, jak postępować. Tylko jedno: nie traćcie zimnej krwi, bo niczego nie osiągniecie. Róbcie to, co uznacie za konieczne, i bądźcie nieugięci. Jeśli wykonacie plan na swoim odcinku, wszystko inne zostanie wam wybaczone. Jeśli nie... cóż, wszyscy znamy konsekwencje. Kierownicy kołchozów i przewodniczący Rady Wiejskiej oczekują waszego przybycia. Powodzenia!

Niebawem Jurij i ja wyruszyliśmy w drogę. Jego wioska leżała kilkanaście kilometrów od mojej. Kiedy dotarliśmy do Łoginy, gdzie miałem kwaterować, zeskoczyłem przed budynkiem rady, a Jurij

pojechał dalej sam.

Siedziba rady była mała, lecz czysta. Właśnie trwało zebranie. Przedstawiłem się, pokazałem swój mandat pełnomocnego przedstawiciela wydziału politycznego i Komitetu Rejonowego, po czym poprosiłem, aby dalej prowadzili zebranie. Przewodniczący rady nazywał się Biełousow i najwyraźniej bał się miejscowego sekretarza partii, towarzysza Kobzara. Kierownik stacji maszynowo-traktorowej, Karas, też był obecny.

- Towarzyszu Krawczenko, wy tu teraz rządzicie. Poprowadźcie zebranie - powiedział Kobzar.

- Nie, nie, kontynuujcie, a ja po prostu posłucham, jeśli nie macie nic przeciwko temu. Od tej pory, towarzysze, nie będzie „nas” i „was”. Musimy pracować razem. Ja ponoszę odpowiedzialność i muszę podejmować ostateczne decyzje. Chciałbym zwołać pierwsze zebranie jutro i ufam, że przygotujecie niezbędne dane. Chcę, żeby zwłaszcza wszyscy kierownicy kołchozów przedstawili plany pracy. Tymczasem kontynuujcie to, co zaczęliście.

Wznowili zebranie. Kierownicy kołchozów mówili po kolei. Podkreślali, że jeśli kołchoźnicy nie dostaną czegoś do jedzenia, nie będą mieli dość sił, żeby zebrać zboże.

- Moi ludzie głodują - powiedział jeden z nich. - Ci, którzy spuchli z głodu, leżą w domach. Nie możemy ich brać w rachubę. Wielu jeszcze odpadnie lub umrze, zanim zaczną się żniwa. Co z tym zrobimy?

Biełousow i Kobzar odpowiadali ogólnikami, cytowali partyjne dyrektywy i wywarli na mnie wrażenie zdezorientowanych, nieudolnych i całkowicie zobojętniałych. Powiedziałem sobie: „Z tego, co widzę, będę musiał polegać na samych chłopach, nie na tych urzędnikach”. Stało się dla mnie jasne, że działacze rady i partii przywykli do głodu i że trzeba będzie przezwyciężyć ich apatię, jeśli mamy przystąpić do żniw.

- Chodźcie do mnie i prześpijcie się - zaproponował Biełousow po zakończeniu zebrania. - Na pewno jesteście zmęczeni po podróży. Chyba znajdę u siebie kroplę czegoś na wzmocnienie.

- Byłoby mi miło, gdybyście przyszli do mnie - wtrącił się jeden z kierowników kołchozów. - Nazywam się Chadaj. Mam małą rodzinę i możemy wam dać oddzielny pokój.

Postanowiłem przyjąć zaproszenie Chadaja. Czułem, że im bardziej zbliżę się do ludzi z kołchozów, tym lepiej wykonam swoje zadanie. Pożegnałem się ze wszystkimi i zostałem z Chadajem - prostym, inteligentnym człowiekiem średniego wzrostu, gładko wygolonym, o miłej powierzchowności. Towarzyszył nam kierownik innego kołchozu, Demczenko.

- No cóż, przyjaciele - uśmiechnąłem się, kiedy dotarliśmy na miejsce - chodźmy najpierw do stajni. Tego mnie nauczono. Przed pójściem spać,

zwykł mawiać mój dziadek w Aleksandrowsku, trzeba zobaczyć, czy konie i krowy są oporzędzone.

- Więc jesteście z pochodzenia chłopem?

- Niezupełnie, towarzyszu Demczenko, ale długo mieszkałem na wsi.

W świetle latarni zobaczyłem, że konie stoją w swoich przegrodach, ale nie mają siana. Poza tym stajnie nie były zbyt czyste.

- Sukinsyn! - wykrzyknął Chadaj. - Znowu zaniedbał stajnie! Zrobię mu jutro piekło!

- Nie wiem, kto za to odpowiada - powiedziałem - ale moim zdaniem powinniście zrobić piekło sobie. Wy jesteście kierownikiem i jeśli coś jest źle, to wasza wina. Na tym właśnie polega kierownictwo.

- Chyba macie rację - zgodził się potulnie Chadaj. - Ale to nie takie proste. Kiedy ludzie są głodni, nie pracują. Nie potrafią się skupić na pracy.

- Tak - potwierdził Demczenko - to nie takie proste. No cóż, życzę wam dobrej nocy, do jutra.

W domu poznałem żonę i dzieci Chadaja. Chociaż wszyscy byli chudzi i wynędzniali, dawało się odczuć, że powodzi im się lepiej niż większości chłopów.

- Towarzyszu Chadaj, powiedzcie mi tak po prostu, nieoficjalnie, jak sobie radzą ludzie - powiedziałem. - Jak wygląda plan żniw? W jakim stanie są maszyny? Nie ukrywajcie przede mną niczego. Wręcz przeciwnie, bądźcie ze mną szczerzy, bo w końcu chodzi nam o to samo.

- Nie wiem, od czego zacząć, towarzyszu Krawczenko. Plon nie jest zły. Maszyny są w porządku, chociaż brakuje niektórych części. Bez tych części stoimy.

- Zróbcie mi listę tego, co niezbędne, a ja prześlę ją do wydziału politycznego w Pietrowie.

- Dziękuję, to będzie wielka pomoc. Nienajlepsza jest też sytuacja z końmi. Nie mamy paszy. Gdybyśmy mogli dostać trochę owsa... Oczywiście moglibyśmy skosić trochę z nowego plonu, ale to wbrew zarządzeniom.

- Zarządzenia czy nie zarządzenia, zróbcie to, jeśli uważacie, że nie ma innego wyjścia - powiedziałem. - Biorę na siebie pełną odpowiedzialność. To jedno z naszych pierwszych zadań na jutro. Co osiągniemy bez koni? A bez owsa wkrótce nie będziemy mieli koni.

- Boję się, że Biełousow i Kobzar nie zgodzą się na to - ostrzegł Chadaj.

- Ja to z nimi załatwię.

- A wreszcie, co najważniejsze, towarzyszu Krawczenko, to sytuacja samych ludzi. Umierają jak muchy. Albo są zbyt słabi i opuchnięci, żeby chodzić. Kto pójdzie żąć zboże? Błagałem radę, żeby pożyczili nam trochę zboża. W końcu dali mi trzynaście pudów. Ale nie jestem

Mojżeszem ani Jezusem. Nie mogę nakarmić tysięcy ludzi trzynastoma pudami. Mówię wam, towarzyszu, widziałem krew i śmierć, kiedy byłem w wojsku, ale nigdy nie widziałem czegoś tak strasznego jak to, co dzieje się teraz w mojej wsi.

Spojrzał mi prosto w oczy. Przez jego smutek przebił się promyk nadziei.

- Towarzyszu pełnomocny przedstawicielu, jeśli chcecie zebrać plon, musicie najpierw ocalić ludzi od śmierci głodowej. Nie mogę już dłużej patrzeć na tę niedolę. Po prostu nie mogę już tego znieść!

- Nie mogę wam niczego obiecać, towarzyszu Chadaj, ale spróbuję. Jutro wstaniemy wcześniej i będziemy chodzić od domu do domu. Chcę to zobaczyć na własne oczy, zanim podejmę jakieś działania.

3

To, co zobaczyłem tamtego ranka, obchodząc chaty razem z Chadajem, było niewyobrażalnie potworne. Na polu bitwy ludzie umierają szybko, walczą, podtrzymuje ich koleżeństwo i poczucie obowiązku. Tutaj widziałem ludzi umierających w samotności, stopniowo, umierających strasznie, bez świadomości poświęcenia dla sprawy. Zostali porzuceni i pozostawieni na śmierć głodową, każdy we własnym domu, decyzją polityczną podjętą w odległej stolicy, przy stołach konferencyjnych i bankietowych. Nie było nawet pociechy, że ten koszmar kiedyś się skończy.

Najbardziej przerażający widok przedstawiały małe dzieci z kościotrupimi kończynami zwisającymi z rozdętych brzuchów. Głód wymazał z ich twarzy wszelki ślad dzieciństwa, przeistaczając je w udręczone maskarony; tylko ich oczy wciąż zachowały dziwny blask. Wszędzie znajdowaliśmy mężczyzn i kobiety leżących nieruchomo, z opuchniętymi twarzami i brzuchami, z oczami całkowicie pozbawionymi wyrazu.

Zapukaliśmy do drzwi i nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Znowu zapukaliśmy. Trwożnie pchnąłem drzwi i weszliśmy przez wąską sień do jednoizbowej chaty. Najpierw mój wzrok padł na lampkę oświetlającą ikonę nad szerokim łóżkiem, potem na ciało kobiety w średnim wieku, leżące na łóżku, z rękami skrzyżowanymi na piersiach ponad czystą haftowaną ukraińską bluzką. W nogach łóżka stała stara kobieta, a obok dwoje dzieci, mniej więcej jedenastoletni chłopiec i dziesięcioletnia dziewczynka. Dzieci płakały cicho i powtarzały z żalnym chłopskim zaśpiewem:

- Mamo, kochana mamusiu.

Rozejrzałem się i mój wzrok spoczął na opuchniętym, nieruchomym ciele mężczyzny leżącego na piecu.

Najstraszliwsze w tej scenie były nie zwłoki na łóżku, lecz stan żyjących świadków. Nogi starej kobiety były spuchnięte do niewiarygodnych rozmiarów, mężczyzna i dzieci znajdowali się w krańcowym stadium wygłodzenia. Wycofałem się szybko, zawstydzony swoim pośpiechem.

W sąsiedniej chacie zastaliśmy czterdziestoletniego mężczyznę, który siedział na ławie i reperował but. Twarz miał opuchniętą. Mały chłopiec, przypominający żywy szkielet, czytał książkę, a wychudzona kobieta krzątała się przy piecu.

- Co gotujesz, Natałko? - spytał ją Chadaj.

- Wiecie, co gotuję - odparła, a w jej głosie zabrzmiała mordercza furia.

Chadaj pociągnął mnie za rękaw i wyszliśmy.

- Dlaczego jest taka wściekła? - spytałem.

- Bo... wstydzę się wam to powiedzieć, Wiktorze Andriejewiczu... Gotuje końskie łajno i chwasty.

W pierwszej chwili chciałem wrócić do chaty i powstrzymać ją, ale Chadaj mi nie pozwolił.

- Nie róbcie tego, błagam was. Nie wiecie, co czują głodujący ludzie. Mogłaby was zabić z rozpaczy, gdybyście zabrali zawartość jej garnka.

Kiedy odwiedziliśmy kilkanaście domów, uległem prośbom Chadaja, żebyśmy przerwali inspekcję.

- Wszędzie jest tak samo. Widzieliście już dosyć - powiedział.

Tryb postępowania wydawał mi się jasny. Sytuacja była zbyt rozpaczliwa, żeby ograniczać się do półśrodków. Bez względu na konsekwencje, postanowiłem zignorować prawo i zarządzenia. Jeśli nie przywrócę tym chłopom sił, wszystko będzie stracone. Po powrocie do domu Chadaja napisałem list do towarzysza Somanowa, naczelnika naszego wydziału politycznego, i wysłałem go przez posłańca. Przed wieczorem posłaniec wrócił z odpowiedzią:

Zdaję sobie sprawę z sytuacji. Nalegam, abyście przemyśleli sprawę i rozważyli wszystkie okoliczności. To, co proponujecie, jest poważnym naruszeniem naszych wyraźnych dyrektyw. Jeśli jednak nie widzicie innego wyjścia, możecie robić, co uznacie za konieczne. Spróbuję zdobyć trochę zboża, ale szczerze mówiąc, nie mam wielkiej nadziei, że mi się uda.

Odpowiedź mnie usatysfakcjonowała. Przynajmniej nie powiedział „nie”. Moja propozycja sprowadzała się do tego, aby skosić trochę owsa dla koni i zżąć trochę jęczmienia na obrzeżach pól dla ludzi. Takie przedwczesne żęcie było określane w leżących przede mną „Izwiestijach” jako „kradzież własności państwowej” i „kułacki sabotaż”. Za takie „przestępstwa” chłopów aresztowano i zsyłano.

W drugim kołchozie panowały podobne warunki. Niektórzy chłopci

wciąż mieli krowy, ale całe mleko dostarczali do państwowej wytwórni masła. Nawet ludzie, którzy jeszcze mogli się ruszać, byli słabi, apatyczni i zrozpaczeni.

Poprosiłem Chadaja i Demczenkę, żeby wezwali dwóch wiejskich nauczycieli, lekarkę i kilka inteligentniejszych i bardziej przedsiębiorczych kobiet z kołchozów. Jednocześnie posłałem po Bielousowa, Kobzara i Karasa. Kiedy się zebraли, usiedli wyczekująco, zastanawiając się, jakiego królika wyciągnę ze swojego partyjnego cylindra. Niektórzy, zwłaszcza Kobzar, nie kryli sceptycyzmu.

- Poprosiłem was tutaj, towarzysze, zwłaszcza kobiety - zacząłem - ponieważ potrzebuję waszej rady. Cieszę się, że przewodniczący Rady Wiejskiej, sekretarz partii i kierownik stacji maszynowo-traktorowej też tu są. Chodziłem od domu do domu i znam sytuację. Jestem szczególnie zaniepokojony stanem dzieci. Jak można oczekiwać od ludzi, żeby pracowali, skoro ich dzieci umierają z głodu?

- Oto mój plan. Chadaj mówi mi, że we wsi są puste domy. Chcę, żeby kobiety je wysprzątały, pobielily, przygotowały dla ludzi. Zaczniemy od dzieci. Będą mieszkały w tych domach aż do końca żniw. Zbierzcie je, ostrzyżcie, wykąpcie, zaszczepcie przeciwko tyfusowi. Wiem, towarzyszko lekarko, że macie niezbędne medykamenty. Postawcie w ogrodach przed tymi domami kilka stołów i przynieście wielkie kotły do gotowania jedzenia. Czy chcecie pomóc?

- Pewnie, że chcemy - odezwała się jedna z kobiet. - Ale co im dacie do jedzenia?

- To powiem wam później. Na razie chciałbym wiedzieć, kto waszym zdaniem najlepiej się nadaje do opieki nad dziećmi.

- Kononienko - zawołało kilka głosów. - Iwan Piotrowicz... nauczyciel.

- Iwanie Piotrowiczu - zwróciłem się do starszego mężczyzny, którego mi pokazano - ponieważ ludzie wam ufają, ja też. Będziecie odpowiedzialni za dzieci. Weźcie sobie kogoś do pomocy i pamiętajcie, że zawsze możecie na mnie liczyć. Jeśli ktoś spróbuje przeszkadzać, dajcie mi znać.

- Zgadza się z największą chęcią - powiedział nauczyciel. - Dlaczego miałbym się nie zgodzić? To moje dzieci. Jeśli tylko dacie nam coś do jedzenia, ręczę za resztę. - Był bliski płaczu.

- Dziękuję, Iwanie Piotrowiczu. Macie moje uroczyste słowo, że będzie jedzenie.

Zwolniłem wszystkich oprócz urzędników. Zaprowadziwszy ich do sąsiedniego pokoju, zamknąłem drzwi.

- Towarzysze, do rzeczy - powiedziałem. - Nie bądźcie wstrząśnięci tym, co powiem. Znam zarządzenia równie dobrze jak wy, może nawet lepiej. Mimo to udzielam kołchoźnikom pozwolenia na skoszenie owsa i nakarmienie koni. Po drugie, udzielam natychmiastowej zgody

na zżęcie jęczmienia na obrzeżach i w miejscach, gdzie już dojrzał.

- Zaczynajcie młócić i przygotujcie go tyle, żeby można było wydawać kilogram kaszy na rodzinę dziennie. I powoli zwiększajcie ten przydział, tak żeby do czasu rozpoczęcia żniw ludzie nabrali sił do pracy. Dostarczcie Iwanowi Piotrowiczowi tyle kaszy, żeby mógł nakarmić dzieci. Możecie również zarznąć tyle kołchozowych świń, ile będzie trzeba, żeby oprócz kaszy jęczmiennej zapewnić dzieciom trochę mięsa i tłuszczu.

W miarę jak mówiłem, wyraz powątpiewania na twarzach urzędników ustępował miejsca przerażeniu. Ich oczy mówiły dobitniej niż słowa: Czy ten człowiek oszalał? Chce, żeby nas wszystkich rozstrzelano, łącznie z nim?

- Ale, towarzyszu Krawczenko... - zaczął Kobzar.

- Nie ma żadnych „ale”. Róbcie to, co mówię. Odpowiedzialność biorę całkowicie na siebie.

- Moim obowiązkiem jest poinformować wydział polityczny... - powiedział zdenerwowany Bielousow, wstając.

- Nie, towarzyszu Bielousow - przyszedł mi z pomocą kierownik stacji maszynowo-traktorowej - mylicie się. Jeśli pełnomocny przedstawiciel Komitetu Obwodowego tak zarządza, to znaczy, że wie, co mówi, a reszta z nas powinna się zamknąć.

- Nie zakazuję wam informować, kogo wam się podoba - powiedziałem. - Macie do tego prawo. Ale jeśli nie wykonacie moich zarządzeń, pociągnę was do odpowiedzialności. A wy, towarzyszu Kobzar, zapłaćcie swoją legitymacją partyjną, jeśli nie zadbacie o to, aby moje instrukcje zostały niezwłocznie wykonane. To wszystko, towarzysze.

Kiedy wyszliśmy, poczułem, że ktoś ściska mnie z wdzięcznością za rękę. To był Chadaj. Potem podszedł do mnie Demczenko.

- Pomogę wam, nawet gdyby miało mnie to kosztować życie - szepnął ochryple. - Teraz, kiedy już zdecydowaliście się na stanowczy krok, może zajmiemy się spółdzielczym sklepem? Chodźcie, przedstawię was Makarence, kierownikowi.

Sklep był brudny i zaniedbany. Jeśli nie liczyć gipsowych popiersi Stalina i stosów litograficznych portretów innych przywódców, półki świeciły pustkami. Makarenko był służalczym małym człowieczkiem, chytrym i przymilnym. Opowiedziałem mu pokrótce o swojej decyzji nakarmienia wiejskich dzieci i poprosiłem o pomoc.

- Wiem, że macie ukryte zapasy żywności. Musicie je wydać. Po żniwach dostaniecie równowartość w zbożu i nikt nie będzie stratny.

Mały człowieczek zaniepokoił się. Był rozdarty między zarządzeniami z centrali a strachem, że narazi się mnie jako pełnomocnemu przedstawicielowi.

- Tak, towarzyszu, mam trochę soli, cukierków, około dziesięciu pudów kaszy, trochę wędzonej ryby i trochę mydła. Jeśli kolchoźnicy podpiszą zobowiązanie, że zapłacą w zbożu i sianie, zgadzam się. Ale najpierw muszę uzyskać zgodę z urzędu rejonowego. Dam wam odpowiedź jutro. Ale chcę wam też udzielić pewnej rady. Dlaczego nie pójdziecie do wytwórni masła?

- Co macie na myśli?

- Mam na myśli miejsce, gdzie dostarczamy całe nasze mleko - wyjaśnił Demczenko. - Robią z niego masło na eksport.

- Na eksport!

- Tak, towarzyszu Krawczenko - za granicę. Jest pakowane w papier z napisami w obcym języku. Widzicie, głód to jedno, a handel zagraniczny to co innego.

- Dobrze, zaprowadźcie mnie tam - powiedziałem.

Wytwórnia masła leżała kawałek za wioską. Kierownik był członkiem partii, uprzejmym i głęboko nieszczęśliwym. Oprowadził mnie po zakładzie. W jednym z pomieszczeń masło krojono w kostki i pakowano w papier z wydrukowanym napisem w języku angielskim: USSR BUTTER EXPORT.

- Wiem, że chłopci głodują - powiedział kierownik. - Sama myśl, że to masło napycha brzuchy dobrze odżywionym cudzoziemcom, rani mi serce. Ale co mogę zrobić? Mam swoje zarządzenia. Zalegam z planem i na pewno zostanę ukarany. Chłopci kradną mleko, bo są głodni. A krowy nie dają mleka, ponieważ nie ma paszy.

- Wszystko jedno - powiedziałem. - Musicie mi pomóc. Dzieci muszą zostać nakarmione. Z pewnością są jakieś produkty uboczne, które możemy wykorzystać.

- Łatwo wam mówić. A ja, tak samo jak Makarenko, muszę nie tylko wykonać plany z centrali, ale także nakarmić miejscowych urzędników. Wszyscy oni, Kobzar, Bielousow i ich różni zastępcy, biorą moje masło i mleko.

- No cóż, od dzisiaj cała maślanka musi być oddawana do nakarmienia dzieci - oświadczyłem.

- W porządku, ale pod warunkiem, że uzyskam zgodę swoich zwierzchników. - Urwał na chwilę, jakby zbierał resztki odwagi. - Nie, o nic nie będę pytał. Powiedzcie ludziom, że od jutra mogą przychodzić po maślankę. Ja też mam dzieci.

Gniew wzbierał we mnie, kiedy wracałem do wioski. Masło wysyła się za granicę, kiedy w kraju szaleje głód! Widziałem oczyma duszy, jak ludzie w Londynie, Berlinie, Paryżu jedzą masło ostemplowane radzieckim znakiem handlowym. Słyszałem, jak mówią: „Muszą być bogaci, skoro eksportują masło. Oto, przyjaciele, dowód, że socjalizm sprawdza się w praktyce”. Jadąc drogą wśród pól, nie słyszałem

cudownych ukraińskich pieśni, tak drogich mojemu sercu. Ci ludzie zapomnieli, jak się śpiewa. Słyszałem tylko jęki umierających i mlaskanie tłustych cudzoziemców obżerających się naszym masłem...

Kiedy dotarłem do kołchozowych pól, zobaczyłem, że już zaczęto żąć owies i jęczmień. W wiosce kilkanaścioro dzieci zebrało się w ogrodach na wielkie mycie. Stary Iwan Piotrowicz rozdzielał pracę, około dwudziestu mężczyzn i kobiet pomagało mu. Żona Chadaja, moja gospodyni, była wśród kobiet bielących domy. Moje gniewne myśli roztopiły się w przyływie uczucia dla tych prostych ludzi. Widziałem ich posępnych pod knutami i karabinami. Widziałem ich pełnych zapału, bezinteresownych, we wspólnym wysiłku, który nikomu nie zagrażał.

Kiedy tego wieczoru siedzieliśmy przy kolacji, stajenny przyszedł zobaczyć się z Chadajem. Właśnie padł koń. Chadaj kazał mu obdrzeć zwierzę ze skóry, wywieźć padlinę za wioskę, polać naftą i posypać niegaszonym wapnem. W przeciwnym razie głodni chłopcy zjedliby trujące mięso, wyjaśnił. Później przyszedł nauczyciel i lekarka. Zameldowali o postępach. Jęczmień został wysuszony na piecu i rano dzieci z kołchozu dostaną pierwsze przyzwoite śniadanie. Zarżnięto kilka świń.

- Wiemy o maślanie - powiedział Iwan Piotrowicz - ale to nie wystarczy. Niektóre dzieci są zbyt wygłodzone. Musimy mieć trochę mleka.

Zastanawiałem się przez chwilę. Zabrnąłem już tak daleko w łamanie przepisów i „kułacki sabotaż”, że równie dobrze mogłem posunąć się jeszcze dalej.

- Chadaj - powiedziałem - upoważniam was oficjalnie, w obecności świadków, żebyście nie dostarczali więcej mleka urzędnikom, którzy je dostawali, i żebyście oddawali jedną trzecią całego udoju do użytku dzieci. Powiedzcie Demczence, że to samo dotyczy jego kołchozu.

Tej nocy w łóżku rozmyślałem o nowej uprzywilejowanej klasie na wsi - funkcjonariuszach państwowych i partyjnych, którzy otrzymywali mleko, masło i zapasy ze spółdzielczego sklepu, podczas gdy wszyscy wokół głodowali. Wiernopoddańczo wykonywali polecenia centrali, obojętni na cierpienia prostego ludu. Strasznie było patrzeć, jak przywileje wypaczają charakter; ci sami ludzie, którzy zaledwie kilka lat wcześniej sami zaliczali się do biednych chłopów, zatracili już ostatnie resztki identyfikacji ze swoimi sąsiadami. Stanowili odrębną kastę, zespoloną przeciwko społeczności.

Następnego ranka dokonałem przeglądu żniwiarek, młockarni i wialni. Przywieziono części zapasowe, o które prosiłem, i ludzie zajmowali się naprawami. Członek zarządu kołchozu opowiadał mi o swoich kłopotach, gdy nagle podszedł jeden z chłopów i szepnął mu coś do ucha.

- Mów głośniej, niech pełnomocny przedstawiciel cię usłyszy! -

powiedział członek zarządu.

- No cóż, to jest tak, towarzyszu pełnomocny przedstawicielu. Zeszłej nocy padł koń. Skórę zdjęto, a padlinę polano naftą i posypano wapnem. Ale rano, kiedy poszli ją zakopać, nie było ani śladu padliny. W nocy zabrano całe trujące i zapaskudzone mięso. Boże, do czego doszliśmy, towarzyszu!

4

Zbliżyły się żniwa. We wsi zapanował nowy duch. Większość rodzin oddała jedno lub więcej dzieci do przedszkola Iwana Piotrowicza, a wszystkim członkom kołchozu wydzielono trochę jęczmienia. Pewnego ranka wystąpiłem na walnym zebraniu kołchoźników. Później zostałem, żeby porozmawiać z ludźmi. Ktoś przyniósł bałajkę, a jeden z chłopów grał na akordeonie. Znowu usłyszałem ukraińskie pieśni i wstąpiła we mnie otucha.

Podszedł do mnie młody człowiek. Z początku słowa nie chciały mu przejść przez gardło, ale wreszcie wykrztusił:

- Towarzyszu pełnomocny przedstawicielu! Proszą was do rady! Ktoś chce was widzieć. Z... z... GPU!

Siedzący najbliżej przestali śpiewać. Trzy straszne litery spadły jak ciosy. Wieść, że wzywa mnie tajna policja, obiegła całe zgromadzenie. Zapadła cisza. Jak się dowiedziałem od kierowników kołchozów, spodziewano się powszechnie, że zostanę ukarany za karmienie ludzi.

W budynku rady zastałem młodego funkcjonariusza GPU, którego spotkałem już w wydziale politycznym. Byli z nim Kobzar i Biełousow. Zwróciłem się do Kobzara:

- Dlaczego nie było was dzisiaj na zebraniu kołchozu? Prosiłem, żebyście przyszli.

- Przepraszam, miałem coś innego do roboty - wymamrotał. Zachowywał się gburowato.

- Chciałbym z wami porozmawiać prywatnie, towarzyszu Krawczenko - powiedział funkcjonariusz GPU.

- Dobrze. Chodźmy do mojego biura w kołchozie.

Poszedł ze mną. Po drodze i kiedy usiedliśmy w biurze, rozmawialiśmy ogólnie o sytuacji w wiosce, o dobrych rokowaniach na żniwa i tak dalej.

- Towarzyszu Skopin - powiedziałem wreszcie - przejdźmy do sedna. Co was tu naprawdę sprowadza?

- Widzicie, otrzymaliśmy kilka raportów i oficjalnych pism o waszym postępowaniu - odparł. - Wszystkie sprowadzają się do tego: łamiecie prawo, ignorujecie dyrektywy partii i nie liczycie się z lokalnymi władzami.

- Kogo macie na myśli, mówiąc „otrzymaliśmy”? Chodzi wam

o naczelnika wydziału politycznego? Jesteście tu z jego polecenia?

- To nie należy do rzeczy.

- Nie, w tym właśnie cała rzecz. Czy upoważnił was, żebyście mnie przesłuchiwali?

- Przyszedłem tu na prywatną przyjacielską rozmowę. To nie jest przesłuchanie.

- Towarzyszu Skopin, robię to, co uważam za słuszne, i nie mogę z wami dyskutować o swoim postępowaniu. Tylko naczelnik wydziału politycznego może mnie wypytywać. Jestem pełnomocnym przedstawicielem Komitetu Rejonowego i odpowiadam przed nim za swoje postępowanie. Lokalne władze są zobowiązane mi pomagać. Tymczasem miejscowi urzędnicy nie robią nic, napychają sobie brzuchy, a ludzie umierają z głodu. Mam spisy wszystkiego, co zabrali z kółchozów i z magazynów do prywatnego użytku. Dobrze wiem, kto pisze na mnie donosy. Ale wiem również, że urządzają pijackie orgie. Bardzo dużo się dowiedziałem.

- Prawdę mówiąc, towarzyszu Krawczenko, jestem tu z własnej inicjatywy. Naczelnik nic o tym nie wie. Postanowiłem porozmawiać z wami, zanim przedstawię mu dokumenty. Słyszałem, że zabieracie produkty z wytwórni masła i ze sklepów spółdzielczych, utrudniacie dostawę mleka należącego do państwa i pozwalacie żąć zboże przed terminem. To są poważne sprawy.

- Sporządźcie swój raport dla wydziału politycznego. Powiedzcie im, że odpowiadam za wszystkie swoje posunięcia. Będę tam jutro rano i zamelduję osobiście. A teraz, czy chcielibyście zobaczyć wioskę, towarzyszu Skopin?

- Nie, nie mam czasu. No cóż, do widzenia. Spełniam tylko swój obowiązek tak jak go rozumiem.

- Do widzenia, towarzyszu. Do zobaczenia jutro.

Następnego dnia zameldowałem się u towarzysza Somanowa.

- Mieliście całkowitą rację, że nie chcieliście rozmawiać ze Skopinem bez mojej zgody - powiedział. - Ci wałkonie z waszej wioski piszą donosy, po prostu na wszelki wypadek... na wypadek, gdybyście mieli kłopoty. Wiem, że ciężko pracujecie. Znam ryzyko, które podejmujecie, i oczywiście ja też będę za to odpowiadał. Jeśli zdążymy ze żniwami i dostawami dla państwa w wyznaczonym terminie, wszystko będzie w porządku. Jeśli nie, obaj zapłacimy głową.

- Byłem z wami zupełnie szczery, towarzyszu Somanow. Informowałem was o swoich poczynaniach. Ale chcę za nie odpowiadać osobiście. Oto list, który mi przysłaliście i w którym napisaliście, mniej więcej, że mogę robić, co mi się podoba. Weźcie go z powrotem.

Zabrał list, schował go do kieszeni i krzyknął:

- Towarzyszu Skopin!

Wszedł funkcjonariusz GPU.

- Przynieście mi wszystkie dokumenty i materiały dotyczące towarzysza Krawczenki.

Skopin przyniósł grubą teczkę, którą Somanow wręczył z kolei mnie i wyszedł. Zaczekał, aż wszystko przeczytam. Zanotowałem nazwiska informatorów GPU i urzędników, którzy na mnie donieśli. Somanow obiecał mi, że zniszczy teczkę, a tymczasem umieścił ją we własnym sejfie.

- Jutro przyjadę do Łoginy, żeby się z wami zobaczyć. Zbierzcie miejscowych urzędników. Wygarnę im, tak jak na to zasługują.

Po powrocie do wioski porównałem nazwiska informatorów z oficjalnym spisem mieszkańców. Odkryłem, że zostali starannie rozlokowani w całym rejonie. Jeden pracował w spółdzielni, inny w wytwórni masła, trzeci w administracji kolchozu, a czwarty był kierowcą na stacji maszynowo-traktorowej. GPU miało swoje oczy i uszy rozmieszczone tak, by widziały i słyszały wszystko. Za plecami władz i kierowników działała sieć szpiegów - szpiegów tajnej policji i partii, nie znających się nawzajem. Za pozornym rządem stał prawdziwy rząd.

Nieco później tego samego dnia natknąłem się na Iwana Piotrowicza. Dosłownie tryskał zadowoleniem ze swojej pracy.

- Cudownie jest patrzeć, jak dzieci wracają do zdrowia - powiedział, kiedy spacerowaliśmy razem - jak odzyskują dzieciństwo. Wszyscy jesteście świadomi ryzyka, które podejmujecie. Żeby być zupełnie szczerym, cała wieś jest zaniepokojona tym wezwaniem do GPU.

- Nie ma powodu do niepokoju - uśmiechnąłem się. - Bogowie są po mojej stronie. Jak dotąd, w każdym razie. Ale cieszę się, że chłopci zdają sobie sprawę z sytuacji. Teraz ich kolej, żeby mi pomóc - i sobie przy okazji. Zaraz zaczną się żniwa. Chcę, żebyście szepnęli słówko, na wypadek gdyby znaleźli się gdzieś jacyś próżniacy, że nie chcę żadnych podziękowań. Chcę pracy, ciężkiej pracy, dzień i noc. Powiedzcie im tak: „Kolchoźnicy, czy chcecie uratować głowę towarzysza Krawczenki? Zatem zbierajcie, młóćcie i dostarczajcie zboże zgodnie z planem”. Nie bardzo potrafię wstawiać się sam za sobą, ale wy możecie to zrobić.

- Możecie być pewni, że zrobię to, o co prosicie. Macie tu przyjaciół. Wierzcie mi, jeśli ktoś będzie się ociągał z robotą, niech lepiej wynosi się do diabła, bo będzie miał z nami przeprawę.

Somanow już był, kiedy następnego ranka przyszedłem do siedziby rady. Już od drzwi słyszałem jego grzmiący głos. Zebrali się niemal wszyscy miejscowi promieniści, łącznie z kierownikiem sklepu.

- Towarzysz Krawczenko jest tu szefem - oświadczył naczelnik wydziału politycznego. - Jego polecenia są prawem. Czas nas goni i nie możemy go tracić na wasze nonsensy. Weźcie się do pracy i pomóżcie

mu. Sami wyjdźcie w pole. Wyjdzie wam to na zdrowie. A oto i pełnomocny przedstawiciel we własnej osobie!

Przywitał mnie gorąco, jakbyśmy nie widzieli się od lat. Była to demonstracja przyjaźni, która miała wyrzucić wrażenie na moich wrogach. Razem opuściliśmy zebranie i poszliśmy do budynku administracji kołchozu.

- Wiktorze Andriejewiczu - powiedział - sam pochodzę ze wsi i cierpienia ludu bardzo mnie bolą. Łzy, krew, śmierć, zesłanie. I po co to? Ziemia jest żyzna, ludzie pracowici. Dlaczego pozwalamy im głodować i umierać? Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem zdezorientowany. Ale za dzień, dwa przyślę wam trochę mąki. I jeszcze więcej części do młockarni.

- Tylko że tak naprawdę nie to chciałem wam powiedzieć. Chciałem wam powiedzieć, jak bardzo doceniam to, co zrobiliście, zwłaszcza dla dzieci. - Nagle się zatrzymał. - Wiktorze Andriejewiczu, obaj jesteśmy komunistami, ale jesteśmy także ludźmi. Będę was bronił jak samego siebie.

Dwa dni później wszystko było gotowe. O świcie pojechałem w pole. Członkowie kołchozu, mężczyźni i kobiety, stawili się tam przede mną. Już kosili zboże, wiązali je w snopki. Niebawem zjawili się lokalni urzędnicy i zaoferowali pomoc - widocznie wykład odniósł zamierzony skutek. Panowała atmosfera gorączkowej aktywności. Tak jak kierowca samochodu rozpoznaje po szumie silnika, że pracuje on dobrze, tak samo ja wyczułem z nastroju tego pierwszego poranka, że wszystko jest w porządku.

Poprzedniej nocy zwieziono na pola zapasy jedzenia i wody. Rozstawiono namioty dla małych dzieci. Chłopi, jak za dawnych czasów, mieli żyć pod gołym niebem, z dala od domów, aż do zakończenia żniw. Za moją zgodą zarżnięto byka i kilka świń. Chociaż spośród setek mężczyzn i kobiet niewielu najadło się do syta, a prawie wszyscy byli słabi albo chorzy, śpiewali, żartowali i pracowali od wschodu do zachodu słońca.

- W porządku - szepnął mi do ucha Iwan Piotrowicz. - Chcą uratować waszą głowę.

Roześmieliśmy się.

Następny dzień spędziłem w kołchozie, którym kierował Demczenko. Tutaj też żniwa zaczęły się dobrze i nastrój był wyśmienity. Kilka dni później, chociaż żniwa jeszcze trwały, inne brygady przystąpiły do młócki. Zboże zaczęło napływać do elewatorów pełnymi wozami.

Któregoś dnia, w samym środku żniw, pojechałem na pola Demczenki. Zauważyłem, że jedna ze żniwiarek stoi beczynnie, i pobiegłem w tamtą stronę, żeby się dowiedzieć dlaczego. Okazało się, że obsługujący ją człowiek stracił przytomność z wyczerpania. Kilka

kobiet stało wokół niego, próbując go ocucić. Kazałem im zanieść mężczyznę do wioski i sam wsiadłem na żniwiarkę. Od czasów komuny nie miałem do czynienia z taką maszyną, a praca sprawiała mi ogromną radość.

Przed zmierzchem, kiedy zluzował mnie inny kierowca, odkryłem straszliwą stratę. Zniknął mój portfel. Utrata wszystkich pieniędzy specjalnie mnie nie zmartwiła. Ale przepadła również moja delegacja i, co gorsza, legitymacja partyjna. Tego wieczoru i następnego dnia przeszukiwaliśmy pola, lecz nie znaleźliśmy ani śladu portfela. Zameldowałem o zgubie w wydziale politycznym i Komitecie Obwodowym. Przez wiele następnych lat miałem z jej powodu wielkie kłopoty.

Kolejna nieprzyjemność nadeszła w postaci zarządzenia z wydziału politycznego:

Zgodnie z instrukcjami Obwodowego Komitetu Wykonawczego cerkiew w waszej wiosce ma zostać przekształcona w państwowy magazyn zboża. Zadanie należy wykonać w ciągu 48 godzin, a o jego wykonaniu zameldować.

Zarządzenie mnie zaniepokoiło, ponieważ wiedziałem, jak je przyjmą chłopci. Było to głupie posunięcie: kij wetknięty w tryby maszynierii żniw. Ale Kobzar, Bielousow i inni zabrali się do tego z entuzjazmem. Powoli zrazili do siebie miejscową ludność. Miejscowi komsomolcy odarli cerkiew z draperii, ikon i kosztowności.

Wieść rozeszła się po polach lotem błyskawicy. Chłopi porzucili narzędzia i pobiegli do wioski. Klęli, błagali i płakali, widząc, jak zabiera się im święte przedmioty. Zraniło ich nie tylko świętokradztwo – postrzegli całą sprawę jako znieważenie ich ludzkiej godności.

- Zabrali nam wszystko – powiedział pewien stary wieśniak. – Nic nie zostawili. A teraz zabierają nam ostatnią pociechę. Gdzie będziemy chrzczyć nasze dzieci i grzebać zmarłych? Gdzie znajdziemy pocieszenie w naszych strapieniach? Łajdaki! Bezbożnicy!

Byłem bezsilny. Trzeba było całej siły przekonywania Iwana Piotrowicza i mojej, żeby przywrócić rytm pracy. Kiedy już myślałem, że mi się udało, nowy incydent zepsuł wszystko. Zdarzyło się to w najbliższą niedzielę. Sekretarz miejscowego Komsomołu, głupi, pryszczaty młodzieniec nazwiskiem Czyż, pojawił się nagle na ulicy z dziewczyną u boku, grając na bałabajce i śpiewając popularne antyreligijne piosenki. Była to dosyć znajoma scena. Kłopoty spowodował ich strój. Czyż i jego dziewczyna mieli na sobie jaskrawoczerwone jedwabne koszule, przewiązane w talii złotym sznurem z jedwabnymi chwastami. Mieszkańcy wioski natychmiast rozpoznali cerkiewne draperie. Ich oburzenie nie miało granic, zapachniało samosądem. Dwoje komsomolców nie ucierpiało z rąk

rozwścieczonego tłumu tylko dzięki temu, że zdołali uciec starszym ludziom i znaleźć schronienie w spółdzielczym sklepie.

Kiedy dowiedziałem się o incydencie, posłałem po Czyżę.

- Dlaczego ukradliście cerkiewne draperie? - wrzasnąłem.

- Nie ukradłem. Wziąłem je na oczach wszystkich. Inni towarzysze robili to samo.

- Wy i wasi towarzysze natychmiast zwróćcie wszystko, co zabraliście. Jeśli nie, przekażę was milicji, a także każdego drania, który się za wami wstawi. I jeszcze jedno, dopóki ja tu jestem, nie będzie więcej publicznych antyreligijnych błazeństw. To rozkaz!

Kilka dni później w kołchozie zarżnięto wielkiego byka. Mięso zasolono i złożono w piwnicy z lodem. Wieczorem Chadaj poinformował mnie, że część mięsa została skradziona. Wezwałem towarzysza Karasa ze stacji maszynowo-traktorowej. Zgodził się mi pomóc. Czekaliśmy prawie do północy. Chadaj i Karas wzięli myśliwskie strzelby. Ja miałem swój browning. Domyślaliśmy się, kto jest złodziejem, i postanowiliśmy to niezwłocznie sprawdzić.

- Wstąpmy po drodze po towarzysza Kobzara - powiedziałem. - Powinien wiedzieć, co się dzieje na jego terenie.

W domu było ciemno. Chadaj zapukał. Ponieważ nie otrzymał odpowiedzi, otworzył drzwi. Nagle usłyszeliśmy głosy. Wszedłem i zapaliłem swoją latarkę. Jakaś kobieta krzyknęła. Skierowałem światło w kierunku jej głosu. Zupełnie naga dziewczyna próbowała wciągnąć sukienkę przez głowę. Wrzeszcząc z przerażenia, wybiegła z domu w noc.

Zapaliłem lampę stojącą na stole. Ukazała się butelka wódki, dwa kubki, wielki półmisek smażonego mięsa. Kobzar, na wpół nagi, wciąż siedział na łóżku, rozczochrany i oszołomiony. W drewnianej misie na krześle zobaczyłem wielkie bycze serce.

- Skąd wzięliście to mięso? - spytałem.

- Kupiłem... w sklepie spółdzielczym... możecie sprawdzić.

- Z pewnością to zrobię. Chodźcie, towarzysze, pozwólmy mu dokończyć posiłek, łącznie z byczym sercem.

Chadaj prowadził, a mu podążaliśmy za nim w stronę domu na skraju wsi. To podobno tam odbywały się „orgie”, o których z taką goryczą mówili chłopci. Poruszając się ostrożnie, po cichu, zbliżyliśmy się do domu. Przez szparę w okiennicy zajrzałem do wielkiego pokoju. Stół był zastawiony butelkami, mięsem, chlebem i jarzynami. Wokół stołu, w parach, siedziało trzech mężczyzn - kierownik magazynu, zastępca kierownika sklepu i młynarz - i trzy kobiety w różnych stadiach roznegliżowania.

Karas stanął przy drzwiach frontowych, Chadaj przy kuchennych. Ja zastukałem w okno.

- Kto tam? - zawołał wystraszony głos.

- Pełnomocny przedstawiciel. Natychmiast otwierać, bo strzelam.

Ktoś otworzył drzwi. Zabawa zamieniła się w zamieszanie i panikę. Kobiety płakały.

- Przyszłam tu tylko dlatego, że byłam głodna - zawodziła jedna.

- Zmusili mnie, żebym tu przyszła - krzyknęła druga.

Kazałem kobietom ubrać się i wyjść, a następnie poprosiłem swoich towarzyszy, żeby przeszukali dom. Znaleźli pud mięsa, mnóstwo słoniny, kaszę, miód i kilka worków mąki.

- Kiedy wasi sąsiedzi umierają z głodu, wy kradniecie im żywność! - krzyknąłem z wściekłością. - I nazywacie siebie komunistami! Bierzcie te zapasy na plecy! Marsz do domu rady!

Szedłem za nimi, dopóki nie dotarliśmy do budynku rady. Rankiem zjawili się milicjanci i zabrali trzech złodziei do stolicy rejonu, miasta Piaticchatki, na proces. Kiedy wieść się rozeszła, chłopcy byli oburzeni.

- Nie powinniście ich odsyłać na proces - mówili. - My lepiej wiemy, co trzeba z nimi zrobić.

Kiedy zaczęto zwozić świeżo zebrane zboże do nowego spichlerza przy stacji kolejowej, dokonałem odkrycia, które przejęło mnie zgrozą. W ceglany budynku znajdowały się tysiące pudów zboża z zeszłorocznych zbiorów! To były rezerwy państwowe dla obwodu, ale fakt ich istnienia ukryto przed głodującą ludnością. Setki mężczyzn, kobiet i dzieci zmarły z głodu w okolicznych wioskach, chociaż zboże było zmagazynowane niemal pod ich progiem!

Chłopcy, którzy byli ze mną, kiedy znaleźliśmy „rezerwy państwowe”, patrzyli z niedowierzaniem i klęli w gniewie. Nie miałem im tego za złe, oczywiście, ale wymogłem na nich obietnicę, że nikomu o tym nie powiedzą. Obawiałem się, iż wiadomość podkopie morale podczas żniw. Później dowiedziałem się, że w wielu innych częściach kraju rząd zgromadził ogromne rezerwy, a okoliczni chłopcy umierali z głodu. Tylko Stalin i Politbiuro mogli odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak uczyniono - ale tego nie zrobili.

5

Żniwa były praktycznie zakończone. O zmierzchu pewnego pogodnego dnia wyjechałem w pole dwukółką. Z oddali usłyszałem żniwną pieśń, głosy mężczyzn i kobiet pięknie się zlewały. Po tylu miesiącach wypełnionych śmiercią i cierpieniem znowu śpiewali! Błogosławiona prostota i bezgraniczna dobroć ludu naszej ukraińskiej ziemi!

Wkrótce zauważyłem, że śpiewacy maszerują w moim kierunku, jakby w procesji, z nauczycielem Iwanem Piotrowiczem na czele. Był to podnoszący na duchu widok, mężczyźni w najlepszych ubraniach,

kobiety w haftowanych odświętnych bluzkach, z wiankami polnych kwiatów na głowach. Na ich twarzach malowała się prawdziwa radość. Wstrzymałem konie i zsiadłem. Procesja podeszła bliżej i zatrzymała się; były tam ze dwie setki mężczyzn i kobiet.

- Wiktorze Andriejewiczu - powiedział nauczyciel donośnym głosem, aby wszyscy mogli słyszeć - dotrzymaliśmy słowa. Żniwa zostały ukończone - dziesięć dni przed terminem. Widzieliście, jak pracujemy. Wiedząc, że większość z nas była głodna i słaba po strasznej zimie i wiośnie, musicie przyznać, że to prawdziwe bohaterstwo.

- Dziękuję, Iwanie Piotrowiczu - odparłem - i dziękuję wam wszystkim, towarzysze.

Procesja rozproszyła się. Zagrały akordeony i młodzi ludzie zaczęli tańczyć. Chadaj i Demczenko dołączyli do mnie. W ciągu roku od poprzednich żniw niemal połowa mieszkańców wioski zmarła z głodu i chorób, które mu towarzyszą. Teraz ci, którzy przetrwali, znowu zaczęli żyć. Państwo miało im zabrać większość nowego zboża, ale zbiory były dobre, i to, co pozostanie, powinno niemal wystarczyć, aby przeżyć kolejny rok.

Na polach Demczenki odbywał się festyn pod gołym niebem, a chociaż miałem do napisania pilne listy, nie mogłem odrzucić jego zaproszenia. Scenerię oświetlały latarnie i wielkie ogniska. Po niekończących się uściskach dłoni, wzajemnych gratulacjach i przemówieniach zaczęły się tańce. Tutaj też zdawała się odradzać nadzieja nowego życia.

Tej nocy napisałem końcowy raport dla wydziału politycznego, ogłaszając wykonanie zadania dziesięć dni przed wyznaczonym terminem. Zameldowałem też o aresztowaniu złodziei i zaleciłem usunięcie ze stanowiska Kobzara, Czyża i kilku innych funkcjonariuszy.

Kilka dni później, kiedy przeprowadzałem inspekcję pól, usłyszałem nagle klakson samochodu. Zdumiałem się na widok kilku wielkich, pięknych limuzyn, jadących drogą. Musieli to być ważni goście. Spiałem konia i pogalopowałem w kierunku samochodów. Zatrzymały się i wysiadło z nich kilkunastu ludzi. Jeden ruszył w moją stronę. Rozpoznałem towarzysza Chatajewicza. Zsiadłem z konia i wyszedłem mu na spotkanie.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Potem, surowym tonem, Chatajewicz spytał:

- Towarzyszu Krawczenko, kiedy zakończyliście żniwa?

- Trzy dni temu, czyli dziesięć dni przed terminem wyznaczonym dla tego rejonu.

- Tak słyszałem. Ale słyszałem też inne rzeczy. Na przykład, kto wam dał pozwolenie na żęcie owsa i jęczmienia i korzystanie z państwowych zapasów mleka? Dlaczego zabroniliście agitacji antyreligijnej? Jesteście zdyscyplinowanym członkiem partii czy jakimś anarchistą?

- Towarzyszu Chatajewicz - odpowiedziałem spokojnie - nie mogłem

postąpić inaczej. Dzieci umierały. Konie padały. Kołchoźnicy nie mieli siły przystąpić do żniw. Państwo otrzymało swoje zboże w odpowiedniej ilości i przed terminem. To prawda, kosztowało mnie to kilkaset pudów zboża. Ale inwestując te kilkaset pudów, ocalałem wiele tysięcy. Jeśli to przestępstwo, jestem gotów za nie odpowiedzieć.

Chatajewicz ujął mnie za ramię. Uścisnął je w przyjacielski sposób, który nie pasował do jego ostrego tonu. Najwyraźniej robił tę scenę „na pokaz”. Zaczął iść, oddalając się od swoich towarzyszy i ochroniarzy.

- Jesteście przyszłym inżynierem, jak mi powiedziano, i oddanym członkiem partii. Ale nie jestem pewien, czy rozumiecie, co się tu dzieje. Pomiedzy chłopstwem a naszym rządem toczy się bezlitosna walka. Walka na śmierć i życie. Ten rok był sprawdzianem naszej siły i ich wytrzymałości. Trzeba było głodu, żeby im pokazać, kto tu rządzi. Kosztowało to miliony ofiar, ale system kołchozów się utrzymał. Wygraliśmy tę wojnę.

- Boję się, że wasze serce góruje nad rozsądkiem, towarzyszu Krawczenko. Gdyby wszyscy byli tacy wrażliwi jak wy, moglibyśmy nie wygrać tej wojny. Pamiętajcie, nie karczę was. Widzę, że wykonaliście tu pierwszorzędną robotę. Między nami mówiąc, moje serce też krwawi nad losem nieszczęsnych chłopów. Ale chcę, żebyście zapamiętali moje słowa - i gdyby ktoś was pytał, nie zapominajcie, że próbowałem was zdyscyplinować.

Nawet potężny Chatajewicz, jak się wydawało, bał się o swoją reputację... i bał się nadchodzącej „czystki”.

Kilka minut później znów znalazł się w otoczeniu podwładnych i uzbrojonych ochroniarzy. Kawalkada pojechała do następnej wioski, wzbijając kłęby kurzu. Ruszyłem do domu, zastanawiając się, kto doniósł na mnie Chatajewiczowi. Byłem pewien, że Somanow nie pozwoliłby sobie na takie nadużycie zaufania. To musiał być Skopin. Na pozór Skopin wykonywał polecenia Somanowa, ale w rzeczywistości podlegał GPU, prawdziwej władzy w naszym kraju. Niewątpliwie sporządził kopie donosów. Później, kiedy „czystka” objęła także mnie, okazało się, że moje domysły były trafne.

Przygotowywałem się do wyjazdu. Podniecenie udanymi żniwami opadło. Chłopi już narzekali na skąpe przydziały. Po zapłaceniu państwu za wykorzystanie maszyn, po dostarczeniu rządowi ustalonych kontyngentów, niewiele im zostało. Przeciętnie około dwóch kilogramów zboża na osobę za dzień pracy. To było o wiele za mało, żeby wykarmić rodzinę, nie mówiąc już o kupnie ubrań i innych niezbędnych artykułów na cały rok.

Co prawda, otrzymali dodatkowo trochę nasion słonecznika, kukurydzy i warzyw. Ale co mogli kupić za owoc swojej pracy?

Najtańsze chłopskie buty kosztowały w tym czasie osiemdziesiąt rubli, najprostsza bawełniana sukienka sto rubli. Przy oficjalnych cenach, które państwo płaciło za zboże, kołchoźnicy otrzymywali za swoją pracę tak mało, że ich roczne zarobki stanowiły równowartość sukienki i pary butów! Ponieważ ten sam rząd kupował zboże i sprzedawał buty, w obu przypadkach ustalając korzystne dla siebie ceny, był to w istocie system wielokrotnego wyzysku, z tajną policją i partyjną biurokracją, podtrzymującymi ekonomiczną bezduszną.

Część chłopów może i nie umiała pisać, ale wszyscy aż za dobrze rozumieli niesprawiedliwość.

- Socjalizm - sztydzi. - Rabunek to lepsze słowo.

Kilka razy w ciągu tych miesięcy spotkałem się z Jurijem. Pewnego razu wstawiłem się za nim w wydziale politycznym. Był przerażony tym, co zobaczył, i przygnębiony, ponieważ spóźniał się ze żniwami. Czułem się mu bardzo bliski. Skąd mogłem wiedzieć, że w następnych latach znajdzie się wśród tych, którzy mnie zadenuncjują, kiedy będę w kłopotach? Nie miałem wątpliwości, że uczynił to pod presją, której nie zdołał wytrzymać.

Niemal cała wieś przyszła mnie pożegnać. Łzy płynęły po policzkach poczciwego Iwana Piotrowicza. Chadaj i jego rodzina wymogli na mnie obietnicę, że do nich napiszę. Pomachałem im wszystkim, a woźnica zaciął konie.

ROZDZIAŁ X

Moja pierwsza czystka

Dostosowanie się do normalnego życia po powrocie z rejonów dotkniętych głodem nie przyszło mi łatwo. Wykłady w instytucie, narady w fabryce, zebrania komórki partyjnej, nawet codzienne zajęcia domowe wydawały się trywialne w świetle moich wspomnień. Byłem nerwowy i niecierpliwy. Po kilku nieudanych próbach uzyskania ode mnie spójnej relacji ojciec dał za wygraną. Z czasem komuniści wykształcają w sobie swego rodzaju odporność na polityczną hipokryzję w gazetach, w radiu i na zebraniach; ale teraz drażniła mnie ona aż do bólu.

Patrząc wstecz, jestem skłonny przyznać, że wewnątrz, w tajemnych zakamarkach swojego jestestwa, zacząłem zrywać z partią właśnie w tym okresie. Wiejskie koszmary pozostawiły psychiczne rany, które nigdy się nie zabiły. Z tego samego powodu jednak moja świadomość szukała rozpaczliwie wymówek, kompromisów z sumieniem. Jak mogło być inaczej, skoro aby w ogóle przetrwać, człowiek musiał godzić się z rzeczywistością, od której nie było ucieczki?

Poza tym nikt nie mógł po prostu odejść z partii. Nie mógł nawet zaniechać swoich obowiązków ani zdradzać oznak utraty wiary. Po wstąpieniu do partii był usidlony na zawsze. Mógł zostać wykluczony z partii, co byłoby dla niego katastrofą, ale nie mógł odejść. Gdybym ujawnił swoje prawdziwe uczucia, oznaczałoby to wydalenie ze szkoły, hańbę i szykany, a w końcu, nieuchronnie, obóz albo jeszcze gorzej.

Musiałem tłumaczyć te emocje, spychać je do podziemia swojego umysłu. Starłem się odzyskać wiarę. Ponieważ zbliżała się czystka, stało się to tym bardziej konieczne.

Wybrano setki komisji weryfikacyjnych. Niebawem rozpoczęły się publiczne sesje w fabrykach, biurach, instytucjach, szkołach. Każdy komunista w kraju musiał przejść przez rytuał publicznej spowiedzi i przesłuchania. Bardziej niż kiedykolwiek byliśmy świadomi tych niewidzialnych, lecz wszechobecnych oczu i uszu; grubych teczek, w których zarejestrowano nasze prywatne życie i myśli; osobistych wrogów, którzy mogli skorzystać z okazji, by wyjawić nasze prawdziwe bądź wyimaginowane grzechy.

Czy przejdę pomyślnie próbę? To pytanie było stale obecne w mojej świadomości, tak jak w świadomości każdego komunisty. Odbijało się echem we wszystkich naszych działaniach; zawierało się we wszystkich rozmowach. Przestaliśmy planować na przyszłość - nie będzie żadnej przyszłości, jeśli nie pokona się tej przeszkody.

Na każdym piętrze Instytutu Metalurgicznego zainstalowano specjalne skrzynki, by przyjmować podpisane i anonimowe „oświadczenia” na temat komunistów. Wydział specjalny pracował dzień i noc za stalowymi drzwiami, porządkując, segregując, porównując. Czystka była sezonem polowań na ludzi, do których żywiło się urazę. Była rzymskimi wakacjami dla zawistnych, rozgoryczonych i służalców.

Komisja weryfikacyjna składała się zwykle z dwóch lub trzech członków i przewodniczącego: komunisty o nieposzlakowanej lojalności. Stanowiła swego rodzaju sąd, wysuwający oskarżenia i ferujący wyroki. Niejaki towarzysz Galembo, później wysoki urzędnik w Ludowym Komisariacie Metalurgii, został przewodniczącym komisji w instytucie.

Ci, u których doszukano by się jakiejś skazy, mogli zostać pozbawieni legitymacji partyjnych. Staliby się byłymi partyjnymi, zaliczanymi do zupełnie innej kategorii niż bezpartyjni. Były członek partii to ten, który został odrzucony. Od tej pory zawsze jest traktowany nieufnie, pomijany przy awansach, postrzegany jako „potencjalny wróg ludu” w momentach kryzysowych. Wykluczenie było najgorszym losem, jaki mógł przypaść członkowi partii. Stawał się politycznie trędowaty, dawni przyjaciele odsuwali się od niego, a krewni go wydziedziczali. Zetknięcie się z nim pociągało za sobą ryzyko politycznego skażenia.

Istniał zatem uzasadniony powód do strachu, który pulsował w instytucie pod koniec 1933 roku, kiedy zbliżała się czystka. Był to strach naznaczony histerią. Prasa podawała do wiadomości, kto zostanie poddany weryfikacji i gdzie. Każdy, kto chciał zaszkodzić weryfikowanemu, mógł przesłać do komisji donos, uzupełniając materiały znajdujące się już w teczkach personalnych i aktach GPU. Aż nazbyt ludzka skłonność do podstawiania nogi sąsiadom, którzy wyżej zasłi lub którym się lepiej powodzi, została sztucznie podsyciona.

Pierwszym warunkiem zachowania członkostwa była niezachwiana wierność generalnej linii partyjnej, przede wszystkim nieskazitelna lojalność wobec Stalina. Nawet cień „odchylenia” mógł się okazać fatalny w skutkach. Ale prywatne życie weryfikowanego i jego opinie na wszystkie tematy też były dobrym celem publicznej krytyki. Cała procedura łączyła w sobie najgorsze cechy spowiedzi, przesłuchania trzeciego stopnia i szczucia niedźwiedzia, z komunistą w roli niedźwiedzia. Dla ofiary było to straszne przeżycie, dla widzów często cyrk. Przez cały okres trwania czystki dla członków partii obecność na zebraniach była obowiązkowa, a „bezpartyjne masy” zachęcano

do udziału.

Żaden komunista nie został nigdy poinformowany z góry o zarzutach, które będą wysunięte przeciwko niemu. Z pewnością był to najbardziej denerwujący element dramatu. Szukałeś po omacku i przygotowywałeś się na wszelkie niespodzianki. Odtwarzałeś swoją przeszłość, raz po raz, zastanawiając się, skąd może nadejść zagrożenie.

Czy nie powiedziałeś za dużo pewnego wieczoru trzy lata temu w towarzystwie przyjaciół? Może któryś z nich doniósł o twoich nieprzemyślanych uwagach... Jeden z twoich wujów był oficerem w czasach carskich. Wprawdzie nigdy go nie znałeś, ale jeśli ktoś wygrzebie ten szczegół i oskarży cię o „zatajenie” go przed partią? Kobieta, która była twoją kochanką, została później aresztowana za prawicowe odchylenie. A jeśli ten związek z wrogiem ludu obróci się teraz przeciwko tobie? Pawłow prawdopodobnie zostanie wykluczony z partii – jak mam się od niego odciąć, zanim pociągnie mnie za sobą w otchłań? Trzeba ratować własną skórę – wszystko jedno jak – ponieważ stawka jest życie.

Czystka w naszym instytucie rozpoczęła się oficjalnie rozwlekłym i przeraźliwie nudnym przemówieniem przewodniczącego Galemby. Oznajmił nam, że w naszej ukochanej partii roi się od „wrogich elementów”, dwulicowców, oportunistów, zamaskowanych opozycjonistów i rzeczywistych wrogów klasowych. Naszym zadaniem jest ich wykryć, zedrzyć z nich maskę i ujawnić ich knowania. Kraj właśnie przeprowadził kolektywizację i zlikwidował kułactwo jako klasę. Triumfalnie zakończył pierwszy plan pięcioletni i przystąpił do drugiego. Ci, którzy wątpią, że wstąpiliśmy na drogę do socjalizmu i szczęśliwego życia, są łajdakami i wrogimi elementami. Trzeba ich wykorzenić dla dobra partii i jej wielkiego Przywódcy i Ojca, naszego Ukochanego Towarzysza Stalina!

Grzmiące oklaski, trwające wiele krępujących minut, rozlegały się za każdym razem, gdy padało imię Przywódcy.

Wreszcie rozpoczęła się czystka. Procedura była następująca: członkowie komisji usiedli za stołem przykrytym czerwonym sukniem na podium udekorowanym portretami członków Politbiura i hasłami; centralne miejsce zajmowało stojące wśród kwiatów popiersie Stalina. Komunista, który miał być weryfikowany, wzywano na podium. Wręczał swoją legitymację partyjną przewodniczącemu i zaczynał recytować życiorys. Był to akt politycznego i duchowego ekshibicjonizmu – należało opowiedzieć o swoim pochodzeniu, karierze zawodowej, zainteresowaniach, kładąc nacisk na grzechy, uchybienia i błędy. Zawsze lepiej było przyznać się do błędów samemu, jeśli zachodziło podejrzenie, że są one znane komisji; „zatajenie” czegokolwiek przed partią zwiększało wagę zatajonej zbrodni.

Po publicznej spowiedzi weryfikowany odpowiadał na pytania komisji i ludzi z widowni. Przypominano mu szczegóły, które pomiął, i wytykano sprzeczności. Towarzysze wypowiadali się na jego korzyść lub przeciwko niemu. Jeśli komisja była nastawiona przychylnie do ofiary, procedura trwała krótko i miała charakter czysto rutynowy. Ale jeśli widownia wyczuła, że weryfikowany jest w niełasce, albo wręcz „na równi pochyłej”, rzucała się na niego i pastwiła się nad nim bez litości; przerażeni przyjaciele i koledzy przyłączali się do werbalnego linczu, aby ocalić siebie. Ciężka próba mogła trwać pół godziny albo cały wieczór. Ofiara mogła walczyć, przekonywać, błagać, przedstawiać dowody niewinności, płakać – albo popadać w rezygnację i milczeć.

Tym, którzy przeszli weryfikację pomyślnie, oddawano legitymacje partyjne. Przyjaciele gratulowali im i sami oddychali z ulgą. W niektórych przypadkach komisja odkładała decyzję do głębszego zbadania sprawy. Odrzuconych ignorowano i unikano. Zostawali sami. Mogli tylko patrzeć w oszołomieniu na strzaskany świat i wymykać się z sali, czując się wyrzutkami i pariasami. Samobójstwa wśród wykluczonych z partii nie należały do rzadkości.

W całym ogromnym państwie radzieckim, na prowincji i w wielkich miastach, odbywały się podobne czystki. Gazety i radio przytaczały wyjątki z tych spektakli. Wszystko to wychwalano jako „demokrację partyjną”. Siedząc w audytorium instytutu, byłem dziwnie świadom, że rozgrywająca się na moich oczach scena jest tylko maleńkim fragmentem wielkiego dramatu, z milionami mężczyzn i kobiet jako aktorami, z jedną szóstą powierzchni ziemi jako sceną.

Czekałem niepewnie, z rosnącym zdenerwowaniem, aż przyjdzie moja kolej, by wystąpić na scenie.

2

- Towarzysz Sanin, proszę - ogłasza przewodniczący Galembo.

Jasnowłosa, trzydziestokilkuletni mężczyzna wspina się żwawo na podium i oddaje swoją legitymację. Jest szczupły, wysoki, ma miłą powierzchowność i nosi okulary. Wszyscy go znają i lubią - to wykładowca matematyki, który cieszy się powszechną sympatią, ponieważ jest trochę nieudolny i niezbyt wymagający. Opowiada swój życiorys. Syn chłopca, rozpoczął komunistyczną działalność, wstępując do Komsomołu. Karierę zawodową zaczął jako pomocnik tokarza w fabryce; potem ukończył instytut, zajmował się pracą naukową i wreszcie został nauczycielem.

Brzmi to jak typowy życiorys. Słuchacze są znudzeni. Nagle jednak przerywa mu jeden z członków komisji.

- Towarzyszu Sanin - mówi cicho - czy na studiach podpisaliście wraz

z innymi studentami trockistowski dokument programowy?

Poruszenie na widowni. Ludzie szepczą i wymieniają spojrzenia.

- Tak, podpisałem, ale już dawno się go wyparłem i wszyscy o tym wiedzą.

- A więc podpisaliście? - naciska członek komisji. - Nie zaprzeczacie.

- Oczywiście, że nie. Nigdy nie robiłem z tego tajemnicy. Wszyscy moi koledzy i partia wiedzą, że popełniłem błąd i później się do niego przyznałem.

- Może, towarzyszu Sanin. Mimo to zastanawiam się, czy naprawdę wszystko jest wiadome. Zastanawiam się, czy jest wiadome, że nadal wyznajecie poglądy potępione przez partię i społeczeństwo radzieckie.

Podniecenie na sali wyraźnie rośnie. Tłum czuje krew. Towarzysze Sanina sprzed kilku minut zaczynają się bać. Jeden po drugim zadają mu pytania z oczywistą intencją „pograżenia” go i ocalenia własnej głowy. Im bliżej są z nim związani, tym gorliwiej go oskarżają, by zademonstrować swoją świętoszkowatą dezaprobatę dla jego ohydnych „zbrodni”. Sanin zaczyna się płatać, nie zawsze mówi to, co naprawdę zamierza powiedzieć.

- Towarzysze z komisji - przekonuje - już dawno potępiłem swój błąd. Nigdy na serio nie popierałem trockistów. Nigdy nie wstąpiłem do ich organizacji. Tylko raz w chwili słabości dałem się nakłonić do podpisania dokumentu, ale szybko się go wyparłem. Ludzie, którzy mnie oskarżają, dobrze o tym wiedzą. Nie mogę zrozumieć, dlaczego mijają się z prawdą...

Ale przewodniczący mu przerywa. W jego głosie słychać szyderstwo.

- Nieważne, nieważne - mówi - doskonale wiemy, jak wy, trockiści, wrogowie partii, potraficie się maskować. Mamy dane świadczące o tym, że nie zmieniliście się wewnętrznie i nie na darmo wasi towarzysze podnoszą wątpliwości. - Zwracając się do audytorium, dodaje: - Kto chce zabrać głos?

Nie ma cienia wątpliwości, że los Sanina jest przesądzony. Jego przyjaciele rzucają się, by kopać leżącego, zepchnąć go w przepaść. Wstają po kolei, aby powiedzieć, że Sanin to oszust, na pozór lojalny wobec partii, ale w środku przeżarty odchyleniem. Nikt nie podaje konkretnych informacji, sypią się same rytualne zaklęcia. Nagle następuje coś nieoczekiwanego. Widownia jest poruszona. Pewien inżynier, znany i szanowany w całym instytucie, prosi o głos.

- Słuchałem uważnie wszystkich wypowiedzi - zaczyna - ale nie usłyszałem niczego naprawdę istotnego. Towarzysze, decydujemy o losie członka partii, o jego życiu lub śmierci politycznej. Gdzie są konkretne zarzuty? Nie ma żadnych!

Jego wystąpienie tylko dolewa oliwy do ognia. Emocje rosną. Zachęceni przez komisję, która bez wątpienia podjęła decyzję z góry,

koledzy Sanina nadal go oskarżają, obrzucają obelgami. Zostaje wykluczony z partii.

Potem słuchamy życiorysu studenta o ciemnych, gęstych włosach i semickich rysach. Jest młody i jego biografia jest krótka. Niebawem zaczyna się inkwizycyjna faza przedstawienia.

- Powiedzcie mi, towarzyszu Szulman, jaki był status społeczny waszych rodziców przed rewolucją?

- Mój ojciec był krawcem, a matka zwykłą gospodynią domową.

- Szulman kłamie! - krzyczy ktoś z widowni.

Widownia wyraźnie się ożywia. Mimo wszystko sesja zapowiada się interesująco. Szulman jest posepnym molem książkowym i ma niewielu przyjaciół.

- Czy możecie udowodnić, że ten członek partii oszukuje komisję i partię? - Galembo zwraca się do człowieka, który krzychał. Najwidoczniej interwencja nie jest dla komisji zaskoczeniem.

- Mogę to udowodnić. Szulman i ja pochodzimy z tego samego miasta, z Czerkas. Ja dopiero wstąpiłem do instytutu i widzę Szulmana po raz pierwszy. Ale znam jego rodzinę. Wiem, że jego ojciec miał pracownię krawiecką - i zatrudniał kilku pracowników. Był wyzyskiwaczem. Pracownia mieściła się przy ulicy Aleksandrowskiej. Wiem, co mówię. Jako syn wyzyskiwacza Szulman powinien zostać wyrzucony z naszej ukochanej partii.

Weryfikowany zbladł. Nerwowo wyłamuje palce. Taki obrót sprawy zaskoczył go i nie może znaleźć słów.

- Pochodzicie z Czerkas? - pyta przewodniczący surowo po przywołaniu zebranych do porządku.

- Tak, oczywiście... powiedziałem już.

- Czy wasz ojciec miał pracownię krawiecką pod wymienionym adresem?

- Tak, oczywiście. Ale nie był wyzyskiwaczem. Inni krawcy należeli do artelu. On po prostu nimi kierował. To było coś w rodzaju spółdzielni, towarzysze, przysięgam. Poza tym nie miałem z tym nic wspólnego. Ja sam pracowałem w fabryce, w innym mieście.

- Czy nie był waszym ojcem?

- Oczywiście, był moim ojcem.

- Zatem ukryliście przed partią fakt, że pochodzicie z rodziny wyzyskiwaczy?

- Niczego nie ukrywam. To był artel, spółdzielnia. Ja pracowałem w fabryce i mam dobrą opinię jako członek partii i jako student.

Zachowanie Szulmana przemawia przeciwko niemu. Im bardziej się denerwuje, tym wyraźniejszy staje się jego żydowski akcent. Śmiech przetacza się po sali.

- Wyrzucić go! - krzyczy ktoś. - Precz z nim, oszukał partię!

Szulman zatacza się, kiedy schodzi z podium, ma łzy w oczach. Wszyscy zdają sobie sprawę, że zostanie relegowany z instytutu, że to koniec jego kariery.

Weryfikacja kilku następnych osób jest zwykłą formalnością. Galembo szybko oddaje im legitymacje. Potem przed komisją staje towarzysz Cariew. Chociaż dobiega czterdziestki, jest studentem. Jego czoło i policzki są głęboko pobrużdżone. Cechuje go dziarska, żołnierska postawa i wkrótce okazuje się, że przez wiele lat służył w wojsku, zdobył pochwały podczas wojny domowej. Później podjął pracę w fabryce, a dwa lata temu przyjęto go do instytutu. Jest żonaty i ma dwoje dzieci.

- Powiedzcie nam, towarzyszu Cariew - pyta przewodniczący - co myślicie o kolektywizacji? Jakie jest wasze prawdziwe nastawienie?

- Pracowałem na wsi, towarzysze, i pomagałem w likwidacji kułaków jako klasy. Przyznaję, że niektóre środki wydawały mi się dosyć nieprzyjemne, ale w zasadzie byłem za.

- Chyba nie rozumiecie mojego pytania, towarzyszu Cariew, albo może wolicie nie rozumieć. Nie tylko wam to wielkie przedsięwzięcie wydawało się nieprzyjemne. Chcę znać waszą reakcję polityczną.

- Nigdy nie sprzeciwiałem się partii.

- Niestety, to nieprawda. - Członek komisji macha kilkoma tajemniczymi kartkami papieru. - Mamy tu informacje, że w okresie likwidacji kułaków wyraziliście się z aprobatą o oświadczeniu Bucharina, krytykującym politykę towarzysza Stalina. Towarzysze Kasarik i Somow, proszę podejść i potwierdzić wasze deklaracje przed komisją.

Wielu z nas zna obu wywołanych studentów: są z gatunku tych, którzy mało się uczą i dużo mówią. Wychodzą przed audytorium i powtarzają swoje zarzuty, że kiedy byli na wsi razem z Cariewem, wypowiadał się krytycznie o kolektywizacji. Cytują dokładnie jego słowa. Cariew próbuje przerywać, ale bez skutku. Staje się jasne, że jego przypadek jest beznadziejny.

Oblewam się zimnym potem. Zachowanie Cariewa na wsi, jego słowa, zdają się przypominać moje.

- A zatem, Cariew - zwraca się doń przewodniczący - nadal zaprzeczacie, że nie zgadzaliście się z partią?

- Zaprzeczam. Oni przesadzają. Poza tym krytyka nie musi oznaczać niezgody. Jestem tylko człowiekiem. Wokół było tyle cierpienia.

Galembo krzyczy na niego, bojąc się, aby nie powiedział za dużo.

- Lojalni członkowie partii ufają Komitetowi Centralnemu i naszemu ukochanemu przywódcy, towarzyszowi Stalinowi. - Oklaski z widowni. - W partii nie ma miejsca dla takich jak wy, którzy mają czelność wypierać się swoich błędów. - Znowu oklaski. - Wykluczony.

- Odwołam się do Komitetu Centralnego - krzyczy Cariew. - Moje zasługi wojenne mówią same za siebie, a moja praca na wsi została uwieńczona powodzeniem. Przelewałem krew za rewolucję. Nie macie prawa mnie niszczyć!

Ale członkowie komisji nie słuchają. Wyciągają już następną teczkę. Cariew był jednym z najbardziej lubianych ludzi w instytucie, ale teraz wszyscy odwracają się od niego, kiedy schodzi z podium. Ledwo może uwierzyć w to, co się stało - i to właśnie z nim!

Na podium stoi Duchowcew. Pracował fizycznie od ósmego roku życia, został brygadzystą, a później znalazł się wśród wybranych „tysięcy” i poszedł na studia. Wywiera pierwszorzędną wrażenie. Jego odpowiedzi na pytania polityczne i podchwytliwe pytania o historię partii są bezbłędne.

- Towarzyszu Duchowcew, jesteście żonaci? - pyta Galembo, niemal obojętnie.

- Tak, jestem.

- Kiedy się ożeniliście i kim jest wasza żona?

- Ożeniłem się w zeszłym roku. Moja żona jest córką księgowego i pielęgniarką w szpitalu.

- Powiedzcie mi, zarejestrowaliście swoje małżeństwo czy nie? Innymi słowy, jak wzięliście ślub?

Duchowcew czerwieni się, z zakłopotaniem przestępuje z nogi na nogę. Nagle uświadamia sobie, do czego zmierzają te pytania. Atmosfera na sali robi się napięta, wyczekująca. Zapada cisza. Wreszcie Duchowcew cichym głosem wyznaje straszną prawdę:

- Wziąłem ślub w cerkwi - mówi zrezygnowany.

Napięcie rozładowuje się. Widownia wybucha śmiechem.

- Wiem, towarzysze, że to brzmi śmiesznie - Duchowcew podnosi głos, aby przekrzyczeć śmiech. - To zabawne, przyznaję. Ceremonia religijna nic dla mnie nie znaczy, wierzcie mi. Ale kochałem swoją żonę, a jej rodzice nie pozwalali jej za mnie wyjść, dopóki nie zgodziłem się na tę cerkiewną komedię. To zacofani ludzie. Moja żona nie ma żadnych przesądów, tak samo jak ja, ale jest tylko córką i nie chciała robić przykrości starszym ludziom. Przekonywałem ją, błagałem i ostrzegałem, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Ale nie ustąpiła, a ja nie mogłem bez niej żyć. No i w końcu wzięliśmy ślub dyskretnie, w odległej wiejskiej cerkwi. W drodze powrotnej schowałem welon i kwiaty do teczki.

Zebrani nie potrafią już zapanować nad wesołością. Przewodniczący przywołuje ich do porządku, ale bez skutku. Duchowcew, tracąc panowanie nad sobą, krzyczy jeszcze głośniejsze:

- Nie jesteśmy wierzący, zapewniam was. Moja żona pracuje, ja studiuje, mamy dziecko. Błagam was, towarzysze, żebyście mi wybaczyli

mój błąd. Przyznaję, że jestem winny zatajenia tej zbrodni przed partią.

Chociaż kilku ludzi występuje w jego obronie, zostaje wykluczony. Jego zbrodnią jest nie tylko ślub w cerkwi, ale przede wszystkim fakt, że nie powiadomił o tym poważnym wykroczeniu swoich przełożonych.

Czystka trwa dalej, dzień po dniu. Sesja zaczyna się natychmiast po wykładach, czyli około piątej po południu, i ciągnie się do późnej nocy. Pod koniec pierwszego tygodnia, kiedy przeradza się w nużący rytuał, odprawiany przy akompaniamencie płaczu, śmiechu i absurdu, nagle się ożywiamy. Przed komisją ma stanąć zdolny wykładowca i naukowiec, towarzysz Piotr Jolkin. Wiemy, że jego ojciec był popem, co stawia go w trudnej sytuacji. Oczywiście ojciec zerwał z cerkwią i nawet wstąpił do Ligi Bezbożników, aby zetrzeć tę plamę z życiorysu swoich dzieci.

Bez tego Piotr nigdy nie zostałby przyjęty do partii, choć był błyskotliwym naukowcem. Jego oddanie nauce było całkowicie bezinteresowne. Pracował od rana do nocy jako konsultant w kilku fabrykach, w laboratoriach, w salach wykładowych. Zupełnie jakby bezgranicznym zapalem starał się zmasać swoje „wstydlive” pochodzenie.

Rankiem przed jego weryfikacją przypadkiem natknąłem się na niego w korytarzu.

- No i co, Piotrze, jak się czujesz? - spytałem.

- Niezbyt dobrze, Witiu. „Czy padnę strzałą ugodzony, czy ona przejdzie mimo mnie”?^[1]

- Oho! Skoro cytujesz *Eugeniusza Oniegina*, musisz być naprawdę zdenerwowany - roześmiałem się.

Teraz, stojąc przed niezwykle licznym audytorium, opowiada swój życiorys. Może z powodu pochodzenia okazuje prawdziwy talent do spowiedzi. Nigdy nie ukrywał tej hańby, oświadcza, a poza tym jego ojciec publicznie zerwał z religią, ogłaszając to w gazetach. Nie było łatwo wykorzenić stare i zrobić miejsce dla nowego; wymagało to długiej i ciężkiej pracy. Ale udało się i teraz poświęca całą swoją energię nauce. W ten sposób najlepiej służy partii i Stalinowi.

- Powiedzcie mi, towarzyszu Jolkin - pyta przewodniczący Galembo - długo znaliście Sanina?

- Dosyć długo. Byliśmy kolegami szkolnymi, w tym samym czasie skończyliśmy studia, a teraz obaj uczymy w instytucie.

- Czy wiedzieliście, że Sanin podpisał trockistowski dokument?

- Tak, wiedziałem o tym, podobnie jak wielu innych.

- Nie pytamy o innych, tylko o was.

- Tak, wiedziałem o Saninie i nie wypieram się tego - przyznaje Jolkin.

- W takim razie - Galembo podnosi gniewnie głos - dlaczego nie poinformowaliście partii, że o tym wiedzieliście?

- Nie widziałem powodu. Ten fakt był tak powszechnie znany, że nie

przyszło mi to do głowy. Sam Sanin przyznał się publicznie do błędu, a poza tym to było dawno temu.

- Posłuchajcie, Jolkin, nie zaprzeczacie, że dobrze znaliście Sanina. Jesteście uświadomionym członkiem partii. Powinniście wiedzieć, że wrogowie partii, zarówno lewicowi, jak i prawicowi, ukrywają swoje prawdziwe oblicze. Czy okazaliście bolszewicką czujność? Czy poinformowaliście partię, o czym mówił Sanin?

- Nigdy nie mówił nic takiego w mojej obecności. Nie mam nic do dodania.

- Dobrze, a czy znaliście Ponomierowa? - Inny członek komisji przechodzi teraz do ofensywy.

- Tak, znałem go. On też podpisał trockistowską platformę.

- A czy poinformowaliście o tym komisję weryfikacyjną?

- Nie, z tego samego powodu, co w przypadku Sanina.

- Innymi słowy, nie tylko przyjaźniliście się z trockistami, ale ukrywaliście ich brudną robotę przed partią.

- Po pierwsze, oni nie byli moimi przyjaciółmi, tylko kolegami, tak samo jak inni nauczyciele. Po drugie, żaden z nich nie ukrywał swojej przeszłości.

- Najwyraźniej, towarzyszu Jolkin, nie zdajecie sobie sprawy, że partia walczy z odchyleniami. Traktujecie tę walkę dosyć lekko, prawda? Co z tego, że wasi przyjaciele są zamaskowanymi trockistami. To was nie dotyczy. Jak możemy wam ufać?

- Nie rozumiem istoty swojej winy - mówi Jolkin stanowczym głosem.

- Tym gorzej dla was - oświadcza Galembo.

Przesłuchanie przyjmuje zły obrót dla Piotra. Kilku ludzi, wyczuwając, skąd wieje wiatr, próbuje pogrążyć naukowca. Jeden z nich, zawstydzony nagle własną nieuczciwością, przerywa w środku zdania, jąka się, potem wybuchą:

- Ale opowiadam bzdury. Towarzysz Jolkin to wspaniały towarzysz i wielki człowiek.

Widownia milknie, jakby sparaliżowana tym śmiałym aktem. Członkowie komisji potrzebują kolejnych pięciu minut popisów retorycznych, żeby wprawić się w odpowiedni stan oburzenia. Jolkin traci swoją legitymację, ku zaskoczeniu niemal wszystkich.

Później dowiedziałem się, że rodzina Jolkina była zdruzgotana wykluczeniem. Na domiar złego jego siostra, która studiowała w innym instytucie, została relegowana tylko dlatego, że jej brat popadł w niełaskę. Poświęcenie ich ojca na nic się nie zdało, a dwojgu dobrze się zapowiadającym młodym ludziom złamano życie. Jednak po kilku miesiącach starań, dzięki wstawiennictwu wielu wpływowych towarzyszy, będących pod wrażeniem nieprzeciętnych zdolności Jolkina, przyjęto go z powrotem do partii. Automatycznie jego siostra też została

zrehabilitowana.

Tymczasem posiedzenie trwa nadal. Czterech czy pięciu towarzyszy przechodzi weryfikację bez problemów. Potem na podium wzywają młodą studentkę, którą wszyscy znamy i podziwiamy za inteligencję i oddanie. Jest to brunetka o płomiennych oczach i dźwięcznym głosem: jedna z tych kobiet, które trudno nazwać pięknymi, a mimo to są atrakcyjne. Mówi, że jest córką cieśli; że jako kilkunastoletnia dziewczyna podjęła pracę w fabryce, później uczyła się w szkole wieczorowej, a w końcu przyjęto ją do instytutu na studia inżynierskie.

- Towarzyszko Granik - pyta przewodniczący - czy jesteście zamężna?

- Tak.

- Od dawna?

- Od pięciu lat.

- A kim jest wasz mąż?

- Był robotnikiem. Poznałam go w fabryce. Później był brygadziwą w hucie.

- Czy należy do partii?

- Już nie. Ale wcześniej należał.

Widownia znowu czuje krew. Ci, którzy wyszli na papierosa, wracają na swoje miejsca. Wszyscy słuchają z uwagą.

- Dlaczego odszedł z partii? A może został wykluczony?

- Mój mąż został wykluczony - mówi Granik spokojnym głosem - za przynależność do Opozycji Robotniczej.

- I rozwiedliście się z nim wtedy?

- Nie.

- Gdzie jest teraz wasz mąż?

- Został aresztowany. Jest w więzieniu GPU.

Atmosfera na sali robi się napięta. To prawdziwy dramat: partyjna żona, której mąż jest opozycjonistą, występuje często w radzieckich sztukach teatralnych, gdzie, z pomocą autora, zawsze stawia partię ponad miłością.

- Czy to pierwsze aresztowanie waszego męża?

- Nie, drugie.

- I wciąż się z nim nie rozwiedliście!

- Nie.

- Odwiedzacie go w więzieniu?

- Tak, odwiedzam go co tydzień.

- Dlaczego?

- Dlaczego? Przynoszę mu jedzenie, pranie, papierosy.

- Czy jest ktoś inny, kto mógłby to robić?

- Chyba tak - on mamatkę i siostrę.

- Zatem powiedzcie nam, dlaczego odwiedzacie go w więzieniu.

Jesteście członkiem partii, prawda? A mimo to bez żadnych skrupułów pomagacie człowiekowi, który jest wrogiem partii.

- Jest moim mężem.

- Och! Jest waszym mężem! Czy bezpieczeństwo partii nie jest przypadkiem ważniejsze od ciasnych względów osobistych?

- Nie zgadzam się z nim politycznie. Próbuję się z nim spierać i udowadniać mu, że się myli. Za każdym razem, kiedy go odwiedzam, spieramy się, prawie kłócimy.

- Och, więc chodźcie do więzienia, żeby agitować?

Ironia Galemby rozładowuje napięcie. Tu i tam ludzie się śmieją. Padają okrzyki:

- Dosyć! Wykluczyć ją!

- Przepraszam, towarzyszu przewodniczący - dziewczyna podnosi głos. - To jest weryfikacja partyjna czy cyrk? Proszę, żebyście przedstawili mi zarzuty polityczne i nie robili z mojego życia osobistego pośmiewiska dla widowni.

- Bardzo dobrze, więc może wyjaśnicie nam, dlaczego co tydzień składacie wizyty wrogowi klasowemu i przeciwnikowi partii.

- Powiedziałam już. Jest nie tylko moim mężem, ale również człowiekiem. Byłoby to nielojalne i tchórzliwe, gdybym się z nim rozwiodła, kiedy znalazł się w kłopotach. Potępiam jego poglądy. Ale pracowaliśmy razem, studiowaliśmy razem, żyliśmy razem. Darzymy się nawzajem uczuciami. Po prostu kochamy się!

To wyznanie wywołuje głośny śmiech. Rzekoma komunistka zakochana w więźniu GPU!

- Krótko mówiąc - podsumowuje Galembo - jako członek partii nie przyznajecie się nawet do błędu, jakim jest utrzymywanie kontaktów z wrogiem ludu. Myślę, że sprawa jest jasna. Obywatelka Granik nie zasługuje na to, by pozostawać w szeregach partii. Nie pozwolimy jej lekceważyć interesów naszego kraju.

Rozlegają się oklaski. Padają okrzyki:

- Racja! Precz z nią!

Mimo to fala współczucia zalewa zebranych, kiedy dziewczyna, z wysoko podniesioną głową, choć wargi jej drżą, schodzi z podium i idzie środkiem sali w stronę drzwi. Student siedzący obok mnie szepcze mi do ucha:

- Nie jestem za Granik. Ale w końcu to sprawa osobista i nie powinna być załatwiana w taki sposób.

Zachowuję milczenie. Skąd mogę wiedzieć, czy mój sąsiad mówi szczerze, czy też przyświeca mu inny motyw, czy nie chce mnie sprowokować do jakichś nieostrożnych komentarzy?

Kiedy wywołują nazwisko Sierioży Cwietkowa, serce zaczyna mi walić. Z pewnością będzie mówił o swoich doświadczeniach na wsi. Może wspomnieć o mnie. Wiem, że łatwo ulega emocjom, i boję się o jego bezpieczeństwo i o swoje.

Na podium, kiedy wszystkie oczy kierują się na niego, Sierioża wydaje się bardzo młody i bezradny. Jego młodość wydaje się niemal afromentem w tej ponurej scenerii. Ale opowiada swoją historię składnie. Wciąż patrzy w stronę końca sali; podążam za jego spojrzeniem i widzę jego ojca uśmiechającego się zachęcająco. Kiedy zaczyna mówić o swojej pracy na wsi, przewodniczący przerywa mu.

- Towarzyszu Cwietkow, czy wasz ojciec jest członkiem partii?

- Tak, i przeszedł już pomyślnie weryfikację.

- Powiedzcie nam, co czuliście podczas kolektywizacji na wsi?

Widzę, że Sierioża blednie. Patrzy w moją stronę i mówi:

- Wykonałem zadanie powierzone mi przez Komitet Rejonowy, ale przyznaję, że moja reakcja na pewne zjawiska na wsi była negatywna.

- Mamy dowody - ciągnie Galembo - że nie byliście dostatecznie stanowczy i że w wielu przypadkach okazaliście chwiejność. Co na to odpowiecie?

Czuję, że Cwietkow się pograży, jeśli nie uzyska wsparcia. Trzeba mu dać szansę na pozbieranie myśli. Pod wpływem impulsu wstaję i proszę o głos.

- Co chcecie dodać? - pyta przewodniczący.

- Domagam się, abyście ujawnili nazwisko człowieka, który przedstawił tego towarzysza w niekorzystnym świetle.

- Jest z prokuratury.

- Wszystko jedno, jego nazwisko jest ważne. Byłem na wsi razem z towarzyszem Cwietkowem i znam fakty.

- No cóż - zgadza się przewodniczący - jego nazwisko brzmi Arszynow.

- Tak myślałem - mówię z nutą triumfu, która dodaje Sierioży śmiałości. Przerwa pomogła mu się uspokoić. Sam dźwięk nazwiska Arszynow zdaje się rozpalać na nowo jego gniew i przywracać mu pewność siebie.

- Arszynow! - mówi. - Mogę was zapewnić, że jego oświadczenie jest nieprawdziwe i bezwartościowe. Jest podyktowane względami osobistymi. On tak się boi, że opowiem o nim to, co wiem, że zabezpiecza się, denuncjując mnie. To był mój pierwszy wyjazd na wieś. Oczywiście nie miałem doświadczenia i mogłem nie radzić sobie w pracy. Ale Arszynow posługiwał się metodami, które były haniebne - metodami, które partia odrzuciła i potępiła. Po powrocie zameldowałem

o jego zachowaniu Komitetowi Obwodowemu. To nie ja jestem winien, lecz właśnie Arszynow.

- Ale czy nie jest prawdą, że Arszynow osiągnął doskonałe wyniki w zbiorce zboża tam, gdzie wam się nie udało?

- Tak, to prawda, w kilku przypadkach. Ale z tego nie wynika, że powinienem naruszyć dyrektywy partyjne i zachowywać się tak jak on.

- Dobrze, kto chce zabrać głos?

Wstałem i przewodniczący dał mi znak, żebym mówił.

- Pracowałem z towarzyszem Cwietkowem i towarzyszem Arszynowem w Podgorodnoj. Opowiem o tym szczegółowo, kiedy przyjdzie moja kolej. Ale teraz chcę powiedzieć, że uważam towarzysza Cwietkova za uczciwego, oddanego i rzetelnego komunistę. Jest przyzwoitym człowiekiem, chociaż nie ma wielkiego doświadczenia. Nie róbmy z niego ofiary metod Arszynowa - gdyby tu był, starłbym go na proch. Jeśli mi pozwolicie, powiem wam coś o „osiągnięciach” Arszynowa.

- Posłuchajmy! Niech mówi! - rozlegają się głosy, ale przewodniczący jest wyraźnie zaniepokojony. Nie chce, abym opowiadał o okropnościach na wsi.

- Towarzysze, sprawdzamy przeszłość Cwietkova, nie Arszynowa. Towarzysz przy głosie może opowiedzieć swoją historię prywatnie komisji.

Wchodzę na podium i ściszym głosem relacjonuję niektóre poczynania Arszynowa. Członkowie komisji robią notatki. Nigdy się nie dowiem, czy odgrywają przedstawienie na użytek widowni, czy naprawdę nie znają faktów. Opisałem wszystko szczegółowo, ale jest możliwe, że Arszynow miał dostatecznie potężnych przyjaciół, by moje raporty nie trafiły w ręce komisji weryfikacyjnej.

Moje wystąpienie w obronie Sierioży ośmiela innych. Trzej mężczyźni i dwie kobiety wypowiadają się na jego korzyść. Dostaje swoją legitymację z powrotem. Z podium idzie prosto do miejsca, gdzie siedzę. Z wdzięcznością ściska mi dłoń, w oczach ma łzy. Potem podchodzi do ojca, który bierze go w objęcia.

Mam nadzieję, że zostanę wezwany zaraz po Cwietkowie. Mógłbym skorzystać na dobrym wrażeniu, jakie wywarł. Ale komisja wyczytuje nazwisko towarzysza Grinczenki, wykładowcy marksizmu-leninizmu, a zatem, w jakimś sensie, „duchowego” i ideologicznego przewodnika instytutu. Jeśli jest w instytucie ktoś, kto stoi *ipso facto* ponad wszelką krytyką, to właśnie ten wysoki mężczyzna o pospolitym wyglądzie. Uważamy go za dosyć nudnego nauczyciela, ale podziwiamy jako człowieka.

Grinczenko wyklada po ukraińsku, który jest jego językiem ojczystym,

choć dawne ekscesy językowe zostały potępione jako „nacjonalistyczne odchylenie”. Jest fanatycznym komunistą, o którym studenci mówią: „Grinczenko – cóż, każdej nocy chodzi do łóżka z Marksem”. Ponieważ niewiele o nim wiemy, słuchamy jego spowiedzi z wyjątkową uwagą.

Mówi, że pochodzi z biednej rodziny chłopskiej i aż do rewolucji pracował jako stajenny w bogatym majątku. Miał dziewiętnaście lat, kiedy upadł carat, a on natychmiast przyłączył się do bolszewików. Uzyskał rangę dowódcy kompanii w Armii Czerwonej i był kilkakrotnie ranny na polu bitwy. Po wojnie domowej uczęszczał do specjalnego instytutu teorii komunistycznej, a teraz wyklada leninizm. Jest to rzeczywiście nieskazitelny radziecki życiorys.

- Muszę jednak wyznać przed komisją i zebranymi towarzyszami – kończy – swoje błędy w kwestii odchylenia nacjonalistycznego. Poszedłem za Skrypnikiem i innymi, którzy wypaczyli generalną linię na tym odcinku. To część mojej gorzkiej przeszłości, której żałuję i która jest całkowicie zapomniana.

- A zatem wszystko zostało zapomniane? – przerywa przewodniczący nader złowieszczo. Znowu wszyscy nadstawiają uszu. – Ale wciąż widujecie się z pewnymi ludźmi... na przykład... – i wymienia trzy czy cztery nazwiska.

- Tak, mogłem się na nich natknąć tu i tam. Trudno tego uniknąć. Oni byli ukraińskimi nacjonalistami, a ja nie jestem z nimi w dobrych stosunkach.

- Czy kiedykolwiek korespondowaliście z nimi?

- Nie.

- Kiedy partia wybaczyła wam wspaniałomyślnie wasz grzech, czy spotykaliście się z tymi ludźmi?

- Nie. Choć, jeśli dobrze pamiętam, raz spotkałem wspólnego znajomego tych ludzi. Nie rozmawialiśmy o polityce.

- Czy wiecie, gdzie są teraz ci nacjonaści?

- Dostałem informację, że kilku z nich zostało aresztowanych. Nie wiem którzy.

- Kto wam dostarczył tę informację?

- Wspólny znajomy, którego przypadkowo spotkałem.

- Powiedzieliście, że nie rozmawialiście z nim o polityce. Jak to się stało, że udzielił wam informacji o aresztowaniach?

- No cóż, może użyłem złego słowa. Nie informacja – po prostu zdawkowa uwaga.

- Jesteście naiwni, towarzyszu Grinczenko, jeśli wam się zdaje, że możecie nam sypać piaskiem w oczy. Wiemy, na przykład, że kiedy dowiedzieliście się o ich aresztowaniu, byliście oburzeni.

- Przykro mi, ale ktoś musiał o mnie nakłamać.

- Wręcz przeciwnie. Mamy potwierdzenie z wielu źródeł, że wciąż jesteście najpierw Ukraińcem, a dopiero potem leninowcem. Mamy oświadczenia dwóch waszych najbliższych towarzyszy - i przewodniczący znowu wymienia nazwiska.

Grinczenko wydaje się wstrząśnięty. Jest dla nas oczywiste, że ci ludzie nie przebywają już na wolności.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego mieliby mówić o mnie takie rzeczy - mamrocze Grinczenko. - Tak, to byli moi najlepsi przyjaciele.

- I przypuszczam, Grinczenko - dodaje członek komisji - że nigdy nie wypowiedzieliście się przeciwko kolektywizacji?

- Nie. Może wypowiadałam się przeciwko niektórym nadużyciom, ale nigdy nie kwestionowałam decyzji partii.

- Wystarczy. Posłuchajmy towarzyszy z sali.

Wykładowcy marksizmu-leninizmu wstają po kolei, by zaatakować kolegę. Wygłaszają przemówienia o wewnętrznej sprzeczności pomiędzy nacjonalizmem a marksizmem. Ogarnięci paniką, szukają w pamięci oskarżeń przeciwko człowiekowi na podium i rzeczywiście wygrzebują strzępki na wpół zapomnianych rozmów. Nie podają dat, toteż nawet nacjonalistyczne sympatie Grinczenki w okresie, kiedy były obowiązkowe, służą teraz jako gwoździe do jego politycznej trumny.

I w ten sposób również Grinczenko, fanatyczny leninowiec z piękną przeszłością, trafia pomiędzy odrzuconych i zhańbionych. Jego kariera jest skończona.

Wciąż się zastanawiam, co się z nim stanie, kiedy słyszę swoje nazwisko i biegnę na podium. Opowiadam historię swojego życia - w komunie wiejskiej, w donieckich kopalniach, w fabryce, na perskiej granicy, znowu w fabryce i wreszcie w instytucie. Czuję, że jest to imponująca biografia. Moje „pochodzenie” jest zdecydowanie proletariackie, moja działalność była konsekwentnie komunistyczna. Jakby mimochodem wspominam o inspekcji w Nikopolu i o swojej wizycie u Ordżonikidzego... Wreszcie przystępuję do podsumowania swoich dwóch pobytów służbowych w rejonach rolniczych. Wiedząc, że inni na mnie donieśli, nie ukrywam, że podjąłem kilka śmiałych decyzji, ale dowodzę, iż wymagała tego sytuacja.

- W jakich okolicznościach zgubiliście swoją legitymację partyjną? Zdajecie sobie sprawę, że to poważne naruszenie regulaminu partyjnego?

- Wiem i jest mi przykro, towarzysze. To było w gorączce żniw. Zastąpiłem kołchoźnika, który nagle zasłabł, i w podnieceniu zgubiłem portfel. Oto zaświadczenie z miejscowego wydziału politycznego.

Komisja ogląda dokument, dołącza go do moich akt i kontynuuje przesłuchanie.

- Mamy dowody, że sprzeciwialiście się energicznym środkom

stosowanym podczas zbiórki zboża i że zdyskredytowaliście pełnomocnego przedstawiciela partii.

- Wręcz przeciwnie, towarzysze. To on zdyskredytował partię. Przypuszczam, że macie na myśli Arszynowa. Opowiedziałem już o jego metodach.

- Dobrze, powiedzmy, że chodzi o Arszynowa.

- W takim razie, towarzyszu przewodniczący, oto kopia mojego raportu dla Komitetu Rejonowego i dla „Prawdy” na jego temat. Przekonacie się, że zhańbił dobre imię komunisty. Robiłem wszystko, co w mojej mocy, aby ochronić dobre imię partii przed jego działaniami i dlatego właśnie próbuje on podkopać moją pozycję. Używał metod fizycznych.

- Jakiego rodzaju „metod fizycznych”? - pyta ktoś z sali.

- Komisja ma już pełną wiedzę o tych faktach - mówi pośpiesznie przewodniczący. Bardzo chce zmienić temat. - Lepiej opowiedzcie nam o własnych metodach podczas żniw w Łoginie.

To najtrudniejsza przeszkoda do pokonania. Ułożyłem sobie w głowie własną wersję. Od kilku dni wiedziałem dokładnie, co powiem. Ale teraz przygotowane zdania zbiły się w jeden kłęb. Nie mogę go rozplątać. Przyznaję, że pozwoliłem na żęcie owsa i jęczmienia, aby ocalić żniwa, że zorganizowałem kolchozowe przedszkole i używałem „stanowczych metod”, aby nakarmić dzieci, uratować ludzi i uratować sytuację.

- Towarzysz Chatajewicz podziękował mi osobiście za żniwa, które zostały ukończone dziesięć dni przed terminem, a tu jest oficjalne zaświadczenie z wydziału politycznego o mojej dobrej pracy. - Wręczam papier. - Co jeszcze mogę powiedzieć?

Przewodniczący jest zakłopotany. Zaopatrzyłem się we wszystkie dokumenty. Jeśli zamierzał wysunąć jakieś zarzuty przeciwko mnie, teraz się waha. Może jeszcze zdołam się uratować. Przybiera inną taktykę, a ja oddycham spokojniej.

- Czym się zajmuje wasz ojciec?

- Pracuje w zakładach im. Pietrowskiego i Lenina razem z moim młodszym bratem, a mój starszy brat jest księgowym w zakładach chemicznych.

- Czy wasz ojciec jest członkiem partii?

- Nie.

- Wasi bracia?

- Nie.

- Za co wasz ojciec przebywał w więzieniu przed rewolucją?

- Za działalność rewolucyjną - w 1905 roku i później też.

- Do jakiej partii należał?

- Nigdy nie należał do żadnej partii.

- Jesteście pewni?

- Zupełnie pewni, towarzyszu Galembo.
- Dobrze, czy ktoś chce coś powiedzieć?

Trzej towarzysze wstają, żeby mnie zaatakować. Kilku innych, wśród nich Sierioża, chwali mnie. Ale nie ma żadnych fajerwerków. Ludzie wychodzą, żeby zapalić i porozmawiać. Nudny przypadek... Dostaję z powrotem swoją legitymację.

Przed zejściem z podium proszę członków komisji, żeby mi powiedzieli, kto mnie zadenuncjował za moje poczynania w Łoginie. Przeglądają akta. Widocznie ten człowiek nie domagał się, aby zataili jego tożsamość.

- To członek partii, towarzysz Skopin - pada odpowiedź.

- Tak właśnie myślałem - uśmiecham się. A więc przedstawiciel GPU w wydziale politycznym nie wybaczył mi, że nie chciałem z nim rozmawiać!

Otoczają mnie przyjaciele, ściskają mi rękę. Życie stoi przed nami otworem - nadal jesteśmy członkami partii o dobrej opinii.

Na początku 1934 roku towarzysz Łazar Kaganowicz w Moskwie ogłosił, że z partii wydalono 182 500 członków. Ostateczna liczba miała być jeszcze większa, ponieważ w niektórych rejonach czystka jeszcze się nie skończyła. Ponad 200 000 partyjnych karier dobiegło końca. To jednak, jak utrzymywał Kaganowicz, nie oznaczało, że partia została „oczyszczona”, że przekształciła się w prawdziwy „monolit”.

Dowodem na to, że jest inaczej, byłem ja. Chociaż przeszedłem próbę, z pewnością stałem się bardziej sceptyczny, bardziej zdezorientowany niż tysiące mężczyzn i kobiet wyrzuconych na polityczny śmietnik. To samo dotyczyło dziesiątków tysięcy innych. Przywódcy mogli sobie mówić, że „ostatnie resztki odchylenia i opozycji zostały zlikwidowane”. Szeregowi członkowie wiedzieli lepiej.

ROZDZIAŁ XI

Tajemnica Jeleny

Bardzo wiele twarzy, z kadry naukowej i spośród studentów, zniknęło z instytutu po czystce. Ci, którzy pozostali, pracowali jednak ze swobodniejszym umysłem i większym zapałem, ponieważ palce strachu nie zaciskały się już na ich gardłach. Byłem na ostatnim roku studiów. Już w ramach praktyk poświęcałem większość swojego czasu na rozwiązywanie problemów inżynierskich w zakładach. Po ukończeniu instytutu mogłem się ubiegać o odpowiedzialne stanowisko w rozwijającym się przemyśle metalurgicznym.

Niedługo po zakończeniu czystki poznałem Jelenę. Dzięki alchemii miłości dramat jej osobistych cierpień stał się integralną częścią moich doświadczeń: należy do prywatnej historii mojego życia. W istocie niewiele rzeczy, które przydarzyły się bezpośrednio mnie, wpłynęło tak silnie na moje nastawienie do władzy radzieckiej jak to, co spotkało Jelenę.

Często zastanawiałem się nad rolą przypadku w spełnieniu ludzkiego przeznaczenia. Po przeprowadzce do Dniepropietrowska Jelena otrzymała mieszkanie w mojej dzielnicy. Do pracy wychodziła rano, o tej samej porze, kiedy ja szedłem do instytutu. Czasami jechaliśmy tym samym tramwajem. Po raz pierwszy zwróciłem na nią uwagę, kiedy podczas śnieżycy, wraz z kilkoma skulonymi mężczyznami i kobietami, czekaliśmy na przystanku.

To był przypadek. Drugie i trzecie takie spotkanie w następnych tygodniach też było przypadkowe. Później zacząłem wypatrywać wysokiej brunetki, a w końcu zacząłem na nią czekać. Przepuszczałem wiele tramwajów i byłem irracjonalnie zirytowany, ilekroć się spóźniała. Kiedy kątem oka dostrzegałem jej zbliżającą się gibką postać, serce biło mi szybciej. Podejrzywałem – całkiem słusznie, jak się okazało – że jest świadoma mojego zainteresowania i niezupełnie obojętna. Później śmialiśmy się często z tych milczących zalotów na przystanku tramwajowym.

Kiedy wreszcie zostałem jej przedstawiony – znowu przez przypadek – poczuliśmy się tak, jakbyśmy się znali od dawna. Był późny wieczór. Wracałem z długiego posiedzenia w Komitecie Rejonowym. Sala była zadymiona, a dyskusja nudna. Dobrze było znaleźć się na dworze,

odetchnąć świeżym powietrzem i poczuć na skórze szczypiący mróz. Idąc samotnie, nagle usłyszałem, że ktoś woła mnie po imieniu. Ledwo zauważyłem dwie kobiety, które mnie właśnie minęły.

Odwróciłem się i rozpoznałem lekarkę, która mnie leczyła, kiedy leżałem w szpitalu po wypadku nad perską granicą. Towarzyszyła jej piękna nieznajoma.

- Wiktorze Andriejewiczu - przywitała mnie serdecznie lekarka - jak się macie? Cieszę się, że was widzę. Czytałam wasze artykuły w gazetach i słyszałam od wspólnych znajomych, że świetnie sobie radzicie. Ale proszę mi wybaczyć, chcę wam przedstawić moją młodą przyjaciółkę, Jelenę Pietrownę.

Była dosyć zaskoczona naszym zakłopotaniem i zapałem, z jakim Jelena i ja uścisnęliśmy sobie ręce. Skąd mogła wiedzieć, że od prawie miesiąca marzyliśmy o takim spotkaniu, które zniweluje dystans między nami. Jej zdumienie z pewnością jeszcze się pogłębiło, kiedy znaleźliśmy pretekst, żeby odprowadzić ją do tramwaju i odejść razem. Ponieważ mieszkaliśmy w tej samej dzielnicy, pretekst znalazł się bez trudu.

Głównymi składnikami wyjątkowej urody Jeleny były wdzięk i elegancja. Miała piękną twarz. Ale malarzowi nie przyszłoby do głowy uwiecznić na płótnie samą twarz. Chciałby namalować całą jej postać. Tego wieczoru miała na sobie czarne futro i jaskrawą spódnicę w stylu kaukaskim. Biała futrzana czapka, osadzona na czarnych włosach pod prowokacyjnym kątem, podkreślała jej smukłą figurę. Kilka płatków śniegu połyskiwało na jej brwiach jak klejnoty.

Spacerowaliśmy prawie godzinę, rozmawiając o sobie, o świecie i znowu o sobie. Ona też wyszła właśnie z jakiegoś nudnego posiedzenia, a mróz i kryształowe powietrze podziały na nią pobudzająco. Jest to jej pierwsza wizyta w Dniepropietrowsku, powiedziała, ale pracuje jako architekt w państwowym biurze planowania i najprawdopodobniej zostanie tu przez dłuższy czas. Mniej więcej cztery lata temu ukończyła architekturę w Instytucie Sztuki w Charkowie.

- Tak się cieszę, że cię poznałem - powiedziałem w pewnym momencie. - Mam poczucie, że to spotkanie rozkwitnie w prawdziwą przyjaźń.

- Ja też - odparła ze śmiechem - ale szczerze mówiąc, dla twojego dobra, mam nadzieję, że nie. Jeśli masz choć odrobinę zdrowego rozsądku, Wiktorze Andriejewiczu, postarasz się, żeby to pierwsze spotkanie było ostatnim.

Chociaż się śmiała, jej słowa mnie zaniepokoiły. Od razu nabrałem podejrzeń, że są bardziej poważne, niż wskazywało na to jej zachowanie, że nawiązują do jakiejś tragedii osobistej. W jej uśmiechu nie było cienia radości, a w jej oczach kryła się dziwna melancholia, która klóciła się z jej urodą i podkreślała jej efekt.

- Zaryzykuję - powiedziałem.
- Pamiętaj, że cię ostrzegałam.
- Dobrze, będę pamiętał. Ale w zamian musisz opowiedzieć mi więcej o sobie. Na przykład...

- Nie pytaj - przerwała. - Tak, jestem zamężna. Mój mąż jest dobrym człowiekiem, ale nieszczęśliwym. Mieszkamy pod jednym dachem, a ja troszczę się o niego jak siostra. Ale poza tym jesteśmy mężem i żoną jedynie z nazwy. Nie kocham go... w ten sposób... Cieszę się, że cię poznałam. Byłam samotna.

- Samotna? Ty? Z domem, pracą, twoją urodą...

- Och, znam wielu ludzi, może zbyt wielu. Ale zazdroszczę ci, ponieważ ty masz prawdziwy dom, matkę. Mój ojciec nie żyje, a matka mieszka w Kijowie. Z różnych względów cieszę się z tego - dzisiaj są rzeczy, których nie można powiedzieć nawet matce. Zazdroszczę ci też twoich złudzeń, bo widzę, że jesteś oddanym komunistą.

- Można być oddanym, nawet jeśli się utraci część złudzeń - odparłem. - Ale zostawmy politykę. Opowiedz mi więcej o swoim mężu...

- Proszę, nie pytaj mnie o to. Jeśli naprawdę chcesz się ze mną widywać, stawiam jeden warunek: będziesz się zachowywał tak, jakby on nie istniał. W jakimś sensie nie istnieje. Ale muszę powtórzyć swoje ostrzeżenie. Ty jesteś pełen nadziei i wiary. Ja ich nie mam. Wlokę się z tyłu, podczas gdy ty maszerujesz na czele pochodu. Będziesz maszerował lepiej, jeśli będziesz sam.

- Nie przyjmuję twojego ostrzeżenia. Bez względu na cenę, zamierzam cię często widywać. - Przyjąłem lekki ton. - Nigdy nie będę żałował, że cię poznałem, nawet gdyby spadły na mnie wszystkie plagi piekła.

- Powiedziałeś „plagi piekła”? - uśmiechnęła się smutno. - Nie wiem nic o plagach piekła, ale wiem bardzo dużo o plagach naszego dzisiejszego życia. Są gorsze, znacznie gorsze, ponieważ spadają na ludzi za życia, nie po śmierci.

Kiedy odprowadziłem ją do drzwi, umówiliśmy się na następne spotkanie w parku w najbliższą sobotę wieczorem. Na ten wieczór kupiłem bilety na koncert galowy, na którym mieli występować znani artyści Moskiewskiego Baletu, Wiktorina Krieger i Władimir Gołubin. Czekanie na sobotę było torturą, lecz mimo to unikałem spotykania się z Jeleną na przystanku tramwajowym. Cieszyłem się, kiedy nadchodziła pora udania się na spoczynek, ponieważ przybliżała dzień naszego spotkania.

Kiedy się spotkaliśmy, po uścisku jej dłoni i rumieńcu na policzkach zorientowałem się, że Jelena też niecierpliwie czekała na tę chwilę. Spacerowaliśmy, rozmawialiśmy, potem poszliśmy do opery. Jelena wydawała się podekscytowana jak dziecko na wakacjach.

- Kiedy jestem z tobą, zapominam o wszystkich swoich kłopotach - szepnęła podczas występu Gołubina.

Krieger, choć już niemłoda, wciąż tańczyła bosko i była uwielbiana w całej Rosji. Tego wieczoru odegrała sceny ze swojej słynnej roli w *Jeziorze łabędzim* i zebrała burzliwe oklaski. Potem śpiewak rozpoczął arię: „Daj mi, och, daj mi wolność. Będę wiedział, jak pomścić swoją hańbę. Ocalę honor i sławę...”. Poczujęm, jak Jelena ściska moją rękę aż do bólu.

- Posłuchaj, Wiktorze Andriejewiczu, te słowa mają dla mnie głębokie znaczenie, a także dla wielu innych ludzi - szepnęła niskim, napiętym głosem.

Później otyła kobieta zaśpiewała arię Lizy z *Damy pikowej*. Czułem, że Jelena już się nie cieszy koncertem. Wierciła się i wzdychała. Kiedy śpiewaczka doszła do słów: „Nadciągnęła chmura, przyniosła grzmot i zniszczyła naszą nadzieję i szczęście...”, Jelena nagle wstała i pociągnęła mnie za sobą.

- Chodźmy, Wiktorze Andriejewiczu, proszę - powiedziała. - Proszę! Nie mogę tego dłużej słuchać.

Na mroźnym powietrzu uspokoiła się. Nie zadawałem żadnych pytań. Bez względu na to, jaka smutna tajemnica osnuwała jej życie, postanowiłem jej nie zgłębiać.

- Chodźmy do jakiejś restauracji - powiedziałem. - Posłuchajmy wesołej muzyki.

- Dobrze, ale pod jednym warunkiem: płacę za siebie. Ty jesteś studentem, ja pracuję. Nie ma powodu, żebyś ty płacił.

W następnych miesiącach spotykaliśmy się przynajmniej raz w tygodniu, a zwykle częściej. Zima zamieniła się w wiosnę. Przedstawiłem Jelenę matce - obie kobiety pokochały się od pierwszego wejrzenia. Później spotykały się często, nawet kiedy mnie nie było.

- To wspaniała kobieta - powiedziała mi matka - i jest w tobie bardzo zakochana. Wiem, co do niej czujesz. Ale w jej życiu jest coś, co ciąży jej na duszy.

- Wiem, mam, i nie mam pojęcia, dlaczego jest nieszczęśliwa. Przekonałem się, że rozmowa na ten temat tylko ją rani, więc nie zadaję pytań.

- Masz rację, Witiu. Jest dobrym człowiekiem i powinieneś jej ufać. Niezależnie od tego, co gnębi Jelenę, na pewno nie przynosi jej to ujmy. Jest osobą, która nie potrafiłaby nikogo skrzywdzić - najwyżej siebie.

Pewnego wieczoru Jelena została po kolacji. Czytaliśmy razem i słuchaliśmy radia. Oboje wiedzieliśmy, bez słów, że nie wróci do domu.

- To nasza noc poślubna, Wiktorze. Kocham cię całym sercem i duszą - powiedziała Jelena. - Proszę, uwierz mi, jesteś pierwszym i jedynym mężczyzną w moim życiu, odkąd przestałam kochać swojego męża.

Mijały miesiące. Jelena często gościła u nas i stała się właściwie członkiem rodziny. Moi rodzice, moi bracia, wszyscy ją uwielbiali. Otaczała ją czarodziejska aura, która udzielała swojego blasku całemu naszemu domowi. Mimo to niemal bez przerwy gnębiła mnie świadomość, że ważna część jej życia jest przede mną zamknięta. Czasem miałem wrażenie, że żyje w stanie ciągłego niepokoju, jakby jej istnienie było domem chwiejącym się niebezpiecznie na skraju przepaści.

Potem nadszedł dzień, kiedy moje obawy znalazły potwierdzenie. Chociaż później tłumaczyłem swoje podejrzenia troską o jej dobro, w większej części były one wytworem zwykłej męskiej zazdrości.

Pewnego popołudnia po wykładach poszedłem z kilkoma kolegami na mecz piłkarski na miejskim stadionie. W przerwie pobiegliśmy do bufetu po piwo. Jak zwykle była tam długa kolejka. Kiedy tak stałem, patrząc obojętnie przez drzwi do sąsiedniej restauracji, zobaczyłem Jelenę, elegancko ubraną, w towarzystwie dwóch mężczyzn, którzy z całą pewnością byli cudzoziemcami. Wszyscy troje pili wino, rozmawiając wesoło, a mężczyźni, jak mi się zdawało, patrzyli na Jelenę śmiało, pożądliwie.

Chociaż dotrwałem do końca meczu, nie widziałem gry. Co robiła Jelena w towarzystwie cudzoziemców? Po meczu zobaczyłem, jak odchodzi razem z nimi. Odjechali wielkim zagranicznym samochodem. Przez resztę dnia snułem się jak błędny, a tej nocy nie spałem.

Następnego dnia Jelena przyszła do nas na kolację, tak jak się umówiliśmy. Obserwowałem ją podczas posiłku, ale nie zauważyłem w niej żadnej zmiany. Czy to spotkanie z cudzoziemcami - niebezpieczna sprawa w naszym kraju - było czymś tak zwyczajnym, że w ogóle się tym nie przejęła? Kiedy zostaliśmy sami, napomknąłem mimochodem, że poprzedniego dnia byłem na meczu.

- Kierownik mojego biura poprosił mnie, żebym poszła z kilkoma gośćmi - powiedziała. - Byli strasznie nudni.

Nie wspomniałem ani słowem, że ją tam widziałem. Kiedy wyszła z mojego pokoju do kuchni, zauważyłem, że jej torebka jest otwarta i są w niej jakieś papiery. Wciąż trawiony wątpliwościami i zazdrością, przejrzałem je pospiesznie. Jedna kartka była po niemiecku. Chociaż nie znałem tego języka, zorientowałem się, że tekst dotyczy spraw technicznych, z odniesieniami do pomiarów i maszyn. Druga kartka była po rosyjsku. Zaczynała się tak: „W związku z dołączonym do raportu materiałem chcę stwierdzić...”. W tym momencie usłyszałem kroki Jeleny i szybko odłożyłem papiery.

Nie miałem wątpliwości, że te papiery są w jakiś sposób związane

z dwoma cudzoziemcami i że cały epizod stanowi klucz do tajemnicy jej życia. Kiedy rozstawaliśmy się tej nocy, spytałem, kiedy się znowu spotkamy.

- W piątek wieczorem - powiedziała.

- Niestety, w ten piątek znowu mam wykład. Umówmy się na czwartek.

- Przykro mi, kochanie, ale w czwartek będę zajęta pewną pilną sprawą.

Ponieważ na skutek swoich podejrzeń stałem się bardzo wyczulony, uświadomiłem sobie nagle coś, co mi do tej pory umykało: że od kilku miesięcy Jelena zawsze była zbyt zajęta, żeby spotkać się ze mną w czwartek. Postanowiłem śledzić ją w ten czwartek i dowiedzieć się tyle, ile zdołam.

Czwartkowy wieczór był ciemny i deszczowy, co ułatwiło mi zadanie. Spostrzegłszy, że Jelena wsiada do tramwaju, wskoczyłem do drugiego wagonu. Kiedy wysiadła w pobliżu centrum miasta, ruszyłem za nią w pewnej odległości po drugiej stronie ulicy. Zobaczyłem, jak podchodzi do wielkiej prywatnej posesji. Nacisnęła dzwonek. Otworzył umundurowany mężczyzna, wpuścił ją, rozejrzał się ostrożnie, potem zamknął drzwi.

Ukryty w bramie, skąd miałem dobry widok, obserwowałem dom przez prawie dwie godziny. Widziałem wchodzących i wychodzących ludzi. Z okien sąsiednich domów i z drzwi, kiedy się otwierały, padało dosyć światła, żebym mógł widzieć ich twarze. Za każdym razem, kiedy umundurowany mężczyzna otwierał drzwi, rozglądał się, jakby chciał się upewnić, czy nikt nie patrzy. Większość wchodzących stanowiły kobiety. Kilka z nich rozpoznałem. Jedna służyła w mieście z urody i jako czarująca gospodyni; była żoną wybitnego lekarza, profesora ginekologii. Inna była dobrze znaną śpiewaczką w miejskiej operze. Jeszcze inna inżynierem, widywałem ją często na różnych konferencjach. Rozpoznałem też kilka innych, które często pojawiały się w teatrze i na imprezach sportowych - należały do śmietanki towarzyskiej Dniepropietrowska.

Wreszcie Jelena wyszła w towarzystwie dwóch mężczyzn w cywilnych płaszczach. Gdy jeden z nich rozchylił płaszcz, aby wyjąć papierosy z wewnętrznej kieszeni, zobaczyłem, że jest w mundurze. Był to niewątpliwie mundur GPU. Wiedziałem już to, co chciałem wiedzieć. Stało się dla mnie jasne, że Jelena należy do legionu szpiegów działających we wszystkich warstwach radzieckiego społeczeństwa!

W głowie miałem zamęt. Przewracając się na łóżku tej nocy, próbowałem uporządkować myśli. Teoretycznie, jako komunista, nie mogłem potępiać metod pracy GPU. Nie było dla mnie żadną nowiną, że tysiące osób, zaangażowanych na pozór w inną działalność,

w rzeczywistości zajmuje się szpiegowaniem. Mimo to odkrycie, że kobieta, którą kocham, jest najprawdopodobniej agentem GPU, wstrząsnęło mną do głębi.

Chociaż spychaliśmy taką wiedzę do odległych zakamarków umysłu, niektórzy z nas, komunistów, doskonale zdawali sobie sprawę, że tysiące niewinnych mężczyzn i kobiet są zamykane w więzieniach i obozach pracy przymusowej. Tłumaczyliśmy to sobie jako działanie „prewencyjne” – albo w ogóle uciekaliśmy od moralnego dylematu, nie chcąc spojrzeć prawdzie w oczy. Czy to możliwe, żeby Jelena, tak mi bliska i droga, była odpowiedzialna za cierpienia i śmierć niewinnych? Im dłużej zmagalem się ze strasznym odkryciem, tym bardziej beznadziejna wydawała mi się moja sytuacja, ponieważ byłem rozdarty pomiędzy miłością a poczuciem zgrozy.

Rankiem wysłałem list do Jeleny. Napisałem, że muszę wyjechać z miasta na tydzień. W obawie, że będzie mnie szukała w domu albo że natknę się na nią w sąsiedztwie, przeprowadziłem się do przyjaciela. W następnny czwartek wieczorem znowu obserwowałem tajemniczy dom ze swojej kryjówki po drugiej stronie ulicy. Znowu zobaczyłem Jelenę i kilka innych osób, głównie kobiet, wchodzących do domu. Sytuacja wydawała mi się jasna. Wszyscy ci ludzie, w tym również żony dobrze znanych dygnitarzy, składali cotygodniowe raporty i prawdopodobnie otrzymywali instrukcje. Spotkania na terenie neutralnym były wygodniejsze i bezpieczniejsze niż wezwanie do siedziby GPU.

Tej nocy wróciłem do domu. Napisałem do Jeleny, że z powodów, których nie jestem w stanie ujawnić, nie mogę się z nią więcej widywać. Wszelkie nasze kontakty są skończone, a ja będę wdzięczny, jeśli pogodzi się z moją decyzją i nie będzie próbowała odnowić naszego związku, który stał się niemożliwy.

Byłem tak załamany tą decyzją, że nie mogłem ani pracować, ani jasno myśleć. Trzymałem się z daleka od instytutu i godzinami spacerowałem po ulicach, szukając nadaremnie ucieczki przed bólem. Pod tym wszystkim, zmieszana z palącym pragnieniem, aby znowu zobaczyć Jelenę, tliła się nieznośna wątpliwość, czy nie potraktowałem jej niesprawiedliwie.

Kilka dni później, kiedy wróciłem z instytutu, matka wręczyła mi list.

– Jelena zostawiła go dla ciebie – powiedziała. – Wyglądała na bardzo nieszczęśliwą. Oczy miała zapuchnięte od płaczu. Nie chcę się wtrącać w twoje prywatne sprawy, Witiu, ale mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Rany zadane przez osoby, które kochamy, są najbardziej bolesne.

List Jeleny był krótki:

Kochany Witiu: błagam Cię, żebyś wyświadczył mi ostatnią przysługę. Spotkaj się ze mną jutro o szóstej wieczorem na dworcu kolejowym. Proszę Cię, żebyś to dla mnie zrobił, zanim rozstaniemy się na zawsze.

Czekałem na nią i w końcu przyszła. Niosła małą walizkę. Cierpienie widoczne na jej twarzy przeszło mi serce jak nóż.

- Pojedziemy nad Samarę - poinformowała mnie. - Zjemy i porozmawiamy na świeżym powietrzu. Mam już bilety.

W pociągu rozmawialiśmy o błahostkach: o moich przygotowaniach do egzaminów końcowych w instytucie, o projekcie budowlanym, nad którym właśnie pracowała. Po przyjeździe na małą stacyjkę ruszyliśmy wiejską drogą, aż dotarliśmy nad brzeg rzeki. Przez jakiś czas oboje unikaliśmy poważnej rozmowy, jakbyśmy celowo odwlekali to, co nas tu sprowadziło. Zbliżał się wieczór i zadudnił odległy grzmot.

- Wykąpmy się, zanim zacznie padać - zaproponowałem.

Zrzuciliśmy ubrania i wskoczyliśmy do rzeki. Po odświeżającej kąpieli ubraliśmy się i rozłożyliśmy jedzenie na serwecie. Jelena zabrała też butelkę wina Napareuli.

- Kiedyś, dawno temu, wypiliśmy za nasze spotkanie. Teraz wypijmy za nasze rozstanie - powiedziała. Oczy zaszyły jej łzami. - Pamiętasz, jak ci powiedziałam, że będzie lepiej, jeśli się więcej nie spotkamy. Teraz cię stracę. Znowu będę sama.

Żadne z nas nie tknęło jedzenia, ale napiliśmy się wina.

- A teraz, Witiu, powiedz mi, co się stało? Dlaczego przestałeś mnie kochać?

- Kocham cię tak samo jak zawsze. Dlatego tu jestem. Przyjechałem tu, ponieważ liczę na twoją szczerłość, Jeleno. Czy możesz mi wyjawić swoją tajemnicę? Nie pozwolę się dłużej wodzić za nos jak bezmyślny chłopiec.

- Co chcesz wiedzieć? Chodzi o mojego męża?

- Nie, chodzi o ciebie. Wiem, dlaczego wychodzisz z cudzoziemcami. Wiem o twoich czwartkowych spotkaniach w domu przy ulicy J... Co jeszcze mam ci powiedzieć?

- O mój Boże! Mój Boże! - zaczęła płakać. - Co ja teraz zrobię? Co ja teraz zrobię?

Niebo przecięła błyskawica. Spadły pierwsze wielkie krople deszczu. Schroniliśmy się w opuszczonej rybackiej chacie. W zapadających ciemnościach, siedząc na stercie pachnącego siana, Jelena opowiedziała mi swoją historię.

- Za bardzo cię kocham, żeby z ciebie rezygnować - powiedziała. - Najdroższy, spróbuj mnie wysłuchać bez uprzedzeń. Opowiem ci coś, czego nie opowiedziałam nikomu innemu, nawet matce, a już na pewno nie mojemu biednemu mężowi. Kiedy wysłuchasz mnie do końca, zdecydujesz, co robić dalej.

Oto, opowiedziana jej słowami, tak jak je zapamiętałem, historia życia Jeleny:

Mieszkaliśmy w Kijowie. Moja matka była nauczycielką, mój ojciec znanym profesorem inżynierii. Pracował w miejscowym truście i dobrze zarabiał. Byłam ich jedyną córką i miałam szczęśliwe dzieciństwo. Niczego mi nie brakowało. Uczyłam się muzyki, języków i dorastałam bez żadnych trosk. Najbardziej lubiłam rysować.

Nasi sąsiedzi mieli syna, Siergieja, który uczęszczał do Instytutu Technologicznego w Charkowie. Przyjeżdżał do domu na lato. Przyjaźniliśmy się. Potem, kiedy podrosłam, przyjaźń rozkwitła w miłość. Miałam zaledwie siedemnaście lat, kiedy mi się oświadczył. Przyjęłam jego oświadczenia i przenieśliśmy się do Charkowa. Tam mogłam zrealizować swoje ambicje, wstępując do Instytutu Sztuki, który ukończyłam w 1930 roku.

Pamiętasz z pewnością, że był to rok, kiedy wielu inżynierów i specjalistów oskarżono o szkodnictwo. Akurat przyjechałam z wizytą do rodziców w Kijowie, kiedy gepiści przyszli aresztować mojego ojca. Przeszukali dom, tnąc nawet ikony, kanapy i materace, ale oczywiście niczego nie znaleźli. Sama myśl, że mój łagodny, oddany nauce ojciec mógł być zamieszany w sabotaż, była nedorzeczna. Obie z matką pocieszałyśmy się więc, że wkrótce zostanie zwolniony.

Oczywiście zostałam w Kijowie, aby pomóc jej przetrwać ciężką próbę. Nasze szczęśliwe życie się skończyło. Nie miałyśmy pojęcia, co mają przeciwko tacie, i nie pozwalano nam go odwiedzać. Co wieczór, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, chodziłyśmy pod bramę więzienia, żeby dostarczać mu paczki z jedzeniem. Całymi godzinami wystawałam w kolejce, na deszczu i śniegu, wraz z setkami innych nieszczęśliwych kobiet. Nachodziłam też biura GPU w płonnej nadziei, że pomogę ojcu.

Raz, kiedy poszłam do GPU, poproszono mnie do gabinetu naczelnika. Zastanawiałam się, po co mnie wezwał. Zastałam mężczyznę w średnim wieku, uprzejmego i ujmującego. Wysłuchał, jak wstawiam się za ojcem. Potem powiedział:

- Teraz ty mnie posłuchaj, Jeleno Pietrowno. Jesteś atrakcyjną kobietą, więcej, jesteś piękna. W dodatku masz kulturę i umiesz się zachować. Te zalety mogą być bardzo użyteczne dla naszego kraju, żeby nie wspomnieć o tobie i twoim ojcu. Pomożemy ci, jeśli ty nam pomożesz. Nie muszę mówić ci więcej, jesteś nie tylko piękna, lecz także inteligentna. Nie krzyw się i nie wzdragaj. To, co ci proponuję, nie jest tak wstrętne jak samo życie. Nie proszę cię, żebyś szła do łóżka z każdym. Mamy i takie kobiety, a niektóre z nich są bardzo szanowanymi damami w naszym mieście.

- Będiesz dla nas bardziej użyteczna jako czysta, nieskazitelna

kobieta. Postaramy się, żebyś się obracała w odpowiednich środowiskach, gdzie możesz usłyszeć mnóstwo rzeczy, które chcemy wiedzieć. Oczywiście dobrze ci zapłacimy i będziemy ochraniać nie tylko ciebie, lecz również twoich najbliższych.

Zaproponował mi papierosa, którego nie przyjąłem. Wtedy wyjął z szuflady pudełko cukierków i zachęcił mnie, żebym się częstowała. Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

- Innymi słowy - powiedziałam wreszcie - chcecie, żebym wydała w wasze ręce kilku ludzi, zapewne przyjaciół i znajomych ojca, i pomogła wam sfabrykować jeszcze kilka sensacyjnych spraw? Jeśli to zrobię, uwolnicie mojego ojca. Czy dobrze zrozumiałam? Tak po prostu, i dorzucicie jeszcze trochę cukierków?

Roześmiał się.

- To zbyt uproszczony obraz.

- No cóż, przykro mi, ale nie mogę się zgodzić.

- Nie spiesz się z decyzją, Jeleno Pietrowno. Mamy mnóstwo czasu. Przemyśl to sobie i wróć tutaj. A na razie, jeśli wspomnisz komuś o tej rozmowie, zamkniemy małego ptaszka do klatki na długo, bardzo długo. Podpisz to, proszę.

Był to formularz zawierający zobowiązanie do zachowania milczenia i wyliczający surowe kary, jakie groziły za naruszenie tego zobowiązania.

Życie upływało w głębokim smutku, Witiu. Ponieważ mogłam zwrócić ojcu wolność, zgadzając się na współpracę, czułam się niemal winna, że wciąż przebywa w więzieniu. Na szczęście wiedziałam, że jest ostatnim człowiekiem na świecie, który by mnie winił, gdyby się o tym dowiedział. Byłam wyczerpana psychicznie i fizycznie. Potem znowu wezwano mnie do gabinetu naczelnika GPU. Tym razem nie był uprzejmy. Nie częstował mnie cukierkami ani papierosami.

Kiedy weszłam, siedział pochylony nad papierami i udawał, że mnie nie dostrzega. Stałam tam, czując się bardzo niezręcznie, gdy nagle usłyszałam straszliwe wrzaski w głębi korytarza. Mimo woli krzyknęłam z przerażenia. Podniósł głowę.

- Och, to znowu ty - powiedział. - Denerwują cię te nieprzyjemne odgłosy? Masz rację, odświeżamy komuś pamięć... Tak, nasza praca jest trudna. Wymaga stalowych nerwów. No i co, przyjmiesz moją propozycję?

- Nie. Nie przyjmę - nie mogę jej przyjąć.

- Czy to ostatnie słowo?

- Tak, ostatnie.

- W takim razie bardzo ci współczuję, i twojemu ojcu też. Wciąż nie tracę nadziei, że zmienisz zdanie. A teraz do widzenia.

Znowu zajął się swoimi papierami. Wyszłam.

Tego wieczoru, kiedy przyszła moja kolej, żeby przekazać paczkę dla ojca na wartowni w pobliżu więziennej bramy, dyżurny czekista powtórzył za mną nazwisko:

- Ładynin? Nie, nie mogę przyjąć paczki.

Zdrętwiałam ze strachu.

- Co się stało? - krzyknęłam. - To mój ojciec. Czy nie żyje? Został zesłany?

- Nic nie wiem. Przechodzić. Następny!

- Ale to stary człowiek. Jest niewinny. Muszę się dowiedzieć, co się z nim stało.

- Odejdź albo każę cię usunąć siłą. Wstrzymujesz kolejkę.

Podeszłam do okienka z tabliczką „Informacja”. Powiedziałam strażnikowi, że chcę się czegoś dowiedzieć o ojcu, i podałam mu nazwisko. Zamknął okienko i widziałam, jak telefonuje. Starłam się usłyszeć, co mówi, ale zrozumiałam tylko jedno słowo - szpital. Znowu otworzył okienko i oznajmił:

- Żadnych informacji. Przykro mi.

Ledwo powłócząc nogami, wróciłam do domu. Aby nie denerwować matki, oddałam paczkę jakiemuś żebrakowi. Następnego dnia spróbowałam odszukać lekarza, który pracował w więziennym szpitalu. Miałam nadzieję, że dowiem się czegoś o ojcu. Zaczęłam od kilku lekarzy, którzy byli przyjaciółmi rodziny. Jeden odsyłał mnie do drugiego. Po kilku godzinach poszukiwań ktoś podał mi nazwisko lekarza, który podobno miał powiązania z kijowskim więzieniem.

Poszłam do niego. Lekarz mnie przyjął, myśląc, że jestem pacjentką. Ale gdy tylko zamknął drzwi gabinetu, rzuciłam się przed nim na kolana i z płaczem wyjaśniłam mu, po co przyszłam. Był dobrym człowiekiem, ale moja opowieść śmiertelnie go przeraziła. Jego praca w szpitalu więziennym jest tajemnicą, powiedział, i nie może mi udzielić żadnych informacji.

- Pamiętaj, moja droga, że mam żonę i dzieci. Nie mogę ryzykować. Naprawdę mi przykro, ale nie mogę nic zrobić, nic. Wyjdź stąd, bardzo cię proszę, i jeśli kochasz swoją rodzinę, nie narażaj mojej na kłopoty.

Ale nie chciałam wyjść. Płakałam i błagałam, aż w końcu się ugiął. Zgodził się odnaleźć mojego ojca, jeśli rzeczywiście przebywał w więziennym szpitalu. Miałam do niego zadzwonić za trzy dni z budki telefonicznej.

Matka nadal przygotowywała paczki z jedzeniem, które ja oddawałam żebrakom. Czekałam na wyznaczony dzień. Wreszcie zatelefonowałam do lekarza.

- Bądź dzielna - ostrzegł mnie. - Mam złe wiadomości. Twój ojciec jest w szpitalu. Obawiam się, że jego stan jest beznadziejny. Ma zapalenie płuc... Poza tym - zawahał się - jest mocno posiniaczony.

A teraz do widzenia. Bardzo mi przykro.

Z ociąganiem poszłam do siedziby GPU i poprosiłam, żeby przekazano naczelnikowi moje nazwisko. Przyjął mnie niemal natychmiast. Czekał w drzwiach gabinetu, uśmiechając się szeroko.

- Jak tam, co nowego? W końcu się zdecydowałaś?

- Nie - odparłam. - Zanim się zdecyduję, muszę zobaczyć ojca.

- To może być trudne. Nie chcę cię martwić, ale twój ojciec jest w szpitalu i nie bardzo nadaje się do pokazania.

- Proszę mi pozwolić go odwiedzić, proszę. W końcu jest pan człowiekiem...

- Tu nie ma ludzi, Jeleno Pietrowno, tylko pokorni strażnicy rewolucji, którzy nie mogą sobie pozwolić na sentymenty. Nasze narzędzia przeciwko wrogom państwa to ból i śmierć. Im szybciej to sobie uświadomisz, tym lepiej. Pozwolę ci zobaczyć się z ojcem, ale tylko dlatego, że potrzebuję twojej pomocy. Idź do więzienia. Zanim tam dotrzesz, przekażę wiadomość. A po drodze przemyśl jeszcze raz moją propozycję. Nie bądź idiotką.

Zaprowadzono mnie na oddział. Ojciec, ze względu na moją wizytę, został przeniesiony do separatki. Leżał na żelaznej pryczy, nieruchomo, jak martwy. Od czasu, kiedy widziałam go po raz ostatni, wyrosła mu siwa broda. Wyglądał jak szkielet. Na czole i zapadniętych policzkach miał szkaradne sińce, palce i ramiona zabandażowane. Podeszłam do jego łóżka. Był zbyt wyczerpany, żeby się uśmiechnąć na powitanie. Kiedy zaczął mówić, zobaczyłam z przerażeniem, że wybito mu przednie zęby.

- Nie płacz, Jeloczka - powiedział słabym głosem. Tak mnie nazywał w dzieciństwie.

Z ostrożności mówiłam tylko o sprawach rodzinnych i unikałam polityki. Ale wartownik był poruszony tą sceną. Odwrócił się, jakby dawał do zrozumienia, że nie słucha. Ojciec skinął na mnie, żebym się nachyliła, i szeptał mi do ucha.

- Widzisz, jak wyglądam, Jeloczka. Bili mnie dzień po dniu. Oni torturują ludzi. Okładają ich mokrymi rękami, przez całe tygodnie nie pozwalają spać albo trzymają w lodowatych celach. Bili mnie bez litości, żebym im podał nazwiska „współspiskowców”.

- Jak mogłem je podać, skoro nie było żadnego spisku? To tylko ich chora wyobraźnia. Widzą duchy. Czasami żałowałam, że nie mam się do czego przyznać. Przypominałem sobie zwykle błędy i wymieniałem je jako akty sabotażu. Ale oni bili mnie jeszcze bardziej, bo te zmyślenia były zbyt naiwne. Ale po co mówić ci więcej? Słyszałem o GPU i jego metodach, ale najgorsze pogłoski to nic w porównaniu z rzeczywistością. To nie są ludzie, ale potwory. Och, Jeloczka, moje dziecko, jak oni nisko upadli...

- Wszystko będzie dobrze, tato, wydostanę cię z tego piekła. Obiecuję...

- Nie, to beznadziejne, moje dziecko. Lekarze niczego przede mną nie ukrywali. Rany od tortur mogą się zaleczyć, ale z powodu „zimnego traktowania” nabawiłem się zapalenia płuc. W moim stanie i w moim wieku już nic się nie da zrobić. Za kilka dni umrę. Postaraj się o tym zapomnieć i pracuj dalej, jakby nic się nie stało. Bądź dobra dla matki i dla Siergieja.

- Obywatelko, pięć minut minęło. Koniec widzenia.

Kilka dni później mój ojciec zmarł. Wróciłam do męża w Kijowie.

4

Przerwałem Jelenie opowieść.

- Wystarczy, najdroższa, nie chcę wiedzieć nic więcej. Bardzo mi cię żal i wstyd mi za siebie. Wybacz mi moje głupie zachowanie.

- Nie, nie, skoro już zaczęłam, musisz mnie wysłuchać do końca. Chcę, żebyś wiedział i zrozumiał. To tylko początek koszmaru.

I podjęła swoją makabryczną relację:

Minął rok 1931 i większa część 1932. Mój mąż skończył studia i podjął pracę w wielkiej fabryce. Jak prawie cała inteligencja techniczna w tym czasie, żył w ciągłym strachu przed aresztowaniem. Nie miał nic na sumieniu, ale bez przerwy odczuwał ten irracjonalny, nieustanny strach, bo widział, jak jego koledzy po kolei znikają.

Mimo to, kiedy został aresztowany, nie mogłam w to uwierzyć. Znałam wszystkich jego przyjaciół, wszystkie jego myśli, wszystkie uczynki. Był absolutnie niewinny, nie zgrzeszył nawet myślą. Znowu wystawałam w tych strasznych kolejkach, na deszczu, na śniegu, razem z tysiącami innych kobiet, żeby dostarczać mu paczki.

Zostałam zwolniona z pracy pod jakimś głupim pretekstem. Było oczywiste, że moi przełożeni nie chcą mieć u siebie żony aresztowanego inżyniera. Stopniowo sprzedawałam wszystko, co miałam, żeby kupować jedzenie dla siebie i dla męża. Dawałam lekcje muzyki. Kilku przyjaciół pomagało mi finansowo, ale zawsze musiałam obiecywać, że nikomu nie powiem, że mnie odwiedzili lub okazali mi uprzejmość. Jako żona „wroga ludu” stałam się wyrzutkiem.

Kilka miesięcy po aresztowaniu Siergieja w więzieniu nie chcieli przyjąć paczki dla niego. Było to tak, jakby puszczono od początku stary film grozy. Poszłam do innego okienka i powiedziałam, że chcę się zobaczyć z naczelnikiem. Po dwóch godzinach czekania zaprowadzono mnie do gabinetu towarzysza T., jednego z zastępców naczelnika charkowskiego GPU. Był wysokim, przystojnym, dobrze odżywionym jasnowłosym mężczyzną. Promieniował wdziękiem.

- Ach, tak myślałem, że mogę się spodziewać wizyty - powiedział, podając mi rękę i szarmancko podsuwając krzesło. - Cieszą mnie wizyty pięknych kobiet. Poza tym mam tu pełny raport o tobie z naszej kijowskiej centrali. Jaka szkoda, że spotykamy się w takich... powiedzmy, oficjalnych... okolicznościach. Ale i tak jestem wdzięczny za sposobność.

- Chce pan powiedzieć, że stworzył pan sposobność, odmawiając przyjęcia paczki dla mojego męża - powiedziałam.

- Coś takiego, nie chcieli przyjąć paczki? Co za tępe bałwany! Natychmiast się tym zajmę.

Nacisnął guzik i do gabinetu wkroczył dziarski funkcjonariusz. Towarzysz T. udzielił mu instrukcji, że paczki dla mojego męża mają być przyjmowane. Podwładny wyszedł.

- Proszę mi wierzyć, Jeleno Pietrowno, że ubolewam nad twoim smutnym losem. Ale w końcu sama tego chciałaś. Propozycja złożona dwa lata temu w Kijowie wciąż jest aktualna. My, czekańci, dotrzymujemy słowa.

- Dlaczego przetrzymujecie mojego męża? Wiecie równie dobrze jak ja, że jest niewinny. Gdyby miał pan matkę albo siostrę, zlitowałby się pan nade mną. Nie mogę dla pana szpiegować. To nie leży w moim charakterze. Prędzej umrę. Ale poza tym zrobię wszystko, żeby ocalić męża. Po prostu nie mogę znieść myśli, że cierpi.

Mówiłam i mówiłam, powtarzając się, błagając i oskarżając na przemian. Słuchał mnie cierpliwie. Kiedy się zmęczyłam, podszedł, poklepał mnie po ramieniu niemal ojcowskim gestem.

- Życie jest okrutne, Jeleno Pietrowno - powiedział - i dlatego trzeba być praktycznym. Myśleć przede wszystkim o sobie. Dlaczego się upierasz? Dlaczego nie przyjdiesz do nas?

- Powiem panu dlaczego. Zamordowanie mojego niewinnego ojca to jeden powód, a zamordowanie tysięcy jemu podobnych to tysiące innych powodów. Nawet dla męża nie wezmę na swoje sumienie łez i krwi innych żon i matek. Dlatego.

- Rozumiem twoją wrażliwość na łzy i krew. Ale bądź rozsądna, jeśli potrafisz. Nie będziemy przydzielać ci zadań, które pociągną za sobą krew i łzy. Jesteś nam potrzebna do pracy wśród cudzoziemców. Nasz kraj otaczają kapitalistyczne hieny, żądne krwi rewolucji. Nie domagam się natychmiastowej odpowiedzi. Ale jeśli się zdecydujesz, jestem do twojej dyspozycji. Twój ojciec nie żyje. Tego już się nie da naprawić. Ale wciąż możesz ocalić męża. To nie zależy ode mnie, ale od ciebie.

Obiecał jednak, że Siergiej będzie otrzymywał moje paczki - dopóki nie zostanie formalnie skazany i zesłany. Kilka tygodni później poinformowano mnie, że został skazany na dziesięć lat pracy przymusowej i zesłany do obozu na Uralu.

Przez długi czas walczyłam z pokusą, żeby podjąć współpracę z GPU. Tęskniłam za Siergiejem. Byłam zmęczona walką. Dlaczego mam się zachowywać jak Don Kichot w czasach takiego zakłamania i niesprawiedliwości? Wiele razy decydowałam się na ten fatalny krok. Ale zawsze, w ostatniej chwili, coś we mnie, coś bardzo głęboko zakorzonego, mówiło: „Nie! Nie powinnaś!”. Sama myśl, że będę szpiegowała, udawała przyjaźń, prowadząc kogoś na rzeź, napawała mnie wstrętem. Robiło mi się niedobrze.

Przez niemal rok pisałam podania do różnych resortów rządowych, błagając o ponowne rozpatrzenie sprawy mojego męża. Nic z tego nie wyszło, oczywiście. Potem coś się stało. Zwiedzałam wystawę ukraińskiego malarstwa razem z przyjaciółką z czasów szkolnych. Nagle zobaczyłam towarzysza T. w towarzystwie uderzająco pięknej kobiety. Jego zachowanie wskazywało, że to ona ma nad nim władzę, a nie odwrotnie. Obserwowałam ich uważnie. Ona była kapryśna, a on ugrzeczniony i posłuszny jak zakochany uczeń.

Bezwzględny czekista, który decydował o losach dziesiątków tysięcy, zachowujący się jak kretyn w obecności kobiety! Nedorzecznosc tego obrazu, jak przypuszczam, podsunęła mi pewien pomysł. Choć początkowo wydawał się szalony, postanowiłam spróbować.

Nie było trudno ustalić tożsamość przyjaciółki towarzysza T. Potem zdobyłam jej adres. Obserwowałam ją w wejściu do nowego bloku, gdzie mieszkała. Weszłam za nią po schodach. Kiedy mocowała się z kluczem w drzwiach swojego mieszkania, podeszłam do niej śmiało i zaczęłam rozmowę.

- Na miłość boską, błagam panią, niech pani się zgodzi porozmawiać ze mną przez kilka minut.

Z początku się wystraszyła. Ale potem, patrząc na mnie, najwyraźniej uznała, że jestem nieszkodliwa.

- Nie rozumiem. Czego chcesz? Ale wejdź. Nie możemy stać w korytarzu.

Weszliśmy do jej salonu, umeblowanego z niezwykłym smakiem. W rogu stał wielki fortepian. Po kilku godzinach czekania na ulicy musiałam wyglądać żałośnie.

- Zdejmij płaszcz, dziecko, i usiądź - powiedziała kobieta. - Zrobię kawę. Wyglądasz na ledwo żywą.

Złapałam ją za rękę i zmusiłam, żeby mnie wysłuchała. Opowiedziałam jej o śmierci ojca, o cierpieniach matki, o zesłaniu męża. Potrzebowałam jej pomocy. Za pośrednictwem swojego przyjaciela czekisty mogła uzyskać dla mnie zgodę na widzenie z mężem. To była jedyna rzecz, jaką mogłam jeszcze dla niego zrobić. Moja udręka była tak wielka, że udzieliła się kobiecie, która sama zaczęła płakać.

Zadawała mi wiele pytań. Potem chodziła tam i z powrotem po wielkim

pokoju i myślała. W roztargnieniu usiadła nawet przy fortepianie i zagrała kilka akordów.

- Jeleno Pietrowno - powiedziała w końcu - przykro mi, ale nie mogę ci niczego obiecać, nie mogę nawet obiecać, że spróbuję. Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że w żadnym wypadku nie wolno ci wspomnieć o tej wizycie, nawet przez telefon, kiedy będziesz rozmawiała ze mną.

Pocałowała mnie z czułością, która mnie zaskoczyła. Domyśliłam się, że nie jest szczęśliwa, i zapewne nie taka przyziemna, jak się wydawało. Tego wieczoru poszłam do cerkwi i długo się modliłam. Nie jestem wierząca, Witiu, ale w ciężkich chwilach wracam do nawyków z dzieciństwa. Tak czy inaczej, modliłam się bardzo żarliwie. Potem zatelefonowałam do kochanki towarzysza T. i okazało się, że moje modły zostały wysłuchane. Poprosiła, żebym przyszła do niej natychmiast.

Kiedy weszłam, rozplakałam się z radości i całowałam ją po rękach. Kazała mi napisać kolejne oficjalne podanie o widzenie z mężem i zapewniła mnie, że tym razem uzyskam zgodę. O sobie mówiła jedynie zdawkowo.

- Życie jest życiem, Jeleno Pietrowno. Kiedyś nie żyłam tak wygodnie jak teraz, ale byłam wtedy znacznie szczęśliwsza. Będę miała przynajmniej chwilę radości, że mogłam ulżyć w cierpieniu tobie i twojemu mężowi. Dobrze jest zrobić dla odmiany przyzwoitą rzecz. Zapomnij, proszę, że kiedykolwiek się spotkałyśmy. Nie dzwoń do mnie, a jeśli mnie przypadkiem spotkasz, udawaj, że mnie nie znasz.

Kilka tygodni później znalazłam się w pociągu jadącym na Ural. Wiozłam wielkie tobołki. Wydałam ostatnią kopiejkę na jedzenie, ciepłą bieliznę, buty, tytoń. Wyobrażałam sobie nasze spotkanie, radość Siergieja, jego rozpromienioną twarz, kilka chwil szczęścia. Za Swierdłowskiem wysiadłam z pociągu na małej stacyjce. Padał jesienny deszcz i wydawało mi się, że wylądowałam w krainie monotonii i głębokiego błota. Obóz leżał wiele kilometrów od stacji, a ja z wielkim trudem zdołałam nakłonić jakiegoś chłopca, żeby mnie podwiózł. Jechaliśmy przez dłuższy czas. Wokół nas ciągnęły się gęste lasy i dzikie urwiska. Wreszcie wyjechaliśmy na równinę, wielką otwartą przestrzeń otoczoną wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego.

Za ogrodzeniem zobaczyłam długie szeregi baraków z małymi zakratowanymi oknami. Widziałam spacerujących dookoła strażników, niektórym towarzyszyły psy o bardzo groźnym wyglądzie. Kiedy stałam na deszczu przed bramą, czekając, aż mnie wpuszczą, kolumna około trzystu więźniów, maszerujących czwórkami, wróciła z lasu do obozu. Nigdy w życiu nie widziałam tak upodlonych i wynędzniałych istot ludzkich. To nie byli ludzie, lecz okropne ludzkie cienie, odrażające karykatury istot ludzkich w szmatach i łachmanach. Wszyscy byli zarośnięci, wycieńczeni, wlekli się po błocie w ostatnich stadiach

śmiertelnego zmęczenia. Witiu, nie mam słów, żeby ci opisać ten żalony widok.

Na wartowni okazałam swoje dokumenty. Wyszedł jakiś czekista, zadawał dużo pytań, potem zrewidowała mnie strażniczka. Zabrano mi papier, ołówki, nawet małe nożyczki do paznokci. Potem powiedziano mi, że nie mogę wnieść paczek, tylko papierosy i mydło.

- To nie jest dom wczasowy ani uzdrowisko, obywatelko - warknął czekista. - Oni nie potrzebują jedzenia ani ubrań, wystarczy im to, co dostają od nas. To są wrogowie państwa.

Usiadłam w brudnym, małym pokoju, żeby poczekać na Siergieja. Na ścianach wisiały upstrzone przez muchy portrety Stalina, Dzierżyńskiego i Jagody. Był tam również obskurny transparent z napisem: „Odrodzenie przez pracę”. Wyglądałam przez okno. Niebawem ujrzałam wynędzniałego starca, którego eskortował strażnik z rewolwerem. Więzień miał zmierzwioną siwą brodę, białe włosy, ledwo powłóczył nogami i strach było na niego patrzeć. Jedno oko miał przewiązane brudną szmatą i w ogóle wyglądał tak, jakby wyszedł z jakiegoś czyścica. Zdjęta litością dla tej żalony istoty, zwróciłam się do czekisty.

- Towarzyszu - powiedziałam - widzicie tego starego człowieka? Proszę, dajcie mu tę paczkę papierosów.

Była to jedyna rzecz, jaką mogłam zrobić, żeby okazać swoje współczucie.

Czekista wybuchnął śmiechem i klepał się po udach z uciechy.

- A niech mnie! Żartujecie sobie ze mnie czy naprawdę nie poznajecie własnego męża?

Zamarłam ze zgrozy. Drzwi otworzyły się i starzec wszedł do środka. Kiedy podszedł bliżej, uświadomiłam sobie, że to naprawdę Siergiej - złamany, postarzały, ledwo przypominający człowieka. To było nie do uwierzenia. Podeszłam do niego, wzięłam go w ramiona i szepnęłam:

- Sierioża, kochany, biedny Sierioża.

Popatrzył na mnie oszołomiony, jego udręczona twarz zadrżała z emocji. Nagle padł na kolana, zaczął płakać i całować moją sukienkę, kolana, ręce. Podniosłam go i posadziłam obok siebie na ławce. Jechałam przez pół Rosji, żeby się z nim zobaczyć, ale dano mi jedynie dziesięć minut i uprzedzono mnie, że wolno nam rozmawiać tylko o sprawach osobistych. Ledwo usiedliśmy, żeby porozmawiać, czekista oznajmił:

- Czas minął. Minuta na pożegnanie.

- Jeleno, najdroższa - szepnął biedny Siergiej - ocal mnie, jeśli zdołasz. Życie tutaj jest straszniejsze, niż ktokolwiek w świecie zewnętrznym może sobie wyobrazić, gorsze niż najgorszy sen. Traktują nas jak zwierzęta, nie jak ludzi. Więźniowie umierają codziennie jak

muchy. Biją nas i głodzą. Jeleno, Jeleno, ocal mnie. Nie przeżyję następnego roku w tym piekle.

- Stul pysk, kanalio! - wrzasnął na niego czekista.

Obiecałam Siergiejowi, że zrobię, co będę mogła. Mając przed oczami straszną wizję ludzkiego wraku, który kiedyś był moim mężem, wróciłam do Charkowa. Wszelkie wahania zniknęły. Nie mogłam go tam zostawić tylko po to, żeby zachować własną dumę i moralną czystość. Poszłam do towarzysza T. i dobiliśmy targu - zgodzę się na współpracę z GPU w zamian za wolność Siergieja.

- Zapewniam cię, daję ci na to słowo honoru, Jeleno Pietrowno, że nigdy nie otrzymasz zadania, które pociągnie za sobą „krew i łzy”, jak to kiedyś ujęłaś. Z drugiej strony, zapłacisz głową, jeśli kiedykolwiek wspomnisz chociaż słowem o swoich powiązaniach z nami.

- Zawsze pamiętajcie - odparłam - że nie ratuję swojego męża po to, aby skazywać męża, ojca czy brata jakiejś innej kobiety na taki sam los. Doskonale wiecie, że Siergiej jest niewinny i że większość ludzi w tym piekle też jest niewinna. Prędeż pozwolę się zabić, niż wezmę udział w takiej niesprawiedliwości. Muszę też zachować prawo do odejścia ze służby. Muszę to mieć na piśmie.

- Rozumiem i już masz na to moje słowo, chociaż nie mogę dać ci niczego na piśmie. Musisz mi zaufać. Wolno ci się będzie wycofać. A teraz przypieczętujmy układ. Wypełnij tę ankietę.

Był to kwestionariusz zajmujący dziesięć stron. W pytaniach nie pominięto niczego, co dotyczyło mojego życia i poglądów, a także życia i poglądów moich krewnych i przyjaciół. Siedziałam nad nim długo i w końcu podpisałam. Zastępca naczelnika GPU towarzysz T. przejrzał go, zrobił na marginesie kilka uwag i schował dokument do sejfu. Potem włożył cywilny płaszcz i czapkę i razem wyszliśmy na ulicę.

Samochód zawiózł nas kilka przecznic dalej, do hotelu Intourist. Tam wysiedliśmy.

- Wejdę sam - powiedział T. - a ty wejdiesz za mną dokładnie za trzy minuty. Wjedziesz na piąte piętro. - Wymienił numer pokoju. - Będę tam na ciebie czekał. I nie bądź taka wystraszona. Teraz jestem czekistą, nie mężczyzną, więc nie musisz się bać.

Kilka minut później byliśmy razem w pokoju. Kiedy zapukał kelner, przynosząc jedzenie i wino, schowałam się w sąsiednim pokoju.

- Sprytna dziewczyna - pogratulował mi T. po wyjściu kelnera. - Ale tutaj dyskrecja nie jest konieczna. Wszyscy w hotelach turystycznych, od kierownika po sprzątaczkę, pracują dla GPU.

Kiedy jedliśmy, otrzymałam swoje pierwsze instrukcje i coś w rodzaju przyspieszonego kursu metod GPU.

- Przykro mi to mówić, lecz przez jakiś czas nie będziesz pracować ze mną - wyjaśnił. - Ale pewnego dnia, po twoim powrocie do Charkowa,

ty i ja dokonamy razem cudów.

- Dokąd pojedę najpierw?

- Przez kilka miesięcy pozostaniesz w Charkowie. Musisz się nauczyć wielu rzeczy. Potem wyślemy cię do Dniepropietrowska. To przyjemne miasto. Z powodu wielkiej zapory, budowy elektrowni i innych projektów kręci się tam wielu cudzoziemców - inżynierów z Ameryki, niemieckich specjalistów i tak dalej. Jest mnóstwo pracy.

- Musisz zrozumieć, że zarekomendowałem cię osobiście, co oznacza, że jestem za ciebie odpowiedzialny. Jeśli spróbujesz jakichś sztuczek, wina spadnie na mnie. Może ci się zdawać, że mam nad tobą władzę, ale jest odwrotnie, moja droga. Ty masz władzę nade mną. Jeśli zdarzy ci się popełnić jakiś błąd, będzie ci to wybaczone. Ale niech Allah ma cię w swojej opiece, jeśli spróbujesz nas oszukiwać albo „pracować na lewo”, jak to się mówi. Tak, masz nade mną władzę, i właśnie dlatego uważam, że taka rozmowa od serca zaraz na początku to dobry pomysł.

- Słucham - powiedziałam.

- Moja pierwsza rada, Jeleno Pietrowno, jest taka, że musisz ćwiczyć pamięć, zwłaszcza pamięć wzrokową. Nigdy niczego nie zapisuj. Staraj się wszystko zapamiętać. Z czasem nabiera się wprawy. Papiery i notatki są niebezpieczne. Zapamiętuj wszystko, co ci będzie potrzebne - nazwiska, adresy, numery telefonów, fakty. Pamięć to twoje podstawowe narzędzie.

- Ćwicz języki obce. To również cenne narzędzie. I to samo dotyczy twojej urody. Jesteś jedną z najbardziej atrakcyjnych kobiet w naszej służbie i część twojego zadania polega na tym, żebyś pozostała atrakcyjna. Nie oszczędzaj na ubraniach i kosmetykach - to są uzasadnione wydatki.

- Od czasu do czasu będziesz się spotykać z naszymi pracownikami. Nigdy się nie zwierzaj żadnemu z nich. Nie wspominaj o charakterze swojego zadania, nawet najbardziej zdawkowo. Jeśli będziesz musiała pracować z innymi ludźmi z GPU, przestrzegaj instrukcji, które otrzymasz, choćby wydawały się absurdalne. To twój jedyny obowiązek.

- Następną ważną radą, moja droga, jest nigdy nie przyjmuj drinka, jeśli nie nalano go w twojej obecności i jeśli gospodarz nie wypije pierwszy. Nigdy nie zaprzyjaźniaj się z żadnym mężczyzną z naszej służby bez wyraźnej zgody swojego zwierzchnika i melduj o każdej nowej znajomości, choćby wydawała ci się najbardziej trywialna i przypadkowa. Uzyskasz dostęp do naszych specjalnych sklepów i dostaniesz talony na ubrania i artykuły żywnościowe niedostępne dla zwykłych obywateli. Strażnikom bezpieczeństwa kraju nie może brakować niczego, a teraz jesteś jedną z nas.

- Jeszcze jedno pytanie - przerwałam. - Kiedy mój mąż wróci do domu?

- Nie martw się. Dotrzymujemy słowa. Dostanie dobrą pracę w Dniepropietrowsku, a ty będziesz pracować jako architekt.

Siergiej wrócił po dwóch miesiącach. Jest dobrym i mądrym człowiekiem. Wiedział, że darzę go tylko współczuciem i że namiętna miłość, w dawnym sensie, jest wykluczona. Tę sferę naszego związku zabił reżim radziecki. Nigdy mnie nie pytał, jak mi się udało go wydostać - zapewne jego podejrzenia są jeszcze straszniejsze niż ponura prawda.

To była straszna decyzja, ale musiałam ją podjąć. Witiu, gdybyś jednak widział obóz pracy przymusowej i przerażającą przemianę Siergieja, zrozumiałbyś, dlaczego, po latach oporu, musiałam się wreszcie ugiąć. Jestem jedną z tysięcy zmuszonych do uległości przez GPU. Nie stykamy się ze sobą. W domu, gdzie mnie widziałeś, żaden z gości nie widuje innych. Prowadzą nas do oddzielnych pokoi i nigdy się nie spotykamy, nawet przez przypadek. Ale poznałam niektóre z tych osób podczas swojej pracy. Są wśród nich żony wysokich dygnitarzy i ważnych ludzi.

Czasem są przyłapywane na jakiejś nieostrożności i szantażem zmuszane do współpracy. Czasem agenci GPU celowo wciągają kobietę w romans, a potem zmuszają, żeby dla nich pracowała, pod groźbą zdemaskowania jej przed mężem. Często, jak przypuszczam, kobiety są oskarżane o zdradę, której nie popełniły; dowody fabrykuje się tak przekonywająco, że żaden mąż nie uwierzyłby w ich niewinność. Są setki, tysiące brudnych sztuczek, za pomocą których werbuje się armię szpiegów, Witiu. Mało kto robi to po prostu dla pieniędzy i władzy. Zwykle jest pod jakąś presją, której nie może wytrzymać. To wszystko jest brutalne i odrażające.

- Czy dlatego właśnie przyjechałaś do Dniepropietrowska, Jeleno?

- Tak, Witiu. I tak cię spotkałam, miesiąc po przyjeździe z Charkowa. Zameldowałam o naszej znajomości - nie miałam wyjścia. Ale nic więcej, najdroższy Witiu.

- Czy twoi zwierzchnicy mówili ci coś o mnie?

- Oczywiście. Ale nic kompromitującego. Wydaje się, że twoja przeszłość, przynajmniej z punktu widzenia GPU, jest czysta. Nadal jesteś wstrząśnięty i przerażony, że jestem agentem?

- Prawdę mówiąc, jestem. Trzeba czasu, żeby się z tym oswoić.

- A mimo to, Witiu, jesteś komunistą. Twoim obowiązkiem jako komunisty jest meldować o wszystkim, co może szkodzić partii, czy ci się to podoba, czy nie. Czy naprawdę jest taka wielka różnica pomiędzy milionami świadomych donosicieli, a tymi, których zmuszono, aby donosili? Czy oboje nie zostaliśmy schwytani w tę samą brudną sieć?

- Jest trochę prawdy w tym, co mówisz, nawet jeśli porównanie jest - jak to powiedzieć? - prymitywne. Świadomie czy nieświadomie, w istocie oboje bronimy reżimu.

- A teraz, mój drogi, ponieważ zdecydowałam się na ten fatalny krok,

żeby ci wszystko opowiedzieć, moje życie jest w twoich rękach. Jako dobry komunista jesteś zobowiązany mnie wydać. Ale dobrze wiem, że tego nie zrobisz. Poszłabym na koniec świata, żeby się wyrwać ze szponów GPU, ale one są bardzo długie. Nie ma ucieczki innej niż śmierć. Często myślę o samobójstwie jako o jedynym wyjściu.

- Witiu, kochany, bądź ostrożny. Żyjemy w kraju, gdzie wszyscy noszą maskę. Nie zwierzaj się nikomu, nikomu, ze swoich myśli. Nie mówię o dozorcach i o tych, co podglądają przez dziurkę od klucza, ale o najbardziej szanowanych ludziach w mieście. Żeby być bezpiecznym, musisz zakładać, że wszyscy, bez wyjątku, donoszą, donoszą, donoszą... Och, Witiu, jestem taka zmęczona i zrozpaczona. Będę cię kochała, nawet jeśli mnie rzucisz.

- Jeleno, nie mów głupstw - powiedziałem w przypiływie czułości dla osaczonej dziewczyny. - Jestem nieszczęśliwy tylko dlatego, że nie mogę ci pomóc. To nie do zniesienia dla mężczyzny, jeśli nie może pomóc kobiecie, którą kocha.

- Chodźmy popływać - zaproponowała Jelena. - Na samo wspomnienie tego, przez co przeszłam, czuję się lepka.

Woda była ciepła. Pływaliśmy po ciemku, w deszczu, wśród błyskawic i dudnienia grzmotów. To było głupie i lekkomyślne, ale w jakiś sposób kąpiel zdawała się zmywać koszmar jej opowieści. Wyniosłem ją z wody do chaty rybaka i wytarłem, jakby była dzieckiem. Potem ułożyłem ją do snu na pachnącym sianie. Wyczerpana emocjami tego niezwykłego dnia, zasnęła niemal natychmiast.

Rano wróciliśmy pociągiem do miasta.

- Wiesz, Witiu - szepnęła do mnie - teraz, kiedy nie ma już pomiędzy nami tej strasznej tajemnicy, czuję się znacznie lepiej, czystiej. Jeśli nadal będziesz mnie kochał, będę szczęśliwa jak nigdy dotąd.

Kilka tygodni później Jelena pojechała do Kijowa, żeby odwiedzić matkę, a ja dołączyłem tam do niej. Pewnego słonecznego dnia poszliśmy na cmentarz. Wyrwałem chwasty z grobu jej ojca i położyłem na nim świeże kwiaty. Przyniosłem też puszkę farby i pomalowałem kratkę wokół grobu oraz żelazny krzyż. Jelena nie płakała. Ale kiedy pracowałem, opowiadała mi o swoim ojcu i szczęśliwym dzieciństwie.

- Gdyby GPU wiedziało, że uporządkowałeś grób, aresztowaliby cię, Witiu - powiedziała w drodze powrotnej do miasta. - Nawet po śmierci niebezpiecznie jest okazywać dobroć mojemu biednemu, niewinnemu ojcu. Ale przez ten drobny ludzki odruch stałeś mi się jeszcze droższy.

- Wobec tego warto było zaryzykować - odparłem.

- I nie przeszkadza ci to jako dobremu komuniście?

- Nie, ani trochę. Może nie jestem dobrym komunistą w tym znaczeniu.

Poszliśmy do kijowskiego parku. W dawnym carskim ogrodzie

orkiestra grała melodię popularnej w tym czasie głupiej piosenki wysławiającej „szczęśliwe i radosne życie” obywateli radzieckich. Jelena i ja spojrzeliśmy sobie w oczy. Nie potrzebowaliśmy słów, żeby dzielić się swoimi myślami.

ROZDZIAŁ XII

Inżynier w Nikopolu

Studenci ostatniego roku w naszym instytucie przygotowywali się nerwowo do egzaminów końcowych. Warunkiem otrzymania dyplomu był samodzielny projekt inżynierski zatwierdzony przez komisję rządową. Po całych dniach ślęczałem nad swoim. Spędzaliśmy też dużo czasu w różnych zakładach metalurgicznych w ramach swego rodzaju praktyk. Najbardziej potrzebowaliśmy duchowego spokoju, odpoczynku od polityki. Ale nie dane nam było go zaznać – właśnie te ostatnie miesiące pulsowały gorączką politycznego dramatu.

Przynajmniej trochę spokoju znajdowaliśmy w instytucie. Zewnętrzne zadania i czystki poważnie nadwątlily naszą energię. Teraz nawet ten cząstkowy spokój prysł: 1 grudnia 1934 roku wystrzał z rewolweru w dalekim Leningradzie wstrząsnął naszym życiem w Dniepropietrowsku z siłą trzęsienia ziemi.

Wystrzał został oddany w korytarzu Instytutu Smolnego, siedzibie komitetu partii w Leningradzie, przez młodego komunistę nazwiskiem Nikołajew. Siergiej Kirow, członek Politbiura i faktycznie dyktator północnej Rosji, padł martwy u stóp Nikołajewa. Echa tego wystrzału miały rozbrzmiewać jeszcze przez wiele lat. Zanim ucichły, zniszczono lub w ogóle odebrano życie setkom tysięcy ludzi. Ja sam zapłaciłem latami cierpienia za ten akt terroru dokonany przez nieznanego młodego człowieka.

Stalin i Woroszyłow pospieszyli do Leningradu. Jeśli wierzyć opowieściom krążącym w kręgach partyjnych, Stalin osobiście nadzorował przesłuchanie Nikołajewa. Nikt postronny nie miał oczywiście pojęcia, czego się dowiedział, ale z jego późniejszego zachowania można wnosić, że Stalin był zaniepokojony do granic paniki.

Setki podejrzanych w Leningradzie aresztowano i rozstrzelano w trybie doraźnym, bez procesu. Setki innych, wyciągniętych z więziennych cel, gdzie przebywali od lat, zostało straconych w akcie oficjalnej zemsty wymierzonej wrogom partii. Miejscowe więzienia zapełniły się po brzegi. Pociągi towarowe wywoziły z miasta kolejne tysiące „elementów politycznie wrogich” na odległe zesłanie. Terror rozszerzył się na Moskwę, Kijów, Charków, a ostatecznie na cały kraj.

Według pierwszych relacji o śmierci Kirowa zabójca działał jako

narzędzie tchórzliwych cudzoziemców - Estończyków, Polaków, Niemców, a wreszcie Brytyjczyków. Później pojawił się szereg oficjalnych raportów łączących mgliście Nikołajewa z obecnymi i dawnymi zwolennikami Trockiego, Zinowjewa, Kamieniewa i innych opozycjonistów spośród starych bolszewików. Niemal z godziny na godzinę krąg osób rzekomo zamieszanych w zabójstwo Kirowa, bezpośrednio lub „moralnie”, rozszerzał się, aż objął praktycznie wszystkich, którzy kiedykolwiek wyrazili choćby najmniejszą wątpliwość co do polityki Stalina.

Maszynaria propagandowa pracowała na najwyższych obrotach. Przywódcy i prasa, zapominając, że zaledwie wczoraj chełpli się bezprzykładną jednością swojej „monolitycznej” partii, teraz krzyczeli histerycznie, że partia jest naszpikowana zdrajcami, odchyleńcami, dwulicowcami i sabotażystami. Pojawiały się mroczne aluzje do spisków w zмовie ze światem kapitalistycznym, który gotował się do wojny z socjalistyczną ojczyzną. Ci z nas, którzy mieli jakiegokolwiek wyczucie klimatu politycznego, wiedzieli, że szykuje się rozlew krwi na skalę Czyngis-chana. I nie myliliśmy się; następne lata miały przynieść najbardziej przerażający terror w rosyjskiej historii.

W kręgach partyjnych szerzyły się pogłoski, że czyn Nikołajewa w ogóle nie miał podłoża politycznego - że zabił z zazdrości, ponieważ Kirow uwiódł jego piękną żonę. Takie złowieszcze szepty i oficjalna propaganda łączyły się ze sobą, spowijając zabójstwo mgłą tajemnicy i domysłów, których nie udało się rozstrzygnąć do dzisiaj. Z czasem Komitet Centralny wydał oficjalny „list zamknięty”, odczytywany, pod rygorem zachowania tajemnicy, na nadzwyczajnych zebraniach najbardziej aktywnych członków partii w całym kraju. Przedstawiał on zamordowanie Kirowa jako przejaw zacieklej walki wrogów rewolucji z polityką partii i jej kierownictwem.

Niezależnie jednak od bezpośredniej przyczyny lub głębszych motywów zamachu Nikołajewa, myślącym komunistom wydawał się on symbolem rozpacz ukrytej pod polityczną powierzchnią życia kraju. Każdy z nas nosił tę gorycz i rozpacz we własnym sercu. Czasem ośmielaliśmy się dzielić naszymi wątpliwościami w gronie zaufanych przyjaciół. Trzeba było zabójstwa jednego z najbliższych towarzyszy Stalina, abyśmy sobie uświadomili, że nasze prywatne żale są częścią wielkiej podziemnej rzeki niezadowolenia, przepływającej przez serce naszego wielkiego narodu.

Na pozór wszędzie panował spokój. Krytycy z lewa i z prawa zostali zmiażdżeni przez Stalina, Nasze Słońce, świecące łaskawie ponad zjednoczoną partią. Chłopów zmuszono do uległości plutonami egzekucyjnymi i głodem. Nie słyszało się już najmniejszego szmeru protestu z powodu zabójczego tempa industrializacji, niedoborów

żywności, niedostatków, licznych aresztowań. Ale w głębi duszy wielu ludzi w partii i w społeczeństwie pałało oburzeniem. Pod stuporem obojętności, pod skorupą cichej rozpaczki wrzała rozpalona lawa pierwotnego gniewu.

Należy to jasno powiedzieć światu, aby oddać narodowi rosyjskiemu elementarną sprawiedliwość. Ludzie byli bezsilni w swoim cierpieniu, wyczerpani dwudziestoma latami wojny, rewolucji, niedożywienia i systematycznych prześladowań; otumanieni hasłami i ogłupieni kłamstwami, całkowicie odcięci od świata zewnętrznego. Mimo to nigdy nie pogodzili się z brutalnością swoich władców. Gorycz była najgłębsza w samej partii, ponieważ mieszała się z poczuciem winy i nieznośnej bezsilności wobec rządzących i ich potęgi.

To nie kwestia przypadku, że Nikołajew i ci, których oskarżono o bezpośredni współudział w zbrodni, byli młodymi ludźmi, wytworami epoki radzieckiej, w większości studentami. Szkoły wyższe w Rosji tradycyjnie stanowiły żyzny grunt dla rewolucyjnego idealizmu. Obecnie ten idealizm był nazywany kontrrewolucyjnym, ale wywodził się z tych samych tradycji.

Chociaż żadna informacja na ten temat nigdy nie dostała się do prasy, wśród komunistów wiadano powszechnie, że tysiące studentów zostało aresztowanych, a setki skazanych na śmierć w następstwie sprawy Kirowa. Wystarczyło, że grupa studentów spotkała się u kogoś w domu na wieczorku tanecznym, by wzbudziło to podejrzania GPU.

Nagle zniknięcia studentów naszego instytutu nie były niczym niezwykłym. Nie zadawaliśmy żadnych pytań. Udawaliśmy, że tego nie zauważamy. Ale sercem zawsze staliśmy po stronie aresztowanych studentów, nigdy po stronie „organów”. Postanowiliśmy bardziej uważać na słowa, ponieważ mówić szczerze oznaczało mówić w „antykomunistycznym duchu”.

Moje osobiste rozczarowanie stało się głębsze, niż miałem odwagę przyznać się do tego przed sobą, nie wspominając już o innych. Z tego samego powodu unikałem angażowania się w dyskusje polityczne. Ale złapałem się na tym, że od czasu do czasu mówię za dużo w obecności przyjaciół, którym ufałem, a potem przez całe tygodnie zadrezczam się myślą, czy któryś z nich na mnie nie doniósł.

Zabójstwo w Leningradzie wzbudziło w braci studenckiej romantyczną nadzieję. Czy ten akt terroru mógł być wyrazem prawdziwego ruchu ludowego? Czy to możliwe, że GPU, mimo całej swojej skuteczności, nie zdołało wykorzenić podziemnej opozycji? Byliśmy w końcu częścią narodu wychowanego na wspomnieniach tajnych kółek rewolucyjnych, spisków politycznych i zamachów bombowych.

Zamach na Kirowa przeszył nas również dreszczem strachu. Nowe

czystki były nieuchronne. Pierwsza oznaka intencji Politbiura pojawiła się szybko w postaci obwieszczenia, że wszystkie legitymacje partyjne mają być sprawdzane i wymieniane. Nie nazywając tego otwarcie czystką, zamierzano przesłuchać nas ponownie, niespełna rok po ogólnokrajowej weryfikacji partyjnych szeregów.

Mój kolega M. należał do tych nielicznych komunistów, w obecności których pozwalałem sobie czasami na szczere uwagi o sprawach politycznych. Kiedy byliśmy razem, odczuwaliśmy swego rodzaju wspólnotę duchową, która dodawała nam śmiałości. Niedługo po śmierci Kirowa M. zaprosił mnie na spotkanie towarzyskie w domu Andrieja S., studenta, którego nie znałem zbyt dobrze. „Napijemy się herbaty i pogadamy” – powiedział. Wahałem się, czy pójść, bo w zdawkowym zaproszeniu brzmiała jakaś fałszywa nuta. Ale w końcu ciekawość i niespokojny stan mojego ducha przywiodły mnie na spotkanie.

Andriej był wysokim, bladym mężczyzną około trzydziestki, o otwartych rysach i głęboko osadzonych niebieskich oczach. Był czytany i potrafił mówić z elokwencją nawet na tak banalne tematy jak proces wytopu stali. Cieszył się powszechną sympatią i szacunkiem.

Tego wieczoru w jego małym pokoju zastałem M. i jeszcze dwóch studentów z innych instytutów. Siedzieliśmy wokół błyszczącego samowara, w mdłym świetle pojedynczej żarówki, i rozmawialiśmy o głupstwach, krążąc wokół tematu, który zaprzętał wszystkich, jakbyśmy sprawdzali się nawzajem. Zauważyłem ze zdziwieniem, że zebrani zwracali się do siebie fałszywymi imionami. Już samo to nadawało spotkaniu konspiracyjny rys, niepokojący i fascynujący zarazem. Igranie z ogniem to dla wielu Rosjan fascynujące zajęcie.

Byłem nowicjuszem w tym ryzykownym przedsięwzięciu rozmów politycznych, ale inni zdawali się prowadzić znaną grę. Po jakimś czasie zapomnieliśmy o ostrożności. Kiedy rozgrzaliśmy się dyskusją o zabójstwie Kirowa, głosy stały się bardziej egzaltowane, oczy roziskrzane. Niebawem rozmawialiśmy o „tyraniu na Kremlu” i użalaliśmy się nad „uciskany narodem rosyjskim”. Czułem się tak, jakbym przeżywał na nowo wspomnienia z dzieciństwa: mój ojciec i jego przyjaciele podczas ożywionej dyskusji politycznej o carskim ucisku w naszym mieszkaniu przy Prospekcie Puszkina...

- Uważamy wystrzał Nikołajewa - powiedział Andriej - za prowokację. - To „my” zabrzmiało złowieszczo; nie miałem najmniejszego pojęcia, o kim mówił. - Tak, prowokację! To było niepotrzebne i szkodliwe. Stalin musiał znaleźć punkt, z którego mógłby rozpocząć pogrom opozycyjnego skrzydła partii - i właśnie go znalazł. Nie chodzi już o Nikołajewa. On i jego przyjaciele są zgubieni. Chodzi o to, że kremlowska banda ma teraz doskonały pretekst do eksterminacji wszystkich krytyków i oponentów do ostatniego

człowieka.

- Zapamiętajcie moje słowa, towarzysze. Wiele tysięcy, może milionów, zapłaci za wystrzał Nikołajewa. Jeśli do tej pory mogliśmy marzyć o wolności i demokracji w partii, to marzenie się skończyło – skończyło się, powtarzam. Rozwiała się ostatnia nadzieja! Niebawem Rosja spłynie krwią!

Przechadzał się po pokoju z rosnącym podnieceniem. Jego wzburzenie i przygnębienie udzieliły się nam. Czuliśmy się jak ludzie uwięzieni na tonącym statku, kiedy spienione wody sięgają im już do nozdrzy. Andriej przerwał, zatoczył się jak pijany i podjął:

- Stalin i Woroszyłow byli obecni, kiedy torturowano Nikołajewa. Przypadkiem to wiem, towarzysze. Chcieli nazwisk, nazwisk i jeszcze więcej nazwisk... mięsa dla plutonów egzekucyjnych. Ale to nie ma znaczenia, co czekał wycisnęli z Nikołajewa. Napiszą takie zeznanie, jakiego potrzebuje Stalin, a potem krwawa rzeź potoczy się gładko, teoretycznie uzasadniona.

Najmłodszy w naszej grupie był drobny student o anemicznym wyglądzie. Wydawał się osobliwie piękny w swojej kruchości, kiedy nagle wstał i zaczął recytować credo związanego z dekabrystami poety Rylejewa:

*Wiem dobrze: czeka pewny zgon
Tego, co rękę swą na tron
Ciężcy ludu wzniesie śmieie.
Już na mnie wyrok wydał los,
Lecz przecie na ofiarny stos
Szli wszyscy oswobodziciele.
Zginę za swój ojczysty kraj,
Tak będzie, czuję to, zgaduję^[2].*

(przeł. Leszek Engelking)

Jego ściągnięta twarz wydawała się odmieniona, kiedy wypowiadał te słowa. Wyglądał jak przywołana do życia postać z wielkich rewolucyjnych scen u Dostojewskiego i Gorkiego. Chociaż było to inspirująco piękne, bardzo żałowałem, że zgodziłem się przyjść na spotkanie. To wszystko było zatrważająco naiwne, niepraktyczne, bezsensowne. Sam cel zebrania pozostał dla mnie niezrozumiały. Przeczytano zakazaną, odbitą na powielaczu broszurę znanego opozycjonisty Slepkowa, atakującą kremlowskiego dyktatora i jego klikę; był to najciekawszy moment tego dziwnego spotkania. Nie miałem pojęcia, jak Andriej zdobył ten niebezpieczny dokument. Sama lektura takiego tekstu wystarczyłaby, żebym wylądował na syberyjskim zesłaniu, gdyby GPU się o tym dowiedziało.

Był już prawie świt, kiedy się rozstaliśmy. Dopiero gdy znalazłem się na ulicy, brnąc przez śnieg, dotarła do mnie potworna lekkomyślność tego, co zrobiłem. Uczestniczyłem w konspiracyjnym spotkaniu w rodzaju tych, za które tysiące innych studentów w całej Rosji płaciły wolnością i życiem. Gdyby władze się o tym dowiedziały, byłoby po mnie. Mimo to tego ranka w instytucie uparcie szukałem Andrieja. Ciągnęło mnie do niego, nie na przekór niebezpieczeństwu, ale właśnie z jego powodu. Bardzo chciałem się dowiedzieć, kim są ci „my”, na których się powoływał przez całą noc.

O pierwszej wezwano mnie do gabinetu sekretarza organizacji partyjnej. Zostałem tam kilka innych osób, w tym mojego przyjaciela M. Sekretarz miał poważną minę, kiedy zamknął drzwi i popatrzył na nas. Spodziewałem się najgorszego.

- Towarzysze - powiedział - mam dla was smutne wieści. Uznałem, że będzie lepiej, jeśli się dowiedziecie od razu. Jeden z naszych najlepszych towarzyszy popełnił samobójstwo dziś rano w swoim pokoju. Prawdopodobnie zawód miłosny albo jakaś inna tragedia osobista.

- Kto? - spytałem.

- Andriej S. Był dobrym studentem i dobrym towarzyszem. Szkoda...

Kiedy wychodziliśmy, M. ujął mnie za rękę i ścisnął ją. Łzy płynęły mu po policzkach. A zatem ponura egzaltacja Andrieja nie była pozą: „Rozwiała się ostatnia nadzieja! Niebawem Rosja spłynie krwią!”. Jego słowa przez kilka miesięcy odbijały się echem w mojej głowie. Na szczęście dla reszty z nas to nocne spotkanie, kiedy słuchaliśmy poematu, pozostało tajemnicą przez wszystkie lata czystki, która się wkrótce rozpoczęła.

Chociaż nikt nie wiedział dokładnie, dlaczego Andriej się zabił, instytut huczał od gorączkowych domysłów. Wszyscy czuli, że w jakiś tajemniczy sposób jego śmierć wiąże się z zabójstwem Kirowa i z panicznym strachem, który już ogarniał całą partię i całą radziecką biurokrację.

Sprawdzanie legitymacji partyjnych nie odbywało się publicznie, tak jak wcześniejsza czystka. Miało charakter policyjnego przesłuchania. Wzywano nas i wypytywano pojedynczo. Kiedy przyszła moja kolej, wkroczyłem do gabinetu zaniepokojony, lepki od potu. A jeśli spotkanie w pokoju Andrieja kilka godzin przed jego samobójstwem wyszło na jaw? Pytanie było nielogiczne - gdyby GPU o tym wiedziało, zostałemby aresztowany już dawno. Ale wielki strach, podobnie jak wielka miłość, nie zna logiki.

- Siadajcie, towarzyszu Krawczenko - powiedział człowiek za biurkiem. - Pokażcie mi swoją legitymację partyjną.

Znałem go jako jednego z komunistycznych aktywistów w Dniepropietrowsku. Obecni byli jeszcze dwaj ludzie. Jednego nie znałem, ale uświadomiłem sobie, że drugi, chociaż ma na sobie cywilne

ubranie, jest funkcjonariuszem GPU. Pytania zadawali inni, ale nie ulegało wątpliwości, że tym razem prawdziwym sędzią jest przedstawiciel organów. Miał przed sobą teczkę, zapewne moje akta personalne, zaglądał do niej od czasu do czasu i podawał jakiś dokument człowiekowi za biurkiem.

Nastąpił znajomy rytuał – życiorys, przyjaciele, krewni, działalność partyjna. Nudne powtarzanie tych samych rzeczy po raz kolejny było krzepiące. Chcieli wiedzieć, kto za mnie poręczył, kiedy wstępowałem do partii. Podałem im nazwiska.

- Wciąż są członkami partii?

- Z tego, co wiem, tak – odparłem.

- Czy któryś z nich był w jakimś ruchu opozycyjnym?

- Jeśli był, nic o tym nie wiem.

- Towarzyszu Krawczenko, czy to nie dziwne, że w waszej rodzinie tylko wy jesteście członkiem partii? Dlaczego wasi bracia i wasz ojciec nie są w naszych szeregach?

- Dlaczego dziwne? Statystycznie rzecz biorąc, w naszym kraju jest więcej bezpartyjnych niż partyjnych.

- Jego ojciec – wtrącił funkcjonariusz GPU – był aktywny politycznie przed rewolucją, ale widocznie bolszewicy nie są w jego guście.

- Przepraszam, towarzysze – powiedziałem – ale nie wolno przyjmować takich założeń tylko dlatego, że ktoś nie wstąpił do partii.

- Och, nie zamierzam atakować waszego ojca. Po prostu stwierdzam fakty – odparł funkcjonariusz GPU z ironicznym uśmiechem.

Przesłuchanie trwało około godziny. Stopniowo odzyskiwałem pewność siebie. Widocznie wciąż miałem czystą kartotekę. Znowu byłem bezpieczny. W końcu zwrócono mi legitymację partyjną. Ale po przesłuchaniu pozostał mi niesmak. Teoretycznie my, komuniści, byliśmy władcami kraju, „najlepszymi z najlepszych” wśród budowniczych nowego świata. W praktyce byliśmy bezradnymi pionkami w grze prowadzonej przez reżim policyjny zgodnie z regułami, które sam ustalił.

Tysiące komunistów w naszym mieście zostało wykluczonych z partii. To samo działo się w każdym innym mieście w kraju. A tym razem wykluczenie oznaczało często natychmiastowe aresztowanie.

Moja praca dyplomowa – opis i projekt nowej maszyny do walcowania rur – została nie tylko wysoko oceniona, lecz także wyróżniona rządowym patentem. Chociaż maszyna nigdy nie weszła do produkcji, projekt zaklasyfikował mnie, przynajmniej teoretycznie, do kategorii wynalazców.

Po zakończeniu testów pisemnych przystąpiłem do końcowego egzaminu ustnego przed państwową komisją kwalifikacyjną. Bankiet absolwentów wyznaczył koniec mojego studenckiego życia. Opychaliśmy się, piliśmy, śpiewaliśmy i klepaliśmy frazesy w duchu radzieckiego patriotyzmu. Jeden mówca po drugim przypominał, że otrzymaliśmy wykształcenie na koszt państwa i teraz musimy zacząć spłacać ten dług po stokroć w służbie planu pięcioletniego na chwałę partii.

Wreszcie zostałem więc dyplomowanym inżynierem. Cztery lata wcześniej ten cel wydawał mi się opromieniony chwałą. Ale chwała przygasła. Przyćmił ją terror na wsi i wielki głód, czystka partyjna i bezmiar cynizmu wokół mnie. Ostatnie żalosne resztki połysku wymazała historia Jeleny i samobójstwo Andrieja, nastrój rozpaczony i daremności, który wywołały.

Dla proletariackiej rodziny takiej jak moja prawdziwy inżynier był powodem do dumy. Udawałem radość, której nie odczuwałem. Matka niewątpliwie widziała, że gram komedię, ale sama się do niej włączyła. Ojciec zbyt dobrze wiedział, że droga życiowa radzieckiego inżyniera jest najeżona politycznymi pułapkami; był pełen rezerwy, a nawet zaniepokojony. Dla moich braci, Jewgienija i Konstantina, którzy nie interesowali się polityką, mój dyplom oznaczał po prostu szansę na poprawę sytuacji finansowej.

Duma Jeleny była doprawiona melancholią. Jej czułość i oddanie kołły mój znękanym umysł. Spodziewała się przeniesienia do Charkowa, a wszystko wskazywało na to, że ja otrzymam przydział do jakiegoś odległego ośrodka metalurgicznego. Żadne za nas nie było wolnym człowiekiem. Nasz związek, oscylujący pomiędzy ekstazą a smutkiem, musiał przejść szereg prób. Chociaż bardzo się starałem ją odpędzić, świadomość, że jest agentem tajnej policji, wciąż pojawiała się jak duch na bankiecie naszych uczuć.

Wysłałem egzemplarz swojej pracy dyplomowej komisarzowi Ordżonikidzemu i otrzymałem ciepłą odpowiedź. Podczas studiów podtrzymywałem nasze wzajemne kontakty. Niedostrzegalnie oficjalne relacje przerodziły się w osobistą przyjaźń.

W 1933 roku wpadłem na pomysł stałej Radzieckiej Wystawy Przemysłowej, podobnej do wystaw organizowanych w Niemczech. Przedstawiłem tę propozycję w artykułach, które gazety wydrukowały wraz z moją fotografią i redakcyjną pochwałą „bolszewickiej inicjatywy”. Wówczas sporządziłem dokładny plan, uzupełniłem go szkicami i przedłożyłem Ordżonikidzemu. Nic nie wyszło z tej idei, ale mój kremlowski patron był zadowolony i na swój wylewny, kaukaski sposób dał mi to odczuć. Wystąpiłem z podobną propozycją wystawy rolniczej, z którą los obszedł się łaskawiej; jakiś czas później rzeczywiście doczekała się realizacji, chociaż o mojej inicjatywie nigdzie

nie wspomniano.

Mogłem się zwrócić o stanowisko bezpośrednio do Ordżonikidzego, jako człowieka numer jeden w radzieckim przemyśle, ale wolałem nie nadużywać jego przyjaźni. Oddałem się więc do dyspozycji Trubostalu, trustu metalurgicznego zajmującego się produkcją wszelkiego rodzaju rur i innych wyrobów stalowych dla całego kraju. Kierował nim Jakow Iwanczenko, który przez jakiś czas był dyrektorem zakładów im. Pietrowskiego i Lenina i dlatego dobrze mnie znał. Na konferencji w jego charkowskim biurze zdecydowano, że zostanę przydzielony do nowego kombinatu metalurgicznego w Nikopolu, który miał rozpocząć działalność w kwietniu.

Nie zapomniałem brudu, bałaganu i rozgoryczenia, które widziałem w Nikopolu jako członek partyjnej komisji, i było to przygnębiające wspomnienie. Wydawało się niewiarygodne, by ten zakład mógł rozpocząć produkcję, na przekór całemu marnotrawstwu i ludzkim cierpieniom. Uważałem, że Nikopol to symbol całej industrializacji – rozrzutny w szafowaniu życiem i materiałami, barbarzyński w swojej nieskuteczności, a mimo to jakoś funkcjonujący.

Moja matka i Jelena machały do mnie z przystani, dopóki statek wiozący mnie do Nikopola nie skręcił w zakole Dniepru. Byłem głęboko świadom, że rozpoczyna się nowy etap w moim życiu. Miałem dwadzieścia dziewięć lat, zaawansowany wiek jak na początek inżynierskiej kariery, ale zaczynałem wysoko – jako jeden z kierowników w wielkim przedsiębiorstwie przemysłowym. W ciągu jednej nocy wszedłem do elity radzieckiego społeczeństwa, stając się jednym z około miliona wysokich urzędników partyjnych, kierowników przemysłowych i funkcjonariuszy tajnej policji, którzy tworzyli nową rosyjską arystokrację.

Nikopol jest starym naddnieprzańskim miastem, pachnącym rzeką, otoczonym gęstymi lasami i polami pszenicy. Ten region słynął na cały świat ze swoich bogatych złóż manganu, metalu niezbędnego do produkcji stali. W pobliżu znajdują się również bogate pokłady żelaza, które czynią z miasta naturalny ośrodek metalurgiczny. Ulice i domy Nikopola przywołały nostalgiczne echa mojego dzieciństwa u dziadka Fiodora Pantielejewicza w sąsiednim Aleksandrowsku, znanym obecnie jako Zaporozże.

Niestety, sam zakład leżał daleko od miasta, na smętnym pustkowiu. Pięć tysięcy robotników nadal mieszkało w większości w prymitywnych barakach, lepszych niż te, które oglądałem z przerażeniem podczas pierwszej wizyty, ale i tak bardziej odpowiednich dla zwierząt niż dla ludzi. Zwyczajni robotnicy jadali w wielkiej, niehigienicznej stołówce; czystsza i lepiej zaopatrzona restauracja służyła brygadzystom i inżynierom; trzecia i dosyć nowoczesna restauracja została oddana

do dyspozycji garstce najważniejszych kierowników, którzy ponadto byli zaopatrywani w produkty hodowane na terenie fabryki. Takie rozróżnienie klasowe było w Rosji czymś tak głęboko zakorzenionym, iż jedynie cudzoziemcy uważali je za paradoksalne w „proletariackim” kraju.

Mnie zakwaterowano w obszernym, pięciopokojowym domu około półtora kilometra od fabryki. Był to jeden z ośmiu takich domów przeznaczonych dla kadry kierowniczej. Mój stał wśród wysokich drzew i miał ładny, dobrze utrzymany ogród oraz mały sad na tyłach. Był wyposażony w wannę, radio, a nawet dużą lodówkę. W garażu stał samochód, do mojej dyspozycji oddano też parę pięknych koni – były własnością fabryki, oczywiście, ale dopóki w niej pracowałem, praktycznie należały do mnie. Wraz z domem przydzielono mi kierowcę, stajennego i rosłą wieśniaczkę, która zajmowała się sprzątaniem i gotowaniem; kobiecie płaciłem, natomiast kierowca i stajenny figurowali na fabrycznej liście płac.

Moje wynagrodzenie wynosiło od 1500 do 1800 rubli miesięcznie, chociaż często, razem z premią, sięgało 2000, a nawet więcej. Łatwo ocenić, co to oznaczało w warunkach radzieckich, jeśli powiem, że brygadziści i wykwalifikowani robotnicy rzadko zarabiali więcej niż 400 rubli, natomiast pracownicy bez żadnych kwalifikacji od 120 do 175 rubli. Proletariusze, w których imieniu rządzono radzieckim państwem, nie korzystali z żadnych przywilejów, zarezerwowanych dla mnie i może jeszcze dziesięciu innych osób w całym kombinacie.

Pracowałem intensywnie, zawsze pod straszną presją. Dzień, kiedy spędzałem w zakładzie mniej niż dwanaście godzin, wydawał się niemal wakacjami, a zdarzało się, że nie opuszczałem fabryki przez dwie albo nawet trzy doby, ucinając sobie jedynie kilkugodzinną drzemkę na kanapie w swoim gabinecie. Mimo to czasem, sam w swoim pięknym domu, z hożą, rumianą Paszą przygotowującą dla mnie dobry posiłek w kuchni, z państwowym ogrodnikiem podlewającym mój ogród, z lodówką pełną świeżych warzyw, melonów, kawioru i śmietany, miałem wyrzuty sumienia.

Myślałem o ludziach w barakach, o ich dzieciach, o ich ponurej egzystencji. Czy mogłem ich winić za to, że, jak przypuszczałem, żywią do mnie urazę, a nawet mnie nienawidzą jako jednego ze swoich nowych panów? Jak miałem ich przekonać, że kontrast pomiędzy ich nędzą a moim komfortem to nie jest mój wybór, że ja też jestem tylko bezradnym trybikiem w ogromnej maszynie, że mój dobrobyt jest darem radzieckiego państwa i może zostać odebrany bez żadnego ostrzeżenia?

Szczerze pragnąłem nawiązać przyjacielskie stosunki z robotnikami. Rozumiałem ich; ich potrzeby i nadzieje były mi bliskie. Ale gdyby inżynier na moim stanowisku spoufalął się ze zwykłymi robotnikami,

mogliby się poczuć urażeni w swojej dumie, pomyśleć, że traktuję ich protekcyjnie. Poza tym dyrekcja krzywiła się na takie poufałości jako naruszenie dyscypliny. W teorii reprezentowaliśmy „władzę robotników”, ale w praktyce stanowiliśmy odrębną klasę. Pomiedzy hasłami a rzeczywistością ziała głęboka przepaść.

Ten sam towarzysz Braczko, który kierował budową fabryki, był teraz jej dyrektorem. Czas wygładził trochę szorstkość jego charakteru, czyniąc go sympatyczniejszym w kontaktach osobistych. Tylko Braczko i główny inżynier, Wiszniew, przewyższali mnie rangą w administracji technicznej. Najważniejszymi ludźmi w pionie politycznym byli: Aleksiej Kozłow, sekretarz fabrycznego komitetu partii, i towarzysz Starostin, przewodniczący organizacji związkowej.

Kozłow był starszym jegomościem, dosyć ludzkim, szczerze przejętym sytuacją robotników. Ale Starostin był najczystszej wody karierowiczem, a do tego głupim, słuźalczym i wulgarnym. Na szczęście jako działacz związkowy miał niewielką władzę. Ponieważ funkcjonariusze związków zawodowych bez pozwolenia partii nie mogli otworzyć ust, nie mówiąc już o podejmowaniu decyzji, byli generalnie ludźmi bez znaczenia.

Cała instytucja organizacji pracowniczych w warunkach dyktatury przypominała osobliwe resztki odległej przeszłości. Nie była to nawet mistyfikacja, ponieważ nikt się nie nabierał na farsę zebrań i decyzji, a już najmniej robotnicy. Związki, opłacane z ich skromnych pensji, troszczyły się jedynie o swoich członków. Starostin miał tak nikłe wpływy, że żaden z kierowników nie musiał się z nim liczyć, natomiast każde słowo Kozłowa było prawem.

My, kadra kierownicza, trzymaliśmy się oczywiście razem. Byliśmy świadomi swoich słabości i śmiesznośtek. Sekretarz Komitetu Miejskiego partii w Nikopolu, Brodski, rosły, tęgi mężczyzna, którego poznałem w Dniepropietrowsku, przyglądał się bacznie również naszym zakładom. Naczelnik nikopolskiego GPU, Dorogan, przyglądał się nam setkami oczu – za pośrednictwem wydziału specjalnego oraz zastępy zawodowych, ochotniczych i przymusowych informatorów w każdym warsztacie, biurze i wydziale.

Dorogan był gburowatym, porywczym człowiekiem o twarzy buldoga, człowiekiem wykutym przez Stwórcę z granitu, aby mógł służyć jako urzędnik policyjny w każdym reżimie. Pamiętałem takich jak on z czasów, kiedy carska tajna policja tropiła mojego ojca.

GPU zostało niedawno przemianowane. Nie było już Państwowym Zarządem Politycznym (GPU, później OGPU), lecz Ludowym Komisariatem Spraw Wewnętrznych, w skrócie NKWD. Najpierw WCzK, później GPU, OGPU, teraz NKWD; zmiana nazwy nie zmieniała metod ani strasznej reputacji tego „obnażonego miecza rewolucji”. Ludzi pracujących w tej budzącej grozę organizacji wciąż nazywano

czekistami, a jeszcze wiele lat po przemianowaniu na NKWD ludzie nadal mówili o GPU.

Z miejscową organizacją NKWD kontaktowaliśmy się zwykle nie za pośrednictwem jej szefa, Dorogana, lecz jego energicznego zastępcy, Gerszhorna, który kierował wydziałem gospodarczym NKWD w Nikopolu i okolicach. Ów Gerszhorn zajmuje specjalne miejsce w mojej prywatnej sali niesławy. Otyły, z chytrymi małymi oczkami osadzonymi głęboko w nalanej, gładko wygolonej twarzy i łysą spiczastą czaszką, był na przemian przymilny i grubiański w zależności od tego, z kim rozmawiał. Jeśli miał w sobie choć iskrę ludzkiej przyzwoitości, podczas naszej długoletniej, nieprzyjemnej znajomości nie dostrzegłem żadnych jej śladów.

Przez pierwszy miesiąc zajmowałem się głównie montażem maszyn i innymi pracami przygotowawczymi do uruchomienia produkcji. Były tam dwie walcownie rur, z których każda zatrudniała około półtora tysiąca robotników, a mnie powierzono pieczę nad jedną z nich. Pod koniec czerwca produkcja ruszyła. Lubiłem odpowiedzialność, mimo związanego z nią ryzyka, i w swoim zapale, by utrzymać ciągłość pracy na trzy zmiany, ledwo znajdowałem czas na sen.

Od czasu do czasu, kiedy szedłem przez zakład i widziałem, że wszystko idzie gładko, czułem się niewypowiedzianie szczęśliwy. W takich chwilach wiedziałem, co to znaczy „czerpać radość z pracy”. Gdyby tylko było tam mniej szpiegów, mniej podejrzliwości, gdyby zniknął strach, który paraliżował ludzkie umysły i tak nieznośnie tłamsił ich dusze!

Doskonale wiedziałem, że każdy mój krok jest śledzony i zapisywany, nie tylko w zakładzie, lecz również w moim życiu prywatnym. Przyjmowałem za pewnik, że moja sekretarka, kobieta w średnim wieku nazwiskiem Tuwina, zgorzkniała i sprawna, donosi na mnie; podobnie jak mój kierowca, moja gospodyni i przynajmniej jeden, a być może wszyscy moi zastępcy. Spychałem tę wiedzę w odległe zakamarki umysłu, ale zawsze tam była, wdzierając się w moją pracę i moje myśli.

Ustawicznie przekonywałem się, że każde słowo wypowiedziane na naradach produkcyjnych, które zwoływałem, dociera do Hantowicza, szefa wydziału specjalnego, a za jego pośrednictwem do Gerszhorna. W tych naradach nie było nic tajnego ani znaczącego: z radością sporządzałyby stenogramy, żeby wszyscy mogli je zobaczyć. To sama taktyka szpiegowania napawała mnie niesmakiem. Ponieważ nigdy nie myślałem o sobie jako o potencjalnym „szkodniku”, szpiegowanie wydawało mi się przykre, wręcz obraźliwe.

Żaden proces produkcyjny nigdy nie przebiega perfekcyjnie. Maszyny się psują, zdarzają się błędy, zmęczeni ludzie stają się nieuważni, plany produkcji okazują się niewykonalne. Dzieje się tak zwłaszcza w nowych

fabrykach, wyposażonych w zagraniczne maszyny i zatrudniających niedoświadczonych robotników prosto ze wsi. Mimo to każdy nieprzewidziany incydent powodował, że natychmiast zbiegali się ludzie z NKWD, próbując wywęszyć „sabotaż” lub „szkodnictwo”. Odbywały się otwarte przesłuchania w biurach wydziału specjalnego, a często tajne nocne przesłuchania w siedzibie NKWD.

Poleciałem, aby w razie wypadku, choćby najbardziej błahego, od razu mnie wzywano, nawet w środku nocy. Ale niezależnie od tego, jak szybko biegłem, gorliwcy z NKWD zawsze byli tam przede mną, nieubłagani, podejrzliwi, ironicznie oskarżycielscy.

W takiej atmosferze pracowałem od początku. Starsi inżynierowie i pracownicy administracji traktowali ją jako naturalny klimat radzieckiego przemysłu i prywatnie żartowali na temat wszechobecnego „pisarzy” na terenie kombinatu. Ja nigdy do końca nie przyzwyczaiłem się do tego. A z każdym mijającym miesiącem ten stan się pogarszał, w miarę jak wielka czystka, zapoczątkowana śmiercią Kirowa, nabierała rozpędu. Po roku Nikopol przypominał już nie zakład przemysłowy, lecz teren łowiecki dla czekistów i ich tajnych informatorów.

3

Moja matka przyjechała z wizytą. Była pod wrażeniem eleganckiego domu, pięknych mebli, mnóstwa nowoczesnych wygód, a zwłaszcza faktu, że mam pięć pokoi tylko dla siebie. Jej drugi syn rzeczywiście „wyszedł na ludzi”! Kuchnia, z wielką lodówką i obfitymi zapasami, przyciągała ją jak magnes. Kiedy zaprosiłem kilku kolegów na kolację i przyjęcie na jej cześć, uparła się, że sama będzie gotować. Pasza przyglądała się z podziwem, jak matka jej pracodawcy przygotowuje dla niego ulubione dania z dzieciństwa.

Po kolacji przyszło kilku innych gości, w tym brygadzysta i paru robotników z zakładów. Wszyscy traktowali drobną kobietę o siwych włosach i smukłej figurze z największą galanterią. W pewnym momencie szepnęła mi do ucha:

- Ludzie bardzo cię poważają, Witiu. Widzę to po ich zachowaniu. To dobrze, bardzo dobrze!

Następnego ranka, całując matkę na pożegnanie, poprosiłem ją, żeby się nie nudziła, gdyż wrócę do domu bardzo późno. Nie podejrzewałem, iż ma własne plany na ten dzień. Pierwszą wskazówkę otrzymałem po południu. Jeden z inżynierów powiedział, że widział moją matkę w stołówce, rozmawiającą z kucharkami i kelnerkami. Pewnie ktoś dał jej przepustkę, pomyślałem, a kobieca ciekawość zaprowadziła ją prosto do kuchni.

Tej nocy wróciłem tak późno, że matka już spała. Następnego dnia

znów powiadomiono mnie, że jest na terenie fabryki - „grasuje z notesem w rękę”, jak ujął to mój informator. Słyszałem, że poszła do baraków, do spółdzielczych sklepów, do żłobka. Miałem bardzo męczący dzień i zabrakło mi czasu, żeby martwić się o matkę, która „grasowała”.

Kiedy wieczorem wróciłem do domu, zastałem ją siedzącą przy moim biurku, w okularach w stalowej oprawce na małym nosie, i zajętą pisaniem w bardzo urzędowym stylu. O nic nie pytałem, czekając cierpliwie, aż odezwie się pierwsza. Po kolacji, kiedy Pasza sprzątnęła ze stołu, matka oznajmiła:

- A teraz, Witiu, chcę z tobą poważnie porozmawiać.

- Dobrze. Co cię martwi, mamó?

Jak urzędnik składający raport swojemu kierownictwu, poinformowała mnie, że przeprowadziła dokładną inspekcję fabryki: baraków, żłobków, klubów, urzędzeń kąpielowych i sanitarnych. W jej głosie brzmiała reprimenda.

- Jestem wstrząśnięta tym, co zobaczyłam - podsumowała. - Czy zdajesz sobie sprawę, jak się tutaj traktuje robotników? Dla twoich dyrektorów i kierowników jest pod dostatkiem wszystkiego, ale tam, gdzie w grę wchodzi zwykli robotnicy, jest tylko brud i nędza. Kuchnia jest okropna. Jadłospis śmiertelnie jednostajny. A baraki - powiedz mi, naprawdę myślisz, że są odpowiednie dla radzieckich robotników?

- Dlaczego masz pretensje do mnie? Robię, co mogę. To nie moja wina.

- Jesteś tutaj jednym z kierowników, Witiu, i powinieneś czuć się odpowiedzialny. Spójrz, jak sam żyjesz - czy ten kontrast nie ciąży ci na sumieniu?

- Boję się, że nie rozumiesz, mamó. My, kierownicy, nie jesteśmy szefami w dawnym znaczeniu. Polecenia przychodzą z centrali, a my mamy związane ręce. Kazałem pomalować stołówkę. Domagam się, żeby szorowano ją trzy razy dziennie, po każdym posiłku. Ale poza takimi drobiazgami jestem bezsilny. To jest kwestia rozpiętości płac, budownictwa mieszkaniowego, budżetu, cen odzieży i żywności - rzeczy ustalanych w Moskwie. Ja mam pełne ręce roboty przy produkcji rur.

- Przynajmniej powinieneś znać fakty! Zrobiłam notatki. Czy wiesz, że kobiety muszą jeździć lub chodzić na zakupy do miasta sześć kilometrów i więcej? Dlaczego tu nie ma targu, na który kolchoźnicy mogliby przywozić swoje produkty? Widzę, że masz piękną białą łazienkę tylko dla siebie. Ale robotnicy, kilka tysięcy, mają tylko wstrętą kłitkę, która nie zasługuje na miano łazienki - i nawet ta nie działa. W takim przedsiębiorstwie jak to, wybudowanym za dziesiątki milionów, dlaczego nie ma przyzwoitych łazienek dla mężczyzn i dla kobiet? I jeszcze jeden przykład, Witiu: żłobki. Za mało pościeli, za mało

lekarstw, za mało wszystkiego.

- Kreślisz obraz czarniejszy, niż jest w rzeczywistości - powiedziałem słabo. Nie wątpiłem, że moja matka ma rację.

- Nie winię cię, synu, ale gdybyś wiedział i gdyby inni dyrektorzy wiedzieli, może coś by z tym zrobili.

Do tego czasu rzeczowy sposób bycia mojej matki już znikł. Była to poza, której nie mogła utrzymać długo. Oczy zaszły jej łzami. Bolało ją to, co zobaczyła - zwłaszcza w porównaniu z wygodami, w jakich żył jej syn.

Kilka dni po jej wyjeździe do Dniepropietrowska towarzysz Kozłow zwołał naradę kierowników technicznych, działaczy partyjnych i związkowych. Gabinet był przepełniony, zanim tam dotarłem. Na porządku dziennym jest tylko jedna kwestia, mówił Kozłow, a mianowicie warunki życia naszych robotników. Zadrżałem z podniecenia. Oto, wcześniej niż przypuszczałem, pojawiła się sposobność do przedstawienia administracji faktów, które zebrała dla mnie matka! Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, pomyślałem.

Wielu ludzi mówiło ogólnikami przewidzianymi dla tego tematu. Oczywiście, warunki są straszne, ale co można zrobić? Kiedy przysłała moja kolej, byłem w stanie wyłożyć konkrety. Mając świeżo w pamięci wykład mojej matki, zacząłem je wyliczać.

Zorientowałem się, że powtarzam nie tylko zebrane przez nią fakty, ale również jej gniew, jej smutek, jej wyrzuty. Większość moich słuchaczy była tak samo poruszona jak ja kilka dni temu. Tyle moglibyśmy zrobić, powiedziałem, nawet ze skąpymi środkami, które są do naszej dyspozycji, gdybyśmy nie byli tak zajęci „własnymi sprawami”. Na początek zacznijmy traktować również codzienne problemy robotników jako „nasze sprawy”, oznajmiłem.

- Skąd Krawczenko ma tyle informacji? - spytał ktoś.

- Och, to ta jego matka - odezwał się Starostin, przewodniczący związku; w jego głosie zabrzmiała nuta szyderstwa. - Nie wiecie? Jest samozwańczą brygadą śledczą, wtyka wszędzie nos i węszy jak *barynia* na swoich włościach... „Wielka dama” myśli, że Nikopol należy do niej, bo jej syn jest tu jednym z kierowników. Wiemy, po co to wścibstwo... Buduje kapitał polityczny dla syna!

Podniosła się ogólna wrzawa. Wszyscy mówili jednocześnie. Krew uderzyła mi do głowy i zaniemówiłem z wściekłości. Kozłow ścisnął moje ramię, żeby mnie powstrzymać.

- Cisza, towarzysze! - zabębnił dłonią w biurko. - Towarzysz Starostin mówi jak idiota. Matka Krawczenki nie jest *barynią* i on doskonale o tym wie. Jest żoną starego robotnika, weterana rewolucji 1905 roku i więźnia caratu. Powinniście się wstydzić, że ją atakujecie. A może chcecie ukryć własne lenistwo i obojętność na położenie robotników?

Rozległ się ryk śmiechu. Przewodniczący związku był powszechnie znienawidzony, a tutaj nadarzyła się znakomita sposobność, żeby go ośmieszyć z błogosławieństwem sekretarza partii.

- Przypadkiem wiem, że ta starsza kobieta próbowała się z wami zobaczyć, ale nie chcieliście jej przyjąć - ciągnął Kozłow. - Z pewnością nie życzyliście sobie, żeby zwracano wam głowę takimi bzdurami jak pluskwy w barakach i brudne pieluszki w żłobkach. Ale ja z nią rozmawiałem - wykazała ten rodzaj radzieckiej inicjatywy, który wiele zmienia!

A więc moja matka nie tylko zbadała wszystko, ale poszła ze swoimi odkryciami do najważniejszych ludzi! Tego mi nie powiedziała. A ta narada nie była kwestią przypadku, lecz bezpośrednim rezultatem jej „wścibstwa”. Co za dobroć i odwaga! Mimo zakłopotania, na jakie mnie naraziła, w moim sercu wezbrała czułość.

W następnych miesiącach naiwne wstawiennictwo mojej matki przyniosło owoce. W pobliżu zakładów utworzono kołchozowy targ. Żłobki zostały posprzątane i zaopatrzone w pościel. Zapowiedziano budowę nowej łaźni. Pojawiło się kilka innych drobnych udogodnień. Wieść o kampanii pani Krawczenko rozeszła się wśród robotników, a na jej syna spłynęła część „chwały”.

4

Pewnego wieczoru zauważyłem swoją sekretarkę, towarzyszkę Tuwinę, wychodzącą z gmachu nikopolskiego NKWD. Nigdy nie wątpiłem, że na mnie donosi; szpiegowanie szefa to główne zajęcie radzieckich sekretarek. Ale przekonanie to jedno, niezbity dowód to zupełnie coś innego. Następnego dnia poleciłem działowi personalnemu, żeby usunął tę kobietę z mojego gabinetu i przydzielił mi kogoś innego, najlepiej mężczyznę.

Kilka dni później mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna zjawił się u mnie z notatką od szefa działu kadr. Osłupiałem na jego widok. Pierwszym skojarzeniem, jakie przyszło mi do głowy, kiedy na niego spojrzałem, był „strach na wróble”. Przypominał szkielet obwieszony łachmanami. Buty miał dziurawe, spodnie połatane, marynarka wyglądała jak skrojona nieudolnie ze starego worka. Nawet w warunkach radzieckich był wyjątkowym okazem nędzy. Ale jego wychudzona twarz była kształtnie ciosana, a nawet atrakcyjna pod rudymi włosami, siwiejącymi na skroniach.

- Wiem, jak wyglądam, towarzyszu Krawczenko - powiedział - ale błagam was, nie bierzcie mi tego za złe. Widzicie, właśnie wyszedłem z obozu po odbyciu czteroletniego wyroku. Dział personalny o tym wie. Jeśli dacie mi szansę, będziecie zadowoleni z mojej pracy.

Wysławiał się jak człowiek wykształcony. Mój początkowy wstręt zamienił się w litość. Ten biedak najwyraźniej wiele wycierpiał. Kazałem przynieść kawę i kanapki. Próbował się powściągać, jedząc powoli i spokojnie, ale było widać, że jest wygłodzony. Kiedy rozmawialiśmy, zadzwonił telefon. To był Romanow, ważny i lubiany urzędnik z innego działu. Romanow, chociaż bezpartyjny, cieszył się zaufaniem administracji, od Kozłowa w dół.

- Wiktorze Andriejewiczu - powiedział - wyświadczycie mi osobistą przysługę, jeśli zatrudnicie obywatela Gromana, który jest teraz w waszym gabinecie. Mimo jego przeszłości to człowiek godny zaufania.

- Od dawna go znacie?

- Nie, ale mogę za niego poręczyć.

- Dziękuję, to miło z waszej strony, że mi o tym mówicie.

Podczas gdy Groman czekał w przedpokoju, ja zatelefonowałem do NKWD i połączono mnie z Gerszhornem. Musiałem go poinformować, ponieważ mój sekretarz miał do czynienia z ważnymi oficjalnymi dokumentami. Powiedziałem mu, w czym rzecz, a on poprosił, żebym chwilę zaczekał. Po krótkiej przerwie wrócił do telefonu i zapewnił mnie, że nie ma zastrzeżeń, jeśli pod innymi względami ten człowiek wydaje mi się odpowiedni.

Kiedy oznajmiłem byłemu więźniowi, że za kilka dni będzie mógł rozpocząć pracę, uśmiechnął się po raz pierwszy. Jego wdzięczność wprawiła mnie w zakłopotanie. Dałem mu zaliczkę i zadzwoniłem do fabrycznego magazynu, żeby wydano mu ubranie. Pomogłem mu też, za pośrednictwem swojego zastępcy, znaleźć wygodny pokój w jednym z fabrycznych mieszkań.

Szybko okazało się, że Groman jest inteligentny i zdolny. Zdjął z moich barków wiele uciążliwych obowiązków. Lepiej ubrany, powoli przybierający na wadze, z błyszczącymi oczami, wyglądał jak nowo narodzony. Często przychodził do mnie, żeby pracować, a ja czasami odwoziłem go później do domu. Nasze wzajemne relacje były dosyć swobodne. Podziękowałem Romanowowi za to, że polecił mi pierwszorzędnego sekretarza.

Minęło wiele tygodni. Pewnego ranka Groman nie przyszedł do pracy. Uznałem, że zachorował. Kiedy nie pojawił się następnego dnia, zacząłem się niepokoić i postanowiłem wysłać kogoś do jego mieszkania, żeby sprawdzić, co się stało. Nie miał telefonu. Przeglądając jakieś papiery na biurku, natknąłem się na plik kartek, pokrytych odręcznym pismem i spiętych spinaczem. Rozpoznałem charakter pisma Gromana. Zacząłem czytać, instynktownie nie dotykając kartek.

Drogi Wiktorze Andriejewiczu, kiedy będziecie czytać te słowa, nie będzie mnie już w Nikopolu. Spróbuję uciec z tego straszliwego kraju. Nawet śmierć będzie lepsza niż życie w niewolnictwie...

Oblał mnie zimny pot. Nerwowo zamknąłem drzwi. Potem założyłem rękawiczki i podniosłem list. Był to niezwykle dokument. Chociaż nie pamiętam go dosłownie, treść wyryła się na zawsze w mojej świadomości:

Dziękuję Wam z głębi prawdziwego rosyjskiego serca za to, co dla mnie zrobiliście. Wasza dobroć obudziła we mnie ludzkie uczucia, które od dawna uważałem za martwe. To, szczerze mówiąc, jeden z powodów, dla których postanowiłem uciec. Jeśli Bóg mi pomoże, przekroczę granicę. Jeśli mnie złapią, zostanę oczywiście rozstrzelany.

Nienawidzę reżimu radzieckiego i jego policji śmiertelną nienawiścią. Chociaż nie popełniłem żadnej zbrodni - chyba że umiłowanie wolności jest zbrodnią - przeszedłem przez izby tortur i więzienne izolatki. Kiedy zostałem zwolniony, uświadomiłem sobie, że moja wolność będzie krótkotrwała i że nawet nie znajdę pracy, jeśli nie zgodzę się służyć moim oprawcom.

Wieczorem w przeddzień naszego spotkania przyjechałem do Nikopola z obozu, tak jak mi kazano. Poszedłem do NKWD i zaprowadzono mnie do Gerszhorna. Właśnie tak trafiłem do was. Wszystko, co się wydarzało - łącznie z rekomendacją Romanowa - było częścią paskudnej komedii, której byliście ofiarą.

Nie miałem nic przeciwko pracy szpiega. Ponieważ nienawidzę komunistów, uznałem, że zyskam okazję do zemsty, wpędzając kilku z nich w kłopoty, im głębiej, tym lepiej. Patrzyłem na Was jak na swoją pierwszą ofiarę. Ale wkrótce nabrałem do Was szacunku i znienawidziłem się za to, co zamierzałem zrobić.

Chcę, żebyście wiedzieli, że jeśli chodzi o Was, byłem głównym informatorem. Kiedy człowiek przejdzie przez czyszciec NKWD, ufają mu. Te diabły wiedzą, że strach utrzyma ich ludzkie narzędzia w posłuchu. Inni agenci, którzy działają w Waszym zakładzie i w biurach, składali mi codziennie meldunki. Raz w tygodniu zestawiałem te informacje w ogólny raport, w którym opisywałem Waszą pracę, Wasze słowa, Waszych przyjaciół, a nawet Wasz wyraz twarzy, wraz z niedociągnięciami w pracy Waszego zakładu.

Chociaż szpiedzy nie znali się nawzajem, ja znałem ich wszystkich. Jedno, co mogę zrobić, z wdzięczności za Wasze współczucie, to ich Wam ujawnić.

Tutaj następowała lista. Obejmowała również Romanowa, jowialnego Romanowa, któremu wszyscy ufali i którego lubili za miły, ojcowski sposób bycia. Obejmowała kilku moich najbliższych kolegów w zakładzie, brygadzystów, zwykłych robotników, urzędników w komisariacie. Sieć informatorów przenikała wszystkie warsztaty i biura w fabryce, pokrywała wszystkie etapy procesu technologicznego.

Strzeżcie się tych ludzi, Wiktorze Andriejewiczu! Nie mają szacunku dla prawdy. Ich kariery zależą od wykrywania spisków, dlatego nie mogą oprzeć się pokusie wymyślenia spisków, aby je następnie wykrywać. Musicie wiedzieć, że ludzie, którzy zostali złamani fizycznie i zdemoralizowani psychicznie przez czekistów, zrobią wszystko, zeznają wszystko, oskarżą każdego. Jest kilku takich wokół Was - znowu podał nazwiska - ponieważ nie byłem jedynym.

Zapewne będziecie podejrzewać, że ten list jest pułapką. Nie mogę mieć do Was o to pretensji. Mogę tylko przysiąc na Boga i moją świętą matkę, że mówię prawdę, że próbuję odkupić tygodnie szpiegowania człowieka, który był dla mnie dobry i dostrzegł we mnie ludzką iskrę. Pozostawiam Waszemu wyczuciu, czy mi uwierzycie.

Jeśli pokażecie ten list Gerszhornowi, powie, że jestem kłamcą, i natychmiast przetasuje swoją sieć informatorów. Ale jeśli mi zaufacie - zniszczycie list, udacie oburzenie z powodu mojego tajemniczego zniknięcia, oni nie będą podejrzewać, że ich zdradziłem. Bez względu na to, co zdecydujecie, błagam Was na wszystko, co dla Was święte, dajcie

mi przynajmniej jeden dzień zwłoki, zanim zameldujecie o mojej nieobecności. Ten dodatkowy dzień może stanowić różnicę pomiędzy życiem a śmiercią. Zaklinam Was na kolanach, drogi Wiktorze Andriejewiczu.

Dziękuję Wam za wszystko, co dla mnie zrobiliście. Dziękuję, że pomogliście odrodzić przyzwoitego człowieka, którego oprawcy prawie we mnie zabili. Jeśli pozostanę przy życiu, zawsze będę się za Was modlił.

Jakiś wewnętrzny impuls kazał mi zaufać zbiegowi. Może zacząłem mu ufać, kiedy otworzył się przede mną podczas naszych przypadkowych rozmów w minionych tygodniach. Mimo tej wewnętrznej pewności, czułem, że igram z życiem, przepisując nazwiska, które mi podał. Potem spaliłem list, starannie usuwając wszelkie ślady popiołu.

Pod koniec dnia wysłałem gońca do mieszkania Gromana. Następnego ranka zameldował, że rodzina, u której mieszkał Groman, nie widziała go od dwóch dni. Wtedy zatelefonowałem do działu personalnego i z udawanym gniewem zapytałem, dlaczego nie mogą mi znaleźć bardziej odpowiedzialnego sekretarza. Nie przychodzi już trzeci dzień, bez żadnego usprawiedliwienia, poskarżyłem się.

W ciągu godziny zjawił się sam Gerszhorn, bardzo wzburzony, w towarzystwie umundurowanych ludzi. Zadawali mi pytania, przetrząsnęli biurko Gromana i poszli. Nigdy się nie dowiedziałem, czy zbieg zdołał uciec. Szanse na potajemne przekroczenie radzieckiej granicy są bardzo nikłe, a mimo to setki ludzi dokonały tego wyczynu.

Informacje o szpiegach wokół mnie okazały się pomocne. Pozwoliły mi lepiej się pilnować, a czasami ochraniać innych. Jeśli chciałem, żeby coś natychmiast dotarło do uszu NKWD, wystarczyło, że wspomniałem o tym mimochodem w obecności informatora w narzędziowni, szefa działu obróbki końcowej, inżyniera Makarowa, brygadzysty Judawina, działacza związkowego Iwanowa, który był zastępcą Starostina. Kontakty towarzyskie z Romanowem stały się ciężką próbą, ale nie mogłem go unikać bez wzbudzania podejrzeń.

Następczynią Gromana została młoda, ładna i pracowita komsomołka. Z pewnością pozbierała szpiegowskie nici tam, gdzie zostawił je nieszczęsny Groman.

Na liście Gromana figurowało nazwisko mojego kierowcy, co nie było dla mnie wielkim zaskoczeniem. Składał raporty bezpośrednio w wydziale informacyjnym NKWD, a nie w wydziale gospodarczym Gerszhorna. Ale mojej gospodyni Paszy nie znalazłem na liście. Z czasem jednak odkryłem, że było to albo przeoczenie, albo Groman po prostu o niej nie wiedział.

Pewnego dnia, kiedy Pasza była w moim domu już prawie rok, wróciłem z podróży do Moskwy. Pomogła mi rozpakować dwie walizki. Kupiłem jej kilka prezentów - kolorową chustkę, kilka par bawełnianych pończoch, parę domowych pantofli. Przyjęła je, jak mi się zdawało, z dziwną rezerwą.

- Nie podobają ci się, Pasza? - spytałem.

- Och, tak, podobają, i bardzo wam dziękuję, Wiktorze Andriejewiczu.

Ale tego samego wieczoru, po przyrządzeniu mi kolacji, Pasza weszła do jadalni, niosąc prezenty. Płakała głośno, jak to mają w zwyczaju chłopi. Spojrzałem na nią z niespokojnym zdziwieniem.

- Nie mogę przyjąć tych rzeczy, Wiktorze Andriejewiczu - szlochała. - Proszę, weźcie je z powrotem.

- Dobrze, ale powiedz mi dlaczego? O co chodzi?

- Niech mi Bóg wybaczy - przeżegnała się - ale nie mogę wam powiedzieć. Nie każcie mi tylko brać tych prezentów.

Nalegałem jednak, a kiedy zobowiązałem się do zachowania tajemnicy, w końcu mi powiedziała. Wszystko sprowadzało się do tego: nie może przyjąć prezentów od dobrego człowieka, na którego donosi.

- Tak, odkąd tutaj przyszłam, zgłaszałam się raz w tygodniu do NKWD - powiedziała. - Przyjechałam ze wsi i dostałam pracę. Ale jak tylko przydzielili mnie do waszego domu, kazali mi przyjść do NKWD i powiedzieli, co mam robić. Odmówiłam i rozplakałam się, powiedziałam, że moja religia na to nie pozwala, ale człowiek w mundurze powiedział tylko: „Pasza, nie bądź głupia. Chcesz, żeby twój ojciec wrócił z zesłania, prawda? Jeśli będziesz nam dobrze i lojalnie służyć, postaramy się o to”.

- Raz w tygodniu chodzę do prywatnego domu w Nikopolu i mówię wszystko, co wiem, jacy ludzie tu przychodzą i co mówią. „A nie pomstują na rząd?” - pytają mnie, a ja zawsze się żegnam i mówię: „Nie, na odwrót”. Śmieją się, kiedy robię znak krzyża, bezbożnicy!

Zapewniłem Paszę, że ma moje przebaczenie. Nigdy nie wspomnę o tym, co mi powiedziała, przyrzekłem jej, pod warunkiem że ona też będzie trzymać język za zębami. Przekonałem ją nawet, że skoro już się przyznała, powinna przyjąć moje prezenty.

Przez resztę mojego pobytu w tym domu Pasza nadal na mnie donosiła. Nigdy nie wracaliśmy do jej rozpaczliwego wyznania. Ale kilka razy zadawała mi pytania, żeby się upewnić, jak przypuszczałem, czy powinna mówić o niektórych rzeczach. Dawałem jasno do zrozumienia, że nie mam nic do ukrycia, a to, co ona przemilczy, tak czy inaczej powtórzą inni.

5

W Nikopolu było zwykle kilku cudzoziemców, Amerykanów i Niemców, którzy instalowali importowane maszyny i podnosili ich wydajność. Dla Rosjan, na górze i na dole, stanowili zawsze przedmiot fascynacji i strachu. Przystawać z nimi - nawiązywać „kontakty z wrogami klasowymi” - było niebezpiecznie, ale sama aura zagrożenia, która ich

otaczała, wywoływała dreszczyk emocji. Dobrze ubrani, nieskrępowani w słowie i zachowaniu, wydawali się istotami z innej planety. Całkowita swoboda, z jaką pracowali, rozmawiali, a nawet, do pewnego stopnia, krytykowali – jakby nie było NKWD, Gerszhorna, donosicieli – wywierała niesamowite wrażenie.

Kiedy towarzysz Braczko zaproponował, abym przyjął dwóch Amerykanów do swojego domu, byłem szczerze zaniepokojony. Obaj pochodzili z miasta o nazwie Youngstown. Praca miała ich zatrzymać w Nikopolu przez kilka miesięcy. Miejscowy hotel był nędzny. Jako kawaler z wielkim domem tylko dla siebie, nie mogłem odmówić. Ale bałem się konsekwencji tych wymuszonych „kontaktów z elementami obcymi klasowo”.

Larry i Joe byli wysocy, jasnowłosi, dobrodusznymi, oszołomieni ponurym otoczeniem i najwyraźniej tęsknili za domem. W ciągu miesięcy, kiedy u mnie mieszkali, zaprzyjaźniliśmy się mimo trudności językowych. Ani razu nie poruszyli kwestii politycznych. Obywatelowi radzieckiemu, dla którego polityka i życie stanowiły niemal jedność, ta obojętność wydawała się nie tylko niewiarygodna, ale nienaturalna. Amerykanie byli zaprzątnięci swoją pracą. Kiedy wyczerpywały się związane z nią tematy, opowiadali anegdoty, grali w karty i dopytywali się o „przyjęcia”. Towarzyscy i całkowicie szczerzy w kontaktach z innymi, nie potrafili zrozumieć, dlaczego trzyma się ich w ścisłej izolacji, dlaczego ludzie, z którymi pracują w fabryce, nigdy ich nie zapraszają.

Larry i Joe mieszkali u mnie od kilku tygodni, kiedy pewnego dnia wczesnym rankiem zatelefonował do mnie Gerszhorn.

– Wasi Amerykanie jadą dzisiaj na polowanie – poinformował mnie.

– Rozumiem. I co?

– Chcę, żebyście do mnie zatelefonowali, gdy tylko wyjadą. Powiedzcie swojej służącej, żeby wzięła sobie wolny dzień i nie wracała przed piątą.

Po śniadaniu Amerykanie, w doskonałych humorach, wyruszyli w góry. Pokleпали mnie po plecach na swój wylewny sposób i obiecali przynieść mi wszystko, co ustrzelą. Nie miałem innego wyjścia jak zadzwonić do NKWD. Około jedenastej zjawił się Gerszhorn w towarzystwie jeszcze jednego człowieka. Weszli do mojego domu jak do siebie i zaczęli się rozglądać, jakby znali każdy szczegół jego topografii. Przyszła mi do głowy niepokojąca myśl: zapewne przeszukiwali to miejsce często pod moją nieobecność!

W pokoju należącym do moich gości agenci przeprowadzili drobiazgową rewizję. Zbadali zawartość kieszeni, paski od spodni, mankiety koszul, wyłogi płaszczy, podeszwy butów, wszystko, co mogłoby służyć jako skrytka. Dokładnie przejrzeliby wszystkie książki, czasopisma, notesy i listy. Niektóre rzeczy sfotografowali; starannie spisali wszystkie miejscowe nazwiska i numery telefonów. Gerszhorn

wydawał się szczególnie zaintrygowany amerykańskimi przyborami do golenia. Ścisnął uchwyty brzytwy, potrząsał nimi, studiował pędzle i obmacywał tubki z kremem, zapewne przekonany, iż są to najbardziej prawdopodobne przechowalnie amerykańskich sekretów. Towarzysz Gerszhorna nie był miejscowym funkcjonariuszem; najwyraźniej dobrze znał angielski.

Do czwartej rewizja została zakończona. Funkcjonariusze nic nie znaleźli, bo na ich twarzach nie malowała się radość z dokonanego odkrycia.

- Rozumiecie oczywiście, towarzyszu Krawczenko, że nikt nie może się o tym dowiedzieć - powiedział Gerszhorn. - Jeśli będzie jakiś przeciek, NKWD obarczy was odpowiedzialnością. Podpiszcie zobowiązanie.

Był to formularz znany każdemu, kto miał do czynienia z tajną policją: „dobrowolne” zobowiązanie do zachowania tajemnicy. Po odejściu czekistów snułem się po pokojach, przygnębiony, obcy we własnym domu. Wstydziłem się spojrzeć w oczy Amerykanom, kiedy wrócili, i znalazłem sobie pretekst, żeby wyjść tego wieczoru.

Żaden z nich, jestem tego pewien, nie podejrzewał, że ich rzeczy osobiste zostały przeszukane, lub, skoro już o tym mowa, że każda minuta ich pobytu w Rosji była obserwowana i rejestrowana. W chwili wylewności, długo po wyjeździe obu Amerykanów z Nikopola, Gerszhorn pozwolił mi zerknąć w ich akta. Zawierały między innymi fotografie ukazujące cudzoziemców w kompromitujących okolicznościach z jakimiś kobietami w moskiewskim hotelu. Nawet im przez myśl nie przeszło, że ukryte kamery rejestrują ich przelotny romans. Gerszhorn mlaskał z uznaniem grubymi wargami, kiedy pokazywał mi jedno kiepskie zdjęcie po drugim.

- Ale po co wam one? - spytałem. - Ci ludzie już od dawna są z powrotem w Ameryce.

- Tak, są z powrotem w Ameryce. Ale czy możecie być pewni, że nie zaczną wypisywać jakichś obelżywych kalumni o naszej socjalistycznej ojczyźnie, tak jak to robią niektórzy amerykańscy łajdacy, kiedy już wezmą nasze złoto i zeżrą nasze najlepsze jedzenie?

Inny cudzoziemski inżynier, którego niemiłe przygody w Nikopolu utkwily mi w pamięci, nazywał się Lentz. Był Niemcem, dobrze zbudowanym, o grubej szyi, która układała się w trzy wyraźne fałdy. Przysłano go, żeby zainstalował importowane maszyny. Chociaż przydzielono mu dwie tłumaczki, wolałem rozmawiać z nim za pośrednictwem jednego ze swoich ludzi w zakładzie, Juriewa, który mówił trochę po niemiecku.

Jedną z tłumaczek Lentza była pracownica dniepropietrowskiego NKWD, przeniesiona specjalnie w tym celu do Nikopola.

Trzydziestokilkuletnia, obrotna i dosyć ładna, nie miała żadnych trudności z wykonaniem swojego zadania. Niebawem stało się publiczną tajemnicą, że Aleksandra żyje z Lentzem. Popisywała się jedwabnymi pończochami, zagranicznymi torebkami i innymi wiele mówiącymi prezentami. W NKWD jednak musieli uznać, że jedna kobieta nie wystarczy, i przydzielili mu jeszcze młodą Nataszę.

Natasza była córką popa, zesłanego kilka lat wcześniej, i dlatego w mieście dobrze ją znano. Niespełna dwudziestoletnia, odznaczała się delikatną, dziecięcą urodą. Od Juriewa dowiedziałem się, że zmuszono ją, by została tłumaczką Lentza groźbami wobec jej ojca i obietnicą, że będzie mu wolno z nią korespondować.

Pewnej słonecznej niedzieli Niemiec, jego dwie tłumaczki i ich rzekomy przyjaciel, „automobilista”, poszli popływać motorówką po Dnieprze. Zabrali mnóstwo jedzenia, wino, wódkę i jako romantyczny dodatek gramofon z rosyjskimi i niemieckimi płytami. Po pikniku w chłodnym i czarującym miejscu na brzegu rzeki „automobilista” wybrał się na spacer ze starszą kobietą. Lentz, trochę już rozochocony winem, towarzystwem kobiet i niemieckim śpiewem, został w towarzystwie powabnej Nataszy.

Jak należało oczekiwać, zaczął się do niej umizgiwać. Dziewczyna, na wpół prowokująco, na wpół nieśmiało, opierała się jego zalotom. Lentz stawał się coraz bardziej natarczywy. W momencie, kiedy rozerwał dziewczynie bluzkę, odsłaniając piersi, usłyszał w pobliskich zaroślach jakichś hałas. Porzucił swoją zdobycz i jednym skokiem dopadł krzaków, gdzie „automobilista” robił właśnie kolejne zdjęcie.

Natychmiast wytrzeźwiał, chwycił aparat, rozbił go na kawałki i wrzucił do rzeki. Zwymyślał „automobilistę” z NKWD i wrócił do domu. Kiedy następnego dnia poskarżył się administracji, grożąc, że zamelduje o tym incydencie niemieckiej ambasadzie, zapewniono go, że był to tylko niewinny żart, bez żadnego znaczenia politycznego. Ale Lentz nie był głupcem.

- Jestem lepszym fotografem niż wasza policja - oznajmił chełpliwie, rycząc ze śmiechu. - Spójrzcie na to.

I pokazał zdjęcia swoje i Aleksandry w erotycznych pozach.

- Jeśli wasze władze chciały mieć moje zdjęcia z piękną Nataszą, chętnie bym im wyświadczył tę przysługę - powiedział. - Nie musieliście inwestować w motorówkę i piknik. Widzicie, sam jestem zapalonym fotografem.

Niebawem poproszono Lentza o opuszczenie Rosji. Zgodził się nie składać skargi w ambasadzie niemieckiej, za co, jak podejrzewam, dobrze mu zapłacono w niemieckich markach. Aleksandra wróciła do Dniepropietrowska, gdzie znalazła szerokie pole dla swoich talentów wśród licznych zagranicznych techników pracujących w tym mieście.

Nie wiem, czy Natasza uzyskała przywilej korespondowania z ojcem. Kiedy rok później Juriew został aresztowany, oskarżono go między innymi o „kontakty z niemieckimi faszystami”. Oskarżenie opierało się wyłącznie na jego okazjonalnych usługach jako tłumacza przy Lentzu.

ROZDZIAŁ XIII

Szybciej, szybciej!

W sierpniu 1935 roku w Donieckim Zagłębiu Węglowym zdarzył się cud. Robotnik nazwiskiem Stachanow wydobył w ciągu jednej zmiany sto dwie tony węgla – czternaście razy więcej, niż wynosił normalny urobek górnika! Niewiele wydarzeń we współczesnej historii przywitano takim nieprzerwanym, histerycznym i teatralnym aplauzem. Był to, jeśli chodzi o ścisłość, dosyć świecki cud i mocno naciągany. Doświadczony inżynier bez trudu potrafił w nim dostrzec elementy oszustwa. Było oczywiste, że zapewniono specjalne warunki, specjalne narzędzia i pomoc, by umożliwić Stachanowowi dokonanie tego wyczynu. Był to cud przygotowany na rozkaz Kremla, aby zapoczątkować nową religię – religię pośpiechu.

To, co zrobił Stachanow, mogli zrobić wszyscy górnicy! To, co mogli zrobić górnicy, mógł zrobić cały przemysł! Do tego sprowadzała się nowa religia. Wątpiący zostali potępieni i nie musieli czekać na następne życie, żeby trafić do piekła. Technicy, którzy podnosili obiekcje, byli defetystami, wrogami stachanowszczyzny! Robotnicy, którzy nie mogli powtórzyć wyczynu donieckiego górnika, byli obibokami!

Moskwa wykrzykiwała nowe stachanowskie hasła. Z Charkowa i z moskiewskiej centrali zaczęły napływać do Nikopola telegraficzne rozkazy. Każdy rozkaz był otwartą groźbą. Musieliśmy natychmiast utworzyć stachanowskie brygady, które miały ustalać tempo pracy dla nierobów. Inżynierowie lub inspektorzy, którzy wysuwali zastrzeżenia, byli traktowani jak sabotażyści.

Nasze zakłady działały niespełna sześć miesięcy. Pracowały na trzy zmiany przy wielu przeszkodach. Ani ilość, ani jakość stali i innych surowców nie była odpowiednia. Robotnikom i reszcie personelu brakowało doświadczenia. Z powodu niedożywienia i złych warunków życia robotnicy pracowali mało wydajnie. Najbardziej potrzebowaliśmy lepszej integracji procesu produkcyjnego. Był to najgorszy możliwy moment na przeciążanie ludzi i maszyn. Kluczem do wzrostu produkcji była rytmiczna praca zespołowa, a nie zrywy rekordzistów. Ponad półtora tysiąca robotników zaangażowanych we wspólne zadanie, w którym każda operacja zazębiała się z następną, nie mogło arbitralnie przyspieszyć bez narażania całego wysiłku na chaotyczną destabilizację.

Ale rozkazy były rozkazami. Partyjny przywódca Kozłów i dyrektor Braczek wezwali inżynierów i kierowników działów. Towarzysz Brodski reprezentował Komitet Miejski. Obaj, Brodski i Kozłów, jako laicy mogli żywić jakieś złudzenia co do zastosowania systemu stachanowskiego w naszych zakładach. Braczek był pragmatycznym przemysłowcem i dostrzegał całą jego absurdalność tak samo wyraźnie jak ja. Ale nie mieliśmy innego wyjścia jak powołanie brygad stachanowskich, nawet kosztem porządku i wydajności.

- Czy towarzysz Braczek pozwoli zadać pytanie? - spytał jeden z inżynierów.

- Śmiało, Łazarze Piotrowiczu.

- Jestem szefem sekcji zatrudniającej stu osiemdziesięciu ludzi. Jeśli część z nich będzie pracować szybciej niż reszta, zdeorganizuje to całą sekcję. Powiedzcie mi, proszę, konkretnie, co mogę zrobić, żeby wprowadzić system stachanowski?

Braczek oczywiście nie mógł mu tego powiedzieć. Mógł tylko powtarzać hasła ogłaszane z Moskwy i płatać się w rozwlekłym politycznym pustostowie. Współczułem mu. Był taką samą ofiarą dalekosiężnego planowania jak my wszyscy.

Ostatecznie, w podległym mi podzakładzie, byłem zmuszony wprowadzić sztuczne przyspieszenie, które w głębi serca uważałem za zbrodnię przeciwko maszynom i robotnikom. Na bezpośrednie polecenie komitetu partii przegrupowałem swoją załogę, umieszczając najlepszych robotników, brygadzystów i inżynierów na jednej zmianie. Potem wybrałem najlepsze narzędzia i materiały, odkładając je na bok dla specjalnej zmiany. Ułożywszy w ten sposób karty, dałem sygnał do rozpoczęcia ustawionej gry.

O jedenastej wieczorem, w obecności dziennikarzy i fotoreporterów, „stachanowska” zmiana przystąpiła do pracy. Jak należało oczekiwać, „przekroczyła” ustaloną normę o osiem procent. Pojawiły się triumfalne nagłówki w prasie. Napływały gratulacje od dygnitarzy. Wszyscy odetchnęli swobodniej - zażegnaliśmy burzę. Większą część zasługi przypisano mnie jako odpowiedzialnemu kierownikowi technicznemu.

Ale to „zwycięstwo” na froncie przemysłowym tylko mnie przygnębiło. Było w gruncie rzeczy oszustwem i musiało się odbić czkawką. Pozostałe dwie zmiany, pozbawione najlepszego personelu i najlepszych narzędzi, straciły więcej, niż zyskała faworyzowana grupa. W porównaniu z nami wyznaczeni do nich robotnicy wyszli na mało wydajnych, jeśli nie „leniwych”. Oczywiście byli wściekli, że stali się kozłami ofiarnymi. Przeklinali szczęśliwców i kierownictwo.

W całym Związku Radzieckim przyspieszenie przekształciło się w zaciekłą kampanię, prowadzoną w znajomej atmosferze strachu i represji. Tysiące pracowników administracji zwolniono, wielu z nich

aresztowano za sabotowanie nowej „socjalistycznej produkcji” i za „nieumiejętność zapewnienia odpowiednich stachanowskich warunków”. Za każdy spadek wydajności obarczano winą inżynierów i techników. W świadomości społecznej wytworzył się obraz, że robotnicy chcą zwiększyć produkcję, ale spiskujący kierownicy świadomie im w tym „przeszkadzają”.

Wbito klin pomiędzy robotników a personel techniczny.

Nawet dla najbardziej łatwowiernego robotnika czy górnika stało się oczywiste, że nowe rekordy ustanawiane dzięki wymuszonemu przyspieszeniu zostaną niebawem wprowadzone jako „normy” dla wszystkich.

Kiedy to szaleństwo sięgnęło szczytu, w listopadzie zwołano do Moskwy ogólnokrajowy zjazd stachanowców. Wystąpił na nim Stalin, który zasypał zgromadzonych pochlebstwami, przeciwstawiając ich zapał zacofaniu innych robotników. W rezultacie od tej pory stachanowcy stali się elitą klasy robotniczej, zarabiali więcej niż ich koledzy i korzystali z wszelkiego rodzaju przywilejów – zwłaszcza w dziedzinie wyżywienia i ubrania – niedostępnych dla siły roboczej jako całości.

W ten sposób Kreml wbił klin pomiędzy różne kategorie robotników. Starożytna zasada „dziel i rządź” została zastosowana na skalę całego kraju pod sztandarem „budowania socjalizmu”.

Niebawem ziściły się najgorsze przeczucia robotników. Wydano stanowcze zarządzenia dotyczące podwyższenia o dziesięć do dwudziestu procent „norm” produkcji, na których opierały się płace. Oznaczało to, że robotnicy musieli teraz za tę samą pensję pracować o dziesięć do dwudziestu procent bardziej wydajnie. W moim zakładzie spośród półtora tysiąca ludzi około dwustu zaklasyfikowano jako stachanowców. Dla reszty podwyższenie norm oznaczało poważne obniżenie zarobków. Zapanowało powszechne rozgoryczenie, ciche, ponure, nieomyślne.

Do niesprawiedliwości dodano zniewagę, ponieważ nowe normy musiały zostać przedstawione i zaakceptowane przez „samy” robotników, nie tylko „dobrowolnie”, lecz entuzjastycznie. Tę farsę odgrywano na wiecach. Najpierw zwołano zebranie działaczy partyjnych, związkowych, personelu technicznego i „aktywistów” spośród załogi. Ich zadaniem było uświadomić masę robotników, aby „zrozumiały” i zaakceptowały nowe normy.

Wszystko zostało przygotowane z góry. Odczytano przemówienie Stalina na cześć stachanowców. Starostin w imieniu związku, Kozłow w imieniu partii, inni w imieniu personelu technicznego tłumaczyli z poważnym wyrazem twarzy, że dotychczasowe normy były obelgą dla socjalistycznego zapału i produkcyjnego geniuszu naszej partii i fabryki.

Ambitni komuniści, żądni uznania i awansu, skorzystali z okazji, żeby zademonstrować swoją cześć dla Stalina w oracjach odbijających się echem w prasie i radiu.

W końcu odczytano i przyjęto „jednogłośnie” rezolucję wprowadzającą podwyższone normy.

Potem w poszczególnych zakładach zwołano wiece z udziałem wszystkich robotników. Przywódcy polityczni i kierownicy techniczni, wspierani przez „aktywistów”, ogłosili uzgodnione wcześniej hasła i propozycje. Na wiecu w moim zakładzie robotnicy siedzieli ponuro, w milczeniu, nie przejawiając zainteresowania. Automatycznie klaskali, ilekroć padało imię Stalina. Spoceni partyjni klakierzy, rozrzucony po całej sali, nie potrafili podgrzać entuzjazmu do pożądanej temperatury. Większość mężczyzn i kobiet właśnie skończyła ciężką ośmiogodzinną pracę. Byli zmęczeni, znudzeni, chcieli tylko mieć już tę komedię za sobą i iść do domu. Odczytano referat o wspaniałych osiągnięciach stachanowców; ogłoszono propozycje nowych norm. Potem jakiś szeregowy związkowiec zabrał głos i zażądał przyjęcia nowych norm. Zaczęło się głosowanie...

- Towarzysze, proponuję przyjąć rezolucję jednogłośnie - krzyknął przewodniczący związku, tak jak go poinstruowano.

Kto za? Las apatycznych rąk. Kto przeciw? Cisza. Nagle kobiecy głos zawołał:

- Towarzyszu przewodniczący, Kiriuszkin nie głosował.

Po raz pierwszy zebrani ocknęli się z letargu. Buntownik w naszych szeregach! Lew wśród królików! Jakiś nieznany Kiriuszkin ośmielił się nie podnieść ręki i jego zbrodnia przeciwko socjalizmowi natychmiast została wykryta! Bunt na jednym końcu, czujność na drugim, kraj ocalony w mgnieniu oka...

- Towarzyszu Kiriuszkin, nie głosujecie? - spytał przewodniczący zirytowanym tonem.

Wstał chudy mężczyzna o potulnym wyglądzie. Na jego twarzy, poplamionej smarem, malował się spokój, kiedy przemówił z godnością.

- Po co miałbym głosować? - wzruszył żałośnie ramionami. - Tak czy inaczej, normy przejdą. Ja mam pracować i pracuję. Czego jeszcze chcecie? Mam pokazać rękę? Dobrze, oto moja ręka. - Uniósł ponad głowę zrogowaciałą dłoń. - Moja żona i dzieci oczekują, że zarobię trochę pieniędzy, a to znaczy, że zarobię mniej...

Kilku ludzi się roześmiało, ale większość milczała, poruszona jego słowami i zachowaniem.

- Towarzysze, Kiriuszkin kompromituje zebranych i obrzuca błotem wielki ruch stachanowski! - zawołał ktoś. - Nie ma świadomości klasowej.

- Świadomości klasowej? - Kiriuszkin, wciąż stojąc, znowu wzruszył

ramionami. - Nie wiem, co to znaczy. Tak, jestem świadomy, że zarabiam tylko sto czterdzieści rubli miesięcznie, a mam troje dzieci i żonę na utrzymaniu.

- Dość tej komedii! Przyjmijmy rezolucję! - przerwał przewodniczący. Ale potulny robotnik wydawał się uskrzydłony własną śmiałością. Nie dał się uciszyć.

- Co nazywacie komedią? - nieoczekiwanie podniósł głos. - Spójrzcie na mnie: to robocze ubranie to jedyne, jakie mam. Niedługo całkiem się rozpadnie. Przy stu czterdziestu rublach miesięcznie moja rodzina chodzi głodna. Jeśli to jest komedia, to co jest tragedią?

Usiadł. Prawie nikt się nie śmiał.

Moim zadaniem było wyjaśnić zebranym, z punktu widzenia inżyniera, że nowe normy są zarazem możliwe do wykonania i sprawiedliwe. Nie miałem wyjścia. Kiedy zabrałem głos, prawie udało mi się przekonać siebie, jeśli nie moich słuchaczy, że gdy nauczymy się pracować lepiej i wydajniej, czeka nas wszystkich nowe i dostatnie życie. W ciągu jednego pokolenia musimy nadrobić stulecia lenistwa i zacofania, powiedziałem. Współczułem sobie i tym znękanym ludziom, swoim podwładnym. Byliśmy pokoleniem wybranym przez historię do poświęceń i cierpień.

W jakimś zakątku mojej świadomości, w miarę jak rozgrzewałem się tematem, tkwiła uporczywa myśl: muszę pomóc Kiriuszkinowi...

Masówka zakończyła się chaotycznymi oklaskami. Ludzie się rozeszli. Następnego dnia nikopolskie gazety i radio opisały zebranie w zakłamanym języku politycznej fikcji: „Wśród grzmiącego entuzjazmu proletariusze nikopolskiego kombinatu metalurgicznego zażądali wczoraj podwyższenia przestarzałych norm. Jednogłośnie przyjęli...”. Ani słowa o Kiriuszkinie.

Przesłałem wiadomość Kiriuszkinowi, żeby przyszedł do mojego gabinetu pod koniec dnia pracy. Kiedy jego zmiana się skończyła, usłyszałem poruszenie w sekretariacie.

- Dokąd? Towarzysz Krawczenko jest zajęty! - mówiła moja sekretarka.

- Wierzcie mi, nie mam ochoty się z nim widzieć. Posłał po mnie.

- Jaką macie do niego sprawę?

- A jaką sprawę mogę mieć do szefa? On wzywa, ja przychodzę.

Nacisnąłem przycisk i kazałem sekretarce wpuścić towarzysza. Kiriuszkin wszedł z czapką w rękę.

- Siadajcie, proszę - powiedziałem.

- Dziękuję, postoję.

- Ale po co stać? Siadajcie.

Usiadł na krawędzi mojego biurka. Spytałem, jak mu idzie praca.

- Tak jak wszystkim - odparł. - Pracuję, póki sił starcza.

Przyszedł do fabryki dwa lata temu, jak się dowiedziałem, że wsi, kiedy jego gospodarstwo zostało skolektywizowane. Wcześniej służył w Armii Czerwonej. Przywiózł ze sobą trochę rzeczy, ale sprzedał je, będąc w potrzebie.

- Moja żona myje podłogi w mieszkaniach jakichś urzędników, więc trochę zarabia, i bierze też pranie. Ale mamy troje małych dzieci. Nie jest łatwo. Ale po co się skarżyć? Niewielu robotników ma lepiej ode mnie.

Mówił powoli, ważąc słowa, i patrzył prosto na mnie. W jego zachowaniu nie było ani arogancji, ani strachu - tylko bezdenny, fatalistyczny smutek.

- Tak, Wiktorze Andriejewiczu, o czym tu gadać? Wy jesteście jednym z szefów. Dobrze wam się żyje. Wy żyjecie w swoim świecie, ja w swoim. Nigdy nie zrozumiecie takich jak ja.

- Nie bądźcie tacy pewni, towarzyszu Kiriuszkin. Może rozumiem lepiej, niż wam się zdaje. Ale powiedzcie mi, chcielibyście pracować przy skrawarce? Będziecie zarabiać dwieście dwadzieścia rubli albo więcej i dostaniecie specjalną odzież - buty, kombinezon.

- Z chęcią. Wiecie, trzeba żyć.

Wydałem polecenie, żeby przeniesiono go na nowe stanowisko. Podziękował mi i odszedł. Byłem zadowolony, że przez cały czas zachowywał się z godnością, bez cienia służalczości. Zatelefonowałem do Starostina i poprosiłem, żeby wypłacono mu trochę pieniędzy z funduszu zapomogowego. Ponadto poleciłem, aby wydano mu komplet roboczej odzieży i buty.

2

Spółeczny dystans pomiędzy takim Kiriuszkinem a stachanowskim „arystokratą” dawał się odczuć bardziej wyraźnie niż dystans pomiędzy robotnikami a dyrekcją, choćby tylko z tego powodu, że Kiriuszkinowie i stachanowcy pozostawali w ciągłym codziennym kontakcie. Oficjalna polityka zdawała się świadomie pogłębiać przepaść, a także rozniecać napięcia antagonizmów i podejrzeń wszędzie, gdzie się dało.

Inżynierowie i pracownicy administracji byli potępiani jako klasa, dzień po dniu, za rzekomy „konserwatyzm”, za „hamowanie” przyspieszenia. Funkcjonariusze partyjni, żeby nie winić siebie, przyłączyli się do polowania z nagonką na specjalistów. Nasz autorytet upadał. Czując, że mają przewagę, niektórzy brygadziści, a nawet tokarze, podejmowali arbitralne decyzje, aby zwiększyć własne zarobki, często z katastrofalnymi rezultatami dla produkcji jako całości.

Politycy, powiewający sztandarami wydajności, wysuwali się na pierwszy plan. Komunistyczni i polityczni działacze często mieli

ostatnie słowo przeciwko inżynierowi i dyrektorowi, nawet w kwestiach czysto technicznych. Wkraczaliśmy w epokę anarchii i wojny domowej w przemyśle. Byłem osaczony pomiędzy instrukcjami z Moskwy a podejrzeniami z dołu, pomiędzy trudniejszymi zadaniami a upadającą dyscypliną. Zdenerwowanie i napięcie stały się niemal moim normalnym stanem.

Pewnej nocy obudził mnie telefon. Jedna z maszyn nagle się zepsuła i pół mojego zakładu stało bezczynnie. „Kolejny ból głowy!” – mruknąłem i zacząłem się ubierać. Zanim dotarłem do fabryki, roiło się w niej od urzędników. Był tam sam naczelnik nikopolskiego NKWD, Dorogan, wraz z Gerszhornem i innymi pomocnikami. Kozłow, Starostin i różni inżynierowie biegali w kółko, podczas gdy w moim gabinecie śledczy przesłuchiwali podejrzanych i robili notatki.

Natychmiast stało się dla mnie jasne, co zaszło. Kilku stachanowskich entuzjastów razem z inżynierem postanowiło samowolnie zwiększyć obroty jednej z walcarek. Ponieważ rura nie była przepojona stalinowskim zapałem, wielki jej fragment rozprysnął się na głównym pasie i jedna z maszyn uległa uszkodzeniu. Sprawa wyglądała poważnie; maszyna, wyprodukowana w Niemczech, nie mogła zostać w krótkim czasie naprawiona ani wymieniona.

Zastęp urzędników o mentalności policyjnej martwił się jednak nie tyle o wznowienie produkcji, ile o znalezienie winnych. Śledczy buszowali po całej fabryce. W siedzibie NKWD trwały poufne przesłuchania, prowadzone przy akompaniamencie gróźb i przekleństw. Kilka razy wzywano mnie i wypytywano; po całonocnym przesłuchaniu nie bardzo nadawałem się do wykonywania swoich obowiązków w fabryce. Proste i oczywiste wyjaśnienia nie trafiały do przekonania podejrzliwemu i niekompetentnemu Gerszhornowi. Krzyczał, miotał się i żądał „dowodów” przeciwko tej czy innej osobie. Za każdym razem, kiedy wymieniał nazwisko, pojawiały się akta... Nie tylko kadra kierownicza, ale nawet zwykli robotnicy byli pod nadzorem.

- Krawczenko, nie współpracujecie z nami - krzyczał Gerszhorn. - Możecie za to drogo zapłacić, wierzcie mi! Dla własnego dobra powinniście nam pomóc znaleźć sabotażystów.

Ciągnęło się to wiele dni. W samym środku tego zamieszania przyszedł do mnie wykwalifikowany mechanik Dubinski w towarzystwie swojego pomocnika, Szpaczynskiego. Podczas gdy inni miotali się i prowadzili śledztwo, ci dwaj doświadczeni mechanicy testowali metale, robili próby termiczne i szkicowali plany. Doszli do wniosku, że mogą dorobić uszkodzone części, ale chcieli ode mnie gwarancji, że w razie niepowodzenia strata czasu i materiałów nie zostanie wykorzystana przeciwko nim.

Po przestudiowaniu planów i wykresów uznałem, że warto

zaryzykować. Aby chronić tych ludzi i siebie, powiadomiłem Braczkę, Kozłowa i Brodskiego o swojej decyzji. Podyktowałem też szczegółowy raport dla Trubostalu w Charkowie. Potem wyznaczyłem niezbędnych ludzi i materiały i dałem sygnał do rozpoczęcia pracy.

Mimo podjętych środków ostrożności byłem głęboko zaniepokojony. Na podstawie pytań zadawanych w NKWD zdążyłem się już zorientować, że właśnie Dubinski znalazł się w kręgu oficjalnych podejrzeń. Był cichym, pełnym godności, bardzo kompetentnym starszym człowiekiem i wszyscy go podziwiali. Żadny wiedzy i odczytany, typowy przedrewolucyjny inteligent z gatunku tych, których uważano wówczas za szczególnie podatnych na polityczną herezję. W czasach carskich należał do mienszewickiego odłamu socjaldemokracji; osiemnaście lat gorliwej pracy dla władzy radzieckiej nie wymazało tej straszliwej plamy na jego życiorysie.

Słowem, stanowił idealny obiekt prześladowań dla dogmatycznych, strachliwych karierowiczów i łowców czarownic. Zakrawało na gryzącą ironię, że to właśnie Dubinski jako jedyny wystąpił z praktycznym pomysłem na wznowienie produkcji. Miałem poważne obawy, że jeśli eksperyment się nie powiedzie, dostarczy Gerszhornowi i jego zgrai sposobności, na którą czekają. Mogliby wówczas oskarżyć dawnego mienszewika o rozmyślne szkodnictwo.

Pozostałem w zakładzie wraz z Dubinskim i Szpaczyńskim przez prawie cztery dni. Informatorzy NKWD przyglądali się z boku, gotowi nas zadenuncjować, gdyby coś poszło źle. Wreszcie, z dreszczem prawdziwej emocji, wypróbowaliśmy maszynę z dorobionymi częściami. Działała! Produkcja znowu ruszyła.

Mimo to śledztwo trwało jeszcze wiele tygodni. Nie znalazłszy kozła ofiarnego, którego mogliby obarczyć winą za awarię, czekał chodzący ponurzy i przygnębieni, jakby pozbawiono ich należnej im zdobyczy. Moje stosunki z nimi nie ociepliły się po tym incydencie. Nie kryłem się ze swoją opinią, że cała sprawa była po prostu drobnym wypadkiem, niewartym tak skrupulatnego dochodzenia policyjnego.

Nie poprawiły się również moje stosunki z „aktywistami” związkowymi i partyjnymi. Prawie nie było tygodnia, żeby ich polityczna gorliwość nie ścierała się z moim zdrowym rozsądkiem. Z dziesiątków przykładów wybieram z pamięci kilka, na chybił trafił.

Pewnego ranka zastałem swój zakład dziwnie poruszony. Ludzie nie posiadali się ze złości. Atmosfera wydawała się naelektryzowana. Niebawem odkryłem przyczynę. W kącie, doskonale widoczna dla wszystkich, piętrzyła się artystycznie ułożona sverta rur, a nad nią wisiał plakat z napisem:

„Robotnicy i inżynierowie tego wydziału powinni wiedzieć, kto hamuje ruch stachanowski”.

Dalej następowała długa lista nazwisk. Wyglądało na to, że znaleziono partię wybrakowanych rur, a wszyscy odpowiedzialni zostali publicznie upokorzeni. Znałem ludzi z listy jako nienajgorszych i lojalnych robotników. Defekty powstały prawdopodobnie na skutek zanieczyszczeń stali i nie można było obarczać za nie winą tych ludzi.

Kazałem usunąć „eksponaty” i plakat. Starostin był wściekły. Zbeształ mnie za to, że przeszkadzam mu w „edukacji politycznej” członków związku, i groził powiadomieniem „odpowiednich instancji”.

Niedługo potem zauważyłem, że starszy, siwowłosy Makajew, tokarz, którego pracę bardzo ceniłem, płacze przy swoim warsztacie. Kiedy zapytałem go, co się stało, wskazał na przeciwległą ścianę. Wisiała tam jego karykatura z podpisem: „Zakała stachanowszczyzny”.

- Wiktorze Andriejewiczu, uwolnijcie mnie od tej hańby - poprosił. - Przyznaję, że mogłem popełnić błąd. Prawda jest taka, że mam chorą żonę i od kilku dni nie zmrużyłem oka. Jestem tylko człowiekiem i dlatego pewnie popełniłem błąd. Czy nie wystarczy, że potrącili mi z pensji za straty? Muszą mnie jeszcze na dodatek wystawiać na pośmiewisko?

Wezwałem brygadzystę.

- Kto umieścił ten plakat? - spytałem.
- Przewodniczący związku zawodowego na naszym wydziale.
- Zerwijcie go natychmiast i odesłajcie do mojego gabinetu.
- Ale nie mogę, towarzyszu Krawczenko. Będę miał kłopoty.
- Powiedzcie mu, że ja tak kazałem i biorę na siebie pełną odpowiedzialność.

Obrażliwy plakat został usunięty. W ciągu kilku minut opadło mnie stado działaczy związkowych i partyjnych gorliwców. Wszyscy mówili jednocześnie. Przeszkadzam w „edukacji politycznej” i popieram zacofanie. Podkopuję „autorytet związku zawodowego i partii”. Poskarżą się na mnie w Charkowie, a nawet w Moskwie.

- Bardzo dobrze, towarzysze - powiedziałem. - Skarżcie się do woli. Z mojego punktu widzenia to wy przeszkadzacie, obrażając mój personel i podkopując morale. Ja tu jestem szefem, a waszym obowiązkiem jest ze mną współpracować, a nie działać ponad moją głową. A niektórzy z was, skoro już o tym mowa, powinni teraz pracować, a nie urządzać wiec.

Nieco później tego samego dnia wezwał mnie Kozłow. Dotarły do niego skargi w „sprawie” Makajewa. Przedstawiłem mu swój pogląd i stwierdziłem z zadowoleniem, że się ze mną zgadza; obiecał mnie poprzeć, gdyby ta idiotyczna afera ściągnęła na mnie gromy z góry. Wieść, że biorę stronę robotników przeciwko nadgorliwcom, wywołała sensację i przysporzyła mi popularności wśród załogi, ale oburzyła wielu wpływowych działaczy partyjnych.

Wiele czasu i energii zabrała mi także sprawa uszkodzonej niemieckiej maszyny. Kiedy pękło główne łożysko, wymiana okazała się trudna i jeden z warsztatów stał beczynnie przez kilka dni. Raz jeszcze nasz wydział nawiedzili czekiści i groźni przedstawiciele „władz”.

Szybko ustaliłem, co się stało. Do wypadku doszło w nocy. Warsztat był słabo oświetlony i ktoś przez pomyłkę wziął niewłaściwy kawałek stali. Maszyna była ustawiona na stal o niskiej zawartości węgla. Kiedy poddawano obróbce kawałek stali zawierający od osiemnastu do dwudziestu procent chromu i dwa procent niklu, łożysko pękło. Do tego sprowadzała się cała tajemnica.

Niezadowolony z mojego wyjaśnienia, wciąż uganiający się za sabotażystą, wydział polityczny zlecił własną analizę stali, przesłuchał dziesiątki robotników, wezwał specjalistów spoza miasta i uzyskał ekspertyzy od profesora metalurgii z Instytutu Dniepropietrowskiego. Jednomyślność tych ekspertyz wydała się „dziwna” ludziom o policyjnej mentalności. Jakie było „polityczne oblicze” profesora, który zgodził się z Krawczenką? Może byli w zмовie? Znow przez długie noce dowodziłem swoich racji, świadom, że każde nieostrożne słowo, każdy lapsus językowy może spowodować zgubę na jakiegoś robotnika lub inżyniera, nie wspominając już o mnie. Tym razem, tak jak wcześniej, Gerszhorn próbował skierować swoje oskarżenia na Dubinskiego. Broniełem mechanika ze wszystkich sił.

Dostaliśmy pilne zamówienie na nierdzewne rury, podpisane przez Ordżonikidzego. Nasza fabryka nie była przygotowana na takie zamówienie, nie mieliśmy doświadczenia w tego rodzaju pracy, uprzedziliśmy więc władze, żeby nie oczekiwały zbyt wiele, jeśli się go podejmiemy. Aby nam pomóc, przyjechała specjalna brygada z Moskwy, złożona z ludzi obeznanych z tego typu rurami i z przemysłem chemicznym, dla którego były przeznaczone. Znajdował się wśród nich specjalista nazwiskiem Timoszenko - szczupły młody człowiek w okularach, już siwiejący i, jak mi się wydawało, nieustannie przestraszony. Powiedziano mi, że to syn słynnego profesora Timoszenki, mieszkającego wówczas i wykładającego w Stanach Zjednoczonych.

Jak należało oczekiwać, z początku praca postępowała wolno. Zaledwie dziesięć procent pierwszej partii rur nadawało się do użytku, a zdarzały się dni, kiedy cała produkcja była wybrakowana. Zjechali się eksperci z różnych przedsiębiorstw, żeby nam doradzać. Odbywaliśmy długie narady na temat temperatury, prędkości procesu, typów stali, stopów. Wszyscy chcieliśmy wykonać zamówienie i przygnębiały nas trudności; bez względu na nasze postawy polityczne czuliśmy, że stalinowcy kiedyś odejdą, lecz Rosja pozostanie, a tutaj ważyła się przemysłowa przyszłość Rosji. Ale w przekonaniu wszechobecnych

donosiciele trudności oznaczały tylko jedno – prawdopodobny sabotaż.

W końcu rozwiązaliśmy problemy techniczne. Nierdzewne rury zostały wyprodukowane i przyjęte przez kombinat chemiczny w Kemerowie. Wszystkim wypłacono wysokie premie. Ale Gerszhorn i jego ludzie uznali, że coś wpadło im w ręce, i już nie puścili. Tym czymś był oczywiście młody Timoszenko wraz z kilkoma inżynierami przysłanymi z Charkowa. Podczas wulkanicznego nocnego posiedzenia Gerszhorn pluł lawą ponad moją zmęczoną głową. Dlaczego „osłaniam” tego syna podłego emigranta? Czy nie wiem, że Timoszenko pozostaje w kontakcie ze swoim ojcem, który „zaprzedał się kapitalistom”?

- Mogę wam tylko powiedzieć, że ten młody człowiek jest bardzo zdolny, pracowity i dobrze wypełnia swoje obowiązki – upierałem się. – Mieliśmy mnóstwo problemów, ale zapewniam was, że żaden nie powstał z jego winy.

- Igracie z ogniem, Krawczenko! Pamiętajcie, to dotyczy przemysłu chemicznego. To sprawa obronności kraju! A mimo to nie chcecie kiwnąć palcem, żeby nam pomóc wykorzenić szkodników!

Dopiero kiedy zagroziłem, w skrajnej rozpacz, że zatelefonuję do Ordżonikidzego i opowiem mu o policyjnych ingerencjach w moją pracę, Gerszhorn zmiękł. Fakt, że miałem potężnego patrona działał na moją korzyść w sytuacjach, gdzie każdy inny inżynier bez żadnych wpływów już dawno znalazłby się w więzieniu albo w obozie pracy przymusowej.

Na początku 1936 roku Ordżonikidze wezwał mnie do Moskwy. Wydało mi się to zrzędzeniem opatrności. Osiągnąłem impas w swoich stosunkach z NKWD. Ponieważ nie chciałem obciążać niewinnych ludzi ani współuczestniczyć w policyjnych obsesjach, moje życie w Nikopolu stało się nie do zniesienia. Zbierałem się na odwagę, żeby opowiedzieć o wszystkim komisarzowi, i oto nadarzyła się okazja.

Po serdecznym powitaniu Ordżonikidze wyjaśnił mi, dlaczego po mnie posłał. Przemysł naftowy w Baku pilnie potrzebował specjalnych rur. Cały plan wydobywania ropy zależał od tego, jak szybko zdołamy wyprodukować rury odpowiedniej jakości.

- Zwracam się do ciebie, przyjacielu – powiedział – ponieważ czuję, że mogę na tobie polegać. Dostaniesz wszystkie narzędzia, materiały i dodatkowych ludzi, których potrzebujesz. Jeśli ci się powiedzie, otrzymasz samochód i odznaczenie, a wszyscy twoi współpracownicy premie.

- Oczywiście zrobię, co w mojej mocy, i cieszę się, iż zdajecie sobie sprawę z braku narzędzi. Ale Grigoriju Konstantinowiczu, chcę, żebyście wiedzieli, że pracuję pod stałym nadzorem NKWD i po prostu

nie mogę tak dłużej żyć. Jestem w rozpacz.

- Co masz na myśli?

Wdałem się w szczegółową relację o nieustannym węszeniu, manii prześladowczej i donosach, które przekształciły moją fabrykę - i wszystkie inne przedsiębiorstwa w Nikopolu - w czyściec. Opowiedziałem, jak Dorogan i Gerszhorn dopatrują się wymyślnych aktów sabotażu w zwykłych wypadkach i naciskają na mnie, żebym obciążał niewinnych ludzi, takich jak Timoszenko i Dubinski.

- Nie lubię mówić o tych rzeczach - zakończyłem - ale nie mogę dłużej milczeć. Czy metalurgią kieruje Ludowy Komisariat Przemysłu Ciężkiego, czy NKWD? Jak mamy próbować czegoś nowego, jak mamy wykonywać polecenia, które wymagają eksperymentów, jak mamy osiągnąć jakikolwiek postęp, jeśli każde niepowodzenie i każde potknięcie jest postrzegane jako szkodnictwo? Jak człowiek ma w ogóle pracować, skoro jest nieustannie „kontrolowany” przez śledczych, komisje partyjne, brygady związkowe, stachanowców i setki innych nadzorców?

- Dlaczego nie możemy skończyć z tą szpiegomanią i pozwolić ludziom pracować? Inżynierowie i specjaliści ze starego pokolenia w większości nie żyją lub zostali zlikwidowani. Jesteśmy ludźmi radzieckimi, produktami edukacji partyjnej. Jeśli nie można nam zaufać, że będziemy uczciwie pracować, to czy jest dla naszego kraju jakakolwiek nadzieja na postęp? Ja, towarzyszu komisarzu, nie mogę dłużej pracować w takich warunkach. Ci szubrawcy kręcą mną jak bąkiem. Jak można pracować w stanie ciągłego zawrotu głowy?

Ordżonikidze miał posępną minę. Przygryzał wargi. W ciągu ostatnich kilku lat raptownie się postarzał. Nie uśmiechał się już tak często jak przedtem, nie tryskał dawną pewnością siebie i energią. Bez względu na to, co czuł, nie mógł otworzyć serca przed pomniejszym kierownikiem w przemyśle. W końcu był członkiem Politbiura, jednym z kilkunastu ludzi najbliższych Stalinowi.

- Uspokój się, przyjacielu - powiedział cicho. - Nie mam ci za złe, że to mówisz. Jest wiele rzeczy, których nie widzisz ze swojego miejsca. Nie będę ukrywał, że jesteś jednym z setek inżynierów, członków partii, którzy w tym gabinecie składali takie same skargi... A co do ciebie, mogę ci obiecać, że dopóki ja żyję, a ty nadal będziesz uczciwie pracował, nikt cię nie tknie. Masz na to moje słowo.

Chwycił za telefon i zadzwonił do towarzysza Chatajewicza, sekretarza Komitetu Obwodowego w Dniepropietrowsku, któremu podlegał Nikopol. W mojej obecności zbeształ Chatajewicza i polecił, żeby nikopolskie NKWD przestało nękać towarzysza Krawczenkę, bo w przeciwnym razie on będzie chciał wiedzieć, dlaczego tak się dzieje.

- No i co, jesteś zadowolony? - uśmiechnął się, odkładając słuchawkę.
- Bardzo dziękuję. Ale to nie rozwiązuje szerszego problemu. Ten straszny system pozostaje.

Od tamtego dnia aż do nagłej śmierci Ordżonikidzego nigdy więcej nie wezwano mnie na przesłuchanie do NKWD. Donosiciele wokół mnie - Makarow, Romanow, Judawin - pracowali tak samo skrupulatnie jak zawsze. Ale ja pozostawałem nietykalny. Wszystkie wątpliwości i urazy, jakie żywiła do mnie tajna policja, zostały na razie zatamowane na polecenie mojego moskiewskiego patrona. Pewnego dnia miały zostać uwolnione i zalać moje życie straszliwą powodzią.

Po powrocie do Nikopola wezwałem wszystkich członków administracji fabrycznej i technicznej i przedstawiłem im zadanie, które powierzył mi Ordżonikidze. Przydzieliłem poszczególnym ludziom obowiązki. Materiały i narzędzia nadeszły zgodnie z obietnicą komisarza i praca niebawem ruszyła. W następnych tygodniach spałem w swoim gabinecie częściej niż w domu. Rury dla Baku zostały wyprodukowane przed terminem. Znowu napływały do fabryki z Charkowa i z Moskwy oficjalne gratulacje, moje zdjęcia pojawiały się w gazetach, Iwanczenko przyleciał z Charkowa i podziękował mi osobiście.

Podjęcie trudnego wyzwania produkcyjnego było naprawdę emocjonujące. Świadomość, że przezwyciężyłem tysiące przeszkód, dała mi, i wszystkim wokół mnie, więcej radości niż oficjalne wyrazy uznania i hojne premie pieniężne.

Podczas swojej wizyty w Nikopolu Iwanczenko podjął mnie kolacją. Znaliśmy się od wielu lat. Ufałem mu. Pracowałem już w fabryce ponad rok. Dzięki interwencji komisarza miałem więcej prywatności. A mimo to szamotałem się w sieci szpiegostwa. Podawałem Iwanczence jeden przykład za drugim, jak ingerencje policyjne i strach przed sabotażem niszczą inicjatywę i krępują produkcję.

- Wiem, co czujecie, Wiktorze Andriejewiczu - powiedział ze smutkiem. - Nie myślcie, że na wyższych szczeblach jest lepiej. Weźcie mnie, dyrektora jednego z największych przedsiębiorstw, członka rządu, starego komunistę, człowieka, który pomagał szturmować Pałac Zimowy podczas rewolucji październikowej. Można by pomyśleć, że jestem godny zaufania. Ale nie! Te mrówki i termyty mnożą się tak szybko, że nawet ja jestem przerażony - ja, który nigdy nie bałem się narażać życia na polu bitwy. Tak mnie rozstroili swoimi dochodzeniami i podejrzeniami, że już sam nie wiem, co się ze mną dzieje. O co tu chodzi? Chyba tylko Gospodarz wie...

Tymczasowe złagodzenie presji policyjnej dało mi krótkotrwałą iluzję niezależności osobistej. Dlatego zapewne przyjąłem z nadzieją ogłoszenie nowej stalinowskiej konstytucji. Fakt, że cała władza pozostała w ręku jednej partii, wydawał się mniej doniosły niż wyraźna gwarancja praw obywatelskich i, przede wszystkim, ograniczenia nałożone na różne formy zatrzymania i aresztowania. Jeśli nowa ustawa była wyznacznikiem sposobu myślenia na górze, to z pewnością najgorszy terror należał już do przeszłości.

Aby przeżyć, człowiek potrzebuje nadziei tak samo jak powietrza. Podobnie jak miliony moich rodaków, wyglądałem obietnicy bardziej ludzkich praw dla zwykłego obywatela radzieckiego. Czepialiśmy się kurczowo nadziei, aby uratować się przed utonięciem w głębinach wątplenia. Z wyjątkiem mniejszości zatwardziałych cyników, dla których konstytucja była jeszcze jednym oszustwem, zwłaszcza komuniści chcieli wierzyć.

Odrodzenie nadziei było niemal warunkiem utrzymania się przy życiu. Musieliśmy się poddać lekkomyślnej wierze, musieliśmy ogłupić swój intelekt i oszukać zmysły. Zaciekle zwalczyliśmy wątpliwości, szukaliśmy wytłumaczeń, podniecaliśmy się nawzajem optymistycznymi oczekiwaniami, w które, kiedy znów zostawialiśmy sami, naprawdę nie wierzyliśmy. „Najbardziej demokratyczna konstytucja na świecie” wywoływała miraż na naszej politycznej pustyni.

Czy mogło być tak, że śmierć Kirowa zaniepokoiła naszych władców i skłoniła ich do poluzowania śruby? Europa zdawała się zmierzać ku wojnie. Po włoskiej agresji na Abisynię nastąpiła wojna domowa w Hiszpanii. Hitler wywijał nazistowskim mieczem. Może nasi władcy uznali, że skupią wokół siebie rosyjskie masy, rzucając im wspaniałomyślnie kilka okruchów wolności? W taki właśnie sposób tłumiliśmy swoje wątpliwości i podsycaliśmy nadzieje. Nie było łatwo zachować wiarę w momencie, kiedy wiatry terroru wiały ostrzej niż kiedykolwiek. Trzeba było zamknąć oczy, niemal dosłownie, żeby ocalić ostatnią iskierkę nadziei.

Kombinat w Nikopolu rozbudowywał się. Zastępy nowych robotników budowlanych ustawiały się w kolejkach po jedzenie i zakwaterowanie. Pewnego dnia, pełen nadziei na jakieś zmiany na lepsze, zauważyłem wokół jednego z placów budowy żołnierzy NKWD z karabinami. Mogło to oznaczać tylko jedno: sprowadzono przymusową siłę roboczą.

Podszedłem bliżej. Mój domysł okazał się słuszny. Pod nadzorem uzbrojonych strażników pracowało ze czterystu albo pięciuset wynędzniałych więźniów. Była to najbardziej żałosna gromada ludzi, jakich w życiu widziałem. Ich ponure milczenie było straszniejsze niż łańchmany, brud i degradacja fizyczna. Pracowali jak skazańcy, zbyt zobojętniali, by przyglądać się otoczeniu lub rozmawiać z wolnymi

robotnikami.

Pod koniec dnia więźniów ustawiano w kolumnę i odprowadzano do specjalnych baraków więziennych kilka kilometrów dalej. Zasięgnąłem dyskretnie informacji i dowiedziałem się, że ta siła robocza została „zakontraktowana” przez urzędników budowlanych w trakcie formalnych negocjacji z NKWD. Za każdego więźnia zapłacono NKWD ustaloną sumę, mniej więcej równą pensji wypłacanej wolnym robotnikom. NKWD nie tylko wykorzystywało miliony więźniów bezpośrednio – w kopalniach soli lub złota, przy układaniu torów kolejowych, wyрубie lasów, osuszaniu bagien, budowie portów – lecz także wydzierzało nadwyżki siły roboczej innym przedsiębiorstwom.

Pewnej niedzieli tego lata płynąłem wraz z przyjacielem motorówką po Dnieprze. Zabraliśmy ze sobą mnóstwo jedzenia, jak również butelkę wina, i urządziliśmy sobie piknik w zalesionym miejscu na brzegu. Potem wybraliśmy się na długi spacer drogą biegnącą wzdłuż rzeki. Na zakręcie natknęliśmy się na płaski bagnisty teren, gdzie pracowało kilkuset mężczyzn i kobiet pod zbrojną strażą.

Poczułem się tak, jakbym zobaczył coś obscenicznego. Moim pierwszym odruchem było wycofać się, udawać, że nic nie widziałem. Ale coś nas ciągnęło do tego miejsca. Obdarci robotnicy, stojący po kolana w wodzie i błocie, prawie nie przypominali ludzi. Unosiły się nad nimi chmury komarów. Wartownicy rozpalili ogniska, żeby odpędzić owady, ale więźniowie wydawali się niewrażliwi na tę plagę. Mój wzrok spoczął na młodej kobiecie o trupich rysach; ręce i twarz miała czarne od komarów, lecz nadal apatycznie machała łopatą, jakby nieświadoma, iż owady jedzą ją żywcem.

Podszedł do nas oficer.

– Zajmijcie się swoimi sprawami, obywatele – powiedział. – To nie przedstawienie.

– Jestem członkiem partii i kierownikiem zakładu – odparłem. – To mnie interesuje od strony czysto technicznej. Co oni robią?

– Osuszamy bagno.

– To przedsięwzięcie NKWD?

– Nie, nikopolska rada wykonuje tę pracę, wykorzystując „zakontraktowaną” siłę roboczą NKWD.

Wróciliśmy do motorówki i popłynęliśmy do domu. Kontynuowanie wycieczki po tym, co zobaczyliśmy, wydawało się nieprzyzwoite. Przez cały ranek rozmawialiśmy o konstytucji, zastanawiając się, czy zawarte w niej obietnice zostaną spełnione. Nie podjęliśmy przerwanej rozmowy.

się pewien dystans. Z jakiegoś powodu w jego obecności czułem się zmuszony chwalać i usprawiedliwiać tę samą politykę, którą wewnątrz potępiałem i której nienawidziłem. W niejasny sposób drażniły mnie jego wysokie standardy, jego dokuczliwy humanitaryzm, jego niezdolność do kompromisu. Patrząc wstecz, wiem z całą pewnością to, co wówczas podejrzewałem: ojciec stał się dla mnie ucieleśnionym sumieniem. Nie potrafiłem dojść do porozumienia nie z nim, lecz ze sobą. Gdybym pogodził się z własnym sumieniem, pogodziłbym się z ojcem.

Podczas moich wizyt w domu ojciec opowiadał mi niekiedy o aresztowaniach i „zniknięciach” ludzi, których obaj znaleźliśmy od lat z dniepropietrowskiej fabryki. Czułem się tak, jakby obarczał mnie osobistą odpowiedzialnością, jako członka partii, za każdą niesprawiedliwość. Ja nie mówiłem mu nic o podobnych aresztowaniach w Nikopolu, o przymusowej sile roboczej, o szpiegowaniu, jakiemu byłem poddawany.

Ten irracjonalny impuls, żeby ukrywać różne rzeczy przed ojcem, właśnie przed nim, irytował mnie i zawstydział. Było to tak, jakbym ukrywał coś przed sobą...

Nie miałem wielkiej ochoty, żeby odwiedzał mnie w Nikopolu. Nie chciałem patrzeć na przepych, w jakim żyłem, szczerymi oczami swego ojca. Mimo to namawiałem go, żeby spędził ze mną kilka dni, i w końcu się zgodził. Kiedy chodził po moim wielkim domu, ogrodzie, sadzie, garażu, robiłem się coraz bardziej niespokojny i zakłopotany.

- Żyjesz jak właściciel ziemski, jak szlachcic - powiedział.

Kiedy poprosił mnie o przepustkę do fabryki, ogarnęło mnie takie samo zakłopotanie. Nie chciałem, żeby oceniał panujące tam warunki przez pryzmat swojej niewzruszonej prawości. Mimo to posłusznie wypisałem komplet przepustek. W ciągu następnych kilku dni prawie go nie widywałem. Zawierał przyjaźnie w całej fabryce. Ten pełen wdzięku starszy pan o regularnych i wyrazistych rysach, z młodzieńczymi, lecz surowymi oczami, zawsze czuł się zupełnie swobodnie wśród robotników. Przyjmowali go automatycznie jak jednego ze swoich. Przez wiele miesięcy po jego wizycie mężczyźni i kobiety w fabryce pytali mnie o ojca ze szczerą, serdeczną troską.

- Towarzyszu Krawczenko, wasz ojciec to równy gość, równy gość - powiedział mi Dubinski nazajutrz po spotkaniu z nim. - Przy nim człowiek robi się dumny, że jest zwykłym robotnikiem. I powiem wam, że zna się na maszynach lepiej niż większość naszych inżynierów.

- O, tak - zgodziłem się, trochę zażenowany. - Był moim pierwszym nauczycielem w tej dziedzinie.

Pod koniec dnia siedziałem w gabinecie, omawiając pewien projekt z kilkoma kolegami, gdy nagle usłyszałem hałas w sekretariacie. Moja

sekretarka podniosła głos.

- Pytam was, obywatelu, po co chcecie się zobaczyć z towarzyszem Krawczenką?

- A co was to obchodzi? - mój ojciec też podniósł głos. - Czy jest towarzyszem, czy biurokrata, że trzeba prosić o pozwolenie? Nic, tylko przepustki i pozwolenia!

- W takim razie nie mogę was wpuścić, obywatelu. Przepisy są przepisami.

- Oto, co sobie robię z waszych przepisów! - wykrzyknął i otworzył drzwi do swojego gabinetu.

Zmieszał się na widok innych ludzi, ale nie zdołał powściągnąć gniewu.

- Co wy tu macie za przepisy, Witiu? Nawet w czasach Romanowów człowiek mógł się zobaczyć ze swoim szefem... Ale przepraszam, myślałem, że jesteś sam.

Przedstawiłem ojca kolegom, potem ich odprawiłem. Ojciec sprawiał wrażenie skruszzonego.

- Byłem trochę grubiański. Wybacz mi. Ale cała ta biurokracja, cały ten dystans pomiędzy zwykłymi ludźmi a kierownikami działa mi na nerwy.

Kiedy go udobruchałem, poprosił mnie o przysługę. Czy pozwoliłbym mu zapoznać się z kartami pracy ze swojego zakładu? Chciał wiedzieć, ile zarabiają ślusarze, tokarze, skrawacze, elektrycy i inni robotnicy. Zainteresował się również, ilu z nich było w zeszłym roku w państwowych domach wczasowych i korzystało z innych udogodnień. Ponieważ tego rodzaju informacje nie były tajne, zatelefonowałem do głównego księgowego i poleciłem mu, żeby udostępnił je mojemu ojcu.

Zostałem w zakładzie kilka godzin dłużej. Kiedy wróciłem do domu, ojciec już tam był. Przy kolacji wydawał się czymś pochłonięty. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Domyśliłem się, że oszczędza amunicję na „poważną” rozmowę. Kiedy zaproponował, żeby dał Paszy wolny wieczór, byłem już tego pewien.

- Nie ma potrzeby, żeby obcy słuchali - powiedział.

Usiadłem na kanapie w swoim gabinecie, zapaliłem papierosa i przygotowałem się na „poważną” rozmowę.

- Dobrze, tato, o co chodzi?

- Od dawna, synu, chciałem z tobą porozmawiać otwarcie i szczerze. Jesteś mi drogi, nie tylko jako syn, ale jako człowiek, którego rozwój obserwowałem przez te trzydzieści lat. Ale w miarę upływu czasu coraz trudniej przychodzi nam zdobyć się na szczerłość. To smutne. To symptom strachu, w jakim dzisiaj żyjemy.

- Przykro mi, tato. Ale zastanawiam się, czy nadążasz za historią. To znaczy, czy nie żyjesz w klimacie minionej epoki.

- Przyznaję, Witiu, że wiesz więcej ode mnie o bieżącej polityce. Jesteś aktywnym członkiem partii i ważnym kierownikiem. Masz pod sobą półtora tysiąca ludzi i odpowiadasz za produkcję rządu dziesiątków milionów rubli. Mimo to myślę, że ja wiem więcej od ciebie o życiu zwykłych ludzi, robotników i chłopów. Niektórzy się oddalają. Niektórzy zaczynają patrzeć na masy złym końcem teleskopu. Masz mnóstwo pieniędzy, wygody, samochody, służbę...

- Tato, chyba nie zasługuję na te wyrzuty. Niczego nie ukradłem, prawda? Państwo daje mi te rzeczy, a w zamian ja pracuję ciężiej niż każdy chłop.

- Nie chcę ci robić wyrzutów. Proszę, spróbuj mnie zrozumieć. Nic na to nie poradzę, że się martwię, czy nie straciłeś poczucia więzi ze zwykłymi ludźmi, czy, żeby ująć rzecz brutalnie, nie jesteś tak samo zadowolony jak reszta biurokratów, że stałeś się jednym z władców nieszczęsnego narodu rosyjskiego.

- Nie bardzo rozumiem, czego ode mnie oczekujesz. Jestem po prostu małym trybikiem w wielkiej maszynie. Prawda, tato, jest taka, że zbyt ciężko pracuję, żeby martwić się o zasady, nie mam na to czasu ani energii. Jestem przywalony pracą.

- Krótko mówiąc, stałeś się strusiem. Chowasz głowę w piasek i wszystkie problemy znikają. Mówisz: „To nie moja wina, nie jestem stróżem brata mego”, i o to właśnie chodzi. Tak, w dawnych czasach też byli tacy ludzie. Cierpienia twojego kraju już cię nie poruszają.

- Posłuchaj, tato, nie myśl, że nie wiem, co się dzieje, lub że pozwalam wodzić się za nos. Bądź co bądź, nie wiesz, co się dzieje w mojej głowie – i w głowach milionów innych komunistów. Ale co mogę zrobić? Mam wyjść na ulicę i krzyczeć: „Ratunku! Mordują!”? Poza tym, są również elementy pozytywne. Nowe fabryki, nowe kopalnie, linie kolejowe...

- Oczywiście, Wiktorze, oczywiście. Ale rewolucji nie robi się dla fabryk i linii kolejowych. Robi się je dla ludzi. Najważniejszą sprawą są prawa i swobody jednostki. Bez nich, bez ludzkiej godności, ludzie są niewolnikami, bez względu na to, jak uprzemysłowione jest ich więzienie. Kiedy wy, komuniści, chwalicie się nowymi fabrykami, ma to oznaczać, że ludzie żyją lepiej. No cóż, czy żyją lepiej w naszym kraju?

- W porównaniu z żalosną egzystencją w czasach carskich, przypuszczam, że tak.

- Witiu, czy musisz się okłamywać? Przypominasz sobie swoje życie u dziadka i w domu, kiedy byłeś chłopcem? Nie byliśmy bogaci, ale nigdy nie brakowało nam chleba i mleka i zawsze mieliśmy się w co ubrać. Ty i twoi bracia mieliście nawet nianię. Patrząc wstecz, nasze życie wydaje się niemal luksusowe w porównaniu z dzisiejszym życiem robotniczej rodziny. Ilu robotników dzisiaj ma takie domy, w jakim my wówczas mieszkaliśmy? W tamtych czasach tylko bardzo nieliczna mniejszość

wiodła tak nędzną i beznadziejną egzystencję, jaka dzisiaj jest udziałem większości.

- Miałem powód, żeby poprosić cię o dane dotyczące twojej fabryki. Przypadkiem pamiętam bardzo dobrze odpowiednie liczby sprzed rewolucji. Ślusarze w Nikopolu dostają teraz od stu czterdziestu pięciu do dwustu rubli miesięcznie. Przed 1917 rokiem dostawali zaledwie trzydzieści pięć do pięćdziesięciu rubli. Wykwalifikowany tokarz zarabiał wtedy od czterdziestu pięciu do osiemdziesięciu pięciu rubli. Dzisiaj zarabia dwieście do trzystu pięćdziesięciu. Uwzględniając również skrawaczy, wytapiaczy, operatorów dźwigów elektrycznych, średnia dzisiejsza pensja wynosi dwieście czterdzieści rubli, a w dawnych czasach wynosiła około pięćdziesięciu pięciu rubli.

- To brzmi nieźle. Ale jaki rubel był wtedy, a jaki jest teraz? Przed rewolucją kilogram chleba kosztował pięć kopiejek. Ile kosztuje dzisiaj? Od rubla i dwudziestu kopiejek do dwóch rubli. Kilogram mięsa kosztował piętnaście do dwudziestu kopiejek, a dzisiaj, jeśli w ogóle zdołasz dostać mięso, musisz zapłacić około dwunastu rubli - czyli sześćdziesiąt razy tyle! Ile zapłaciłeś za ten garnitur, który masz na sobie?

- Osiemset rubli.

- Osiemset rubli - trzy albo cztery razy więcej, niż zarabia dzisiaj wykwalifikowany skrawacz! Czy wiesz, ile by kosztował w dawnych czasach? Około piętnastu rubli, góra dwadzieścia. Masz więc obraz sytuacji. Pensje wzrosły trzykrotnie albo pięciokrotnie i wychwała się to jako wielki postęp ekonomiczny. Ale koszty utrzymania wzrosły nie pięciokrotnie, ale piętnastokrotnie, czterdziestokrotnie, pięćdziesięciokrotnie. Ślusarz, który zarabiał pięćdziesiąt rubli miesięcznie, był dobrze sytuowanym robotnikiem. Dzisiaj zarabia dwieście rubli i jest żalonym nędzarzem.

- Ale zapominasz o przywilejach, z których dzisiaj korzysta - urlopach, bezpłatnej opiece lekarskiej, żłobkach dla dzieci...

- Dobrze, przyjrzyjmy się tym przywilejom. Nazywasz je „bezpłatnymi”, ale wiesz, że na pokrycie tych przywilejów zabiera się sporą część pensji. Łącznie ze składkami związkowymi, przymusowymi ubezpieczeniami i całą resztą, od dwudziestu do dwudziestu pięciu procent zarobków. W dawnych czasach za dwadzieścia do dwudziestu pięciu procent swojej pensji robotnik mógł sobie kupić taką opiekę lekarską, jakiej potrzebował, i wakacje, bez żadnych zobowiązań wobec państwa.

- Dlaczego potrzebne nam są żłobki? Ponieważ niewiele żon może sobie pozwolić na to, żeby siedzieć w domu i zajmować się dziećmi. Za pięćdziesiąt rubli miesięcznie człowiek mógł utrzymać rodzinę na przyzwoitym poziomie. Teraz, przy dwustu rublach, musi posłać

do pracy żoną i dorosłe dzieci, żeby związać koniec z końcem. A jeśli chodzi o opiekę lekarską, którą dostaje, lepiej o tym nie mówić. Kiedy jesteś chory, Witiu, idziesz do państwowej przychodni?

- Nie, wzywam prywatnie doktora Gorkina.

- Oczywiście. Tak jak każdy, kto może sobie na to pozwolić. Wiesz równie dobrze jak ja, że aby mieć przyzwoitą opiekę lekarską, musisz za nią zapłacić. Państwowa służba zdrowia, tak jak wszystko, jest przeżarta biurokracją i apatią. A co z tymi wakacjami w domach wypoczynkowych, o których bez przerwy trąbi komunistyczna prasa? W swoim zakładzie, Witiu, masz półtora tysiąca robotników. Czy wiesz, ilu spośród nich wysłano w zeszłym roku do domów wczasowych?

- Nie. Kilkuset, jak przypuszczam.

- Mylisz się. Sprawdziłem dzisiaj liczby. Tylko pięćdziesięciu siedmiu w całym zakładzie. Wszyscy zapłacili za przywilej - tylko pięćdziesięciu siedmiu z niego skorzystało. Oczywiście domy wczasowe były przez cały czas wypełnione - dyrektorami, dygnitarzami partyjnymi, stachanowcami i innymi ulubieńcami państwa. Pewnie, jestem za opieką społeczną, opieką zdrowotną i całą resztą, ale pod warunkiem że zapewnia się ją ludziom z zysków, które państwo jako właściciel i użytkownik fabryk z nich czerpie - zysków, które wcześniej zabierali kapitaliści - a nie z zarobków samych robotników. To była istota rewolucji.

- A gdzie są twoje zyski? Twój zakład i cała gospodarka pracuje ze stratą. A my, obywatele, musimy pokrywać te straty. Boli mnie tylko, synu, że mówisz mi o drobnostkach i chełpisz się, jakby to były góry. Postęp ekonomiczny, przykro mi to powiedzieć, jest niewielki, jeśli zestawisz go z nakładami i ofiarami.

- Tylko naiwni cudzoziemcy i młodzi ludzie, którzy nie pamiętają przeszłości, wierzą w bajki. Dla mnie fakty materialne nie są tak ważne jak fakty polityczne i duchowe. Ale w twojej propagandzie cały nacisk jest położony na osiągnięcia materialne. Mierzę je twoją miarą.

- No cóż, jeśli wszystko było takie cudowne, tato, to dlaczego poszedłeś do więzienia i robiłeś rewolucję?

- Nie gadaj bzdur! Wiesz, że nie żałuję niczego, i zrobiłbym to jeszcze raz. Walczyliśmy ze złem. Narażaliśmy życie, żeby skończyć z tyranią polityczną i wyzyskiem ekonomicznym. To nie znaczy, że powinniśmy być dumni z tego samego zła pod inną nazwą. Całe to uzasadnianie obecnej niesprawiedliwości odniesieniami do wcześniejszego zła to tania demagogiczna sztuczka.

- Ale teraz wszystko należy do ludzi. Nie ma kapitalistów, nie ma wyzyskiwaczy.

W trakcie tej rozmowy stawałem się coraz bardziej poirytowany, właśnie dlatego, że w głębi serca zgadzałem się z ojcem w wielu sprawach.

- Nie udawaj głupca, Witiu. Robotnik, który jest niedożywiony, chociaż on i inni członkowie jego rodziny mają pracę, nie dba o to, kto go wyzyskuje, prywatny właściciel czy państwo. Kiedy pakuje się go więzienia albo na zesłanie, nie jest dla niego wielką pociechą, że robi się to w jego imieniu. Poza tym, jeśli kapitalistyczny przedsiębiorca płacił mi za mało albo nie zapewniał mi odpowiednich warunków, mogłem zmienić pracę. Mogłem agitować innych robotników, zwoływać wiece protestacyjne, wzywać do strajków, wstępować do partii politycznych, wydawać opozycyjną literaturę. Spróbuj czegoś takiego dzisiaj, a skończysz w obozie albo jeszcze gorzej. Wierz mi, byliśmy w lepszej sytuacji, mając do czynienia z setkami tysięcy kapitalistycznych pracodawców niż obecnie z jednym pracodawcą, państwem. Dlaczego? Bo państwo ma armię, tajną policję i nieograniczoną władzę. Przez całe życie walczyłem z kapitalizmem, nadal jestem jego wrogiem, ale to nie znaczy, że muszę wiwatować na cześć policyjnego socjalizmu.

Milczałem. Mogłem tylko marszczyć brwi.

- Przynajmniej mogliśmy myśleć, co chcieliśmy. Było wiele partii politycznych, frakcji, opinii. Chociaż samowładztwo było uciążliwe, w porównaniu z dzisiejszym systemem wydaje się liberalne. Pewnie, carska policja biła robotników i czasem do nich strzelała, i często rozstrzeliwała albo zsyłała rewolucjonistów. Ale skala była inna. Więźniów politycznych liczyliśmy na tysiące, a nie, jak obecnie, na miliony. A każda niesprawiedliwość wywoływała protesty, demonstracje, masowe wiece. Dzisiaj mamy tylko grobowe milczenie.

- Weźmy nasze tak zwane związki zawodowe. Czymże są, jak nie kolejnym instrumentem wymuszania decyzji rządowych i podnoszenia obowiązujących norm? Kiedyś organizacje pracownicze były prawdziwymi rzecznikami robotników, szkołami politycznymi, w których uczyliśmy się domagać swoich praw i walczyć o nie. Kto ośmieli się zaprotestować dzisiaj przeciwko czemukolwiek? Prasa, która pozuje na wyraziciela opinii publicznej, jest własnością partii i państwa. Odzwierciedla ich opinie.

- Jeszcze jedna rzecz, synu. Wiesz, że nigdy nie byłem wierzący. Ale zawsze cenilem prawo ludzi do oddawania czci Bogu, jeśli sobie tego życzyli. Jak niewiele zostało z tego prawa! Jaką miałbyś szansę na utrzymanie swojej pracy i stanowiska, gdybyś chodził do cerkwi? Żadnej!

- Nawet w najgorszych czasach za Romanowów ludzie mogli wyjeżdżać z kraju. Teraz wszyscy jesteśmy zamknięci, a do tych, którzy próbują przekroczyć granicę, strzela się jak do psów. Nie tylko na nich, ale i na ich rodziny spadają kary. Wyjechać z kraju? Nie, ty przywiązujesz robotników do maszyn i chłopów do ziemi jak w czasach poddaństwa.

- Dlaczego wciąż mówisz „ty”, jakby to wszystko była moja wina?
- Wybacz mi, Witiu, ale jako komunista nie możesz się uchylać od odpowiedzialności.

- Czy jestem w NKWD albo w Politbiurze? We wszystkim innym jesteś realistą, tato, ale chyba nie rozumiesz, że nawet odpowiedzialni komuniści, nie mówiąc już o zwykłych, są tak samo bezsilni jak wszyscy. Może nawet bardziej.

- Nie chcę być niesprawiedliwy, Witiu. Wiem, jak niewiele może zrobić pojedynczy człowiek. Nie chcę, żebyś krzyczał: „Ratunku! Mordują!”. Ale przynajmniej chciałbym mieć poczucie, że dobrze cię wychowałem i moje wysiłki nie poszły na marne - że jesteś świadomy prawdy.

- Tak, jestem jej świadomy. Bardziej, niż ci się zdaje. Co do tego możesz być spokojny. Ale wciąż czepiam się resztek nadziei. Nie chcę być cyniczny. Jeśli chodzi o nową konstytucję, na przykład. Może w końcu będziemy mieli więcej wolności...

- Żałuję, że nie mogę podzielać twojej wiary. Ale jaką wartość mają słowa na papierze, dopóki tajna policja robi, co chce, dopóki może istnieć tylko jedna partia z własną prasą, własnym bogiem - Stalinem - i własnymi sądami, a każda niezależna opinia jest traktowana jak zbrodnia? Jestem za stary, żeby żyć złudzeniami. Jeśli zobaczę jakąkolwiek oznakę złagodzenia terroru - świt prawdziwej wolności - pierwszy przywitam ją z prawdziwą radością. Na razie nie widzę takiej oznaki. Kiedy czytam wasze przechwałki i waszą nową konstytucję, Wiktorze, przychodzą mi na myśl słowa Woltera:

*Nie znajdziesz innej ręki tak szczodrej i łaskawej
W rozdawaniu ludziom baniek mydlanych.*

- Nie myśl, że łatwo mi to mówić. Nie cieszy mnie, że mój syn znalazł się wśród nowych wyzyskiwaczy, nawet jeśli on sam nie ponosi za to winy... Może przyjdzie czas, kiedy lepiej się nawzajem zrozumiemy...

Taki czas przyszedł szybciej, niż podejrzewaliśmy.

ROZDZIAŁ XIV

Wielka czystka

Po posiedzeniu Komitetu Miejskiego partii przyjaciel z administracji fabrycznej odwiózł mnie do domu. Tego ranka wrócił z Moskwy, gdzie miał wysoko postawionych znajomych, i można było oczekiwać, że przywiezie jakieś wieści. Ponieważ ogłoszono o aresztowaniu i zbliżającym się procesie Zinowjewa, Kamieniewa i innych starych bolszewików, byłem spragniony, tak jak wszyscy, każdego strzępka informacji. Członkowie leninowskiego „sztabu generalnego rewolucji” w więzieniu, zagrożeni egzekucją! To było potworne, niewiarygodne.

Większość ludzi – mogłem to osądzić po reakcjach robotników w Nikopolu – przyjęła obojętnie to, co wydawało im się rodzinną sprzeczką wśród ich nowych władców. Tragiczny los starych towarzyszy Lenina nie budził żadnego współczucia.

Ale członkowie partii, bezpartyjni urzędnicy, przedstawiciele nowej elity byli zaniepokojeni do głębi. Do tej pory leninowską starą gwardię uważano za nietykalną. Można ich było atakować, usuwać ze stanowisk, obrzucać inwektywami, ale ich życiu nic nie zagrażało. Nawet Lew Trocki, kiedy jego gwiazda zgasła, został jedynie wygnany do Alma Aty w Azji Środkowej, a następnie deportowany do Turcji. A teraz Grigorij Zinowjew, niegdyś przywódca Międzynarodówki Komunistycznej, człowiek, którego list (w dodatku prawdopodobnie sfałszowany) wystarczył, by wpłynąć na wynik wyborów w Anglii, miał być publicznie sądzony za zbrodnię główną! To już nie wyglądało na lokalną burzę, ale początek cyklonu, który wstrząśnie całą partią, całą biurokracją, całym krajem, zbierając okrutne żniwo śmierci i zniszczenia.

– Wiktorze – spytał mój towarzysz stłumionym głosem ze względu na obecność kierowcy – czy masz mocny kark?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że niebawem wiele głów spadnie z karków.

– Co mogłoby się stać z moją głową? Nie jestem opozycjonistą i nigdy nie byłem. Zajmuję się swoją pracą i nie mieszam się do polityki.

– Błogosławieni, którzy mają wiarę. Poczekaj, a zobaczysz.

Jego słowa były żartobliwe, ale ton śmiertelnie poważny.

– Przejdźmy się kawałek. Taki ładny wieczór – zaproponowałem, trącając go łokciem. Wysiedliśmy z samochodu. W kraju, gdzie wiele

ścian ma uszy, a większość kierowców pracuje dla tajnej policji, najbezpieczniej rozmawia się podczas spaceru.

- Co się dzieje? Mów otwarcie - zażądałem.

- W Moskwie panuje kompletny zamęt, a w Leningradzie, jak mówią, nie jest lepiej. Aresztuje się ludzi tysiącami. Nikt nie jest już bezpieczny. Komuniści i bezpartyjni są wyciągani ze swoich biur, na oczach wszystkich. Kilka wysoko postawionych osób, z którymi spotykałem się w Moskwie, w tajemniczy sposób zniknęło. NKWD dobiera się do samej góry, zabiera ważnych ludzi, komisarzy, dyrektorów trustów, ludzi z samego Kremla. Wszyscy są przygnębieni i śmiertelnie przerażeni, sparaliżowani. Kilku towarzyszy jest przekonanych, że Zinowjew i Kamieniew zostaną rozstrzelani, a za nimi pójdą inni, wielu innych. Trudno w to uwierzyć. To nie ma sensu. Ale tak jest! Będziemy traktowani jak kułacy i biali.

- Kto będzie następny?

- Mogę tylko zgadywać, tak samo jak ty. Ale nikt z nas nie ma żadnej gwarancji, że się uratuje. Sam fakt, że niewiele znamy, nie ocali ani ciebie, ani mnie. Dwóch naszych inżynierów - wymienił nazwiska - zabrano zeszłej nocy. Dyrektor Braczko otrzymał polecenie wysłania ich do Moskwy specjalnym pociągiem. Na stacji w Zaporozżu czekało na nich NKWD. Wyciągnęli ich z przedziału i wywieźli zakrytym samochodem. Mój przyjaciel był przypadkiem na dworcu i wszystko widział. Teraz to pójdzie szybko. Zobaczysz!

Rzeczywiście poszło szybko. Następnego ranka, gdy tylko przyjechałem do fabryki, jeden z moich zastępców przekazał mi wieść o aresztowaniu dwóch inżynierów. Jak wiele radzieckich „tajemnic”, ta też rozeszła się po całej fabryce. Nieco później odebrałem telefon od Lenskiego, drugiego sekretarza komitetu fabrycznego partii. Poprosił, żebym natychmiast do niego przyszedł. Chociaż Lenski był uprzejmy, nie podnosił głosu i wyglądał jak wiejski nauczyciel, miał reputację człowieka bezwzględniego.

- Towarzyszu Krawczenko, chcę się was poradzić w bardzo delikatnej sprawie. Chodzi o Arkadija Limanskiego. Przyglądaliście się jego pracy. On bywał u was, wy u niego. Czy kiedykolwiek rozmawiał z wami o polityce? O swojej politycznej przeszłości w Leningradzie, na przykład?

- Nie, rzadko rozmawialiśmy o sprawach nie związanych z fabryką. Jego zakład i mój musiały ściśle współpracować, dlatego pozostawialiśmy w kontakcie. Ale nie pamiętam żadnych rozmów na tematy polityczne.

Zasadniczo odpowiadało to prawdzie. W warunkach radzieckich niewielu ludzi, którzy razem pracują, osiąga taki stopień zażyłości, żeby dzielić się opiniami w „delikatnych” sprawach. Limanski i ja z pewnością go nie osiągnęliśmy. Lenski był rozczarowany i zapamiętał sobie, nie

miałem co do tego wątpliwości, że „osłaniam” podejrzanego. Wieczorem odbędzie się zebranie biura partyjnego, poinformował mnie, w „sprawie Limanskiego”. Na razie nie wolno mi ujawniać, że rozmawialiśmy na ten temat.

Tego wieczoru Limanski przyszedł na zebranie w wyśmienitym nastroju. Nawet nie podejrzewał, że pilna sprawa dotyczy jego. Był to korpulentny mężczyzna, mniej więcej trzydziestopięcioletni, mający słabość do eleganckich ubrań. Ponieważ raz wyjechał za granicę, do Niemiec, z oficjalną misją handlową, pozował na kosmopolitę, odnoszącego się z lekką pogardą do nikopolskiego prowincjonalizmu.

Sala zebrań była sina od dymu. Przewodniczył Lenski. Obok niego siedział nieznajomy – otyły, krótko ostrzyżony mężczyzna z okrągłą głową i nachmurzoną miną. Chociaż był po cywilnemu, jego dziarska, niemal żołnierska postawa zdradzała doświadczonego czekistę. Po sposobie, w jaki trzymał na kolanach teczkę, czuło się, że jej zawartość nie wróży niczego dobrego.

- Towarzysze, otwieram zebranie biura partyjnego – powiedział Lenski. - Na porządku dziennym mamy dzisiaj tylko jedną kwestię: kierownika podzakładu i członka partii Arkadija Wasiliewicza Limanskiego.

- Ja? – wykrzyknął Limanski, podrywając się na nogi. Na jego twarzy malował się głupkowaty uśmiech. Cios spadł tak nagle, że nie zarejestrował tego od razu.

- Tak, wy! Siadajcie, dopóki nie zostaniecie wywołani.

Limanski opadł powoli na krzesło. Cała krew odpłynęła z jego twarzy. Otarł czoło chustką do nosa.

- Towarzysze, czy ktoś ma coś do powiedzenia na ten temat?

Nikt się nie odezwał.

- Bardzo dobrze, w takim razie wstańcie, Limanski, i opowiedzcie nam krótko o swojej działalności, zwłaszcza w Leningradzie.

Teraz nieszczęsny Limanski dygotał już jak w ataku febry. Zazwyczaj elokwentny i pewny siebie, zdawał się nie nadążać za rozwojem wydarzeń. Zacinając się, klucząc, opowiadał swój życiorys i w pomieszeniu wtrącał nieistotne szczegóły, w tym wzmianki o swoim małżeństwie. Nieznajomy stracił cierpliwość.

- Nie interesuje nas wasze życie prywatne – powiedział. - Chcemy poznać waszą przeszłość polityczną.

- No cóż, towarzysze, to nie tajemnica... Wyjaśniałem to setki razy... Mam na myśli Leningrad. Byłem wtedy trochę niezdecydowany... Zbłądziłem i związałem się z kilkoma trockistami. To nie tajemnica, a partia wspaniałomyślnie mi wybaczyła. Tak, zaufała mi, a ja miałem dobrą opinię. Zapytajcie kogokolwiek z obecnych. Poza tym, towarzysze, to było tak dawno temu...

- Dawno temu! - zadrwił Lenski. - Zinowjew, Trocki i inne wściekle psy też prowadziły swoją brudną robotę dawno temu. Ta wymówka nie ocali już wrogów ludu. Powiedzcie mi, Limanski, czy kiedykolwiek wypowiedzieliście się przeciwko Komitetowi Centralnemu i naszemu Ukochanemu Przywódcy, towarzyszowi Stalinowi?

- Nie, oczywiście, że nie.

Lenski skinął na czekistę, który zagrział:

- Obywatelu Limanski, okłamujecie partię w żywe oczy! Czy nie wygadaliście się na zebraniu aktywistów w rejonie n... w sierpniu...?

Ta zmiana z „towarzysza” na „obywatela” była złowieszcza.

- Tak, teraz coś sobie przypominam - wymamrotał Limanski. Trzymał się krzesła, żeby nie upaść.

- Lepiej przypomnijcie sobie więcej. Kogo znaliście w Leningradzie, kto też „zblądził” i też był „trochę niezdecydowany”?

- Trudno to sobie przypomnieć... po tylu latach. Zresztą zaraz... - Wymienił pół tuzina nazwisk.

- I gdzie oni teraz są?

- Nie mam pojęcia... pracują, jak przypuszczam.

- No cóż, powiem wam. Wszyscy zostali aresztowani! Nawiasem mówiąc, czy podpisaliście razem z nimi jakiś opozycyjny dokument?

- Och, nie... to znaczy, chyba nie.

- Pozwólcie, że odświeżę wam pamięć. Oto fotokopia. Podejdźcie tutaj i spójrzcie. Może rozpoznajecie to? Wasz podpis?

Limanski spojrział na papier, potem wrócił na swoje miejsce, zataczając się jak ślepiec.

- Ale nie mogliście sobie przypomnieć, co? Byliście zbyt zajęci przypominaniem sobie dnia ślubu i podróży do Berlina, co?

- To był prywatny papier, w żadnym razie nie polityczny, i tak dawno temu...

Przesłuchanie ciągnęło się może z pół godziny. Limanski, teraz już zupełnie załamany, niepotrzebnie zaprzeczał mało istotnym faktom, a potem, kiedy prezentowano mu dowody, potulnie się przyznawał. Żadna z tych rzeczy sama w sobie nie była ważna, ale zebrane razem i przytoczone znaczącym tonem przez czekistę, a potem przez Lenskiego, wystarczyły. Później nastąpiła krótka dyskusja. Kilku ludzi wstawiło się za Limanskim, większość go potępiła. Wreszcie zebrani jednogłośnie wykluczyli go z partii i zwrócili się do Komitetu Miejskiego o zatwierdzenie decyzji. Kiedy wychodziliśmy z sali, nikt się nie odezwał. Staraliśmy się nie patrzeć na siebie.

W drodze do domu zauważyłem światło w oknie gabinetu Limanskiego i pod wpływem impulsu wszedłem bez pukania. Zostałem go za biurkiem, z twarzą ukrytą w dłoniach, jego szerokie ramiona drżały od tłumionego płaczu. Za ledwie godzinę temu był silnym, pewnym siebie

kierownikiem, niepozbawionym biurokratycznej arogancji; nagle stał się żalonym, trzęsącym się wrakiem.

- Wiktorze Andriejewiczu! - podniósł ze zdumieniem głowę. - Dziękuję, że przyszliście. To koniec! Wykluczenie, potem aresztowanie, a potem co? Moja żona... O, Boże! Chyba będzie lepiej, jeśli się zastrzelę.

Nie dał się pocieszyć i miał rację. Komitet Miejski szybko zatwierdził wykluczenie. Limanski został przeniesiony na niższe stanowisko w Charkowie i niedługo potem aresztowany. Nikt w Nikopolu nie wiedział, co się z nim stało później.

Tydzień czy dwa po tamtym zebraniu miałem jakąś sprawę do zastępcy Braczki, członka partii Aleksieja Suchina. Wszedłem dziarsko do sekretariatu i już miałem wejść do jego gabinetu, gdy zatrzymała mnie sekretarka.

- Proszę poczekać, towarzyszu Krawczenko. Towarzysz Suchin jest bardzo zajęty.

- Ja też - odparłem zirytowany i wkroczyłem do gabinetu.

Na progu zatrzymałem się jak wryty. Suchin siedział za biurkiem, a obok niego tłusty, spocony Gerszhorn, jego obwisłe wargi wykrzywił szyderczy grymas. Pod ścianami, z lewej i z prawej, siedziało dziesięciu albo dwunastu inżynierów, w tym kilku członków partii. W zakłopotaniu przywitałem się głośno ze wszystkimi. Tylko Suchin odpowiedział. Potem zauważyłem, że inżynierów pilnuje czterech umundurowanych funkcjonariuszy NKWD.

Wycofałem się zmieszany i pobiegłem do gabinetu Braczki.

- Co się stało, Piotrze Piotrowiczu? - spytałem.

- Już nic nie rozumiem. Dwunastu ludzi jednego dnia! Ośmiu wczoraj! Jeśli tak dalej pójdzie... W głowie mi się mąci, Wiktorze Andriejewiczu.

W ciągu jednej nocy Braczko wyraźnie się postarzał. Oczy miał nienaturalnie rozszerzone, nieprzytomne z niewyspania.

Z jego gabinetu poszedłem do działu księgowości, żeby sprawdzić jakieś dane, których potrzebowałem. Spędziłem tam około dziesięciu minut. Nagle jeden z urzędników, siedzący w pobliżu okna, zawołał z przejęciem:

- Mój Boże! Spójrzcie na to!

Wszyscy popędziliśmy do okien. Przed budynkiem stała jedna z budzących lęk, pozbawionych okien furgonetek NKWD, które ludzie nazywali „czarnymi wronami”. Inżynierów i techników, których widziałem w gabinecie Suchina, wyprowadzano właśnie z budynku. Czekał z rewolwerami w rękach wpychali ich kolejno do furgonetki.

Kiedy tak patrzyliśmy, zmroził nas niespodziewanie histeryczny krzyk kobiety - a potem znowu zapadła cisza. Żona jednego z aresztowanych, która również pracowała w naszym zakładzie, podeszła do okna właśnie

w momencie, kiedy jej męża wrzucano do „czarnej wrony”. Krzyknęła i zemdląła.

Kiedy wszystkich inżynierów załadowano do środka, drzwi zatrzasnęły się z głośnym łomotem i furgonetka odjechała. Gerszhorn i jego koledzy wsiedli do eleganckiego samochodu, który ruszył w ślad za furgonetką. Dziesiątki ludzi w oknach patrzyły ze swego rodzaju fascynacją na ślady w śniegu, pozostawione przez pojazdy.

Wśród robotników w moim zakładzie był niemiecki Żyd, komunista, który znalazł schronienie w Rosji po dojściu Hitlera do władzy, drobny mężczyzna o szczupłej, ziemistej twarzy. Nazywał się Zelman. Z jakiegoś powodu moskiewska centrala Międzynarodówki Komunistycznej odebrała mu legitymację partyjną – w ojczyźnie komunizmu rzadko ufano zagranicznym komunistom; ich wierność wobec Stalina zawsze budziła wątpliwości. Zelman był cichy i starał się trzymać na uboczu, jakby wiecznie się czegoś bał. Ożenił się z rosyjską dziewczyną i wydawał się zadowolony ze swojego życia w Nikopolu. Był wyjątkowo uzdolnionym brygadzystą i polegałem na nim, jeśli chodzi o szkolenie nowych robotników.

Pewnego dnia Zelmana wezwano do NKWD. Kiedy wrócił, po kilku godzinach, był śmiertelnie blady i dygotał. Jego zwykła bojaźliwość przekształciła się w skrajne przerażenie. Swym łamanym rosyjskim wyjaśnił mi, że kazano mu natychmiast wyjechać z kraju – z powrotem do Niemiec!

- Pomóżcie mi, towarzyszu Krawczenko. Do Niemiec! Czy zdajecie sobie sprawę, co to znaczy? Jestem nie tylko Żydem, ale komunistą, nie tylko komunistą, ale Żydem. Niech mnie wyślą na Syberię albo do więzienia, ale nie do Niemiec, nie do Niemiec!

Zelman już nie wrócił do pracy. Dyskretnie zasięgnąłem informacji. Dowiedziałem się tylko tyle, że uchodźcę i jego żonę zabrano z Nikopola.

Moja pamięć chwieje się pod własnym ciężarem, kiedy wspominam te ostatnie miesiące 1936 roku, zanim zubożyliśmy na cyklon represji. To tylko kilka epizodów, wybranych przypadkowo z chaosu: resztki rumowiska w świetle, który stracił równowagę i zdawał się rozpadać na naszych oczach.

Z jakiegoś powodu szczególnie wyraziście utkwiała mi w pamięci historia inżyniera Stecewicza. Kiedy o nim myślę, zawsze przypomina mi się jego matka, krucha, życzliwa starsza kobieta. Oboje byli polskiego pochodzenia, podobnie jak piękna żona Stecewicza. Jako bezpartyjny specjalista, obciążony dodatkowo polskimi korzeniami, inżynier trzymał się z daleka od polityki, pracował dobrze i ciężko i nie nawiązywał

kontaktów towarzyskich z kolegami z fabryki.

Uświadomiłem sobie, że Stecewicz ma kłopoty, kiedy jeden z ludzi Gerszhorna przyszedł mnie przesłuchać na temat jego pracy. Z całą szczerością mogłem wymienić tylko pochlebne rzeczy - była to kolejna czarna plama w mojej kartotece w archiwach NKWD. Moja odmowa „współpracy” w kampanii demaskowania „sabotażystów” miała się stać później głównym zarzutem przeciwko mnie. Niebawem Polak został aresztowany; jego żonę i matkę wyrzucono z mieszkania.

Pewnego wieczoru wracałem z Nikopola samochodem. Na drodze przed nami, mniej więcej trzy kilometry od miasta, zauważyłem pochyloną starą kobietę, ledwo powłóczącą nogami, z tobołkiem w ręku. Kiedy się z nią zrównaliśmy, rozpoznałem w niej matkę Stecewicza. Zatrzymałem samochód i zaprosiłem ją do środka. Wiedziałem, jak niebezpiecznie jest okazywać życzliwość matce aresztowanego człowieka, którego w dodatku oskarżono o szpiegostwo na rzecz Polski, ale w tym momencie nie dbałem o to. Zabrałbym ją, nawet gdyby to oznaczało pewną śmierć.

- Dziękuję, dziękuję, Wiktorze Andriejewiczu - powiedziała. - Niech Bóg sprawi, żeby wasza matka nie musiała cierpieć tak jak ja cierpię; żebyście wy nie musieli znosić tego, co znosi mój biedny chłopiec. Idę do NKWD. Będę tam stała i czekała. Może pozwolą mi wysłać dla niego paczkę. Inne kobiety mówią, że będzie w grupie więźniów przewożonych dzisiaj do Dniepropietrowska.

Kiedy dotarliśmy do miasta, uparła się, że wysiadzie, żeby nie narażać mnie na kłopoty. Mój kierowca zawrócił.

- Towarzyszu dyrektorze - powiedział - może i jestem sukinsynem, który donosi o wszystkim, co widzi i słyszy. Wierście mi albo nie, ale przysięgam na własną matkę, że tym razem nie doniosę. Moja matka jest prostą kobietą, nie wytworną damą taką jak ta. Ale kocham ją i dziękuję wam, Wiktorze Andriejewiczu, jak jeden Rosjanin drugiemu.

W latach mojej próby ten incydent nigdy nie wyszedł na światło dzienne, chociaż zarzucano mi wiele znacznie mniej poważnych „zbrodni”. Kierowca dotrzymał słowa.

2

Atmosfera w kombinacie nikopolskim robiła się z dnia na dzień coraz bardziej przytłaczająca. Kozłow, sekretarz partii, został „przeniesiony” do Krzywego Rogu, a niebawem dowiedzieliśmy się o jego aresztowaniu. Kolejni pracownicy administracji nie pojawiali się w pracy, a ich rzekoma „choroba” okazywała się permanentna.

Szeregowi robotnicy przyjęli początkowo pogląd, że te dziwne wydarzenia nie są ich sprawą. Ale mężczyźni i kobiety wokół nich,

koledzy z warsztatów, robotnicy tacy jak oni, też zaczęli znikać. To zmieniało postać rzeczy. Niepokój stał się tak powszechny, że odbijał się na produkcji. Morale w fabryce mocno podupadło.

Kiedy zwołano nadzwyczajne zebranie nikopolskich aktywistów, poszliśmy tam na miękkich nogach. W drzwiach starannie sprawdzono nam dokumenty, chociaż doskonale znaliśmy się nawzajem. Dawne poczucie koleżeństwa na tego rodzaju zebraniach odeszło bezpowrotnie. Kilka miesięcy wcześniej rozległyby się głośne powitania. „Witajcie, towarzyszu Krawczenko!”, „Jak się masz, stary!”. Nastąpiłaby koleżeńska wymiana plotek, anegdot, rozmowy o pracy, o polityce partyjnej. Teraz panował nastrój nerwowej powagi. Trzymaliśmy się z daleka od innych, jakbyśmy się bali straszliwej zarazy. Niemal można było usłyszeć niewypowiedziane słowa: „Ratuj siebie, ratuj siebie! Unikaj sąsiadów!”.

Towarzysz Brodski, sekretarz Komitetu Miejskiego, zwykle tak zdecydowany i energiczny, teraz wyglądał jakby nie spał od dłuższego czasu. Oczy miał podpuchnięte, ręce mu drżały. Jego głos brzmiał głucho, jakby mówił przez megafon. Niewielu z nas podejrzewało, że to jego ostatnie publiczne wystąpienie, że potężny, impulsywny Brodski znajdzie się niebawem w piwnicy NKWD wraz z większością towarzyszy zasiadających teraz obok niego na podium.

Zebraliśmy się tutaj, oznajmił Brodski, aby wysłuchać poufnego listu Komitetu Centralnego w Moskwie. Odczytał go, powoli, z namaszczeniem, aby dać wyraz swojej bezwzględnej aprobacie. Było to kilka dni przed skazaniem i egzekucją Zinowjewa, Kamieniewa i innych. Komunikat z Moskwy miał najwyraźniej przygotować partię na wstrząs i zasiać strach w sercach wszystkich wątpiących.

Teraz, kiedy „zostało dowiedzione”, głosił list, że trockistowsko-zinowjewowskie monstra zjednoczyły się w swojej walce przeciwko władzy radzieckiej z zagranicznymi szpiegami, prowokatorami, kułakami, dywersantami, białymi, szkodnikami, kapitalistycznymi agentami, wszyscy członkowie partii muszą zrozumieć potrzebę nadzwyczajnej czujności... Cechą prawdziwego bolszewika będzie od tej pory jego zdolność do rozpoznawania i bezlitosnego ujawniania wrogów ludu ukrywających się za legitymacjami partyjnymi... Nie ma miejsca na „zgniły liberalizm” i „burżuazyjny sentymentalizm”.

Przesłanie było aż nadto jasne. Dreszcz przeszedł po sali. Tak jak w przeszłości szukaliśmy „wrogów” w całym społeczeństwie, teraz musimy ich szukać przede wszystkim we własnych szeregach! Zasługi będą odtąd mierzone liczbą zadenuncjowanych najbliższych towarzyszy.

Słabi i zbyt wrażliwi, którzy postawią osobistą przyjaźń ponad interesami partii, poniosą konsekwencje swojej „dwulicowości”.

Brodski mówił długo o znaczeniu poufnych zaleceń. Ponieważ jego

życie zależało od liczby i kwiecistości przymiotników, wychwalał Genialnego Stalina, Słońce Naszej Socjalistycznej Ojczyzny, Mądrego i Nieomylnego Przywódcę. Wbijalem sobie paznokcie w dłonie, aż pociekła z nich krew.

Inni prosili o głos, aby potępić siebie i nikopolską organizację partyjną za „brak czujności”, za „samozadowolenie w obliczu niebezpieczeństwa”. Wśród towarzyszy zapanował popłoch, każdy chciał się zdeklarować, poniżyć, ocalić. W samym środku tego zalewu obrzydliwego krasomówstwa w drzwiach zrobiło się poruszenie. Wszyscy się odwróciliśmy.

Przybył towarzysz Chatajewicz, pierwszy sekretarz Komitetu Obwodowego, członek Komitetu Centralnego. Kroczył środkiem sali w stronę podium w asyście uzbrojonych czekistów. To był nowy akcent, chyba najbardziej przerażający: czekaści i rewolwery na zebraniu komunistycznego aktywu! Obstawa chroniąca przywódców przed „najlepszymi z najlepszych”!

Chatajewicz wyglądał na zmęczonego. Twarz miał bladą i głęboko pobrużdżoną, jego głos zdawał się dobiegać gdzieś z daleka. Przemawiał w duchu listu z Moskwy. Ale nie potrafił ukryć swojej udręki. Słuchając go, przypomniałem sobie scenę na polach pszenicy podczas kolektywizacji, kiedy ten sam Chatajewicz dziękował mi za wykonanie planu przed terminem i przekonywał mnie, abym zrozumiał potrzebę „silnej” polityki; nasze spotkania w Komitecie Obwodowym. Był wtedy taki zadzierzysty, taki pewny siebie...

Od tej pory sprawą „honoru” stało się denuncjowanie i ujawnianie „zamaskowanych wrogów” w partii. Baliśmy się rozmawiać z najbliższymi towarzyszami. Zrywaliśmy kontakty z przyjaciółmi, krewnymi i kolegami z pracy. Mogli być przecież zakażeni, roznosić zarazki epidemii politycznej szalejącej w kraju. Zapominaliśmy, że były kiedyś takie rzeczy jak uczciwość, wierność, przyjaźń.

Upadek każdego z przywódców lub dygnitarzy pociągał za sobą czystkę wśród jego podwładnych i kolegów. Po aresztowaniu Brodskiego „czarne wrony” i kryte samochody NKWD zabrały jego zastępców, przyjaciół, mężczyzn i kobiety, którym dał posady w Nikopolu. Do worka trafił komendant nikopolskiego garnizonu, miejscowy prokurator i jego prawniczy sztab, a wreszcie sam przewodniczący nikopolskiej rady. Miejscowy bank, gazeta, wszystkie instytucje państwowe zostały „wyczyszczone”. Wszędzie władzę obejmowali nowi ludzie i często w ciągu tygodnia lub miesiąca sami byli zabierani.

Ludzie opowiadali sobie szeptem o aresztowaniu przewodniczącego rady, najwyższego urzędnika w mieście. Kiedyś był górnikiem, wyróżnił się podczas wojny domowej. Obudzono go w środku nocy. Jego żona i dzieci tak głośno płakały, że obudziły sąsiadów.

- Jestem przedstawicielem władzy radzieckiej w Nikopolu - krzyczał przewodniczący do umundurowanych funkcjonariuszy. - Nie macie prawa mnie aresztować! Chcę zobaczyć nakaz!

- Ruszaj, podły psie! Zaraz ci pokażemy, kto ma jakie prawa - warknął oficer kierujący aresztowaniem i wypchnął go przez drzwi.

Po aresztowaniu przewodniczącego taki sam los spotkał większość najwyższych urzędników władz miejskich, w tym kierownika administracji komunalnej, komendanta straży pożarnej, kierownika kasy oszczędności, a nawet kierownika sanepidu; niektórych zabrano z domów w nocy, innych w biały dzień z ich biur.

Na miejsce Kozłowa przyszedł nowy człowiek, nieobeznany z naszą fabryką. Nazywał się Łos. Był tępym fanatykiem, równie delikatnym i wysublimowanym jak pędzony w domu bimber. Ostatnie resztki koleżeństwa wyparowały w gorliwym szale jego polowań na winnych. Spotykając się na terenie fabryki lub na korytarzach, pracownicy techniczni i urzędnicy partyjni patrzyli na siebie ze zdziwieniem. „Co? Jeszcze żyjesz?” - mówiły nasze spojrzenia.

W gmachu NKWD przy jednej z głównych ulic światła paliły się przez całą noc, teraz już każdej nocy. Ta instytucja pracowała dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jej interes kwitł. Dorogan, Gerszhorn i ich towarzysze byli w świetnym nastroju, zmęczeni, ale pełni uniesienia, niczym generałowie podczas bitwy, która przebiega doskonale. Aresztowanych nie przetrzymywano długo. Nikopol był w końcu tylko małą filią wielkiej instytucji. Wysyłano ich do Dniepropietrowska, z Dniepropietrowska do Charkowa i innych ośrodków, żeby zrobić miejsce dla następnych.

A Nikopol był tylko maleńką częścią ogromnego pokosu, ścinanego sierpem wielkiej czystki. Instrukcje z naszej centrali, Trubostalu i z ludowego komisariatu w Moskwie coraz częściej były podpisane nieznanymi nazwiskami, tylu starych urzędników dosięgło ostrze. Chatajewicz i jego koledzy z Komitetu Obwodowego zostali aresztowani; Chatajewicz był na tyle ważny, że poświęcono mu pół kolumny obelg w miejscowej prasie. Wszędzie działo się tak samo. Trudno było nadążyć za sensacjami, tragediami, strasznymi niespodziankami. Najbardziej fantastyczne pogłoski pozostawały daleko w tyle za rzeczywistością.

Świat śledził kilka spektakularnych procesów, odbywających się w dawnej siedzibie Klubu Szlacheckiego w Moskwie. Nie rozumiano wówczas, że procesy moskiewskie stanowiły jedynie oficjalną fasadę, za którą rozgrywał się prawdziwy koszmar. Na publicznych procesach wystąpiło kilkadziesiąt starannie wybranych i dobrze przygotowanych do odegrania swojej roli ofiar. Tymczasem czystka pochłaniała setki tysięcy, a ostatecznie około dziesięciu milionów, z którymi rozprawiano

się szybko: tych do więzienia, tych na zesłanie, tych do obozów pracy przymusowej, tych na śmierć.

Mimo przenikliwego zimna budynek NKWD w Nikopolu otaczały tłumy kobiet i dzieci. Czekiści je rozpędzali, ale wkrótce zbierały się ponownie, płacząc, krzycząc, wołając ojców, mężów, braci. Wielu aresztowanych mieszkało w Nikopolu, lecz mnóstwo innych pochodziło z okolicznych wsi, gdzie pogrom uderzał w przewodniczących rad, sekretarzy partii, przywódców Komsomołu, kierowników kołchozów. Nigdy nie zdołam wyrzucić z pamięci scen rozgrywających się przed gmachem NKWD. Największy teatralny geniusz, który chciałby pokazać powszechną rozpacz, makabrę i bezgraniczny smutek, nie potrafiłby wymyślić niczego straszniejszego.

A w środku tej zawieruchy, w listopadzie 1936 roku, wśród płaczu i krzyku cierpiących, prasa i radio ogłosiły o formalnym przyjęciu „najbardziej demokratycznej konstytucji na świecie”.

Histeria osiągnęła taki poziom, że roztrzęsieni członkowie partii kładli się spać w ubraniu, „na wszelki wypadek”. Jak niemal wszyscy, miałem małą walizkę z rzeczami, których człowiek może potrzebować w więzieniu: bielizną na zmianę, skarpetami, chustkami do nosa, kocem.

- Wyjeżdżacie gdzieś? - spytała naiwnie Pasza, kiedy znalazła walizkę pod moim łóżkiem.

- Kto wie, Pasza, kto wie? - westchnąłem.

Towarzysz Braczko pojechał służbowo do Dniepropietrowska i wrócił ze strasznymi wieściami. W moim rodzinnym mieście spustoszenie było jeszcze gorsze niż w Nikopolu. W mojej dawnej fabryce, jak mi powiedział, aresztowania objęły ponad pięćset osób - a „czarne wrony” wciąż były nienasycone. Wielu kolegów z instytutu - Bierieckoj, Katz, Richter, lista wydawała się nieskończona - straciło swoje inżynierskie posady. Codziennie bydłące wagony, zamykane i pieczętowane od zewnątrz, wywoziły z Dniepropietrowska swój ludzki ładunek. Cztery lata temu ładunek składał się głównie z chłopów; teraz jakoś się poprawiła: komuniści, dygnitarze rządowi, wojskowi, technicy, bezpartyjni urzędnicy.

- Do czego zmierza Stalin i Politbiuro? To wszystko zakrawa na czyste szaleństwo - powiedział Braczko i natychmiast tego pożałował, jak się zorientowałem po jego przerażonym spojrzeniu.

Do czego zmierza Stalin i Politbiuro? To samo pytanie kołatało się w mojej głowie. Zrobiłem rzecz głupią i daremną. Ponieważ znałem jednego z członków Politbiura osobiście, postanowiłem go zapytać, co to wszystko znaczy. Siedząc do późna, przez kilka nocy z rzędu, trudziłem się nad listem do komisarza Ordżonikidzego.

Tak spokojnie jak się dało – jakbym układał techniczne sprawozdanie – opisałem, co się dzieje w Nikopolu, Dniepropietrowsku, Krzywym Rogu i innych miastach naszego obwodu. Wymieniłem nazwiska. Poręczyłem za lojalność ludzi, których zwolniono z pracy. Jeśli tak dalej pójdzie, ostrzegłem, nie zostanie nikt kompetentny do kierowania przemysłem w naszym regionie. Produkcja już została zdeorganizowana, nikt nie śmie rozpocząć pracy, nikt nie śmie podejmować decyzji.

Wysłałem list prywatnymi kanałami i wiem na pewno, że trafił do rąk komisarza. Ale nie otrzymałem odpowiedzi. Kiedy zaczęła się moja czystka, ani razu nie zapytano mnie o list, wiedziałem więc, że Ordżonikidze nie przekazał go NKWD, i byłem mu za to wdzięczny. Dowolny akapit mojego listu wystarczyłby, żeby przesądzić o mojej pospiesznej egzekucji.

3

Moja kolej nadeszła w listopadzie 1936 roku.

Stało się to tak samo nagle jak w przypadku Limanskiego, ale ja miałem psychologiczną przewagę, ponieważ spodziewałem się ciosu i ponieważ przysłuchiwałem się wielu próbom generalnym z innymi towarzyszami w rolach głównych. Podstawowa rzecz, powiedziałem sobie, to nie tracić zimnej krwi. W ciągu niekończących się bezsennych nocy próbowałem sobie wyobrazić, jakie mogą być zarzuty przeciwko mnie. Jakie będą moje „zbrodnie”? Coś, co powiedziałem lub zrobiłem rok temu, pięć lat temu? Czy będą dotyczyły mojej pracy w zakładzie?

Poza wątpliwościami w głowie i głębokim smutkiem w sercu nie poczuwałem się do żadnych zbrodni przeciwko państwu radzieckiemu. Kiedy oskarżenia wreszcie padły, miały niewiele wspólnego z moimi wcześniejszymi domysłami.

Zebranie partyjne zwołano w sali teatralnej klubu fabrycznego. Tego wieczoru padał deszcz ze śniegiem. Podłoga była śliska i uwalana błotem spływającym z naszych butów. W powietrzu wisiały sine chmury dymu papierosowego. Ta sala, wieczór i brud pozostaną ze mną na zawsze. Stały się częścią powracającego koszmaru. Zbudowały nastrój dla tego, co nastąpiło potem, tak jak wagnerowska uwertura buduje nastrój dla rozgrywającego się później dramatu.

Kilku członkom postawiono zarzuty. Miejscowe komórki partyjne demonstrowały „inicjatywę” i „bolszewicką” czujność, występując przeciwko swoim członkom, zanim jeszcze zrobiła to tajna policja. Były zwiadowczymi patrolami NKWD. W trzech przypadkach zebrani głosowali za wykluczeniem. Zebranie najwyraźniej zbliżało się do końca.

Nieoczekiwanie Łos wstał, żeby przemówić. Myślałem o czymś bardzo

odległym od tego wstrętne zebrania, gdy nagle sens jego słów poraził mnie jak wstrząs elektryczny. Chwila nadeszła!

- Towarzysze - zaczął Łos - proponuję, abyśmy omówili przypadek dyrektora walcowni, członka partii Wiktora Andriejewicza Krawczenki. Mamy doniesienia zawierające bardzo poważne zarzuty dotyczące przeszłej i obecnej działalności tego towarzysza.

- Niech oskarżyciele przemówią! - zawołał ktoś z końca sali.

- Dobrze - powiedział Łos. - Inżynier Grigorij Makarow może zabrać głos.

Kiedy Makarow wspiął się na podium, towarzysz siedzący po mojej prawej stronie wstał i wyszedł, mrucząc pod nosem, że „idzie zapalić”. Człowiek po mojej lewej też odszedł. Stałem się trędowaty. Otaczała mnie pustka.

Znałem Makarowa od czasów instytutu. Był jednym z tych niekompetentnych, bezradnych ludzi, którzy utrzymują się na powierzchni, wykorzystując czyjeś współczucie. Dałem mu posadę w Nikopolu, znalazłem dla niego mieszkanie i zawsze uważałem naiwnie za pewnik, że jest mi wdzięczny.

- Znam Krawczenkę od wielu lat - mówił teraz Makarow. - Był członkiem biura komitetu partii w Instytucie Metalurgicznym. Większość jego kolegów z tego komitetu została aresztowana; w szczególności Bierieckoj, który był jego przyjacielem, i Katz. Zastanawiam się, czy to przypadek, towarzysze! Krawczenko ma wielu przyjaciół i znajomych w Moskwie i przyszedł do instytutu z rekomendacji samego towarzysza Ordżonikidzego. Nawiasem mówiąc, niektórzy z tych moskiewskich „znajomych” zostali zdemaskowani jako wrogowie ludu.

- Ale to wszystko rzeczy uboczne, towarzysze. Chcę powiedzieć, że przez te wszystkie lata członek partii Krawczenko okłamywał partię. Zataił przed partią bardzo ważny fakt - polityczną przeszłość swojego ojca! Dlaczego nie przyznał się, że przed rewolucją jego ojciec był aktywnym mienszewikiem i od tamtego czasu agitował bezpartyjnych robotników przeciwko polityce naszego Ukochanego Przywódcy?

- Mówcie o Krawczence, nie o jego ojcu! - przerwał ktoś.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni - odkrzyknął Łos. - Proszę dalej, towarzyszu Makarow.

- To prawda - ciągnął Makarow - niedaleko pada jabłko od jabłoni. Krawczenko nie jest lepszy niż jego ojciec. Otaczał się „wrogimi elementami”. Waszym zdaniem to przypadek, że zgromadził w swoim zakładzie tylu bezpartyjnych? Kim są jego zastępcy? Kim są jego brygadziści? Kim jest aresztowany mienszewik Dubinski? Kim jest aresztowany niemiecki faszysta Zelman? Mógłbym wymienić jeszcze wielu innych. To wszystko ludzie bezpartyjni albo prawdziwi wrogowie,

których szkodnictwo zostało ujawnione przez NKWD.

Wśród swojej niedoli pomyślałem: a więc to go gryzie, że nie mianowałem go swoim zastępcą!

- Towarzysze, Zelman jest Żydem i niemieckim komunistą. Jak możecie nazywać go faszystą? - przerwał mówcy jakiś robotnik.

- Doskonale, mówicie, że jest Żydem i komunistą - odparł Makarow. - Czy Hitler nie nasłał nam tu tysięcy dywersantów i szpiegów? Czy może być lepszy kamuflaż niż Żyd i komunistą? Czy może być lepsza ochrona dla takich szubrawców niż pod skrzydłami Krawczenki z jego wysoko postawionymi znajomymi?

- Towarzyszu Łos - teraz wtrącił się dyrektor Braczko - proponuję, żeby mówca trzymał się faktów i przestał grzebać się w brudach i nonsensach.

- Dam wam fakty, towarzyszu Braczko, całe mnóstwo. Wróćmy do momentu, kiedy uchwalono nowe normy zgodne z hasłami naszego wspaniałego ruchu stachanowskiego. Czy nie jest jasne dla wszystkich, że Krawczenko sprzeciwiał się tej zmianie? Tylko jeden robotnik okazał się tak niewdzięczny, by zaatakować nowe normy, niejaki Kiriuszkin. I co zrobił Krawczenko, ten humanitarysta o wielkim sercu? Nagrodił Kiriuszkiną lepszą pracą! Tak, oskarżam go o to, że osłania elementy antyradzieckie w naszych szeregach, i oskarżam go przede wszystkim o to, że oszukiwał naszą wspaniałą partię, ukrywając mienszewizm swojego ojca.

Kiedy schodził z podium, padały okrzyki: „Racja! Dobrze powiedziane!”, a także okrzyki: „Łgarstwa! Same łgarstwa! Brednie!”.

- Głos ma członek partii inżynier Szajkiewicz - obwieścił Łos.

Szajkiewicz był niewielkiego wzrostu, miał pomarszczoną drobną małą twarz i małe okrutne oczka.

- Towarzysze, ja również wysłałem doniesienie na towarzysza Krawczenkę - powiedział nienaturalnie wysokim głosem, który brzmiał jak naprężony drut. - Obserwuję go od dłuższego czasu. To prawda, że gazety i radio wychwalały go pod niebiosa. Ile jego zdjęć ukazało się w gazetach! Ale jeśli wszystkie te zasługi dla kraju były tylko zasłoną dymną, za którą ten osobnik prowadził swoją nikczemną robotę?

- Fakty, nie retoryka! - zawołał Braczko.

- Krawczenko to malkontent! - Mówca, rozgniewany, że mu przerwano, uderzył w jeszcze bardziej piskliwą nutę. - W instytucie krytykował kolektywizację. Wszyscy o tym wiedzą. A w samej fabryce - wiecznie ta ponura mina, wszystko mu nie w smak! Nawet jego matka przyjechała tu węszyć i składać skargi. A dlaczego w ogóle zajmuje takie wysokie stanowisko? Bo ma przyjaciół w Moskwie i w Charkowie! Nie zdolności, ale znajomości!

- To kłamstwo, towarzysze! - zawołał znowu Braczko. - Krawczenkę

mianował towarzysz Iwanczenko po konsultacji ze mną. Jest jednym z najlepszych inżynierów w Trubostalu i sam komisarz często powierzał mu ważne projekty specjalne.

- Ale nie możecie zaprzeczyć, towarzyszu Braczko, że jest synem antyradzieckiego ojca i ukrywał to przed nami! - Jego falset dźwięczał triumfem. - Uniemożliwiał awans wszystkim wiernym Stalinowi, oddanym komunistom w swoim zakładzie...

W tym momencie sobie przypomniałem. Było mi żal sfrustrowanego, nieszczęśliwego małego Szajkiewicza i próbowałem tuszować jego błędy. Ale w końcu, po omówieniu problemu z Braczką, przeniosłem go do działu, gdzie w mniejszym stopniu wykorzystywano jego ograniczoną wiedzę.

Po Szajkiewiczu wystąpił z oskarżeniami Judawin. To był autentyczny głos NKWD. Wiedząc, że Judawin jest informatorem, unikałem go. Teraz zamierzał odplacić mi z nawiązką.

- Towarzysze - powiedział - nie tylko zgadzam się z wnioskami poprzednich mówców, ale chcę przejść do najpoważniejszego punktu. Krawczenko to sabotażysta!

Straszne słowo eksplodowało jak pocisk artyleryjski. Sala zamarła w milczeniu. Do tej pory udawało mi zachować panowanie nad sobą. Teraz oblał mnie pot. Serce biło mi tak głośno i szybko, iż miałem poczucie, że słyhać je ponad głosem Judawina. O czym, do diabła, mówił? Co ten ukryty czekista i jego przełożony, Gerszhorn, wypichcili na mnie?

- Tak, sabotażysta! Krawczenko świadomie zamroził miliony rubli i znaczną sumę w zagranicznej walucie. Jak to zrobił? W bardzo prosty sposób, bardzo prosty! Zamówił różnego rodzaju kosztowne urządzenia i zgromadził je w swoim zakładzie. Jego wydział jest zawalony kosztownymi częściami maszyn, które nigdy nie są używane. Niektóre nie zostały nawet rozpakowane! Twierdzę, że robi to świadomie i z wyrachowaniem, żeby szkodzić rządowi i krajowi!

Kiedy zarzut padł, poczułem ulgę. Oskarżenie było szyte zbyt grubymi nićmi, jak mi się zdawało, mogłem więc z łatwością się wybronić. Ponieważ Łos, podobnie jak wszyscy, chciał szybko zakończyć zebranie i pójść do domu, oszczędzono mi dalszych ataków. Wezwał mnie do głosu. Zbierając wszystkie siły, wspiąłem się na podium.

- Towarzysze, członkowie partii - powiedziałem - chcę rozmawiać z wami szczerze, bez względu na konsekwencje. Byłem w partii przez osiem lat. Moje dokonania mówią same za siebie. Mam swoje ludzkie wady, popełniałem błędy. Może awansowałem ludzi, którzy na to nie zasłużyli, lub pominąłem innych, którzy też na to nie zasłużyli. Człowiek na odpowiedzialnym stanowisku musi podejmować decyzje, a ponieważ jest tylko człowiekiem, niektóre z tych decyzji mogą być błędne.

Wszyscy wiecie, że Makarow i Szajkiewicz mają do mnie osobiste urazy. Po co się w to wdawać? Jest to absolutnie oczywiste dla wszystkich w tym zakładzie.

- Twierdzę, że nie jestem niczemu winien! Co więcej, niczego się nie boję! Błagam was tylko o jedno. Dajcie mi czas na przedstawienie dowodów, że te zarzuty są złośliwymi wymysłami. Powołajcie komisję do zbadania zarzutów. Wtedy, jeśli nie przekonam komisji, będę gotów ponieść konsekwencje.

- Cała burza rozpetęła się dlatego, że mój ojciec jest podobno mienszewikiem. Pozwólcie, że postawię sprawę absolutnie jasno. Nie wypieram się swojego ojca. Kocham go i podziwiam. To on wpoił mi proletariackie ideały, które w końcu zaprowadziły mnie do Komsomołu, a później do partii. On jest bezpartyjny, ale jego zasługi dla klasy robotniczej są powszechnie znane. Cieszy się wielkim szacunkiem robotników, którzy znają go najlepiej, robotników Dniepropietrowska.

- Prosta prawda jest taka, że nigdy w życiu nie był mienszewikiem ani członkiem żadnej innej partii. Był po prostu dobrym rewolucjonistą, który walczył z carem i kapitalistami, ale nie nosił żadnej etykiety politycznej. Walczył z bronią w rękę na barykadach w 1905 roku. Pracował z mienszewikami - ale także z bolszewikami - i dzielił cele więzienne z najróżniejszymi rewolucjonistami. Wszystko to mogę udowodnić, jeśli dacie mi czas.

- Co się tyczy sabotażu, zarzut jest po prostu głupi. To prawda, mam w swoim zakładzie dużo urządzeń. Ale komisariat wie o każdej wydanej kopiejce. Zamawiałem je regularnie i oddawałem do dyspozycji kombinatu, który w każdej chwili mógł z nich korzystać. Wszystko zamawiałem po to, żeby sprostać aktualnym potrzebom.

- Jak to się stało, że mam tyle kosztownych urządzeń i części, czasem mało używanych? Odpowiedź jest taka, że często powierzano mi specjalne zadania, wymagające specjalnych narzędzi. Było na przykład pilne zamówienie na rury dla pól naftowych w Baku, jak wszyscy pamiętacie. Potem zredukowano ilość zamówionych pierwotnie rur. Czasami zamówienie, do którego się przygotowywaliśmy, było w ogóle odwoływane z powodu zmiany planów. W ten sposób gromadziły się kosztowne urządzenia. Przechowujemy je, ponieważ mogą być potrzebne w każdej chwili, bez uprzedzenia. Ale to wszystko działało się jawnie, nie potajemnie, jak twierdzą moi oskarżyciele. To wszystko wzięło się z decyzji Moskwy, nie z mojej głowy.

- Interpretowanie tego jako sabotażu jest śmieszne, towarzysze. Mogę przedstawić dowody w postaci dokumentów, jak, kiedy, a zwłaszcza po co zakupiono każdy element wyposażenia. Wszystko inne, co tu zostało powiedziane, to bzdury. Nie chcę nadużywać waszej cierpliwości szczegółową odpowiedzią. Proszę tylko, żebyście pozwolili

mi dowieść swojej niewinności, tutaj, w tej sali - nie gdzieś indziej. Ale cokolwiek się stanie, pamiętajcie, że nie jestem niczemu winien.

Kiedy wracałem na swoje miejsce, rozległy się powściągliwe, nieśmiałe oklaski. Padały również okrzyki: „Wykluczyć go! Mienszewik! Szkodnik! Liczy na swoje znajomości!”.

Sześćdziesięciokilkuletni robotnik, towarzysz Silinin, którego znałem jedynie przelotnie, wstał i udzielono mu głosu.

- Dopóki towarzysz Krawczenko nadal jest kierownikiem zakładu, niedobrze byłoby przerywać jego pracę. Ponieważ w tej sprawie jest dużo wątpliwości, po co działać w pośpiechu lub w panice? Będzie dość czasu, towarzysze, na wykluczenie i środki administracyjne. Propozycja Krawczenki jest dobra. Proponuję zwrócić się do Komitetu Miejskiego o powołanie komisji, aby zbadała sprawę i aby towarzysz przedstawił tej komisji swoje dowody.

Propozycja została przyjęta, tylko Judawin, Szajkiewicz, Makarow i kilku innych głosowało przeciw. Jedyne Braczko i stary Silinin odważyli się podejść do mnie, kiedy wychodziliśmy z sali. Od tej pory aż do końca swojej próby, ponad półtora roku później, byłem „niedotykalny”, izolowany jak każdy zadżumiony.

ROZDZIAŁ XV

Zaczyna się moja próba

Następnego ranka otworzyłem nikopolską gazetę, aby się przekonać, że popadłem w niełaskę. Lokalna prasa, jakby za wszelką cenę chciała zmasakrać swoje dawne pochwały pod moim adresem, rozrywała mnie teraz na strzępy. Najgorsze oszczerstwa z poprzedniego wieczoru były okraszone mrocznymi aluzjami i szablonowymi obelgami z radzieckiej frazeologii. „Według godnego zaufania świadectwa – głosiła jedna z relacji – wspomniany Krawczenko przez wszystkie te lata skutecznie ukrywał fakt, że jego ojciec był wielkim obszarnikiem-wyzyskiwaczem”. Inny artykuł stwierdzał, że byłem białym i od dawna z radością odgrywałem rolę „lokaja” wrogów ludu, faworyzowałem i ochraniałem elementy wrogie partii, byłem zaangażowany w działalność „szkodniczą”.

W zuchwalstwie dezinformacji, w obfitości oskarżeń wyczuwałem inspirację z zewnątrz.

Następcą Brodskiego w Komitecie Miejskim był niejaki Fillin. Zdumiałem się, kiedy podczas śniadania odebrałem telefon od niego.

– Mamy pełne sprawozdanie z wczorajszego zebrania i czytaliśmy dzisiejsze gazety – powiedział. – Nie martwcie się, proszę, towarzyszu Krawczenko. Pracujcie dalej i postarajcie się, żeby plany produkcyjne zostały dotrzymane. Na razie nikt was nie tknie.

Podziękowałem mu, nieco uspokojony. Byłem, przynajmniej chwilowo, bezpieczny. Fillin nie ośmieliłby się dodawać mi otuchy, gdyby nie uważał „sprawy” przeciwko mnie za naciąganą.

Kiedy dotarłem do fabryki, okazało się, że komisja śledcza, powołana przez Fillina, już przystąpiła do pracy. W jej skład wchodził Łos, co było mało pocieszające, lecz również Braczko, co dodało mi odwagi, a także główny inżynier Wiszniew. Wszyscy znajdowali się w magazynie, oglądając „ukryte” urządzenia.

– Dzień dobry – przywitał mnie Łos lodowato. Przyjął sposób bycia prokuratora. – Przejdźmy od razu do rzeczy. Czy to wy zamówiliście te urządzenia?

– Tak.

– Zatem nie zaprzeczacie, że zamówiliście cały ten zmagazynowany materiał?

- Oczywiście, że nie.

- A kto w fabryce was do tego upoważnił? Kto podpisał dokumenty?

- Towarzysz Wiszniew, główny inżynier.

Wiszniew był wyraźnie przestraszony.

- Och, nie, chyba sobie tego nie przypominam - powiedział nerwowo. -
A jeśli to zrobiłem, musiało to być polecenie z centrali.

- Kto sporządził wstępną listę zamawianych urządzeń?

- Mechanik Kiznamienko z upoważnienia towarzysza Wiszniewa.

Wiszniew, teraz już bardziej zdenerwowany niż ja, znowu pośpiesznie zaprzeczył, utrzymując, że tego nie pamięta.

- No cóż - powiedział Braczko - dokumenty powinny to wyjaśnić.

- Spróbuję je znaleźć - obiecałem - ale mogę mieć tylko nadzieję, że kopie są w archiwum albo że zdołam uzyskać dostęp do oryginałów w Charkowie i w Moskwie.

Poszukiwanie tych dokumentów stało się moim głównym zajęciem na długie tygodnie. Owe kawałki papieru zamieniły się w duchy, które szydziły ze mnie i wciąż mi się wymykały. Gdybym zdołał je pochwycić, mógłbym wykazać, że urządzenia - zwłaszcza wielka dostawa z Ameryki, nigdy nie używana - zostały zamówione na wyraźne polecenie z Moskwy, a ich liczba została starannie skalkulowana w związku z liczbą rur, które miały być wytwarzane i dostarczane.

Nigdy się nie dowiedziałem, czy kopie naprawdę zaginęły, czy zostały złośliwie zniszczone. Za zgodą Braczki i Fillina wyruszyłem tego samego dnia do Charkowa, a gdyby okazało się to konieczne, do Moskwy, w poszukiwaniu dowodów na to, że zakup różnych kosztownych urządzeń nie był perfidnym aktem sabotażu.

Groteskowe oskarżenie i groteskowa misja - ale postrzegane w krzywym zwierciadle tamtego gorączkowego okresu absurdu miały swoją wewnętrzną logikę. Jeśli Trocki, twórca Armii Czerwonej, był „niemieckim szpiegiem”, jeśli tytani, którzy robili rewolucję razem z Leninem, byli „wściekłymi psami” na żołdzie zagranicznej reakcji, to dlaczego Krawczenko, skromny inżynier w Nikopolu, nie mógłby próbować obalić radzieckiego rządu, wydając miliony rubli na zakup niepotrzebnych urządzeń do produkcji rur? Tylko wróg ludu odrzuciłby takie przypuszczenie!

Życzliwość Fillina była jedynym pocieszeniem w mojej niewesołej sytuacji. Przed wyjazdem powiedziałem mu, że wstąpię również do Dniepropietrowska, aby zdobyć dowody, że mój ojciec nigdy nie należał do mienszewików.

Tym razem nie miałem przed rodziną żadnych tajemnic. Napięcie pomiędzy moim ojcem a mną wreszcie zelżało. Przepaść zniknęła. W swoim strapieniu czerpałem pociechę ze świadomości, że długa obcość dobiegła końca. Nagle poczułem się tak bliski swoim rodzicom,

jakbym znowu był małym chłopcem. Nie byłem już „bezwzględny bolszewikiem”.

Wieści, które przywiozłem z Nikopola, nie odbiegały od wydarzeń w moim rodzinnym mieście. Głowy trzech rodzin w naszym sąsiedztwie zostały ścięte w szaleństwie czystki w ciągu jednej nocy. Wszyscy aresztowani byli bezpartyjni. Znaliśmy ich od wielu lat, mój ojciec, moi bracia i ja pracowaliśmy z nimi w różnych okresach.

Pierwszym był Zarwin, brygadzysta w fabryce. Jeden z jego synów był chirurgiem, drugi inżynierem metalurgiem. Ani synowie, ani ich matka nie mieli pojęcia, dlaczego został aresztowany. „Pospiesz się, gnido!” – krzyknął czekista, kiedy wpychał Zarwina, na wpół ubranego i zaspanego, do „czarnej wrony”. Te słowa stanowiły jedyny nakaz aresztowania, jedyny akt oskarżenia, jedyne wyjaśnienie, jakie rodzina Zarwina kiedykolwiek poznała.

Drugim był Polak, Kaszelski, towarzyski i energiczny, bardzo lubiany przez sąsiadów. Jego syn należał do Komsomołu. Spotkałem go podczas tej wizyty w Dniepropietrowsku.

- Ale towarzyszu Krawczenko - powiedziała żalonym zdumieniem - jak mój ojciec mógł być „polskim szpiegiem”? To taki prostoduszny, otwarty człowiek. To czyste szaleństwo. Byliśmy ze sobą bardzo blisko. Gdyby było coś podejrzanego, czy mógłbym tego nie zauważyć?

Trzecią i najtragiczniejszą ofiarą tej nocnej obławy na naszych najbliższych sąsiadów był Blinow. Poznałem go podczas pracy w zakładach im. Pietrowskiego i Lenina; wysoki, przystojny, bardzo zdolny człowiek, szanowany przez innych robotników. On i jego żona nie mieli dzieci, adoptowali więc sierotę, której rodzice zginęli podczas głodu, i poświęcili jej całe życie.

Kiedy tamtej nocy czekał zabierali Blinowa, krzyki jego żony obudziły sąsiadów. Boso, w nocnej koszuli, biegła, krzycząc, za złowieszczą furgonetką, póki ta nie znikła jej z oczu. Potem wróciła do swojego pokoju i powiesiła się. Ich adoptowana córka, niegdyś osierocona wskutek klęski głodu będącej dziełem człowieka, teraz znowu została sierotą w wyniku rozpętanego przez człowieka cyklonu.

Żyjąc wśród takich tragedii, powtarzających się noc po nocy, moja rodzina patrzyła oczywiście bardzo ponuro na moją sytuację. Ojciec już nie pracował, przeszedł na emeryturę, do której był uprawniony po przepracowaniu wymaganej liczby lat. Ale utrzymywał przyjacielskie kontakty z dawnymi kolegami i wiedział, jakie rozmiary przybrał terror wśród personelu administracyjnego i technicznego w jego fabryce. Wiedział, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto samo oskarżenie wystarczy za dowód winy. Mimo to czepialiśmy się rozpaczliwie nadziei, że jakimś cudem ja będę tym setnym.

Spąłem niespokojnie, nawiedzały mnie męczące sny. Kiedy

otrząsnąłem się z koszmaru, zauważyłem światło w pokoju matki i podszedłem na palcach, żeby sprawdzić, czy nic się nie stało. Zobaczyłem matkę na kolanach przed ikoną, modliła się z zamkniętymi oczami i odchyloną do tyłu głową. Chociaż po policzkach płynęły jej łzy, twarz miała spokojną, rozjaśnioną wewnętrznym blaskiem. Wróciłem po cichu do łóżka i zasnąłem spokojnie, głęboko, po raz pierwszy od miesięcy.

Rankiem odbyłem długą rozmowę z ojcem. Kipiał gniewem.

- Jeśli zrobiłem coś złego, dlaczego mnie nie aresztują? - powtarzał. - Dlaczego muszą się mścić na moim synu? Czy syn jest odpowiedzialny za ojca? Głupota i bestialstwo! Kiedy walczyłem na barykadach i policja mnie aresztowała, cierpiałem sam. Nie przyszło mi do głowy, że carska policja może nękać mojego ojca, mojego brata albo moją rodzinę. Ale teraz - cóż to za podłość! - ojcowie, synowie i żony są odpowiedzialni za siebie nawzajem. Wierz mi, carska ochrana była instytucją dobroczynną w porównaniu z NKWD!

- Gniew nic nie pomoże, tato. Musimy zebrać dowody, że nie byłeś mienszewikiem.

- Jakby to była zbrodnia - powiedział. - Niektórzy najbardziej bohaterscy rewolucjoniści byli mienszewikami.

Tego dnia ojciec odwiedził kilku dobrze znanych miejscowych komunistów, ludzi ze swojego pokolenia, którzy pamiętali jego działalność. Każdy z nich napisał oświadczenie, oficjalnie potwierdzone, sumując wszystko, co wiedział o starszym Krawczenec, i zaświadczał, że nigdy nie należał on do żadnej partii. Potem poszedłem z ojcem odwiedzić wdowę po doktorze Aleksandrze Karawajewie.

Była wysoką, szczupłą, siwowłosą i inteligentną starszą kobietą. Jej mąż był deputowanym do Dumy i autorem ustawy o reformie rolnej. Carscy agenci zabili go potajemnie w jego własnym domu. Wdowa po nim żyła z radzieckiej renty i zaliczała do swoich przyjaciół wielu znanych bolszewików. Znała mojego ojca od ponad trzydziestu lat i przywitała go z prawdziwą radością. Wszyscy rewolucjoniści z kręgu jej zmarłego męża wydawali jej się ludźmi opromienionymi światłem, ulepionymi z jakiejś boskiej gliny.

- Jak to cudownie znowu cię zobaczyć! - wykrzyknęła, obejmując go i całując w oba policzki. - Jak cudownie! A to twój Witieńka - dorosły mężczyzna, a do tego inżynier!

Mimo wszystkich swoich znajomości na najwyższych szczeblach, należała do odchodzącego świata. Wydawała się odizolowana od rzeczywistości. Z początku po prostu nie mogła uwierzyć, iż potrzebujemy „dowodu”, że ojciec nie był mienszewikiem.

- To niedorzeczne! - powiedziała. - Bycie mienszewikiem w tamtych czasach wymagało prawdziwego heroizmu. Codziennie narażało się

życie. Chyba jestem za stara, żeby zrozumieć, co się dzisiaj dzieje w ludzkich głowach. Muszę porozmawiać o tym z Krupską, kiedy następnym razem będę w Moskwie!

Ale usiadła i napisała długi list, zaadresowany do Komitetu Miejskiego w Nikopolu, przypominając rewolucyjną przeszłość mojego ojca i potwierdzając, że zawsze był człowiekiem niezależnym, odrzucającym dyscyplinę partyjną.

Tymczasem moja matka spędziła wiele godzin w archiwum partii w Dniepropietrowsku. Poprosiła archiwistów, żeby odnaleźli carskie akta policyjne jej męża. Potwierdziłyby one, oczywiście, że nie był związany z żadną konkretną grupą. Urzędnicy bali się przystąpić do takich poszukiwań bez zgody partii. Musiałem zatelefonować do Fillina, który z kolei zadzwonił do komitetu partii w Dniepropietrowsku, zanim zgodzili się poszukać dokumentów.

- A więc carscy żandarmi pomogą ocalić mojego syna przed żandarmami „socjalizmu” - uśmiechnął się ojciec cierpko. Rzeczywiście, była w tym ponura ironia.

Kilka dni spędzonych w rodzinnym mieście pogłębiło poczucie koszmaru - życia w fantastycznym i udręczonym świecie snu - które nie opuszczało mnie od lat. Odwiedziłem swoją starą fabrykę i przekonałem się, że wielu moich przyjaciół zniknęło. A ponieważ ludzie unikali bezpośrednich odpowiedzi na moje pytania, nie miałem wątpliwości, co się z nimi stało.

Dyrektor zakładu, Stiepan Birman, nie został aresztowany. Kiedy czekiści przyszli po niego, znaleźli go w wannie pełnej krwi - podciął sobie żyły, żeby uciec przed czystką. Birman, Węgier, był ministrem w krótkotrwałym komunistycznym rządzie Beli Kuna w swoim rodzinnym kraju. Przystojny, inteligentny i oddany, zajmował kilka ważnych stanowisk rządowych w swojej przybranej ojczyźnie: ta błyskotliwa kariera doprowadziła go, krok po kroku, do samobójstwa.

Zanim Birman podciął sobie żyły, napisał do Komitetu Centralnego list, w którym zdecydowanie potępił okrucieństwa Stalina. Napisano tysiące, dziesiątki tysięcy takich listów. Kilka przekazywano sobie potajemnie z rąk do rąk, drżącymi palcami, jakby to były ładunki wybuchowe, które w każdej chwili mogą eksplodować, ale żaden nie dotarł do społeczeństwa.

Wśród aresztowanych znalazł się, jak się dowiedziałem, Iosif Manajenkow. Ten prominentny członek Rady Ukraińskiej był uwielbiany przez robotników za swoje starania zmierzające do poprawy ich warunków bytowych. Jego żona też była komunistyczną aktywistką i zaledwie kilka miesięcy wcześniej Dniepropietrowsk kąpał się w promieniach sławy i splendoru, jakie na nią spływały: została sfotografowana na Kremlu u boku Stalina! Ją także aresztowano.

Podobnie jak głównego inżyniera Żdanowa, choć niedawno został odznaczony za swoje zasługi dla planu pięcioletniego.

W każdym fabrycznym mieście powtarzała się ta sama historia. Felenkowski, Kinżałow, Soczan, Pustowojcew – setki nazwisk, które dla innych nic nie znaczyły. Ale dla mnie, który z nimi pracowałem, studiowałem, siedziałem na zebraniach partyjnych, ich „likwidacja” poszerzała i pogłębiała pustkę. W moim rodzinnym Dniepropietrowsku nie uchował się żaden ze znanych mi osobiście przywódców życia gospodarczego i politycznego. Było wśród nich naturalnie wielu bezpartyjnych.

Kiedy wyjeżdżałem do Charkowa, matka odprowadziła mnie na dworzec. Miałem nadzieję, że się rozplacze, ponieważ wiedziałem, ile kosztuje ją tłumienie łez.

- Proszę, Witiu – powiedziała mi na peronie – panuj nad sobą. Ustępuj tam, gdzie możesz ustąpić. W końcu to są ludzie, prawda? Muszą zrozumieć...

W siedzibie Trubostalu w Charkowie zamęt i panika były niemal namacalne. Wszyscy sprawiali wrażenie zdrętwiałych ze strachu. Nikt nie miał pewności, czy nie jest to jego ostatni dzień w biurze, ostatni dzień na wolności. Różni urzędnicy, którzy przez lata przyglądali się mojej pracy, naprawdę próbowali pomóc, ale nie mogli znaleźć potrzebnych mi dokumentów. Zamawiali zamiejskowe rozmowy, lecz i to nie przynosiło żadnych efektów. Jeden z nich zatelefonował nawet do Moskwy, gdzie mu powiedziano, że jedyny człowiek, który mógłby pomóc, komisarz Ordżonikidze, jest bardzo chory i nieosiągalny. W rozpaczy zadzwoniłem do Braczki w Nikopolu.

- Piotrze Piotrowiczu, nic nie znalazłem – poinformowałem go. – Czystka jeszcze spotęgowała normalny bałagan. Czy mam jechać i próbować szczęścia w Moskwie?

- Nie, nie! Wracajcie natychmiast – odparł.

- Ale dlaczego? Co się stało?

- Nie mogę o tym mówić przez telefon. Wracajcie jak najszybciej. To ważne.

Następnego ranka byłem z powrotem w swoim zakładzie.

2

Niepokój towarzysza Braczki okazał się uzasadniony. Nadgorliwcy, karierowicze i moi osobiści wrogowie wykorzystali moją nieobecność.

Na początek NKWD „wyczyściło” mój personel, aresztując Dubinskiego, Szpaczynskiego, inżyniera Bakę i kilkunastu innych. Robotnicy byli dezorientowani. W dodatku sekretarz mojej komórki partyjnej, niejaki Jasieniew, działając oczywiście na polecenie z góry,

wywierał naciski na robotników, żeby mnie „zadenuncjowali”. Prowadził swoją operację pod zgrabnym eufemizmem „gromadzenia materiałów”.

Kilku starych pracowników fabryki przyszło do mnie oddzielnie i wyznało ze wstydem, że podpisali oświadczenia przeciwko mnie, zawierające kłamstwa i insynuacje. Zrobili to pod groźbą „surowych konsekwencji”. Co więcej, dowiedziałem się, że niezmordowany Łos wysłał emisariuszy do Dniepropietrowska, aby zebrali „kompromitujący materiał” o mnie i o moim ojcu. Zamierzał zwłaszcza wykazać, że utrzymywałem poufale stosunki z Katzem, Bierieckim, Perlinem, Richterem, Borisowem i innymi dawnymi studentami instytutu, którzy znajdowali się obecnie w rękach NKWD, byli więc z definicji wrogami ludu.

Łos prowadził swoje dochodzenie z szaloną szybkością. Musiał się uporać ze sprawą Krawczenki w jak najkrótszym czasie. Moja niełaska miała posłużyć jako kołek, na którym można by zawiesić oskarżenia przeciwko innym ludziom, związanym ze mną w taki czy inny sposób. Łos i jego przyjaciele pragnęli mnie „wykończyć” bez dalszej irytującej zwłoki. Była to dla nich sprawa honoru, a także politycznego oportunistu. W ciągu kilku dni zwołali nadzwyczajne zamknięte posiedzenie komitetu fabrycznego partii, aby wznowić rozpatrywanie mojej sprawy. Czułem się jak zwierzę osaczone przez gończe psy; krąg zacieśniał się, szczekanie było coraz głośniejsze.

Zebranie znowu odbywało się w sali teatralnej. Widok urzędników, zebranych na scenie pod czerwonymi sztandarami i portretami przywódców, potęgował iluzję, że za chwilę rozpocznie się teatralne przedstawienie – dziwaczny radziecki moralitet. Atmosfera była lodowata. Mimo całego zdecydowania, żeby zachować stanowczość i godność, trząsałem się w środku i czułem, jak drżą mi kończyny. Ludzie, którzy jeszcze kilka tygodni wcześniej płaszczyli się przede mną, teraz udawali, że mnie nie widzą. Nie przywitałem się z nikim w obawie, że spotkam się z odprawą, i usiadłem na końcu, w samotnej rozpacz.

Tylko dwaj towarzysze ośmielili się do mnie podejść. Byli to Silinin i Guszczin, prości robotnicy i starsi ludzie. Najwyraźniej wiek ochronił ich przed przyjęciem zbyt dużej dawki „bolszewickiej stanowczości”.

– Nie martwcie się, towarzyszu Krawczenko – powiedział Guszczin, ściskając mi rękę. – Jeśli wystąpią przeciwko wam tutaj, Komitet Miejski was zrehabilituje, albo Komitet Obwodowy, oczywiście pod warunkiem...

– Pod jakim warunkiem? – spytałem, chociaż znałem odpowiedź.

– Pod warunkiem że wcześniej was nie aresztują.

Tym razem Łos w swojej fanatycznej determinacji, żeby wykurzyć kolejnego „sabotażystę”, dobrze się przygotował. Wszyscy aktorzy znali swoje kwestie. W poczekalni ustawiono bufet i wielu głównych aktorów już wprawilo się alkoholem w wojowniczy nastrój. Zamierzali odegrać

swoje role z wielką werwą. Pochwyciłem spojrzenie Braczki. Uśmiechnął się zachęcająco i wykonał gest, który znaczył po prostu: „Trzymaj się. Jeszcze jest nadzieja”.

Łos wykonał uwerturę. Jego przemówienie było majstersztykiem insynuacji i gry na nastrojach tłumu. Moja wina, oświadczył, została „w znacznym stopniu” dowiedziona. Nie ulegało „żadnej wątpliwości”, że mój ojciec miał „antyradzieckie nastawienie” i był aktywnym mienszewikiem. Szczegóły mojego sabotażu zostaną ustalone „innymi środkami” i w „innych miejscach”. Ale czy to nie zastanawiający zbieg okoliczności, że tyłu moich współpracowników i przyjaciół, w moim zakładzie, w instytucie, w kombinacie, dosięgnął już nagi miecz rewolucji, NKWD?

- Nie mamy jeszcze dostatecznych danych, żeby udowodnić, że Krawczenko był ich współnikiem - oznajmił. Jego ton sugerował, że sam fakt jest niezbity, a dowód to jedynie kwestia czasu. - Otrzymaliśmy znaczną liczbę oświadczeń, z których wynika, że Krawczenko jest sprytnie zamaskowanym wrogiem ludu, który szykanuje komunistów i otacza się wrogami klasowymi. Czy ktoś chce zabrać głos?

Podniosło się wiele rąk. Tym razem Makarow, Szajkiewicz i Judawin wygłosili swoje mowy w bardziej uporządkowany sposób. Dołączył do nich Jasieniew, a następnie przedstawiciel związków zawodowych w moim zakładzie, Bałabin - nie wybaczył mi, że „sabotowałem” jego dzieło „edukacji politycznej”, i opowiedział napastliwym językiem, jak zrywałem ze ścian plakaty, żeby chronić wrogów ruchu stachanowskiego. Ich przemowy przerywał co jakiś czas grecki chór głosów z widowni: „To prawda! Precz z nim! Wykluczyć go!”.

- Czy ktoś chce wystąpić w obronie Krawczenki? - spytał Łos. Nie musiał dodawać: „Robicie to na własne ryzyko”; ton jego słów był dostatecznie wymowny.

- Ja - powiedział Guszczin, wstając. Wszystkie oczy zwróciły się na niego. Było w nich zdumienie, gniew, podziw.

- Ja - powtórzył - bo całe oskarżenie przeciwko temu młodemu i zdolnemu towarzyszowi jest wytworem czyjejś zbyt gorącej głowy. Krawczenko to syn robotnika i starego rewolucjonisty. Wszystko inne, co mówi się o jego ojcu, to kłamstwa i wymysły. Poza tym jest dorosły i odpowiada za siebie.

- Ale jest coś jeszcze. Chcę wam powiedzieć, towarzysze, że Jasieniew wezwał mnie do swojego gabinetu i zażądał, żebym napisał donos na Krawczenkę. Kiedy odmówiłem, groził mi i przeklinał. Taką wartość mają wszystkie wasze oświadczenia!

- To kłamstwo! - ryknął Jasieniew.

- Kłamstwo! Co za bezczelność! - zawtórował Makarow i jego klika.

- Nie, to prawda, towarzysze. Wiecie, że jestem za stary i zbyt długo byłem bolszewikiem, żeby wymyślić coś takiego. Jestem robotnikiem i jestem za partią. Ale to prześladowanie jednego z naszych najlepszych i najuczciwszych dyrektorów to skandal.

Rozpętało się piekło. Wszyscy krzyczeli jednocześnie. Zadziałał wypity w bufecie alkohol. Ze swoich upstrzonych przez muchy portretów Stalin, Mołotow i Kalinin przyglądali się tej scenie z konsternacją. Moralitet zepsuło wtargnięcie na scenę jednego z widzów.

Kiedy przywrócono porządek, Braczko poprosił o głos. Bronił mnie przed zarzutem sabotażu. Wszystkie urządzenia zamówione przez mój zakład, dowodził, były potrzebne, chociaż niektórych nie używano z powodu zmian w planach produkcyjnych, za które nie ponoszę winy.

- Trzymajmy się faktów! Gdzie są te słynne dokumenty? - przerwał Łos.

- Nie mam przy sobie dokumentów, to prawda, ale wierzę, że je odnajdziemy. Jeśli Krawczenko jest winien, to ja też jestem jako jego przełożony, to Wiszniew jest winien jako główny inżynier, to Trubostal w Charkowie i Ludowy Komisariat w Moskwie są winne, ponieważ kierują naszą pracą.

- Towarzysze, patrzę na was i jest mi wstyd. Co to jest, zebranie partyjne czy żądny krwi motłoch? Jesteśmy uczniami Lenina czy sadystami? I kto pozwolił na sprzedaż alkoholu dzisiaj wieczorem, kiedy odbywa się zebranie partyjne? Błagam was, towarzysze, opamiętajcie się. To nie jest przedstawienie. To kwestia życia i śmierci towarzysza!

W tym momencie z tyłu widowni rozległ się grzmiący głos. Zagłuszył namiętny apel Braczki i przebił się przez hałas na sali. Wszyscy się odwrócili, żeby zobaczyć, kto to. W drzwiach stał Dorogan, naczelnik nikopolskiego NKWD. Ogromny, otyły, o tłustej, nalanej twarzy i zimnych, pozbawionych wyrazu oczach, stał jak karykatura rodyjskiego Kolosa, z szeroko rozstawionymi nogami, kołysząc się na stopach jak boja na fali. Jego lewa ręka spoczywała na kaburze mauzera, prawą podnosił do ust papierosa. Uśmiechał się, lecz w jego uśmiechu nie było wesołości, tylko pogarda.

- Sentymentalizm, towarzyszu Braczko! - powiedział głośno. - Piękny moment wybraliście sobie na takie bzdury.

Powoli powiódł oczami po sali. Braczko pospiesznie, nieco kulawo, zakończył swoje przemówienie. A Łos zaczął się spieszyć. Jak prawie wszyscy na sali, uznał, że Dorogan przyszedł mnie aresztować, kiedy ta „farsa” się skończy.

- Dosyć! Skończyć z tą komedią i wykluczyć wroga! - zawołał ktoś, chyba Makarow.

- Nie, towarzysze - oświadczył Łos. - Krawczenko przysługuje ostatnie słowo, jeśli sobie tego życzy. Ma pięć minut.

Wszedłem na scenę. W duchu przygotowywałem się na tę chwilę, ale nie przewidziałem, że będę miał tak mało czasu. Skracając swoje argumenty, nieuchronnie je osłabiałem. Czułem, że nie wykorzystuję w pełni swojej szansy. Kiedy mówiłem, nie mogłem oderwać oczu od Dorogana, wciąż kołyszącego się pogardliwie w drzwiach. Wiedziałem, że wszyscy moi słuchacze są bardziej świadomi obecności tego otyłego symbolu państwa policyjnego niż słów, które wypowiadam.

- Nie wstydzę się swojego ojca, jestem z niego dumny - zakończyłem.
- Nie zamierzam się tłumaczyć z tak zwanych nagromadzonych urzędów. Mogą one dowodzić nieudolności - mojej lub innych ludzi - ale nie sabotażu. Jeśli ja jestem winien, to cały kombinat jest winien, cały komisariat jest winien. Na koniec pozwolę sobie powiedzieć jedno: to nie jest tylko sprawa Krawczenki. Istotą sprawy jest to, że niszczenie niewinnych ludzi. Oświadczam, że nie jestem winien. Dajcie mi jeszcze dziesięć dni, żebym mógł zebrać więcej dowodów.

Wciąż schodziłem ze sceny, patrząc w oczy Doroganowi, kiedy zarządzono głosowanie. Padło tylko kilka głosów przeciw wykluczeniu. Łos zignorował je.

- Jednogłośnie decyzją - oznajmił - zebrani zalecają Komitetowi Miejskiemu wykluczenie Wiktora Andriejewicza Krawczenki.

- No cóż, zamierzacie się odwoływać? - spytał Dorogan, kiedy do niego podszedłem.

- Tak, oczywiście - odparłem. - Zatelegrafuję do towarzysza Ordżonikidzego i złożę protesty w Charkowie i w Moskwie, a jutro odwołam się do Komitetu Miejskiego.

- Krawczenko - zaciągnął się papierosem i powoli wypuścił dym, zanim skończył zdanie - wierzcie mi, szkoda byłoby zawracać głowę tylu ludziom. Tak, szkoda...

Wszedłem w ciemność. Była przeszywająco zimna noc, ale nawet nie zapiąłem płaszcza. Jakbym stracił zdolność odczuwania bodźców fizycznych. Rozejrzałem się, w pełni przygotowany na to, że zobaczę czekający na mnie samochód NKWD. Kilku uczestników zebrania wybiegło przyjrzeć się mojemu aresztowaniu. Wydawali się zmieszani, nawet rozczarowani, że nic się nie stało. Szedłem powoli w stronę domu. Nagle zauważyłem dwóch ludzi stojących pod latarnią. Nie mogłem rozróżnić ich twarzy. Może jednak zabiorą mnie do aresztu! Zatrzymałem się w miejscu, z niejasnym zdziwieniem.

- Wiktorze Andriejewiczu, to my, wasi przyjaciele - odezwał się jeden ze stojących.

To byli Guszczin i Silinin.

- Dziękuję wam. Naprawdę jesteście moimi przyjaciółmi, skoro czekacie na mnie w takiej chwili.

Odprowadzili mnie kawałek, wyrażając swoje współczucie i próbując

mnie uspokoić. W domu chodziłem po pokojach, jakbym gdzieś mógł znaleźć pocieszenie. Napisałem telegram do Ordżonikidzego, potem go podarłem. W końcu byłem tylko jednym z milionów. W czym moja sytuacja różniła się od sytuacji innych? Co mogłem powiedzieć członkowi stalinowskiego Politbiura, czego by już nie wiedział? Potem znowu przeszukałem swoje biurko, choć robiłem to już setki razy, w nadziei odnalezienia jakiegoś strzępka papieru, który mógłby posłużyć jako „dowód na piśmie”. Dowód na co?

Wreszcie, wyczerpany, rzuciłem się w ubraniu na łóżko. Po co się rozbierać, skoro niebawem znowu będę musiał się ubrać i pójść pod eskortą czekisty na spotkanie swego losu? Nie zasnąłem. A raczej moje ciało zasnęło, natomiast mój umysł pozostał rozbudzony, gorączkowo aktywny, badając jedną myśl pod różnymi kątami. Mój umysł bawił się nią, niemal czule, i zaczęło mnie ogarniać coś w rodzaju histerycznej radości. Była to myśl o kuli przeszywającej moją czaszkę. Do dzisiaj wierzę, że gdyby moje ciało nie było sparaliżowane tym snem na jawie, gdyby nie posiadało własnej woli, pewnie bym się zabił.

To osobliwe oddzielenie umysłu od ciała, z których każde miało własną wolę, jakby zwały się w zażartej walce o supremację, było dla mnie nowe. Później się do tego przyzwyczaiłem. Przyglądałem się tej walce, jakbym był postronnym obserwatorem, neutralnym sędzią, obojętnym na jej wynik. I kiedy tak leżałem na łóżku, całkowicie ubrany, mój umysł bawił się tą kuszącą myślą. Pociągam za spust i koniec. Jeden mały ruch i niszcę Dorogana, NKWD, całe Politbiuro. Są bezsilni, wszystkie ich aspiracje sprowadzone do palca wskazującego prawej dłoni na pieszczotliwej krzywiźnie małego kawałka metalu...

Wśród tej gorzko-słodkiej zadumy usłyszałem pukanie do okna. Nie było głośne, ale usłyszałem je natychmiast, ponieważ przez cały czas oczekiwałem go. Moje ciało zareagowało na nie, jakby pokonało umysł po zaciętej walce.

A więc przyszli po mnie. To koniec...! Całkowicie rozbudzony, nawet zdecydowany, podszedłem do drzwi i otworzyłem je na oścież. Przedemną stał nie umundurowany czekista, którego się spodziewałem, lecz robotnik Kiriuszkin! Małomówny były chłop i żołnierz Armii Czerwonej, który ośmielił się nie podnieść ręki, kiedy uchwalano nowe „normy”.

- Wejdźcie, wejdźcie, towarzyszu Kiriuszkin - zawołałem, bardzo ucieszony. - Co was tu sprowadza w środku nocy?

- Może lepiej nie będę wchodził - powiedział. - Pobrudzę dywan. Widzicie, wracam z pracy i zaszedłem. Co za paskudna noc.

- Do diabła z dywanami. Wchodźcie. Dajcie mi swój płaszcz. Co powiecie na szklanekę herbaty? Jak znaleźliście mój dom?

- Nietrudno was znaleźć, Wiktorze Andriejewiczu. Co innego, gdybyście wy szukali mnie w barakach. Dobrze, wejdę.

- Nie mówcie tak. Kiedy pracowałem w kopalni, mieszkałem w barakach znacznie gorszych niż wasze. Po za tym pewnie niedługo przeniosę się do eleganckiej celi więziennej.

- Dlatego właśnie przyszedłem, Wiktorze Andriejewiczu. Widzicie, wieści o waszych kłopotach obieżyły całą nocną zmianę. Robotnicy są bardzo zaniepokojeni. Szanują was i współczują wam. A ja - jak to powiedzieć - wiele znaczącyce w moim życiu. Nie chodzi o lepszą pracę, wierzcie mi, chociaż teraz żyje mi się trochę lepiej. Chodzi o to, że dzięki wam poczułem się jak człowiek, kiedy byłem bardzo nieszczęśliwy. Nie jestem człowiekiem wykształconym, Wiktorze Andriejewiczu, ale dużo rozumiem. Moja głowa pracuje. Czasami myślę o rewolucji, o przemówieniach i o całej reszcie, i oburza mnie to zakłamanie. Potem myślę o tym, jak mnie potraktowaliście, i czuję się lepiej. Mówię sobie, to nie są same plewy, jest w nich trochę ziarna.

Zaparzyłem herbatę i podałem ją z cukrem i z cytryną. Kiriuszkin sączył powoli.

- Wiecie - podjął - po raz pierwszy od czterech lat piję herbatę z cytryną... Ale po co przyszedłem? Cóż, jestem człowiekiem przeszłości, zbyt małym, żeby zwracać na siebie uwagę. Ponieważ nie mam nic do stracenia, nie mam się czego bać. Jak wy, komuniści, to mówicie? Nic do stracenia poza swoimi kajdanami. Czasem mysz może zrobić to, czego lew nie może. W każdym razie, Wiktorze Andriejewiczu, teraz moja kolej, żeby wam pomóc, najlepiej jak umiem, i dlatego tu jestem.

- Pomyślałem sobie, że pewnie potrzebujecie prawdziwego przyjaciela. Nie jestem bohaterem, ale jestem gotów zaryzykować, jeśli będzie trzeba. Może chcecie coś ukryć, przenieść jakieś papiery albo przekazać komuś niebezpieczną wiadomość. Nie znam się na teorii politycznej, ale znam politykę w praktyce i jestem do waszej dyspozycji. Możecie mi zaufać...

Mimo swoich zmartwień roześmiałem się. Ileż dobroci, ile wrażliwości było w tym prostym, skromnym robotniku! Na swój prostoduszny sposób przypuszczał, że naprawdę mogę mieć coś do ukrycia; że mogę potrzebować współnika...

- Posłuchajcie, Kiriuszkin, i uwierzcie mi. Nie jestem sabotażystą. Nie mam nic do ukrycia. Czekiści mogą sobie przychodzić. Nie mam nic kompromitującego w swoim domu ani na swoim sumieniu.

- Nie powiedziałem, że jesteście sabotażystą. Ale na wszelki wypadek...

- Chcę, żebyście zrozumieli, Kiriuszkin, że już dużo dla mnie zrobiliście. Będę o was pamiętał przez całe życie. Wasza wizyta to najcenniejsza rzecz, jaką wyniosę z Nikopola.

Chciał odejść, ale zatrzymałem go i ponad godzinę rozmawialiśmy

o jego życiu i o innych robotnikach. Kilka razy zadzwonił telefon. Nie przedstawiając się, ludzie z zakładu pytali, jak się miewam, czy wciąż jestem w domu. Nie dociekałem, kim są. Był to ustalony sposób dowiadywania się, czy ktoś został aresztowany. Po wyjściu Kiriuszkinia długo myślałem o nim i o tym, że w Rosji, którą kocham, są miliony, dziesiątki milionów takich Kiriuszkinów. Nie mają więcej sympatii dla Doroganów, Gerszhornów i moskiewskich przywódców niż ja. Czekają na swoją szansę, by upomnieć się o prawa, które im się słusznie należą. Nie są ogłupieni, nie są ani trochę ogłupieni.

Długa rozmowa z Kiriuszkinem, jego gotowość do wystawienia się na jakieś mityczne niebezpieczeństwo w mojej sprawie, odświeżyła mnie. Postanowiłem znowu, po raz ostatni, przetrząsnąć dom w poszukiwaniu zaginionych dokumentów. Jakby wiedziony świeżą intuicją, podszedłem do szafy, gdzie piętrzyły się sterty różnych szpargałów. Na samym szczycie sterty leżała teczka. Po raz ostatni korzystałem z niej wiele miesięcy temu, podczas podróży do stolicy, a po powrocie opróżniłem ją i cisnąłem w ką. Teraz, obojętnie i tylko dla spokoju sumienia, że niczego nie pominąłem, otworzyłem teczkę. Była pusta. Zamknąłem ją i już miałem ją wrzucić z powrotem do szafy.

Nagle, bez żadnego określonego powodu, zawahałem się i otworzyłem ją ponownie. Tym razem zajrzałem do bocznej kieszeni i tam – cud nad cudy! – znajdowały się wygniecione kopie zamówień na urządzenia, których szukałem. Wpatrywałem się z niedowierzaniem w pozaginane na rogach, zmięte i pobrudzone kartki. Wiedziałem, jak czuje się zdobywca pierwszej nagrody na wielkiej loterii.

Wśród papierów znajdowały się kopie obliczeń, sporządzonych przez dyrektora trustu naftowego, oparte na zmienionych później planach. To był dowód dla każdego trzeźwego umysłu, że zamówienia na części zapasowe i specjalne narzędzia dokładnie odpowiadały pierwotnym parametrom. Zamówienia rzeczywiście podpisał Wiszniew, tak jak pamiętałem. Całe żałosne oskarżenie przeciwko mnie rozsypywało się w proch.

Nie mogłem już spać, pragnąłem jak najszybciej podzielić się dobrymi nowinami z Braczką, a zwłaszcza z Wiszniewem, którego los prawdopodobnie był związany z moim. Pierwsze kroki skierowałem do gabinetu Braczki. Z udawaną obojętnością rzuciłem papiery na jego biurko.

- Proszę, oto są, Piotrze Piotrowiczu – powiedziałem.

- Co? Dokumenty?!

- Tak, cholerne dokumenty.

Dyrektor przeglądał je przez dłuższą chwilę. Jego twarz rozjaśniała się stopniowo i w końcu pojawił się na niej radosny uśmiech.

- Wiktorze Andriejewiczu, jesteście wyjątkowym szczęściarzem!

Musieliście się urodzić pod szczęśliwą gwiazdą. Biedny Wiszniew, trzeba mu natychmiast powiedzieć; wprost odchodzi od zmysłów. Tak się cieszę, za was, za Wiszniewa, za siebie.

W warsztatach robotnicy spoglądali na mnie ze szczerym zdumieniem. W ciągu nocy po mieście rozeszła się pogłoska o moim aresztowaniu. Wielu uśmiechało się do mnie krzepiąco; kilku znalazło pretekst, żeby wypowiedzieć parę życzliwych słów, kiedy obok nich przechodziłem.

Kazałem zrobić fotokopie bezcennych papierów i posłałem jeden komplet Bracze, drugi Wiszniewowi. Trzeci złożyłem na ręce bliskiego przyjaciela wraz ze starannie sformułowanym oświadczeniem, opisującym zarzuty przeciwko mnie i wyjaśniającym, że te dokumenty je obalają. Poinstruowałem go, że gdybym został aresztowany, ma przedstawić te dowody mojej niewinności Komitetowi Centralnemu w Moskwie.

Napisałem do komisarza Ordżonikidzego, powiadamiając go o swojej sytuacji. Poinformowałem też Iwanczenkę, szefa Trubostalu, o zmyślonych zarzutach przeciwko mnie. Potem złożyłem formalne odwołanie do Komitetu Miejskiego, prosząc o cofnięcie decyzji komitetu fabrycznego. Towarzysz Fillin zwołał niezwłocznie posiedzenie biura Komitetu Miejskiego.

Do tego czasu sprawa Krawczenki nabrała już sporego rozgłosu w Nikopolu. Moja wysoka pozycja dyrektora największej walcowni stanowiła tylko jeden z powodów. Ważniejsze, ponieważ tak rzadkie, były energia i zdecydowanie, z jakimi się broniłem.

Jestem skłonny wierzyć, że zawdzięczam swój sukces, a nawet swoje fizyczne ocalenie, właśnie owemu rozgłosowi. Ponieważ dochodzenie rozpoczęło się jawnie, NKWD i partii niezręcznie byłoby zakończyć je w całkowitej tajemnicy. Tworząc iluzję, że przyłapały mnie na gorącym uczynku - z zatajonym mienszewickim ojcem, z ukrytym skarbem w postaci urządzeń i części do maszyn, z grupą „wrogów ludu” pod moimi skrzydłami - władze zamierzały zniszczyć mnie publicznie, „legalnie”. Był to strategiczny błąd, którego Dorogan, Łos i ich poplecznicy, o czym nie wahali się mi powiedzieć, głęboko żalowali.

W każdym razie całe biuro Komitetu Miejskiego zebrało się w budynku partii przy głównej ulicy Nikopola, nad Dnieprem. Z wyjątkiem Dorogana i Braczki, w jego skład wchodziłi nowi ludzie. W ciągu niespełna dwóch miesięcy czystka zdziesiątkowała jeden z najwyższych organów partyjnych ważnego regionu przemysłowego.

Łos zreferował sprawę, zaczynając oczywiście od mienszewickiej przeszłości mojego ojca. Fillin wysłuchał go do końca, po czym odczytał listy i oświadczenia, które zebrał mój ojciec.

- Są to oświadczenia złożone przez dobrych komunistów, którzy nie zgadzają się z postawą polityczną starszego Krawczenki - powiedział. -

Przez to ich świadectwo na jego korzyść staje się tym bardziej znaczące. Ale, towarzysze, otrzymałem też w dzisiejszej poczcie bardzo interesujący materiał archiwalny – kopie raportów carskiej tajnej policji i akta więzienne, dotyczące rewolucyjnej działalności ojca tego towarzysza. Oto one, dostępne dla każdego, kto chce się z nimi zapoznać. Przestudiowałem je uważnie. Jest najzupełniej jasne, że mamy do czynienia z bezpartyjnym bohaterem rewolucji, a nie z mienszewikiem.

Dorogan nachmurzył się i prychnął gniewnie. Co myślał i co zamierzał? To pytanie nie dawało mi spokoju do końca zebrania. Cała sprawa przeciwko mnie z pewnością nie zostałaby zmontowana bez udziału NKWD. Czy Dorogan pozwoli, żeby pozbawiono go zdobyczy?

Łos przystąpił do głównego oskarżenia: obaj, Krawczenko i Braczko, powoływali się na dokumenty, które obalają zarzut sabotażu, lecz były to tylko słowa.

– O, nie, towarzyszu Łos – przerwał mu Braczko. – Mamy dowody. Oto one.

Dorogan był tak zaskoczony, że poderwał się na nogi, ale potem się opamiętał i znowu usiadł. Łos stał dalej z otwartymi ustami, ale zaniemówił. Braczko rozłożył na stole kopie i szybko wykazał, iż całkowicie obalają one zarzuty przeciwko mnie, a także, siłą rzeczy, przeciwko Wiszniewowi.

Fillin nie ukrywał swojej satysfakcji.

– Dla mnie jest oczywiste, że to oczyszcza Krawczenkę – powiedział.

Przesłuchanie trwało jeszcze przez kilka godzin. Łos sypał nazwiskami inżynierów, techników, urzędników, którzy zostali aresztowani, a którzy, jak utrzymywał, byli moimi przyjaciółmi. Jego zapał w dyskredytowaniu mnie był tak żarliwy i tak prostacki, że Dorogan, urażony w swojej zawodowej dumie, mruknął: „No, Łos, odejmujecie mi chleb od ust...”. Wszyscy się roześmieli, z wyjątkiem Łosa, który poczerwieniał jak burak. Jego najbardziej ambitny projekt legł w gruzach, więc był, co zrozumiałe, nieszczęśliwy. Jeśli zamierzał podnieść swoje notowania w partii i w NKWD, łapiąc grubą rybę w mętnych wodach wielkiej czystki, poniósł sromotną klęskę.

Po przedstawieniu „dowodów” członkowie biura wyrażali po kolei swoją opinię. Większość opowiedziała się za moją „rehabilitacją”. Smutna prawda jest taka, że dowody na piśmie i absurdalność zarzutów miały mniejszy wpływ na ich reakcję niż postawa Fillina. On nadał ton, inni przezornie się dostosowali. Wreszcie poproszono mnie o zabranie głosu.

– Towarzysze, niewiele mogę dodać – powiedziałem. – To prawda, że wielu ludzi pracujących ze mną i blisko mnie zostało aresztowanych.

Ale zatrudniam i zwalniam ludzi na podstawie ich pracy. Sprawdzanie ich przeszłości politycznej nie leży w moich kompetencjach. Ufam, że odpowiednie instancje, towarzyszu Dorogan, robią wszystko, co konieczne, w sprawach nie związanych z pracą ludzi.

- Ale chciałbym wyciągnąć morał ze swojej sprawy. A gdyby dokumenty się nie odnalazły? Gdyby carskie archiwa uległy zniszczeniu? W takim przypadku poniósłbym karę, chociaż jestem niewinny. Pozwolę sobie wyrazić nadzieję, że od tej pory będziemy ostrożniejsi, bardziej powściągliwi w rzucaniu tak poważnych oskarżeń przeciwko towarzyszom.

Dorogan pozwolił sobie na grymas niesmaku.

Braczko złożył formalny wniosek, aby zalecenie komitetu fabrycznego dotyczące mojego wykluczenia zostało odrzucone. Wniosek przeszedł, tylko Łos i Dorogan wstrzymali się od głosu. Potem ktoś zaproponował inny wniosek - aby udzielić Krawczence nagany. Chociaż główne zarzuty zostały obalone, dowodził, zachowałem się grubiańsko wobec działaczy partyjnych i związkowych i należy „przywołać mnie do porządku”. Miał to być oczywiście balsam na urażoną miłość własną Dorogana.

Ku mojemu zaskoczeniu nawet Fillin głosował za naganą. Mogłem to wyjaśnić jedynie pogłębiającym się marsem na potężnym czole Dorogana. Stanąwszy w mojej obronie, Fillin pragnął teraz, jako doświadczony komunista, ugłaskać NKWD. Zaprotestowałem przeciwko naganie, lecz bez skutku.

Braczko i ja pojechaliśmy do domu razem. Byliśmy zadowoleni z wyniku, ale nagana nappełniała mnie goryczą. Była to plama na moim życiorysie, której nie da się łatwo zmyć.

- Na miłość boską, Wiktorze, pluń na to - powiedział Braczko. - Ocaliłeś swoją skórę i to najważniejsze. Podziękuj Allachowi, że jesteś wolny i żywy!

Do późnej nocy pisałem listy do przyjaciół, rodziny, przełożonych w Charkowie i w Moskwie, informując ich o swoim „szczęściu”. Ale nie wpadałem w przesadny optymizm. Nie można było liczyć na to, że NKWD zostawi mnie w spokoju.

3

Pomyślne zakończenie mojej sprawy było wyjątkiem. W całej Rosji czystka szalała. W Moskwie toczył się pokazowy proces Radka, Sokolnikowa, Piatakowa i innych starych bolszewików. Przez siedem dni całe strony w gazetach zajmowały koszarne zeznania oskarżonych. Potem nastąpił nieuchronny wyrok i egzekucja.

W naszej fabryce, tak jak we wszystkich przedsiębiorstwach i instytucjach, zwołano masowy wiec, aby podziękować władzom

za unicestwienie tych sabotażystów, szpiegów i „wściekłych psów”. Łos odczytał przygotowaną zawczasu rezolucję.

„My, robotnicy, urzędnicy i inżynierowie zakładów metalurgicznych w Nikopolu, z radością witamy decyzję radzieckiego sądu w sprawie wrogów ludu. Dzięki czujności partii i rządu udało się wykorzenić szpiegów i dywersantów, agentów kapitalizmu, którzy zagrażali szczęśliwemu życiu naszego narodu, zagwarantowanemu przez stalinowską konstytucję. Niech żyje nasz Ukochany Przywódca i Nauczyciel, towarzysz Stalin!”.

Tysiące mężczyzn i kobiet podniosły potulnie ręce. Orkiestra zagrała *Międzynarodówkę*. Czerwone transparenty, rozwieszane w sali, sławiły dobrodziejstwa „szczęśliwego życia” tych przepracowanych, niedożywionych, apatycznych, całkowicie zubożniętych mas. Niektórzy ziewali, a kilku zasnęło, kiedy mówcy powtarzali poranne artykuły wstępne, które z kolei były powtórzeniem wstępniaków z Moskwy. Wreszcie rytuał został dopełniony, ludzie wrócili do swoich domów i warsztatów. Nie byli ani przekonani, ani specjalnie zainteresowani.

Jeśli ktoś w Rosji naprawdę wierzył w fantastyczne „zeznania”, ja nie spotkałem nikogo takiego. Dopiero kiedy wiele lat później wyjechałem za granicę, odkryłem, że cudzoziemcy, zwłaszcza „liberalni” Amerykanie, połknęli makabryczną przynętę razem z haczykiem, żyłką i spławikiem; pewna kapitalistyczna wytwórnia filmowa wyprodukowała nawet głupi i prymitywny film oparty na założeniu, że bajki NKWD były prawdziwe!

Wśród oskarżonych na ostatnim z moskiewskich procesów był Gieorgij Piatakow, człowiek, którego znałem najlepiej, ponieważ pełnił funkcję pierwszego zastępcy Ordżonikidzego. Wiele razy odwiedziłem go podczas swoich podróży służbowych i brałem udział w konferencjach, którym przewodniczył. Był wysokim, pełnym godności mężczyzną z długą brodą i wysokim czołem myśliciela. Zawsze, i prywatnie, i na konferencjach, podejmował stanowcze i uczciwe decyzje. Nigdy nie zadowolął się opiniami z drugiej ręki w kwestiach technicznych, a zanim zatwierdził jakieś przedsięwzięcie wymagające wysokich nakładów, brał suwak logarytmiczny i w wielkim skupieniu sprawdzał wszystko po kilka razy.

Piatakow, którego znałem, w niczym nie przypominał „kryminalisty” opisanego w relacjach z procesu ani w dziwacznych wspomnieniach amerykańskiego ambasadora, które przeczytałem później, zatytułowanych *Mission to Moscow*. Z powodu swojej pracy i kontaktów zawodowych spotykałem dosłownie setki ludzi związanych z fabrykami, w których Piatakow miał się rzekomo dopuszczać aktów „sabotażu”. Żaden z nich nie wierzył oczywiście w ani jedno słowo z aktu oskarżenia, chociaż wielu z nich uzasadniało proces w kategoriach

politycznych.

„Sabotaż”, którego miał podobno dokonać Piatakow, dotyczył głównie budownictwa. Wszystkimi pracami budowlanymi kierował oficjalnie niejaki Siemion Zacharowicz Ginzburg, podlegający Piatakowowi szef Głównego Zarządu Przedsiębiorstw Materiałów Budowlanych przy Ludowym Komisariacie Przemysłu Ciężkiego. Wszystkie szczegóły przechodziły przez ręce Ginzburga. Sabotażu na taką skalę, o jakiej mówił prokurator Wyszynski, nie dałoby się dokonywać bez wiedzy i aktywnego współdziałania Ginzburga.

Mimo to Ginzburg nie został aresztowany. Jego nazwisko starannie pomijano w trakcie procesu, chociaż projekty pod jego osobistym nadzorem były omawiane w najdrobniejszych szczegółach. A po procesie Stalin mianował go komisarzem budownictwa. Kiedy po raz ostatni widziałem Ginzburga, pierś miał obwieszoną medalami, gwiazdami i odznaczeniami. W naszym przemyśle przyjmowano za pewnik, że Ginzburg odegrał rolę głównego prowokatora i że jego największym przedsięwzięciem budowlanym było sfabrykowanie materiałów dowodowych na wielkie procesy. Był zakulisowym przewodnikiem prokuratora Wyszynskiego.

Innym człowiekiem, który pojawiał się w zeznaniach oskarżonych, a którego od wielu lat znałem osobiście, był Nikołaj Gołubienko. Został stracony w Charkowie bez procesu. Przypisywano mu fikcyjną rolę szefa „centrum terrorystycznego” stawiającego sobie za cel zabicie członków Politbiura. Podobno miał się przyznać do spisku na życie członka Politbiura Kosiora i sekretarza Komunistycznej Partii Ukrainy, Postyszewa. Niedługo po rozstrzelaniu Gołubienki za tę „zbrodnię” NKWD aresztowało zarówno Kosiora, jak i Postyszewa. Zdumieni członkowie partii mogli jedynie domniemywać, że ci dwaj bliscy towarzysze Stalina współpracowali z Gołubienką w przygotowywaniu zamachu na siebie samych.

Przez jakiś czas Gołubienko był dyrektorem kombinatu im. Pietrowskiego i Lenina w Dniepropietrowsku. Widywałem go i rozmawiałem z nim często. Był odważnym i szczerym człowiekiem, a jego prawdziwa zbrodnia polegała na tym, że sprzeciwiał się nieustannemu rozlewowi krwi. Kiedy spotkałem go po raz ostatni – był wówczas przewodniczącym Rady Dniepropietrowskiej – wiedział już, że jest skazany na zgubę. Tylko tak można wyjaśnić szczerą, z jaką ze mną rozmawiał.

Pogrom partii komunistycznej, powiedział między innymi, jest po prostu ostatnim krokiem w likwidowaniu niezależnej myśli, a nawet niezależnych uczuć w naszym kraju. Stalin, oświadczył, dokonuje celowej kontrrewolucji: resztki władzy, jaką sprawuje jeszcze Komitet Centralny partii, resztki prestiżu i popularności, jakimi nadal cieszy się

pokolenie, które robiło rewolucję, zostaną unicestwione, co uczyni z Politbiura - czyli ze Stalina - absolutnego dyktatora.

Gołubienko nie kierował „organizacją terrorystyczną”. Gdyby istniała taka organizacja, dokonałaby przynajmniej jednego aktu terroru. Ale sprzeciwiał się kontrrewolucji i pogardzał dyktatorem. Jego zamordowanie nie było zatem przypadkowe czy pozbawione sensu. Stanowiło akt wojny prowadzonej przez Stalina w jego ostatecznej i krwawej rozgrywce o nieograniczoną władzę.

Gołubienko, Piatakow, być może Kosior i Postyszew, byli „winni” tylko w takim sensie, że nie godzili się potulnie z absolutyzmem Stalina. Bezimienne miliony, komunistów i bezpartyjnych, zamordowane podczas wielkiej czystki nie dopuściły się nawet tej „zbrodni”. Po latach byłem przerażony, kiedy się dowiedziałem, iż niektórzy nikczemnicy i głupcy za granicą opisywali ofiary jako „piątą kolumnę”. „Piąta kolumna” złożona z dziewięciu czy dziesięciu milionów ludzi, w tym sześćdziesięciu do osiemdziesięciu procent najwyższych przywódców partii, Komsomołu, sił zbrojnych, rządu, przemysłu, rolnictwa i kultury narodowej - wystarczy ukazać groteskowość takiego twierdzenia, by dowieść jego absurdalności.

Na procesie Piatakowa niejaki Szestow został oskarżony o spisek na życie sekretarza Syberyjskiego Komitetu Krajowego partii, Roberta Eichego. Szestowa rozstrzelano, a niedługo potem jego rzekoma ofiara, Eiche, został aresztowany. Bezwzględny i sprytny pomocnik prokuratora Wyszynskiego nie szczędził starań, żeby posłać oskarżonych przed pluton egzekucyjny. Wkrótce po procesie sam Matulewicz podzielił ich los. Cały proces zmontował Gienrich Jagoda, bezlitosny szef NKWD, ale niebawem Jagoda i jego główni współpracownicy też zostali aresztowani i rozstrzelani. Większość autorów tekstu stalinowskiej konstytucji nie żyła lub przebywała w więzieniu. Wkrótce najwybitniejsi dowódcy Armii Czerwonej, wraz ze słynnym marszałkiem Tuchaczewskim, zostali „osądzeni” przy drzwiach zamkniętych i rozstrzelani; a niedługo potem przyszła kolej na ich „sędziów”. Najwyraźniej do „piątej kolumny” należeli wszyscy z wyjątkiem Stalina, Mołotowa i amerykańskiego ambasadora Daviesa.

Choć sam zostałem oczyszczony, jeśli nie liczyć nagany, prześladowały mnie rozgrywające się dookoła okropności: niekończące się aresztowania i zniknięcia w warsztatach i biurach w mojej fabryce. Rzuciłem się w wir pracy, czasem po czternaście, osiemnaście, dwadzieścia godzin bez przerwy, aby bronić się przed myśleniem, strzec swojego zdrowia psychicznego. Nie miałem żadnego życia osobistego, żadnej satysfakcji ze swojej pracy, żadnej nadziei na przyszłość mojego kraju.

Potem przyszedł tamten tragiczny dzień w lutym 1937 roku.

Siedziałem przy swoim biurku, pisząc sprawozdanie produkcyjne dla Iwanczenki w Charkowie i Ordżonikidzego w Moskwie, kiedy do gabinetu wpadł jeden z moich zastępców. W oczach miał łzy.

- Wiktorze Andriejewiczu - wypalił - Sergo Ordżonikidze nie żyje!
Co za nieszczęście!

Siedziałem bez ruchu, oniemiały, jak sparaliżowany. Łzy spływały mi po policzkach. Straciłem przyjaciela i opiekuna.

Tego samego dnia odebrałem telefon od Gerszhorna. Co za tragedia, powiedział. „Wasz patron w Moskwie nie żyje”. Może powinniśmy się wkrótce spotkać, odbyć „małą pogawędkę” o „tym i o owym”? Tama puściła. Wokół mnie kotłotwały się wzburzone wody.

ROZDZIAŁ XVI

W poszukiwaniu sprawiedliwości

Poproszono mnie, abym przemówił na masowym wiecu w fabryce dla uczczenia pamięci Ordżonikidzego. Przynajmniej raz na radzieckiej ceremonii mogłem mówić z serca. Minęło siedem lat od dnia, kiedy Ordżonikidze wybrał mnie jako kandydata do „naszej nowej inteligencji technicznej”. Przez te lata dodawał mi otuchy, strzegł mnie z niemal ojcowską troską, a ja wiedziałem, rzecz jasna, że jestem zaledwie jednym z tysięcy, których chronił i wykorzystywał dla dobra kraju.

Chyba udało mi się przekazać swoje poczucie straty słuchaczom, ponieważ wielu z nich nie wstydziło się łez. Masy, które przyjmowały obojętnie, a nawet ponuro, rytualne pochwały dla krwawych procesów i oszukańczej konstytucji, okazały się zdolne do prawdziwego żalu. Pradawne źródło rosyjskiej uczuciowości jeszcze nie wyschło.

Gazety zamieściły długi, utrzymany w tonie pochwalnym nekrolog komisarza, podpisany przez Stalina i dwiętnastu innych członków najwyższego kierownictwa. Politbiuro powołało komitet złożony z siedmiu przedstawicieli przemysłu i rządu do zorganizowania oficjalnego pogrzebu. Czterej znani lekarze potwierdzili, że Ordżonikidze zmarł na „paraliż serca”. Te liczby utkwiły mi w pamięci, oddawały bowiem złowieszczą arytmetykę polityczną tego okresu: zanim rok się skończył, zaledwie dziewięć spośród dwudziestu osób, które podpisały się pod nekrologiem, pozostało na wolności i przy życiu. Inni zostali rozstrzelani, popełnili samobójstwo lub gnili w więzieniach. Spośród siedmiu członków komitetu pogrzebowego tylko dwaj byli wolni i żywi; trzech rozstrzelano, jeden popełnił samobójstwo, a jeden został pogrzebany za życia w kolonii karnej. Spośród czterech lekarzy tylko jeden ocalał i żył w ciągłym strachu przed egzekucją.

Po co był potrzebny tak pieczołowicie poświadczony akt zgonu przywódcy? Ponieważ społeczeństwo radzieckie, a członkowie partii w szczególności, nie wierzyło już, że ludzie władzy umierają śmiercią naturalną. Wielu z nich nauczyły cynizmu dziwne wydarzenia. Jednym z nich była śmierć, kilka lat wcześniej, młodej żony Stalina, Nadieždy Allihujewej.

W tamtym czasie podejmowano ogromne starania, aby ukryć okoliczności jej nagłej śmierci. Mimo to wiele sensacyjnych faktów

wyszło na jaw i przedostało się do świadomości, przynajmniej w najwyższych kręgach władzy.

Alliujewa była córką starego rewolucjonisty i najwidoczniej odziedziczyła część jego staromodnych humanitarnych uprzedzeń wobec masowego terroru. Nie mogła się pogodzić z brutalną kolektywizacją i wielokrotnie dawała temu wyraz w obecności męża, ojca jej dwojga dzieci. Nie ograniczała wybuchów swojego oburzenia do kręgu rodzinnego, lecz ustawicznie atakowała politykę Stalina na zebraniach partyjnych w Akademii Przemysłu, gdzie studiowała.

Sama wzmianka na ten temat wystarczyła, by znaleźć się w więzieniu, ale wieści i tak przedostawały się do biurokracji, gdzie skandale, sensacje i intrygi były tak samo rozpowszechnione jak niegdyś na dworze Romanowów. Kiedy ogłoszono o śmierci Alliujewej, wątpliwości budziło jedynie to, czy zabiła się sama, czy została otruta na rozkaz Stalina.

Podobnie teraz, pomimo orzeczenia czterech lekarzy, szerzyły się wątpliwości w sprawie śmierci Ordżonikidzego. Tak się składa, że znam, przynajmniej po części, prawdziwe okoliczności. Nie nadeszła jeszcze pora, bym mógł ujawnić źródła swoich informacji, ponieważ oznaczałoby to tortury i śmierć dla tych ludzi. Ale ponieważ w ostatnich latach życia komisarza jego losy spletały się z moimi, poczuwam się do obowiązku zrelacjonowania pokrótce faktów.

Ordżonikidze od dawna cierpiał na dotkliwą astmę i niewydolność prawej nerki. Często żartował ze swoich schorzeń. Wiele razy widziałem go wyczerpanego do granic załamania, po całym dniu pracy mimo ostrego bólu. Kiedy w 1936 roku rozpoczęła się wielka czystka, zmiatając tysiące jego najbliższych przyjaciół i kolegów w partii i Ludowym Komisariacie Przemysłu Ciężkiego, protestował u Stalina, urządzał burzliwe sceny na posiedzeniach Politbiura, jak tygrys walczył z NKWD. Stan jego zdrowia stale się pogarszał. Po aresztowaniu Piatakowa, swego najbliższego przyjaciela, ciężko się rozchorował.

Jeden z moich przyjaciół był u niego w gabinecie, kiedy ktoś przyniósł wiadomość o aresztowaniu wybitnego inżyniera, dyrektora jednego z trustów podlegających Ordżonikidzemu. Komisarz poczerwieniał z wściekłości, oczy wyszły mu na wierzch, klął i pomstował tak, jak to potrafi tylko zapalczywy Gruzin. Do tego czasu Jagoda, szef NKWD i główny architekt pierwszego procesu pokazowego, został już rozstrzelany. Nowym zwierzchnikiem stalinowskiej inkwizycji był znieawidzony Jeżow. Ordżonikidze zatelefonował do Jeżowa i nie przebierając w słowach, zażądał wyjaśnień, dlaczego aresztowano inżyniera bez jego pozwolenia.

- Ty zasmarkany gnojku, ty podły lizusie - krzyczał podobno komisarz - jak śmiesz! Żądam, aby przesłano mi dokumenty tej sprawy, wszystkie,

natychmiast!

Potem zatelefonował do Stalina, korzystając z bezpośredniej linii łączącej głównych przywódców państwa. Ręce mu drżały, oczy miał przekrwione i przyciskał ręką miejsce, gdzie odzywała się jego chora nerka.

- Koba - krzyknął w słuchawkę, co słyszał mój przyjaciel - dlaczego pozwalasz NKWD aresztować moich ludzi, nie informując mnie o tym?

Nastąpiła długa cisza, na drugim końcu linii mówił Stalin. Potem Ordżonikidze przerwał:

- Żądam, aby ten autorytaryzm się skończył! Wciąż jestem członkiem Politbiura! Urządzę piekło, Koba, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię przed śmiercią!

Ordżonikidze trzasnął słuchawką. Siedział przy swoim biurku w bezsilnym gniewie.

Takie sceny powtarzały się niemal codziennie. Podkopywały zdrowie Gruzina. Spełnił swoją groźbę i urządzał skandale na posiedzeniach Politbiura. Kosior, Rudzutak, Czubar i Antipow zwykle go wspierali - wszyscy czterej zostali aresztowani i przepadli podczas czystki. Po jakimś czasie był już zbyt chory, by uczestniczyć w posiedzeniach. Ale nawet ze swojego pokoju nieustannie telefonował, domagając się wypuszczenia na wolność pracowników, którzy mu podlegali i którym ufał.

Podczas tej ostatniej choroby żonie Ordżonikidzego, Zinaidzie, której był głęboko oddany, nie pozwolono go odwiedzać. Strażnicy z NKWD, strzegący rzekomo jego bezpieczeństwa, nie dopuszczali przyjaciół do jego łóżka. Jedynymi gośćmi byli Mikojan i Woroszyłow, dwaj członkowie Politbiura. Kilka razy próbowali przekonać chorego, aby pojednał się ze Stalinem, uznając konieczność wielkiej czystki. Wizyty jednak nieodmiennie kończyły się gwałtownymi sprzeczkami.

Choć bardzo chory i unieruchomiony, z pewnością nie był bliski śmierci. Mógłby żyć, jako inwalida, jeszcze wiele lat. Ze swojego łóżka dyktował listy do Komitetu Centralnego i Politbiura, w których potępiał Stalina i domagał się zwołania plenarnego posiedzenia KC, aby zastanowić się nad sytuacją w kraju i położyć kres śmierci i zniszczeniu. Były one pisane z żarliwym przekonaniem. Jeśli się zachowały, historycy w jakiejś odległej przyszłości uzyskają szczegółowe oskarżenie stalinowskiej kontrrewolucji z ust człowieka, który kierował pierwszym planem pięcioletnim.

Dwa dni później, ku całkowitemu zaskoczeniu rodziny i lekarzy, Ordżonikidze zmarł. Są tacy, którzy wierzą, że w chwili rozpaczony zażył truciznę. Inni uważają, że otruił go doktor Lewin - ten sam, który później przyznał się do otrucia Maksima Gorkiego. Moje źródła nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości co do tego, że zmarł gwałtowną

śmiercią, że jego koniec nie był „naturalny”.

Jeśli mają rację, to uroczysty pogrzeb, ogólnonarodowa żałoba były częścią obscenicznej farsy. Na opublikowanych zdjęciach wdowa – której nie pozwalano odwiedzać męża – stoi na pogrzebie u boku Stalina. W następnych latach nazwisko Ordżonikidzego było coraz rzadziej wymieniane. Miasta, ulice, fabryki noszące jego imię stopniowo przemianowywano. Dzisiaj młodzi komuniści prawie nie wiedzą, kto to był.

Następcą Ordżonikidzego został Walerij Mieźłauk. Byłem zdumiony, kiedy w osobistym liście wezwał mnie do Moskwy. Biorąc w swoje ręce kierownictwo przemysłu ciężkiego, Mieźłauk najwyraźniej dokonywał przeglądu kadry technicznej, mocno zredukowanej w rezultacie czystki.

Był dobrze zbudowanym, przystojnym mężczyzną, który przez jakiś czas mieszkał za granicą. Miał powierzchowność i maniery Europejczyka. Choć był zdolnym administratorem, brakowało mu wpływów politycznych. Jak się wydawało, Stalin wolał nie ryzykować, mianując na kluczowe stanowisko następnego „niezależnego” komisarza.

- Myślę o powierzeniu wam funkcji dyrektora jednego z naszych największych zakładów, towarzyszu Krawczenko – powiedział. – Wasze dokonania w Nikopolu to uzasadniają. Jak się na to zapatrujecie?

- Czy wolno spytać, towarzyszu komisarzu, kto mnie polecił?

- Czemu chcecie to wiedzieć?

- No cóż, widzicie, mam mnóstwo problemów politycznych w Nikopolu. Zostałem oskarżony o sabotaż i inne grzechy. Chyba powinniście o tym wiedzieć, zanim powierzycie mi odpowiedzialne stanowisko.

Poinformowałem go szczegółowo o swoich niedawnych kłopotach.

- Dziwne, dziwne, że mi o tym nie powiedziano – Mieźłauk wzruszył ramionami. – Wiem, że Ordżonikidze wysoko was cenił. Może macie rację. Odłóżmy to, przynajmniej na razie.

Później dziękowałem szczęśliwej gwiazdzie, pod którą się urodziłem. Mieźłauk został niebawem aresztowany i zniknął, jakby go pochłonęła matka ziemia, a wkrótce taki sam los spotkał jego brata Iwana. Gdyby mianował mnie na ważne stanowisko, niewątpliwie drogo bym zapłacił za ten dowód uznania.

W pierwszych dniach marca Stalin wygłosił długie przemówienie na posiedzeniu Komitetu Centralnego. Zostało opublikowane w całości. Jak zwykle, zastępy partyjnych najmitów powtarzały jego słowa na niekończących się wiecach i zebraniach. Cytowała je prasa i radio. Wrzawa nie mogła zagłuszyć istoty przesłania: dotychczasowa czystka, choć straszliwa, stanowiła zaledwie początek; wkrótce miały przyjść znacznie gorsze rzeczy.

„Sabotaż i robota dywersyjna – powiedział Stalin – dosięgły w mniejszym lub większym stopniu wszystkich lub prawie wszystkich naszych instytucji”. Zbeształ partię, która „zapomniała, że władza radziecka zdobyła zaledwie jedną szóstą świata, a pięć szóstych wciąż pozostaje w rękach państw kapitalistycznych [...]. Dopóki utrzymuje się nasze kapitalistyczne okrążenie, zawsze będziemy mieli sabotażystów, dywersantów i szpiegów...”.

Było to wygłoszone mało zawoalowanym językiem wypowiedzenie wojny wszystkim instytucjom państwowym, każdemu, kto obecnie lub w przyszłości mógłby się przeciwstawić jego absolutyzmowi. Ciężka praca, a nawet błyskotliwe dokonania, ostrzegł, nie mogą służyć jako wymówka, jeśli człowiekowi brakuje wiary: „Prawdziwy sabotażysta musi od czasu do czasu osiągnąć sukces w pracy, gdyż jedynie w ten sposób może dalej prowadzić swoją robotę jako sabotażysta [...]. Będziemy musieli wytrzebić takich ludzi, zmiażdżyć ich bez wahania, bez ociągania, ponieważ są wrogami klasy pracującej, zdrajcami naszej ojczyzny!”.

Sadyści i nadgorliwcy dostali wolną rękę. Hasłem dnia stała się bezwzględność. Skutki odczuliśmy w naszej społeczności natychmiast. Kilka dni po przemówieniu Stalina aresztowano dyrektora jednego z wielkich zakładów, a wraz z nim wszystkich jego zastępców. Administracja i personel techniczny nikopolskich kopalni manganu zostały zdziesiątkowane.

Pewnego ranka, kiedy przyszedłem do zakładu, czekał na mnie Braczko. Był w stanie paniki.

- Wiktorze Andriejewiczu - obwieścił ze smutkiem - sekretarz Komitetu Miejskiego, towarzysz Fillin, został aresztowany dziś w nocy.

Później wezwał mnie Łos. Ledwo mógł ukryć nutę triumfu w głosie.

- Znowu będziemy musieli postawić waszą sprawę przed Komitetem Miejskim - poinformował mnie radośnie. - Widzicie, ostatnim razem ocalił was Fillin - wróg ludu. Teraz my się wami zajmiemy, nie ma obawy!

2

Gerszhorn nie zwlekał długo z obiecaną „małą pogawędką”. Kiedy o jedenastej wieczorem zjawiłem się w gmachu NKWD, tak jak mi kazano, jeszcze go nie było. Czekałem na niego w zatłoczonej poczekalni, w głowie kotłowały mi się gorączkowe teorie. Jaką diabelską pułapkę zastawili na mnie? Czy zdołam opuścić ten dom udręki?

Była prawie pierwsza, kiedy Gerszhorn wreszcie się pokazał - z tłustymi policzkami świeżo ogolonymi i upudrowanymi, z błyszczącą łysiną. Był wypoczęty, rześki, gotów do „pracy”. Podążyłem za nim

do wielkiego gabinetu, który znałem już aż nazbyt dobrze. Ogromne mahoniowe biurko, kilka krzeseł, potężny sejf i kanapa składały się na całe umeblowanie. Skromność i czystość kojarzyły się z gabinetem lekarskim.

- No cóż, Krawczenko - zaczął z fałszywą uprzejmością naczelnik wydziału gospodarczego - ufam, że szybko się nawzajem zrozumiemy. Jak na razie udało wam się wykiwać partię tymi głupimi świstkami papieru. Ale z NKWD wam się to nie uda. Dotrzemy do sedna tej sprawy z urządzeniami, mienszewizmu waszego ojca i waszych powiązań ze znanymi wrogami ludu.

W ciągu tej pierwszej z wielu nocy Gerszhorn poruszał się po terenie już znanym. Nawijając do akt, wypełnionych raportami swoich agentów działających wokół mnie, przypominał wypadki w moim zakładzie, niewykonane zamówienia. W każdym zdarzeniu, a zwłaszcza w moich relacjach z ludźmi, którzy do tego czasu zostali już aresztowani albo rozstrzelani, dopatrywał się szkodnictwa i próbował przyłapać mnie na sprzecznościach i skłonić, abym się przyznał.

Przesłuchanie trwało do czwartej nad ranem. Dotyczyło w znacznym stopniu ludzi z przemysłu metalurgicznego. Za moim pośrednictwem NKWD zamierzało udowodnić swoje zarzuty przeciwko innym aresztowanym, tak samo jak z nich, bez wątpienia, wyciskało obciążające zeznania przeciwko mnie.

Gdyby ci nieszczęśnicy rzeczywiście uprawiali sabotaż, widziałbym tego dowody. Ich plany, ich wyroby, ich błędy i osiągnięcia nie były dla mnie tajemnicą. Ale nie dostrzegłem żadnych oznak sabotażu. Było mnóstwo nieudolności, bałaganu i opóźnień, ale są to typowe schorzenia nowych gałęzi przemysłu. Choćbym się bardzo starał, nie potrafiłbym przekształcić faktów w dowody świadomego szkodnictwa.

Gerszhorn był zde gustowany moim „uporem”. W miarę upływu czasu robił się coraz bardziej niecierpliwy, bardziej rozgniewany. Udawana uprzejmość przerodziła się stopniowo w obraźliwą bezczelność, okraszona soczystymi rosyjskimi przekleństwami. Brał za osobisty afront to, że śmiem odpiierać jego insynuacje i obalać jego niedorzeczne teorie. Zachowywał się tak, jakby to on był ofiarą, jakbym nadużywał jego dobroci, zmuszając go do przekleństw swoją upartą odmową „współpracy”.

Wstawał nowy dzień, kiedy opuszczałem budynek NKWD. Powierzchnia Dniepru wyglądała jak miękki, pomarszczony jedwab. Można było doń wskoczyć i pogrążyć się na zawsze w zapomnieniu. Nigdy nie opuszczałem tego ponurego gmachu bez tęsknych myśli o śmierci. Czemu nie zostawią mnie w spokoju? Chcę tylko pracować, dać z siebie to, co najlepsze. Dlaczego nie dadzą mi spokoju? Dlaczego? Moje myśli, tak jak moje ciało, zataczały się. Nie mogły utrzymać linii

prostej. Ludzie, którzy widzieli mnie idącego ulicą w ten zimny, mglisty poranek, z pewnością uznali, że jestem pijany...

Tego dnia poszedłem do pracy, po krótkiej drzemce, w stuporze. Pulsowało mi w skroniach. Czekałem na noc jak na wyzwolenie. Ale późnym popołudniem zatelefonowali z gabinetu Gerszhorna... Miałem znowu przyjść, o jedenastej, by kontynuować naszą „małą pogawędkę”. Przyszedłem jak mi kazano, zmęczony, zdenerwowany i rozgoryczony. Z rzadkimi przerwami przesłuchanie ciągnęło się prawie miesiąc. Był to początek koszmaru bezsenności, którego nie zdoła zrozumieć nikt, kto sam go nie doświadczył.

Wilki z Nikopola – Dorogan, Gerszhorn, Łos i reszta – łaknęły mojej krwi. Czekały niecierpliwie, żeby rozerwać mnie na strzępy. Prawie można było zobaczyć ślinę ściekającą z kącików ich ust w przewidywaniu uczt. Dlaczego? Dlaczego? Co mogli mieć przeciwko mnie, nie wyrządziłem im przecież żadnej osobistej krzywdy?

Były logiczne odpowiedzi na te pytania. Po rozstrzelaniu dziesiątków ludzi, których działalność splatała się z moją, prosta konsekwencja nakazywała domagać się mojej głowy. Dopóki przebywałem na wolności, obraz czystki na ich terytorium wydawał się skrzywiony; uparta wątpliwość co do winy pozostałych, jak im się wydawało, pozostanie i będzie kwitnąć wśród „mas”, dopóki to puste miejsce w układance szaleńczej mistyfikacji nie zostanie wypełnione. Co więcej, skoro już rozpoczęli i nagłośnili moją sprawę, byłoby politycznie szkodliwe pozwolić mi się z tego wywinąć. Ich „autorytet zostałby podkopany”, jak mówiło radzieckie powiedzenie.

Ale odpowiedzi logiczne to odpowiedzi powierzchowne. Głębszych powodów tego złośliwego na pozór prześladowania należy szukać w oślizłym szlamie ludzkiej przewrotności. Sprawa przekształciła się w ekscytujące polowanie, a myśliwi nie pozwolą, aby pozbawiono ich zdobyczy. Z pewnością zaczęli bez żadnych szczególnych uczuć wobec mnie, ale w gorączce pościgu, w chwilach frustracji zrodziła się nienawiść do mnie. Pragnęli zwyciężyć, aby dołączyć moją skórę do krwawej sterty swoich trofeów.

Jednocześnie myśliwi byli zdecydowani, znowu przewrotnie, trzymać się reguł polowania, przynajmniej na pozór. Gdyby mnie po prostu aresztowali i rozstrzelali w jednej ze swoich piwnic, naraziliby się na śmieszność w oczach Nikopola. Mój przypadek stał się jednym z tych, w których zdobycz trzeba dopaść na widoku, po publicznym zdemaskowaniu i przyznaniu się do winy.

Przez kilka tygodni, kiedy pozbawiano mnie snu, dręczono i znieważano na potajemnych przesłuchaniach, toczyła się również publiczna faza mojej sprawy. Znowu uruchomiono procedury pierwszego wykluczenia; znowu były komisje śledcze, potoki krasomównstwa

na partyjnych zebraniach, napaści w gazetach. Przeszedłem przez nie w stanie gorączkowego pragnienia snu i odpoczynku. Czasem czułem się tak, jakby moje ciało było wypełnione ołowiem i miażdżyło mnie swoim niezmiernym ciężarem; potem nagle stawało się lekkie jak piórko, zdawało się unosić. Zalewały mnie na przemian fale gorąca i zimna.

Do starych dodano nowe zarzuty. Historia sabotażu została rozszerzona i rozwodniona, ponieważ konkretne oskarżenie wydawało się nieco naciągane. Nowe oskarżenia kładły nacisk nie tyle na moją działalność, ile na powiązania z ludźmi już zidentyfikowanymi jako sabotażyści; a jeśli nie powiązania, to przynajmniej zdradziecką pobłażliwość i brak czujności z mojej strony. Im bardziej niesprecyzowane stawały się zarzuty, tym trudniej było je oczywiście odeprzeć.

W istocie, podczas gdy pościg trwał nadal, zapomniałem, dlaczego jestem ścigany. Byłem po prostu zmęczony, nieszczęśliwy, otępiały i oszołomiony. W przypiływie rozpaczki, żeby tylko zerwać z nużącą monotonią przesłuchań, żeby na chwilę uniknąć nocnych sesji z Gerszhornem, postanowiłem szukać sprawiedliwości gdzie indziej. Przedstawiłem swój plan dyrektorowi Bracze.

- Piotrze Piotrowiczu - powiedziałem - jestem śmiertelnie zmęczony. W głowie mi wiruje, a moje nerwy są na skraju wytrzymałości. Nie mogę ani pracować, ani jeść, ani spać. Gdzieś tam musi być pamięć o prawdzie i prostej uczciwości i zamierzam jej poszukać. Pójdę do Komitetu Obwodowego, do Komitetu Centralnego, do poszczególnych towarzyszy. Opowiem swoją smutną historię każdemu, kto zechce mnie wysłuchać. Może gdzieś ktoś udzieli mi rady lub pomocy. W końcu nie popełniłem żadnego przestępstwa. Dlaczego mam być ścigany jak kryminalista? Dlaczego, skoro raz zostałem oczyszczony, mam przechodzić przez ten koszmar po raz drugi, a potem po raz trzeci? Tak, ruszam szukać odpowiedzi.

Braczeko był zaniepokojony moim stanem i moją propozycją. Nie miał pojęcia o moich nocnych przesłuchaniach, bo zobowiązałem się na piśmie do zachowania tajemnicy. Ale wyczuwał, że jest więcej powodów mojej rozpaczki niż widać na powierzchni.

- To głupi i daremny gest - zapewnił mnie. - Co więcej, to niezbyt mądrze wyjeżdżać teraz z Nikopola. Wykorzystają twoją nieobecność. Z drugiej strony, wyglądasz strasznie i może naprawdę powinieneś trochę odpocząć. Jeśli chcesz, wyślę cię gdzieś w delegację...

I tak zaczęły się moje rozpaczliwe poszukiwania sprawiedliwości. Miałem odwiedzić dziesiątki ludzi i instytucji, których adresów nie znałem...

Zacząłem od swojego rodzinnego miasta, Dniepropietrowska. Mój dawny kolega szkolny, Sosznikow, był teraz drugim sekretarzem

Komitetu Obwodowego, a zatem człowiekiem o pewnych politycznych wpływach. Dwaj inni koledzy z instytutu pracowali u niego. Jeden z nich nazywał się Suworow. Był w tamtych czasach potwornie biedny i często przyprowadzałem go do domu, żeby matka go nakarmiła i pocerowała jego wystrzępione ubrania. Drugi nazywał się Ułasiewicz. Nie miał głowy do studiów i dlatego, wraz z innymi przyjaciółmi, uczyłem go całymi godzinami, żeby pomóc mu zdać egzaminy.

Teraz wszyscy trzej zasiadali w gmachu partii i głosili mądrość „masom”. Świadectwo takiej dobrze umiejscowionej trójki, wystawiającej mi dobrą opinię, mogło być użyteczne.

Sosznikow przytył i sflaczał, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni. Siedział za wielkim biurkiem w luksusowym, wyłożonym dywanem gabinecie pod portretem uśmiechniętego Przywódcy. Przez całą minutę nie podnosił oczu znad leżących przed nim papierów: biurokrata napawający się poczuciem własnej ważności.

Wreszcie spojrzął na mnie i powiedział chłodno:

- To wy, towarzyszu Krawczenko. Co mogę dla was zrobić? - Używał oficjalnej formy „wy” zamiast poufałego „ty”.

- Od kiedy przestałeś mówić na ty starym kumplom z instytutu? Dlaczego musisz się zachowywać jak pomazaniec boży?

Sosznikow zmieszał się i próbował się tłumaczyć przepracowaniem, ciężkimi obowiązkami. Postanowiłem od razu przystąpić do rzeczy.

- Mam kłopoty - powiedziałem.

- Słyszałem...

- Powiedz mi szczerze, czy kiedy byliśmy razem w instytucie, widziałeś, bym dopuszczał się jakichś aktów sabotażu?

- Oczywiście, że nie. Co za bzdura!

- Zatem chciałbym, żebyś napisał to w oświadczeniu dla komitetu nikopolskiego - ty, Suworow i Ułasiewicz.

Wił się i wiercił na krześle. Otarł pot z czoła. Próbował zmienić temat. W końcu wezwał tamtych dwóch. Najwyraźniej oni też coś słyszeli. Przywitali mnie przyjaźnie, ale ostrożnie, bardzo ostrożnie. Ich zakłopotanie sprawiało mi swego rodzaju gorzką satysfakcję. Po dłuższych wahaniach wystąpili z pomysłem, że powinienem pójść wyżej; skromnym ludziom, takim jak oni, nie przystoi mieszać się do wielkich spraw dotyczących życia i bezpieczeństwa kraju.

- Dziękuję wam za radę. Ufam, że zdajecie sobie sprawę, jakimi jesteście nędznymi tchórzami - powiedziałem i wyszedłem bez pożegnania.

Wszyscy trzej niewątpliwie wiedzieli, jak zadbać o własną skórę. Jakiś czas później Sosznikow został szefem NKWD obwodu czelabińskiego; Ułasiewicz objął funkcję sekretarza Komitetu Miejskiego na Ukrainie Zachodniej; Suworow też awansował.

W korytarzu, kiedy szukałem gabinetu nowego sekretarza, towarzysza Margolina, nagle usłyszałem, jak ktoś woła mnie po imieniu.

- Wiktorze Andriejewiczu, witajcie! Jak się macie? Miło was znowu widzieć!

Odwróciłem się i zobaczyłem Iwana Zołkina, z którym pracowałem w zakładach im. Pietrowskiego i Lenina. Dobrze było spotkać kogoś z tamtych prostszych, młodzieńczych lat, zanim zostałem inżynierem i „odpowiedzialnym pracownikiem”. Wydawał się szczerze ucieszony tym przypadkowym spotkaniem.

- Co u ciebie, Witiu? - spytał. - Dlaczego jesteś taki blady i wymizerowany? Byłeś chory czy co?

- W pewnym sensie - uśmiechnąłem się. - Narodowa epidemia... Zarzuty o sabotaż i licho wie, co jeszcze.

- Och, mój drogi Witiu, jakie to straszne... Co za paskudna sprawa! No cóż, do widzenia... spieszę się na spotkanie. Wybacz mi, proszę...

I uciekł. Miałem go spotkać znowu dokładnie trzy lata później na Kremlu i nie byłem zaskoczony: krótkie spotkanie w dnepropietrowskim korytarzu upewniło mnie, że Iwan Zołkin zajdzie daleko w naszym błogosławionym kraju. Kiedy słyszałem o nim po raz ostatni, był szefem ważnego wydziału w Komitecie Centralnym i prawdopodobnie nadal zajmuje to stanowisko.

Ogromna poczekalnia przed gabinetem sekretarza Margolina była strzeżona przez czekistów w mundurach i po cywilnemu. Obserwowali wchodzących i wychodzących. Zanim pozwolili mi wejść, spytali mnie, czy mam broń, i zlustrowali wprawnymi oczami, szukając podejrzanej wypukłości. Radzieccy funkcjonariusze, przynajmniej zanim zostaną aresztowani, są dobrze strzeżeni; zabijanie radzieckich funkcjonariuszy to monopol NKWD, a NKWD nie znosi żadnej konkurencji.

Czekając przed dawnym gabinetem Chatajewicza, przypomniałem sobie, że on też był świetnie strzeżony, kiedy widziałem go po raz ostatni, na zebraniu partyjnym w Nikopolu. Gdzie był teraz? Wiedziałem, że został aresztowany, ale czy nadal żył? Znałem większość jego współpracowników, ale żadnego z nich nie było w pobliżu; niewątpliwie podzielili los swojego szefa.

Nie wiedziałem nic o następcy Chatajewicza. Nigdy wcześniej go nie widziałem. Po kilku odprawach przygotowywałem się na następną. Ale niespodziewanie Margolin okazał się ludzki. Nie tylko wysłuchał mnie do końca, ale nie wahał się wyrazić swojego szczerego współczucia.

- Chciałbym, żebyście mi pomogli, towarzyszu Margolin - poprosiłem.
- Dlaczego moja sprawa ma być wznowiona tylko dlatego, że aresztowano Fillina? Co ja mam z nim wspólnego? Zostałem oczyszczony na podstawie dokumentów.

- Cierpliwości, towarzyszu - powiedział Margolin stłumionym głosem.

- To, co was spotyka, jeśli się nad tym zastanowić, nie jest niczym nadzwyczajnym. Znajdujemy się w krytycznym okresie rewolucji. Naszym obowiązkiem jest pomagać partii, nie krytykować. Mimo to wysłę rozporządzenie do Komitetu Miejskiego w waszej sprawie.

- Dziękuję. Jeśli dotrzymacie obietnicy, będę bardzo wdzięczny.

- Nie dziękujcie mi, towarzyszu. Nikt z nas nie wie, gdzie będziemy jutro.

Ostatnie słowa zostały wypowiedziane jako cyniczny żart. Ale kiedy spojrzałem Margolinowi w oczy, nie dostrzegłem w nich ani śladu wesołości. Po powrocie do Nikopola dowiedziałem się, że Margolin dotrzymał obietnicy: napisał, domagając się sprawiedliwości i uczciwości. Ale do tego czasu sam został aresztowany. Jego wstawiennictwo miało mnie prześladować przez dłuższy czas. Uznano je za kolejny poważny „dowód” moich powiązań z wrogami klasowymi!

Drugim etapem mojej krucjaty w poszukiwaniu sprawiedliwości był Charków. Bardzo liczyłem na pomoc Iwanczenki. Należał do kilkunastu najwybitniejszych kierowników przemysłu w kraju. Surowy i zjadliwy, bezkompromisowy w swojej trosce o dobrą pracę oraz w karaniu lenistwa lub ignorancji, był mimo to wrażliwym i uprzejmym człowiekiem. Wiedziałem, że nie zawaha się stanąć w obronie podwładnych, jeśli racja jest po ich stronie.

Ale w Trubostalu zastałem atmosferę paniki. Iwanczenko, bohater rewolucji, obsypywany zaszczytami i nagrodami z Kremla, członek rządu, został wezwany do Moskwy, podobno służbowo. Kiedy tam dotarł, komitet powitalny złożony z funkcjonariuszy NKWD już na niego czekał, by zabrać go do więzienia. Ponieważ w Charkowie Iwanczenko cieszył się ogromną popularnością, aresztowano go w Moskwie. W tym samym czasie jego koledzy z Trubostalu - Szpielty, Striepietow, Spring i inni, wszyscy bezpartyjni - też zostali zatrzymani.

Znalazłem niewielu, z którymi mógłbym porozmawiać. W większości gabinetów siedzieli nowi ludzie z przerażonymi oczami. Ale opowiedziałem swoją historię pewnemu inżynierowi. Wysłuchał mnie, potem potrząsnął z wyrzutem głową:

- Posłuchajcie, Krawczenko, wydaje się wam, że macie kłopoty? Słyszeliście, co się stało z Konstantinem Szpielty? Albo ze starym Springiem?

Szpielty i Spring byli świetnymi inżynierami. Czytałem i studiowałem ich prace. Dla młodych radzieckich przemysłowców były to magiczne nazwiska. Teraz poznałem szczegóły ich aresztowania: wywleczono ich obu z łóżek i przy akompaniamencie ordynarnych wyzwisk wrzucono do ciężarówek pełnych więźniów. Opuszczałem Trubostal tak jak opuszcza się cmentarz... cmentarz, gdzie niektóre ciała wciąż się poruszają, udają, że są żywe.

W drodze do siedziby Komitetu Obwodowego minąłem Gigant, ogromny akademik, gdzie niegdyś byłem ważną figurą. Postanowiłem wstąpić. Szedłem korytarzami, zajrzałem do pokoju, w którym kiedyś mieszkałem. Pozostało niewiele śladów czystości i porządku, o które walczyłem. Akademik wciąż był pełen studentów, niewiele różniących się od tych sprzed siedmiu lat: ci sami niedożywieni, obdarci, ale pełni zapału chłopcy i dziewczęta, z oczami pałającymi wiarą i ambicją.

Po raz pierwszy od lat pomyślałem o Julii, pięknej i mądrej Julii, którą kochałem. Gdzie teraz jest? Czy żyje? Czy wspomina czasem młodego komunistę z Giganta?

Kiedy zbliżałem się do gmachu Komitetu Obwodowego, usłyszałem znajomy głos.

- Witia! Witia! Zaczekaj, dokąd idziesz?

To był Sienia Wołgin, ten sam Sienia, który wiele lat temu kłócił się z moim ojcem po wizycie Rakowskiego w fabryce, który wraz ze mną redagował fabryczną gazetę, którego obsmarowałem kiedyś w gazecie za pijaństwo w akademiku.

- Sienia! Miło cię widzieć po tylu latach!

- Bardzo się cieszę, Witiu, mój drogi. Niech cię ucałuję! - I zarzucił mi rękę na szyję.

- Bądź ostrożny, Sieniu, możesz pożałować tego pocałunku. Jestem zakażony. Źle ze mną...

- Co ty mówisz! Musisz mi wszystko opowiedzieć. Nie jestem z tych, co uciekają. Słuchaj, pamiętasz jak mnie nazwał twój ojciec? „Nieopierzonym kurczakiem”, który nie będzie uczył polityki starego wygi takiego jak on! I, na Boga, miał rację!

Usiedliśmy na ławce w parku - jeszcze kilka tygodni temu nazywano go Parkiem Postyszewa, ale teraz Postyszew przebywał w więzieniu i park nie miał nazwy. Sienia był w mundurze wojskowym i niósł bardzo poważnie wyglądającą teczkę. Posiwał na skroniach. Ale oficjalna pompa nie pasowała do niego. Wciąż był drobny, prosty, bezpretensjonalny.

Opowiedzieliśmy sobie pokrótce, co się z nami działo, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni. Sienia zajmował teraz wysokie stanowisko w Komitecie Obwodowym.

- Tak, Witiu, siedzisz na ławce z wybitnym proletariackim przywódcą... stuprocentowym stalinowcem. Czy widziałeś kiedyś zwierzęce tusze wiszące w sklepie mięsny? Mają na udzie pieczęć: „Sprawdzone - jadalne”. To ja, Witiu, sprawdzony i jadalny. Ale nie wiem, czy i kiedy chłopcy z NKWD przyjdą mnie zjeść.

- Sieniu - powiedziałem - to nie jest czas na żarty, to czas na łzy.

- Dość się już napłakałem. Nie mam więcej łez. Zabierają następnego przyjaciela, potem następnego... Wkrótce przyjdzie moja kolej... Mam

nad tobą jedną przewagę. Mam niezawodne źródło pocieszenia. Sprzedają je w butelkach. Tak, to prawda, często zaglądam do butelki, ale wierz mi, w czasach takich jak te żal mi was, abstynentów.

Zaczęliśmy wspominać wspólnych znajomych. Większość z nich została aresztowana.

- No więc co mamy robić, Witiu? Płakać? Nie, to nic nie da. Pamiętasz tę piosenkę: „To, co minęło, nie wróci, tak jak lato nie wróci...”. Rudy Grisza często ją śpiewał, pamiętasz? Sam prał swoją bieliznę w komunie, a kiedy czekał, aż wyschnie, nie miał co robić, więc śpiewał. Wkładał płaszcz, siadał na schodku, brzdąkał na gitarze i śpiewał. Biedny Grisza został aresztowany kilka tygodni temu. Ty i ja wciąż czekamy, zachowajmy się więc rozsądniej i śpiewajmy.

Pożegnaliśmy się z solennym przyrzeczeniem, że znowu się spotkamy. Ale tak się nie stało. NKWD zabrało Sienię mniej więcej dwa miesiące później. Jego rodzina powiedziała mi, że był kompletnie pijany, kiedy po niego przyszli, i śpiewał na całe gardło w środku nocy. Zapytałem, co śpiewał. Starą piosenkę: „To, co minęło, nie wróci...”.

Pociąg do Moskwy odjeżdżał dopiero późno w nocy. Kupiłem już bilety. Przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić, czy Jelena jest w mieście. Zatelefonowałem do jej mieszkania. Odebrała sama Jelena. Ku mojemu całkowitemu zaskoczeniu jej głos nie poruszył mnie tak, jak się spodziewałem. Moje cierpienia i rozpacz zdawały się zabijać inne emocje. Z niepokojem zadałem sobie pytanie: czy ci dranie wypalili we mnie uczucia? Czy wymazali romantyczny rys w mojej osobowości?

Jelena spotkała się ze mną w hotelu. Wciąż była piękna, miała ten osobliwy rytmiczny wdzięk, który przeszywał mnie dawniej jak nóż. Ale się postarzała; smutek w jej oczach był głębszy niż kiedykolwiek. Jej mąż, jak mi powiedziała, został aresztowany i znowu zesłany do obozu, a ona mieszkała z matką. Miała skromną posadę w biurze architektonicznym. Nie zapytałem, czy nadal pracuje dla NKWD.

- Och, Witiu, wszystko zmieniło się na gorsze, nie na lepsze - westchnęła. - Wiem o twoich kłopotach. Widzisz, ilekroć jestem w Dniepropietrowsku, co nie zdarza się często, próbuję się spotkać z naszymi wspólnymi przyjaciółmi. Ty o mnie zapomniałeś, ale oni nie. Jak wspaniale jest odnaleźć ludzi, którzy przez te wszystkie brudne lata pozostali czysti, nietknięci. To cud.

Kiedy odprowadzała mnie na dworzec, obiecaliśmy sobie, że znowu się spotkamy. Oboje wiedzieliśmy doskonale, że nie dotrzemy tej obietnicy.

Z czasem pokochałem Moskwę. To nie jest eleganckie ani piękne miasto. Mimo nowych „drapaczy chmur” i szerokich ulic pozostało „największą wsią w Rosji”. Rzeka Moskwa, wijąca się przez miasto, zdaje się narzucać mu swój niesforny charakter, znajdujący odzwierciedlenie w mnogości wąskich, krętych uliczek, prowincjonalnych skwerach, bizantyńskich akcentach. Nie, to nie jest piękny widok, chyba że dla rosyjskiego serca.

Tym, co mnie poruszyło, co porusza wszystkich Rosjan w Moskwie, jest osobliwe poczucie jej wieku, jej trwałości. Była przed Romanowami i pozostała po nich, była przed komunistami i pozostanie długo, długo po nich. Ma swój wdzięk wykraczający poza politykę, nawet poza planową modernizację. W jakiś sposób osobisty smutek ustępuje, staje się mniejszy, niemal nieważny, w obecności tego wiecznego miasta.

Postanowiłem nie meldować się w hotelu. Czyniąc to, sam wskoczyłbym do akwarium stojącego na kominku NKWD. Poprosiłem towarzysza Miszę i jego żonę, żeby przez kilka dni pozwolili mi u siebie zamieszkać.

Misza był sławnym starym rewolucjonistą, a obecnie działał w Stowarzyszeniu Byłych Więźniów Politycznych i Zesłańców. Rząd przydzielił mu wygodne mieszkanie i rentę, z której oboje się utrzymywali. Misza walczył na barykadach u boku mojego ojca. Spędził ponad dziesięć lat w więzieniu aleksandrowskim, zanim rewolucja przyniosła mu wolność. Towarzysz Misza i jego żona zawsze traktowali mnie jak syna, toteż bardzo się ucieszyli, że mogą mnie przyjąć, chociaż zaniepokoiła ich moja bladość i mizerny wygląd.

- A jak tam mój drogi Andriej? Jeszcze się trzyma?

- Tak, ojciec ma się dobrze i oburza się na wszystko, tak jak zawsze.

- Jesteśmy ludźmi nie do zdarcia, moje pokolenie. Chciałbym go znowu zobaczyć, porozmawiać o dawnych czasach.

Przy obiedzie powiedziałem im, co mnie sprowadza do Moskwy. Niczego nie ukrywałem. Towarzysz Misza osobiście znał Lenina, Bucharina i innych tytanów rewolucji. Był z obecnymi przywódcami, od Stalina w dół, po imieniu. Wdowa po Leninie, Krupska, często się z nim spotykała. Nowi władcy traktowali go - przynajmniej do okresu wielkiej czystki - jak jednego ze swoich.

Kiedy opowiadałem swoją historię, zwłaszcza o zarzutach wobec mojego ojca, jego towarzysza na barykadach, stary Misza wpadał w coraz większą złość. W gniewie odsunął krzesło i podszedł do szafy, z której wyciągnął ciężki, zardzewiały łańcuch. Wzniósł podzwaniający metal obiema rękami ponad siwą głowę i potrząsnął nim w niepohamowanej furii.

- Nośiem te kajdany przez dziesięć lat, ponieważ wierzyłem w prawdę, w sprawiedliwość, w lepsze życie! - krzyknął. - A teraz ci łajdacy, którzy nazywają siebie rewolucjonistami, torturują nasze dzieci! Niech będą przekłeci! Niech będą przekłeci sadyści, którzy wykrwawiają naszą Rosję!

Był wysokim, szczupłym i schorowanym człowiekiem. Stojąc z zardzewiałymi łańcuchami nad głową, wyglądał strasznie. Żona Miszy i ja próbowaliśmy go uspokoić.

- Nie rozumiem tylko, towarzyszu Misza - powiedziałem później - dlaczego cały ten terror jest konieczny. Nie może być tak, że wszyscy jesteśmy szpiegami i sabotażystami - cały kraj szpiegów i sabotażystów - wszyscy z wyjątkiem Politbiura...

- Nonsens! Nie ma żadnych wyjątków. W samym Politbiurze wielu zostało aresztowanych, a ponad trzy czwarte członków Komitetu Centralnego rozstrzelano. Kosior, Rudzutak, Czubar, Postyszew - aresztowani. A mnóstwo ludzi zbliżonych do Politbiura - Antipow, Mieźłauk, Bubnow i wielu, wielu innych - zostało połkniętych. Jakowlew, Stiecki, niemal wszyscy najlepsi w Komitecie Centralnym, też. Pogrom jest tak samo krwawy na górze, jak na dole.

- Stalin i jego klika chcą mieć partię, która nie myśli, Komitet Centralny, który ślepo wykonuje rozkazy, Politbiuro, które zawsze w pełni się z nim zgadza. I dopną swego. Stalin rozwiązuje problem w sposób, w jaki rozwiązał go Piotr Wielki - odrąbując głowy.

W trakcie tej wieczornej rozmowy zaczęliśmy się zastanawiać, do kogo możemy się zwrócić, żeby się za mną wstawił. Krupska nie wchodziła w rachubę. Tylko fakt, że była wdową po Leninie, uchronił ją przed aresztowaniem. Jej nienawiść do Stalina i jego metod była powszechnie znana i wszyscy, o których powiedziała dobre słowo, tylko na tym ucierpieli. Inni bliscy przyjaciele towarzysza Miszy sami znajdowali się w trudnej sytuacji. Ale nagle go olśniło:

- Jarosławski! - wykrzyknął. - Tak, jeśli Jemieljan nie dał się całkowicie skorumpować, z pewnością nas wysłucha!

Jarosławski, jeden z nielicznych starych bolszewików wciąż utrzymujących się przy władzy, uchodził za oficjalnego partyjnego teoretyka, najwyższego kapłana przy Stalinie. Był przewodniczącym Związku Wojujących Bezbożników i pisywał pokrętne artykuły, wyjaśniające i usprawiedliwiające każdy nowy stalinowski gwałt. Nie miałem zatem wielkiej nadziei na pomoc z jego strony, ale towarzysz Misza zapalił się do tej idei i był pełen optymizmu. Czy nie znał Jarosławskiego od kilkudziesięciu lat? Czy nie walczyli razem z caratem, nie siedzieli razem w więzieniu?

Następnego ranka towarzysz Misza zatelefonował i zaaranżował spotkanie. Już to samo w sobie było sporym osiągnięciem. Kiedy

zjawiliśmy się w gmachu Komitetu Centralnego, czekały na nas przepustki. Jarosławski miał na sobie rosyjską koszulę. Uściskał i ucałował towarzysza Miszę i serdecznie przywitał się ze mną. Na chwilę wstąpiła w moje serce nadzieja. Był towarzyszem starej daty, człowiekiem z idealistycznego pokolenia mojego ojca.

Ale gdy tylko towarzysz Misza zaczął wyjaśniać cel naszej wizyty, twarz Jarosławskiego zastygła w niepokoju. Z rosnącym zdenerwowaniem żuł końce swoich przesiąkniętych nikotyną wąsów.

- No cóż, Jemieljanie, oto i cała historia - zakończył towarzysz Misza.
- Jeśli nam pomożesz, będę cię kochał jak brata. Jeśli nie, będę wiedział, że nawet ty, Jemieljanie, jesteś stracony...

- Wybacz mi, Misza - Jarosławski przybrał oficjalny ton. - Kiedy przychodzisz do mnie jak do starego przyjaciela, to jedno; kiedy przychodzisz do mnie jak do odpowiedzialnego przewodniczącego Komisji Kontroli Partyjnej, to zupełnie co innego. Moim obowiązkiem jest chronić partię i jej przywódcę przed wrogami. Nie ma tu miejsca na przyjaźń i specjalne względy. Nie możemy sobie pozwolić na słabość. Rozumiesz?

- Tak, rozumiem. Ale po co ta cała retoryka? Nie jestem masowym wiecem ani stroną w „Bezbożniku”. Pomożesz nam czy nie? Mów otwarcie.

- Nie unosź się, stary przyjacielu. Towarzyszu Krawczenko, czy możecie nas zostawić na minutkę, żebym mógł mówić bardziej swobodnie?

- Nie, nie, on tu zostanie, Jemieljanie! - wykrzyknął towarzysz Misza.
- Nie uznaję twoich nowomodnych sekretów ani intryg. Jesteśmy towarzyszami czy nie jesteśmy?

- Dobrze, niech będzie po twojemu - Jarosławski wzruszył ramionami.
Wyszliśmy z gabinetu przygnębieni, załamani. Oczy towarzysza Miszy zasły łzami, musiał się chwycić mojego ramienia, żebym go poprowadził.

- A więc nawet Jemieljan nie żyje - to znaczy ten szczerzy i odważny Jemieljan, który kiedyś był moim towarzyszem. Ech, Witiu, cieszę się, że jestem stary. Nie będę musiał dłużej oglądać tej ohydy.

Jarosławski zdobył się tylko na jedno w imię starej przyjaźni, a mianowicie dał mi nazwiska i telefony kilku ważnych funkcjonariuszy w Komitecie Centralnym, i wyraził zgodę, żebym posłużył się jego nazwiskiem, aby uzyskać audiencję. W ciągu następnych kilku dni spotkałem się z tymi ludźmi. Z ich zachowania - przyjaznego, ale oficjalnie sztywnego - wywnioskowałem, że Jarosławski uprzedził ich, aby potraktowali mnie dobrze, ale nic nie robili. Najwidoczniej nawet ludzie bliscy Stalinowi nie mogli sobie pozwolić na udzielenie pomocy „sabotażyście”.

Przejrzałem swoją listę moskiewskich adresów. Czy był ktoś, do kogo mógłbym się zwrócić? Czytając nazwiska, przekreśliłem wiele z nich: ten nie żył, tamten popełnił samobójstwo, wielu zostało aresztowanych. Wreszcie natknąłem się na jedno, przy którym się zatrzymałem.

- Łazariew - powiedziałem sobie. - Odwiedzę go. W jakimś sensie to on wyprawił mnie w podróż, która zaprowadziła w tę ślepą uliczkę. Czy to nie pod jego wpływem, dawno temu w Zagłębiu Donieckim, wstąpiłem do Komsomołu?

Kiedy nacisnąłem dzwonek, drzwi otworzyły dwie starsze kobiety. Popatrzyły na mnie z przestraczem, a gdy zapytałem o Łazariewa, jedna z nich się rozpląkała.

- Nie ma mojego biednego chłopca... już prawie rok... Nie wiecie? Powiedzieli, że był wrogiem ludu. Bezbożnicy! Oprawcy!

Tak dowiedziałem się, że mój pierwszy nauczyciel w ruchu komunistycznym też znalazł się wśród wyrzutek. Płacił za swoje przekonania, których świadectwem był portret Tołstoja wiszący w jego domu obok podobizn Lenina i Karola Marksa.

Wyczerpany porażkami i smutkiem tych dni, postanowiłem odwiedzić rodzinę A. U starszej pani A. i jej czarującej córki Tani zawsze mogłem liczyć na kilka przyjemnych godzin. Mimo wielu tragedii obie zachowały nieco naturalnej radości życia. Towarzysz A. wraz z żoną i małym synkiem wyjechał do Ameryki po 1905 roku, uciekając przed carską policją. Pozostałe dzieci, chłopiec i dwie dziewczynki, urodziły się i wychowały w Stanach Zjednoczonych.

Po rewolucji rodzina wróciła do Rosji. Przywitał ich sam Lenin. A. odegrał istotną rolę podczas wojny domowej. Dowodząc oddziałem czerwonych partyzantów, walczących z białymi i Japończykami na Dalekim Wschodzie, został schwytany. Jego ciało porąbano na kawałki i spalono na oczach innych jeńców. Po zakończeniu wojny domowej załamana rodzina przeniosła się do Moskwy, gdzie Lenin przyznał im mieszkanie i rentę w uznaniu heroicznego zasług A. Starszy syn wykształcił się na inżyniera - to dzięki niemu poznałem jego rodzinę. Kilka lat temu zesłano go do obozu pracy. Kobiety zostały same.

Teraz, nieświadomy niczego, poszedłem do ich mieszkania w starym domu pokrytym liszajami. Drzwi były zamknięte i zapieczętowane woskiem. Odczytałem straszliwe inicjały, NKWD. Sąsiadka wysunęła głowę, żeby sprawdzić, kto przyszedł.

- Och, niech Bóg się nad nami zlituje, młody człowieku. Obywatelka A. i jej córka zostały aresztowane, są na zesłaniu!

Szybko zamknęła drzwi, przestraszona, że powiedziała za dużo. Wyszedłem z domu wstrząśnięty do głębi. Po kilku krokach zorientowałem się, że jestem śledzony. Wystarczyło jedno spojrzenie na lśniące buty z cholewami i nie miałem żadnych wątpliwości, że to

człowiek z NKWD, mimo cywilnego płaszcza. Wszystko, czego potrzebowałem na dopełnienie swojej czary goryczy, to raport, że odwiedziłem aresztowaną rodzinę!

Na szczęście w tym momencie podjechała zdezelowana taksówka. Wskoczyłem do niej i kazałem kierowcy jechać szybko na dworzec kolejowy. Przy dworcu zapłaciłem mu i złapałem inną taksówkę, z której wysiadłem kilka przecznic od domu towarzysza Miszy. Kiedy opowiedziałem swoim uprzejmym gospodarzom o zajściu, wuj Misza znowu stracił panowanie nad sobą.

- Co za łajdacy! Nie jest lepiej niż za cara - wykrzykiwał, chodząc ze wzburzeniem po pokoju. - Nie, jest gorzej, tysiąc razy gorzej. W tamtych czasach mieliśmy sądy, adwokatów, szansę na obronę. Kiedy byliśmy w kłopotach, przyjaciele się od nas nie odsuwali. Wręcz przeciwnie, przychodzili z wizytą i upominali się o nas. Były wiece protestacyjne, petycje do władz, do prasy, przemówienia w Dumie. Teraz wszędzie jest tylko przerażające milczenie, strach i tchórzostwo.

- Jeszcze jedna rzecz, Witiu. Za moich czasów cały świat był po naszej stronie. Demokraci i liberałowie w Anglii, Francji, Ameryce wypowiadali się przeciwko tyranii i udzielali nam moralnego wsparcia. Ale dzisiaj jesteśmy zamknięci w więzieniu. Świat nie wie, co tu się dzieje. Ci sami ludzie, którzy powinni być po naszej stronie, często są po stronie tyranów i oprawców i - o ironio, mój synu! - nazywają siebie „przyjaciółmi Związku Radzieckiego”.

- Przyjaciele despotyzmu to lepsza nazwa dla tych głupców - powiedziałem.

- Witiu, w naszej specjalnej bibliotece przeglądam czasem francuskie i angielskie gazety. Udostępnia się tam oczywiście tylko kilka wybranych tytułów. Czy uwierzysz, że piszą o „demokracji” i „cudownym nowym życiu” w Rosji! Nie żartuję. Kiedyś widziałem amerykańską książkę o naszym kraju. Przeczytałem kilka stron i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Ten idiota autor był w Rosji, ale nic nie zobaczył i nic nie zrozumiał. Opisał naszą skrwawioną ojczyznę, jakby to był raj na ziemi. Durnie! Szarlatani!

- Ale, wujku Miszo, przecież nie może tak być, żeby cały świat nie wiedział, co się tutaj dzieje. Nie może tak być, żeby cały świat oszalał.

- Pewnie, to nie ma sensu, ale jeśli ktoś z zewnątrz rozumie, chciałbym zobaczyć na to dowód. Byłem w wielu komitetach powitalnych, kiedy przyjmowali delegacje zagranicznych robotników, zagranicznych nauczycieli, studentów. Z ich zapału, z ich naiwnych pytań wynika jasno, że nie wiedzą nic o koszmarach, które dotyczą naród rosyjski. Nie wiedzą nic o reakcji, która się tutaj umacnia. Witiu, to straszne...

Usiadł, odwrócił twarz i rozplakał się...

Ostatnim etapem mojej daremnej wyprawy po sprawiedliwość była wizyta w Ludowym Komisariacie Przemysłu Ciężkiego. Całą instytucję przenikał duch bezgranicznej rozpacz, której już nikt nie próbował ukrywać. Pozostało niewielu znanych mi ludzi. Wydawało się niemal czymś nieprzyzwoitym narzucać się ze swoimi kłopotami urzędnikom, którzy sami nie wiedzieli, czy długo pozostaną pośród żywych – w miejscu nawiedzonym przez duchy rozstrzelanych dygnitarzy, szeregowych pracowników, komunistów i bezpartyjnych.

Od kilku urzędników, którzy odważyli się ze mną rozmawiać, dowiedziałem się o skali spustoszeń poczynionych przez NKWD w radzieckim przemyśle. Człowiek, który przyczynił się do powiększenia zasobów radzieckiej ropy naftowej, Barinow, został rozstrzelany wraz ze swoimi współpracownikami i zastępcami. Podobnie Alpierowicz, kierownik przemysłu maszynowego, jego zastępca Stiepanow i wielu, wielu innych. Niemal wszyscy główni współpracownicy Ordżonikidzego – na przykład Aleksandr Guriewicz, Ruchimowicz, Pawłunowski – przebywali w więzieniu. Guriewicz kierował całym przemysłem metalurgicznym w kraju; później się dowiedziałem, że w więzieniu stracił wzrok i umarł. Jego zastępca, Anton Toczynski, uważany za jednego z najwybitniejszych rosyjskich inżynierów, też został aresztowany. Niewielu wysokich urzędników, szefów wydziałów komisariatu, dyrektorów trustów i przedsiębiorstw, uniknęło szaleństwa terroru.

Aby w jakimś stopniu ukazać rozmiary rzezi, chcę wymienić kilku spośród represjonowanych, z którymi utrzymywałem kontakty osobiste. Dla przeciętnego czytelnika ich nazwiska nic nie znaczą, ale dla nas, związanych z rosyjskim przemysłem, oznaczały śmietankę naszego technicznego środowiska:

I. Bondarienko, dyrektor fabryki silników w Charkowie; Konstantin Butienko, dyrektor kombinatu w Kuzniecku; Ganszyn, który kierował przemysłem naftowym na wschodzie; Gwacharija, dyrektor zakładów makajewskich w Zagłębiu Donieckim; Osipow-Szmidt, dyrektor trustu gumowego; Michajłow, zastępca dyrektora słynnej elektrowni wodnej Dnieprostroj; S. Makar, słynny budowniczy Magnitostroju; najważniejszy człowiek w przemyśle kamieniarskim, stary bolszewik S. Szwarc; Gugiel, dyrektor kombinatu stalowego w Mariupolu; I. Kosior, brat rozstrzelanego członka Politbiura, kierujący całym przemysłem dalekowschodnim; M. Własow, dyrektor huty żelaza w Czelabińsku; G. Krzeminski, dyrektor trustu manganowego w Nikopolu; Nikołaj Radin, dyrektor wielkich zakładów w Mariupolu; Fiodor Łogijko, dyrektor zakładów niżnodnieprowskich; Zwajsne, dyrektor zakładów na Uralu;

Isaak Rogoczewski, dyrektor stalowni w Zaporozżu; Nikołaj Donskow, dyrektor fabryki metalurgicznej Czusowaja; Chazanow, kierujący całym przemysłem metalurgicznym na Uralu; Trachter, dyrektor trustu metalowego w Krzywym Rogu.

Wybieram nazwiska niemal przypadkowo i mógłbym nimi zapełnić całe strony. I wybieram jedynie nazwiska z górnej półki.

W pociągu z Moskwy natknąłem się na swojego przyjaciela Jakowa Wiesnika, wówczas dyrektora kombinatu metalurgicznego w Krzywym Rogu. Zwracałem na jego słowa mniejszą uwagę, niż na to zasługiwały, ale jakimś sposobem utkwily mi w pamięci, nabierając znaczenia w miarę upływu czasu. Wiesnik był wielkim rewolucjonistą i ważnym budowniczym, starym bolszewikiem, który nie ugiął się przed nowymi totalitarnymi metodami. Zdobył najwyższe odznaczenia w Armii Czerwonej, a później, przeniesiony do pracy w przemyśle, był blisko Ordżonikidzego, Mołotowa i innych kremlofskich przywódców. Często reprezentował nasz kraj za granicą podczas ważnych misji gospodarczych.

Ucieszyłem się z naszego przypadkowego spotkania. Okazało się, że on też pojechał do stolicy, aby bronić się przed aresztowaniem. Atrakcyjna żona Wiesnika, Jewgienia, również pełniąca wysoką funkcję, została niedawno sfotografowana razem ze Stalinem na Kremlu. Zamieszczenie tej fotografii w prasie wydawało się zapewniać immunitet jej i mężowi. Ale Wiesnik nie żywił takich złudzeń.

- Spodziewam się aresztowania po powrocie do Krzywego Rogu - powiedział mi. - Ja też się przekonałem, że nie możemy liczyć w Moskwie na żadną pomoc. To wszystko idzie z samej góry. Jeszcze usłyszysz, jak spotwarzają nas, przedstawiciele starej gwardii, którzy walczyliśmy u boku Lenina, jako spiskowców o niewiarygodnych powiązaniach międzynarodowych; usłyszysz, jak piętnują nas jako zdrajców i wrogów ludu. Pamiętaj, te kalumnie są zasłoną dymną dla czegoś innego. Stalin i partia nie mogą powiedzieć masom prawdy, że istnieje konflikt wewnątrz partii. Ponieważ wtedy masy opowiedziałyby się po którejś ze stron, a Stalin się boi, że większość może zwyciężyć.

Rozmawialiśmy długo. Wiesnik wspomniał o swoich licznych podróżach zagranicznych. Spojrzał mi prosto w oczy.

- Jeśli kiedyś będziesz miał okazję opowiedzieć światu o koszmarach, jakie się tu dzieją, Wiktorze Andriejewiczu, twoim obowiązkiem będzie to zrobić. Na tym etapie Rosjanin, który kocha swój kraj i naród, nie może im oddać większej przysługi. Nie można i nie wolno zaprzestać walki o wyzwolenie Rosji.

Obawy Wiesnika okazały się uzasadnione. Jego żona też została aresztowana, mimo krótkotrwałej chwały, jaką zapewniła jej wspólna

fotografia z Przywódcą. Z czasem słowa mojego przyjaciela zaczęły brzmieć w moich uszach proroczo.

4

Zapadał wieczór, kiedy po bezowocnej podróży dotarłem do Nikopola. Czułem się podle, beznadziejnie. Zdziwiłem się, dlaczego w moim domu jest ciemno. Gdzie Pasza? Napisałem jej, że przyjeżdżam i żeby na mnie czekała. Spróbowałem otworzyć drzwi. Były zamknięte. Zapukałem, głośniej, jeszcze głośniej. Żadnej odpowiedzi. Palce strachu chwyciły mnie nagle za gardło.

Głos miałem tak zdławiony, że ledwo zdołałem się wysławić, kiedy poszedłem do domu obok. Sąsiad, urzędnik w fabryce, popatrzył na mnie ze zdumieniem, jakby zobaczył upiora.

- Wiktorze Andriejewiczu! - szepnął. - To naprawdę wy? Żyjecie? Nie areztowali was? Bogu dzięki!

- Co się stało? Gdzie Pasza? Pojechałem tylko służbowo do Moskwy.

- Nic nie wiecie, Wiktorze Andriejewiczu? Zwolnili was ze stanowiska i kazali wyprowadzić się z domu. Nie wiem, gdzie są wasze rzeczy. Przyjechał samochód i wszystko zabrał...

Spytałem, czy mogę zatelefonować do Braczi.

- Och, cieszę się, że wróciłeś, Wiktorze - powiedział dyrektor.

- Ale Piotrze Piotrowiczu, co się dzieje? Dlaczego wyrzucono mnie z domu?

- Nie martw się. Weź się w garść. Na polecenie Komitetu Miejskiego musiałem cię zwolnić ze stanowiska. Przenoszę cię do działu technicznego zakładów. Rozumiesz, że nie miałem wyjścia, jestem zdruzgotany.

- Oczywiście, że rozumiem, Piotrze Piotrowiczu. Gdzie mam spędzić noc?

- Zarezerwowałem dla ciebie pokój w hotelu fabrycznym w Nikopolu. Mały, ale jedyny dostępny.

Pojechałem z powrotem do miasta. Kierownik hotelu spodziewał się mnie. Rozumiał, że po luksusowym domu z garażem i ogrodem muszę mieć poczucie degradacji, i przeproszał, kiedy pokazywał mi pokój. Ta przypominająca celę kłitka z łuszczącymi się tapetami miała być moim „domem” przez resztę pobytu w Nikopolu. Moje książki i inne rzeczy zwalono w nieładzie po kątach. Poza łóżkiem był tam niewielki stół, szafka, małe lustro i wyblakły portret Stalina na ścianie. Pokój nie miał łazienki ani nawet umywalki.

Ale byłem bardzo zmęczony, zbyt zmęczony, żeby myśleć i czuć. Spałem do późnego ranka.

ROZDZIAŁ XVII

Tortury po północy

Serce we mnie zamarło, kiedy usłyszałem w słuchawce głos Gerszhorna.

- Proszę, proszę, mały ptaszek wrócił z długiej podróży... Mam nadzieję, że podoba wam się nowa kwatery w hotelu... Przyjdźcie do mnie o północy!

Jak zwykle musiałem na niego czekać. Był to mój pierwszy dzień na nowym stanowisku kierownika działu technicznego w fabryce. Pracowałem długo i przez większość czasu byłem na nogach. Napięcie emocjonalne związane z degradacją i wyrzuceniem z domu wyczerpało mnie bardziej niż wysiłek fizyczny. W każdym razie, kiedy Gerszhorn wreszcie wpuścił mnie do swego gabinetu, byłem zmęczony, zniechęcony, na wpół otępiały.

- No cóż, Krawczenko - uśmiechnął się cierpko. - Mam nadzieję, że mieliście owocną podróż. Nie lubimy, kiedy przerywa nam się w ten sposób dochodzenie.

- Miałem niezbędne pozwolenia - powiedziałem.

- Wiem, wiem. I zakładam, że pojechaliście szukać protekcji - u ludzi takich jak Iwanczenko i Margolin, co? Niestety, obaj zostali aresztowani jako wrogowie ludu!

- To prawda, towarzyszu Gerszhorn. Potrzebowałem pomocy Iwanczenki. Bo dlaczego nie? Przez wiele lat był moim przełożonym i członkiem rządu. A co do Margolina, to tak się składa, że był w tym czasie sekretarzem partii w obwodzie. Bądź co bądź, to nie ja powołałem ich na te stanowiska.

- Oczywiście, że nie wy. Ale co za zdumiewający zbieg okoliczności - wszyscy wasi przyjaciele i opiekunowie okazują się zdrajcami! Fillin, Margolin, Iwanczenko, podobnie jak wielu innych. Powiedzcie mi, jak to się stało, że Margolin napisał pochlebny list o was do Komitetu Miejskiego? Wasz stary przyjaciel, bez wątpienia.

- Widziałem tego człowieka tylko raz w życiu, tamtego dnia w jego gabinecie.

- Nie jestem tego pewien... Ale zostawmy to na razie. Bardziej mnie interesuje ten podły sabotażysta Iwanczenko. Zналиście tego zdrajcę od dawna...

- Tak, ale nie znałem go jako zdrajcy.
- Nigdy nie zaobserwowaliście żadnych aktów szkodnictwa i sabotażu z jego strony, przecież byliście z nim tak blisko, byliście z nim zaprzyjaźnieni?

- Nie, nigdy.

- Co możecie mi powiedzieć o jego pracy w związku z produkcją rur?

Powtórzyłem wszystko, co wiedziałem, co wiedział cały kraj. Na tłustej, błyszczącej twarzy Gerszhorna pojawił się gniewny grymas. Grubymi, przypominającymi kiełbaski palcami - zauważyłem, że starannie obcina paznokcie - bębnił niecierpliwie po biurku.

- Krawczenko, przestańcie się zgrywać. Wiecie, że nie o takie informacje mi chodzi.

- To jedyne informacje, jakie mam.

- Myślę, że przypomnicie sobie więcej, zanim z wami skończymy. Mieliśmy już wcześniej takich upartych klientów. A co wam wiadomo o powiązaniach Iwanczenki z Kabakowem?

- Do momentu swojego aresztowania Kabakow był sekretarzem partii na Uralu i członkiem Komitetu Centralnego. Oczywiście Iwanczenko musiał go często widywać. Ale nie wiem o niczym wyjątkowym ani niezwykłym.

- Innymi słowy, nie chcecie powiedzieć.

- Chętnie bym powiedział, ale z pewnością nie oczekujecie ode mnie zmyślonych informacji.

Przez okno zaglądał już nowy dzień, ale Gerszhorn, głośniejsze i coraz bardziej obraźliwe, w miarę jak ogarniało go zmęczenie, wciąż mnie piłował.

- Powiedzcie mi, Krawczenko - zainteresował się nagle - dlaczego tak się boicie aresztowania? Dlaczego biegacie w kółko, szukając pomocy, nawet u towarzysza Jarosławskiego? Może w głębi czujecie, że jesteście winni?

- Bardzo przepraszam. Jest piąta rano, a o ósmej muszę być w pracy. Jeśli nie jestem aresztowany, nie jest to dobra pora, żeby zaczynać dyskusję filozoficzną.

- Całkiem słusznie, całkiem słusznie... Będziemy mieli jeszcze wiele nocy na rozwijanie tego tematu. Na swój sposób jestem badaczem ludzkiej psychologii. Wy, jako inżynier, badacie wytrzymałość metali, ich giętkość, ich szczególne właściwości, tak? Ja, jako dobry czekista, badam wytrzymałość ludzi, polityczną giętkość ich umysłów i tak dalej. No cóż, do widzenia, do następnego razu.

Wstałem. Byłem tak zmęczony, że się zatoczyłem. Trzymając się krawędzi biurka, powiedziałem znużonym głosem:

- Posłuchajcie, Gerszhorn, znam was od kilku lat, a wy znacie mnie. Czy naprawdę wierzycie, że jestem sabotażystą? Odpowiedzcie mi,

proszę.

- Jasne, odpowiem wam. My, czekańci, zaczynamy od tego, że wierzymy oskarżeniom. W przeciwnym razie nie doszlibyśmy do niczego. Jeśli o mnie chodzi, każdy jest winny, jeśli nie może dowieść swojej niewinności. To wszystko na dzisiaj. Możecie odejść!

Późnym popołudniem siedziałem przy swoim biurku w nowym, nieprzytulnym gabinecie. Pijany z niewyspania, czując ból we wszystkich mięśniach, z piekącymi oczami, rozpaczliwie próbowałem skoncentrować uwagę na leżących przede mną ekspertyzach technicznych. Zadzwoił telefon. To był Braczo, ale głos miał tak przygnębiony, że ledwo go rozpoznałem.

- Wiktorze Andriejewiczu! Teraz moja kolej - komitet fabryczny właśnie zakończył posiedzenie. Zostałem wykluczony z partii! Wykluczony, po z górą dwudziestu latach!

- Piotrze Piotrowiczu, to niemożliwe...

- Owszem, a dzisiaj wieczorem na zamkniętym posiedzeniu organizacja partyjna w naszym zakładzie dokończy robotę. Chciałem cię prosić... jak mam to ująć? Ale jestem pewien, że zrozumiesz. Chciałem cię prosić, żebyś nie występował w mojej obronie. To tylko pogorszy sprawę. - Odłożył słuchawkę.

Po kilku godzinach niespokojnego snu poszedłem na zebranie. Nowy sekretarz Komitetu Miejskiego, Kondraszyn, pracował jako inżynier w moim dziale. Był przebiegły i ostrożny. Miał talent do uchylania się od odpowiedzialności, bezcenny w warunkach radzieckich. Pozwolił, aby towarzysz Łos, młody człowiek żądny władzy, poprowadził sprawę przeciwko Braczo.

W długim, beznamietnym i zupełnie nieskładnym przemówieniu Łos obarcza Braczkę wszystkimi grzechami z katechizmu wielkiej czystki. Złe warunki mieszkaniowe, wysoki wskaźnik brakoróbstwa, niskie płace, ogromna liczba aresztowań we wszystkich wydziałach naszej fabryki - wszystko to, zgodnie z pokrętną logiką Łosa, jest winą Braczki, wszystko to jest dowodem rozmyślnego i złośliwego sabotażu!

- Precz z nim! - krzyczy ktoś, a inni dołączają do chóru. - Najwyższy czas! Precz ze szkodnikami!

Wśród najbardziej wrzaskliwych, jak zauważam, jest kilku robotników, ludzi z baraków. Oczywiście nie mogą nic wiedzieć o pracy ani o charakterze dyrektora wielkiego kombinatu, w którym są mało znaczącymi trybikami. Po prostu wyrażają swoje prywatne niezadowolenie, wyładowując nagromadzone żale na najwyższym urzędniku administracyjnym. Nie pamiętają, że płace, jak również ceny i fundusze na domy robotnicze są ustalane przez władze w Moskwie.

- Czy ktoś chce coś powiedzieć? - pyta Łos.

Członkowie partii jeden po drugim domagają się wykluczenia. Każdy

dodaje nowe zarzuty do piętrzącej się już góry absurdów. Potem zabiera głos jakaś robotnica. Nie ma powodu wątpić w jej szczerość.

- Towarzysze - oświadcza - pracuję w nikopolskim kombinacie metalurgicznym. Teraz wreszcie jest dla mnie jasne, dlaczego tak nędznie żyjemy, dlaczego nie ma domów dla robotników, dlaczego chodzimy bez porządnych ubrań. Tacy Braczkowie żyją na wysokiej stopie, ale nędza proletariatu ich nie obchodzi. Precz z sabotażystami! Już dostatecznie długo z nas kpili!

Jej żarliwość wywołuje burzliwe oklaski i krzyki.

Wreszcie przemawia Braczko. Wie, że jego sprawa jest beznadziejna, że jego słowa nie poruszą podekscytowanych ludzi. Ci ludzie pragną zemsty, potrzebują kozła ofiarnego za swoje rozliczne prywatne urazy. Braczko zaczyna od przypomnienia swojego komunistycznego życiorysu. Opowiada, że przed rewolucją, jako oficer na froncie i bolszewik, pozyskiwał żołnierzy dla sprawy robotniczej. Przerywają mu krzyki i niewybredne epitety.

- Nie baw się w demagoga! Dość tych bzdur! Wyrzucić go!

Po zapadniętych policzkach Braczki płyną łzy. Ale obelgi podsycają jego ducha walki i podnosi głos, przekrzykując wrzawę. Nagle wielką salę wypełnia niezręczna, kłopotliwa cisza. Braczko wznosi zaciśnięte pięści ponad głowę.

- Ja, Braczko, tymi rękami szturmowałem Pałac Zimowy! Walczyłem z białymi i z interwentami! Mam kilkanaście ran, które odniosłem za rewolucję. Potem, przez piętnaście lat, pracowałem dzień i noc, żeby budować, budować, budować, mimo straszliwych przeciwności.

- A teraz stoję przed wami, a wy chcecie rozerwać mnie na strzępy. Dlaczego? Tam, gdzie ja budowałem, wy chcecie burzyć. Obwiniacie mnie o ciężkie warunki, które ze wszystkich sił starałem się poprawić. O nic was nie proszę. Niczego nie oczekuję. Róbcie swoje i skończcie brudną robotę. Bez względu na to, co tutaj zdecydujecie, jest dla mnie jasne, że jestem skończony. Ale chcę, żebyście zastanowili się nad tym, co robicie. Pozostawiam swój los waszemu sumieniu. Żadne wasze przemówienia, żadne wasze obelgi nie zmienią faktu, że jestem zupełnie niewinny.

- Wierzcie mi albo nie, towarzysze, ale kocham ludzi swojego ojczyznanego kraju. Tysiąc razy ryzykowałem dla nich życie, a jeśli teraz odwdzięczą mi się za to, niszcząc to życie własnymi rękami, przyjmę to jak żołnierz. To wszystko, co miałem do powiedzenia.

Zebrani niemal jednogłośnie głosowali za wykluczeniem. Wyszedłem z sali i pojechałem do domu Braczki. Drzwi otworzyła mi służąca. Po chwili się zjawił, cichy jak cień, ramiona mu drżały od bezgłośnego płaczu.

- Wiedziałem, że będziesz na mnie czekał, Wiktorze Andriejewiczu -

powiedział. - Dziękuję ci z całego serca. Nie zapomnij, jeśli kiedyś będziesz miał okazję - jeśli to szaleństwo kiedyś się skończy - powiedzcie tym, którzy zechcą słuchać, że opowiadano o mnie straszliwe kłamstwa.

Nie pozwolił mi zostać dłużej niż kilka minut. Gdyby czekiści zastali nas razem, byłoby to źle dla nas obu. Nie miał wątpliwości, że zostanie aresztowany. W tej sprawie NKWD chciało mieć zawczasu „powszechną” aprobatę; ułatwiłoby im to dalszą pracę w Nikopolu.

Następnego ranka Braczko nie przyszedł do pracy. Dowiedziałem się, że postanowił pojechać do Dniepropietrowska, aby odwołać się do Komitetu Obwodowego. Ale dotarł tylko do Zaporozża, gdzie wyprowadzono go z pociągu. Nigdy więcej go nie widziałem i do dzisiaj nie znam jego losu. Dwa dni później jego żona, szwagierka i sekretarka zostały aresztowane. Tylko jego stara matka i sześćioletnia siostrzenica, która mieszkała razem z nimi, pozostały na wolności, ale wyrzucono je z domu. Stara kobieta, której tragedia pomieszała w głowie, przez całe miesiące włóczyła się po ulicach Nikopola, pytając ludzi, czy nie widzieli jej „małego Piotrusia”, który „się zgubił”. Potem ona też zniknęła.

2

W tym samym tygodniu Komitet Miejski zajął się na nowo „sprawą Krawczenki”. Powszechnie uważano, że już po mnie. Ale moja szczęśliwa gwiazda nie utraciła swojej magicznej mocy; to Braczko wspomniał po raz pierwszy o tej mitycznej gwiazdce, kiedy odnalazłem zaginione dokumenty. Tego samego dnia nikopolskie gazety zamieściły na pierwszej stronie artykuł, oskarżający grupę inżynierów z naszej fabryki o różne grzechy polityczne, zwłaszcza grubiaństwo wobec robotników. Wśród winowajców, według artykułu, znaleźli się Makarow i Szajkiewicz - moi główni oskarżyciele!

Przygotowany dla mnie cios w cudowny sposób nie dosięgnął celu. Niewątpliwie Łos uznał, że niezręcznie będzie wyciągać zleżące oskarżenia, kiedy jego główni świadkowie sami znaleźli się w opałach. Komitet odstąpił od sprawy i zajął się nową sensacją. Makarow i Szajkiewicz zostali wyrzuceni z partii. Później dowiedziałem się, że zamieszczenie właśnie w tym czasie artykułu, który mnie ocalił, nie było kwestią przypadku; stary Silinin i inni przyjaciele zadziałali w ten sposób.

Aresztowanie Braczki wywołało w fabryce nową falę strachu. Nieuchronnie wielu z tych, którzy blisko z nim współpracowali, z którymi się przyjaźnił, miało podzielić jego los. Główny inżynier Wiszniew popadł w czarną melancholię. Musiałem się z nim zobaczyć

w związku z pewnym problemem w moim wydziale. Po pierwszych słowach uświadomiłem sobie, że jego umysł już nie pracuje normalnie. Siedział przy swoim biurku, w najlepszym garniturze, z Orderem Lenina wpiętym w klapę marynarki i płakał jak dziecko.

- Rozumiecie, Wiktorze Andriejewiczu - powiedział - kiedy przyjdą mnie aresztować, aresztują również Lenina. Nikt już ze mną nie rozmawia. Nie uważają mnie już za głównego inżyniera. Tylko Lenin ze mną rozmawia.

Dwa lata później dowiedziałem się od przyjaciela, że umysł Wiszniewa, już wcześniej zmałowany, rozstroił się zupełnie podczas śledztwa. Czekiści uznali jego szaleństwo za „sztuczkę” obliczoną na uniknięcie przyznania się do „winy” i nadal poddawali go torturom, dopóki nie doszli do przekonania, że jego obłąd jest prawdziwy.

Pewnej nocy, kilka tygodni później, zostałem wyrwany ze snu. Wzywano mnie do telefonu w sieni na dole. Ubrałem się i zszedłem. Dzwonił Gerszhorn. Rozkazał mi przyjść natychmiast do NKWD.

Znowu siedziałem w jego gabinecie. Zazdrościłem mu świeżego, zdrowego rumieńca na twarzy. Gdybym tylko zachował swoją dawną witalność... Dotkliwy brak snu, zdenerwowanie, beznadziejny chaos w fabryce podkopywały moje siły, czułem się słaby i chory.

- No cóż, będziemy kontynuować naszą pogawędkę - oznajmił, pyszniąc się swoim zdrowiem, swoją energią. - I mam nadzieję, że tym razem będziecie rozsądniejsi, bardziej skłonni do współpracy.

- Czego ode mnie chcecie?

- Tutaj my zadajemy pytania! - wrzasnął. - A wy macie na nie odpowiadać! Rozumiecie?

- Rozumiem... Tylko że wciąż nie jestem aresztowany, wciąż jestem członkiem partii o dobrej reputacji...

- To nas nie obchodzi. Dla nas jesteście sabotażystą. Zapytam was znowu, co wiecie o sabotażowej działalności Iwanczenki? Mielicie dość czasu, żeby się zastanowić.

- Nic nie wiem.

- Posłuchajcie, Krawczenko, będzie lepiej dla was, i zaoszczędzicie mi mnóstwa kłopotów, jeśli zaczniecie mówić. Mamy sposoby, żeby zmusić ludzi do mówienia. Robią się miękcy jak jedwab i podatni jak masło. Rozumiecie? - W jego głosie pojawił się zmysłowy, niemal erotyczny ton.

- Jeśli cenicie kształt swojej twarzy - jesteście całkiem przystojnym facetem - będziecie bardziej skłonni do współpracy...

- Mówię szczerze. Nie mogę powiedzieć wam rzeczy, o których nie wiem lub które się nie zdarzyły.

- A więc nie chcecie mówić?

W tym momencie zadzwonił telefon. Gerszhorn powiedział, że wzywa go Dorogan i żeby na niego poczekał - w korytarzu. Wyszliśmy z gabinetu i Gerszhorn przekazał mnie umundurowanemu czekaście.

- Ten obywatel ma na mnie poczekać - powiedział.

W korytarzu stało już czterech albo pięciu ludzi, twarzą do ściany, z rękoma splecionymi za plecami.

- Obywatelu, podejdźcie tam, stańcie w takiej samej pozycji - powiedział czekista, popychając mnie w ich kierunku.

- Ale ja nie jestem aresztowany. Jestem tu na prośbę towarzysza Gerszhorna.

- Milczeć! Róbcie, co wam kazano! Twarzą do ściany, ręce za plecami, nie wolno się odwracać. I nie opierajcie głowy o ścianę.

Zająłem miejsce obok innych. W przyćmionym świetle korytarza nie widzieliśmy się nawzajem i nie widzieliśmy, co dzieje się za naszymi plecami. W ciągu czterech godzin, kiedy tam stałem, dołączyli do nas kolejni ludzie. Słyszałem o tej formie tortury, jednej z najłagodniejszych w podręczniku NKWD; teraz doświadczyłem jej na własnym ciele.

Nikt, komu nie kazano stać w jednej pozycji, z oczami wbitymi w nicość, godzina po godzinie, nigdy nie zdoła zrozumieć, jak to jest. Ręce, ramiona, stopy stają się coraz cięższe, coraz bardziej ołowiane, z minuty na minutę. Zaczyna się czuć każdą część ciała, każdy palec, każdy staw w palcu, jako odrębny ciężar... całe tony przytłaczającego zmęczenia. Nie można tego znieść, ale się znosi...

Z pokojów dobiegały rozdzierające krzyki; krzyki i przekleństwa, odgłos ciosów i głuchy łomot ciał walących się na podłogę. Ludzi przesłuchiowano, bito, zastraszano. Nie wiem, jak długo tam stałem, gdy nagle usłyszałem w końcu korytarza kroki i głosy. Ktoś zaczął śpiewać:

*Pełna sił, pachnąca i łagodna
Jabłoń zakwitła w sadzie...*

- Stul gębę! - wrzasnął czekista. - Sam zakwitniesz, jeśli się nie zamkniesz.

- Nie ma co na niego krzyczeć, to kompletny wariat - powiedział ktoś inny i grupa przeszła dalej.

Oblał mnie zimny pot. Łzy upokorzenia popłynęły mi po policzkach, same, bez mojej wiedzy. W całym ciele czułem nieznośne swędzenie. Kiedy rozplotłem ręce, żeby się podrapać, strażnik kazał mi założyć je z powrotem za plecy, bo inaczej rozwali mi łeb. Jakby dla zilustrowania tej groźby gdzieś za mną rozległo się nieziemskie wycie, ledwo przypominające ludzkie... Na korytarz zaczęło się sączyć światło dnia. Widziałem, jak odbija się na szarej ścianie.

- No dobrze, chodźcie, Krawczenko. Przepraszam, że kazałem wam

czekać. Jest tyle pracy, tyle pracy...

To mówił Gerszhorn, rześkim, radosnym głosem. Odwróciłem się. Poszedłem za nim jak we mgle. Siedząc w jego gabinecie, nie czułem żadnej ulgi. Było to tak, jakbym wciąż stał, przygnieciony tonami zmęczenia. Gerszhorn zadawał mi pytania, ale docierały do mnie tylko pojedyncze słowa. Nie miały dla mnie sensu.

- W porządku, idźcie do domu, prześpijcie się trochę. Przyda wam się to. Wezwę was znowu... wkrótce. A tak przy okazji, te małe pogawędki to tylko nasza sprawa i niczyja więcej. Nasza mała tajemnica. Jeśli komuś wypapłacie, pożałujecie tego.

Po powrocie do hotelu umyłem się lodowatą wodą, a potem leżałem na nieposłanym łóżku, dopóki nie nadeszła pora, żeby pójść do pracy. Czekala na mnie wiadomość z NKWD: mam znowu się tam stawić o północy...

Tej nocy Gerszhorn był obłudnie uprzejmy, niemal serdeczny na początku rozmowy. zaproponował mi herbatę i ciastka, ale odmówiłem. Jestem wobec niego niegrzeczny i niedelikatny, powiedział mi. Zmuszam go, żeby zachowywał się jak bydlak - kazał mi czekać w korytarzu, na przykład - a w rzeczywistości on wcale nie jest bydlakiem. Czy myślę, że to przyjemna praca? Czy myślę, że go to bawi? Ale co ma zrobić człowiek, który urodził się z silnym poczuciem obowiązku?

- Dzisiaj wy możecie nam wyświadczyć drobną przysługę, Krawczenko - powiedział. - NKWD to doceni. Partia to doceni. Widzicie, nie prosimy o wiele.

- Jaką przysługę?

- Tylko wasz podpis, wasz szczerze i dobrowolnie złożony podpis jako inżyniera, radzieckiego dyrektora i członka partii. Widzicie, to poważna sprawa. Sprawa obronności. Wasza fabryka dostarczyła zakładom chemicznym produkującym na potrzeby obronności rury z zanieczyszczeniami. To nie wasza wina, oczywiście. Nie wytwarzaliście metalu. Najwyraźniej był to zorganizowany sabotaż, który zaczął się bardzo wysoko, w Moskwie, i przeniknął w dół, do Charkowa, a później do Zaporozestalu, gdzie dyrektorem był wróg ludu Rogoczewski, obecnie przebywający w więzieniu, i gdzie wytapiano stal na wasze rury.

Cała sprawa, co dostrzegłem od razu, była chorobliwym policyjnym urojeniem. Często otrzymywaliśmy stal złej jakości. Meldowałem o tym i ustawicznie protestowałem. Czasami Braczko i Wiszniew wpadali z tego powodu w rozpacz. Ale przyczyną, dobrze znaną Ordżonikidzemu, Piatakowowi, Iwanczence, były zwykłe błędy i brak doświadczenia przy wytopie stali.

- Przede wszystkim, towarzyszu Gerszhorn, nie jestem wcale taki

pewien, czy zanieczyszczenia i zła jakość stali to wynik sabotażu - powiedziałem. - Po drugie, chciałbym przeczytać dokument, który mam podpisać.

- Proszę bardzo, oto on. - Wręczył mi plik około dwudziestu gęsto zapisanych na maszynie kartek.

Czytałem powoli przez niemal godzinę. W miarę czytania zalewały mnie na przemian fale gorąca i zimna. Był to niezwykle zlepek półprawd i całkowitych kłamstw, starannie, pomysłowo zestawionych tak, by tworzyły z góry ustalony melodramatyczny wzór. Dokument był upstrzony nazwiskami, z których część znałem, dziesiątkami nazwisk znanych w całym kraju inżynierów przemysłu chemicznego i stalowego, dyrektorów fabryk, brygadzystów. Występował tam Braczko, Iwanczenko, urzędnicy kilku komisariatów, Piatakow - zdumiewający „amalgamat” ważnych i nieznanymi ludźmi.

W całej historii dawała się zauważyć pewna logika, pewna konsekwencja - pod warunkiem że zaakceptowało się bez zastrzeżeń założenie, iż wszyscy wymienieni, od ważnych osobistości w komisariatach w Moskwie do wytapiaczy w Zaporozżu i brygadzystów w Nikopolu, byli zdyscyplinowanymi, zuchwałymi i diabolicznie przebiegłymi uczestnikami spisku.

- Nie mogę podpisać tego dokumentu - oznajmiłem, kiedy skończyłem czytać. - Robiłem rury ze stali, którą mi przysyłano. Czasem stal zawierała zanieczyszczenia. To wszystko, co wiem, i to wszystko, pod czym mógłbym się podpisać.

- Doskonale. Dlaczego zatem niektórzy z naszych najznakomitszych profesorów i kierowników przemysłu podpisali? Uważacie się za większego eksperta od nich?

Dokument rzeczywiście podpisali wybitni radzieccy naukowcy i znakomici inżynierowie. Ich kolektywny werdykt brzmiał: „sabotaż”. Bez trudu potrafiłem sobie wyobrazić, jak uzyskano od nich te podpisy. Ale w tym miejscu mogłem jedynie powtórzyć, że nie potwierdzę niczego, o czym nie wiem.

- Jeśli chcecie - powiedziałem - zeznam, że w stali były zanieczyszczenia.

- Żartujecie sobie ze mnie, Krawczenko? Zapomnieliście, gdzie jesteście? Zanieczyszczenia! Nie potrzebujemy waszych zeznań, żeby to stwierdzić. Potrzebujemy waszego potwierdzenia, że to był sabotaż. Rury produkowano pod waszym kierownictwem.

Milczałem. Gerszhorn spierał się ze mną i krzyczał na mnie aż do świtu. Czytał fragmenty raportu i podkreślał, jak „oczywisty” był zamiar szkodnictwa. Jedyłą rzeczą oczywistą dla mnie - nawet w moim stanie śmiertelnego zmęczenia - było to, że NKWD w Nikopolu otrzymało polecenie uzyskania ode mnie pośredniego przyznania się

do winy. Było to brakujące ogniwo w łańcuchu niedorzecznych hipotez. Gdybym zgodził się dostarczyć to ogniwo, zostałbym uduszony tym samym łańcuchem. W mojej odmowie podpisania nie było niczego heroicznego; nie ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości, że podpis będzie równoznaczny z wyrokiem śmierci.

Wreszcie zostałem odprawiony, z wiązką przekleństw i wymownym ostrzeżeniem, żebym to sobie przemyślał.

Noc po nocy przez wiele miesięcy wzywano mnie do gmachu NKWD, przesłuchiowano, zastraszano, próbowano brać na pochlebstwa. Tortura bezsenności miała mnie zmęczyć. Przez cały dzień pracowałem; na nowym stanowisku nie mogłem sobie pozwolić na odpoczynek, ponieważ każdy błąd zostałby uznany za dodatkowy „dowód” szkodnictwa. A w nocy byłem dręczony.

Tymczasem maszyna partyjnego wymiaru sprawiedliwości nadal się obracała. Nowa komisja śledcza zameldowała niechętnie, że dokumenty obaliły pierwotne oskarżenia. Decyzja w mojej sprawie, podjęta za kadencji Fillina, utrzymała się za Kondraszyna. Nowy sekretarz partii, choć tchórz i oportunist, nie był niezadowolony z wyniku: kiedy nikt nie patrzył, ścisnął moje ramię, jakby chciał mi pogratulować. Wciąż byłem członkiem partii, jednym z „najlepszych z najlepszych”, należałem do elity rządzącej krajem.

Ale straszliwa nocna udręka ciągnęła się bez ustanku. Każdej nocy ciskano we mnie nowymi oskarżeniami. Jakie były moje powiązania z tymi „wściekłymi psami”, Margolinem, Braczką, Wiszniewem, Iwanczenką, Fillinem, Rozenholcem? Czy nie zadawałem się z „mieszewickim szpiegiem” Dubinskim? Czy nie udzieliłem pomocy i wsparcia „faszystowskiemu szpiegowi” Zelmanowi? Każde nowe nazwisko i nowy temat dostarczały Gerszhornowi pretekstu do wielogodzinnego krzyżowego przesłuchania i marszczenia brwi. Byłem oszołomiony i otępiały, bolał mnie każdy nerw i każdy mięsień.

Żołnierze na polu bitwy wiedzą, czym jest długotrwała bezsenność. Czuję się tak, jak unoszony falą coraz dalej od brzegu pływak, który wciąż walczy, wciąż utrzymuje się na wodzie, ale przy każdym bolesnym ruchu opuszczają go resztki sił.

Pewnej nocy stałem w korytarzu twarzą do ściany przez cztery albo pięć godzin, po czym Gerszhorn odesłał mnie do domu bez wypytywania. Przykro mu, powiedział, ale nie ma czasu na dalszą „pogawędkę”. Następnego nocy jednak wyskoczył z nowym oskarżeniem.

- Krawczenko, mieszkali u was dwaj Amerykanie, prawda?
- Tak. Pomagali nam obsługiwać amerykańskie maszyny.
- Dlaczego ten zdrajca Braczo umieścił ich właśnie u was, a nie u kogoś innego?
- Pewnie dlatego, że jestem kawalerem. Mieszkałem sam w wielkim

domu.

- Powiedzcie mi, czy kiedykolwiek skarżyliście się tym cudzoziemcom na rząd radziecki?

- Nie, oczywiście, że nie. Wciąż są w ZSRR. Możecie sprawdzić.

- Nie mówcie mi, co mogę zrobić. Jestem już zmęczony waszą bezczelnością. Jakie były wasze powiązania polityczne z tymi Amerykanami?

- W ogóle żadne. Traktowałem ich uprzejmie, co było moim obowiązkiem.

- Ale to Iwanczenko zamówił maszyny ze Stanów Zjednoczonych.

- Tak.

- Jest zatem całkiem możliwe, że Iwanczenko i amerykańska firma razem zaplanowali sabotaż.

- Nic o tym nie wiem.

- Nie wiecie? Jesteście niewinni i naiwni jak baranek. Ale - mówił powoli, złowieszczo, jakby dokonywał straszliwego odkrycia - ale odwiedziliście tych Amerykanów w Charkowie, prawda?

- Tak, wpadłem na jednego z nich na ulicy. Nalegał, żebym poszedł z nim do hotelu Krasnaja i nie bardzo mogłem odmówić.

- A potem spotkaliście się z nimi znowu w hotelu Moskwa?

- Nie. Byłem w Metropolu, jadłem, zupełnie sam. Amerykanie siedzieli przy innym stoliku i pili razem z dwiema dziewczynami. Zawołali mnie po imieniu przez salę. Nie miałem wyboru, musiałem podejść i napić się z nimi. Siedziałem z nimi najwyżej pięć minut, potem odszedłem.

- A dlaczego jeden z waszych Amerykanów poleciał nagle samolotem do Sztokholmu? I dlaczego przywiózł wam prezent?

- Z tego, co wiem, poleciał w jakiejś sprawie osobistej. Nie było żadnego powodu, żeby miał mi o tym mówić. A co do prezentu, to był kawałek specjalnej stali przeznaczonej do prób termicznych i materiały, których nie umiemy produkować w kraju. To była po prostu przysługa wyświadczona mnie i naszej fabryce.

- Ale przywiózł także antyradzieckie dyrektywy dla Iwanczenki z kontrrewolucyjnego ośrodka w Sztokholmie, prawda?

- Nic o tym nie wiem.

Przesłuchanie dotyczące Amerykanów ciągnęło się przez kilka godzin. Nagle drzwi się otworzyły. Do gabinetu wkroczył zwalisty, rozjuszony Dorogan. Jego mięsiste wargi wykrzywiły się w brzydki grymas. Gerszhorn wstał z szacunkiem.

- Gerszhorn, jak długo ten szkodnik będzie was sobie owijał wokół małego palca? Jesteście czekistą czy brudną ścierką? Szkoda, że nie aresztowaliśmy go w zeszłym roku, tylko pozwoliliśmy, żeby Komitet Miejski się z nim cackał.

Gerszhorn wydawał się zaniepokojony. Wyraźnie drżał w obecności

swojego przełożonego.

- Towarzyszu naczelniku, robię, co mogę. Pracuję nad nim co noc od miesiąca. Jeśli chcecie, żebym użył bardziej stanowczych metod...

Dorogan zignorował go. Stał gniewnie nade mną.

- Uważajcie, Krawczenko, bo będzie z wami źle!

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Kiedy Gerszhorn mniej więcej godzinę później mnie zwolnił, postanowiłem porozmawiać z Doroganem. Chciałem, żeby ta udręka się skończyła, w taki czy inny sposób. Przed jego gabinetem podałem swoje nazwisko strażnikowi. Pozwolił mi wejść.

- No, czego, do diabła, chcecie? - wrzasnął Dorogan.

- Chciałem zapytać, czego wy ode mnie chcecie. Dręczycie mnie już bardzo długo... Co noc są wymyślane nowe oskarżenia. Towarzyszu Dorogan, jesteście członkiem biura Komitetu Miejskiego. Wiecie, że dwa razy zostałem oczyszczony. Pytam was jak komunista...

- Jak komunista! - ryknął i podbiegł do mnie jak rozwścieczony buhaj. Uderzył mnie otwartą dłonią najpierw w jeden policzek, potem w drugi. Chwycił mnie za gardło i zaczął dusić, potrząsając gwałtownie w obie strony. Był potężnie zbudowanym mężczyzną, jego ręce zaciskały się coraz mocniej jak żelazne kleszcze. Zrobiło mi się czarno przed oczami...

- Wynoś się, zanim cię zabiję! - wrzasnął, wypychając mnie za drzwi.

Zatoczyłem się na ścianę i stałem tam przez kilka minut, dopóki żelazny pierścień wokół mojej szyi się nie rozluźnił. Nie wiem, jak udało mi się wrócić do hotelu. Z wielkim trudem wszedłem po schodach. Rzuciłem się na łóżko i zapadłem w głęboki sen.

3

Pewnego popołudnia, około pierwszej, drzwi mojego gabinetu otworzyły się i wszedł Gerszhorn, otrząsając śnieg z wojskowego płaszcza. „Przyszedł po mnie!” - pomyślałem.

- Cześć, Krawczenko.

To „cześć” dodało mi otuchy.

- Gdzie jest inżynier Walentin Biczkow, kierownik waszego laboratorium chemicznego?

- Jest w odlewni. Pracują przy piecu elektrycznym.

- Wezwijcie go natychmiast, ale nie mówcie mu po co.

Kazałem zawołać Biczkowa do telefonu i poprosiłem go, żeby do mnie przyszedł. Wyjaśnił, że nie może odejść od pieca, i błagał, żebym pozwolił mu skończyć pracę.

- Przykro mi, rzućcie wszystko. To ważne. - Odłożyłem słuchawkę.

- Mogę wiedzieć, po co wam Biczkow? - spytałem. - W końcu to mój podwładny.

- Posłuchajcie, Krawczenko. Nie wystarczy wam to, co dostaliście od Dorogana tamtej nocy? Trudno was czegokolwiek nauczyć. A tak przy okazji, zgłóście się do mnie dzisiaj o jedenastej.

- Nie mogę się przespać chociaż przez jedną noc?

- Podpiszcie to, co trzeba, okażcie trochę dobrej woli, a będziecie spać, jak długo chcecie.

Zjawił się Biczkow, niczego nie podejrzewając. Był w kombinezonie, spocony i ubrudzony smarem.

- Dzień dobry, Wiktorze Andriejewiczu - powiedział, a potem, spostrzegłszy mojego gościa, wciąż niczego nie podejrzewając, dodał: - Dzień dobry, towarzyszu Gerszhorn.

Wyciągnął rękę do Gerszhorna, który zignorował ten gest.

- Nie nazywaj mnie „towarzyszem”, ty szkodniku!

- O co chodzi, towarzyszu Gerszhorn? Nie znacie mnie?

- Znam aż za dobrze. Wasze nazwisko!

- Biczkow.

- Imię i imię ojca.

- Walentin Iwanowicz.

- Jesteście aresztowani jako szkodnik. Idziemy!

- Co się stało? Nie rozumiem!

- Szybciej! Naprzód, marsz! - Gerszhorn wyciągnął rewolwer i wymierzył go w więźnia.

Oszołomiony inżynier wyszedł, a za nim funkcjonariusz NKWD.

Zamknąłem drzwi gabinetu. Nie miałem już siły. Może powinienem podpisać, cokolwiek, wszystko. Jaki to ma sens? Jaką mam szansę przeciwko tym upojonym władzą sadystom?

Godzinę później przyszła do mnie żona Biczkowa. Była z nią ich dwuletnia córeczka. Pani Biczkowa, piękna kobieta, zanosila się histerycznym płaczem. Dziecko też płakało. Próbowałem je uspokoić, pocieszyć... A w nocy, wyczerpany wydarzeniami tego dnia i własnymi problemami, przeszedłem przez kolejną, szarpiącą nerwy sesję...

Trzy albo cztery dni później żona Biczkowa przyszła do mnie znowu. Okazało się, że aparat fotograficzny, stoper i inne przedmioty będące własnością fabryki, które jej mąż trzymał w swoim gabinecie, zniknęły. Dopóki się nie odnajdą, dział finansowy nie chciał wypłacić jej pensji należnej aresztowanemu. Wezwałem zastępcę Biczkowa. Zaklinał się, że nic nie wie o zaginionych przedmiotach, ale miałem poważne podejrzenia, że to on je ukradł. Ciężka sytuacja kobiety i jej dziecka kazała mi zatelefonować do Gerszhorna.

- Zapytajcie, proszę, Biczkowa, gdzie schował aparat fotograficzny, stoper i inne przedmioty - poprosiłem go.

- Sami go zapytajcie - odparł Gerszhorn. - Przyjedźcie zaraz, a pozwolę wam z nim porozmawiać.

Zastanawiałem się, dlaczego tak się palił, żeby zaaranżować to spotkanie pomiędzy aresztowanym inżynierem a mną. W ciągu godziny dotarłem do NKWD. Gerszhorn wezwał strażnika i kazał mu przyprowadzić więźnia „z piwnicy”. Niebawem zjawili się dwaj czekaści, a pomiędzy nimi ledwo rozpoznawalny Biczkow.

Wzdrygnąłem się na jego widok. Twarz miał posiniaczoną i opuchniętą, jedno oko zamknięte. Kombinezon – ten sam, w którym został aresztowany – był podarty i zakrwawiony. Na rękach miał zakrzepłą krew. Wokół niego unosił się wstrętny odór, zapach więzienia i choroby. Nie mogłem uwierzyć, że ten z maltretowany człowiek to ten sam przystojny młody inżynier, który dwa dni wcześniej przyszedł do mojego gabinetu.

I już wiedziałem, dlaczego Gerszhorn kazał mi przyjść. Chciał, abym zobaczył, co dzieje się z ludźmi, którzy z nim nie „współpracują”.

– Walentynie Iwanowiczu – powiedziałem, odwracając oczy od wstrząsającego widoku – gdzie zostawiliście aparat fotograficzny, stoper i inne przedmioty należące do fabryki?

– Wszystkie te rzeczy, Wiktorze Andriejewiczu – odparł drżącym głosem, głosem człowieka cierpiącego – są w rękach mojego zastępcy. Używał ich w laboratorium.

– Dziękuję, to właśnie chciałem wiedzieć.

– Wiktorze Andriejewiczu... moja żona i córka... moja biedna Marusia... – Zaczął głośno płakać.

– Dość tego, Biczkow – Gerszhorn uderzył w stół owłosioną pięścią. – Żadnych scen albo znowu się za ciebie weźmiemy. Nie płakałeś, kiedy truleś robotników na swoim wydziale, co? Wynoś się stąd!

A więc taki był zarzut przeciwko Biczkowowi! Niedawno pracowaliśmy przy rurach z nierdzewnej stali, które trzeba było wytrawiać w kwasie azotawym w zaimprovizowanych drewnianych korytach. Biczkow udzielił robotnikom zatrudnionym przy tym procesie oficjalnych instrukcji, obowiązujących we wszystkich fabrykach. Czterech ludzi zlekceważyło jego zalecenia, zatrulo się oparami i trzeba ich było zabrać do szpitala. A teraz Biczkow został oskarżony o rozmyślne „trucie” robotników! Było to bardzo modne oskarżenie, ponieważ pozwalało nastawiać robotników przeciwko inżynierom. Cała sprawa była nie tylko naciągana, ale szalona.

Po powrocie do zakładu wezwałem zastępcę Biczkowa, który, jak się okazało, należał do partii, chociaż Biczkow nie. Zagroziłem, że oddam go w ręce NKWD jako złodzieja, jeśli zaginione przedmioty nie znajdą się na moim biurku w ciągu dziesięciu minut. Znalazły się tam po dwóch minutach. Kiedy pani Biczkow przysłała po odnalezione rzeczy, żeby zanieść je do działu administracji, powiedziałem jej, że widziałem się z jej mężem.

- Walentin ma się dobrze i wygląda na wypoczętego - skłamałem. - Oczywiście tęskni za panią i kazał mi powtórzyć, żeby się pani nie martwiła. Przesyła pani i dziecku pozdrowienia i ucałowania.

Co innego mogłem powiedzieć nieszczęsnej kobiecie? Podziękowała mi i wyszła. Nigdy więcej jej nie widziałem, nie wiem też, co się stało z jej mężem.

Prawie przez całą jesień wzywano mnie na nocne przesłuchania w NKWD jedynie sporadycznie, ale pod koniec 1937 roku śledztwo zostało wznowione według starego wzoru. Nie brakowało tematów do „pogawędki” - każda nowa fala aresztowań w przemyśle powodowała nowe komplikacje, które, jak uważano, mogły rozwiązać moje zeznania. To właśnie wtedy zdecydowałem się na krok, przed którym długo się wzdrygałem, aby nie rozwścieczyć śledczych.

Napisałem do dniepropietrowskiego oddziału Komisji Kontroli Partyjnej, skarżąc się, że jestem nękanym nieuzasadnionymi zarzutami sabotażu. Nie wspomniałem o NKWD, ponieważ ostrzegano mnie setki razy, abym zachował swoje nocne sesje w tajemnicy, nawet przed partią. Komisja Kontroli, przynajmniej w teorii, strzegła praw i godności członków partii. Formalnie oparłem swoją skargę na naganie, która wciąż znajdowała się w moich aktach; poprosiłem komisję, aby wymazała tę plamę.

Kilka dni później zjawił się kontroler. Komitet Miejski mnie oczyścił, powiedział, dlaczego więc się skarżę?

- Wciąż mam w aktach naganę - odparłem. - Powinna zostać usunięta. Chciałbym, aby Komisja Kontroli Partyjnej zbadała oskarżenia przeciwko mnie. - Nakreśliłem główne zarzuty, które rzucano mi w twarz noc po nocy.

Kontroler pokręcił się kilka dni, porozmawiał z różnymi ludźmi w administracji partyjnej i fabrycznej i odjechał. Nocne przesłuchania ciągnęły się nadal z rzadkimi przerwami. Straciłem na wadze. Oczywiście miałem chronicznie podrażnione. Przyjaciele, którzy nie widzieli mnie od dłuższego czasu, z trudem mnie rozpoznawali.

Nikopol był w tym czasie obwieszony plakatami o pierwszych „demokratycznych wyborach” w Rosji. Dwunastego grudnia 1937 roku obywatele radzieccy mieli skorzystać ze swojego szczytnego prawa i wybrać członków Rady Najwyższej w „tajnym” głosowaniu. Plakaty, gazety, głośniki radiowe na nikopolskich ulicach, w fabrykach i kopalniach manganu obwieszczały radosną wieść.

- Zjednoczmy się wokół partii! Głosujmy za szczęśliwym radzieckim życiem! Nikt nie powinien wyrzekać się przywileju tajnego głosowania! Najbardziej demokratyczna konstytucja! Niech żyje nasz Ukochany Przywódca i Nauczyciel, towarzysz Stalin!

Wszystko to wydawało się szyderstwem z moich cierpień i cierpień

milionów innych. Nikt oczywiście nie traktował „wyborów” poważnie. Podobnie jak masowe wiece i rezolucje, był to rytuał, któremu ludzie poddawali się, ze strachu, z nieskrywanym znudzeniem, podczas gdy agitatorzy i głośniki radiowe wykrzykiwały hasła. W tym czasie w naszym kombinacie aresztowano kilka następnych osób – szefa wydziału finansowego, B., głównego elektryka, Romanczenkę, i innych.

Dwunastego grudnia stanąłem w długiej kolejce w mieście i w końcu otrzymałem „tajną” kartkę wyborczą. Zawierała listę nazwisk wytypowanych przez partię. Nie było tam nawet miejsca na „tak” lub „nie” ani miejsca na dopisanie innych nazwisk. Poinstruowano nas, że jeśli ktoś jest przeciwny komuś z listy, ma prawo skreślić jego nazwisko. W zamkniętej kabinie złożyłem kartkę i wrzuciłem ją do urny. Spośród pięciu tysięcy głosujących w naszej fabryce prawdopodobnie nikt nie ośmielił się skreślić nawet jednego nazwiska. Prasa chełpiła się tą jednomyślną aprobatą „szczęśliwego życia”.

Dzień wyborów był dniem wolnym od pracy, dniem zebrania i odpoczynku. Gerszhorn uczcił tę okazję, każąc mi stać w korytarzu przez kilka godzin i okazując wyjątkową brutalność podczas przesłuchania. Z jego pytań wywnioskowałem, że Iwanczenko został oskarżony o szkodnictwo w przemyśle metalurgicznym i dla dopełnienia obrazu nakreślonego przez NKWD było konieczne, abym „przyznał się” do współudziału.

- Nie mogę uczciwie powiedzieć więcej, niż wiem – powtarzałem.

- Do diabła z uczciwością. Potrzebne mi są fakty, a nie wasza przekłeta uczciwość. Jaka szkoda, że nie zamknęliśmy was w odpowiednim czasie. Do tej pory już byście zmiękli.

Mój opór kruszał. Pragnąłem zakończenia tej długiej udręki, niemal na każdych warunkach. Czasami odpływałem w dziwaczny sen na jawie: podpisuję się wielkimi drukowanymi literami... orkiestra gra *Międzynarodówkę*... prowadzą mnie triumfalnie do wielkiego, puchatego łóżka, a moja matka i babcia Natasza otulają mnie kołdrą... Moi dręczyciele mogli o tym nie wiedzieć, ale ja byłem bliski kapitulacji. Jeszcze tydzień czy dwa tej obróbki, jeszcze jedno bicie, a poddam się, przyjmę konsekwencje. Nie byłem, niestety, ze stali.

Właśnie w tym krytycznym momencie odwiedził mnie w hotelu stary Silinin. Czy się domyślał, że zbliżam się do kresu wytrzymałości, że mogę skapitulować? Czy obserwując mnie z daleka, odgadł, co się dzieje, i zdał sobie sprawę, że potrzebuję moralnego wsparcia?

- Dlaczego tak źle wyglądacie? - zaczął. - Powiedzcie mi szczerze, bo i tak podejrzewam najgorsze. Możecie mi zaufać.

Łaknąłem pokrzepienia. Potrzeba, aby się komuś zwierzyć, otworzyć zbolełe serce, była jak palące pragnienie. Opowiedziałem mu wszystko: od ilu miesięcy jestem pozbawiony snu, ile różnych obciążających

papierów podsuwają mi do podpisania.

- Błagam was, towarzyszu, nie podpisujcie - powiedział Silin. - Wytrzymaliście tak długo, wytrzymajcie do końca. Pułapka się zatrzaśnie i będziecie zgubieni na zawsze.

- Jak długo, jak długo ludzkie ciało i nerwy mogą znosić taką torturę?

- Wiem, wiem, mój drogi. Wiele widziałem w swoim długim życiu i wiele też wycierpiałem. Ale myślę, że czystka słabnie. Nie zostało już wiele do wyczyszczenia - około czterdziestu procent komunistów w rejonie nikopolskim zostało wykluczonych lub aresztowanych, a na każdego członka partii przypada co najmniej ośmiu aresztowanych bezpartyjnych. Wiem od kogoś w Komitecie Miejskim - chociaż nie mogę za to ręczyć - że jest nowe zarządzenie; żadnych więcej aresztowań komunistów bez zgody partii. Na miłość boską, wytrzymajcie jeszcze trochę. Dorogan co najmniej pięć razy stawiał kwestię waszego aresztowania w Komitecie Miejskim. Jest wściekły. Jeśli teraz ugniecie się przed tymi łajdakami, sprawicie nam wszystkim zawód.

Obiecałem. To jego wiara we mnie, bardziej niż jego rady i optymizm, powstrzymała mnie u progu kapitulacji.

- A teraz - powiedział Silin - wypijmy za Nowy Rok.

Aż do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, że to Nowy Rok. W NKWD tej nocy stałem od jedenastej do trzeciej nad ranem w ciemnym korytarzu, słuchając krzyków ofiar i przekleństw oprawców. Ani Gerszhorn, ani Dorogan nie przyszli po mnie - niewątpliwie świętowali nadejście 1938 roku wraz z rodzinami i towarzyszami.

W następnych kilku dniach aresztowania w fabryce przybrały na sile. Za każdym razem, kiedy pogrom zdawał się przygasać, przerwa okazywała się jedynie preludium do nowego ataku. Po śmierci Ordżonikidzego hamulce całkowicie puściły. Jego następcą, Kaganowicz, nie miał skrupułów ani wrażliwości swojego poprzednika. „Współpracował” i aresztowania wśród kadry technicznej gwałtownie się nasiliły. Wśród ostatnio usuniętych z naszej fabryki był Miron Ragoza, dyrektor handlowy kombinatu. Jego żonę i adoptowaną córkę wyrzucono z mieszkania.

W pierwszym tygodniu stycznia Gerszhorn położył przede mną nowy dokument. Było to moje „dobrowolne oświadczenie”, a w istocie przyznanie się do winy. Oświadczenie było długie i pokrętne, pełne dwuznaczności i przeinaczeń. Zbrodnie moich przyjaciół, przełożonych i podwładnych zostały przedstawione wyraziście; moją odpowiedzialność potraktowano lekko, niemal zdawkowo. Miało to ułatwić mi kapitulację, uczynić ją bardziej kuszącą.

- Zrozumcie, proszę - powiedział Gerszhorn, kiedy strona po stronie czytałem techniczną bajkę - to jest absolutne minimum, którego oczekuje od was NKWD. Nie ma miejsca na żadne targi. Jeśli się nie

zgodzicie, wypowiecie wojnę NKWD i nie ujdzie wam to na sucho. Jestem zmęczony tą przeciągającą się rozmową tak samo jak wy, bądźcie więc rozsądni. Podpiszecie piórem czy ołówkiem?

- Ani jednym, ani drugim. Rzeczy, o których wiem, zostały tu przedstawione niezgodnie z prawdą, a o innych nie wiem. Nie wygłaszałem twierdzeń, które wkładacie mi w usta.

- A ja ci mówię, że podpiszesz, ty sabotażysto! Tak samo jak Biczkow podpisał, tak samo jak Iwanczenko podpisał!

- Róbcie, co chcecie. Nie przyznam się do zbrodni, których nie popełniłem.

Gerszhorn poderwał się w nagłym wybuchu furii i rzucił się na mnie, krzycząc:

- Sabotażysta, szkodnik, łajdak! Masz! Masz!

Jego wielkie pięści spadały na moją twarz jak cepy. Krew trysnęła mi z nosa. Krew wypełniła moje usta gorącą, słoną mdłością.

- A teraz podpiszesz?

Znów spadł na mnie grad ciosów i kopniaków. Krew z rany na głowie zalewała mi oczy.

Bardziej usłyszałem, niż zobaczyłem, jak do gabinetu wkracza Dorogan. Nauczyłem się rozpoznawać jego kroki. On też zaczął mnie okładać pięściami. Upadłem na podłogę i zwinąłem się w kłębek, jakbym chciał wpełznąć głębiej we własną skórę, podczas gdy cztery ciężkie, podkute buty kopały mnie i tratowały.

Jęknąłem z bólu. Gerszhorn musiał zadzwonić po strażników, którzy mnie podnieśli.

- Zabierzcie tego łajdaka! Wyrzucicie go! - ryknął Dorogan.

Kiedy wleczono mnie po podłodze, poczułem, jak jego pięść spada jeszcze raz na mój kark. Strażnicy zaprowadzili mnie do małego pokoju i zostawili, żebym doprowadził się do porządku. Siedziałem tam godzinę, może dwie. Czas był udręką bez wymiarów. Nie mogłem pozbierać myśli. Nie byłem nawet wściekły.

Potem wszedł Gerszhorn.

- No, przemyślałeś to sobie czy potrzebujesz więcej perswazji? Mamy lepsze argumenty niż te, których dzisiaj posmakowałeś.

- Nie, nie podpiszę. Możecie mnie zabić, ale nie podpiszę.

- Daję ci trzy dni, żebyś to sobie przemyślał. A teraz wynoś się!

I wyszedłem - ale w kieszeni wciąż miałem legitymację partyjną...

Znalazłem się na ulicy, zataczając się w zamieci śnieżnej. Wiatr chłostał moją zmalretowaną twarz tysiącami pejców. Dowlokłem się do hotelu. W sieni mój umysł zarejestrował, machinalnie, słowa na wielkim plakacie wiszącym tam od wyborów: „Zjednoczmy się wokół Stalina w szczęśliwym socjalistycznym życiu!”.

Położyłem się na łóżku, nie zdejmując ubrania. Bez względu na to,

w którą stronę się odwracałem, widziałem portret Stalina na łuszczącej się tapecie. Nie myślałem o bólu fizycznym, lecz o upokorzeniu. „A zatem, towarzyszu Stalin – mówiłem do portretu – nasza znajomość dobiegła końca. Wszystko zostało powiedziane. Wszystko jest jasne. Żegnam, towarzyszu Stalin”.

Wypełnił mnie ogromny, bezosobowy smutek. Cierpiałem za całą ludzkość. *Cierpię za moją ojczyznę i mój naród... za moją biedną „socjalistyczną Rosję”*.

Ból zdawał się ustępować. Żal uleczył moje ciało, żal, który zalewał moją duszę, i nie był to żal nad sobą, lecz uniwersalne współczucie.

Gerszhorn, i ty, Dorogan, i wasz Führer na Kremlu, nie możecie mnie już złamać. Nie rozumiecie, że nie podpiszę... bo dopóki się trzymam, jest nadzieja. Nie rozumiecie, że los kraju, może los ludzkości, zależy od mojego oporu... Nie jestem miękki jak jedwab i podatny jak masło. Jestem sprężystą stalą. Ugnę się, ale nie złamię. Mogę walczyć i będę walczył...

Na chwilę zasnąłem, unoszony na wielkiej, miękkiej chmurze. Potem znowu się obudziłem i ból zalał moje udręczone ciało. Patrzyłem w zimne oczy Stalina na ścianie i nienawidziłem go i jego reżimu tak, jak nie nienawidziłem jeszcze nikogo i niczego. Stara, powracająca myśl, myśl o samobójstwie, o władnęła moim umysłem i usiłowała popchnąć do czynu ciało. Ale ciało się nie poruszyło. Byłem zbyt zmęczony, żeby podejść do walizki, wyjąć rewolwer, pociągnąć za spust. Mój umysł robił to wszystko, lecz moje ciało leżało bezwładnie na zakrwawionym łóżku.

Zasypiałem pod czujnym okiem Stalina. Ale część mojego umysłu pozostała wyczulona na kroki na schodach. Dzisiaj po mnie przyjdą. Wiedziałem o tym! Kroki rozbrzmiewały echem w moim śnie. Potem rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyłem oczy, wstałem obolały i powlokłem się w stronę drzwi. Trzymałem za klamkę przez kilka chwil, ostatnich chwil mojej wolności... Wreszcie otworzyłem drzwi.

W półmroku stała siwowłosa, drobna kobieta w zimowym płaszczu pokrytym śniegiem. W rękę trzymała walizkę. Z początku nie rozumiałem. Pomyślałem, że to część snu na jawie. A potem już wiedziałem.

- Mamo, kochana mamo! - krzyknąłem i padłem w jej ramiona.

Matka przemyślała i opatrzyła moje rany. Nie płakała. Nie zadawała pytań. Mówiła o sobie. Pozwoliła mi zapomnieć na chwilę o moich kłopotach. Była kobietą o niezwykłej sile woli.

- Wybacz mi, że przychodzę bez zapowiedzi, Witiu - powiedziała. - Czułam, że coś się stało. Serce matki, jak przypuszczam. Szłam sześć

kilometrów od dworca w tej strasznej śnieżycy. Nie mogłam znaleźć dorożki ani nawet chłopskiej furmanki. Przejechało kilka samochodów, ale się nie zatrzymały, kiedy wołałam. Sześć kilometrów w takiej zamieci to długi spacer, a do tego z walizką. Nie myślałeś, że twoja stara matka jeszcze jest do tego zdolna, co, Witiu? Ale my, drobne kobiety, jesteśmy najbardziej wytrzymałymi matkami.

Przywiozła mi wełniane skarpety, koc, kilka ciepłych koszul... rzeczy, których człowiek może potrzebować w więzieniu albo w obozie. Nie powiedziałem rodzinie o swojej ciężkiej próbie. Ale moja matka i tak wiedziała. Nie musiała o nic pytać... Niebawem światło nowego dnia, odbijające się na śniegu pokrywającym parapet, wpadło przez okno.

- Tak, Witiu, mam doświadczenie - westchnęła matka, rozpakowując walizkę. - Te same rzeczy przygotowywałam dla ojca, kiedy zabierali go do więzienia... Lata mijają, ale więzienia pozostają. Oto para futrzanych rękawic, niech Bóg ma nas w swojej opiece!

Wreszcie łzy popłynęły po jej policzkach.

Podeksytowany spotkaniem, zapomniałem o Stalinie. Ale wciąż tam był, wciąż na mnie patrzył. Dławiąca furia wypełniła mi nagle serce. Kiedy matka wyszła na chwilę z pokoju, zerwałem portret Stalina ze ściany, powoli, z namaszczeniem, jakbym dopełniał trudnego, lecz niezwykle ważnego rytuału. Z ceremonialną powagą, nie z ulgą, ale ze smutkiem, podarłem go na strzępy, a strzępy podarłem na jeszcze mniejsze kawałeczki. Potem zaniósłem te małe kawałeczki papieru, ostrożnie, jakby były ogromnie cenne, do toalety w korytarzu, wrzuciłem je do muszli i spuściłem wodę.

Słuchałem, jak woda bulgocze, i wiedziałem, że już nigdy, nigdy więcej nie będę czuł tego samego do partii, Przywódcy, Sprawy. Pępowina, która na przekór wszystkiemu tak długo wiązała mnie z tymi ideami i symbolami, została wreszcie i na zawsze przecięta. Będę pracował dla rządu, przyjmował ważne partyjne zadania, wygłaszał przemówienia. Ale to wszystko będzie grą, strategią, którą przyjmę, czekając cierpliwie na sposobność do ucieczki. Ucieczka! Myślałem o niej nie jak o końcu walki, lecz jak o szansie, by rozpocząć walkę na dobre.

5

W zakładzie zbywałem pytania o moje podbite oczy i sińce opowieścią o wypadku, ale widziałem po spojrzeniach ludzi, że ich nie przekonałem. Czekala na mnie wiadomość z Dniepropietrowska: Komisja Kontroli Partyjnej miała zająć się moją sprawą pojutrze i domagała się mojej obecności. Nowy dyrektor zakładów, towarzysz Szałachow, nie chciał dać mi urlopu okolicznościowego. Ale zdecydowałem w duchu, że pojedę bez jego pozwolenia.

Tego wieczoru odprowadziłem matkę na dworzec, uspokoilem ją najlepiej jak umialem i powiedziałem, że za dwa dni przyjadę do domu z wizytą.

Nie mówiąc nic nikomu o wyznaczonym przesłuchaniu przed Komisją Kontroli, wyruszyłem do Dniepropietrowska. Tej nocy towarzyszy Gerszhorn oczekiwał mnie na próżno. Zyskałem trzydniowe ulaskawienie, dwie dobrze przespane noce dodały mi siłę, a wraz z siłą wstąpiła we mnie nowa nadzieja.

W poczekalni Komisji Kontroli w gmachu Komitetu Obwodowego partii dyżur pełnił czekista. Za tymi wielkimi podwójnymi drzwiami, pomyślałem z nagłym niepokojem, obcy ludzie zadecydują o moim losie. Na wyściełanej ławie w poczekalni siedziało osiem czy dziesięć osób. Z ich posępnych spojrzeń wywnioskowałem, że każda z nich ma problem podobny do mojego. Partyjny kontroler, ten sam, który przyjechał do Nikopola, wyszedł z posiedzenia komisji. Poznał mnie.

- Och, cieszę się, że was widzę, towarzyszu Krawczenko - powiedział. I uśmiechnął się w sposób, który nieco mnie uspokoił.

Potem wyszedł inny funkcjonariusz i wywołał nazwisko. Wysoki, dystyngowany, brodaty mężczyzna, mniej więcej czterdziestoletni, jasnowłosy, poderwał się z ożywieniem. Funkcjonariusz zaprosił go gestem do pokoju. Wyszedł po jakichś pięćdziesięciu minutach, śmiertelnie blady, ocierając pot z czoła, wyraźnie zdenerwowany. Znowu zajął swoje miejsce wśród czekających.

Nagle do poczekalni weszli dwaj umundurowani czekiści z odbezpieczonymi rewolwerami. Jeden z nich wywołał to samo nazwisko, które słyszeliśmy wcześniej. Brodaty mężczyzna wstał, wyglądał na oszołomionego.

- Jesteście aresztowani - oznajmił oficer NKWD. - Chodźcie z nami!

- Ale to niemożliwe... To musi być jakaś pomyłka... Komisja rozpatruje moją sprawę...

- Chodźcie, szybko, bo was wyprowadzimy!

Czekiści wyszli ze swoim więźniem. Siedzieliśmy w milczeniu, nie mając odwagi patrzeć na siebie.

Wreszcie wezwano mnie przed komisję. Znalazłem się w wielkim, jasno oświetlonym pokoju. Za długim stołem przykrytym czerwonym sukniem siedziało pięciu ludzi. Byłem zbyt zdenerwowany, żeby od razu zarejestrować całą scenę. Moje pierwsze wrażenie sprowadzało się do tego, że nikt się nie uśmiecha, wszyscy są ponurzy.

- Dzień dobry, towarzyszu Krawczenko - powiedział mężczyzna, który najwidoczniej przewodniczył. - Siadajcie. Odpowiadajcie na pytania krótko i jasno. I nie denerwujcie się.

Usiadłem i przyjrzałem się pięciu twarzom. I nagle zauważyłem, że jedna z nich się uśmiecha, a z uśmiechem idzie w parze skinienie

głowy. Dzięki Bogu... Grigorjew!... Grigorjew był starym bolszewikiem. Znał mnie od dziecka. Pracował z moim ojcem w zakładach im. Pietrowskiego i Lenina (teraz nazywanych zakładami lenińskimi, Pietrowski gdzieś zniknął). Poczuję się tak, jakby z mojej duszy zdjęto wielki ciężar. Jest tu przynajmniej jeden człowiek, który zrozumie, który wie, że nie jestem z gatunku sabotażystów, który wie, że starszy Krawczenko nigdy nie był mienszewikiem. Mój umysł i serce znalazły coś, czego mogły się trzymać, żeby się uspokoić. Pozwoliło mi to mówić śmielej, jaśniej.

Przeszło godzinę odpowiadałem na pytania. Jeden z pytających, czarnowłosy Gruzin o zaciętym wyrazie twarzy i zgrzytliwym głose, wydawał się wrogo usposobiony. Przewodniczący i Grigorjew zdawali się mi sprzyjać. Odpowiadałem na pytania dotyczące ojca, „ukrytych” urzędów, moich kontaktów z licznymi „wrogami ludu”. Ponieważ nie miałem nic do ukrycia, odpowiadałem bez wahania, zawsze rzeczowo.

W pewnym momencie Grigorjew, odchodząc od formalnej procedury, powiedział nagle:

- Towarzyszu Krawczenko, znam was i waszą rodzinę od dawna. Powiedzcie nam szczerze, jak się czujecie?

- Szczerze, towarzysze - odparłem - czuję się parszywie. Od ponad roku jestem dręczony. Dręczony, rozumiecie, towarzysze? - Nieświadomie podniosłem rękę do posiniaczonej twarzy. - Powinniście wiedzieć, że przyjechałem tutaj bez pozwolenia i nie wiem, co mnie czeka po powrocie.

- A kto was dręczy? - spytał ciemnowłosy Gruzin.

- Nie mogę powiedzieć...

- Nieważne, nieważne - wtrącił pospiesznie przewodniczący - kontynuujmy posiedzenie.

Wkrótce znowu znalazłem się w poczekalni, siedząc tam, gdzie siedział wcześniej aresztowany mężczyzna. Zapaliłem papierosa. Za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi wejściowe, byłem pewien, że przyszło po mnie NKWD. Po piętnastu nieznośnych minutach wezwano mnie ponownie przed komisję.

- Towarzyszu Krawczenko - oznajmił przewodniczący, uśmiechając się szeroko - komisja postanowiła zatwierdzić decyzję Komitetu Miejskiego w Nikopolu, a ponadto usunąć naganę z waszych akt. Możecie wracać do pracy. Nikt już was nie będzie nękał. Ale sugeruję, żebyście zmienili miejsce pracy. Nowy początek gdzieś indziej, rozumiecie. Zachowajcie wiarę w naszą partię i naszego Przywódcę. Do widzenia, towarzyszu, i powodzenia.

W tym czasie oczywiście nie mogłem wiedzieć, że dwa miesiące później obaj, on i Grigorjew, sami zostaną aresztowani jako „wrogowie ludu”!

Pięciu członków komisji uścisnęło mi dłoń. Wyszedłem. Ale nie cieszyłem się tak, jak po swojej pierwszej czystce w instytucie. Byłem wolny, bezpieczny, ale wiara, którą miałem w siebie, odeszła. Jej miejsce zajęła nienawiść.

Tej nocy spałem spokojnie w rodzinnym domu. Rankiem zatelefonowałem do jednego ze swoich przełożonych z Głównotrubostalu w Moskwie. Wyjaśniłem mu, że Komisja Kontroli całkowicie oczyściła mnie z zarzutów i że zgodnie z jej sugestią chciałbym zostać przeniesiony do innego miasta. Zrozumiał i zgodził się zadepeszować do dyrektora kombinatu w Nikopolu, że muszę pojechać na pilną konferencję do stolicy.

W Nikopolu Gerszhorn nie wezwał mnie więcej. Dyrektor Szałachow zignorował moje naruszenie dyscypliny polegające na wyjeździe bez jego pozwolenia; przestraszył się depechy z Moskwy. Dokończywszy zaległą pracę w swoim wydziale, wyruszyłem do stolicy.

Łazar Kaganowicz, członek Politbiura i podobno jeden z nielicznych zaufanych towarzyszy Stalina, objął stanowisko zajmowane niegdyś przez Ordżonikidzego. Drogę do jego gabinetu otworzył mi Głównotrubostal. Pewnego wieczoru, po kilku godzinach czekania w zatłoczonym przedpokoju, zostałem dopuszczony przed oblicze komisarza.

Widziałem Kaganowicza już kilka razy. Miał wtedy małą czarną bródkę i wyglądał niemal jak typowy intelektualista. Człowiek, przed którym stanąłem teraz, zmienił się uderzająco. Bródka zniknęła, zastąpiły ją stalinowskie wąsy. Twarz stała się bardziej toporna, nalana, brutalna. Nie była to tylko przemiana fizyczna, ten człowiek wydawał się inny wewnętrznie; intelektualista przekształcił się w biurokratę. Podczas naszej rozmowy Kaganowicz bawił się nerwowo sznurem bursztynów. Stał się on modny wśród wysokich dygnitarzy, był czymś w rodzaju bolszewickiego różańca.

Opowiedziałem pokrótce o swoich kłopotach w Nikopolu, które najwyraźniej dobiegły końca.

- Partia i naród oczyszczają się z wrogów - zadeklamował z powagą Kaganowicz. - To nieuniknione, że czasem ciosy spadają w niewłaściwe miejsca. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

- To nie ułatwia mojej sytuacji, Łazarze Moisiejewiczu.

- Bolszewik musi być twardy, mężny i niezłomny, gotowy poświęcić się dla partii. Tak, poświęcić nie tylko swoje życie, ale godność osobistą i wrażliwość. Pamiętajcie, żyjemy wśród kapitalistycznych rekinów. Od czasu do czasu musimy sprawdzać własne szeregi, czyścić je z kapitalistycznych agentów - ogniem i mieczem, jeśli zajdzie taka konieczność.

Nie spierałem się z nim. Ordżonikidze zrozumiałby moje cierpienie,

wypowiedziałyby słowo przeprosin albo współczucia, ale nie Kaganowicz ze swoimi zimnymi jak stal oczami i wyświechtanymi frazesami. Jakże zmęczyły mnie te oracje, święte zaklęcia, lepkie pustosłowie skrywające ludzki koszmar!

Komisarz zaproponował początkowo, żebym został głównym inżynierem kombinatu w Nikopolu, ale w końcu przekonałem go, że nie potrafiłbym dać z siebie wszystkiego w miejscu wypełnionym dla mnie tyloma złymi wspomnieniami. Wtedy powiedział, że pozostawi ten problem Gławtrubostalowi. Wychodząc, przypomniałem sobie jego słynne słowa sprzed dwóch lat. „Roztrzaskamy im czaszki” – powiedział Kaganowicz, mówiąc o wrogach klasowych i sabotażystach.

Zanim opuściłem Moskwę, otrzymałem przydział do zakładów metalurgicznych im. Andriejewa w Taganrogu.

W Nikopolu poszedłem do Komitetu Miejskiego, aby załatwić przeniesienie swojej przynależności partyjnej do Taganrogu. Sekretarz Kondraszyn był uprzedzająco grzeczny. Poinformował mnie szeptem, że opierał się mężnie naciskom Dorogana, który domagał się mojego aresztowania. Chciał mieć pewność, że to zapamiętam. Kto wie? Może pewnego dnia ten Krawczenko będzie w stanie ocalić jego. W nowej Rosji należy się przygotowywać na zmianę pogody, mówiąc w kategoriach politycznych.

Przed gmachem komitetu stanąłem twarzą w twarz z Doroganem.

- A więc uciekacie do Taganrogu - zadrwił. - Nie cieszcie się za bardzo. Wszędzie was dosięgniemy. Nie ma takiego miejsca na ziemi, gdzie nie moglibyśmy was wytropić, jeśli będziemy musieli!

- To wasza sprawa - powiedziałem.

- Jaka szkoda, że nie wsadziliśmy was do więzienia, tylko pozwoliliśmy tym idiotom rozpocząć publiczne dochodzenie...

- Ale powiedzcie mi, Dorogan, dlaczego tak mnie nienawidzicie? Nigdy nie zrobiłem wam nic złego.

- To moja rzecz - warknął i odszedł rozgniewany.

W zakładzie pożegnałem się z robotnikami. Byłem głęboko wzruszony ich prostym i szczerym przywiązaniem. Chociaż nie domyślali się szczegółów, zdawali sobie sprawę z otchłani mojego cierpienia i współczuli mi. Silinin objął mnie z prawdziwym uczuciem. To samo zrobił Guszczin. Potem zauważyłem Kiriuszkina, wycierającego ręce w fartuch, i podszedłem do niego. Chwyciłem jego dłoń i serdecznie ją uściśnąłem. Nie potrzebowaliśmy wielu słów.

- Żegnajcie, Wiktorze Andriejewiczu - powiedział - niech Bóg czuwa nad wami. Cokolwiek się stanie, pamiętajcie, że miliony Kiriuszkinów są po waszej stronie, zawsze po waszej stronie... nawet kiedy jesteśmy bezsilni.

Przyjechałem do Nikopola na początku 1935 roku powodowany nadzieją i pragnieniem, aby sprawdzić się jako inżynier i kierownik w przemyśle, dla dobra kraju i narodu. Wyjeżdżałem, prawie trzy lata później, odarty z wszelkiej nadziei, pozbawiony ambicji, upokorzony i zraniony na duszy. Z radością zamieniłbym swoje wyższe dochody i tak zwane przywileje na anonimowość w szarym tłumie ludzi pracy.

Co, w ostatecznym rozrachunku, było moim głównym osiągnięciem w ciągu tych trzech lat? Tylko jedno: zachowałem wolność i życie, podczas gdy miliony innych, tak samo niewinnych jak ja, zamordowano, przekształcono w niewolniczą siłę roboczą bezlitosnego państwa lub wyrzucono z posiadłości.

Był czas, kiedy industrializacja mojego kraju stanowiła wyzwanie, poruszające młodą krew. Kochałem inżynierię. Upajałem się rytmem produkcji, intensywnym, uporządkowanym, nieustraszonym - na jednym końcu podawało się surowiec, na drugim pojawiał się gotowy produkt. Wybito ze mnie ten twórczy impuls. Śmiałą techniczną wizję zastąpił strach, ostrożność, podejrzliwość. Moje wykształcenie i umiejętności techniczne wydawały się teraz okrutną pułapką. Byłem osaczony na zawsze, skazany na odpowiedzialność, z którą wiązało się tylko zagrożenie, ale nie radość.

ROZDZIAŁ XVIII

Praca: wolność i niewolnictwo

Taganrog w obwodzie rostowskim leży nad Morzem Azowskim. To czyste i spokojne miasto rozległych ogrodów i sadów stłamsił plan pięcioletni. Stało się miastem dymu, sadzy i rybnych wyziewów z nowych przetwórci konserw, miastem rozlewającym się na całe kilometry nowymi domami i barakami wokół zakładów lotniczych, motocyklowych, metalurgicznych i obuwniczych.

Zakłady im. Andriejewa, nazwane na cześć członka Politbiura, produkowały koła do wagonów kolejowych, blachę, rury i inne wyroby stalowe. Na mnie miała rzecz jasna spoczywać odpowiedzialność za wydział rur. Przydzielono mi wygodne mieszkanie w budynku administracyjnym, w którym mieszkała elita.

Czy planiści celowo podkreślali kontrast pomiędzy wyższymi a niższymi klasami w świecie radzieckim? Wątpię. A mimo to kontrast był uderzający i krępujący. Piękne cieniste drzewa zasłaniały widok fabrycznych zabudowań i baraków. Żwirowe ścieżki wysadzone krzakami bzu prowadziły do kąpieliska i przystani dla łodzi (zarezerwowanych dla personelu administracyjnego, oczywiście) na dobrze utrzymanej plaży. Były tam korty tenisowe i krykietowe, stoły bilardowe, specjalna jadalnia.

Wśród tego przepychu brakowało jedynie uśmiechniętych twarzy i radości. Najgorsze szaleństwo czystki już się skończyło, ale jego opary wciąż jeszcze się utrzymywały. Niemal połowa personelu administracyjnego, partyjnego i bezpartyjnego, została wymieciona, a ci, którzy ocaleli, byli nerwowi, wystraszeni, niemal zawstydzeni, że udało im się tak długo przetrwać. Nowy sekretarz, Dwinski, zatrudniony wcześniej w sekretariacie samego Stalina, przyjechał prosto z Moskwy, aby stanąć na czele rostowskiego Komitetu Obwodowego, a nowy dyrektor, Siemion Riesnikow, zarządzał naszą fabryką. Ale widma rozstrzelanych przywódców były z nami zawsze.

Ordżonikidze, udzielając rad inżynierom, mawiał często: „Uczcie się kultury technicznej i czystości od Borisa Kolesnikowa”. Zakłady metalurgiczne w Taganrogu, którymi przez wiele lat kierował Kolesnikow, były jego oczkiem w głowie. Mieszkał przez jakiś czas w Stanach Zjednoczonych i robił, co mógł, żeby wprowadzić

amerykańską organizację i wydajność. Wprowadzał tę „amerykanizację” z taką energią, że współpracownicy uznali go za człowieka trudnego. Później Kolesnikowa i jego żonę aresztowano; krążyły uporczywe pogłoski, że oboje zostali rozstrzelani, a ich dzieci zamknięte w specjalnym charkowskim więzieniu dla nieletnich.

Chociaż w momencie, kiedy się zjawiłem, od aresztowania Kolesnikowa i jego sztabu minęło zaledwie kilka miesięcy, w zakładach pozostało niewiele śladów intensywnej amerykanizacji. Praca, za którą obsypywano go pochwałami i medalami, legła w gruzach. Plenilo się nieróbstwo i bałagan. Produkcja spadła. Dyrektor Riesnikow i ja byliśmy przerażeni czekającym nas zadaniem.

Na spotkaniu miejscowych i obwodowych działaczy partyjnych uświadomiłem sobie, że moja sława mnie ubiegła. Komitet nikopolski i Dorogan przekazali pełne „materiały” na mój temat; nie pozwolono mi zacząć z czystym kontem. Miejscowi dygnitarze partyjni od razu dali mi odczuć, że przechodzę okres próbny i jestem na ich łasce. Badali mój umysł i charakter, często brutalnie, szukając słabych punktów, próbując mnie zaskoczyć.

Nie był to szczególnie zachęcający początek. W dodatku mojego samopoczucia nie poprawił fakt, że przymusową siłą roboczą posługiwano się tutaj na większą skalę niż w Nikopolu. Ogromny kontyngent niewolników NKWD wykonywał większość ciężkich prac przy załadunku i rozładunku w naszych magazynach. Pracowali po dziesięć lub dwanaście godzin dziennie pod zbrojnym nadzorem. Jeszcze większa grupa harowała na nowym placu budowy w sąsiednich zakładach metalurgicznych im. Sulinskiego, a ja zawsze natykałem się na gromady tych helotów na szosie pomiędzy Taganrogiem a Rostowem.

Widok tych wynędzniałych stworzeń w brudnych łachmanach, ledwo przypominających ludzi, dusił ostatnie zabłąkane iskry entuzjazmu w moim sercu. Świadomość, że w całej Rosji miliony niewolników pracują i cierpią, umierają jak muchy, była tak bolesna, że spychałem ją w odległe zakamarki umysłu. Każda bezpośrednia konfrontacja z okrutną rzeczywistością wywoływała więc nowy wstrząs. Towarzyszyło mu zawsze nieprzyjemne poczucie, że gdyby nie przypadek, ja też znalazłbym się w legionie tych potępieńców, że wkrótce najprawdopodobniej i tak znajdę się wśród nich.

Mniej więcej dwa tygodnie po moim przyjeździe, kiedy ledwo zdążyłem poznać zakład i zorganizować sobie pracę, zostałem wezwany późno w nocy do siedziby NKWD w Taganrogu. Przyjął mnie zastępca naczelnika wydziału gospodarczego, nie pamiętam już jego nazwiska. Zachowywał się poprawnie, ale z rezerwą. Na jego biurku, co zauważyłem od razu, leżały „materiały” na mój temat, przygotowane przez jego nikopolskich towarzyszy.

- Moim zadaniem jest czuwać nad waszą walcownią - oznajmił - pomyślałem więc, że dobrze byłoby się poznać. - Odchylił się na krześle, jak dziecko szykujące się do wysłuchania bajki na dobranoc. - Opowiedzcie mi o sobie.

- Nie wiem, co wam powiedzieć. Wydaje mi się, że wiecie już wszystko.

- Nie, nie, mój drogi Krawczenko, nigdy nie wie się wszystkiego. Czy możecie mi na przykład powiedzieć, jak długo znacie inżyniera Nikołaja M. I jak go poznaliście?

M. był zastępcą głównego inżyniera w zakładzie. Pracowaliśmy razem w różnych okresach i miałem o nim dobrą opinię.

- Co on miał wspólnego z waszym przeniesieniem tutaj?

- Absolutnie nic. Nie wiedziałem nawet, że tu pracuje.

- Dlaczego zatem M. mówił o was, i to z najwyższym entuzjazmem, Riesnikowowi?

- Nie mam pojęcia. Ponieważ mnie zna, mógł naturalnie o tym wspomnieć.

- W NKWD nie widzimy w tym nic naturalnego. Wręcz przeciwnie, uważam to za bardzo dziwne, że wy, członek partii, jesteście traktowani jak protegowany przez bezpartyjnego, którego lojalność, mówiąc między nami, budzi nieco wątpliwości.

Zmienił temat i zaczął pytać o byłego dyrektora Kolesnikowa.

- Posłuchajcie, towarzyszu - powiedziałem trochę zapalczywie - odpowiadałem na te pytania przez prawie półtora roku, kiedy byłem sprawdzany. Odpowiadałem na nie w NKWD, w Komitecie Miejskim, przed Komisją Kontroli i jestem już nimi zmęczony. Moskwa przysłała mnie tutaj do pracy. Zostałem oczyszczony. Czy nie możecie zostawić mnie w spokoju?

- No, no, panujcie nad sobą, towarzyszu Krawczenko. - Popatrzył na mnie ze zdumieniem, jak na wyjątkowo nieprzyjemny okaz w butelce.

- Pamiętajcie, proszę, że to się zdarza: człowiek zostaje oczyszczony na całej linii i nagle - bach! - aresztuje się go na podstawie nowych dowodów.

Zrozumiałem aluzję. Ze znużeniem powtórzyłem zleżące informacje, znane zaprzeczenia, które wyciskano z mojego zmęczonego umysłu i pamięci przez ostatni rok. Funkcjonariusz bezpieczeństwa bawił się ze mną, tak jak psotne dziecko bawi się żukiem, i, o ile mogłem się zorientować, bez żadnego wyraźnego celu. Odszedł na chwilę od linii przesłuchania, aby potem nagle do niej powrócić - sztuczka, której poddawano mnie aż nazbyt często w przeszłości.

Z jego pytań wywnioskowałem jedną rzecz: tutaj, podobnie jak w Nikopolu, każdy inżynier i kierownik jest otoczony szpiegami, zarówno w pracy, jak i w domu. Było również oczywiste, że tutejsze

NKWD zamierza zmontować sprawę przeciwko M. Zakładałem, że choć ten biedak przebywał jeszcze na wolności, przechodził przez takie samo nocne „szkolenie”, jakiego sam doświadczyłem.

Spałem jedynie dwie lub trzy godziny i rano znowu byłem w zakładzie, podejmując decyzje dotyczące produkcji o wartości milionów rubli. Co za okrutna ironia!

2

Mój pobyt nad Morzem Azowskim był niezwykle krótki. Bez wyjaśnienia Główny Zarząd wezwał mnie do Moskwy. Szef trustu, Mierkułow, w obecności swojego zastępcy, Kożewnikowa, oznajmił, że komisarz Kaganowicz i partia zamierzają dać mi dowód najwyższego uznania.

- Zakład Nowotrubnyj na Uralu - powiedział - był wylęgarnią szkodnictwa i sabotażu. Usunęliśmy większość łajdaków, a resztę wkrótce się zajmujemy. Umacniamy administrację zdolnymi, wykwalifikowanymi i politycznie sprawdzonymi ludźmi.

- To mnie wyklucza - uśmiechnąłem się. - Jestem grzesznikiem, towarzyszu Mierkułow. Zostałem sprawdzony i oczyszczony, ale jestem splamiony od stóp do głów podłymi zarzutami.

- Wiemy o tym, ale ufamy wam.

- Dajcie spokój, Wiktorze Andriejewiczu - dodał Kożewnikow. - Przestańcie się dąsać z powodu tego, co było w przeszłości.

- W każdym razie - ciągnął Mierkułow - mianujemy was kierownikiem największej walcowni rur, największej nie tylko w ZSRR, ale w całej Europie.

- Ale ja nie chcę jechać na Ural. Jestem zmęczony. Po co mi to straszne miejsce?

Zakład Nowotrubnyj w Pierwouralsku, około sześćdziesięciu kilometrów od Swierdłowska, nie cieszył się w naszej branży najlepszą sławą. Został zbudowany na pustkowiu, z dala od cywilizacji, wśród bagien, moczarów, sosnowych lasów i obozów pracy przymusowej. Rozpoczął produkcję o kilka lat za wcześnie, przed ukończeniem najważniejszych wydziałów, przed uzyskaniem dostatecznych mocy przerobowych. W tych okolicznościach wydajność była słaba, a jakość wyrobów zła. Nieszczęśnicy wysłani do zarządzania zakładem zwykle płacili wolnością za błędy popełnione przez planistów w Moskwie.

- Wiemy, że Pierwouralsk to dziura i dlatego udzielimy wam wszelkiej pomocy - obiecał Mierkułow. - Sam towarzyszu Kaganowicz was wesprze. Damy wam najwyższą pensję, premię za każdy procent zwiększenia wydajności, nowy samochód i wszystko, o co poprosicie.

- Proszę tylko, aby pozwolono mi zostać w Taganrogu.

- Przykro mi. Spodziewałem się, że bardziej docenicie zaufanie partii.

Wasza nominacja pozostaje w mocy. Zatwierdził ją Komitet Centralny.

Kiedy zostałem sam na sam z Kożewnikowem, nie mogłem się powstrzymać przed uwagą:

- Skoro waszym zdaniem miłość pod przymusem przyniesie owoce i skoro grozicie mi sankcjami dyscyplinarnymi, przyjmuję nominację i zrobię, co będę mógł.

- No, to doskonale! - roześmiał się. - Miłość, wiecie, to kwestia przyzwyczajenia. Najpierw przychodzi przymus, później przyzwyczajenie, a w końcu miłość. Zatem sprawa załatwiona. Bierzmy się do roboty.

Poznałem nowego dyrektora całego kombinatu, Jakowa Osadczego, który miał być moim jedynym przełożonym na uralskiej placówce, i innych wyznaczonych do pracy ze mną. Całą nową administrację zebrano w Moskwie - bez powiadamiania na razie inżynierów i urzędników kierujących kombinatem. Patrzyłem na swoje nowe zadania ze złymi przeczuciami. Nowotrubnyj produkował zaledwie trzydzieści pięć do czterdziestu procent swojej miesięcznej normy i często był wymieniany w prasie i w oficjalnych przemówieniach jako jaskrawy przykład złego zarządzania i sabotażu. Miałem odziedziczyć jeden z najgorszych bólów głowy w całym przemyśle metalurgicznym.

Co więcej, atmosfera w Moskwie w tamtym okresie jedynie pogłębiała mój pesymizm. Był drugi tydzień marca 1938 roku i właśnie toczył się trzeci, najbardziej sensacyjny proces pokazowy wielkiej czystki. Kraj zdążył już przywyknąć do groteskowych oskarżeń przeciwko ojcom rewolucji i jeszcze bardziej sensacyjnych „zeznań”. Mimo to przyglądał się ze zgrozą i z niedowierzaniem, ponieważ wśród oskarżonych znalazł się Bucharin, Rykow, Kriestinski i inni przywódcy blisko związani z Leninem.

Nikołaj Bucharin, błyskotliwy, ascetyczny „bolszewicki święty”, był idolem komunistycznej młodzieży mojego pokolenia. Pamiętałem nasze pierwsze spotkanie, dawno temu, w gabinecie Ordżonikidzego i późniejsze spotkania w jego gabinecie. Chociaż Bucharin został wykluczony z partii i popadł w niełaskę, jego pojawienie się na publicznych zebraniach wywoływało owacje ustępujące jedynie owacjom na cześć Stalina. Aleksiej Rykow był następcą Lenina na stanowisku przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych. Miał wygląd fanatyka: rozwichrzoną brodę i gorejące oczy; nawet jego znana słabość do butelki nie umniejszała jego popularności. A teraz ci ludzie, i inni tego samego formatu, hańbili się, bezczeszcząc kult, jakim ich otaczaliśmy. Zostali rozstrzelani jako szpiedzy, agenci kapitalizmu i zdrajcy.

Mogę zaświadczyć, że nie spotkałem w Moskwie nikogo, kto przywiązywałby choćby najmniejszą wagę do ich zeznań. Ci ludzie

zgodzili się wystąpić jako marionetki w politycznym moralitecie nie mającym nic wspólnego z prawdą. Stalin niszczył swoich osobistych przeciwników i skutecznie zmuszał ich do udziału we własnym upokorzeniu i zniszczeniu. Zastanawialiśmy się, jakich metod używał. Ale nawet od członków partii nie oczekiwano, by wierzyli w ich zeznania dosłownie. Wśród komunistów byłoby to równoznaczne z przyznaniem się do skończonego idiotyzmu. Co najwyżej akceptowaliśmy te majaczenia w sensie symbolicznym, alegorycznym.

Stary towarzysz Misza, którego odwiedziłem podczas tej podróży, był całkowicie załamany. Znał straconych przywódców jeszcze przed rewolucją. Jego wytłumaczenie tych zeznań, choć nie w pełni satysfakcjonujące, było najlepszą logiczną oceną tego zjawiska, z jaką się spotkałem. Opierało się na informacjach, które uzyskał od swoich licznych przyjaciół z Kremla.

- Na początek, Witiu - powiedział - kłamstwo pozostaje kłamstwem, bez względu na to, ilu ludzi się do niego przyznaje. Zapomnijmy o retoryce. Bucharin, Rykow i inni, mimo całej swojej heroicznej przeszłości, są ludźmi z krwi i kości. Sam mi powiedziałeś, że pod naciskiem w Nikopolu omal nie przyznałeś się do najróżniejszych kłamstw. Ale to, przez co przeszedłeś, było dziecinną zabawą w porównaniu z moralnymi, a zapewne i fizycznymi naciskami stosowanymi wobec tych przywódców.

- Ale ci sami ludzie, towarzyszu Misza, wytrzymali w swoim czasie prześladowania i groźby carskiej policji.

- Niestety, nie ma żadnego porównania. Tajna policja cara była zbyt prymitywna, nie tak naukowa, nie tak diabelsko przebiegła jak obecny system. Zastanawiam się, ilu spośród nas, starych rewolucjonistów, wytrzymałoby, gdyby ochrona stosowała wobec nas naukowy sadyzm NKWD.

- I jeszcze jedna rzecz, równie ważna, Witiu. W dawnych czasach ci ludzie mieli głęboką wiarę, która ich podtrzymywała. Ludzie poświęcają siebie i - co jest znacznie trudniejsze - swoich najbliższych za wielką wiarę i żarliwą nadzieję. Co ich podtrzymuje w obliczu tortur NKWD i całkowitej izolacji? Ani nadzieja, ani wiara. Są ludźmi pozbawionymi złudzeń. Dzieło ich całego życia legło w gruzach i już nie da się odbudować. Po co odgrywać bohatera dla straconej sprawy? Po co dalej walczyć, skoro nie ma już krzty nadziei? Postaraj się to zrozumieć, a zaczniesz rozumieć, dlaczego wczorajsi bohaterowie stali się słabi, ulegli i wyzuci z wszelkiej godności.

- Czy wierzysz w to, co mówią o układach pomiędzy ofiarami a oskarżycielami?

- Uważam to za niezbity fakt i, musisz zrozumieć, opieram to przekonanie na bardzo poufnych informacjach. Wiesz, że NKWD rzadko

likwiduje człowieka, nie likwidując jednocześnie jego rodziny. Naprawdę uważasz to za przypadek, że córka Rykowa, którą kochał ponad wszystko w świecie, pozostała przy życiu i na wolności? Albo że nie tknięto ojca Bucharina, żony Rozenholca i innych bliskich krewnych? Przyjmuję za pewnik, że ci ludzie upodlili się - odegrali wyznaczone role w tragikomedii - aby ocalić swoich najbliższych.

- Powiem ci, czego się dowiedziałem od towarzyszy stojących blisko Jeżowa, który nadzoruje całe to odrażające przedsięwzięcie po likwidacji Jagody. Scenariusz spektaklu został przygotowany przez NKWD na polecenie samego Stalina. Wszyscy aktorzy - oskarżyciele, podsądni, świadkowie, sędziowie - nauczyli się na pamięć swoich ról, zanim kurtyna poszła w górę. Ci oskarżeni, którzy nie chcieli współpracować, zostali zamordowani po cichu. Innym zapłacono za uległość życiem dzieci, żon, rodziców, bliskich przyjaciół. Obiecano im w dodatku, że będą mieli prawo odwołać się do wyższych instancji, nawet do Politbiura. W takich okolicznościach zachowali odrobinę nadziei.

- Ale w przypadku Bucharina, Rykowa, Kriestinskiego i kilku innych układ był bardziej sprecyzowany. Obiecano im, że jeśli odegrają swoje role, wyroki śmierci będą uchylone, a oni zostaną zesłani do jakichś odległych miejsc. Stalin zagrał nawet na ich próżności. Jak może pozwolić, żeby ich rozstrzelano, powiedział, skoro ich nazwiska mają taką historyczną wagę?

- No cóż, ofiary dopełniły swojej części porozumienia. Stalin nie. Oczywiście nigdy nie zamierzał. W ciągu kilku godzin po procesie nastąpiły egzekucje. Bucharin i Rykow umarli, przeklinając Stalina. I umarli na stojąco - nie czołgali się po podłodze i nie żebrali o litość, jak Zinowjew i Kamieniew.

- I jeszcze jedna poufna informacja. Stalin powołał komisję, aby napisała nową historię partii. Historia zostanie zrewidowana, fakty poprzekręcane, żeby pasowały do fantasmagorii tych procesów. Ty i ja możemy się śmiać z tych przeinaczeń, płakać nad nimi. Ale wyrasta nowe pokolenie, które nie pamięta przeszłości. Z bibliotek już usuwa się wszystkie stare książki i artykuły, które przeczą głupim wymysłom z tych procesów. Koszmar zakorzeni się jako oficjalna prawda. Kłamstwo zatriumfuje. Ech, Witiu, i po to spędziłem dziesięć lat w kajdanach w wilgotnym carskim więzieniu...

Tak miały się rzeczy w Moskwie, kiedy wyjeżdżałem, żeby oczyścić uralskie stajnie Augiasza.

zamordowano cara i jego rodzinę) czekał na mnie wysłannik z zakładu Nowotrubnyj. Na szczęście dosyć dobrze go znałem i mogłem sobie pozwolić na szczerość. Kiedy jechaliśmy sześćdziesiąt kilometrów do Pierwouralska, wprowadził mnie w sytuację w fabryce. Chociaż wyrażał się powściągliwie, potwierdziły się moje najgorsze przeczucia.

Musiałem wyprowadzić produkcję z fizycznego chaosu i moralnego upadku. Około sześciu tysięcy robotników i ich rodzin, łącznie siedemnaście albo osiemnaście tysięcy ludzi, mieszkało w prymitywnych warunkach. Jedyni, co do których nie zachodziła obawa, że uciekną, to byli albo mieszkańcy tego rejonu, albo robotnicy przymusowi zatrudnieni przy pracach budowlanych. Kadra techniczna, lub to, co z niej pozostało po czystkach, była zdemoralizowana i uchylała się od odpowiedzialności. Z powodu nieznośnych warunków życia i pracy oni też czuli się zesłańcami i liczyli na szybkie przeniesienie gdzie indziej.

Około dziesięciu kilometrów przed Pierwouralskiem zobaczyłem nagle kilkaset metrów od szosy ogrodzenie z drutu kolczastego. Zatrzymaliśmy samochód, mogłem więc przyjrzeć się lepiej. Obóz, długie rzędy baraków na ogromnej polanie w lesie, zdawał się opuszczony, cichy jak śmierć. Był zbudowany na planie sześcioboku, a w każdym z sześciu rogów wznosiła się wieża wartownicza wyposażona w potężne reflektory i karabiny maszynowe.

- Gdzie są więźniowie? - spytałem swojego towarzysza.

- O tej porze pracują - odparł. - Część w naszej fabryce, reszta w innych zakładach, kopalniach i na budowach. Wiktorze Andriejewiczu, widzę, że jesteście nowi na Uralu. Lepiej przywyknijcie do widoku więźniów na każdym kroku.

Ruszyliśmy dalej. Piękne wprowadzenie do nowego życia!

Osadcz, nowy dyrektor, zjawił się przede mną. Był w ponurym nastroju. Jedno spojrzenie na kombinat wystarczyło, by zgasić entuzjazm, który okazywał w Moskwie.

- Towarzyszu Krawczenko, z pewnością czeka nas mnóstwo roboty - westchnął, kiedy przechodziliśmy przez różne zabudowania i warsztaty. - Miną lata, zanim ten kombinat stanie się samowystarczalny. Nie mamy własnych pieców elektrycznych do wyrobu instrumentów. Nie ma działu termicznego, nie ma zadowalającego warsztatu mechanicznego. Energia elektryczna jest znacznie poniżej naszych potrzeb, a gazownia nie zostanie szybko ukończona. Nie ma urządzeń do chromowania instrumentów. Krótko mówiąc, to w ogóle nie jest fabryka. To dopiero załóżek.

Sam to doskonale widziałem. Dział mechaniczny właściwie nie istniał. Warsztat galwaniczny nie zasługiwał na swoją nazwę. Magazyny jeszcze nie zostały ukończone, toteż tysiące ton stali i innego metalu leżały pod

gołym niebem. Metale różnego rodzaju zrzucono na jedną stertę, bez śladu jakiegokolwiek porządku. Sama maszyna do walcowania rur była bardzo nowoczesna, amerykańskiej i niemieckiej produkcji, warta miliony rubli w zagranicznej walucie. Ale jaki mógł być z niej pożytek bez odpowiedniej konserwacji? Nawet importowane maszyny były zakurzone i popsute. Wszędzie walały się w błocie i rdzewiały kosztowne narzędzia i części maszyn.

Inspekcja kwater robotniczych dopełniła mojego poczucia rozpacz. Baraki, które widziałem za drutem kolczastym, niewiele się różniły od tych nędznych drewnianych ruder, wilgotnych i brudnych, które zajmowali wolni proletariusze z naszej fabryki.

Wdałem się w rozmowę z kilkoma kobietami. Były posępne. Najwyraźniej patrzyły na nas jak na ludzi odpowiedzialnych za ich problemy, nie jak na towarzyszy pracy. W tym regionie Uralu było niewiele upraw rolnych; tylko kilku najwyższych urzędników, z samochodami do dyspozycji, mogło nabywać odpowiednie zaopatrzenie w Swierdłowsku. Robotnicy żywili się głównie chlebem, nielicznymi lokalnymi warzywami i konserwami. Podzaskrótkiego lata w barakach było gorąco jak w piecu, w wielu podczas deszczu woda lała się przez dziury w dachach i przesiąkała przez ściany z desek. Podczas długiej uralskiej zimy kwatery nie zapewniały żadnej ochrony przed straszliwym mrozem.

Spędziwszy cztery godziny w barakach, płoniłem się ze wstydu, kiedy oglądałem własne czteropokojowe mieszkanie w jednym z trzypiętrowych ceglanych domów, stojących wśród drzew po drugiej stronie kompleksu fabrycznego. Wszędzie, nawet w Nikopolu czy Taganrogu, uznano by je za dosyć nędzne. Ale w Pierwouralsku wydawało się szczytem luksusu, z prywatną łazienką, dywanami na podłogach, dobrymi meblami i ładną kuchnią. Wraz z mieszkaniem odziedziczyłem Dunię, niechlujną wiejską kobietę w średnim wieku, która gotowała i sprzątała dla mojego poprzednika.

Obiecana limuzyna czekała na mnie, jak również niewielki ford, który w okresie błot był bardziej przydatny. Na swój wyłączny użytek miałem również konie. Moja pensja zasadnicza wynosiła tysiąc pięćset rubli miesięcznie, ale wraz z premiami i innymi dodatkami moje dochody sięgały czasem trzech tysięcy rubli. Można ocenić, co to oznaczało, jeśli powiem, że niewykwalifikowany robotnik zarabiał około stu pięćdziesięciu, wykwalifikowany mechanik około dwustu pięćdziesięciu, a dyplomowany inżynier około sześciuset rubli.

Inżynier musiałby wydać prawie całą miesięczną pensję na zwykły garnitur, ale była to kwestia czysto teoretyczna, ponieważ w Pierwouralsku nie można było dostać żadnych ubrań, a w Swierdłowsku też bardzo rzadko. Tylko ci z nas, którzy jeździli

czasem służbowo do Moskwy albo do Leningradu, mogli kupować buty i ubrania. Dla reszty istniał ograniczony zapas, którym dysponowała administracja, a my rozdzielaliśmy go potrzebującym inżynierom, brygadzystom, a nawet robotnikom.

Byłem w pracy niecałe dwa tygodnie, kiedy główny księgowy przyniósł mi półmiesięczną listę płac do podpisu. Kiedy studiowałem dokument, zauważyłem dziwną pozycję: znaczną sumę „dla NKWD”.

- Za co to? - spytałem, zaskoczony.

- Za naszą kontraktową siłę roboczą, stu sześćdziesięciu robotników przydzielonych do naszego wydziału. Połowa ich zarobków idzie do NKWD.

- Czy to więźniowie z obozów?

- Nie, nie, towarzyszu Krawczenko. To zupełnie inny wydział NKWD. Kontraktowi pracownicy mieszkają tutaj, tak jak wolni robotnicy. Zostali zesłani za różne przestępstwa.

Później dowiedziałem się od kierowników innych wydziałów, że oni też mają kontyngenty tych robotników przymusowych - dwustu pięćdziesięciu w jednym warsztacie, osiemdziesięciu w drugim, pięćdziesięciu w trzecim. Wolni robotnicy nie zadawali się z nimi, a w każdej części fabryki można ich było łatwo rozpoznać po wyjątkowo żalonym wyglądzie.

Kiedyś rozmawiałem z jednym z tych robotników przymusowych w swojej walcowni. Był niskim, wynędzniałym mężczyzną. Przekonałem się, że trudno coś z niego wyciągnąć: widocznie tym nieszczęśnikom surowo przykazano trzymać język za zębami. Ale dowiedziałem się, że był brygadzystą w fabryce leningradzkiej, wyrzuconym z pracy trzy lata wcześniej.

- Co was powstrzymuje przed ucieczką? - spytałem.

- Ucieczka! - potrząsnął ze smutkiem głową. - Dokąd? Gdzie można się ukryć i na jak długo? Uprzedzam was, szefie, że ta rozmowa nie wyjdzie na dobre żadnemu z nas.

Wzięliśmy się za straszliwe zadanie uprzątnięcia bałaganu. Piece elektryczne leżały zapomniane. Oczyszciliśmy je i po wielu tygodniach wytężonej pracy - czternaście godzin dziennie wydawało się świętem - udało nam się uruchomić jeden piec. Zorganizowałem wielki dział mechaniczny i wyznaczyłem wykwalifikowanych robotników, żeby nauczyli innych, jak się go obsługuje. Utworzyłem warsztat termiczny i urządziłem szkolenie dla nowicjuszy. Dział chromowania został zbudowany i wyposażony od podstaw. W minionych latach produkcję spowalniał brak systemu telefonów wewnętrznych i odpowiedniej dyspozytorni; z tym też sobie poradziłem, przezwyciężając trudności, które tylko technik jest w stanie docenić. Zainstalowaliśmy niezbędne piece, dźwigi, warsztaty.

Niezależnie od prac czysto technicznych, wyznaczyłem setki mężczyzn i kobiet do sprząwania, szorowania, malowania, usuwania nagromadzonego brudu. Zdawałem sobie sprawę, że bez elementarnego porządku i czystości nie ma nadziei na zwiększenie produkcji. Sabotaż? Wydawało mi się niemal cudem, że fabryka wyrabia aż trzydzieści pięć do czterdziestu procent norm ustanowionych przez centralę.

W ciągu dwóch miesięcy wszystko zmieniło się nie do poznania. Moim kolegom udzieliła się moja determinacja, a ich zapał do pracy przenikał w dół, do najskromniejszych robotników i sprzątaczek. Do maja nie tylko zwiększyliśmy produkcję do osiemdziesięciu procent – osiągnięcie, które wydawało mi się niemożliwe, kiedy tam przyjechałem – ale poprawiliśmy jakość. Zanieczyszczenia w naszych rurach spadły średnio z dwunastu procent do pięciu lub sześciu.

Naturalnie ten kolosalny wysiłek nie pozostawił mi żadnego marginesu na życie osobiste. Poza odpowiedzialnością za produkcję byłem osobiście odpowiedzialny za zakwaterowanie, wyżywienie, szkolenie techniczne i opiekę zdrowotną dla dwóch tysięcy podlegających mi bezpośrednio robotników i ich rodzin. Chociaż miałem ogromną pomoc, czasem kompetentną, ostateczna odpowiedzialność spadała na mnie i prawie nie było dnia, żeby moja energia nie kierowała się na problemy niezwiązane bezpośrednio z produkcją.

Na domiar wszystkiego histeria czystki wcale się nie skończyła. Zabierano mi cennych ludzi, kiedy najbardziej ich potrzebowałem; ci, którzy uniknęli bezpośrednich ataków, żyli i pracowali w atmosferze nieustannego lęku. Do tego czasu nauczyłem się ignorować wszechobecne szpiegostwo i donosicielstwo. Trenowałem umysł i nerwy, żeby skupić się na bieżącej pracy, nie tracąc energii na bezsilny gniew. Mimo to nadal byłem wstrząśnięty, a czasami sparaliżowany w swojej pracy w momentach krytycznych, kiedy odkrywałem, że wydział gospodarczy miejscowego NKWD zna szczegóły tej pracy, szczegóły decyzji technicznych, zanim jeszcze ja je poznałem. Czułem się przez to nagi, bezbronny.

Wydział specjalny w naszej fabryce, kierowany przez towarzyszy Kołbina i Stofina, służył jako oczy i uszy tajnej policji. Ci niezmordowani ludzie nie tylko otrzymywali kopie wszystkich zarządzeń i raportów technicznych, lecz mieli swoich agentów w każdym warsztacie i biurze. To jednak była tylko rutynowa procedura inwigilacji. Dodatkowo kombinat uginał się pod ciężarem niezliczonych specjalnych komisji śledczych, brygad kontrolnych i pojedynczych inspektorów. Przyjeżdżali oni, po cichu lub przy oficjalnym dęciu w trąby, z Komitetu Obwodowego, z Komitetu Centralnego w Moskwie, z Głównostalu w Moskwie, z Ludowego Komisariatu Przemysłu Ciężkiego i z tuzina innych instytucji.

To nie wszystko. Zamówienia na rury, składane za pośrednictwem Moskwy, zawsze pochodziły z innych gałęzi przemysłu, które też przysyłały komisje, aby sprawdzić postęp prac i do reszty uprzykrzyć nam życie podejrzeniami o sabotaż. Produkowaliśmy rury dla wojsk pancernych, lotnictwa, artylerii, statków, rafinerii naftowych, zakładów samochodowych i do wielu innych celów. Ponieważ zamówienia przekraczały zwykle nasze możliwości, a produkt końcowy rzadko odpowiadał wymaganym parametrom, zainteresowane koncerny i zakłady, jak również siły zbrojne, składały reklamacje, czego wynikiem były następne komisje, dochodzenia i oczywiście nowe epidemie „czujności” ze strony NKWD.

Prawie nie było tygodnia, żeby nie nawiedzał nas tłum tych inspektorów i kontrolerów z takiego czy innego biura, wyposażonych w groźne pełnomocnictwa i uganiających się za domniemanymi „szkodnikami”. Zabierali mój czas, tłoczyli się i przeklinali w moim gabinecie, i zwoływali niezliczone konferencje. Wielu z nich, przygnębionych monotonią życia na tym odległym pustkowiu i głupotą własnych obowiązków, topiło swoje smutki w wódce albo zatracalo się w grze w karty o wysokie stawki.

Kiedy po czternastu lub szesnastu godzinach pracy kładłem się do łóżka, rzadko mogłem liczyć na niezakłócony sen. Budziły mnie zamiejskowe telefony z Moskwy, kolejne monity, prośby i pogróżki. Były telefony z NKWD w związku z nieustannymi aresztowaniami. Ledwo się zdrzemnąłem, dzwonił ktoś z nocnej zmiany z informacjami o wypadkach, zgubionych narzędziach, wybrakowanych produktach.

Na podstawie zasłyszanych dookoła rozmów zdołałem ułożyć sobie obraz straszliwego spustoszenia, jakie spowodowała czystka przed moim przyjazdem, w zakładach Nowotrubnyj oraz we wszystkich okolicznych kopalniach i fabrykach. Historia Siemiona Magriłowa, dyrektora innej fabryki metalurgicznej w samym Pierwouralsku, pozostaje trwale zapisana w mojej pamięci.

Jego zakład był zapewne najstarszy w Rosji, ponieważ według legendy założył go sam Piotr Wielki. Zatrudniał robotników, których ojcowie i dziadkowie pracowali tam przed nimi. Mieszkali we własnych czystych małych domkach, uprawiali niewielkie ogródki, niektórzy hodowali świnie i drób, i generalnie żyli na niemal przedrewolucyjnym poziomie. Wysyłając Magriłowa, aby pokierował fabryką, partia faktycznie nagradzała go synekurą. Był członkiem partii o długim stażu, mocno posuniętym w latach, bliskim znajomym wdowy po Leninie i siostry Lenina, Marii Uljanowej, i uchodził za jedną z najbardziej wpływowych postaci w tym regionie.

Ale nie oszczędziło go żywiołowe szaleństwo czystki. Miejskowe NKWD nękało go oskarżeniami. Zarzucano mu sabotaż i osłanianie

innych sabotażystów. Po kilku miesiącach prześladowań skapitulował. Zamknął się w swoim gabinecie i strzelił sobie w usta... Zostawił długi list, w którym zapewniał o swojej niewinności i potępiał terror. NKWD skonfiskowało list, ale jego treść dotarła w jakiś sposób do robotników w fabryce. Kilku bliskich współpracowników Magriłowa, których podejrzewano o przeczytanie samobójczego listu, „zniknęło” bez śladu.

Tragedia Magriłowa była wyjątkowa z powodu sławy, jaką cieszyła się ofiara. Ale znałem szczegóły dosłownie setek aresztowań, przesłuchań połączonych z torturami i samobójstw. Nie mogłem pozwolić, żeby przeszkadzały mi w pracy. W końcu nauczyłem się wymazywać ze świadomości niepokojącą wiedzę. Nie jest to łatwa sztuka, ale kto jej nie opanuje, nie może przetrwać jako kierownik przemysłu w ZSRR. Ci, którzy nie potrafią zapanować nad swoim współczuciem, zamknąć go w specjalnym hermetycznym przedziale swojego jestestwa, są skazani na wewnętrzne cierpienia lub szaleństwo.

Moskwa doceniła znaczący postęp w zakładzie Nowotrubnyj. Na zebraniu aktywu partyjnego w komisariacie w obecności Kaganowicza pochwalono moją pracę. Według artykułu w gazecie „O industrializację”, zakład był w strasznym stanie, dopóki przybycie „Krawczenki, energicznego młodego inżyniera i członka partii”, nie zmieniło sytuacji.

4

Naczelnik pierwouralskiego NKWD, towarzysz Parszyn, którego znałem już z konferencji partyjnych, złożył mi wizytę. Z najwyższym uznaniem wyrażał się o „cudach”, jakich dokonałem, podnosząc wydajność. Ale nie przestał być policjantem i przez kilka godzin wypytywał mnie o różne zamówienia, nad którymi pracowaliśmy, i o „nastroje polityczne” moich podwładnych. Ledwo zdołałem ukryć irytację, że dysponuje tak szczegółową wiedzą na temat mojej pracy. Uzyskałem niezbity dowód, że wokół mnie działa wielu informatorów.

- Z pewnością wyeliminowaliście rezultaty sabotażu swoich poprzedników - powiedział wreszcie. W jego ustach była to najwyższa pochwała. - Dlatego nie chciałbym się wam narzucać, Wiktorze Andriejewiczu. Ale dzisiaj wieczorem możecie wyświadczyć mi przysługę. Zadzwoń później i powiem wam, dokąd macie przyjść.

Spotkanie, kiedy już doszło do skutku, rozpoczęło się o drugiej nad ranem. Siedziba NKWD mieściła się w solidnym piętrowym budynku, najbardziej imponującym na błotnistej głównej ulicy Pierwouralska. Mimo późnej godziny we wszystkich oknach paliły się światła; najwyraźniej interes kwitł. Naczelnik przywitał mnie serdecznie i zaprowadził do swojego gabinetu.

- Rozgośćcie się - powiedział. - Obawiam się, że możecie tu spędzić trochę czasu.

- Czego ode mnie chcecie?

- No cóż, oto moja prośba: aresztowaliśmy wroga ludu, stuprocentowego szkodnika. Jest dla nas jasne, że ponosi winę za większość bałaganu, jaki zastaliście w swoim zakładzie. Ale to uparty klient. Zamierzam przesłuchać go dzisiaj w waszej obecności. Przy takim specjaliście jak wy nie będzie mógł mi sypać piaskiem w oczy.

- Jeśli mam być szczery, wcale mi się to nie podoba - odparłem z przerażeniem.

- To dziwne. Zaskakujecie mnie. Czy sam Lenin nie powiedział, że każdy dobry komunista musi być jednocześnie czekistą? No dobrze, zaczynajmy. - Zadzwoił po swoją sekretarkę. - Powiedzcie strażnikom, żeby przyprowadzili więźnia z celi siódmej.

Naczelnik przygotował się do przesłuchania, wyjmując kilka grubych teczek z ogromnego sejfu - i demonstracyjnie kładąc na biurku rewolwer. Czekał na więźnia, wydawał się napięty, niczym tygrys gotów rzucić się na swoją zdobycz. Niebawem drzwi się otworzyły. Weszli dwaj strażnicy z rewolwerami, a pomiędzy nimi strzęp człowieka. Strażnicy wycofali się, pozostawiając w gabinecie tylko nas trzech.

- Dzień dobry - powiedział więzień słabym głosem, rozglądając się niepewnie.

Parszyn nie odpowiedział. Ja odwzajemniłem powitanie. Więzień przypominał żywy szkielet w łachmanach. Jego twarz miała ziemisty, szary odcień i wyglądała jak maska śmierci. Od skroni aż do podbródka ciągnęła się głęboka szrama, purpurowa od zakrzepłej krwi. Stał z rękoma założonymi na plecy, ze spuszczoną głową.

Czekista zaczął odczytywać zarzuty, żeby zapoznać mnie ze szczegółami sprawy. Dowiedziałem się, że więzień przebywał w areszcie przeszło trzynaście miesięcy. Chociaż wyglądał na sześćdziesiąt lat, miał zaledwie czterdzieści kilka. Był głównym inżynierem budowlanym w zakładzie Nowotrubnyj w czasie, kiedy fabryka rozpoczęła produkcję. Patrząc na niego, pomyślałem mimo woli: „Tam, gdyby nie boska opatrność, stałby Wiktor Krawczenko”.

- Towarzyszu Parszyn - powiedziałem cicho - czy nie moglibyście pozwolić więźniowi usiąść?

- Ja o tym decyduję - odparł. - Tu jest NKWD, nie dom wczasowy.

Skończywszy czytać, Parszyn zwrócił się do więźnia tubalnym głosem:

- Będę zadawał pytania dotyczące waszej szkodniczej działalności w walcowni. Odpowiadajcie precyzyjnie, jasno i bez kręcenia. Jesteście w obecności wykwalifikowanego inżyniera, który zna zakład. Nie możecie już robić ze mnie durnia. Pierwsze pytanie: dlaczego, jako główny inżynier biura konstrukcyjnego fabryki, zbudowaliście nad

piecami drewniane dachy, które łatwo się palą?

- Zgodnie z planem - odparł więzień z niezwykłą precyzją, biorąc pod uwagę jego stan fizyczny - dachy powinny być z żelaza. Ale przyszło zarządzenie z góry, przekazane przez samego komisarza Ordżonikidzego, żeby użyć drewna z uwagi na ogromny deficyt żelaza w tym czasie. Zarządzenie dotyczyło naszej fabryki i dziesiątków innych. Dokumenty komisariatu powinny to bez trudu potwierdzić. Z technicznego punktu widzenia uważałem to za niemądre, ale nie mogłem sprzeciwić się wyraźnym instrukcjom komisarza, zwłaszcza że wiedziałem o braku metali.

- Wasza opinia? - zwrócił się do mnie naczelnik.

- Obywatel... - zacząłem.

- To nie obywatel, ale wróg ludu.

- No cóż, więzień ma całkowitą rację. W Nikopolu też mieliśmy drewniane dachy i dokładnie z tego samego powodu, chociaż do tej pory zostały już pokryte cynkowaną blachą. Przypadkiem byłem obecny na konferencji w gabinecie towarzysza Ginzburga, który działając z upoważnienia Ordżonikidzego, zatwierdził drewniane dachy dla wszystkich budynków fabrycznych z wyjątkiem odlewni i pieców martenowskich.

Czekista był trochę zbity z tropu.

- Miejcie, proszę, na uwadze - powiedział - że będziecie odpowiadać za swoje zeznania!

- Jestem tego w pełni świadom - odparłem.

- Drugie pytanie - oznajmił, znowu zwracając się do więźnia. - Dlaczego wybudowaliście wielką walcownię bez wydziału galwanicznego, termicznego i mechanicznego, bez bazy do napraw i bez urządzeń do wyrobu niezbędnych precyzyjnych instrumentów?

- Projekt był przewidziany dla wielkiego, nowoczesnego kombinatu - odparł więzień. - Wszystkie wydziały, o których wspomnieliście, mieściły się poza głównym budynkiem, w specjalnych warsztatach pomocniczych. Państwowa Komisja Planowania i komisariat nie dostarczyły pieniędzy, materiałów i sprzętu dla tych dodatkowych sekcji pomocniczych. Dlatego główny zakład został ukończony, zanim ruszyła budowa pozostałych. Potem, ku naszemu zdumieniu, kazano nam rozpocząć produkcję, co uważałem za wysoce niewskazane, a później zostałem aresztowany.

Niezależnie od tego, ile wycierpiał umysł tego człowieka w ciągu trzynastu miesięcy, w kwestiach zawodowych funkcjonował doskonale. Pierwszorzędna inżynierska głowa, pomyślałem.

- Co na to powiecie? - spytał mnie naczelnik.

- Więzień ma całkowitą słuszność. Fabryka rozpoczęła produkcję na długo przed wyznaczonym terminem. Nawet teraz nie jest w pełni

ukończona. Gdybyśmy mieli czekać, aż wszystko zostanie ukończone zgodnie z pierwotnym planem, nie moglibyśmy przystąpić do pracy przez kolejny rok. Osobiście uważam to za błąd, że nie wybudowano sekcji pomocniczych w głównym zakładzie, ale taka decyzja zapadła w Moskwie. Ukończenie głównego zakładu przed sekcjami dodatkowymi z pewnością nie było sabotażem.

- Jesteście tego absolutnie pewni?

- Zupełnie pewni... Mogę poczęstować więźnia papierosem?

- Dobrze.

Wręczyłem mu całą paczkę, ale naczelnik na to nie pozwolił.

- Jeden papieros wystarczy - krzyknął. - Jak podpisze i przyzna się do szkodnictwa, będzie mógł palić do woli.

Kiedy inżynier wyciągnął rękę z za pleców, zobaczyłem, że jest owinięta przesiąkniętymi krwią szmatami.

Przesłuchanie ciągnęło się przez kilka godzin. W każdej kwestii mogłem, z całkowitą uczciwością, stanąć po stronie więźnia przeciwko funkcjonariuszowi NKWD. Około piątej trzydzieści, w środku tyrady Parszyna, więzień zasłabł. Patrzyłem, jak osuwa się powoli na podłogę, jakby na zwolnionym filmie. Kiedy go ocucono, polewając lodowatą wodą, strażnicy przynieśli dla niego krzesło i przesłuchanie zostało wznowione. Dopiero po szóstej odprowadzono nieszczęśnika do celi. Nigdy nie zapomnę wyrazu wdzięczności w jego oczach, kiedy patrzył na mnie spod drzwi.

- Muszę zaprotokołować to przesłuchanie - oznajmił Parszyn - i dostaniecie je do podpisu za kilka dni. Przykro mi, że przetrzymałem was tak długo.

- Ponieważ i tak jest już za późno, żeby spać - powiedziałem - czy moglibyście oprowadzić mnie po budynku?

Zawahał się, zaskoczony tą niezwykłą prośbą.

- Nie ma tu nic interesującego - powiedział wreszcie. - Ale skoro chcecie... Może wam to pomóc zrozumieć odpowiedzialność, jaką ponosicie za udzielanie prawidłowych i prawdziwych odpowiedzi...

Przeczesał włosy, założył swoją błękitną oficerską czapkę z czerwonym otokiem i wsunął rewolwer do kabury na biodrze. Obaj włożyliśmy płaszcze. W towarzystwie strażnika zrobiliśmy obchód, który pozostanie w mojej pamięci do końca życia. Wkroczyliśmy na dziedziniec, otworzyły się żelazne drzwi i zeszliśmy po schodach do piwnicy. Zaduch uderzył mnie jak cios pięścią. W korytarzu paliła się słaba żarówka.

Zauważyłem, że strażnik, który wyprężył się na baczność na nasz widok, czytał odcinek *Historii partii*, ukazującej się wówczas w „Prawdzie”. Pamiętam swoje zdumienie, że ten człowiek, żyjący w strasznym zaduchu stalinowskiej praktyki, tak skwapliwie studiuje

teorię...

W celach ciągnących się wzdłuż korytarza zapanowało poruszenie. „Ważni goście!” – krzyknął ktoś. Strażnik otworzył jedne z drzwi i zakomenderował: „Wstać!”. Ponad dwudziestu ludzi poderwało się na nogi. Byli nieogoleni, nieopisanie żałośni, a większość nosiła ślady bicia. Jedyne „umeblowanie” w celi stanowiło wiadro z wodą i przytwierdzony do niego blaszany kubek, drugie wiadro w odległym kącie na nieczystości, surowe deski, które służyły za prycze, i coś w rodzaju drewnianej półki na szmaty i zawiniątka więźniów. W celi byłoby tłoczno, gdyby siedziało w niej pięciu, a co dopiero dwudziestu więźniów.

Inne cele przedstawiały podobnie straszny widok. Straciłem ochotę na oglądanie reszty. Kilka cel było przeznaczonych dla kobiet.

- Wentylacja u was nie działa – powiedział naczelnik do młodego czekisty przy drzwiach, kiedy wychodziliśmy. – Umrzecie od tego smrodu.

- Chodzę do łaźni publicznej codziennie, kiedy tu skończę – wyjaśnił strażnik radośnie – bo inaczej żona nie wpuściłaby mnie do domu. Wentylatory nie działają od dawna.

Kiedy wyszedłem z budynku, zastałem swojego kierowcę śpiącego za kierownicą i obudziłem go.

- Och, Wiktorze Andriejewiczu, nie było was tak długo, że już zacząłem się zastanawiać... Kiedy przywozimy tutaj ważnych ludzi, nigdy nie wiadomo, czy odwieziemy ich z powrotem.

- Jestem bardzo zmęczony, Pietia. Jedźmy prosto do fabryki. Już dzisiaj sobie nie pośpię.

Tego popołudnia przyszedł do mnie mój główny zastępca. Czy mógłby się zwolnić na trzy godziny? Małe sondowanie wykazało, że wezwano go do NKWD.

- Nie obejdę się bez was w godzinach pracy – powiedziałem. – Zadzwońcie i powiedzcie, że będziecie tam po szóstej, a nawiasem mówiąc, jak wrócicie, przyjdźcie znowu do mnie.

Zjawił się późno w nocy. Nie mógł mi powiedzieć, co się stało, ponieważ kazano mu zachować milczenie. Ale w trakcie rozmowy olśniła mnie myśl, że konsultowano się z nim w tej samej sprawie.

- Znaliście głównego inżyniera budowlanego przed jego aresztowaniem? – spytałem jakby mimochodem.

- Tak, Wiktorze Andriejewiczu, i nie mogłem go rozpoznać... – Urwał, uświadomiwszy sobie, że zdradził tajemnicę.

Dwa dni później Stofin z wydziału specjalnego przyniósł mi obiecany protokół.

- Tylko podpiszcie i już pędzę do Pierwouralska – powiedział.

- Po pierwsze, nie zamierzam niczego podpisywać bez bardzo

ważnego przeczytania. A po drugie, nie chcę przerywać ważnej pracy. Przeczytam to po godzinach.

- Ale mam polecenie nie wypuszczać tego z rąk. Nie mogę...

- Zadzwońcie do swojego szefa i powtórzcie mu, co powiedziałem. Będziecie czyści.

Trwożnie zatelefonował do NKWD. Parszyn był wściekły. Wreszcie, pod wpływem współczucia dla przerażonego, zastraszonego Stofina wzięłem od niego słuchawkę.

- Krawczenko, okazujcie więcej szacunku dla NKWD! - wrzasnął Parszyn. - Zwłaszcza po swojej wizycie w celi!

- A wy okazujcie więcej szacunku dla dyrektora tego zakładu! - odparłem. - Jeśli nie przestaniecie mnie nękać, zatelefonuję bezpośrednio do Kaganowicza i powiem mu, kto przeszkadza w produkcji.

Groźba poskutkowała. Parszyn natychmiast przybrał skruszony ton. Jest taki przepracowany, tłumaczył się, i nie powinienem źle o nim myśleć. Oczywiście, mogę przeczytać zeznania, i oczywiście, w dogodnym dla siebie momencie.

Pod koniec dnia pracy, kiedy Stofin wciąż czekał ponuro w biurze wydziału specjalnego, zabrałem się do czytania rzekomego protokołu swoich nocnych zeznań w NKWD. Włosy stanęły mi dęba. Wszystko, co powiedziałem, zostało arbitralnie poprzekręcane. W moje usta włożono obciążające słowa. Odpowiedzi więźnia i moje komentarze zostały tak spreparowane, by potwierdzić zarzuty rozmyślnego szkodnictwa.

Na każdej stronie widniało ostrzeżenie, wielkimi literami, że jakiegokolwiek zmiany są niedopuszczalne. Wszystko jedno. Zanurzyłem pióro w czerwonym atramencie i pracowicie, zdanie po zdaniu, przeredagowałem dokument. W wielu przypadkach sformułowałem nawet na nowo pytania, które zostały przekręcane, aby zafałszować intencję odpowiedzi. Czasami znaczenie było tak kompletnie odwrócone, że musiałem tylko wstawić słowo „nie”.

Kiedy poszedłem do Stofina i wręczyłem mu pokreślony protokół, upstrzony na czerwono na każdej stronie, wytrzeszczył z przerażenia oczy. Jeszcze nigdy nie zetknął się z czymś tak bluźnierczym. Krew odpłynęła mu z twarzy.

- Ale to niedozwolone, towarzyszu dyrektorze. To straszne - lamentował.

- Oddajcie to swojemu szefowi. Odpowiedzialność biorę na siebie.

Nie słyszałem więcej o tej sprawie. Ale na długiej końskiej twarzy Parszyna pojawiał się urażony i rozdrażniony wyraz, ilekroć się spotykaliśmy. Mniej więcej trzy miesiące później fabrykę obiegła wieść, że główny inżynier budowlany, po czternastu miesiącach spędzonych

w cuchnących piwnicach NKWD, odzyskał wolność. Z pewnością nie sprawiła tego moja interwencja, wielu innych musiało udzielić takich samych odpowiedzi. Ale głupi i nieludscy funkcjonariusze, którzy upokarzali go i torturowali przez ponad rok, nie zostali nawet ukarani naganą. Nadal się panoszyli i aresztowali, kogo popadnie.

5

Młody inżynier Panow, kierujący nocną zmianą, był jednym z moich najbardziej sumiennych współpracowników. Ten mężczyzna o regularnych rysach, skromny i małomówny, wywierał dobre wrażenie na ludziach. Świadomość, że jego zmiana spóźnia się z produkcją i nie wypracowuje ustalonej normy, bardzo mu ciążyła, często zostawał więc po godzinach, aby przyspieszyć robotę.

Moje zaciekawienie Panowem wzbudziła jego żalosna powierzchowność. Bładość jego twarzy mówiła o niedożywieniu. Miał jeden wystrzępiony garnitur i w każdą pogodę chodził w płóciennych pantoflach. Zacząłem się rozpytywać i szybko odkryłem przyczynę jego nędzy. Z pięciuset pięćdziesięciu rubli miesięcznej pensji sto pięćdziesiąt szło na podatki, pożyczki i różne składki, pozostawało mu więc tylko czterysta. Z tego musiał utrzymać żonę, małą córeczkę i starą matkę, które mieszały razem z nim w dwupokojowym mieszkaniu w blokach administracji.

Zadbałem o to, żeby Panow otrzymał buty i ubranie robocze z fabrycznych magazynów. Wzruszony moją troską, zdobył się na odwagę, aby porozmawiać ze mną o swoich kłopotach.

- Wiktorze Andriejewiczu, czy mogę z wami pomówić szczerze? - spytał, siadając w moim gabinecie.

- Ależ oczywiście.

- Przyszedłem was prosić, żebyście pomogli mi się wydostać z tej zapadłej dziury. Mam trochę znajomości i widoki na posadę inżyniera w wojsku, ale potrzebuję waszej pomocy.

- Ale dlaczego jesteście niezadowoleni z pracy tutaj, Panow? Jesteście młodzi. Zdobywacie cenne doświadczenie w trudnych warunkach. Wiecie, jak w terminologii partyjnej nazywa się taka ucieczka z trudnej placówki?

- Wiem, wiem... oportunizm, tchórzostwo i tak dalej. Ale spójrzcie na to z mojej strony. Spędziłem pięć głodnych, chłodnych lat w instytucie. Moja żona, którą poślubiłem jeszcze na studiach, wiele się po mnie spodziewała jako po dyplomowanym inżynierze. A co dostała? Głód, samotność i straszne ubóstwo. Widzę, że jej miłość do mnie wygasa wśród tych przeciwności, i chcę ją ocalić. Chcę ocalić naszą małą córeczkę, dla której nie starcza mleka. Macie mi za złe, że chcę

ratować swoje życie rodzinne?

- Jeśli chodzi o mnie, Panow, nie. Potrafię to zrozumieć.

- W wojsku będę zarabiał siedemset pięćdziesiąt rubli, a oprócz tego dostanę mundur, mieszkanie, darmowe racje żywnościowe. Będę mógł oddawać prawie wszystkie swoje zarobki rodzinie. Poza tym poświęcę się obronności, a to też jest ważne.

W końcu zgodziłem się mu pomóc i uzyskać dla niego zwolnienie z zakładów. Kilka lat później dowiedziałem się z gazet, że wyróżnił się na wojnie. Na Uralu szybko stałby się zgorzkniałym, złamanym człowiekiem. Było dla mnie jasne, że inni ludzie, bardzo wartościowi, zmarnowali się w wyniku bezsensownego nacisku położonego na produkcję, który lekceważył wygodę i zdrowie pracowników.

Nie mniej destrukcyjna od trudów fizycznych była ciągła presja w postaci uwłaczających podejrzeń co do uczciwości ludzi. Bez względu na to, jak ciężko pracowaliśmy, cały system opierał się na założeniu, że wszyscy jesteśmy zdrajcami i łajdakami, którzy zniszczą owoce własnej pracy, jeśli nie będzie się ich trzymać pod nadzorem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Pewnego razu przyjechała do mnie specjalna komisja w związku z zamówieniem numer czternaście dla przemysłu obronnego. Zamówienie dotyczyło rur o niezwyklej precyzji, do których produkcji nie byliśmy przygotowani. Kilka innych walcowni odmówiło przyjęcia zamówienia, tłumacząc się tym, że nie będą w stanie go zrealizować.

Zwołałem konferencję kierowników swojego zakładu i przedstawiłem im problem w obecności przedstawicieli Ludowego Komisariatu Obrony. Zgodziliśmy się, że choć możemy przyjąć zlecenie, szanse niepowodzenia są ogromne. Wymagało to specjalnych narzędzi, specjalnych rodzajów stali i pracy pod wielką presją.

Przyjąłem zamówienie dopiero po uzyskaniu pisemnego oświadczenia, w którym przyznano z góry, że za rezultaty nie można ręczyć. Dostałem dwadzieścia tysięcy rubli do rozdzielenia w postaci premii, jeśli uda się zrealizować zamówienie w wyznaczonym czasie. Nie tylko kadra techniczna, ale zwykli robotnicy, zdając sobie sprawę z wyzwania, włożyli w to całą duszę i serce.

Wykonaliśmy zamówienie w piętnaście dni. Były chwile, kiedy nie wychodziłem z zakładu przez trzy albo cztery dni z rzędu, jadłem posiłki w swoim gabinecie i spałem po kilka godzin wśród łoskotu maszyn. Moi zastępcy pracowali tak samo ciężko jak ja. Oczywiście nie mogło być żadnych uzasadnionych podejrzeń co do naszej uczciwości. Mimo to wydział specjalny i kontrolerzy z Ludowego Komisariatu Obrony nachodzili nas codziennie, węsząc sabotaż. Nasza godność ludzka i zawodowa duma zostały znieważone. Ani premie, ani zalew telegramów z gratulacjami nie mogły usunąć przykrego osadu, który

pozostał w nas wszystkich.

Kołbin, Stofin, funkcjonariusze wydziału gospodarczego NKWD, a nawet sekretarz Komitetu Miejskiego Dowbienko pysznili się swoim „triumfem” w związku z tym zamówieniem. Zachowywali się tak, jakby to ich irytujący nadzór, a nie umiejętności i wysiłek robotników i inżynierów stanowił podstawę sukcesu.

- Po co tyle podejrzeń? Skąd ta cała radość, że nikt nie dopuścił się szkodnictwa? - zapytałem Parszyna.

Nie zrozumiał pytania, szpiegowanie wydawało mu się czymś absolutnie naturalnym. Uważał je wręcz za nieodzowny element każdej pracy.

- Poza tym, Wiktorze Andriejewiczu - zwierzył mi się w zaufaniu - nasz sukces z tym zamówieniem stawia nowe zadania przed wydziałem gospodarczym. Musimy się dowiedzieć, dlaczego inne zakłady odmówiły przyjęcia zamówienia! Udowodniliśmy, że to jest możliwe, dlaczego więc inni dyrektorzy nie chcieli się tego podjąć? Może mówili prawdę - a może sabotowali wysiłek obronny. Widzicie zatem, jak ważna jest nasza funkcja...

Kilka innych zleceń specjalnych - zawsze w gorączkowej atmosferze wątpliwości, pogroźek i nieustannego szpiegowania - zostało wykonanych z honorem. Reputacja zakładu Nowotrubnyj szybko się poprawiała. Korespondenci z pisma „O industrializację” i z innych gazet pisali entuzjastyczne relacje, jak to w uralskich zakładach zlikwidowano „resztki sabotażu”. Ale nasza wydajność wciąż nie przekraczała osiemdziesięciu pięciu procent, a Moskwa, demonstrując swoją „bolszewicką stanowczość”, domagała się stu procent. Nagrodą za nasz sukces był więc żal.

6

Miałem powód, by często wspominać radę, jakiej udzielono mi w dniu przyjazdu: abym przyzwyczał się do nieustannej obecności więźniów, obozów pracy przymusowej i kolonii karnych. W Pierwouralsku i jego okolicach znajdowaliśmy się w centrum jednego z ogromnych rejonów pracy niewolniczej w „socjalistycznej” Rosji. Nie można było pojechać dalej główną szosą w żadnym kierunku, żeby nie natknąć się na koszmar.

Wszędzie indziej ten temat mógł być zbywany ostrożnym milczeniem. Ale tutaj rzeczywistość, zbyt wielka i zbyt bliska, nie pozwalała na taką powściągliwość. Ludzie zupełnie obojętnie mówili: „Nad Czusową, kilometr lub coś koło tego za kolonią NKWD, jest dobre miejsce do wędkowania” albo „Pojedźcie tą szosą w lewo, aż miniecie obóz”.

Nasza gazownia była zasilana torfem dostarczonym przez trust

Urałtorf. Kiedy przy pewnej okazji poskarżyłem się na niedobory w dostawach gazu, urzędnik trustu zadzwonił do Urałtorfu, a stamtąd zatelefonowano do odpowiedniego funkcjonariusza NKWD z prośbą o wyjaśnienie. W obwodzie swierdłowskim tysiące więźniów, mężczyzn i kobiet, kroїło i prasowało torf. Torf stanowił też jedno ze źródeł paliwa dla Urałeniergo, trustu, który dostarczał nam energii elektrycznej.

Staralem się unikać tego widoku, ponieważ przygnębiał mnie na całe tygodnie. Zawsze umierałem ze strachu, że mogę stanąć twarzą w twarz z kimś, kogo znałem i kochałem, tyłu moich przyjaciół pochłoneła wielka czystka. Raz, kiedy wybrałem się z kolegą na wycieczkę, natknęliśmy się na ponury pas bagien, gdzie pracowało może trzystu więźniów, głównie kobiet. Wszyscy ci nieszczęśnicy byli niewiarygodnie brudni i groteskowo odziani, a wielu z nich stało po kolana w błotnistej wodzie. Pracowali w całkowitym milczeniu najbardziej prymitywnymi narzędziami i wydawali się odnosić do dwóch obcych z zupełną obojętnością.

Była to scena z dantejskiego piekła, której nie mogłem wyrzucić z pamięci przez miesiące. Na sam dźwięk słowa „torf” przechodził mnie dreszcz.

Jeżdżąc do i ze Swierdłowska, przyzwyczailem się do widoku wielkiego obozu, który ujrzałem w dniu swojego przyjazdu. Jego główną bramę, umieszczoną w boku sześciokąta zwróconego w stronę szosy, wieńczył wymyślny, dosyć modernistyczny drewniany okap, w którym osadzono owalny portret Stalina. Często nad okapem widniały transparenty z czerwonego płótna z wypisanymi na nich aktualnymi hasłami. Nocą kolorowe żarówki oświetlały portret i napisy.

Ktoś obcy, przejeżdżając tamtędy i widząc z szosy tę fasadę, mógł pomyśleć, że za przystrojoną bramą mieści się jakieś socjalistyczne przedsiębiorstwo. Ci z nas, którzy mieszkali w pobliżu, wiedzieli, że koszmarny sześciokąt odcina od świata dwa i pół tysiąca ludzi. Reflektory na wieżach wartowniczych oświetlały obóz przez całą noc, obracając się automatycznie, każdy po kolei, jak w latarni morskiej. Te snopy światła, przesuwające się po nocnym niebie, tworzyły piękne wzory - dla tych, którzy nie wiedzieli, co oznaczają.

Zatrudnieni w zakładach, kopalniach i na budowach więźniowie musieli iść do pracy i z powrotem dziesięć lub dwanaście kilometrów, codziennie i w każdą pogodę. Nie dość więc, że pracowali dziesięć lub dwanaście godzin dziennie, to jeszcze szli kolejne trzy godziny, a niewielu miało buty nadające się do takich forsownych marszów.

Niedaleko Pierwouralska leży Rewda, gdzie również znajduje się fabryka metalurgiczna. Za każdym razem, kiedy tam jeździłem, mijałem po drodze obóz z barakami na około dwóch tysięcy więźniów. Znaczna ich część pracowała w fabryce, w której trwały prace budowlane,

a reszta była zatrudniona przy budowie drogi lub zakontraktowana do pobliskich kopalni miedzi.

Kolejny obóz, mieszczący zaledwie około tysiąca więźniów, stał nad Czusową, piękną, bystrą rzeką w malowniczej scenerii gęstych sosnowych lasów wśród pofałdowanego wzgórzami krajobrazu. W miesiącach letnich nasi inżynierowie i pracownicy administracji zabierali czasem swoje rodziny nad Czusową, żeby popływać, posiedzieć na brzegu z wędką i odpocząć. Przezornie zatrzymywali się w znacznej odległości od obozu; po co psuć sobie wycieczkę ponurym widokiem?

Nasłuchawszy się od ludzi o pięknie tej rzeki, postanowiłem ją zobaczyć. Moi dwaj towarzysze, obaj partyjni, też byli tutaj nowi, żaden z nas nie wiedział więc o tym obozie. Jechaliśmy moim fordem, rozmawiając o sprawach fabrycznych, gdy nagle znaleźliśmy się na wzgórzu z widokiem na ogrodzenie z drutu kolczastego na leśnej polanie, kilkaset metrów od brzegu rzeki. Jak zwykle, w narożnikach czworoboku wznosiły się cztery wieże. Wzdłuż ogrodzenia spacerowali wartownicy z nasadzonymi bagnietami. W odległym końcu obozu kilkuset więźniów, mężczyzn i kobiet, pracowało przy budowie nowych baraków.

Nasza wyprawa skończyła się natychmiast. Opuściło nas wszelkie pragnienie obejrzenia rzeki i w milczeniu zawróciliśmy do Pierwouralska. Prawda jest taka, że nawet najbardziej prawowierni i pozbawieni zdolności samodzielnego myślenia komuniści w głębi serca wstydzą się systemu pracy niewolniczej. W żarliwości, z jaką niektórzy bardziej fanatyczni towarzysze bronili tego systemu, często wyczuwałem niepewność. Nadając ofiarom pogardliwe epitety – kułacy, szkodnicy, łajdacy, kanalie – zdawali się zakrzykiwać wyrzuty sumienia. Każdy z nich doskonale wiedział, że przy następnym obrocie koła historii, kolejnej czystce czy kryzysie, sami mogą znaleźć się wśród tych wyrzutków, którzy swoim znojem umacniali naszą osobliwą odmianę socjalizmu.

ROZDZIAŁ XIX

Fałszowanie historii

Kiedy wracam pamięcią do swojego pobytu na Uralu, wypełnionego przygnębiającymi wspomnieniami, zawsze przychodzi mi na myśl jeden epizod.

Wszystko sprowadzało się do mistyfikacji przewidzianej dla rosyjskiej opinii publicznej, gigantycznej mistyfikacji, przy której wielcy i drobni urzędnicy w Moskwie i w Pierwouralsku współdziałali ze sobą, żeby ogłupić społeczeństwo. Robili to tak zręcznie, snuli swoje kłamstwa tak pomysłowo, że do dzisiaj „wielkie zwycięstwo w zakładzie Nowotrubnyj” jest podawane jako przykład cudów, które potrafi zdziałać „socjalistyczny entuzjazm”.

Cała sprawa zaczęła się od hałaśliwego przyjazdu na naszą wysuniętą uralską placówkę brygady aktywistów z Moskwy, którym polecono wdrożyć stachanowskie standardy w naszej walcowni. Teraz, kiedy produkowaliśmy osiemdziesiąt pięć procent normy, jeden wielki zryw w moskiewskim stylu miał wypchnąć nas „ponad poprzeczkę”, do stu procent albo więcej. Gdzie jest wola, tam znajdzie się sposób. Nie ma takiej twierdzy, której nie mogą zdobyć bolszewicy. Zespołową pracą dokonamy tego. Wszyscy razem, towarzysze, dla naszego Wodza i Nauczyciela...

Przed wyjazdem ze stolicy aktywistów przyjął komisarz Łazar Kaganowicz w obecności prasy. Wyruszyli do Pierwouralska wyposażeni w nadzwyczajne pełnomocnictwa i podtrzymywani na duchu beztruską nieznaną naszym problemom. Rytm produkcji, który z takim trudem udało mi się osiągnąć, został nagle zakłócony. Brygada zwoływała masowe wiece i narady produkcyjne i zalewała nas agitacyjnym pustosłowiem. Ściany naszych warsztatów i biur, stołówek i świetlic ugiwały się pod ciężarem czerwonych transparentów. Nagle nikt już nie mówił, wszyscy krzyczeli.

Robotnicy wzruszali ramionami i nie zwracali uwagi na ten zgiełk. Ale inżynierowie i kierownicy wpadli w nerwowe podniecenie. Zaledwie wczoraj chwalono nas za osiągnięcie osiemdziesięciu pięciu procent – teraz zastosowano presję zewnętrzną, aby wymusić na nas sto procent. Byliśmy rozżaleni z powodu imputowanej nam plamy na honorze. Dyrektor Osadczi chodził z ponurą miną.

- Musimy koniecznie coś zrobić, Wiktorze Andriejewiczu - westchnął.
- Moskiewska prasa podnosi wielki szum wokół tej stachanowskiej hecy, a my po prostu nie możemy sobie pozwolić na porażkę. Chodzi o moją głowę, a także i waszą.

Osadczi był urzędnikiem fabrycznym z gatunku aż nazbyt rozpowszechnionego w naszym kraju. Polityk zawsze brał w nim górę nad inżynierem. Bardziej przejmował się oficjalnym poklaskiem niż produkcją, bardziej rekordami niż jakością. Braki w wiedzy fachowej nadrabiał „ważnymi znajomościami” w odpowiednich miejscach. Był trochę sybarytą ze słabością do swierdłowskich dziewcząt.

- Ale co możemy zrobić? - spytałem. - Wiecie równie dobrze jak ja, że z zakładu nie da się wycisnąć więcej. Przemówienia nie zastąpią narzędzi i surowców.

Ale Osadczi już się zapalił do błyskotliwego projektu. Poprosił, abym mu dostarczył szczegółowy wykaz rur składowanych w naszych magazynach. Ich liczba, jak się wydawało, była znaczna. Były to na przykład zapasy wyprodukowane bez konkretnych zamówień w ubiegłym roku. Podałem mu liczby.

Dopiero później, kiedy uświadomiłem sobie, do czego były mu potrzebne te informacje, wpadłem w przerażenie. Osadczi, w zмовie z brygadą, wysłał do Moskwy specjalnego agenta, który zawarł tajny układ z Kożownikowem, ówczesnym szefem Głównotrubostalu. Kożownikow z kolei doszedł do porozumienia z Centralnym Zarządem Dostaw Metali dla Przemysłu. Nasz agent wrócił do Pierwouralska z plikiem zamówień na różne typy rur, które miały być wyprodukowane.

Cudownym trafem zamówienia dotyczyły dokładnie takich rodzajów rur, jakie mieliśmy w naszych magazynach. Musieliśmy je tylko oczyścić, naoliwić, zapakować - i wpisać do bieżącej produkcji! Sprytnie zaksięgowanie pozwoliło uratować sytuację.

Było to bezczelne oszustwo. Ale Osadczi, Komitet Miejski, Komitet Obwodowy, aktywiści, w istocie wszyscy byli zachwyceni. I wszyscy udawali, że nie dostrzegają szalbierstwa. Tylko czekiści zakasywali rękawy, wiedząc, że oszustwo daje im do ręki bat na kilku następnych przedstawicieli elity przemysłowej na ich terenie. Zwycięstwo - nie tylko sto procent, ale każdy procent, jakiego byśmy sobie zażyczyli - było w kieszeni.

Zaczął się wielki miesiąc, czerwiec. Od początku dzienna produkcja utrzymywała się na wspaniałym „stachanowskim poziomie”. „Pracujcie tak dalej!” - zachęcały mnie depesze z Moskwy. Pracowaliśmy nieustannie, nie mówiono jednak ani słowa o tym, że czasem ponad dwadzieścia pięć procent dziennej produkcji było oszustwem, składało się z rur składowanych w magazynach. Brygadziści i robotnicy oczywiście nie dali się oszukać. Czytaliienne i tygodniowe

sprawozdania... ale znali prawdę.

Pod koniec miesiąca euforię spiskowców zmącił nieco niepokój. Byli trochę przestraszeni swoim dziełem, a zwłaszcza wielkim rozgłosem, jaki zyskał ich „sukces” w gazetach i w eterze. Wszyscy oni zdawali sobie sprawę, że pewnego dnia sztuczka może obrócić się przeciwko nim i zostać uznana za „okłamywanie rządu i partii”. Moskiewscy aktywiści i miejscowi funkcjonariusze zbliżyli się do siebie w poczuciu wspólnej winy i wspólnego zagrożenia.

Przezornie nie dałem się wciągnąć do ich kręgu. Rozważywszy wszystko, uznałem, że postąpię mądrzej, jeśli nie wezmę udziału w tym żonglowaniu liczbami. Zdawałem sobie zwłaszcza sprawę, że sztucznie zawyżona produkcja czerwcową ustanowi dla mnie niewykonalne normy na przyszłe miesiące. Kiedy zbliżał się koniec wielkiego stachanowskiego miesiąca, zebrałem zasadnicze dokumenty i, aby przedstawić faktyczny stan rzeczy, napisałem raport ujawniający oszustwo. Zaadresowałem go do komisarza Kaganowicza, Kożewnikowa w Gławtrubostalu, Osadczygo i towarzysza Dowbienki z Pierwouralskiego Komitetu Miejskiego, a kopie umieściłem w swoim prywatnym sejfie jako zabezpieczenie na przyszłość.

Osadczy i Dowbienko byli naprawdę przerażeni. Jak się dowiedziałem, natychmiast zatelefonowali do swoich współpracowników w Moskwie, w Gławtrubostalu. Pewni poparcia z góry, wezwali mnie do Komitetu Miejskiego.

- Oszaleliście, Krawczenko? - ryknął Dowbienko. - Wszystko idzie doskonale, Kaganowicz jest zachwycony naszymi postępami, a wy chcecie wkładać kij w szprychy. Co z tego, że posłużyliśmy się paroma sztuczkami, jeśli celem jest podniesienie morale mas pracujących? Nie macie żadnego poczucia obowiązku?

Spacerował wzburzony po swoim gabinecie. Osadczy przygryzał wargi, żeby powściągnąć sprawiedliwy gniew.

- Przykro mi, ale nie mogę się z wami zgodzić - powiedziałem. - Nie brałem udziału w tej hecy i nie będę ponosił odpowiedzialności. Ostrzegam was, że kiedy wrzawa ucichnie, wrócimy do starej wydajności i będą nas obwiniać, że nie potrafimy utrzymać czerwcowych norm.

- Do diabła, rozwiążemy ten problem, kiedy przed nim staniemy! - oświadczył Dowbienko. - Wkraczacie na niebezpieczną ścieżkę, Krawczenko, wychodząc przed szereg. Dyskredytujecie brygadę przysланą przez komisarza, członka Politbiura! To igranie z ogniem.

- Czasem absolutna szczerłość jest absolutną głupotą - wtrącił się Osadczy. - Potrzebujemy trochę życiowej mądrości.

Odmówiłem wycofania raportu.

Niebawem wielki miesiąc się skończył wspaniałym wynikiem

końcowym stu czternastu procent! Moskwa, Swierdłowski, Pierwouralsk rozbrzmiewały fanfarami zwycięstwa. Relacje o „wielkim triumfie w zakładzie Nowotrubnyj” wypełniały całe szpalty gazet. Rankiem 1 lipca otrzymałem telegram z Moskwy:

Gratulujemy Wam wielkiego zwycięstwa. Cieszymy się Waszym szczęściem. Upoważniamy Was do przyznania premii poszczególnym robotnikom. Ufamy, że od tej pory plan będzie regularnie przekraczany.

Dziennikarze przylatywali z Moskwy i przyjeżdżali ze Swierdłowska, aby opisać cud stachanowszczyzny w działaniu. Zakład Nowotrubnyj, w którym poprzedni nieudolny zarząd jeszcze kilka miesięcy temu utrzymywał produkcję na poziomie trzydziestu pięciu czy czterdziestu procent, pod nowym kierownictwem lojalnego bolszewickiego dyrektora Krawczenki osiągnął chwalebne sto czternaście procent! Delegacje z innych pierwouralskich fabryk przyjeżdżały gratulować swoim zwycięskim towarzyszom.

Wszędzie panowała radość, tylko w moim sercu zagościła rozpacz. Wbrew mojej woli wciągnięto mnie w oszustwo i zmuszono do przyjmowania podziękowań i nagród pieniężnych za udział w jego dokonaniu. Za zamkniętymi drzwiami, z pomocą swoich trzech zastępców i głównego księgowego, obliczyłem rzeczywistą wydajność w tym miesiącu. Bez dodatkowej „produkcji” z magazynów wynosiła osiemdziesiąt siedem procent, nieco więcej niż normalnie. To smutne zadanie arytmetyczne przerywały mi kilkakrotnie zamiejscowe telefony z gratulacjami. Na moim biurku piętrzyły się telegramy; jeden z nich był od samego Kaganowicza.

Tego wieczoru zabrałem się do pracy nad dokładnym i bardzo szczegółowym raportem na temat oszustwa, zaadresowanym do Kaganowicza.

Tymczasem w całej fabryce zwoływano masowe wiece, żeby uczcić osiągnięcie. Na terenie fabryki wzniesiono trybunę udrapowaną w czerwone płótno i przystrojoną portretami kremlowskich przywódców. Nieustannie grała orkiestra dęta. Tysiące robotników i pracowników administracji – wielu z nich świetnie zdawało sobie sprawę z oszustwa – zebrały się przed trybuną. Napawałem się rozmyślną ironią, zawartą w niezwykle żywiołowości ich oklasków i w natężeniu gromkich okrzyków, kiedy Osadczy, Dowbienko, przedstawiciele miejscowej partii, a później przywódcy brygady wygłaszali przemówienia.

Osadczy odczytał kilka telegramów gratulacyjnych. Robotnicy swoim niezwykłym wyczynem w tym miesiącu, powiedziano, zawstydzili sceptyków i krytyków. Dali zdecydowaną odpowiedź brudnym sabotażystom i odchyleńcom. W tym miejscu zawołał:

- Niech żyje nasza partia i jej ukochany Przywódca, Nauczyciel, Ojciec i Towarzysz, nasz towarzysz Stalin! Hurra, towarzysze!

- Hurra! - zawtórowały tysiące gardeł, a orkiestra zagrała *Międzynarodówkę*.

Stałem na trybunie i gratulowałem sobie, że uniknąłem męki przemawiania. Ale Dowbienko najwyraźniej zamierzał wciągnąć mnie publicznie do udziału w „zwycięstwie”.

- A teraz - oznajmił - posłuchamy towarzysza, który swoim kierownictwem wniósł tak cenny wkład w uzyskanie wspaniałych stu czternastu procent - towarzysza Krawczenki!

Wstałem. Nie nawiązałem w żaden sposób do czerwcowej produkcji, mówiąc jedynie o problemach, jakie nas czekają, i o potrzebie nieprzerwanego, zorganizowanego wysiłku. Podziękowałem robotnikom za to, co *zrobili*, i podkreśliłem, że jednorazowy zryw nie wystarczy, bo produkcja musi być ciągła. Otrzymałem grzmiące owacje i schodziłem z trybuny z poczuciem, że przynajmniej część słuchaczy mnie zrozumiała.

Wiec zakończył się odznaczeniem mojego zakładu Orderem Czerwonego Sztandaru, który przyjąłem bez uśmiechu z rąk przedstawiciela Komitetu Obwodowego.

Po powrocie do Moskwy brygada została przyjęta przez komisarza, znów w obecności prasy. Jej członków odznaczono i nagrodzono premiami. Gazeta „O industrializację” poświęciła całą stronę cudowi w fabryce Nowotrubnyj, a inne gazety wygłaszały redakcyjne błogosławieństwa. Kiedy wysyłałem swój raport Łazarowi Kaganowiczowi wciąż jeszcze otrzymywałem telegramy z gratulacjami.

Kilka tygodni później znalazłem pretekst, żeby pojechać do Moskwy w nadziei przeciągnięcia na swoją stronę Głównotrubostalu w tym, co, jak się obawiałem, mogło się przerodzić w ogólnokrajowy skandal. Kożewnikow nie krył swojego niezadowolenia; był jednym z głównych uczestników fałszerstwa i ważyła się jego kariera.

- Spróbujcie mnie zrozumieć - przekonywałem. - Jak mam spojrzeć w twarz robotnikom i kadrze technicznej, skoro wszyscy wiedzą albo podejrzewają, że wielkie zwycięstwo było po prostu wielką mistyfikacją? Sami doskonale wiecie, że w następnych miesiącach nie będziemy w stanie utrzymać tego sztucznego rekordu. Robotnicy nic na tym nie zyskają. Jaki sens miało to wszystko?

- Uspokójcie się, Wiktorze Andriejewiczu - odparł cierpko. - Wasza postawa, jeśli wolno mi tak powiedzieć, jest bardzo naiwna. Powinniście patrzeć na takie sprawy szerzej. Jeśli partia uznaje za konieczne popularyzowanie pewnego rodzaju działalności - w tym przypadku stachanowszczyzny - staje się to polityczną koniecznością, w której cel uświęca wszelkie środki. Wasz niepokój jest absurdalny.

- Mylicie się - nie ustępowałem. - Nie można budować na fundamencie z kłamstw. To się z pewnością zemści.

Kożewnikow zaczął tracić cierpliwość.

- Udzielę wam pewnej rady, towarzyszu Krawczenko. Przestańcie robić hałas wokół tej sprawy, bo sami na tym ucierpicie.

Wtedy poszedłem do redaktora naczelnego „O industrializację” . Udał przerażenie, kiedy przedstawiłem mu fakty dotyczące oszustwa, i zachęcał mnie, żebym przed wyjazdem z Moskwy napisał artykuł na ten temat. Zrobiłem to i wysłałem jeden egzemplarz artykułu do redakcji „Prawdy”. Nigdy nie otrzymałem odpowiedzi od żadnej z tych gazet ani od Kaganowicza.

Po powrocie do fabryki zastałem robotników, brygadzystów i niższą kadrę inżynierską w nastroju ponurej urazy. Dużo się mówiło o premiach. Tym ludziom płacono jednak za pracę na akord. Ponieważ w rzeczywistości nie wyprodukowali więcej niż zwykle, ich jedyną nagrodą był udział w ogólnej wrzawie i Order Czerwonego Sztandaru. Ale personel administracyjny, w tym Osadcz i ja, otrzymał wysokie premie: sto pięćdziesiąt procent pensji zasadniczej. W ten sposób moje zarobki czerwcowe przekroczyły cztery tysiące rubli - hojna nagroda za oszustwo, które bezskutecznie próbowałem ujawnić.

Echa moich moskiewskich poczynań dotarły do Pierwouralska i kierownictwo było w stanie morderczej furii. W Komitecie Miejskim - co znamienne, w obecności Parszyna z NKWD - oskarżono mnie o „podrywanie ich prestiżu”. Dlaczego próbuję narobić kłopotów im wszystkim? Dlaczego „dmucham na ogień, który już dawno zgasł”?

Minęły miesiące, zanim ci urzędnicy i koledzy z fabryki wybaczyli mi „zdradę” i znowu się do mnie uśmiechnęli, ale nie żałowałem swoich działań. Cokolwiek się stanie, miałem czystą kartotekę. Ale nic się nie stało. Zbyt wielu wpływowych biurokratów było zamieszanych w ten akt szarlatanerii. „Wspaniałe zwycięstwo” przeszło do historii.

2

W 1938 roku ukazała się nowa oficjalna *Historia WKP(b)* i ten moment wyznaczył zakończenie wielkiej czystki.

Nie chcę przez to powiedzieć, że terror się skończył, że „czarne wrony” zostały bez pracy. „Normalne” aresztowania liczone na tysiące, egzekucje bez procesu, arbitralne zsyłki „elementów niepożądanych” do odległych regionów, tortury i przesłuchania trwały nadal. Populacja obozów i kolonii karnych mnożyła się jak nigdy przedtem. Wśród komunistów zbliżonych do kremlowskiego tronu już szeptało o ponad piętnastu milionach robotników przymusowych, w ciągu następnych kilku lat ich liczba miała wzrosnąć do prawie dwudziestu milionów.

Mam na myśli jedynie to, że systematyczna kampania oczyszczania partii i biurokracji, zaplanowana po zamordowaniu Kirowa, prawie dobiegła końca. Nie było urzędu czy przedsiębiorstwa, placówki gospodarczej czy kulturalnej, biura rządowego, partyjnego czy wojskowego, które nie znalazły się pod nowym zarządem. Gdyby obcy zdobywca przejął machinę radzieckiego państwa i obsadził ją nowymi ludźmi, zmiana nie mogłaby być bardziej całkowita ani bardziej okrutna.

Świat nigdy nie pojął skali tego koszmaru. Może właśnie z racji swoich rozmiarów przekraczał on możliwości pojmowania. Rosja była polem bitwy usłanym trupami, upstrzonym niezliczonymi obozami, gdzie miliony „jeńców wojennych” pracowały, cierpiały i umierały. Jak można objąć umysłem coś takiego? Można patrzeć tylko w ten lub tamten kąt i oceniać całość na podstawie części. Udało mi się, poprzez Kreml, uzyskać kilka oficjalnych danych. Nie pokazują one całej rzeczywistości, pozwalają jedynie oszacować skalę kataklizmu.

W Radzie Komisarzy Ludowych uchował się tylko Mołotow; reszta została zamordowana, uwięziona lub pozbawiona stanowisk. Komitet Centralny partii, w teorii serce i umysł grupy rządzącej, liczy stu trzydziestu ośmiu członków i zastępców; po zakończeniu czystki tylko około czterdziestu spośród nich pozostało w jego składzie. Spośród siedmiuset pięćdziesięciu siedmiu członków CIK, Centralnego Komitetu Wykonawczego, określanego czasami za granicą jako rosyjski „parlament”, zaledwie kilkudziesięciu przetrwało burzę.

Spustoszenie było jeszcze bardziej krwawe w tak zwanych autonomicznych „republikach” i obwodach. Cały skład osobowy ich rządów i organizacji partyjnych został usunięty na polecenie Moskwy – co stanowiło stosowny komentarz do ich rzekomej autonomii. Przemysł i technikę, sztukę i szkolnictwo, prasę i siły zbrojne – wszystko przewrócono do góry nogami, przywódców i najwybitniejsze indywidualności rozstrzelano, uwięziono, zesłano lub w najlepszym razie pozbawiono wpływów.

Kiedy patrzy się na to spiętrzenie koszmarów, pojawia się pokusa, aby skupić się na najślawniejszych i najważniejszych ofiarach, a tymczasem pogrom rozciągnął się na całe społeczeństwo. Z partii rządzącej wykluczono milion osiemset tysięcy członków i kandydatów, czyli ponad połowę, a w większości przypadków wykluczenie oznaczało obóz albo jeszcze gorzej. Co najmniej osiem milionów ludzi, członków Komsomołu i bezpartyjnych, ucierpiało w najróżniejszy sposób – od egzekucji po zsyłkę lub wyrzucenie z pracy.

Ale nawet te wielkie liczby nie oddają całej tragedii. Sam ich ogrom sprawia, że stają się trochę nierzeczywiste. Trzeba myśleć o ofiarach nie w kategoriach bezosobowych, lecz jako o jednostkach. Należy pamiętać, że każdy z tych ludzi miał bliskich, przyjaciół, krewnych,

k którzy dzielili jego cierpienia; każdy z nich miał nadzieje, plany, osiągnięcia, które zostały zaprzepaszczone. Dla przyszłych historyków, dla dzisiejszych socjologów, są to jedynie statystyki. Ale dla mnie, który przez to przeszedłem, cyfry mają ciała, umysły i dusze, które doznawały bólu, zniewag i upokorzeń.

Co więcej, wiem, że miliony, które uniknęły czystki, zostały okaleczone na umyśle i zranione na duszy strachem i okrucieństwami, wśród których żyły. Jeśli chodzi o samą skalę, nie znam w całej historii ludzkości niczego, co dałoby się porównać z tymi rozmyślnymi i bezlitosnymi prześladowaniami, w których dziesiątki milionów Rosjan ucierpiały pośrednio lub bezpośrednio. Kremlowska klika wydała bezwzględną wojnę własnemu krajowi i narodowi.

Koniec tej wielkiej wojny zasygnalizowało ukazanie się nowego podręcznika historii. Był to zapewne dokument bez precedensu. Bezwstydnie, bez żadnego wyjaśnienia, zmieniał pół stulecia rosyjskiej historii. Nie chodzi mi tylko o to, że sfałszowano niektóre fakty lub nadano nową interpretację wydarzeniom. Chodzi o to, że podręcznik stawiał historię na głowie, wymazując wydarzenia i wymyślając fakty. Urabiał niedawną przeszłość – przeszłość wciąż żywą we wspomnieniach milionów ludzi – w nowe i dziwaczne kształty, aby potwierdzić wersję przedstawioną przez procesy pokazowe i towarzyszącą im propagandę.

Była to bezczelna, zwodnicza, przewrotna fikcja. Można się nawet doszukać znamion wielkości w jej bezgranicznym cynizmie, w drwinie ze zdrowego rozsądku obywateli radzieckich. Rola wielkich postaci historycznych została wypaczona lub całkowicie wymazana. Dla innych wymyślono nowe role. Lew Trocki, jeden z twórców Armii Czerwonej, został przedstawiony jako diaboliczny agent zagranicznych kapitalistów, który zamierzał sprzedać własny kraj w zмовie z Rykowem, Bucharinem, Zinowjewem, Kamieniewem, Bubnowem, Kriestinskim, Piatakowem i niemal wszystkimi innymi ojcami rewolucji bolszewickiej. Iosif Stalin wyłonił się oczywiście jako jedyny przywódca w Rosji przed rewolucją, a później jako jedyny bliski i zaufany współpracownik Lenina. Wszystkie książki, artykuły, dokumenty, eksponaty muzealne, które przeczyły tej niezwyklej fikcji uchodzącej za historię – to znaczy niemal wszystkie prace historyczne i polityczne – zniknęły z bibliotek i muzeów w całym kraju!

Co więcej, żyjący świadkowie, o ile było to możliwe, zostali usunięci.

Kadrę kierowniczą Instytutu Marksa-Engelsa-Lenina w Moskwie, strażnika ideologicznej prawdy, usunięto, a ważniejsze osobistości uwięziono lub rozstrzelano. To samo stało się w filiach instytutu w różnych częściach kraju. Przypadkiem znam dobrze losy jednej z najwybitniejszych postaci w instytucie, profesora Sorina, i zdają się

one uosabiać dla mnie całą nikczemną i tragiczną epokę przymusowego fałszerstwa.

W swoim czasie Sorin został potępiony publicznie przez Stalina, ponieważ ośmielił się napisać, że „dyktatura proletariatu” jest w Rosji tożsama z „dyktaturą partii”. Później winowajca potulnie „wyznał swoje błędy” i osiągnął wysoką pozycję jako jeden z mentorów Stalina w dziedzinie teorii marksistowskiej, dostarczając przemówień i artykułów, które Stalin podpisywał własnym nazwiskiem. Mianowany zastępcą dyrektora Instytutu Marksa-Engelsa-Lenina, poszukiwał pracowicie dokumentów i cytatów na poparcie każdej polityki, jaką Stalin życzył sobie narzucić krajowi, i na pozór doskonale przystosował się do sytuacji.

Ale istniała granica, której uległy Sorin nie potrafił przekroczyć. Był gotów znajdować i cytować teksty, tak jak od niego wymagano – ale nie chciał *wymyślać* tekstów i *fałszować* cytatów. I tak w środku pewnej zimowej nocy pod piękne mieszkanie profesora Sorina podjechał samochód NKWD i wywiózł go w nieznane. Wszelki ślad po nim zaginął. Jego żonę i dziecko wyrzucono z mieszkania i pozostawiono samym sobie. NKWD skonfiskowało wszystkie książki, papiery i notatki profesora.

Innych pracowników instytutu, którzy zbyt dobrze znali komunistyczną historię i teorię, by pogodzić się z zafałszowaną wersją, uciszono w podobny sposób, wśród nich głównego dyrektora Władimira Adoratskiego. Szef wydziału propagandy partyjnej, Stiecki, został aresztowany. Tysiące innych, pracujących na „froncie” historycznym, politycznym i literackim, wysłano w drogę bez powrotu. Tak przygotowano grunt pod fałszerstwo bez miary i granic. Nowa „historia” stała się możliwa.

Aby fikcja utrzymała się głębiej w naszych umysłach, „studiowanie” nowej wersji stało się obowiązkowe dla wszystkich odpowiedzialnych członków partii. W tamtym okresie odczyty historyczne odbywały się niemal co wieczór, a wykładowcy ze Swierdłowska przyjeżdżali do naszego miasta, żeby wbijać nam do głów kłamstwo, podczas gdy większość z nas burzyła się w środku. Znieważano resztki ludzkiej godności, jakie jeszcze w nas pozostały. Ale nawet najbardziej monstrualne kłamstwo, dzięki nieustannemu powtarzaniu, zapuszcza korzenie; Stalin wiedział o tym, zanim odkrył to Hitler. Kiedy się przyglądałem, widziałem, jak straszliwe fałszerstwa, początkowo akceptowane pod przymusem, stają się niekwestionowanymi „faktami”, zwłaszcza wśród młodych ludzi bez osobistych doświadczeń, które by im przeczyły.

Co się tyczy świata zewnętrznego w tej zafałszowanej wersji historii, we wprowadzeniu do podręcznika znalazło się następujące

stwierdzenie: „Studiowanie historii WKP(b) wzmacnia pewność, że wielka sprawa partii Lenina-Stalina ostatecznie zwycięży, że komunizm zwycięży na całym świecie”. Mimo odrodzenia rosyjskiego nacjonalizmu ten dogmat pozostaje niezmienny. Chociaż Międzynarodówka Komunistyczna została rzekomo „rozwiązana”, przekonanie o zwycięstwie stalinowskiej światowej rewolucji wcale się przez to nie zmniejszyło. Jest to nadal oficjalna historia, nie tylko dla komunistów w Rosji, lecz dla komunistów w Ameryce, Anglii i na całym świecie.

Przypadło mi w udziale wygłoszenie „wykładu” na temat jednego z etapów historii partii dla odpowiedzialnych członków partii rejonu pierwouralskiego. Przeszedłem oczywiście przez tę bolesną farsę tylko dlatego, że było to polecenie Komitetu Miejskiego, któremu nie ośmieliłem się sprzeciwić. Temat brzmiał: „Partia komunistyczna w walce o kolektywizację rolnictwa”. Nauczyłem się na pamięć odpowiednich ustępów z *Historii WKP(b)*, przeczytałem przemówienia Stalina dotyczące tej kwestii, po czym stanąłem przed audytorium pełnym ludzi i kłamałem, tak jak mi kazano, przez ponad godzinę.

Każde fałszerstwo otwierało na wpół zagojone rany moich wstrząsających doświadczeń podczas kolektywizacji i jej pokłosa w postaci głodu. Czułem się tak, jakbym szydził z dzieci ze wzdętymi brzuchami, wśród których pracowałem, i bezcześcił zwłoki, które widziałem zwalone na stertę w wioskach. A kiedy mówiłem, przez cały czas nie miałem najmniejszych wątpliwości, iż moi słuchacze również wiedzą, że kłamię. Moje słowa i ich oklaski były tak samo nieprawdziwe; wszyscy byliśmy aktorami odgrywającymi wyznaczone role w tragikomedii politycznej.

Dlaczego ja i moi słuchacze poddaliśmy się temu poniżeniu? Z tego samego powodu, dla którego oddajemy portfel bandycie, który mierzy do nas z pistoletu. Niech żaden cudzoziemiec, pewien swoich praw obywatelskich, nie patrzy z wyższością na Rosjan zmuszonych do wygłaszania „wykładów”, tak jak ja to zrobiłem, i do klaskania, tak jak moi słuchacze.

Równolegle z tą „edukacją” partyjnych i bezpartyjnych zgodnie z przerobioną historią, oficjalni propagandyści odwoływali się skutecznie do dwóch motywów zagranicznych. Pierwszym był jednostronny i zniekształcony opis życia w świecie kapitalistycznym, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych i w Anglii. Wykładowca pokazywał zdjęcia wycięte z zagranicznych gazet, na których policja biła strajkujących, rozpędzano demonstrujących bezrobotnych sikawkami strażackimi, obrzucano granatami gazowymi robotników. Przedstawiany jako kompletny obraz kapitalizmu, taki materiał wywierał głębokie wrażenie, wydawał się autentyczny, udokumentowany, nieodparty.

Drugi polegał na cytowaniu ataków nieprzychylnie nastawionych cudzoziemców na Związek Radziecki, w których występowały lekceważące i obraźliwe uwagi o narodzie rosyjskim. W tych tekstach brakowało wyraźnego rozróżnienia pomiędzy narodem rosyjskim a reżimem radzieckim, obrażały więc zarówno godność ludzką, jak i dumę narodową słuchaczy.

Należy wspomnieć o jeszcze jednym rezultacie wielkiej czystki. Każdy komunista posiada legitymację partyjną. Jest to jego osobisty paszport, certyfikat polityczny. Książeczka, oprócz danych personalnych, zawiera podpisy lokalnych funkcjonariuszy partyjnych, którzy ją wydali. Ponieważ większość ważniejszych funkcjonariuszy partyjnych padła ofiarą czystki, okazało się, że status większości komunistów potwierdzili wrogowie ludu. Kreml nie mógł tolerować tego przejawu ironii. Aby wymazać charakter pisma i pamięć o martwych i aresztowanych, jesienią 1938 roku zarządzono nową rejestrację członków partii. Wszystkie legitymacje partyjne wydane przez zlikwidowanych „wrogów ludu” zastąpiono nowymi.

Procedura przekształciła się w nową, chociaż mniejszą czystkę. Każdy komunista znowu stawał przed trzyosobową komisją i poddawał się wymyślnemu przesłuchaniu. Nowe legitymacje były zaopatrzone w fotografię. Poza tym dla każdego komunisty sporządzano specjalną książeczkę, w dwóch egzemplarzach, zawierającą szczegółowe dane personalne, historię działalności, odznaczenia, kary; jeden egzemplarz składano w Komitecie Miejskim, drugi w Komitecie Centralnym w Moskwie. Przypominało to raczej rejestrację policyjną niż spis członków organizacji politycznej. Zniknęły ostatnie pozory, że uczestniczymy w dobrowolnym stowarzyszeniu.

Aby nie było pod tym względem żadnych złudzeń, weszło w życie nowe rozporządzenie: od tej pory komunista, który chciał wyjechać z miasta lub z obwodu i zamieszkać w innym – nawet jeśli robił to na polecenie z góry – musiał czekać na oficjalną decyzję Komitetu Miejskiego, upoważniającą go do wyjazdu. Partia rządząca stała się w efekcie kolejnym więzieniem – wyposażonym w wygody i tysiące przywilejów, jakimi nie cieszyli się pensjonariusze większego więzienia, nazywanego Rosją, ale mimo wszystko miejscem, gdzie wolność jest ograniczona.

Pewnego dnia, kiedy na Uralu dawało się już odczuć pierwszy powiew zimy, sekretarz Dowbienko poinformował mnie, że przypadnie mi zaszczyt odegrania ważnej roli w nadchodzących „wyborach” do Rady Najwyższej. Komitet Centralny partii wskazał towarzysza Kuźmina jako kandydata do Rady Najwyższej z obwodu pierwouralskiego, a ja uzyskałem przywilej „nominowania” go oficjalnie na ogólnym zebraniu

wyborców.

- Ale dlaczego Kuźmin? - spytałem. - Nie mieszka tutaj i nikt go tu nie zna. Jako zastępca komisarza przemysłu ciężkiego mieszka i pracuje w Moskwie. Poza tym ja sam prawie go nie znam.

Moje obiekcje zostały odrzucone. Ponieważ zakład znalazł się na świeczniku jako zdobywca Orderu Czerwonego Sztandaru, uznano mnie za odpowiedniego człowieka do przedstawienia Kuźmina wyborcom. Miał być oczywiście jedynym kandydatem. Myśl, że mógłby być inny kandydat, konkurujący z człowiekiem wybranym przez partię, nie przyszła nikomu do głowy; nie mieściło się to w doświadczeniach nowego pokolenia.

Wyposażony w teczkę z informacjami o „swoim” kandydacie, poświęciłem kilka wieczorów na przygotowanie przemówienia. W rytualnych frazach z radzieckiej demagogii pochwaliłem Kuźmina, „prawdziwego syna partii i narodu”, za jego zasługi dla rewolucji i lojalność wobec Przywódcy. Dowbienko i jego koledzy przeczytali rękopis, wprowadzili rozmaite poprawki i wyrazili zadowolenie.

Kilka dni później zajechał pod moją fabrykę sznur eleganckich samochodów. „Mój kandydat”, z którego istnienia jeszcze tydzień temu ledwo zdawałem sobie sprawę, wysiadł w otoczeniu czekistów i swojej partyjnej świty. Wyglądał niezwykle: mężczyzna o grubo ciosanych rysach, z jednodniowym zarostem, w nędznym ubraniu. Jego haftowana rosyjska koszula była zacerowana przy kołnierzyku, na głowie miał robociarski kaszkiet, na nogach wojskowe buty. Krótko mówiąc, przebrał się za proletariusza!

Byłem zdegustowany tą maskaradą i swoim udziałem w tym szalbierstwie. O czwartej na głównym placu Pierwouralska rozpoczął się wiec wyborczy. Z okolicznych fabryk przybyły delegacje ze sztandarami i transparentami. Na scenę wmaszerowali komsomolcy, ich młode głosy zaintonowały wzniosłą pieśń. Udrapowaną czerwonym płótnem trybunę zdobiły portrety Stalina, Mołotowa, Kalinina, Woroszyłowa i innych przywódców. Zająłem swoje miejsce na trybunie, razem z Dowbienką, Osadczim, Kuźminem i innymi dygnitarzami, a orkiestra zagrała *Międzynarodówkę*.

W odpowiednim momencie wygłosiłem swoje przemówienie, wychwalając Kuźmina jako „najlepszego z najlepszych”. Ludzie wiwatowali, orkiestry grzmiały. Kilku innych też przemówiło. Wreszcie sam Kuźmin podziękował ludziom za „zaufanie” i zapewnił, że będzie im wiernie służył, „jeśli go wybiorą”.

- Niech żyje Mózg, Serce, Siła Partii i Narodu Radzieckiego, nasz Ukochany Przywódca i Nauczyciel, towarzysz Stalin! - zakończył i muzyka raz jeszcze wzmocniła aplauz.

Kiedy schodziliśmy z trybuny i udawaliśmy się na galowy obiad,

czekający na najwyższych dygnitarzy Kuźmin ujął moją rękę.

- Dobre przemówienie, towarzyszu Krawczenko - powiedział. - Dziękuję wam, dziękuję. Jak będziecie w Moskwie, przyjdźcie do mnie. Zawsze chętnie wam pomogę.

Kiedy ściskaliśmy sobie dłonie, nie mogłem nie zauważyć, że ma starannie wypielęgnowane paznokcie.

Niebawem, jak się okazało, rzeczywiście pojechałem do Moskwy w związku ze sprawą, w której Kuźmin mógłby być użyteczny, gdyby chciał. Jego biuro było wielkie i z przepychem umeblowane. Ku swemu zdziwieniu musiałem dość długo czekać. Kiedy wreszcie wszedłem do jego prywatnego gabinetu, stanąłem twarzą w twarz z człowiekiem, który niewiele przypominał proletariusza z pierwouralskiej trybuny. Kuźmin miał na sobie europejski garnitur i krzykliwy krawat. W tym nadętym, dobrze ubranym, zbyt dobrze odżywionym polityku nie pozostał żaden ślad niedbałego, swobodnego sposobu bycia prostego człowieka.

- O co chodzi, towarzyszu? - spytał z irytacją, patrząc na mnie tępo. - Skąd jesteście?

W tym momencie uświadomiłem sobie, że całkowicie zapomniałem o człowieku, który przedstawiał go „elektoratowi”. Był to ostatni akt farsy jednopartyjnych wyborów z udziałem jednego kandydata, przeprowadzonych zgodnie z „najbardziej demokratyczną konstytucją na świecie”.

3

Niewiele powiedziałem o swoim prywatnym życiu na Uralu, a wcześniej w Taganrogu i Nikopolu. Sam odczuwam ten brak. Niemal słyszę, jak czytelnik pyta: czy radzieccy kierownicy zakładów przemysłowych są maszynami bez żadnych osobistych wymiarów w swoim życiu?

Przesadziłbym, gdybym odpowiedział na to pytanie twierdząco. My, Rosjanie, jesteśmy ludźmi towarzyskimi, serdecznymi, gadatliwymi i skorymi do zawierania przyjaźni. Mamy serce na dłoni. Pod tym względem nie jestem wyjątkiem.

W tamtych latach zawierałem dziesiątki, a nawet setki przyjaźni. Należy pamiętać, że dla tysięcy mężczyzn i kobiet wokół mnie byłem ważną osobą, jednym z partyjnych wybrańców. Mogłem szafować łaskami. Pod moim dachem znajdowali dostatek i wygodę - rzeczy i warunki, których wszystkim z wyjątkiem garstki ludzi rozpaczliwie brakowało. Mój poziom życia był skromny, a nawet lichej w porównaniu z ludźmi na podobnych stanowiskach w Ameryce. Ale w Nikopolu, Taganrogu, Pierwouralsku czy nawet w Moskwie tak dalece odbiegał od przeciętnej, od poziomu klasy pracującej, że zdawałem się żyć

w odrębnym świecie. Niewielu spośród tych, którzy zazdrościli swoim dobrze opłacanym nowym panom lub mieli okazję ujrzeć smętny przepych naszego życia, zdawało sobie sprawę z ciężaru strachu, braku osobistej wolności i zawodowej niezależności, torturze niepewności, w jakiej cieszyliśmy się naszymi przywilejami.

Owszem, zawierałem przyjaźnie, a od czasu do czasu wpadał moimi drzwiami powiew romantyzmu. Ale patrząc wstecz, było tych rzeczy żałośnie mało. Stosunki międzyludzkie w tym okresie dla ludzi o mojej pozycji znajdowały się na drugim planie, zdominowane przez ciężką pracę i politykę. Iskry romantyzmu nie mogły się oprzeć wichrom strachu. Niewielu z nas czuło się zadomowionych, zakorzenionych. Dni upływały nam w pośpiechu i poczuciu tymczasowości – były jedynie przystankami w drodze do kolejnego przydziału lub nagłego końca. Zawierając przyjaźnie, czuliśmy się jak pasażerowie spotykający się na krótko na dworcowym peronie, zanim wsiądą do pociągów jadących w przeciwnych kierunkach.

Ale to tylko część prawdy. Jeśli tamte lata wydają się takie puste, mimo burzliwych wydarzeń, to dlatego, iż żyłem w duchowej próżni. Straciwszy wiarę w Wielki Eksperyment, nie miałem się czego trzymać z wyjątkiem pracy oraz nikłej i nieprawdopodobnej nadziei ucieczki. Jak człowiek miał zachować wewnętrzną godność, skoro byle kaprys jakiegoś wielmoży w Moskwie lub nadgorliwego lokalnego urzędnika mógł w jednej chwili wymazać całą jego osobowość? Jak miał zachować szacunek do samego siebie pod miriadami oczu wulgarnych i aż nazbyt często złośliwych szpiegów?

Bywały chwile, kiedy patrzyłem z zawiścią na życie rodzinne niektórych kolegów i zastanawiałem się, czy nie byłbym szczęśliwszy z żoną i dziećmi. Ale myśl o tym, o ileż straszniejsze musi być aresztowanie męża i ojca, szybko leczyła mnie z zazdrości. W swoim ograniczonym czasie wolnym jeździłem do Swierdłowska na operę lub sztukę teatralną. Dużo również czytałem – literaturę dla własnej przyjemności i dzieła polityczno-ekonomiczne z partyjnego obowiązku: nie wolno było pozostawać w tyle ze znajomością Lenina, Stalina, Marksa, Engelsa.

Kołpowscy – Konstantin Michajłowicz, który pracował u nas jako główny inżynier, jego piękna żona Wiera i Ninoczka, ich siedmioletnia córka – byli jedną z rodzin, które nasilały moją tęsknotę za normalnym życiem domowym. Wydawali się tak związani naturalną, zwyczajną miłością, że trudno było myśleć o jednym z nich, nie myśląc jednocześnie o pozostałych. Odwiedzałem ich od czasu do czasu i dla małej Ninoczki stałem się wujkiem Witią, ze wszystkimi wynikającymi stąd przywilejami i obowiązkami.

Kiedy pod koniec lata Kołpowski pojechał służbowo do Moskwy,

poprosił mnie, żebym zaopiekował się jego rodziną. Wieczorem w przeddzień jego powrotu Wiera i Ninoczka przyszły do mnie na herbatę. Konstantina Michajłowicza nie było prawie dwa tygodnie, nie mogły więc zapanować nad radością i podnieceniem z jutrzejszego spotkania. Nie potrafiły mówić o niczym innym.

Zaprosiłem też dyrektora Osadczygo i jakiś czas później się zjawił. Przywitał się z panią Kołpowską i z dziewczynką dosyć nerwowo, a nawet z pewnym rozdrażnieniem, jakby czuł się zakłopotany ich obecnością. Nie przejąłem się jego nastrojem, prawdopodobnie wynikał z jakichś problemów w fabryce. Ale niebawem znalazł pretekst, żeby wyciągnąć mnie na balkon. Był ciepły wieczór, wypełniony przenikliwym, sosnowym zapachem okolicznych lasów.

- Dlaczego mi nie powiedzieliście, że będą tu Kołpowskie? - spytał cichym, napiętym głosem.

- Co za dziwne pytanie! Czy to robi jakąś różnicę?

- Nie rozumiecie, Wiktorze Andriejewiczu. Sytuacja jest dosyć niezręczna, ponieważ Kołbin powiedział mi w wielkiej tajemnicy...

- Co wam powiedział?

- No cóż, nie wolno mi o tym mówić, ale chyba powinniście wiedzieć. Kołbin i kilku ludzi ze swierdłowskiego NKWD będą czekali jutro w Swierdłowsku na ekspres z Moskwy. Mają rozkaz aresztować Kołpowskiego.

- To niemożliwe! Biedna Wiera, biedna Ninoczka. Ale dlaczego, dlaczego?

- Na ten temat wiem tyle samo, co i wy. Wiecie, jak to jest. Ale lepiej wracajmy, bo zaczną się zastanawiać.

Kilka minut później Osadczy wybąkał jakieś przeprosiny i opuścił nas. Wiera i Ninoczka zostały jeszcze godzinę - rozszczebiotane, podekscytowane, z niecierpliwością wyglądające jutra. Planowały podróż do Swierdłowska.

- Konstantin zawsze udaje, że się nas nie spodziewał i że jest zaskoczony - roześmiała się Wiera.

- A wiesz, wujku Witiu, tatuś na pewno przywiezie mi lalkę i książki z obrazkami i cukierki i mnóstwo innych rzeczy - powiedziała Ninoczka. Uściskała mnie z radości. - Jest najlepszym tatusiem na świecie, a ja będę miała dla niego bukiet leśnych kwiatów. Sama je nazrywam.

Z trudem odzyskałem panowanie nad sobą i udawałem, że cieszę się ich szczęściem. Kiedy wreszcie wyszły, opadłem wyczerpany na fotel. Myśl o tym, co je czeka, raniła mi serce. Nic by z tego nie przyszło, gdybym je ostrzegł, a mógłbym narazić je, Osadczygo i siebie na poważne kłopoty.

Około północy zadzwonił telefon.

- Wiktorze Andriejewiczu, tu Kołbin. Czy mogę jutro pożyczyć

waszego forda? Muszę pilnie wyjechać do Swierdłowska.

- Nie, przykro mi, Kołbin, sam go potrzebuję - odparłem szorstko. Nie miałem najmniejszej ochoty wypożyczać własnego samochodu do tej brudnej sprawy.

- Ale macie przecież nowy samochód. Proszę, nie róbcie problemu. Ten telefon to zwykła formalność - mam już zgodę Osadczego.

Świadomość, że mój samochód zabrał jednego z funkcjonariuszy na dworzec, powiększył moje brzemię smutku następnego ranka. Chociaż byłem w pracy, oczyma duszy widziałem tę ponurą scenę. A moja wyobraźnia nie odbiegała daleko od rzeczywistości. Scenę opisał mi później, z nieskrywaną uciechą, sam Kołbin.

Kiedy pociąg przyjechał, matka i córka czekały na peronie. Były w swoich najlepszych sukienkach, uśmiechnięte i szczęśliwe, z kwiatami w dłoniach.

- Jest! - zawołała Ninoczka i wraz z matką pobiegła w stronę Kołpowskiego, który wysiadał, niosąc dwie walizki. Był przystojnym, barczystym mężczyzną z grzywą ciemnych włosów. Na jego twarzy pojawił się radosny uśmiech, kiedy zobaczył swoje „dwie dziewczyny”, jak je zawsze nazywał.

Ale nagle wkroczyli pomiędzy nich funkcjonariusze NKWD z rewolwerami w rękach. Poinformowali osłupiałego inżyniera, że jest aresztowany, wzięli od niego walizki i wepchnęli go do czekającego samochodu. Nie dali mu nawet czasu, żeby przywitał się z rodziną. Wiera i Ninoczka wybuchnęły histerycznym płaczem. Funkcjonariusz NKWD pojechał z nimi samochodem - ich dom miał zostać przeszukany i trzeba się było upewnić, że pani Kołpowska niczego nie tknie.

Później nikt nie śmiał utrzymywać kontaktów z żoną Kołpowskiego, a koleżanki Ninoczki dokuczały jej z właściwym dzieciom okrucieństwem. „Twój tata jest wrogiem ludu i nie będziemy się z tobą bawić” - skandowały chórem. Z bólem przypominałem sobie czasy, dawno, dawno temu, kiedy mali chłopcy w Jekaterynosławiu natrzęsali się ze mnie, ponieważ mój ojciec był w więzieniu. Kołpowskie wyrzucono oczywiście z fabrycznego mieszkania.

Aresztowanie głównego inżyniera zaniepokoiło całą kadrę techniczną. Do warsztatów docierały najróżniejsze pogłoski. Ponieważ utrzymywałem bliskie kontakty zawodowe z Kołpowskim, wszyscy spodziewali się mojego aresztowania i szczerze mówiąc, sam byłem zaskoczony, że nie nastąpiło. Do dzisiaj nie mam pojęcia, jakie wysunięto przeciwko niemu zarzuty - był kompetentnym i lojalnym inżynierem, członkiem partii, ale niemal obojętnym na politykę.

Później dowiedziałem się, że po kilku miesiącach spędzonych w więzieniu Kołpowski został „zrehabilitowany” i nawet przyjęty z powrotem do partii. Zrobił świetną karierę w swoim zawodzie, a rząd

przyznał mu nawet odznaczenie. Ale okres cierpienia podkopał jego zdrowie. Jego dawna energia, dawna radość życia, odeszły na zawsze.

4

Dla obserwatora z zewnątrz osobista historia radzieckiego urzędnika może mieć trzy wymiary tylko pod warunkiem, że tło nie zostanie zamazane ani zapomniane: tło w postaci niedożywionych, żyjących w nędzy, cierpiących i pogardzanych mas, pozbawionych elementarnych swobód politycznych i ekonomicznych.

Prawie nie było dnia, żeby jakiś robotnik lub jego żona nie przychodzili do mnie z opowieścią o nędzy lub chorobie. Robiłem, co mogłem, ale zawsze było to żałośnie mało. Czasem udawało mi się przedrzeć przez biurokrację, żeby zdobyć parę butów lub ubranie robocze dla kogoś, kto bardzo ich potrzebował. Od czasu do czasu zmuszałem do działania służbę zdrowia, jeśli w grę wchodziło życie dziecka. Ale zło było zbyt powszechne i zbyt głęboko zakorzenione, żeby sporadyczne starania nielicznych wrażliwych na ludzkie cierpienie urzędników mogły je uśmierzyć, nie mówiąc już o wyleczeniu. Najgorsze, kiedy spoglądam z perspektywy, jest to, że cierpienia zwykłych ludzi przyjmowano jako coś oczywistego. Były akceptowane jako naturalne i nieuchronne, jak błoto i surowość naszego uralskiego klimatu.

Pomimo oficjalnych środków, aby przywiązać robotników do miejsca pracy, fluktuacja siły roboczej utrzymywała się na zastraszająco wysokim poziomie. W moim zakładzie na ogólną liczbę tysiąca siedmiuset zatrudnionych, co miesiąc znikало od dwustu do trzystu. Nie trzeba mówić, jak się to odbijało na ciągłości i wydajności produkcji.

Tylko rzeczywista poprawa warunków życia mogła rozwiązać ten problem. Robotnikiem, który pakował swój nędzny dobytek i ruszał szukać pracy gdzie indziej, powodowała czysta rozpacz. Pewnie usłyszał, że gdzieś indziej jego rodzina może dostać lepszą płacę, lepsze wyżywienie, czystsze miejsce do życia. Ale nowi władcy woleli zamykać oczy na przyczyny i walczyć ze skutkami. Rządowa propaganda wymyślała wiele obraźliwych określeń dla obywateli szukających lepszego życia. Nazywała ich nierobami, dezertkami z frontu pracy, elementami niepewnymi. I przepisywała dużą dawkę jedyne go radzieckiego lekarstwa na wszelkie bolączki społeczne: przymusu.

Lekarstwo przybrało formę nowych „książeczek pracy” dla wszystkich robotników. Chociaż oficjalnie wprowadzono je 15 stycznia 1939 roku, faktycznie wydawanie nowego dokumentu rozpoczęło się kilka tygodni wcześniej. Prasa wychwalała to jako dowód „rozwoju i pomyślności klasy pracującej, jej lojalności wobec Socjalistycznej Ojczyzny”. Decyzja,

choć podjęta przez Politbiuro i narzucona masom, które postrzegały ją jasno jako jeszcze jedno ograniczenie w ich więziennym życiu, była przedstawiana jako jedyna broń robotników w walce z „leniwymi dezorganizatorami produkcji”.

Książeczka pracy stała się dla szeregowego robotnika tym, czym legitymacja partyjna dla komunisty. Nie mógł już porzucić miejsca pracy bez wpisu w książeczce, który go do tego upoważniał. Nie mógł dostać innej pracy, jeśli w książeczce nie znalazł się wpis o jego zwolnieniu z poprzedniego miejsca zatrudnienia. Co więcej, w książeczce odnotowywano wszystkie nagany i kary za lenistwo, błędy i inne wykroczenia. W ten sposób robotnik musiał wlec za sobą brzemień całej przeszłości wszędzie, dokądkolwiek się udał; nie mógł już mieć nadziei, że w innym mieście lub innym zakładzie zacznie wszystko od nowa.

Rozmawiałem z dziesiątkami mężczyzn i kobiet w zakładzie Nowotrubnyj w czasie, kiedy wydawano nowe książeczki pracy. Wszyscy bez wyjątku byli rozgoryczeni. Najbardziej łatwowierny niewykwalifikowany robotnik uważał nowy wynalazek za kolejne oficjalne oszustwo. Nawet ci, którzy nie zamierzali porzucić pracy, czuli się uwięzieni.

- Kto chce opuszczać fabrykę, jeśli życie tam jest całkiem przyzwoite?
- mówili mi. - Czym się będziemy różnili od ludzi w obozach?

Ale w normalnym radzieckim stylu ofiary zmuszono do zaakceptowania nowych kajdan nie tylko „chętnie”, ale „z entuzjazmem”. Nie dość było znosić chłostę, musieli jeszcze całować bat i krzyczeć „hurra”. Działacze związków zawodowych prowadzili „kampanię edukacyjną” na temat uroków nowej „dyscypliny”. Urządzali masowe wiece, na których wybrani członkowie partii spośród robotników wychwalali nowe błogosławieństwo i na których przyjmowano jednogłośnie wrzaskliwe rezolucje przygotowane przez Komitet Miejski w duchu wytycznych z Moskwy.

Do naszej fabryki przyjechała komisja śledcza, żeby sprawdzić, czy nowe stalinowskie książeczki pracy zostały wydane. Jeden z jej członków, jak się okazało, był moim kolegą z instytutu. Przy kolacji poruszyliśmy kwestię książeczek pracy. Mój przyjaciel, który odwiedził wiele fabryk, wydawał się zdeprymowany. Udzieliło mu się powszechne niezadowolenie robotników.

- Tak, wygłaszam płomienne przemówienia o tym nowym radzieckim osiągnięciu - westchnął - ale, Witiu, nie mówię z serca. Najpierw karty policyjne dla członków partii, teraz żółte bilety dla robotników!

Co dziwne, słyszałem już to samo określenie od kogoś innego. Jeden z moich zastępców przyszedł do mnie z jakąś sprawą.

- No cóż, Wiktorze Andriejewiczu - powiedział z cierpkim uśmiechem - możecie mi pogratulować. Właśnie otrzymałem swój żółty bilet, jak

prostyutka...

Zadbawszy o to, aby proletariusze nie uciekali, rząd zrobił kolejny krok w kierunku „socjalizmu”: zarządził ogólnokrajową rewizję norm pracy. Związki zawodowe znowu zorganizowały hałaśliwą kampanię, a rewizja w każdym przypadku następowała oczywiście do góry. Znowu na publicznych wiecach pracownicy różnych wydziałów przyjmowali „dobrowolnie” rezolucje zwiększające normy pracy, co w efekcie oznaczało obniżenie ich zarobków. Pierwouralskie gazety z rozrzewnieniem opisywały wielki entuzjazm, chociaż nikt z obecnych nie widział nic poza rutynowym podnoszeniem rąk i rutynowym klaskaniem.

Przywiązawszy robotników do maszyn i wymusiwszy zwiększenie wydajności za tę samą płacę, byliśmy gotowi na następny i najbardziej upokarzający dowód godności pracy w warunkach dyktatury proletariatu. Najpierw przyszła głośna i gwałtowna burza propagandowa na temat nieróbstwa i spóźnialstwa. W różnych miastach urządzono „pokazowe rozprawy” z „nierobami”. Gdyby w tym czasie i miejscu zstąpił na Ziemię człowiek z Marsa, doszedłby do przekonania, że my, Rosjanie, jesteśmy narodem leniwych nierobów wylegujących się do południa w puchowych łóżach; w naszym nieróbstwie dostrzegłby proste wyjaśnienie powszechnych niedoborów.

Potem przyszedł drakoński dekret o „umocnieniu socjalistycznej dyscypliny pracy”. Naiwni cudzoziemcy, którzy zdają się dostrzegać w Rosji „demokrację ekonomiczną” i „robotnicze społeczeństwo”, powinni uważnie przestudiować ten dekret. Powinni się zastanowić, czy uciskani robotnicy w ich barbarzyńskich krajach znieśliby takie traktowanie.

Nowe zarządzenie przewidywało, że każdego, kto spóźni się do pracy więcej niż dwadzieścia minut, należy oddać do dyspozycji miejscowego prokuratora. Należy go osądzić, a jeśli zostanie uznany za winnego, skazać na więzienie lub pracę przymusową. W obawie, aby „wrażliwi” urzędnicy i „zgnili burżuazyjni liberałowie” w lokalnych sądach nie okazywali nadmiernej pobłażliwości, dekret nakazywał aresztowanie i ukaranie urzędników i wszystkich innych, którzy próbowaliby osłaniać winnych spóźnienia. Tylko poważna choroba, poświadczona oficjalnie przez zakładowego lekarza, lub śmierć któregoś z członków rodziny stanowiły dopuszczalny dowód niewinności. Zwykłe zaspanie lub trudności z komunikacją nie mogły służyć jako usprawiedliwienie.

W swojej karierze pracownika administracyjnego w przemyśle widziałem wiele ciosów spadających na biedne głowy robotników. Ale żaden z nich nie był tak niesłychany, tak ogłuszający jak ten. Z początku większość ludzi uznała dekret za zbyt drastyczny, aby dało się go wprowadzić w życie. Ale szybko zrozumieliśmy, że Stalin nie żartuje.

Dwadzieścia minut wyznaczyło granicę pomiędzy ograniczonym niewolnictwem „wolnych” robotników a całkowitym niewolnictwem robotników przymusowych.

Każdego ranka znajdowałem na biurku listę spóźnialskich wraz z dokładną liczbą minut spóźnienia. Organizacje partyjne i związkowe w zakładzie otrzymywały kopie tego dokumentu. Nie miałem innego wyboru, jak go podpisać i oddać dyrektorowi, który z kolei przekazywał go prokuratorowi. „Przestępców” szybko wzywano do sądu na rozprawę. Uznaliśmy to za niewiarygodne, że jedynych żywicieli można naprawdę oderwać od rodzin i skazać na rok lub więcej pracy przymusowej z tak błahego powodu. Ale straszliwie się myliliśmy. Poza ostrzeżeniem zawartym w samym dekrete, sądy otrzymały surowe instrukcje, aby postępować bezwzględnie. Spełniały swój obowiązek, chociaż niewielu prokuratorów i sędziów potrafiło ukryć poczucie wstydu.

W ciągu pierwszych trzech miesięcy w całej Rosji około miliona robotników i urzędników postawiono przed sądem za nieróbstwo i przekroczenie dwudziestominutowego okresu łaski, i większość z nich skazano! Ojców i matki wywlekano z domów, pozostawiając ich dzieci na pastwę głodu lub oddając je do sierocińców, za to, że zaspali lub że zakładowi lekarze nie uznali ich choroby za dostatecznie poważną. Nad posępными barakami i blokami mieszkalnymi rozległ się wielki płacz smutku i rozpacz, ale nie był wystarczająco głośny, by dotrzeć do uszu Politbiura. Idioci, którzy pragną rozciągnąć błogosławieństwa takiej „demokracji ekonomicznej” na inne kraje i narody, nie usłyszeli go do dzisiaj.

Przyszedł do mnie pewien stary pracownik. Znałem go jako kompetentnego i zdolnego robotnika. Płakał. Zanim się jeszcze odezwał, wiedziałem, o co chodzi. Widziałem jego nazwisko na codziennej liście smutku.

- Spóźniłem się pół godziny - przyznał. - Ale jestem starym człowiekiem. Te ręce pracowały przez czterdzieści lat. Co się stanie z moją żoną i dziećmi? Pomóżcie mi, pomóżcie, towarzyszu dyrektorze!

- Dlaczego się spóźniliście?

- Strasznie bolał mnie ząb. Przez całą noc nie dawał mi spać. Nad ranem wreszcie zasnąłem i nie obudziłem się na czas. Biegłem do warsztatu prawie bez ubrania, jakby mnie diabeł gonił. Ale nie zdążyłem!

- Wierzę wam, towarzyszu, ale w tej kwestii nie mam wyboru. Gdybym skreślił wasze nazwisko, sam poszedłbym do więzienia. Mogę tylko wysłać notatkę lekarzowi i poprosić go, żeby wam pomógł.

Napisałem notatkę. Ale najwyraźniej lekarz bał się o własną skórę. Starego człowieka wezwano do sądu.

Pewna robotnica odepchnęła sekretarki i wpadła do mojego gabinetu. Płakała głośno chłopskim zwyczajem.

- Usiądźcie i uspokójcie się! - błagałem.

Okazało się, że spóźniła się prawie godzinę i już dostała wezwanie do sądu. Była wdową utrzymującą ze swojej pracy w fabryce dwoje dzieci, jedenastoletnią córkę i drugą, dwuletnią. Starsza córka, wyjaśniła, jest bardzo chora. Wezwała lekarza, ale zanim przyszedł i zbadał chorą, spóźniła się do pracy.

Obiecałem porozmawiać z lekarzem. Niestety, jego zdaniem dziewczynka wcale nie była aż tak bardzo chora, jak sądziła jej matka. Nie mógł uczciwie zaświadczyć, że choroba usprawiedliwiała spóźnienie. Matka została skazana na pracę przymusową w naszej fabryce.

W innym przypadku robotnik tłumaczył się, że nie ma zegarka i zawsze wstaje wraz ze wschodem słońca. Przyczyną jego spóźnienia był wyjątkowo ciemny, pochmurny ranek. To wyjaśnienie go nie ocaliło.

Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że walka ze spóźnialstwem to tylko jeden cel drakońskiego dekretu. Drugi, zapewne ważniejszy, polegał na zwiększeniu liczby robotników przymusowych. Sądy otrzymały wyraźne instrukcje. Maszyneria wymiaru „sprawiedliwości” pracowała sprawnie: z jednego końca wpychano wolnych robotników, dziesiątkami, setkami i tysiącami, a drugim wychodziła świeżo zmielona niewolnicza siła robocza.

Te ostre środki dyscyplinarne zastosowane wobec zwyczajnego człowieka, niszczące ostatnie resztki ludzkiej godności, zbiegły się w czasie z wyjątkowo ostrą zimą. Niewolnicy z uralskich kolonii NKWD pracowali na powietrzu mimo straszliwego mrozu, przemarznięci, z odmrożeniami i gangreną. W pobliskich obozach pracy mężczyźni i kobiety często zamarzali na śmierć w lasach, nieogrzewanych barakach i lepiankach za drutami kolczastymi. W naszych barakach ludzie też cierpieli. Ogólnie rzecz biorąc, Pierwouralsk nie był szczególnie radosną scenerią dla naszej chlubnej „pracy socjalistycznej”.

Dlatego powitałem z radością sygnały z Moskwy, że mogę zostać przeniesiony do innego przedsiębiorstwa. Zawsze istniały złudzenia, że gdzieś indziej sytuacja będzie jeśli nie lepsza, to w każdym razie mniej przygnębiająca.

Od wielu miesięcy przemysł metalurgiczny żył doniesieniami o wielkiej walcowni na Syberii - a konkretnie w Stalińsku (dawniej Kuźniecku), gdzie już działały gigantyczne zakłady przemysłowe. Miało to być przedsięwzięcie za ponad sto milionów rubli. W normalnym radzieckim stylu robiono wokół niego ogromny szum z dużym wyprzedzeniem. Słyszałem pogłoski i czytałem doniesienia w sposób bezosobowy - nagle

jednak wszystko to skupiło się dla mnie w jednym bardzo osobistym punkcie. Bez konsultacji ze mną komisariat i Komitet Centralny w Moskwie wybrały mnie, abym pokierował budową nowego zakładu w Stalińsku.

ROZDZIAŁ XX

Syberyjska mistyfikacja

„Ludowy Komisariat Metalurgii Żelaza i Stali mianował towarzysza W.A. Krawczenkę dyrektorem fabryki metalurgicznej, która zostanie wybudowana w mieście Stalińsku na Syberii” – obwieściła 28 lutego 1939 roku moskiewska gazeta „O industrializację”.

Chodziło o nowe wielkie przedsiębiorstwo w Stalińsku na Syberii, które miało produkować sto siedemdziesiąt tysięcy ton rur stalowych rocznie. Sam Mołotow w swoich „tezach” na XVIII Zjazd WKP(b) podkreślił znaczenie syberyjskiego przedsięwzięcia. Budowa, powiedział, rozpocznie się wkrótce, a pierwsze sekcje zostaną oddane do użytku w 1941 roku.

Skojarzenie mojego nazwiska z przemysłowym gigantem, do którego Mołotow – a co za tym idzie, również Stalin – przywiązywał tak wielką wagę, natychmiast opromieniło mnie aureolą chwały. O mojej nominacji ogłoszono publicznie w ramach przygotowań do zjazdu. Oznaczało to, że się „wybiłem”, że znalazłem się w wyższych warstwach ekonomicznej i politycznej arystokracji. Przyjaciele i znajomi, którzy mnie unikali w trudnych latach czystki, nagle przypomnieli sobie, że mnie znają, i pospieszyli zapewnić mnie o swojej dumie z mojego sukcesu.

Przed objęciem syberyjskiej placówki miałem sporo pracy w Moskwie, gdzie dostałem wspaniały pokój w hotelu Metropol, na koszt rządu, i mnóstwo pieniędzy. Mogłem mieć, co chciałem. Och, to nie byle co stać się ulubieńcem Komitetu Centralnego. Cała sprawa z dyktaturą wygląda zupełnie inaczej, mniej ponuro, mniej tyrańsko, kiedy patrzy się z miejsca położonego blisko wierzchołka.

Niewątpliwie to właśnie miał na myśli mój ojciec, kiedy ostrzegł mnie, na poły szczerze, na poły ironicznie, abym teraz, gdy znalazłem się wśród „wielkich i potężnych”, nie tracił styczności ze zwykłymi ludźmi. „Nie pozwól, żeby cię «kupili» tytułami i zaszczytami” – napisał w liście. Odnotowałem z satysfakcją, że czas nie złagodził jego nastawienia do ludzi u władzy. Byłbym rozczarowany, gdyby zrobił wyjątek dla własnego syna.

Kiedy wieść o mojej nominacji pojawiła się w prasie w moim rodzinnym mieście, wydała się mojej matce cudowną oznaką, że ciężki okres prześladowań jest już poza mną.

„Niech Bóg da ci zdrowie, szczęście i pomyślność, kochany synu – napisała. – Spróbuj zapomnieć o minionych zniewagach. Zwróć oczy w przyszłość. Pracuj ciężko dla naszego ukochanego kraju i naszego narodu, najdroższy. A co do nas, żyjemy jak zawsze. Wybacz mi, że o tym wspominał, ale gdybyś przyjechał z wizytą do domu, przywieź z Moskwy wszystko, co się da – smalec, cukier, herbatę, ryby... Niestety, tutaj nic nie ma. Nie wspominałabym o tym, gdyby nie było nam tak ciężko”.

Ojciec poparł jej sugestię. Zdawkowo, jakby mimochodem, napisał: „Dowiadujemy się, synu, że osiągnąłeś «szczęśliwe życie». Ale niech hasła cię nie powstrzymują, jeśli uda ci się znaleźć parę butów dla matki. W jakiś sposób «szczęśliwe życie» ominęło Dniepropietrowsk”.

Moja nowa pozycja zaufanego dyrektora nie uwolniła mnie, rzecz jasna, od rutynowej troskliwości chłopców z NKWD. Po powrocie do hotelu często znajdowałem wymowne oznaki, że moje walizki i szuflady zostały drobiazgowo przeszukane. Nowi znajomi, jak zawsze, próbowali mnie wciągnąć w niebezpieczne rozmowy polityczne. Na szczęście nauczyłem się wyczuwać prowokatora; szósty zmysł, wykształcony podczas nocnych sesji w Nikopolu, ostrzegał mnie, abym trzymał język za zębami, kiedy ludzie zbyt skwapliwie chcą „otwierać przede mną serce”.

Nauczyłem się też strzec swojego stanu kawalerskiego przed zakusami tych bywalczyń drogich hoteli, które nazywaliśmy „damami z Łubianki”. Na Łubiance mieściła się stołeczna siedziba NKWD. Owe dziewczęta zostały wybrane przez koneserów kobiecego ciała i wystrojone z wielką elegancją na koszt żyjącego w nędzy proletariatu. Te ze znajomością języków obcych specjalizowały się w uwodzeniu cudzoziemców: dyplomatów, amerykańskich i niemieckich inżynierów, korespondentów prasowych. Inne czatowały na samotnych biurokratów, dostatecznie ważnych, by wynajmować pokoje w wielkich hotelach.

Pewnego wieczoru na przykład siedziałem w swoim pokoju, czytając fachowe czasopismo, kiedy zadzwonił telefon.

– Piotrze Iwanowiczu – poskarżył się kobiecy głos – dlaczego tak długo mnie nie odwiedzałeś? Tęsknię za tobą, najdroższy.

– Przepraszam, ale nie ma tu nikogo takiego – powiedziałem szorstko.

– Nie wygłupiaj się, Pietia. Jakbym nie poznała twojego głosu!

– Nie jestem Pietia. Proszę dać mi spokój.

– Ach tak! Pewnie jesteś z inną dziewczyną! Przyjdę i sama sprawdzę!

Po mniej więcej dwudziestu minutach rozległo się pukanie do drzwi. W progu stała wysoka, smukła, uderzająco piękna blondynka. Na jej futrzanej czapce połyskiwały płatki śniegu. Udawała zaskoczoną, ale uśmiechnęła się słodko.

– Czy zastałam Piotra Iwanowicza?

- Posłuchaj, gołąbeczko, ja tu mieszkam i nie ma tu żadnego Piotra Iwanowicza. Proszę, zostaw mnie w spokoju.

- Ale dlaczego tak grubiańsko, mój drogi? Interesujący mężczyzna powinien rozmawiać z atrakcyjną kobietą w sposób bardziej cywilizowany.

- Jestem zajęty. Przepraszam, ale muszę powiedzieć dobranoc.

- Ech, pozory są takie zwodnicze... Wyglądasz na prawdziwego dżentelmena, a nawet nie zaproponujesz damie krzesła.

- Dobranoc! - powiedziałem stanowczo. Ale zamykając drzwi, nie zdołałem się powstrzymać i dodałem: - Musisz popracować nad techniką. Potrzebujesz więcej praktyki.

Ponieważ musiałem się skonsultować z kilkoma metalurgami w Dniepropietrowsku, mogłem pojechać do domu na koszt rządu. Dostałem osobny przedział w pierwszej klasie, czyli w tak zwanym wagonie międzynarodowym. Każdy obywatel widział we mnie na pierwszy rzut oka kolejnego wysoko postawionego urzędnika. Konduktor zachowywał się służalczo. Poczujęm się zirytowany, że uznano mnie za symbol tej samej nierówności, której nienawidziłem.

Wagony „twarde”, czyli trzeciej klasy, na drugim końcu pociągu, za naszym „międzynarodowym” wagonem restauracyjnym, były wypełnione zwykłymi pasażerami, stłoczonymi na podwójnych drewnianych ławkach. Kiedy przeszedłem przez te wagony z ciekawości, czułem wyrzut, a nawet nienawiść we wpatrujących się we mnie oczach. Na dworcach, kiedy wychodziłem rozprostować nogi, dostrzegałem taką samą wrogość w spojrzeniach obdartych chłopów, sprzedających warzywa, suszone ryby, mleko.

Niebawem znaleźliśmy się na mojej rodzinnej Ukrainie. Sam krajobraz wydawał się bardziej przyjazny niż w północnych regionach Rosji. Ale serce ścisnęło mi się z bólu, kiedy patrzyłem na widoczną wszędzie nędzę i zaniedbanie.

Kiedy wjechaliśmy na stację za Charkowem, siedziałem w wagonie restauracyjnym. Nagle ujrzałem za szybą kilka drobnych twarzy, patrzących przez okno smutnymi, głodnymi, zawistnymi oczami. To byli *bezprizorni*, bezdomne dzieci w łachmanach. Patrzyły na jednego z „socjalistycznych wujków” wśród wielkopańskiego przepychu w systemie dyktatury proletariatu.

I to na Ukrainie, która niegdyś dostarczała żywności nie tylko wszystkim swoim mieszkańcom, ale dużej części Europy! Nerwowo zapłaciłem rachunek, nagle przygnębiony, i wybiegłem z wagonu restauracyjnego. Jakaż przepaść ziała pomiędzy Rosją propagandy i oficjalnych statystyk a Rosją z krwi i kości! Jakaż dziwną machiną jest ludzki umysł, że potrafi odgrodzić się od rzeczywistości murami papierowych zwycięstw i pustych haseł!

Na stacji Sinielnikowo znowu wyszedłem na orzeźwiający chłód. W drzwiach poczekalni pierwszej klasy zobaczyłem umundurowanego czekistę, który przeganiał chłopską rodzinę – mężczyznę, żonę i kilkoro dzieci, obładowanych ciężkimi tobołkami.

- Tam jest wasze miejsce, obywatele, w poczekalni trzeciej klasy – powiedział, a oni potulnie odeszli. Nie przyszło im nawet do głowy, a tym bardziej żandarmowi, że spracowani ludzie mogliby wejść na teren zarezerwowany dla pierwszej klasy w tym „bezklasowym społeczeństwie”.

Kilka dorastających dziewcząt, o prowincjonalnym, chłopskim wyglądem, w kolorowych chustkach, przyszło popatrzeć na pociąg. Była to niewątpliwie jedna z wielkich atrakcji w życiu prowincjonalnej miejsciny takiej jak Sinielnikowo. Z nerwowym podnieceniem wpatrywały się w okna pierwszej klasy, chichocząc i trącając się łokciami. Pewnie marzyły, że jakiś księżę z bajki, z legitymacją partyjną i Orderem Lenina, bogaty i potężny, zobaczy je, od razu się zakocha i zabierze je do bajkowej krainy w Moskwie.

Dworzec w Dniepropietrowsku był czysty i zadbane. Na zatłoczonym, hałaśliwym peronie czekał na mnie mój brat Konstantin z żoną. Ponieważ nie byłem w domu od ponad roku, nie poznałem jeszcze tego nowego członka rodziny. Uściskałem i ucałowałem ich oboje. Pomogli mi nieść wielkie paczki z jedzeniem i ubraniami, które przywiozłem ze stolicy, i niebawem ruszyliśmy do domu, bagaże w jednej dorożce, nas troje w drugiej. Dobrze było zobaczyć znowu znajome ulice, place i budynki, otulone w swoje kołdry ze śniegu, tak jak zawsze będę je pamiętał.

- Ech, Witiu, wyglądasz jak prawdziwy moskiewski orzeł, istny mały Stalin – roześmiał się Konstantin. – Nie mówiłem ci, Kławo, że mój brat jest ważnym człowiekiem?

Wydawało mi się, że pod żartobliwym tonem usłyszałem poważną nutę. Im starszy był mój brat, tym bardziej przypominał naszego ojca. Miał tę samą szczupłą, zgrabną sylwetkę, tę samą skłonność do ironii.

- Dlaczego to mówisz, Kotiu?

- Nie obrażaj się, braciszku. Ale wyglądasz wspaniale w moich oczach prowincjusza. Jak mam to ująć? Może to ten zadowolony z siebie wygląd, jakiego nabierają proletariacy przywódcy po życiu pełnym wyrzeczeń...

- Przestań już, Kotiu – wtrąciła się jego żona. – Czekalesz na Wiktora Andriejewicza tak niecierpliwie jakby był twoją ukochaną, a ledwo zdążył przyjechać, już go atakujesz.

- Ależ najdroższa Kławo – wyjaśnił – to pierwsza i zapewne ostatnia okazja, kiedy mogę zaatakować małego Stalina prosto w oczy!

Roześmieliśmy się wszyscy. Znając swojego brata od podszewki, nie

mogłem potraktować jego żartu tak lekko jak zrobiła to jego żona. Wiedziałem, że bardzo mnie kocha. Jakby czytając w moich myślach, uściśnęła czule moje ramię, tak jak zwykł to robić, kiedy byliśmy dziećmi. Jego gorzkie szyderstwo nie było wymierzone we mnie, lecz w rasę zarozumiałych, zadowolonych z siebie i bezdusznych biurokratów. Wydawało mi się, że słyszę w jego słowach cynizm, jakim przesiąknięte było życie wśród robotniczych mas.

Niezlomny Konstantin był pod wieloma względami typowym rosyjskim inteligentem. Oparł się wszystkim próbom wciągnięcia go do partii, ale bezgranicznie kochał swój kraj i swój naród. Kilka lat później, kiedy Niemcy zaatakowali naszą ojczyznę, jako jeden z pierwszych poszedł na front i ostatecznie, jako oficer, oddał życie w obronie Rosji. Bez względu na to, co pisała o męstwie takich ludzi prasa, kiedy wiadomość o jego śmierci dotarła do Moskwy, byłem pewien, że walczył i zginął nie za Stalina i jego reżim, lecz za swój naród i ojczyznę.

Czy mógł mieć przecucie własnego losu i losu milionów? W naszych rozmowach podczas tej wizyty powiedział w pewnym momencie: „Nasz kraj to jedno, Witiu, a jego reżim to coś zupełnie innego... Nie mieszajmy tych dwóch rzeczy”. Wtedy nie zwróciłem większej uwagi na te słowa - chociaż wyrażały to, co sam czułem - ale później nieustannie do mnie powracały.

2

Moi rodzice wyraźnie się postarzelili od naszego ostatniego spotkania. Dzięki finansowej pomocy trzech synów żyli znacznie lepiej niż większość ich sąsiadów. Ale i tak było im ciężko. Nawet za pieniądze nie mogli dostać takiego jedzenia, jakiego potrzebowali w swoich schyłkowych latach. Poza tym ojciec boleśnie odczuwał każdy cios zadany robotnikom - książeczki pracy, dekret o spóźnieniach, podwyższenie norm, rozrost niewolniczej siły roboczej. Przez całe życie identyfikował się tak całkowicie z prostymi ludźmi, że każde nowe upokorzenie głęboko go raniło, chociaż sam był bezpieczny.

Matka stała się jeszcze bardziej krucha. Było mi jej żal. Jej dobroć wydawała się niemal namacalna. Rozświetlała jej rysy i dodawała im piękna w sposób, którego słowa nie mogą opisać. Nigdy nie sprzykrzyło mi się patrzeć, jak przygotowuje dla nas posiłki lub krząta się wokół swojej gromadki dorosłych mężczyzn. Z jakiegoś powodu ucieszyłem się, że lampki wciąż się palą pod ikonami, tak jak zapamiętałem z dzieciństwa, bo to znaczyło, iż ma niezawodne źródło pocieszenia. Była przekonana, że to jej modlitwy ocaliły mnie podczas wielkiej czystki, a ja temu nie zaprzeczałem.

Wieczorem przyszedł mój brat Jewgienij z żoną. Było to

niezapomniane spotkanie. Ojciec, który nigdy nie nauczył się całkowicie odprężyć, zapominać o świecie i jego problemach, bez przerwy próbował rozmawiać o polityce, ale trzech uparci synowie zgodnie mu to uniemożliwiali. Nie brakowało tematów do rozmowy. Żona Konstantina była inżynierem, żona Jewgienija nauczycielką, zatem wszyscy znaleźliśmy twarde realia życia codziennego.

Następnego dnia poszedłem do zakładów im. Lenina. Ich personel administracyjny składał się z zupełnie nowych ludzi. Nieroztropnie byłoby wspominać o Birmanie, Iwanczence i innych, którzy w przeszłości stali na czele tego wielkiego przedsięwzięcia przemysłowego; nawet Pietrowski, którego nazwisko łączyło się kiedyś z nazwiskiem Lenina w nazwie zakładów, odszedł w niepamięć. Ale wśród robotników w warsztatach spotkałem ludzi, którzy znali mnie przez dziesięć czy piętnaście lat. Pozdrowili mnie przyjaźnie i zebrali się wokół mnie.

- Staliście się sławni, Wiktorze Andriejewiczu - powiedział jeden z nich - i cieszę się z całej duszy.

- Tak, chłopak starego Krawczenki będzie jeszcze komisarzem ludowym. Dajcie mu tylko trochę czasu - roześmiał się inny.

Ale zanim odszedłem, dwaj spośród starszych wiekiem robotników porozmawiali ze mną bardziej szczerze. Byli nie tylko zaniepokojeni, ale do głębi urażeni nowymi zarządzeniami.

- Teraz jesteśmy przywiązani do maszyn, tak jak nasi dziadkowie byli przywiązani do ziemi w czasach poddaństwa - westchnął stary Łarin. - Ech, Witiu, życie jest gorzkie i z każdym dniem staje się coraz gorsze.

- Tak, powiedz nam, skoro już tam jesteś, kiedy wreszcie zaczniemy żyć jak ludzie? Czekamy już dwadzieścia dwa lata!

Co mogłem zrobić, zbyć ich frazesami z artykułów wstępnych? Na szczęście ci ludzie nie oczekiwali ode mnie odpowiedzi. Wiedzieli, że jestem tak samo bezradny jak oni, że jestem po prostu jeszcze jednym, tylko bardziej kosztownym trybikiem w tej samej maszynie.

Kiedy wróciłem do domu, ojciec na mnie czekał. Nie pozwolił pozbawić się przyjemności poważnej ideologicznej rozmowy z jedynym spośród trzech synów, który odziedziczył trochę jego politycznej pasji. Poza tym podejrzewałem, iż uważał za swój święty ojcowski obowiązek wskazać mi ścieżkę prawości. Bał się, że ja też mogę ulec pokusom władzy; że mogę zdradzić klasę, z której się wywodziłem, dla uroków dyktatury.

Uspokoilem go pod tym względem. Rozmawialiśmy przez kilka godzin. Był w końcu jednym z bardzo niewielu ludzi, przed którymi mogłem odsłonić swoją zbolalą duszę bez obawy, że mnie zadenuncjuje. On sam, obserwując wydarzenia, czuł się głęboko rozczarowany. Ja poszedłem znacznie dalej. Moje wątpliwości przerodziły się w nienawiść do nowych

władców, pogardę dla ich socjalistycznego pustosłowania, strach przed ich maszyną terrorku.

- I nie tylko ja żywię takie uczucia, tato. Czystki nie wyszły Stalinowi na dobre. To prawda, wielu ambitnych nowych ludzi pospieszyło złożyć mu żarliwą przysięgę na wierność i zapełnić puste miejsca po zamordowanych i uwięzionych. Swój awans zawdzięczają wyłącznie czystkom. Ale Stalin wciąż ma w partii wielu wrogów. Tak, są w każdym urzędzie, w każdym przedsiębiorstwie, nawet na Kremlu. Po prostu nie można zabić i wydać na tortury tylu ludzi, nie zostawiając krwawych śladów nienawiści i namiętnego pragnienia zemsty.

- Oczywiście, wokół Stalina jest też nowe pokolenie komunistów, którzy naprawdę wierzą, że ich poprzednicy byli zdrajcami i wrogami partii. Po prostu nic nie wiedzą, a nikt nie ma odwagi im powiedzieć. Ci ludzie go kochają, ufają mu i pójdą dla niego przez ogień i wodę. To oni są siłą Stalina i tragedią kraju.

Ojciec wspominał swoją rewolucyjną młodość. Zastanawiał się, co się stało z Rosjanami. Czy nie ma już ludzi o płomiennych ideałach, mających odwagę, aby zaprotestować?

- Wielu z nas chciałoby przemówić, krzyczeć na cały świat - odparłem. - Ale wiemy, że to niemożliwe. Śmierć przyjdzie szybko po tych, którzy spróbują. Tylko nieliczni, ci, co uciekli za granicę, mogą mówić prawdę. Tutaj terror jest zbyt przytłaczający, zbyt wszechobecny. - Urwałem i popatrzyłem ojcu w oczy. - Gdyby kiedyś udało mi się opuścić kraj, tato, i gdybym zdecydował się przemówić pełnym głosem, czy zdajesz sobie sprawę, co by się mogło stać z tobą, z mamą?

W mojej głowie i sercu wyrastało marzenie: marzenie o ucieczce.

Pragnąłem zrzucić jarzmo z karku, nie tylko przez wzgląd na siebie, ale przez wzgląd na kraj i naród, który kochałem. Czy gdybym zdołał powiedzieć światu straszną prawdę, mógłby mnie nie wysłuchać i nie zrozumieć? Nie jestem pewien, czy w tym momencie marzenie przybrało już tak zdecydowany kształt. Ale pytanie, które zadałem ojcu, było dowodem, że zakiełkowało już w mojej najgłębszej jaźni.

- Nie martw się o nas - odparł ojciec. - Jesteśmy starymi ludźmi i przeżyliśmy swoje życie. Zawsze rób to, co uważasz za swój obowiązek, Witiu. Nic więcej się nie liczy. Cierpieć ból samemu to nic. Świadomość, że przysparzasz bólu ludziom, których kochasz, jest trudniejsza. Dobrze o tym wiem, synu. Czy myślisz, że było mi łatwo iść do więzienia i zostawiać swoją ukochaną żonę i dzieci, żeby głodowały?

Kiedy wyjeżdżałem z Dniepropietrowska, towarzyszyła mi matka. Trzeba było wielu argumentów i pomocy całej rodziny, aby nakłonić ją do wyjazdu do Moskwy. Nigdy nie była w stolicy i okazja do pokazania jej miasta w wielkim stylu sprawiła mi ogromną przyjemność. Poza tym

chciałem dać jej wytchnienie od prac domowych. Pomimo moich zapewnień, że w wagonie restauracyjnym pierwszej klasy będzie mnóstwo jedzenia, napełniła walizkę zapasami na podróż.

Przepych „międzynarodowego” wagonu i eleganckich pokoi, które czekały na nas w hotelu Moskwa, odebrał jej mowę. Podczas dwóch szczęśliwych tygodni oglądałem Moskwę jej niezmaconymi oczami: przedstawienia w Moskiewskim Teatrze Artystycznym i Teatrze Małym, operę, balet, widowiska sportowe na stadionie Dynamo, galerie sztuki, Park Kultury i Wypoczynku. Zwykle była z nami Irina, którą poznałem kilka miesięcy wcześniej.

- Witiu, dlaczego się uparłeś, żeby mnie zabrać do Moskwy? - spytała nieoczekiwanie matka, kiedy pewnego wieczoru siedzieliśmy w hotelowej restauracji.

- Co za pytanie, mamó! To taki prezent, żeby ci pokazać, jak bardzo cię kocham.

- Tak, oczywiście, oczywiście. Ale może - spojrzała na mnie z figlarnym uśmiechem - może również dlatego, że chciałeś mi pokazać Irinę? No, no, nie wstydz się, Witieńko. Widzę, że jesteś zakochany.

- Przyznaję, mamó. Masz rację, chociaż nie jestem aż tak strasznie zakochany. Jestem zmęczony samotnością i bardzo podziwiam Irinę.

- A ja muszę powiedzieć, że masz doskonały gust. Czy zarejestrowaliście swój związek?

- Nie, ale to już postanowione. Irina ma pracę, której nie może porzucić, a ja nawet się z tego cieszę. Nie chcę rozpoczynać życia rodzinnego na dalekiej Syberii.

Irina była wysoka, ładna, miała niebieskie oczy i jasnobrunatne włosy. Była córką Francuza i Rosjanki i zarabiała na życie, tłumacząc dzieła literackie z francuskiego i niemieckiego dla różnych moskiewskich wydawnictw. Poznałem ją na zatłoczonym przyjęciu, na które zabrał mnie wysoko postawiony przyjaciel. Coś w niej - słodki wyraz jej twarzy, brzmienie jej głosu, spokojny, swobodny sposób bycia? - wywarło na mnie głębokie wrażenie. Tamtego wieczoru prawie nie zamieniłem z nią słowa, chociaż nieustannie byłem świadom jej obecności. A kiedy zapytałem, czy po przyjęciu mogę odprowadzić ją do domu, nie była zaskoczona. Jakby przez cały czas się tego spodziewała.

W naszym spotkaniu nie było nic z dramatu, nic z gorączkowego napięcia, nic z szalonej wylewności zwierzeń, które cechowały moje pierwsze spotkania z Julią czy Jeleną wiele lat temu. Ale po kilku tygodniach wiedzieliśmy, że chcemy prowadzić wspólne życie. Nasz związek miał głębię bez burzliwych porywów. Patrzyłem na jej pierwsze spotkanie z moją matką bez niepokoju, wiedząc z całą pewnością, że się nawzajem polubią. Tym, co miały ze sobą wspólnego, była dobroć, tak nieświadoma, tak bezinteresowna, że nadawała wymiar duchowego

piękna wszystkim ich słowom i gestom.

Kiedy Irina dołączyła do nas po kolacji – tego wieczoru mieliśmy pójść na *Kniazia Igora* – moja matka uściskała ją i ucałowała. Nie były potrzebne żadne słowa.

Z początku moja matka była podekscytowana Moskwą jak mała dziewczynka, ale później coraz częściej popadała w zamyślenie, a czasem nawet w melancholię. Wydawało jej się niesprawiedliwe, że my – i nie tylko my – wydajemy setki rubli na pokoje hotelowe, wykwintne posiłki i rozrywki, podczas gdy innym nie wystarcza na jedzenie. Trzy bilety na *Kniazia Igora* kupiłem od „konika”.

– Sto dwadzieścia rubli! – wykrzyknęła, kiedy jej o tym powiedziałem.
– Konduktorka w trolejbusie w Dniepropietrowsku zarabia tyle przez miesiąc. To nie w porządku, dzieci, mówię wam, że to nie w porządku. I spójrzcie na tę widownię! Od rewolucji nie widziałam tylu spasionych i wystrojonych ludzi w jednym miejscu. A przez cały czas myślałam, że była rewolucja.

– Daj spokój, mamusiu – zachichotała Irina. – Zapomnij o polityce i ciesz się operą.

– Ale sto dwadzieścia rubli!

Któregoś popołudnia zabrałem ją na Wystawę Rolniczą. Oglądała wszystko z wielkim zainteresowaniem – maszyny rolnicze, konie pełnej krwi, nagrodzone krowy, świnie. Zdjęła okulary w stalowej oprawce z małego nosa, żeby przeczytać hasła i tabele statystyczne nalepione na wszystkich ścianach.

– No i co, jak ci się podobało, mamó? – spytałem w drodze powrotnej do hotelu. – Dlaczego nic nie mówisz?

– Witiu, możesz mnie nazwać głupią kobietą, jeśli chcesz, ale to wszystko wydaje mi się jakąś maskaradą. Kto ma z tego pożytek? Jeśli w kraju jest tyle krów, to dlaczego w Dniepropietrowsku nie ma mięsa? Jeśli jest tyle bawełny, to dlaczego nie mogę kupić koszuli dla twojego ojca? To maskarada, Witiu, a ci, którzy ją urządzili, powinni się wstydzić.

Nie odpowiedziałem.

– Gdyby nie to, że poznałam Irinę – powiedziała matka – może byłoby lepiej, gdybym zeszła z tego świata, nie oglądając Moskwy. To miasto o dwóch twarzach. Kilka drogich hoteli, teatrów, muzeów, restauracji, ale poza głównymi ulicami jest tu taka sama nędza jak na prowincji. Tak, o dwóch twarzach! Z wież Kremla można wzywać do światowej rewolucji, ale kilka przecznic dalej ludzie żyją bez żadnych praw i w ubóstwie.

– Mamó, dojrzałaś politycznie przez te dwa krótkie tygodnie... Nie mów tacie: będzie wstrząśnięty. Naprawdę myślę, że kocha cię przede wszystkim za twoją staromodną polityczną naiwność.

Terytorium Syberii Zachodniej miało ogromne znaczenie dla obrony narodowej, ponieważ było tak położone, że mogło służyć jako zaplecze dla europejskiej bądź azjatyckiej Rosji, gdyby na jednej z tych granic wybuchła wojna. W planowaniu rozwoju tego regionu Ludowy Komisariat Obrony odegrał równie wielką rolę jak komisariaty związane z przemysłem. Na Syberii Zachodniej wiele nici nowej industrializacji – maszynowych, samochodowych, lotniczych, chemicznych, metalurgicznych – splatało się ze sobą.

W Rosji naszych czasów, gdzie symbole często przeważają nad rzeczywistą treścią, była to niezwykle doniosła okoliczność, że stare zachodniosyberyjskie miasto Kuźnieck nad rzeką Tom zostało przemianowane na Stalińsk. Imienia wszechmogącego Gruzina w jego kremlowskim niebie nigdy nie wymawiano nadaremno. Oznaczało to, że miasto jest powołane do chwały; i rzeczywiście, niewielkie osiągnięcia w Stalińsku liczyły się czasem w oficjalnej propagandzie bardziej niż wielkie osiągnięcia gdzie indziej.

Zakrawało to więc na świętokradztwo, kiedy się uparłem, żeby obejrzeć miejsce planowanej stalińskiej walcowni rur przed rozpoczęciem jej budowy. Towarzysz Kożewnikow, który kierował wówczas Głównym Zarządzeniem, był oburzony i rzucił mnie jak zgniłe jajo towarzyszowi Mierkułowowi, który do tego czasu został zastępcą komisarza metalurgii żelaza i stali.

– Cóż to za pomysł, Wiktorze Andriejewiczu? – powiedział Mierkułow.
 – Zakładam, że chcecie osobiście sprawdzić decyzję zatwierdzoną przez komisariat, Państwową Komisję Planowania, Metalurgiczny Instytut Projektowania, Ludowy Komisariat Obrony, Komitet Centralny partii i Politbiuro. Czy jesteście przy zdrowych zmysłach?

Ujęta w ten sposób moja propozycja rzeczywiście brzmiała absurdalnie. Ale doświadczenie nauczyło mnie ostrożności. Przyjęcie odpowiedzialności na ślepo było dla radzieckiego kierownika przemysłu najkrótszą drogą do katastrofy. W społeczeństwie kapitalistycznym człowiek ryzykuje po prostu pieniądze lub posiadłość; w warunkach radzieckich kładłem na szali własne życie.

– Ponieważ mam odpowiadać za budowę wartą sto pięćdziesiąt milionów rubli – odparłem – powinniście przynajmniej pozwolić mi zbadać miejsce budowy, dostępność siły roboczej, materiałów i ogólne warunki budowy.

– Fundusze na fabrykę już zostały przyznane. Instytut Projektowania w Leningradzie pracuje nad planami od miesięcy. Ale ponieważ nie wyniknie z tego żadna szkoda, zatwierdzam wasz wyjazd. Pamiętajcie tylko, Wiktorze Andriejewiczu, że nie możemy igrać z decyzją partii!

Po czterech dniach podróży pociągiem w towarzystwie głównego inżyniera Gierardowa dotarłem do Stalińska. Mała nędzna stacyjka nie licowała z rozdmuchaną reputacją miasta. Brud i bałagan wydawały się nieodrodnymi cechami tej syberyjskiej placówki. W promieniu wielu kilometrów widziałem konstrukcje w różnych stadiach zaawansowania. Jak zwykle pracę nad ambitnym przedsięwzięciem przemysłowym rozpoczęto bez zapewnienia przyzwoitych warunków życia robotnikom.

W mieście, gdzie jeszcze kilka lat wcześniej mieszkało może trzydzieści tysięcy ludzi, już tłoczyło się ponad sto pięćdziesiąt tysięcy. W dodatku Stalińsk korzystał w znacznym stopniu z przymusowej siły roboczej, około ośmiu tysięcy niewolników z pobliskiego skupiska kolonii karnych. Niektóre z nowych budynków administracyjnych i mieszkalnych dla robotniczej arystokracji, wznoszonych głównie przez więźniów i w straszliwym pośpiechu, już osiadały i pękały. Wszystkie domy i szopy w starym mieście były przepełnione. Za wspaniałą nową kolonią administracyjną i nowymi domami dla wykwalifikowanych robotników znajdowały się cuchnące slumsy, nazywane „szanghajami”; i rzeczywiście, były tak brudne i zatłoczone jak najgorsze orientalne mrowiska.

Na obrzeżach starego miasta wyrastały ogromne kolonie baraków. Tysiące rodzin mieszkały w wilgotnych ziemiankach. Te prymitywne dziury w ziemi, przykryte dachami własnej roboty, były aż nazbyt dobrze znanym widokiem wokół wielkich nowych inwestycji przemysłowych w Związku Radzieckim, gdzie budownictwo mieszkaniowe nie nadążało za przyrostem ludności. Miały zwykle około pięciu lub sześciu metrów długości, około trzech metrów szerokości i około dwóch lub dwóch i pół metra głębokości – dosyć, żeby mogły tam spać dwie osoby. Dachy robiono zazwyczaj z desek i wzmacniano gałęziami drzew, słomą, wypalaną gliną, wszystkim, co było pod ręką. Szczęśliwcom udawało się zdobyć kilka dodatkowych desek, aby podeprzeć osypujące się ściany i pokryć wilgotną podłogę.

Zgodnie z radziecką praktyką nowe budynki fabryczne i administracyjne budowano najpierw, domy dla zwykłych robotników później. Co za kontrast, pomyślałem, chodząc po Stalińsku, pomiędzy tymi „szanghajami”, tymi „domami” w ziemi, a propagandowymi obrazami z naszych filmów i czasopism! Jak niewiele wspólnego mają oficjalne pozory z nieoficjalną prawdą!

Władze miejskie przyjęły nas serdecznie, nawet entuzjastycznie. Były dumne z „rozkwitu” swojego miasta i zadowolone, że jego rozwój przemysłowy przyspieszy kolejna wielka inwestycja. Ale już w trakcie pierwszych rozmów wyczułem niepewność, kiedy zaczęliśmy omawiać szczegóły mojego przedsięwzięcia budowlanego. Gierardow i ja przekonaliśmy się niebawem, że to zakłopotanie było w pełni

uzasadnione.

Warunki do rozpoczęcia budowy walcowni nie były po prostu trudne czy niesprzyjające, były zupełnie niemożliwe. Niedobory drewna, cementu, cegieł, opału opóźniały trwające już prace. Choć w pobliżu znajdowało się wiele obozów, brakowało zarówno robotników, jak i przestrzeni życiowej dla robotników; władze musiały zastosować ostre środki, aby dyrektorzy poszczególnych zakładów nie kradli sobie nawzajem siły roboczej. Dostępne moce nie mogły pokryć obecnych wymagań, nie mówiąc już o nowych planowanych robotach.

Kiedy zobaczyliśmy miejsce, gdzie miała stanąć nasza fabryka, ogarnęło nas przerażenie. Było to ogromne pustkowie nad błotnistym brzegiem rzeki w znacznej odległości od miasta, bez linii elektrycznej ani gazowej, bez torów kolejowych i linii trolejbusowej, nawet bez przejezdnej drogi. Przypominało to bardziej budowę nowego miasta na pustyni niż fabryki w funkcjonującym już regionie przemysłowym, stało się więc jasne, że do wykonania zadania nie wystarczy nam ani funduszy, ani czasu.

Co najgorsze, teren w ogóle się nie nadawał pod zakład metalurgiczny. Nie trzeba było inżyniera budowlanego, żeby się zorientować, iż grunt nie utrzyma wielkich budynków ani ciężkich maszyn wymaganych dla walcowni. Gierardow i ja spojrzeliśmy po sobie i rozłożyliśmy ręce z niedowierzaniem. Jak do tego doszło, że tylu inżynierów i tyle komisji zatwierdziło miejsce i plany? Kto okpił komisariat i Komitet Centralny? Kto pozwolił wyłożyć z góry miliony rubli na przedsięwzięcie skazane na niepowodzenie?

Nie znaleźliśmy odpowiedzi. Ale wiedzieliśmy, że podjęcie się tej pracy będzie dla nas równoznaczne z samobójstwem. Jeśli mieliśmy jeszcze jakieś wątpliwości, rozproszyła je wizyta w budynku instytutu, wzniesionym w pobliżu i na takim samym terenie. Podłogi były zalane, ściany przesiąknięte wilgocią, a cała konstrukcja już się rozpadała, chociaż liczyła sobie niespełna dwa lata.

Wyposażeni w fotografie, plany i inne materiały, wróciliśmy do Moskwy. Stałem przed rozdzierającym serce zadaniem – musiałem odwiedzić rząd od szeroko nagłośnionego przedsięwzięcia, zatwierdzonego przez najwyższe władze, i nadszarpnąć reputację, a może i narazić na utratę wolności dziesiątki wielkich i drobnych urzędników, których biurokratyczna obojętność i techniczny analfabetyzm legły u podłoża poronionego projektu.

Mój raport dla Mierkułowa i jego sztabu, w tym Kożewnikowa, miał siłę trzęsienia ziemi. Wszyscy patrzyli z osłupieniem. Wszyscy, widziałem to wyraźnie, myśleli tylko o tym, jak się wyplątać z czegoś, co mogło się przerodzić w polityczną katastrofę. Obraz, który nakreśliłem, był zbyt jasny, zbyt szczegółowy, żeby go zlekceważyć.

Poza tym szybko się okazało, że już wcześniej podnosiły się ostrzegawcze głosy, ale zagłuszył je strach. Odpowiedzialni urzędnicy spoglądali na mnie gniewnymi, oskarżycielskimi oczami, jakby to moje odkrycia, a nie ich nieudolność, doprowadziły do tej nieprzyjemnej sytuacji.

Nastąpiły długie tygodnie burzliwych konferencji, wypełnionych zawołanymi groźbami, że zapłacę głową, jeśli będę robił zbyt dużo hałasu wokół tej sprawy. Ale oparłem się wszelkim naciskom, bym podjął się tego zadania, na przekór pewności, że oznaczało to stratę milionów rubli i stratę energii. W końcu znaleziono rozwiązanie: rozwiązanie typowo radzieckie, które pozwoliło urzędnikom zachować twarz i ukryć gigantyczną pomyłkę przed społeczeństwem.

W Kemerowie, około dwustu pięćdziesięciu kilometrów od Stalińska, również nad Tomem, powstawał inny ważny ośrodek przemysłowy. W fazie projektowania brano pod uwagę również tamten obszar jako miejsce lokalizacji przyszłej walcowni. Biurokratyczna machina, napędzana przez strach, ruszyła pełną parą i niebawem cały entuzjazm przeznaczony dla Stalińska został skutecznie przeniesiony do Kemerowa.

Wszyscy, biura planowania i akademicy, funkcjonariusze partyjni i eksperci techniczni, nagle odkryli wyższość Kemerowa nad Stalińskiem. „Sytuacja polityczna” za granicą – to znaczy napięte stosunki z Japonią – oraz dalekosiężne plany industrializacji Syberii wymagały, jak się okazało, aby Kemerowo uzyskało pierwszeństwo. Stalińsk mógł zaczekać – w nieskończoność, dobrze o tym wiedziałem, ale na razie nikt nie śmiał przyznać tego otwarcie.

I wyszło na to, że w zamieszaniu, które wydawało się nieuniknione przy planowaniu na tak wielką skalę, zamiast w Stalińsku wylądowałem w Kemerowie. Znowu zażądałem, aby pozwolono mi zbadać teren, i tym razem komisariat i Główny Zarząd nie mogły się sprzeciwić.

Na szczęście Kemerowo okazało się całkowicie zadowolające. Było to miasto z około stu dwudziestoma pięcioma tysiącami mieszkańców, z szerokimi ulicami, rozległymi parkami, nowymi blokami mieszkalnymi oraz szczególnie pięknymi domami dla urzędników i pracowników administracji. Na peryferiach rozpościerały się hektary brzydkich baraków i zdarzały się nawet wstrętne ziemianki, ogólnie jednak warunki były bardzo dobre. Widziałem tylko jeden slums zasługujący na miano „szanghaju”. Na publicznych placach, dokąd kolchoźnicy przywozili produkty ze swoich prywatnych ogródków, świeże warzywa, mięso, mleko, masło i drób, panowało wrażenie obfitości; ceny były znacznie niższe niż w Moskwie. W porównaniu z Uralem był to niemal przedsiónek nieba.

Miejsce planowanej fabryki najwyraźniej wybrano pod jakiś inny

projekt, obecnie zarzucony. Zobaczyliśmy kilka ukończonych budynków, kompletne fundamenty pod inne budynki, tory kolejowe, przewody gazowe i elektryczne, rury kanalizacyjne i inne instalacje, które powinny znacznie ułatwić nam pracę. Co więcej, znajdowaliśmy się prawie w granicach miasta, co upraszczało problemy mieszkaniowe i komunikacyjne naszych robotników. Gierardow i ja byliśmy zadowoleni.

Kemerowscy urzędnicy wychodzili z siebie, żeby pomóc. Nasz przyjazd oznaczał, że miasto otrzyma dodatkowo sto pięćdziesiąt milionów rubli, a lokalna prasa krzykliwie wyrażała dumę z planowanej budowy. Chociaż miasto miało fabrykę koksu, kopalnie węgla i zakłady zbrojeniowe, swoją sławę (poza rozgłosem zdobytym dzięki moskiewskim procesom pokazowym, do których wrócę później) zawdzięczało przemysłowi chemicznemu. Było publiczną tajemnicą, że kombinat chemiczny, jeden z największych na świecie, produkował na potrzeby wojska.

Zostaliśmy ciepło przyjęci przez towarzysza Sifurowa, inżyniera, pełniącego wówczas funkcję sekretarza Komitetu Miejskiego partii. W naszej pierwszej rozmowie uczestniczyli też, jakby przypadkowo, dwaj funkcjonariusze NKWD. Z ich pytań wywnioskowałem, że doskonale wiedzą o zatuszowanym skandalu, który spowodował nagłe przeniesienie budowy ze Stalińska do ich miasta. Bez względu na to, czy Mierkułow, Kożewnikow i inni o tym wiedzieli, oczy i uszy tajnej policji wokół nich były szeroko otwarte przez cały czas. Biuro Komitetu Miejskiego w Kemerowie, gdzie złożyłem swój raport, zatwierdziło przeniesienie projektu do swojego miasta.

Wróciłem do Moskwy. Później spędziłem kilka tygodni w Leningradzie, pracując w Metalurgicznym Instytucie Projektowania, który zarzucił zadanie stalińskie i pospiesznie kończył plany dla Kemerowa. Na naszym koncie w kemerowskim banku złożono znaczne sumy pieniędzy, a ja wyruszyłem na swoją nową placówkę wraz z nowymi współpracownikami.

Irina odprowadziła mnie na dworzec w Moskwie. Smutek rozstania łagodziła świadomość, że ze względu na swoją pracę będę często przyjeżdżał do stolicy.

Ciężka praca to opium dla rozczarowanych. Tak było przynajmniej w moim przypadku. Zaangażowałem się w trudne zadania w Kemerowie z zapalem, który w znacznej części wynikał z rozpacz. Im bardziej bezlitośnie zameczałem swoje ciało, tym łatwiej zasypiałem w nocy. Zajmując swój umysł bezpośrednimi troskami związanymi z projektem,

skutecznie odpędzałem niepokojące myśli o sytuacji w kraju. Im głębiej nienawidziłem opartego na terrorze reżimu, tym lojalniej koncentrowałem energię na bieżącej pracy.

Chociaż powierzono mi nadzór nad przedsięwzięciem pochłaniającym miliony z funduszy rządowych, nie mogłem dobrać sobie personelu administracyjnego. Najwyższych urzędników wybrał bezpośrednio komisariat i szef Głównego Zarządu, nie pytając nawet o moją opinię. Taki system miał zachęcać urzędników, aby szpiegowali się nawzajem, i rodzić wzajemną nieufność między ludźmi wyznaczonymi do wspólnych zadań. Szczęśliwym zrzędzeniem losu Gierardow okazał się zarówno kompetentnym, jak i sympatycznym głównym inżynierem, ale obaj zostaliśmy obarczeni ludźmi, którzy nie byli ani zdolni, ani znośni we wzajemnych kontaktach. Było oczywiste, że niektórzy z nich są po prostu agentami Komitetu Obwodowego w Nowosybirsku, Komitetu Miejskiego w Kemerowie, wydziału gospodarczego NKWD i Głównego Zarządu.

Od początku nasze wysiłki hamowała urzędnicza opieszałość i biurokratyczna głupota. Musiałem zgromadzić materiały i narzędzia, zadbać o ich przetransportowanie i zmagazynowanie. Trzeba było zmobilizować tysiące wykwalifikowanych i niewykwalifikowanych robotników, zapewnić im mieszkanie i elementarne udogodnienia. W normalnych warunkach takie problemy nie nastęrczałyby nieprzezwyciężonych trudności. Ale w naszym systemie radzieckim każdy krok wymagał formalnych decyzji niezliczonych urzędów, zazdrosnych o swoje uprawnienia i krępowanych śmiertelnym strachem przed podjęciem inicjatywy. Drobne trudności ustawicznie nas pętały, a nikt nie śmiał rozplątać tych węzłów bez instrukcji z Moskwy. Żyliśmy i pracowaliśmy w dżungli kwestionariuszy, formularzy i raportów w siedmiu egzemplarzach.

Oszczędzę czytelnikowi rozważań technicznych. Ale kilka przykładów może przybliżyć atmosferę pracy w warunkach bezplanowości nazywanej eufemistycznie gospodarką planową.

Rozpaczliwie potrzebowaliśmy cegieł. Setki więźniów maszerowały z odległych obozów i pracowały po czternaście godzin dziennie, aby zaspokoić popyt różnych kemerowskich instytucji na ten materiał budowlany. W tym samym czasie dwie wielkie i dobrze wyposażone cegielnie stały bezczynnie. Należały do innego komisariatu, który „oszczędzał” je dla jakichś mitycznych przyszłych celów. Błagałem, groziłem, wysyłałem emisariuszy do Moskwy, aby odmrozić te cegielnie, lecz biurokracja zatriumfowała nad zdrowym rozsądkiem. Cegielnie nie podjęły produkcji przez cały okres mojego pobytu w mieście.

Podczas gdy my dokładaliśmy wszelkich starań, aby znaleźć domy dla naszych robotników, na przedmieściach Kemerowa stały jak

na urągawisko nowe bloki mieszkalne, niewykończone i bezużyteczne. Kredyty przeznaczone na ten projekt, jak się okazało, wyczerpały się przed ukończeniem budowy. Miałem pieniądze, aby kupić i dokończyć te domy, ale nie udało mi się przedrzeć przez labirynt biurokracji. Przedsiębiorstwo, które rozpoczęło budowę, chciało pozbyć się kłopotu. W istocie wszyscy wydawali się chętni do pomocy i decyzja miała zapaść w każdej chwili – tylko że nigdy nie zapadła.

Ważna linia tramwajowa przebiegająca przez nasz rejon była prawie ukończona. Wystarczyłoby kilkadziesiąt tysięcy rubli, żeby ją uruchomić, i były na to fundusze. Ale z powodu jakichś budżetowych zawłości władze miejskie nie mogły ich ruszyć bez upoważnienia z góry. Napisałem dziesiątki listów, domagając się odblokowania kredytów. Odbywały się burzliwe posiedzenia Komitetu Miejskiego partii i Kemerowskiej Rady Miejskiej na ten temat. Ale mijały miesiące i nic się nie działo. Tymczasem tysiące zmęczonych mężczyzn i kobiet traciły dwie do trzech godzin, maszerując do pracy i z powrotem.

Nie było końca podobnym utrapieniom, piętrzyły się jedne na drugich. Przekształcały każde drobne zadanie w wielki problem. Zmuszały do niepotrzebnej pracy setki bezużytecznych urzędników, którzy tym samym byli zainteresowani potęgowaniem i przedłużaniem zamieszania. Poza tym każdy konflikt i każdą biurokratyczną przeszkodę potęgowało szpiegostwo, donosicielstwo i nieustanne dochodzenia.

Nie mogłem uczciwie przypisać problemów i opóźnień złej woli, chociaż często emocje brały górę i dochodziło do wymiany ostrych słów. Prawdziwe wyjaśnienie kryło się w uporczywym strachu, który paraliżował poszczególnych urzędników i całe instytucje.

Kemerowo, jak się okazało, bardzo ucierpiało podczas czystek i dlatego rany wolniej się goiły. Miejscowi urzędnicy jeszcze nie otrząsnęli się ze zgrozy. Miasto odegrało sensacyjną rolę w procesach moskiewskich. Tutejsze zakłady chemiczne i kopalnie węgla przedstawiono jako główne cele działalności sabotażowej; to w Kemerowie mieściła się ponoć „tajna drukarnia”, założona i wykorzystywana przez przywódców opozycji.

Głównym „spiskowcem” w tym mieście był rzekomo towarzysz Norkin, jeden z oskarżonych na procesie Piatakowa, stracony kilka godzin po wydaniu wyroku. Pracował w Kemerowie jako przedstawiciel Ludowego Komisariatu Przemysłu Ciężkiego. Za swoje grzechy musiałem siedzieć w tym samym gabinecie, w którym Norkin, jeśli wierzyć jego nedorzecznym zeznaniom, planował swoje zbrodnie. Codziennie spotykałem ludzi, którzy z nim pracowali, i kilku takich, którzy zeznawali przeciwko niemu.

Ponieważ moja znajomość z tymi ludźmi kwitła, było rzeczą nieuchronną, że w naszych rozmowach pojawiała się od czasu do czasu

nazwisko Norkina. Nieodmiennie ogarniało ich zakłopotanie i, jak mi się wydawało, również głęboki wstyd. Nie musieli mi mówić – chociaż jeden z nich to zrobił – że skłamacz pod naciskiem NKWD, aby ocalić własną skórę. Kilka razy gryzące wyrzuty sumienia brały górę nad ostrożnością.

Przy jednej okazji, po poważnym wypadku, do którego doszło w zakładach chemicznych, znalazłem się sam na sam z zatrudnionym tam wybitnym komunistą. Opowiedział mi o wypadku i nagle wykrzyknął:

- I właśnie za coś takiego stracono Norkina i wielu innych! „Sabotażyści” i „szkodnicy” nie żyją, a wypadki ciągle się zdarzają! Pewnie kierują tym ze swoich bezimiennych grobów...

- Ale co z zeznaniami Norkina, towarzyszu L...?

- Nie bądźcie naiwni, Wiktorze Andriejewiczu. Gdyby ci inżynierowie naprawdę chcieli narobić kłopotów, mogliby wysadzić w powietrze cały kombinat. Dlaczego mieliby się ograniczać do drobnych szkód i hamowania produkcji? Po co mieliby truć robotników? Zeznania. Bajki dla zagranicznych idiotów.

Było oczywiste dla każdego inżyniera, że zakłady chemiczne, podobnie jak wiele innych nowych radzieckich projektów przemysłowych, funkcjonowały w trudnych warunkach. Budowano je pośpiesznie i pod wieloma względami budowa nie została ukończona. Montaż był nieudolny. Robotnicy nieodpowiednio przeszkoleni. Prawda jest taka, że brak doświadczenia i głupie błędy leżały u podłoża wypadków przed czystką i nadal powodowały wypadki, kiedy „wrogowie ludu” zostali unicestwieni.

- Archiwum Ludowego Komisariatu Przemysłu Ciężkiego jest zapchane raportami o sytuacjach, które mogą prowadzić do wypadków – powiedział towarzysz L... Wiele z tych raportów napisali ci sami ludzie, którzy później przyznali się do sabotażu. Czy to ma sens, że inżynierowie najpierw ostrzegają o zagrożeniach, a później spiskują?

- Chyba nie.

- I weźcie pod uwagę jeszcze coś: jaki miałyby to wpływ na opinię publiczną, gdyby rząd ujawnił te raporty w sądzie? Ech, powinienem trzymać język za zębami. Ale czasami trudno się powstrzymać.

To, co dotyczyło zakładów chemicznych, można też powiedzieć o kopalniach węgla. Pewnego dnia sekretarz Sifurów wezwał mnie do swojego gabinetu w Komitecie Miejskim. Tego ranka jedna z kopalń została zalana. Wiadomość o wypadku rozeszła się po mieście i Sifurów był bardzo zaniepokojony.

- Towarzyszu Krawczenko, musimy mieć kilkaset par gumowych butów dla ludzi, którzy wypompowują wodę z kopalni – powiedział. - Słyszałem, że macie zapas takich butów, i potrzebuję waszej pomocy.

Oczywiście zgodziłem się pożyczyć mu buty. Potem wciągnąłem go w rozmowę o wypadku. Chciałem wiedzieć, czy to kolejny akt sabotażu.

- Nie ma sensu wyciągać takich pochopnych wniosków - odparł Sifurow. - Pokażcie mi kopalnię, tu albo za granicą, gdzie od czasu do czasu nie dochodzi do eksplozji, tąpnięcia albo zalania. To zupełnie naturalne, zwłaszcza tutaj, gdzie instalacje nadal są bardzo prymitywne.

- Mimo to - upierałem się - wiem z procesów i zeznań, że kemerowskie kopalnie były wylęgarnią szkodników.

Sekretarz patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, uśmiechnął się cierpko i zmienił temat.

Jakiś czas później w siedzibie miejscowego trustu węglowego uczestniczyłem w konferencji z urzędnikiem, z którym się przyjaźniłem. Nasza rozmowa przeciągnęła się poza godziny pracy i niebawem znaleźliśmy się zupełnie sami. Nagle, bez żadnego konkretnego powodu, podszedł do szafy i wyjął papierową teczkę, którą wręczył mi bez słowa. Otworzyłem teczkę i zacząłem czytać pisane przez kalkę kopie raportów dla Zarządu Węglowego w Moskwie.

Były to raporty sporządzone na długo przed eksplozjami i innymi wypadkami, nazwanymi później sabotażem. Nagłym i czasami rozpaczliwym językiem ostrzegały, że aby uniknąć ofiar w ludziach i strat materialnych, należy niezwłocznie podjąć środki zapobiegawcze. Znaczenie tych ostrzeżeń było zupełnie jasne. Sabotażyści raczej nie zachęcaliby do działań, które utrudniłyby im dokonanie zaplanowanych zbrodni...

Zeznania Norkina o podziemnej drukarni potwierdzili na procesach w Kemerowie i Nowosybirsku inni więźniowie, a na poparcie ich słów przedstawiono fotografie prasy drukarskiej i antyradzieckich ulotek. Było to jedno z nielicznych zeznań poparte dowodem rzeczowym. Zaintrygowała mnie ta historia i teraz, kiedy znalazłem się na miejscu zbrodni, nie przepuściłem okazji, żeby rzucić na nią nieco światła.

Podczas niemal rocznego pobytu w Kemerowie zdołałem zebrać fakty i rzeczywiście okazały się nieprzyjemne. Nie ośmielę się ujawnić, jak uzyskiwałem informacje, po kawałku i przez dłuższy czas, aby nie narażać życia przyzwoitych ludzi. Ograniczę się do przedstawienia prawdy - prawdy tak szokującej, że sam nie mogłem w nią uwierzyć, dopóki nie zdobyłem ostatecznego potwierdzenia.

Tajna drukarnia rzeczywiście istniała. Wiele razy byłem w piwnicy, gdzie stała prasa drukarska; wciąż były tam ślady jej obecności. Ulotki atakujące Stalina i wzywające do buntu faktycznie drukowano. Ale prasa została zainstalowana, a ulotki były pisane i drukowane przez NKWD. Aby się upewnić, że sprawa nie wyjdzie na jaw, autorzy mistyfikacji posłużyli się robotnikami, którzy nie mogli mówić - więźniami oczekującymi na egzekucję lub skazanymi na długoletnie

więzienie. Zadanie wykonano pod osłoną nocy. Więźniowie pracowali pod strażą, a wskazówek technicznych udzielali im czekiści specjalizujący się w takich rzeczach.

- Co z ulotkami? - spytałem człowieka, który znał te fakty. - Podobno rozprowadzono ich tutaj tysiące.

- Co za nonsens! - odparł. - Doskonale wiecie, że każdy, kogo złapano by z taką ulotką, zostałby natychmiast aresztowany. A ja nie wiem o żadnym przypadku aresztowania pod takim zarzutem, ani nikt inny tutaj. Żaden robotnik nie widział tych słynnych ulotek ani nie słyszał o nich aż do procesu. Może spiskowcy drukowali je po to, żeby zapewnić sobie lekturę do poduszki.

Tak czy inaczej, fakt, że Kemerowo - jego kopalnie węgla, zakłady chemiczne, przedsiębiorstwa budowlane - zostało uhonorowane tak ogromną rolą w spisku, pozostawił smutne dziedzictwo strachu. Nikt nie śmiał zrobić kroku bez podpisanego i trzykrotnie podstemplowanego zaświadczenia z Nowosybirsk i Moskwy. Patrząc z perspektywy, najbardziej niewiarygodne jest to, że zdołaliśmy osiągnąć tyle, ile osiągnęliśmy, zanim całe przedsięwzięcie zniweczył kolejny tajemniczy zwrot polityki. Ale uprzedzam wydarzenia.

ROZDZIAŁ XXI

Europa walczy

Traktat o przyjaźni pomiędzy Adolfem Hitlerem a Iosifem Stalinem, poprzedzający wybuch wojny w Europie, na zawsze będzie związany w mojej pamięci z odległym syberyjskim miastem, gdzie wówczas pracowałem. To właśnie w Kemerowie zobaczyłem, jak traktat przecina horyzont na podobieństwo meteoru i spada na umysły i sumienia członków partii. Byliśmy porażeni, oszołomieni i nie mogliśmy się otrząsnąć z niedowierzania.

Krótkie i duszne syberyjskie lato zbliżało się do końca wśród pogłosek o nadgranicznych starciach z Japonią. Niepokoje wojenne, wywołane porozumieniem monachijskim w poprzednim roku, jeszcze się do końca nie rozwiały. Ci z nas, którzy w ogóle myśleli o takich sprawach, byli świadomi zagrożeń z obu stron. Tak długo przyjmowaliśmy za pewnik, że naziści mają tylko jednego prawdziwego wroga, reżim radziecki, iż nigdy nie braliśmy pod uwagę ewentualności, że hitlerowskie Niemcy mogą dogadać się ze Związkiem Radzieckim i skierować swoją wojowniczą energię gdzie indziej.

Uważałem, że Kreml jest zdolny do każdej podłości. Jego metody nie wydawały mi się wiele lepsze od metod nazistów, zwłaszcza jeśli chodzi o traktowanie własnego społeczeństwa i system władzy. Słuchając antyhitlerowskiej propagandy, mimo woli zadawałem sobie pytanie: „Ale czym to się różni od okrucieństw radzieckich?”. Mimo to nie chciałem dać wiary wiadomościom o pakcie, który rozwiązał Hitlerowi ręce i pozwolił mu wydać wojnę Polsce i reszcie Europy. To na pewno jakaś pomyłka, myślałem, a wszyscy wokół mnie wydawali się myśleć tak samo.

Bądź co bądź, od lat wpajano nam nienawiść do nazizmu. Widzieliśmy, jak nasi najwybitniejsi dowódcy wojskowi, łącznie z marszałkiem Tuchaczewskim, zostali rozstrzelani za spiskowanie z hitlerowską armią. Wielkie procesy pokazowe, których ofiarą padli najbliżsi towarzysze Lenina, opierały się na przesłance, że hitlerowskie Niemcy i ich sojusznicy w Osi, Włochy i Japonia, przygotowują się do ataku na nas. Te państwa, jeśli chodzi o ścisłość, stanowiły jedynie szpicę światowej koalicji kapitalistów, którzy sprzysięgli się, żeby zniszczyć naszą socjalistyczną ojczyznę. Okrucieństwa wielkiej czystki były

uzasadniane głównie zbliżającą się hitlerowską napaścią na nasz kraj.

Podłość Hitlera stała się w naszym kraju niemal tak świętym artykułem wiary jak szlachetność Stalina. Radzieckie dzieci bawiły się w faszystów i komunistów; faszyci, którym nadawały niemieckie imiona, przegrywali za każdym razem, a zwycięscy towarzysze śpiewali na zakończenie hymn pionierów, Wsiegda gotow! (Zawsze gotowy!). Na strzelnicach tarczami były często sylwetki nazistów w brunatnych koszulach ze swastykami.

Zaledwie kilka tygodni przed podpisaniem paktu słuchaliśmy na zebraniu partyjnym do znudzenia znajomego wykładu o sytuacji światowej. Jak zawsze Hitler został przedstawiony jako arcyzbrodniarz, kreatura i narzędzie światowej plutokracji, która przygotowywała się do uderzenia na nas. Kiedy mówca powiedział, że Hitler i jego partia sprawują władzę dyktatorską, że Führer i jego klika zostali ubóstwieni, że w hitlerowskich Niemczech nie ma wolności słowa ani prasy, że wszyscy żyją w państwie strachu i terroru, wielu z nas nie mogło się powstrzymać od refleksji, że kreśli on wierny obraz naszego reżimu.

W kinie przy głównej ulicy Kemerowa wciąż wyświetlano antynazistowski film *Profesor Mamlock*. Przedstawiał on rząd Hitlera jako sadystyczną bandę rzezimieszków opętanych nienawiścią do Związku Radzieckiego.

Dopiero kiedy zobaczyliśmy kroniki filmowe i zdjęcia w gazetach, ukazujące uśmiechniętego Stalina, wymieniającego uścisk dłoni z von Ribbentropem, zaczęliśmy wierzyć w to, co niewiarygodne. Swastyka oraz sierp i młot powiewające obok siebie w Moskwie! A niedługo potem Mołotow wyjaśnił nam, że faszyzm jest w końcu tylko „kwestią gustu”! Stalin pozdrowił podobnego sobie dyktatora żarliwymi słowami o „przyjaźni przypieczętowanej krwią”!

Aby pojąć nasze zdumienie, należy znać oficjalną komunistyczną „linię” w kwestii nazistów i faszyzmu w ogóle do momentu podpisania paktu. Faszyzm, jak nam mówiono, nie różnił się od kapitalizmu charakterem, lecz jedynie stopniem rozwoju. Był po prostu kapitalizmem w swoim ostatnim, agonialnym stadium, kapitalizmem bez kamuflażu w postaci „demokracji” i „parlamentarnych sztuczek”. We Włoszech i w Niemczech, zgodnie z naszą wersją, kapitalizm zrzucił swoją „demokratyczną maskę” i otwarcie rozpętał przeciwko robotnikom terror, stosowany w zamaskowanych formach w Ameryce, Anglii i wszędzie indziej. W istocie było tylko kwestią czasu, zanim reszta świata kapitalistycznego, przyparta do muru trudnościami ekonomicznymi, również odejdzie od fałszywej demokracji i wkroczy na drogę faszyzmu.

Hitleryzm, jak kazano nam wierzyć, był zatem po prostu żelazną pięścią całego plutokratycznego, imperialistycznego świata. Wojna

pomiędzy hitlerowskimi Niemcami a ich kapitalistycznymi patronami była niewyobrażalna, nielogiczna. A teraz, kiedy taka wojna nadeszła, wydawała się nam czymś mniej szalonym niż pakt o przyjaźni pomiędzy ZSRR a Niemcami – pakt, który powinien być nazywany imieniem Stalina i Politbiura, a nie ZSRR, ponieważ nie zapytano o zdanie ani naszej partii, ani społeczeństwa.

Ale nie ma takiej intelektualnej zawieruchy, której rząd, dysponujący absolutną kontrolą nad prasą, radiem, szkołami i mównicami – z tajną policją wymuszającą jednomyślność opinii – nie zdoła przetrwać. Kiedy minął pierwszy wstrząs, nowa wersja stosunków międzynarodowych została powszechnie zaakceptowana. Powtarzaliśmy teraz bez końca, że francuscy i brytyjscy imperialiści, wspierani przez amerykański wielki kapitał i polskich obszarników, uwikłali się w konflikt, aby zdusić imperializm niemiecki, a wynik nie ma znaczenia dla „socjalistycznego” państwa. Ci z nas, w których ten obraz budził wątpliwości, chowali je głęboko w sercu, gdzie nie mogli ich wyśledzić wszechobecni donosiciele.

Profesor Mamlock zniknął z ekranów, podobnie jak *Rodzina Oppenheimów* i inne antyfaszystowskie filmy. Z bibliotek usunięto antyfaszystowską literaturę. WOKS, Towarzystwo Stosunków Kulturalnych z Zagranicą, natychmiast odkryło arcydzieła niemieckiej kultury. Odwiedziwszy służbowo Moskwę, dowiedziałem się, że kilka wystaw poświęconych nazistowskiej sztuce, nazistowskim osiągnięciom gospodarczym i nazistowskiej chwale militarnej albo już zostało otwartych, albo jest w trakcie urządzania.

Stołeczne teatry przejawiały ogromne zainteresowanie niemieckim dramatem. W modzie było wszystko, co germańskie. Propaganda nadal drwiła z Johna Bulla i Wuja Sama, siedzących na workach pieniędzy, ale przestała ośmieszać nazistów. W moskiewskich hotelach i sklepach widywało się setki niemieckich wojskowych i przedstawicieli handlowych, zaangażowanych w wielki program radzieckiej pomocy ekonomicznej dla hitlerowskiej krucjaty przeciwko „zdegenerowanym demokracjom”.

Rozmawialiśmy o tym nowym biegu wydarzeń nie tylko na oficjalnych zebraniach różnych komórek partyjnych, lecz prywatnie, we własnych domach i biurach. Jak my, ludzie w Kemerowie – mówiliśmy lub dawaliśmy do zrozumienia – mamy udawać, że znamy się na takich wielkich sprawach? Nasza praca polegała na budowaniu fabryk i kierowaniu nimi, na rządzeniu ludźmi zatrudnionymi w fabrykach z niezłomnym przekonaniem, że nasz Ukochany Przywódca nie może popełniać błędów. Tylko nieliczni krnąbrni członkowie partii w ogóle myśleli jeszcze o tej sprawie. Reszta popadła niebawem w taką samą apatię jak większość społeczeństwa. Po dwudziestu dwóch latach życia

pod dyktaturą prawdziwa opinia publiczna stała się czymś nie do pomyślenia.

Wiedzieliśmy jedynie z całą pewnością, że nasz kraj uniknął krwawej wojny, która pustoszyła resztę Europy, i wydawało się, iż powinniśmy być za to wdzięczni. Co więcej, otrzymaliśmy część łupów wojennych – połowę Polski, Besarabię, później trzy państwa bałtyckie – jako premię za mądrą neutralność Kremla.

Niewielu z nas potrafiło przewidzieć, że Rosja w końcu zostanie wepchnięta w ogień, nie mówiąc już o tym, iż poniesie większe straty w ludziach i majątku narodowym niż wszystkie pozostałe kraje razem wzięte. Przyjmowaliśmy za pewnik, że z czasem walczące kraje wykrwawią się, a ZSRR stanie się prawdziwym panem Europy. Dopóki kapitaliści walczą, głosiła doktryna polityczna, powinniśmy wzmacniać nasze siły, gromadzić broń i czerpać korzyści z wojennych doświadczeń innych. Kiedy kapitalizm i faszyzm osłabią się wzajemnie, wtedy, jeśli będzie trzeba, rzucimy na szalę historii dwadzieścia milionów uzbrojonych po zęby ludzi; do tego czasu rewolucje w wielu krajach europejskich przejdą z fazy teoretycznej w praktyczną.

Ten cyniczny pogląd naszych przywódców nazywano „bolszewickim realizmem”. Niektórzy z nas czuli się nim zawstydzeni i zaniepokojeni. Rola sępa, ogryzającego kości martwego kontynentu, była przeciwna naszej naturze. Woleliśmy wskrzeszać coś z romantyzmu wczesnych lat rewolucji. Na jakimś etapie walki, pocieszało się wielu z nas, masy pracujące powstaną przeciwko swoim ciemnościom. Wówczas wojna imperialistyczna przekształci się w wojnę domową, a ogólnoeuropejska rewolucja być może przywróci naszemu krajowi idealizm i rewolucyjnego ducha...

Chociaż wszyscy zaakceptowali przyjaźń z nazistami, a także kolejne napaści na inne kraje europejskie, mogę zaświadczyć, że nigdzie nie budziło to entuzjazmu. Cała sprawa wywoływała raczej zakłopotanie. Na naszych zebraniach politycznych, podczas których mówcy z centrali tłumaczyli nam nową sytuację, panowała skrepowana, nerwowa atmosfera. Dawało się to odczuć zwłaszcza po inwazji ZSRR na Finlandię w listopadzie. Kiedy Dawid walczy z Goliatem, nawet przyjaciele Goliata nabierają sympatii dla małego dzielnego Dawida. Czy najbardziej prostoduszny robotnik na naszych masowych wiecach mógł uwierzyć, że maleńka Finlandia, niesprovokowana, zaatakowała swojego potężnego sąsiada? Fakt, że zapłaciliśmy setkami tysięcy zabitych, rannych i jeńców za wąski pasek karelsko-fińskich bagien, zabarwił jeszcze tę niepopularną awanturę znaczną dozą upokorzenia.

W świetle przyszłych wydarzeń jedno trzeba powiedzieć jasno. Stalin zawarł swój układ z Hitlerem w dobrej wierze. Gdyby Kreml rozważał ideę, że w końcu i tak będziemy musieli walczyć z Niemcami, jakaś

część dotychczasowej nienawiści do nazistów nadal byłaby podsycana, nasza antynazistowska propaganda nie zostałaby tak całkowicie zarzucona na korzyść propagandy „antyimperialistycznej” (czyli antybrytyjskiej i antyamerykańskiej). Przynajmniej najbardziej zaufani funkcjonariusze partyjni na Kremlu, z których wielu znałem osobiście, zdawaliby sobie sprawę z ciągłego nazistowskiego zagrożenia.

Nic takiego się nie stało. Wręcz przeciwnie, każdy szept przeciwko Niemcom, każde słowo współczucia dla ofiar Hitlera, traktowano jako nową formę kontrrewolucji. Francuscy, brytyjscy, norwescy „podżegacze wojenni” dostali to, na co zasłużyli.

Teorię, że Stalin po prostu „grał na czas”, przygotowując się do konfrontacji z nazistami, wymyślono później, aby zatuszować tragiczną pomyłkę Kremla, darzącego niemieckiego sojusznika pełnym zaufaniem. Był to tak oczywisty wymysł, że w samej Rosji podczas wojny radziecko-niemieckiej niewiele na ten temat mówiono; dopiero później, kiedy znalazłem się w wolnym świecie, przekonałem się, że traktuje się go najzupełniej poważnie i daje mu wiarę. Wspomniana teoria ignorowała najbardziej znaczący aspekt porozumienia Stalina z Hitlerem: zakrojoną na szeroką skalę pomoc ekonomiczną, która pozbawiała ZSRR produktów, materiałów i mocy produkcyjnych niezbędnych do własnych przygotowań obronnych.

Pozostaje faktem, iż reżim radziecki nie wykorzystał tej zwłoki, żeby się skutecznie dozbroić. Przebywałem dostatecznie blisko zakładów zbrojeniowych, by wiedzieć, że po zawarciu paktu zaniedbywano wysiłek militarny. Panowało ogólne poczucie, znajdujące odzwierciedlenie w najwyższych kręgach władzy, że dzięki mądrym przywództwu Stalina możemy się czuć bezpieczni. Aż do upadku Francji nie budziło to żadnych wątpliwości; dopiero potem tempo przygotowań wojskowych znowu się zwiększyło.

2

W 1940 roku na moją pracę w Kemerowie przeznaczono czterdzieści siedem milionów rubli. Do końca 1939 roku zasadnicze przygotowania dobiegły końca i byliśmy gotowi rozpocząć budowę głównych hal projektowanej fabryki.

Zgodnie z radziecką procedurą rzeczywista budowa została powierzona, na zasadzie kontraktu, przedsiębiorstwu budowlanemu, Kemerowostrojowi. Na nim spoczywała również odpowiedzialność za zgromadzenie odpowiedniej liczby robotników. Ale ponieważ to mnie zależało najbardziej na szybkości i jakości pracy, oczywiście brałem udział w negocjacjach na temat siły roboczej.

I w ten sposób zostałem, po raz pierwszy, bezpośrednio

zaangażowany w wykorzystanie na wielką skalę niewolniczej pracy przymusowej.

Zarówno sekretarz Komitetu Obwodowego w Nowosybirsku, towarzyszy Brakow, jak i nasz sekretarz w Kemerowie, Sifurow, pomogli przedsiębiorstwu zdobyć niewolniczą siłę roboczą. Rada kemerowska też podejmowała działania w tej sprawie. Planowano zatrudnić znaczną liczbę wolnych robotników, ale projekt miał się opierać głównie na pracy skazańców.

NKWD zgodziło się dostarczyć na początek dwa tysiące więźniów, a ich liczba miała się zwiększyć wiosną, po rozpoczęciu prac budowlanych na większą skalę. Szczegóły uzgodniono podczas kilku spotkań w biurach Kemerowostroju i w siedzibie NKWD. Obie strony targowały się o kwalifikacje robotników wyznaczonych do tego przedsięwzięcia i o cenę, jaką trzeba będzie za nich zapłacić. Gdyby w trakcie dyskusji pojawił się ktoś obcy, mógłby odnieść wrażenie, że chodzi o konie czy muły, a nie o ludzi.

Na pierwszym spotkaniu słuchałem i niewiele mówiłem. Myślałem: *A więc to jest socjalizm w praktyce w bezklasowym społeczeństwie szczęśliwego życia... A więc to jest nowe życie, które właśnie w tym momencie próbujemy narzucić siłą Finlandii...* Przeszedł mnie dreszcz i na pewno zbladłem. Czułem się słabo. Sifurow spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Coś wam dolega, Wiktorze Andriejewiczu?

- Nie, nie, wszystko w porządku... po prostu mało spałem w tym tygodniu.

Przedstawiciel NKWD wyjaśnił, że nie brakuje więźniów, w tym robotników wykwalifikowanych i brygadzystów. Może dostarczyć pięć tysięcy, dziesięć tysięcy, każdą liczbę, jakiej sobie życzymy. W jego głosie brzmiała zawodowa duma - przypominał hodowcę koni szczyłającego się swoimi stajniami. Jedyną trudność dotyczyła tego, gdzie ich umieścić. W kilku obozach w sąsiedztwie Kemerowa przebywało obecnie około piętnastu tysięcy, a on wątpił, czy uda się tam upchnąć więcej.

Czy można wybudować nowy obóz i zapełnić go dostatecznie szybko, by służył naszym celom? Może w istniejących obozach można zbudować nowe baraki? W końcu, przed podjęciem ostatecznej decyzji w tej sprawie, postanowiliśmy odwiedzić największy obóz w okolicy.

W przenikliwie zimny i wietrzny poranek wsiedliśmy do limuzyny i pojechaliśmy na inspekcję. Było nas czterech: funkcjonariusz NKWD, przedstawiciel przedsiębiorstwa budowlanego, sekretarz Komitetu Miejskiego i ja. Jechaliśmy wolno z powodu śniegu, ale po mniej więcej dwudziestu minutach dotarliśmy na miejsce.

Obóz stał na wzniesieniu górującym nad strumieniem, który wpadał

do Tomu. Był otoczony wysokim ogrodzeniem z drewnianych bali, zwieńczonym drutem kolczastym, z wieżami wartowniczymi w czterech rogach i wartownią przy wejściu, gdzie wysiedliśmy. Drewniane baraki ciągnęły się równolegle do boków obozu, tworząc wielki kwadrat i pozostawiając pośrodku pustą przestrzeń, niczym plac defilad. Ta otwarta przestrzeń znajdowała się w zasięgu karabinów maszynowych na wszystkich wieżach, tak że w razie jakichś kłopotów można było prowadzić skoncentrowany ogień ze wszystkich kierunków. W pobliżu wejścia stało kilka porządnie zbudowanych domów, w których mieściły się biura obozowej administracji i kwatery dla straży.

Oczekiwano nas i natychmiast zostaliśmy wprowadzeni do głównego biura, gdzie przywitał nas komendant obozu. Zachowywał się nie tylko serdecznie, ale wręcz uniżenie. Był niskim, krępyim jasnowłosym mężczyzną, o dosyć regularnych rysach ogorzalej twarzy. Było jasne, że czuje respekt przed Komitetem Miejskim i oficerem NKWD, który nam towarzyszył. Powód poznałem później. Okazało się, że jest ważnym komunistą, wygnanym z Moskwy. Chociaż kierował obozem, sam przebywał na zesłaniu, a jego polityczną lojalność nieustannie sprawdzano. Dlatego Komitet Miejski i kemerowskie NKWD miały na niego oko i regularnie meldowały o jego sprawowaniu w obozie.

Przy kilku okazjach odwiedzałem już obozy, ale jeszcze nie przywykłem do tego doświadczenia. Wciąż odczuwałem niezdrową ciekawość dotyczącą wszystkich szczegółów obozowego życia. Tylko człowiek dokonujący inspekcji więzienia, gdzie pewnego dnia sam spodziewa się znaleźć, mógłby zrozumieć stan mojego ducha.

Wyglądając przez okno, zauważyłem piętnaście więźniarek, skulonych przed zimnem i układających stertę drewna w pobliżu jednego z ceglanych budynków. Jedna z nich miała na głowie worek. Kilka innych obwiązało sobie dłonie szmatami zamiast rękawic. Wkrótce w polu widzenia pojawiły się cztery inne kobiety, niosące wiadra, nad którymi unosiły się kłęby pary.

- Co one robią? - spytałem komendanta.

- Karmią świny i drób - odparł i dodał z nutą dumy: - Hodujemy tutaj własne mięso.

- Dla wszystkich więźniów?

- Dla więźniów? - roześmiał się, jakbym powiedział coś dowcipnego. - Nie przypuszczacie chyba, że karmimy mięsem wrogów ludu? To nie jest uzdrowisko ani restauracja, rozumiecie. Ale wierzcie mi, o jedzenie dla nas i dla strażników też nie jest łatwo.

- A kim są tamci trzej starcy?

Pokazałem trzech brodatych mężczyzn w wystrzępionych płaszczach i w chustkach na głowach, którzy pracowali przy stercie kamieni.

- Dwaj popi i rabin. Są zbyt słabi, żeby iść osiem kilometrów do fabryk

w Kemerowie, ale zarabiają na chleb, wykonując różne prace w obozie.

- Dziwna rzecz - wtrącił się przedstawiciel przedsiębiorstwa budowlanego - jak dobrze popi i rabini dogadują się ze sobą, kiedy umieści się tych kontrrewolucjonistów za drutem kolczastym. Zauważyłem to w wielu obozach.

- To prawda i sam się nad tym zastanawiałem - zgodził się komendant.

Siedząc w biurze, omawialiśmy nasz problem. Obóz, z około trzema tysiącami więźniów, był już przepełniony, ale komendant uważał, że uda się w nim pomieścić kolejny tysiąc, choć nie będzie to łatwe. Niektóre baraki, wyjaśnił, już pełnią podwójną funkcję, jedna śpi, a druga pracuje. Niestety, nie zawsze jest to możliwe, wiele zależy od rodzaju pracy, do jakiej wynajmuje się więźniów. Jedynym rozwiązaniem było według niego dobudowanie trzeciej kondygnacji „łóżek”.

- To prawda, trochę ich stłoczemy, ale przynajmniej tym na środkowej kondygnacji będzie ciepło. - Znowu się roześmiał.

Aby to zademonstrować, zaprosił nas do obejrzenia kilku baraków. Włożyliśmy kapelusze i płaszcze i ruszyliśmy za nim.

Czekiści z bagnetami na karabinach przechadzali się wzdłuż ogrodzenia w regularnych odstępach. Baraki, sklecone z surowych desek, ze szparami zapchanymi ziemią, były zamykane i ryglowane od zewnątrz.

- Ilu ludzi może pomieścić taki barak? - spytałem.

- To zależy. Normalnie od trzystu do trzystu pięćdziesięciu. W tym - powiedział, kiedy wartownik odryglowywał drzwi - przebywa trzysta dziesięć kobiet.

- Wstać! - krzyknął wartownik do wnętrza długiego, ciemnego baraku z niskim stropem.

Więźniarki skwapliwie posłuchały, te na górnych pryczach schodziły w panicznym pośpiechu. Tylko trzy lub cztery nadal leżały, najwidoczniej zbyt chore, żeby się poruszyć. Były tam kobiety w różnym wieku i różnych narodowości, młode i stare, ale wszystkie tak samo obdarte i wyczerpane. Ciężki odór stęchłego potu i rozgniecionych pluskiew trochę mnie zemdlił. Przez brudne zakratowane okna przedostawało się bardzo niewiele dziennego światła. Z sufitu zwisało kilka małych żarówek elektrycznych, ale jeszcze się nie paliły.

W baraku panował taki ziąb, że widzieliśmy własny oddech, lecz wiele kobiet było tylko w połowie ubranych. Tu i tam któraś z nich, zaskoczona nieoczekiwaną wizytą, próbowała przykryć obnażone piersi, ale większość wydawała się obojętna; zatraciły ostatnie resztki wrodzonej skromności. Kilka twarzy wyglądało bardzo młodo, jeszcze więcej było starych i pomarszczonych, ale przeważająca większość, jak mi się zdawało, miała po dwadzieścia kilka, trzydzieści kilka lat. Wiele z nich, co mogłem ocenić po twarzach i pozostałościach starych ubrań,

pochodziło z inteligencji; mimo że były brudne i wyczerpane, dostrzegłem w ich rysach ślady wykształcenia i kultury.

„Łózkami” były gołe deski, szerokie może na metr dwadzieścia, przytwierdzone do ciężkich belek w dwóch kondygnacjach – wyglądały jak podwójne półki bez żadnej pościeli. Tutaj więźniarki spały, jedna na każdej półce, w ubraniach, czasem ze zwiniętą szmatą pod głową zamiast poduszki. Prawie pośrodku stał mały, opalany drewnem piec, żałośnie nieodpowiedni do baraku takich rozmiarów. Poza kilkoma wiadrami na nieczystości w pobliżu wejścia nie było żadnych mebli, żadnych ław, żadnych stołów, dosłownie niczego.

Po przybyciu do obozu więźniom odbierano wszystkie listy, fotografie krewnych i przyjaciół i inne pamiątki z wolnego świata. Zabierano im również pościel i takie niezbędne przedmioty, jak szczoteczki do zębów i nożyczki. Każdy dostawał metalowy kubek, miskę i drewnianą łyżkę. Ten dobytek trzymali na „łózkach” lub wieszali na ścianach. Książki, papier i ołówki były surowo zakazane, podobnie jak, co zrozumiałe, odbiorniki radiowe. Korespondencja z rodzinami nie była ani dozwolona, ani możliwa.

Wzdłuż jednej z wąskich ścian biegło coś w rodzaju rynny, a nad nią umieszczono zbiornik na wodę z kurkami. Nasz przewodnik nazwał to „ich urządzeniami do mycia”. A następnie przedstawił swój pomysł, że dodatkowa kondygnacja „łóżek” pozwoli stłoczyć w tym samym pomieszczeniu kolejną setkę kobiet. Zupełnie jakby mówił o bydle, nie zwracając najmniejszej uwagi na więźniarki, które stały w milczeniu i słuchały naszej rozmowy. Na jednej ze ścian zauważyłem wystrzępiony pasek czerwonego płótna, na którym przeczytałem hasło, wymalowane białą farbą: „Praca – droga do rehabilitacji”.

- Czy wszyscy ci więźniowie to kryminaliści? - spytałem, kiedy wyszliśmy.

- Nie - odparł komendant - to wszystko polityczni: kułacy i inni kontrrewolucjoniści. W męskich barakach trzymamy ich razem, ale wśród kobiet, jak się przekonaliśmy, lepiej jest oddzielić elementy kryminalne i prostytutki od politycznych. Z kobietami problem dyscypliny jest znacznie trudniejszy.

Czekista zaprowadził nas do następnego baraku, nieco mniejszego. Tutaj trzymano kobiety skazane za przestępstwa kryminalne, w tym również prostytutki. Domyślając się, że bardziej interesuje mnie obóz niż negocjacje, komendant obozu wydawał się chętny do udzielania wyjaśnień.

Znów więźniarki stanęły na baczność. Chyba nie ma straszniejszego widoku dla normalnego mężczyzny niż kilkaset brudnych, wycieńczonych, obdartych kobiet. Obraża to głęboko zakorzenione męskie poczucie romantyzmu.

- Starosta, podejdz tu! - rozkazal komendant.

Starosta, czyli starsza baraku, wystapila naprzod. Wygladala na trzydzieści kilka lat, miala na sobie podarta, polatana sukienke, ktora kiedyś musiala byc elegancka. Jej rysy tez zachowaly slady dawnej urody. Stala sztywno na baczność z rekoma za plecami.

- Wszystko w porzadku, komendancie - zameldowala czystym, ale pozbawionym wyrazu glosem. - Jedna chora. Reszta gotowa, aby otrzymac jedzenie i zglosic sie do pracy.

- Dobrze, odmaszerowac!

Mój wzrok padl na plakat przybity do sciany w poblizu drzwi. Przeczytalem go - byla to wydrukowana lista przepisow dotyczacych zachowania czystosci i dyscypliny. Na koncu wielkimi czarnymi literami wyszczegolniono kary: pierwsze przewinienie - dwa dni bez jedzenia; drugie przewinienie - zamkniecie w izolatce co najmniej na tydzien; trzecie przewinienie - przedluzenie wyroku lub „najwyzszy wymiar obrony spolecznej”, co w radzieckiej terminologii oznaczalo smierc przez rozstrzelanie.

Kiedy wychodziliśmy z baraku, zapytalem naszego gospodarza, czy kiedykolwiek byl zmuszony zastosowac karę smierci wobec wienia.

- Od czasu buntu w zeszlym roku nie - odparl. Najwyrazniej zakladal, ze jako urzednik z Kemerowa wiem, do czego nawiazuje.

Baraki męskie, do ktorych nas teraz zaprowadzil, niczym sie nie rozniły od tych dla kobiet. Troche sie juz przyzwyczailem do widokow i zapachow, moglem wiec uważniej przyjrzec sie wieniom. Chociaz wiekszość stanowili Rosjanie, bylo tez wielu Uzbekow, Turkmenow, Tatarow, Ormian, Zydow, Polakow, a nawet kilku Chińczykow. Chociaz wszyscy byli zarośnięci, a takze niewiarygodnie brudni i wycieńczeni, wylowilem twarze, ktore wydalay mi sie inteligentne, nawet dystyngowane. Zapewne inzynierowie, profesorowie, ludzie wyksztalceni, przywodcy partyjni, ktorzy popadli w niełaskę, pomyslam. Zauwazyłem, ze jeden wysoki, barczysty wien stoi prosto i patrzy mi w oczy. Od razu poznalem, zupełnie jakby nadal nosil mundur, ze to byly wojskowy. Ale przewazajaca wiekszość, oczywiscie, wygladala na zwyklych chlopów i robotnikow.

W jednym z barakow starosta byl poteznie zbudowany męczyzna ze złamanym nosem i malymi, przebieglymi oczami.

- To *Szczelkunczik* - wyjasnil komendant. To slowo oznacza „dziadka do orzechow”.

- Dlaczego dziadek do orzechow? - spytalem.

- Och, to slynny kasiarz, znany pod tym przewiskiem w kilku obwodach - rozesmial sie. - Kryminalisci lepiej sie nadaja na starszych barakow niz polityczni. Sa twardzi.

- Wiekszość z nich pogardza politycznymi - dodal funkcjonariusz

NKWD z uśmiechem. – Widzicie, kryminaliści nie są wrogami ludu... tylko łajdakami, którzy złamali prawo.

– Jaki jest odsetek kryminalnych w stosunku do politycznych?

– Zwykle nie więcej niż dziesięć do piętnastu procent stanowią elementy kryminalne, co obejmuje również prostytutki. Ale oczywiście traktujemy ich jednakowo.

W drodze powrotnej uzyskałem więcej szczegółów od oficera NKWD. Więźniom, jak się dowiedziałem, nie wolno palić w barakach. Tylko w rzadkich przypadkach ich krewni wiedzą, gdzie odsiadują karę. Ludzie z krótkimi wyrokami trafiają zwykle do więzień lub kolonii karnych, toteż obozy zapełniają w większości ludzie skazani na pięć, osiem, dziesięć lub więcej lat albo na dożywocie.

Tak naprawdę wyrok niewiele znaczy, ponieważ mało kto wychodzi na wolność. Więźniów nie zwalnia się automatycznie po zakończeniu kary, lecz na specjalny rozkaz NKWD w Moskwie, które zwykle przedłuża arbitralnie wyroki, aby utrzymać swoją armię robotników przymusowych. Zwolnieni rzadko, jeśli w ogóle, otrzymują pozwolenie na powrót do rodzinnych domów. Muszą się osiedlać w wyznaczonych rejonach, zwykle w odległych częściach Syberii, Dalekiego Wschodu i Dalekiej Północy. Są tam ogromne społeczności złożone niemal całkowicie z byłych więźniów.

W najbardziej osławionych obozach na Dalekiej Północy, Dalekim Wschodzie lub w syberyjskiej tajdze przebywa nawet po trzydzieści lub czterdzieści tysięcy więźniów. Ponieważ wskaźnik śmiertelności jest przeraźliwie wysoki, w niektórych obozach istnieją specjalne brygady więźniów, których jedynym obowiązkiem, po dwanaście i czternaście godzin na dobę, jest grzebanie zmarłych.

W obozie, który właśnie odwiedziliśmy, racja chleba dla więźniów – a chleb jest ich głównym pożywieniem – wynosiła od trzystu do ośmiuset gramów dziennie i zależała od rodzaju pracy, do której ich przydzielono, od charakteru ich zbrodni i wykonania norm produkcyjnych. Ponadto dwa razy dziennie otrzymywali wodnistą zupę z ziemniaków i warzyw, owsiankę, a od czasu do czasu trochę suszonej ryby. Za niewykonanie normy karano obcięciem racji. Szkorbut, dyzenteria i inne choroby spowodowane niedożywieniem, jak również odmrożenia, były na porządku dziennym we wszystkich obozach. Widziałem bardzo niewielu więźniów bez wrzodów, zaczerwienionych oczu i innych wyraźnych oznak zrujnowanego zdrowia. W prawdziwym systemie niewolniczym, jaki istniał na przykład w Stanach Zjednoczonych przed wojną secesyjną, niewolnicy przedstawiali wartość ekonomiczną i dlatego zapewniano im przynajmniej taką opiekę i ochronę, z jakiej korzystają zwierzęta pociągowe. Sytuacja radzieckiego niewolnika jest nieskończenie gorsza. Zasoby są praktycznie niewyczerpane,

a właściciel niewolników, państwo radzieckie, najwyraźniej wychodzi z założenia, że bardziej ekonomicznie jest pozwolić im umierać tysiącami niż żywić ich i ubierać.

- Co to za bunt, o którym wspomniał komendant? - spytałem.

- Och, to było pod koniec tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego - odparł sekretarz partii. - Część więźniów odmówiła wyjścia do pracy.. chodziło zdaje się o zgniłe jedzenie. Administracja zastosowała oczywiście energiczne środki. Czternastu prowodyrów, dwunastu mężczyzn i dwie kobiety, rozstrzelano. Później brygady ze wszystkich baraków pomagały kopać groby, tuż za drutem kolczastym. Nie ma szans na kolejny bunt, dopóki pamięć o tamtym pozostanie żywa. Oczywiście komendant każdego obozu jest panem życia i śmierci wszystkich więźniów. Nie ma miejsca na zgniły liberalizm w postępowaniu z wrogami ludu.

Ostatnie zdanie stanowiło zapewne coś w rodzaju politycznej asekuracji. Nasz towarzysz z NKWD był bliskim przyjacielem sekretarza partii, ale po co ryzykować?

Zanim rozwiązano problem zakwaterowania naszych dwóch tysięcy niewolników, całe przedsięwzięcie zostało odwołane - „zamrożone”, mówiąc biurokratycznym żargonem.

3

Nie spodziewając się, że cała moja praca w Kemerowie zostanie wyrzucona na śmietnik, ucieszyłem się z nagłego wezwania do Moskwy pod koniec grudnia. Mogłem świętować Nowy Rok z Iriną. Zakładałem, że nie chodzi o nic poważniejszego niż ostateczne omówienie naszych planów na 1940 rok. Ale zastałem towarzysza Kożewnikowa w bardzo ponurym nastroju.

- Mam dla was złe wiadomości, Wiktorze Andriejewiczu - powiedział.

- Komitet Centralny i Rada Komisarzy Ludowych podjęły decyzję o tymczasowym wstrzymaniu prac nad walcownią w Kemerowie. Fundusze zostały obcięte do miliona rubli, co powinno wystarczyć na zabezpieczenie już wykonanych obiektów.

Patrzyłem na niego z osłupieniem.

- Ale to niemożliwe! Tak ciężko pracowaliśmy. Wszystko jest w doskonałym stanie. Dlaczego?

- Nie pytajcie mnie, jestem tylko szefem Głównotrubostalu. Nie skonsultowano się ze mną - po prostu mnie poinformowano. Mówiąc między nami, jestem tak samo zaniepokojony jak wy.

- W przygotowania zainwestowano miliony - ciągnąłem. - Ogromne ilości materiałów budowlanych są gotowe. Każdy obeznany z syberyjskim przemysłem wie, że ten projekt ma zasadnicze znaczenie.

Co się za tym kryje?

- Mogę tylko przypuszczać, że nowa sytuacja międzynarodowa. Teraz, kiedy przyjaźnimy się z Niemcami, nie musimy się spieszyć z przedsięwzięciami obronnymi. Mamy chwilę wytchnienia.

- Ale czy projekt kemerowski nie był związany głównie z zagrożeniami dalekowschodnimi? Jest jeszcze Japonia.

- No cóż, to są kwestie wyższej polityki i lepiej się do tego nie mieszajmy. Zakładam, że skoro mamy pakt radziecko-niemiecki, zagrożenie japońskie też się zmniejszyło.

- A co ze mną, towarzyszu Kożewnikow? W końcu jestem odpowiedzialnym dyrektorem i wydałem miliony rubli na prace przygotowawcze. Czy powinienem powiadomić partię, co myślę o tej decyzji?

Doświadczenie wielkiej czystki wyczuliło mnie na niebezpieczeństwo. Zdawałem sobie sprawę, jak łatwo niewinni urzędnicy mogą stać się kozłami ofiarnymi, pokutującymi za błędy na najwyższych szczeblach władzy - a wyrzucenie na szmelc Kemerowa wydawało mi się straszliwym błędem.

- Radzę, żebyście siedzieli cicho, Wiktorze Andriejewiczu. Po prostu zakończcie sprawę w Kemerowie i wracajcie tutaj. Kemerowostroj już otrzymał polecenie przerwania pracy.

Czy powinienem pójść za jego radą i zaakceptować decyzję w milczeniu? Zmagalem się z tym problemem przez całe tygodnie. Gdybym wyraził swoją opinię, biurokraci, którzy podjęli decyzję, poczuli by się urażeni. Narobiłbym sobie wrogów. Z drugiej strony, bierna postawa mogłaby podczas jakiejś przyszłej czystki zostać wykorzystana przeciwko mnie jako dowód obojętności, braku bolszewickiego zapału. Bądź co bądź, projekt miał istotne znaczenie militarne. Miałem powody do obaw, że jeśli sytuacja międzynarodowa ulegnie zmianie, zacznie się szukać kozłów ofiarnych, nowych „wrogów ludu”, których można by ukarać za wstrzymanie pracy. Winą nie obarczy się Komitetu Centralnego ani Rady Komisarzy Ludowych - są one bezgrzeszne z definicji - tylko niewinnych statystów takich jak ja. Poza tym moje myśli na ten temat były zabarwione emocjami. Czułem się sfrustrowany.

Nawet w straszliwie bezosobowym systemie państwowego planowania człowiek ma skłonność identyfikować się ze swoją pracą. Zaangażowałem się bez reszty w przedsięwzięcie kemerowskie. Jego skala i znaczenie dla przyszłości Syberii głęboko mnie obchodziły. Pracowałem, planowałem i wyklócałem się z najróżniejszymi urzędnikami w imię tych wielkich zakładów przemysłowych, które widziałem już oczyma duszy. Nie było mi łatwo pogodzić się z myślą, że wszystkie wysiłki pójdą na marne.

Moje wątpliwości co do trybu postępowania rozwiały się, kiedy wróciłem do Kemerowa. Władze miejskie, jak się przekonałem, były przerażone takim obrotem wydarzeń. Zarówno Komitet Miejski, jak i Komitet Obwodowy w Nowosybirsku pisały formalne raporty do Moskwy, prosząc o ponowne rozważenie decyzji. Projekt, jak utrzymywały, był już zaawansowany, a wiele ważnych fabryk liczyło na nowe źródło stalowych rur. Chwaliły też administrację projektu, a zwłaszcza mnie jako jego dyrektora.

Uznałem, że nie pozostaje mi nic innego, jak poprzeć ich prośbę - ten błąd miał się na mnie mścić przez dłuższy czas. W oświadczeniu zaadresowanym do Komitetu Centralnego partii i towarzysza Mierkułowa, ludowego komisarza metalurgii żelaza i stali, błagałem o kontynuowanie budowy w Kemerowie.

Po powrocie do Moskwy szybko odkryłem, że moje działania wzbudziły więcej niechęci do mnie, niż mogłem przypuszczać. Każda radziecka instytucja jest wylęgarnią osobistych animozji, rywalizujących ze sobą klik, ropiejących zawiści. Jest to niemal nieuchronne w atmosferze, gdzie największe znaczenie mają polityczne zdolności i wpływy. Kożewnikow był rozdrażniony, ponieważ zlekceważyłem jego radę. Jego zastępca, Gołowanienko, z którym się posprzeczałem w kilku kwestiach technicznych, od dawna żywił do mnie urazę. Teraz zyskał okazję, żeby się odegrać.

Chyba jedynie komisarz Mierkułow naprawdę zaaprobował moje działania. Ale nie bardzo mógł udzielić mi poparcia. Wyznał mi w zaufaniu, że cały przemysł metalowy jest przedmiotem dochodzenia specjalnej komisji Komitetu Centralnego pod przewodnictwem towarzysza Malenkowa. Iwan Tewosjan, Ormianin, który cieszył się wielkimi względami Stalina, był jednym z członków komisji. Jest jasne, powiedział, że Mierkułow zostanie obarczony odpowiedzialnością za wszystkie niedociągnięcia w przemyśle. Niebawem rzeczywiście został usunięty ze stanowiska, a na jego miejsce przyszedł Tewosjan.

Minął ponad miesiąc, a ja nie otrzymałem z Komitetu Centralnego żadnej odpowiedzi na swój raport. Ogarnęła mnie niepewność. Idąc za radą wyczulonych politycznie przyjaciół, wysłałem kopię swojego oświadczenia do osobistego sekretariatu Stalina. Chociaż ten krok mógł mnie ochronić przed bezpośrednią zemstą obrażonych lub zaniepokojonych urzędników w komisariacie, powiększał w ich oczach moją winę.

Zemścili się, a do tego z nawiązką. Fabrykując drobną i naciąganą sprawę sądową przeciwko mnie - o której opowiem później - zdołali mnie uwikłać w dwuletnie korowody prawne. Nie udało im się posłać mnie do więzienia i ostatecznie zostałem całkowicie oczyszczony przez Sąd Najwyższy. Ale zawdzięczam im wiele miesięcy napięcia nerwowego

i aż nadto bliską znajomość z radzieckim wymiarem sprawiedliwości.

Czekając na nowy przydział, pozostawałem na liście płac Głównego Zarządu. Nie przywykłem do lenistwa, ale szybko w nim zasmakowałem. Co wieczór zabierałem Irinę do teatru, na koncert, operę, balet. Jak większość Rosjan, najbardziej lubię Moskwę w jej cichym zimowym nastroju, z krótkimi dniami i krystalicznymi nocami, kiedy miasto przykrywa gruby całun śniegu.

W tych pierwszych miesiącach 1940 roku Moskwa była jedną z nielicznych europejskich stolic, w których nie obowiązywało wojenne zaciemnienie. Podkreślano to w nieskończoność jako dowód przenikliwości Ukochanego Przywódcy i Nauczyciela. Wiadomości na temat wojny ograniczały się do krótkich wzmianek małą czcionką na ostatnich stronach gazet, jakby to nas w ogóle nie dotyczyło. Mimo to ludzie zaglądali do nich w pierwszej kolejności i czytali chciwie. Instynktownie wątpili w oficjalne zapewnienia, że nasz kraj pozostanie na zawsze zabezpieczony przed rozszerzającą się pożogą. Zapewne to właśnie poczucie nietrwałości nadawało artystycznemu i towarzyskiemu życiu miasta tamtej zimy szczególny posmak, swego rodzaju gorączkowy blask.

Urządzano więcej przyjęć niż zwykle. Latarnie uliczne i rzadkie neony zdawały się świecić bardziej arogancko. Obecność niemieckich urzędników i oficerów – zwłaszcza w większych hotelach i restauracjach – wprowadzała w scenerię wojowniczy akcent.

Wojna przejawiała się w tej neutralnej stolicy jeszcze w inny sposób. Tak zwane otwarte sklepy, gdzie sprzedawano towary luksusowe po bardzo wygórowanych cenach, zapełniły się nagle nieznanymi zagranicznymi artykułami; garniturami, sukienkami, butami, papierosami, czekoladą, herbatnikami, serem, konserwami i setkami innych rzeczy obcego pochodzenia. Były to dobra z obszarów przygranicznych zajętych przez Armię Czerwoną. Początkowo te zagraniczne wspaniałości pochodziły z terytoriów polskich i fińskich, później zaczęły się pojawiać łupy z krajów bałtyckich i z Besarabii.

Zgodnie z propagandową teorią „wyzwalaliśmy” te obszary, uwalniając je od kapitalistycznego wyzysku i nędzy. W praktyce moskwianie byli zachwyceni, że mogą kupować te kapitalistyczne cuda w „socjalistycznej” stolicy. Tysiące radzieckich urzędników popisowały się zdobytymi łupami, a po mieście krążyły zdumiewające historie, czasem niewątpliwie przesadzone, o niezwykłych rzeczach, które wpadły w ręce radzieckich wyzwolicieli na podbitych obszarach.

Główny Zarząd myślał o odpowiednim stanowisku dla mnie. Każdy obywatel radziecki może oczywiście zostać skierowany do pracy wszędzie, arbitralnie i bez uprzedzenia. W przypadku bardzo odpowiedzialnej pracy rozsądną praktyką jest uczynić ten proces tak

dalece dobrowolnym, jak to tylko możliwe. Komisariat zaoferował mi kierownictwo zakładów metalurgicznych w zabajkalskim regionie wschodniej Syberii. Mówiło się także o posadzie głównego inżyniera w zakładach na Uralu. W pewnym momencie myślano o mianowaniu mnie dyrektorem zakładów w obwodzie gorkowskim. Ale żadna z tych możliwości się nie urzeczywistniła.

Co do mnie, byłem zmęczony latami tułaczki i z całej duszy tęskniłem za osiadłym życiem domowym. Pragnąłem pozostać w Moskwie. W porównaniu z resztą kraju wydawała się ona rajem. Dzięki finezyjnym zabiegom i dyskretnemu poparciu politycznemu, którego udzielił mi członek Politbiura, Andriejew, w końcu dostałem pracę w Moskwie – w fabryce metalurgicznej w Fili, na przedmieściach stolicy. Było to skromne stanowisko, o dwa szczeble niższe od tych, które zajmowałem wcześniej, ale ponieważ nie musiałem wyjeżdżać z Moskwy, czułem się usatysfakcjonowany.

Fabryka została wybudowana przed rewolucją, powiększona i zmodernizowana w ostatnich latach, zatrudniała około tysiąca robotników i nosiła tę samą nazwę, co trust, Gławtrubostal. Produkowała głównie stalową taśmę i rury. Jako zastępca głównego inżyniera ponosiłem odpowiedzialność za produkcję.

Najwyżsi urzędnicy administracyjni pracowali razem w tej fabryce od dłuższego czasu. Tworzyli zwartą i zgraną grupę. Funkcję dyrektora pełnił niejaki Manturow, wysoki, rudowłosy, o twarzy pokrytej piegami. Był człowiekiem szorstkim w obejściu, samoukiem, który maskował swoją całkowitą ignorancję w kwestiach technicznych fanfaronadą. W okresie wojny domowej zdobył sławę jako partyzant i wciąż żył z tego kapitału politycznego. Chociaż przez wiele lat kierował zakładami przemysłowymi, ich funkcjonowanie pozostawało dla niego tajemnicą i czasami naprawdę złościł się na inżynierów, którzy się na tym znali.

Jego kolegą i główną podporą był towarzysz Jegorow, sekretarz fabrycznej organizacji partyjnej oraz szef jej wydziału specjalnego. Ten niski, krępy mężczyzna w średnim wieku z wielkimi krzaczastymi brwiami czuł się ważny z racji swoich znajomości w wydziale gospodarczym NKWD. Kiedy z władczą miną przechodził przez warsztaty i biura, niektórzy robotnicy mruczeli za jego plecami o „naszym małym Stalinie”. Jego potężne brwi rzucały na mnie swój cień przez wszystkie lata, które spędziłem obok niego. Trzecim członkiem tego wewnętrznego kręgu był przewodniczący związków zawodowych, towarzysz Papaszwili, smagły Gruzin z wrodzoną skłonnością do intryg. Redaktor fabrycznej gazety i kilku innych działaczy komunistycznych współpracowało z dyrekcją, tworząc zżyłą rodzinę.

Pod rządami komisarza Tewosjana, przyjaciela Stalina, podejmowano usilne starania, aby podnieść produkcję. Za wykonanie planów

wypłacano hojne premie i dodatkowe nagrody pieniężne dla administracji za każdy procent przekroczenia normy. Ponieważ wewnętrzny krąg nie mógł przyznawać sobie premii z pominięciem wyższej kadry technicznej, nie brakowało mi pieniędzy. Zdarzały się miesiące, kiedy moja pensja wraz z dodatkami przekraczała cztery i pół tysiąca rubli. Praca tłumacza przynosiła Irinie około tysiąca rubli. Nasze wspólne zarobki były zatem w dobrych miesiącach dwadzieścia do dwudziestu pięciu razy wyższe od przeciętnej pensji robotnika.

Mimo tego dostatku nasze „mieszkanie” składało się z dwóch małych pokoi na najwyższym piętrze trzypiętrowego budynku w centrum miasta, przy ulicy Roždieswienka 5. Kiedyś mieścił się tam hotel. Na naszym piętrze umieszczono jeszcze kilka rodzin, wraz z meblami, służbą i własnymi problemami.

Wśród moich sąsiadów znalazła się dawna balerina i jej dorosła córka; brygadzysta fabryczny z żoną; zaniedbana i zgorzkniała wdowa po byłym kupcu w wystrzępionych resztkach wykwinnych niegdyś strojów; odpowiedzialny pracownik jakiegoś komisariatu. Niektórzy z nich mieli służbę. My mieliśmy tylko pomoc domową, która nie mieszkała z nami, ale przychodziła codziennie.

Chociaż przez kilka lat mieszkaliśmy blisko tej zróżnicowanej grupy moskwian – tak blisko, że wpadaliśmy na siebie i działaliśmy sobie nawzajem na nerwy – tak naprawdę nie znaliśmy tych ludzi. Unosił się nad nami duszący opar podejrzeń, jak nad każdą taką grupą żyjącą w wymuszonej i irytującej bliskości. Ci, którzy wyobrażają sobie romantycznie, że wspólne problemy wiążą ze sobą ludzi, nigdy nie mieszkali w zatłoczonym komunalnym mieszkaniu w Moskwie. Na kilka rodzin przypadały dwie kuchnie, jedna łazienka i toaleta, jeden telefon we wspólnym korytarzu. Zamykaliśmy uszy na kłótnie, miłosne jęki, awantury, które wirowały wokół nas. Kiedy dzwonił telefon, wszyscy biegli odebrać. Nie mogliśmy się też uwolnić od podejrzeń, że wśród naszych sąsiadów mogą być donosiciele.

W naszym mieszkaniu informatorem NKWD – odkryłem to dopiero później, podczas wojny – okazała się jedyna osoba, której o to nie podejrzewaliśmy. Była to wdowa po kupcu nazwiskiem Silina. Słuchała naszych rozmów telefonicznych, podsłuchiwała pod drzwiami i regularnie donosiła. Niewątpliwie zgodziła się na to ze strachu, aby uniknąć zesłania jako „element wrogi klasowo”. Czasami zastanawialiśmy się, jak udaje jej się zdobyć dodatkowe racje żywnościowe. Kiedy odkryłem, jaką pełni funkcję w naszej społeczności, odpowiedź stała się oczywista.

Poza tą kobietą stanowiliśmy jednak dosyć solidarną grupę. Jak niemal wszyscy Rosjanie, byliśmy gotowi zapominać o drobnych nieporozumieniach i kiedy nieszczęście zapukało do czyichś drzwi,

spieszaliśmy z pomocą.

Niech nikt jednak nie sądzi, że jeśli chodzi o warunki mieszkaniowe w rosyjskich miastach, wiodło nam się źle. Irina miała szczęście, że dostała takie mieszkanie w wybranej części Moskwy, ja zaś dzieliłem jej szczęście, a jednocześnie błagałem i starałem się o miejsce w jednym z nowych bloków wyrastających w mieście. Mieliśmy pianino, dobre mahoniowe meble, kosztowne dywany, trochę obrazów. Przyjaciele, którym się mniej poszczęściło, odwiedzając nas, mówili ze szczerą zawiścią o naszym życiu...

Z wyjątkiem przerwy, kiedy służyłem w Armii Czerwonej, miałem tak mieszkać przez ponad trzy lata. Był to jedyny raz w moim dorosłym życiu, gdy osiągnąłem coś w rodzaju domowej stabilizacji. Praca w Głównym Zarządzie zajmowała mi wiele godzin - często od siódmej trzydzieści rano do dziesiątej lub dwunastej w nocy. Ale w dni wolne i niektóre wieczory, kiedy wracałem wcześniej, Irina i ja czuliśmy, że wreszcie mamy prawdziwy dom.

Czasem urządzaliśmy przyjęcia. Niemal wszyscy moi przyjaciele byli członkami partii, urzędnikami z Kremla lub Komitetu Centralnego, inżynierami, natomiast krąg znajomych Iriny wywodził się z artystycznych i literackich środowisk Moskwy. Obie grupy nie bardzo do siebie pasowały, toteż staraliśmy się, w miarę możliwości, aby się nie mieszały. Być może ta odrębność była symboliczna dla naszego małżeństwa, które nigdy nie przerodziło się w głęboki, wszechogarniający związek. Dwoje ludzi, jak się przekonałem, może darzyć się nawzajem prawdziwym uczuciem i szacunkiem, choć każde z nich prowadzi własne życie.

Moja praca w fabryce, działalność partyjna, wykłady polityczne, zebrania, wszystko to nie wchodziło w zakres zainteresowań Iriny. Nasze dwa światy czasem się stykały, ale rzadko przenikały. Poza tym radzieccy urzędnicy ze względów bezpieczeństwa nie wtajemniczają swoich żon w sprawy zawodowe i polityczne. Doświadczenie nauczyło ich, że im mniej rodzina wie o ich pracy i problemach, tym jest na dłuższą metę bezpieczniejsza. Ponieważ nad ich głowami stale wisiała groźba czystki lub aresztowania, służby wszechpotężnego państwa starali się strzec swoich najbliższych, mówiąc im bardzo niewiele albo nic.

Tak czy inaczej, pozostaje faktem, że rzadko rozmawiałem z Iriną o swojej pracy zawodowej, a nigdy o swoich politycznych przemyśleniach i wątpliwościach, chociaż była inteligentną i pełną współczucia kobietą. Często pragnąłem podzielić się swoimi kłopotami, „porozmawiać od serca”, ale strach, że uczynię z niej współniczkę swojego „niebezpiecznego” stanu ducha, zawsze wiązał mi język.

- Powiedz mi, najdroższy Witiu, co cię gnębi - prosiła często. -

Dlaczego jesteś taki nieszczęśliwy? Czy to przeze mnie? Czy mogę ci jakoś pomóc? Powiedz mi, błagam!

- Nie, kochanie, to nie ma nic wspólnego z tobą. Chyba po prostu zbyt ciężko pracuję. Nie ma się o co martwić...

Jak można prowadzić normalne życie domowe pod umysłowym terrorem totalitarnej egzystencji?

4

Pewnego dnia w czerwcu otrzymałem z Głównego Zarządu list z prośbą o wyjaśnienie pewnych płatności, dokonanych przez mojego zastępcę handlowego w Kemerowie. Zdziwiło mnie to, ale nie zaniepokoiło. Nie od razu zrozumiałem, że to sprytna zemsta Gołowanienki i innych, których niechcący uraziłem.

Zgodnie z radzieckim prawem niektórzy odpowiedzialni pracownicy, mianowani na stanowiska w odległych częściach kraju, jak Daleki Wschód i Syberia, mają prawo do wysokich rekompensat, obejmujących transport i inne wydatki. Wypłat dokonuje się na podstawie indywidualnych oficjalnych umów z przedsiębiorstwem, które ich zatrudnia. Teraz okazało się, że w kilku przypadkach nie było umów uzasadniających wypłaty dokonane przez mój zakład.

Mój zastępca i główny księgowy nie widzieli potrzeby zawierania takich umów. Prawo, poparte podpisem Kożewnikowa, wydawało im się wystarczające. Ja osobiście nigdy nie zatrudniałem tych ludzi ani nie zatwierdzałem wypłat. Mimo to, jako kierownik projektu, zostałem obarczony odpowiedzialnością za to przeoczenie i oskarżony o bezprawne wydawanie funduszy, przestępstwo zagrożone co najmniej trzema latami więzienia.

Plan uwikłania mnie w tak naciągane oskarżenie najwyraźniej powstał bez wiedzy Kożewnikowa, który wydawał się zaskoczony i zakłopotany, kiedy pospieszyłem do niego z listem. Uważał, że zarzut jest absurdalny i że nie powinienem się przejmować. Czuł jednak, iż nie może sam angażować się w tę sprawę, aby nie stwarzać wrażenia, że tuszuje niedbalstwo we własnym przedsiębiorstwie.

- Po prostu odpowiedzcie na list - zasugerował - i zapomnijcie o tym. Nie wyobrażam sobie, żeby ta sprawa miała ciąg dalszy. Jest zbyt głupia.

Mylił się jednak. Minął miesiąc. Przyjąłem za pewnik, że „kryminalne” zarzuty przeciwko mnie zostały uchylone. Nagle jednak otrzymałem powiadomienie, że Ludowy Komisariat Metalurgii Żelaza i Stali, w imieniu samego Iwana Tewosjana, wniósł do sądu ludowego formalne oskarżenie przeciwko mnie. W ten sposób stałem się oskarżonym w poważnej sprawie kryminalnej, w związku z „przestępstwem”,

z którym nie miałem nic wspólnego. Główny księgowy przedsiębiorstwa kemerowskiego, Matwiejew, też został oskarżony. Mój zastępca do spraw handlowych, który dokonywał wypłat, nie znalazł się wśród oskarżonych.

Zdołałem dotrzeć do różnych urzędników sądowych, starając się o umorzenie sprawy. Zgodzili się ze mną, że na pozór wydaje się bezsensowna, ale oskarżenie wyszło od Tewosjana, nie tylko ludowego komisarza, ale co ważniejsze, wschodzącej gwiazdy na stalinowskim firmamencie. Maszynerii wymiaru „sprawiedliwości” nie dało się już zatrzymać. Miałem stanąć przed sądem. Właściwie wszyscy oceniali moje położenie ponuro. Kiedy jeden obywatel skarży drugiego, może mieć nadzieję na obiektywny werdykt radzieckiego sądu. Ale kiedy zwykły śmiertelnik zostaje oskarżony przez rząd, jego szanse są zazwyczaj nikłe. Głównym celem i obowiązkiem radzieckiego systemu prawnego nie jest abstrakcyjna sprawiedliwość, lecz obrona „dyktatury proletariatu”, czyli obrona reżimu.

Najpierw odbyło się przesłuchanie wstępne, podczas którego nakłaniano mnie, abym przyznał się do winy.

- Nie bądźcie głupcem, Krawczenko - powiedział jeden z funkcjonariuszy NKWD. - Przełknijcie tę pigułkę. W ten sposób unikniecie procesu i dostaniecie lżejszy wyrok.

- Ale jak mogę przyznać się do przestępstwa, o którym nawet nie wiedziałem? Nie zaszargam sobie kartoteki z powodu jakiegoś głupiego niedopatrzania! Pieniądze były wypłacane za oficjalną pisemną zgodą Gławtrubostalu.

Wcześniej nie uwierzyłbym, że przesłuchanie w takiej sprawie będzie prowadzić NKWD, a nie urzędnik sądowy, w akcie oskarżenia nie było przecież żadnych kwestii politycznych. Ale tam, gdzie partia stanowi prawo, a także je egzekwuje, nic nie może dziwić.

- W takim razie staniecie przed sądem.

Cztery dni przed wyznaczonym terminem procesu zwróciłem się do państwowego kolegium adwokackiego z prośbą o obrońcę. W naszym kraju nie ma prywatnej praktyki prawnej. Trzeba pójść do rejonowego kolegium adwokackiego, zgodzić się na wyznaczonego obrońcę i wnieść ustaloną opłatę. Oczywiście, ponieważ prawnik otrzymuje nędzną miesięczną pensję, zwykle wynagradza się go prywatnie, w taki sposób, aby nikt o tym nie wiedział.

Znudzona kobieta, ziewająca mi w twarz, wysłuchiwała mnie i może nawet częściowo zrozumiała.

- Pietrow - zawołała przez cały pokój do człowieka zagrzebanego w papierach - sprawa z artykułu 109, proces za cztery dni. Możesz ją wziąć?

- Nie, jestem zajęty - odkrzyknął Pietrow.

- Dobrze, znajdę kogoś innego - powiedziała.

Pierwsze spotkanie z adwokatem, którego mi przydzieliła, nie poprawiło mi nastroju. Był dosyć przyzwoitym, drobnym mężczyzną o niespokojnych oczach i zapadniętych policzkach, potulnym i skruszonym. Kiedy poznał zarzuty wysunięte przez Tewosjana, jego niepokój zamienił się w rozpacz. Prawnik radziecki, aby uniknąć kłopotów, musi stawiać interesy partii i państwa ponad interesami swojego klienta. Mojemu wystraszonemu małemu obrońcy nie uśmiechała się rola przeciwnika ludowego komisarza. W istocie nie miał zamiaru odgrywać tak niebezpiecznej roli...

Sąd ludowy zebrał się w obskurnym, źle wywietrzonym pokoju na pierwszym piętrze budynku, który zapewne był niegdyś szkołą. Na ścianach, pomalowanych żółtą, łuszczącą się i upstrzoną przez muchy farbą, wisiały portrety Stalina i innych przywódców. Czekałem, wraz z Matwiejewem i naszymi obrońcami, wśród dwudziestu kilku osób, których sprawy były tego dnia na wokandzie.

- Sąd idzie. Wstać! - zawołał woźny donośnym głosem.

Wstaliśmy i po chwili tylnymi drzwiami weszli dwaj mężczyźni i kobieta i zajęli miejsca za stojącym na podwyższeniu stołem, przykrytym czerwonym sukniem. Przez kilka godzin przysłuchiwałem się innym sprawom. Sędzia przewodniczący rozprawie jest urzędnikiem sądowym i zadaje większość pytań; dwaj pozostali to „przedstawiciele ludu”, swoisty odpowiednik ławy przysięgłych w krajach anglosaskich. W tym przypadku przedstawicielem ludu był młody robotnik, zdenerwowany i przytłoczony ciężarem tego zaszczytu, i starsza kobieta, prawdopodobnie sekretarka biurowa. Żadne z nich nie otworzyło ust.

Po przesłuchaniu przez sędziego prokurator i obrońca wygłosili żarliwe mowy - namiętna retoryka jest tradycją radzieckiej jursprudencji - i troje sędziów udało się na naradę. Po kilku minutach wrócili z werdyktem.

Przesłuchanie Matwiejewa i mnie odbyło się według tego samego scenariusza, co przesłuchanie wstępne. Aż do tej chwili nie chciałem uwierzyć, że naprawdę mogę pójść do więzienia pod tak nedorzecznym pretekstem. Ale kiedy rozpoczął się proces, serce we mnie zamarło. Moja subiektywna niewinność wydawała się nieistotna. Obiektywnie dopuściłem się „sprzeniewierzenia funduszy państwowych”. Tak orzekł komisariat i cała sprawa wydawała się stereotypowa.

Kiedy sędzia skończył ze mną, poczułem, jak zamykają się wokół mnie więzienne mury. Potem przejął pałeczkę prokurator. Był otyłym mężczyzną z wielką strzechą czarnych włosów. Czułem, iż żywi do mnie

urazę, jakby to była moja wina, że musi utrzymać rodzinę za sześćset rubli miesięcznie.

- Ile zarabialiście w Kemerowie? - spytał w pewnym momencie.

- Średnio dwa i pół tysiąca rubli miesięcznie, czasem więcej.

Potrząsnął swoją rozczochraną głową, jakby udowodnił jakiś istotny punkt, i popatrzył znacząco na sędziów.

- A ile zarabiacie teraz?

- Trzy, cztery, czasem nawet pięć tysięcy... to zależy.

Prokurator znowu pokiwał wymownie głową i zacisnął usta w ironicznie oskarżycielski sposób. Posługiwał się jakąś dziwną logiką, która, jak przypuszczałem, miała więcej wspólnego z jego gorzkim ubóstwem niż z rozpatrywaną sprawą.

- Widzicie zatem, towarzysze sędziowie, w jakich warunkach oskarżony żyje!

- Ale co to ma wspólnego z zarzutami? - nie mogłem się dłużej powstrzymać. - Kieruję wielką fabryką i jestem wynagradzany zgodnie z prawem.

- Oskarżony, proszę nie przerywać! - upomniał mnie sędzia przewodniczący rozprawie. - Ufamy Ludowemu Komisariatowi, który stawia zarzuty przedstawione tutaj przez prokuratora, bardziej niż wam.

Mowa prokuratora była długa i kwiecista. Gestykulował zawzięcie. Sięgał do literatury i przemówień Przywódcy po posępne barwy, w jakich chciał odmalować te dwa „potwory”, które „marnotrawiły pieniądze ludu”. Przybysz z zewnątrz, nie znający faktów, mógłby odnieść wrażenie, że biedny Matwiejew i ja przywłaszczyliśmy sobie miliony, a do tego popełniliśmy morderstwo. Trzy i pół roku więzienia, zażądał mówca. Nie wyjaśnił, dlaczego trzy i pół, a nie pięć albo najwyższy wymiar kary. Cała sprawa wydawała się tak koszmarna, że zastanawiałem się, kiedy się przebudzę z tego snu.

Mój obrońca, biorąc pod uwagę jego przynależność do partii, naprawdę podejmował heroiczne wysiłki w moim imieniu. Ale czuło się, że uważał się za przegranego jeszcze przed rozpoczęciem procesu, że po prostu czynił zadość formalnościom. Nie kwestionował mojej winy - nawet jemu wydawała się ona niewątpliwa! - ale domagał się złagodzenia kary ze względu na moje czyste sumienie.

Sędziowie wyszli może na dziesięć minut. Wrócili z werdyktem: dwa lata więzienia z prawem do apelacji w ciągu siedmiu dni. Zostałem skazanym „przestępcą”, ponieważ ktoś gdzieś, w moskiewskich biurach Głównotrubostalu, doszukał się jakichś biurokratycznych nieprawidłowości. Komisarz podpisał świstek papieru, podsunięty przez nadgorliwego podwładnego, po czym cała komedia rozegrała się automatycznie. Wiem, że brzmi to groteskowo, ale, niestety, tak się

przedstawiały fakty. Sędzia przewodniczący rozprawie i prokurator byli przede wszystkim członkami partii. Rozpatrywali zarzuty wniesione nie po prostu przez komisarza, ale przez członka Komitetu Centralnego partii. Jaką szansę miała sprawiedliwość w takich okolicznościach?

W moim imieniu wniesiono apelację, co odwlekło moje aresztowanie. Kilka razy, w kilkumiesięcznych odstępach, różni urzędnicy sądowi wzywali mnie na przesłuchania, a wczesną wiosną 1941 roku odbyła się rozprawa przed głównym sądem miejskim. Znowu nie przyznałem się do winy. Sąd rozpatrzył sprawę i po mniej więcej trzydziestu minutach ogłosił swoją decyzję. Wyrok został zmniejszony do roku „pracy przymusowej w moim obecnym miejscu zatrudnienia”.

Jest to niezwykle radziecki wynalazek prawny. Skazani obywatele nadal żyją i pracują na wolności – ale dziesięć albo dwadzieścia procent ich zarobków konfiskuje NKWD. W moim przypadku było to dziesięć procent. Z powodu tego niesłychanego rozwiązania dziesiątki tysięcy Rosjan muszą oddawać część swoich dochodów jako haracz dla tajnej policji pod pozorem kary za przestępstwo.

Dział księgowości w fabryce otrzymał powiadomienie o moim nowym statusie. Od tej pory, aż do momentu, kiedy Sąd Najwyższy uchylił zarzut jako bezpodstawny, dziesięć procent moich pensji i premii szło co miesiąc do skarbcza NKWD.

Naruszę chronologię wydarzeń, żeby zakończyć historię swojej „przestępczej” kariery. Natychmiast złożyłem apelację w Sądzie Najwyższym. Zanim zajął się on moimi kłopotami, wybuchła wojna, na Moskwę zaczęły spadać niemieckie bomby i sąd ewakuował się na Ural. W archiwach sądowych zapanował taki bałagan, że wszelki ślad po mojej apelacji zaginął.

Kiedy służyłem w Armii Czerwonej jako kapitan wojsk inżynierskich i komisarz polityczny, Irina nadal zajmowała się tą sprawą. Nie chodziło o dziesięć procent. Chodziło o wymazanie plamy z mojego życiorysu. Niedługo po moim zwolnieniu ze służby wojskowej, w pierwszej połowie 1942 roku, Sąd Najwyższy ponownie rozpatrzył sprawę Krawczenki. Uchylił decyzje sądów niższej instancji, uznał moją całkowitą niewinność i oddalił zarzuty przeciwko mnie.

Gdyby nie to oczyszczenie, prawdopodobnie nie mógłbym pracować dla Rady Komisarzy Ludowych i z pewnością nie pozwolono by mi wyjechać z kraju. Animozje, z których narodziły się „kryminalne” zarzuty przeciwko mnie, dawno zostały zapomniane; kiedy w biurach Głównotrubostalu natknąłem się na Gołowanienkę, ledwo pamiętał, że kiedyś miał do mnie żal. Ale zła wola, raz rozpętana, działała siłą bezwładną i omal nie zrujnowała mi życia.

ROZDZIAŁ XXII

Nieoczekiwana wojna

Rankiem 22 czerwca 1941 roku na radzieckie miasta i lotniska spadały bomby, a radzieckie armie wycofywały się w panice przed niemieckimi dywizjami pancernymi na całym froncie. Nagła niemiecka inwazja na Rosję znalazła się na pierwszych stronach gazet na całym świecie. Przed wschodem słońca tego ranka NKWD na obszarze całego kraju zaczęło wygarniać dziesiątkami tysięcy elementy „niepożądane”.

Ale ja nie wiedziałem o katastrofie, która zwała się na głowy dwustu milionów ludzi w moim kraju. Ani nikt inny w fabryce, kiedy wczesnym rankiem zjawiłem się w swoim gabinecie. Wczorajsze gazety nadal donosiły z zadowoleniem o sukcesach wojsk Hitlera, o klęskach jego wrogów, „kapitalistycznych szakali” i „plutokratycznych podżegaczy wojennych”.

W ostatnich miesiącach w tonie oficjalnej propagandy nie nastąpiła najmniejsza zmiana. Nie padały żadne słowa współczucia dla narodów podbitych przez nazistów, żadne wyrazy potępienia dla hitlerowskich najeźdźców. Chociaż miliony Rosjan były głęboko poruszone losem ofiar hitlerowskiej napaści, nie mogliśmy otwarcie okazywać swoich uczuć. Zaledwie kilka dni przed tym tragicznym porankiem rozmawiałem w wydziale maszyn importowanych Ludowego Komisariatu Handlu Zagranicznego z przedstawicielami niemieckimi. Ustalaliśmy techniczne szczegóły niemieckich dostaw elektrycznych spawarek do Związku Radzieckiego.

Dwudziestego czerwca, dwa dni przed inwazją, mówiłem na wiecu politycznym robotników i pracowników o „wojnie imperialistycznej”. Trzymałem się ustalonej linii. Niemcy, powtarzałem, pragną pokoju mimo swoich wielkich zwycięstw, ale brytyjscy imperialiści, wspierani przez amerykańską finansjerę, dążą do przedłużenia wojny.

Ani ja, ani nikt spoza wewnętrznego kremlowskiego kręgu nie wiedział, że już w styczniu Departament Stanu w Waszyngtonie ostrzegł naszego ambasadora, Konstantina Umanskiego, iż Hitler przygotowuje się do uderzenia na Rosję. Ostrzeżenie powtórzył pięć tygodni później Sumner Welles, a później przyszły podobne przestrogi brytyjskie. Zostały zignorowane jako kapitalistyczne sztuczki obliczone na zerwanie pięknej przyjaźni, którą gwarantował pakt Hitler–Stalin.

Ostrożne ostrzeżenia przekazywali też swoim przełożonym radzieccy agenci w Niemczech. Donosili o złowieszczych ruchach wojsk w naszym kierunku, na zbyt wielką skalę, by można je uznać za działania rutynowe. Ponieważ miałem wielu znajomych wśród urzędników komisariatów i fabryk produkujących na potrzeby hitlerowskiej maszyny wojennej, często kontaktowałem się z przedstawicielami handlowymi powracającymi z Berlina. Oni też ostrzegali o zamiarach Hitlera. Niemcy mówili im otwarcie przy różnych okazjach, że starcie jest nieuchronne. Ale to też Stalin i jego dwór zbywali lekceważąco jako celowe sianie niezgody. Wydawali się zahipnotyzowani własną propagandą.

Masy Rosjan utrzymywano w przekonaniu, że współpraca radziecko-niemiecka jest idyllą bez skazy. Gdyby ktoś ośmielił się w to wątpić, wątpiłby tym samym w nieomylność Stalina. Jakakolwiek sugestia, że Niemcy mogliby nadużyć zaufania naszego Przywódcy, graniczyła z kontrrewolucją. Jawne wyrażanie sympatii dla ofiar brunatnej zarazy wiązało się z groźbą natychmiastowego aresztowania.

Historyczny dzień zaczął się więc jak każdy inny i nic nie zakłócało jego rutyny. Praca w naszym zakładzie toczyła się już pełną parą, kiedy ogłoszono, że mamy ją przerwać, aby wysłuchać ważnego przemówienia radiowego komisarza Mołotowa. To było coś niezwykłego i dreszcz niepokoju przeszedł przez fabrykę. Snuliśmy najróżniejsze domysły dotyczące tematu jego wystąpienia. Nikt nie podejrzewał strasznej prawdy.

Przemówienie Mołotowa, wygłoszone urywanym, płaczkliwym głosem, wstrząsnęło nami wszystkimi. Jakie wnioski mogliśmy wysnuć z jego słów? Führer, przebiegły i podstępny, podły i głupi, zaatakował kraj, który przez prawie dwa lata wyzbywał się jakże potrzebnej żywności, paliwa, metali, ropy i materiałów wojennych, aby pomóc mu ujarzmić Europę. Skrupulatnie wypełnialiśmy swoje zobowiązania. Wspieraliśmy nazistów nie tylko dobrami materialnymi, lecz także skierowaną do całego świata propagandą i naciskami dyplomatycznymi. I oto nasza nagroda.

Kilka godzin później zjawił się partyjny mówca. Podczas przerwy śniadaniowej zwołaliśmy zebranie wszystkich robotników. Usiadłem na podium, wraz z dyrektorem Manturowem i sekretarzem komitetu fabrycznego partii Jegorowem. Przyglądałem się zmęczonemu, nachmurzonemu twarzom, kiedy mówca pomstował na perfidię niemieckiego dyktatora i wychwalał uczciwość naszego dyktatora. Widziałem gniew, konsternację, a także znużenie, osłupienie i smutek. Niektóre kobiety płakały.

Manturow i Jegorow wygłosili przemówienia, w których powtarzali, bojaźliwie, niezręcznie, nowe i dziwne hasła. Nikomu z nas nie było

łatwo mówić o „krajach demokratycznych” bez ironicznego grymasu lub atakować Niemców, którzy jeszcze wczoraj byli ofiarami imperialistycznych podżegaczy wojennych. Wydawało się czymś niewiarygodnym mówić tak nagle o Anglii i Francji jako o partnerach we wspólnej sprawie, skoro tak długo uważaliśmy je za główne zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa narodowego.

Robotnicy, wstrząśnięci wiadomościami, klaskali bez entuzjazmu w odpowiednich momentach, a potem wrócili oszołomieni do swoich warsztatów, biur, desek kreślarskich. Pracowaliśmy jak zwykle do końca dnia. Ale wybuch wojny obudził wiele osób z wieloletniego letargu. Na przykład Siergieja Gołowlewa, inżyniera-elektryka i członka partii, który podszedł do mnie po zebraniu.

- A więc teraz nasza kolej - powiedział. - Ciężko nam się żyło przez te wszystkie lata, Wiktorze Andriejewiczu. Wojna, rewolucja, zniszczenie, plany pięcioletnie, głód i czystki - a teraz znowu mamy wojnę! Kiedy wreszcie zaczniemy żyć jak inni ludzie?

- Musimy pracować i jeszcze raz pracować, towarzyszu Gołowlew - odparłem. - Nie ma innego sposobu.

- To prawda. Musimy pracować i walczyć. Ale trudno powstrzymać się od myśli...

- Lepiej wracajcie do pracy - powiedziałem oficjalnym tonem, po prostu na wszelki wypadek. - Porozmawiamy o tym innym razem.

Tego popołudnia poinformowano mnie, że kierownik zmiany, Wadim Aleksandrowicz Smoljaninow, nie zgłosił się do pracy i nie sposób się do niego dodzwonić. Podniosłem słuchawkę i wykręciłem jego numer.

- Czy to mieszkanie Smoljaninowa? - spytałem.

- Byłe mieszkanie Smoljaninowa - usłyszałem zgryźliwą odpowiedź.

- Proszę zawołać Wadima Aleksandrowicza do telefonu.

- Kto mówi?

- Zastępca głównego inżyniera w jego fabryce.

- Nie ma go i nie będzie.

- Z kim rozmawiam? Mówię oficjalnie.

- Ja też mówię oficjalnie. Jestem funkcjonariuszem NKWD.

Rzuciłem słuchawkę. Zatem mój przyjaciel Smoljaninow został aresztowany! Co za tragiczny koniec rewolucyjnej kariery! Smoljaninow, kompetentny inżynier i człowiek wykształcony, brał udział w rewolucji i został osobistym sekretarzem Lenina. Później był szefem gabinetu w Radzie Komisarzy Ludowych, szefem biura konstrukcyjnego Magnitostroju, przewodniczącym radzieckiej delegacji handlowej w Stanach Zjednoczonych, dyrektorem Gipromiezu, ważnego instytutu metalurgicznego. Krótko mówiąc, był ważną figurą w radzieckim państwie.

Podczas wielkiej czystki wykluczono go jednak z partii i przeniesiono

na podrzędne stanowisko zastępcy brygadzysty w naszym zakładzie. Z czasem ten były sekretarz Lenina został brygadzystą, a w końcu kierownikiem zmiany. Ostatnio przyjęto go ponownie do partii. Jego jedyny syn, sierżant w Armii Czerwonej, służył na granicy. A teraz Smoljaninow został aresztowany.

Był tylko pierwszą z ofiar bezlitosnego wojennego terroru, którą znałem. W ciągu następnych kilku dni zniknęły dziesiątki ludzi z mojego otoczenia. Już dawno temu przyjaciel z NKWD powiedział mi, że w razie wojny wszystkie „elementy niebezpieczne” zostaną zlikwidowane. W każdej wiosce, miasteczku i większym mieście były przygotowane długie czarne listy: setki tysięcy miały trafić do aresztu. Nie przesadzał. Likwidacja „wrogów wewnętrznych” była jedyną częścią wysiłku wojennego, którą przeprowadzono szybko i skutecznie w pierwszej, strasznej fazie wojny. Było to oczyszczanie zaplecza zgodnie z przygotowanym uprzednio planem na rozkaz samego Stalina.

Kilka lat później, w Ameryce, usłyszałem zdumiewającą bzdurę – najwyraźniej akceptowaną nawet przez inteligentnych Amerykanów – że „w Rosji nie było piątej kolumny”, ponieważ krwawe czystki wykorzeniły zawczasu wszystkich „zdrajców”. Przeczytałem ten potworny absurd w dziwnej, idiotycznej książce byłego ambasadora Josepha Daviesa, w powierzchownych pracach innych autorów, którzy uchodzili za znawców tematu mimo całkowitej nieznajomości reżimu stalinowskiego i jego polityki. Mogłem się tylko zdumiewać sukcesem tej prymitywnej propagandy, eksportowanej przez Moskwę.

Mówię „eksportowanej”, ponieważ w samej Rosji rząd przyjął dokładnie przeciwną taktykę. Utrzymywał, że nasz kraj jest przeżarty piątą kolumną. Od pierwszego dnia prasa, radio i mówcy domagali się bezlitosnej rozprawy z niezliczonymi wrogami wewnętrznymi, szpiegami, szerzycielami pogłosek, sabotażystami, faszystowskimi agentami. A NKWD zareagowało na to wołanie masowymi aresztowaniami i egzekucjami. W pierwszym okresie, i nie tylko, odnosiliśmy wrażenie, że Kreml w takim samym stopniu boi się własnych poddanych, jak najeźdźców.

Nie mieliśmy piątej kolumny w znaczeniu kolaborantów i zdrajców – mimo krwawych czystek. Ale mieliśmy miliony patriotów, którzy nienawidzili stalinowskiego despotyzmu i jego wynaturzeń. W tym sensie strach kliki rządzącej był uzasadniony.

Barbarzyństwo kolektywizacji, głód w latach 1931–1933, straszliwe okrucieństwa czystek pozostawiły głębokie blizny. Prawie nie było rodziny, która nie ucierpiała w wojnie reżimu z masami. Stalin i jego towarzysze nie obawiali się naszej nielojalności wobec Rosji; obawiali się, i nie bez racji, naszej nielojalności wobec nich. Zapewne, w sennych koszmarach, widzieli dwadzieścia milionów niewolników, którzy nagle

wyrywają się zza więziennych murów i drutów kolczastych w masowym odruchu nienawiści i zemsty, w szale zniszczenia...

W każdym razie, bezwzględne stłumienie potencjalnej opozycji zajmowało pierwsze miejsce w planach rządu. Było ważniejsze od środków militarnych związanych z obroną kraju. Obywatele radzieccy pochodzenia niemieckiego, bez względu na to, jak odległe było to dziedzictwo, zostali aresztowani niemal co do jednego. Całą ludność Niemieckiej Nadwołżańskiej Republiki Autonomicznej, prawie pół miliona mężczyzn, kobiet i dzieci, wysiedlono z regionu, który zamieszkiwali od czasów Katarzyny Wielkiej, i rozproszono po całej Syberii i Dalekim Wschodzie. Później przyszła kolej na Polaków, Bałtów i wiele innych narodowości, którymi nie przejmowano się przed wojną. Więzienia i obozy pracy przymusowej zapełniły się kolejnymi milionami. Nasi władcy zachowywali się jak stado przerażonych wilków.

Kilka dni po wybuchu wojny ustanowiono w Moskwie „trybunały wojskowe”, kierowane przez przewodniczącego sądu miejskiego, towarzysza Wasniewa. Filie tego nowego organu terroru powstawały w całej stolicy i na przedmieściach. To samo działo się we wszystkich innych miastach. Wszystkie dziedziny radzieckiego życia zostały zdominowane przez tę instytucję, wyposażoną w nadzwyczajne uprawnienia dotyczące aresztowania, sądenia na tajnych rozprawach, wydawania wyroków śmierci. Powstawały specjalne trybunały kolejowe, trybunały transportu rzeczno- i inne - ogólnokrajowa armia łowców czarownic pod wodzą specjalistów z NKWD, obarczona szlachetnym zadaniem tłumienia wszelkich przejawów niezadowolenia. Najwyraźniej reżim był w stanie paniki.

Zadania nowych instytucji, które wspomagały istniejące już instrumenty nadzoru i ucisku, lecz ich nie zastępowały, podsumował sam Stalin dwanaście dni po rozpoczęciu inwazji:

„Musimy zorganizować bezlitosną walkę ze wszystkimi dezorganizatorami zaplecza, dezterterami, panikarzami, tchórzami, szerzycielami pogłosek [...]. Należy niezwłocznie przekazywać trybunałom wojskowym wszystkich tych, którzy sianiem paniki i tchórzostwem przeszkadzają w obronie kraju, bez względu na to, kim są”.

Skąd ten obsesyjny strach przed „dezorganizatorami zaplecza” w kraju tak niedawno „zjednoczonym” w wyniku ogólnej czystki, tak często nazywanym „monolitem”? Czy tej wizji całego narodu przeżartego nielojalnością i tchórzostwem nie wywołał sam Stalin swoimi pogrózkami, będącymi w istocie „panikarstwem” na wielką skalę? Najwidoczniej wrogowie wewnętrzni byli zbyt liczni, aby mogły się z nimi uporać setki tysięcy funkcjonariuszy NKWD, toteż trzeba było utworzyć nowe trybunały. Jak to się mogło zdarzyć w kraju śpiewającym

hymny na cześć „szczęśliwego życia” pod „słońcem stalinowskiej konstytucji”?

Zapewne ludzie pokroju Daviesa i Duranty’ego mogliby rozwiązać te zagadki. Ale ja, słuchając gardłowych ostrzeżeń Stalina, wypowiedzianych powoli z gruzińskim akcentem, wiedziałem tylko, że nie pasują do obrazu kraju oczyszczonego ze zdrajców w oceanach krwi. A czyny, które zapowiadały, zadawały kłam temu obrazowi w jeszcze większym stopniu niż słowa Stalina.

W ciągu pierwszych sześciu miesięcy w samej Moskwie rozstrzelano na mocy prawa wojennego tysiące obywateli. Jedno słowo wątpliwości, strachu czy niepokoju wystarczało często, by winowajca stanął przed trybunałem wojskowym. Tysiące szpiegów trzymało uszy i oczy otwarte w kolejkach po chleb i po naftę, na placach targowych, w sklepach, teatrach, tramwajach, na dworcach kolejowych, szukając jakichkolwiek oznak rozpaczki, zwątpienia czy niezadowolenia. Każdy komitet blokowy donosił na swoich lokatorów, każdy służący na swoich pracodawców. Doszło do tego, iż ludzie bali się napomknąć, że są głodni, aby nie oskarżono ich o kwestionowanie mądrości Stalina lub ignorowanie wojennych trudności.

W kręgach moskiewskich komunistów stało się rzeczą powszechnie wiadomą, że w miarę jak nieprzyjaciel zbliżał się do Moskwy, tysiące mężczyzn i kobiet, którzy od wielu lat przebywali w więzieniach lub obozach, rozstrzelano w trybie doraźnym. Byli to wybitni więźniowie polityczni z lewicy – socjaliści, bucharinowcy, eserowcy, anarchiści, dawni komuniści, ludzie, których Kreml obawiał się najbardziej, ponieważ w razie rewolucji mogliby objąć przywództwo nad zdezorientowanymi masami. Znowu pojawił się koszmar dwudziestu milionów niewolników zrywających swoje kajdany...

Nie było tajemnicą, że posługiwano się również maszyną mobilizacji wojskowej, aby zniszczyć tych, którym brakowało wiary w reżim radziecki. Listy podejrzanych – osób, których aresztowanie nie wydawało się konieczne – trafiły w ręce wszystkich komisji poborowych. Przeznaczonych do eliminacji natychmiast wcielano do wojska i bez żadnego przeszkolenia wysyłano na najbardziej niebezpieczne odcinki frontu. Była to swego rodzaju dodatkowa czystka.

Ogromu terroru w Rosji nie da się wyolbrzymić. Przybierał on rozmiary wojny w wojnie. Był to jeden z przejawów nerwowej nieufności Kremla wobec narodu rosyjskiego. Innym przejawem stało się niemal natychmiastowe odejście od większości „socjalistycznych” haseł, pod którymi żyliśmy i cierpieliśmy przez dwadzieścia cztery lata. Po ćwierćwieczu komunistycznej indoktrynacji rząd w swojej krytycznej godzinie wrócił do tradycyjnych apeli do narodowego patriotyzmu, solidarności rasowej, miłości do ziemi, później nawet do religii.

Wzywano nas nie do obrony ojczyzny „socjalizmu”, lecz ziemi rosyjskiej, słowiańskiego dziedzictwa, prawosławnego Boga.

Trudno sobie wyobrazić bardziej całkowite odrzucenie wartości – choćby narzuconych i tymczasowych – dla których żyliśmy. Socjalizm? Kolektywizacja? Bezklasowe społeczeństwo? Światowa rewolucja? Im więcej terytorium zajmowali Niemcy, tym mniej się mówiło o ideach, za które kraj tyle wycierpiał. Dopiero znacznie później, kiedy impet najazdu się załamał, odżyły znajome radzieckie hasła. Niewątpliwie miliony zwykłych Rosjan zachowały wiarę w radzieckie społeczeństwo i sposób myślenia. Tej wiary, jak się wydaje, nie podzielali ich władcy na Kremlu.

2

Ale wróćmy do pierwszego dnia wojny.

Tego wieczoru w gabinecie dyrektora zastałem samego Manturowa, Jegorowa i dyrektora podzakładu, Łarionowa. Rozmawialiśmy o wojnie. Radio było włączone, ponieważ byliśmy spragnieni wiadomości. Nagle przez marszową muzykę przebił się głos. Czystą ruszczyzną zagrzmiął:

- Obywatele Rosji! Rosjanie! Słuchajcie! Słuchajcie! Tu mówi naczelne dowództwo armii niemieckiej.

Spojrzeliliśmy po sobie niepewnie.

- Może lepiej wyłączyć drania? – spytał Manturow.

- Do diabła z nim! Posłuchajmy, co skurwiel ma do powiedzenia! – zdecydował Jegorow.

- Przez dwadzieścia cztery lata żyliście w nędzy i strachu. Obiecано wam wolne życie, a dostaliście niewolnictwo. Obiecано wam chleb, a dostaliście głód. Jesteście niewolnikami bez żadnych ludzkich praw. Tysiące spośród was umierają codziennie w obozach koncentracyjnych i na mroźnych pustkowiach Syberii. Nie jesteście panami własnego kraju ani własnego życia. Waszym panem jest Stalin. Cierpicie bardziej niż galernicy. Miliony spośród was przebywają w tym momencie w więzieniach i obozach pracy przymusowej. Wasi władcy zniszczyli waszą prawosławną wiarę i zastąpili ją kultem Stalina. Co się stało z wolnością słowa i prasy? Śmierć ciemnościom narodu rosyjskiego! Obalcie swoich tyranów! – Potem nastąpiły obelgi, antysemickie hasła i inne brednie charakterystyczne dla niemieckiej propagandy.

- Zamknąć mu gębę! – krzyknął Jegorow.

Manturow czym prędzej przekręcił gałkę. Zapanowało przytłaczające milczenie. Nie mieliśmy odwagi spojrzeć sobie nawzajem w oczy. Niebawem rozstaliśmy się z uczuciem nieprzyjemnego zakłopotania.

Mniej więcej godzinę później wróciłem do gabinetu Manturowa. Chciałem z nim porozmawiać o następcy aresztowanego Smoljaninowa.

Jak zwykle wszedłem bez pukania. Ku swojemu zaskoczeniu zastałem Manturowa i Jegorowa znów słuchających wrogiej audycji. Doskonale rozumiałem ich ciekawość. Po raz pierwszy od dwudziestu lat można było usłyszeć, jak ktoś potępia głośno reżim radziecki, zamiast słuchać, jak reżim potępia innych.

- Przychodźcie do nas z tymi ulotkami w rękę - mówił głos w odbiorniku, kiedy wszedłem. - To będą wasze przepustki. Po co walczyć za niewolnictwo i terror, skoro Niemcy przynoszą wam wolne życie?

Manturow zaklął i przekręcił gałkę. Jegorow, nie mniej skonsternowany moim przybyciem, wyszedł z gabinetu. Zacząłem mówić o sprawie Smoljaninowa i o innych pilnych kwestiach związanych z pracą. Manturow przerwał mi w środku zdania.

- Nawiasem mówiąc, towarzyszu Krawczenko, najlepiej będzie nie wspominać, że słuchaliśmy przez radio niemieckiej propagandy. Wiecie, po prostu na wszelki wypadek. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

- Założę się, że połowa Moskwy słuchała - powiedziałem.

- Jutro już nie będą słuchać. Właśnie miałem telefon: jutro wszystkie odbiorniki radiowe zostaną skonfiskowane.

- Skonfiskowane? Po co?

- Przypuszczam, że na przechowanie.

Tak właśnie się stało następnego dnia, w Moskwie i w całym kraju. Wszyscy obywatele pod groźbą surowych kar musieli oddać swoje odbiorniki milicji. Później widziałem całe stosy odbiorników ładowanych na ciężarówki, które wywoziły je do magazynów. Przez całą wojnę Rosjanie mogli słuchać tylko megafonów podłączonych do oficjalnych rozgłośni radiowych. Wszędzie, w Niemczech i w krajach pod niemiecką okupacją, słuchanie wrogich audycji było zakazane i karane. W Rosji nie ufano ludziom jeszcze bardziej: po prostu odebrano im radia.

Był to pierwszy krok w odcinaniu dostępu do informacji, które stało się niemal całkowite. Cenzurowanie poczty nie ograniczało się do listów z frontu, lecz objęło również korespondencję cywilną. Komunikaty wojenne w pierwszych tygodniach okazały się do tego stopnia nieprawdziwe, że niewielu Rosjan wierzyło w nie także i później. Nic dziwnego, że władze obawiały się szerzycieli pogłosek i panikarzy. Pogłoski odzwierciedlały po prostu powszechne przekonanie, iż rząd kłamie.

W naszej fabryce pracowaliśmy w stanie rosnącego napięcia. Mobilizacja zdziesiątkowała siłę roboczą. Zniszczenie linii komunikacyjnych pozbawiło nas niezbędnych materiałów. W teorii Związek Radziecki cieszył się dwudziestoma dwoma miesiącami pokoju, podczas których mógł się przygotować do nadchodzącego kataklizmu. W praktyce nie podjęto żadnych przygotowań. We wszystkich

dziejzinach naszego życia zapanował bałagan.

Nie mogliśmy uwierzyć w powtarzane szeptem pogłoski, że niemieccy najeźdźcy posuwają się na wschód ze straszliwą szybkością. Co z potężną Armią Czerwoną, którą się chlubiśmy? Co ze strategicznymi liniami obronnymi, które rzekomo uzyskaliśmy, kiedy przesunęliśmy swoje granice w głąb Polski, Rumunii, Finlandii i trzech państw bałtyckich? Co z korzyściami, które przyniósł nam podobno długi okres neutralności?

Komunikaty mówiły nam mniej niż nic, potęgując zamęt, jaki wywoływały pogłoski. Milicyjne kordony nie przepuszczały uchodźców do stolicy, aby ochraniać morale jej mieszkańców. Ale przedostało się ich dosyć, żeby dać nam poczucie narastającej katastrofy. Komunikaty nie zawierały informacji o stratach. Napomykały nawet o sukcesach. Ale nazwy miejscowości były wystarczającym dowodem, że walki toczą się coraz bliżej.

„W ciągu ostatniej nocy – głosił komunikat z początku lipca – trwały walki na kierunku Murmańska, Dźwińska, Mińska i Łucka [...] Pod Murmańskiem nasze wojska stawiały nieprzyjacielowi zacięty opór, zadając mu wielkie straty [...]. W Dźwińsku i Mińsku wywiązały się walki, podczas których zniszczono wysunięte jednostki pancerne nieprzyjaciela...”.

Trzeciego lipca po raz pierwszy wystąpił przed mikrofonem Stalin. Przerażony naród usłyszał, że oddziały wroga zbliżają się szybko do stolicy.

- Wojskom hitlerowskim - powiedział Stalin - udało się zająć Litwę, znaczną część Białorusi, część Ukrainy Zachodniej. Śmiertelne niebezpieczeństwo zawisło nad naszą ojczyzną.

Nie mogliśmy uwierzyć własnym uszom.

- Celem tej wojny z faszystowskim agresorem jest udzielenie pomocy wszystkim narodom Europy, które jęczą pod jarzmem niemieckiego faszyzmu - ciągnął Stalin. - W tej wojnie będziemy mieli wiernych sojuszników w narodach Europy i Ameryki... Nasza wojna o wolność naszej ojczyzny splecie się z walką narodów Europy i Ameryki o ich niepodległość, o demokratyczną wolność...

Po raz pierwszy usłyszeliśmy, jak Stalin używa takich słów jak wolność i demokracja w ich staromodnym sensie, bez satyrycznych cudzysłówów. Wszystko stanęło na głowie: przetrwanie naszego bolszewickiego reżimu stało się nagle uzależnione od zwycięstwa „zdegenerowanych demokracji”... kraje kapitalistyczne obiecywały udzielić wszelkiej możliwej pomocy Związkowi Radzieckiemu. Niemal zapomniane marzenie o wolności znów wezbrało w wielu rosyjskich sercach. Trzeba było straszliwej wojny, żeby dokonać tego cudu, wydawało się, że nasza izolacja od wolnego świata zostanie przełamana.

- Bracia i siostry, zwracam się do was, moi przyjaciele! - zawołał Stalin. W ciągu szesnastu lat swoich rządów nigdy nie zwrócił się do nas w ten sposób. Mój przyjaciel z fabryki, ośmielony panującym podnieceniem, zauważył głośno:

- Wódz musi być w niezłych tarapatach, skoro nazywa nas braćmi i siostrami.

Nie potrafiliśmy zrozumieć przyczyn naszych klęsk. Przez dwa dziesięciolecia głodzono nas, torturowano i popędzano w imię przygotowań do wojny. Nasi przywódcy chełpili się radziecką przewagą w sile żywej i uzbrojeniu. A teraz upokarzający odwrót naszych wojsk tłumaczono brakiem dział, samolotów, amunicji. Trzy kolejne plany pięcioletnie, z których każdy poświęcał żywność, odzież, artykuły pierwszej potrzeby dla przemysłu zbrojeniowego, zostały „zwycięsko” wykonane. A mimo to w pierwszej próbie sił nasz dwustumilionowy kraj usiłował zatrzymać nieprzyjacielskie dywizje pancerne butelkami z benzyną! Dziesiątki tysięcy Rosjan rzucono pod gąsienice niemieckich czołgów, ponieważ po dwudziestu latach poświęconych niemal wyłącznie produkcji zbrojeniowej nie dysponowaliśmy rusznicami przeciwpancernymi. Można wyrzekać się masła w zamian za armaty - ale w tym przypadku nie mieliśmy ani masła, ani armat.

Nie było racjonalnego wytłumaczenia dla radzieckich klęsk, niczego, co mogłoby złagodzić nasze upokorzenie. Polska została zaskoczona, a potem wschodni sąsiad zadał jej cios w plecy. Francja była mniejsza, słabsza od napastnika. Ale dlaczego ogromna Rosja, dwa lata po wybuchu wojny, mimo przewagi liczebnej, czasu, koncentracji wojskowej, zachowywała się jak zacofany mały kraj, napadnięty zniecka? Gdyby Rosja nie była większa od Francji, zostałaby rozbita cztery razy w pierwszych czterech miesiącach.

Tylko niezmierne rosyjskie przestrzenie, niewyczerpane zasoby siły żywej, bezprzykładowy heroizm i poświęcenie Rosjan na zapleczu i na frontach, rozwój nowych i istniejących zakładów przemysłowych na tyłach, ewakuacja fabryk ocaliły kraj przed zagładą. Wszystko to umożliwił głęboki i okupiony straszliwymi stratami odwrót, w trakcie którego gromadzono środki do kontrofensywy. Reżim zdołał rozbudzić i wykorzystać narodowego ducha i patriotyzm naszych obywateli. Później, po Stalingradzie, zaczął się napływ amerykańskiej broni i zaopatrzenia.

Mobilizację przeprowadzono w gorączkowym pośpiechu i zamieszaniu. Rezerwiści wyruszali na front bez możliwości pożegnania się z rodzinami. Robotników posyłano na pola bitew niemal bezpośrednio z fabryk. A przecież mieliśmy jedną z największych na świecie stałych armii, zahartowaną najazdami na sąsiednie kraje i wojną z Finlandią. Rząd był tak całkowicie nieprzygotowany,

że brakowało nawet mundurów. W pierwszych miesiącach nawet oficerowie szli na śmierć w zaimprovizowanych uniformach i bez odpowiedniego przeszkolenia. Miliony nowych żołnierzy brnęły po błocie w płóciennych butach, a wczesna zima zaskoczyła ich w letnich mundurach. Widziałem rekrutów ćwiczących z kijami od szczytek zamiast karabinów.

Komisje poborowe pracowały od rana aż do późnej nocy, wcielając do wojska mężczyzn od siedemnastego do pięćdziesiątego roku życia. Kierowały się, jak mi później powiedziano, nie obowiązującymi przepisami, ale tajnymi instrukcjami Państwowego Komitetu Obrony, wydanymi zaraz po wybuchu wojny. Niektóre kategorie niezbędnych robotników były oczywiście zwolnione od poboru; początkowo zwalniano również mężczyzn, którzy mieli na utrzymaniu co najmniej dwie osoby niezdolne do pracy. Widziałem, jak ludzi z jednym okiem, kulejących, gruźlików, ludzi z wadami serca i wrzodami żołądka, brodatych pięćdziesięcioletnich mężczyzn, tak spracowanych, że ledwo powłóczyli nogami, uznawano za zdolnych do służby wojskowej. Tylko około dwóch procent odrzucono ze względów zdrowotnych. Dowodziło to, utrzymywała chępliwie prasa, znakomitego stanu zdrowia osiągniętego w warunkach radzieckich. W rzeczywistości dowodziło jedynie całkowitej pogardy dla ludzkiego życia.

Wojna trwała zaledwie kilka tygodni, kiedy partia wezwała do tworzenia ochotniczej armii obywatelskiej. Wielu z nas uznało to za zdumiewające potwierdzenie braku przygotowania. Pamiętaliśmy słowa ludowego komisarza obrony Woroszyłowa, wypowiedziane we wrześniu 1939 roku, kiedy wojna w Europie już się toczyła:

„Doświadczenia armii carskiej wykazały niezbicie, że tak zwana ochotnicza armia obywatelska jest słaba i całkowicie niewyszkolona; wykazały, że pospieszne przygotowania podczas wojny nie są skuteczne. Na front posyła się kompletnie niewyszkolonych ludzi i wszyscy wiecie, jak się to kończy”.

A teraz robiliśmy dokładnie to samo. Co gorsza, uciekaliśmy się do systemu ochotniczego już na początku wojny, podczas gdy reżim carski uczynił to znacznie później. „Uważam za stosowne przypomnieć – powiedział Woroszyłow przy tej samej okazji – że liczebny wzrost Armii Czerwonej i marynarki wojennej pozostaje w całkowitej zgodności z sytuacją międzynarodową, którą nasz rząd, Komitet Centralny naszej partii i towarzysze Stalin zawsze studiują uważnie i wnikliwie”. Jaką wartość miały owe studia, skoro kilka tygodni po niemieckiej inwazji „nasz rząd, Komitet Centralny naszej partii i towarzysze Stalin” bez żadnego wstydu i współczucia posyłali na pewną rzeź tłumy niewyszkolonych cywilów?

Pewnego lipcowego poranka zostałem wezwany do biura komitetu

partii w naszej fabryce, gdzie Jegorow polecił mi zwołać wiec, aby wyłonić ochotników. Upierałem się, że powinien zrobić to sam, jako sekretarz komitetu fabrycznego.

- Nie, nie, Wiktorze Andriejewiczu. To musi wyjść od mas, nie od partii. Jesteście bardzo popularni wśród robotników. Będzie wam łatwiej niż mnie.

Zaczął się masowy wiec. Przed sobą widziałem umorusane twarze swoich kolegów robotników. Mówiłem do nich jak Rosjanin do Rosjan, starannie unikając słów „komunistyczny” i „socjalistyczny”. Podobnie jak oni wszyscy kochałem swój kraj. Wiedziałem, że jest to coś zupełnie innego niż klika, która nami rządzi i nas terroryzuje. Udało mi się włożyć całe serce w prośbę o utworzenie ludowej milicji. Fakt, że zdołałem wzbudzić szczerą entuzjasm dla zwycięstwa, żarliwą nienawiść do najeźdźcy, chociaż nie znosiłem radzieckiego reżimu, jest kluczem do zagadki, dlaczego Rosjanie walczyli i w końcu zwyciężyli. Nie walczyli za Stalina, ale pomimo Stalina. Nikt nie wiedział o tym lepiej niż sama kremlowska klika, o czym świadczyły jej wezwania do Wojny Ojczyźnianej.

Aby dać przykład, zgłosiłem się pierwszy. Dziesiątki robotników, pracowników administracyjnych i technicznych poszły za moim przykładem. Ale nie zgłosił się nikt z najwyższego szczebla administracyjnego. Płonili się ze wstydu pod pytającymi spojrzeniami robotników, ale żaden z nich się nie ruszył.

Później poszedłem zobaczyć się z Manturowem. Udałem, iż przyjmuję za pewnik, że się zgłosi.

- No, Wiaczesławie Iwanowiczu - powiedziałem jowialnie - kiedy się zapiszecie?

Twarz dyrektora przybrała kolor jego płomiennie rudych włosów. Poruszył się niepewnie w fotelu. Strzelał oczami po całym pokoju i odchrząknął.

- O tym, co będę robił podczas wielkiej wojny, zadecyduje Komitet Obwodowy partii. Mam obowiązki. Fabryka zostanie wkrótce ewakuowana...

- I tak powinniście się zapisać - nalegałem. - Robotnicy o tym mówią. Jeśli partia będzie chciała was tu zatrzymać, zrobi to. A na razie, dlaczego się nie zapisać?

Ale Manturow wolał nie ryzykować. Jegorow też nie. Obaj zakończyli wojnę z dumnie brzmiącymi tytułami i orderami za trzymanie się poza zasięgiem nieprzyjacielskiego ognia. Nie należy ich jednak za to winić. Po prostu naśladowali politykę manifestowaną przez Kreml. Stalin postanowił zachować aparat biurokratyczny, na którym w ostatecznym rozrachunku opierał się reżim radziecki. Nawet w najtrudniejszych miesiącach „niezastąpieni” funkcjonariusze - w tym oddziały specjalne

NKWD, gwardia przyboczna dyktatora – byli w większości oszczędzani na ostateczną konfrontację z narodem rosyjskim. Do takiej konfrontacji nigdy nie doszło.

Mój zaciąg został unieważniony dyrektywą Komitetu Obwodowego. Manturow i Jegorow byliby zachwyceni, gdyby niezwłocznie wysłano mnie na front. Nigdy mi nie wybaczyli próby zaciągnięcia się, ponieważ wiedziała o tym cała fabryka. Ale na razie decyzja, że Krawczenko i inni ochotnicy spośród wyższej kadry nie mogą opuścić fabryki, pozwoliła im zachować twarz.

3

Bagnisty skrawek fińskiego pustkowiec, za który w 1940 roku Rosja zapłaciła setkami tysięcy zabitych, nieprzyjaciel zajął niemal natychmiast. Tym samym stalinowska agresja nie przyniosła żadnych korzyści – popchnęła tylko fińskiego sąsiada jeszcze głębiej w objęcia Niemiec. Ani radziecki gwałt na Polsce, ani zagarnięcie państw bałtyckich nie opóźniło zwycięskiego pochodu najeźdźców. „Strategiczne bezpieczeństwo”, stanowiące pretekst do zajmowania obszarów przygranicznych, ma niewielki sens w epoce wojny zmechanizowanej i lotnictwa dalekiego zasięgu.

Ale spośród mitów wyhodowanych w cieplarniach komunistycznej propagandy najbardziej nikczemny, bo całkowicie fałszywy, jest mit, że Stalin wykorzystał dwadzieścia dwa miesiące pokoju uzyskane dzięki porozumieniu z nazistami, aby przygotować się do wojny z nimi. To kłamstwo. To zniewaga dla milionów Rosjan, którzy cierpieli i ginęli właśnie dlatego, że dwudziestodwumiesięczna zwłoka została zmarnowana. Wojna, kiedy już do niej doszło, zaskoczyła nas bezbronnych i bez żadnych sensownych planów na uratowanie ludzi i cennych zasobów leżących na drodze zdobywców.

Ci, którzy w to wątpią, powinni przeczytać stenogramy z XVIII Konferencji naszej partii, zwołanej w lutym 1941 roku, zaledwie cztery miesiące przed niemiecką inwazją. Ze wszystkich przemówień wyłania się obraz przemysłowych trudności i porażek, zwłaszcza w gałęziach gospodarki związanych z potrzebami wojennymi. W trakcie swojej pracy podczas wojny znalazłem tysiące dowodów, że ten obraz nie był przerysowany.

W ciągu tygodnia od wybuchu wojny Moskwa, najlepiej zaopatrzone miasto w naszym kraju, pozostała bez chleba. Po skąpe racje ustawiały się kolejki długości całych kwartałów, ci na końcu kolejek nigdy nie byli pewni, czy starczy dla nich chleba, nafty i innych niezbędnych artykułów. Stolica Związku Radzieckiego nie była odpowiednio zaopatrzona w schrony przeciwlotnicze. Ani jeden ważny zakład zbrojeniowy

w zachodniej i południowej Rosji nie został ewakuowany ani przygotowany do ewakuacji przed niemiecką napaścią. Zgodnie z kremlofską doktryną byliśmy przygotowani tylko do wojny ofensywnej i dlatego nie ewakuowaliśmy w porę ogromnych obszarów, które natychmiast stały się polami bitewnymi. Miliony ton surowców i sprzętu wojskowego, zboża, paliwa i innych materiałów, dziesiątki milionów ludzi pozostały w najbardziej zagrożonych rejonach zachodnich, gdzie szybko wpadły w ręce niemieckie.

Utrzymywałem codzienne służbowe kontakty z komisariatami odpowiedzialnymi za fabryki, magazyny i robotników na obszarach objętych działaniami wojennymi. Niebawem stało się dla nas oczywiste, że przez dwadzieścia dwa miesiące nikt na Kremlu nie zadbał o sformułowanie programu ewakuacji ludzi i mienia. Inicjatywa mogła oczywiście wyjść tylko z samej góry. Gdyby ktokolwiek inny podniósł tę kwestię, naraziłby się na zarzut „defetyzmu” i szerzenia „demoralizujących pogłosek”. Sama sugestia, że Armia Czerwona może się wycofać, choćby tymczasowo, zostałaby potraktowana jak niewybaczalne bluźnierstwo.

W latach swojej pracy na różnych stanowiskach administracyjnych w przemyśle często uczestniczyłem w naradach, podczas których opracowywano tajne plany mobilizacyjne. Braliśmy pod uwagę wszystkie niezbędne materiały - metale nieżelazne, ropę, węgiel, maszyny, siłę żywą - oraz problemy związane z ich magazynowaniem i transportowaniem. Zgodnie z tymi dalekosiężnymi planami rząd zgromadził ogromne rezerwy materiałów wojennych i strategicznych. Ale planowanie dotyczyło wyłącznie operacji ofensywnych. Opierało się na przekonaniu, często powtarzanym przez Stalina i dlatego nie podlegającym dyskusji, że wojna będzie prowadzona na obcej ziemi.

W obliczu wojny defensywnej na wielką skalę byliśmy bezradni. Musieliśmy improwizować wszystko od podstaw - ewakuację, mobilizację, walkę partyzancką na nieprzyjacielskim zapleczu. Hitlerowi udało się tak głęboko uśpić czujność Stalina, że wszystkie brytyjskie i amerykańskie wysiłki, aby go obudzić i otworzyć mu oczy na rzeczywistość, zawiodły. Gdyby zareagował na pierwsze ostrzeżenie amerykańskiego Departamentu Stanu ze stycznia 1941 roku, miałyby pięć miesięcy na ewakuację milionów ludzi, dziesiątków zakładów przemysłowych oraz zapasów żywności i materiałów.

Ponieważ Kreml zmarnował okres zwłoki, wydał na łup Hitlera znaczną część tego, co naród radziecki stworzył krwią, potem i łzami w ciągu piętnastu lat industrializacji. Fabryki, stacje maszynowo-traktorowe, hydroelektrownie, góry zaopatrzenia, nie wspominając już o dziesiątkach milionów rąk do pracy, porzucono na pastwę nazistów na Ukrainie i Białorusi.

Po wielkiej czystce nawyk strachu zakorzenił się w aparacie biurokratycznym tak głęboko, że prawie nikt nie ośmielił się podjąć jakichkolwiek działań nawet po hitlerowskim uderzeniu. Ogarnięci paniką urzędnicy i kierownicy zakładów przemysłowych kreślili plany ewakuacji cennych maszyn i surowców, a także ludzi. Nikt nie śmiał wprowadzić ich w czyn, nawet na najbardziej wstępnym poziomie, wszyscy pisali raporty, przedkładali je do decyzji „najwyższych instancji”, a potem bezradnie czekali. W większości przypadków wciąż jeszcze czekali, kiedy zjawili się Niemcy.

Przed Hitlerem, a zwłaszcza po jego dojściu do władzy, Kreml wydał miliony dolarów na pracę wywiadowczą i kontrwywiadowczą w Niemczech. Gromadził dane na temat polityki i przygotowań wojskowych tego kraju. Ale podczas wielkiej czystki, do 1939 roku, przeważająca większość pracowników służb wywiadowczych i Sztabu Generalnego Armii Czerwonej została aresztowana, uwięziona, rozstrzelana; wielu z nich uciekło za granicę. Rezultat ich wieloletnich wysiłków poszedł na marne, uznany za „działalność kontrrewolucyjną i szkodniczą”. Nowe służby wywiadowcze, jak się szybko i tragicznie okazało, były słabe i nieudolne. Płaciliśmy wysoką cenę za lata terroru.

W momencie kryzysu powołano nowy najwyższy organ: Państwowy Komitet Obrony. Stał się on głównym depozytariuszem potęgi partii i państwa, mózgiem i siłą sprawczą wszystkich działań obronnych w całym kraju i na frontach, ciałem kształtującym politykę wewnętrzną i międzynarodową. Komitet zastąpił w efekcie Radę Najwyższą, gdzie teoretycznie spoczywała władza. Rada Komisarzy Ludowych stała się po prostu organem wykonawczym, wypełniającym rozkazy komitetu i nadzorującym pracę komisariatów ludowych. Przedstawiciele komitetu cieszyli się nieograniczonymi uprawnieniami w każdej dziedzinie. Państwowy Komitet Obrony był najbardziej dynamicznym, elastycznym i bezwzględny organem, jaki kiedykolwiek istniał w Rosji Radzieckiej. W jego skład weszli członkowie lub kandydaci na członków Politbiura.

Siły zbrojne, zdziesiątkowane krwawymi czystkami, nie wyłoniły jeszcze nowej kadry dowódczej. Woroszyłow, Budionny i inni sławni nieudacznicy, którym początkowo powierzono dowodzenie na różnych frontach, okazali się gorzej niż bezużyteczni. Dopiero w październiku większość z nich odwołano i zastąpiono nowymi ludźmi. To też było miarą zaniedbań Stalina w przygotowaniu kraju na ciężką próbę.

Niemcy, którzy pomagali budować i wyposażać większość ważnych obiektów przemysłowych na Ukrainie, znali położenie i znaczenie każdej śrubki i sworznia w tych fabrykach. Mogli zrzucać swoje bomby z szatańską precyzją na elektrownie, wieże ciśnienia i węzły komunikacyjne, aby wstrzymać produkcję i uniemożliwić spóźnioną ewakuację.

Radziecka propaganda robiła później wiele hałasu wokół fabryk ewakuowanych z Białorusi i Ukrainy na Syberię. W rzeczywistości tylko niewielką część udało się ewakuować. Nic nie mówiono o setkach zakładów ofiarowanych Hitlerowi w prezencje. Praktycznie wszystkie fabryki, w których pracowałem lub z którymi byłem związany – w Dniepropietrowsku, Krzywym Rogu, Zaporozżu, Taganrogu – wpadły w ręce wroga prawie nietknięte. To samo dotyczyło Kijowa, Odessy, Charkowa, Mariupola, Stalina, Ługańska. Oddano nieprzyjacielowi zakłady przemysłowe zdolne produkować około dziesięciu milionów ton stali rocznie oraz prawie dwa miliony ton gotowej stali. Wszystko to wróciło z czasem do nas w postaci śmiercionośnych czołgów, dział, pocisków i bomb. W innych gałęziach przemysłu sytuacja przedstawiała się nie mniej tragicznie.

Po zawarciu paktu Stalin pomógł Hitlerowi podbić Europę, dostarczając mu metali, rudy, ropy, zboża, mięsa, masła i wszelkiego rodzaju zaopatrzenia, zgodnie z traktatem gospodarczym. Po inwazji Stalin pomógł mu, pozostawiając ogromne bogactwa w materiałach wojennych i mocach produkcyjnych oraz – co najbardziej haniebne – dziesiątki milionów ludzi.

Mimo ostatecznego zwycięstwa historia postawi reżimowi Stalina zarzut zaniechania przygotowań. Pociągnęło ono za sobą miliony ofiar i niemożliwych do oszacowania ludzkich cierpień. Dlaczego nie ewakuowano ludności Leningradu? Piewcy stalinowskiego geniuszu ignorują zwykle to „przeoczenie”, chociaż do 1 maja 1943 roku, w ciągu dwóch zim straszliwej blokady, ponad 1 300 000 ludzi zmarło z głodu i zimna, a reszta miała nosić ślady swoich cierpień do końca życia. Było to zagrożone miasto. Przygotowania do ocalenia jego mieszkańców należało podjąć z wyprzedzeniem, ale nie podjęto ich nawet po wybuchu wojny. Odpowiedzialność za nieopisane cierpienia Leningradu spoczywa bezpośrednio na dwóch członkach Politbiura – Woroszyłowie, ówczesnym dowódcy Frontu Leningradzkiego, i Żdanowie, władcy obwodu leningradzkiego.

To samo można powiedzieć o nieszczęsnych ludziach odciętych w Kijowie, Odessie, Sewastopolu i setkach innych ośrodków, w tym również w moim mieście rodzinnym. Moi rodzice pozostali w Dniepropietrowsku, razem z Kławą, żoną mojego brata Konstantina, i jej małym dzieckiem. Tylko dzięki żelaznej woli umacnianej wiarą religijną moja krucha matka zdołała przetrwać to straszne doświadczenie. Niemcy pędzili ją z miejsca na miejsce, a wreszcie zamknęli w jednym z obozów koncentracyjnych. Ona i Kława przeżyły; nie wiem, czy udało się przeżyć mojemu ojcu.

W Rosji są miliony takich ojców, matek i dzieci, którzy zapłacili życiem i niewyobrażalnym cierpieniem za „przeoczenia” kremlowskiego

zbrodniarza. Kiedy wreszcie rozpoczęła się ewakuacja, nowy radziecki system przywilejów klasowych zmanifestował się w najbardziej brutalny sposób. Pierwszeństwo w wyjeździe, i w wykorzystaniu środków transportu, otrzymali „niezastąpieni”, czyli najważniejsi biurokraci, partyjni politycy, działacze związkowi, funkcjonariusze NKWD tworzący „aparatus” reżimu. Zwykli śmiertelnicy mogli zabrać tylko dwie walizki, porzucając wszystko inne, ale partyjna arystokracja wywoziła nawet najcięższe meble. Wykwalifikowani robotnicy i inni niezbędni pracownicy ewakuowanych zakładów wyjeżdżali razem z maszynami, ale często musieli zostawić rodziny. Uprzywilejowani urzędnicy zabierali jednak swoich prawdziwych i rzekomych krewnych aż do dziesiątego pokolenia.

Powtarzam, najważniejsza korzyść, jaką miał przynieść układ z nazistami - zyskanie na czasie - jest podłym mitem, bajką, propagandowym kłamstwem.

4

Trzeba było miesięcy bezpośrednich przejawów niemieckiej brutalności, aby przewyciężyć moralne rozbrojenie narodu rosyjskiego. Po dwóch latach, w czasie których propaganda przedstawiała Hitlera jako przyjaciela Rosji i przyjaciela pokoju, Rosjanie musieli się znowu nauczyć nienawidzić nazistów. Nie należy zapominać, że w pierwszych tygodniach całe dywizje Armii Czerwonej poddawały się nieprzyjacielowi prawie bez walki.

Gdyby najeźdźcy okazali się ludźmi i przejawiali zdrowy zmysł polityczny, uniknęliby zażartego partyzanckiego ruchu oporu, który nękał ich dzień i noc. Tymczasem Niemcy w swojej niesłychanej obsesji rasowej zabijali, torturowali, palili, gwałcili i niewolili. W miejsce kolektywizacji, do której większość chłopów odnosiła się z odrazą, zdobywcy narzucili nieznośną niemiecką skuteczność. W miejsce budzącego grozę NKWD wprowadzili budzące grozę gestapo. W ten sposób Niemcy wyświadczyli Stalinowi nieocenioną przysługę. Zwrócili przeciwko sobie przeważającą większość ludności na terytoriach podbitych i na zapleczu. Dali Kremlowi argumenty do rozbudzenia zajadłej nienawiści zwróconej przeciwko najeźdźcom.

Uchodźcy i zbiegli więźniowie opowiadali przerażające rzeczy o okrucieństwach i bezdennej głupocie Niemców. Nazistowscy barbarzyńcy, jak się dowiadaliśmy, traktują wszystkich Słowian jak podludzi. Wiem na podstawie własnych emocji, że oburzenie na Niemców wyparło nasze urazy wobec reżimu radzieckiego. Hitlerowskie hordy zdołały rozbudzić rosyjski patriotyzm bardziej skutecznie niż wojenne okrzyki wznoszone na Kremlu.

Gdyby to była wojna z krajem demokratycznym, humanitarnym i oświeconym, przynoszącym nam dar w postaci wolności i suwerenności, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale Rosjanom dano po prostu wybór pomiędzy tyranią rodzimą a importowaną. To zrozumiałe, że woleli rodzime kajdany, i radzieccy dyktatorzy nie powinni popadać z tego powodu w nadmierną dumę.

W swojej propagandzie skierowanej do żołnierzy i ludności cywilnej Kreml utrzymywał, że najeźdźcy zamierzają przywrócić panowanie obszarników i kapitalistów. Był to skuteczny bodziec moralny i rzeczywiście zapewnił wspólny grunt, na którym reżim i naród mogły się spotkać. Należy pamiętać, że z wyjątkiem znikomej mniejszości Rosjanie kategorycznie nie życzyli sobie takiej restauracji, w żadnej formie, niezależnie od tego, jak bardzo nienawidzili politycznego i ekonomicznego despotyzmu systemu radzieckiego. Antykapitalistyczna propaganda i indoktrynacja przez ćwierć stulecia zapuściła mocne korzenie w rosyjskim umyśle.

Ale miliony, które walczyły bohatersko z nazistami na frontach i w oddziałach partyzanckich, naprawdę marzyły, że z popiołów wyniszczającej wojny odrodzi się nowa Rosja, wolna od dyktatury jednej partii i jednego człowieka, obdarzona demokratycznymi swobodami. Rząd podtrzymywał tę iluzję, zwłaszcza na obszarach podbitych przez nieprzyjaciela, dopóki toczyła się wojna. Teksty Karty Atlantyckiej i Czterech Swobód Roosevelta zostały zamieszczone w naszej prasie – po cichu i bez komentarza, ale nawet to natchnęło nas nadzieją. W propagandzie skierowanej na obszary okupowane wykorzystywano te dokumenty do ostatecznych granic, aby dać partyzantom pewność, że walczą o nową Rosję, nie o tę, która zdradziła ich swoim terrorem i jednopartyjną tyranią. W swoim cierpieniu i rozpaczach ludzie chętnie brali dym agitacji za kadzidło wolności.

Reżim i naród starały się ocalić kraj – ale ich nadzieje i cele były tak odległe jak bieguny. Nadrzędnym celem reżimu było ocalenie siebie i systemu; narodem powodowała prawdziwa miłość do ojczyzny i nadzieja na zdobycie elementarnych swobód politycznych i ekonomicznych.

Romantyczni pisarze przedstawiali ruch partyzancki i taktykę „spalonej ziemi” jako spontaniczny fenomen. W rzeczywistości były one starannie zaplanowane i przez cały czas sterowane przez Moskwę. W swoim przemówieniu radiowym z 3 lipca Stalin powiedział:

Na obszarach okupowanych przez nieprzyjaciela należy tworzyć oddziały partyzanckie, zarówno konne, jak i piesze; organizować grupy dywersyjne do walki z jednostkami nieprzyjacielskiej armii, do rozniecania wojny partyzanckiej wszędzie, do wysadzania mostów, dróg, niszczenia łączności telefonicznej i telegraficznej, podpalania lasów, magazynów i konwojów. Na obszarach zajętych należy tworzyć nieznosne warunki dla nieprzyjaciela i jego pomocników, nękać ich i niszczyć na każdym kroku, paraliżować

Ogłosił również, że podczas odwrotu całe cenne mienie, którego nie uda się zabrać, musi być „bezw warunkowo zniszczone”. Dzisiaj nie jest już tajemnicą, że wielu chłopów i mieszkańców miast przeciwstawiało się tej polityce, zażarcie, a czasem krwawo. Rozkaz o spalonej ziemi wykonywali nie cywile, lecz żołnierze.

Sztab ruchu partyzanckiego zorganizowano w stolicy. Sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Białorusi, towarzysz Ponomarienko, kierował całością działań partyzanckich na Białorusi. Ukraińskim ruchem oporu dowodził Demjan Korotczenko, sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Ukrainy. W krajach bałtyckich tę samą rolę odgrywał towarzysz Łacis. Byli to przywódcy partyjni o długim stażu, chociaż później propaganda sławiła nieznanych ludzi, którzy wyrosli w ogniu walki podziemnej.

Zgodnie z planem niektóre wielkie jednostki Armii Czerwonej pozostały na niemieckich tyłach, żeby stać się ośrodkami ruchu partyzanckiego. Żołnierze, którzy odłączyli się od swoich jednostek i zostali odcięci, wstępowali oczywiście do batalionów partyzanckich. Wiele tysięcy bezpartyjnych radzieckich urzędników i działaczy partyjnych, odciętych za linią frontu, wiedząc, że z rąk nazistów grożą im tortury i śmierć, uzupełniło szeregi ruchu oporu. Sami Niemcy swoją polityką *Schrecklichkeit* dokonali reszty.

O innym aspekcie zaplanowanego ruchu oporu nie wspomina się w ogóle. Mam na myśli placówki NKWD, celowo pozostawiane na obszarach oddawanych nieprzyjacielowi, przede wszystkim po to, aby obserwowały zachowanie obywateli radzieckich na niemieckim zapleczu. Na podstawie tych obserwacji stracono później dziesiątki tysięcy radzieckich kobiet i mężczyzn, setki tysięcy skazano na pracę przymusową. Agenci NKWD wstępowali również do oddziałów partyzanckich, aby znany radziecki system szpiegowania swoich kwitł nawet pod niemiecką okupacją. Rodziny ludzi pozostawionych na niemieckim zapleczu do zadań specjalnych ewakuowano na obszary radzieckie jako zakładników, aby zapewnić sobie lojalność agentów.

Nie należy również przyjmować za pewnik, że ludność na obszarach okupowanych sprzyjała partyzantom. W krajach bałtyckich oczywiście znaczna część mieszkańców – często większość – powitała Niemców jak wyzwolicieli spod nienawistnego radzieckiego jarzma i oddziałom partyzanckim dawały się we znaki nie tylko niemieckie jednostki wojskowe, lecz także cywile. Ale nawet w samej Rosji właściwej – zwłaszcza nad Donem i na Kubaniu, gdzie kolektywizacja i głód zebrały najokrutniejsze żniwo – ruch partyzancki był słaby i często napotykał opór ludności.

Również na Ukrainie zadawnione urazy do systemu stalinowskiego znajdowały często mordercze ujście. Sytuacja na Ukrainie była jednak tak złożona, że jej omówienie wymagałoby osobnego rozdziału. Działał tam ruch jawnie proniemiecki, kierowany przez emigrantów od dawna przygotowywanych do tej roli. Działał też ogromny ruch narodowy, nastawiony tak samo wrogo do nazistów, jak i do władzy radzieckiej. Wiele znanych akcji partyzanckich na tym ogromnym obszarze było inspirowanych nienawiścią do Stalina, nie mniejszą niż do Hitlera. Nawet tych, którzy lojalnie współpracowali z Moskwą, przyjmując rozkazy od Korotczenki, karmiono świadomie iluzjami prawdziwej autonomii - nowego porządku na Ukrainie - po wyparciu stamtąd najeźdźców. Byli też oczywiście partyzanci z wyraźnym programem separatystycznym, dążący do utworzenia całkowicie niepodległej i suwerennej Ukrainy.

Ruch podziemny będzie zasłużenie gloryfikowany w rosyjskich annałach. Dowiódł on odwagi i nieustępliwości naszego narodu, głęboko zakorzenionej miłości do ojczystej ziemi, hartu w godzinie katastrofy. Ale przekształcanie tego wszystkiego w rzekomy dowód popularności stalinowskiego despotyzmu, do czego zachęca się wielu naiwnych obserwatorów z zewnątrz, jest zarazem szkodliwe i głupie. Dla dobra prawdy należy powiedzieć, że znaczną część roboty na niemieckim zapleczu wykonywały specjalne jednostki NKWD, przeszkolone i wyposażone do dywersyjnych działań partyzanckich. Oddziały przygotowane do specjalnych zadań sabotażowych nieustannie zrzucano na spadochronach za niemieckimi liniami.

Osiemnastego września rząd wprowadził powszechne szkolenie wojskowe dla wszystkich mężczyzn od szesnastego do pięćdziesiątego roku życia, którzy nie zostali jeszcze powołani. W rzeczywistości do czynnej służby wojskowej powoływano mężczyzn do pięćdziesiątego szóstego, a do jednostek pomocniczych do pięćdziesiątego ósmego roku życia. W praktyce każdy mężczyzna, niezależnie od wieku i kondycji fizycznej, zdolny do pracy, musiał zgłaszać się na szkolenie pod koniec dnia roboczego, który w większości przypadków trwał dwanaście godzin. Na placach i bulwarach Moskwy zmęczeni, niedożywieni i nieodpowiednio ubrani ludzie ćwiczyli z kijami. Z dwoma karabinami na pluton uczyli się strzelać. Nie zwalniał ich od tego ani deszcz, ani błoto. W istocie część szkolenia polegała na przedzieraniu się przez błoto, czołganiu się po ziemi w błocie lub śniegu.

Niech romantycy przytaczają te ćwiczenia jako kolejny dowód wojennego zapału. Prawda jest mniej budująca. Szkolenie było przymusowe. Nieobecność karano jak dezercję, przed rewolucyjnymi trybunałami NKWD. Nawet w odniesieniu do sił zbrojnych pisano by mniej heroicznych bzdur, gdyby świat znał charakter dyscypliny

obowiązującej w Armii Czerwonej, a zwłaszcza zakres stosowania kary śmierci bez sądu za drobne wykroczenia. To prawda, że rosyjscy żołnierze dokonywali bohaterских wyczynów, trwając na swoich posterunkach do końca, oddając życie za swój kraj, naród i towarzyszy. Poddani Stalina walczyli z Hitlerem tak samo mężnie jak pańszczyźniani chłopci za Aleksandra I walczyli z Napoleonem. Ale ci, którzy czynią z naszej wrodzonej nieustępliwości, z naszej gotowości, aby walczyć i ginąć, specjalną cnotę odzwierciedlającą chwałę totalitarnego reżimu radzieckiego, ogłupiają siebie albo innych.

Mało kto za granicą wie - a prawda wymaga, aby to powiedzieć - że za jednostkami Armii Czerwonej na frontach rozmieszczano specjalne „oddziały zaporowe”. Składały się one z żołnierzy wojsk „bezpieczeństwa wewnętrznego” NKWD i współdziałały z wydziałami politycznymi armii. Ich zadanie polegało na przechwytywaniu uciekających żołnierzy, aby zapobiegać samowolnym odwrotom. Miały prawo rozstrzeliwać każdego, kto opuścił szeregi bez pozwolenia, niezależnie od powodu, i bez wahania z niego korzystały; zwykle jednak przekazywały zatrzymanych żołnierzy trybunałom wojskowym.

Przywykliśmy do widoku ciężarówek pełnych dezertersów, wyjeżdżających z więzień pod eskortą czekistów. Prawdopodobnie wieziono ich w jakieś ustronne miejsce na masową egzekucję. Mieli ogolone głowy, ziemistoszare twarze; wychudzone, żałosne istoty w wystrzępionych wojskowych mundurach. Wiem z wiarygodnego źródła, że współczynnik dezercji był niezwykle wysoki.

Fakt, że miliony ludzi, których według każdego cywilizowanych kryteriów uznano by za niezdolnych do walki, pospiesznie zmobilizowano i posłano pod ogień, może tłumaczyć to zjawisko. Podobnie jak zwierzęcy strach. Nasi prości chłopci potrafią stawić czoło niebezpieczeństwu, które rozumieją, ale nowoczesne czołgi, miotacze płomieni, bombardowania lotnicze wprawiały wielu z nich w śmiertelne przerażenie, zanim zdążyli do tego przywyknąć. Bez broni dorównującej uzbrojeniu przeciwnika, zmuszeni posługiwać się butelkami zapalającymi zamiast dział przeciwpancernych, słabo wyszkoleni rekruci nie wytrzymywali napięcia. Rząd w wygodny dla siebie sposób nazywał tchórzostwem rezultaty własnych niewybaczalnych błędów. Pełen pogardy dla ludzkiego życia, z ochotą rzucał rosyjskie mięso przeciwko niemieckiej stali, rosyjską krew przeciwko niemieckiej benzynie.

Straszliwe rozmiary radzieckich strat przytaczano miliony razy jako dowód naszego heroizmu - należy je przytoczyć, przynajmniej ten jeden raz, jako dowód zbrodniczej nieudolności Kremla.

Ewakuacja Moskwy rozpoczęła się w sierpniu i trwała do połowy 1942 roku, dopóki groźba wisząca nad stolicą nie została definitywnie zażegnana. Przez mniej więcej miesiąc, zanim powołano mnie do Armii Czerwonej, byłem pochłonięty zadaniem demontażu naszej fabryki i przygotowaniem maszyn do wysyłki na Ural.

Kiedy hitlerowskie bombardowania lotnicze przybrały na sile, część ludności zaczęła wyjeżdżać na własną rękę. Optymiści i zapaleńcy krzyczeli o tchórzostwie i dezercji. Niebawem jednak, gdy linie kolejowe i drogi wokół stolicy zostały zablokowane, oburzaliśmy się, że władze nie zorganizowały tego tchórzostwa i dezercji od samego początku.

Dla wygłodzonych mężczyzn i kobiet kruszenie betonowych fundamentów i przenoszenie ciężkich maszyn było wyczerpującą pracą. Jeszcze cięższa była świadomość, że demontują i niszczą coś, za co zapłaciliśmy niesłychanym poświęceniem, coś, co stało się nam drogim jako symbol długo oczekiwanego przemysłowego dobrobytu. Pracowaliśmy w całkowitym milczeniu. Nawet najbardziej zajadły przeciwnik reżimu stalinowskiego nie mógłby przypuszczać, że zaledwie sześć tygodni od rozpoczęcia działań wojennych konieczna będzie ewakuacja stolicy.

Zwykły gwar i krzątanina w naszej fabryce ucichły. Życie gasło i chwilami zdawało się zamierać. Nasi robotnicy, normalnie bardzo towarzyscy, pracowali przez całe dni w przygnębiającej ciszy. Wszyscy czepialiśmy się kurczowo nadziei, że niebezpieczeństwo jest wyolbrzymione. Raz wydawało się, że nasza nadzieja się ziści - otrzymaliśmy z komisariatu rozkaz wstrzymania demontażu urządzeń. Ale wkrótce rozkaz odwołano i znów musieliśmy wziąć się do pracy.

Część wykwalifikowanych robotników miała pojechać na wschód razem z maszynami, natomiast resztę zwolniono z dwutygodniową pensją. To samo działo się we wszystkich moskiewskich przedsiębiorstwach. Do koszmaru nalotów lotniczych, niedoborów żywności, zimna, przerw w dostawach energii elektrycznej i wody doszło teraz widmo bezrobocia.

Chociaż Niemcy mieli dotrzeć do przedmieść Moskwy dopiero za miesiąc, już pod koniec sierpnia panowała w stolicy atmosfera skazanego miasta. Wyżsi urzędnicy wysyłali swoje rodziny i dobytek do Swierdłowska i innych uralskich miast samochodami, pociągami, samolotami. Setki przywódców koczowały w swoich gabinetach, z walizkami i służbowymi samochodami przygotowanymi do natychmiastowej ucieczki. Pracowaliśmy przez cały dzień, ćwiczyliśmy przez cały wieczór, a przez całą noc walczyliśmy

ze skutkami bombardowań.

Cały odpowiedzialny personel w naszej fabryce, podobnie jak we wszystkich stołecznych zakładach przemysłowych, został „zmobilizowany”. Przez kilka tygodni nie wracałem do domu, jedząc i śpiąc tam, gdzie pracowałem. Nigdy nie zapomnę strasznych – i heroiczych – scen, kiedy nie odchodziliśmy od maszyn, podczas gdy wszędzie wokół spadały bomby, nad głowami wyły niemieckie samoloty, a niektóre kobiety w naszych warsztatach histerycznie płakały. Była to próba nerwów, w której ludzie dookoła mnie okazali zdumiewającą siłę.

Kiedy powołano mnie do Armii Czerwonej, poczułem ulgę, że znajdę się w szeregach walczących, gdzie jest moje miejsce. Na początku września dostałem wezwanie przed komisję poborową. Korzystając z tego, że od unieważnienia mojego ochotniczego zaciągu minęło już trochę czasu, Jegorow i Manturow skreślili mnie z listy „niezastąpionych”. Badanie lekarskie trwało całe dwie minuty.

Skierowano mnie do Bolszewa, około trzydziestu kilometrów od Moskwy, do Wojskowej Akademii Inżynieryjnej, przywracając mi dawną rangę kapitana. Zostałem wcielony do specjalnej jednostki, której oficerów przygotowywano do objęcia wyższych stanowisk. Wraz z setkami innych inżynierów wszystkich specjalności przeszedłem intensywny kurs inżynierii wojskowej, jak również normalne szkolenie bojowe.

Ponieważ Bolszewo leżało blisko Moskwy, Irina i ja nie doświadczyliśmy jeszcze poczucia rozłąki.

ROZDZIAŁ XXIII

Panika w Moskwie

W Bolszewie mianowano mnie organizatorem partyjnym, stałem się więc najwyższym rangą komisarzem politycznym wśród swoich kolegów oficerów. We wszystkich sprawach wojskowych przyjmowałem oczywiście rozkazy od pułkownika Warwarkina i jego zastępców. Tragedia naszego kraju zbliżyła nas do siebie. W kursach uczestniczyli też kilkunastoletni chłopcy, ale moja jednostka składała się z dojrzałych mężczyzn zahartowanych długoletnimi i ciężkimi doświadczeniami w radzieckim przemyśle i polityce, ludzi uodpornionych na złudzenia. Robiłem, co mogłem, aby polepszyć położenie swoich towarzyszy.

W głębi serca byłem zdecydowanym przeciwnikiem reżimu. Nienawidziłem jego okrucieństw. Świadectwa jego nieudolności piętrzyły się teraz wszędzie dookoła, pogłębiając tę nienawiść. Układ Stalina z Hitlerem - „realizm”, który się zemścił - był, patrząc z perspektywy, tak haniebnym, że nawet fanatyczni stalinowcy cierpieli na samo wspomnienie. Ale kochałem swój ojczysty kraj i przejmowało mnie głębokie współczucie dla mojego narodu. Wszyscy bez wyjątku powściągaliśmy swoje urazy. Wszyscy bez wyjątku byliśmy gotowi zginąć za rosyjskie zwycięstwo.

Szkolenie zorganizowane w Bolszewie było niegodne trzeciorzędnego kraju, nie mówiąc już o wielkim mocarstwie po dwóch dekadach forsownej industrializacji. Narzędzia, które dostaliśmy do budowy mostów, bunkrów, lotnisk polowych były tak prymitywne, że praktycznie sprowadzały się do łopaty i siekiery. Gdzie, zadawaliśmy sobie pytanie, podziela się wyższa technika, o której bez przerwy trąbili komunistyczni mówcy? Słyszałem wiele ironicznych komentarzy i zwykłych przekleństw na ten temat.

- Sprzęt saperski - powiedział mi jeden z instruktorów z kamienną twarzą - trzeba szanować jako wspólne narodowe dziedzictwo. Pochodzi z zamierzchłej przeszłości.

- Czy Niemcy nie wystrzelają nas jak kuropatwy, kiedy będziemy stawiali taki nieporęczny most pontonowy? - spytałem prywatnie po wykładzie.

- Niestety, to prawda, towarzyszu Krawczenko - westchnął wykładowca - ale to jedyny sprzęt, jaki mamy.

Z nielicznymi wyjątkami, niestety, wykładowcy okazali się tak samo prymitywni jak sprzęt, którym dysponowaliśmy. Podpułkownik, wygłaszający wykład na temat budowy dróg, z powodzeniem mógłby brać lekcje u dowolnego brygadzysty w przedsiębiorstwie budowlanym. Ale był zaufanym komunistą i poświęcał niemal cały swój czas wspomnianiu swoich wyczynów w okresie wojny domowej. Poza tym jako oficerowie musieliśmy poświęcać mnóstwo czasu na czytanie i omawianie wybranych dzieł Lenina i Stalina. Oczywiście trudno było od nas oczekiwać stawiania pól minowych i budowania mostów bez przyzwoitej znajomości stalinowskiej wersji leninizmu.

Mimo przeciwności i wielu powodów do irytacji studiowaliśmy pilnie i gorliwie. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę z wagi naszego szkolenia. Wiedzieliśmy, że we właściwym czasie będziemy odpowiedzialni za życie żołnierzy pod naszym dowództwem i za rozwiązywanie krytycznych problemów wojskowych.

Z racji swojej funkcji organizatora partyjnego nieustannie stykałem się ze sprawami dotyczącymi nie tylko naszej jednostki inżynierskiej, ale również stolicy. Wraz z innymi dowódcami uczestniczyłem we wszystkich zebraniach komitetu partii na naszej uczelni. Słuchaliśmy poufnych raportów, nieodmiennie pesymistycznych, byliśmy więc bardziej przygnębieni, i z bardziej uzasadnionego powodu, niż oficerowie bezpartyjni.

Dosyć często jeździłem do Moskwy i odczuwałem pogłębiający się w mieście nastrój rozpacz. W miarę jak postępowała ewakuacja, a Niemcy podchodzili coraz bliżej, zwiększał się bałagan i niepokój. Wraz ze wzrostem niepokoju nasilały się policyjne represje. Był to zakłęty krąg, który nieuchronnie znalazł swoją kulminację w paroksyzmie paniki i grabieży - tak starannie ukrywanym przed światem zewnętrznym.

Pod koniec września strach i zamieszanie osiągnęły punkt krytyczny. Protekcjonizm przy ewakuacji doprowadzał zwykłych moskwian do furii. Po raz pierwszy od dwudziestu lat słyszałem, jak otwarcie przeklinano aparat urzędniczy. Wszystkie biura i organa administracji sporządziły listy osób, którym przysługiwało miejsce w pociągach do Kujbyszewa, Swierdłowska i innych bezpiecznych miejsc. W teorii jedynym kryterium była „niezastąpioność”, w rzeczywistości o wszystkim decydował nepotyzm i wpływy polityczne.

Przedstawiciele władzy zabierali swoje meble, garderobę, kochanki, krewnych, podczas gdy tysiące nieszczęsnych rodzin koczowały wśród tobołków i walizek na dworcach kolejowych w nikłej nadziei znalezienia miejsca czy choćby stopnia w jakimś wagonie jadącym na wschód. To byli szczęśliwcy, moskwianie z oficjalnym pozwoleniem na wyjazd. Tysiące innych uciekały pieszo.

Tłumy wokół dworców rosły, z każdym dniem coraz bardziej przerażone, coraz głośniejsze. Ich strach udzielił się całemu miastu. Uczestniczyłem w naradach, dyskutując o tym problemie. Gdybyśmy mieli do czynienia z bydłem, martwilibyśmy się przynajmniej o paszę na długą podróż. Tymczasem nikomu nie przyszło do głowy, żeby podnieść kwestię żywności dla ewakuowanych, żeby zatroszczyć się o to, jak dotrą do wyznaczonych punktów i z czego będą żyli, kiedy się już tam znajdą.

Kiedy tłumy na dworcach stały się już zbyt wielkie, by nad nimi zapanować, podstawiono wreszcie wagony bydłące, otwarte węglarki, nawet wagony metra. Bez czyszczenia czy dezynfekcji upchano w nich ciasno obywatele radzieckich i wysłano w powolną i straszną podróż. Odjazdom towarzyszyły łzy i histeria. Dzieci się gubiły, rodziny rozdzielały, ludzie musieli porzucić swój cenny dobytek. Często koszmar tej ewakuacji potęgowały do granic delirium naloty lotnicze, ponieważ dworce kolejowe należały do ulubionych celów niemieckich bombowców.

Tymczasem, jakby na urągowisko nieszczęsnym tłumom, ulicami Moskwy sunęły oficjalne konwoje komfortowych samochodów, wyładowanych rodzinami i sprzętami domowymi elity. Na tle szaleństwa wojny i zagrożenia przepaść pomiędzy klasami wydawała się coraz głębsza.

W pierwszym tygodniu października stolica jakby straciła chęć do życia. Miasto, tak jak człowiek, może doznać załamania nerwowego. Tramwaje i autobusy jeździły od przypadku do przypadku. Sklepy w większości świeciły pustkami, ale głodni ludzie i tak ustawiali się w kolejkach. Chociaż Irina miała lepsze znajomości i więcej pieniędzy niż większość ludzi, często brakowało jej jedzenia. Domy i biura nie były ogrzewane, zdarzały się przerwy w dostawach wody i prądu.

Dzień i noc dym unosił się z kominów NKWD, Sądu Najwyższego, Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych, różnych innych instytucji i budynków partii. Nasi przywódcy pospiesznie palili dokumenty, niszcząc dowody dziesięcioleci swoich zbrodni. Rząd, najwyraźniej na polecenie z góry, zacierał po sobie ślady. Pierwszy październikowy śnieg był czarny od sadzy ze spalonego papieru.

Pewnej nocy, w najściślejszej tajemnicy, czekałci załadowali na ciężarówkę trumnę, w której spoczywało zabalsamowane ciało Lenina w jego mauzoleum na placu Czerwonym. Wywieziono ją specjalnym wagonem do Tiumentia na Syberii, gdzie miała pozostać aż do końca wojny prawie cztery lata później. Najcenniejsze przedmioty z Kremla i muzeów również przewieziono w głąb kraju. Bombardowania Moskwy stawały się z każdym dniem częstsze i bardziej przerażające, chociaż nie tak niszczycielskie, jak się spodziewaliśmy.

Dwunastego października Niemcy zasypali rejon Bolszewa ulotkami.

Dowodziłem kompanią zaufanych komunistycznych oficerów, która zbierała te niemieckie odezwy. Oczywiście nie wolno nam było ich czytać - każdy, u kogo znaleziono ulotkę, zostawał natychmiast aresztowany. Ale próbowaliśmy czytać je ukradkiem podczas pracy. Nie wywarły na nas żadnego wrażenia, wzbudziły nawet pogardę dla wroga. Niemiecka propaganda wydawała mi się niezwykle głupia. Była odpychająco arogancka i myliła miłość ojczyzny z miłością do Stalina.

Tej samej nocy obudził nas alarm. W ciągu pół godziny trzy bataliony młodych, na wpół przeszkolonych oficerów w pełnym oporządzeniu bojowym wysłano na zachodnie przedmieścia Moskwy. Czterdzieści osiem godzin później mniej więcej jedna trzecia z nich przywlokła się z powrotem, okrwawiona, przemarznięta, głodna i przygnębiona; reszta nigdy nie wróciła. Większość tych młodych ludzi była fanatycznymi komsomolcami. Szli w bój z okrzykiem: „Za Stalina! Za partię!”.

Poczynając od 13 października, wszyscy leżeliśmy w śniegu w bolszewskich lasach, strzegąc fragmentu podejścia do stolicy od naszej strony, gdzie mieli podobno wylądować niemieccy spadochroniarze. W temperaturze znacznie poniżej zera miałem na sobie letnią bieliznę, lekkie płócienne buty, letnią czapkę, wystrzępiony wojskowy szynel. Mój ekwipunek składał się z ćwiczebnego karabinu i dokładnie trzech naboji. Chociaż wszyscy byliśmy oficerami, tylko nieliczni mieli lepszą ochronę przed mrozem, tylko szczęśliwcom wydano aż po pięć naboji. Amunicja, którą nam obiecano, nie nadeszła. Wielu z nas zabrało oczywiście ze sobą cywilną odzież; ja na przykład miałem piękne buty, wełnianą bieliznę i inne rzeczy. Ale zakazano nam surowo noszenia czegokolwiek poza regulaminowym umundurowaniem. Marzliśmy więc i cierpieliśmy dla chwały wojskowej głupoty.

Te dni i noce w śniegu, za które wielu moich towarzyszy zapłaciło odmrożeniami i gorączką, na zawsze wyryły się w mojej pamięci. W tych nieprzyjemnych wspomnieniach bardziej przygnębiający od braku odpowiedniej odzieży, ekwipunku i amunicji był widok samochodów wypełnionych biurokratami i ich dobytkiem, wyjeżdżających z Moskwy. Oficer skulony obok mnie w wypełnionym śniegiem rowie zawołał:

- Jeśli zobaczę następny samochód z tą urzędniczą hołotą, podziurawię drani kulami!

- Lepiej oszczędzaj swoje trzy kule na Niemców - poradziłem.

Wracając z Bolszewa po nocy spędzonej pod gołym niebem, zmęczeni, głodni, zziębnięci, śpiewaliśmy przepisowe pieśni:

Do boju za ojczyznę!

Do boju za Stalina!

Cenimy swój żołnierski honor.

*Nasze konie stukają podkowami,
Gdy ruszamy na wrogów Stalina...*

W takich chwilach nie czułem wielkiej miłości do Stalina. O zmarzniętą ziemię stukwały nie końskie podkowy, lecz moje płócienne buty. Ale śpiewałem wraz z innymi. Słowa naszych marszowych pieśni i uczucia w naszych sercach nie zawsze ze sobą harmonizowały.

Wieczorem 15 października dwie kompanie wykwalifikowanych inżynierów wysłano do Moskwy z poufną misją. Jako organizator partyjny znałem charakter ich zadania, ujawniono mi go w ścisłej tajemnicy. Mieli dołączyć do dwóch innych grup ze specjalnych oddziałów inżynieryjnych NKWD. Ich zadanie polegało na zaminowaniu Moskwy. Ładunki wybuchowe zostały rozmieszczone pod moskiewskim metrem, głównymi budynkami Kremla, elektrowniami, wodociągami, dworcami kolejowymi, muzeami, teatrami, najważniejszymi obiektami rządowymi, komunikacyjnymi i wojskowymi. Wszystko było gotowe do obrócenia stolicy w „spaloną ziemię”. Śmierć zebrałaby obfite żniwo wśród Niemców i jeszcze większe wśród Rosjan. Miny zostały usunięte dopiero latem 1942 roku.

Rankiem 16 października pułkownik Warwarkin wysłał mnie do Moskwy. Zastałem miasto ogarnięte całkowitą paniką. Szerzyły się najbardziej histeryczne pogłoski. Mówiono, że na Kremlu nastąpił zamach stanu, że Stalin został aresztowany, że Niemcy dotarli już do Fili na skraju miasta. Zdezorientowani ludzie byli pewni, że widzieli niemieckich spadochroniarzy na placu Czerwonym. Opowiadali sobie, że Niemcy są wśród nas w mundurach Armii Czerwonej. Tłumy przepływały z ulicy na ulicę, a potem cofały się w nagłych falach paniki.

Zaczęły się już zamieszki i grabież. Oszalałe tłumy plądrowały sklepy i magazyny. Narastało wrażenie, że nie ma już rządu, że miliony moskwian pozostawiono własnemu losowi bez żywności, opału i broni. Porządek się załamywał.

W Savoyu, Metropolu i kilku innych eleganckich hotelach i restauracjach spanikowane kobiety i zwykłe prostytutki uczestniczyły w szalonych pijatykach z wysokimi urzędnikami, którzy jeszcze nie opuścili miasta. Wino i wódka lały się strumieniami. Zapewne te libacje były mniej wyuzdane, niż wynikało z relacji, ale przesadzone opowieści same w sobie świadczyły o nastrojach.

Jak się później dowiedziałem, przynajmniej niektóre z tych relacji były prawdziwe. W siedzibie Rady Komisarzy Ludowych na ulicy Sadowo-Karietnej na przykład wyżsi urzędnicy zmusili młode pracownice do udziału w pijackiej orgii, która trwała wiele godzin. W setkach innych biur rządowych i mieszkań prywatnych ludzie zachowywali się tak, jakby nastąpił koniec świata. Bombardowania lotnicze i pogłoski

podsycały panikę do granic hysterii.

Udało mi się wrócić do Bolszewa przed zmrokiem. Zostałem tam nieporządek, wrzeszczący tłum kłębił się w naszych budynkach. Grabież zaczęła się niedługo po moim wyjeździe i trwała od wielu godzin. Do tutejszych mieszkańców dołączyli chłopcy z pobliskich wiosek. Nasi dowódcy zniknęli. Kiedy tłum wdarł się do magazynów wojskowych, wielu oficerów przyłączyło się do niego, aby zdobyć ciepłą odzież. Szarańcza pochłaniała koce, prześcieradła, mundury, buty, zapasy żywności, wszystko, co można było wynieść. Cały teren wyglądał jak pobojuwisko, śnieg dookoła był stratowany i usłany porzuconymi dobrami.

Dość szybko zdołałem zlokalizować pułkownika Warwarkina, zasypanego raportami i bezradnego. Wysłuchał mojego meldunku z irytacją. Niewątpliwie udzieliła mu się panująca w stolicy panika. Pułkownik Warwarkin przypuszczał, że Bolszewo i tak zostanie ewakuowane. Chyba lepiej pozwolić, żeby nasi ludzie rozgrabili zapasy, niż pozostawić je dla hitlerowskich grabieżców... Do północy on i inni oficerowie wrócili, rabusie odeszli i przywrócono względną dyscyplinę. Niebawem znowu kuliliśmy się z zimna w ośnieżonym lesie, aż za dobrze wiedząc, że nie mamy ani możliwości, ani wiary, by powstrzymać Niemców, gdyby nadeszli z tej strony.

Tymczasem w Moskwie przerażeni mężczyźni, kobiety i dzieci biegali po ulicach i oblegali dworce kolejowe. 17 października wzburzony tłum znowu włamywał się do magazynów, sklepów i domów towarowych w poszukiwaniu żywności. Milicja nie reagowała. Zakłady mięsne im. Mikojana zostały ogołoczone do ostatniego skrawka mięsa, kiełbasy i puszki konserw. Głodni ludzie, pozostawieni własnemu losowi przez rząd, wdarli się do fabryki cukierków przy placu Majakowskiego i wynieśli stamtąd tony słodyczy, jak również cukru, masła i innych surowców. Obrabowano dziesiątki innych zakładów.

Zamieszki trwały przez cały dzień i noc, a także następnego dnia, 18 października. Tysiące komunistów, przekonanych, że są odcięci w wydanym na pastwę najeźdźców mieście, niszczyło swoje legitymacje partyjne, literaturę polityczną, portrety Stalina i innych przywódców. Mogę wyznać straszliwą prawdę, którą ludzie dobrze poinformowani potwierdzili później w rozmowach ze mną setki razy.

W tych dniach Niemcy mogli zająć stolicę praktycznie bez walki. Wystarczyłyby dwie albo trzy dywizje spadochronowe, zrzucone z powietrza, aby miasto znalazło się na ich łasce.

Pospiesznie zorganizowane bataliony robotnicze, rozmieszczone na obrzeżach, były niewyszkolone i źle uzbrojone, a w samej stolicy władze ogarnął paraliż. Pierwsze niemieckie czołgi, które dotarły na przedmieścia, nie napotkały prawie żadnego oporu. Pytanie, dlaczego

zawróciły, pozostaje zagadką, którą tylko Niemcy mogą rozwikłać na użytek historii. Zapewne przecenili gotowość Moskwy do obrony i postanowili poczekać na posiłki. Być może nawet uznali podejrzenie słaby opór za radziecki podstęp i próbę zwabienia ich w jakąś diabelską pułapkę. Pewne jest tylko to, iż nie podejrzewali, że stolica jest praktycznie bezbronna i że psychologicznie już skapitulowała.

Poczynając od 19 października, sytuacja stopniowo się poprawiała. Przybyły pierwsze zahartowane w bojach jednostki syberyjskie i dalekowschodnie. Milicja i NKWD otrząsnęły się z letargu. Tego dnia Stalin podpisał dekret, który przekazano urzędnikom i natychmiast wcielono w życie, chociaż został ogłoszony dopiero dwa dni później. Sam ton dokumentu odzwierciedlał fakt, że Moskwa pogrążyła się w zamęcie spontanicznej rewolty.

„W celu zabezpieczenia obrony Moskwy na zapleczu, wzmocnienia zaplecza wojsk i ukrócenia wywrotowej działalności szpiegów, dywersantów i innych agentów niemieckiego faszystwu” dekret przewidywał surowe i doraźne kary dla różnych kategorii ludzi: „Prowokatorów, szpiegów i innych agentów nieprzyjaciela, zatrzymanych za zakłócanie prawa i porządku, należy rozstrzeliwać na miejscu”.

Rozkazy były adresowane do generała Siniłowa, dowódcy garnizonu moskiewskiego, ale wyszczególniały: „Do jego dyspozycji należy oddać żołnierzy wojsk wewnętrznych NKWD, milicję i ochotnicze oddziały robotnicze”, czyli komunistów. Stalin wolał nie powierzać tego zadania Armii Czerwonej w obawie, że podobnie jak ćwierć stulecia wcześniej regularni żołnierze mogą odmówić strzelania do swoich. Liczył na zwierzęcy strach, jaki budziła sama nazwa NKWD, tak jak carscy doradcy w podobnych okolicznościach powierzyli swoje bezpieczeństwo osławionym kozakom i żandarmerii.

Trybunały wojskowe pracowały przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Chociaż aresztowano i rozstrzelano wiele tysięcy ludzi, to nie terror zdusił panikę. Sprawily to doniesienia, potwierdzone przez uciekających chłopów i żołnierzy z pierwszej linii, że Niemcy cofają się pod ciosami nowo przybyłych wojsk syberyjskich i dalekowschodnich i najwyraźniej przygotowują się do zimowego oblężenia.

Tymczasem w Bolszewie otrzymaliśmy rozkaz ewakuacji. Na polecenie naczelnego dowództwa spaliliśmy książki polityczne, książeczki wojskowe i archiwa. Byliśmy już gotowi do wymarszu, kiedy rozkaz został odwołany. Kilka dni później jednak ponownie kazano nam wycofać się na wschód, tym razem naprawdę.

Moje kłopoty osobiste skomplikował dokuczliwy ból zęba. W szpitalu wojskowym niedoświadczony dentysta wypełnił dziurę nasączoną watą i zakleił cementem. To powinno mi pomóc, powiedział, dopóki nie dotrę

do miejsca przeznaczenia. Moje przeżycia w ciągu następnego miesiąca, które obejmowały straszliwą siedemnastodniową podróż w zimnym i zatłoczonym wagonie towarowym i sześciodniowy marsz w płóciennych butach na gumowej podeszwie, rozpływały się we mgle cierpienia, które czasem przekraczało granice mojej wytrzymałości. Policzek mi spuchł, a błyskawice bólu przeszywały każdy nerw mojego ciała.

2

Wojska dalekowschodnie, zahartowane w przygranicznych starciach z Japończykami, i syberyjskie, nawykłe do działań zimowych, spieszyły na zachód, aby powstrzymać najeźdźców. W tym samym czasie znacznie mniejsze kontyngenty z zachodu przemieszczały się powoli w przeciwnym kierunku, za Wołgę i Ural, na przeszkolenie. Większość stanowili rekruci, ale w kontyngentach kierowanych na wschód byli także żołnierze ocalali z druzgocących klęsk na wszystkich frontach, zahartowani katastrofą. Wszyscy mieli być na nowo przeszkoleni, na nowo wyekwipowani. Zaczynały się prawdziwe przygotowania do obrony!

Tragiczna zwłoka w przygotowaniach pozwoliła Hitlerowi zająć więcej rosyjskiego terytorium, niż zdołał to uczynić Napoleon lub jakikolwiek inny zachodni zdobywca. Miliony straciły życie, miliony zostały okaleczone. Zapłaciliśmy straszliwą cenę za głupie niedołęstwo naszych władców. Ale w końcu zreorganizowane wojska zdołały odwrócić koleje wojny - a cała zasługa, o ironio historii, spłynęła na niedołączonych głupców...

Moja jednostka inżynieryjna stała się częścią oddziałów wycofywanych na wschód, z dala od obszarów zagrożonych, do ośrodków szkoleniowych. Codzienny widok długich pociągów wojskowych zmierzających na zachód działał krzepiąco, lecz także przygnębiająco, ponieważ większość z nas dręczyło irracjonalne poczucie winy. W jakiś sposób wydawało się to nam zawstydzające, że oddaliśmy się od ognia, chociaż dostaliśmy taki rozkaz. Poprosiłem o skierowanie na front; większość moich towarzyszy zrobiła to samo.

Batalion oficerów, wysłany na dworzec kolejowy, aby przygotować nasz pociąg do ewakuacji, odkrył, że przydzielono nam pięćdziesiąt wagonów towarowych i że niemal wszystkie są wyładowane aż po dach belami papieru gazetowego. Wykwalifikowani inżynierowie ze stopniami oficerskimi spędzili całą noc i następny ranek, zrzucając papier na śnieg. Potem podzieliliśmy się na grupy, żeby zdobyć piece, latarnie, deski, wszystko, co mogło uczynić naszą podróż bardziej znośną. Niektórzy z nas wiercili w dachach wagonów dziury na kominy, a inni ładowali ekwipunek.

Wieczorem żony, matki, dzieci, przyjaciele przyszli się z nami pożegnać. Rozgrywały się banalne, lecz zawsze rozdzierające sceny. Irina była tak przejęta moim spuchniętym policzkiem i letnim ubraniem, że zapomniała się rozplakać.

Radzieckie wagony, zgodnie z wojennymi normami, mieściły dwadzieścia cztery osoby. Do naszych wagonów ładowaliśmy się po pięćdziesięciu lub więcej, toteż nie wszyscy mogli siedzieć jednocześnie, nie mówiąc już o leżeniu. Nie mieliśmy pryczy, ławek, żadnych urządzeń do mycia i zaspokajania potrzeb naturalnych. Spaliśmy na zmianę.

W moim wagonie mały piecyk dawał słabe ciepło w swoim bezpośrednim otoczeniu. Grzaliśmy się po kolei. Nie mieliśmy ani jednej latarki, a świeca w lampie, którą ktoś zarekwirował w Bolszewie, szybko się wypaliła. Po kilku dniach połowa naszych ludzi nabawiła się ciężkiego przeziębienia, kłopotów trawiennych i innych dolegliwości; z moim zębem było coraz gorzej.

W ten sposób jechaliśmy przez siedemnaście dni, przebywając odległość, którą zwykle pociągi pasażerskie pokonują w dwadzieścia cztery godziny. Kilka razy dziennie przetaczano nas na bocznice, żeby przepuścić transporty z wojskiem i ciężkim sprzętem spieszące na front albo luksusowe pociągi z urzędnikami uciekającymi za Wołgę i dalej.

Tylko kilku wyższych oficerów i komisarzy znało cel naszej podróży. Byłem jednym z nich. Wiedziałem, że jedziemy do Menzelinska, małego miasteczka w republice tatarskiej, której stolicą jest Kazań. Menzelinsk leży nad Kamą, wschodnim dopływem Wołgi.

Dwa, czasem trzy razy dziennie dawano nam jeść na większych stacjach. Chociaż nasz pociąg zawsze zatrzymywał się na dłużej na małych stacjach, a nawet pomiędzy stacjami, surowo zabroniono nam wysiadać bez wyraźnego pozwolenia komendanta wagonu. Pozwolenia udzielano rzadko. Ten głupi, a nawet uwłaczający zakaz drażnił nas i wywoływał rozgoryczenie. Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego oficerowie jadący w głąb kraju muszą być tak rygorystycznie pilnowani, i w miarę jak podróż się przedłużała, wzbierał w nas gniew.

Na jednej z mniejszych stacji mój przyjaciel, kapitan Numidow, poprosił o pozwolenie opuszczenia wagonu na minutę i spotkał się z odmową.

- To nie jest pociąg dla radzieckich oficerów, ale więzienie! - mruknął w tłumionej furii. Komendant wagonu go nie usłyszał, ale kilku innych usłyszało. Jakiś szubrawiec spośród nas - podejrzewam, że był to komunista, który zazdrościł mi funkcji komisarza politycznego - musiał poinformować o tym wyższe władze, nie ujawniając jednak tożsamości „winowajcy”. Niewątpliwie donos był wymierzony we mnie jako organizatora partyjnego, a nie w Numidowa. Tak czy inaczej,

na następnej stacji wezwano mnie przed oblicze starszego komisarza L.

- W waszym wagonie doszło do kontrrewolucyjnej demonstracji - krzyknął na mnie. - Dlaczego o tym nie zameldowaliście? Było to waszym obowiązkiem jako organizatora partyjnego.

- Nie wiem o żadnej demonstracji - odparłem.

- Inni wiedzą. Musicie zadenuncjować wroga klasowego, który powiedział, że podróżujemy jak więźniowie.

- Nie wiem, kto to powiedział. Poza tym jesteśmy tylko ludźmi. W gniewie człowiek mówi różne rzeczy, nie mając nic złego na myśli.

- Macie zbyt czułe serce, Krawczenko. Jest wojna, im szybciej to zrozumiecie, tym lepiej. Pójdziemy do wagonu i wykurzymy drania.

Towarzysz L. wkroczył do mojego wagonu niczym anioł zemsty. Wygłosił gniewne przemówienie, domagając się, aby natychmiast ujawniono „niemieckiego agenta”. Spojrzałem na Numidowa, podczas gdy komisarz wrzeszczał i groził, i zobaczyłem, że jest blady jak płótno i drgają mu mięśnie twarzy. Bałem się, że może się przyznać. Przypadkiem znałem historię Numidowa. Jego rodzina, żona i dwoje dzieci, które uwielbiał, wpadła w ręce Niemców. Pałał morderczą nienawiścią do najeźdźców. Mimo to groziło mu rozstrzelanie jako „wrogowi klasowemu” i „niemieckiemu agentowi”, ponieważ ośmielił się skrytykować bezsensowny przepis. Na szczęście nikt go nie wydał.

Następnego dnia powtórzyło się to samo, ale ze znacznie poważniejszymi konsekwencjami. Młody porucznik z naszego wagonu, który był już pod ogniem na froncie, stracił cierpliwość, kiedy nie pozwolono mu wyjść na chwilę z wagonu.

- To oburzające! - zawołał. - Tam mogłem dowodzić kompanią i walczyć z Niemcami, a w tym wagonie nie mogę nawet wyjść za potrzebą!

Na następnej stacji podpułkownik Siergiejew, któremu posłusznie zameldowano o tej „niesubordynacji”, przyszedł ukarać przestępcę. Młody oficer, szczupły, przystojny chłopak z włosami koloru słomy, został umieszczony w areszcie. Odebrano mu dystynkcje i kazano stać pod strażą na otwartej platformie przez dziesięć dni. Cały nasz pociąg kipiał z gniewu.

Od piątej rano aż do północy „winowajca” musiał stać na mrozie w otwartym wagonie. Pilnujący go strażnicy zmieniali się na każdej stacji. Kiedy wracał do naszego wagonu na krótki nocny odpoczynek, okazywaliśmy mu współczucie, masując jego zeszywniałe kończyny, karmiąc go i opatulając w najcieplejsze rzeczy. Ponadto udało nam się ostrzec wartowników, że jeśli cenią własną skórę, mają pozwolić więźniowi palić i chronić się pod brezentem pomiędzy stacjami, kiedy oficerowie nie patrzą.

Po dwóch dniach tego nieludzkiego spektaklu nie mogłem dłużej

milczeć. Odszukałem pułkownika L. i poprosiłem go o interwencję.

- Wszyscy rozumiemy potrzebę surowej dyscypliny - przekonywałem - ale czy nie powinniśmy też kierować się zdrowym rozsądkiem? Oczekuje się od nas, że pewnego dnia będziemy dowodzić żołnierzami na polu walki. Musimy mieć poczucie autorytetu i godności własnej. Czy naprawdę trzeba nas tak pilnować, jakbyśmy tylko szukali okazji do dezercji? Jutro jest 7 listopada, rocznica rewolucji. Jestem pewien, że wszyscy w naszej jednostce potraktowaliby ułaskawienie porucznika jak świąteczny prezent.

Pod wpływem moich nalegań pułkownik L. zgodził się w końcu porozmawiać z Siergiejewem. Wrócił i oznajmił, że wyrok został odroczone, dopóki nie dotrzemy do celu.

- Ale proszę, nie wciągajcie mnie więcej w takie sprawy - powiedział.
- To jest wojna, nie piknik.

Nasz dowódca wyznawał teorię, że aby nie zgnuśnieć podczas długiej podróży, musimy się każdego ranka gimnastykować, kiedy pociąg się zatrzymuje, najlepiej przed wschodem słońca, rozebrani do pasa na arktycznym mrozie. Na pierwszym porannym postoju urządzano nam zatem pobudkę i wybiegaliśmy, trzęsący się z zimna i zaspani, na gimnastykę. Chorzy nie byli od tego zwolnieni. Nawet w dni, kiedy silny wiatr ciskał nam w twarz miriady wirujących igieł, ćwiczeń gimnastycznych nie odwoływano. Najwyraźniej nasze pojęcie o dyscyplinie zostało odziedziczone po średniowiecznych carach.

Ci z nas, którzy mieli trochę pieniędzy, próbowali kupić coś do jedzenia od miejscowych chłopów na stacjach, gdzie nas karmiono. Przekonaliśmy się jednak, że ceny, już wcześniej wygórowane, podskoczyły gwałtownie w ciągu kilku miesięcy wojny. Najtańszy tytoń kosztował czterdzieści rubli za szklanekę, która jest chłopską jednostką miary; kwarta mleka kosztowała pięćdziesiąt rubli, kurczak tysiąc dwieście rubli, czyli prawie równowartość dwóch miesięcznych pensji oficera. Zwykły szeregowiec, którego żołd wynosił od ośmiu do dwunastu rubli miesięcznie, musiałby służyć dziewięć lat, żeby zapłacić za jednego kurczaka po uwolnionych cenach z listopada 1941 roku.

Na jednym postoju, zanim dotarliśmy do Kazania, kiedy nasz pociąg przetoczono na boczny tor, żeby przepuścić długi sznur wagonów wojskowych, pozwolono nam rozprostować nogi. Wraz z kilkoma oficerami ruszyłem w stronę pobliskiego lasu, gdzie zobaczyliśmy walące się drzewa. Podeszedłszy bliżej, domyśliłem się, że pracujący tam mężczyźni i kobiety, żałosna gromada, nie są Rosjanami. Wprawdzie większość z nich nosiła chłopskie łapcie, rosyjskie buty z łyka, ale reszta ich odzieży, choć brudna i wystrzępiona, miała zagraniczny wygląd. Najwidoczniej ci ludzie nie byli przyzwyczajeni do tego rodzaju ciężkiej

zimowej pracy.

Od uzbrojonego strażnika z NKWD wyciągnęliśmy informację, że są to naprawdę cudzoziemcy - Łotysze, Litwini, Estończycy, Polacy, Żydzi, zaledwie próbka około dwóch milionów „wrogów klasowych” i innych „elementów niepożądanych”, wywiezionych do pracy przymusowej z obszarów zagarniętych przez Związek Radziecki na mocy paktu Moskwa-Berlin. Wróciliśmy do pociągu w ponurym milczeniu; każde przypomnienie układu z nazistami było bolesnym ciosem dla miłości własnej Rosjan.

Tymczasem wokół naszych wagonów towarowych zebrała się grupa *bezprizornych*, bezdomnych sierot. Brudne, obdarte, przemarznięte dzieci, z przedwcześnie postarzałymi oczami w wynędzniałych twarzach, zebrały śpiewnymi głosami o chleb. Wydawały się pokorniejsze, smutniejsze, mniej aroganckie niż poprzednie pokolenia *bezprizornych*, zapewne dlatego, że nie przywykły jeszcze do takiego życia. Kilka nieszczęsnych sierot zebrało się też przy palenisku stojącej na jałowym biegu lokomotywy. Śpiewały piosenkę bezdomnych dzieci, doskonale znaną podczas wojny domowej dwadzieścia lat wcześniej, a teraz śpiewaną znowu przez wojenne sieroty:

*Och, umrę, umrę -
Pochowają mnie
I nikt się nie dowie
Gdzie jest mój grób.*

Daliśmy nieszczęsnym dzieciom część naszych racji. Na szczęście mieliśmy mnóstwo chleba. Nawet gdy te sieroty, z konieczności, zeszły na drogę występku i złodziejstwa, żaden Rosjanin nie osądzał ich surowo. Były żywym świadectwem okrucieństwa dorosłego świata.

Celem pierwszego etapu naszej podróży była stacja pod nazwą Agriz, dokąd dotarliśmy po siedemnastu dniach. Spędziliśmy noc na brudnej podłodze opuszczonej i nieogrzewanej szkoły. Rankiem kazano nam zameldować się w Menzelinsku w ciągu sześciu dni. Jak tam dotrzeć? To już było nasze zmartwienie. W ciągu sześciu dni powinniśmy się tam dostać pieszo, a jeśli dopisze nam szczęście, może podwiozą nas okoliczni chłopci. Podzieliliśmy się na grupy, na czele każdej stał komisarz polityczny.

Nasi dowódcy, którzy pojechali przodem samochodami, najwyraźniej nie widzieli żadnej sprzeczności w tym, że pozostawiają nas samym sobie na ponurym, zaśnieżonym pustkowiu, chociaż w pociągu pilnowali nas jak więźniów.

Wyruszyliśmy w dwunastu, idąc szybko, żeby się rozgrzać. Nasz ekwipunek i sześciodniowe racje ciążyły nam z każdą minutą coraz bardziej. Moje płócienne buty na śliskiej gumowej podeszwie nie nadawały się do marszu po śniegu i lodzie, niebawem więc każdy krok odzywał się grzmiącym echem w mojej obolałej szczęce. Ale ktoś zaczął śpiewać smętną ludową piosenkę, na wskroś rosyjską w swojej żalostnej nostalgii, i to uśmierzyło trochę zmęczenie i ból.

Zdumiał nas widok ogromnych, niezżętych pól pszenicy, a tu i ówdzie nawet stogów zebranego zboża przysypanych śniegiem. Napotkany chłop udzielił nam wyjaśnień: wszystkich zdrowych mężczyzn wcielono do wojska, konie zarekwirowano dla frontów, pozostały tylko „kobiety, dzieci i krowy”, toteż większej części plonów nie można było zwieźć.

Po jakimś czasie dogoniły nas chłopskie sanie. Tylko dziesięciu z nas zdołało się do nich wcisnąć, a ja uparłem się, że jako partyjny komisarz pójdę piechotą. Trzydziestokilkuletni Dmitrij, z którym przyjaźniłem się w Bolszewie, zgodził się dotrzymać mi towarzystwa. Był szary, ponury dzień, a krajobraz, choć zróżnicowany, ginał pod jednostajnym całunem śniegu. Tylko z rzadka warkocz dymu lub odległe szczekanie psa zakłócały nasze poczucie izolacji od zamieszkanego świata.

Brnąc ciężko przez gęstniejący mrok, rozmawialiśmy o wojnie. Już w Bolszewie domyśliłem się, że Dmitrij jest tak samo rozczarowany politycznie jak ja.

- Powtarzam sobie codziennie, Wiktorze Andriejewiczu, że poszedłem na tę wojnę dla Rosji - dla dobrych, prostych, serdecznych ludzi rosyjskich - nie dla Stalina. Inaczej nie zniósłbym tego, przysięgam. Jeśli tam, na Kremlu, nie siedzą kompletni idioci, muszą to rozumieć. Powiedz mi, czy oni naprawdę myślą, że nasi chłopcy są gotowi umierać za Stalina i Berię i resztę tych sadystów z NKWD?

- To nie jest czas na rozpamiętywanie urazów - powiedziałem. - Czy nam się to podoba, czy nie, partia, NKWD i nasz kraj stanowią teraz jedność. Dopóki nie wyrzucimy nazistów, nie da się oddzielić jednego od drugiego. Czytałeś *Wojnę i pokój* Tołstoja, Dmitrij?

- Oczywiście.

- No cóż, czy sądzisz, że nasi pańszczyźniani chłopci, idący prosto pod lufy napoleońskich armat, mieli powody, żeby kochać swojego ojczulka w Petersburgu? A mimo to walczyli, ginęli i zwyciężyli. My, w naszych czasach, też nie musimy kochać naszego ojczulka na Kremlu, żeby walczyć, ginąć i zwyciężyć.

- Ale Stalin nie dba o życie Rosjan...

- Tak, byłby to ponury żart, gdyby historia przypisała Stalinowi kolejne rosyjskie zwycięstwo.

Po zmroku dotarliśmy do cichej, przysypanej śniegiem wioski. Zbyt zmęczeni, żeby przebierać, zapukaliśmy do pierwszego domu na naszej drodze. Drzwi otworzył brodaty chłop. Z wielkim zakłopotaniem, jakby się bał, iż posądzimy go o niegościnnność, wyjaśnił, że ma chore dzieci. Skierował nas do domu kawałek dalej, gdzie, jak nas zapewnił, będzie nam wygodnie i dostaniemy dobrą kolację.

Nie przesadzał. Dwuizbowy dom był ciepły i przytulny, z kolorowymi zasłonami w oknach i doniczkowymi kwiatami na parapetach. Wychudzony, schludnie ubrany gospodarz i jego siwowłosa żona przyjęli nas tak serdecznie, jakby od dawna czekali na nasze przybycie. Reszta rodziny składała się z dwudziestodwuletniego syna, drugiego, może piętnastoletniego, i nieśmiałej dziesięcioletniej córki z warkoczykami. Wszyscy pospieszyli zająć się gośćmi. Kiedy starszy chłopak zdjął marynarkę, zobaczyliśmy, że nie ma lewej ręki.

- Wania został ranny pod Kijowem - westchnął ojciec.

Młodsze dzieci pomogły nam zdjąć oblodzone buty, a w tym czasie ich rodzice zagrzali wody i przynieśli wielką drewnianą balię. Wzięliśmy pierwszą od trzech tygodni kąpiel. Kiedy szorowaliśmy się nawzajem, widzieliśmy przez niedomknięte drzwi, jak kobieta kładzie świeży obrus, a jej syn czyści nasze mundury; dziewczynka nakrywała do kolacji.

- To właśnie mam na myśli - szepnął Dmitrij. - To są ludzie, za których jestem gotów zginąć, walcząc z Niemcami.

Kapuśniak, chociaż bez mięsa, smakował jak nektar po długim marszu, a kukurydziane placki z miodem jak ambrozja. Ale chleb był pokrojony cienko, co zawsze jest symptomem ciężkich czasów w chłopskim gospodarstwie. Dmitrij i ja wyjęliśmy swój czarny chleb, jak również wędzoną rybę, herbatę i cukier. Nasza gospodyni przyniosła ogórki i paprykę, a jej mąż, żeby nie być gorszym, wyjął butelkę wódki. Była to uczta w rodzaju tych, które na długo pozostają w pamięci.

- Niech pomór spali Hitlera, Boże odpuść - powiedziała nasza gospodyni, wznosząc kieliszek.

- Ale dlaczego „Boże odpuść”, matko? - spytałem.

- Och, mówię tak z przyzwyczajenia.

- Nie, matko, pomór to za mało na tego sukinsyna - powiedział stary człowiek. - Ja wziąłbym go żywcem, wsadził do klatki i obwoził po całym świecie. Niech się ludzie napatrzą na tego Heroda. - Przysunął swoje krzesło bliżej stołu i zwrócił się do gości. - Ciekawi mnie jedno: o co wy, dobrzy rosyjscy oficerowie, naprawdę walczyacie?

- Za ojczyznę, za Rosję, oczywiście - odparł Dmitrij.

- Za ojczyznę, za Rosję, oczywiście... Za to posłałbym swojego jednorękiego syna jeszcze raz na front i sam bym poszedł. Ale za jaką Rosję? Za tę, która zabiera nam ziemię i głodzi nasze dzieci - czy za nową?

- Nie rozumiem, ojczulku - powiedziałem, żeby go zachęcić do większej szczerości.

- A co tu jest do rozumienia? Sam byłem na froncie podczas pierwszej wojny z Niemcami. Walczyłem, byłem ranny, wszy zżerały mnie żywcem. Potem zaczęła się rewolucja. Wolność, powiadali. Ziemia dla chłopów, powiadali. Wszyscy krzyčili i mówili nam, że jesteśmy solą tej ziemi, bo mamy karabiny w rękach. Minęły dwadzieścia dwa lata, a tu nie ma ani wolności, ani ziemi - tylko nowa wojna. Teraz znowu nam schlebiają i mówią piękne rzeczy...

- Ale tym razem to jest nasza władza - wtrącił Wania - nie carat.

Ojciec zmroził go spojrzeniem. Było jasne, kto rządzi w tym domu.

- Nie przerywaj mi pustymi frazesami, Waniu. Milczałem przez wiele lat. Nasza władza! A kto zabierał nam chleb, groźbami i przemocą? Nasza władza! Kto zabrał co piątą rodzinę z naszej wioski i wywiózł ją na Syberię w czasie kolektywizacji? Chcę wiedzieć tylko jedno: jesteśmy ludźmi czy nie jesteśmy? Chcę żyć tak jak mi się podoba, a nie tak jak mi każą!

- Dobrze, ojczulku, macie same pretensje - powiedziałem. - A jak wam się żyło przed rewolucją?

- Tysiąc razy lepiej - odciął się. - Co prawda, to prawda. Miałem sześć dziesięcin ziemi, dobrego konia, klaczkę, krowę, cielaka, świnie, gęsi. Hodowałem pszczoły. Byliśmy biedni, uważasz, ale zawsze mieliśmy co jeść i co na grzbiet włożyć. No więc pytam was, za jaką Rosję Wania stracił rękę? Za jaką Rosję wy dwaj, piękni, inteligentni ludzie, idziecie zabijać i dać się zabić, Boże uchovej? Jeśli za tę samą Rosję z ostatnich lat, to niedobrze. Jestem starym człowiekiem i za dużo gadam, ale dobrze jest dla odmiany powiedzieć parę słów prawdy.

Jednoręki syn, który uważnie się przysłuchiwał, powiedział:

- Mówisz o przeszłości, tato, jakbyś chciał, żeby wrócili obszarnicy i znowu wyzyskiwali chłopów.

- To nie tak, Waniu. Ty jesteś komsomolcem. Nic nie wiesz o przeszłości. Nie chcę, żeby wrócili obszarnicy, ale nie chcę też pracować za psie pieniądze dla kołchozu. Dlaczego musimy mieć na karku nowych panów? Te kołchozy, które dobrze pracują, powinny zostać, ale nikogo nie powinni zmuszać, żeby się zapisał. To nie w porządku.

Rozmawialiśmy długo. Nasz gospodarz chciał tylko, co bez przerwy powtarzał, „żyć jak człowiek”. Był chory i zmęczony ciągłą niepewnością. Nasza gospodyni, która się nie wtrącała, jak przystoi dobrej żonie, w końcu nie wytrzymała.

- Dlaczego zabrali nam cerkwie i zrobili z nich magazyny? - zawołała.

- Nie wiem, matko - powiedział Dmitrij - ale myślę, że to się więcej nie powtórzy.

- Gdybym była tego pewna, modliłabym się za Stalina sześć razy dziennie. Powiedz mi, dlaczego on chce nawracać wszystkich na swoją religię?

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, zwłaszcza jej starszy syn.

- Cicho, Waniu - upomniał go surowo ojciec. - Twoja matka ma więcej rozumu od ciebie. Gdyby nie modliła się za ciebie codziennie, straciłbyś nie rękę, ale głowę. Może twoi komsomolcy modlili się za ciebie.

- Ojczulku - powiedział Dmitrij - przeszłość jest przeszłością. Nie można cofnąć zegara.

- Nie dbam o przeszłość, chłopcy. Nie potrzebuję cara. Ale nie potrzebuję też nowych carów. Chcę żyć jak wolny człowiek, pracować na własnej ziemi i modlić się do własnego Boga. Jak dla mnie, wasz radziecki bóg chowa się za głęboko na Kremlu, strzeże go zbyt wiele zamków i zbyt wielu strażników.

Tej nocy spaliśmy twardo i spokojnie jak we własnych łóżkach. Śniło mi się, że jestem z powrotem w Aleksandrowsku, pływam po Dnieprze, słucham opowieści dziadka o Turkach i Kurdach. Rankiem czekało na nas gorące śniadanie. Stara kobieta, jak się okazało, przez całą noc prała, czyściła i cerowała nasze ubrania. Nasze koszule i chustki do nosa zostały uprane i wyprasowane, a moje skarpetki zacerowane. Byłem wzruszony do łez tą troskliwością. Uściskałem kobietę, pogłaskałem ją po siwych włosach i pocałowałem w oba policzki.

- Dziękuję wam, matko - powiedziałem. - Żyćcie długo i szczęśliwie.

Dmitrij był tak samo wdzięczny. Nasz gospodarz, schodząc z pieca, zawołał z udawanym gniewem:

- Wolnego, hultaje, nie dokazujcie za bardzo z moją starą!

Próbowaliśmy dać naszym gospodarzom trochę pieniędzy, ale nie chcieli o tym słyszeć. Zgodzili się przyjąć kostkę mydła i szpulkę nici. Cała rodzina przyszła się z nami pożegnać. Zupełnie jakbyśmy opuszczali własny dom.

- Nie będzie mi żal zginąć na froncie za takich ludzi jak wy - powiedział Dmitrij z uczuciem i ucałował po kolei każdego z nowych przyjaciół. - Jesteście częścią tego, co nazywają Rosją, i to bardzo dobrą.

Zajęliśmy miejsce w saniach, które przygotował Wania, i wyruszyliśmy. Stara kobieta wciąż czyniła nad nami znak krzyża prawą ręką, a lewą ocierała łzy, kiedy sanie minęły zakręt i zniknęła nam z oczu. Mniej więcej dziesięć kilometrów za wioską przekonaliśmy Wanię, żeby wrócił. Daliśmy mu odznakę saperów z sierpem i młotem, w którą wpatrywał się od naszego przybycia, i poprosiliśmy, żeby jeszcze raz podziękował w naszym imieniu rodzicom.

Późnym wieczorem trzeciego dnia dotarliśmy do małego miasteczka Krasnyj Bor nad Kamą. Przed rewolucją to miejsce nazywano Pjanym

Borem, „pijanym lasem”, powiedziała nam rodzina rybaka, u której zatrzymaliśmy się na noc, teraz jest to Krasnyj Bor, „czerwony las”, ale wszystko jedno, pijany czy czerwony, życie nie stało się łżejsze. Dmitrij mężnie znosił ciężką podróż, ale był w bardzo złym stanie. Ja miałem odmrożone palce, stopy całe w pęcherzach i wszystko mnie bolało. Ból w zainfekowanej szczęce był nie do zniesienia.

W nocy nie zmrzyłem oka. Rankiem poszedłem w zamieci do rejonowej lecznicy, mniej więcej pięć kilometrów za Krasnym Borem. Mimo dumnej nazwy lecznica okazała się kompleksem drewnianych domków o zaniedbanym wyglądzie, a kierowała nią lekarka w średnim wieku. Ponieważ sama pochodziła z Moskwy – przypuszczam, że została zesłana do tego regionu – była uszczęśliwiona na widok przybysza ze stolicy i spragniona każdego strzępka wiadomości. Jednocześnie bardzo się zmartwiła, ponieważ niewiele mogła dla mnie zrobić.

- Macie zapalenie okostnej – powiedziała po dokładnym badaniu. – Infekcja z zęba objęła cały wasz organizm. Powinniście jak najszybciej dotrzeć do Menzelinska i natychmiast zgłosić się do szpitala na leczenie. Tutaj jestem bezradna.

- Ale możecie wyrwać zainfekowany ząb – powiedziałem.

- Nie, nie mam środków znieczulających. Ampułki, które tutaj znalazłam, mają przynajmniej dziesięć lat i z całą pewnością są przeterminowane. Poza tym nie mam igieł do strzykawek.

Ublagałem ją, żeby mimo to wyrwała ząb. Zrobiła to, przecinając zainfekowaną tkankę i pracując prymitywnymi starożytnymi kleszczami. Nie znajduję słów, żeby opisać te piętnaście minut bezgranicznych cierpień. Później odpoczywałem na kanapie przez godzinę i, wzmocniony łykiem wódki, poszedłem z powrotem do Krasnego Boru. Bez uprzykrzonego zęba ból wydawał się trochę mniej dotkliwy. Dmitrij kazał mi odpoczywać przez resztę dnia i kolejną noc, a następnego dnia, piątego od opuszczenia pociągu, przekroczyliśmy zamarzną Kameę. Natknęliśmy się na kilka innych grup z naszej jednostki i szóstego dnia dotarliśmy do Menzelinska.

Było to typowe tatarskie miasto, z labiryntem wąskich uliczek i typowym orientальnym zapachem. Zakwaterowano nas w starej szkole, bez światła i wody. Dostaliśmy kilka żelaznych piecyków, ale dawały one niewiele ciepła. Praktycznie wszyscy nasi ludzie mieli odmrożone, pokryte pęcherzami, a w kilku przypadkach krwawiące stopy. Byłem zbyt zmęczony, żeby się ruszać, ale Dmitrij w jakiś sposób zdobył dla mnie materac i wypchaną słomą poduszkę. Moje ciało, udręczone bólem, zdawało się puchnąć do gigantycznych rozmiarów. Słabo, przez mgłę cierpienia, słyszałem, jak koledzy wokół mnie przeklinają wyżywienie, swoje kwatery, swój żalony los. Perspektywa życia w Menzelinsku przygnębiała wszystkich. Dowódcy, przynajmniej raz, okazali się na tyle

wyrozumieli, by nie dokonywać aresztowań za skargi, i dyskretnie trzymali się na uboczu.

Dwa dni leżałem w cierpieniu na swoim sienniku. Trzeciego dnia przeniesiono mnie do menzelinskiego szpitala wojskowego. Miałem wysoką gorączkę. Potem fala bólu odpłynęła i zacząłem dostrzegać otoczenie. Lekarka, o miłych rysach i łagodnych oczach, mierzyła mi temperaturę.

- Wszystko będzie dobrze, towarzyszu Krawczenko - uśmiechnęła się krzepiąco. - Jak tylko poczujecie się lepiej, musicie wrócić do Moskwy na leczenie. A na razie postaramy się, żeby było wam tu wygodnie.

Powoli odzyskiwałem siły. Dmitrij, Numidow i inni przynosili mi różne przysmaki. Szpital oferował pacjentom tylko kromkę czarnego, kleistego chleba, herbatę bez cukru i kleik dwa razy dziennie. Spaliśmy na siennikach pod sztywnymi, wojskowymi kocami. Ale lekarka kierująca moim oddziałem, Jewgienia Władimirowna, wynagradzała swoją uprzejmością i wyrozumiałością przygnębiające warunki szpitalne. Na moim oddziale stanowiliśmy dziwnie dobraną grupę - był tam stary żołnierz chłopskiego pochodzenia, komisarz polityczny w randze pułkownika, kilku szeregowców - i zabijaliśmy czas, kłócąc się na każdy możliwy temat. Ale łączyło nas uwielbienie dla lekarki.

Wszyscy byliśmy w bardzo podłym nastroju - był grudzień i los Moskwy zdawał się wisieć na włosku. W szpitalu nie mieliśmy gazet ani radia. Ale komisarz i ja dostawaliśmy wiadomości od przyjaciół, którzy nas odwiedzali; nasz oddział stał się czymś w rodzaju centrum informacyjnego dla całego szpitala.

Pewnej nocy niedługo przed dwunastą - spędziłem już w szpitalu kilka tygodni - sanitariusz przyniósł na nasz oddział zapaloną lampę. Kilka minut później weszła lekarka. Była nie tylko w cywilnym stroju, ale ubrana z nutą elegancji. Ciemne włosy, zwykle upięte na karku w ciasny kok, ułożyła w modną fryzurę. Pacjenci wsparli się na łokciach i patrzyli ze zdumieniem. Nawet ja wyczułem woń perfum, kiedy stawiała dla nas talerze z mięsnymi pasztecikami i wazę kompotu owocowego.

- Szczęśliwego Nowego Roku! Szczęśliwego Nowego Roku! - zawołała. - Przyszło mi do głowy, że chociaż raz chcielibyście zobaczyć kobietę ubraną tak, jak powinna być ubrana kobieta! To znaczy, ponieważ mamy Nowy Rok... może wam to przypomni o domu.

- I jest to cudowny prezent noworoczny dla moich oczu - powiedział komisarz cicho, z głębokim uczuciem.

- Moja stara na wsi nigdy się tak nie ubiera - dodał stary żołnierz - ale dziękuję wam, Jewgienio Władimirowno, i życzę wam szczęśliwego Nowego Roku!

Złożywszy każdemu z nas indywidualnie życzenia i rozdzielwszy jedzenie tym, którzy mogli jeść, lekarka poszła na sąsiedni oddział.

Obraz tej rosyjskiej kobiety, przynoszącej podarunek w postaci swojej kobiecości trawionym tęsknotą za domem żołnierzom na różnych salach tego nędznego, źle wyposażonego, słabo zaopatrzonego szpitala w Tatarii u progu 1942 roku, pozostanie ze mną na zawsze.

Pod koniec stycznia komisja wojskowej służby medycznej zdecydowała o moim powrocie do Moskwy na dalsze leczenie. W stolicy nie umieszczono mnie w szpitalu, lecz kazano mi zgłaszać się codziennie do kliniki. Posiłki jadałem w centralnym klubie oficerskim Armii Czerwonej. Pod czułą opieką Iriny szybko wracałem do zdrowia. Moja szczeka się zagoiła, stan zapalny minął. Wypisany z kliniki z zaleceniem, że powinienem odpocząć, aby nabrać sił, zwróciłem się do odpowiedniej komisji po dalsze rozkazy. Po rutynowym dwuminutowym badaniu lekarskim uznano mnie za zdolnego do służby. Moje nowe papiery świadczyły, że zostanę wysłany na front.

Pożegnałem się z Iriną w pełni świadom, że nie zobaczę jej przez dłuższy czas, jeśli w ogóle. Ale kiedy zameldowałem się w Ludowym Komisariacie Obrony, poinformowano mnie, że właśnie przyszły nowe rozkazy. Ludzie z wyższym wykształceniem technicznym zostaną zwolnieni do ważnej pracy przemysłowej na froncie wewnętrznym. Był to sensowny rozkaz, lecz mimo to czułem, że pozbawiono mnie szansy, abym zaryzykował życie – dla Jewgienii Władimirowny, dla chłopów, dla rybaków, robotników, kolegów inżynierów z tych ostatnich miesięcy. To byli moi rodacy, mój kraj, w sensie wykraczającym poza politykę czy ideologię.

4

Panowała najgorsza zima w Moskwie od czasu, gdy sto trzydzieści lat wcześniej Napoleon spoglądał na jej wypalone zgliszcza. Najeźdźcy nie zdołali zająć miasta. Zaskoczeni na zamarzniętych rosyjskich stepach jak muchy na lepie, cierpieli i umierali tysiącami. Nawet na zacofanych, ubogich Bałkanach Niemcy mogli żywić się w jakimś stopniu na koszt kraju, ale na spalonej rosyjskiej ziemi już nie było czego grabić. Kłopoty oblegających stanowiły jednak niewielką pociechę dla obłożonych.

Zaciemniona stolica, do której wróciłem, była głodna, zmarznięta, oszpecona przez nieprzyjacielskie bomby. Wydawała się pozbawiona ducha bojowego i niemal zbyt wyczerpana, aby rozpaczać. Ludzie kulili się wśród marmurowego przepychu metra, w piwnicach i zaimprovizowanych schronach przeciwlotniczych, dopóki nie zawyły syreny odwołujące alarm. Wlekli się z mroźnych domów do wielogodzinnej pracy w nieogrzewanych fabrykach i urzędach. Miejskie zakłady przemysłowe zostały częściowo ewakuowane. Te, które pozostały, pracowały dzień i noc na najwyższych obrotach. Strata

bogatych rejonów przemysłowych Ukrainy i zachodniej Rosji oraz przeciążony system komunikacyjny zwiększały trudności z uzyskaniem surowców do produkcji. Mimo to stolica przekształcała się w potężny arsenał pracujący bez wytchnienia na potrzeby frontu.

Oficjalne racje ledwo wystarczały, aby przeżyć, ale sklepy rzadko mogły sprostać tym żalosnym przydziałom. Głód i chłód stały się większym zagrożeniem niż Luftwaffe. Wojna trwała zaledwie od ośmiu czy dziewięciu miesięcy, ale mieszkańcy stolicy wielkiego kraju już jedli chleb pieczony częściowo z mąki ziemniaczanej; zabijali i zjadali swoje psy i koty, a nawet chwyтали w sidła wrony. Cóż to za wymowny komentarz do przygotowań wojennych!

Zupełnie jak w najgorszych dniach okresu rewolucyjnego, moskwianie rąbali meble i wyrywali deski z drewnianych parkanów w rozpaczliwym poszukiwaniu odrobiny ciepła. Wskaźnik śmiertelności w mieście wzrastał, a trybunały wojskowe i NKWD jeszcze go powiększały panikarskim rozstrzeliwaniem prawdziwych i wymaginionych panikarzy i zdrajców.

Irina straciła na wadze. Ponieważ dostawała jeden skąpy posiłek w biurze, gdzie pracowała, dzieliła się swoimi racjami z bardziej potrzebującymi przyjaciółmi. Nasze mieszkanie nie było ogrzewane, chodziliśmy po domu w paltach, wełnianych szalikach, a nawet w rękawiczkach. Brakowało światła, a często i wody. Czasami, na kilka dni z rzędu, zamarzały rury w jedynej toalecie.

Życie było ciężkie i smutne. Moskwa płaciła za ćwierć stulecia biurokratycznego bałaganu i politycznego despotyzmu.

Połowa wyposażenia Gławtrubostalu została ewakuowana; druga połowa pracowała dzień i noc, produkując miny i bomby. Ale personelu nie brakowało. Ani Manturow, ani Jegorow nie zachęcali mnie do powrotu. Zgłosiłem się do komitetu dzielnicowego partii i za jego wstawiennictwem otrzymałem stanowisko głównego inżyniera Promtriestu, zjednoczenia skupiającego dziewięć fabryk produkujących w większości zaopatrzenie dla frontu.

Ucieszyłem się z tego przydziału mimo niezbyt zachęcających warunków pracy, ponieważ dawał mi poczucie bezpośredniego udziału w wojnie. Co nie mniej istotne, jako odpowiedzialny pracownik mogłem jadać w specjalnej restauracji zarezerwowanej dla członków komitetu dzielnicowego. Niektóre zakłady pod moim technicznym nadzorem produkowały granaty ręczne, miny i różne rodzaje amunicji. Kilka specjalizowało się w naprawianiu sprzętu technicznego. Nieustannie wykonywałem pilne zamówienia wojskowe, nie oszczędzając ani siebie, ani swojego personelu. Naprawdę czułem i starałem się wpoić wszystkim wokół siebie poczucie, że jesteśmy „pod ogniem”.

Naszym robotnikom doskwierał głód i świadomość, że ich rodziny

cierpią. Mimo to pracowali wytrwale i z oddaniem od dziesięciu do szesnastu godzin dziennie. Często, kiedy chodziło o pilne zamówienie, pozostawali w fabryce przez kilka dni bez przerwy, ucinając sobie krótką drzemkę na jej terenie. Zdumiewał mnie hart tych prostych ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci – chłopców i dziewcząt od dwunastu do piętnastu lat, wykonujących pracę dorosłych – kiedy patrzyłem, jak pracują w jednym warsztacie, podczas gdy sąsiedni warsztat zamieniał się w ogniste piekło po trafieniu bombą. Wiedziałem, że ci prości ludzie są prawdziwymi bohaterami i prawdziwą siłą naszej ojczyzny. Starali się zapewnić wszelką możliwą pomoc swoim synom, braciom i ojcom na froncie. Świat zewnętrzny, w swojej ślepcie, może przypisać całą zasługę radzieckiej dyktaturze, ale pracę wykonywały ofiary tej dyktatury, często na przekór jej głupocie.

Mój nowy przydział zapewnił mi bliski i niemal codzienny kontakt z wyższymi wojskowymi i dygnitarzami rządowymi zajmującymi się problemami zaopatrzenia wojennego. Często miałem okazję rozmawiać bezpośrednio z wysokimi urzędnikami Sownarkomu – Rady Komisarzy Ludowych – który, czerpiąc swoją władzę od Rady Najwyższej, był w teorii głównym organem wykonawczym i kontrolnym Państwowego Komitetu Obrony. Po raz pierwszy w swojej karierze uczestniczyłem w kilku ważnych naradach produkcyjnych w obrębie murów Kremla.

Pewnego dnia znalazłem na swoim biurku wiadomość, żebym niezwłocznie zadzwonił pod podany numer. Zadzwoniłem i przedstawiłem się.

- Och, tak, towarzyszu Krawczenko, przyjdźcie, proszę, do Sownarkomu RFSRR punktualnie o dwunastej. Przepustka będzie na was czekała.

RFSRR – Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka – jest największą z „republik” składowych ZSRR, większą niż wszystkie pozostałe razem wzięte. Tak zwana autonomia republik jest w najlepszym razie marną fikcją; mają daleko mniejszą niezależność niż stany w Stanach Zjednoczonych. W zasadzie są jednostkami administracyjnymi utworzonymi po to, aby ułatwić rządzenie gigantycznym państwem, ale całkowicie podporządkowanymi władzy centralnej.

W przypadku RFSRR trudno mówić nawet o fikcji. Jej Sownarkom stanowi niewiele więcej niż przedłużenie Wszechzwiązkowego Sownarkomu. Jej stolicą jest Moskwa, jej działania wiążą się ściśle z działaniami całego reżimu. Nie ma własnego NKWD, w odróżnieniu od innych republik radzieckich, ani własnego Komitetu Centralnego partii. RFSRR jest zatem w praktyce, chociaż nie w teorii, tożsama z ZSRR. Stanowi dominującą jednostkę polityczną, gdzie skupia się potęga reżimu. Zwykły obywatel radziecki nie wprowadza rozróżnienia

między głównym Sownarkomem a pomocniczym Sownarkomem RFSRR, a ja miałem się przekonać, że w praktyce to powszechne przekonanie jest słuszne.

Bywałem w tym budynku służbowo wiele razy i znałem nadzwyczajne środki bezpieczeństwa, jakie się podejmuje, aby chronić pracujących tam urzędników. Kiedy okazałem swój paszport i otrzymałem przepustkę, prowadzono mnie od wartownika do wartownika, aż w końcu znalazłem się w szerokim, wyciszonym, wyłożonym dywanem korytarzu z dębowymi drzwiami po obu stronach. Przed niektórymi z tych okazałych drzwi stali funkcjonariusze NKWD w randze oficera. Nie domyślałem się w tym momencie, że niebawem jeden z tych gabinetów będzie mój i że ja też znajdę się wśród wybrańców pieczołowicie strzeżonych przed niewiadomymi niebezpieczeństwami.

Po krótkim oczekiwaniu w przedpokoju sekretarka wpuściła mnie do obszernego gabinetu towarzysza Andrieja Iwanowicza Utkina, wiceprzewodniczącego Sownarkomu RFSRR. Chociaż był człowiekiem ponadprzeciętnego wzrostu, silnie zbudowanym, z wystającym brzuchem i władczą prezencją, pomniejszał go ogromny fotel, w którym siedział, potężne biurko i wielki portret Stalina na ścianie za jego plecami.

Wskazał mi krzesło.

- No, towarzyszu Krawczenko, co tam u was?

- Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć, ponieważ nie mam pojęcia, po co mnie wezwaliście.

- Pytam tak ogólnie. Jak wasza praca, jak pomagacie partii i krajowi w prowadzeniu wojny?

Opowiedziałem mu o działalności mojego zjednoczenia i nakreśliłem niektóre problemy produkcyjne stojące przed dziewięcioma zakładami pod moim nadzorem. Kiedy mówiłem, zauważyłem wśród leżących przed Utkinem papierów kwestionariusz z dołączoną fotografią, który musiałem wypełnić, obejmując stanowisko głównego inżyniera Promtriestu.

- Rozmawiacie z rządem - przerwał mi w pewnym momencie towarzysz Utkin. - Nie może być żadnych przeinaczeń, żadnego zatajania faktów i opinii.

- Oczywiście, oczywiście.

Zadawał pytania, a ja wygłosiłem serię przemówień. W warunkach radzieckich wszyscy przyzwyczailiśmy się przemawiać w ten sposób. Mówiłem prawie bezosobowo, jakbym opowiadał o znajomym, którego sprawami po prostu się interesuję. Po mniej więcej trzech godzinach Utkin zadarł głowę, popatrzył na mnie wąskimi, przebiegłymi oczami i zadał najważniejsze pytanie:

- Jak wam by się podobała praca dla Sownarkomu?

- To zależy od rodzaju pracy.

- No cóż, potrzebujemy inżyniera, członka partii, żeby pokierował wydziałem wojskowego sprzętu technicznego. Myślę, że się nadajecie na to stanowisko. To nie znaczy, że rozstrzygniemy tę kwestię dzisiaj. Po prostu potrzebuję waszej zgody, zanim podejmę wstępne kroki.

- Nie jestem pewien, czy sobie poradzę z tak ważną pracą - odparłem.

- A ja myślę, że wręcz przeciwnie, poradzicie sobie bardzo dobrze. Macie niezbędne doświadczenie, a my przyglądaliśmy się waszej pracy w zjednoczeniu.

- Jeśli taka jest wasza opinia, zgadzam się, oczywiście.

- Wobec tego do widzenia, chwilowo. Zgłóście się do działu personalnego piętro niżej.

Wypełniłem szereg formularzy. Po kilku dniach kazano mi się zameldować u przełożonego Utkina, przewodniczącego Sownarkomu RFSRR i jednego z najpotężniejszych ludzi w otoczeniu Stalina: Konstantina Pamfiłowa. Miał znacznie większy gabinet, większy fotel tronowy i większy portret Stalina niż jego zastępca. Meble i wyposażenie też były bardziej luksusowe.

Pamfiłow był wysokim, czterdziestokilkuletnim mężczyzną imponującej postury. Jego głowa, gładko wygolona, błyszczała jak kula bilardowa. Miał na sobie zagraniczny garnitur. Stał za swoim ogromnym biurkiem, z jedną nogą na fotelu, wspierając się na łokciach. W następnych miesiącach dowiedziałem się, że to jego normalna poza podczas pracy, nawet kiedy był sam. Kiedy wszedłem, u Pamfiłowa był towarzysz Utkin, który w obecności szefa wydawał się jeszcze mniejszy.

Znów odpowiadałem na pytania. Na biurku leżały moje kwestionariusze i raporty na mój temat.

- Towarzyszu Krawczenko - powiedział w końcu przewodniczący Sownarkomu - zajmowaliście odpowiedzialne stanowiska. Ale praca dla rządu to zupełnie inna sprawa. Wszyscy jesteśmy sługami partii, a praca w rządzie to przede wszystkim praca partyjna. To partia rządzi krajem.

Zapewniłem go potulnie, że to rozumiem.

- Towarzyszu Utkin - Pamfiłow zwrócił się do swojego zastępcy - czy nadeszła odpowiedź?

- Jeszcze nie, towarzyszu Pamfiłow.

Pamfiłow podniósł jedną ze słuchawek w lesie telefonów na małym stoliku za swoimi plecami i wykręcił numer.

- Mówi Pamfiłow. Co ze sprawą Krawczenki?

Czekał dwie albo trzy minuty. Cisza w pokoju była przytłaczająca. Najwyraźniej po drugiej stronie ktoś coś sprawdzał.

- Tak... tak... - powiedział wreszcie Pamfiłow. - Nie ma zastrzeżeń? Bardzo dobrze!

Rzucił słuchawkę. Nie miałem wątpliwości, że zadzwonił do siódmego

wydziału NKWD, bez którego zgody nie przydziela się żadnych ważnych stanowisk rządowych. Przez przypadek natknąłem się na oficjalny dokument NKWD ze zgodą na moje przyjęcie do pracy w Sownarkomie. Chociaż partia kieruje krajem i jego rządem, żadna ważna nominacja na stanowisko w partii lub rządzie nie może zostać zatwierdzona bez dochodzenia i aprobaty siódmego wydziału tajnej policji.

- W porządku, towarzyszu Krawczenko - oznajmił Pamfiłow. - Możecie już iść. Jak tylko wszystko będzie gotowe, powiadomimy was.

Niebawem Komitet Centralny partii zatwierdził mnie na nowym stanowisku. W ciągu kilku dni zainstalowałem się w gabinecie sąsiadującym z gabinetem Utkina, wcześniej jednak musiałem złożyć w wydziale specjalnym Sownarkomu pisemne zobowiązanie, że nigdy, pod żadnym pozorem nie ujawnię niczego na temat pracy tej instytucji. Stalin spoglądający na mnie zza moich pleców był oczywiście znacznie mniejszy niż w sąsiednim gabinecie. Specjalny oficer NKWD strzegł mojej nowo wyświęconej osoby przed masywnymi drzwiami w wyciszonym korytarzu, a w przedpokoju zasiadły dwie uniżone sekretarki. Dostałem specjalną czerwoną legitymację ze złotymi literami - magiczną książeczkę, symbol władzy.

Było to na początku maja 1942 roku, właśnie w momencie, gdy rozpoczęła się nowa niemiecka ofensywa. Miała pochłonąć to, co pozostało z mojej rodzinnej Ukrainy, wedrzeć się w głąb Kaukazu i dotrzeć do Wołgi w miejscu nazywanym Stalingradem.

ROZDZIAŁ XXIV

Kreml podczas wojny

Rosjanie mają specjalne słowo włast' oznaczające nie tylko rząd, ale też znacznie więcej: Stalina, Politbiuro, tajną policję, ulubieńców Stalina, czy to na oficjalnych stanowiskach, czy dworzan bez tytułów. Co więcej, w ustach przeciętnego obywatela to słowo ma groźne niuanse i podteksty, oznaczające „naszych panów” i sugerujące niezmierny dystans dzielący ich od zwykłych ludzi.

W Sownarkomie zasiadałem blisko wierzchołka władzy. Po raz pierwszy mogłem spoglądać na świat w dole z tego uprzywilejowanego miejsca. Mogłem obserwować (choć nie podzielać) przekonanie najwyższych władców, że są ulepieni z lepszej gliny, poruszają się w innym wymiarze ludzkiej egzystencji i są wyłączeni spod zwykłej moralności i sentymentów, które odrzucają jako „burżuazyjne uprzedzenia” i „zgniły liberalizm”.

Teraz mogłem zrozumieć samozadowolenie, z jakim ci ludzie wykorzystują ludzkie życie – zmieniając je, szafując nim, niszcząc je – jako zwykły surowiec dla swoich fabryk, eksperymentów i błędów. Nagle znalazłem się wśród ludzi, którzy mogą jeść wykwinicie i do syta na oczach głodnych mas nie tylko z czystym sumieniem, ale z poczuciem cnoty, jakby spełniali swój obowiązek wobec historii.

Na szczycie naszego Sownarkomu stał Konstantin Pamfilow, człowiek znajdujący się tak blisko wewnętrznego kręgu, że kiedy umarł rok po moim przyjęciu do służby, jego prochy spoczęły pod kremłowskim murem na placu Czerwonym. Jego zastępcy, Andriejowi Utkinowi, podlegało pięć potężnych wydziałów, z których jednym kierowałem ja. Znajdowałem się więc zaledwie dwa szczeble od wierzchołka. Mój wydział był podzielony na kilka wyspecjalizowanych sekcji kierowanych przez moich zastępców.

Opisując swoje krótkie wyniesienie, nie chełpię się, oczywiście. Wyniósł mnie czyjś kaprys. Mogłem zostać zepchnięty jednym kiwnięciem palca przez stojących wyżej ode mnie, którzy z kolei mogli zostać w każdej chwili strąceni w otchłań przez swoich zwierzchników. Wiele razy widziałem, jak Pamfilow lub Utkin drżą w obecności jakiegoś członka Politbiura lub dworskiego faworyta Gospodarza. Słyszałem, jak obrzuca się ich rynsztokowymi obelgami, niczym służących w niełasce.

W systemie dyktatorskim równowagę zapewnia połączenie nieograniczonej władzy i bezgranicznego strachu.

Ci z nas, którzy reprezentowali władzę w naszym Sownarkomie, łącznie może ze trzydziestu ludzi, byli oddzieleni od średniej warstwy urzędników i mas pracowników na wiele sposobów. Mieliśmy własne piętro, gdzie panowała cisza jak w cerkwi, strzeżone przez funkcjonariuszy NKWD w randze oficerów. Nasze przestronne gabinety, z poczekalniami, były odizolowane podwójnymi drzwiami, co miało chronić przed podsłuchiwaniami. Dobre śniadania i kolacje podawano nam na biurko, za darmo, i mieliśmy własną stołówkę, gdzie jadalśmy inne posiłki po śmiesznie niskich cenach. Do gabinetu Pamfiłowa, Utkina i innych, równych im rangą, przychodzili fryzjerzy Sownarkomu, aby ich ogolić i namaścić na kolejny dzień. Do nas, niższych urzędników, fryzjerzy nie przychodzili, musieliśmy chodzić do nich. Ci niżej od nas w ogóle nie mieli prawa korzystać z usług etatowych fryzjerów. Te subtelne gradacje odzwierciedlały hierarchię władzy. Najcenniejsze przywileje zapewniała mała czerwona książeczka, która dawała mi prawo do korzystania z kremłowskiej lecznicy i kupowania medykamentów w kremłowskiej aptece, w czasie kiedy opieka lekarska i lekarstwa były prawie niedostępne dla ogółu.

Mieliśmy nawet własną toaletę, której wyłączności strzegli oficerowie w korytarzu. Była też oczywiście specjalna toaleta dla mniej ważnych urzędników, nie tak komfortowa i elegancka jak nasza.

Raz w Sownarkomie wybuchł skandal. Wydarzyło się to, kiedy nowy funkcjonariusz, nieobeznany jeszcze z różnicami klasowymi, znalazł się na naszym piętrze i musiał skorzystać z toalety. Gdy ktoś wychodził z marmurowego przybytku, wśliznął się tam niezauważony przez strażnika. Kiedy wyszedł, czekista, który dopuścił się zaniedbania, pojmał winowajcę, sprawdził jego dokumenty i, oczywiście, zameldował o świętokradztwie przełożonym. Kilku tajnych agentów przetrząsnęło toaletę w poszukiwaniu bomb zegarowych i innych psikusów. Potem przyszła sprzątaczką z wiadrami i szczotkami i wyszorowała sanktuarium, zmywając wszelkie ślady profanacji.

W prywatnym życiu mogłem być nikim, ale na swoim stanowisku w radzieckim aparacie byłem strzeżony jak wielki narodowy skarb. Żaden przybysz z zewnątrz nie mógł mnie odwiedzać bez mojego wyraźnego pozwolenia. Wypisywałem przepustkę dla petenta, przystawiając swoją osobistą pieczęć, a zanim została wydana, z posterunku przy bramie telefonowano do mnie z prośbą o potwierdzenie. Aby rozwiązać wszelkie wątpliwości, że telefonu nie odebrał ktoś podszywający się pod mnie, musiałem się identyfikować specjalnym hasłem, znanym tylko NKWD i mnie. Moje hasło brzmiało „Lena numer 17”. Po otrzymaniu przepustki gość przechodził przez

cztery kontrole, zanim dotarł do poczekalni przed moim gabinetem. Czasem byłem zawstydzony tym systemem kontroli wprowadzonym przez NKWD, zwłaszcza jeśli odwiedzał mnie stary i bliski przyjaciel.

Ta sama procedura dotyczyła oczywiście wszystkich obcych wkraczających w nasze progi. Nikt poniżej mojej rangi nie miał prawa wystawiać przepustek, bez względu na wagę sprawy. Gdy jeden z moich zastępców chciał się skonsultować z kimś z zewnątrz, musiał przedstawić problem mnie, a jeśli uznałem wizytę za konieczną, czyniłem niezbędne przygotowania.

To jeszcze nie wszystko. W naszej instytucji, podobnie jak na Kremlu, w Komitecie Centralnym partii i w kilku innych miejscach, był w modzie system znany jako *szachmaty* – „szachy”. Jego celem było udaremnienie ewentualnego spisku zdradzieckich strażników, którzy chcieliby wpuścić do budynku zabójcę, szpiega albo dywersanta. Oto, jak działał: w nieregularnych odstępach, czasem dziesięciominutowych, czasem dłuższych, przestawiano strażników z NKWD jak pionki na szachownicy. Przesuwano ich bez ostrzeżenia i zgodnie ze skomplikowanym wzorem na sygnał z centralnego punktu kontrolnego. Żaden strażnik nie mógł zatem wiedzieć na pewno, gdzie będzie stał o danej porze. W ten sposób zmowa czterech czy pięciu strażników, aby przepuścić niepowołanego gościa, stawała się niemożliwa.

W ramach dodatkowego zabezpieczenia tylko samochody szefów Sownarkomu mogły przejeżdżać przez jego bramę, niezależnie od rangi pasażerów. Nawet komisarze ludowi musieli parkować swoje limuzyny przed bramą. W ten sposób eliminowano zagrożenie, że ktoś wysadzi w powietrze nasz święty przybytek, podkładając bombę zegarową w samochodzie.

Prawdziwą oznaką i symbolem mojego dostojęstwa nie była jednak ani wzmożona czujność, ani własne hasło. Był nim element umeblowania, na pozór pospolity, ale obdarzony szczególnym znaczeniem w życiu radzieckich dygnitarzy. Był to sejf, do którego tylko ja sam znałem szyfr. No cóż, niezupełnie sam – dzieliłem ten sekret z NKWD. Istota tego symbolu władzy polegała na tym, iż żaden z moich przełożonych nie mógł naruszyć jego prywatności, co pozwalało mi ukrywać różne rzeczy nawet przed nimi. Tylko ludzie stojący odpowiednio wysoko w hierarchii, upoważnieni do tajemnic przed swoimi bezpośrednimi przełożonymi, mieli takie sejfy; i tylko jeden taki sejf w całym kraju – należący do Stalina – posiadał kombinację nieznaną NKWD.

Mój sejf stał w sposób rzucający się w oczy, złowieszczy, wśród eleganckich mebli. Nawet Utkin i Pamfilow, kiedy raczyli mnie odwiedzić, zamiast wzywać do swoich gabinetów, patrzyli na niego z ciekawością. Zastanawiali się, jakie notatki na temat ich rozporządzeń

i polecen ustnych mogę sporządzać i zamykać w sejfie.

Ale właśnie dlatego, że odgradzony od reszty świata, sejf stanowił ulubiony teren łowiecki tajnych i specjalnych wydziałów. Prawo do przeglądania moich papierów pod moją nieobecność było sprawą tak oczywistą, że ich pracownicy nawet nie zadawali sobie trudu, żeby zacierać ślady po przeszukaniu mojego sejfu i szuflad biurka. Jeśli ktoś chciał skutecznie zadenuncjować postawionych wyżej od siebie bez ryzyka składania donosu osobiście, wystarczyło, że spisał fakty „na własny użytek” i „schował” notatki w swoim prywatnym sejfie...

Najistotniejsze było to, że miałem teraz prawo występować w imieniu rządu. W obrębie kompetencji swojego wydziału kierowałem działalnością władz lokalnych i komisariatów za pośrednictwem RFSRR. Mogłem domagać się od komisarzy ludowych i ich zastępców, aby składali mi sprawozdania ze swojej pracy; mogłem wydawać im polecenia, a nawet ich strofować w sprawach związanych z moimi obowiązkami. Mogłem wzywać ich do swojego gabinetu o każdej porze dnia i nocy, natomiast oni nie mogli wzywać mnie.

Do mnie należała decyzja, czy współpracować z danym komisarzem, czy też go ignorować. Dowiadywałem się u źródła, co rząd myśli o różnych urzędnikach - kto zostanie nagrodzony, a komu „zetrze się głowę”. Niebawem poznałem rządowe i partyjne „kuchnie” i wiedziałem, co się w nich „gotuje”. Często komisarze ludowi, których gwiazda zdawała się świecić jasno w oczach zwykłych ludzi, wyglądali nijako, a nawet żałośnie w oczach wtajemniczonych, którzy znali prawdę.

Nigdy nie zapomnę swojego pierwszego dnia na nowym stanowisku. Zjawiłem się o dziesiątej rano. Moje sekretarki i zastępcy byli już na miejscach. Dokumenty wymagające mojej uwagi leżały schludnie na moim biurku. Przystanąłem w drzwiach, by popatrzeć na wielki, elegancki pokój, portrety przywódców na ścianach, ogromny portret Stalina bezpośrednio nad moim fotelem tronowym. Przypomniała mi się scena w obskurnym hotelu w Nikopolu, gdzie wrzuciłem do muszli klozetowej podarte strzępki fotografii Stalina. Ledwo usadowiłem się pod tym większym i bardziej artystycznym Stalinem, zadzwonił telefon. Był to funkcjonariusz NKWD, który spytał, uprzejmie, z szacunkiem, czy mógłbym mu poświęcić kilka minut. Po raz pierwszy w moim życiu przedstawiciel budzącej grozę instytucji prosił mnie o pozwolenie, żeby złożyć mi wizytę... Zgodziłem się go przyjąć.

- Chcę wam dać waszą osobistą pieczęć - wyjaśnił, wręczając mi gumową pieczętkę - do stemplowania przepustek dla gości i innych dokumentów. Proszę trzymać ją przez cały czas pod kluczem. A teraz pozwolę sobie zapoznać was z przepisami, ponieważ jesteście tu nowi.

- Proszę. Słucham.

Zaczął od wyjaśnienia przepisów dla petentów, poinformował mnie

o moim haśle i uprzedził, żebym zachował je w tajemnicy. Na przykład nigdy nie powinienem go wymawiać w obecności innych osób, bez względu na ich rangę. Potem rozwikłał tajemnicę licznych telefonów na moim biurku. Jeden należał do specjalnej linii rządowej łączącej z Kremlem, Komitetem Centralnym i głównymi komisariatami. Sprawy oficjalne należało załatwiać linią wewnętrzną, nigdy przez zwykły telefon.

- Poza tym, każdy skrawek papieru w Sownarkomie jest tajemnicą państwową - ciągnął. - Będziecie odpowiadać za każdy list, dokument lub kalkę pozostawione na widoku. Jeśli będziecie chcieli pozbyć się jakiegoś dokumentu, nie niszczone go tak zwyczajnie. Napiszcie na pierwszej stronie instrukcję i przekażcie go wydziałowi specjalnemu do spalenia.

Skończywszy wykład, dał mi do podpisania papier z oświadczeniem, że zapoznałem się z przepisami. Potem wstał, zasalutował i wyszedł. Zamknął za sobą drzwi cicho, ostrożnie, nie tak jak to miał w zwyczaju Gerszhorn.

Około jedenastej zapukała moja sekretarka, inteligentna kobieta o sympatycznym wyglądzie.

- Wiktorze Andriejewiczu, czy podać śniadanie? - spytała.

- Tak, proszę. A co z wami? Jedliście śniadanie?

- Przysługuje mi tylko herbata i kostka cukru - westchnęła. - Przynoszę ze sobą chleb z domu. Wojna... co robić...

Niebawem zjawiała się kelnerka z tacą pełną jedzenia. Była kobietą trzydziestokilkuletnią, schludnie ubraną, w nakrochmalonej białej czapce. Wykonywała swoją pracę w milczeniu i sprawnie, rozkładając na małym stoliku białą serwetkę i serwując posiłek: dwa jajka, kawałek duszonego mięsa, biały chleb, masło, szklanek gorącej herbaty, kilka kostek cukru, kilka herbatników. Wszystko z wyjątkiem jajek i herbaty pochodziło z amerykańskich dostaw w ramach lend-lease'u. Dłonie kobiety były spracowane, ale czyste.

- Widzę, że dbacie o paznokcie - powiedziałem z uśmiechem.

- Ależ oczywiście. Służę ważnym ludziom - odparła. - No, jedzcie na zdrowie, Wiktorze Andriejewiczu.

Coś w jej wynędzniałych rysach kazało mi powściągnąć apetyt. Zostawiłem jedno jajko, trochę mięsa, kilka kawałków chleba i kostkę cukru, jakbym nie mógł więcej zjeść. Kiedy zadzwoniłem, weszła moja sekretarka, postawiła resztki na tacy i wyniosła ją. Nieco później, przynosząc mi jakiś papier do podpisu, zawahała się na chwilę przy biurku.

- Wstydzę się o tym mówić, Wiktorze Andriejewiczu - powiedziała - ale jesteście inteligentnym człowiekiem i na pewno zrozumiecie. Pozwoliłam sobie zjeść to, co zostało z waszego śniadania. Wybaczcie

mi, proszę... tak ciężko się żyje.

- To bardzo dobrze. Cieszę się, że to zrobiliście. Ale, prawdę mówiąc, myślałem, że kelnerka...

- Ależ Liza i ja mamy umowę - przerwała. - Jednego dnia ja zabieram resztki, następnego dnia ona... Głód to straszna rzecz, Wiktorze Andriejewiczu. Jest silniejszy od wstydu.

Przez wszystkie miesiące spędzone w Sownarkomie jadłem więc tylko pół śniadania, zostawiając drugą połowę dla Lizy i sekretarki. Liza, jak się dowiedziałem, zabierała swoją część do domu, dla dwójki małych dzieci; jej mąż walczył na froncie. Obu kobietom przysługiwały racje dla pracowników biurowych: czterysta gramów cukru, pięćset gramów kaszy i czterysta gramów margaryny miesięcznie oraz czterysta gramów chleba dziennie. To, co zostawiłem ze swojego pierwszego śniadania, w przeliczeniu na ceny czarnorynkowe, było warte co najmniej sto rubli - jajko, na przykład, kosztowało czterdzieści rubli - a Liza zarabiała tylko sto pięćdziesiąt rubli miesięcznie...

Około południa zjawił się kolejny oficjalny gość - urzędnik kierujący wydziałem specjalnym, stanowiącym oczy i uszy NKWD w każdej instytucji radzieckiej. Był to młody człowiek, który nawet w cywilnym ubraniu wyglądał na policyjnego agenta. Zachowywał się rzeczowo i trochę natrętnie, jakby to on był prawdziwym panem w moim gabinecie.

- Witam, towarzyszu Krawczenko - powiedział. - Miło mi was poznać. Będziemy się często widywać. Jesteście tu nowi i na początek powinniście się zaznajomić z kilkoma regułami. Wróg jest wszędzie i ostrożności nigdy za wiele.

- Oczywiście, oczywiście.

- Oto przepisy o ochronie tajemnicy państwowej. Przeczytajcie je, proszę, powoli i uważnie, i pytajcie mnie, jeśli coś nie będzie jasne.

Wręczył mi plik złożony z dziesięciu albo dwunastu gęsto zapisanych kartek. W typowym radzieckim stylu, pełnym zakazów i gróźb, kartki instruowały mnie, jak postępować z tajnymi dokumentami państwowymi, partyjnymi i wojskowymi, jak strzec swojego biurka, sejfu i gabinetu przed niepowołanymi oczami, jak chronić niektóre oficjalne dokumenty nawet przed własną sekretarką. Dowiedziałem się, że w Sownarkomie są dwie kategorie stenografów, zwykły i tajny. Rutynowe listy można dyktować zwykłym stenografom, ale przy tajnej korespondencji należy skorzystać z usług tajnego stenografa, którego wzywa się za pośrednictwem wydziału specjalnego. Każde polecenie przełożonych, podkreślały przepisy, musi być zarejestrowane na piśmie.

- A jeśli towarzysz Utkin albo towarzysz Pamfilow albo ktoś na Kremlu wyda mi polecenie ustne? - spytałem.

- W takim wypadku musicie natychmiast zanotować ich słowa w swoim

osobistym dzienniku. To samo dotyczy treści ważnych rozmów telefonicznych. Zapisujcie wszystko bez zwłoki – to wasza najlepsza ochrona w razie późniejszych nieporozumień. Towarzysz Stalin nauczył nas ufać ludziom, a jednocześnie sprawdzać, sprawdzać i jeszcze raz sprawdzać.

Kiedy skończyłem czytać, mój gość pogłębił temat. Istota jego wykładu sprowadzała się do tego, że mam nie wierzyć nikomu i zakładać, że inni nie wierzą mnie. Należy sporządzać pisemne dowody, szczegółowe stenogramy każdego spotkania czy rozmowy. Wzajemna nieufność była nie tylko faktem w radzieckim aparacie, stanowiła uznany, obligatoryjny sposób życia, jedyną szansę przetrwania. Znowu podpisałem oświadczenie, że zapoznałem się z przepisami i jestem świadomy kar grożących za ich naruszenie.

Na koniec poprosił mnie, abym przeczytał i przemyślał ściśle tajny dokument opatrzony podpisami Stalina i Mołotowa. Okazało się, że to uchwała Politbiura określająca prawa i obowiązki Sownarkomu. Uwzględniała ona wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów i nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości, iż rząd, uosabiany w Sownarkomie, jest ślepym narzędziem i służą Politbiura. Podpisałem zwyczajowe zobowiązanie do zachowania tajemnicy. Ta podległość rządu partii była znana wszystkim inteligentnym obywatelom radzieckim, a mimo to traktowano ją jak sekret.

- Do widzenia, towarzyszu Krawczenko. Jak powiedziałem, na pewno będziemy się często widywać.

2

Te warstwy aparatu urzędniczego, do których należałem, były pod wieloma względami najbardziej pechowe w radzieckiej hierarchii. Generalnie mieliśmy więcej obowiązków niż władzy. Wykonywaliśmy najcięższą pracę, a zasługę przypisywali sobie z reguły nasi przełożeni. Znajdowaliśmy się zbyt wysoko, aby się odprężyć, na co mogli sobie pozwolić niżsi urzędnicy i zwykli pracownicy, ale niedostatecznie wysoko w piramidzie władzy, aby zwałać ciężar pracy i winy na barki innych ludzi.

Ze wszystkich krzyży, które dźwigaliśmy, najgorsza była jednak bezsenność. Tydzień, kiedy mogłem spać dłużej niż pięć godzin dziennie, zdarzał się bardzo rzadko. Przeważająca większość naszych urzędników i specjalistów pracowała od dziewiątej do siedemnastej, chociaż od czasu do czasu mogłem zatrzymać któregoś z nich dłużej albo poinstruować swoich podwładnych, aby ponownie zameldowali się wieczorem. Ale mój dzień pracy trwał od dziesiątej albo jedenastej do trzeciej lub czwartej następnego ranka, a często dłużej. Tylko

wyjątkowo udawało mi się spędzić kilka wieczornych godzin w domu z żoną. Czasem ucinalem sobie krótką drzemkę na kanapie w gabinecie, przy drzwiach zamkniętych na klucz i z telefonem przy uchu, aby nikt mnie na tej czynności nie przyłapał.

Rozkład dnia najwyższej biurokracji w Moskwie jest niezwykle, ponieważ zależy od szczególnych nawyków jednego człowieka. Stalin zaczyna zwykle swój dzień około jedenastej rano, pracując bez przerwy do szesnastej albo siedemnastej. Potem robi sobie przerwę do dziesiątej albo jedenastej wieczorem i znowu pracuje do trzeciej, czwartej albo później następnego ranka. Z tych dwóch sesji nocna jest bez porównania ważniejsza.

Pojawiały się różne teorie na temat dziwnych godzin pracy dyktatora. Według jednej z nich taki rozkład pozwala mu pozostawać w osobistym kontakcie z urzędnikami we wszystkich częściach ogromnego kraju mimo czterech godzin różnicy czasu pomiędzy strefą zachodnią i wschodnią. Inna teoria głosi, że celowo przetrzymuje swoich podwładnych, każąc im pracować o niedogodnych porach z czystej złośliwości, aby pozbawić ich możliwości i pokus prywatnego życia towarzyskiego.

Niezależnie od powodu aparat urzędniczy stolicy dostosowuje swoje życie do ekscentrycznego zegara Stalina. Jak na dany sygnał, dygnitarze najwyższego szczebla zabierają się do wyteźonej pracy, kiedy Gospodarz (tak go nazywają w prywatnych rozmowach) zjawia się w swoim gabinecie, i odpuszczają się dopiero kiedy jedzie do domu. Reszta kraju, pozostająca w nieustannym kontakcie telefonicznym z centralą i wyczulona na jej nastroje, również przyjęła taki rozkład dnia. W efekcie przyływy i odpływy oficjalnego życia w całej Rosji zależą od kaprysów jednego otyłego, ospowatego Gruzina. Jedna instytucja pracuje oczywiście przez dwadzieścia cztery godziny na dobę – NKWD. Nie musi się przystosowywać do żadnego rozkładu, ponieważ nigdy nie śpi.

Poczynając od dziesiątej rano w dni robocze, wielkie kuloodporne packardy z przyciemnianymi szybami pędzą podmiejską Szosą Możajską i długim Bulwarem Arbackim, a stamtąd do różnych cytadel „władzy”. Po dźwięku syren, po sposobie, w jaki milicjanci zatrzymują ruch, aby dać tym hałaśliwym olbrzymom pierwszeństwo przejazdu, moskwianie orientują się od razu, że Gospodarz, Mołotow, Beria, Malenkov, Mikojan, Kaganowicz i inni przywódcy przejeżdżają przez stolicę. Każdą limuzynę poprzedza samochód (zwykle lincoln), a za nią podąża drugi, oba z dobrze uzbrojonymi ochroniarzami z NKWD w cywilnych ubraniach. Przywódcy oczywiście zawsze jeżdżą osobno, nie w grupie, aby zmniejszyć zagrożenie dla swojego bezpieczeństwa.

Trasy opracowuje specjalny wydział NKWD, odpowiedzialny

za bezpieczeństwo najwyższych urzędników. Każdy centymetr drogi jest starannie sprawdzany. Mieszkańcy wszystkich domów na trasie są znani władzom i ludzi niepewnych szybko się usuwa. Tysiące funkcjonariuszy po cywilnemu i w mundurach, z prawą ręką na kaburze rewolweru, strzegą kluczowych punktów; wiedzą, że ich życie będzie zagrożone, jeśli coś się stanie Ukochanym Przywódcom za kuloodpornymi szybami. Moskwianie nigdy się nie zatrzymują, żeby popatrzeć na Stalina i jego najbliższych towarzyszy. Przezornie usuwają się z drogi, starają się nie rzucić w oczy, kiedy przejeżdżają ich władcy.

Urzędnicy stojący o szczebel lub dwa niżej w hierarchii - ludzie tacy jak Pamfilow i Utkin w naszym Sownarkomie, na przykład - dbają o to, żeby być na swoich posterunkach, zanim Stalin obejmie swój, i pozostają tam, dopóki nie wyjedzie. Co do mnie, starałem się przychodzić do pracy przed swoimi bezpośrednimi przełożonymi, podobnie jak moi zastępcy zawsze byli pod ręką, kiedy zjawiałem się w Sownarkomie. Nigdy nie wychodziłem bez specjalnego pozwolenia, dopóki moi zwierzchnicy nie zakończyli swojej nocnej zmiany, toteż mój dzień pracy trwał zwykle siedemnaście albo osiemnaście godzin. Utkin i Pamfilow przyjmowali za pewnik, że będę pod telefonem, kiedy do mnie zadzwonią, podobnie jak Stalin i Mołotow przyjmowali za pewnik, że Pamfilow będzie w pracy, kiedy do niego zatelefonują. Chyba nigdy oficjalna rutyna ogromnego państwa nie była tak całkowicie podporządkowana kaprysom jednego człowieka.

Nasz Sownarkom był organem wykonawczym i „kontrolnym” wszechpotężnego Państwowego Komitetu Obrony. Jego główna funkcja podczas wojny polegała na koordynowaniu wszystkich zamówień na dostawy wojenne w RFSRR i sprawdzaniu, jak są wykonywane. Po niemieckim podboju Białorusi, Ukrainy i części Kaukazu nasze terytorium obejmowało niemal wszystkie pozostałe zakłady przemysłowe i ludność kraju, toteż byliśmy odpowiedzialni za największy odcinek całej produkcji wojennej w tym czasie. Część tego ogromnego zadania koncentrowała się w wydziale, którym kierowałem. Termin „wojskowy sprzęt techniczny” oznaczał nadzór i kontrolę nad produkcją wszelkiego rodzaju wyposażenia, od czołgów, dział, samolotów i środków łączności, sprzętu desantowego i maskującego, po maski przeciwgazowe, kompasy, telefony polowe, a nawet zwykle oskardy, łopaty i latarnie produkowane w zakładach przemysłowych RFSRR.

Dosłownie setki zamówień, decyzji, skarg i pogrózek, podpisanych przez Stalina i jego najbliższych towarzyszy, Berię, Mołotowa i Mikojana, Wozniesińskiego, Małyszewa i Kosygina, trafiały na moje biurko. Pozostawałem w stałym kontakcie telefonicznym ze wszystkimi komisariatami, fabrykami, specjalnymi biurami konstrukcyjnymi

i urzędami obwodowymi w całym kraju. W ciągu jednej godziny mogłem sprawdzić postępy produkcji w Gorkim i w Swierdłowsku, w Nowosybirsku i Czelabińsku.

Moje życie stało się gorączkową walką o zdobycie surowców, paliwa, siły roboczej; o zwiększenie produkcji w wybranych okresach, o to, by zmusić do działania komisariaty i instytucje wszędzie, od Moskwy po Syberię. Moi przełożeni i zdesperowani urzędnicy Państwowego Komitetu Obrony warczeli na mnie i przeklinali. Na najwyższych szczeblach radzieckiego rządu pada zapewne więcej ordynarnych przekleństw niż w całym pozostałym świecie. Soczysty, dosadny język jest zapewne najbardziej uderzającym, a czasami jedynym przypomnieniem o „proletariackich” korzeniach naszego reżimu. Mistrzem w tej dziedzinie był Kaganowicz; mówiliśmy, że „klnie jak szewc”, wzbijając się na niewiarygodne wyżyny obscenicznego języka. Ale Mołotow, Woroszyłow, Andriejew i inni dorównywali mu w tej sztuce, a Stalin też nie pozostawał w tyle. Mogę jednak zaświadczyć, że znakomita większość przywódców, z którymi miałem do czynienia, to byli zdolni i dynamiczni ludzie, którzy znali się na swojej pracy i z poświęceniem spełniali swój obowiązek.

Były w moim życiu całe tygodnie wypełnione staraniami o zorganizowanie produkcji tak prostych rzeczy, jak nożyce do drutu kolczastego, łopaty do kopania okopów i przenośne lampy mogące służyć za prowizoryczne latarki. Na zawsze zapamiętam noc, kiedy pewien generał Armii Czerwonej siedział w moim gabinecie, błagając ze łzami w oczach o nożyce do drutu kolczastego. Tysiące naszych żołnierzy, wyjaśnił, zaplątuje się w druty i ginie z powodu braku tego prostego narzędzia. W jego obecności zatelefonowałem do komisarzy w Moskwie i do dyrektorów fabryk poza miastem. Ale na co się zdały moje krzyki i groźby, skoro fabryki nie miały niezbędnej stali ani maszyn?

Pozostawałem w ciągłym kontakcie z marszałkiem Nowikowem, marszałkiem Worobjowem, generałem Sielezniewem, generałem Wołkowem, admirałem Gallerem i dziesiątkami innych dowódców wojskowych. Aż nazbyt często jednak nie mogliśmy zrobić wiele więcej niż połączyć nasze lamente nad niedoborami w każdej dziedzinie.

Czy kiedykolwiek zapomnę, jak zarekwirowaliśmy tysiące prymitywnych szkolnych kompasów i rozdzieliliśmy je pomiędzy różne fronty? Zamówienie, z podpisem Stalina, opiewało na pięćdziesiąt tysięcy wojskowych kompasów polowych, ale po prostu nie było odpowiedniej stali magnetycznej.

Czy kiedykolwiek zapomnę o naradach, gorączkowych telefonach, piętrzących się groźbach i rozpaczliwych staraniach, jakie podjęliśmy latem w poszukiwaniu końskich podków? Tysiące zwierząt, a często

i kawalerzystów, ginęły z powodu ich braku, ale produkcję, jak się okazało, zahamował brak metalu i ograniczone moce dwóch uralskich zakładów wytwarzających podkowy. Zamówienie na końskie podkowy przyszło od marszałka Siemiona Budionnego i, przypadkowo, rozwiązało zagadkę dotyczącą losów tego bohatera rewolucji. Został pozbawiony dowództwa, które mu pierwotnie powierzono, i od tego czasu wszelki słuch o nim zaginął; krążyły nawet pogłoski, że został rozstrzelany. Teraz stało się jasne, że przesunięto go na boczny tor, do wydziału zajmującego się zaopatrzeniem dla kawalerii.

Dzień po dniu zdobywałem bezpośrednie i tragiczne dowody braku przygotowania mojego kraju do wojny. Wiedziałem, że dziesiątki tysięcy naszych najdzielniejszych żołnierzy giną, ponieważ brakuje im podstawowego zaopatrzenia. Ani categoryczne rozkazy Stalina, ani „ostre środki” Berii nie mogły wycisnąć niezbędnego ekwipunku z fabryk, pozbawionych surowców i obsługiwanych przez robotników na głodowych racjach.

Wiedziałem lepiej niż wysokiej rangi generałowie i admirałowie, jak ważne w osiągnięciu zwycięstwa były amerykańskie dostawy uzbrojenia, surowców i maszyn w ramach lend-lease’u. Amerykanie wciąż mogą mieć co do tego wątpliwości, ale nie radzieccy przywódcy. Dla nich jest to niezbity fakt. Bóg wie, że zapłaciliśmy za te dostawy – życiem rosyjskich żołnierzy – ale to nie zmienia samego faktu. Bez masowego dopływu amerykańskich samolotów, amerykańskich ciężarówek, telefonów, tysięcy innych rzeczy, których nam brakowało, jak potoczyłaby się wojna? Rosyjska produkcja, rosyjski heroizm i poświęcenie zajmują pierwsze miejsce w ocenie czynników, które umożliwiły rosyjskie zwycięstwo; bitwa stalingradzka została rozstrzygnięta, zanim zaczął się wielki napływ zaopatrzenia z lend-lease’u. Ale amerykańską i aliancką pomoc należy wymienić w następnej kolejności.

Rozkazy docierające do mnie z góry były często utrzymane w historycznym tonie. Zamówienie na jakąś ważną część do czołgu lub sprzęt lotniczy, podpisane przez Stalina i kontrasygnowane przez tego lub innego z jego sekretarzy, zawierało nieodmiennie groźby surowych kar:

Powiadomić komisarzy ludowych, że wykonanie tej decyzji jest zadaniem polityczno-wojskowym najwyższej wagi. Zobowiązać prokuratora ZSRR, aby osobiście sprawdził wykonanie rozkazu i pociągnął do odpowiedzialności wszystkich winnych bez względu na to, kim są.

Albo:

Sprawdzenie wykonania tego rozkazu powierzyć ludowemu komisarzowi kontroli państwowej, towarzysowi Popowowi. Wszystkich winnych niewykonania zadania,

niezależnie od tego, kim są, pociągnąć do odpowiedzialności i powiadomić mnie o tym.

Pociągnięcie do odpowiedzialności oznaczało usunięcie ze stanowiska i postawienie przed trybunałem wojskowym. Decyzje opatrzone podpisem Berii, który przemawiał głosem tajnej policji, kończyły się tak:

Zobowiązać komisarzy ludowych do wypełnienia tego rozkazu bez względu na obiektywne trudności. Winnych przekazać do mojej dyspozycji...

To był normalny styl Stalina, naśladowany przez wszystkich urzędników w relacjach z własnymi podwładnymi. Był to język strachu i pogroźek, prymitywnych, niezawołowanych, obliczonych na to, żeby przypomnieć nam o obozach i plutonach egzekucyjnych. Stalin i jego najbliżsi współpracownicy, choć zwracali się do potężnych przywódców, których nazwiska przejmowały wszystkich Rosjan dreszczem, nigdy nie zapominali przywołać groźby aresztowania i niełaski.

Nigdy przedtem nie pracowałem tak ciężko, tak długo i w takim przytłaczającym poczuciu frustracji. Niebawem miałem szarozieloną cerę, przekrwione oczy i stan podgorączkowy, który przychodzi wraz z chronicznym zmęczeniem. Niemal wszyscy mężczyźni i kobiety wokół mnie pracowali równie ciężko. Niewątpliwie niektórzy spośród nich nienawidzili radzieckiego despotyzmu tak samo głęboko jak ja, ale poglądy polityczne nie przeszkadzały naszemu oddaniu sprawie zwycięstwa. Nasz kraj znalazł się w niebezpieczeństwie - nic się nie liczyło wobec tego najważniejszego faktu.

Jeśli uda nam się przyspieszyć o dzień, nawet o godzinę, zaopatrzenie frontu w jakiś ważny element wyposażenia, być może uratujemy życie tysięcy naszych ludzi. Nikt z nas nie potrzebował innej zachęty do działania; groźby miały się z celem. Zawsze towarzyszyło nam poczucie, że nasze wysiłki są bezpośrednio związane z walką na śmierć i życie naszego narodu, chociaż niewiele o tym mówiliśmy. Zajmowaliśmy się konkretnymi zadaniami, materiałami, narzędziami, maszynami, w trudnych warunkach, i nie mogliśmy sobie pozwolić na uleganie emocjom.

Całą instytucję, od Pamfilowa do najskromniejszego urzędnika, zalała potężna fala patriotyzmu, która wypływała z głębin rosyjskiej historii i rosyjskiej duszy. Entuzjastyczni piewcy maszyny stalinowskiej, w kraju i za granicą, próbujący wyjaśnić to wszystko jako bolszewicki fenomen, wyrządzają Rosji wielką niesprawiedliwość. Starają się wytłumaczyć żywiołową, ponadczasową siłę w kategoriach miałkiej ideologii. Nie był to cud radziecki, lecz rosyjski. Kiedy myślę o sobie, wykonującym ucziwie i z poświęceniem rozkazy przywódców, którymi pogardzałem i którym nie ufałem, widzę swego rodzaju symbol Rosji podczas wojny.

Długie miesiące, które spędziłem w Sownarkomie, zbiegły się w czasie

z najcięższą fazą wojny. Obejmowały rozdzierające duszę lato 1942 roku, kiedy Niemcy odnosili swoje największe sukcesy. Obejmowały marsz ku Wołdze i heroiczne zmagania, które na zawsze postawiły Stalingrad obok Maratonu i Waterloo w historii ludzkości. W sercu narodu jest twardy, wieczny i niepokonany element – i on właśnie ujawnił się w Stalingradzie, przetrwał rozlew krwi i katastrofę na niespotykaną skalę. Nie miało to nic wspólnego z Karolem Marksem i Stalinem.

Oficjalne komunikaty nadal pomniejszały rozmiary naszych klęsk. Najcięższe porażki przedstawiano tak, by wyglądały jak manewry strategiczne. Rosyjskie masy wiedziały mniej o rzeczywistym przebiegu walk w rejonie Stalingradu niż reszta świata. Ale na naszym szczeblu aparatu rządowego nie mogliśmy sobie pozwolić na samooszukiwanie. Błagania z frontu o zaopatrzenie i samoloty, o amunicję i posiłki, brzmiały panicznie, a czasami rozpaczliwie. Nie mogliśmy nie wiedzieć o straszliwych stratach.

Na jednej ścianie gabinetu Utkina wisiała wielka mapa Rosji. Każdego ranka szpilki wyznaczające niemieckie postępy przesuwają się coraz dalej w głąb naszego kraju, a nitka koloru krwi pokazywała ogrom naszych strat. Zastałem Utkina wpatrującego się w tę mapę, jego okrągła, przystojna twarz marszczyła się z niepokoju.

- Mam parę pilnych spraw, Andrieju Iwanowiczu – powiedziałem, kładąc na jego biurku dokumenty.

- Papiery nie uciekną. Podejdźcie tutaj, zobaczcie, co te niemieckie sukinsyny robią.

Czerwona linia przebiegała zaledwie około stu pięćdziesięciu kilometrów na zachód od Moskwy, tuż za Możajskiem. Odcinała praktycznie całą Ukrainę i leżała zastraszająco blisko Wołgi w rejonie Stalingradu.

- Co zrobimy, jeśli zagarną naszą ropę, Wiktorze Andriejewiczu? Będzie po nas!

- Sytuacja jest straszna – zgodziłem się. – Straszna! Wszystko, co możemy zrobić, to pracować, pracować, pracować. Dobrze, że lend-lease zaczął wreszcie płynąć szybciej...

- Lend-lease! – zawołał Utkin z irytacją. – Potrzebny jest nam drugi front! Ale te kapitalistyczne dranie zwlekają. Dużo ich to obchodzi, ile popłynie rosyjskiej krwi! Drogo płacimy za ten ich lend-lease...

Mobilizacja trwała od dawna na skalę niespotykaną w żadnym innym walczącym kraju. Siła robocza w przemyśle i rolnictwie została uszczuplona właśnie w momencie, kiedy potrzebny był wzrost produkcji. Znalazłem się w miejscu, gdzie ten katastrofalny obraz był najbardziej widoczny. Wiek naszych żołnierzy wahał się od szesnastu do pięćdziesięciu sześciu lat. Ostatnie pozory prawdziwego badania lekarskiego i zwolnień dla jedynych żywicieli rodziny zostały odrzucone

na rozkaz samego Stalina, nigdy niepodany do wiadomości publicznej. Dziesiątki tysięcy weteranów posłano z powrotem na linię frontu, zanim ich rany zdążyły się zagoić. Chłopców i dziewczęta w wieku szkolnym, matki małych dzieci, nawet kobiety z kolchozów już ogołoconych z mężczyzn, zapędzano do pracy w fabrykach.

Podczas tego narastającego kryzysu siły żywej przymusowa praca milionów więźniów była ważnym, często najważniejszym czynnikiem, który ratował radziecką gospodarkę wojenną. Należy spojrzeć w oczy prawdzie, nawet najbardziej nieprzyjemnej. Ewakuowane fabryki, rozbudowane zakłady syberyjskie i uralskie, nowo wybudowane zakłady przemysłowe zwiększały stopniowo produkcję. Ale prawie we wszystkich zatrudniano kontyngenty przymusowej siły roboczej. Ci cudzoziemcy, którzy mówią z podnieceniem o ostatecznym rosyjskim zwycięstwie jako o „sukcesie systemu radzieckiego”, byliby bliżsi prawdy, gdyby gloryfikowali sukcesy państwowego niewolnictwa na wielką skalę.

W miarę jak wolni robotnicy zasilali szeregi armii, nasz przemysł stawał się coraz bardziej uzależniony od ogromnych rzesz więźniów, których liczbę powiększały do niespotykanych rozmiarów nowe aresztowania. W kręgach oficjalnych te zasoby siły roboczej oceniano na dwadzieścia milionów. Szacunkowe obliczenia nie uwzględniają chłopców i dziewcząt od czternastego do szesnastego roku życia, oderwanych siłą od rodziców i wysłanych do regionów i zakładów przemysłowych, gdzie niedobory siły roboczej były największe.

Gospodarka wojenna ZSRR, podobnie jak gospodarka Niemiec, opierała się przede wszystkim na pracy niewolniczej. Główna różnica polegała na tym, że Berchtesgaden niewoliło ludność krajów podbitych, podczas gdy Kreml niewolił własnych obywateli. W czasie, kiedy w kraju panował głód, łatwo sobie wyobrazić straszliwe warunki, w jakich żyli i pracowali więźniowie. Byli „do zastąpienia” i NKWD nie liczyło ofiar.

Po wybuchu wojny ludowe komisariaty uzbrojenia i aprowizacji oddano pod zarząd Berii, ludowego komisarza spraw wewnętrznych, który był również zastępcą przewodniczącego Sownarkomu i członkiem Państwowego Komitetu Obrony. W praktyce oznaczało to oddanie ich pod kontrolę tajnej policji. Nominalni komisarze, Ustinow i Wannikow, wiedzieli, co to oznacza, podobnie jak wszyscy inni, aż do najskromniejszego urzędnika. Woleliby szybką śmierć niż słuszny gniew Berii i jego NKWD. Wszystkich zatrudnionych w zakładach, biurach i urzędach, bezpośrednio lub pośrednio związanych z uzbrojeniem i zaopatrzeniem, opanował śmiertelny strach.

Beria nie był inżynierem. Został mianowany właśnie dlatego, że wzbudzał śmiertelny strach. Często zadawałem sobie pytanie - inni z pewnością też - dlaczego Stalin zdecydował się na taki krok. Zdołałem

znaleźć tylko jedną zadowalającą odpowiedź. Po prostu brakowało mu wiary w patriotyzm i honor narodu rosyjskiego i dlatego musiał sięgnąć po bat. Beria był jego batem.

Ten sam brak wiary manifestował się w większości innych gałęzi przemysłu. Ich cywilnych kierowników zastąpili dowódcy wojskowi, a przynajmniej ludzie o wojskowych tytułach i autorytecie. Transportem kolejowym kierował na przykład generał Chrulow, zastępca Stalina w Ludowym Komisariacie Obrony. Działając w porozumieniu z zarządem transportu NKWD, Chrulow wprowadził w swoim resorcie dyscyplinę wojskową, zastępując patriotyczny zapał zwykłym strachem.

Na tej samej zasadzie Małyszew, zastępca przewodniczącego Sownarkomu i inżynier z zawodu, otrzymał stopień generalski i objął nadzór nad produkcją czołgów, ponad głową cywilnego komisarza. Stopnie wojskowe nadano również dyrektorom fabryk i innym wysokim urzędnikom w przemyśle, tak więc reżim wojskowy szybko zastąpił normalną administrację.

Komisariaty podlegające Berii wchłonęły oczywiście lwią część dostępnej niewolniczej siły roboczej. Ale wystarczyło też dla innych gałęzi gospodarki narodowej. Wiem z osobistych obserwacji, że niewiele zakładów obywało się bez niewolniczej siły roboczej, a w dziesiątkach z nich praca przymusowa była główną, jeśli nie jedyną podporą produkcji.

W Sownarkomie wiele słyszałem o szczególnych problemach, jakich nastroczały obozy pracy przymusowej i więzienia podczas ewakuacji, kiedy zbliżali się Niemcy. Ewakuacja więźniów była ważniejsza niż uratowanie wolnych obywateli. Ich praca miała wielkie znaczenie ekonomiczne, ale co ważniejsze, więźniowie, od których trudno było oczekiwać miłości do reżimu radzieckiego, mogli się okazać użyteczni dla Niemców. W grę wchodził również bez wątpienia wzgląd czysto polityczny - obawa, że za pośrednictwem więźniów świat może poznać niektóre monstrualne tajemnice radzieckiego systemu niewolniczego.

Niektórzy z nas w Sownarkomie wiedzieli o przypadkach masowego zabijania więźniów, kiedy stało się jasne, że nie uda się ich ewakuować. Tak się stało w Mińsku, Smoleńsku, Kijowie, Charkowie, w moim rodzinnym Dniepropietrowsku, w Zaporozżu. O jednym takim przypadku opowiedziano mi szczegółowo. W maleńkiej Kabardyjsko-Bałkarskiej „Republice Autonomicznej” na Kaukazie, niedaleko Nalczyku, znajdował się molibdenowy kombinat NKWD, gdzie pracowali więźniowie. Kiedy Armia Czerwona wycofywała się z tych obszarów, kilkuset więźniów, z powodu trudności z transportem, nie udało się w porę ewakuować. Dyrektor kombinatu, na polecenie komisarza kabardyjsko-bałkarskiego NKWD, towarzysza Anochowa, rozkazał wystrzelać ich do ostatniego z karabinów maszynowych. Po wyzwoleniu tego obszaru spod

niemieckiej okupacji Anochow otrzymał swoją nagrodę, obejmując funkcję przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych, najwyższego organu władzy w tej republice autonomicznej.

Domagając się od komisariatów przyspieszenia produkcji, nieustannie potykałem się o niedobory siły roboczej na krytycznych odcinkach. Komisarze ludowi znali sytuację lepiej ode mnie: często prosili Pamfilowa o dodatkową siłę roboczą z rezerw NKWD, aby uzupełnić braki w tej lub innej ważnej fabryce; czasem Pamfilow przedstawiał problem bezpośrednio Wozniesienskiemu, Mołotowowi, Berii. Główny Zarząd Poprawczych Obozów Pracy - znany jako GUŁag - podlegał generałowi NKWD Wiktorowi Nasiedkinowi, jednemu ze współpracowników Berii. Nasiedkin otrzymywał zamówienie na niewolniczą siłę roboczą od Państwowego Komitetu Obrony z podpisami Mołotowa, Stalina, Berii i innych członków, i podejmował odpowiednie działania.

Doskonale pamiętam pewną rozmowę, którą przeprowadziłem na polecenie Utkina z wyższym urzędnikiem GUŁagu. Miał on dostarczyć jednemu z komisariatów kilkuset więźniów do pilnego zadania. Naciskał na nas Pamfilow, na którego oczywiście naciskano z góry, a ja wezwałem urzędnika GUŁagu, żeby porozmawiać z nim na ten temat.

- Ależ towarzyszu Krawczenko, bądźcie rozsądni - przerwał moją przemowę. - W końcu nie tylko wasz Sownarkom domaga się robotników. Państwowy Komitet Obrony ich potrzebuje, Mikojan uprzykrza nam życie, Malenkow i Wozniesienski potrzebują robotników, Woroszyłow domaga się robotników budowlanych. Oczywiście każdy uważa, że jego działka jest najważniejsza. Co mamy robić? Prawda jest taka, nie wykonaliśmy planu aresztowań. Popyt jest większy niż podaż.

Plan aresztowań! Niebywały, wyrachowany cynizm tego sformułowania wciąż przejmuję mnie dreszczem. A co jeszcze bardziej niesamowite, urzędnik zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że powiedział coś przerażającego - aresztowanie i niewolenie ludzi stało się czymś zwyczajnym w jego życiu. Oczywiście nie chciał przez to powiedzieć, że aresztowania naprawdę zaplanowano po to, żeby zaspokoić popyt na siłę roboczą. Skarżył się po prostu, w radzieckim żargonie, że wielomilionowa armia robotników przymusowych nie wystarczy na zaspokojenie wszystkich potrzeb.

Z jakiegoś powodu świat zewnętrzny nie ma pojęcia, na jaką skalę w Rosji zmusza się dzieci do pracy. W naszym kraju było to objęte ścisłą tajemnicą i maskowane obłudnymi hasłami. Istotą systemu, odartego z werbalnego kamuflażu, jest przymus. Miliony dzieci zabiera się z domów wbrew ich woli oraz woli rodziców i zmusza do pracy w przemyśle na zasadzie „mobilizacji”. Błędem byłoby dopatrywać się

genezy tego zjawiska wyłącznie w wojnie, ponieważ zaczęło się to już w 1940 roku i, jak wynika z dokumentów, nasiliło po zakończeniu wojny.

Pierwszy dekret o mobilizacji dzieci ukazał się w październiku 1940 roku. Przewidywał natychmiastowy pobór od ośmiuset tysięcy do miliona dzieci miejskich i wiejskich od czternastego do siedemnastego roku życia w celu przeszkolenia do pracy w przemyśle. Poza mobilizacją przymusową dopuszczalny był również zaciąg ochotniczy. Czternasto- i piętnastolatków skierowano przeważnie do bardziej wykwalifikowanej pracy, wymagającej dwuletniego szkolenia. Dla zawodów mniej wykwalifikowanych, do których przeznaczono dzieci szesnasto- i siedemnastoletnie, przewidziany był okres sześciomiesięczny.

Po zakończeniu szkolenia młodych ludzi, zgodnie z dekretem, kierowano na okres czterech lat do fabryk, kopalń, na budowy i do innych przedsięwzięć wedle uznania Zarządu Rezerw Siły Roboczej. Chociaż towarzyszyły temu piękne hasła, procedura sprowadzała się do przymusowego zatrudniania nieletnich. Dzieci zabierano rodzicom „dla ich własnego dobra”, oczywiście.

W 1943 roku kontyngenty dziecięcej siły roboczej zwiększono do dwóch milionów rocznie. Okrutne sceny rozłąki, z płaczącymi i wyrywającymi się dziećmi, rozpaczającymi i lamentującymi rodzicami, stawały się coraz częstsze w udręczonym kraju. Poborowi musieli nosić mundury, mieszkali w barakach i podlegali surowej dyscyplinie i niemal wojskowemu rygorowi. Czas wypełniała im praca, nauka i szkolenie, które miało ich przekształcić nie tylko w posłuszne, ale fanatyczne sługi radzieckiego państwa. Ważnym elementem ich szkolenia była oczywiście indoktrynacja polityczna.

Jeszcze przed wojną, kiedy pracowałem w Głównym Zarządzie w Moskwie, widywałem w różnych fabrykach liczne grupy dzieci, które przemocą zabrano z domów. Poznałem cały system z bliska. Młodych poborowych budzono o piątej trzydzieści trąbką lub bębnieniem na musztrę wojskową. Potem jadły śniadanie i o siódmej były już przy swoich warsztatach, zarówno chłopcy, jak i dziewczęta, zgodnie ze spartańskimi zasadami obowiązującymi w ich szkoleniu.

Przedsięwzięciu nadano rys makabrycznej ironii, poddając je politycznej kontroli przewodniczącego Wszechzwiązkowej Centralnej Rady Związków Zawodowych i kandydata na członka Politbiura, Nikołaja Szwernika. Stanowisko naczelnika Zarządu Rezerw Siły Roboczej, który kierował szkoleniem młodych poborowych, a następnie wyznaczał im miejsca pracy w różnych częściach kraju zgodnie z potrzebami państwa, zajmował Maskatow, jeden z sekretarzy związków zawodowych Szwernika.

Pięć razy podczas wojny rząd ogłaszał nową mobilizację, podnosząc

liczbę umundurowanych dziewcząt i chłopców do dziewięciu milionów. Ponadto setki tysięcy chłopców, czasem w wieku dwunastu albo trzynastu lat, skierowano do nowo utworzonych szkół wojskowych, aby wyszkolić ich na zawodowych oficerów armii w taki sam sposób, jak innych przemieniano w proletariuszy.

Kandydaci na zawodowych wojskowych byli w większości ochotnikami, ale żeby wykonać normy, wykorzystywano również sieroty, wybierane częściowo z domów dziecka, a częściowo spośród *bezprizornych*. Co więcej, rodziców, którzy nie mogli wykarmić swoich dzieci, namawiano, aby posyłali chłopców do szkół wojskowych: w praktyce był to zaciąg na całe życie. Studia wyższe, a także trzy starsze klasy szkoły średniej były teraz dostępne tylko dla tych, którzy mogli zapłacić czesne; decyzję o wprowadzeniu czesnego, jeśli wierzyć kremlowskiej propagandzie, podjęto „z uwagi na wyższy poziom życia mas pracujących”. Wiele rodzin, których nie było stać na czesne, widziało w karierze wojskowej swoich synów najlepszą szansę na ucieczkę z wyzyskiwanych szeregów klasy robotniczej.

Jeśli system poboru młodocianych do pracy w przemyśle się utrzyma, a wszystko wskazuje, że tak będzie, do roku 1960 państwo radzieckie powinno mieć do swojej dyspozycji od trzydziestu do czterdziestu milionów robotników wyszkolonych na tych zasadach. Będzie to nowy rodzaj „proletariatu”. Wpływy domowe, przypominające o lepszej przeszłości, i wpływy intelektualne poza tymi zalecanymi przez partię zostaną zredukowane do minimum. W pełni zindoktrynowani komunistycznymi dogmatami i stalinowskimi teoriami światowej rewolucji, staną się ludźmi pozbawionymi wspomnień o wolności osobistej, należącymi do państwa. Ci moralnie i politycznie okaleczeni Rosjanie będą stanowili groźną siłę w rękach reżimu, do wykorzystania w kraju albo w awanturach zagranicznych.

Te starannie uformowane kadry obywateli zostaną uzupełnione o dwadzieścia milionów robotników przymusowych NKWD i ogromną stałą armię zawodowych żołnierzy i oficerów, szkolonych od dziecka według zasad stalinizmu wyłącznie do obrony radzieckiego porządku, poza i ponad zwykłymi siłami zbrojnymi z poboru powszechnego i rezerwami wojskowymi. Nie należy też zapominać, że dziesiątki milionów dzieci będą indoktrynowane w zwykłych radzieckich szkołach, gdzie oddanie reżimowi i jego metodom zajmuje pierwsze miejsce w programie nauczania.

Bez przerwy miałem przed oczami ten obraz zmobilizowanej ludzkości, koszmarny w swojej skali, kiedy w imieniu różnych komisariatów negocjowałem w sprawie siły roboczej, aby wypełnić pilne zadania produkcyjne. Było to coś w rodzaju mrowiska albo ula. Fakt, że „przywódcy klasy robotniczej” w rodzaju nadzorcy niewolników

Szwernika upiększali ten obraz obłudnymi frazesami o godności pracy i służbie dla „socjalistycznego” kolektywu, czynił go w moich oczach jeszcze bardziej monstrualnym. Najwidoczniej mój „zgniły liberalizm” był zakorzeniony zbyt głęboko, by dało się go uleczyć.

3

Niemal od początku byłem świadom tragicznych niedoborów w dostawach wojennych. Zasadnicze fakty poznałem podczas konferencji zwołanej na Kremlu przez jednego z najbardziej wpływowych współpracowników Stalina, Aleksieja Kosygina. Ponieważ porządek dzienny obejmował wiele spraw skupionych w moim wydziale, Utkin chciał mnie mieć u swego boku, przykazał mi jednak, abym nie zabierał głosu przed tym dostojnym zgromadzeniem, jeśli nie zostanę o to poproszony.

Kosygin w imieniu Politbiura sprawował kontrolę nad pięcioma komisariatami i nadzorował też wydział wojskowego sprzętu technicznego. Na długo przed pierwszą w nocy, kiedy ma się rozpocząć narada, pięciu komisarzy ludowych zbiera się w poczekalni. Jesteśmy trochę odprężeni, oficjalne maski na chwilę opadły. Ci ludzie dobrze znają się nawzajem, nawet aż za dobrze, świat władzy jest mały. Wymieniają uprzejmości, żartują, dzielą się plotkami.

Towarzysz Ginzburg, komisarz budownictwa, otyły mały człowieczek z łysą głową i w grubych okularach, siedzi w kącie, popijając herbatę i żując ciasteczka. Wysoki mężczyzna w kolorowej rosyjskiej koszuli pod marynarką je jabłko; to Akimow, komisarz przemysłu tekstylnego. Idę za jego przykładem i sięgam do wielkiej misy z owocami. Komisarz Łukin, szef przemysłu lekkiego, mruga do mnie. To znany dowcipniś i kawalarz.

- Jak długo jeszcze potrwa ta męka? - zwraca się Łukin do jednego z ludzi Kosygina. - Zjadłbym coś - jajka na boczku, na przykład. Kieliszek wódki też by nie zaszkodził.

- Tak, powinniście się wzmocnić - odpowiada tamten ze śmiechem. - Dostanie wam się dzisiaj. Lepiej się przygotujcie.

Wszyscy się śmieją, z wyjątkiem Sosnina, komisarza przemysłu materiałów budowlanych, wysokiego mężczyzny o wychudzonej i ponurej twarzy. Nietrudno zrozumieć jego posępny nastrój: ma niewdzięczną robotę, jego komisariatowi „dostaje się” od przełożonych niemal na każdej naradzie. Całkowitym przeciwieństwem Sosnina jest radosny Akopow, komisarz przemysłu maszynowego. Jeszcze nie tak dawno był zwykłym dyrektorem fabryki na Uralu. Teraz jest komisarzem ludowym i podobno ulubieńcem Mikojana. Swoją raptowny wzlot na oficjalnym firmamencie zawdzięcza sukcesom w produkcji

nowej wyrzutni raketowej, znanej jako „katusza” i wciąż otoczonej wielką tajemnicą. Akopow jest niskim Ormianinem o siwych włosach, drobnej przebiegłej twarzy i pięknych oczach.

Potem zjawia się marszałek Worobjow w towarzystwie generała Kaljagina. Worobjow jest doradcą Stalina do spraw wojsk inżynieryjnych i zaopatrzenia. Ponieważ jego problemy dotyczą również mojego wydziału, poznaliśmy się już, a on wita się ze mną ciepło. Potrzebujemy się nawzajem, a zarówno on, jak i Kaljagin, wiedzą, jak bardzo. Ja pracuję, aby zaspokoić potrzeby frontów. W trakcie pogawędki i picia herbaty nie spuszcza my wzroku z wielkich dębowych drzwi prowadzących do komnat Aleksieja Kosygina. Wreszcie drzwi się otwierają.

- Aleksiej Nikołajewicz zaprasza na naradę - oznajmia sekretarz.

Zapada cisza. Uśmiechy gasną. Wszyscy przybierają swoje najbardziej oficjalne maski. W obecności Kosygina jesteśmy tylko jeden mały krok od naszego Ukochanego Przywódcy. Pokój jest ogromny, wysoki, doskonale owalny w kształcie. Na kremowych ścianach wiszą portrety wszystkich członków Politbiura. Naszą uwagę przyciąga odbiornik radiowy zagranicznego pochodzenia; zwykli śmiertelnicy nie mogą posiadać radioodbierników podczas wojny. Stół konferencyjny, przykryty zielonym suknem, jest dostatecznie wielki, by pomieścić trzydziestu ludzi.

Kosygin, w zagranicznym garniturze, zasiada u szczytu stołu. Ma ponury wyraz twarzy, a jego rysy świadczą wymownie o niewyspaniu i zmęczeniu. Odpowiada na pozdrowienia komisarzy i generałów suchym kiwnięciem głowy.

- Siadajcie - mówi. - Szef GWIUK złoży raport.

GWIUK to skrót nazwy wydziału kierowanego przez marszałka Worobjowa, który wstaje, żeby zabrać głos. Żadnemu z nas, a już na pewno nie marszałkowi, nie umknął fakt, że nie zwrócono się doń po nazwisku. To znak, że Kosygin jest w złym nastroju. Możemy oczekiwać fajerwerków.

Marszałek Worobjow mówi około piętnastu minut, posługując się notatkami. Przytacza liczby, mnóstwo liczb. Kreśli czarny obraz braków w zaopatrzeniu. Nie ma łodzi motorowych do przepraw rzecznych, mówi, za co płacimy tysiącami zabitych. Nie ma składanych mostów, nie ma min, by opóźnić pochód przeciwnika, nie ma warsztatów naprawczych, nie ma kabla i sprzętu telefonicznego, nie ma piecyków do ogrzania okopów, nie ma nawet siekier i łopat dla piechoty.

Kosygin wbija wzrok w bloczek przed sobą, kreśli coś niecierpliwie i z irytacją. Mięśnie jego twarzy drgają nerwowo. Dlaczego nie mamy nic, żeby się przeciwstawić szatańsko skutecznemu i zmotoryzowanemu nieprzyjacielowi? - zadaję sobie w duchu pytanie. Dlaczego

roztrwoniliśmy te dwa lata? W miarę jak marszałek czyta statystyki, przez jego wojskową rzeczowość przebijają się uczucia. Głos więźnie mu w gardle, kiedy woła:

- Ludzie giną tysiącami na froncie właśnie w tej chwili! Dlaczego nie potrafimy im dostarczyć zwykłych łopat i siekier, nożyc do cięcia drutu kolczastego? Nasi chłopcy robią kładki z własnych krwawiących ciał, ponieważ nie mają narzędzi do cięcia drutu! Towarzysze, to hańba, hańba! Nie mamy lamp - nie mówię o latarkach, zwykłych lamp naftowych. W ciągu ostatnich kilku miesięcy towarzysz Stalin osiem razy osobiście rozkazywał dostarczyć te lampy, ale front ciągle ich nie ma. Nie mamy sprzętu do maskowania. Błagam was, towarzysze, którzy kierujecie przemysłem, w imieniu prostego żołnierza na froncie.

- Wszystko jasne - mówi Kosygin napiętym głosem, kiedy marszałek siada. - Jakie lampy macie na myśli?

Pułkownik siedzący za marszałkiem podnosi prymitywną okrągłą lampę, metalową ramę ze szklanymi szybkami.

- I nie potrafimy wyprodukować takiej drobnostki? - woła Kosygin gniewnie.

Przypadkiem znam ten problem. Za zgodą Utkina zabieram głos.

- Pozwólcie mi wyjaśnić, Aleksieju Nikołajewiczu. Produkcja lamp postępuje wolno, ponieważ nie mamy blachy żelaznej, wyłaczarek, szkła odpowiedniej grubości i jakości. Wielkie zakłady blacharskie ewakuowane z Nowomoskowska jeszcze nie podjęły pracy. Szkło możemy dostać tylko z Krasnojarska. Może towarzysz Sosnin mógłby nam powiedzieć, dlaczego nie przychodzi.

- Te lampy muszą być zrobione! - Kosygin nagle krzyczy i wali pięścią w stół. - Ostrzegam was wszystkich, trzeba skończyć z tą zbrodniczą bezczynnością! Choćbym miał obedrzeć leniwych drani ze skóry, zaopatrzenie wojenne musi dotrzeć na front, tak jak życzy sobie towarzysz Stalin! Sosnin - raport!

Ponury Sosnin sprawia wrażenie zdruzgotanego. Mówi beznadziejnie monotonnym głosem. Maszyny w Krasnojarsku są w złym stanie, elektrownia nie działa, nie ma wykwalifikowanej siły roboczej...

Kosygin wywołuje Akimowa i innych. Konferencja ciągnie się godzina za godziną. Każdy kolejny raport pogłębia przytłaczające poczucie rozpacz. „Wąskie gardła” w materiałach, maszynach, środkach transportu wydają się coraz liczniejsze - nieprzebyty las „wąskich gardeł”. Kosygin już nie mówi, już nie zadaje pytań. Krzyczy, rozkazuje, ustala normy i daty bez konsultacji z kimkolwiek - a wszyscy komisarze ludowi, generałowie, wiercą się niespokojnie, jak sztubacy strofowani przez rozgniewanego nauczyciela. Staramy się nie patrzeć na siebie. Wszyscy wiemy, i Kosygin wie, że trudności są prawdziwe, że nikt z nas nie potrafi dokonywać cudów.

W pewnym momencie, podczas gniewnej tyrady pod adresem komisarza Ginzburga, dzwoni telefon. Najwyraźniej Kosygin rozpoznaje dźwięk. Jego ton, wyraz twarzy, cała jego postawa zmieniają się raptownie, stają się potulne, uniżone.

- Tak, Iosifie Wissarionowiczu... Oczywiście, Iosifie Wissarionowiczu... Będzie wykonane!... Tak, podejmę natychmiastowe środki... - mówi.

Stalin! Dreszcz strachu i szacunku przechodzi przez zebranych wokół stołu. Siedzimy nieruchomo jak posągi. Kosygin odkłada słuchawkę cicho, ostrożnie, jakby była zrobiona z kruchego szkła. Potrzebuje całych pięciu minut, żeby wprowadzić się z powrotem w gniewny i władczy nastrój.

Jest czwarta trzydzieści rano, kiedy narada się kończy. Wszyscy otrzymaliśmy instrukcje: pół miliona mundurów maskujących, milion łopat, sto tysięcy telefonów polowych - całe dziesiątki oszałamiających liczb. Wszyscy wiemy, że zadania są niewykonalne i jeśli zostaną wykonane choćby w siedemdziesięciu pięciu procentach, będzie powód do radości, premie i Ordery Zasługi. Wszyscy wiemy też, że są celowo zawyżone, aby wycisnąć z przemysłu wszystko, co się da, i że potrzeby są znacznie większe od planów.

W domu wspinam się ciemną klatką schodową na najwyższe piętro, wymacuję w ciemnym korytarzu drogę do naszych drzwi. Irina się podnosi. Dlaczego wracam tak późno, pyta, co się stało? Nic, nic, śpij... po prostu kolejna narada. Wstaje świt...

Uczestniczyłem w dziesiątkach takich narad, zwoływanych przez zastępców Stalina: Wozniesińskiego, Saburowa, innych. Procedura i nastrój były zawsze takie same. Na wszystkich naradach dominowały rozkazy, dyrektywy, żądania Stalina, który nie chciał słyszeć o trudnościach i domagał się rezultatów.

ROZDZIAŁ XXV

Dwie prawdy

Jako szef wydziału Sownarkomu nie zarabiałem nawet połowy tego, co w przemyśle, i nie dostawałem hojnych premii, które przyznawała sobie administracja fabryczna. Ale w czasie straszliwych niedoborów pieniądze nie miały znaczenia. Co się liczyło naprawdę, to nasze przydziały i sklepy, w których mogliśmy kupować.

A pod tym względem należałem do najwyższej kategorii. Miałem dostęp do specjalnych sklepów („zamkniętych rozdzielni” w napuszonym oficjalnym żargonie), jak również do pracowni obuwniczych i krawieckich, zarezerwowanych dla władzy. Spotykałem tam przedstawicieli elity partyjnej, rządowej, policyjnej, kremlowskiej; czasem ich żony, kierowców i służbę.

Nawet jeden Rosjanin na tysiąc nie podejrzewał, że tak obficie zaopatrzone sklepy istnieją, bo władze utrzymywały je w tajemnicy przed masami. Zwykle przed naszymi „zamkniętymi” sklepami ustawiał się sznur eleganckich samochodów, ale nieliczni przechodnie nie wiedzieli po co. Żaden zwykły moskwianin nie mógł nawet spojrzeć na zagraniczne i krajowe wspaniałości sprzedawane w tych sklepach, a co dopiero ich posmakować.

Nasze zakupy były oczywiście ograniczone przydziałami. Znacznie jednak przewyższały one przeciętną i obejmowały artykuły, o których w powszechnej świadomości nie pozostało już nawet wspomnienie. Należałem do kategorii ludzi uwolnionych od presji głodu i chłodu, które trzymały nasz naród w bezlitosnym uścisku. Kraj cierpiał tak samo okrutnie jak w najgorszych latach wojny domowej – po ćwierćwieczu „socjalistycznego budownictwa” i kilku udanych planach pięcioletnich.

Moja miesięczna racja obejmowała bekon, konserwy, masło, cukier, mąkę, soloną wieprzowinę – wszystko sprowadzone ze Stanów Zjednoczonych – jak również radziecki drób, wędzoną rybę, jarzyny, wódkę, wino, papierosy. Za piętnaście tysięcy rubli nie kupiłbym na czarnym rynku tego, co nabywałem za około stu pięćdziesięciu rubli w „zamkniętym” sklepie, do którego wejścia strzegł milicjant. Jeśli mimo to zdarzały się dni, kiedy moja żona chodziła głodna, to jak żył przeciętny człowiek? Specjalni krawcy, pracujący wyłącznie dla najwyższego kręgu biurokracji, szyli dla nas na zamówienie garnitury

z amerykańskiego i angielskiego materiału z lend-lease'u w czasie, kiedy byle jakie ubranie kosztowało na wolnym rynku tysiące rubli.

Od czasu do czasu moskiewskie „otwarte” sklepy – gdzie sprzedawano towary nieracjonowane, a więc po wyśrubowanych cenach – miały krótkie okresy koniunktury. Wieści o dostawach sukienek, garniturów, ubranek dla dzieci rozchodziły się lotem błyskawicy. Natychmiast ustawiały się długie kolejki, chociaż najprostsza bawełniana sukienka mogła kosztować od pięciuset do tysiąca rubli, para pończoch od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu pięciu rubli, zwykły garnitur lub płaszcz dwa i pół tysiąca rubli albo więcej. Ludzie, zaopatrzeni w grube pliki zniszczonych, wystrzępionych, a często brudnych banknotów, stali godzinami, modląc się, żeby dla nich starczyło, kiedy nadejdzie ich kolej.

Artykuły codziennego użytku, takie jak nici, mydło, zapalniczki, żarówki, zastawa kuchenna i stołowa, dosłownie zniknęły. Pół litra nafty kosztowało na czarnym rynku dwieście rubli. Nawet w centrum Moskwy prąd dostarczano do domów mieszkalnych tylko przez dwie albo trzy godziny w nocy; ci, którzy nie mogli sobie pozwolić na naftę – to znaczy przeważająca większość ludzi – siedzieli w całkowitych ciemnościach za zaciemnionymi oknami.

Zimą 1942-1943 roku ludzie palili swoje meble, książki, nuty, wszystko, co mogło im zapewnić chociaż kilka minut ciepła. Wyrywali klepki z podłóg i krokwie z dachów, żeby uratować dzieci przed zamarznięciem. Pukali rankiem do drzwi głodujących sąsiadów, żeby spytać słabym głosem: „Wania – albo Maria – żyjesz jeszcze?”.

Irina i ja ustawiliśmy u siebie solidny żelazny piec, a za pośrednictwem Sownarkomu udało mi się dostać trochę drewna. Od czasu do czasu pożyczaliśmy trochę naszym sąsiadom, chociaż było to wbrew przepisom.

Czasami zastanawiałem się, czy oznaki mojego względnego dobrobytu nie drażnią naszych sąsiadów. Irina gotowała na piecyku naftowym w naszym mieszkaniu. Chociaż dzieliliśmy się tą obfitością z przyjaciółmi, jedliśmy swoje racje z zakłopotaniem. Był to, bądź co bądź, czas, kiedy widok mężczyzn i kobiet umierających z głodu na ulicach Moskwy stał się zbyt powszechny, by przyciągać tłumy.

Ale zmarłych grzebano, na wpół żywi jęczeli w swoich zimnych domach, a życie toczyło się dalej. W ramach obowiązków służbowych odwiedzałem bardzo wiele fabryk, które spóźniały się z produkcją. Zwykle przekonywałem się, że jednym z głównych powodów są niedobory żywności. Tam, gdzie administracja była w stanie zapewnić przynajmniej jeden posiłek regeneracyjny, różnica objawiała się w tempie produkcji. „Dajcie nam więcej żywności, a damy wam więcej wyrobów – błagali nieodmiennie dyrektorzy. – Nasi ludzie nie mają siły, żeby dotrzymać waszych terminów”.

Pewnego razu Pamfilow wysłał mnie samochodem do Sołniecznogorska pod Moskwą, na inspekcję dwóch fabryk. Nastąpiły opóźnienia w mieleniu mąki, ponieważ brakowało przetaków, do których potrzebny był najwyższej jakości drut, a taki drut mógł być produkowany w tych właśnie fabrykach. Towarzyszył mi młody człowiek, przedstawiony jako inżynier, ale z całą pewnością funkcjonariusz wydziału gospodarczego NKWD - nie był to obraźliwy brak wiary w moją uczciwość, lecz rutynowa procedura.

Jechaliśmy przez obszar zajmowany wcześniej przez Niemców i zniszczony bombami i ogniem artyleryjskim. Po obu stronach drogi widzieliśmy rozbite niemieckie czołgi i samochody. Mijaliśmy miasteczka i wioski, gdzie nie ocalał ani jeden dom. Podobne do upiorów kobiety i dzieci, obdarłe, o pustych oczach, wyczołgiwały się z ruin i wyciągały drżące ręce. Mieliśmy paczkę żywnościową przygotowaną w kuchni Sownarkomu, ale rozdaliśmy ją całą, zanim dotarliśmy na miejsce. Od czasu do czasu napotykaliliśmy duże grupy jeńców, naprawiających drogę pod silną eskortą.

Sam Sołniecznogorsk uniknął zniszczeń. Czekali na mnie dyrektorzy fabryk, którzy okazali się chętni do współpracy. Zgodzili się, że ich maszyny można przystosować do produkcji drutu, ale wszyscy opowiadali tę samą ponurą historię o dotkliwym głodzie.

- Nasi ludzie chcą pracować - powiedział jeden z nich. - Jak widzicie, mamy tylko bardzo starych mężczyzn, małe dzieci i kobiety bez żadnego doświadczenia. Ale są chętni. Jeśli trzeba, zostają w fabryce po kilka dni z rzędu, śpiąc na podłodze. Ale jeśli nie dostaną przynajmniej zwykłych racji chleba, tak jak w innych miastach, nie będą mieli siły pracować.

- Dlaczego nie dostajecie takich samych racji? - spytałem ze zdumieniem.

- Ponieważ jesteśmy w okręgu rolniczym. Teoretycznie powinniśmy dostawać nasz przydział ze wsi. Ale to tylko teoria. W rzeczywistości sami chłopcy głodują. Pewnie widzieliście ich po drodze.

Mój młody towarzysz był tak samo zaniepokojony żalosną sytuacją w fabrykach, jak ja. Zgodził się ze mną, kiedy wracaliśmy, że jakakolwiek propozycja uruchomienia produkcji w Sołniecznogorsku mija się z celem, jeśli nie rozwiąże się najpierw problemu wyżywienia.

Kiedy dotarłem do swojego gabinetu, moi szefowie wyszli na wieczorną sjęstę. Zanim wrócili, miałem gotowy projekt decyzji rządowej o natychmiastowym przestawieniu fabryk na nową produkcję. Około północy przyjął mnie Pamfilow. W obecności Utkina przeczytał mój projekt.

- Dobrze... dobrze... znakomicie - kiwał połyskującą łysiną. Ale nagle twarz mu się nachmurzyła. - Co to jest? „Pięćset gramów chleba dziennie dla robotników i ich rodzin...”.

- Tak - powiedziałem z ożywieniem. - To podstawa. Ci ludzie są po prostu głodni.

- Wykreślcie ten punkt z projektu - rozkazał Pamfiłow.

- Ależ Konstantynie Gawriłowiczu, błagam was, zostawcie to w projekcie. Przyznaję, kilku robotników może i ma własne ogródki albo krewnych na wsi, ale to za mało. Ci ludzie będą pracować i powinni dostawać robotnicze racje.

- Żal mi ich tak samo jak wam, towarzyszu Krawczenko, ale ten punkt trzeba wykreślić.

Zanim poprawiony projekt przesłano Mołotowowi do zatwierdzenia, znowu poprosiłem Pamfiłowa, żebyśmy podkreślili potrzebę zapewnienia chleba robotnikom w Sołniecznogorsku, jeśli fabryki mają podjąć produkcję. Przewodniczący Sownarkomu spojrział na mnie z nieskrywaną irytacją.

- Krawczenko, posłuchajcie. Jesteście pracownikiem opieki społecznej czy bolszewikiem? Humanitaryzm to zły doradca przy podejmowaniu decyzji wagi państwowej. Uczcie się od towarzysza Stalina - trzeba kochać ludzi, ale poświęcać ich, jeśli to konieczne!

Fakt, że dwie fabryki, choć otrzymały odpowiednią ilość surowca, nie wyprodukowały nawet połowy zamówionego drutu, wcale mnie nie zaskoczył.

Kolejna podróż jeszcze wyraźniej wyryła się w mojej pamięci. Tylko jakiś współczesny Dante w chwili przygnębienia znalazłby słowa, żeby opisać tajną podziemną fabrykę Ludowego Komisariatu Uzbrojenia, opartą głównie na pracy niewolniczej.

Za Podolskiem, w głębi obwodu moskiewskiego, jedynie na podstawie specjalnego zezwolenia można było wsiąść do pociągu, który powiózł nas przez gęsto zalesiony obszar. Funkcjonariusze NKWD kilka razy sprawdzali nasze dokumenty. Pociąg jechał wolno i bez przerwy widzieliśmy z okien wielkie grupy więźniów - nie można nie rozpoznać tych nieszczęśników - ścinających i piłujących drzewa, wlokących je w stronę torów kolejowych. W końcu zatrzymaliśmy się na ślepym torze i wysiedliśmy.

Na polanie stała fabryka amunicji. W lesie za nią, niewidoczne, z dobrze zamaskowanymi wąskimi wejściami do podziemnych komór, znajdowały się rozległe podziemne hale, gdzie tysiące więźniów i wolnych robotników napełniało granaty, bomby, miny i innego rodzaju amunicję materiałem wybuchowym. Cały teren otaczający ten podziemny świat był ogrodzony drutem kolczastym i strzeżony przez uzbrojonych wartowników z NKWD, którym towarzyszyły czasem groźne psy, specjalnie wyszkolone do tego zadania.

Przyjechałem, wraz ze swoim towarzyszem, aby rozstrzygnąć konflikt pomiędzy tą fabryką a inną, która dostarczała część surowców.

Po wieczornej konferencji z urzędnikami zakwaterowano mnie na noc w fabrycznym hotelu. Ponieważ chciałem się przyjrzeć więźniom przy pracy, wstałem wcześniej. Padał zimny deszcz. Niedługo po szóstej zobaczyłem kolumnę około czterystu mężczyzn i kobiet, maszerujących dziesiątkami pod silną eskortą w stronę tajnych warsztatów.

Przez lata napatrzyłem się na tych nieszczęsnych niewolników w najróżniejszych warunkach. Nie przypuszczałem, że przyjdzie mi oglądać stworzenia jeszcze bardziej żalosne niż te, które widziałem na Uralu i Syberii. Tutaj koszmar zdawał się urastać do bardziej szatańskiego wymiaru. Te twarze - chorobliwie żółte, bez kropli krwi - wyglądały jak wstrząsające pośmiertne maski. To były żywe trupy, śmiertelnie zatrute chemikaliami, które wdychały w tym piekle.

Niektórzy z nich mieli po pięćdziesiąt lub więcej lat, ale zdarzali się też młodzi ludzie, dwudziestokilkuletni. Szli w milczącym przygnębieniu, jak automaty, nie patrząc ani w prawo, ani w lewo. I byli nieprawdopodobnie ubrani. Jedni mieli na nogach gumowe kalosze, przywiązane do stóp sznurkiem; inni owinęli sobie stopy szmatami. Niektórzy byli w chłopskim odzieniu, kilka kobiet miało astrachańskie płaszcze, a tu i ówdzie zauważyłem też dobre zagraniczne garnitury. Kiedy przechodzili obok budynku, z którego patrzyłem, jakaś kobieta nagle upadła. Dwaj strażnicy odciągnęli ją; żaden z więźniów nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Zatracili wszelkie współczucie, wszelkie ludzkie odruchy.

Następne takie kolumny maszerowały do podziemnego piekła z innych kierunków, z kolonii karnych NKWD, ukrytych głęboko w lasach, prawdopodobnie oddalonych o całe kilometry. Wieczorem zobaczyłem dwa razy dłuższą kolumnę, wlokącą się w deszczu i błocie na nocną zmianę.

Nie wpuszczono mnie pod ziemię, a ja, prawdę mówiąc, nie miałem wielkiej ochoty tam wchodzić. Ale od urzędników, z którymi rozmawiałem przez następne dwa dni, uzyskałem dostatecznie wyrazisty obraz cierpienia i pogardy dla ludzkiego życia. Podziemna fabryka była źle wentylowana, ponieważ wybudowano ją w panicznym pośpiechu, z całkowitym brakiem poszanowania dla zdrowia robotników. Kilka tygodni w oparach i wyziewach wystarczało, aby zatruć ludzki organizm na zawsze. Wskaźnik śmiertelności był bardzo wysoki; ludzi dostarczano niemal tak samo nieustannie jak surowce.

Fabryką kierował komunista o zawziętej twarzy, z Orderem Lenina i innymi odznaczeniami na piersi. Kiedy zacząłem pytać o jego robotników, popatrzył na mnie dziwnie, jakbym dopytywał się o zdrowie i wygodę stada mułów.

- Niestety, nie ma wśród nich zbyt wielu wykwalifikowanych robotników - powiedział - a ja mam z nimi mnóstwo kłopotów. Pytacie

mnie, co to za ludzie, ci więźniowie, polityczni czy kryminaliści. To mnie nie interesuje; to sprawa NKWD, które dostarcza mi rąk do pracy. Wiem tylko, że to wrogowie ludu.

Przez całe miesiące nie mogłem wyrzucić z pamięci tego obrazu. Zabarwiał moje uczucia, nawet gdy mój umysł i moje ręce były zajęte innymi rzeczami. A w następnych latach, w dalekim kraju, to wspomnienie miało mnie czasem nawiedzać, nagle, uporczywie, kiedy słyszałem, jak Amerykanie rozwodzą się nad cudami radzieckiego komunizmu. Nie mogłem się powstrzymać od myśli: *Gdybym tylko mógł was umieścić w tej podziemnej fabryce na dwa dni, nie więcej niż na dwa dni, śpiewalibyście inaczej, głupcy!*

2

Dziedziną obrony narodowej, na którą Kreml nie szczędził swoich najlepszych ludzi, energii i retoryki przez kilkanaście lat, było lotnictwo. A mimo to nasze zacofanie na tym polu stało się dla mnie wystarczająco jasne z dokumentów podpisanych przez Stalina i Mołotowa, które przechodziły przez mój wydział.

Na mocy porozumienia gospodarczego, które towarzyszyło upokarzającemu paktowi o „przyjaźni”, przekazano Hitlerowi góry stali, miedzi i aluminium. Ogromną część tego, co pozostało, zdobyły niemieckie wojska. Zakłady lotnicze w Charkowie, Kijowie, Zaporozżu, Taganrogu i innych miastach udało się ewakuować tylko częściowo, reszta wpadła w ręce wroga. Rezultat był taki, że w niektórych przypadkach nasi lotnicy musieli latać na samolotach zrobionych ze sklejki. Kilka pocisków zapalających wystarczało, żeby je wykończyć. Rosyjskie lotnictwo, jak się dowiedziałem, ponosiło większe straty niż siły powietrzne innych walczących krajów. Aby nadrobić niedobór maszyn, nasi piloci wykonywali więcej lotów dziennie niż piloci innych krajów. Sytuacja poprawiła się, oczywiście, wraz z pojawieniem się samolotów z lend-lease’u.

Jesienią 1942 roku Stalin wydał tajne rozporządzenie, aby natychmiast przystąpiono do produkcji ognioodpornej substancji, która miała być wykorzystywana do pokrywania samolotów. Była to mieszanina żywic na bazie chlorku winylu, zaproponowana przez Instytut Materiałów Lotniczych. Stalin przywiązywał ogromne znaczenie do tego przedsięwzięcia, które, od strony produkcyjnej, koncentrowało się w moim wydziale.

Nastąpiły całe tygodnie narad z szefami zakładów chemicznych i różnymi lotniczymi biurami konstrukcyjnymi. Proponowana formuła, jak się okazało, była bardzo niepewna i niekompletna. Ostatecznie szefowie instytutu zostali nagrodzeni za swoje osiągnięcie, ale gdyby

znano prawdę, nagrody powinni otrzymać inżynierowie i prości robotnicy, którzy trudzili się dzień i noc, udoskonalając proces. Cały wysiłek poszedł niestety na marne.

- Zakładając, że uda nam się pokryć samoloty tą substancją - spytałem pewnego razu generała lotnictwa w swoim gabinecie - czy to naprawdę pomoże?

Rozejrzał się, jakby chciał się upewnić, że nikt nie podsłuchuje, nachylił się i szepnął:

- Mniej więcej tak samo jak lody nieboszczykowi... Trafiony najnowszym niemieckim pociskiem zapalającym, samolot spłonie. Mówiąc między nami, cała rzecz ma wyłącznie znaczenie psychologiczne. Może podnieść morale naszych lotników, przynajmniej na jakiś czas. To bohaterowie, wszyscy bez wyjątku, ale są tylko ludźmi. Wykorzystywanie przerobionych samolotów cywilnych i samolotów z drewnianymi częściami do celów wojskowych nie działa dobrze na ich psychikę.

Trzeba było wyprodukować dziesiątki rodzajów instrumentów, specjalnych aparatów i materiałów, w szybkim tempie i w najbardziej niesprzyjających warunkach, żeby nasze lotnictwo osiągnęło stan gotowości bojowej przed zbliżającą się kampanią zimową. Ogrom naszych strat rozdzierał mi serce.

„Nasze lotnictwo zostanie sparaliżowane tej zimy, jeśli nie wyprodukuje się specjalnych urządzeń i instrumentów, szybko i w odpowiednich ilościach” - napisał marszałek Nowikow do Mołotowa w tajnym raporcie, który trafił w moje ręce.

Kiedy kierowałem fabrykami na Ukrainie, na Uralu, na Syberii, drażniły mnie nieustanne telefony i telegramy z Moskwy i innych ośrodków, przynaglające do pośpiechu. Teraz role się odwróciły. Teraz ja nieustannie telefonowałem, depeszowałem, błagałem i żądałem. Wiedziałem aż za dobrze, że jest to irytujące i często daremne. Ale robiłem to nadal. Czas miał zasadnicze znaczenie, a ja znajdowałem się pod nieubłaganą presją przełożonych.

Czy produkcję wstrzymywał brak jakiegoś niezbędnego surowca, wyposażenia, siły żywej? Nękałem komisariaty, które dostarczały surowce i wyposażenie, instytucje, które odpowiadały za siłę żywą - jeśli trzeba, korzystałem z pomocy Państwowego Komitetu Obrony, organów partyjnych, odpowiednich kremlowskich urzędników - i jakimś cudem zdobywałem to, co było potrzebne.

Niezwykłe jest to, że instrumenty, o które błagał marszałek Nowikow, rzeczywiście nadeszły, w ilości i jakości wyszczególnionej w zarządzeniu Stalina na ten temat. Nadzór nad produkcją samolotów koncentrował się w rękach Mołotowa, ale większość rozkazów podpisywał sam Stalin. Woziliśmy aparaty tlenowe z Gorkiego do Moskwy samochodem.

Sprowadzaliśmy węgiel wapnia przez linię frontu z Erywania do Moskwy. Ale w końcu zamówione instrumenty zostały wykonane. Sporządziłem projekt dekretu o nagrodach dla tych, którzy przyczynili się najbardziej do wykonania zadania. Dekret, zasadniczo w niezmienionej formie, ukazał się w prasie. Kilka dni później zadzwonił do mnie marszałek Nowikow.

- Towarzyszu Krawczenko - powiedział drżącym z emocji głosem - chcę wam podziękować w imieniu naszych lotników. Dużo im mówiłem o waszej oddanej pracy i chcę wam powiedzieć, że wszyscy jesteśmy wdzięczni.

Męczył nas również problem szpul do telefonów polowych. Za dostarczanie środków łączności na front odpowiadał towarzysz Saburow, jeden z zastępców Stalina, i dlatego często kontaktowałem się z jego biurem. Konkretnie dyrektywy podpisywał jednak Stalin osobiście. Podczas długiej nocnej narady na Kremlu, pod przewodnictwem Saburowa i z udziałem wielu komisarzy, omawiano i sprawdzano plany produkcyjne. Ponieważ brakowało blachy, po długich debatach postanowiono robić szpule z drewna, mimo stanowczego sprzeciwu rzeczników wojskowych.

Mniej więcej miesiąc później przedstawiciele wszystkich zainteresowanych komisariatów i odpowiedni urzędnicy wojskowi zasiedli w moim gabinecie. Po kolei meldowali o rezultatach. Tylko jeden człowiek, zastępca komisarza, sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Nasz plan w dziedzinie środków łączności - oznajmił - został przekroczony - sto pięć procent!

Natychmiast się zorientowałem, że coś jest nie tak. Jego komisariat dostarczył tylko znikomą ilość gotowych produktów i instrumentów. Ze zdumieniem i gniewem poprosiłem, żeby wyjaśnił tę cudowną liczbę. Zrobił to. Szybko się okazało, że produkcja niektórych części do aparatów sięgała dwustu siedemdziesięciu procent zapotrzebowania, natomiast w przypadku innych elementów wahała się w granicach trzydziestu procent. Jego dumna deklaracja odnosiła się do średniej. Było to typowo biurokratyczne osiągnięcie statystyczne. W rzeczywistości, oczywiście, to najniższy wskaźnik określał liczbę kompletnych, gotowych aparatów. Jego komisariat wykonał tylko trzydzieści procent planu.

Wszyscy się roześmieli z jego zmieszania. Nie było się jednak z czego śmiać. Jak wyjaśnili generałowie, brak środków łączności kosztował życie tysięcy żołnierzy, a czasem decydował o przegranych bitwach. „Wąskim gardłem”, jak się okazało, była produkcja wspomnianych szpul. Fabryki nie zdołały wykonać nawet drewnianych substytutów zatwierdzonych przez Kreml.

W związku z tą sprawą odwiedziłem zakłady wyrobów drewnianych

na przedmieściach Moskwy, aby osobiście sprawdzić, dlaczego nie dostarczono szpul. Dyrektor wyjaśnił, że ma za mało wykwalifikowanej siły roboczej, tylko kilku ludzi, jak się zorientowałem, pracowało nad tym zamówieniem.

- A co się tutaj dzieje? - spytałem, wchodząc do innej hali, gdzie produkcja była w pełnym toku.

To, co zobaczyłem, doprowadziło mnie do furii. Około stu pięćdziesięciu ludzi zajmowało się wyrobem eleganckich mebli: otoman, biurek, przeszklonych szafek, ogromnych foteli, w większości z najlepszego mahoni.

- Nie ma wykwalifikowanej siły roboczej, mówicie! A tutaj marnotrawicie ją na luksusowe meble. Otomany - podczas gdy ludzie giną na polu walki! To zbrodnia i ostrzegam was, zrobię skandal!

Dyrektor nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego. Wzruszył ramionami, a ja zauważyłem stłumiony uśmiech w kącikach jego ust.

- Nie winię was, że jesteście wściekli - powiedział. - Prawdę mówiąc, mnie też to złości. Ale jestem tylko małym człowieczkiem. Co mam robić, muszę słuchać wielkich ludzi. Chodźcie do mojego gabinetu, pokażę wam.

W gabinecie pokazał mi dokumenty. Meble produkowano na zamówienie najwyższych dygnitarzy partyjnych, rządowych i wojskowych, między innymi, jak pamiętam, dla Wasilija Pronina, przewodniczącego moskiewskiej Rady Miejskiej, generała Muchina i Szczerbakowa, sekretarza Komitetu Centralnego.

Popędziłem do Sownarkomu, wciąż kipiąc gniewem, i wpadłem do gabinetu Utkina. Przedstawiłem mu fakty. Ledwo mógł uwierzyć własnym uszom.

- Robią eleganckie fotele zamiast sprzętu wojskowego, zamówionego przez towarzysza Stalina! - wykrzyknął. - To oburzające! Winnych należy posłać do więzienia!

- Zgadza się. I cieszę się, że też tak myślicie, Andrieju Iwanowiczu! Ale dyrektor pokazał mi, że robi te cywilne dobra dla towarzysza Pronina, Szczerbakowa, generała Muchina...

Wyraz twarzy Utkina zmienił się natychmiast. Błysk gniewu zgasł w jego oczach.

- Ach tak? Dla Szczerbakowa... rozumiem - wymamrotał, wiercąc się nerwowo. - Tak... hmm... to jest problem. Przypuszczam, że wygoda naszych przywódców też jest priorytetem wojennym... Muszę się nad tym zastanowić.

Zastanawiał się dosyć długo, podczas gdy fabryka nadal produkowała meble, a wojskowi błagali o szpule telefoniczne, drewniane kolby do karabinów i tak dalej. Kilka razy, nie bez złośliwości, przyznaję, poruszałem tę kwestię, ale na próżno. Nie śmiałem zwracać się z tym

do Saburowa ponad głową Utkina, a Utkin najwyraźniej nie chciał przysparzać sobie wrogów politycznych.

Było nieuniknione, że w wydziale zaopatrzenia wojskowego zostaną wtajemniczeni w jeden z najściślej strzeżonych i najbardziej gorzkich sekretów Rosji podczas wojny. Ów sekret ciążył wszystkim, którzy go znali. Dopiero zwycięski koniec wojny pozwala o nim mówić.

Tylko niewielka część ludności cywilnej została wyposażona w maski przeciwgazowe. Nawet w Moskwie miała ją zaledwie co czwarta osoba. W innych częściach kraju sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej; w większości małych miasteczek i wiosek nie było ich wcale. Przeróżający sekret polegał na tym, że bardzo niewiele masek, czy to wydawanych żołnierzom, czy też będących w posiadaniu cywilów, spełniało swoją funkcję. Według oficjalnych szacunków co najmniej sześćdziesiąt pięć procent masek produkowanych podczas wojny było całkowicie bezużytecznych. Z braku gumy musieliśmy wykorzystywać gumowane płótno, które nie przylegało szczelnie do twarzy użytkownika. Brakowało również blachy, szkła i innych rzeczy potrzebnych do produkcji masek.

Gdyby Niemcy się o tym dowiedzieli, prawdopodobnie rozpętaliby wojnę chemiczną na straszliwą skalę. Jeśli o tym wiedzieli, to musimy zakładać, że ostrzeżenia o bezlitosnych działaniach odwetowych, wydawane przez Roosevelta i Churchilla, ocaliły miliony moich rodaków na polach bitew i w ośrodkach miejskich.

Pewnego razu, rozmawiając z wysokim urzędnikiem wojskowym z wydziału broni chemicznej, spytałem go wprost, dlaczego akceptuje te maski.

- A jaki jest wybór? - odparł, wzruszając ramionami w geście rozpaczy. - Żadnych masek w ogóle! A te, które są, mają przynajmniej wartość psychologiczną.

Którejś nocy znalazłem się przypadkiem w gabinecie Utkina, kiedy przygotowywał się do wyjścia. Zobaczyłem, jak podchodzi do sejfu i wyjmuje kilka nowych, dobrze wykonanych masek przeciwgazowych. Najwyraźniej moja twarz odzwierciedlała moje uczucia.

- Nie patrzcie tak oskarżycielsko - uśmiechnął się. - To dla mojej żony i dzieci. Kto wie, co się zdarzy... Nie ma powodów do paniki, ale zdrowy rozsądek nakazuje ostrożność.

- Ale, Andrieju Iwanowiczu, dlaczego nie używacie masek, które wydaje się ludności?

- Oszałeliście? - wykrzyknął, a potem dodał pojednawczo: - Postaram się, żebyście dostali dwie, dla siebie i dla waszej żony.

Jeśli chodzi o schrony przeciwgazowe dla ludności, to sytuacja była jeszcze gorsza. Wybudowano ich niewiele i w przypadku ataku gazowego mogły pomieścić tylko niewielką część mieszkańców wielkich

miast, a poza tym większość z nich była źle skonstruowana, nie dawały się hermetycznie zamknąć. W mniejszych miastach i w wioskach nie było oczywiście żadnych schronów.

W Moskwie stację metra Kirowskaja przekształcono w schron przeciwgazowy dla wysokich dygnitarzy; były też schrony w poszczególnych komisariatach. W naszym Sownarkomie mieliśmy schron z dywanami, bufetem, biblioteką. Ale nie stanowiło to wielkiej pociechy dla zwykłych obywateli. Niewiele lepiej przedstawiała się sytuacja z obroną przeciwchemiczną, chociaż Politbiuro powierzyło ją specjalnym wojskom chemicznym NKWD.

Ale jeśli mieliśmy trudności z maskami przeciwgazowymi, telefonami polowymi, częściami zamiennymi do czołgów, pojazdami, samolotami, nadrabialiśmy je pod jednym przynajmniej względem. Pewnej nocy, kiedy ślezczałem nad plikiem raportów, Utkin poprosił mnie do swojego gabinetu. Zostałem go pochłoniętego czymś, co w pierwszej chwili wyglądało na jakąś dziwną grę. Na jego biurku, na krzesłach, wszędzie, leżały kawałki tektury obszyte złotym i srebrnym materiałem.

- Naramienniki! - zawołał radośnie.

Po całym pokoju były też rozrzucone szkice mundurów wszystkich rodzajów wojsk, od marszałka do porucznika, z naramiennikami. O przywróceniu epoletów, znienawidzonych kiedyś jako symbol carskiego militarizmu, nie ogłoszono jeszcze publicznie. Decyzję podjęło Politbiuro, a we właściwym czasie miała ją „zatwierdzić” Rada Najwyższa. Ale produkcja już się rozpoczęła, a to były wybrane próbki.

- Zabieram je na Kreml - powiedział Utkin. - Towarzysz Stalin obejrzy je osobiście. Czy nie są piękne?

Był w żartobliwym nastroju. Dopytywał się, kim chciałbym być - marszałkiem? Admiralem? Wybrał odpowiednie epolety i umieścił na moich ramionach.

- Nie, nie, te nie pasują - powiedział z udawaną powagą. - Może wystarczą wam te - pułkownikowskie, ale ładne.

- Andrieju Iwanowiczu - powiedziałem - czy te naramienniki i nowe mundury nie zostaną uznane przez wielu za powrót do rosyjskiego imperializmu?

Roześmiał się.

- Cóż za nedorzeczny pomysł! Kogo to obchodzi, co sobie pomyślą jacyś idioci w kraju czy za granicą? Serca pod złotymi naramiennikami będą prawdziwymi radzieckimi sercami, bijącymi razem, tak jak nasi ludzie walczą razem za idee towarzysza Stalina. - Urwał i dodał powoli, z naciskiem: - Poza tym, jeśli niektórzy ludzie uznają to za powrót do imperializmu, to może być nawet politycznie użyteczne. Przysporzy to naszemu krajowi przyjaciół w pewnych kręgach.

Komitet partii w każdej radzieckiej instytucji, wielkiej czy małej, jest sercem władzy dyktatorskiej, tak jak wydział specjalny, reprezentujący NKWD, jest jego silną prawą ręką. Komitet działa w imieniu członków partii (stanowiących zwykle znikomą mniejszość) i dba o ich ideologiczną czystość; nadzoruje działania polityczne instytucji i ukierunkowuje myślenie polityczne wszystkich pracowników. Ale jego władza jest w znacznym stopniu doczesna, jeśli można tak powiedzieć. Sekretarz komitetu, chociaż może trzymać się w cieniu, jest prawdziwym panem. W ostatecznym rozrachunku, dyrektor trustu czy fabryki przyjmuje rozkazy we wszystkich kwestiach politycznych od najwyższego funkcjonariusza partyjnego.

Również w Sownarkomie mieliśmy komitet partii i wykonywaliśmy mnóstwo zadań czysto partyjnych. Istniała jednak różnica: ponieważ Sownarkom sam w sobie jest rządem, czerpiącym władzę z Politbiura i Komitetu Centralnego, nie jest podporządkowany komitetowi partii. Na czele naszego komitetu partii stał komunistyczny weteran, Mironow. Sprawował najwyższą władzę we wszystkich kwestiach „wiary” – moralności politycznej, analizy wydarzeń i temu podobnych. Ale w rzeczywistej pracy instytucji nie mógł ingerować w decyzje Pamfilowa, Utkina i innych, którzy byli doczesnymi władcami.

Tak się składa, że nasze zebrania partyjne były prowadzone na nieco wyższym planie niż gdzie indziej. Rzadko roztrząsaliśmy konkretne problemy Sownarkomu, oddając się dyskusjom o szerszej polityce i artykułach wiary. Wszystkie odpowiedzialne stanowiska zajmowali oczywiście komuniści i odsetek członków partii, nawet na niższych szczeblach, był niezwykle wysoki. Zebrania partyjne przypominały zatem masowe wiece całego aparatu.

Cudzoziemcy, którzy próbują zrozumieć stalinowską politykę albo „radziecką mentalność”, studiując radziecką prasę i publiczne działania Kremla, dochodzą zwykle do absurdalnych wniosków. Nawet jeden na tysiąc nie chwyta bolszewickiej idei „dwóch prawd” – jednej dla mas, dla świata w ogóle, i drugiej dla partyjnych wiernych, wtajemniczonych. W czasie, gdy jakaś linia propagandowa lub działalność jest realizowana publicznie, członkowie partii mogą otrzymywać polecenie, aby ją lekceważyć, albo nawet wierzyć w coś dokładnie przeciwnego.

W tej krytycznej fazie wojny „odwrót od leninizmu” – w formie, nie w treści – był uważany za konieczny. „Elementy zacofane” w kraju i w Europie Wschodniej należało spacyfikować pozornym przywróceniem religii. Wartości moralne staromodnego narodowego patriotyzmu były wykorzystywane do ostatecznych granic. A wreszcie, chociaż trochę później, kapitalistycznych sojuszników uspokojono

„rozwiązaniem” Międzynarodówki Komunistycznej.

Świat zewnętrzny, i większość naszego społeczeństwa, przyjmował to ochoczo jako dowody wewnętrznej przemiany radzieckich przywódców. Później widziałem artykuły i książki, w których wysławiano ten „odwrót” jako znak zerwania Kremla z ideą rewolucji światowej. Znaleźli się nawet „eksperci”, którzy twierdzili naiwnie, że Związek Radziecki odchodzi od dyktatury i zbliża się do kapitalizmu. Udawali, że widzą, jak dwa modele życia, demokratyczny i totalitarny radziecki, spotykają się na wspólnej płaszczyźnie gdzieś pośrodku.

Gdyby któryś z tych ekspertów mógł zasiadać na naszych „zamkniętych” cotygodniowych zebraniach partyjnych dla wyższego personelu, byłby wstrząśnięty. Dla nas „odwrót od leninizmu” to po prostu tymczasowy manewr taktyczny. Kompromis z religią był upokarzającym, ale nieodzownym ustępstwem. Właśnie dlatego, że w tym trudnym momencie nasza partia i reżim poczuły się zmuszone do kompromisu, upominano nas, abyśmy umacniali swoje oddanie komunizmowi i swoją wewnętrzną wiarę, że ten taktyczny odwrót jest posunięciem w strategii stalinowskiego natarcia i ostatecznego zwycięstwa.

Żaden skutecznie zindoktrynowany komunista nie miał poczucia, że partia „kłamie”, kiedy na użytek publiczny udaje jedną politykę, a w rzeczywistości prowadzi zupełnie inną. Nie odczuwał z tego powodu większych wyrzutów sumienia niż dowódca w polu, który wprowadza w błąd i dezorientuje przeciwnika. Dopóki cały świat nie zostanie przekształcony w Związek Radziecki pod słońcem stalinizmu, sztab generalny rewolucji - czyli nasi przywódcy na Kremlu - musiał manewrować, raz atakować, raz wyczekiwać, czasem się cofać, żeby umocnić swoje pozycje, zawsze wykorzystywać sprzeczności wśród krajów kapitalistycznych. Burżuazyjni moralisci, którzy paplają o dwulicowości i perfidii, są dla bolszewickiego „realisty” po prostu dziwacznymi pozostałościami z martwej przeszłości i hipokrytami na dodatek.

W pracy partyjnej nie było żadnego śladu „doniosłych zmian”, które nastąpiły rzekomo w reżimie radzieckim. Poza tym, że rozmawiano o wojnie i związanych z nią zadaniach, zebrania partyjnych aktywistów nie różniły się w swojej treści politycznej, w tonie i retoryce od zebrań przedwojennych.

O dziesiątej wieczorem przychodzimy na nasze cotygodniowe zebranie. Towarzysz Mironow przewodniczy pod wielkim portretem Lenina, a inni ważni działacze siedzą obok niego na podium. Towarzysz Judin, szef rządowych agencji wydawniczych, który obecnie reprezentuje wydział agitacji i propagandy Komitetu Centralnego, jest dzisiaj naszym gościem. Ponieważ wiemy, że jest jednym z najbardziej

cenionych teoretyków Stalina, staramy się słuchać uważnie. Jego wystąpienie dotyczy sytuacji światowej. Ale Judin nie wygłasza zwykłych „opinii”, w sensie zachodnim. Są to obowiązujące prawdy i poglądy, od których nie ośmielimy się odejść - co więcej, żadnemu prawowiernemu komuniście nawet nie przyjdzie do głowy, żeby od nich odejść. Judin przemawia głosem Stalina, głosem partii i dyktatury radzieckiej.

Wcześniej jednak inny towarzysz przedstawia nam zarys sytuacji militarnej. Nie ukrywa ogromu strat ani rozmiarów zagrożenia. Stalingrad jest sprawdzianem. Nie ugniemy się, nie możemy. Gdyby Stalingrad padł, gdyby Niemcy przekroczyli Wołgę, zostalibyśmy odcięci od ropy; cały wysiłek wojenny byłby sparaliżowany. Ale to nie wszystko:

- Towarzysze, musimy zrozumieć, że Stalingrad nie jest po prostu jeszcze jednym miastem. Jest miastem noszącym imię Stalina, wodza światowego komunizmu. W Stalingradzie spotykają się w śmiertelnych zmaganiach dwa sposoby życia: kapitalizm w swojej faszystowskiej formie i komunizm. Armie Hitlera - i siła stalinowskiej idei. Jak ujął to Lenin: *kto kogo?* Miasto Stalina nie może paść i nie padnie, bez względu na cenę. Będziemy bronić każdego kamienia, każdej cegły. Do tego historycznego starcia przygotowano ogromne rezerwy ludzi i sprzętu. Niemcy utopiają się we własnej krwi. Świat dowie się, co oznacza imię naszego ukochanego Stalina. Stalingrad przetrwa stulecia jako wspaniały pomnik geniuszu naszego Ukochanego Przywódcy.

Kiedy oklaski cichną, towarzysz Judin zabiera głos. Słuchamy w wytężonym skupieniu. Chociaż jest marksistowskim teoretykiem, okrasza swoje wystąpienie ironią. Ma taki nawyk i daje nam jej dużą dawkę, szydząc nie tylko z hitlerowskiej kliky, ale z całego zgniłego, zdegenerowanego świata kapitalistycznego.

W Anglii i Ameryce, mówi nam Judin, wzbiera wśród mas potężna fala wiary w system radziecki. Cytuje Priestleya, Laskiego, innych. Ani Churchillowie, ani Rooseveltowie, ani ich socjalistyczni i „laburzystowscy” lokaje nie zdołają jej powstrzymać. W Anglii socjalfaszysta Clement Attlee jest częstym gościem faszystowskiej lady Astor. Wyciągnijcie z tego własne wnioski, towarzysze!

- Angielska burżuazja rozumie, że wojna rewolucjonizuje masy. Zażegnanie tego koszmaru jest dla niej ważniejsze niż pokonanie Niemców. Ale jak tego dokonać? Tak zwana Partia Pracy musi odwrócić uwagę uzbrojonych mas i uniemożliwić im przejęcie władzy pod przywództwem brytyjskiej partii komunistycznej i Międzynarodówki Komunistycznej.

Pozorna walka pomiędzy Churchillem a laburzystowską opozycją, według Judina, to tylko zapasy na niby. Obie grupy ściśle ze sobą współpracują, aby utrzymać w ryzach proletariat, i są gotowe śpiewać

Boże, chroń króla.

- A jeśli chodzi o ich stosunek do Rosji - oznajmia - laburzystowscy przywódcy kochają nas tak samo, jak my kochamy Niemców.

Dowcip wywołuje śmiech i rozproszone oklaski. Drwina z laburzystów i innych farbowanych „demokratów” zawsze odnosi zamierzony skutek na zebraniach partyjnych. Później swoją porcję jadu dostają Turcja i Japonia. Wiemy, krzyczy Judin, że Matsuoka - człowiek, któremu towarzysz Stalin zrobił zaszczyt, żegnając go osobiście na dworcu kolejowym - zachęcał swojego mikada do rozpoczęcia wojny z Rosją, kiedy Niemcy podchodzili pod Moskwę, przed atakiem na Pearl Harbor. Japonia i Matsuoka dostaną za swoje, kiedy rozprawimy się z hitlerowską bandą!

- W Turcji generał Erkilet i zgraja skamlących dziennikarzy - za milczącą aprobatą rządu, oczywiście - rozpętali dziką antyradziecką kampanię. Nadejdzie dzień rozrachunku z tymi naszymi dobrymi, kochanymi sąsiadami, możecie być tego pewni...

- Przejdę teraz do Ameryki, towarzysze. Prowadzona przez Roosevelta polityka współpracy z Rosją dopóki jest to korzystne, spotkała się tam z silną opozycją, co jest najzupełniej zrozumiałe w największym bastionie kapitalizmu. Na czele opozycji stoi były prezydent Herbert Hoover, niektórzy reakcyjni senatorowie i inni ludzie na żoździe Morgana, Rockefellera i DuPonta, wspierani przez faszystowską i półfaszystowską prasę Hearsta, McCormicka i wielką bandę najemnych pismaków.

- Choć może to zabrzmieć komicznie, ci ludzie myślą, że Roosevelt zaprzedał się Związkowi Radzieckiemu i komunizmowi. Nie rozumieją, że Roosevelt, tak samo jak Attlee, stanowi ostatnią barierę przed nieuniknionym komunizmem. Nie rozumieją, że ten wojenny sojusz z ZSRR to tylko małżeństwo z rozsądku. Nienawidzimy kapitalistów tak samo jak oni nienawidzą nas. Nigdy, nigdy nie odstępimy od zadań, które postawili przed nami i przed historią Lenin i Stalin!

Długie oklaski świadczą, że nawet jeśli Amerykanie nie rozumieją, to my tak.

- Towarzysze - ciągnie Judin - nasze wojenne partnerstwo z krajami kapitalistycznymi nie może rodzić żadnych złudzeń. Musimy się trzymać podstawowych zasad. Są dwa światy. Od czasu do czasu możliwe jest przerzucenie mostu nad przepaścią, która je dzieli, tak jak zrobiliśmy to podczas obecnej wojny. Ale wiemy, że most musi się prędzej czy później zawalić. Dwa światy kapitalizmu i komunizmu nie mogą wiecznie istnieć obok siebie. Kto kogo? - pozostaje wielkim pytaniem, teraz i zawsze. Odzwierciedla podstawowy problem na przyszłość.

- Dopóki żyjemy w kapitalistycznym okrążeniu, grozi nam niebezpieczeństwo, towarzysze. Nigdy o tym nie zapominajcie. Nie

wyciągajcie błędnych wniosków z lend-lease'u. To układ, za który płacimy drogo radziecką krwią i radziecką ziemią. Nie przeceniajcie nowej i nienaturalnej „przyjaźni”. Zawsze pamiętajcie, że członkowie partii są żołnierzami Lenina i Stalina i wiedzą, jak oceniać istotę kapitalizmu.

Kiedy Judin kończy, wstajemy i śpiewamy *Międzynarodówkę*. Niezależnie od tego, jakie znaczenie mogą przypisywać „odwrotowi” od komunistycznej doktryny inni, my, na najwyższych szczeblach komunistycznej hierarchii wiemy, że to tylko tymczasowe ustępstwo. Nasz ruch komunistyczny zmienia się w formie, ale nie w treści – tylko głupcy sądzą, że zmiany oznaczają odrzucenie ruchu.

Ideologicznie pokrzepieni, wracamy do swoich gabinetów. Ale „wielcy chłopcy” – Judin, Pamfilow i kilku innych – udają się do bufetu, aby pokrzepić się fizycznie. Z wielkim upodobaniem pożerają amerykańskie przysmaki z lend-lease'u, a jednocześnie, nadal omawiając temat zebrania, cieszą się spodziewanym upadkiem świata kapitalistycznego.

Na następnym zebraniu wykład wygłosił Władimir Potiomkin, dobrze znany radziecki dyplomata. Jego poglądy, oczywiście, nie różniły się od poglądów Judina – nikt w Związku Radzieckim nie ma własnych opinii, wszyscy powtarzają albo upiększają obowiązującą „linię”. Ale Potiomkin jako specjalista od spraw zagranicznych mówił bardziej konkretnie o przyszłości poszczególnych krajów europejskich. Jego „opinie”, i opinie wszystkich mówców z Komitetu Centralnego, odzwierciedlały teorię partii.

Kiedy musimy cofać się ideologicznie ze swoich pozycji, podkreślali, to tylko po to, żeby zbudować bazę do nowych działań ofensywnych. Przyjmowali za pewnik, że po zwycięstwie komuniści wejdą do rządów pokonanych i wyzwolonych krajów. Do tego celu należało oszczędzać i powiększać rezerwy rewolucyjnego potencjału. Kapitalizm miał być atakowany od góry, poprzez własne rządy, i od dołu, poprzez działania masowe.

Najbardziej irytujący kompromis wymuszony przez wojnę dotyczył religii. Duchownym pozwolono napisać i wydać książkę zatytułowaną *Prawda o religii w Rosji*, w której zasygnalizowali pojednanie z systemem radzieckim. Chociaż niewielu z nas przywiązywało do tej książki większe znaczenie, słyszeliśmy, że wywołała sensację za granicą. Aby odpowiednio ukierunkować nasze myślenie na ten kłopotliwy temat, Mironow wezwał partyjnych aktywistów do swojego gabinetu.

- Towarzysze – wyjaśnił – musieliśmy pójść na pewne ustępstwa wobec wierzących, zwłaszcza że wielu żołnierzy Armii Czerwonej pochodzi z zacofanych wiosek, gdzie religia wciąż ma silny punkt oparcia. Poza tym wróg wykorzystuje nasze antyreligijne nastawienie do celów propagandowych, a poprawa stosunków z rosyjską cerkwią wytrąca mu

broń z ręki. Jest jeszcze jeden ważny powód: nasze wojska wkroczą niebawem do krajów słowiańskich, które nie zaznały dobrodziejstwa komunistycznej edukacji. Jaką wartość miałyby Komitet Wszechsłowiański w Moskwie, gdybyśmy nadal prowadzili starą politykę wobec cerkwi?

- Nasza nowa polityka religijna pozwoli zmiażdżyć antyradziecką propagandę katolików, protestantów i innych grup wyznaniowych. Dlatego nie kwestionujcie mądrości działań naszej partii. Mamy szansę przyciągnąć cerkiew prawosławną w innych krajach bliżej Rosji i uczynić z Moskwy Trzeci Rzym.

- Ale, towarzyszu Mironow - odezwał się jeden z obecnych - czy nie ma niebezpieczeństwa, że nowe pokolenie, które pewnego dnia zajmie nasze miejsce, ulegnie religijnym przesądom?

- Nie martwcie się o to - odparł Mironow z uśmiechem. - W Rosji nie ma gleby, na której religia mogłaby zapuścić korzenie. Bądź co bądź, prasa, teatr, radio, szkoły, literatura, wszystkie siły umysłowe są pod wyłączną kontrolą partii. Jest jasne dla wszystkich, że młody człowiek o religijnych skłonnościach nie może zrobić kariery. Jeśli nie jest po naszej stronie duchowo i politycznie, nie ma dla niego miejsca. To nasza największa przewaga.

- Pamiętajcie, cerkiew jest oddzielona od państwa, a szkoły są w rękach państwa. Komsomolcy, możecie być pewni, będą większą siłą niż popi. Czy jesteśmy idiotami, żeby zamieniać nowe pokolenie w popów?

Wszystko stało się dla nas jasne - był to kolejny podstęp służący do tymczasowych celów taktycznych, w kraju i za granicą. Nie ulegało również dla nas wątpliwości, że rozmawiając na ten temat z „masami”, musimy przedstawiać zmianę polityki jako szczerą i permanentną.

- Nawet mniej oddani członkowie partii - ostrzegł nas Mironow - nie potrafią zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Musimy bardzo uważać, rozmawiając z nimi na ten temat.

Kiedy w maju 1943 roku rozwiązano pozornie Międzynarodówkę Komunistyczną, nie pracowałem już w Sownarkomie. Ale wyjaśnienia na zamkniętych zebraniach ważnych komunistów nie odbiegały od tego, co powiedzieli nam ludzie tacy jak Judin i Potiomkin. Dawano nam do zrozumienia, że światowa organizacja tylko w sensie formalnym zakończyła działalność. W rzeczywistości należało wzmacniać aparat, personel i spoistość Międzynarodówki, ponieważ teraz musiała działać nielegalnie. „Na całym świecie, towarzysze, siły rewolucji przygotowują się do walki - i do zwycięstwa”.

W peanach na cześć rzekomego rozwiązania Międzynarodówki zupełnie zapomniano, że najważniejszym przewodnikiem w komunistycznych kwestiach doktrynalnych pozostała książka Stalina

Zagadnienia leninizmu. A w tej książce Stalin dał dobitnie wyraz swojemu przekonaniu, że „zwycięski proletariats” – czyli ZSRR – ma nie tylko prawo, ale święty obowiązek uciekać się do siły, aby wspierać rewolucję w innych krajach, kiedy nadarzy się sposobność. Istniejący rewolucyjny reżim, napisał Stalin, musi udzielać pomocy reszcie świata, „wykorzystując, jeśli zajdzie taka konieczność, nawet siłę militarną przeciwko klasom wyzyskującym i ich państwom”.

A oficjalny stalinowski *Krótki kurs historii WKP(b)* pozostaje w mocy i w obiegu wszędzie tam, gdzie istnieją zwolennicy i sympatycy Stalina. „Wszzechziązkowa Partia Komunistyczna – czytamy we wstępie do książki – kierowała się i kieruje się rewolucyjną nauką marksizmu-leninizmu [...]. Studiowanie historii partii wzmacnia pewność, że wielka sprawa Lenina-Stalina ostatecznie zwycięży, że komunizm zwycięży na całym świecie”.

Ponieważ te opinie nigdy nie zostały wycofane, można się zastanawiać, z dreszczem niepokoju, co mogłoby się stać, gdyby państwo stalinowskie – a nie Stany Zjednoczone – pierwsze skonstruowało bombę atomową!

Nie jest to zbyt daleko idąca spekulacja. Rosyjscy naukowcy i intelektualiści, niezależnie od swoich postaw politycznych, pracowali lojalnie i ofiarnie, aby przyczynić się do zwycięstwa. Pomogli przezwyciężyć ogromne niedobory, produkując nowe materiały strategiczne, i dali swojemu krajowi kilka nowych rodzajów broni. Jest publiczną tajemnicą, że badania atomowe posuwały się szybko naprzód pod patronatem samego Stalina.

Pod koniec 1942 roku usłyszeliśmy pogłoskę, że Stalin przyjął przewodniczącego Akademii Nauk, profesora Komarowa, i dyrektora Instytutu Problemów Fizyki, akademika Kapicę, na specjalnej konferencji poświęconej energii atomowej. Radziecki wywiad wojskowy nie szczędził starań, aby zdobyć atomowe sekrety w innych krajach. Na posiedzeniu akademii w grudniu 1942 roku, w Swierdłowsku, dużo mówiono o postępach w górnictwie metali rzadkich, w tym uranu. W kręgach komunistycznych chełpiono się, że Kapica osiągnął zdumiewające rezultaty w swojej pracy nad rozszczepieniem atomu.

Czy gdyby Kreml wszedł w posiadanie bomby atomowej przed czołowym państwem demokratycznym, Stalin użyłby jej, żeby doprowadzić do rewolucji w innych krajach? Moja odpowiedź to tylko osobista opinia. Ale opiera się na dogłębnej znajomości bolszewickiego sposobu myślenia, jego zuchwałości, jego amoralności, jeśli w grę wchodzi oddanie sprawie. Odpowiedź brzmi: tak.

W tym samym czasie, kiedy ogłoszono o rzekomym rozwiązaniu Międzynarodówki Komunistycznej, napełniając radością serca naiwnych kapitalistycznych sojuszników, odwiedziłem przypadkiem magazyn „Międzynarodowej Książki”, wydawnictwa zajmującego się

publikowaniem propagandy w obcych językach. Zobaczyłem tam wielkie zapasy świeżo wydrukowanej literatury partyjnej do rozpowszechniania w krajach, do których miała wkroczyć Armia Czerwona. W teorii Międzynarodówka nie istniała; w praktyce Komitet Centralny partii pospiesznie przygotowywał się do ideologicznego podboju Europy w ślad za podbojem militarnym. Kadry „rozwiązanej” Międzynarodówki były gorączkowo reorganizowane do natychmiastowych zadań w Niemczech, we Francji, w Polsce, na Węgrzech, we Włoszech i we wszystkich innych krajach.

Spodziewany podbój Europy miał zostać osiągnięty dzięki połączeniu wiary i siły. W kompleksie czerwonych budynków w centrum Moskwy, niedaleko mostu Kuznieckiego, starannie wybranych czekistów przygotowywano intensywnie do pracy za granicą, na wyzwolonych obszarach radzieckich, jak również w krajach nieradzieckich. Wszyscy oni byli oficerami i komunistami. Stanowili śmietankę policyjnej elity. Przygotowywali się do historycznego zadania „oczyszczenia” narodów, które dostały się pod niemiecką okupację i niemieckie wpływy – a w słowniku NKWD „czystka” jest pojęciem o straszliwych konotacjach.

Te nowo wyszkolone kontyngenty policyjne towarzyszyły Armii Czerwonej i wojskom NKWD w pochodzie na zachód. Zwykle ukrywały swoją tożsamość, nosząc dystynkcje regularnej armii zamiast karmazynowych wyłogów NKWD. W pierwszej kolejności czekało je uciążliwe i krwawe zadanie „zrobienia porządku” z milionami obywateli radzieckich, których uznano za „niepożądanych” po ich tymczasowej emancypacji spod radzieckiej kontroli. „Lojalność” niezliczonych milionów, które już ucierpiały pod nazistowskim butem, miała być mierzona brutalną radziecką miarą. Głównie pod zarzutem kolaboracji z Niemcami tysiące rozstrzelano, setki tysięcy zesłano. Elitarni mordercy dopuszczali się niesłychanych okrucieństw na ludności Woroneża, Rostowa, Smoleńska, Północnego Kaukazu i wszystkich innych obszarów zajętych wcześniej przez Niemców.

Mężczyzn, kobiety i dzieci, którzy pracowali dla Niemców po prostu po to, żeby zarobić na chleb, często pod przymusem, skazywano na śmierć bez pozorów śledztwa, nie mówiąc już o procesie. Ogromne rzesze nieszczęsnych obywateli radzieckich załadowano do bydłych wagonów i wywieziono na tyły, do niewolniczej pracy w obozach i koloniach karnych. Do momentu zakończenia wojny ogólna liczba zesłanych, którzy mieli zasilić szeregi robotników przymusowych, sięgała z pewnością wielu milionów. Taka sama „czystka” odbywała się, rzecz jasna, na obszarach nieradzieckich, na które wkroczyła Armia Czerwona.

Niewątpliwie zdarzali się prawdziwi kolaboranci, prawdziwi zdrajcy, którzy zasługiwali na karę. Ale założenie, że zdrada osiągnęła tak

gigantyczne rozmiary, o jakich świadczyły represje NKWD na obszarach wyzwolonych, byłoby okrutną zniewagą dla narodu rosyjskiego. Z charakterystyczną dla siebie pogardą dla ludzkiego życia państwo policyjne rozszerzało definicję kolaboracji i zdrady, aby obejmowała wszystkich, którzy wypowiedzieli nierozważne słowo o stalinowskiej dyktaturze, wyrazili choć jedną wątpliwość w „socjalizm” narzucony przez Kreml.

Prawda wymaga, aby uznać ponury fakt: miliony moich rodaków zamieniły niewolę niemiecką na niewolę radziecką.

4

Dobrze poznałem system i organizację naszego rządu, mechanizm administracji tak jak funkcjonował faktycznie, co miało niewiele wspólnego z mechanizmem opisanym na papierze, w konstytucji. Rzeczywistość jest ukryta w głębokiej jamie, nie tylko przed cudzoziemcami, lecz również przed naszym społeczeństwem. Trzeba by rozprawy naukowej na temat władzy radzieckiej, aby opisać tę rzeczywistość. Tutaj muszę zadowolić się stwierdzeniem, iż rząd ZSRR, radziecki w formie, jest w swojej treści rządem partyjnym. Ani Rada Komisarzy Ludowych, ani Rada Najwyższa nie jest niczym więcej aniżeli przedłużeniem Komitetu Centralnego partii i Politbiura.

Ponieważ moje stanowisko znajdowało się tak blisko wierzchołka, słyszałem mnóstwo rzeczy, które można by uznać za ściśle poufne informacje. Tam, gdzie prasa jest poddana całkowitej kontroli, zawsze istnieje zapotrzebowanie na wiadomości przekazywane z ust do ust. W Moskwie pogłoski rozchodzą się szybciej niż gdziekolwiek indziej na świecie, ponieważ nie istnieje żaden mechanizm ich powstrzymywania i dementowania. Zaprzeczenia tylko umacniają ich wiarygodność. Niezwykłe informacje, zwłaszcza doprawione pikanterią i zakazane, są wysoko cenione i dzielone tylko z najbardziej zaufanymi przyjaciółmi.

Sprzeczka pomiędzy przywódcami, wzlot jednego dygnitarza i niełaska innego, wydarzenia w sekretariacie Stalina, pikantna uwaga samego Gospodarza - to był podstawowy materiał do poufnych zwierzeń. Dowiedziałem się, że Kaganowicz i Andriejew, członkowie Politbiura, nienawidzą się nawzajem i nieustannie intrygują, aby wkupić się w łaski Stalina; że Mikojan i Mołotow rywalizują o względy Przywódcy; że wschodząca gwiazda, Wozniesiński, i stara gwiazda, Kaganowicz, są ciągle poróżnieni - Wozniesiński traktował Kaganowicza z pogardą na oficjalnych posiedzeniach; że Mechlis, szef Zarządu Politycznego Armii Czerwonej, został usunięty z tego prestiżowego stanowiska, ponieważ jako Żyd był doskonałym celem dla

nazistowskiej propagandy skierowanej do bardziej zacofanych żołnierzy; że rozpieszczany syn Stalina, Wasilij, ma ciągle kłopoty z powodu picia, kobiet i lekkomyślnej jazdy samochodem.

Tuż przed wyjazdem na swoją placówkę jako ambasador w Meksyku Konstantin Umanski, poprzednio ambasador w Waszyngtonie, przeżył wstrząsającą tragedię osobistą. Jego młoda córka spotykała się z równie młodym synem Szachurina, ludowego komisarza przemysłu lotniczego. Pewnego wieczoru doszło między nimi do sceny zazdrości i chłopak zabił córkę Umanskiego z rewolweru ojca. Wyższe kręgi rządowe przez wiele dni mówiły o tej zbrodni, lecz ani jedno słowo nie przedostało się do moskiewskich gazet.

Najbardziej inspirującym obiektem plotek był jednak sam Stalin. Każdą jego uwagę roztrząsano i analizowano. Jego humory i upodobania, stan jego zdrowia, jego nawyki i słabostki wzbudzały wśród dworzan większe zainteresowanie niż przebieg wojny czy losy światowej rewolucji. Dowiedziałem się, że Stalin lubi szachy i bilard i gra w obie te gry dostatecznie dobrze, by stawać w szranki z mistrzami szachowymi i znanymi bilardzistami. Ulubionymi winami Gospodarza, jak mnie poinformowano tonem godnym takich tajemnic państwowych, były kachetyńskie i kagor, dwie marki kaukaskie.

Wszyscy wiedzieliśmy, że Stalin ma słabość do przysłów, rosyjskich i gruzińskich, i często się nimi posługuje, żeby uciąć dyskusję. Po zawarciu paktu z Hitlerem siedział podobno w milczeniu, podczas gdy członkowie Politbiura zawzięcie dyskutowali na ten temat. Wreszcie podsumował sytuację jednym ze swoich ulubionych porzekadeł: „Nie ręcę za smak tej potrawy, ale będzie gorąca!”. Czasami, kiedy ludzie zbyt długo rozmawiali, wtrącał cicho: „Obróćcie gęś, bo się zanadto przypiecze!”. Albo, kiedy ktoś zbyt długo się nad czymś rozwodził, mówił: „Męczycie się jak krowa przy porodzie, ale gdzie jest cielak?”.

Na posiedzeniu Komitetu Centralnego Stalin, zwracając się do zarozumiałych dygnitarzy, powiedział: „Jeśli natychmiast nie zaczniecie lepiej pracować, przyłożymy wam”. I, po chwili milczenia, żeby groźba do nich dotarła, dodał: „Nie dosłownie, ale przyłożymy wam”.

Stalin jest znany ze swojego zamiłowania do muzyki, ale jego gusta, niestety, nie są szczególnie wysublimowane, a zdolność jej zrozumienia ograniczona. To oczywiście nie przeszkadza mu w rozstrzyganiu problemów i ocenianiu utworów muzycznych. Historia o tym, jak wyrzucił za drzwi młodego Szostakowicza, jest dobrze znana. Mniej znany jest epizod dotyczący młodego kompozytora Tichona Chriennikowa. Jego opera *W burzy* spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem moskiewskich krytyków. Później Gospodarz obejrzał przedstawienie i powiedział, że mu się nie podobało. Krytycy

natychmiast zmienili zdanie. Opera została zdjęta z afisza i więcej o niej nie słyszano.

Jest jedna historia o Stalinie, w którą nie do końca wierzę, choć jego towarzysze twierdzą, że to prawda. Podobno, przed podjęciem ważnej decyzji, lubi się „konsultować” ze zmarłym Leninem w jego granitowym mauzoleum na placu Czerwonym i spędza tam całe godziny, zatopiony w myślach. Wysokiej rangi czekista powiedział mi pewnego razu:

- Nie bawię się w spirytualizm, ale to prawda: kiedy Niemcy stali u bram Moskwy, zanim jeszcze ciało Lenina wywieziono w tajemnicę na Ural, Stalin spędził kilka godzin sam na sam z ciałem.

W najwyższych kręgach uważa się powszechnie, że Stalin jest głęboko przesądny i czasami zmienia plany, ponieważ „znaki” są niepomyślne. Co raczej niezwykle u dyktatorów i spełnionych polityków, zasadniczo jest odludkiem, zazdrosnym o swoją prywatność i skłonny do samotnych rozmyślań. Na długie posiedzenia przychodzi rzadko i niechętnie, tylko kiedy wymaga tego polityczna konieczność, i w takich przypadkach zachowuje się jak „jeden z chłopców”.

Jak opowiadał mi obecny przy tym kolega, pewnego razu Stalin wydał przyjęcie dla lotników i żołnierzy, którzy wyróżnili się w walce. Kiedy wrócili na front, opowiadali, że Wódz - rosyjski odpowiednik Führera - jest prostym i bezpretensjonalnym człowiekiem. Bawił się razem z nimi, pił, żartował i śpiewał, a na koniec obdarował ich prezentami.

Ci, którzy znali go długo i dobrze, mówiąc o Gospodarzu, zgadzali się, że jest „twardy”, wierzy tylko w siłę i podstęp, który uważa za przejaw siły. Jest niezwykle mściwy i nigdy się nie zdarzyło, by wybaczył lub zapomniał zniewagę. Kiedy z pozoru ustępuje podczas starcia, to tylko po to, by umocnić swoją pozycję do nowego ataku z flanki. I ma skłonność do otaczania się ludźmi tego samego pokroju - silnymi, nieprzejednanymi, pozbawionymi skrupułów.

W gruncie rzeczy, oczywiście, Stalin jest człowiekiem samotnym i wie o tym. Przez lata czuł się zmuszony do zabijania wszystkich swoich najbliższych przyjaciół i towarzyszy - nawet ludzi takich jak Awiel Jenukidze, z którym dorastał i którego uważał za swojego najlepszego przyjaciela. Zamordowanie Kirowa i śmierć Ordżonikidzego pozostawiły głęboką pustkę w jego życiu prywatnym. Jego najbliższymi przyjaciółmi w ostatnich latach byli: Mikojan, Woroszyłow, Beria i Mołotow.

Stalin jest jednak patologicznie nieufny i nie robi wyjątków nawet dla ludzi, którzy w danym momencie cieszą się jego względami. Z pewnością wierzy, iż każdy z nich, nawet jeśli teraz nie spiskuje przeciwko niemu, jest potencjalnym spiskowcem.

Takie rzeczy opowiadano sobie w kręgu wtajemniczonych. Stalin był chyba jedynym spośród kremlowskich przywódców, którego nazwisko rzadko wiązało się ze skandalem. Opowieści o baletnicach, aktorkach,

pijackich orgiach zawsze dotyczyły innych przywódców, nigdy Gospodarza. Jego zaabsorbowanie władzą, skłonność do ingerowania we wszystkie sfery życia kraju, prawdopodobnie nie pozostawia mu czasu na takie słabostki. Czyta dużo poważnych dzieł – Clausewitza, Czechowa, Sałtykowa – a jego wiedza w dziedzinie ekonomii i polityki zdumiewa ludzi, którzy się z nim stykają.

Zamiłowanie Stalina do samotności i awersja do publicznych wystąpień, zdaniem większości z nas, niekoniecznie wiązały się z jego niezbyt pociągającą powierzchownością. Nadworni malarze, a nawet fotografowie, którzy wykonali miliony wizerunków tego człowieka, ukrywali, że jest niski, przysadzisty i otyły, że ma ciemną cerę, bardziej azjatycką niż europejską, twarz poznaczoną dziobami po ospie, lewą rękę częściowo zdeformowaną, zęby krzywe i zepsute. Z powodu defektów fizycznych cierpi na kompleks niższości, co może tłumaczyć, dlaczego lubuje się w bizantyńskich pochlebstwach.

Może to również tłumaczyć, dlaczego fakty z jego życia przed rewolucją zostały tak fantastycznie poprzekręcane. W archiwach carskiej tajnej policji figuruje na przykład jako księgowy, na własne oczy widziałem takie dokumenty. Do dzisiaj przejawia zdumiewającą zdolność do liczb i wykresów statystycznych. Ale jego oficjalne biografie starannie to przemilczają.

Można było usłyszeć wiele gorzkich słów na temat rzekomej słabości Stalina do ludzi z Kaukazu, Gruzinów i Ormian. Mówiono, że ufa im i rozumie ich lepiej niż Rosjan, z którymi, bądź co bądź, miał niewiele wspólnego. Gruzini i Ormianie stanowią tylko znikomą część ludności Związku Radzieckiego, a mimo to są wszechobecni w otoczeniu Stalina. Beria, do niedawna szef tajnej policji, Mikojan, komisarz handlu zagranicznego, Pogosjan i Kawtaradze – zastępcy Mołotowa, komisarze Akopow i Tewosjan, wicekomisarze Dadian i Arutiunow, wielu innych – to wszystko Gruzini lub Ormianie.

W miarę jak zbliżał się 7 listopada, myśli wszystkich pracowników naszej instytucji zwracały się ku temu świętu. Rocznicą rewolucji miała być uczczona w podniosłym nastroju, mimo klęsk na froncie, na przekór katastrofie. Jak zwykle spodziewano się, że wspaniałomyślny rząd przyzna z tej okazji specjalne racje żywnościowe, a w tym roku perspektywa czegoś do zjedzenia przyćmiewała większość innych zainteresowań.

Gabinety zostały udekorowane, podłogi wypastowane, wszędzie umieszczono stosowne świąteczne hasła. W naszym budynku panowała świąteczna atmosfera. Pamfiłow traktował uprzejmiej swoich podwładnych, a każdy z nas z kolei traktował uprzejmiej własny

personel. 6 listopada niżsi pracownicy, w tym sprzątaczkę, dozorca i gońcy, przyszedli do pracy ze sznurkowymi siatkami na zakupy. Taka siatka stanowi standardowe wyposażenie każdego radzieckiego obywatela; można ją łatwo schować do kieszeni i trzymać w gotowości, gdyby nadarzyła się okazja zdobycia czegoś do jedzenia.

Wreszcie ogłoszono wielką nowinę. Z okazji rocznicy, na dowód wielkiej miłości Stalina do swoich poddanych, każdy pracownik Sownarkomu miał otrzymać kilogram białego chleba, pięć kilogramów ziemniaków i półtora kilograma miodu! Podniecenie było tak wielkie, że nie dało się pracować. Obfitość darów świadczyła oczywiście o wpływach Pamfilowa. Ziemniaki oznaczały przyzwoity posiłek dla całej rodziny, a miód był cenniejszy od złota dla ludzi spragnionych cukru.

- Ech, mój mały ziemniaczku, mój ukochany... - śpiewał przez cały ranek chudy, siwowłosy Iwanow, który zajmował się pastowaniem podłóg.

Ledwo przypominał skromnego, małego człowieczka, który ślizgał się na suknach po naszych pięknych parkietach. Spłynął na niego zaszczyt ważenia ziemniaków, a on rozkwitał pod tą wielką odpowiedzialnością. Pod niepozorną powierzchownością wychudzonego Iwanowa ukrywał się zupełnie inny człowiek - śmiały, wyrozumiały, ale nie słaby, po prostu ludzki. Teraz ten ukryty człowiek ujawnił się i rozdzielał ziemniaki, odważając po pięć kilogramów, sprawiedliwie i bez strachu. W takim dniu cóż znaczył Pamfilow w porównaniu z Iwanowem, bogiem ziemniaków?

- Andriusza, kochany - błagała go maszynistka. - Mam w domu trzy gęby do wykarmienia. Nie proszę o więcej niż pięć kilo. Ale przynajmniej nie dawaj mi tyle mrożonych ziemniaków...

Ale Iwanow nie ulegał burżuazyjnym sentymentom. Tym razem był żelaznym bolszewikiem.

- Wszystkim po równo - odparł. - Każdy dostaje trochę mrożonych i trochę dobrych... jeśli są jakieś dobre. Przechodźcie, obywatelko. Następny!

Jednodniowa chwała biednego Iwanowa zakończyła się niestety łzami i skandalem. Pokrzywdzeni mówili, że Iwanow powinien trzymać się pastowania podłóg zamiast ważyć cenne dobra. Iwanow tłumaczył się, że po prostu nie starczyło dla wszystkich po pięć kilogramów. Tak czy inaczej, zapas ziemniaków, mrożonych i świeżych, skończył się, kiedy ponad dwudziestu pracowników stało jeszcze w kolejce po swój przydział...

Wyższym urzędnikom powiodło się lepiej. Otrzymaliśmy bogate paczki żywnościowe, odpowiednio do szczebla na drabinie prestiżu. Poza tym dostaliśmy specjalne kupony, które w wybranych „zamkniętych” sklepach można było wymienić na dwie butelki portwajnu i butelkę

wódki.

Na Kremlu wydano doroczne przyjęcie. Zaproszeni zostali oczywiście tylko najważniejsi i najbardziej wpływowi ludzie. Zaproszenie było większym wyróżnieniem niż pasowanie na rycerza przez króla. NKWD starannie studiowało listę i przez kilka tygodni sprawdzało każdego gościa. Obserwowałem ten proces w Sownarkomie. Widziałem, z jaką pieczołowitością Pamfilow sporządzał listę komisarzy i wicekomisarzy, którzy „zasłużyli” na najwyższe wyróżnienie. Widziałem, jak przesyłał nazwiska NKWD do sprawdzenia.

Ale w Sownarkomie też mieliśmy przyjęcie. Nie zabrakło pompy, kwiatów, haseł na transparentach, muzyki. Stoły ustawiono w wielkim audytorium dla wyższych urzędników. Ponieważ było mnóstwo jedzenia i picia, znieśliśmy jakoś nieuniknione świąteczne przemówienie, wygłoszone przez partyjnego działacza; każda słodycz jest doprawiona goryczą. Na każde wspomnienie imienia Gospodarza wstawaliśmy i krzyczeliśmy hurra, co pięknie urozmaicało przemówienie i czyniło je mniej monotonnym.

Kiedy rytualna oracja dobiegła końca, zabraliśmy się do jedzenia. Świąteczne apetyty dopisywały i półmiski szybko zostały wymiecione do czysta. Potem nastąpiły toasty: najpierw oczywiście za Ukochanego Przywódcę, potem za pomniejszych przywódców, Mołotowa, Mikojana i tak dalej, aż do Pamfilowa. Towarzysz Mironow zaintonował pieśń, a my wszyscy się przyłączyliśmy:

*Zaśpiewajmy pieśń, towarzysze,
O największym z ludzi
O największym i najukochańszym –
Zaśpiewajmy pieśń o Stalinie.*

5

Od jakiegoś czasu pociągałem za sznurki, żeby otrzymać najbardziej upragnioną nagrodę, jaką może przyznać wszechpotężny rząd: oddzielne mieszkanie. W końcu mi się udało.

Szeroka, prosta Szosa Możajska jest najlepiej wyasfaltowaną i najlepiej utrzymaną drogą w całej Rosji, ponieważ prowadzi do wiejskiej daczki Stalina i do podmiejskich rezydencji wielu członków Politbiura, pracujących w stolicy. Oczywiście znajduje się pod stałym nadzorem i jest nieustannie patrolowana, żeby chronić życie Ukochanego Przywódcy. Dziarscy funkcjonariusze NKWD w skórzanych kurtkach jeżdżą tam i z powrotem na motocyklach.

Przy szosie na obrzeżach miasta wzniesiono kilka pięknych nowoczesnych budynków. W jednym z nich, dzięki wstawiennictwu

Sownarkomu, przydzielono mi wreszcie mieszkanie: dwa pokoje z kuchnią, co było niesłychanym luksusem w porównaniu z warunkami mieszkaniowymi w Moskwie. Miało własną łazienkę, centralne ogrzewanie, nowoczesne oświetlenie i inne wspaniałości. Okna wychodziły wprawdzie na tylne podwórze, nie na słynną szosę, ale to był drobny defekt.

Wyposażony w nakaz zakwaterowania, papiery z Sownarkomu, legitymację partyjną i dowód osobisty stawilem się w biurze gospodarza domu. Gospodarz domu (ważny funkcjonariusz w życiu każdego radzieckiego obywatela) okazał się miłym człowiekiem, przyzwyczajonym do obcowania z ważnymi ludźmi. W statystykach były to „domy robotnicze”, ale w rzeczywistości tylko biurokraci o odpowiednich wpływach politycznych mogli z nich korzystać, i tylko tak długo, jak długo cieszyli się względami najwyższych władz.

- Wiktorze Andriejewiczu - powiedział gospodarz domu - wszystko wydaje się w porządku. Teraz musicie się zameldować u zastępcy naczelnika dzielnicowego NKWD, potem tu wróćcie. To zwykła formalność.

- Ale co ma z tym wspólnego NKWD? Te papiery powinny wystarczyć.

- Mnie osobiście wystarczą, ale to jest rządowa szosa. Członkowie Politbiura przejeżdżają tędy codziennie! To nadaje mieszkaniom przy drodze szczególny charakter, że tak powiem.

Zrozumiałem, co miał na myśli. Chociaż moje okna nie wychodziły na drogę, nie mogłem zamieszkać przy Szosie Możajskiej, dopóki tajna policja nie stwierdzi, że moja obecność nie stanowi zagrożenia dla bezpieczeństwa Stalina! Zameldowałem się u odpowiedniego funkcjonariusza NKWD, odpowiedziałem na szereg znanych pytań i otrzymałem wymagane pozwolenie.

Ale nie dane mi było wprowadzić się do mieszkania. Był to nowy budynek i jeszcze nie całkiem gotowy. Problem umeblowania pokoi też się przeciągał. A tymczasem pojawiła się szansa na przydział zagraniczny - upragniona szansa, którą widziałem tylko w optymistycznych snach na jawie połączonych z cierpieniem. Dopóki kwestia nie została jednoznacznie rozstrzygnięta, nie było sensu się wprowadzać.

Rozszerzenie operacji lend-lease'u stworzyło konieczność wysłania setek ludzi wyspecjalizowanych w różnych dziedzinach ekonomii do Anglii, Kanady, a przede wszystkim do Stanów Zjednoczonych. Smak zewnętrznego świata miało poznać więcej Rosjan niż kiedykolwiek przedtem w radzieckiej historii. Jako inżynier metalurgii z wszechstronnym doświadczeniem kwalifikowałem się na to stanowisko. Moja przeszłość polityczna, przynajmniej formalnie, była bez zarzutu, mimo ciężkiej próby podczas czystki. Ale podejmowanie

inicjatywy w tej sprawie byłoby błędem, a właściwie niemożliwością. Im bardziej ktoś pragnął wyjechać za granicę, tym staranniej musiał ukrywać swoje pragnienie, aby nie zostało to źle zrozumiane – a raczej aż za dobrze zrozumiane – przez stróżów radzieckiej lojalności.

Pewnego wieczoru omawiałem problem lend-lease'u z urzędnikiem zajmującym dość wysokie stanowisko w strukturach naszego handlu zagranicznego, z którym byłem w bardzo przyjacielskich stosunkach. Ostrożnie, zręcznie, sterowałem rozmową w pożądanym kierunku. Nie ośmieliłem się zasugerować, że siedzi przed nim człowiek odpowiedni do pracy za granicą, ale udało mi się naprowadzić go na tę świątłą myśl. Wydała mu się spontanicznym natchnieniem.

- Wiktorze Andriejewiczu, chcielibyście pojechać do Ameryki? – spytał nagle. – Wiem, że potrzebujemy tam więcej ludzi.

- No cóż, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Poza tym wykonuję bardzo odpowiedzialną pracę tutaj, w Sownarkomie. Mimo to, gdybym mógł wesprzeć wysiłek wojenny...

Mój przyjaciel nie był głupcem. Nie dał się nabrać na moją powściągliwość.

- Zajmę się tym – powiedział. – Możecie być pewni, że wspomnę o tym w odpowiednim miejscu.

Podziękowałem mu, nie spodziewając się, że dotrzyma słowa; nie śmiałem nawet przypuszczać, że jego propozycja przyniesie owoce. Było to pod koniec grudnia. Mniej więcej dwa tygodnie później Pamfiłow wezwał mnie na prywatną rozmowę. W pierwszej chwili pomyślałem, w przypływie uniesienia, że wspomni o moim amerykańskim marzeniu. Ale byłem w błędzie.

Pamfiłow powiedział, że chciałby omówić ze mną problem, który zwałił mu się na głowę. Chodziło o kilka fabryk metalurgicznych różnego typu, pracujących dla zjednoczenia pod nazwą Gławnietał. Te fabryki były rozproszone – w Czelabińsku, Nowosybirsku, Mołotowie, na Północnym Kaukazie – ale zarządzano nimi jak jedną całością z centrali w Moskwie. Mają straszliwe trudności z produkcją, wyjaśnił Pamfiłow, i potrzebna jest silna ręka, żeby doprowadzić je do porządku.

- Potrzebuję kogoś, kogo znam i darzę zaufaniem – powiedział. – Myślę, że jesteście właściwym człowiekiem. Chcę, żebyście zrozumieli, że w żadnym razie nie idziecie w odstawkę. Jak tylko zaprowadzicie tam względny porządek, ściągnę was z powrotem do Sownarkomu. Co wy na to?

Wyrażając zgodę, starałem się, żeby w moim głosie brzmiała obojętność, a nawet lekkie rozczarowanie. W rzeczywistości bardzo się ucieszyłem. Było mało prawdopodobne, aby odpowiedzialny szef wydziału w Sownarkomie, w jakimś sensie niezastąpiony, został oddelegowany do służby za granicą. Moje szanse jako urzędnika

Głównie rośli niepomierne...

Głównie miał swoje biura w długim niskim budynku, tworzącym jedną ścianę placu Czerwonego, dokładnie naprzeciwko Kremla: zna go każdy, kto kiedykolwiek widział plac w kronikach filmowych. Dano mi tam gabinet i przydzielono personel. Pozostając w stałym osobistym i telefonicznym kontakcie z dyrektorami fabryk w wielu częściach Rosji, prowadziłem sprawy Głównie.

Mój długi dzień pracy nie był już tak morderczy jak do tej pory. Zaczęłem nadrabiać niedobory snu. Mogłem częściej korzystać z przyjemności życia w Moskwie i częściej widywać się z przyjaciółmi, których zaniedbywałem pod nawałem pracy w Sownarkomie. Zapewne było to przecucie, że nie pozostało mi wiele czasu, aby cieszyć się rosyjskim otoczeniem i ludźmi, którzy byli mi bliscy, ale z jakiegoś powodu pragnąłem wtłoczyć jak najwięcej doznań w każdy mijający tydzień.

Kierowałem się też przemożnym impulsem, aby poznać umysły ludzi wokół siebie. Co zrobiła z nimi wojna? To, co odkryłem, umocniło moje przywiązanie do rodaków. Zdumiewała mnie ich zdumiewający hart pod ciosami losu. Zdumiewało mnie ich instynktowne wycucie rzeczywistości politycznej. Prości Rosjanie oddawali Stalinowi, co stalinowskie, i Rosji, co odwiecznie rosyjskie.

Wojna przybierała bardziej korzystny obrót, co do tego nie było wątpliwości. W rejonie Stalingradu toczyły się krwawe walki, okupione straszliwymi ofiarami. Ale pewność zwycięstwa napełniała stopniowo nasze serca. Fakt, że walki są tak przewlekłe, sam w sobie stanowił oznakę zwycięstwa. Zaczynaliśmy uzyskiwać przewagę w wojnie na wyniszczenie.

Niemcy znajdowali się daleko od swoich baz zaopatrzeniowych, a w warunkach zimowych ściągnięcie posiłków stawało się praktycznie niemożliwe. Musieli walczyć tym, co mieli na miejscu - były to ogromne, ale ograniczone ilości siły żywej i zaopatrzenia. Rosjanie, przeciwnie, mogli ściągać w ten rejon ludzi i sprzęt niemal bez końca. Żołnierze Hitlera musieliby zabić połowę ludności Rosji, zanim Kreml uznałby swoją klęskę pod Stalingradem. W ramach przygotowań do bitwy wybudowano wzdłuż Wołgi nową linię kolejową. Funkcjonowała sprawnie przez cały okres walk, służąc jako kanał, którym wlewano nieustannie nowe siły do okaleczonego i krwawiącego miasta. Zaopatrzenie i posiłki docierały też Wołgą.

Odnieśliśmy nieuniknione zwycięstwo. Niemcy rzeczywiście utopili się we krwi - własnej i rosyjskiej. Niezależnie od powstrzymania niemieckiego natarcia, triumf przyniósł jeszcze jedną korzyść, o której

się na ogół zapomina lub jej nie docenia. Armia Czerwona zdobyła w tej kampanii dosyć niemieckiego sprzętu, aby wyekwipować trzydzieści do czterdziestu dywizji. To niemiecki teoretyk wojskowości, Clausewitz, doradzał generałom, żeby walczyli bronią przeciwnika. Radzieccy generałowie to właśnie zrobili po Stalingradzie. Aby wyjaśnić sukces radzieckiej kontrofensywy, należy zestawić materiały wojenne zdobyte na Niemcach z dostawami w ramach lend-lease'u. Od listopada 1942 do listopada 1944 roku łupy wojenne mojego kraju obejmowały ponad cztery tysiące samolotów, siedemnaście tysięcy czołgów, pięćdziesiąt pięć tysięcy dział, sto osiemnaście tysięcy karabinów maszynowych, milion pięćset tysięcy karabinów. Większość wymagała oczywiście naprawy. Oręż Hitlera obrócił się, dosłownie, przeciwko niemu.

Obserwowałem bitwę pod Stalingradem z głębokim pragnieniem zwycięstwa, jak wszyscy obywatele radzieccy, niezależnie od swoich uczuć wobec reżimu. Jednocześnie - tak wielkie jest czasem zniekształcenie perspektywy moralnej - czekałem na wynik dochodzenia, które miało zadecydować, czy wyjadę z ZSRR.

ROZDZIAŁ XXVI

Preludium do Ameryki

Idea mojego wyjazdu do Stanów Zjednoczonych zaczęła nabierać kształtu w styczniu 1943 roku, a paszport wydano mi w lipcu. W ciągu tych sześciu miesięcy czułem się jak żuk nabity na szpilkę w wielkim laboratorium, gdzie legiony entomologów, zoologów, chemików i innych naukowców studiują okaz pod każdym możliwym kątem. Poszturchiwano mnie i opukiwano w poszukiwaniu ukrytych skaz. Cała energia wszechpotężnego państwa zdawała się koncentrować na badaniu mojej skromnej osoby i jej przedłużeń w czasie i przestrzeni w postaci krewnych, powinowatych i znajomych każdego stopnia.

Inkwizycyjne państwo było cyniczne w swojej nieskończonej nieufności. Tydzień po tygodniu, wprawnymi palcami, badało mój umysł i nerwy, szukając kombinacji, która otworzy mu dostęp do najgłębszych zakamarków mojej duszy. Mój trwożny sekret – decyzja o ucieczce z ZSRR – pozostał niewykryty.

Wielka eksploracja Wiktora Krawczenki, syna rosyjskich mas, członka partii komunistycznej i radzieckiego inżyniera, rozpoczęła się w biurze działu personalnego Ludowego Komisariatu Handlu Zagranicznego. Towarzysz Sztub, niepozorny drobny urzędnik w grubych okularach, zachowywał się w sposób uprzejmie bezosobowy. Dla niego jeden żuk przypominał wszystkie inne, jego praca polegała po prostu na katalogowaniu owadów. Subtelne różnice mieli określić i zbadać później bardziej wyspecjalizowani entomolodzy.

Towarzysz Sztub przestudiował mój życiorys, od urodzenia do chwili obecnej, a potem rozwinął go tak, aby obejmował dzieje moich rodziców, dziadków, braci i krewnych z bocznych gałęzi drzewa genealogicznego. Kiedy umieścił krewnych na właściwych miejscach i zbadał starannie koligacje rodzinne, wzorzec mojego skromnego, lecz zdumiewająco rozległego życia został uzupełniony pytaniami o przyjaciół i znajomych.

W przeszłości przechodziłem przez ten autobiograficzny labirynt dziesiątki razy. Każdy fakt był wielokrotnie rejestrowany przez partię, wojsko, różne komisariaty, żeby nie zapomnieć o zwyczajnych i nadzwyczajnych czystkach. Czy mogły być w mojej przeszłości jakieś epizody, które nie znajdowały odzwierciedlenia w opasłych aktach NKWD?

Ale rytuału nie można było skrócić ani tym bardziej pominąć. Towarzysz Sztub działał na podstawie założenia, iż jest to pierwsze zetknięcie rządu z jednym z jego poddanych. Nie przyjął za pewnik nawet mojego nazwiska, imienia, imienia ojca i wieku. To powtarzające się obdzieranie obywatela radzieckiego do naga, odsłanianie jego najbardziej intymnego życia osobistego i wywracanie na drugą stronę jego poglądów politycznych nabrało z czasem symbolicznego znaczenia. Było ceremonialnym upokarzaniem jednostki na większą chwałę kolektywu. Człowiek, słaby i potulny, skulony i poniżony w swojej nagości, stał przed odzianym w zbroję państwem. Próba zachowania czegoś w tajemnicy, sięgnięcia po figowy listek, była świętokradztwem.

W dodatku był to rytuał najeżony niebezpieczeństwami. Odpowiedzi musiały być konsekwentne i zgodne z odpowiedziami udzielanymi w poprzednich rozmowach, kwestionariuszach, formularzach i podaniach. Policyjne państwo nie tolerowało uników i pomyłek. Wystarczyło przejęzyczenie, drobna sprzeczność, żeby wzbudzić podejrzliwy gniew. Wielu obywateli radzieckich zrujnowało sobie karierę, mieszając daty lub myląc przez roztargnienie jakichś krewnych.

Uspokoiwszy się, że ciotka mojej szwagierki, Wiera, której nie znałem osobiście, nie stanowi zagrożenia dla Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, krótkowzroczny Sztub podjął następny krok. Wręczył mi plik drukowanych kwestionariuszy, które miałem zabrać do domu i wypełnić do jutra. Nie wolno wprowadzać żadnych zmian, niczego zamazywać ani przekreślać, ostrzegł. Pomyłki były wstępnym dowodem nieczystego sumienia.

Skrupulatnie wypełniłem polecenie. Złożyłem papiery w wymaganej licznie egzemplarzy w wyznaczonym okienku. Po kilku dniach otrzymałem wiadomość: „Kontynuujcie swoją obecną pracę. Jeśli zajdzie potrzeba wysłania was za granicę, zostaniecie powiadomieni”. W radzieckim żargonie oznaczało to, że jestem starannie sprawdzany, a w razie potrzeby zostanie sprawdzony jeszcze raz.

Minęły prawie trzy miesiące. Porzuciłem już nadzieję. Gdzieś, myślałem zniechęcony, znaleziono jakąś niezmywalną plamę na mojej reputacji lub reputacji mojej rodziny. Ale pewnej dżdżystej kwietniowej nocy, wróciwszy do domu po czternastu godzinach żmudnej pracy w Głównym Mieście, nieprzytomny ze zmęczenia, znalazłem czekającą na mnie tajemniczą wiadomość: muszę zadzwonić pod podany numer telefonu. Odrobina tajemnicy też była częścią rytuału. Zapewniała kilka minut strachu pomieszanego z nadzieją, ponieważ mogła oznaczać wszystko, od kłopotów z NKWD po oszałamiający awans.

Okazało się, że był to po prostu wysoki urzędnik Ludowego Komisariatu Handlu Zagranicznego. Nigdy się nie dowiedziałem, co osiągnięto tą enigmatyczną anonimowością przesłania. Mimo późnej

godziny kazał mi przyjść natychmiast. W odpowiednim okienku miała na mnie czekać przepustka. Po długim i nerwowym oczekiwaniu znalazłem się w kolejnym gabinecie, gdzie znacznie sprytniejszy i ważniejszy przedstawiciel gatunku Sztubów poddał mnie następnemu przesłuchaniu.

Przez trzy godziny przedzierałem się przez dżunglę swojej przeszłości, zatrzymując się co chwila, aby poszperać w podszyciu swoich nastrojów i poglądów politycznych. Urzędnik raz mnie prowadził, raz ścigał. Zadawał podchwytliwe pytania, aby złapać mnie w potrzask, podsuwał fałszywe tropy, nagle cofał się, żeby mnie zaskoczyć. Mój rozmówca był doświadczonym starym kocurem, ale tym razem bawił się czujną i doświadczoną starą myszą. Nocne kursy pod kierunkiem profesorów Gerszhorna, Dorogana i innych przynosiły dywidendy. O drugiej nad ranem kot i mysz były już zbyt zmęczone, żeby to dalej ciągnąć. Kazano mi przyjść za kilka dni i wypełnić jakiś nadzwyczajny formularz.

Kilka dni później układałem odpowiedzi na pytania w najdłuższym i najwymyślniejszym kwestionariuszu, z jakim się do tej pory zetknąłem. Był to dokument tak cyniczny w swoich insynuacjach, tak wnikliwy w krzyżowym ogniu swoich pytań, że w porównaniu z nim inne kwestionariusze wydawały się amatorskie i niewinne. Był to dokument uderzający w swoim założeniu, że każdy obywatel jest kłamcą, i utrzymany w duchu pogardy dla wszystkiego, co ludzkie. Zanim podpisałem go nazwiskiem i numerem legitymacji partyjnej, byłem przesiąknięty potem i całkowicie upokorzony.

Kiedy oddałem kwestionariusz, kazano mi podjąć następny krok, czyli zebrać listy polecające i opinie na temat mojej działalności politycznej i zawodowej od wszystkich organizacji partyjnych, do których należałem, i wszystkich przedsiębiorstw przemysłowych, w których ostatnio pracowałem. Wprawdzie żadna z tych instytucji nie mogła powiedzieć nic, czego nie wiedziałyby już NKWD z oficjalnych raportów i nieoficjalnych źródeł szpiegowskich, ale tych sakramentalnych dokumentów nie można było pominąć. Dawało to licznym urzędnikom i organizacjom, z którymi miałem do czynienia, szansę zniszczenia mnie, gdyby sobie tego życzyły.

Najpierw zwróciłem się do towarzysza Mironowa, sekretarza komitetu partii Rady Komisarzy Ludowych RFSRR. Umówiłem się telefonicznie i o wyznaczonej godzinie stawiłem się u wejścia. Sprawdzono moją legitymację partyjną i dowód osobisty i wydano mi przepustkę. Tak wyposażony, przeszedłem przez dziedziniec do budynku, gdzie mieścił się komitet partii. Tutaj sprawdzono moją przepustkę i skrupulatnie porównano moją twarz z fotografiami w dokumentach. Na piętrze, gdzie miał swoją siedzibę komitet, ponury

wartownik z NKWD jeszcze wnikliwiej przyjrzał się moim papierom i rysom twarzy i wreszcie skierował mnie do pokoju 503.

Zaledwie kilka miesięcy wcześniej zajmowałem ważne stanowisko w tej samej instytucji. Strażnicy widzieli mnie setki razy. Ale nic nie mogło osłabić obowiązkowej czujności; od tamtej pory mogłem zmienić barwę polityczną. W korytarzach spotykałem mężczyzn i kobiety, z którymi pracowałem. Kilku przywitało się ze mną serdecznie, ale większość zachowywała się z wymowną rezerwą. Nie pracowałem już w Sownarkomie, nie wiedzieli, dlaczego odszedłem, i nie chcieli ryzykować serdecznego powitania.

Towarzysz Mironow był uprzejmy, ale sztywno oficjalny. Przez wzgląd na naszą dawną zażyłość spytał, dlaczego tak źle wyglądam. Prawdę mówiąc, odparłem, odkąd opuściłem Sownarkom, znacznie gorzej jadam. Uśmiechnął się z zadowoleniem na ten pośredni wyraz uznania, że „jego” Sownarkom jest uprzywilejowanym miejscem dla zasłużonych przywódców. Tak, zgodził się, te wojenne trudności, ale przystąpmy do rzeczy.

Kiedy przystąpiliśmy do rzeczy, weszła drobna kobieta w wykrochmalonym czepku i fartuchu, niosąc wielką tacę ze śniadaniem. Był tam chrupiący biały chleb, jajka na boczku, konserwa mięsna, masło, herbata z cukrem.

- Wszystko amerykańskie - powiedział z dumą, zabierając się do jedzenia. - Lend-lease, wiecie.

Ale nie zaprosił mnie do udziału w uczcie na bazie lend-lease'u czy jakiegokolwiek innej. Pomiedzy kęsami zadawał mi pytania. Czy jestem zadowolony z nowej pracy? Jak działa organizacja partyjna w Gławmietalu? Prostacko, nawet głupio, czynił zadość formalnościom, sprawdzając moją lojalność wobec partii i Ukochanego Przywódcy. Nie żeby go to obchodziło, nie dlatego, że uważał mnie za szaleńca, który przyzna się do jakichś wątpliwości, ale po prostu przez szacunek dla ceremonialnej procedury.

- A więc potrzebny wam list polecający? - spytał. - Dobrze, pomówię o tym z towarzyszem Utkinem. Trzeba to przemyśleć. Przyjdźcie jutro około południa.

Następnego dnia poddałem się tej samej rutynie wielokrotnego sprawdzania dokumentów i po zwykłym oczekiwaniu w przedpokoju dopuszczono mnie przed urzędowe oblicze Mironowa. Dostałem list, dobry list, potwierdzający moje zdolności polityczne i zawodowe. Los mi sprzyjał. W następnych tygodniach otrzymałem podobne listy od dyrektora Gławmietalu i sekretarza tamtejszej organizacji partyjnej. Setki razy czytano moje dokumenty, przyglądano się mojej twarzy, badano moją uczciwość polityczną. A wszystko to, jak wiedziałem, było tylko powierzchwnią, pod którą odpowiednie wydziały NKWD wykonywały

prawdziwą pracę grzebania w moim życiu.

Wreszcie jednak uzyskałem dowód, że wszystko idzie dobrze. Otrzymałem polecenie zameldowania się w klinice medycznej Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych na badania lekarskie i w pracowni fotograficznej komisariatu po oficjalne zdjęcie. Dwa dni później powiadomiono mnie, abym się zgłosił do towarzysza Lebediewa, zastępcy i prawej ręki samego komisarza Mikojana.

2

Lebediew wziął sobie do pomocy dwóch zastępców, którzy robili notatki i wręczali mu różne papiery podczas naszej pierwszej rozmowy. Siedział przy ozdobnym biurku, które, z jakiegoś powodu, stało w samym środku ogromnego gabinetu, wśród kolorowych orientalnych dywanów. Stalin, Mołotow, Mikojan i inni przywódcy spoglądali ze swoich ram na ścianach. Przed nim leżała ostentacyjnie gruba teczka, najwyraźniej zawierająca kopie niezliczonych kwestionariuszy i raportów specjalnych z różnych tajemniczych miejsc.

Po formalnym powitaniu towarzysz Lebediew zaczął mnie wypytywać od początku: nazwisko, miejsce urodzenia, kiedy wstąpiłem do partii. Nie mógł zadać pytania, na które nie odpowiedziałem już dziesiątki razy, ale nawet zastępca komisarza musiał odprawić sakramentalne rytuały. Potem czekałem, a on grzebał w teczce, napawając się od czasu do czasu jakimś ustępem, to się uśmiechał, to marszczył brwi. Dwaj jego podwładni siedzieli w dostojnym dyplomatycznym milczeniu. Czasem dyktował im jakieś sugestie do swojego raportu dla komisarza.

Lebediew był krępy, szeroki w barach, a jego gruby kark marszczył się w podwójną fałdę. Twarz miał miłą, nawet przystojną, z jakimś ludzkim wyrazem, który nie pasował do jego śmiertelnie urzędowego tonu i sposobu bycia. Nie jest zbyt sprytny, uznałem, jak zdołał zajść tak wysoko? Potem mój wzrok spoczął na jego rękach, na grubych, krótkich palcach, porośniętych czarnymi włosami. Przyszło mi do głowy, że są to okrutne ręce, zdolne do przemocy.

- Towarzyszu Krawczenko - powiedział w końcu uroczyście - rozumiecie powagę przydziału zagranicznego?

- O, tak, dużo o tym myślałem.

- Nie wolno wam zawieść zaufania, jakie pokłada w was partia.

- Postaram się, towarzyszu Lebediew - powiedziałem pokornie, skwapliwie.

- Zostaniecie poinformowani o dalszych krokach. Mam nadzieję, że wkrótce znowu się spotkamy.

Pięć dni później przyjaciel z komisariatu powiedział mi w zaufaniu, że Anastas Iwanowicz Mikojan, członek Politbiura, wiceprzewodniczący

Rady Komisarzy Ludowych, członek Państwowego Komitetu Obrony, ludowy komisarz handlu zagranicznego, własnoręcznie podpisał wniosek dla Komitetu Centralnego partii, aby wysłano mnie do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Nadal zajmowałem się swoimi sprawami w Głównym Mieście, ale myślami byłem już daleko. Niebawem wydział specjalny zarządu naszego zjednoczenia przekazał mi wiadomość. Miałem zadzwonić pod pewien numer. Znowu tajemnica wydawała się zupełnie zbędna, ponieważ telefon odebrała urzędniczka komisariatu, która poprosiła mnie, abym stawił się o jedenastej trzydzieści następnego ranka.

- Miejcie przy sobie legitymację partyjną, paszport, legitymację związkową i dokumenty wojskowe - powiedziała. - Punktualnie o dwunastej zostaniecie przyjęci w innym miejscu.

Wypełniłem instrukcje co do joty. Po wylegitymowaniu przez trzech czy czterech strażników i przesłuchaniu przez funkcjonariusza NKWD skierowano mnie do biur Komitetu Centralnego Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej. To było to „inne miejsce”, którego dostojeństwo wymagało dodatkowej otoczki tajemnicy i biurokracji. Zaopatrzony w niezbędną przepustkę, wszedłem do budynku partii. Tutaj znowu sprawdzono mi dokumenty i już po chwili wspinałem się po szerokich marmurowych schodach.

Na podeście stał marmurowy Stalin na marmurowym piedestale, jego napoleońska postawa wydawała się w tej samotności dosyć komiczna. Na drugim podeście inny Stalin, nie mniej samotny i śmieszny, popatrzył mi w oczy. Na tym piętrze czekałem przez jakiś czas i w końcu wprowadzono mnie do wyłożonego dywanem gabinetu, gdzie trzeci Stalin, tym razem na ścianie, dotrzymywał mi towarzysztwa, dopóki nie zjawił się właściwy urzędnik. Widocznie radzieckim rzeźbiarzom i malarzom brakowało tematów. Urzędnik usiadł za swoim wielkim biurkiem, przyglądał mi się przez całą minutę, potem powiedział:

- Opowiedzcie mi o sobie. Nie powtarzajcie, proszę, tego, co już wiem z kwestionariuszy. Interesuje mnie wasz światopogląd, wasza polityczna świadomość.

Mówiłem niemal na chybił trafił. Gorączkowo szukałem w pamięci faktów i opinii, których nie wałkowałem do znudzenia w poprzednich rozmowach i pisemnych formularzach. Przerwał mi. Przystąpił do rzeczy.

- Czy kiedykolwiek mieliście jakieś wątpliwości co do mądrości polityki naszej partii?

- Nigdy - odparłem stanowczo. Nie zamierzałem wdawać się w niuanse, chyba że będę musiał.

- Nawet podczas kolektywizacji albo podczas czystek, kiedy sami trochę ucierpieliście? Nawet wtedy nie mieliście żadnych wątpliwości

co do generalnej linii partii?

- Nie, nie co do generalnej linii.

- Ale przeżyliście ciężkie chwile w Nikopolu w trzydziestym szóstym i trzydziestym siódmym. Byliście sprawdzani, przesłuchiwani, i tak dalej. Jakie było wasze nastawienie?

- No cóż, oczywiście, byłem zdumiony, nawet trochę oburzony. Bądź co bądź, wiedziałem, że jestem niewinny. Czułem się w jakiś sposób zraniony.

- To zrozumiałe. Nikt nie ma wam tego za złe. W tym czasie zdarzały się nadużycia; odpowiedzialni za to wrogowie ludu zostali wykorzeni. A teraz, towarzyszu Krawczenko, czy zostało coś z tej urazy, tego oburzenia?

- Nie, oczywiście, że nie. - Uśmiechnąłem się na to nedorzeczne pytanie. Naturalnie byłem wdzięczny wszystkim Gerszhornom i Doroganom, którzy mnie bili i upokarzali.

Ta przygnębiająca komedia trwała ze dwie godziny. Była to zapewne rozmowa od serca na bazie postaw politycznych przepisanych rytuałem. Jakby w naszym radzieckim życiu było miejsce na szczerość! Jakby dwaj towarzysze, spotykający się po raz pierwszy, mogli wyzwolić się z ograniczeń namaszczonej hipokryzji i żalosnych pozorów! W miarę jak „pogawędka” się przedłużała, czułem się coraz bardziej pewny siebie, wygłaszałem coraz więcej banałów. Czerpałem swego rodzaju przewrotną satysfakcję z powtarzania wszystkich jego frazesów, a jednocześnie napawałem się w duchu tą sceną: *Ucieknę! Wkrótce uwolnię się od tego monstrualnego udawania, tego nużącego koszmaru! Będę mógł mówić, walczyć!*

Najwyraźniej wywarłem korzystne wrażenie na rozmówcy. Prawdopodobnie uznał, że mój umysł jest właściwie skonfigurowany, żadnych wątpliwości, żadnych sterczących myśli. Prawdopodobnie wziął mnie za człowieka o ciasnych, ale godnych szacunku poglądach, niezbyt błyskotliwego, ale zasługującego na zaufanie. W uścisku jego wilgotnej ręki wyczułem aprobatę.

- No cóż, do widzenia. Prawdopodobnie za cztery albo pięć dni poznacie decyzję Komitetu Centralnego.

Była to korzystna decyzja. W ciągu tygodnia Głównietał otrzymał polecenie przekazania mnie do dyspozycji Ludowego Komisariatu Handlu Zagranicznego. Następnego dnia zameldowałem się we Wszechzwiązkowym Zarządzie Surowców Importowanych Ludowego Komisariatu Handlu Zagranicznego. Dostałem grube tomy poufnych raportów i instrukcji, które musiałem przeczytać i przemyśleć, aby zapoznać się z procedurą lend-lease'u, warunkami w amerykańskim przemyśle, szczegółowymi informacjami na temat zagranicznych firm, z którymi będę miał tam do czynienia.

Potem wezwano mnie jeszcze raz do siedziby Komitetu Centralnego. Tym razem otrzymałem dwie poufne broszury. Kazano mi je przeczytać na miejscu, a następnie zwrócić i podpisać oświadczenie, że zapoznałem się z ich treścią. Broszury dotyczyły reguł postępowania członków partii za granicą i, przede wszystkim, kar za ich naruszenie. Istota tego, co przeczytałem, utkwiała mi na zawsze w pamięci jako groteskowy komentarz do radzieckiej wizji świata niekomunistycznego.

Po nakazaniu bezwarunkowego posłuszeństwa przełożonym broszury ostrzegały przed pokusami, pułapkami i urokami życia w krajach kapitalistycznych. Przywoływały obraz, przerażający i nęcący zarazem, dziwnego, wrogiego, całkowicie zdeprawowanego i rozwiązłego świata, oddanego jednemu celowi usidlenia obywateli radzieckich i wyciągnięcia z nich tajemnic państwowych. Zasadniczym celem zagranicznych rządów, jak się dowiedziałem, było podkopanie lojalności odwiedzających je komunistów.

Tym, którzy mieli rzucić się w wir politycznego występku, przekupnych biznesmenów i uperfumowanych ladacznic, kategorycznie zabraniano rozmów z niewiernymi, niekoniecznie na każdy temat, ale pod żadnym pozorem nie wolno im było dyskutować o polityce. Gdyby zwrócono się do nas z propozycją sprzedaży „dokumentów” lub innych tajemnic, mielibyśmy zaprowadzić sprzedających do najbliższego radzieckiego konsulatu. Pytani o życie w Związku Radzieckim, musieliśmy zakładać, że ciekawscy są agentami kontrwywiadu.

Broszury ostrzegały nas ze szczególnym naciskiem przed kontaktami z byłymi Rosjanami i wydawnictwami „nieprzyjaznymi” wobec naszego kraju. Musieliśmy unikać wszelkich publikacji wydawanych za granicą przez kontrrewolucyjnych emigrantów. Antyradzieckie diabły czaiły się wszędzie; w eterze były „nieprzyjazne” audycje, na ekranach antyradzieckie filmy. Musieliśmy od nich uciekać, gdyż w przeciwnym razie czekało nas potępienie.

Z broszur wynikało, że chociaż kapitalizm jest na wskroś zgniły, na zewnątrz może się wydawać piękny i uwodzicielski, toteż nasza komunistyczna cnota będzie stale wystawiona na pokuszenie. Musieliśmy zamykać nasze zmysły na urok burżuazyjnych bogactw. Najlepsze kapitalistyczne hotele były zakamuflowanymi burdelami, gdzie występne Maty Hari czekały na niewinnych radzieckich mężczyzn. Podróżując za granicą, musieliśmy natychmiast opuścić niebezpieczną strefę, gdyby do naszego przedziału weszła urodziwa kobieta. Gdyby kobieta, zwłaszcza mówiąca po rosyjsku, próbowała wciągnąć nas w rozmowę, mielibyśmy bezzwłocznie uciekać.

Alkohol był opisany jako druga po seksie pułapka na niewinnych obywateli radzieckich za granicą. Nigdy, chyba że w sprawach służbowych i za wyraźną zgodą przełożonych, nie wolno nam było

wchodzić do barów, nocnych klubów i innych jaskiń grzechu, gdzie czyhały na nas rozwiązujące język napoje wyskokowe. Gdyby obowiązek wymagał uczestniczenia w prywatnym bądź publicznym przyjęciu, dobry radziecki emisariusz musiał się bacznie pilnować, aby nie zdradzić jakiejś tajemnicy.

Cóż to były za straszliwe tajemnice, których musieliśmy strzec i które świat zewnętrzny chciał z nas wszelkimi sposobami wyciągnąć? Broszury tego nie mówiły. Ale odpowiedź wydawała mi się oczywista. Kreml najbardziej obawiał się tego, iż możemy potwierdzić prawdziwość „antyradzieckiej propagandy”, szerzonej przez „nieprzyjaznych” pisarzy, mówców i wydawców. „Tajemnice”, o które chodziło, były faktami na temat obozów koncentracyjnych, pracy przymusowej, powszechnego ucisku i degradacji człowieka w ZSRR, co mogłoby zepsuć obraz reżimu malowany przez propagandę. Obie broszury stanowiły w efekcie świadectwo nieczystego sumienia reżimu radzieckiego.

Przypisywały zagranicznym rządóm wszystkie sztuczki, które stosowało wobec cudzoziemców NKWD i inne radzieckie agencje. Ostrzegały, że w Ameryce nasz bagaż może zostać przeszukany, nasze paszporty ukradzione do celów szpiegowskich, nasze telefony będą podsłuchiwane, uwodzicielskie kobiety będą się nam narzucały. W Ameryce, ostrzegały broszury, będziemy żyli na nieprzyjacielskiej ziemi, mimo dyplomatycznych pozorów, że jest inaczej; jeśli nie zachowamy czujności, wciągnie nas kapitalistyczne grzędawisko chciwości, luksusu i nienawiści do socjalistycznej ojczyzny.

Kiedy zwróciłem broszury i poświadczyłem własnoręcznym podpisem, że zapoznałem się z ich treścią, znalazłem się na oratorskiej łasce następnego funkcjonariusza Komitetu Centralnego w następnym ogromnym gabinecie. Mówił surowym tonem.

- Towarzyszu Krawczenko, podejmujecie się zagranicznej misji. Będziecie prowadzić handel w obcym środowisku, wśród kapitalistów, którymi słusznie pogardzamy i którym nie ufamy. Liczymy na to, że nie zawróci wam w głowie widok dóbr konsumpcyjnych i pokusy społeczeństwa w ostatnim stadium zgniłej degeneracji. Nigdy nie zapominajcie o swojej historycznej misji przedstawiciela nowej cywilizacji radzieckiej.

- To prawda, Ameryka teraz nam pomaga. Ale nie możemy zamykać oczu na fakt, że pomaga nam niechętnie, ze zwykłej konieczności. To prawda, niektóre nasze cele wojenne są w tym momencie zbieżne z ich celami, ale dwóch światów nie da się pogodzić. Zawsze pamiętajcie, że jako komunista jesteście zaprzysięgłym wrogiem kapitalistycznego społeczeństwa, którego światowym centrum jest dzisiaj Ameryka. Komunizmu i kapitalizmu nigdy nie uda się pogodzić!

Przybrałem poważny wyraz twarzy, stosowny do okazji. Prawienie

takich elementarnych kazań doświadczonemu członkowi partii było z jego strony głupotą. Ale to też należało do rytuału. Za to mu płacono i z pewnością codziennie wygłaszał identyczne przemowy do innych, podobnych do mnie.

- Kiedy znajdziecie się w Ameryce, będziecie nadal brali czynny udział w pracy naszej partii. Ale pamiętajcie, że na użytek władz amerykańskich nie jesteście i nigdy nie byliście członkiem partii. Musicie udawać, że w ogóle nie interesujecie się polityką. W Ameryce organizacja partii komunistycznej ZSRR działa w podziemiu. Nie zabierzecie ze sobą legitymacji partyjnej, ale fakt waszego członkostwa będzie znany odpowiednim ludziom. Na pozór jesteście inżynierem i niczym więcej. Czy to jasne?

- Tak, rozumiem.

Następnego dnia wróciłem do siedziby partii. Był już koniec czerwca. Zostałem „wymaglowany”. Czekał na mnie inny urzędnik, wyższej rangi. Towarzyszyli mu dwaj ludzie, jeden z nich najwyraźniej agent NKWD. Urzędnik partyjny był potężnie zbudowanym mężczyzną w eleganckim zagranicznym garniturze. Zagraniczny zegarek na rękę i zagraniczne wieczne pióro sterczące z górnej kieszeni marynarki świadczyły, że niedawno wrócił z kapitalistycznej pustyni, zapewne z Londynu albo Waszyngtonu.

- Towarzyszu Krawczenko, Komitet Centralny zatwierdził wasz przydział w Stanach Zjednoczonych - powiedział. - Czy zdajecie sobie sprawę, jakim zaufaniem was obdarzono?

- Tak - odparłem.

- Czy przeczytaliście instrukcje? Czy rozumiecie konsekwencje błędów albo niewłaściwego zachowania?

- Tak, zapamiętam.

- Waszą najlepszą obroną przed błędem jest bolszewicka czujność i całkowite oddanie naszej ukochanej partii.

- Tak, oczywiście. Wiem o tym.

- Jedźcie do kraju najwyższej rozwiniętego i drapieżnego kapitalizmu. Nieuchronnie staniecie się obiektem kontrwywiadowczej działalności FBI. Możecie otrzymać propozycję zdrady kraju. Naiwni kapitaliści i emigranci poruszą niebo i ziemię, żeby was skompromitować. Kontrrewolucyjna i kapitalistyczna prasa, zwłaszcza Hearsta i McCormicka, spróbuje zniszczyć waszą wiarę.

- Nie ufajcie ludziom, którzy udają przyjaciół naszego kraju. Często są bardziej niebezpieczni niż jawni wrogowie. Ostatnio wśród niektórych emigrantów, nie tylko lewicowych, ale wśród prawdziwych monarchistów, modne stało się lizanie naszych butów. Nie ufajcie im. To samo dotyczy bankierów, fabrykantów i innych kapitalistów, którzy idą za modą wyrażania podziwu dla ZSRR. Ich podziw nic nie jest wart.

Z dnia na dzień może zamienić się w zdradę.

Przerywałem monosylabami zrozumienia i aprobaty. Kiedy ta farsa się skończy, myślałem. Ale kazanie dopiero się zaczęło. Uporawszy się z rządowymi szpiegami, emigracyjnymi zaprzańcami i dwulicowymi kapitalistami, urzędnik przeszedł do zagrożenia, które interesowało go najbardziej. Dziwnie roznamiętnionym głosem zaczął mnie ostrzegać przed kapitalistycznymi pułapkami, powabami, nocnymi klubami, damami lekkiego prowadzenia.

- Te rzeczy są przejawami rozkładu burżuazyjnego życia, towarzyszu Krawczenko, ale mimo to są kuszące. Wiem - oko mu błysnęło, a w głosie pojawiła się lubieżna nuta - wiem, że agenci kapitalizmu będą próbowali dotrzeć do was wszelkimi dostępnymi sposobami.

Kiedy skończył, znalazłem się przed obliczem trzeciego kaznodziei. Najwyraźniej jego wydział, bardziej techniczny, był zainteresowany moimi kwalifikacjami zawodowymi, a nie zagrożeniami, które czyhały na mnie jako na mężczyznę. Jednym z moich podstawowych obowiązków, powiedział, będzie gromadzenie wszystkich informacji o charakterze gospodarczym, a jeśli to możliwe, militarnym, jakie wpadną mi w ręce. Muszę się nauczyć zapamiętywać szczegóły techniczne, plany fabryk we wszystkich miastach, które odwiedzę, metody produkcyjne, innowacje w dziedzinie maszyn, nowe procesy technologiczne, wszystko, czego nie wiemy.

- Będziecie oczami i uszami naszego kraju w Ameryce. Po przyjeździe do Waszyngtonu zameldujecie się u towarzysza Sierowa. Wręczycie mu żeton, który otrzymacie, kiedy zdacie swoją legitymację partyjną. Wie o was wszystko. Czy to jasne?

- Zupełnie jasne.

- Jeszcze jedna rzecz: nie rozpowiadajcie, że wyjeżdżacie za granicę. Możecie powiedzieć tylko przyjaciółom, których uważacie za politycznie wiarygodnych.

Nie wiedziałem, dlaczego wysłanie za granicę kolejnego przedstawiciela handlowego ma być traktowane jak tajemnica. Ale, oczywiście, nie zadawałem żadnych naiwnych pytań. Zanim wyszedłem z budynku, w zamian za swoją legitymację partyjną otrzymałem żeton. Bez legitymacji czułem się dziwnie, niemal nagi. Prawo do posiadania legitymacji wydawało się niegdyś szlachetnym marzeniem. Teraz oddałem ją bez cienia żalu - stałem się niewrażliwy na polityczną symbolikę. W Ludowym Komisariacie Obrony przejrano moje dokumenty i zostałem oficjalnie zwolniony ze wszystkich obowiązków wojskowych. Ludowy Komisariat Handlu Zagranicznego przydzielił mi znaczną sumę w radzieckiej walucie i specjalne kupony na zakup ubrań, w których można się pokazać w zdegenerowanym kapitalistycznym świecie. Dostałem również amerykańską walutę na podróż

do Waszyngtonu.

Po tych czynnościach wstępnych stawilem się znowu u towarzysza Lebediewa. Było tam również kilku innych członków partii, wysyłanych do Ameryki. Teraz, kiedy wszystkie przeszkody i kazania mieliśmy już za sobą, Lebediew był uśmiechnięty i serdeczny.

- No cóż, towarzysze, będę się streszczał - powiedział. - Jesteście ludźmi politycznie dojrzałymi. Posłuchajcie małej przypowieści.

Z najdrobniejszymi szczegółami i widocznym upodobaniem zaczął snuć opowieść o radzieckim wysłanniku do Stanów Zjednoczonych, który, niestety, nie okazał się tak roztropny jak się spodziewano. Ten nieszczęśnik dał się usidlić amerykańskim agentom. Na szczęście Rosjanin miał dosyć rozsądku, aby wtajemniczyć we wszystko konsulat i w ostatniej chwili został uratowany.

Wszyscy pokiwaliśmy ze zrozumieniem głowami. Będziemy się strzec podstępów amerykańskiej tajnej policji.

- Jeszcze jedna przestroga i już kończę, towarzysze. Niektórzy z was wyjeżdżają bez żon. W Ameryce będzie mnóstwo jedzenia i picia. To fałszywa wojenna koniunktura, wiecie, i szybko nastąpi kolejny kryzys. Tak czy inaczej, wiecie, jak to jest z koniem wyścigowym, kiedy naje się owsa. - Mrugnął szelmowsko, a my roześmialiśmy się ze służalczym uznaniem, chociaż zrozumieliśmy cynizm jego słów. - To prawda. Zaczyna rzeć... Strzeżcie się nóg amerykańskich dziewcząt. - Pogroził ostrzegawczo palcem. - Jeśli będziecie się zadawać z amerykańskimi kobietami, pamiętajcie, że was ostrzegałem.

Potem porzucił żartobliwy ton i przeszedł do surowych gróźb. Ameryka, oznajmił, to tylko tymczasowy sojusznik. Naszym hasłem musi być ostrożność i czujność. Pewnego dnia udawana przyjaźń się skończy, powrócą dialektyczne realia.

- Dowiadujcie się jak najwięcej, obserwujcie wszystko - i nie dawajcie nic w zamian.

Kiedy wracałem do domu, miałem w kieszeni na piersiach małą czerwoną książeczkę, radziecki paszport zagraniczny. Okoliczności sprawiły, że otrzymałem ten najbardziej upragniony kawałek papieru. Bez przerwy go dotykałem, żeby się upewnić, że to nie złudzenie. W domu czekała na mnie Irina. Z mojego wyrazu twarzy wyczytała natychmiast, że wszystko w porządku. Wiedziałem, że stara się powstrzymać łzy. Nie miała pojęcia o mojej wielkiej tajemnicy. Jej najlepszą ochroną, jedyną uprzejmością, jaką mogłem jej wyświadczyć w zamian za jej uczucie, było utrzymywanie jej w całkowitej nieświadomości co do moich zamiarów.

- To krótkoterminowy przydział - powiedziałem ze ściśniętym gardłem. - Wyjadę na kilka miesięcy, najwyżej na rok.

Wiedząc w głębi serca, że mogę już nigdy nie zobaczyć swojego kraju i jego mieszkańców, w dniach poprzedzających mój wyjazd patrzyłem na nich z czymś w rodzaju przeczuwanej tęsknoty za domem. Próbowałem utrwalić ich obraz w siatkówce swojego umysłu.

Były oczywiście dziesiątki przyjaciół, z którymi chciałem się zobaczyć przed odjazdem. Absurdalna tajemnica spowijająca moją podróż sprawiała, że stawało się to niezręczne. Mimo to zaryzykowałem pożegnalną wizytę u towarzysza Miszy i innych bliskich mi ludzi. Starłem się nadać pożegnaniom formę zdawkową, tak aby nie odgadli moich zamiarów. Kiedy pokazywałem paszport, wytrzeszczali oczy z niedowierzaniem. Opuścić kraj, uwolnić się choćby na krótki okres od stalinowskiego „szczęśliwego życia” to bardzo trudne i dlatego będące przedmiotem największej zawiści osiągnięcie.

Jeden z bliskich przyjaciół, którego odwiedziłem i któremu pokazałem swój mały czerwony cud, był chemikiem zajmującym wysokie stanowisko w rządzie. Należał do tych, którzy byli prześladowani podczas wielkiej czystki, a później „zrehabilitowani”. Chociaż na procesie „przyznał się” do współudziału w planowanych aktach sabotażu, po wyjściu z więzienia szybko awansował w hierarchii. Teraz na jego piersi połyskiwały odznaczenia za wybitne zasługi wojenne.

Ujął moją rękę, z zawiścią, jak mi się wydawało, i trzymał ją długo w mocnym uścisku.

- Gratuluję, Witiu! Jesteś jeden na sto tysięcy! Gdyby nie żona i dzieci, sam znalazłbym pretekst do wyjazdu za granicę... Ech, zobaczysz dziwny świat zewnętrzny. Jak mało wolno nam o nim wiedzieć!

Urwał na chwilę i zmarszczył brwi, jakby próbował się na coś zdecydować. Potem powiedział zapalczywie:

- Pojedźmy do mnie. Napijemy się na pożegnanie i... no cóż, mam straszną ochotę się wygadać...

Zrobił to. Czy ośmielił go mój zbliżający się wyjazd do odległego kraju? Czy nie mógł dłużej zapanować nad jątrzącymi myślami? Niezależnie od powodu, tamtego wieczoru powiedział mi rzeczy, których żaden zdrowy na umyśle Rosjanin nie mówi głośno w moim kraju.

- Witiu, ci głupcy wyobrażają sobie, że kupili mnie za te błyskotki. Ale są w błędzie. Pracuję ciężko dla zwycięstwa nad Niemcami. Jestem na wskroś Rosjaninem. Ale nie zapomniałem ani nie wybaczyłem roku cierpień. To prawda, pnę się w górę. Oni potrzebują kompetentnych ludzi; nawet ja, były więzień, wyróżniam się zdolnościami. Może niedługo zostanę komisarzem ludowym. To wcale nie jest niemożliwe.

- Ale nie zapomniałem niczego, niczego! Pamiętam każdą chwilę udręki, każdą zniewagę i cieszę się nimi jak wielkimi skarbami, myśląc

o dniu zemsty. Torturowali mnie przez kilka miesięcy, zanim podpisałem to podłe i kłamliwe zeznanie. Zamykali mnie w pojedynczych wilgotnych celach, które dzieliłem z wielkimi szczurami. Czy wiesz, przyjacielu, co to znaczy być torturowanym? Powiem ci...

- Nie, Grigoriju, nie! - błagałem. - Dosyć się nasłuchałem od innych. Po co rozdrapywać stare rany?

- One nigdy się nie zagoją, Witiu. Odświeżam je. Nie pozwalam, żeby się zagoiły. Codziennie wstaję z przekleństwem na ustach i co noc kładę się spać z tym samym przekleństwem. Posłuchaj, nigdy o tym nikomu nie opowiadałem, ale nie mogę dłużej milczeć.

- Słyszałeś o torturze światła, ale ja ją przeżyłem. Siedzisz pośrodku pokoju, wielkie elektryczne żarówki świecą ci prosto w oczy i nie wolno ci zasnąć. Jeśli zacznasz drzemać albo zamykasz oczy, strażnicy budzą cię ciosami pięści. Kiedyś siedziałem w ten sposób przez siedemdziesiąt dwie godziny, bez snu, bez jedzenia, bez wody. Ciało miałem zdrętwiałe, oczy paliły mnie jak rozżarzone węgle. A pod koniec tej tortury znowu zaczął mnie przesłuchiwać wypoczęty, krzepki sadysta.

- Och, są sprytni, ci „socjalistyczni” oprawcy. Wiedzą, jak wycisnąć z ciebie „dobrowolne” zeznania. Jestem pewien, że hitlerowskie gestapo mogłoby się od nich uczyć. Głód, pragnienie, gorąco, zimno - grają cudowne wariacje na te tematy nasi Paderewscy izb tortur. W naszym więzieniu był funkcjonariusz, który przygotowywał swoje ofiary do krzyżowego przesłuchania własną metodą: kazał im podawać słone jedzenie, na przykład śledzie, a potem pozbawiał ich wody. Zanim się do nich zabrał, byli już na wpół obłąkani z pragnienia. Kiedy ich przesłuchiwał, popijał długimi łykami zimną wodę, albo nawet piwo, a torturowany więzień przyglądał się temu.

- Wiem o zeznaniach wydobywanych z ludzi, którzy wisieli za nadgarstki przez dwadzieścia cztery godziny. Znam przypadki, kiedy więźniom wyrywano włosy razem z kawałkami skóry. Tak, są sprytni, ci mistrzowie tortur. Wiedzą, kiedy zadać ból, a kiedy stosować powolne, szarpiące nerwy rodzaje katuszy.

- Tak, bili mnie też, nie raz, ale setki razy. Wreszcie przyszedł największy koszmar. O tym nie opowiadałem wcześniej nikomu poza moją żonę. Pewnej nocy wychłostali mnie w izbie tortur długimi, mokrymi ręcznikami. Było ich trzech. Najpierw rozebrali mnie do naga, a potem bili po twarzy, po nerkach. Później rzucili mnie na stół. Dwóch rzeźników mnie trzymało, a trzeci bił z całej siły mokrymi ręcznikami po udach... po genitaliach.

- Wyobraź sobie najgorszą mękę, jaka ci przyjdzie do głowy, pomnóż ją przez milion, a może zbliżysz się do tego, przez co przeszedłem. To są chorzy ludzie, zdegenerowane potwory.

- Nie, Grigoriju, proszę, nie - szepnąłem.

- Nie odzyskałem przytomności przez kilka dni. Kiedy doszedłem do siebie, byłem w więziennym szpitalu. Już nic się dla mnie nie liczyło. Zastanawiałem się, jakim cudem i po co opierałem im się tak długo. Obrzucałem się wyzwiskami za to, że byłem takim głupim idealistą. Podpisałem wszystko, co mi podsunęli, bez czytania, było mi wszystko jedno. Kiedy mnie wypuścili, żona nie miała ze mnie żadnego pożytku...

- A ci głupcy myślą, że wynagrodzą mi to tytułami i odznaczeniami. Naprawdę wyobrażają sobie, że zapomniałem! Im wyższe stanowisko zajmuję, im jestem bliżej tronu na Kremlu, tym bardziej ich nienawidzę, przeklinam ich i pragnę zemsty.

W Ameryce, w następnych miesiącach, byłem zmuszony słuchać rozmaitych bredni o „nowej cywilizacji” w Rosji Radzieckiej, o „socjalizmie” i „demokracji ekonomicznej”. Słuchając, myślałem czasami o tym, co uczyniono Grigorijowi. Ogarniały mnie mdłości, natychmiast zaczynałem więc myśleć o czymś innym, bardziej przyjemnym, żeby nie zwymiotować.

W mojej pamięci odcisnęło się również bardzo wyraziście inne dziwne spotkanie ze znajomym w tamtych ostatnich dniach w Moskwie. Niestety, nie ośmielę się wymienić jego nazwiska. Wystarczy, jeśli powiem, że zalicza się do najbardziej wpływowych komunistów i ma koneksje w najwyższych kręgach rządzących. Raz zaryzykowałem wolność, żeby go uratować, a on o tym nie zapomniał. Uznałem, że lepiej się z nim nie żegnać, ale on najwidoczniej dowiedział się o moim planowanym wyjeździe i przejął inicjatywę. Umówiliśmy się na spotkanie, na pozór przypadkowe, w parku naprzeciwko Teatru Wielkiego na placu Teatralnym.

- A zatem wszystko w porządku i naprawdę wyjeżdżacie? - spytał, kiedy usiedliśmy na parkowej ławce. - Gratuluję! Gratuluję!

- Uznałem, że będzie lepiej, jeśli się z wami nie pożegnaj - odparłem. - Wiedziałem, że zrozumiecie.

- Ale musiałem z wami porozmawiać, Wiktorze Andriejewiczu. Wiem, co myślicie o różnych rzeczach. Nigdy mi o tym nie mówiliście, ale wiem. Dlatego właśnie chciałem się z wami zobaczyć i ostrzec was. Tutaj trzymamy język za zębami. Ale za granicą będziecie w ciągłym niebezpieczeństwie ujawnienia swoich uczuć. Wolność uderza do głowy. Zaczniecie się czuć bezpieczni i pewnego pięknego dnia możecie się wygadać. Wtedy nagle wezwą was do kraju, pod jakimś doskonale uzasadnionym pretekstem, zapewne po prostu na konsultacje, a kiedy wrócicie - koniec!

- Nie zapominajcie proszę, że nowe otoczenie da wam fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Pamiętajcie, że będzie was tam otaczać więcej szpiegów, więcej donosicieli niż kiedykolwiek w kraju. Jeśli będziecie się tego trzymać, poradzicie sobie. Cały nasz reżim opiera się

na szpiegowaniu i prowokacji. Ten sam system jest nie tylko stosowany, ale nasilany za granicą. Jest nieustannie rozszerzany, udoskonalany. Nasi władcy wiedzą, że ukrywamy swoje prawdziwe dusze głęboko w naszych skorupach, jak duchowe ślimaki. Chcą przeniknąć przez tę skorupę...

- Tutaj, w kraju, jak przypuszczam, co piąta osoba w każdym urzędzie jest szpiegiem, pracującym dla takiej lub innej kontrolnej na pozór organizacji. Tam, dokąd jedziecie, ten stosunek wynosi pewnie jeden do trzech. I nie są to tylko Rosjanie. Mamy na naszych listach płac wielu Amerykanów, oprócz tych, którym nie płacimy, którzy robią to dla sprawy. Będą wam zadawać niewinne pytania, będą was prowokować, żebyście się wygadali, poskarżyli. Agenci będą komentować rzeczy, które przeczytają w gazetach albo usłyszą w radiu, żeby was wciągnąć w pułapkę.

- Myślę, że znam ten system, przyjacielu, i będę uważał. Mimo to jestem wdzięczny...

- Będziecie pod nieustanną obserwacją ze wszystkich stron, Wiktorze Andriejewiczu. Wielu będzie się was bało, zastanawiając się, czy też nie jesteście agentem. Na tym polega szatańska mądrość naszego systemu - nikt nie zna swojego brata. Wiem, że jesteście tym wszystkim zmęczeni. Jeśli chcecie przeżyć, nie wystarczy, że zrozumiecie moje ostrzeżenie. Musicie je czuć każdym nerwem swojego ciała...

Rozstaliśmy się. Później, kiedy o nim myślałem, zawsze widziałem oczyma duszy tę dziwną scenę na parkowej ławce. Widziałem, jak starannie opuszczał daszek swojej czapki, jak chował głowę głębiej w kołnierz, żeby uniknąć rozpoznania. Myślę o tym swoim przyjacielu jak o cudzie - na wskroś przyzwoitym, serdecznym Rosjaninie, który nie tylko przetrwał czystki, ale zasiadał uśmiechnięty wśród potężnych.

Tylko Irina odprowadziła mnie na Dworzec Kazański. Pocieszałem ją, próbując podtrzymać ją na duchu. W środku płakałem, wiedząc, że nawet się nie domyśla, iż jest to nasze ostatnie spotkanie. Dręczyła mnie ta świadomość. Ale co mogłem jej powiedzieć? Nic. Znacznie lepiej było pozostawić ją w całkowitej niewiedzy. Nie było radości w wyjeździe do Ameryki - tylko ostry ból, głęboki i niewysłowny smutek. To nie była moja wina, że opuszczałem swój kraj. To była wina zdegenerowanego i nieludzkiego systemu. Jedyne, co mogłem zrobić dla swoich cierpiących rodaków, to uciec, a potem spróbować opowiedzieć światu o wszystkim, co wiem, najlepiej jak umiem. Taki był nakaz mojego rosyjskiego dziedzictwa. Taka była logika całego mojego życia.

głosie, inteligentnej twarzy i uprzejmych oczach. Ostrożnie, w podejrzliwy radziecki sposób, przedstawiliśmy się sobie. Wyciągnęliśmy nasze jedzenie, rozmawialiśmy o wojnie. Jadę do Władywostoku, odpowiedziałem na jego przyjacielskie pytanie. On udzielił na to samo pytanie jeszcze bardziej mglistej odpowiedzi: „Za Ural” – powiedział z lekceważącym gestem.

W nocy rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł dziarski funkcjonariusz NKWD. Serce zabiło mi z nagłym niepokojem. Chociaż byłem przekonany, że naprawdę wyjeżdżam z ZSRR, moje nerwy pozostały czujne, nieufne.

- Dokumenty, proszę! – powiedział funkcjonariusz uprzejmie.

Leżąc na swoim górnym łóżku, wręczyłem mu paszport. Przystudiował go uważnie, porównał fotografię z oryginałem, zwrócił mi małą czerwoną książeczkę i zasalutował. Ku mojemu zdumieniu nowy znajomy przedstawił identyczny paszport zagraniczny. Obaj wyjeżdżaliśmy za granicę i obaj skłamaliśmy – a teraz poczuliśmy się głupio.

- Powiedzcie mi, Wiktorze Andriejewiczu – odezwał się po wyjściu funkcjonariusza – dlaczego musimy się nawzajem okłamywać? Dlaczego musimy się bać? Jesteśmy rodakami, Rosjanami, znamy wielu tych samych ludzi i miejsc, a mimo to boimy się siebie nawzajem. Polityka mnie nie interesuje. Jadę do Mongolii Zewnętrznej hodować bydło dla naszego kraju i zorganizować import mięsa, oto cała tajemnica. Jakie to smutne, że musiałem skłamać!

- A ja wyjeżdżam do Ameryki – powiedziałem – pomóc wybrać wyroby metalowe dla naszego kraju w ramach lend-lease’u. Wybaczcie mi, że was okłamałem! Tak mi wstyd.

- Nie ma czego wybaczać, płyniemy tą samą łodzią. Ech, ta wieczna nieufność... ta dziecięca tajemniczość...

Hodowca bydła wysiadł za Uralem, żeby zmienić pociąg. Jego miejsce zajął rosły mężczyzna w skórzanym płaszczu, z grubą teczką pod pachą. Był hałaśliwy, zrzędlawy i zarozumiały, jak człowiek, który przywykł do uwagi i natychmiastowego posłuchu. Za nim wsiadł młodszy mężczyzna w mundurze wojskowym bez dystynkcji, z rewolwerem u pasa. Niósł walizkę swojego przełożonego i dbał o jego wygody. Był to znany obrazek: wysoki urzędnik państwowy i jego ordynans.

Rozpoznałem w nim od razu towarzysza Borodina, byłego przewodniczącego stalingradzkiego Obwodowego Komitetu Wykonawczego. Zdjął płaszcz, pokazując odznakę członka Rady Najwyższej i Order Lenina przypięty do piersi. Miał wydatny brzuch, a jego maleńkie oczka spoglądały chytrze z zimnej, tłustej twarzy. Jego dłonie były starannie wypielęgnowane. Towarzysz Borodin wyjął demonstracyjnie browning z kieszeni i demonstracyjnie położył go pod

poduszką. Nie mogło być wątpliwości co do jego władzy i znaczenia. Potem raczył się przyjrzeć swojemu nowemu towarzyszowi podróży.

- Czy nie widziałem was gdzieś? - spytał.

- Tak, towarzyszu Borodin, w Sownarkomie. Uczestniczyłem w wielu konferencjach, na których byliście obecni. Nazywam się Krawczenko, Wiktor Andriejewicz Krawczenko.

- Doskonale, doskonale. Dokąd jedziecie?

- Ameryka, Waszyngton.

- Coś takiego! Bardzo interesujące. Sprytne i silne diabły, ci jankesi. Musimy ich przejrzeć na wylot. To dobrze, że ich przemysł nam pomaga.

Borodin jechał do Kraju Ałtajskiego z oficjalną misją. Wyruszył samolotem, ale musiał wylądować z powodu „kaśłania i kichania w silniku”, jak wyjaśnił, i teraz włókł się pociągiem. Na szczęście zabrał ze sobą dużo jedzenia, a w dodatku zamierza sprawdzić, co dają w wagonie restauracyjnym. Och, na pewno będziemy mieli przyjemną podróż. Czy gram w karty? Może wypiłbym kieliszeczek?

Umundurowany ordynans, którego Borodin traktował jak niewolnika, otworzył torbę wypchaną przysmakami i podał wspaniały posiłek. Przyjąłem wylewne zaproszenie swojego towarzysza, bym przyłączył się do uczyty, ale uparłem się, że dodam do niej własne wiktuały. Ponadto ugrzeczniony kierownik wagonu restauracyjnego, przejęty obecnością Borodina, wydawał kolacje dla nas i dla innych ważnych pasażerów, w tym pewnego generała i pewnego admirała, każdego wieczoru, kiedy wagon restauracyjny był już zamknięty dla zwykłych śmiertelników.

Pomiędzy posiłkami spotykaliśmy się w innym przedziale, gdzie niektórzy grali w karty, a wszyscy dyskutowali o wojnie, urokach krajobrazu, zaletach różnych kaukaskich win i tym podobnych problemach. Kiedy zasiadaliśmy do kolacji, Borodin nieodmiennie wznosił uroczysty toast za naszego Ukochanego Nauczyciela i Przywódcę.

Tylko od czasu do czasu widok głodnych, półnagich, bezdomnych dzieci na dworcach psuł nam podróż. Na jednej stacji Borodin wyrzucił przez okno starannie ogryzione kości kurczaka. Głodne dzieci natychmiast rzuciły się na te skarby, bijąc się zajadle o każdy kawałek. Borodin nachmurzył się, oczy mu się zwężyły, i mruknął coś o strasznej wojnie. Spasiony „proletariacki” przywódca był zirytowany. Mimo to rozkazał ordynansowi, aby dał *bezprizornym* trochę chleba. Potem zaciągnął zasłony i znowu zabrał się do kurczaka na zimno.

Nasz pociąg, jak się dowiedzieliśmy, wiozł kilku ważnych gości - delegację brytyjskich związkowców pod przywództwem Waltera Citrine'a. Podróżowali specjalnym wagonem wraz z kilkoma radzieckimi urzędnikami i tłumaczami, obsługiwani przez własną kuchnię i na wszelkie sposoby chronieni przed bezpośrednim zetknięciem

z radziecką rzeczywistością. Nie było jednak sposobu, aby usunąć z widoku wygłodzonych *bezprizornych* i nędznie ubranych, niedożywionych ludzi na niektórych stacjach. Mogłem mieć jedynie nadzieję, że sir Walter i inni Brytyjczycy wydobędą z tych tragicznych widoków jakąś część gorką prawdę.

Na zachód, w kierunku walczących frontów, podążały nieustannie pociągi wyładowane sprzętem i uzbrojeniem. „Lend-lease!” – wykrzykiwał często Borodin, kiedy następny pociąg dudnił za naszymi oknami. „Cudowny amerykański wynalazek!” – zgadzał się generał. Im bliżej Władywostoku, tym bardziej imponujący stawał się ten napływ amerykańskich dóbr.

Niebawem towarzysz Borodin wysiadł z pociągu, a jego potulny ordynans powłókł się za nim, uginając się pod ciężarem bagażu. Kierownik wagonu restauracyjnego wydał głośne westchnienie ulgi; nie usłyszałem, co mamrotał pod nosem, ale jestem pewien, że dobrze odgadłem. Wolne miejsce w moim przedziale zajął następny przedstawiciel radzieckiej arystokracji, tak samo dobrze odżywiony i zadowolony z siebie jak jego poprzednik, choć nieco mniej hałaśliwy. Okazało się, że jest to szef obwodowego wydziału sztuki udający się z „misją kulturalną” do Ułan Ude w Buriacko-Mongolskiej Republice Autonomicznej.

Przez całą podróż nie opuszczało mnie zdenerwowanie. Podczas każdej kontroli dokumentów – a sprawdzano je często – serce biło mi szybciej z irracjonalnego niepokoju. Źle spałem, a kiedy się w końcu zdrzemnąłem, śniło mi się, że zbiry z NKWD wywlekają mnie z pociągu. W jednym z takich koszmarów ktoś szepnął mi do ucha: „A więc myślałeś, że nie wiemy... Myślałeś, że pozwolimy ci uciec...”. Rozejrzałem się, rozpoznałem Gerszhorna i obudziłem się, zlany zimnym potem.

We Władywostoku zatrzymałem się w hotelu Intourist. Orkiestra bez przerwy grała głośne taneczne melodie, wina i piwa nie brakowało, a kobiety w służbie NKWD uprawiały swój proceder. Odwiedziłem targ miejski, gdzie sprzedawano żywność i ubrania po fantastycznych czarnorynkowych cenach, w obfitości, jakiej nie widziałem nigdzie indziej w ZSRR. Większość tych dóbr była z całą pewnością amerykańska, niewątpliwie kradziona z dostaw lend-lease’u albo przywożona przez rosyjskich marynarzy. Widziałem tam kilka par damskich butów po trzy tysiące rubli. Widziałem kilogram bekonu za tysiąc dwieście rubli. Małe puszki z kolorowymi amerykańskimi etykietkami kosztowały dwieście rubli i więcej.

Władywostok tętnił życiem. Umundurowanych i cywilnych marynarzy można było zobaczyć wszędzie, a nabrzeża uginały się pod górami amerykańskiego sprzętu i wyposażenia. Miasto pulsowało wojenną

aktywnością.

Wreszcie nadszedł ranek, kiedy zabrano mnie samochodem wraz z innymi udającymi się za Pacyfik do urzędu celnego w porcie. Wchodziliśmy, pojedynczo, do zamkniętego pokoju wraz z bagażami. Trzej czekał, jeden po cywilnemu, pozostali w mundurach, przeszukiwali metodycznie każdą walizkę, grzebiąc po kieszeniach, sprawdzając podszewki, a w niektórych przypadkach przetrząsając nasze koszule i inną odzież. Nie mniej dokładnie przeszukali moją osobę. Wywrócili na drugą stronę wszystkie kieszenie, obmacali wprawnymi palcami podszewkę i klapy mojej marynarki. Zbadali zawartość portfela, a jeden z umundurowanych funkcjonariuszy przewertował notes z nazwiskami i numerami telefonów.

Koperta zawierająca zdjęcia różnych członków mojej rodziny z jakiegoś powodu obudziła czujną ciekawość psów policyjnych. Pytali mnie o tożsamość każdej osoby na każdej fotografii.

- A kim jest ten oficer? - spytał celnik w cywilnym ubraniu, wskazując na jedno ze zdjęć.

- To mój brat Konstantin.

- Gdzie on teraz jest?

- Zginął na froncie kaukaskim.

- Dlaczego zabieracie ze sobą tyle fotografii?

- To moja rodzina. W końcu, będę sam, z dala od nich wszystkich.

- Ale wracacie do Związku Radzieckiego?

Serce podskoczyło mi w piersiach. Przełknąłem głośno ślinę, zanim zdołałem odpowiedzieć. Ale najwidoczniej pytanie było strzałem w ciemno, ponieważ przepuszczono mnie bez problemów. Niebawem znalazłem się na pokładzie ociężałego frachtowca „Komiles”, płynącego do Vancouver w Kanadzie. Było może ze dwudziestu pasażerów, mężczyzn i kobiet, przydzielonych do pracy w Stanach Zjednoczonych.

Urządziwszy się w małej, ale wygodnej kajucie w skrzydle oficerskim, zacząłem rozmyślać. Z pokładu patrzyłem, jak oddala się rosyjska ziemia. Po raz ostatni patrzyłem na swój rodzinny kraj, gdzie nieszczęsne miliony jęczały pod terrorem reżimu, któremu niewiele innych w historii mogło dorównać bezwzględnością i okrucieństwem. Do upokorzeń wszechobecnego niewolnictwa doszły teraz okropności wojny. Nigdzie na świecie nie było takiej koncentracji cierpienia i politycznego despotyzmu, nigdzie indziej nędzy nie maskowano „postępowymi” hasłami. Nie wytrzymałem długo na pokładzie. Przytłaczały mnie ponure myśli i uczucia. W duchu żegnałem się smutno z przyjaciółmi, z rodziną, ze swoją przeszłością. Przygnębiony, wróciłem do swojej kajuty, żeby zostać sam na sam ze swoimi myślami.

Decyzja, aby wyjechać, znaleźć wolność, w której będę mógł opowiedzieć gorzką prawdę o nędzy i politycznym zniewoleniu Rosji,

walczyć o wyzwolenie swojego narodu, dojrzewała tak powoli w głębinach mojego jestestwa, że sam nie wiedziałem, kiedy nabrała pełnego kształtu. Ale już od lat miałem gotowy plan, czekający na dogodny moment. Kiedy jednak ten moment nadszedł, pogrążyłem się w smutku. Byłem boleśnie świadom rozłąki, tak głębokiej jak śmierć, i czułem się tak, jakbym jechał na własny pogrzeb. W tym momencie darzyłem swój kraj i naród żarliwym uczuciem, które ledwo mogłem znieść.

Przypominałem sobie sceny z dzieciństwa, młodość, dojrzałe życie, chwile szczęścia, w tej godzinie ostatecznej rozłąki nie mniej bolesne niż chwile cierpienia i upokorzenia. Myślałem o swoich przeżyciach podczas pierwszego głodu, kolektywizacji, drugiego głodu, będącego dziełem człowieka, czystek, nocnych przesłuchań w Nikopolu. Myślałem o obozach koncentracyjnych rozsianych po całym kraju i o dziesiątkach, nie, setkach przyjaciół dogorywających w więzieniach i obozach pracy przymusowej.

Gdzie była moja łagodna, niezłomna matka? Gdzie był nieprzekupny ojciec, tak surowy i prawy w swoim umiłowaniu wolności? Czy wyjdą żywi z niemieckiej niewoli? Czy będą cierpieć za moją decyzję? A Irina, czy zostanie ukarana za moje czyny? Czy mi wybaczy, że nie wtajemniczyłem jej w swoje plany? Co pomyśli o mojej ucieczce brat Jewgienij, całkowicie obojętny na politykę?

Moi przyjaciele, moi kochani, żywi i umarli, czy rozumiecie, dlaczego musiałem was porzucić? Czy rozumiecie, że musiałem was opuścić, aby być bliżej was, aby spróbować opowiedzieć o was światu ogłupionemu propagandą i zaślepiionemu pobożnymi życzeniami?

Płynąc pod radziecką banderą wciąż znajdowałem się, teoretycznie, na radzieckiej ziemi. Irracjonalna niepewność wciąż mnie dręczyła w bezsennych godzinach i nawiedzała moje sny. Jeden radiogram, nierozważne słowo w obecności szpiegów, którzy niewątpliwie byli wśród nas, wystarczyłyby, aby zniweczyć moje żarliwe nadzieje i plany.

Minęliśmy wybrzeża Japonii. Z niepokojem obserwowaliśmy, jak dwa japońskie niszczyciele płyną naszym śladem, a następnego dnia zaczęły krążyć nad nami japońskie samoloty. Kilka dni później ujrzeliśmy na horyzoncie ląd i poinformowano nas, że to wyspa, na której prawdopodobnie zobaczymy Amerykanów. Pierwszy skrawek amerykańskiego terytorium wywołał wśród załogi i pasażerów ogromne podniecenie. Kiedy podpłynęliśmy bliżej, zauważyłem amerykańską flagę łopoczącą nad skupiskiem nowych budynków.

Do naszej burty przybiła motorówka. Dwaj oficerowie amerykańskiej marynarki wojennej weszli po trapie i udali się na mostek kapitański. Trzej marynarze pozostali w motorówce, a my zebraliśmy się przy relingu, aby po raz pierwszy popatrzeć z bliska na tych

kapitalistycznych „wrogów klasowych”, przed których przewrotnością tak usilnie nas ostrzegano. Ci wysocy, opaleni na brąz, uśmiechnięci chłopcy nie dorastali do roli kapitalistycznego zagrożenia. Było wśród nas kilka tłumaczek znających angielski i natychmiast nawiązaliśmy rozmowę.

Ci amerykańscy chłopcy, naiwnie nieświadomi swojej złowieszczej roli w radzieckich oczach, nie zadali ani jednego pytania politycznego. Było oczywiste, że interesują ich wyłącznie rosyjskie dziewczęta i to w aspekcie całkowicie apolitycznym. Ktoś nastawił gramofon w swojej kajucie i puszczał rosyjskie płyty dla marynarzy w motorówce. Jeden z nich poprosił, abyśmy zaśpiewali *Oczy czornyje*, ale, niestety, nie było wśród nas śpiewaków.

Kiedy motorówka odpłynęła, rozmawialiśmy o swoim pierwszym zetknięciu z Amerykanami. Wszystkich ogarnął liryczny entuzjazm – wygląd chłopców, ich życzliwość, ich wesołość poruszyły nasze serca. Później fanatyczny komunista (w każdej radzieckiej grupie jest przynajmniej jeden taki) ostudził nasz zapał.

- Czy nie powinniśmy miarkować swojego podziwu, towarzysze? - spytał surowym, autorytatywnym głosem. - Pamiętajcie, że ci „mili” i „słodcy” chłopcy są dziećmi i lokajami wrogiego kapitalistycznego świata!

Jego słowa przywołały nas do rzeczywistości. Niektórzy z nas wyglądali na szczerze zawstydzonych, że tak szybko utracili czujność i ulegli pokusom, przed którymi nas wyraźnie ostrzegano.

Dziewiętnastego dnia zobaczyliśmy wybrzeże Kanady. Kanadyjski inspektor wszedł na pokład, pozdrawiając nas wątpliwym rosyjskim, ale z niewątpliwym uśmiechem. Niebawem zawinęliśmy do portu w Vancouver. W niecałe dwadzieścia minut, bez żadnych krzyków i zamieszania, zostaliśmy przycumowani. Na pokład weszli kanadyjscy inspektorzy celni, dwaj cywile i oficer marynarki. Ustawiliśmy się w kolejce i okazaliśmy swoje paszporty, które sprawdzono w sposób bardzo pobieżny, po czym je nam zwrócono. Nikt nie otwierał walizek, nie wywracał kieszeni i nie badał podszewek naszych płaszczy w poszukiwaniu ukrytych dokumentów. A co najbardziej niewiarygodne, nikt nas o nic nie pytał. Krótko mówiąc, nie było żadnego strachu przed obywatelami radzieckimi, którego oczekiwaliśmy, niczego, co uzasadniałoby „czujność”, którą nam zalecano.

Niecałą godzinę po przycumowaniu pozwolono nam zejść na brzeg! Nawet najbardziej świętoszkowaci komuniści w naszej grupie, w tym towarzysz, który ostudził nasz podziw dla amerykańskich marynarzy, byli zdumieni i w gruncie rzeczy rozczarowani – czuli się jak ludzie objuczeni parasolami, kaloszami i nieprzemakalnymi płaszcami w słoneczny dzień. Gdzie się podziało kapitalistyczne poczucie wrogości

klasowej? Dlaczego w ich życzliwej ciekawości jest tak mało niepokoju? Czy ci ludzie są naiwni, czy - zatrważająca myśl - odnoszą się z pogardą do nosicieli zarazków rewolucji? Wydawało się to nam nierealne, niewiarygodne, wręcz nieprzyzwoite, że mogliśmy zejść ot tak sobie na kanadyjską ziemię, i to w czasie wojny.

Radziecki konsul w San Francisco, towarzysz Łomakin, zebrał nas w salonie i, znudzonym, nieprzekonywującym głosem, wygłosił kolejny wykład o niebezpieczeństwach kapitalistycznej dżungli. Biedak spełniał po prostu swój obowiązek. Potem zostawiono nas samym sobie. Przy trapie stało tylko dwóch strażników, jeden rosyjski i jeden kanadyjski.

Zatrzymałem się na kilka sekund, zanim wkroczyłem do Vancouver. Miałem głębokie, przejmujące poczucie doniosłości chwili. Po raz pierwszy w swoim trzydziestoosmioletnim życiu znalazłem się poza granicami rodzinnego rosyjskiego świata. Po raz pierwszy w swoim dojrzałym życiu, tak mi się przynajmniej wydawało, poza zasięgiem Stalina i jego tajnej policji.

ROZDZIAŁ XXVII

Poddany Stalina za granicą

Vancouver. W głowie mi wirowało. Moje myśli pływały. Byłem wolny! Kto to kiedyś powiedział, że tylko ci, którzy byli niewolnikami, potrafią zrozumieć wolność? Kiedy wraz z grupą towarzyszy podróży chodziłem głównymi ulicami, wydawało mi się, że jeszcze nigdy dotąd nie widziałem tylu odprężonych, spokojnych, szczęśliwych ludzi w jednym miejscu na raz.

Najbardziej podniecały nas wystawy sklepowe. Cóż za nieprzebrana obfitość rzeczy do noszenia, do jedzenia, do używania! Przypominaliśmy dzieci w cyrku, wpatrujące się z otwartymi ustami w cuda, które dla dorosłych są czymś powszednim. Ale to zupełnie tak, jakby marzenie o socjalistycznym dobrobycie się spełniło, powtarzałem sobie w duchu. To jest właśnie to, co nam obiecywano w mglistej przyszłości, po nieskończonym cyklu planów pięcioletnich! W moich myślach była też odrobina urazy: ci ludzie, nasi sojusznicy, wydają się tak oddaleni od koszmarów i poświęceń wojny, które zalewały mój rodzinny kraj.

Wchodziliśmy do sklepów, aby zrobić pierwsze dla większości z nas kapitalistyczne zakupy. Czy naprawdę mogliśmy kupić cały ten chleb, wszystkie te koszule, całą tę czekoladę, wszystko, o co poprosimy? Graniczyło to z czarami. A ceny były śmiesznie niskie. Dziewczęta z naszej grupy rozmawiały ekstatycznym szeptem o sukience na wystawie. W Moskwie czy we Władywostoku, gdyby w ogóle znalazły podczas wojny coś tak pięknego i eleganckiego, byłyby szczęśliwe, gdyby zapłaciły dwa albo trzy tysiące rubli, osiem do dziesięciu miesięcznych pensji, kilkuletnie oszczędności. W Vancouver cena wynosiła czternaście dolarów i dziewięćdziesiąt osiem centów...

Postanowiliśmy wejść do sklepu z obuwem. Powitano nas uśmiechami i uprzejmie poprowadzono w stronę wygodnych siedzeń. „Ten sukinsyn wie, że jesteśmy cudzoziemcami – warknął jakiś mizantrop z naszej grupy – i dlatego tak się zachowuje”. Ale nie byliśmy przekonani, ponieważ zauważyliśmy, że Kanadyjczycy też są traktowani z takim samym dwornym szacunkiem. Sprzedawca, ubrany jak kapitalistyczny łotr w radzieckim filmie propagandowym, przyniósł wiele par butów, różnych fasonów, różnych rodzajów, całe muzeum butów. Wydawał się zdumiony naszym zdumieniem i zakłopotany zachwytem rosyjskich

dziewcząt.

Nie mogłem się oprzeć socjologicznej ciekawości.

- Jest pan właścicielem tego sklepu? - spytałem za pośrednictwem tłumacza.

- Och, nie, jestem tu tylko sprzedawcą - roześmiał się.

- Czy będzie pan miał coś przeciwko temu, jeśli spytamy, ile pan zarabia miesięcznie?

- Nie, wcale. To zależy od wpływów. Powiedzmy, około stu pięćdziesięciu dolarów.

- Sto pięćdziesiąt dolarów! - wykrzyknął po rosyjsku mizantrop, który zupełnie się zapomniał. Podobnie jak my wszyscy, przeliczył tę sumę na pary butów po wymienionych przed chwilą cenach. - Sukinsyn mógłby kupić za miesięczną pensję trzydzieści par butów.

Następnie postanowiliśmy odwiedzić sklep z konfekcją męską. Koszule, krawaty, chustki do nosa, swetry, płaszcze, stopy wszystkiego po umiarkowanych cenach. Wydało się nam zastanawiające, że sklepu nie oblegają oszalali klienci, żeby w mgnieniu oka wymieść wszystko do czysta.

Ci dziwaczni kapitaliści nie tylko dawali nam wszystko, czego dusza zapragnie, ale jeszcze pakowali to dla nas i dziękowali, że zechcieliśmy coś kupić! Obładowani pakunkami, weszliśmy do restauracji. O ile mogliśmy stwierdzić, nikt nas nie śledził. Jeśli nie doniesiemy na siebie nawzajem, nikt się nie dowie, gdzie byliśmy, co robiliśmy i o czym rozmawialiśmy. Jedzenie, które nam podano, dopełniło obrazu obfitości.

Zaintrygowany podekscytowaną grupą trajkoczących Rosjan, starszy mężczyzna, nienagannie ubrany, z długim cygarem, podszedł do nas i przedstawił się. Był to właściciel restauracji.

- Dajecie Niemcom solidne baty! - powiedział, ściskając nam po kolei rękę. - Rosja wygrywa wojnę, a sojusznicy są wam cholernie wdzięczni.

- Tak, trzeba zniszczyć dyktaturę Hitlera - oznajmił ktoś z naszej grupy.

- Racja! - powiedział właściciel. - Podziwiam Rosjan z całego serca, chociaż oczywiście jestem przeciwnikiem komunizmu. Bądź co bądź, pan Stalin też jest dyktatorem.

Powiało chłodem. Mizantrop popatrzył na mnie znacząco.

- No i macie! - powiedział po rosyjsku. - Faszysta udaje, że jest naszym przyjacielem, a pod tą maską nienawidzi naszego kraju.

Już chciałem stanąć w obronie naszego gospodarza, ale w porę się powstrzymałem. Wciąż znajdowałem się wśród obywateli radzieckich, nie byłem jeszcze zupełnie wolny.

Po powrocie na statek porównywaliśmy swoje wrażenia i zakupy. Do późnej nocy rozmawialiśmy o cudach tego bogatego, otwartego świata, tak odległego od rzeczywistości wojny. Mówiliśmy sobie, tytułem

politycznego ubezpieczenia, że są to jedynie zwodnicze pozory, pod którymi kryją się koszmary, wyzysk, degeneracja i przyszłe kryzysy, zapowiadane przez nasz stalinowski pogląd na świat. Może, myśleliśmy, te ostrzeżenia przed kapitalistycznymi pokusami, których nam udzielono, nie były mimo wszystko przerysowane.

Po kilku dniach zawieziono nas na dworzec. Przeszedłem przez długi pociąg, żeby przyjrzeć się ludziom. Nawet w zwykłych wagonach pasażerowie wydawali mi się dobrze ubrani. Patrzyłem na mężczyzn i kobiety, którzy najwyraźniej byli zwykłymi farmerami, urzędnikami albo robotnikami, ale wszyscy nosili porządne skórzane buty i dobre, mocne ubrania. Taki dostatek wydawał mi się nierzeczywisty, trochę lekkomyślny.

Następnego dnia wsiadł do naszego wagonu Amerykanin w mundurze i drugi po cywilnemu. Popatrzył na nasze paszporty, sprawdził je obojętnie, bez śladu podejrzliwości, i zwrócił je nam z uśmiechem. Poinformowani, że cywil jest inspektorem celnym, wyciągnęliśmy i otworzyliśmy swoje walizki. Spojrzał przelotnie na jedną czy dwie, jakby dla formalności, potem powiedział:

- Dobrze, w porządku, możecie je zamknąć.

Poczuliśmy się naprawdę zakłopotani tą absurdalną niedbałością i zastanawialiśmy się, gdzie jest haczyk. Wolność wolnością, ale taki brak czujności, graniczący z anarchią, chaosem? Obaj spędzili z nami kilka minut, było im przyjemnie spotkać Rosjan. Później życzyli nam powodzenia i odeszli uśmiechnięci. Do tej pory wyobrażałem sobie, że wjazd do Stanów Zjednoczonych będzie skomplikowaną procedurą, wymagającą drobiazgowej kontroli i może nawet przesłuchań za zamkniętymi drzwiami.

Mieliśmy krótki postój w mieście pod nazwą Buffalo i wykorzystaliśmy go, oczywiście, żeby się rozejrzeć. Pamiętałem słowo Buffalo, ponieważ widziałem je na maszynach w rosyjskich fabrykach, i zafascynowały mnie wysokie budynki, czystość i porządek. Kilku mieszkańców Buffalo zatrzymało się, żeby z nami porozmawiać, ale nikt, ku naszemu zdumieniu, nie pytał o sprawy polityczne ani gospodarcze. Minęło sporo czasu, nim przywykliśmy do ludzi tak obojętnych na politykę i ideologię.

Podróż do Waszyngtonu była dla mnie bardzo ekscytująca. Nowy kraj niezwykle mnie ciekawił i patrzyłem z podziwem na każde nowe miasto, na szerokie asfaltowe drogi za oknami pociągu, na amerykańskich farmerów na polach, tak różnych od naszych chłopów. Poruszyła mnie swoboda i otwartość, z jaką mężczyźni i kobiety zaczynali rozmowę, zadając i odpowiadając na pytania z dzieciinną szczerością i naiwnością. Po lekturze powieści Dreisera i Steinbecka byłem przygotowany na skrajną nędzę i rozgoryczenie, których, jak dotąd, nie widziałem ani śladu. Z czasem dowiedziałem się, że nędza i niesprawiedliwość

występują też w Ameryce. Ale Rosjanin, który dopiero co przyjechał z „socjalistycznego” kraju, nie mógł podzielać oburzenia Steinbecka; jego bohaterom wiodło się, ogólnie rzecz biorąc, nie gorzej niż większości naszych chłopów.

Dziewiętnastego sierpnia 1943 roku znalazłem się w stolicy Stanów Zjednoczonych, a na dworcu przywitał mnie przedstawiciel Radzieckiej Komisji Zakupów. Wynajęto dla mnie pokój u pewnej amerykańskiej rodziny. Był czysty, słoneczny, wygodny, z osobną łazienką, a moi gospodarze wydawali się naprawdę zadowoleni, że goszczą pod swoim dachem cudzoziemca – jednego z tych „cudownych Rosjan”. Nie prosili mnie o „dokumenty” i najwyraźniej nie musieli meldować o mnie żadnemu komitetowi blokowemu. Komuś przyzwyczajonemu do surowej dyscypliny ta niedbałość wydawała się dosyć bałaganiarska, jeśli nie karygodna. Z czasem moi gospodarze i ja wypracowaliśmy własny język, złożony z gestów i zniekształconych słów, wystarczający do naszych rzadkich kontaktów towarzyskich. Zaakceptowali mnie, całkowicie na wiarę, jako eksperta od wojny i wszystkiego, co cudzoziemskie, nie tylko rosyjskie, i zachowywali się tak, jakby wszystkie radzieckie zwycięstwa były moim dziełem.

Następnego ranka zgłosiłem się do pracy. Wnętrze naszej waszyngtońskiej siedziby przy Szesnastej Ulicy miało radziecki wygląd, a nawet zapach. Wydawało się hermetycznie zamknięte przed amerykańskim duchem. Chociaż była tam garstka naiwnych pracowników na niższych stanowiskach – maszynistek, stenografów, portierów, gońców – w budynku panowała autentycznie radziecka atmosfera, wyczuwało się coś potajemnego, ukradkowego, niemal konspiracyjnego, po prostu naszego.

Towarzysz Sierow był przystojnym mężczyzną, dobrze zbudowanym, wysokim, ciemnowłosym i świetnie się prezentował w amerykańskim ubraniu. Przyjął mnie chłodno, nieco podejrzliwie, jak przystoi czujnemu urzędnikowi. Wręczyłem mu żeton, świadczący, że jestem członkiem partii.

- Numer? - warknął.

Wyrecytowałem go bez zająknięcia - 2486475. Zapomnieć numer swojej legitymacji partyjnej to dla komunisty zbrodnia obrazy majestatu, oznaka zanikającej wiary. Kilka innych pytań przekonało go, że naprawdę jestem tym Krawczenką, powierzonym jego opiece, uśmiechnął się więc, zapytał, jaką miałem podróż, i wdał się w rozmowę o Moskwie. Ale przez cały czas studiował mnie przeszywającym spojrzeniem zmrużonych oczu.

Jako pełnomocnik Komitetu Centralnego partii Sierow był w Stanach Zjednoczonych wysokiej rangi komunistą. Nie miał bezpośrednich kontaktów z Amerykanami. Brał niewielki udział w negocjacjach. Jak

wynikało z jego oficjalnych papierów, był po prostu jeszcze jednym pracownikiem komisji. Ale w rzeczywistości był najpotężniejszym agentem radzieckiego państwa w Ameryce. Jego słowo było prawem dla wszystkich, od najskromniejszego radzieckiego urzędnika po najważniejszego radzieckiego przedstawiciela wojskowego, gospodarczego i każdego innego. Sierow przemawiał głosem partii, która jest w ZSRR prawdziwą władzą, podczas gdy ambasador przemawiał tylko głosem Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych. Dla wszystkich przebywających w tym kraju radzieckich poddanych był Stalinem Ameryki.

Na mój użytek wygłosił znany do znudzenia wykład o zagrożeniach i obowiązkach, które mnie czekają, i o zaufaniu, jakim obdarzyła mnie partia. Z jakiegoś powodu cały ten rytuał wydał mi się mniej irytujący niż przedtem. Teraz mogłem sobie pozwolić na wewnętrzne rozbawienie: potajemna świadomość, że niebawem uwolnię się od totalitarnego jarzma, uczyniła mnie niewrażliwym na zniewagi zawarte w protekcyjnych instrukcjach, za którymi czaiły się groźby. Miałem nawet czelność odmówić, wymawiając się zmęczeniem, kiedy poprosił, abym wygłosił referat o sytuacji w kraju na zebraniu personelu tego wieczoru. Co mogłem im powiedzieć w tych okolicznościach poza oficjalnymi kłamstwami?

Moim bezpośrednim przełożonym, poinformował mnie Sierow, będzie Aleksandr Rastarczuk; będę jednym z około dziesięciu specjalistów w wydziale metali, którym kierował. Zgodnie z porozumieniem lend-lease wysyłano do Związku Radzieckiego dziesiątki milionów dolarów w wyrobach metalowych, a ja, w ramach swoich obowiązków, miałem sprawdzać te materiały, orzekać, czy nadają się do naszych celów, sporządzać specyfikacje, wybierać i odrzucać materiały ogromnej wartości. Miałem być skrupulatnie rozliczany ze wszystkich materiałów, które przejdą przez moje ręce.

2

Nasza komisja była, praktycznie rzecz biorąc, częścią totalitarnego państwa, przeniesioną w stanie nietkniętym z nad brzegów rzeki Moskwy nad brzegi Potomacu.

W Waszyngtonie, w samym sercu największej demokracji świata, setki naszych pracowników, mężczyzn i kobiet, żyły ściśle kontrolowanym życiem obywateli największej dyktatury świata. Chociaż mieszkaliśmy i pracowaliśmy wśród wolnych ludzi, pozostawaliśmy poddanymi opartego na terrorze państwa policyjnego. Nie korzystaliśmy z wolności słowa, wolności prasy, wolności sumienia i wolności od strachu, którą cieszyli się nasi amerykańscy sąsiedzi - chyba że potajemnie, narażając

się na surowe kary.

Wszystko, co myśleliśmy, co czytaliśmy, to, z kim się spotykaliśmy, było zalecane z góry i nadzorowane, jakbyśmy nadal znajdowali się w Związku Radzieckim. Każde nasze słowo i czyn szpiegowano za pomocą wyrafinowanych technik. Mieliśmy komitet partii, komórkę partyjną, wydział specjalny albo tajny – cały aparat politycznego zastraszania i policyjnego nadzoru, pod którym wiliśmy się w kraju. Tutaj też były sejfy wypchane informacjami i złośliwymi fałszywymi świadectwami przeciwko każdemu z nas. Ale to, co wydawało się naturalne, niemal nieuniknione w ZSRR, często wyglądało groteskowo i wstrętne w warunkach amerykańskich.

Odprawom służbowym i konferencjom technicznym przewodniczył generał Bielajew, a później jego następcą, generał Rudienko. Ale na zebraniach biura partyjnego komisji, gdzie omawiano naprawdę ważne kwestie polityczne, przewodnią rolę odgrywał towarzysz Sierow. Czasem posiedzenie z udziałem samych komunistów mogło się zacząć pod przewodnictwem generała, a później, kiedy faza służbowa dobiegła końca, odstępował on swoje miejsce u szczytu stołu Sierowowi. W tym momencie drzwi zawsze zamykano, aby zebranie partyjne mogło się odbyć bez przeszkód.

Ten sam podwójny system władzy występował w każdym wydziale naszej instytucji. Towarzysz Rastarczuk prowadził konferencje techniczne wydziału metali, ale kiedy na porządku dziennym były sprawy partyjne, sekretarz partii, Markow, przejmował pałeczkę, a Rastarczuk stawał się po prostu jednym z szeregowych uczestników. Kto nie ma w oczach tego obrazu dyktatury jednej partii, pociągającej za sznurki za fasadą rządu, nigdy nie zrozumie natury nowoczesnego totalitaryzmu.

Moja pensja podstawowa wynosiła około trzystu dolarów miesięcznie. Ponieważ często podróżowałem, dużym nakładem kosztów, i korzystałem z dodatkowego funduszu reprezentacyjnego, kiedy wymagała tego strategia handlowa, moje rzeczywiste dochody były znacznie wyższe. Najbardziej irytujące ograniczenie, od samego początku, dotyczyło naszych kontaktów z Amerykanami.

Ludzie, wśród których teraz żyłem, fascynowali mnie. Wydawali się tak całkowicie różni od Rosjan i w ogóle od Europejczyków – stanowili nie tylko odrębny naród, lecz niemal odrębny gatunek. Ale zabraniano nam surowo nawiązywania przyjaźni, chyba że w konkretnych celach służbowych. Po zawarciu znajomości z Amerykaninem musieliśmy składać szczegółowy raport na jego temat, zawierający nie tylko zwyczajne dane o jego tożsamości, lecz nasze wrażenia dotyczące jego poglądów politycznych, jego nastawienia do Związku Radzieckiego. To, czy znajomość będzie podtrzymywana, zależało od wyższych

urzędników. Tylko oni decydowali, czy kontakt jest „pożądany”, czy nie.

Co jednak nieuniknione, poznawałem dziesiątki ludzi w waszyngtońskich agencjach związanych z szerokim programem lend-lease’u i spośród garstki tych, których zatrudniała nasza komisja. Byłem nieustannie zakłopotany ich serdecznością, gotowością do pokazywania mi wszystkiego, ich nieskrępowanymi rozmowami. Radzieckiemu funkcjonariuszowi, przyzwyczajonemu do intryg i przesiąkniętemu strachem, amerykańska szczerść i ufność wydawała się niemal dziecinna.

Zagrożenia towarzyszące spotkaniom z Amerykanami ogromnie rosły, kiedy okazywało się, że mają oni rosyjskie pochodzenie lub rosyjskich przodków. W takim przypadku zawsze zachodziła obawa, że mogą być zwolennikami jakiejś antystalinowskiej frakcji. Jednocześnie pokusa nawiązywania znajomości wśród etnicznych Rosjan była największa, choćby z powodu wspólnego języka.

Fala prorosyjskich nastrojów zalewająca Stany Zjednoczone w następstwie triumfów Armii Czerwonej stanowiła ciągłe źródło zagrożenia dla przebywających tam obywateli radzieckich. Amerykanie wychodzili z siebie, żeby okazać swoją dobrą wolę i podziw. Zapraszali nas do swoich domów i klubów, namawiali, żebyśmy wstąpili z nimi do jakiegoś baru na drinka. Nie zawsze było nam łatwo uniknąć ich wynikającej z najlepszej intencji gościnności. Jeśli ulegaliśmy ich natarczywym zaproszeniom, narażaliśmy się na kłopoty. Zawsze staraliśmy się zabezpieczyć, meldując o wszystkim przełożonym.

Pewna starsza amerykańska dama, zajmująca bardzo skromne stanowisko w komisji, prosiła mnie wielokrotnie, żebym złożył jej wizytę. Wiedząc, że nie mam rodziny, okazywała mi matczyną troskę. Odmawiałem pod takim czy innym pretekstem. Pech chciał, że pewnego wieczoru spotkałem ją na ulicy. Okazało się, że jesteście blisko jej domu, a ona spodziewała się kilku znajomych. Uznałem, że nie mogę odrzucić zaproszenia na kawę, nie raniąc jej uczuć. Spędziłem u niej tylko godzinę. Zjawili się inni goście i rozmawialiśmy o różnych rzeczach.

Później przez kilka tygodni żyłem w stanie ciągłego bolesnego niepokoju. Serce zamierało mi w piersiach za każdym razem, kiedy wzywano mnie do gabinetu sekretarza partii. A jeśli ktoś mnie widział i doniósł? A jeśli dama, bez żadnych złych zamiarów, sama się wygadała przed niewłaściwymi ludźmi? Nasi amerykańscy współpracownicy w większości nie mieli pojęcia, pod jaką presją pracują Rosjanie.

Zakaz nawiązywania kontaktów z Amerykanami nie dotyczył oczywiście tych, z którymi chcieliśmy podtrzymywać znajomość z powodów handlowych lub politycznych. W takich przypadkach przydzielano nam specjalne fundusze i zachęcano do hojności, a nawet rozrzutności. Musieliśmy zademonstrować, że jesteśmy „ludźmi

światowymi”, reprezentującymi bogaty, potężny i szczodry kraj.

Opowiadano mi o kosztownych prezentach, w tym również eleganckich futrach, ofiarowywanych Amerykanom, których przychylność chcieliśmy sobie zjednać. Obdarowany mógł myśleć, że jest to osobisty i spontaniczny gest, ale zawsze był to końcowy efekt oficjalnych narad i decyzji. Ten nadzór nad naszymi relacjami z Amerykanami posuwał się tak daleko, że nawet kartki noworoczne dla amerykańskich znajomych mogliśmy wysyłać tylko za zgodą odpowiednich władz. Kazano nam sporządzić listę ludzi, którym zgodnie z amerykańskim zwyczajem chcemy wysłać kartki, wraz z tekstem życzeń. Listy i teksty badano, redagowano i zwracano nam z oficjalną zgodą na przygotowanie kartek. Aby jednak mieć pewność, że nie odejdziemy od ustalonych form, wysyłaniem kartek zajmowała się komisja.

Czasem musieliśmy się posługiwać urokiem osobistym, żeby uzyskać informacje lub poznać szczegóły jakiejś transakcji. Pewnego razu wezwał mnie wysoki urzędnik komisji. Przedstawił „problem”, z którym się borykał. Trzeba było przyspieszyć jakąś sprawę w amerykańskiej Komisji Produkcji Wojennej, a jedną z najważniejszych osób w zajmującym się tą sprawą biurze była młoda kobieta.

- Chcę, żebyście spotkali się z tą kobietą, Wiktorze Andriejewiczu - powiedział - i zaprzyjaźnili się z nią. Zabierajcie ją do nocnych klubów, kupujcie jej prezenty i oczarujcie ją. Reszta pójdzie łatwo, jestem tego pewien.

Był wstrząśnięty, kiedy kategorycznie odmówiłem odegrania roli Don Juana w tym spisku. Tłumaczyłem się brakiem zdolności w tej dziedzinie i niedostateczną znajomością angielskiego i w końcu udało mi się uniknąć nieprzyjemnego zadania.

Kiedy wracałem za biurko po tygodniu czy dwóch spędzonych w podróży, zwykle w towarzystwie amerykańskich inżynierów i przemysłowców, atmosfera panująca w komisji zawsze wydawała mi się jeszcze bardziej przytłaczająca. Czułem się tak, jakbym wracał do więzienia po urlopie. Musiałem się na nowo przyzwyczajać do uciążliwego regulaminu, który dla wielu przyzwoitych Rosjan w komisji był trudny do zniesienia. Podobnie jak w ZSRR, my, poddani totalitarnego reżimu za granicą, musieliśmy zachowywać swoje myśli dla siebie, odsłaniając kawałeczek duszy i serca tylko z rzadka i przed nielicznymi osobami, którym ufaliśmy. Pod takim zaufaniem zawsze czaiła się, w najlepszym razie, dręcząca niepewność. Udawaliśmy, że jesteśmy ślepi na swobody, z jakich korzystają Amerykanie. Wyrażając się z podziwem, czy choćby okazując tolerancję dla amerykańskiego sposobu życia, popełnilibyśmy polityczne samobójstwo.

Wiem, że nie jest łatwo wyjaśnić naszą sytuację Amerykanom. Jak

mogliby uwierzyć w moją zabawną, a mimo to niebywale tragiczną przygodę z Mitią? On też był obywatelem radzieckim za granicą – pracował dla Amtorgu, radzieckiej centrali handlowej. Pewnego dnia, podczas służbowego pobytu w Nowym Jorku, odwiedziłem go bez zapowiedzi w hotelu. Przyłapałem go na straszliwej zbrodni: czytał rosyjskojęzyczny magazyn, „kontrrewolucyjne” wydawnictwo, którego nie wolno nam było nawet dotykać.

– A więc to czytasz! – zawołałem, udając, że jestem wstrząśnięty.

Mój przyjaciel zbladł. Łzy napłynęły mu do oczu. Wiedział, że w tym momencie jego los jest w moich rękach. Gdybym zameldował o tym bluźnierstwie, zostałyby z pewnością odwołany z powrotem do Rosji, a później czekałoby go wykluczenie z partii, niełaska, być może nie tylko jego, lecz całą jego rodzinę. Próbował się bronić, język mu się plątał. W panicznym strachu błagał mnie, żebym go oszczędził.

– Wierz mi, Wiktorze Andriejewiczu, daję ci na to słowo komunisty, chciałem po prostu wiedzieć, co ci szubrawcy o nas piszą. Błagam cię, zapomnij o tym. Znamy się od tylu lat. Jeśli o tym zameldujesz, zniszczysz mi życie.

Patrząc na jego przerażenie, poczułem skruchę. Zapewniłem go, że nie mam zamiaru na niego donieść, a co więcej, sam czytam ten magazyn.

– Jakimi jesteśmy niewolnikami, Mitiu – westchnąłem. – Boimy się siebie nawzajem, a nawet własnych myśli. Kogo oni chcą z nas zrobić? Szpiegów, kłamców, podleców niezdolnych do prawdziwej lojalności i przyjaźni. Dlaczego nasi przełożeni nie pozwalają nam czytać tego, co chcemy? Boją się, że poznamy jakieś nieprzyjemne prawdy? Wystarczająco trudno jest być niewolnikiem w Moskwie – tutaj, w Ameryce, jest to tysiąc razy trudniejsze.

Ale nawet mój przyływ szczerości nie uśmierzył jego niepokoju. Wręcz przeciwnie, zaczął się zastanawiać, czy nie próbuję wciągnąć go w pułapkę, skłonić do bardziej niebezpiecznych wynurzeń. Nie uspokoił się całkowicie, dopóki nie zaprowadziłem go do swojego pokoju w hotelu Pennsylvania, nie otworzyłem teczki i nie pokazałem, że mam to samo czasopismo.

Dopiero wtedy otworzył się i podczas długiej nocnej rozmowy od serca dowiedziałem się, że nienawidzi reżimu radzieckiego tak samo szczerze jak ja. Tylko fakt, że ma w Rosji liczną rodzinę, powiedział, powstrzymuje go przed zerwaniem pęt i ogłoszeniem swojej niezależności. Oparłem się pokusie wyjawienia mu własnych zamiarów, ponieważ nie chciałem go obarczać ciężarem tej niebezpiecznej wiedzy.

Chociaż nie zabroniono nam wprost czytać „New York Timesa” i waszyngtońskich gazet, nie było to rzeczą roztropną. Wydawnictwa Hearsta i Scrippsa-Howarda traktowano jak kontrabandę. Bez

narażania się na kłopoty można było czytać tylko „Daily Worker”, rosyjskojęzyczną gazetę „Russkij Gołos”, nowojorski brukowiec „PM” i proradzieckie tygodniki takie jak „The Nation” i „The New Republic”. Magazyn „Life” też uważano za ideologicznie dopuszczalny – zwłaszcza po tym, jak opublikował artykuł o sprawach rosyjskich, zawierający więcej radzieckiej propagandy niż prawdy; ale stracił później swój uprzywilejowany status, zamieszczając artykuł byłego ambasadora Williama C. Bullitta o polityce radzieckiej w Europie.

W drodze do Waszyngtonu wertowałem egzemplarz „Saturday Evening Post”, kiedy do przedziału wszedł kolega z komisji. Usiadł i zaczęliśmy rozmawiać o sprawach służbowych. Potem powiedziałem coś o tygodniku, o ilustracjach i ogłoszeniach. Zainteresował mnie zwłaszcza artykuł, który uznałem za krytyczny wobec rządu.

– Ci Amerykanie – powiedziałem – najwyraźniej nie wahają się mówić, co myślą o swoich urzędnikach, od prezydenta Roosevelta poczynając.

Była to zdawkowa, nieprzemyślana uwaga, o której natychmiast zapomniałem. Kilka dni później sekretarz organizacji partyjnej, Markow, wezwał mnie do swojego gabinetu.

– Jaką mieliście podróż? – spytał.

– Och, całkiem dobrą.

– Spotkaliście towarzysza B., prawda?

– Tak, spotkałem.

– Jaki był przedmiot waszej kłótni z nim?

– Kłótni? – zmieszałem się. – Nie przypominam sobie żadnej kłótni.

– Boję się, towarzyszu Krawczenko, że źle dzisiaj zaczynamy. Nie jesteście ze mną szczerzy. Chcecie, żebym wam przypomniał? Z pewnością pamiętacie, że krytykowaliście radziecką prasę i skarżyliście się, że nie atakuje towarzysza Stalina?

– To kłamstwo! – zawołałem. – Domagam się, żebyście wezwali towarzysza B. Wcisnę mu to kłamstwo z powrotem do gardła.

Towarzysz B. w mojej obecności nie odważył się podtrzymać doniesienia o moich „kontrrewolucyjnych uwagach”. Sekretarz organizacji partyjnej postanowił oddalić sprawę. Ale utwierdziło mnie to w przekonaniu, że powinienem trzymać język za zębami.

Inny drobny epizod: pewnego razu zachorowałem i przez kilka dni nie wstawałem z łóżka. Kilku amerykańskich pracowników przysłało mi przyjacielskie listy, wyrażając nadzieję na mój szybki powrót do zdrowia. Był to ludzki gest, który dał mi krzepiące poczucie koleżeństwa. Kiedy wróciłem do pracy, pożałowałem ich uprzejmości. Ponieważ słabo znałem angielski i nie mogłem sam przeczytać listów, przyniosłem je do biura i poprosiłem kogoś, żeby je dla mnie przetłumaczył.

Zapomniałem o całej sprawie, gdy nagle wezwał mnie towarzysz

Markow i zaczął ostrym tonem przesłuchiwać na temat moich relacji ze wszystkimi Amerykanami, którzy do mnie napisali. Co leży u podłoża tych serdecznych stosunków odpowiedzialnego członka partii z „wrogami klasowymi”? Zakończył ostrą reprimendą i zaleceniem, abym wystrzegał się pułapek naszego kapitalistycznego otoczenia. Uważałem się za szczęściarza, że wywinąłem się z tego tak lekko.

Kolejny kryzys w mojej waszyngtońskiej karierze spowodowała korespondencja. Pocztówka wysłana przez pewnego kaprała armii amerykańskiej stacjonującego na Florydzie i zaadresowana do mnie trafiła przez przypadek w ręce wysokiego urzędnika komisji. Natychmiast postawiono mnie przed władzami partyjnymi pod zarzutem nieuprawnionych „kontaktów z amerykańskimi siłami zbrojnymi”. Musiałem się bardzo natrudzić, aby ich przekonać, że kapral jest synem ludzi, u których mieszkam.

- To tylko przyjacielski gest bez żadnego znaczenia politycznego - dowodziłem. - Poza tym nie odpisałem mu.

To ostatnie stwierdzenie było kłamstwem. Odpowiedziałem na jego życzenia. Gdybym tego nie zrobił, pomyślałby, że wszyscy Rosjanie to prostacy. Drobne kłamstwo jest jednak niską ceną, kiedy poddany totalitarnego państwa znajdzie się w trudnym położeniu.

W gmachu komisji znajdowała się biblioteka. Pewnego wieczoru poprosiłem bibliotekarza o dwie książki: powieść *Kocham Awdiejenki* i dzieło historyczne *Wirty*, gdzie wspomniany jest marszałek Tuchaczewski. Żadnej z tych książek nie było. Pożyczyłem kilka innych i zapomniałem o całej sprawie.

Niebawem jednak wezwali mnie na dywanik moi partyjni zwierzchnicy. Jak się okazało, popełniłem cały szereg błędów, od drobnych grzechów aż do domniemanych zbrodni. Moje zainteresowanie powieścią o marszałku Tuchaczewskim, który został rozstrzelany jako zdrajca, wywołało poważne zaniepokojenie; czy nie zdaję sobie sprawy, że tej książki *Wirty* już się nie czyta w Związku Radzieckim? Moja ignorancja nie jest żadnym wytłumaczeniem - dobry komunista wie, kto jest „wrogiem ludu”. A co do powieści, która swego czasu cieszyła się w Rosji wielką popularnością, to została ona z jakiegoś powodu zakazana i teraz znajdowała się na czarnej liście. Dlaczego chciałem przeczytać tę „kontrrewolucyjną” książkę właśnie w tym momencie? Krótko mówiąc, poważnie się skompromitowałem w oczach strażników mojej partyjnej czystości.

Biblioteka, jeśli chodzi o ścisłość, była jednym z najważniejszych instrumentów do sprawowania kontroli nad naszymi myślami. Większość z nas, odcięta od kontaktów z Amerykanami, nieznająca języka angielskiego, musiała dużo czytać po rosyjsku. Bibliotekarze-szpiedzy skrupulatnie zapisywali, jakie książki i czasopisma wybieramy. Donosili

nawet o książkach, które tylko wertowaliśmy. Były to bardzo użyteczne symptomy stanu naszych umysłów, trafiały zatem do naszych akt personalnych.

W bibliotece znajdowało się mnóstwo lekkiej literatury wraz z ciężkimi tomami historii partii i innych poważnych dzieł ideologicznych. Aby zrównoważyć bilans swoich płochych lektur, często pożyczałem bardziej szacowne książki, nie mając najmniejszego zamiaru ich czytać. Naszych nadzorców dręczył obsesyjny strach, że ulegniemy miękkemu burżuazyjnemu otoczeniu. Musieliśmy zatem nieustannie udowadniać, że nasza wiara pozostała mocna i nieskażona. Za radą Sierowa znowu studiowaliśmy *Krótki kurs WKP(b)*, *Zagadnienia leninizmu* Stalina i tak dalej. Na zamkniętych zebraniach partyjnych podbechtywaliśmy się nawzajem do demonstracji wiary w partię i Przywódcę.

Margines prywatności był jeszcze węższy niż w kraju. Nasi przyjaciele w Rosji znali tylko adres komisji, gdzie czytano każdy list, zanim przekazano go nam, bez względu na to, że został już ostemplowany przez radzieckich cenzorów. Poczta do Rosji, jeśli przesyłano ją za pośrednictwem kogoś jadącego do ZSRR, musiała być dostarczana otwarta do wglądu komisji.

Nie wolno nam było odwiedzać nocnych klubów, oglądać „kontrrewolucyjnych” filmów i sztuk teatralnych, słuchać sprawozdawców radiowych uznanych za „nieprzychylnych” dla sprawy radzieckiej. Prędzej dalibyśmy się przyłapać na morderstwie niż na czytaniu antyradzieckiej książki. Będąc tylko ludźmi, robiliśmy wiele zakazanych rzeczy – w kraju demokratycznym pokusa popełnienia politycznego grzechu jest wielka – ale zawsze w strachu i z drżeniem; wielu zapłaciło karierą za tego rodzaju występki.

Zakres i złożoność nadzoru, jakiemu podlega radziecki urzędnik za granicą, są naprawdę wstrząsające. Od każdego z nas oczekiwano, że jako lojalny członek partii, a także w akcie zwykłej samoobrony, będzie donosił o każdym podejrzanym słowie i zachowaniu innych. Przyjmuje się to za rzecz oczywistą, czy to w Moskwie, czy we Władywostoku, w Waszyngtonie, czy w Chicago.

Partia miała dodatkowo zastęp specjalnych agentów, rozrzuconych po całej komisji, rzekomo zatrudnionych na różnych stanowiskach technicznych, ale w rzeczywistości zajętych szpiegowaniem ludzi wokół siebie. Największy strach budziła jednak siatka agentów NKWD, nieznanych nam, oczywiście, którzy szpiegowali w sposób bardziej profesjonalny. Nawet generał stojący na czele komisji i towarzyszy Sierow nie byli wyłączeni spod tej wszechogarniającej kontroli.

Ponieważ nie wiedzieliśmy, kto jest szpiegiem – zwykle sam agent też nie zna tożsamości innych agentów – najbezpieczniej było zakładać,

że wszyscy z wyjątkiem najbardziej zaufanych przyjaciół są rzeczywistymi bądź potencjalnymi donosicielami. Co jednak znamienne, na przekór temu demoralizującemu systemowi wielu z nas naprawdę się przyjaźniło i w ścisłej tajemnicy dzieliło się swoimi myślami, niezadowoleniem i rozpaczą. Towarzysz Sierow nawet nie podejrzewał, ilu jego podwładnych przyjechało z Rosji całkowicie rozczarowanych, a ilu zaraziło się demokratyczną chorobą w Ameryce. W większości byli to przyzwoici ludzie, nienawidzący upokorzeń, których nie szczędził im totalitarny reżim oparty na wzajemnej nieufności.

Kiedy jakiś kolega okazywał nam niezwykle oznaki przyjaźni, zdrowy rozsądek wymagał, abyśmy rozważyli możliwość, że celowo próbuje on zdobyć nasze zaufanie. Wiedzieliśmy aż nazbyt dobrze, że rozmowy na „niebezpieczne” tematy prowokują często gorliwi towarzysze albo zawodowi agenci, aby wypróbować naszą odporność na występne amerykańskie otoczenie.

Z uwagi na długoletnią pracę w radzieckim aparacie, a zwłaszcza okres spędzony w Sownarkomie, znałem osobiście wielu wpływowych radzieckich urzędników i przywódców. Kilku z nich, jak się ze zdumieniem przekonałem, zajmowało osobiście skromne stanowiska w Waszyngtonie. Nie miałem wątpliwości, że ich rzekoma praca niekoniecznie jest ich prawdziwym zajęciem w Stanach Zjednoczonych. Na mocy porozumienia radziecko-amerykańskiego tylko ograniczona liczba radzieckich urzędników może posiadać zwykłe paszporty dyplomatyczne. Dodatkowy personel wywiadowczy jest zatem sprowadzany pod przykrywką działalności handlowej, doradczej i innej.

Pewnego razu w windzie w gmachu komisji stanąłem twarzą w twarz z ważnym urzędnikiem z Moskwy. Przypomniałem sobie, że kiedyś widziałem go na premierze sztuki *Front* w towarzystwie dwóch generałów NKWD. Teraz udawał, że mnie nie poznaje. Później jednak spojrzał na mnie i ostrzegł, abym nikomu nie mówił, że go znam, i nie ujawniał jego tożsamości, ponieważ przyjechał tu ze specjalną misją. Dla amerykańskiego rządu był zapewne po prostu drobnym urzędnikiem w programie lend-lease'u, choć w rzeczywistości zajmował ważne stanowisko w Komitecie moskiewskim partii.

Niezależnie od oficjalnej funkcji radzieckiego przedstawiciela ekonomicznego do jego obowiązków należy zbieranie wszelkich możliwych informacji o amerykańskich przedsiębiorstwach przemysłowych, technologiach, sprawach wojskowych, badaniach naukowych i tak dalej. Przez wyjazdem z ZSRR ja też otrzymałem podobne instrukcje, powtarzane później nieustannie przez urzędników komisji. Na zamkniętych zebraniach partyjnych mówiono nam wprost, że kiedy odwiedzamy amerykańskie fabryki i urzędy, musimy stale pamiętać o gromadzeniu danych gospodarczych i wszystkich innych

użytecznych informacji.

Wojenna konieczność zmusiła nas do zawarcia sojuszu z Anglią i Ameryką, ostrzegano mnie bez przerwy, ale nie wolno nam ufać Amerykanom. Plutokratyczne demokracje skorzystają z pierwszej sposobności, aby podkopać nasz system. Podczas naszej pierwszej rozmowy towarzysz Sierow powiedział:

- Nie powinniście mieć błędnego wyobrażenia o naszych stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi. Dzisiaj uważamy swoje relacje z kapitalistyczną Ameryką za dyplomatycznie i militarnie użyteczne. To nie oznacza, że nasze interesy kiedykolwiek się zejdą. Podczas wojny, a także w późniejszym okresie pokoju, nasze drogi i cele będą różne. Jeśli będziecie o tym pamiętać, zrozumiecie, dlaczego musimy pozostawać czujni, nieufni i powściągliwi.

Pewnego dnia komunistów z komisji, którzy stanowili około dziewięćdziesięciu procent naszych odpowiedzialnych pracowników, wezwano na specjalne zebranie. Po zamknięciu drzwi towarzysz Sierow oznajmił, że ma ważne wiadomości. Wyglądał uroczyście. Wiadomości nadeszły w postaci bardzo długiego dokumentu, który nam odczytał, powoli, z namaszczeniem, a później wszyscy się pod nim podpisaliśmy, żeby poświadczyć, że zapoznaliśmy się z jego treścią.

Dokument sygnował Mikojan, ludowy komisarz handlu zagranicznego, ale niewątpliwie był on dziełem NKWD w porozumieniu z wywiadem wojskowym. W efekcie sprowadzał się do zestawu szczegółowych instrukcji dotyczących rodzajów informacji na temat Stanów Zjednoczonych, jakich musimy szukać, sposobów ich gromadzenia, zacierania śladów, przekazywania do ZSRR. Chociaż nie wnosił w zasadzie nic nowego do instrukcji, których udzielono nam już wcześniej, najwyraźniej był pomyślany jako powtórzenie i przypomnienie, że najwyższe władze spodziewają się, iż spełnimy swój obowiązek w tej kwestii pod przykrywką działań związanych z lend-lease'em.

3

Dokądkolwiek bym poszedł w Ameryce, wszędzie spotykałem się z oznakami powszechnego i bezgranicznego podziwu dla „naszych dzielnych rosyjskich sojuszników”. Czasem aż się krzywiłem od nadmiaru pochlebstw. Mimo to dobrze się było dowiedzieć, że poświęcenia mojego narodu są doceniane.

Ale te pochlebstwa stały się również źródłem moich najbardziej irytujących, a czasem upokarzających doświadczeń, ponieważ przybierały dziwaczne, nawet groteskowe formy. Na skutek wypaczenia logiki, które miało w sobie coś z histerii, nie tylko ostatnie radzieckie

zwycięstwa, ale także wcześniejsze klęski przyjmowano w Stanach Zjednoczonych jako dowód skuteczności reżimu radzieckiego. Ofensywa Hitlera dowiodła tylko, że bestia jest potężna, ale z niewiadomego powodu kontrofensywa Stalina potwierdziła słuszność bolszewizmu.

Dokonania narodu rosyjskiego były wspaniałe. Wiedziałem o tym lepiej niż wszyscy amerykańscy entuzjaści, ponieważ zdawałem sobie sprawę, a oni nie, że mój naród znalazł się w gorszym położeniu na skutek błędów zbiurokratyzowanego i despotycznego reżimu. Mimo to nie mogłem ignorować faktu, że walczyliśmy na własnej ziemi, mając przewagę w postaci niemal niewyczerpanych rezerw ludzkich, pełnego wykorzystania przemysłu i amerykańskiego wsparcia technicznego. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego okupione straszliwymi stratami rosyjskie zwycięstwa należy przypisywać geniuszowi bolszewizmu. Jako radziecki urzędnik pod niemal ciągłym nadzorem nie mogłem mówić otwarcie, nie mogłem bronić swojego kraju przed tym monstrualnym przekręcaniem faktów. Tysiące razy słuchałem w gorzkim milczeniu, jak radzieckiej dyktaturze przypisuje się wszystkie dokonania narodu rosyjskiego.

W samej Rosji byliśmy tak zawstydzeni paktem Hitler-Stalin, iż rzadko o nim wspominaliśmy. Oficjalne pisma i przemówienia pomijały ten okres. Ale w Ameryce pakt przekształcono z ręcznie w jeszcze jeden dowód mądrości Stalina. Na jednym oddechu ludzie potępiali ugodę z Hitlerem w Monachium i wychwalali ugodę z nim w Moskwie. Z jakiegoś powodu skierowanie hitlerowskiej agresji na wschód, w stronę Polski i Rosji, w celu zyskania na czasie, wydawało się sojusznikom haniebne, natomiast zwrócenie niemieckiej maszyny wojennej na zachód, przeciwko Anglii i Francji, było wspaniałym dyplomatycznym osiągnięciem Kremla.

Amerykanie wydawali się skłonni interpretować wszystko na korzyść Stalina, dyskredytować demokracje zachodnie. Każdy błąd Kremla, jego upadające konszachty z nazistami, jego nieudolność, przejawiająca się w nieprzygotowaniu kraju do wojny, każde niedołęstwo – za które płacono oceanami rosyjskiej krwi – urastało w amerykańskich pismach i w amerykańskich rozmowach do wymiaru szczególnej, niemal mistycznej cnoty.

Spodziewałem się, z pewnością naiwnie, że poświęcenia mojego narodu otworzą światu oczy na jego cierpienia. Oczekiwałem, że obywatele demokratycznego kraju powiedzą: „Ci bohaterscy Rosjanie zasługują przynajmniej na odrobinę wolności i demokracji”. Znalazłem, przeciwnie, znamienne niewrażliwość na tragedię narodu rosyjskiego. Wynikała ona w znacznym stopniu z ignorancji, co można wybaczyć, ale po części także z obojętności, co jest po prostu obraźliwe. Demokratyczne aspiracje Koreańczyków i Węgrów znajdowały

w Ameryce zrozumienie i zachętę, ale demokratyczne aspiracje Rosjan były wyjęte spod prawa i traktowane jak coś w rodzaju zdrady.

Już w pierwszych tygodniach po przyjeździe zdołałem zobaczyć, że ktoś gdzieś obrócił przyływ sympatii wobec Rosjan na korzyść Stalina. To, co powinno być zapowiedzią rosyjskiej wolności, przekształciło się w usprawiedliwienie radzieckiego despotyzmu. Stalin, jak sobie z przerażeniem uświadomiłem, zdołał zapanować nad amerykańską świadomością niemal w takim samym stopniu jak nad świadomością radziecką.

- Ale Brytyjczycy też są sojusznikami - powiedziałem pewnego razu cicho nowemu amerykańskiemu przyjacielowi - a mimo to słyszałem, jak ich ostro krytykujesz. Wczoraj powiedziałaś, że angielskie masy muszą się zbuntować przeciwko torysom i imperialistom. Dlaczego nie ma takiej samej szczerości w krytyce reżimu radzieckiego?

- Och, to co innego.

- Chcesz powiedzieć, że na całym świecie tylko Rosjanie nie są uprawnieni do rewolucji?

- Teraz sobie ze mnie żartujesz, Wiktorze.

Nie żartowałem. Ale spróbowałem innej taktyki.

- My, Rosjanie - powiedziałem - walczyliśmy dzielnie i ginęliśmy milionami w pierwszej wojnie z Niemcami. Dlaczego wy, Amerykanie, nie staliście się wtedy fanatycznymi zwolennikami cara i jego tyranii? Czy uznaliście to za ostateczny dowód, że rosyjskie masy są przywiązane do swoich kajdan i strażników więziennych?

- Och, to co innego.

Jego obsesja była niepodatna na leczenie rozsądkiem i analogią. U jej źródła leżał oczywiście pozłacany obraz szczęśliwego i żyjącego w dobrobycie „socjalistycznego” społeczeństwa, narzucony światu zewnętrznemu przez najlepszą maszynę propagandową w całej historii. Najmniejsza próba zdrapania tej pozłoty, odsłonięcia ukrytego pod spodem brudu i moralnej szpetoty, oburzała większość Amerykanów, zupełnie jakby chodziło o ich najgłębsze uczucia religijne.

W amerykańskiej świadomości dokonała się rzecz na pozór niewiarygodna: radziecka dyktatura utożsamiła się w pełni z narodem rosyjskim. To, co nie udało się komunistom we własnym kraju - o czym świadczyły czystki i miliony więźniów politycznych - udało im się w Ameryce! Wolność słowa i prasy nie była w żaden sposób powściągana, jeśli chodzi o krytykowanie innych sojuszników - Wielkiej Brytanii, Polski, Czechosłowacji, Chin - a całkowicie popuszczono jej cugli w krytykowaniu amerykańskiego rządu i jego sposobu prowadzenia wojny. Ale, pod presją moralną, wprowadzono swego rodzaju moratorium na te wolności w odniesieniu do interesów i prestiżu radzieckiego dyktatora. Widziałem jak ludzie, którzy nazywali

prezydenta Roosevelta dyktatorem, wpadali w gniew, kiedy nazywano dyktatorem Stalina.

W Związku Radzieckim wojna niewiele zmieniła w antykapitalistycznej propagandzie. Amerykańską i brytyjską politykę wojenną krytykowano bez przerwy i często jadowicie. Ale w Ameryce, jak się przekonałem, wszelkie wątpliwości co do postępowania Kremla w kraju i za granicą stały się tabu. Pewien „liberalny” wydawca naprawdę wzywał do usunięcia z półek księgarskich wszystkich książek niechętnych Moskwie! Dowiedziałem się, że inni wydawcy, czy to z własnej inicjatywy, czy na żądanie władz, odmawiali publikacji niektórych książek właśnie dlatego, że mogłyby urazić uczucia Stalina. Tylko kilka czasopism miało odwagę drukować to, co Amerykanie nazywają artykułami „antyradzieckimi”.

„Wiadomości”, docierające do amerykańskiej prasy od jej moskiewskich korespondentów, wydawały mi się gorzej niż bezwartościowe. W kraju nauczyliśmy się przez lata zbywać wzruszeniem ramion, interpretować, czytać między wierszami w radzieckich gazetach. Amerykańscy dziennikarze w Moskwie po prostu przesyłali wyjątki z moskiewskiej prasy; żadne inne źródła informacji nie były dla nich dostępne. Ale ich czytelnicy w Stanach Zjednoczonych nie potrafili czytać takich materiałów. Przyjmowali je dosłownie, bezkrytycznie. Wszystkie kremlowskie kłamstwa i sztuczki dyplomatyczne docierały zatem do amerykańskiej opinii publicznej z pozornym certyfikatem amerykańskiej prasy i chętnie dawano im wiarę. Jak można uświadomić ludziom wychowanym w tradycjach demokratycznych, że ocenzurowane, kontrolowane „wiadomości” są często gorsze niż żadne?

Amerykańskie wyobrażenia o cudach systemu radzieckiego były naprawdę niezwykle. Ogromne fragmenty komunistycznej rzeczywistości - takie jak praca niewolnicza, dyktatura policyjna, okresowe masowe czystki, niewiarygodnie niski poziom życia, wielki głód 1932-1933 roku, potworności kolektywizacji, usankcjonowana przez państwo praca dzieci - zdawały się całkowicie umykać amerykańskiej uwadze. Były to rzeczy, o których wszyscy w Rosji doskonale wiedzieli. Niektórzy z nas mogli je tłumaczyć jako konieczne, nieuniknione albo nawet szlachetne, ale nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby im zaprzeczać. A mimo to, ilekroć odważyłem się o nich wspomnieć (przy rzadkich okazjach, kiedy szczerą rozmowa była możliwa), Amerykanie patrzyli na mnie z niedowierzaniem, a niektórzy spieszyli nawet z kategorycznymi zaprzeczeniami.

Największy radziecki triumf, jak sobie uświadomiłem, dokonał się w dziedzinie zagranicznej propagandy. Po jakimś czasie mój pogląd na ten temat przekształcił się w swego rodzaju formułę: *Jeśli w ciągu*

dwudziestu lat Związek Radziecki stanie się choćby w połowie tak wspaniały, jak oceniają go teraz jego amerykańscy wielbiciele, będzie to największe osiągnięcie społeczne w historii...

Wśród tych, którzy znali część nieprzyjemnej prawdy o życiu w systemie radzieckim, znalazłem dziwną, opartą na pobożnych życzeniach skłonność do obwiniania o wszystko Stalina. Pozwalało im to traktować potworności jako swego rodzaju interludium przed rajem, jaki ma nastąpić. Po Stalinie – jest w końcu człowiekiem śmiertelnym, czyż nie? – zacznie rozkwitać „socjalistyczna demokracja”. W Rosji też spotykałem się z tendencją do przypisywania całego nagromadzonego zła jednemu człowiekowi, ale znacznie więcej tego samooszukiwania się było w Stanach Zjednoczonych. Na nieszczęście, to zło jest wpisane w cały system radziecki, a system z pewnością nie umrze razem ze Stalinem. Jakiś inny dyktator lub dyktatorska klika podejmie jego dzieło.

Pewnego razu znalazłem się w małym amerykańskim mieście przemysłowym w towarzystwie kilku konserwatywnych kapitalistów. Szczerze mówiąc, powiedzieli mi, są przeciwni systemowi radzieckiemu, nienawidzą go i boją się jego wpływu na amerykański sposób myślenia. Jak wyobrażali sobie ów system, którego nienawidzili? Zacząłem to z nich wyciągać. Ku swojemu zdumieniu dowiedziałem się, że w ich pojęciu Rosja jest krajem, gdzie „rządzą robotnicy”, gdzie chłopci „żyją w spółdzielczych wspólnotach” i gdzie „wszyscy są równi”! Ponieważ był przy tym obecny inni radziecki urzędnik, znalazłem się w strasznym położeniu, nie mogąc wyjaśnić tym zdezorientowanym ludziom, że w Ameryce jest większy zakres kontroli robotniczej, większa rola związków zawodowych, więcej naprawdę spółdzielczego rolnictwa i więcej wolności osobistej, niż Rosjanie w systemie radzieckim ośmielają się marzyć.

W bibliotece komisji znalazłem kilka przemówień Henry’ego A. Wallace’a. Tłumacz przeczytał mi zaznaczone fragmenty na temat Rosji. Nie wierzyłem własnym uszom – wiceprezydent demokratycznego kraju mówił o czymś, co nazywał „demokracją ekonomiczną” w stalinowskim państwie policyjnym! Nasze wydziały tajne i specjalne w każdej radzieckiej fabryce, podporządkowane państwu związki zawodowe, brak prawdziwej spółdzielczości, kara śmierci za agitację strajkową, ruch stachanowski i system akordowy, książeczki pracy, prawo skazujące na śmierć głodową za ponad dwudziestominutowe spóźnienie, obozy pracy przymusowej – czy Mr. Wallace nie znał tych powszechnie wiadomych faktów, czy, dzięki jakiejś przewrotnej logice, naprawdę widział w nich aspekty „demokracji ekonomicznej”?

Przebrnąłem przez książkę republikańskiego polityka Wendella Willkiego zatytułowaną *One World*. Pracowałem w Sownarkomie

podczas jego wizyty w ZSRR i wiedziałem, że nie pominięto żadnego zabiegu propagandowego, żeby go olśnić. Nic nie działało się przypadkiem - wszystko zostało zaaranżowane. Teraz byłem zdumiony i przerażony skutecznością naszych zabiegów. Jak można, zastanawiałem się, tak całkowicie oszukać człowieka w tak krótkim czasie? Czytając rozdziały poświęcone Rosji, miałem poczucie, że autor opisuje kraj, którego nigdy nie widział, kraj leżący gdzieś po drugiej stronie księżyca. Książka była znaczącym triumfem totalitarnej propagandy.

Mr. Willkie wspominał, jak zaprosił grupę sympatycznych radzieckich dziennikarzy do moskiewskiego hotelu na szczerą, nieoficjalną rozmowę. Zamknęli drzwi i „pogadali sobie od serca”, jak to ujął. Gdybym pisał sztukę wyśmiewającą łatwowierność amerykańskich głupców za granicą, wprowadziłbym tę scenę bez żadnych poprawek. Czy Mr. Willkie i jego amerykańscy koledzy naprawdę wierzyli, że uzyskają szczerą opinię, zamykając drzwi i nie wpuszczając „urzędników”? Czy naprawdę nie zdołali zrozumieć, że każdy radziecki dziennikarz - albo inżynier, albo przewodnik turystyczny - jest „urzędnikiem” żyjącym pod nieustanną presją? Sama idea „nieoficjalnych” rozmów „od serca” z radzieckim obywatelem w obecności innego radzieckiego obywatela lub urzędów podsłuchowych świadczy o całkowitej nieznajomości totalitarnych realiów. Każdy z tych dziennikarzy zameldował oczywiście o tej rozmowie, ze szczególnym podkreśleniem własnej lojalności w obronie reżimu i serwowaniu Mr. Willkiemu obowiązujących „opinii”.

Nie miał wyboru. Każdy dziennikarz, działacz gospodarczy czy inny obywatel radziecki, który ze względu na swoją pracę utrzymuje kontakty z cudzoziemcami, jest oficjalnie „zaprzysiężony” - czyli zobowiązuje się na piśmie meldować natychmiast NKWD o wszystkich spotkaniach z cudzoziemcami i o tym, co się tam mówiło i robiło. „Szczera” wymiana poglądów, z której Mr. Willkie był taki dumny, natychmiast stała się znana, z najdrobniejszymi szczegółami, wydziałowi zagranicznemu NKWD, wydziałowi prasowemu Ludowego Komisarjatu Spraw Zagranicznych, wydziałowi zagranicznemu Komitetu Centralnego partii i innym zainteresowanym instytucjom. Możemy być pewni, że lepiej udokumentowana „nieoficjalna” rozmowa nigdy nie miała miejsca.

Najbardziej zapewne nieprzyjemny wieczór w Ameryce spędziłem w waszyngtońskim kinie. Cieszę się, że w ciemnościach nie było widać udręki, która, jestem tego pewien, malowała się na mojej twarzy. Inny radziecki urzędnik, który był ze mną, wiercił się na swoim krześle; nie miałem wątpliwości, że jest tak samo wstrząśnięty jak ja. Właśnie tego wieczoru obejrzałem film zatytułowany *Mission to Moscow*, oparty

na książce pod tym samym tytułem pióra byłego amerykańskiego ambasadora w Moskwie, Josepha E. Daviesa. To, co zobaczyłem, było okrutną, ciężką zniewagą dla narodu rosyjskiego – karykaturą rewolucji i drwiną z jego długich cierpień.

Książka jest bardziej absurdalnym niż złym, a w większej części zwyczajnie głupim połączeniem ignorancji i fałszu; ale gdzieś tam można w niej odnaleźć ziarenko prawdy. Autorzy filmu starannie pominęli te ziarenka i dodali koszarne zmyślenia, których nie ma w książce. Ilekroć hollywoodzcy „historycy” stają przed wyborem pomiędzy faktem a fikcją, pomiędzy rzeczywistością a nonsensem, starannie wybierają fikcję i nonsens. Tak się złożyło, że znałem syberyjską fabrykę, o której mowa na jednym z procesów pokazowych; bardziej cudaczną karykaturę niż wersja hollywoodzka trudno sobie wyobrazić. Żaden radziecki film propagandowy nie pozwoliłby sobie na tak swobodne poprzekręcanie faktów. Amerykańscy propagandyści liczyli widocznie na ignorancję swojej widowni, jeśli myśleli, że coś takiego „ujdzie im na sucho”. Z tego powodu film był tak samo obraźliwy dla Amerykanów, jak dla Rosjan. Trudno się dziwić, że moskiewska „Prawda” rozpyływała się w pochwałach dla Mr. Daviesa i jego książki, cytując jego słowa, że radziecki wymiar sprawiedliwości jest nieskazitelny, że piąta kolumna została wykorzeniona w rezultacie czystki i że unicestwienie twórców rewolucji bolszewickiej było w pełni uzasadnione. Cóż za lektura dla inteligentnych Rosjan!

Stalin zamordował twórców radzieckiego państwa. Ta zbrodnia była tylko drobną częścią krwawej rzezi, w której zginęły setki tysięcy niewinnych mężczyzn i kobiet. Ale w filmie wytwórni Warner Brothers cały ten koszmar został zredukowany do operetkowego spisku kilku komicznych starych bolszewików i zagranicznych agentów, przedstawionych jako „piąta kolumna”. Wydarzenie polityczne, przy którym noc świętego Bartłomieja, terror rewolucji francuskiej i rzeź Ormian wyglądają jak uliczne bijatyki, zostało sprowadzone do wymiaru farsy.

Przeżyłem czystkę. Chociaż byłem tylko jedną z pomniejszych ofiar, odczułem jej niegodziwość na ciele i na duszy. A teraz, w waszyngtońskim kinie, zobaczyłem, jak cierpienia moje i mojego kraju wyszydza się w formie karykatury i fałszu. Przyglądałem się ze zgrozą, jak Hollywood kopie trupy i wysławia morderców.

Kiedy tego wieczoru wyszedłem z czyścica, zobaczyłem, że na dłoniach mam krew, tak mocno wbijałem w nie paznokcie. Mój towarzysz i ja spojrzeliśmy po sobie – jedno spojrzenie wystarczyło, nie były potrzebne żadne słowa. Przez całą noc rzucałem się na łóżku, nie mogłem spać.

Inny film, odzwierciedlający amerykański mit o Rosji, który doprowadził mnie do bezsilnej rozpacz, nosił tytuł *North Star*. Jego

akcja rozgrywała się w operekowej wiosce w nieistniejącym kraju, gdzie dobrze odżywieni, malowniczy i ekstatycznie szczęśliwi wieśniacy wiedli wesołe i beztroskie życie, śpiewając, tańcząc i kochając się od świtu do świtu. Była to czarodziejska wioska, ze wszystkimi bajkowymi rekwizytami, gdzie skrzaty zamiatały ulice, gdzie nawet konie i krowy były nauczone porządku - w tej higienicznej wiosce nie było widać żadnych śladów sprzeczności. Ale nie znajdowaliśmy się w Krainie Oz. Jak się okazało, była to skolektywizowana wieś w kraju Stalina!

Ta hollywoodzka wizja kolektywizacji miała tyle samo wspólnego z prawdą, co hollywoodzka historia w *Mission to Moscow*. A było mnóstwo innych filmów, książek, artykułów ukazujących tę samą rzeczywistość drugiej strony księżyca. Amerykańska propaganda nie zadowolala się przedstawianiem nieprzyjemnych faktów i tłumaczeniem ich na swój sposób. Wybrała prostszą metodę zaprzeczania faktom i budowania Rosji, która istniała tylko w bujnej wyobraźni propagandystów.

Dlaczego, dlaczego, zadawałem sobie pytanie, Amerykanie uparli się, żeby wymyślać raj i umieszczać go w moim umęczonym kraju? Dlaczego muszą wybielać każde stalinowskie zło i usprawiedliwiać każdy bolszewicki koszmar?

Była cała grupa ludzi - Duranty, Hindus, Anna Louise Strong, Ella Winter, Albert Rhys Williams, żeby wymienić tylko kilku - którzy zrobili karierę na tym niewytłumaczalnym amerykańskim upodobaniu do radzieckiej konfekcji propagandowej; czytanie ich przypominało czytanie radzieckiej prasy. Była też inna, nieco większa i znacznie bardziej uczciwa grupa prawdziwych komunistów, dla których kłamstwa o Rosji stanowiły metodę walki klasowej, drogę na skróty do władzy. Ale dlaczego ogromna masa Amerykanów dawała się na to nabierać?

Najbardziej uderzyła mnie całkowita ignorancja rzekomych „ekspertów od Rosji Radzieckiej” w kwestii charakteru i organizacji władzy w ZSRR, mechanizmów rządzenia krajem. Ale ich propaganda zapuściła głębokie korzenie w Ameryce. Kiedyś miałem okazję przejrzeć katalog w bibliotece pewnego amerykańskiego uniwersytetu. Zdumiałem się, że najbardziej wybrudzone karty odnosiły się do dzieł Lenina i Stalina. Najwidoczniej niektórzy ludzie studiowali je poważnie, niczym przewodniki po lepszym świecie... Później nie zdziwiło mnie już odkrycie, że niektórzy Amerykanie, hinduscy i chińscy studenci tego uniwersytetu żywią nadzieję przekształcenia własnych krajów w myśl radzieckiego wzoru. Mogłem im tylko życzyć, aby nie przechodzili przez te same gorzkie doświadczenia, które stały się moim udziałem.

W wielu przypadkach, jak zacząłem z czasem rozumieć, Amerykanie przyjmowali mit jako substytut rzeczywistości. Byli zaniepokojeni przejawami niesprawiedliwości w życiu własnego kraju i potrzebowali

pocieszenia, jak cierpiące dziecko pociesza się kolorową, hałaśliwą zabawką. Nie oszukiwali innych, tylko samych siebie. Ten element samoułudy najbardziej rzucał się w oczy w pracach tak zwanych liberalnych pisarzy, w „The Nation”, „The New Republic”, „PM” i innych tego typu wydawnictwach. Ich postawa wydawała mi się straszliwym marnotrawieniem szlachetnych intencji.

Gdyby tylko ci ludzie zdołali osiągnąć intelektualną czystość i moralną równowagę, aby sobie uświadomić, że niesprawiedliwość w Ameryce nie może być usprawiedliwieniem dla popierania niesprawiedliwości gdzie indziej! Przyklaskując krwawym czystkom w Rosji, mogą doznawać chwilowej ulgi, ale to nie służy większemu celowi, jakim jest triumf sprawiedliwości wszędzie, w tym także w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Szperając w amerykańskich bibliotekach, odkryłem wartościowe książki amerykańskich autorów, którzy w czasach carskiego terroru mieli odwagę ujawniać fakty. Była tam na przykład praca George’a Kennana o Syberii. Wiem też, że wielu rosyjskich uchodźców, takich jak Piotr Kropotkin, uciekło poza zasięg carskiej ochrony, aby potępić tych, którzy trzymają ich naród w kajdanach. Zastanawiałem się, czy w nagrodę za ich odwagę amerykańscy liberałowie nazwaliby ich „antyrosyjskimi”. A może bardziej logiczne, mniej gorączkowe, mniej wystawione na oddziaływanie propagandy pokolenia uświadomią sobie, że ci ludzie, domagający się współczucia dla ofiar, byli w rzeczywistości „prorosyjscy”?

Powoli i z niedowierzaniem przekonywałem się, że w Ameryce ci, którzy mają odwagę powiedzieć trochę prawdy o stalinowskiej tyranii, którzy przemawiają w obronie narodu rosyjskiego i przeciwko jego ciemnościom, są lekceważeni, ignorowani, a czasem piętnowani jako „antyrosyjscy”. Uświadomiłem sobie, że moja decyzja, aby uciec do wolnego świata i wykorzystać tę wolność do obrony mojego narodu, nie będzie taka prosta, jak mi się z daleka wydawało. Zdałem sobie sprawę, iż muszę oczekiwać potępienia i ośmieszenia przez tych samych cudzoziemców o gorących sercach i otwartych umysłach, na których zrozumienie i wsparcie liczyłem.

Stalinowska propaganda skierowana do świata zewnętrznego okazała się bardziej skuteczna, niż ktokolwiek z nas w Rosji mógł się spodziewać. Mit o szczęśliwej „socjalistycznej” krainie jest traktowany w Rosji jak nieodzowny element totalitarnej retoryki; jest on przyjmowany dosłownie, uroczyście, niemal jak religijny dogmat, przez znaczną część tych mężczyzn i kobiet, którzy tworzą opinię publiczną w demokratycznym świecie.

Rozdział XXVIII

Uciekinier od niesprawiedliwości

Relacje prasowe o moim zerwaniu z reżimem radzieckim stwierdzały, że zasmakowawszy amerykańskiej demokracji, rozczarowałem się do stalinowskiego komunizmu. Wynikało z nich, że to moje bezpośrednie zetknięcie z amerykańską wolnością kazało mi porzucić Radziecką Komisję Zakupów.

W ten sposób moja historia stała się bardziej dramatyczna, a zarazem był to piękny komplement pod adresem Stanów Zjednoczonych. Ale prawda jest taka, że już dawno zdecydowałem się zrzucić totalitarny kaftan bezpieczeństwa, kiedy tylko nadarzy się okazja. Gdyby wysłano mnie do Chin albo do Patagonii, a nie do Stanów Zjednoczonych, podjąłbym taką samą próbę zdobycia wolności, ponieważ postawiłem przed sobą taki cel.

Cel ten wyznaczyłem sobie świadomie, chociaż nie wiem dokładnie, w którym momencie mojego życia to nastąpiło. Był to rezultat uczuć, które dojrzewały we mnie, powoli, ale nieuchronnie. Zmuszało mnie do tego wszystko, czym byłem i co myślałem. Na moją decyzję wpłynęło dzieciństwo przesiąknięte śmiałym idealizmem mojego ojca, głęboką pobożnością matki. Ich dobroć, ich umiłowanie ludzkości, były inne w formie, ale identyczne w treści. A ta treść bez wątplenia pozostała również we mnie.

Wpłynął na mnie również duch narodu, który rodził buntowników w swoich najciemniejszych wiekach, pod najbardziej despotycznymi i bezwzględными władcami. Wiem jedno: gdybym wierzył w możliwość walki o wolność w obrębie radzieckich granic, pozostałbym tam... Gdyby istniała nadzieja zmiany na lepsze - wprowadzenia swobód politycznych i ekonomicznych, porzucenia przez przywódców reżimu międzynarodowego programu komunistycznego - pozostałbym tam. Niestety, z każdym rokiem reżim, zamiast zbliżać się do humanistycznych ideałów zawartych w rewolucji, coraz bardziej się od nich oddalał.

Nadzieja dla naszej Rosji zawsze była wątła, swobody ekonomiczne i gwarancje demokratyczne zawsze odległe; nawet wspomnienie o nich zdawało się zanikać. Despotyczna władza poczyniała sobie w sposób coraz bardziej okrutny i zuchwały. Była podczas wojny chwila, kiedy

część z nas myślała, że zasady Karty Atlantyckiej i obietnice czterech swobód będą dotyczyć również naszego kraju. Ale to złudzenie szybko się rozwiało. Uświadomiliśmy sobie, że jeśli chodzi o nasz kraj i naród, te dokumenty są jedynie świstkami papieru.

Dlaczego przez siedem miesięcy po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych ciągle jeszcze nosiłem kaftan bezpieczeństwa? Odpowiedź jest taka, że potrzebowałem czasu, aby zbadać teren, ocenić swoje siły psychiczne, zanim zdecydowałem się na ten straszliwy krok. W taki sam sposób skazaniec, kiedy już postanowił uciec, daje sobie czas, aby poznać zwyczaje strażników oraz topografię otoczenia.

Rosjanin wychowany pod radziecką kuratelą, kiedy zjawia się po raz pierwszy w nieradzieckim świecie, jest zdezorientowanym i niemal bezbronnym stworzeniem. Samo przystosowanie się do życia staje się problemem. Odkrywa, że myśli i czuje inaczej niż ludzie wokół niego. Potrzebuje czasu, aby zrzucić z siebie, warstwa po warstwie, totalitarne nawyki; jest to skomplikowany proces.

W Ameryce byłem obcy, bez przyjaciół, bez znajomości języka, bez środków do życia. Gdybym miał w Ameryce tylu jawnych i ukrytych przyjaciół, co radziecki dyktator, moje problemy dałyby się rozwiązać względnie łatwo... W końcu, powiedziałem sobie, moje wykształcenie i doświadczenie techniczne pozwoli mi zarobić na życie. Ale w momencie zerwania z komisją będę bez grosza, bezradny wobec groźnej maszynerii oszczerstw i zemsty, którą dysponują moi strażnicy. Siedem miesięcy w Ameryce to naprawdę krótki okres, żeby się zaaklimatyzować, poznać trochę język i nawiązać wstępne kontakty.

Przynajmniej z miesięcznym wyprzedzeniem wiedziałem, że nieodwracalny krok podejmę pod koniec marca 1944 roku. Większą część tego miesiąca spędziłem w podróżach: dwa wyjazdy do Lancaster w Pensylwanii i jeden do Chicago. Zaprzątało mnie głównie to, jak ochronić swoich przyjaciół i kolegów w komisji, a także w Rosji. Żadnemu z nich nie zdradziłem swoich zamiarów słowem ani gestem, chociaż potrzebowałem powierników i oczywiście pragnąłem się komuś zwierzyć. Wiedziałem jednak aż nazbyt dobrze, co to będzie oznaczało dla obywatela radzieckiego, jeśli padnie nań choć cień podejrzenia, kiedy już NKWD zajmie się moją „sprawą”.

Moją drugą troską było to, aby nie dawać komisji żadnego pretekstu do wysunięcia absurdalnych zarzutów przeciwko mnie. Swoje obowiązki w ramach ważnej pracy związanej z lend-lease'em wykonywałem bez zarzutu; chciałem, aby tak pozostało do końca. W takim zakresie, w jakim było to możliwe, kończyłem więc powierzoną mi pracę, pozostawiając wszystko w takim stanie, aby inny specjalista mógł ją podjąć tam, gdzie ja ją przerwałem. W ostatni poranek w gmachu komisji przy Szesnastej Ulicy starannie uporządkowałem swoje sprawy

finansowe. Kiedy wychodziłem, wciąż należało mi się trzydzieści dolarów i cieszyłem się z tego, chociaż w tym momencie przydałby mi się każdy dolar.

O swojej ucieczce opowiedziałem na pierwszych stronach tej książki. Stałem się człowiekiem bez ojczyzny. Wystawiłem się na cel amerykańskich komunistów i, co znacznie bardziej niepokojące, ich obłudnych sympatyków. Wystawiłem się na morderczą nienawiść najpotężniejszego i najbardziej nieprzejednanego rządu na świecie.

Rysowały się przede mną mroczne i niepokojące perspektywy. Z rozmysłem, z pełną świadomością przerażających konsekwencji wybrałem niepewną wolność, odrzucając wygodne zniewolenie. Tylko poddany nowoczesnego dyktatorskiego państwa policyjnego może zrozumieć strach, jaki budzi w sercu człowieka jego potęga, wszechobecność i amoralność.

Kiedy wyjeżdżałem z Waszyngtonu, zdawałem sobie sprawę, że komisja podjęła decyzję, zatwierdzoną w Moskwie, o przydzieleniu mnie na stałe do swojego personelu. Było to równoznaczne z awansem. Miałem podjąć tę nową pracę kilka dni później, trzeciego kwietnia, z błogosławieństwem Moskwy. Później mógłbym wrócić do kraju z zagranicznym doświadczeniem handlowym, jako wierny syn swojej ojczyzny, który przetrwał burze burżuazyjnych pokus. Nie byłoby żadnego ograniczenia dla wyżyn, na jakie mógłbym się wspiąć w biurokratycznej hierarchii.

Ale na tych wyżynach i tak pozostałbym niewolnikiem władzy, niezdolnym do służby swojemu narodowi, w zмовie z jego ciemnymi siłami. Świadomie postanowiłem zostać za granicą. Potrzebowałem wolności do walki z despotyzmem i aby uzyskać tę wolność, zgadzałem się na liczne niewygody, niepewność ekonomiczną, zagrożenia fizyczne. Od tej pory nie było już Wiktora Krawczenki. Jego tożsamość została wymazana. Teraz był on Włochem, Jugosłowianinem, Portugalczykiem, wszystkim, tylko nie Rosjaninem. Jakież nazwiska nosiłem!

W nędznym i przygnębiającym hotelu na Manhattanie przygotowałem oświadczenie, którego fragment ukazał się w „New York Timesie” i innych gazetach 4 kwietnia 1944 roku. Czytając je teraz, kiedy wojna dobiegła zwycięskiego końca, nie znajduję w nim niczego, co chciałbym zmienić. Wręcz przeciwnie, czas, jak mi się zdaje, potwierdził moje obawy i moje przestrogi.

Ostrzegałem wówczas, że Kreml, sprzymierzony rzekomo z Wielką Brytanią i Ameryką, „dąży do celów sprzecznych z tą współpracą”. Rozwiązawszy na pozór Międzynarodówkę Komunistyczną, napisałem, Moskwa nadal kieruje ruchami komunistycznymi na całym świecie. Nawiązując do stalinowskiej polityki wobec Polski, Bałkanów,

Czechosłowacji, Węgier, Austrii i innych krajów, próbowałem wykazać, że te cele są czysto radzieckie i niedemokratyczne. Potem dodałem:

Rząd radziecki, udając, iż dąży do ustanowienia demokracji w krajach wyzwolonych od faszyzmu, nie podjął u siebie żadnych poważnych kroków, aby zagwarantować podstawowe swobody narodowi rosyjskiemu.

Naród radziecki jest poddawany, tak samo jak wcześniej, niewyobrażalnemu uciskowi i okrucieństwu, podczas gdy NKWD, posługując się tysiącami swoich szpiegów, nadal sprawuje nieograniczoną kontrolę nad narodami Rosji. Na terenach oczyszczonych z nazistowskich najeźdźców rząd radziecki przywrócił swój polityczny reżim bezprawia i przemocy, a więzienia i obozy koncentracyjne funkcjonują tak samo jak do tej pory.

Nadzieje na reformy polityczne i społeczne, które naród radziecki żywił na początku wojny, okazały się pustymi złudzeniami.

...Twierdzę, że naród rosyjski, bardziej niż jakikolwiek inny, pragnie, aby nadano mu podstawowe prawa polityczne – prawdziwą wolność słowa i prasy, wolność od nędzy i wolność od strachu. To, co naród rosyjski dostaje od swojego rządu, to tylko zapowiedzi tych swobód. Przez lata żył w ciągłym strachu i ubóstwie. Naród rosyjski zasłużył na nowy ład swoimi niewyobrażalnymi poświęceniami, które ocaliły kraj, jak również istniejący reżim, i dzięki którym zadał decydujące ciosy faszyzmowi i przesądził o wyniku wojny.

Od czasu, kiedy napisałem te słowa, nie wydarzyło się nic, co zmieniłoby ten obraz. Stalinowska dyktatura, bezwzględna i scentralizowana, nie złagodziła swoich terrorystycznych metod. Nie mogę oczekiwać, aby przeciętny obywatel demokratycznego kraju zrozumiał prawdziwy charakter totalitarnej tyranii. Autorzy aktu oskarżenia przeciwko nazistowskim zbrodniarzom wojennym, zbliżyli się do takiego zrozumienia, kiedy opisali reżim nazistowski. Czytając ów dokument, nie mogę się powstrzymać od okrzyku: *Oto, wreszcie, odpowiednie podsumowanie reżimu radzieckiego! Wystarczy tylko zmienić kilka nazwisk, wpisać „radziecki” zamiast „nazistowski” i będziemy mieli obraz kremlowskich porządków.*

Akt oskarżenia przeciwko nazistowskim zbrodniarzom wskazuje na Führerprinzip, zasadę wodzostwa, jako centralną w nazistowskiej doktrynie i praktyce. Jest to również zasada kremlowska. Akt oskarżenia stwierdza: „Spiskowcy zakazali działalności wszystkich partii politycznych z wyjątkiem partii nazistowskiej [...] uczynili z Reichstagu ciało złożone z własnych przedstawicieli i ograniczyli wolność wyborów powszechnych [...] wprowadzili i rozwinęli system terroru wymierzonego we wszystkich przeciwników i domniemyanych przeciwników reżimu...”. Z wyjątkiem tożsamości spiskowców i ofiar czytałem to jak akt oskarżenia dyktatury radzieckiej i wszystkich współczesnych totalitarnych państw policyjnych.

A mimo to ci sami ludzie, którzy potępił hitlerowskich spiskowców, nie znajdują słów, aby potępić radzieckich spiskowców, depreczających swobody narodu rosyjskiego. Wciąż jeszcze nie udało się obudzić sumienia świata na rosyjskie koszmary.

Złe przeczucia, z którymi rozpoczynałem swoje nowe życie, szybko się potwierdziły.

Kiedy wiadomość o mojej ucieczce ukazała się w prasie, Radziecka Komisja Zakupów udawała z początku, że mnie nie zna. Najwyraźniej czekała na instrukcje z Moskwy. Potem przyznała się do mnie i zaczęła wydawać oświadczenia szkalujące moją osobę.

Najważniejszy zarzut, a w dodatku taki, którego nie przewidziałem, polegał na tym, że wciąż jestem kapitanem w Armii Czerwonej. W ten sposób próbowano przekształcić moją ucieczkę w dezercję z wojska, formułując podstawę prawną do żądania mojej ekstradycji, abym stanął przed stalinowskim plutonem egzekucyjnym. W rzeczywistości moja krótka kariera wojskowa skończyła się w szpitalu ponad dwa lata wcześniej. Od tamtej pory byłem cywilnym urzędnikiem. Zanim Ludowy Komisariat Handlu Zagranicznego wysłał mnie za granicę, musiałem uzyskać formalne i całkowite zwolnienie ze wszystkich powinności wojskowych.

Komunistyczna i kryptokomunistyczna prasa z zapalem rzuciła się do walki. Artykuł w „Daily Worker” z 5 kwietnia, podpisany przez niejakiego Starobina, był opatrzony nagłówkiem: „Sprawa drobnego dezertera: Hitler sięga po swoje ostatnie rezerwy” i utrzymany w standardowym stylu partyjnych inwektyw. Ale zawierał nutę, której niewtajemniczony mógł nie zauważyć, ale która zadźwięczała głośno w moich uszach.

Była to nuta bezpośredniej groźby. Towarzysz Starobin donosił o „podłej zdradzie kogoś, kto nazywa siebie urzędnikiem radzieckiej komisji handlowej”. Tacy zdrajcy, od Trockiego do zer w rodzaju Krawczenki, napisał, „oszukują przez jakiś czas wielu ludzi”. Ale - i tu następowało ostrzeżenie:

Czujna i mściwa ręka postępowej ludzkości chwyta ich i w końcu miażdży.

Czytając te słowa, przypomniałem sobie, że w przypadku Trockiego mściwa ręka chwyciła czekana, który roztrzaskał mu czaszkę w Meksyku. Po kilku akapitach obelg towarzysz Starobin wrócił do głównego tematu. „Krawczenko najwyraźniej żył na kredyt”. Potem, nawiązując do tego, że oddałem się pod opiekę amerykańskiej opinii publicznej, zakończył jak następuje:

Nasz kraj nie jest ziemią niczyją dla wrogów naszych sojuszników i naszego wysiłku wojennego [...]. Byłoby godne ubolewania, gdyby Stany Zjednoczone stały się cieplarnią dla gadów tego pokroju, schronieniem dla osobników, którzy nie mają odwagi, aby powiedzieć wprost narodowi Związku Radzieckiego to, co wypłakują nad piwem dla nowojorskiego „Timesa”.

W ten sposób „Daily Worker” dał swoim mniej rozgarniętym czytelnikom do zrozumienia, że każdy, kto „ma odwagę”, może przemawiać do narodu Związku Radzieckiego wprost! I to po stwierdzeniu, iż „żyłem na kredyt”, ponieważ radziecka tajna policja nie znała moich poglądów! Miałem zostać „zmiążdżony” - nie przez tajnych agentów duchowej ojczyzny towarzysza Starobina, ale przez „postępową ludzkość”.

Bez trudu rozszyfrowałem to przesłanie. Jeśli nie będę siedział cicho, „czujna i mściwa” ręka dokona swojego szlachetnego dzieła; czekanów nie brakuje. Inni mogli zlekceważyć takie ostrzeżenia jako zwykłą retorykę; niestety, ja wiedziałem aż nazbyt wiele o metodach i agentach reżimu, który potępiłem.

Mimo środków ostrożności, które podjąłem, radziecki wywiad w Nowym Jorku nie miał żadnych trudności z wyśledzeniem miejsca mojego pobytu. Już wkrótce jego agenci wałęsali się po chodniku naprzeciwko mojego hotelu. Kilka razy zmieniałem hotele i pseudonimy. Zawsze pocieszałem się, że ich zgubiłem. Ale niebawem ci sami ludzie pełnili wartę przed moim tymczasowym schronieniem. Bez przerwy wpadałem do bram i zatrzymywałem przejeżdżające taksówki, żeby uciec ludziom, którzy mnie śledzili.

Chcąc uwolnić się choć na chwilę od ich szarpiącej nerwy uwagi, przyjąłem zaproszenie, abym spędził trochę czasu z nowymi przyjaciółmi na przedmieściach pewnego miasta na Środkowym Zachodzie. Owi przyjaciele byli Amerykanami, którzy odnaleźli mnie, kiedy artykuł na mój temat ukazał się w „Cosmopolitan”. Nie powiedziałem nikomu o swoim wyjeździe i wydawało mi się, że zdołałem wsiąść niepostrzeżenie do pociągu. Myliłem się. Moi przyjaciele, oczekujący mnie na peronie, byli bardzo zaniepokojeni. Wskazali trzech ludzi, którzy przez ostatnie piętnaście minut przyglądali im się uważnie, nie kryjąc swego zainteresowania.

Nie było wątpliwości, że trio czekało na mnie. Jeden z nich, jak zauważyłem, trzymał prawą rękę w kieszeni, nie wyjmował jej ani na chwilę i nie spuszczał ze mnie wzroku. Kiedy wsiedliśmy do samochodu, nieznajomi pospiesznie wskoczyli do innego i jechali za nami, nawet nie próbując się maskować. Jakiś czas krążyliśmy po mieście, aby ich zgubić, ale na próżno. Dopiero kiedy zatrzymaliśmy się przed posterunkiem policji, drugi samochód minął nas i zniknął. Udało nam się zapisać numer - późniejsze dochodzenie wykazało, że były to kradzione tablice rejestracyjne.

Kilka razy w ciągu następných dni ten sam złowieszczy samochód patrolował okolice podmiejskiego domu, gdzie mieszkałem. Ponadto odbierałem zamiejscowe telefony z Nowego Jorku, a tajemnicze głosy

w słuchawce ostrzegały mnie „po przyjacielsku”, że moje życie jest w niebezpieczeństwie i muszę się ukryć. Niewątpliwie była to próba zastraszenia moich gospodarzy, aby wywieźli mnie z domu, i zwabienia mnie w jakieś ustronne miejsce, gdzie mógłbym zostać „zmiążdżony” w bardziej dogodny sposób. Miałem poczucie, że znowu jestem w ZSRR, a nie w wolnych Stanach Zjednoczonych. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek będę mógł żyć i pracować bez strachu o swoje życie.

Moi przyjaciele opierali się mężnie tym naciskom i zawsze będę im za to wdzięczny. Mój gospodarz co noc kładł się spać z ostrą siekierą w zasięgu ręki – była to jedyna broń w domu – na wszelki wypadek. Inni Amerykanie – i kilku Rosjan – w innych częściach kraju okazali się niewrażliwi na radzieckie groźby i gotowi podjąć ryzyko, aby strzec mojego bezpieczeństwa, kiedy pracowałem nad niniejszą książką.

Książka została ukończona. Opowiedziałem swoją historię. Może z czasem zabójcy, którzy udają, że służą „postępowej ludzkości”, zdołają mnie „zmiążdżyć”. Życie na kredyt może dobiec końca. Ale nie zdołają wymazać tego świadectwa, dedykowanego cierpiącemu od tak dawna narodowi rosyjskiemu, który mnie zrodził. Ośmielam się mieć nadzieję, że pewnego dnia będzie się cieszył prawdziwą wolnością i prawdziwą demokracją ekonomiczną.

Kiedy nadejdzie ten dzień, naprawdę będziemy bliscy ideału jednego świata. Ale dopóki jedna szóstą jego powierzchni, ostatnio znacznie rozszerzona przez wchłonięcie mniejszych krajów, jęczy pod jarzmem totalitarnego niewolnictwa w intelektualnym zaciemnieniu, pokój może być rzeczą trudną do utrzymania.

Następnym krokiem w kierunku światowego bezpieczeństwa nie jest światowa organizacja – chociaż taka musi powstać – lecz wyzwolenie rosyjskich mas spod tyranii. Tylko jeśli jakimś cudem Rosja się nagle zdemokratyzuje, większość napięć zagrażających obecnie światowemu pokojowi automatycznie zniknie, a prawdziwa współpraca międzynarodowa stanie się możliwa. Wyzwolenie Rosji spod totalitarnego jarzma, mogą powiedzieć niektórzy, jest sprawą dotyczącą tylko Rosjan. Ci, którzy tak myślą, głęboko się mylą. Pod wieloma względami bezpieczeństwo całej cywilizacji i szansa na trwały pokój zależą od tego wyzwolenia.

Nie jestem aż takim optymistą, by oczekiwać cudu w naszym pokoleniu. Ale jedno wiem na pewno: zrozumienie rosyjskiej rzeczywistości przez demokratyczny świat jest warunkiem wstępnym wyzwolenia mojego kraju od wewnątrz. Ciężar opinii światowej, dźwignia duchowego wsparcia, służące obecnie umocnieniu kremlowskiego despotyzmu, muszą zostać odwrócone, aby przyspieszyć i wspomóc rosyjskie aspiracje do wolności.

Ta książka, historia życia jednego typowego Rosjanina, którego

poczucie wolności nie zostało zniszczone, jest moim apelem do demokratycznego sumienia Ameryki i świata.

Postowie

Zacząłem pracować nad tą książką natychmiast po swojej ucieczce z Radzieckiej Komisji Zakupów i pracowałem nad nią miesiąc po miesiącu w ciężkiej atmosferze prześladowania i zagrożenia życia. Musiałem przenosić się z miasta do miasta, nieustannie zmieniać hotele i prywatne mieszkania, żyjąc pod przybranymi nazwiskami i przybranymi narodowościami, znajdując bezpieczne „kryjówki” w domach Amerykanów lub moich rodaków.

Gdyby radzieccy agenci dopadli mnie w tym okresie, mógłbym zostać „zmiażdżony”, albo jeszcze gorzej, mógłbym zostać uprowadzony do Związku Radzieckiego w celu „rozliczenia”. Na szczęście tak się nie stało i dlatego dzisiaj, po raz pierwszy w życiu, mogę mówić otwarcie w imieniu swojego kraju, swojego narodu i własnym.

Kiedy opuszczałem komisję, wojna jeszcze trwała. Konieczność militarnej współpracy pomiędzy demokracjami zachodnimi a totalitarnym Związkiem Radzieckim narzucała mi wielkie ograniczenia. Zaakceptowałem je chętnie: konieczność wspólnego zwycięstwa miała pierwszeństwo przed wszystkim innym. Ale teraz, po zwycięskim zakończeniu wojny, uważam, że jest to nie tylko możliwe, ale jest to wręcz mój obowiązek, żeby wypowiedzieć się w pełni, szczerze, tak dobrze jak umiem. Stąd ta książka.

Inny powód, który każe mi się wypowiedzieć, jest taki, że od zakończenia wojny wiele narodów i krajów – czasem z własnej woli, czasem pod zewnętrznym przymusem – dokonało „zwrotu w lewo”. Ta tendencja wydaje mi się zdrowa i nieuchronna – pod warunkiem że nie prowadzi do pierwszego etapu lub w niektórych przypadkach gotowego modelu totalitarnego kremlowskiego komunizmu. Niestety, tak właśnie się dzieje na ogromnych obszarach cywilizowanego świata, gdzie zapanowała radziecka siła i radzieckie doktryny.

Obywatele mojego kraju znaleźli się w szponach państwa policyjnego, nie mogą wyrażać swoich poglądów, swoich nadziei i obaw przed światem. W takim stopniu, w jakim mogę ukazać prawdziwe oblicze kremlowskiej dyktatury narodom i rządóm krajów demokratycznych, mam poczucie, że pomagam uchronić świat przed samooszukiwaniem się. Dla zbudowania bardziej przyzwoitego świata potrzebujemy

większego wzajemnego zrozumienia i głębszej przyjaźni pomiędzy narodami tego globu, nie tylko pomiędzy rządami.

Komunistyczna dyktatura w ZSRR nie jest problemem tylko dla narodu rosyjskiego lub tylko dla państw demokratycznych. Jest to problem całej ludzkości. Świat nie może w nieskończoność odwracać się plecami do cierpień wielkiej części rasy ludzkiej zamieszkującej jedną szóstą powierzchni ziemi. Tą częścią rządzi ubóstwiona grupa przywódców, opierających się na aparacie partyjnym Politbiura i gigantycznych siłach policyjnych. Setki milionów ludzi w ZSRR nie mogą kształtować własnego przeznaczenia i są całkowicie odcięte od narodów i prądów intelektualnych we wszystkich innych krajach.

Chociaż kremłowscy przywódcy odmawiają swoim poddanym elementarnych swobód ekonomicznych i politycznych, oni i ich sympatycy za granicą próbują wmówić reszcie świata, że system radziecki jest przykładem wolności – że jest to prawdziwa demokracja w odróżnieniu od jej „staromodnej” odmiany.

Oczywiście napisałem tę książkę w ojczystym języku, po rosyjsku, musiała zatem zostać przetłumaczona, a tekst zredagowany przed wydaniem jej po angielsku. Wyraziłem na to zgodę pod warunkiem, że wszystkie fakty, zdarzenia, doświadczenia osobiste, wydarzenia polityczne, opisy i charakterystyki postaci, aż do najdrobniejszych szczegółów, będą trzymać się wiernie oryginalnego rękopisu rosyjskiego. Co więcej, kiedy tekst angielski został ukończony, osobiście go sprawdziłem i zredagowałem ostateczną wersję.

Próbowałem nadać tej książce formę autobiografii. Dlatego musiałem pominąć ogromne ilości materiałów dotyczących skomplikowanych kwestii politycznych, administracyjnych, policyjnych i innych problemów radzieckiego państwa. Ten i związany z nim materiał zamierzam opublikować później.

W niektórych przypadkach, aby uchronić niewinnych ludzi przed bezlitosną zemstą radzieckiego państwa, musiałem zmienić nazwiska, nazwy geograficzne, niektóre okoliczności. Tam, gdzie takie zmiany były konieczne, same epizody pozostały całkowicie zgodne z prawdą i zachowały swoje znaczenie dla toku narracji.

Dedykuję tę książkę narodowi rosyjskiemu, do którego należę. Dedykuję ją pamięci milionów, które zginęły w walce z radzieckim absolutyzmem, milionom niewinnych, cierpiących w niezliczonych kremłowskich więzieniach i obozach pracy przymusowej, pamięci milionów moich rodaków, którzy polegli w obronie naszej ukochanej ojczyzny, oddając życie za lepszą przyszłość naszego narodu. Dedykuję tę książkę postępowym i społecznie wrażliwym ludziom, pomagającym

w walce o demokratyczną Rosję, bez której nie będzie trwałego pokoju na ziemi.

Wiktor Krawczenko

Wiktor Krawczenko

Nowy Jork, 11 lutego 1946

ANEKS

LIST OTWARTY

Do wszystkich zainteresowanych,

Dokumenty Victora Kravchenki mają wyjątkową wartość historyczną. Victor Kravchenko był radzieckim inżynierem, który przyjechał do Waszyngtonu w 1943 roku jako członek Radzieckiej Komisji Zakupów. 3 kwietnia 1944 roku wystąpił na konferencji prasowej, piętnując represyjną politykę rządu ZSRR i zbrodnie reżimu stalinowskiego i oddając się „pod opiekę amerykańskiej opinii publicznej”. Jego sprawa natychmiast trafiła na czołówki wszystkich gazet, ponieważ przed swoją ucieczką nawiązał znajomość z kilkoma wybitnymi dziennikarzami amerykańskimi. Władze radzieckie potępiły go jako zdrajcę i zażądały wydania. Kravchenko postawił w niezręcznej sytuacji nie tylko Sowietów, ale także tych członków amerykańskiego rządu, którzy nie chcieli, aby dobre imię największego militarnego sojusznika Stanów Zjednoczonych zostało narażone na szwank. Niewiele więc brakowało, aby Kravchenko został wydany ZSRR. Departament Stanu był gotów spełnić radzieckie żądanie. Od deportacji uchronił go rozgłos, jaki nadano sprawie, i dobre stosunki z amerykańskimi dziennikarzami. Biały Dom, obawiając się, że sprawa stanie się przedmiotem kampanii wyborczej w 1944 roku, wstrzymał się z decyzją i obiecał władzom radzieckim, że sprawa zostanie rozpatrzona po wyborach. Kravchenko jednak nadal cieszył się sympatią amerykańskiej opinii publicznej, a rząd USA przestał tak bardzo liczyć się ze zdaniem Związku Radzieckiego. Kravchenko nie został wydany Moskwie.

Stał się jednak obiektem zacieklej ataków rządu radzieckiego, Amerykańskiej Partii Komunistycznej i rozmaitych rzeczników ZSRR. W ciągu następnych kilku lat był nękanym i otrzymywał groźby. Nie dał się jednak zastraszyć i w 1946 roku opublikował wspomnienia pod tytułem *Wybrałem wolność*^[3], będące miażdżącym oskarżeniem Związku Radzieckiego jako państwa powszechnych represji i terroru. Książka

stała się bestsellerem zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak w Europie, gdzie przełożono ją na kilka języków.

Inni uciekinierzy ze Związku Radzieckiego również napisali książki o podobnej wymowie, jak wspomnienia Kravchenki. Jednakże jego książka ukazała się w najbardziej sprzyjającym momencie. W 1946 roku zawarty podczas wojny sojusz amerykańsko-radziecki szybko się rozpadł, powracały przedwojenne podejrzania dotyczące reżimu stalinowskiego, zaczynała się zimna wojna. *Wybrałem wolność* doskonale więc trafiła w społeczne nastroje i pomogła ukształtować opinię publiczną zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak w Europie Zachodniej.

Sukces *Wybrałem wolność* zdopingował władze radzieckie do działań podważających wiarygodność autora. Ze względu na popularność książki w Europie, w 1949 roku „Les Lettres françaises”, gazeta związana z Francuską Partią Komunistyczną, opublikowała artykuł amerykańskiego dziennikarza Siamy Thomasa, który twierdził, że książka Kravchenki została sfabrykowana przez amerykański wywiad. Na artykuł Thomasa powoływali się później polityczni i intelektualni obrońcy Związku Radzieckiego w całej Europie w trakcie intensywnej kampanii propagandowej broniącej prestiżu reżimu sowieckiego i atakującej Stany Zjednoczone za stosowanie oszukańczych metod w celu oczernienia ZSRR.

Kravchenko jednak zareagował w sposób, którego francuscy komuniści się nie spodziewali: wystąpił do francuskiego sądu z oskarżeniem o oszczerstwo. Zebrawszy potrzebne fundusze, wynajął znakomitych francuskich adwokatów i rozpoczął gromadzenie dowodów na potwierdzenie tez zawartych w swojej książce. Zwrócił się do emigrantów rosyjskich, którzy mieszkali w Związku Radzieckim w latach trzydziestych i czterdziestych, z prośbą, aby nadesłali mu pisemne relacje dotyczące charakteru reżimu radzieckiego, a także stawili się w sądzie i osobiście złożyli zeznania. Na jego apel odpowiedziało setki osób, których relacje obejmowały tysiące stron.

Długi proces, rozpoczęty w 1949 roku, gdy zimna wojna znajdowała się w swojej pierwszej, najbardziej niebezpiecznej fazie, stał się *cause célèbre* we Francji i całej Europie Zachodniej. Adwokaci Kravchenki szybko zepchnęli „Les Lettres françaises” do defensywy, dowodząc, że „Siam Thomas”, rzekomy amerykański dziennikarz twierdzący, iż *Wybrałem wolność* to fałszerstwo, jest osobą fikcyjną i nigdy nie istniał. Kravchenko i jego adwokaci przekształcili następnie proces w oskarżenie stalinizmu, odczytując zeznania i powołując na świadków rosyjskich uchodźców, którzy potwierdzili relację Kravchenki o brutalnej kampanii kolektywizacyjnej, czystkach i obozach koncentracyjnych lat trzydziestych. Kravchenko wygrał proces. Napisał potem drugą książkę,

I Chose Justice (Wybrałem sprawiedliwość)^[4], o zakończonej właśnie sprawie sądowej i kampanii propagandowej w Europie. Książka zyskała poczytność w Stanach Zjednoczonych i stała się bestsellerem w Europie, gdzie odbywał się proces.

Po upadku Związku Radzieckiego Agencja Bezpieczeństwa Narodowego Stanów Zjednoczonych odtajniła rozszyfrowane radiogramy radzieckiego wywiadu z okresu II wojny światowej. Te i inne niedawno ujawnione źródła dowiodły, że wywiad radziecki był wstrząśnięty ucieczką Kravchenki i zareagował umieszczeniem swoich agentów w kręgu jego znajomych i przyjaciół. Ze źródeł tych wynika, że sekretarka pracująca nad maszynopisem książki była radziecką agentką i przekazywała kopie tekstu do NKWD zaraz po jego przepisaniu z rękopisu. Kilku bliskich znajomych Kravchenki również okazało się agentami NKWD; otrzymali oni rozkaz zaprzyjaźnienia się z nim i obserwowania go. Ucieczka Kravchenki, jego książka i proces przed francuskim sądem były ważnymi wydarzeniami pierwszej fazy zimnej wojny, które w istotny sposób wpłynęły na nastawienie opinii publicznej w czasie, gdy nastawienie to dopiero się kształtowało. Dokumenty Kravchenki dotyczą jego ucieczki, sporu wokół jego książki i sensacyjnego procesu w Paryżu. Druga część dokumentacji pokazuje charakter reżimu stalinowskiego poprzez relacje, listy i zapisy zeznań setek emigrantów rosyjskich na temat ich życia w ZSRR w latach trzydziestych. Spuścizna Kravchenki jest bogatym źródłem do badań nad dziejami epoki stalinowskiej w ZSRR, a także konfliktu ideologicznego z pierwszego okresu zimnej wojny.

Z poważaniem

John Earl Haynes, Waszyngton, 2004

Amerykański historyk specjalizujący się w dziejach politycznych XX wieku. Autor dziesięciu książek o historii komunizmu, antykomunizmu i wywiadu radzieckiego.

Przypisy

- [1] Przeł. Adam Ważyk [przyp. wyd.].
- [2] Fragment poematu Kondratija Rylejewa *Nalewajko* [przyp. wyd.].
- [3] Andrew Kravchenko, *I Chose Freedom*, New York, 1946; London, 1947; London, 1948; Newton Abbot, 1949; Somerset, New Jersey, 1988
- [4] Andrew Kravchenko, *I Chose Justice*, New York, 1950; London, 1951; New York, 1959; Somerset, New Jersey, 1988